











**WIELKA LITERATURA POWSZECHNA**  
**ANTOLOGJA**



# WIELKA LITERATURA POWSZECHNA

TOM SZÓSTY

ANTOLOGJA, CZĘŚĆ DRUGA

LITERATURY: HISZPAŃSKA, PORTUGALSKA, RUMUŃSKA, CELTYCKIE,  
ANGIELSKA, PÓLNOCNO-AMERYKAŃSKA, AUSTRALIJSKA, NIEMIECKA,  
ISLANDZKA, NORWESKA, SZWEDZKA, DUŃSKA, HOLENDERSKA  
I FLAMANDZKA, FIŃSKA, ESTOŃSKA, ŁOTEWSKA, LITEWSKA, WĘ-  
GIERSKA, ROSYJSKA, UKRAIŃSKA, BIAŁORUSKA, CZESKA, SŁOWACKA,  
ŁUŻYCKA, JUGOSŁAWJI, BUŁGARSKA, BIZANTYŃSKA, NOWOGRECKA

W OPRACOWANIU

PROF. DRA E. BIEDRZYCKIEGO, DRA J. BIRKENMAJERA, DRA W. BUNIKIEWICZA,  
PROF. UNIW. DRA ST. CZARNOWSKIEGO, PROF. DRA T. GRZEBIENIOWSKIEGO, S. KUŁA-  
KOWSKIEGO, PROF. UNIW. DRA E. PORĘBOWICZA, PROF. A. TOMA,  
Ks. W. ZAJĄCZKOWSKIEGO, DR. K. ZAWISTOWICZOWEJ

POD REDAKCJĄ

DRA STANISŁAWA LAMA

INSTITUT  
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH  
IM. J. KRASICKIEGO  
UL. POLSKA 10  
00-248 WARSZAWA  
TEL. 22 62 50 00



---

NAKŁADEM KSIĘGARNI TRZASKI, EVERTA I MICHAŁSKIEGO  
WARSZAWA, KRAK. PRZEDM. 13, GMACH HOTELU EUROPEJSKIEGO

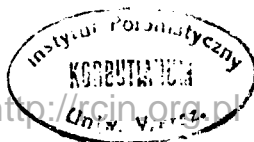
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

PRAWA AUTORSKIE NA AMERYKĘ ZASTRZEŻONE NA PODSTAWIE  
PROKLAMACJI PREZ. ST. ZJED. AMERYKI PÓLN. Z DNIA 16. II. 1927  
(DZIEN. UST. RZPL. POL. NR. 12 Z R. 1927)

COPYRIGHT 1933  
BY TRZASKA, EVERT & MICHALSKI  
WARSAW  
PRINTED IN POLAND

113

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCYCA I SPÓŁKI



<http://rcin.org.pl>

# SPIS TREŚCI

## TOMU SZÓSTEGO

---

LITERATURA HISZPAŃSKA; wybór, układ i tłumaczenie Prof. Uniw. Lwow. DRA EDWARDA POREBOWICZA . . . . .	1
LITERATURA PORTUGALSKA; wybór, układ i tłumaczenie Prof. Uniw. Lwow. DRA EDWARDA POREBOWICZA . . . . .	59
LITERATURA RUMUŃSKA; wybór tekstów i układ PROF. DRA EMILA BIEDRZYCKIEGO . . .	67
LITERATURY CELTYCKIE; wybór tekstów, układ i tłumaczenie Prof. Uniw. Warsz. DRA STEFANA CZARNOWSKIEGO . . . . .	95
LITERATURA ANGIELSKA; wybór tekstów i układ PROF. DRA TADEUSZA GRZEBIENIOWSKIEGO i PROF. ALFREDA TOMA . . . . .	119
LITERATURA PÓLNO-CNO-AMERYKAŃSKA; wybór tekstów i układ PROF. DRA TADEUSZA GRZEBIENIOWSKIEGO i ALFREDA TOMA . . . . .	246
LITERATURA AUSTRALIJSKA; wybór tekstów, układ i tłumaczenie PROF. DRA TADEUSZA GRZEBIENIOWSKIEGO . . . . .	284
LITERATURA NIEMIECKA; wybór tekstów i układ PROF. ALFREDA TOMA . . . . .	289
LITERATURA ISLANDZKA; wybór tekstów i układ PROF. ALFREDA TOMA . . . . .	445
LITERATURA NORWESKA; wybór tekstów i układ PROF. ALFREDA TOMA . . . . .	453
LITERATURA SZWEDZKA; wybór tekstów i układ PROF. ALFREDA TOMA . . . . .	472
LITERATURA DUŃSKA; wybór tekstów i układ PROF. ALFREDA TOMA . . . . .	490
LITERATURA HOLENDERSKA I FLAMANDZKA; wybór tekstów i układ PROF. A. TOMA .	507
LITERATURA FIŃSKA; wybór tekstów, układ i tłumaczenie DR. KAZIMIERZY ZAWISTOWICZOWEJ	534
LITERATURA ESTOŃSKA; wybór tekstów, układ i tłumaczenie DR. KAZ. ZAWISTOWICZOWEJ	546
LITERATURA ŁOTEWSKA; wybór tekstów i układ PROF. ALFREDA TOMA . . . . .	562
LITERATURA LITEWSKA; wybór tekstów i układ Ks. WINCENTEGO ZAJĄCZKOWSKIEGO .	580
LITERATURA WĘGIERSKA; wybór tekstów i układ PROF. ALFREDA TOMA . . . . .	593
LITERATURA ROSYJSKA; wybór tekstów i układ SERGIUSZA KULAKOWSKIEGO i PROF. ALFREDA TOMA . . . . .	617
LITERATURA UKRAIŃSKA; wybór tekstów i układ PROF. ALFREDA TOMA . . . . .	713
LITERATURA BIAŁORUSKA; wybór tekstów i układ PROF. ALFREDA TOMA . . . . .	736
LITERATURA CZESKA; wybór tekstów i układ DRA WITOLDA BUNIKIEWICZA . . . . .	747
LITERATURA SŁOWACKA; wybór tekstów i układ PROF. ALFREDA TOMA . . . . .	799
LITERATURA ŁUŻYCKA; wybór tekstów i układ PROF. ALFREDA TOMA . . . . .	805
LITERATURY JUGOSŁAWJI; wybór tekstów i układ PROF. ALFREDA TOMA . . . . .	809
LITERATURA BUŁGARSKA; wybór tekstów i układ PROF. ALFREDA TOMA . . . . .	839
LITERATURA BIZANTYŃSKA; wybór tekstów, układ i tłumaczenie JÓZEFA BIRKENMAJERA	850
LITERATURA NOWOGRECKA, wybór tekstów i układ PROF. ALFREDA TOMA . . . . .	864
SKOROWIDZ części I-szej i II-giej antologii . . . . .	883



## POCZĄTKI

### POEMAT O CYDZIE (XII w.)

...Więc Cydowi<sup>1</sup> rześiste z ócz polały się słozy,  
Kiedy spojrzął na dwór swój taki dawniej wesoly.  
Ujrzał wrota rozbite, popękane zawory,  
A drażki, gdzie siadały niegdyś łowne sokoły,  
Bez kapturków, płaszczyków, puste pośród komory.  
Westchnął głęboko mój Cyd, w sedno serca trafiony,  
I ozwał się takimi miarkowanemi słowy:  
«Tak chciał Bóg, władający nad ziemskimi padolę;  
Oto od wrogów moich tak jestem pohanbiony!  
Wyjeżdżający z Bivar mieli kruka z prawicy<sup>2</sup>,  
Gdy wjeżdżali do Burgos, po lewej im zakrzyczy».  
Opuścił głowę smutnie i wzdrygnął się ramiony.  
«Dobra wieść, Albarffanez, oto ja wywłaszczony».  
Wjeżdżał Cyd na rumaku przez te Burgijskie brony,  
Sześciedziesiąt chorągiewek z nim, taki poczet skromny.  
Od mieszczan i mieszczanek roily się balkony.  
I zapłakał oczyma wszystek lud rozżalony,  
Kaźda grodu ulica słowami rozbrzmiewała:  
«Coby to był za witeź, lecz u lepszego pana!»  
Radziby go ugościć, lecz nie byli dość śmieli,  
Słyszając, że nań król Alfons od gniewu aż się pieni.  
    Król do Burgos nadesłał listy jeszcze tej nocy,  
Warowane pieczęcią, wzbraniające pomocy  
Dawać Buy Diazowi, ni jadła, ni gospody,  
Bo taki niech pamięta — głosił rozkaz surowy:  
Zabierze mu się mienie i wylupi się oczy;  
Zgubi ciało i duszę nadobitek niedoli.  
    Wielki stąd powstał smutek pomiędzy chrześcijany,  
Lecz się z obawy króla przed Cydem umykali.  
Postąpił ku gospodzie, gdzie zazwyczaj stawali,  
Pozamykane zastał wszystkie dzwierze i bramy.  
Zaparli je od środka w obawie srogiej kary,  
Nikt nie wejdzie do środka, chyba wrota rozwali.  
Głośno krzyczą rycerze i gromkimi wyrazy,  
A tamci z wnętrza milczą, ni z ust nie puszcza pary.  
Podjechał równie mój Cyd, podsunął się do dzwierzy,

<sup>1</sup> Czytaj: Syd.

<sup>2</sup> Rzymianie z podbojem przywieźli swoje wróżby z ptaków.

Zsiadł z jednego strzemienia, w bramę stopą uderzy,  
Ale się nie otwarła, zbyt dobrze ją zamknęli.

Dziewięcioletnie dziewczę uprzejmie doń zagada:  
«Cydzie Campoamorze, błogosławiona szpada,  
Przed wieczorem nadeszła do nas królewska charta,  
Pieczęć królewska przy niej, w niej zagrożona kara,  
Ktoby wam ulżyć pragnął w tej niedoli wygnania.  
Grozi zabrać nam mienie i wydrzeć duszę z ciała,  
Nie lża, Cydzie, nikomu wesprzeć was mimo chęci,  
Niechaj Bóg cię wspomóż i wszyscy jego święci». —  
Tak rzekło małe dziewczę i wróciło w podsienia.

Widzi Cyd, że u króla nie znalazł przebaczenia —  
Pojeżdża Cyd do Burgos, po domach się rozziera  
Aż do kościoła Marji; zsunął się ze strzemienia,  
Kląkł na oba kolana i odmówił pacierza.  
Poczem wyskoczył na koń, ostrogami go bodzie,  
Opuścił bramy grodzkie, na żwirze w Arlingtonie  
Każe rozbić namioty, wojsku rozkładać konie.  
Skoro mu nikt przytułku nie udzieli w tę nockę,  
Jakby był w puszczy górskiej, wybiera twarde łoże,  
Wszystko jego rycerstwo ułożyło się w podłę.  
— Zabroniono grodowi sprzedać chleba i wina,  
I głodnemu rycerstwu wszelakiego mięsiwa.  
— Marcin Antolinez, burgijczyk, dusza szczera,  
Cyda i jego wojsko rad nakarmić dosyta.  
Nie kupił, zabrał z domu i chętnie im użycza.  
Campeador je chętnie, bo już głód mu doskwiera.  
Rzekł Marcin Antolinez to, co tu usłyszycie:  
«Cydzie Campoamorze, w dobrej zrodzon godzinie,  
W tej puszczy zanocujęm, wyjedziemy o świecie.  
Byłbym srodze karany, że ci tę folgę czynię.  
Na gniew królewskibym się naraził niewątpliwie.  
Może kiedyś u króla będę widziany mile,  
A jeśli się nie stanie, dbam o to, jak o figę».  
Rzekł mój Cyd, co w szczęśliwej chwili przypasał szpadę:  
— «Marcinie Antolinez, mam w tobie dzielną lancę;  
Jeśli jeszcze pożyję, podwójnie ci odpłacę.  
Wszystkie wydatki spłacę, czyto w złocie, czy srebrze;  
Dóbr dzisiaj nie posiadam, a kosztujemy wiele:  
Mych wasali kompanja jest w podobnej potrzebie.  
Z twoją pomocą każe przygotować dwie skrzynie.  
Napełnimy je piaskiem, odważym należycie,  
Pozłacanemi ćwieki należycie zabite,  
Na wiekach z kordowanu czerwonego obicie.  
Pośpiesz się rozmówić z tym Rachelem i Vidą;  
Król co bądź kupić wzbrania, ogłosił mię banitą,  
A mnie się trudno wozić z jedną i drugą skrzynią.  
Niechże, jak się umówim, na zastaw mi je przyjmą.  
Mogą zabrać je w nocy, chrześcijan to nie udręczy,  
Jeden Pan Bóg niech patrzy i wszyscy Jego święci,  
Że to, co chcę uczynić, to czynię mimo chęci».  
Marcin Antolinez rąk próżno nie zakłada,  
Rachel z Vidą, gdzie żyją, naokół pilnie bada,  
Wraca żywo do miasta, na szczycie grodu stawa.  
— Rachel z Vidą siedzieli w swoim kupieckim sklepie,  
Obliczali pieniądze, dochody tegodzienne;



Podszedł k'nim Antolinez i dostojnie, i śmieje:  
 «Witam Rachel i Vidas, moi wy przyjaciele.  
 Chcę sekretnie pomówić z wami o jednym dziele».  
 — Nie mieszkając, natychmiast odeszli z nim na stronę.  
 «Ty Rachel i ty Vidas, podajcie wasze dłonie,  
 Niechaj nas nie posłyszają chrześcijanie ni maurowie.  
 A ja was po kres życia od ubóstwa wyzwolę.  
 Mój Cyd Campeador wziął w bitwach łupy spore,  
 Zaczne trybuty chowa w swoim obronnym dworze.  
 Zachował, ile trzeba, na potrzeby codzienne.  
 A przybywa do Burgos, bo z królem jest w rozterce,  
 Dwie skrzynie znacznych skarbów z sobą w podróży wiezie,  
 Same cenne naczynia kute w złocie i srebrze;  
 Zostawił tam pałace i pradziadowską schedę.  
 Tu wnetby przewąchano, dokąd wywiózł i wiele;  
 W rękach waszych zostawi te oto cenne skrzynie,  
 W procencie policzycie od sta tyle a tyle.  
 Wielką waszą przysięgą przyrzeczenie jedynie,  
 Że nie złamiecie zamków, dopóki rok nie minie».  
 — Poszeptali ze sobą na zgodę i tak rzekli:  
 «Nie będziemy ukrywać, że coś zarobić chcemy.  
 Mój Cyd ogromne łupy wziął w maurytańskiej ziemi.  
 Słuszna, że chce zostawić, trudno się wozić z niemi.  
 Ten, co skarbu pilnuje, źle sypia na pościeli,  
 Więc pod naszą opiekę te skrzynie bierzem obie.  
 Tak je dobrze ukryjem, nikt się o nich nie dowie.  
 A wiele za wygodę do rocznego przydziału?»  
 — Na to Antolinez odparł w takim sposobie:  
 «Mój Cyd podejmie tyle, ile będzie w umowie,  
 A zażąda niedużo, chce mieć skarb w dobrym schronie.  
 Nachodzą go ustawnie różni ludzie w niedoli,  
 600 marek złożycie, i tem się zadowolili».  
 Rzekli Rachel i Vidas: «Może wziąć każdej pory».  
 «Noc zapada, widzicie Cyd chce jechać czem skorzej.  
 Dajcież te 600 marek w myśl tej naszej umowy».  
 Na to Rachel i Vidas: «Tak się spraw nie załatwia.  
 Naprzód bierze się zastaw, potem gotówkę dawa».  
 Rzekł Martin Antolinez: «Słuszna jest modła taka,  
 Zadowolicie zatem Cyda, mojego pana.  
 My dopomożem nocą znieść skrzynie, jak wypada,  
 By nie widziały oczy ni maura, ni chrześcijana».  
 Rzekli Rachel i Vidas: «Wszystko jest tak, jak życzym,  
 Dostawcież nam te skrzynie, 600 marek zaliczym».  
 (*Poema del Cid, ed. R. Menendez Pidal, Madrid 1900, w. 1—147.*)

## PIERWSZA KRONIKA POWSZECHNA ZW. ALFONSA MĄDREGO

(XIII w.)

Cap. 736. Jak Roy Blasquez, syn Alfonsa de Lara, uderzył swego kuzyna Gonçala Gonçaleza, a on jego, i jak Garcia Fernandez ich pogodził.

W 23-cim roku panowania króla Don Ramira, t. j. 997 r., zdarzyło się, że wysoki magnat, syn Alfonsa de Lara, nazwiskiem Roy Blasquez, żenił się z damą wysokiego rodu z Burweny, starszą siostrą hr. Garcí Fernandeza, nazwiskiem doña Lambra. A ów Roy Blasquez był panem Bilvestry, miał siostrę bardzo zącą, wyposażoną we wszystkie dobra i obyczaję, nazwiskiem doña Sancaza, żonę Gonzala Gustioza, pochodzącego z Sa-

las; a mieli 7-miu synów, zwanych 7-oma infantami z Salas. A wychowywał ich wszystkich dzielny szlachcic, nazwiskiem Muño Salido, i wyćwiczył we wszystkich zacnych sztukach, tak że zostali wszyscy w jednym dniu pasowani na rycerzy; a zbroje dał im Garci Fernandez. Ów Roy Blasquez na wesele swoje z doñą Lambra, wyprawał w mieście Burgos, sponił przyjaciół z krajów okolicznych: Galicji, Leonu, Portugalu Estremadury, Gaskonji, Aragonu, Nawarry, a nadto wszystkich z Burweny i Kastylji, a przybyło jeszcze wiele ludu. Był na tem weselu Don Gonçalo Gustioz z żoną swą doñą Sanczą, 7-ma synami i Munozem Salidą, ich wychowawcą. Wesele trwało 5 tygodni śród licznych zabaw; były też gonitwy do tarczy i do pierścienia i walki byków, i gry w table<sup>1</sup>, i szachy, i igraszki żonglerów. A wydali na to wesele hr. Garci Fernandezowi wszyscy inni panowie wielkie sumy i wielkie podarunki. A na tydzień przed końcem wesela kazał Roy Blasquez wystawić tarczę bardzo wysoko, obok kościoła nad rzeką, i zapowiedział, że temu, co rzuci tarczę, złoży bogaty dar. Wszyscy szanujący się rycerze zbiegli się, ale mimo wysiłków nie mogli osiągnąć i uderzyć w tarczę. Kiedy to zobaczył Alvar Sanchez, najstarszy brat doñi Lambry, podjechał koniem i dosięgnął tarczy, i uderzył w tarczę tak silnie, że usłyszano aż w mieście, jak powiada historja. Kiedy doña Lambra usłyszała i dowiedziała się, że to Alvar dokonał tego rzutu, ucieszyła się wielce i z wielkiej uciechy odezwała się wobec doñi Sanczy, swej kuzynki, i wobec 7-miu jej synów, siedzących obok niej: — «Widzicie teraz, przyjaciele, jaki dzielny rycerz ten Alvar Sanchez, bo śród wszystkich, jacy tu są, żaden nie zdołał dorzucić do szczytu tarczy, tylko on jeden; sam jeden wart jest więcej, niż wszyscy razem». Kiedy to usłyszała doña Sancza i jej synowie, zaczęli się śmiać; ale rycerze, ile że byli bardzo biegli w rozpoczętej zabawie, nie zwracali uwagi na słowa doñi Lambry, z wyjątkiem Gonçala Gonçaleza, najmłodszego z 7-miu braci. I wymknął się im, wsiadł na konia i wziął oszczep w rękę, a nie było z nim nikogo, prócz pazia, który trzymał jego sokoła. A Gonçalo, skoro podjechał, kazał podnieść tarczę i uderzył tak mocno, że roztrzaskał tarczę środkową. Skoro to obaczyli doña Sancza i jej synowie, wielce się ucieszyli, ale nie doña Lambra. Synowie doñi Sanczy wsiedli zaraz na koń i podjechali ku bratu w obawie, że wyniknie tam jakaś kłótnia, co się też stało, bo Alvar Sanchez zaczął wykrzykiwać obelżywemi słowy, a odpowiedział mu Gonçalo Gonçalez, mówiąc: — «Taki jesteście biegły i tak podobasz się kobietom, że jak widno, o żadnym z nas nie gadają tyle, co o tobie». — Na co Alvar Sanchez: — «Jeżeli kobiety mówią o mnie, to słuszna, bo rozumieją, że jestem więcej wart od reszty». Kiedy to usłyszał Gonçalo, zabolowało go tak mocno, że nie mógł przenieść, i przypadł ku niemu gwałtownie i uderzył go pięścią w twarz, że mu rozbił zęby i szczękę, tak że natychmiast spadł z konia martwy. Doña Lambra, kiedy o tem usłyszała, poczęła krzyczeć głośno i płakać, powiadając, że nigdy żadna niewiasta na swem weselu nie została zhańbiona, jak ona. Roy Blasquez, gdy się o tem dowiedział, popędził czem prędzej z oszczepem w rękę; a kiedy dojechał do 7-miu infantów, podniósł ramię i ugodził Gonçala Gonçaleza tak mocno w głowę, że aż mu z pięciu ran krew popłynęła. Gonçalo, kiedy spostrzegł, jak jest ranny, rzekł: «Na miły Bóg, wuju, nie zasłużyłem od ciebie na taki cios i proszę tu moich, że jeżeli przypadkiem z tego umrę, niech za to na tobie nie poszukują odpłaty; ale nie uderzaj drugi raz, bo tegobym nie ścierpiał». Roy Blasquez, kiedy to usłyszał, z wielkiego gniewu podniósł oszczep jeszcze raz, aby go uderzyć, ale Gonçalo uchylił głowy, tak że dolknął go jeno nieco w ramię, mimo to uderzenie było tak silne, że oszczep odlupał się aż w dwu miejscach. Gonçalo, obaczywszy, że nie było innej miary ni sposobu, porwał sokoła, co go trzymał pachotek, uderzył nim, a razem pięścią w głowę Roya Blasqueza i tak nią wstrząsnął, że aż krew popłynęła nozdrzami. Tedy Roy Blasquez, widząc się tak pogruchotanym, począł wołać: — «Do broni, do broni!» Zaczem zbiegło się wszystko jego rycerstwo...

— Garci Fernandez, pan Burgos, oraz ojciec infantów, Gonçalo Gustioz, godzą obie strony, ale doña Lambra gotuje nowy akt zemsty, na który infanci odpowiadają nowem zabójstwem. Roy Blasquez podstępem wydaje starego Gonçala Almançorowi, maurytańskiemu królowi Kordoby, który zamyka go w więzieniu.

<sup>1</sup> Tric-trac.

Tam oddał go w opiekę maurytańskiej szlachciance. Ma z nią syna, nazwanego później Mudarra Gonçalez, który, dorósłszy, pomści kiedyś śmierć ojca i braci. Tymczasem za nowem poduszczeniem Roya Blasqueza rozpoczęła się wojna z Maurami...

Cap. 742. Jak polegli infanci wraz z 200 rycerzami, co przybyli im pomagać.

Infanci, znajdując się w tych uciskach, posłali do Roya Blasqueza z zapytaniem, czy zechce im przyjść z odsieczą. Zatem Diego Gonçalez rzekł: «Don Rodryku (Blasquezie), czy będziesz w możności pomóc nam przeciw Maurom, przeciw którym straciliśmy już Fernanda Gonçaleza i Muña Salidę z 200 rycerstwa». — Na co odparł don Rodrigo: «Przyjacielu, odejdz szczęśliwie. Jakże chcesz, aby już była zapomniana hańba, jakiej dopuściliście się w Burgos, zabijając Alvara Sancheza, oraz jaką uczyniliście żonie mej doñi Lambri, kiedy zabiliście człowieka w fałdach jej płaszcza i zakrwawiliście jej szaty... Jesteście dzielnymi wojownikami, myślcie, jak się bronić i obronić, a na mnie nie liczcie, bo nie znajdziecie u mnie pomocy nijakiej. Diego Gonçalez, usłyszawszy to, wrócił do infantów i oznajmił słowa ich wuja. Kiedy tak byli strapieni, że znaleźli się tak bardzo sami i bez opieki, Bóg natchnął niektórych chrześcijan, stojących z Royem Blasquezem, że postanowili im przyjść z pomocą. I oddzielito się od niego około 1000 rycerstwa. A kiedy już odjeżdżali, oznajmili o tem Royowi Blasquezowi. Wtedy on zawrócił ich, powiadając: «Przyjaciele, pozostawcie moich kuzynów i pozwólcie, niech pokażą, co umieją; jeżeli będzie potrzeba, pośpieszę im z pomocą». Tedy oni zawrócili, lecz niechętnie, jak powiada historia, wiedzieli bowiem, że gotuje się zdrada. Ale skoro tylko owo rycerstwo wróciło do domów, wyszli chłopcy, którzy odznaczyli się już we władaniu orężem, po trzech i po czterech, i usprawiedliwiają się przed don Rodrigiem, i zebrało się 300 na jednym miejscu, i zaprzysięgli, że za zdracę uważać będą takiego, który nie pośpieszy z pomocą 7-miu infantom, na śmierć i życie; a gdyby przypadkiem Roy Blasquez chciał ich zawrócić, jak przedtem, to nie mieszkający zabiją go. Co postanowiwszy, pognali natychmiast. Infanci, widząc ich nadjeżdżających, przypuszczali, że to Roy Blasquez najeżdża, aby ich pozabijać. Ale rycerze poczęli wołać: «Infanci, nie lękajcie się, gdyż z pomocą wam śpieszymy, z wami chcemy żyć i umrzeć; widzimy bowiem, że wasz wuj bardzo sobie smakuje w waszej śmierci». A skoro już przybliżyli się, dodali: «Jeżeli stąd wyjdziemy żywi, chcemy mieć zapewnienie, że nas będziecie przed nim bronili». Infanci przyrzekli i zaprzysięgli taką przysięgą, że tamci się zadowolili. Gdy więc to uczynili i zawarli taki układ, i zaprzysięgli, uderzyli razem na Maurów i rozpoczęli bitwę tak gwałtowną i zaciętą, że nigdy zacy rycerz nie podejrzywałby, że chrześcijan było tak mało. A taka była po stronie Maurów śmiertelność, że zanim jeden z chrześcijan poległ, tamtych padało po dwa tysiące. A kiedy wszyscy tak walczyli wkoło, Maurów napłynęło tyle, że pozabijali owych 300-tu rycerzy, co przybyli z pomocą. Infanci zasię tak byli umęczeni walką, że nie mogli już podnosić ramion, aby godzić mieczami w nieprzyjaciela. Viara i Galbe<sup>1</sup>, gdy ich ujrzeli tak pomęczonych i samotnych, poczuli żal, dobyli ich z cizby, kazali zanieść do swoich namiotów, zdjąć z nich zbroję, nakarmić i napoić chlebem i winem...

Z obawy przed swym suzerenem są zmuszeni odstąpić, bitwa zaczyna się na nowo; infanci mają zbroje pokruszone, konie pozabijane; Maurowie ścinają im głowy, jedną po drugiej. Ostatnim jest najmłodszy i najdzielniejszy, Gonçalo Gonçalez. Poczem Maurowie zabierają ucięte głowy i jadą z niemi do Korduby.

Cap. 743. Jak Gonçalo Gustioz został wypuszczony z więzienia i udał się do swej dziedziny Salas w Kastylji.

Skoro Viara i Galbe przybyli do Korduby, udali się natychmiast do Almançora i okazali mu głowy 7-miu infantów oraz ich ochmistrza Muña Salida. Almançor, kiedy je obaczył i gdy mu opowiedziano, jak się zdarzyło, wyraził żal, że ich tak pozabijano wszystkich, kazal obmyć doczysta w winie, rozłożyć biały obrus w pośrodku pałacu i ułożyć w porządku według wieku, a głowę Muña Salida na czele. Stamtąd udał się do więzienia, gdzie był zamknięty ojciec ich, Gonçalo Gustioz, a wszedłszy,

<sup>1</sup> Wasale Roya Blasqueza.

zapytał: «Gonçalo Gustioz, jak się miewasz?» Ten odpowiedział: «Tak dobrze, jak Wasza Miłość sobie życzy; cieszę się, widząc cię, bo spodziewam się od dziś dnia łaski, bo to jest obyczaj wszystkich wielkich i szlachetnych, że uwalniają jeńca od dnia, kiedy go obaczą». — Almançor na to: — «Gonçalo, uczynię, jak powiadasz, gdyż poto tu przyszedłem, ale powiem ci przedtem: — Wysłałem był wojsko moje do ziemi kastylskiej, i stoczyło bitwę z chrześcijanami na polu Almenar, i przyniesiono mi stamtąd 8 głów znakomitych rycerzy: 7 młodzieńczych i jedną starca; chcę, abys je wydobyl i obejrzał, czy je rozpoznasz, gdyż powiadają moi oficerowie, że pochodzą z Lary». Rzekł Gonçalo: «Jeśli ich obaczę, powiem, kto są i skąd, gdyż niema rycerza w całej Kastylji, któregobym nie znał». — Tedy Almançor kazał wypuścić jeńca i udał się z nim do pałacu, gdzie leżały głowy. A kiedy je Gonçalo Gustioz obaczył i poznał, ścisnął go tak wielki żal, że zaraz padł na ziemię jak nieżywy; a kiedy się ocknął, począł płakać nad nimi tak strasznie, że aż dziw. Poczem odezwał się do Almançora: «Te głowy ja znam; to są głowy moich synów, 7-miu infantów z Salas, i głowa Muña Salida, ich ochmistrza». Rzekłszy to, zaczął wywodzić żal tak ogromny, że nie zdołałby się wstrzymać od łez, toby na to patrzył. I brał głowy jedna po drugiej, i opisywał je, i opowiadał dzielne czyny rycerskie każdego... Ogarnięty był takim bólem, że porwał szpadę, jaką obaczył w komnacie, i w oczach Almançora zabił nią 7-miu strażników. Tedy inni obezwładnili go i nie pozwolili czynić dalszej szkody. On zaś prosił Almançora, aby kazał go zabić. Lecz ten, z wielkiego współczucia, nie pozwolił mu czynić krzywdy. Kiedy Gonçalo trwał w takim stanie, żaląc się i lzy lejąc, podszła doń Maurytanka, która, jak się rzekło, była u niego na posługach, i tak przemówiła: — «Skrzepcie się w sobie, don Gonçalo, i przestańcie płakać, boć i ja miałam 12-tu synów, wszystko dzielnych rycerzy, i los zechciał, że wszyscy oni polegli jednego dnia w bitwie, mimo to nie przestałam szukać pociechy. A skoro ja, niewiasta, przemogłam się i ani nie zabiłam się, ani pozwoliłam zabić, ileż bardziej ty, mężczyzna. Bo, płacząc nad synami, nie wrócisz ich do życia, więc naczóż samemu martwić się śmiertelnie?» Także Almançor rzekł do niego: «Gonçalo Gustioz, współczuję niezmiernie bólowi i nieszczęściu, jakie cię dotknęło; sądzę, że należy uwolnić cię z więzienia, w którym pozostajesz, ułatwić ci powrót, zezwolić, abys zabrał z sobą głowy synów i udał się do swej żony, doñi Sanchy». Na co Gonçalo Gustioz: «Almançorze, niech Bóg nagrodi ci łaskę, jaką mi czynisz, i słowa, jakimi do mnie przemawiasz. Bodajby nadszedł czas, abym mógł ci godnie się odwdzięczyć». — Zaś owa służebna Maurytanka zbliżyła się też i, odsunawszy się z nim, rzekła: «Don Gonçalo, za twym powodem znajduję się w odmiennym stanie; rozkazuj, co mam uczynić». Na co on: — «Jeżeli będzie chłopiec, dasz mu dwie piastunki, aby go starannie wychowały, a potem, skoro dojdzie takiego wieku, że będzie mógł pojmować dobro i zło, odkryjesz mu, że jest moim synem i przyslesz mi go do Kastylji do Salas». Co powiedziawszy, zdjął obrączkę złotą, jaką nosił na palcu, przepołowił ją i dał jej połowę, mówiąc: «Zatrzymasz ją u siebie, jako znak, a kiedy chłopiec dorośnie i będzie miał przybyć do mnie, wręczysz mu ją i przykazesz, aby nie zgubił, a kiedy ją obaczę, natychmiast poznam go po niej». Don Gonçalo, skoro to wszystko ułożył i przyjął od Almançora, co było potrzebne do podróży, pożegnał go i wszystkich panów maurytańskich i odjechał do Kastylji do swej dziedziny w Salas. W niedługi czas potem owa Maurytanka urodziła syna. Wykryła też Almançorowi to, co się stało i że dziecko było synem Gonçala Gustioza. Almançor uradował się wielce: wziął dziecko do siebie, kazał je chować dwom piastunkom według polecenia ojca i dał mu imię Mudarra Gonçalez<sup>1</sup>.

*(Primera Cronica General que mando componer Alfonso el Sabio, p. p. Ramon Menendez Pidal, cap. 733—743, Nueva Bibl. de Autores esp., t. I, Madrid 1906.)*

<sup>1</sup> Ów Mudarra, gdy dorośnie, pomści śmierć swych braci przyrodnich. Cała tragiczna opowieść, jedna śród najpiękniejszych legend historycznych starej Hiszpanji, zawiera tyle rysów pozakronikarskich, że Gaston Paris dopatrywał w niej śladów dawnej zaginionej epepei, starszej może od «Cyda».

JUAN MANUEL

(1282—1349)

HRARIA LUCANOR

Przykład XLII. Co się przydarzyło fałszywej świętoszce  
(Gdzie djabeł nie może...)

Innym razem hrabia Lucanor rozmawiał ze swym doradcą Petroniem, jak następuje:

— Petronjuszu, jak wielu innych pytaliśmy się, w jaki sposób człowiek zły może drugiemu wyrządzić największą szkodę. Jedni powiadali, że buntem, inni — że pieniactwem, inni — że rozbojem, inni jeszcze, że złym językiem i obmową. A że jesteś tak rozumny, pytam cię się, kto z nich jest najszkodliwszy.

— Hrabio — rzekł Petronio — abyś sam ocenił, posłuchaj, co się zdarzyło djabeł z pewną fałszywą świętoszką.

Hrabia zapytał, jak to było.

— W pewnej wsi mieszkał zacy młody wieśniak z młodą żoną; żyli zgodnie, i nigdy między nimi nie doszło do zwady. A że djabeł nie lubi dobrego, wielce się tem trapił i, mimo że rozmyślał długo, jak ich pokłócić, nie zdołał dopiąć celu.

Aż pewnego dnia, wracając ze wsi, gdzie żyło owych dwoje, smutny wielce, natknął świętoszkę. Skoro się poznajomili, zapytała go o powód smutku. Odpowiedział, że wraca ze wsi, gdzie żyją owi dwoje, i że oddawna daremnie stara się ich pokłócić, a jeżeli jego zwierzchnik o tem się dowie, on będzie zgubiony; to jest powód jego troski. — A ona na to, że dziwi się, iż taki mądry, jak on, nie może dać sobie rady; ale jeżeli uczyni zadość jej życzeniu, ona prędko to załatwi. Na to djabeł, że spełni jej życzenie, jeżeli w istocie będzie umiała pokłócić tych dwoje ludzi.

Skoro więc djabeł i dewotka przysli do porozumienia, ona chodziła po wsi i czytiła to tak długo, aż weszła w znajomość młodej niewiasty, powiadając, że była wychowanicą jej matki i przeto gotowa być na jej usługi, o ile zdoła.

Dobra, ufna kobieta przyjęła ją do domu i zwierzała się jej ze wszystkiego, to samo też czynił jej mąż.

Skoro zatem czas długi przebywała u nich w domu i stała się powiernicą obojga, wróciła raz do domu smutna i rzekła do kobiety, która jej ufała:

— Córko, wielce mię smuci to, com właśnie słyszała, to jest, że mąż twój podobna sobie więcej w innej, niż w tobie; proszę cię, abyś pochlebiała mu i pieściła go, aby w tobie znajdował większe upodobanie; inaczej może stąd wypaść dla ciebie więcej zlego niż skądinąd.

Kiedy dobra kobieta to usłyszała, jakkolwiek nie wierzyła, jednak strapiła się mocno. A kiedy przewrotna świętoszka obaczyła ją tak zafrasowaną, wyszła na drogę, którą mąż zwykł był powracać; a gdy się z nim zeszła, opowiedziała, że martwi ją, iż ma tak dobrą żonę, a kocha inną, a ona się już o tem dowiedziała i powiada, że sobie wybierze innego, którego będzie kochała bardziej niż jego, ale na Boga, niech się o tem nie dowie, gdyż ją mogłoby to kosztować życie.

A mąż, kiedy to usłyszał, to jakkolwiek nie wierzył, jednak dojeło mu to srodze. A gdy go fałszywa świętoszka zostawiła w tym stanie, poszła zaraz do żony i powiedziała, udając wielkie strapienie:

— Córko, nie wiem, skąd to nieszczęście, że twój mąż zupełnie przestał cię kochać, abyś zaś zrozumiała, że tak jest w istocie, przypatrz się, że wraca smutny i zaspiony, czego dawniej nie bywało.

Zostawiwszy ją w tym niepokoju, wróciła do męża i powiedziała mu to samo. A skoro przyszedł do domu i zastał żonę zasmuconą i nieskorą do dawnych pieśczoł, rozżalił się ogromnie.

A kiedy znowu oddalił się, zła świętoszka szepnęła jej, że gdyby zechciała, to znajdzie kogoś biegłego w sztuce, który sprawi, że jej mąż odzyska dawne swe dla niej uczucie. A ona, pragnąc żyć z mężem po dawnemu, zgodziła się, pełna wdzięczności.

Więc po kilku dniach znów powróciła i powiedziała, że znalazła kogoś mądrego, który ją pouczył, że gdyby dostał do rąk nieco włosów z jego brody pod szyją, to potrafiłby sztuką swą sprawić, że nawróciłby się do niej i żyłiby znowu dawnym życiem, a nawet lepszym. Niechaj tylko z tem zaczeka, aż mąż zaśnie. I dała jej nóż, aby nim obcięła mu włosy.

A dobra kobieta z wielkiej miłości ku mężowi, przykrząc sobie dziwny stosunek, jaki między nimi zapanował, i pragnąc bądź co bądź wrócić do dawnej zgody, przystała na to, co jej kazano.

Tedy niegodziwa świętoszka wróciła do męża i powiedziała, że wielce bolałaby ją jego śmierć; bo oto wie, że żona chce go zabić i uciec z kochankiem, a na dowód, że mówi prawdę, odkryje mu, iż umówili się, że skoro tylko zaśnie na jej łonie, ona zaraznie go przygotowanym nożem.

Skoro mąż to usłyszał, przeraził się wielce, a że już przedtem był źle uprzedzony, wskutek fałszywych podszeptów świętoszki, postanowił mieć się na baczności i wypróbować żonę, poczem skierował swe kroki do domu.

Żona, skoro tylko go obaczyła, przyjęła go czulej niż zazwyczaj, robiąc mu wymówki, że ciągle tylko pracuje bez wypoczynku, ale oto teraz niech legnie przy niej i złoży głowę na jej łonie. A skoro mąż to usłyszał, upewnił się, że było prawdą, co mówiła świętoszka, chcąc zaś wypróbować żonę, położył się, przytulił do niej i udał, że zasypia. A skoro żona mniemała, że zasnął na dobre, wyjęła nóż, aby mu wyciąć włosy z brody. Kiedy mąż obaczył nóż w jej ręku, blisko swego gardła, pewny, że było prawdą oskarżenie niegodziwej świętoszki, wyrwał nóż i zabił nim żonę.

Na krzyk, jaki powstał, wbiegli ojciec i bracia zabitej. Skoro ją obaczyli martwą i gdy przypomnieli, że ani od męża, ani od nikogo innego nie słyszeli o niej nic złego, wpadli na męża i zabili go.

A na wrzawę, jaka się wszczęła, przybiegli krewni męża i pozabijali jego zabójców. Kłótnia skończyła się tem, że tego dnia pozabijano się większość mieszkańców wioski.

A to wszystko zdarzyło się skutkiem złego języka fałszywej świętoszki. Ale że Bóg nie chce, aby złoczyńca uchodził bezkarnie, ani też, aby zbrodnia nie została wykryta, wnet dowiedziano się, że wszystkiemu była winna owa przewrotna świętoszka, więc osądzono ją i skazano na śmierć najokrutniejszą.

—A wy, hrabio Lucanorze, skoro pragniecie wiedzieć, kto jest czelkiem najgorszym w świecie i sprawcą najgorszego złego, wiedźcie, że jest nim taki, który udaje dobrego chrześcijanina, dobrego człowieka i prawego, a zamiary jego są niegodziwe, i który sieje fałsze i kłamstwa na złe swoich bliźnich.

*(El Conde Lucanor, Madrid, ed. Saturnino Calleja 1920.)*

JUAN RUIZ

(1283?—1350)

KSIEGA UCZCIWEJ MIŁOŚCI I. 25 (W STROFIE t. z. CUADERNA VIA)

W onych to dawnych czasach Rzymianie praw nie znali:  
Ślą po ich zbiór do Greków, co je dawno spisali.  
Grecy przyjęli posłów, za zaszczyt dziękowali,  
W tej materji, tak mówią, jesteśmy jeszcze mali.

Lecz skoro ich pomocy żądają tak koniecznie,  
Niech wprzód swoich mędrców zbadają dostatecznie,  
Czy przypadkiem nie myślą czegoś z kodeksem sprzecznie.  
Tak się uchylić pragną i dowcipnie, i grzecznie.

Wielkie sobie honory świadczyli na wysługi:  
Naznaczyli terminy, wymienili obliży,  
Lecz nie znali języków: — Nanic wszelkie fatygi!  
Wkońcu postanowiono dysputować na miży.

Ogłosili dzień zjazdu po okolicznej włości:  
Rzymianie szli niemrawo; byli pełni żałości,  
Nie wiedzieli, co czynić — ludzie ciemni i prości,  
Ani się im umywać do greckiej uczoności.

Pytali się o radę jednego mieszczanina:  
Radził z gawiedzi miejskiej wybrać takiego syna,  
Jak mu Pan Bóg dał palce, niech tak łapą wycina.  
Doskonały był pomysł; zgodziła się drużyna.

Wyszukali jednego między najteższe chamy;  
Powiadają: «Słuchaj no, z Grekami wojnę mamy,  
Będiesz bić się na migi; ile zechcesz, to damy;  
Dobrze użyj twej sztuki, a tuszym, że wygramy».

Ubrali go wspaniale w złotogłów i bisiory,  
Tak, jak się ubierają filozofji doktory,  
Więc zaryczał z katedry, a głos miał wcale spory:  
Niechże stawia się Grecy, zaczniemy rozhowory.

Wystąpił jeden doktor ponad miarę uczony,  
Pośród wielu wybrany, od wszystkich uwielbiony.  
U stóp jego katedry stał tłum z obojej strony:  
I zaczęli dysputę na sposób umówiony.

Dźwignął się Grek poważnie, jak człek, co słowa szuka,  
I podniósł jeden palec, ten, co jest wpodłe kciuka,  
Potem siadł; wstaje rywal, parska gniewnie i fuka,  
Jakby wzywał do bitki: patrzcież, zawzięta sztuka.

Zwraca k'niemu trzy palce, a lice miał złowrogie:  
Kciuk oraz dwa sąsiednie wprost w oczy, jak ostroge.  
Tem trojgiem srogich szponów wielką w nim wzbudził trwogę,  
Zaczem usiadł, jak głupi, i spojrzzał na swą toge.

Powstał Greczyn ze stolca, dłoń ukazał mu gładką,  
I zaraz siadł napowrót, jak człowiek pełen statku;  
Porwał się tamten wściekły i złośliwy w dodatku,  
Pięść złożył, jakby mówił: «Patrzaj, przegrałeś, bratku!»

Tedy do swoich Greków odezwał się ów Greczyn:  
«Rzymianie wzięli pole, wygrali, nie zaprzeczym».  
Uczili go krajanie swoim rzymskim narzeczem;  
Oto wygrał batalję palcami, a nie mieczem.

Pytali się Greczyna, co mówił z rzymskim ciurą  
I co on odpowiadał taką wściekłą posturą.  
«Jam rzekł, że Bóg jest jeden, a on był przecie górą,  
Bo odparł: w trzech osobach i wskazał pod figurą.

Rzekłem: Wszystko poddane jest Jego woli świętej.  
Odrzekł na to: moc Jego włada nad firmamenty.  
Widzę, że w tym dogmacie Trójcy jest taki cięty  
Oraz, że na praw wykład zna wszystkie argumenty».

Pytali: «Jakiż dowód miał on przeciwko tobie?»  
— «Powiadał jednym palcem, że oko mi wydziobie;  
Wściekłość mię ogarnęła przeciw temu chudobie;  
Dlatego go odparłem w tak gwałtownym sposobie.

A do swoich dowodów ten dołączył komentarz:  
 Że mi wykole ślepie, a z gęby zrobi cmentarz;  
 I dał mi do poznania: Już ty mię popamiętasz,  
 Żaden ci twej mądrości nie pomoże wykretas.

Rzekłem: Ja ci tę gębę rozbiję tak niepięknie,  
 Że od dnia dzisiejszego na wieki ci obrzęknie.  
 Więc skoro to zrozumiał, że się go nikt nie zleknie,  
 Zmiękł w swojej wielkiej pysze i ciągle jeszcze mięknie».

*(Juan Ruiz, Archipreste de Hita, Libro de buen amor,  
 Madrid, Lectura, Classicos castellanos 1913, w. 47—64.)*

## JORGE (JERZY) MANRIQUE

(XV w.)

### STROFY NA ŚMIERĆ OJCA

Przypomnij, duszo uśpiona,  
 Niech się twoja myśl poczuje,  
     Rozważając,  
 Jak to życie zwolna kona,  
 Śmierć niechybnie następuje,  
     Tak się czając.  
 Rozkosz potrwa i ucieka,  
 Z rozkoszy się w każdym czasie  
     Boleść pleni;  
 Nieudolny sąd człowieka  
 Dzień miniony w złudnej krasie  
     Lepszym mieni.

Kiedy widzimy, jak się trwanie  
 Ludzkiego bytu kropelką  
     Rozpyliło,  
 To z namysłem, patrząc na nie,  
 Uznać musisz przeszołość wszelką  
     Za niebyłą.

Niech się przeto myśl nie ludzi,  
 Że mu szczęście nie uciecze,  
     Bo nadzieje  
 Uciechy wnet czas ostudzi,  
 A także to są człowiecze  
     Zwykłe dzieje.

Życie ludzkie — to jest rzeka,  
 Co się wlewa w wielkie morze:  
     Jest niem śmierć.  
 Wszystek świat w swój nurt zawleka,  
 W niej królowie i wielmoże  
     Tracą szerć.

Tam się toczy rzeka główna,  
 Do niej wpada mniejsza druga,  
     Strug obrzedni;  
 Dołem wszystko się wyrówna:  
 Ten od śpichrza, ten od pługa,  
     Możni, biedni.

*(Jorge Manrique, Cancionero, ed. Cortina, La Lectura,  
 Madrid 1929 r.)*

## FERNANDO DE ROJAS

(XV w.)

### CELESTYNA (CALISTO I MELIBEA)

#### Akt IX

Celestyna opowiada dzieje swej wielkości i upadku:

Widno, że nie znalazicie mię w czasach mej świetności, lat temu będzie 20. Ach, kto mię widział wtedy, a ogląda dzisiaj, dziw, że mu serce nie pęka z bólu. Oglądałam, kochanie, przy tym samym stole, gdzie obecnie siadają twoje kuzynki, dziewięć dziewczątek młodziutkich, najstarsza nie więcej ośmnastu lat, a żadna mniej czternastu. Świat jest jak młyn, toczy swoje wiadra, jedne pełne, drugie próżne; to reguła losu, że żadna rzecz nie trwa długo; jej prawo, to ciągła zmiana. Nie mogę wstrzymać się od łez, pomnąc honory, jakie mi wówczas świadczono, a choć za dawne



grzechy dzisiejsza bieda to jeszcze mało, powoli kurczyłam się aż do dzisiejszej chudizny. A w miarę, jak schodziłam nadół, kurczyły się moje dochody.

Lukrecja:

Trud to był, matko, z tyloma dziewczętami; ciężko paść takie stado.

Celestyna:

Trud, moje kochanie? Raczej odetchnienie i lubość. Wszystkie mię słuchały, wszystkie szanowały, wszystkie uniżały się przede mną. Wszystkie też kochałam, na wszystko się godziły, każdej oddawałam należność. Nie przebierały w tych, co ich wskazałam: kula, krzywy, mańkut...

Następuje brutalnie realistyczny obraz zepsucia kleru; autor nie oszczędza najwyższych. Inkwizycja nie skreśliła tego ustępu z powodu, że de Rojas był świeżonawróconym.

## Akt X

Celestyna:

Znoś, pani, cierpliwie, to jest punkt pierwszy i najważniejszy. Niech się w tobie nic nie załamie, inaczej wszystka nasza praca daremna. Rana twoja ciężka, wymaga troskliwego leczenia. Twarde twardecem najskuteczniej się gładzi. A powiadają mędrzy, że gdy lekarz jest liściowy, to choroba schodzi głębiej. Przykrość przykrością, klin klinem się wybija, cierpienie cierpieniem. W sercu swem nie żyw nienawiści ani nie mów źle o młodzieńcu tak cnotliwym, jak Calisto, który, gdyby był lepiej znany...

Melibe a:

Na Boga, zabijasz mnie! Czy nie wzbrowiłam ci wychwalać przede mną tego kawalera ani wogóle mówić o nim źle czy dobrze?

Celestyna:

Pani, to jest inny, drugi punkt, a jeżeli nie godzisz się znosić, to próżno się trudzę; jeżeli zaś godzisz się, jakieś przyrzekła, to i ty sama będziesz uzdrowiona i Calisto nagrodzony. Uprzedziłam cię o swoich lekach, a na samo wspomnienie czujesz jakby ukłucie szpilki.

Melibe a:

Tyle już razy powtarzasz imię tego młodzieńca, że nie wystarcza ani moje przyrzeczenie, ani zaufanie, abym miała cię znosić. Za co ma być nagrodzony? Co dla mnie uczynił? Co jestem mu dłużna? Za co zobowiązana? W czym może ulżyć mej dolegliwości? Wolalabym, abyś mię poszarpała na sztuki i wydarła mi serce, niż abyś tu przychodziła z taką mową.

Celestyna:

Nie szarpiąc odzienia, wpadła ci do serca miłość; ja też nie potrzebuję szarpać, aby cię wyleczyć.

Melibe a:

Jak to — powiadasz — nazywa się niemoc, co tak zawładnęła mą istotą?

Celestyna:

Miłość, słodka miłość.

Melibe a:

Widzę, czem być musi, skoro sam dźwięk tego wyrazu mię uwesela.

Celestyna:

Ogień utajony, rana rozkoszna, smaczna trucizna, słodka gorycz, miły ból, luba męczarnia, cukrowy a mocny cios, pieścizna śmierć.

Melibe a:

Ach, biedna ja! Jeżeli to wszystko prawda, trudne będzie uzdrowienie!

Celestyna:

Niech młodość twa nie rozpacza o lekarstwo. Znam kwiat, co ci przyniesie ulgę.

Melibeia:

Jak się zowie?

Celestyna:

Boję się rzec.

Melibeia:

Mów bez obawy.

Celestyna:

Calisto (*Melibeia mdleje*).

Celestyna:

O, pani! Skąd to omdlenie? Podnieś głowę. O, nieszczęsna ja starucha. Tak to się kończą moje zabiegi? Jeżeli umrze, zabiją mię, a choćby nie, będę osądzona, ja i moje leki! Pani moja, Melibeo, mój aniele. Co ci to? Gdzie twój wdzięczny głos, gdzie barwy twego lica? Lukrecjo, Lukrecjo! Pójdź prędko, twoja pani zemdląła mi w rękach. Śpiesz, przynieś kubek wody!

Melibeia:

Nie potrzeba. Zbiorę siły. Nie niepokójcie domu. — — — — —

O, mój Calisto, o, mój panie, moja ty słodka uciecho! Jeśli twe serce odczuwa, jak moje, dziw, że w oddaleniu możesz żyć. O, moja mateczko, zrób tak, abym go zaraz mogła oglądać, jeżeli nie chcesz, bym skołała.

Celestyna:

Oglądać i mówić z nim?

Melibeia:

Mówić? Niepodobna.

Celestyna:

Niema niemożebności dla człowieka, co ma wolę.

Melibeia:

Powiedz, jak.

Celestyna:

Myślałam o tem. Powiem: w twoim domu.

Melibeia:

Kiedy?

Celestyna:

Tej nocy...

Utwór kończy się nieoczekiwanie, jak istna tragedia: Celestyna zostaje zabita w nocnej bójce ulicznej, Calisto po schadzce z ukochaną traci życie, spadając z drabiny, Melibeia, zrozpaczona, rzuca się z okna i umiera.

(*Fernando de Rojas, La Celeslina, 2 vol., Madrid, La Lectura 1913.*)

## WIEK ZŁOTY

### ROMANCA O «KRÓLU - DZIECKU», KTÓRY UTRACIŁ GRANADĘ (XVI w.)

Był rok tysiąc czterechsetny  
Dziewięćdziesiąty i wtóry,  
Kiedy «król-dziecko» z Granady  
Stracił resztę swej fortuny.

W poniedziałkowe południe  
Opuszczał stołeczne mury,  
Otoczony swem rycerstwem,  
Kwiatem maurytańskiej drużby.

Matka w królewskim orszaku  
 Wiodła swe dworki i sługi.  
 Przez środek rzeki Xenilu,  
 Co wezbrała onej pory,  
 Musiał przebrnąć; jako żywo,  
 Nie zaznał równej przygody:  
 W głębokiej wodzie zanurzyć  
 Musiał kosztowne ostrogi,  
 Ażeby podwoić ból,  
 W sercu jego zwiemożniony,  
 Gdy jedyną dziś ostoję  
 Miał w tej Alpuharze stromej.  
 Ze wzgórza widok Granady  
 Przed oczyma się odsłoni.  
 Więc poglądał na Granadę  
 I tak swej żałował straty:  
 «O, Granado, ty przesławna,  
 Gwiazdo szczęścia, dobrej rady.  
 Oto me lube łązienki  
 I mój zwierzyniec bogaty,  
 Me pałace, moje pola  
 I moszej zdobione ściany,  
 Baseny, ogrody, strugi,  
 Gdzien odprawiał swe zabawy;  
 Kto mi, kto mi was odebrał,  
 Nie ujrzę już waszej krasyl  
 Dzisiaj oglądam cię jeszcze

Zdaleka, o miasto moje,  
 Wnet już ciebie nie zobaczę,  
 Bo na zawsze stąd odchodzę.  
 Kto ci zaufał, fortuna,  
 Zaprawdę, na zły jest drodze;  
 Wczoraj byłem wielkim królem,  
 Dziś niema, bym rzekł: To moje». —  
 Tak to w sercu rozboleła  
 Oplakiwał swą niedolę,  
 Takimi słowy się żaląc,  
 Padł zemdlony na opokę.  
 Matka jechała na czele,  
 Otoczona swoim dworem;  
 Widząc, że się tam słoczyli,  
 Zatrzymała się w pochodzie.  
 I pytała, nie wiedzący,  
 Jakie to zdarzenie nowe?  
 Odpowiedział stary Maur.  
 Przemawiał zacnie i dwornie:  
 — «Syn twój patrzy na Granadę,  
 Cierpienia przemóc nie zdoła». —  
 A na to odrzekła matka,  
 W takie słowa się ozwała:  
 «Słuszna jest, że dzisiaj mdleje  
 I że szlocha, jak niewiasta,  
 Kto, jak rycerz i mężczyzna,  
 Nie obronił swego państwa».

Edward Porębowicz. Zbiór nieznanych hiszpańskich druków Bibl. Jag. w Krakowie. Rozpr. Wydz. Filol. Akademii Um., t. XV. Osobne odbicie: Kraków 1891. Biblioteka Jag. może się pochlubić, że posiada w formie ulotnego druku (pliego suelto) niewątpliwie najstarszy tekst romanca o Boabdilu (Królu-dziecku), i to drukowany w samej Granadzie, niedługo po zdarzeniu historycznym.

### ROMANCA O OSTATNIEJ BITWIE CYDA (XVI w.)

Martwy leży dobry Cyd,  
 Cyd z Vivaru był nazwany;  
 Gil Diaz, przywiązany sługa,  
 Wypełniał jego rozkazy.  
 Szttywne umarłego ciało  
 Cnemi zaprawił balsamy.  
 Twarz została urodziwa  
 Barwy białej i rumianej.  
 Oczy oboje rozwarły,  
 Z głowy kędziory spływały;  
 Zdało się, że nie był martwy,  
 Raczej żywy rycerz wdały.  
 — Ażeby się trzymał prosto,  
 Gil Diaz użył tego środka:  
 Posadził trupa na koniu,  
 Deską barki ścisnął oba,  
 Drugą położył na piersi,

Sięgała mu aż po biodra.  
 Jedna sięgła do policzka,  
 Druga dotykała czoła.  
 Nie chwiał się na żadną stronę,  
 Górą trzymała się głowa.  
 — Dni dwanaście upłynęło,  
 Odkąd Cyd zakończył życie,  
 Wszystko jego dzielne wojsko  
 Stało, pogromić w bitwie  
 Bukara, sułtana Maurów,  
 A z nim pogan wojsko brzydkie.  
 W chwili, gdy wybiła północ,  
 Tak jak było, ciało sztywne,  
 Posadzone na Babiece<sup>1</sup>,  
 Sznurami związane silnie,  
 Dostojnie wyprostowane  
 Prężyło się, niby żywe.

<sup>1</sup> Babieca, legendarny rumak Cyda, ogier; klacze były używane jako zwierzęta pociągowe.

Nagolenie, nakolanka  
 Czarno-biała barwa kryje;  
 Wydawały się jak owe,  
 Które wkładał, będąc w sile.  
 Ubrali go w strój bojowy:  
 Pięta dołem wysterczała;  
 Tarcz powieszono na szyi,  
 Po niej szła herbowa fala.  
 Pergaminowa przyłbica,  
 Na podziw wymalowana,  
 Wydawała się ze stali,  
 Misternie pleciona cała.  
 W prawicy błyszczący żelazo:  
 Tizona, hartowna szpada.  
 Po jednej stronie szedł biskup  
 Hieronim, biskupów chwała,  
 Z drugiej strony szedł Gil Diaz,  
 Uzdą kierował rumaka.  
 — Tuż zaraz Pedro Bermudez  
 Szandar Cydowy niósł górą;  
 W poczcie czterechset hidalgów,  
 Którzy mu za gwardję służą.  
 Tyłuż w tylnej straży kroczy:  
 Tak stąpił z rycerską drużbą!  
 — Za nimi doña Ximena  
 Z wszystkimi swemi dworzany,  
 Z sześciuset zbrojnych wasali  
 Poczem, idącym w jej straży.  
 Szli, milcząc, i tak powoli,  
 Jakby w niedużej kompanji.  
 Wyszli za mury Walencji,  
 Wnet mia zabłysnąć świt ranny.  
 — Alvar Fañez skoczył pierwszy,  
 Zuchowaty i zaciekły,  
 Na potęgę maurytańską  
 Wszystkiej Bukarowej czerni.  
 Odrazu spotkał przed sobą  
 Maurytankę dłoni dzielnej,  
 Mistrzyni w strzelaniu łucznem  
 Beltami niedościgłemi.  
 Estrella miała na imię,  
 Ta córa tureckiej ziemi.

— Ona zatem była pierwsza,  
 Co wyskoczyła na koniu,  
 A za nią sto towarzyszek  
 Biegłych i skorych do boju.  
 Chrześcijanie ostro naparli,  
 Wszystkie legły bez pardonu.  
 — Tak poglądał na nie Bukar,  
 Sułtan pogańskiej nawały,  
 Zdumiewali się z nim wszyscy  
 Wielkiej armji chrześcijańskiej,  
 Bowiem siedmiotysięcznemi  
 Te hufce im się wydały.  
 Wszyscy jednakowi strojem,  
 Wszystko jednej barwy białej.  
 Jeden zwłaszcza ich przerażał:  
 Teższy wzrostem, okazały.  
 — Jechał na śnieżnym rumaku,  
 Na piersi miał krzyż w czerwieni,  
 Biały sztandar trzymał w ręce,  
 Ze szpady bił snop płomieni<sup>1</sup>.  
 Pierzchają, nie czekający,  
 Wódz Bukar z królami swymi;  
 Uciekają aż ku morzu,  
 Gdzie na okrętach stanęli.  
 A wojsko Cyda ich goni,  
 Żaden z nich nie ujdzie śmierci.  
 Tam potopili się w morzu,  
 Zginęło dziesięć tysięcy;  
 Nie mogli wstąpić na nawy,  
 Napierani i stłoczeni.  
 Z królów zginęło dwudziestu,  
 Bukar uciec się nie leni.  
 — Chrześcijanie biorą namioty,  
 A w nich srebra, złota tyle,  
 Że najbiedniejszy w bogacza  
 Zmienił się w jedną godzinę.  
 — Stamtąd poszli do Kastylji  
 Grześć pana Cydowe ciało,  
 Chciał, by u świętego Piotra  
 Z Kardenji w grobie zostało:  
 Tam więc spoczywają zwłoki,  
 Co były Hiszpanji chwałą.

(*Romancero general*, ed. Duran (nr. 901), *Bibl. de autores esp. t. I*,  
 Madrid 1859.)

## LAZARILLO DE TORMES

Wasza Miłość masz wiedzieć przedewszystkiem, że mianuję się Lazaro de Tormes, syn Tomasza Gonçaleza i Antonji Perez, rodem z Tejares, wioski salmatyńskiej. Urodziłem się w rzece Tormes, stąd moje przezwisko, a stało się to w ten sposób: Mój rodzic, niech mu Bóg przebaczy, zarządzał szlifiernią warsztatu, położonego pośrodku rzeki, gdzie był szlifierzem od 15 lat. A moja matka, chodząca wówczas ze mną,

<sup>1</sup> W legendzie św. Piotr i św. Jerzy.

pewnego wieczora znajdowała się w warsztacie, poczuła bóle i tam mnie wydała na świat. Tak, że istotnie mogłem rzec, iż urodziłem się w rzece.

Potem, kiedy miałem już ośm lat, mój ojciec stał się przyczyną nieszczęsnego krwawienia żeber u tych, co tam przybywali mleć, za co został uwięziony; przyznał się do czynu i cierpiał prześladowanie od sprawiedliwości. Ufam Bogu, że żyje w chwale niebieskiej wśród tych, co ich ewangelja zowie błogosławionymi.

(Po śmierci ojca i przygodach matki Lazaro został oddany na posługi ślepeca, z prośbą o troskliwą i czułą opiekę.) Rozpocząłem przeto nową służbę, kierując krokami mego starego opiekuna. W czasie pobytu w Salamance pan mój spostrzegł się, że dochód nie odpowiadał jego obliczeniom, postanowił zatem odejść stamtąd. Na odchodnym odwiedziłem matkę; popłakaliśmy się, dała mi swoje błogosławieństwo, przyrzeczeniem rzekła: «Synu, wiem, że cię już nie obaczę. Staraj się być dobrym i niech cię Bóg prowadzi. Wychowałam cię i dałam ci dobrego pana, bodaj dla twojej korzyści». Tak odszedłem do niego, który na mnie czekał.

Wyszliśmy z Salamanki i doszli do mostu, tam u wstępu stoi ligura kamienna w postaci byka; stary kazał mi podejść i rzekł: «Lazaro, przybliź się do ucha zwierzęcia, a usłyszysz wewnątrz wielki huk». Ja głuptas podszedłem, czekając, że tak będzie. A kiedy poczuł, że moja głowa znalazła się narówni z kamieniem, wyciągnął nagle ramię i trącił ją tak mocno w djabelskiego byka, że przez trzy dni dokuczały mi uderzenia rogów, przyczem rzekł: «Głupcze, dowiedz się, że chłopiec ślepeca o jeden punkt musi być mędrszy od diabła». I śmiał się mocno z tej psoty.

W czasie obiadu stawał przy sobie miech wina, ja prędko go brałem w ręce, dawałem kilka dyskretnych całusów i odstawiałem na miejsce. Ale trwało to niedługo. Bo po tykach oceniał brak i, żeby ustrzec wina, nigdy odtąd nie rozstawał się z miechem, ale dzierżył go troskliwie przy sobie. Lecz nie posiadał magnesu, aby go do siebie ściągać, a przeciwnie miałem go ja: słomkę żytnią, szeroką, odpowiednio przygotowałem; wsuwając ją w dziób miecha, wysysałem wino i życzyłem mu dobrej nocy. Ale, że zdrajca był bardzo przebiegły, podejrzewam, że mię podsłuchał, więc stawał go między kolanami, chwytając ręką i tak pił bez obawy.

Ja, który przepadałem za winem, konałem z oskomy, a widząc, że ów sposób ze słomką mi nie pomagał, umyśliłem w dniu miecha zrobić źródelko i wąską rynienkę i zatykać ją maleńkim szpuntem woskowym, poczem w czasie obiadu, udając, że mi zimno, wsuwałem się między nogi starego ślepeca i grzałem odrobiną ciepła; szczypta wosku tajała, źródelko zaczęło ciec mi do ust tak, że nawet kropla nie ginęła; kiedy biedaczek chciał się napić, już nic nie znajdował! Zdumiewał się, kłął, posyłał do diabła miech i wino, nie wiedząc, co wszystko ma znaczyć. — Nie powiesz, wuju, że to ja wypijam, bo nie wypuszczasz miecha z ręki.

(*La Vida de Lazarillo de Tormes, Clasicos castellanos, Lectura 1914.*)

## MIGUEL DE CERVANTES SAAVEDRA

(1547—1616)

### TEATR CUDÓW (INTERMEDJUM)

*Wchodzą Chanfallo i dama Chirinos.*

Chanfallo:

Niech ci nie wyjdą z pamięci, moja Chirinos, upomnienia, zwłaszcza względem naszej nowej komedji.

Chirinos:

Znakomity Chanfallo, co się mnie tyczy, posiadam dość pamięci i dość rozumu, aby brać cię za wzór, do czego dochodzi jeszcze chęć zadowolenia cię wedle możliwości. Ale powiedz, do czego ma służyć ów Rabelin, któregośmy z sobą zabrali. Czy my dwoje nie wystarczamy, żeby się uporać z tym nowym pomysłem?

Chanfallo:

Potrzebujemy go, jak chleba przy obiedzie, żeby pukał w czasie, kiedy się będą opóźniać z wyjściem figury naszego teatru cudów.

Chirinos:

Cud będzie, jeśli nas nie ukamienują, choćby za samego Rabelina, bo tak desperackiej kreatury nie oglądałam jeszcze w życiu.

*Wchodzi Rabelin.*

Rabelin:

Czy będzie robota w tej wsi, panie autorze? Bo umieram z chęci pokazania, że nie wzięłam się na darmo.

Chirinos:

Cztery ciała, jak twoje, nie złożyłyby się na jedną trzecią, cóż dopiero na całą rolę. Jeśli nie jesteś lepszym muzykiem niż człowieczkiem, przepadliśmy.

Rabelin:

Sam ocenisz. Bo naprawdę zapraszali mnie, żebym wszedł do jednej kompanji jako współnik, choć jestem tak niepokazny.

Chanfallo:

Jeśli dadzą ci część w miarę wzrostu, staniesz się prawie niewidzialny.

Chirinos:

Omal, a będziemy już we wsi, a ci, których stąd widzimy, muszą być: gubernator i alkadzi. Śpieszmy naprzeciw, a wyostrzcie języki na oselce pochlebstwa, byle nie za ostro. *Wchodzi: gubernator Benito Reppollo, alkad Juan Kastrat, ekonom i Pedro Capacho, pisarz.*

Chanfallo:

Całuję ręce Waszych Miłości. Który z was jest gubernatorem wsi?

Gubernator:

Ja jestem gubernator, czego wam potrzeba, dobry człowiecze?

Chanfallo:

Posiadając dwie uncje roztropności, nie mogłem nie dowiedzieć, że ta perypatetyczna i przestrzenna osobistość nie może być kim innym, jak najdostojniejszym gubernatorem tej wielce szanownej wsi, z której będzie szczknęła kiedyś W. M., jako wyższy dostojnik.

Chirinos:

Na korzyść pani i paniczów, jeżeli pan gubernator ich posiada.

Capacho:

Pan gubernator jest beżenny.

Chirinos:

To później, kiedy będzie żonaty, nie na tem nie straci.

Gubernator:

Zatem czego pragniesz, zacny człecze?

Chirinos:

Czesne dni niech żyje W. M. za to, że nas tak uzacnia. Bo wreszcie dąb wydaje żołądzie, grusza gruszki, jagody wino, a zacny człowiek zacność, bo nie może być inaczej.

Benito:

Sentencja cyceronianka, nie nie dodać, nie nie ująć.

Capacho (Króbka):

Cycerońska chce powiedzieć pan alkad.

Benito Repollo (Kapusta):

Zawsze chcę wyrazić się najlepiej, tylko czasem nie styknę. Ale wreszcie, dobrzy ludzie, czego chcecie?

Chanfallo:

Ja, moi panowie, jestem Montiel, właściciel «Teatru Cudów», wysłali mnie na dwór bracia Konfraternji Szpitalnej, że nie mają tam dziś autora komicznego i szpitale marnieją. Z mem przybyciem wszystko się poprawi.

Gubernator:

A co to znaczy «Teatr Cudów»?

Chanfallo:

Taką ma nazwę dla cudownych nauk i rzeczy, jakie się w nim ogląda. Zbudował go i ułożył uczony Tontonello pod takimi parabolami, rombami, gwiazdami i planetami, z pomocą takich punktów charakteru i spostrzeżeń, że nikt nie obaczy, co się na nim dzieje, ktoby był odmiennej rasy i wyznania albo ktoby nie był prawowitego rodu; a ktoby był dotknięty jedną z tych dwu tak częstych ułomności, niech się pożegna z oglądaniem i słyszeniem tego, co się w nim dzieje.

Benito:

Przekonywam się, że teraz codziennie na świecie powstają rzeczy nowe. Jakżeto? Nazywał się Tontonello (głuptasik) ów mędrzec, co zbudował teatr.

Chirinos:

Tak, zwał się Tontonello; urodził się w mieście Tontoneli; chodzi o nim sława, że miał brodę aż do pasa.

Benito:

Przeważnie ludzie z długimi brodami — to mądrale.

Gubernator:

Panie włodarzu, Janie Castrado, myślę, pod warunkiem twojej zgody, że jako dzisiaj wychodzi zamąż panna Teresa Castrada, twoja córeczka, a moja chrześnica; na uweselenie uroczystości życzę sobie, aby pan Montiel wystawił swój teatr w twoim domu...

*Zaczyna się przedstawienie; publiczność siada na tawach.*

Chanfallo:

Bacność, moi państwo! zaczynam: «O ty, kimkolwiek jesteś, który zbudowałeś ten teatr tak przedziwnym kunsztem, że zdobył imię cudownego, na tę moc, w tobie zawartą, zaklinam cię, zmuszam i każę, abys natychmiast niezwłocznie ukazał państwu niektóre z twoich cudownych cudów, aby się ucieszyli i ubawili bez nijakiego zgorzienia. Ha, widzę, że już spełniasz me życzenie, bo oto z tej strony jawi się postać najdzielniejszego Samsona, obejmuje kolumny świątyni, aby ją zwalić i w ten sposób pomścić się na wrogach. Wstrzymaj się, dzielny rycerzu, wstrzymaj na Boga Ojca, nie czyn tej krzywdy, abys nie powalił i nie rozgniół tylu czcigodnych widzów, jacy tu się zgromadzili».

Benito:

Pohamuj się! Pięknieby było, gdybyśmy zamiast się weselić, mieli być zgnieceni na ciasto. Hola, panie Samson! Przekleństwo! Proszę cię pięknie.

Capacho:

Czy widzisz go, Juan?

Juan:

Jakże nie mam widzieć? Czy to mam oczy na ciemieniu? Przedziwna rzecz widzę tego Samsona, jak wielkiego Turka, bo też uważam się za prawowitego syn i starego chrześcijanina.

Chirinos:

Baccież teraz, bo wychodzi byk, ten sam, co wziął na rogi drążnika z Salamanki. Usuń się, czelecze, usuń się; niech cię Bóg zbawi.

Ant. II.

2

Chanfallo:

Uchylcie się wszyscy, uchylcie się! Ucho ho, ucho ho, ucho ho (wszyscy uchylają się wśród wrzawy).

Benito:

Djabła ma w żebrach byczek! Jest ciemny i plamisty; jeśli nie uskoczę, weźmie mię lotem.

Juan:

Panie autor, uważaj, żeby nas nie straszyły figury, nie mówię o sobie, ale o tych dziewczętach; nie została w nich kropla krwi wobec dzikości byka.

Castrada:

A co, ojcze, nie wrócę do domu przed trzema dniami; już się widziałam u niego na rogach ostrych jak szydła.

Juan:

Gdybyś nie była moją córką, tobyś nie widziała.

Gubernator:

Dość tego: wszyscy widzą, czego ja jeden nie widzę. Będę jednak utrzymywał, że widzę dla samego czarnego honoru.

Chirinos:

To stadko myszy, co tam się garnie, pochodzi w prostej linii od owych, co się chowały w arce Noego, te białe, trędowate, lapisowe, bławe, a wreszcie wszystkie z rodzaju mysiego.

Castrada:

Jezus! Ratunku! Trzymajcie mię, bo się rzucę z okna. Myszy? Ja nieszczęsna. Luba, ściśnij spódnice i bacz, żeby cię nie pokąsały. I to ma być stadko? Na wiek mojej babki, więcej ich jest niż tysiąc.

Repolla:

To ja nieszczęsna, bo drapią się na mnie bez pomocy. Jedna czarniejsza czepia się mi kolana. Ratunku z nieba, bo na ziemi go nie znajduję...

(Następuje deszcz, będący źródłem Jordanu. 200 lwów, niedźwiedzie, słowiki, skowronki; Herodjada tańcząca. Kończy się przybyciem kompanji wojska na kwatery i rozpędzeniem aktorów i widzów.)

(*Coleccion de Entremeses... Nueva Bibl. de Autores esp., Madrid, t. I, vol. 1, § VI.*)

ŚW. TERESA

(1515—1582)

STACJE

Stacja VII, rozdz. 2

Przejdźmy obecnie do boskich, duchowych zaślubin, choć trzeba zastrzec, że ta wielka łaska nie dopełnia się doskonale, póki życia; bo gdybyśmy się oddzielili od Boga, przepadłoby to wielkie dobro. Pierwszy raz, kiedy Bóg raczy je okazać, Majestat Jego zjawia się w wizji obrazowej uświęconego człowieczeństwa, a to, ażeby dusza pojęła je należycie i nie pozostała nieświadoma, że otrzymuje tak szczytny dar. Innym ukaże się w innym kształcie; tej, o której mowa, ukazał się Pan przy przyjmowaniu Komunii św. w postaci wielkiego blasku, piękna i dostojeństwa, tak jak po zmartwychwstaniu; i rzekł jej, że już pora, aby jego sprawy wzięła za swoje, on zaś będzie dbał o jej sprawy; dodał słowa łatwiejsze do odczucia niż wypowiedzenia. Zdaje się, że nie była to pierwszyna, gdyż innym razem ukazał się Pan duszy owej w sposób ten sam, ale tak od wszystkiego odmienny, że zaniepokoił ją i przeraził; raz dlatego, że wizja była nader wyraźna, powtóre, że w słowach, któremi do



niej przemówił, i w głębinach duszy, gdzie się jej ukazał, wszystka wizja ją pochłonięła. Bo uważcie, że istnieje wielka różnica od stacyj poprzednich do obecnej i tak wielka od zaślubin duchowych do małżeństwa duchowego, jak między dwojgiem oblubieńców do dwojga tych, co się już nie mogą rozdzielić. Powiedziałam już, że używam niniejszych porównań, bo nie znam innych właściwszych. Trzeba rozumieć, że tu zapomina się o ciele, jakby w niem dusza nie istniała; a w małżeństwie duchowym jeszcze mniej, bo owo tajne zjednoczenie odbywa się w najgłębszym ognisku duszy, gdzie musi znajdować się sam Bóg; a według mego pojmowania nie istnieje dlań brama wchodowa; powiadam, że niepotrzebna brama, bo wedle tego, co się dotąd rzekło, zda się, że przenika zmysły i władze duchowe; i takie musi być objawienie Człowieczeństwa Pańskiego; ale to, co odbywa się w małżeństwie duchowym, jest wcale odmienne. Zjawia się wtedy Pan w ognisku duszy bez wizji obrazowej, ale w wizji intelektualnej, subtelniejszej niż przyrzeczone, tak jak się zjawił apostołom, nie wchodząc przez bramę, kiedy to rzekł: «Pokój wam». Jest to tajemnica tak wielka i łaska tak szczytna, jakich Bóg udziela duszy w jednym momencie, i tak wielka rozkosz, jaką wówczas odczuwa dusza, że nie wiem, do czego ją porównać, chyba że Pan chce taką chwilą ukazać chwałę Niebios...

(*Santa Teresa, Las Moradas, Clasicos castellanos, La Lectura, Madrid 1919.*)

### ŚW. JAN OD KRZYŻA

(1542—1591)

#### PIEŚŃ DUCHOWA

Gdzieżeś odszedł i gdzie się  
Kryjesz, kochanku, rzuciwszy w żalości?  
Jak jeleń w ciemnym lesie,  
Pierzchnąłeś, wprzód mię zraniwszy do kości.  
Próżno cię wołam po boru bezkresie.

Pasterze, co strzeżecie  
Trzód, spasających górską połoninę,  
Gdzie się chowa, czy wiecie,  
Największe moje szczęście i jedyne?  
Mówcie, że cierpię i z kochania ginę.

Szukać mego kochanka  
Pójdę przez góry, przez morskie wybrzeża.  
Nie będę splatać wianka,  
Bać się dzikiego zwierza;  
Straż mię nie wstrzymaj ni graniczna wieża.

O wy, gęsto poszyte,  
Dłonią kochanka umajone stoki!  
Wy, zielonością syte  
Smaragdowe powłoki  
Traw, czy tą steczką wiodły jego kroki?  
Tym tedy gąszczu cienistym podsieniem  
Szedł jelonek w te czasy;  
Gdziekolwiek tylko zwrócił się spojrzeniem,  
Tam wdziękiem swojej ujmującej krasy  
Ubierał gaje i łąki, i lasy.

W drugiej części Oblubieniec występuje jak pasterz, chodzący po górach; pieśń jego przechodzi z wolna w parafrazę «Pieśni nad Pieśniami». Całość stworzona wyraźnie pod wpływem św. Teresy. W jej duchu poeta towarzyszy swemu utworowi szerokim komentarzem alegorycznym.

(*S. Juan de la Cruz, El cantico espiritual, Clasicos cast., La Lectura, Madrid 1924.*)

Więc, gdy mi w serce taki cios zadałeś,  
Czemu nie goisz rany?  
Gdy mi je zrabowałeś,  
Przecz zaraz poniechałeś  
Łupu, co tobie wszystek był oddany?

Ukój mię w mej niemocy,  
Zgłodniałą niech mię twe leki dosycą;  
Niech cię ujrzą me oczy;  
Ty jesteś ich źrenicą,  
Dla Ciebie chcę je mieć, dla Ciebie świecą.

Ukaż mi swoją postać,  
I niechaj skonam w wizji ukazanej.  
To lek, jakiemu nic nie zdoła sprostać;  
Inny tu lek nieznany,  
Jeno obecność osoby kochanej.

Gdybyś nagłą przemianą  
Swe oczy w szklane i srebrzyste zdroje  
Przedzierzgnął, a mnie dano  
Chłonać spojrzenia Twoje,  
Pić w nienasyćie rozkoszne napoje!..

Odwróć je, mój kochanku,  
Już wgórę lecę..

## FRAY PEDRO DE PADILLA

(XVI w.)

Z twojej śmierci, o Jezu, rodzi się życie, Śmierć to szczęśliwsza od samego życia,  
 Umierając, śmierć zadałeś samej śmierci, Bo człowieka wydziera wiecznej śmierci,  
 Z Twojej miłości spadła na nas owa śmierć, I tak większego skarbu od Twojej śmierci,  
 Co nas niesie do nowego lepszego życia. Niema i nigdy nie będzie mieć życie.

Życie mych zmysłów może dać mi śmierć,  
 Zasię śmierć zmysłów może dać mi życie;  
 Co się nie będzie bała więzów śmierci;  
 Zatem mrąc — żyję, a mrę, mając życie,  
 I tak spragniony jestem owej śmierci,  
 Że, aby znaleźć tę śmierć, kocham życie.

*(Fr. P. de Padilla, Jardin espiritual, Madrid 1585, 4-o.)*

## LUÍS DE GÓNGORA Y ARGOTE

(1561—1627)

## PIEŚŃ (GANCION) DO DAMY, PODAJĄC KWIATY

(w stylu konceptycznym)

Po kwietnej łące, Strażą tej chlubny kwietnej  
 Którą perłami ozdobił poranek, To były pszczelne eskadrony rojne;  
 Zbieram kwiaty pachnące, Wesole jak dźwięk fletni,  
 Splotam na czoło twe jaśminów wianek, Lecz brylantowem ostrzem wszystkie zbrojne.  
 Co proszą — choć to kwiaty, Do barci swej przegnane,  
 O biel twych piersi i ust aromaty. Za każdy kwiat mi zostawiły ranę.

Klorydo, której te jaśminy znoszę,  
 By zdobić niemi twój włos rozpleciony,  
 O pocałunków proszę  
 Więcej, niż niosły pszczelne eskadrony.  
 Niech nie doznam zawodu:  
 Jam służył kwieciami, ty płac plastrem miodu.

## SOLEDA

(w stylu gongorycznym)

Była to pora roku wykwiecona, Wiecznie prężącej się na górskim stoku  
 Kiedy kłamany porywca Europy Przeciw znanemu wrogowi; nieszczęsny  
 Przybiera księżyc za broń swego czoła, Pień ma dzisiaj złamany.  
 A sierz swą słońca promieniom podaje. Nie tak srogi był delfin  
 Błyszczący honor niebios Śmiałemu wędrowcowi,  
 Wypasa gwiazdy na polach szafiru. Co wodnym piachom Libji  
 Wtem on, co godzien był podawać czasie Powierzył szlak swych dróg, a życie drewnu.  
 Sprawniej, niżeli ów chłopczyną z Idy, Przez oceanu nurt zatem wessany  
 Pogardzony rozbitek, I wyrzucony, na skale sterczącej  
 Smętne, a słodkie, miłosne wywodzi W wieńcu sitowia i ciepłego pierza,  
 Skargi ku morzu, W algach i morskiej pianie,  
 Które współczuło fali i wiatrowi Znalazł gościń tam, gdzie wybrał gniazdo  
 Przeboleściwym jękiem, Łatawiec Jowiszowy.  
 Niby instrument czuły Ariona, Całuje piasek z pokruszonej nawy  
 Żłobiony w drewnie sosny, Tę ciała okruszynę,

Co na wybrzeże padła, oddał skale,  
 Bo nawet twarde głązy  
 Dadzą się zmiękczyć piękności urokiem. —  
 Młodzieniec nagi, bo jego odzienie  
 Polknął ocean, piaskowi zastąpić  
 Każe i zaraz wystawia na słońce,  
 Co zlekka liżąc złagodzone żarem,  
 Zwolna je muszcze:  
 Najmniejsza fala ssie najmniejszą nitkę. —

Już nie dostrzega światła horyzontu,  
 Bo mdlejącemu zdają się obłądnie  
 Góry wodami, a zaś góry wodą.  
 Nędzny rozbitek czuje, jak ich złoto  
 Blednie, gdy szczęty członków, odkupione  
 Morzu, czołgając się w cieniach i cierniach  
 Po skałach, których ledwie dosięg lotem  
 Postrzęsionych skrzydeł,  
 Mniej unużony niż błędny — wstępuje...

[Treść: Młodzieniec, rozbitek z bitwy, stoczonej przez floty genueńskiej i wenecką na wodach Luzytanji, znajduje schron w chacie pustelnika. Jest nim Krzysztof Kolumb — pomysł, wracający później u katalońskiego Verdaguera w «Atlantydzie».]

(*Poetas liricos de los siglos XVI y XVII., Bibl. de Autores esp., ed. A. de Castro, Madrid 1872.*)

## FRANCISCO GÓMEZ DE QUEVEDO Y VILLEGAS

(1580—1645)

### SNY O SZKIELETACH

Sny, powiada Homer, pochodzą od Jowisza; on je zsyła; a w innym miejscu, że należy w nie wierzyć, o ile dotyczą spraw ważnych lub bolesnych, o ile śnią je królowie i dostojnicy, jak to czytamy u Propercjusza:

*Nec tu sperne piis venientia somnia portis.*

Mówię z tej okazji, że tej nocy miałem sen, jakby spadły z nieba, gdy zamknął oczy nad książką Dantego... Zdało mi się więc: widziałem młodzieńca, który, unosząc się w powietrzu, silnem wydechem ust szpecił nieco swą urodę. Posłuchały wiezwania marmury i leżący pod niemi umarli i natychmiast poczęła się wzruszać ziemia i wypuszczać kości szkieletów, aby mogły szukać jedne drugich. A po krótkim czasie obaczyłem tych, co byli żołnierzami i kapitanami, jak powstawali z grobów pełni gniewu, jakby byli na wojnie; chciwców zadyszanych i zalekłych, jakby obawiających się napaści; ludzi pysznych, skorych do biesiady, którzy, słysząc głos trąby, mniemali, że gotuje się zabawa lub łowy. Poznawałem to po wyglądzie każdego, każdemu bowiem wydawało się, że łowi głos trąby uszami, jakich nie było. Następnie spostrzegłem, jak niektóre postacie, jedne z obrzydzenia, drugie ze strachu, wyrwały się ze starych ciał; jednemu brakowało ramienia, drugiemu oka. I rozśmieszała mię różnorodność postaci i dziwowałem się zrzędzeniu Opatrzności, że, choć były stłoczone jedne z drugimi, żadna przez omyłkę nie wstawiła nóg w lędźwie sąsiada; tylko na jednym cmentarzu zauważyłem, że szkielety wymieniały czaszki; między innymi widziałem pisarza, któremu głowa nie pasowała do duszy i dlatego chciał się jej pozbyć.

Potem, skoro już przeszło do wiadomości powszechnej, że to był dzień Sądu, trzeba było patrzeć, jak rozpustnicy uciekali własnym oczom, aby nie świadczyły przeciw nim przed trybunałem; a obmówcy swym językom; złodzieje i rozbójcy wysilali nogi, aby ująć własnym rękami.

A zwróciwszy się w jedną stronę, ujrzałem łakomca; zapytywał kogoś, co, będąc zabalsamowany, miał wnętrzości wyjęte z ciała i nie mógł mówić, pókiby do niego nie wrócili, czy tego dnia wszyscy zmartwychwstaną, a wnętrzości jego wrócą do ładu... Lecz co mię najbardziej przestraszyło, to ciała dwu albo trzech kupców, co sobie przeniecowali dusze: wszystkie pięć zmysłów trzymali w pazurach ręki prawej.

Wszystko to widziałem z wysokiego stoku, kiedy usłyszałem od dołu głosy wołające, abym się usunął. A ledwie to uczyniłem, kiedy zaczęły ukazywać głowy piękne kobiety, wymyślając mi od gburów i rubachy, nieznanego szacunku dla dam. Bo nawet w piekle są takie, co nie wychodzą z obłądzenia. Wychodziły wesole i bezwstydne, i nagie pośród tłumu, który na nie poglądał; ale zaraz, spostrzegłszy się, że to był dzień Gniewu i że uroda je zdradzi, poczęły stąpać po dolinie krokiem stateczniejszym.

Jedna, zamężna 7 razy, prosiła o przebaczenie wszystkich mężów. Inna, publiczna ladacznica, ociągając się z zejściem wdół, powtarzała wkółko, że zapomniała zębów i brwi; wracała i zatrzymywała się, aż wyszła na oko widzów a było tylu, którym pomogła zgubić się, i którzy wykrzykiwali, pokazując ją palcami, że poszła się skryć między bandę zbirów, rachując ich za nic nawet owego dnia. Zastanowił mię następnie wielki hałas, idący od brzegu rzeki wślad lekarza. Bo że był nim, dowiedziałem się później na Sądzie.

Byli to ludzie, których wyprawił na tamten świat przedwcześnie, i czekali, aby się zjawił, i nakoniec siłą postawili go przed tronem. Z lewej strony usłyszałem plusk, jakoby człowieka pływającego, a był to sędzia; stał w rzece i umywał sobie ręce, a powtarzał tę czynność po wielekroć. Zbliżywszy się, spytałem, czemu się tak płocze; odpowiedział, że za życia przy pewnych sprawach je zabrudził i że ma nadzieję je obmyć, zanim się stawi przed najwyższym Dworem...

Zapocony stąpał szynkarz; osłabł tak, że upadał za każdym krokiem; zdawało mi się, że jeden z katów powiedział do niego: «Trzeba wypocić tę wodę, co ją sprzedawałeś za wino...»

Za nimi kroczyło Szaleństwo ze swoją trupą: poetów, muzyków, zakochanych i samochwałów, wszystko lud niewczesny, jak na ów dzień. Stanęli z jednego boku. Dwu lub trzech prokuratorów liczyło swoje głowy i dziwiło się, że ich pozostało tak dużo, pomimo że żyli jak półgłówki. Nakoniec wszystko ucichło.

Tron był dziełem, nad którym potęga i cudowność. Jowisz był sobą samym; urodziwy dla jednych, groźny dla drugich. Słońce i gwiazdy zawieszono u jego ust; wiatr przyciszony, woda zahamowana w swoim korycie; ziemia cała w trwodze o swoje dzieci.

Ludzie wygrażali się tym, co własnym przykładem pociągnęli ich na złą drogę. Wszyscy naogół zamysłeni: bogobojni nad tem, jaką otrzymają nagrodę, gdy będą prosić za siebie, a źli, jak się będą usprawiedliwiać...

(*Quevedo, Los Sueños II, Clasicos castellanos, La Lectura, Madrid 1916.*)

## LOPE FÉLIX DE VEGA CARPIO

(1562—1635)

### KAPRYŚNICA

Belisa, typ panny rozpieszczonej, przebierającej w konkurentach. Zaloty matki, podstarzałej wdowy, która w jednym z nich się durzy, przyśpieszają decyzję «Kapryśnicy». Sztuka miła swojską malowniczą rubasnością, daleką jeszcze od gongoryzmu. Scena niniejsza w rzadkiej formie 6 zgł. asonancy.

Belisa:  
Matko moja, matko,  
Użalasz się na mnie,  
Żem jest kapryśnica:  
Tak, jestem nią właśnie.  
Od dzieciństwa byłam  
Kapryśna nad miarę;  
Już tak z dziewczętami:  
Wiosenne zwyczaję.  
Ale tobie, matko,  
Wiek złe rady szepce,  
Zmieniasz na świecidła  
Ukwefione czepce.  
Płocze to zachcenie,  
Żeś się wydać rada;  
I jeszcze przede mną,  
Przecież nie wypadła!

Robisz się podobna  
Do swojej dziewczuszki:  
Żeś z ciała i mięsa,  
Więc szukasz pietruszki.  
Powąchałaś trawy,  
Wiesz już, co się jada;  
Zarżałaś, mateczko,  
Żrebiec odpowiada.  
— — — — —  
Skoro tak być musi,  
Darz was Pan Bóg zdrowiem,  
Ale daj baczenie  
I słuchaj, co powiem:  
Jeśli on jest siwy,  
To ty przy nim stara,  
Będziecie dwu turni  
Ośnieżona para.

On młody, ty siwa,  
Prędko się uwinie:  
Zatańczy po tobie,  
Jak pajac po linie.  
Za twoją monetę  
Będzie jadł jarzabki,  
Cherubinki stroił  
W holenderskie rąbki.

Wenus wnet się dowie,  
Gdzie Adonis mieszka,  
Najtęższego gońca  
Wnet zmieni na pieszka.  
To powiadam z duszy,  
Ale próżno grożę;  
Kiedy kto chce zrobić,  
Cóż rada pomoże?...

(*La dama melindrosa, akt III, sc. 17.*)

#### MADRYCKIE WODY ŻELAZISTE

Leonora (*służąca*):  
Jakiś doktor u drzwi stoi,  
Prosi, byś go przyjął, panie,  
Bo przybywa na wezwanie  
Przyjaciółki pani mojej.

Prudencjusz (*ojciec*):  
Przychodzi tu w dobrej porze.

Okta wjusz (*stary kuzyn*):  
Co to? Czy chorego mamy?

Prudencjusz:  
To nie, lecz gdy zaniedbamy,  
Większa szkoda wyrość może.  
Belisa... drobne wyrzuty  
Z tej portugalskiej sałatki.

Belisa (*n. s.*):  
Miłości częste wypadki.  
— Organizm widać zatruty.

Prudencjusz:  
Tak jest; krew nieco wzburzona...

Okta wjusz:  
Rzecz smutna; trzeba lekarza.

Prudencjusz:  
Dobra okazja się zdarza.

Teodora (*ciotka*):  
Wszystkie do doktora lecą.  
Niepotrzebna taka dbałość.

Belisa:  
Ból głowy, jakaś omdłałość...  
Cioteczko, litości nieco!

Leonora:  
Oto osoba doktora.

(*Wchodzi Beltram w stroju lekarza: beret, płaszcz, rękawiczki w ręce, pierścienie na palcach; za nim Lisardo jako asystent.*)

Lisardo (*do Beltrama*):  
Bacność; masz mówić poważnie,  
Nie wykrzywiaj się tak, blaźnie.

Prudencjusz (*do Leonory*):  
Podaj krzesło.

Beltram:  
Gdzie jest chora?

Teodora (*ciotka*):  
Jest tutaj.

Beltram:  
Niektóra dama,  
Znajoma panny Belisy,  
Z którą widziała się w niszy  
Kościelnej, mówi — ta sama  
Dolegliwość nawiedziła  
Jej dziecię; o puls poproszę.  
Odważnie, niech cię nie płoszę,  
Moja panieneczko mila.

Belisa:  
Sądzę, panie, we krwi mojej  
Znajdziesz dostateczny znak,  
Bo mi w pulsach bije tak  
I tak mi na wnętrzu broi...

Lisardo (*n. s.*):  
Jeśli tak się miota w tobie,  
To cóż we mnie, gwiazdo moją!  
Nie pomoże pić ze zdroja;  
Równy żar w żadnej chorobie  
Nie iskrzy się; dłoń mi gore.

Beltram:  
Weźmy drugi puls; ów spore  
Dał wskazówki.

Prudencjusz:  
Jeśli trzeba  
Obejrzyć wszystko do stopek,  
Rób, co należy, doktorze.

Beltram:  
Dziś nie; chyba w innej porze.  
Dzisiaj zapiszę syropek.  
— A uczucie subiektywne?  
Proszę wyznać mi, a szczerze.

Belisa:

Ogromna mnie niechęć bierze  
Rozmawiać z ludźmi, to dziwne...  
Gdy tłum zapelnia ulicę,  
To nie jest to, czego życzę.  
I poglądam gdzieś po stronie.  
A tutaj, gdzie serce tyka,  
Coś mnie nudzi, coś mi cięży,  
Mięśń się ściąga coraz wężej,  
Tak, aż oddech mi zamyka.  
Gdy chcę czemś nasycić wzrok,  
Przeszkadza do uprzykrzenia  
Rzecz jakowaś jak dueña  
I nie daję patrzeć wbok.  
Bo chociaż się dusza boi  
Grzechu, Panu Bogu chwała,  
Zakaz: Nie będziesz patrzała —  
W przykazaniach wszak nie stoi.  
Tem bardziej, że duszność owa  
Nie dałaby mówić z nikiem,  
Bo mi w gardle więzną słowa  
I nie umią wyjść przetykiem.  
Chciałabym mówić — nie mogę.  
Lecz teraz, z pomocą Bożą,  
Śluzu mowy się otworzą  
I odnajdą starą drogę.

Beltram:

Objaw jest do przemyślenia;  
Śpieszno mi, dłużej nie bawię.  
Odzyskasz mowę; ja sprawię.  
Wesoła bez zawstyżenia.  
Na schody pnać się lub górką  
Idąc, jak ci? — spytać muszę.

Belisa:

Jak mi? Czuję, że się duszę.

Beltram:

Dobrze, wnet wzlecisz jak piórko.  
Zatem: przez cztery poranki  
Będziesz pić, prosto ze źródłu,  
Niezrównanego napoju  
No... jakie trzy czwarte szklanki.  
Potem spacer, w stronę Prada;  
A wiedzieć: Udar słoneczny  
Jest dla główki niebezpieczny.  
Już stary Galen powiada,  
Że: «cuando acero tometur,  
Sol in capite non detur<sup>1</sup>.

Lisardo:

Przebóg! Cóż to za łacina!  
Jeśli ci, co jej słuchają,

Cośkolwiek się na tem znają —  
Ginę.

Beltram:

Jutro się zaczyna.  
Wczoraj księżyc był na nowiu,  
A doktor Laguna twierdzi:  
Organizm się wtedy sierdzi  
I szkodzi, miast pomóc zdrowiu.

Lisardo:

Co ty gadasz, co ty gadasz!

Beltram:

Niech też panna nie pozwala  
Zbyt folgować melancholji,  
O której właśnie powiadasz.  
Przyślem grajków, instrumenty  
I założymy na rączkę  
Nieocenioną obrączkę  
Cudownej a niepojętej  
Własności, lecz, szczedząc słów,  
Przyznam się, że bez poręki  
Nie dam jej z ręki do ręki.  
Jest cudza.

Prudencjusz:

Przez Boga, mów,  
Ile na zastaw, doktorze.

Beltram:

Mej oceny nikt nie zgani:  
Swą obrączkę dasz mi, pani.

Belisa:

Jestżeś pewny, że pomoże?

Oktawjuusz:

Czy to pazur wielkiej stwory,  
Panie doktor?

Beltram:

Nie, mój panie:  
Większej mocy jej działanie,  
A mamy ich zapas spory.

Lisardo (n. s.):

Sprytny jest, nie zaprzeczycie.  
Jak to zamienił pierścionki;  
Upiekł społem dwie pieczonki.

Beltram:

A zatem jutro o świcie  
Przy źródle; zacerpnąć w dzióbek  
Wody, co swoim żelazem  
Przeczyszcza i wzmacnia razem.  
Jak rzekłem, niepełny kubek.  
A potem przechadzki nieco,

<sup>1</sup> Pijąc wodę żelazistą, nie należy wystawiać głowy na słońce.

Sity wnet odzyska chora;  
Te duszności do wieczora,  
Jak mam nadzieję — odleca.  
— Panie licencjacie, proszę  
Spróbować pulsu tej damy...  
Jest to student wielkiej famy,  
Już go luminarzem głoszą,  
Trwożny cokolwiek, wstydlivy,  
Czeka egzaminów końca.

Lisardo:

Cośniecoś gorączkująca;  
Puls nierówny: gnuśny... żywy...  
(n. s.). Doprawdy, ja, co nie znoszę  
Falszu, pleść im takie brednie,  
Lecz, Boże, co za rozkosze!

(Lope de Vega, *Teatro escogido*, ed. Ochoa., Paris 1838, akt I, sc. 6—7.)

Beltram:  
Mam obejść domy sąsiednie.

Prudencjusz:  
Pan doktor to przyjąć zechce...

Beltram:  
Nigdy (*bierze pieniądze*).

Lisardo:  
Bierzesz?

Beltram:  
Złotko lechce.  
Niech Bóg tego domu strzeże.  
(*Wychodzi.*)

## TIRSO DE MOLINA (GABRIEL TELLEZ)

(1571—1648)

### UWODZICIEL Z SEWILLI I GOŚĆ KAMIENNY

#### Scena 15 i 16

Don Juan:  
Co to za dzień mamy dzisiaj?

Katalinon:  
Wtorek.

D. Juan:  
Głupcy i rabusie  
Zabawiają się w przesady.  
Ja nazywam dniem feralnym,  
Jest u mnie czarno znaczony,  
Ten, w którym brak mi monety;  
Každy inny jest wesoly.

Katalinon:  
Idźmy; ma się pan wystroić;  
Czekają; noc tuż przed nami.

D. Juan:  
Przedtem inną mam robotę.  
Tamci niechby zaczekali.

Katalinon:  
Cóżto?

D. Juan:  
Wieczerać z umarłym.

Katalinon:  
Szaleństwo nad szaleństwami.

D. Juan:  
Czy to wiesz, że dałem słowo?

Katalinon:  
Słowo? Ha, słowo się lamie.  
Czy figura marmurowa  
Może się powołać na nie?

D. Juan:  
Tak; choć martwa, może przecie  
W głos zarzucić mi infamję.

Katalinon:  
Zamknięto kaplicy bramę.

D. Juan:  
Wołaj.

Katalinon:  
I na co wołanie?  
Kto nam drzwi przyjdzie otworzyć?  
Już śpią wszyscy zakrystjanie.

D. Juan:  
Krzycz do tych drzwiczek!

Katalinon:

Otwarte.

D. Juan:  
Więc wejdz.

Katalinon:  
Wejde pańskim tropem,  
Bo tędy zazwyczaj chodzi  
Książdz ze stułą i hizopem.

D. Juan:  
Milcz, chodź za mną.

Katalinon:  
Milczeć, milczeć? Niech Bóg strzeże  
Od kompanów i trupiarni.

(*Wchodzą do kaplicy.*)

Katalinon:  
Ach, jaki ciemny ten kościół,  
Choć tak wysoko się sklepia.  
Co to? Aj, aj, panie, ratuj!  
Ktoś się mego płaszcza czepia.

## Scena 16

(*Wysuwa się z cienia posąg D. Gonzala.*)

D. Juan:  
Kto idzie?

D. Gonzalo:  
To ja.

Katalinon:  
Nie żyję!...

D. Gonzalo:  
Martwym jest, gospodą służę.  
Nie sądziłem, byś dotrzymał,  
Bo zwodzić jest w twej naturze.

D. Juan:  
Chcesz mnie liczyć między tchórze?

D. Gonzalo:  
Tak, boś się bronił ucieczką  
Tej nocy, gdy mnie zabiłeś.

D. Juan:  
Nie chciałem, by mię poznano,  
Jednak dziś się stawiam śmieie,  
Mów prędko, czego to żądasz?

D. Gonzalo:  
Zapraszam cię na wieczerzę.

Katalinon:  
Ja tam wieczerzy nie pragnę.  
Nie podadzą wieprzowiny,  
Jeno potrawy szkaradne.

D. Juan:  
Wieczerzajmy.

D. Gonzalo:  
Aby usiąść,  
Podnieś tę płytę z nad trumny.

D. Juan:  
Jeśli potrzeba, uniosę  
Ten słup kamiennej kolumny.

D. Gonzalo:  
Zuch jesteś!

D. Juan:  
Odważny jestem,  
A w sercu śmiały i bujny.

Katalinon:  
Istna biesiada guinejska:  
Do rąk nie podają wody.

D. Gonzalo:  
Usiądź.

D. Juan:  
Gdzie?

D. Gonzalo:  
Oto już ławy  
Niosą dwa czarne pachyły.

Katalinon:  
I tu noszą strój żałobny?  
Sukienki z flandryjskiej bai?

D. Juan:  
Usiądź.

Katalinon:  
Wieczerzałem dziś.

D. Gonzalo:  
Milcz.

Katalinon:  
Wszak milczę; głos mię dławi.  
Boże, niechaj Twoja ręka  
Z tych opalów mię wybawi!  
Co to za potrawy, panie?

D. Gonzalo:  
Nasze zwyczajne potrawy:  
Żmije to są i skorpjony.

D. Juan:  
Nie jesz?

Katalinon:  
Owszem, będę jadł,  
Wszystkie z piekielnej komory  
Niesamowite potrawy.

D. Gonzalo:  
Niech uraczę cię muzyką.

Katalinon:  
Napój, jaki tutaj piją:  
Ocet i zółć, a nie wino.



D. Gonzalo:

Takie, masz wiedzieć, napoje  
W gronach z naszych winnic płyną.

Śpiew:

Wiedźcie wszyscy, jak się kara  
Sprawiedliwość Boża znaczy,  
Że swój kres mają złe czyny  
I że każdy dług się płaci.

Katalinon:

Źle wróży taka romanca;  
Przysięgam na Chrysta imię,  
O nas wyraźnie powiada.

D. Juan:

Mroźny żar w sercu mi gore.

Śpiew:

Każdy, kto żyje w tym świecie,  
Nie mów: Śmierć jeszcze poczeka,  
A zbyt krótkim jest terminem  
Nawrócenie dla człowieka.

D. Juan:

Skończyłem ucztę; każ zatem  
Stół wynieść.

D. Gonzalo:

Podaj mi rękę.  
Nie lękaj się, podaj rękę!

D. Juan:

Co powiadasz? Ja i lęk?...  
Pałę się! Ha, jaką mękę  
Znoszę...

D. Gonzalo:

Żar jeszcze nie taki,  
Jak ten, coś go szukał w życiu.  
Cuda Boże, don Juanie,  
Niedocieczone, w ukryciu,  
Grzechy kar się nie ustrzegą,  
I słuszną za nie pokutę  
Składasz w ręce umarłego.  
Przeciw tobie grzech się zwraca:  
To jest sprawiedliwość Boża;  
Jaka praca, taka płaca.

D. Juan:

Płonę; nie ściskaj mi ręki,  
Bo cię przebiję tą szpadą...  
Ha, nadaremnie się trudzę,  
W cień pusty wbijam żelazo;  
Córki twej nie wziąłem gwałtem,  
W ramionach miałem poddaną.

D. Gonzalo:

To nic, zawsze była zdrada.

D. Juan:

Czekaj, przywołaj kapłana,  
Przed śmiercią niech wypowiedzi.

D. Gonzalo:

Za późno to przypominasz.

D. Juan:

Pałę się, noc na mnie pada;  
Umieram...

(*Grobowiec chłonie D. Gonzala i D. Juana.*)

(*Tirso de Molina, Teatro escogido desde el siglo XVII, t. I, sc. XV—XVI,  
ed. D. Eugenio Ochoa, Madrid 1838 r.*)

## PEDRO CALDERÓN DE LA BARCA

(1600—1681)

### CZARNOKSIĘŻNIK

#### Dzień II. Cyprjan i Demon

Cyprjan:

Czego chcesz teraz?

Demon:

Zamknąć drzwi.

Cyprjan (*zamykając*):

Jesteśmy sami.

Demon:

Za zdobycie tej dziewczyny  
Dalbyś — powtarzam twe słowa —  
Duszę.

Cyprjan:

Tak.

Demon:

Na układ zgoda.

Cyprjan:

A więc...

Demon:

Skoro tyle zdoła  
Moja moc, podam ci sposób,  
Że ci się stanie powolna

Dziewczyna, którą uwielbiasz.  
Wiedza ma, choć tak ćwiczona,  
Jest bezsilna. Zatem układ  
Spiszmy między nami dwoma.

Cyprjan:  
Na jakież nowe udreki  
Wystawiasz moje pragnienia?  
To, co ja daję, tem władnę;  
Twoje świadczenia są marne,  
Bo przeciwko wolnej woli  
Nie pomogą czary żadne.

Demon:  
Skrypt podpiszesz warunkowy —  
— — — — —  
A ja tutaj na świadectwo  
Siły, jaką do się czuję  
W panowaniu nad przyrodą,  
Chcę dać przykład, małą próbę:  
Co oglądasz z tej galerji?

Cyprjan:  
Jasne niebo, łąki cudne  
I las, i strumień, i górę.

Demon:  
Coś upodobał najbardziej?

Cyprjan:  
Górę; obraz jej, bo stoi  
Tak niewzruszenie i dumnie.

Demon:  
Rywalu wieków zwycięski,  
Stojący tak niezachwianie  
Koronowany chmurami,  
Kwietnych rozłogów tyranie —  
Wołam: «Co chcę, niech się stanie!»  
Ty patrz: rozkażesz niewieście  
Ugiąć się, jak ja tej skale.

(Góra obraca się i przesuwa.)

Demon:  
Przeklętych włości pani samodzielna,  
Z beznadziejnej obieży  
Puść na swywołę duchy wszechlubieży;  
Niech się zwali w ruiny  
Niepokalana świątynia Justyny;  
Niech na jej zmysły czyste  
Przypadną mary brudne i ogniste.  
Wnęcą się wyobraźni;  
Niechaj ją każdy dźwięk przyrody drażni  
I niech się żądza wplecie  
W gwar ptasi, w krzew i kwiecie;  
Żrenicom jej odsłania,

Cyprjan:  
Nie widziałem większych dziwów,  
Rzecz oglądam nie do wiary!...

Demon:  
Ptaku, co latasz na wietrze,  
Bo są pierzem tve konary;  
Statku, co powietrze orzesz,  
Gdyż są lemiuszem tve glazy,  
Powróć na pierwotny cokół  
I niechaj się skończą czary!  
(Góra wraca na dawne miejsce.)  
A teraz rozpekniij się,  
Cudo czterech elementów,  
I ukaż nam piękność ową,  
Co ją kryjesz w swoim wnętrzu.  
(Zjawia się Justyna uszpiona we wnętrzu  
góry.)

Czy to ta, którą uwielbiasz?

Cyprjan:  
Owa; czczę ją, jak boginię.

Demon:  
Widzisz, czy ją mogę dać,  
Gdy ulega mojej sile.

Cyprjan:  
O moja niemożliwości!  
Dziś ogniskiem mej miłości  
Będą mi ramiona twoje;  
Dziś popłyną z twego słońca  
Na mnie rozświetlone zdroje!

(Chce przystąpić, góra się zamyka.)

Demon:  
Stój! dopóki nie podpiszesz  
Przysięgi, jaką mi dałeś,  
Nie dotkniesz jej.

(Następuje ceremonia podpisania cyrografu  
krwią, wytoczoną z ramienia.)

### Dzień III

Gdziekolwiek spojrzy, uludę kochania;  
Co gdziekolwiek usłszy,  
Niech jej miłosnym jękiem w uszach dyszy.  
Niech zniewolona czarem, pokonana,  
Pragnie obaczyć swojego Cyprjana,  
Nuże, niech zabrzmią śpiewy,  
Ja słuchać będę między temi drzewy.

Śpiew:  
Jaka jest najwyższa chwala  
Tego życia?

Chór:  
Miłość, miłość!

(*W czasie tego śpiewu wchodzi jednem  
drzwiami Demon, drugimi chce uciec Ju-  
styna.*)

Ś p i e w:

Rzeczy, co się czasem mierzą,  
Miłość piętnuje płomieniem;  
Bardziej niżli odetchnieniem,  
Życie znaczy się lubieżą.  
Prądy, co po żyłach bieżą  
W krzewinie, kwiecie i ptaku,  
To świadkowie tego szlaku.  
Więc, co jest najwyższą chwałą  
Tego zycia?

C h ó r:

Miłość, miłość!

Justyna (*zasepiona i niespokojna*):

Wyobraźni uprzykrzona,  
Ty obłudna pochlebno,  
Jakaż władzą zniewolona,  
Co ją własne chęci syca,  
Te na mnie walisz brzemiona?  
Jak się zowie ból, nieznośnie  
Sercu się naprzykrzający,  
Co tak ciśnie i tak piecze,  
I tak coraz bardziej rośnie,  
I tak kole, i tak siecze?...

C h ó r:

Miłość, miłość!

J u s t y n a:

Co to? Słowik rozkochany  
Odpowiada pośród bzu?  
Wierny lubczyk zasłuchanej  
Weń słowiczki, w noc do snu  
Na gałązce kołysanej?  
Milcz, słowiku, bo się trwożę,  
Słyszac, jak się żali ptak,  
Że mię chęć doznania zmoże,  
Ile też czuć człowiek może,  
Jeśli ptaszę czuje tak. —  
Lecz nie; to gałązka wina,  
Co namiętnie się przegina  
Porwać drzewa pień objęciem,  
Aż pod liści przysłonięciem  
Zielonych mdleje krzewina.  
Nie nęc, gałązko zielona,  
Zadumać się, co kochanie,  
Bo doświadczyć we mnie wstanie  
Chęć, czem męskie są ramiona. —  
Lecz nie; to kwiat heljotropu:  
Nie opuszcza słońca tropu  
I, chcąc jego blaski pić,  
Okiem ciągle za nim toczy.  
Niech cię żalu ła nie mroczy,

Więdniejący w cieniu kwiecie,  
Bo się zachce mnie, kobiecie,  
Widzieć męskie we łzach oczy.  
Zmilcz, słowiku zakochany,  
Winna wici, rozwiąż dłonie,  
Wiotki kwiecie, ochłódź skronie,  
Mówcie, jaki w was wezbrany  
Jad się nieci?

C h ó r:

Miłość, miłość!

J u s t y n a:

Miłość? Kogóż ja kochałam?

(*Wchodzi Demon.*)

D e m o n:

Poczekaj, ja ci wyjawię.

J u s t y n a:

Któżes ty, coś pokryjomu  
Bez pozwolenia ni prawa  
Wszedł do zamkniętego domu?  
Obłąkanej myśli zjawa,  
Widmo, co się rzeczą stawia?

D e m o n:

Nie; litości tu się radzę  
I chęci, której poddana  
Składasz własnej woli władze,  
Dziś cię jeszcze zaprowadzę  
Do kochanego Cyprjana.

J u s t y n a:

Coś zamierzył, mało cenię;  
Tęskności nieznośna męka  
Poprzez zmysłów rozprężenie  
Wyobraźnię jeno nęka,  
Lecz to nie jest przyzwolenie.

D e m o n:

Czuła na poszeptów zmoję  
Masz w nich lubieży narzędzie,  
Bo grzech zawsze grzechem zowę;  
Nie zatrzymasz chuci w pędzie,  
Gdy zbiegła drogi połowę.

J u s t y n a:

Próżno stawasz mi na drodze,  
Boć ja sama z tem się godzę;  
Czyn kroczy myślenia wątkiem;  
Chociaż nie władam początkiem,  
To czynowi ja przewodzę,  
Mogę rzec do ciebie: prowadź,  
Dostyc mi poruszyć nogą;  
Ale ruch mogę hamować;  
Działać — chadza jedną drogą,  
Inną chadza: dyskutować.

Demon:  
Gdy ta mądrość niesłychana  
Tak twoją zdolność posila,  
Justyno, gdzież twa wygrana,  
Jeśli się przed nią nie chyła  
Władza stóp niehamowana?

Justyna:  
Wolnej woli dam się wieść  
Tam, gdzie jestem niedość zdolna.

Demon:  
Nie byłyby wola wolna,  
Gdyby się tak dała wieść.  
(*Demon ciągnie ją i nie może poruszyć.*)

Demon:  
Pójdź tam, gdzie cię rozkosz wzywał

Justyna:  
Rozkosz przykra w swojej cenie.

W dramacie niniejszym, jednym z najwspanialszych, jest podjęty ni mniej, ni więcej, tylko problemat wolnej woli. Wbrew prawom natury męczyzna ulega pokusie, kobieta się opiera — i tu zaczyna się świętość.

(*Teatro escogido de Calderon de la Barca, Tesoro del Teatro esp., ed. Ochoa, t. XXI, Madrid 1838 r.*)

#### WINNICA PAŃSKA (AUTO SACRAMENTAL)

(*Za sceną śpiewa Gwiazda Dnia (I) z towarzyszeniem muzyki; z jednej strony wychodzi Gwiazda Nocy (II), z drugiej Złość, słuchając śpiewu.*)

Gwiazda I:  
Wy, robotnicy żywota,  
Którzy z Opatrzności Boskiej  
Żeliście anielski chleb,  
Wyrosły z bólu i troski,  
Słyszcie mój głos!

Muzyka:  
Słyszcie mój głos!

Gwiazda I:  
Bo zapłatę, jaką dał Pan  
Za żęcie zbóż,  
Da też za winobrania trud.

Muzyka:  
Bo zapłatę, jaką dał Pan  
Za żęcie zbóż,  
Da też za winobrania trud.

Złość:  
Jakie przedziwne głosy  
Witają wczesny dzień?  
Wzlatują pod niebiosy  
Rytmem miarowych brzmień,

Demon:  
Radość nieprzepamiętliwa.

Justyna:  
Niezasłużone więzienie.

Demon:  
Słodycz.

Justyna:  
Z której jad wypływa.

Demon:  
Jakże będziesz się bronila,  
Gdy cię porwie moja siła?  
(*Ciągnie ją jeszcze gwałtowniej.*)

Justyna:  
W pomoc wezmę mego Pana.

Demon:  
Wygrana, twoja wygrana,  
Niewiasto...

Włączają w strofy swoje  
Ptaki, krzewy i zdroje?

Gwiazda II:  
Ten chór tajemnymi dźwięki  
Wielkie święto zapowiada;  
Po łzach zorzy śmiech jutrzeński,  
Radość rośnie, ból przepada.  
Cały świat pogodą dyszy  
W grze przyrody, w wiatrów ciszy.  
Twory nad słuchują czujnie,  
Tak wszystko wokół rozbrzmiewa  
[śmiechem,  
W najgłębsze głębie głos schodzi podwójnie:  
Słowem i echem.  
Nawet pień suchy przeży się z pośpiechem  
Wrócić do życia.

Złość:  
A tylko ja sama

Gwiazda II:  
Nieuleczalnym czarem, co mię pęta...

Złość:  
Znieruchomiona.

G w i a z d a II:  
Twardym snem ujęta,  
Zł o ś ć:  
Zakłęciem wabiona.

G w i a z d a II:  
Jak zmija z bezdroża.  
Zł o ś ć:  
Ja obrzyd świata.

G w i a z d a II:  
Ja smętek i groza.  
Zł o ś ć:  
Nie wiem, co znaczy śpiew; treść mi nieznana.

G w i a z d a II i Zł o ś ć:  
Choć jego każda zgłoska oderwana  
Z Zefirem leci do niebieskich stref.

M u z y k a:  
To moja pieśń:  
Zapłatę, co wam dał za żniwo,  
Za winobranie da wam Pan.

G w i a z d a II:  
Jaki tajemnic pełny chór  
Ten, co przyżywa ku mnie z chmur.

Zł o ś ć:  
Ta, co mię w nowy przestrach strąca,  
Pieśń na Zefiru strunach brzmiąca.

G w i a z d a II:  
Nie wątpię, pieśń to źle wróżąca.

Zł o ś ć:  
Kiedyż mojego kres zalęku?...

G w i a z d a II:  
Ten pałac nowy, pełny wdzięku...

Zł o ś ć:  
Nowe dziedzictwo na gór łęku...

G w i a z d a II:  
Gdy słucham — wątpię.

Zł o ś ć:  
Ja, gdy wątpię — wierzę.

G w i a z d a II:  
Ta piramida, która strzela w stronę  
Szczytnej planety, by jej nieść koronę,  
Co się wyrzywa lotem tak wysokim,  
Że cokolwiek wieży kończy się obłokiem.

Zł o ś ć:  
Jaka bujna winnica!  
Pod sam wierzchołek dźwiga winne grona,  
Swą zielonością stok góry przesyca  
I, latoroślą gęstą obwieszona,  
Żrenicom jawi miłosne zaploty  
Zielonej wici i jagody złotej.

G w i a z d a II:  
Co będzie, biada, jeżeli ta wieża  
W ozdobie wici bujnej i bogatej  
Z owym się śpiewem godzi i przymierza?

Zł o ś ć:  
Co będzie, jeśli porankowa, świeża  
Nuta odpowie powabom zapłaty?

G w i a z d a II:  
I jeśli doznać mam tej samej straty  
Dzisiaj, kiedy jest winobranie święto,  
Jak wprzód, gdy kłosa żęto;  
Gdy mękę, co mi tak łatwo nie pierzchnie,  
Szczepy gotują, jak wprzód plony wierzchnie.

G w i a z d a II:  
Tak być musi, bo tak wołał,  
Wzywając na nowy trud.

Zł o ś ć:  
Niewątpliwie, boć w te słowa  
Zachęcał roboczy lud.

O b o j e i M u z y k a:  
Wy, robotnicy żywota,  
Którzy z Opatrzności Boskiej  
Żełście anielski chleb,  
Słyszcie mój głos!

M u z y k a:  
Bo zapłatę, jaką dał  
Za żęcie zbóż,  
Da też za winobrania trud.

Auto niniejsze, jedno z najwspanialszych, symbolizuje tajemnicę «chleba i wina». Występują w niem jasne i ciemne siły: Gwiazda Poranna, Ojciec Rodziny i jego Syn, Patriarchowie, Wiara, Złość, Gwiazda Nocy, Pogaństwo, Hebraizm i t. d. Kończy okazałym pochodem, w którym przesuują się triumfalnie wóz żeńców i robotników winnicznych. Język i styl ciemne, wysoce gongoryczne, stał niekiedy ciężkie do zrozumienia i rozwiązania.

(La viña del Señor, Auto sacramental, dz. I, tamże.)

## GUILLÉN DE CASTRO Y BELLVIS

(1569—1631)

MŁODOŚĆ CYDA<sup>1</sup>

## Część I. Scena 6—10, 15

D. Diego Laynez, mianowany ochmistrem królewicza Sancza, zostaje ciężko znieważony przez hr. Orgaza, zwanego «Loçano» (zuchwały). Scena przedstawia rozpacz zhańbionego. Poeta łączy swój temat z legendą Mudarra; poza tem «Mocedades» są bezpośrednim wzorem «Cyda» Corneille'owego. Dokładna analiza i zestawienia, poczynione przez wydawcę, wiodą do bardzo znamienych spostrzeżeń budowy, stylu i różnicy temperamentów narodowych.

## Scena 6

D. Diego (*do szpady wiszącej na ścianie*):

Nie myli mię krewkość stara,  
 Nią się honor wypowiada;  
 W dłoni dzierzył cię Mudarra,  
 Z ostrza twego bije luna  
 Od bieguna do bieguna.  
 Pomściles siedmioro braci,  
 Mnie jednego dość pioruna.  
 Co czynić? Skąd mam zabójcze  
 Wziąć ramię?

Diego:

Zejdź mi z oczu zara,  
 Jam cię spłodził? Być nie może!  
 Precz, precz!

Hernan:

Dziwna z ojcem sprawa.

Diego:

Jeśli wszystkie moje dzieci  
 Takie, szczyły me nadzieje.  
 Bermudo Lain!

*(Wchodzi Bermudo.)*

## Scena 7

Hernan Dias!

*(Wchodzi Hernan Dias.)*

Hernan:

Jestem. Co mi każesz, ojczu?

Diego:

Życiu memu brakło duszy,  
 Oczom moim zaszło słońce.

Hernan:

Co ci jest?

Diego:

Na moją dolę  
 Gdzie znaleźć leki kojące?  
 Ból dławi tak serce stare.  
 Daj rękę *(ściska mu dłoń)*.

Hernan:

Uścisk twój kości mi łamie,  
 Puść, ach, puść! Nieba! O, Boże!

Diego.

Co to? Co to cię przeraża?  
 Płaczesz, kukło zniewieściła?

Hernan:

Panie!...

## Scena 8

Bermudo:

Panie!

Diego:

Podejdź tu; szaleję.  
 Chodź tu bliżej! *(ściska go za rękę)*

Bermudo.

Masz ją tu... Co czynisz, ojczu?  
 Dwie dłonie, klamry ze stali!  
 Puść, poniechaj, dość, litości!

Diego:

Ha, podły! Mój uścisk starczy  
 Zda ci się szponami lwa?  
 A choćby był, czyż się karci  
 Krwawy znak łzami rzewneimi?  
 Precz!

Bermudo:

Uciekam, by najdalej.

Diego:

Gdzie większy ból i niedola?  
 Oto, na czym się fundują  
 Kolumny świętego domu,  
 Co krew dała tyłu królom!  
 Rodrygo!

<sup>1</sup> Raczej: Czyny młodzieńcze.

## Scena 9

(Wchodzi Rodryk.)

Rodryk:

Ojcie i panie?

Krzywdzisz mię; powiedz, dlaczego  
Ostatniemu ślesz wezwanie,  
Chociaż spłodziłeś pierwszego?

Diego:

Synu, umieram.

Rodryk:

Co ci jest?

Diego:

Cierpienie, szal, żalność wściekła.

(Gryzie go mocno w palec.)

Rodryk:

Ojcie, puść, na piekła wszystkie,  
Puść rękę na wszystkie piekła!  
Gdybyś nie był moim ojcem,  
Dałbym ci policzek...

Diego:

Ha,

Nie byłby pierwszy!

Rodryk:

Jakto?

Diego:

Synu, synaczku mej duszy,  
Twe oburzenie zachwyca,  
Twój gniew moim celom służy,  
Twą uchwałę błogosławie.  
Ta krew, co się żarem burzy,  
W twych źrenicach zaświecona,  
Tę krew dała mi Kastylja,  
Lain Calvo, Nuño, nasiona  
Twey tężyzny; na policzku  
Mym ją skaził hrabia Orgaz.  
Ten, którego zwą «uchwałym».  
Synu, pójdź w moje ramiona,  
Niech otuchę swą posile.  
Zmyj hańbę mego honoru!  
Którym też twój honor żyje;  
Zmyj krwią, bo podobne plamy  
Jedną krwią tylko się myje.  
Gdy nie pierwszego wezwałem,  
Rys dopełnił pomsty owej,  
To, żem cię kochał nad wszystkich,  
Żeś mi był nad innych drogi.  
Myslałem, że bracia twoi  
Pomszczą się mojej niesławy,  
By w wypadku chować w tobie  
Pierworodztwo naszej chwały.

Aut. II.

Lecz skoro w nich obaczyłem  
Siły wiotkie i duch słaby,  
Zdwoiła się, o boleści,  
Hańba niecnej tej obraży.  
Do ciebie śpieszę, Rodryku:  
Wróc cześć mojej głowie starej!  
Wróg możny jest i uchwały,  
Czyto w pałacu, czy w polu,  
Wszędzie pierwszy, okazały,  
A najtęższa lanca w boju.  
Lecz skoro sam jesteś dzielny,  
Czyń, co rozum ci powiada,  
Zważywszy ciężką obelgę:  
Tu krzywda (*wskazując policzek*)  
a tutaj szpada (*podając miecz*).  
Nic nadto tobie nie powiem,  
Bo mi dusza rwie się z ciała;  
Idę płakać swojej hańby,  
Ty o zemście myśl i działaj.

## Scena 15

Rodryk:

Hrabio!

Hrabia:

Ktoś ty zaczą?

Rodryk:

Mój panie,

Zaraz dowiesz się, kim jestem.

Ximena (*na stronie*):

Co to? Co to jest? Umieram...

Hrabia:

Czego chcesz?

Rodryk:

Pomówić pragnę.

Ten starzec, który tam stoi,  
Wiesz, kto on.

Hrabia:

Znam go, nie skłamię.

Czemu pytasz?

Rodryk:

Czemu? Ciszej.

Hrabia:

Cóż?

Rodryk:

Więc wiesz, że był wyskokiem  
I honoru i odwagi?

Hrabia:

No, cóż jeszcze? Niechby był.

3

Rodryk:  
 Że to jego krew, ta moja,  
 Która się w mych oczach żarzy?

Hrabia:  
 Pocóż wiedzieć mi, mój Boże!

Rodryk:  
 Odejdźmy stąd; tam się dowiesz,  
 Że coś przecie znaczyć może.

Hrabia:  
 Chłopcze, odejdź stąd bez szkody,  
 Mój ty kawalerze świeży;  
 Idź naprzód między rycerzy,  
 Swęj tężyzny daj dowody.  
 Twój ród chwałą się okryje,  
 Żeś na mnie próbował szpadki.  
 Nie będzie to honor rzadki  
 Dla mnie, jeśli cię zabije.  
 Odejdź, bijatyką gardzę;  
 Pohamuj niewczesny gniew;  
 Licho się kojarzy krew  
 Z tem mleczkiem na twojej wardze.

Rodryk:  
 Nie chcę z ucznia cię ograbić:  
 Na pierwszą lekcję mię prowadź!  
 Ujrzym, czy umiesz szermować,  
 Poczujesz, czy umiem zabić.  
 A choćem niedość ćwiczony,  
 Powie ci ta szpada naga,  
 Że mistrzem mym jest odwaga  
 W tej wiedzy niedouczonej.  
 I wyjdzie mi większa chwała  
 W nagrodę pomściwej skargi,  
 Gdy się mleko mojej wargi  
 Z krwią pomiesza twego ciała.

Peransules (*na stronie*):  
 Hrabio!

Arias (*na stronie*):  
 Rodryku!

Ximena (*na stronie*):  
 Ach, biada!

Diego (*na stronie*):  
 Pałę się, lecz nie od sromu.

Rodryk:  
 Świącony próg tego domu.

Ximena:  
 Przeciw memu ojcu, panie?

Rodryk:  
 Nie zabijam, jeszcze znoszę.

Ximena:  
 Posłuchaj mię...

Rodryk:  
 Przebacz, proszę;  
 Honor moje zawołanie,  
 Pójdź, hrabio.

Hrabia:  
 Odejdź, ty głupie pachole  
 Z przywidzeniami olbrzymia;  
 Zabiję ciebie oczyma,  
 Gdy tu będziesz sterczał... W pole,  
 Że cię puszczam, odejdź rad.  
 Ruszaj, jeśli o się dbasz,  
 Twemu ojcu dałem w twarz,  
 Tobie tysiąc kopnięć w...

Rodryk:  
 Cierpliwości kres już kładzie  
 Ten bezwstydy.

Ximena:  
 Biedna ma głowa!

Diego:  
 Synu mój, zbyteczne słowa  
 Odbierają tęgość szpadzie.

Ximena:  
 Powstrzymaj gwałtowne ramię,  
 Rodryku.

Doña Urraca:  
 Okrutny los!

Diego:  
 Synu, synu, ojca głos  
 Przypomina hańby znamię.

(*Wybiegają za scenę; za chwilę słychać  
 krzyk hrabiego.*)

Hrabia:  
 Umieram!...

(*Première partie des Mocedades del Cid de D. G. de Castro, p. p. Ernest Merimée,  
 Toulouse 1890, Bibl. méridionale.*)



## POCZĄTKI I ROZKWIT ROMANTYZMU

MARIANO JOSÉ DE LARRA

(1812—1837)

## CZŁOWIEK BALON

Są ludzie stali, płynni i lotni. Człowiek stały jest ten człowiek ścisły, zwarty, stłoczony, który utrzymuje się w niższych warstwach atmosfery ludzkiej, skąd nie może poderwać się nigdy... Podścielisko ludzkości, fundament społecznego gmachu... Jest nim tłum niezmierny, który nazywamy ludem, który się zużywa, po którym się depce, zstępuje, wstępuje, w którym się kopie jamy, na którym się pracuje, cierpi. Czasem jednak powstaje i jest straszny; tak podnosi się grunt w chwili trzęsienia ziemi. Mówią wtedy, że otwiera oczy. To błąd; równie możnaby nazwać oczyma ziemi owe czeluście, które otwiera wulkan.

Człowiek płynny krąży, bieży, zmienia pozycję, objawia dążność do zapełnienia próżni, posiada już wyższy stopień ciepłota, pływa ustawicznie po człowieku stałym, macza go, psuje, żre, podmywa, dusi... Jest to stan średni... Cios, zadany ciału stałemu, odszczepia zeń kawałek; cios, wymierzony w masę płynną, napotyka opór, wywołuje falowanie i ruch. Oto spostrzeżenie: cios, wymierzony klasie średniej, odpryskuje ku temu, kto go wymierzył.

Człowiek gaz wreszcie, to genjusz, unoszący się ponad tamtymi obiema warstwami, poeta, artysta, myśliciel, polityk. (Tu wpada autor na tor satyryczny, stosując swą formułę do polityków współczesnych.) Aby gazowi nadać formę, niema innego środka, jak zamknąć go w naczyniu; dlatego nazwaliśmy takiego człowieka balonem.

Wzniesienia w 1808 i 1820 r. nie udały się; powinnyby znaleźć zastosowanie spadochrony. (A co za okrzyki przy każdym wznoszeniu się jakiejś osobistości):

Podnosi się; teraz, teraz; co za zaszczyt, co za splendor!... Ładują im balon, powierzą im go: patrz, jak się nadymają sami. Któż ośmielił się wątpić, że wystarczy gazu? (A potem, kiedy się już wzniosą, jak to znalazłszy się na wysokości pałacu, która nie jest wielką wysokością, zdają się maleńcy): człowiek balon jest już orzeszkiem, już jest niczem...

*(Revista española 1835.)*

Na dzień zaduszny: Figaro na cmentarzu. Poeta błądzi po ulicach Madrytu, które wydają mu się cmentarzem. Na froncie rezydencji czyta napis: «Tu spoczywa tron». — Na arsenale: «Tu spoczywa dzielność kastylska z wszystką swą amunicją». — Na ministerjach: «Tu leży połowa Hiszpanji, zmarła od drugiej połowy». — Na jednym głazie czyta napis: «Tu leży inkwizycja, córka wiary i fanatyzmu; umarła ze starości». — Na więzieniu: «Tu spoczywa wolność myśli». — Na giełdzie: «Tu leży kredyt hiszpański». — Wszystko pomarło; jeden cień handlu włóczy się po ulicach. — Była noc; chłód mroził mi żyły; chciałem wyjść koniecznie ze straszego cmentarza, uciec w głąb własnego serca, niedawno pełnego życia, złudzeń, pragnień... Święte nieba! Nowy cmentarz. Moje serce było tylko grobem; na nim napis: «Tu leży nadzieja».

*(Tamże 1836 r.)*

JOSÉ DE ESPRONCEDA Y LARA

(1808—1842)

## STUDENT Z SALAMANKI

Don Felix de Montemar, figura nienowa, poprostu hiszpański Don Juan, ale chodzący na sprężynach Byrona. Treść, poszarpaną tajemniczo, przedstawimy, jak jest, dla uznysłowienia manieri pisarza.

Część I. Czarna złowieszcza noc; godzina duchów; — naprzód nic, potem szcęk szpad i ludzkie jęki, wreszcie dosłownie taki szereg wierszy: «Jęk — ścichł; — jakiś cień — okutany w kapeluszu — wywiniętym — przemknął tuż — pod murem kościoła i w cieniu znikł». — Inna ulica: Pod krzyżem klęczy kobieca postać, tajemnicza figura przysuwa się, i tu mamy zaraz (poeta nie czeka, aby czytelnik sam coś z dalszej treści wywnioskował) — jej duchowy portret:

Drugi Don Juan Tenorio,  
Serce dumne a bezczelne,  
Nie religijne, lecz dzielne,  
Zwada, bój dla niego żart.

W oczach ustawnie zniewagę,  
A szyderstwo ma na wardze;  
Jakby mówił: «Wszystkiem gardzę,  
Cenię szpadę mą i hart».

Do dna zepsuty urąga  
Kobiecie, gdy się jej wdzięczy;  
Dzisiaj u kolan jej klęczy,  
A jutro już szydzi z niej etc.

Powieść się urywa; w części II zaglądamy przez kamienny mur do ogrodu; noc pogodna, ciepła, niebo gwiaździste; między drzewami przesuwa się biała postać w pełnym blasku księżyca. To Elwira. Łkanie szarpie jej łonem, tęsknota za kochankiem, wstyd opuszczonej wzbiera nad miarę. — Elwira kona.

Część III w formie dramatycznej. Dom gry. Trzej gracze rzucają kości o ostatnie stawki; między nimi Don Felix, wyniosły, chłodny, ironiczny, niedbały. Przegrywa wszystkie pieniądze, medaljon z portretem Elwiry, wreszcie ją samą. Zjawia się brat uwiedzionej, Don Diego, miota się, przeklina rozpustnika za śmierć siostry. Don Felix spokojny, szyderczy, wyzywa go na pojedynek; wychodzą na ulicę... Tu rozerwane części powieści zaczynają w się myśli czytelnika sklejać; ów szcęk, któryśmy słyszeli na początku, pochodził od tych dwojga szpad; jęczącym śmiertelnie — ranny Don Diego, mordercą — Don Felix, postacią pod krzyżem — duch Elwiry.

Ale proszę uważać, jaką romantyczny zapęd wyprawił poecie psotę! Łatwo skombinować, że noc śmierci Elwiry była nocą pojedynku. A choćby nawet pojedynek odbył się nocy następnej (boć Don Diego zemsty odkładać nie mógł), to i tak wypadnie na jedną dobę pełnia, a na drugą now...

Mniejsza z tem, straszny pomysł rozwiązania powieści każe zapomnieć o podobnych drobiazgach.

Część IV. Postać z pod krzyża wstaje; twarz ma zakrytą, ale kibić i ruchy powabne; dość, aby Don Felix już ją zuchwale zaczął, poszedł za nią i kusił. «Chodź za mną» — odszepnęła postać i poczęła wodzić go po ulicach miasta; im dalej szli, tem miasto wydawało się bardziej ogromne; ulice ciągnęły się w nieskończoność, a wszystkie jakby swojskie, jakby znajome. Wtem na jednym zakręcie spotkali jakiś ponury, tajemniczy, pogrzebowy konwój. «Spójrz!» — rzekła nieznajoma. — Don Felix spojrzął, i o zgrozo! Obaczył w otwartej trumnie swój sobowtór z bladą twarzą trupa. Ale odważny junak roześmiał się i poszli dalej. Ona ostrzega go: «Wróć, każdym krokiem zbliżasz się do śmierci». Odpowiedział cynicznym żartem — i tak szli, aż znaleźli się w jakiejś komnacie; nagle dno jej zapadło się, i Don Felix stanął na dnie piekła. Otoczyły go wieńcem widma, zbliżył się i Don Diego, żądając zadośćuczynienia dla narzeczonej. Ona też odsłoniła twarz i stanęła w środku...

Wstrętna, okropna martwica,

Biała kochanka śmiałego junaka.

«Ha, dobrze więc, biorę ją za żonę» — zawołał nieugięty szyderca.

Wtedy ten chudy i bezkrwisty szkielet,  
Swe długie, zimne, cuchnące ramiona  
Mocno mu splótszy u szyi, u łona,  
Czule, namiętnie do siebie przygarnie

I bezcielesną ust swych jamą szuka  
Ust Montemara, i o jego lica  
Zeschła, bezmięсна i żółta martwica  
Ociera swoją obrzydliwą twarz.

(*J. de Espronceda, Obras poeticas, Madrid 1884.*)

GASPAR NUÑEZ DE ARCE  
(1834—1903)

STROFY Z HASEŁ BOJOWYCH  
(1855—1868)

Gdyby tę lirę, co z Quevedą leży  
W mogile, dostać mogła moja ręka,  
To wśród tej zgrai kłamców i fałszerzy,  
Pośród wyziewu hańby, co kraj nęka,  
Śród atmosfery dusznej i nieświeżej,  
Śród tej duchowej Hiszpanji, co pęka...

Lira jego znalazłaby:

Głos oburzenia, gromkiego okrzyku,  
Któryby wstrząsnął ziemię aż do szpiku  
I w niej leżącą ludzkość!

— — — — —  
Lecz dziś, gdzie spojrzeć, broń mordercza bije  
Razem w Cezara i Boga...

— — — — —  
Wolność! ha, wolność! Nie jesteś ty więcej  
Ta w białej szacie przezczysta dziewica,  
Którą w snach widział duch mój pacholęcy:  
Bogini, która przepaści rozświeca  
I żądę chwały nieci wśród tysięcy;  
Ni na tyranów piorun; — n...  
Rokoszu, z więzów zerwane szaleństwo,  
Dziś cię poznałem i rzucam przekleństwo.

(Gritos de Combate.)

JOSÉ ZORILLA Y MORAL  
(1817—1890)

GRANADA  
(1852 r.)

Powieść jest poetycką historją Granady, od założyciela Alhamara do ostatniego z królów Boabdila, i dzieli się na dwie części: 1) Cudowne założenie Alhambry; 2) jej upadek. Już na wstępie spotykamy odurzające opisy Andaluzji i jej mieszkańców:

Tam więc, pod niebem jasnym, przezroczystym,  
Gdzie się Maurowie jak do rajy parli,  
Mieszka jeszcze dziś, w świecie rzeczywistym,  
— Jakby ci dawni ludzie nie wymarli —  
Kobieta z okiem i sercem ognistym,  
Ręką perłową, stopą miary karlej;  
Kobieta z rasy, której ledwo szczątek  
Skrył się w ten dawnej Arabji zakątek.

Owa hurysa, o której wieść dzwoni  
W czarodziejstw pełnych mitach musleminów,  
Spoczywająca pośród kwiatów woni  
Pod białem płótnem na łożu z jaśminów  
I wonne wargi z róży i lewkonji  
Odchylająca do słońca karminów;  
Jeszcze jej w uszach szept luby szeleści,  
Uścisk niedawny jeszcze zmysły pieści.

Tam obaczycie, jak Babelu miasta,  
 Ganków wiszących złoto i marmury;  
 Ponad tarasy silny cedr wyrasta  
 I smukła palma z kiściowemi pióry,  
 I słodki platan, i sosna żylasta,  
 I sykomorów poważne kontury,  
 Aloes wznosi się z róż legowiska,  
 Pośród nopalów cytryny liść błyska.

Opisy są najwyższą chwałą Zorilli; poeta zna język arabski i przyswoił sobie ową wschodnią manierę «Pieśni» Salomona, tak mało przystępną naszemu poetyckiemu poczuciu. Oto obraz Afrykanki:

Twoje włosy są ogrody,  
 Które czesze wonny wiatr,  
 Podczas gdy w niej maj zaplata  
 Wstęgi zielonych gałązek.

#### Pałac Jeneralife w Granadzie

O święty pałacu zambry<sup>1</sup>,  
 Gotowałno lubych godów,  
 Wysoki królu ogrodów  
 I trefnisiu żywych wód;

Królewski bracie Alhambry,  
 Pawilonie wiatrów wiewnych,  
 Faworycie ptaków śpiewnych,  
 Zwierciadło słonecznych wrót.

Granado, córko słońca, latarnio mórz nieba,  
 Zwierciadło hurys, płaszczu na ich gibką kibić,  
 Który Allah przed drzwiami rajy raz chciał przybić,  
 Ażeby mu zasłaniał koralowe bramy;  
 Skrzynio perłowa, wazo na cenne balsamy,  
 Z nazareńskiego kiosku pieścidełko cenne,  
 Święte, jak święta Mekka, jak Salem solenne.

#### GNOMY I KOBIETY

Pozwólcie, niech tu siedząc, gdzie burz nie dojdzie chmara,  
 Piję wiatry, co chłodzą Alhambrę Alhamara.  
 Pozwólcie, huraganu nim tuman się przetoczy,  
 Niech pod osłonę drzew tych ucieknę i niech oczy  
 Ja, starzec, raz obrócę za się.

Pozwólcie, niechaj westchnę i łzami się zaleję,  
 Niech nad grobem pomarzę, myślami poszaleję,  
 I niech nareszcie zginę, skoro mi zginąć pora,  
 Z sumieniem własnem w zgodzie; tak odkupując wczora,  
 Płacząc tego, co dzisiaj, i o jutrzejsze drząc.

Wstańcie mi w duszy znowu, marzenia moje rane,  
 Jak liście wiatrem wzięte i w morzach zabłąkane;  
 Wy wszystkie, hen, ode mnie wdał rozfrunięte rzesze  
 Sokole, wróćcie razem ku pochylonej strzesze,  
 Synowie marnotrawni, powróćcie pod swój dach.

(José Zorilla, *Obras*, Paris 1864, 3 vol.)

<sup>1</sup> Zambra, maurytański świąteczny taniec.

## CZASY NOWE

RAMÓN DE CAMPOAMOR Y CAMPOOSORIO

(1817—1901)

### SMĘTKI I ŚPIEWY

- «Księżu proboszczu, list napisać proszę!»  
 — «Liścik? Ej, wiem, do kogo...»  
 — «Boście widzieli...» — «No, no — nie rozgłoszę;  
 No, no, nie patrzę srogo.»  
 — «Darujcie...» — «Na cóż te minki rozpaczne?  
 Kochać się wszak nie bronię.  
 Noc, okazja... Daj papier, pióro; — tak. Więc zacznę:  
 Mój kochany Ramonie.»  
 — «Kochany?... Ależ... Zresztą, już przepadło.»  
 — «Nie chcesz? Nie nalegamy.»  
 — «Chcę, chcę...» — «Jakże mi smutno... Czy się zgadło. —  
 Jakże mi smutno samej.  
 Tęsknota dusi mię, nie wytrwam w męcel...»  
 — «Skąd wam myśli me znane?»  
 — «Starzec przez takie serduszko dziewczęce  
 Przegląda jak przez szklane.»  
 «Bez ciebie życie płynie mi nierzalnie,  
 Z tobą jak w raju ładnie.»  
 — «Księżu proboszczu — a piszciesz wyraźnie!  
 Niech pojmie to dokładnie.»  
 «Ten pocałunek, co na pożegnaniu  
 Dałam ci...» — «Skądże wiecie?»  
 — «Wszak przy rozejściu czy też powitaniu  
 Nie obejdzie się przecie...»  
 «Powróć mi, bo się już nie przewycięzę;  
 Stęknionam i strapionam...»  
 — «Strapionam? Jakto? Nic więcej?... A, księżu,  
 Napiszcie mu, że skonał!»  
 — «Skonał!... Czy ty wiesz, to Boska obraza!»  
 — «Skonał, skonał!...» — «Milcz, mała!  
 Mówię, nic z tego!» — «Ach, człowiek z żelaza.  
 Gdybym pisać umiała!»

(Dolores y cantares.)

### METEMPSYCHOZY

Czytałem, ja młody mól,  
 Starą księgę, gdzie uczenie  
 Głosił jakiś mędrzec król,  
 Że odmieniać przeznaczenie  
 Jest to tylko zmieniać ból.

Kwiat (mówi)

Sasanka wzrosłam nieznana  
 I wśród trzciny skończyłam byt,  
 Żądająca, nieżądana,  
 Nieznająca, co dnia świt,  
 Płacząca i nieplakana.

Zwierzę

Cisy rumak, z gonu w gon  
 I ze zwycięstw na zwycięstwa  
 Mknąc, zbierałem trudów plon:  
 Sobie rany — panu księstwa,  
 Panu chwałę — sobie skon.

Ptak

— — — — —

Kobieta

Piękna wśród ziemianek grona,  
 Kochanka — łamałam śluby;

Zaznałam niewiary — żona;  
Kto mię kochał — był nieluby,  
Kochając — byłam wzgardzona.

## Mędrzec

Przez ciernie za prawdą wślad  
Szedłem, dojrzyć chcąc jej lic;  
Od najmłodszych życia lat  
Celem mym — wszechbył, wszechświat,  
A odkryciem było: nic.

## Dykta tor

-----

## Człowiek

Czując, że się już wyczerpie  
Wnet fatalnych szereg przemian,  
Dziś na wąskim ziemi sierpie,  
Za przykładem innych ziemian,  
Żyję, płacę, wierzę, cierpię.

Słyszac księgę, czytelniku,  
Rzeczysz pewno: Cóż mi znaczy,  
Kwiatem, ptakiemli w gaiku,  
Genjuszem los być przeznaczy,  
Gdy ból zawsze mam w wyniku?..

## KOMEDJA WIEDZY

(Treść — wzięta z rzeczywistości.  
W teatrze zebranie liczne;  
Miejsce komedji Ateny,  
Epoka — czasy klasyczne.

Wielka pauza. — Scena pierwsza.  
Wchodzi na scenę jak śpiący  
Heraklit i, łkając głośno,  
Mówi w sens następujący):

«Aj, moja wiedza jest kłamna;  
Nie rozumiem nic na świecie,  
Choć wiem, że jest Bóg; — z niczego  
Nic nie może powstać przecie.

Powagę najwyżej stawię;  
Złym trzeba koniecznie bata...  
(Nieprawda! — wrzeszczy kanalja,  
Tak — woła arystokrata.)

(Heraklit): Myślę, powaga  
Monarsza jest taka władza,  
Którą ludzkich praw logika  
Z władzy Boskiej wyprowadza.

Wywodzi jeszcze długo swoje teorje;  
rezultat ich brzmi:

Jak mamy wyzyskać życie?  
Za winy łzami uderzyć,  
Rozmyślać, ciągle rozmyślać,  
Wierzyć i jeszcze raz wierzyć.

Heraklit wzdycha; teraz się Demokryt  
zjawia na scenie i, widząc, jak tamten wzdy-  
cha, zaczyna śmiać się szalenie, poczem przy-  
chodzi do ostrego sporu:

(Heraklit): Wszystko jest bólem!  
(Demokryt): Wszystko jest szalem!  
(Heraklit): Dusza jest ogniem!  
(Demokryt): Dusza jest kałem.

(Heraklit cichnie i mruczy):  
Życie ludzkie jest męczeństwem.  
(Demokryt): Świat jest materją,  
A ludzkie życie błazeństwem.

-----  
Jest częścią powszechnej duszy  
Ta człowiecza ziemska dusza.  
(Większość, prawie wszyscy: Brawo!  
Mniejszość ramionami rusza.)

(Demokryt): Wirem atomów,  
Wracających nieskończenie,  
Jest Bóg, życie i użycie,  
Sprawiedliwość, przeznaczenie.

Co jest, to powstało z tego,  
Co było przed wielą lat;  
Sam człowiek rodzi się, rośnie,  
Jak rodzi się, rośnie kwiat.

Z materji, która już jest,  
Ułoży się wieków kolej;  
Ludu, ciesz się dniem dzisiejszym,  
A nad przyszłością nie boleć.

(Śmiech i ogólne oklaski.)  
Demokryt: Z tego wynika,  
Że dusza to jest zmysł uczucia,  
Rozkosz — najwyższa etyka.

Żyć, znaczy myśleć i wierzyć  
(Mówi Heraklit i wzdycha).  
(Demokryt): Żyć, znaczy czuć  
I pić z rozkoszy kielicha.

(Płacz i śmiech. Niebo tymczasem  
Obojętnie bieg swój znaczy,  
Bo wreszcie, co mu do naszych  
Czyto uciech, czy rozpaczy?)

Ostatnia niewczesna refleksja autora psuje całość, bo przerzuca uwagę czytelnika na temat daleki od dialogu aktorów. W dalszym ciągu:

(Szmer. Cisza. Rozczarowanie.  
Wstępuje trzeciemi drzwiami  
Sokrates — jak mówi Homer —  
Z śmiechem ukrytym pod łzami.)

(Sokrates): Warjat warjata  
— Widzę — przegadać się stara.  
Nie widzisz, że między małym  
A dużym właściwa miara?

Każę na temat: Wiem, że nic nie wiem —  
i: Znaj siebie samego:

«Poznaj się» — powinno być  
Człowieczej wiedzy otchłanią;  
Kto się zna, ten rozeznaje,  
Ile jest przed nią, a za nią.

«Lud trzeba wykształcić dla zrozumienia mądrości»; motłoch syka, a Sokrates: «Dzięki! Tłum wszechwładny przypomina zawsze bezstronnemu człowiekowi obecność powszechnego tyrańca». — Nowe syki, sensacja. — Sokrates: «Królem jestem własnej duszy i słucham jedynie tego prawa, które Bóg złożył w mym rozumie».

(Motłoch wyje oburzony.  
Sokrates z godnym obliczem):  
Człowiek jest środkiem wszystkiego,  
A przed nim wszystko jest niczem.

Jest jeden Bóg. (Wielka wrzawa  
I rozruch pośród hołoty.)  
Sokrates: Bóg, twórca piękna,  
Bóg, twórca dobra i cnoty.

(*R. de Campoamor, Obras completas, 8 vol., Madrid 1901—1903.*)

Serca, jak moje, jedynie  
Jemu czci złożą trybuty.  
(Tłum wrzeszczy: Bezbożnikowi  
Biada! Cykuty, cykuty!)

Sokrates wśród obelg zdoła wymówić jeszcze: «Śmierć, ostatni dar Nieba», autor zaś wysuwa refleksję:

Któryż sąd: mędrca czy tłumu  
Ma przed rozumem pierwszeństwo?  
Jeśli mędrca — chwała życiu;  
Jeśli motłochu — przekleństwo!

(Tłum objawia niecierpliwość.  
Rozpoczyna się akt czwarty.  
Wchodzi Diogenes z latarnią,  
Na plecach wór, płaszcz podarty.)

Rozwija bardzo długo swoje cyniczne teorie marności życia i streszcza je w tej końcowej formule:

Co jest święt? — To, co widzimy.  
Wiedza? — To, czego nie znamy.  
Bóstwo? — To, co szanujemy.  
A cnota? — To, co kochamy.

Autor zaś zamyka komedię epilogiem, usprawiedliwiającym wahanie się ludzkości wśród takich kontrastów:

Więc chociaż do duszy tłumu  
Z cnoty harmonja się śmieje,  
Choć z swojej wiary ma błogość,  
A z swego Boga nadzieję,

To, słysząc mędrców tych klótnie,  
Nie zgadnie, w co ma uderzyć:  
Czyli ma śmiać się, czy płakać,  
Czyli ma wątpić, czy wierzyć.

GUSTAVO ADOLFO BÉCQUER  
(1836—1870)

#### PRELUDJUM

Zowę się hymnem dziwnym, gigantycznym,  
Hejnałem zorzy w nocy przesileniach;  
A karty pieśni moich są rytmicznym  
Spadkiem, którym wiatr uderza po cieniach.

I chciałbym pisać — pełen świata wzgardy —  
Zmieniając język ten błady i twardy  
Na słowa gromkie, coby były razem  
Szlochaniem, śmiechem, muzyką, obrazem.

Próżny wysiłek, bowiem niema mowy,  
Coby wydała ten hymn piorunowy;  
I dość mi — piękna! — gdy trzymam twe dłonie,  
Jeśli go tobie miast światu wydzwonię.

Pewnego dnia ukochana kobieta zdradza go; opowiada mu o tem przyjaciel; cała historia wewnętrznej walki po tem odkryciu maluje się w rozdzierających tonach dalszych poematów, aż do rozpaczego finału:

Wy, miotające się z rykiem bałwany  
Na brzeźną skałę i niby w wałtuchy  
Otulające ją w białawe piany,  
— Weźcie mię z sobą!

Wy, nad lasami dzikie zawieruchy,  
Których pęd liście z drzew najwyższych strzyże,  
A potem gubi w rozwichrzonym wirze,  
— Weźcie mię z sobą!

Weźcie przez litość, gdzie mi pamięć moje,  
Gdzie mi wraz rozum i życie zabierze:  
Przez litość! bo sam pozostać się boję  
Z taką boleścią.

(G. A. Bécquer, *Obras*, 3 vol., 1898.)

## MANUEL TAMAYO Y BAUS

(1829—1898)

### DRAMAT NOWY

Dla zaznaczenia wprost swego rewolucyjnego zamysłu przenosi nas poeta w świat szekspirowski, z Szekspirem samym jako aktorem. Treść zawikłana nieco, gdyż przedstawiająca dramat w dramacie i scenę na scenie (wzorem «Hamleta» i «Snu nocy letniej»), wymaga pewnej bacności.

Mistrzowska ekspozycja znajduje się w pierwszej scenie: Szekspir, dyrektor teatru, trzyma w ręku manuskrypt, z którego rozdziela role między swych aktorów. Treścią wystawianej przezeń sztuki jest smutny dramat, rozgrywający się w domu hrabiego Oktawjusza, któremu wychowaniec Manfred — z fatalności spotkania się dwojga idealnych istot — uwodzi żonę, piękną Beatrycę. Do Szekspira zbliża się bufon Yorick, prosząc o rolę Oktawjusza, gdyż — jak mówi — śmiech sobie uprzykrzył. Szekspir wie, że w domu Yoricka, który zaślubił młodą aktorkę Alicję i przyjął na wychowanie sierotę Edmunda, istnieje sytuacja ta sama, roli więc oszukanego męża dać mu nie chce, wreszcie jednak naparty ustępuje. Alicję i Edmunda, którzy mają grać Beatrycę i Manfreda, zaczyna osnuwać sięcią nienawiść rywala Yorickowego, Waltona. W tym drugim akcie są sceny prześliczne, czy kiedy kochankowie czują zgryzoty nad niewdzięcznością i zdradą, czy kiedy podejrzliwy Yorick, raz wściekły, raz czuły, wzywa Alicję, aby wszystko wyznała.

W akcie III widzi się scenę i przedstawienie nowej sztuki. Aktorowie przechodzą sami siebie i wywołują burzę oklasków. Yorick gra znakomicie zazdrosnego męża, Alicja i Edmund kochanków, Walton zdrajcę. W pewnej chwili Edmund, który widzi się odkrytym przez Waltona, podsuwa Alicji bilet i oddaje Yorickowi w miejsce białej kartki, przygotowanej w rekwizytach. Tak dramat udany przemienia się na prawdziwy: Edmund i Yorick wypełniają w ciągu dalszym swe role, dobywając szpad, pierwszy pada na ziemię raniony — śmiertelnie! Publiczność klaszcze, zachwycona realizmem gry, i dopiero w zakończeniu dowiaduje się o prawdzie. Szekspir wychodzi i w epilogu powiada: «Panowie, widzicie: Yorick w gorączce gry zranił aktora, który grał rolę Manfreda. To nie wszystko: Waltona znaleziono leżącego z przebitą piersią u wejścia do teatru. Módlmy się za umarłych i za morderców».



Pomyśleć, jaki efekt grozy i przerażenia musi wywoływać sztuka ta na patrzących. Granica rzeczywistości i udania zaczyna się przed widzem zacierać, tak że narazie nie może sobie zdać sprawy, czy istotnie tam na deskach nie grał się dramat prawdziwy. W tem o władnięciu widzom zawiera się też najwyższy triumf poety.

## ADELARDO LÓPEZ DE AYALA

(1829—1879)

### TYLE OD STA

Rzecz dzieje się u wód, w prowincji Santander; bohaterowie pochodzą z mieszczańsko-arystokratycznego madryckiego świata. W scenie I poznajemy zaraz całe szanowne grono ludzi interesu: Robert, przedsiębiorca-inżynier, który przedstawia plany przyszłego kanału kastylskiego i zachęca do zakupu akcji, mogących nabrać wysokiej wartości; Gaspar i żona jego Petra, chytrzejsza od męża i zdatniejsza do zawikłanych interesów, demoralizująca dobrego w gruncie rzeczy człowieka gorączką zysku; Andrzej, kuzyn Petry, bankrut fizyczny, moralny i majątkowy, pragnący ratować się opętaniem hrabiny Izabeli i zmuszeniem jej do małżeństwa. Na tem brudnym tle jaśniej odbija jedynie bezinteresowna, idylliczna miłość Pawła i Izabeli. To też oboje są obsaczeni. Na nią zastawia Andrzej piekielne sidła; oto, jak Robert podpowiada mu własny jego plan:

Robert:

Nie spuszcza hrabiny z oczu,  
Ale krok w krok za nią chodzę,  
Zawsze pełen najgłębszego  
Szacunku; nie mówię nigdy  
O miłości lub małżeństwie...  
Czynię tak, aby pozory  
Przedstawiły mię szczęśliwcem,  
I tak to w niej budzę ufność,  
U drugich budzę domysły.  
W ten sposób...

Jest to «kalumnja niema», która często prowadzi do celu. Obok niej zna dobrze Andrzej środek jeszcze cyniczniejszy: chce ją skompromitować, jak przed laty biedną dziewczynę, do której dostał się przez balkon po sznurowej drabinie, wybrawszy chwilę taką, iż go spostrzeżono. «Co za zdarzenie» — powiada:

... «ten sam

Pokój służy za sypialnię  
Hrabinie; cel mój jest zacny:  
Naprzód ją skompromituję,  
Potem skłonię do małżeństwa».

Ale łotr znajduje mistrza w Robercie.

«Ha! ten głupiec ją zniesławi,  
Ja wtrączę się, w jej obronie  
Stanę i...

słowem, myśli użyć Andrzeja za narzędzie jej niesławny, a potem przedstawić się wybawcą, prosząc ją o jej rękę.

Drugą sieć zastawiono na Pawła. — Paweł kupił wille, która podobała się jego ukochanej; w chwili, gdy potrzeba złożyć pieniądze, dowiaduje się o bankructwie domu handlowego, gdzie był umieścił swoje kapitały. Od kupna cofać się nie chce, gdyż dał słowo; potrzeba mu 15 tysięcy duros. Gaspar podsuwa Roberta, «przyjaciela z lat dziecinnych», który przez pamięć tych świętych więzów pożyczka rzeczona sumę, ale

bierze w zastaw majątek Pawła w prowincji Zamory, «à carta de gracia», t. j. z warunkiem wykupu w pewnym terminie. Posiadłość leży właśnie na przestrzeni, którą ma przecinać kanał; ponieważ sam Robert tak dużej sumy nie posiadał, składają się na nią w sekrecie Robert, Gaspar i Petra, a nawet — świetnym pomysłem — Sabino, lokaj Pawła, i Ramona, pokojówka hrabiny. Właśnie dzienniki donoszą o udzieleniu koncesji na kanał: chęć zysku zamienia nagle tych akcjonariuszów w moralnych zbrodniarzy. Aby Paweł nie mógł wykupić zastawu, potrzeba rozerwać jego małżeństwo z Izabelą, której posag mógł go ratować; więc w półsłówkach, w aluzjach, zwierzeniach, sposobami owej «niemej kalumnji», wmawiają w Izabelę, że Paweł zrujnowany chciał ją wyzyskać, że jest to rozpustnik, który umizgał się nawet do Petry i Ramony. Hrabina wierzy (zarzucić można, że zbyt łatwo wierzy), wyróżnia ostentacyjnie Andrzeja — Paweł, zrozpaczony, usuwa się.

W akcie II Andrzej wykonywa swój haniebny plan, wchodząc oknem do mieszkania Izabeli i zostawiając drabinkę u balkonu; na szczęście, ona sama bawiła całą noc w sąsiedztwie u Petry. Przyszedszy do przekonania, że ją zwiedziono, radaby przebłagać Pawła, ale już wieść rozeszła się; Paweł przybywa, aby ją potępić. Nieszczęsna wzywa na świadków swej niewinności wszystkich, którzy o niej musieli być przekonani; szal zysku zamyka im usta, odwracają się ze wstydu, lecz milczą. Hrabina dostaje ataku nerwowego, który wpędza ją w ciężką chorobę.

Akt III. Zbliżył się termin, w którym majątek Pawła, niewykupiony, ma się dostać w ręce akcjonariuszów. Robert ułożył plan swój znakomicie: Andrzeja, od którego ma w ręku list o chybieniu zasadzki, posyła do więzienia za długi, sam zaś przedstawia się z tym dowodem, jako rycerz-mściciel. Plan chybia: Izabela wykupuje w ostatniej chwili majątek Pawła, poczem zrehabilitowana oddaje mu swą rękę.

W scenie 5 aktu III hrabina pyta kolejno swych katów, czy straszne sny ich nie dręczą:

Hrabina (*wychodząc*):

Hola, dobrzy ludzie!

Gaspar:

Dzisiaj

Bogu dzięki ma się lepiej.

Petra (*do hrabiny*):

Zdrowsza?

Hrabina:

Jak się wam powodzi

Od tamtej ostatniej nocy?

Petra:

Dobrze.

Hrabina:

Sny macie spokojne?

Gaspar:

Tak, a chora?

Hrabina.

Co, ja?... Rzadki

Wypadek, bym ja nie spała,  
A wy spali.

Ramona:

Znów zaczyna!

Hrabina:

Jaka szczęśliwa. Śpisz mocno?

Petra:

Czyż nie powiadam, że tak!

Hrabina:

Przyśnię ci się czasem?

Petra:

Nie.

Hrabina:

Jak mało mię kochasz!...

W scenie 7 aktu I Andrzej przysuwa się do Izabeli, chwalać kwiat przyspilony u gorsu:

Andrzej:

Jaki piękny kwiat!

Hrabina:

Rzeczywiście,

Ładny hiacynt.

Andrzej:

Dwa duże

Bukiety dają zań — pani!

Hrabina:

Nie, bo musiałbyś pan stracić.

Andrzej:

Kwiat, co spoczął na tem łonie,  
Wart tyle, co ogród cały!

Hrabina:

Gdy tak, mój panie — ja stracę.

JOSÉ DE ECHEGARAY y EIZAGUIRRE  
(1832—1916)

WIELKI GALEOTTO

Ernest bawi w domu bogatego przemysłowca Juljana, który przyjął ubogiego chłopca z obowiązku wdzięczności, winnej jego ojcu, a swemu niegdyś dobroczyńcy. Mimo że Juljan i jego młoda żona Teodora uważają go i goszczą jak brata, Ernest czuje niewłaściwość swego położenia, zwłaszcza, że złośliwy świat, który jest tu przedstawiony w osobach familji pana domu: Sewera, jego żony i syna, mieszkających o piętro wyżej, domysłami i półsłówkami wnosi pod dach Juljana brzydką marę podejrzeń i nieufności. Ernest postanawia wyjechać, a tymczasem zamieszkuje gdzie indziej; ze swej strony Juljan, w którym uczucie szlachetnej przyjaźni bierze górę, pragnie go zatrzymać i przywrócić dawny stosunek; niestety, podłożona mina wybucha, fatalizm zaś, ten sam fatalizm, który jest złym duchem tragedji Calderona, sprowadza katastrofę. W akcie II ruch skoncentrowany zrzęcznie w domu Ernesta. Ma się odbyć pojedynek między nim a baronem della Rocca, który w klubie rzucił cyniczną uwagę o jego stanowisku w domu Juljana, ten zaś, uważając, że tylko mąż ma prawo upomnieć się o dobre imię żony, uprzedza Ernesta i staje z baronem do owego pojedynku, do którego sekundanci wybrali w tym samym domu, na wyższym piętrze, opuszczoną malarską pracownię. Tymczasem, na chwilę przed umówioną godziną spotkania, zjawia się w mieszkaniu Ernesta Teodora, błagająca przyjaciele — bo dotąd nie jest niczem więcej — o zaniechanie zamiaru; — żądanie nieco dziwne, boć Ernest wymierzył był baronowi policzek, więc żadna na świecie «przyjaźń» nie mogła go odwieść od dania słusznej satysfakcji. To zjawienie się Teodory jednak dowodzi głębszego niż przyjaźń uczucia, a choć do końca nie wyjawione, będzie ono już etycznym usprawiedliwieniem tego, co nastąpi — znowu iście po calderonowsku; Juljana ciężko rannego wnoszą do mieszkania Ernesta, Teodora biegnie ukryć się w alkuwie, ale rannego trzeba złożyć na pościeli; Ernest otwarciu drzwi przeszkodzić nie może, na progu zjawia się Teodora, Juljan, przekonany o jej winie, pada zemdlny.

Akt III w domu Juljana; Ernest przychodzi po raz ostatni pożegnać Teodorę, spróbować chęci usprawiedliwienia. Zacięty w gniewie brat rannego i reszta familji nie słucha go, zasypuje obelgami, równie jak Teodorę; nieszczęśliwi zbliżają ku sobie ręce, wzruszeni wspólnością strasznej doli; w tym momencie staje na progu Juljan i, przekląwszy oboje, uderza Ernesta w twarz, poczem z wysiłku ślania się i kona. Sewer, brat zmarłego, wypędza Teodorę z domu i pokazuje drzwi Ernestowi, ale ten, odzyskawszy teraz odwagę, która obecnym wydaje się czelnością, woła:

Ernest:

Niech się nie zbliża nikt do tej kobiety;  
Moja jest, tak chciał świat, wyrok przyjmuję.  
W ramiona rzucił mi ją, Teodoro,  
Chodźmy stąd; — skoro wypędzasz, słuchamy.

Sewer:

Nakoniec, nędzny!

Pepito:

Bezczelny!

Ernest:

Czem chcecie.  
Ha! teraz macie słuszność, ty i wszyscy.  
Zachciałeś pasji? — Masz pasję, szalenstwo.  
Chcesz więcej? — Dobrze! aż się sam przerażę.  
A rozpowiedzcie, rozpowiedzcie! Echo  
Niech się rozniesie w bohaterskiem mieście.

Lecz jeśli spyta kto, gdzie jest infamis,  
Gdzie bezecności bezecny pośrednik,  
To odpowiedzcie: Tyś nim był bezwiednie,  
A z tobą głupców języki!...

## JACINTO BENAVENTE

(ur. 1866)

## ZŁA MIŁOŚĆ (LA MALQUERIDA)

## Akt III. Scena 10

A c a c i a:

...Wprzód chciałam mówić z tobą, matko.

R a j m u n d a:

Mówić ze mną? Wydajesz mi się zaniepokojona. Tak rzadko odzywasz się do mnie. Mówić o czym?

A c a c i a:

O tem, coście postanowili zrobić ze mną.

R a j m u n d a:

Podsluchiwałaś?

A c a c i a:

Nigdy nie miałam tego zwyczaju. Ale dziś musiałam. Zależało mi na tem, aby wiedzieć, co układałaś z tym człowiekiem. Okazuje się, że kto w tym domu jest niepotrzebny, to ja. My, w których niema winy, musimy płacić za tych, w których jest jej wiele. A to wszystko, abyś ty mogła żyć po pańsku ze swoim mężem. Jemu przebaczasz wszystko, a mnie wyrzuca się z domu nie poco innego, jak tylko, abyście wy żyli swobodniej.

R a j m u n d a:

Co ty mówisz? Kto mógłby cię wyrzucić z tego domu?

A c a c i a:

Wiesz sama, coś mówiła. Że mię wyślesz do klasztoru w Encinar, a tam zamkniesz mię może na całe życie.

R a j m u n d a:

Nie pojmuję, jak możesz tak mówić. Czy to nie ty powiadałaś sama, że miłoby ci było przebyć tam kilka dni między zakonnicami? I czy to nie ja nie chciałam nigdy pozwolić z obawy, żebyś nie chciała tam na zawsze pozostać? A z ciotką Eugenją, ile to razy prosiłaś, abym ci pozwoliła iść z nią? A teraz, kiedy składa się doskonale dla wszystkich, dla dobra tego domu, który jest twój i tylko twój, i kiedy zależy na tem, aby wszyscy wyszli stąd z podniesionem czołem... jakże chcesz, abym zwłóczyła z człowiekiem, którego ty powinnabyś uważać za ojca?

A c a c i a:

Chcesz powiedzieć, jak Juljana, że to ja byłam wszystkim winna?

R a j m u n d a:

Nie mówię nic. Tyle wiem, że on nigdy nie mógł uważać cię za córkę, bo nigdy dla niego córką nie byłaś.

A c a c i a:

Czy to ja narzucałam mu się na oczy? Czy to ja kazałam zabić Faustyna?

R a j m u n d a:

Milcz, dziewczyno, milcz. Gdyby cię stamtąd słyszano!

Acacia:

Nie dopniesz swego. Jeżeli chcesz uratować tego człowieka i zamilczeć o wszystkim, co się tu działo, to ja opowiem sądowi i wszystkim. Ja dbam tylko o swój honor. Nie o czyj, co go niema i nigdy nie miał, bo jest zbrodniarzem.

Rajmunda:

Milcz, milcz, córko! Mróz po mnie przechodzi, słuchając, jak ty go nienawidzisz, gdy ja mu prawie przebaczyłam.

Acacia:

Tak, nienawidzę go, nienawidziłam go zawsze, a on o tem wie. A jeżeli nie życzysz sobie, żebym go wydała, niechby mię zabił. Tak, niech mię zabije, żeby się przekonać, czy na jedną chwilę przestaniesz go kochać!

Rajmunda:

Milcz, córko, milcz!

### Scena 11

Rajmunda:

Stefanie!

Stefan:

Ma rację, ma rację. Nie ona wyjdzie z tego domu. Ale nie chcę, aby to ona wydała mię sądowi. Wydam się sam. Nie baczcie! Ale nim tu wejdzie, wyjdę im na przeciw. Puść mię, Rajmundo. Zostaje ci córka. Wiem, że tybyś mi przebaczyła. Ona nienawidziła mię zawsze. Rajmundo!

Rajmunda:

Nie, Stefanie mojej duszy!

Stefan:

Puść mię, puść mię, bo zawołam ojca Norbertowego i wyznam wszystko tu, na tem miejscu.

Rajmunda:

Córko, córko, widzisz. To dla ciebie. Stefan! Stefan!

Acacia:

Nie pozwól mu odchodzić, matko.

Rajmunda:

Ach!

Stefan:

Chcesz wydać mię sama? Czemu mię tak nienawidziłaś? Czemu nigdy nie słyzałem od ciebie: Ojczel! Gdybyś wiedziała, jak kochałem cię zawsze.

Acacia:

Matko! Matko!

Stefan:

«Krzywoluba» byłaś wbrew mojej woli. Ale przedtem, jak ja cię kochałem!

Rajmunda:

Czy nie nazwiesz go nigdy ojcem, córko?

Stefan:

Ona nigdy mi nie przebaczy.

Rajmunda:

Tak, córko, uściskaj go. Niech usłyszy, że mu mówisz: ojczel! Nawet umarli przebaczą nam i będą radować się z nami.

Stefan:

Córko!

Stefanie! Boże mój, Stefanie!

A c a c i a:

Ach!

S t e f a n:

R a j m u n d a:

I teraz jeszcze nie powiesz mi: ojciec? Co? Czy zmysły straciłam. Usta przy ustach i ten uścisk! Idź precz! Teraz widzę, dlaczego nie chciałaś nigdy nazywać go ojcem. Jezu! Rajmundo! Córko!

R u d y:

Co zrobiłeś? Co zrobiłeś?

J e d e n z t ł u m u:

Zabijcie go.

S t e f a n:

Możecie zabić; nie bronię się.

B a r n a b a:

Nie, wydać go żywcem.

J u l j a n a:

Ten zły człowiek to zrobił, ten zły człowiek. Zabił ją. Rajmundo, nie słyszysz?

R a j m u n d a:

Słyszę, Juljano. Nie chciałabym umrzeć bez spowiedzi. A czuję, że konam. Tyle krwi... Nie szkodzi. To przecież dla mojej córki...

J u l j a n a:

Acacio, gdzie jesteś?

A c a c i a:

Matko, matko!

R a j m u n d a:

Mniej boli, skoro wiem, że to nie za nim płakałaś.

S t e f a n:

Z tobą; zawsze razem. Aż do piekła. Jeżeli mam być potępiony za to, zem cię kochał. Pójdziemy oboje. Niech nas ścigają po tych wybojach. Kochać i posiadać; będziemy jak zwierzęta, nieuznające ojców ni braci.

R a j m u n d a:

Tutaj, tutaj. Tu jest morderca! Chwytajcie mordercę. *(Zbiegają się ludzie.)*

S t e f a n:

Odstąpcie, nie będę zważał na nic.

R a j m u n d a:

Nie wyjdiesz. Chwytajcie zabójcę.

S t e f a n:

Odstąp, powiadam.

R a j m u n d a:

Naprzód mię zabij.

S t e f a n:

Więc dobrze. *(Strzela z rusznicy i rani Rajmundę.)*

R a j m u n d a:

Ach!

J u l j a n a:

Teraz widzę, że to ty byłaś winna wszystkiemu, przeklętnico!

A c a c i a :

Tak, tak, zabij mię. To prawda, to prawda. Był jedynym, którego kochałam.

S t e f a n :

Ach!

R a j m u n d a :

Co mówi, co mówi? Zabiję cię, przekłeta.

S t e f a n :

Nie zbliżaj się.

R a j m u n d a :

Zabronisz mi?

S t e f a n :

Nie zbliżaj się, mówię.

R a j m u n d a :

To tak; odsłoniliście się. Nie na mnie samej będzie ciążyć krew. Niech tu przyjdą wszyscy. Niech się zbiegną wszyscy. Chwytajcie zabójcę. I tę złą kobietę, która nie jest moją córką.

A c a c i a (do Stefana):

Uciekaj, uciekaj.

R a j m u n d a :

Ten człowiek już nic nie zdoła przeciw tobie. Jesteś ocalona. Błogosławiona krew, co zbawia, jak krew Pana naszego.

(*Jacinto Benavente, La Malquerida, 4 wyd., Madrid 1924. Dramat przedstawiony po raz pierwszy w teatrze «Princesa» 1913.*)

## SALVADOR RUEDA

(ur. 1857)

### MOTYL (Z PIEŚNI WINOBRANIA)

Leć i leć, polatuj,  
Motylu szalony,  
Ssij słodczyce z każdej  
Kwiatowej korony.

Po zatoce złota  
W powietrze rozgrzane  
Wpisuj swe wykresy  
Nieskontrolowane.

Skrzydła twoje, ręce  
Okrętowe śmigła,  
Fale róż i lilij  
Krają bez fatygi.

Kurzawa kolorów —  
Twych szat przyodzięwa;  
Słońce je swą nicia  
Jak taśmą przyszywa.

Leć i leć, polatuj,  
Motylu szalony,  
Wypijaj słodczyce  
Łąki ukwieconej.

(*Salvador Rueda, Poesias escogidas, Madrid 1912.*)

### TRENY CYGAŃSKIE

Powierza gitarze  
Ból swój cygan młody;  
Smętne «soleary»  
Wielkanocnej środy.

Strun nieukojonych  
Gorzka skarga jęczy,  
Skarga bez pociechy, stracił jej uśmiechy,  
I żal go zamęczy.

Płacz w serdecznym wstrząsie  
Rozszlochane dźwięki,  
Jak z piersi ranionej, skąd naprzemian  
Krzyk i bólu jęki. [rwa się:]

Są te soleary  
Nieszczęścia lamentem  
Duszy, co wydziera z głębin swej udreki  
Istność swą ze szczętem...

Te jego szlochy, to jest rytm cygański  
Człeka, co schodził wszystkich ziem granice,  
Ras i narodów i wie, że dla jego  
Rasy nigdzie się nie wznoszą dzwonnice.

Idą, idą bezustanku,  
Niosąc na grzbiecie dzieci,  
Kłęb istot dziwaczny.  
Z kędziory skoltunionemi,  
Na rękach guzy szerniałe,  
Biodra, jak zdjęte z zawiasów,  
Oczy głębokie zuchwałę,  
Ciemny profil nazareński,  
Skąpany w przedziwnej urodzie.

Idą, idą, idą,  
Krzyżując swe kroki  
Pod kokosami włochatemi Wschodu,  
Pod konarami prabiblijnych cedrów,  
Pod arkadami omrożonych sosen,  
Pod triumfalnem sklepieniem platanów.

Słuchaj, jak śpiewa  
Głos szlochający  
Swoje lamenty,  
Swe «miserere»:  
Nie mam na dłoń ziemi,  
By mi użyczyła  
Śmiertelnej pościeli...

(*Tamże, str. 181–2.*)

## RUBÉN DARÍO

(1867–1916)

### ŁABĘDZIE

Czego chcesz się dowiedzieć, piękny biały ptaku?  
Szyję naprzód wygiąłeś jak dziwne pytanie  
Ku milczącym wędrowcom na miesięcznym szlaku,  
Kwiatów uwłaszczycielu, jeziora tyranie.

Dziś tutaj cię pozdrawiam słowy łacińskimi;  
Garcilasa widziałeś może niegdyś wcześniej.  
Jestem syn Ameryki, wnuk hiszpańskiej ziemi,  
Sam Quevedo w Aranjuez mógł ci nucić pieśni.

Łabędzie, waszych skrzydeł chłodzone wachlarze  
Kładą się nam na skroniach przezystą pieczęcią,  
W swej pozie malowniczej śnieżyci żeglarze  
Spędzacie z mózgow naszych smętki, co je gniotą.

Otulamy się mgłami północnych ostudzeń,  
Powiędły palmy nasze, róże opadają;  
Skarłatym mózgom naszym zabrakło już złudzeń,  
I staliśmy się własnych dusz żebraczą zgrają.

Wróżą nam nową wojnę z krwawych orłów stadem,  
Lecz nie wrócą sokoły siadać nam na pięści,  
Ani kosy zabłysną prastarym wypadem,  
Cydem, Alfonsem, Jaimem los nas nie uszczęści.

Nam, cośmy się musieli wyrzec wielkich czynów,  
Cóż zostało, jak błądzić nad jeziorem ciemnym;  
W braku laurów omdlewać od woni jaśminów,  
Zamiast zwycięstw ludzi się pochlebstwem nikiemnem.

Hiszpanja ta nam bliska i tamta daleka  
Przebywa tu na wschodzie swą fatalną kolej,  
Chcesz wiedzieć, pytaj Sfinksa, co pytania czeka,  
Jaka nam będzie przyszłość i koniec niedoli.



Czy padniem wszyscy w szpony północnego zwierza?  
Tyle milionów ludzi ma mówić bełkotem?  
Niemasz to już szlachcica, niemasz to rycerza?  
Będziemy milczeć dzisiaj, aby płakać potem?

Oto krzyk mojej piersi! Wy, wierne łabędzie,  
Wiekowych rozczarowań naszych świadki bratnie!  
Gonią po prerji żrebce w szalonym oblędzie,  
I lwa konającego drżą ryki ostatnie.

A Czarny Łabędź mówił: Noc nie jest bez końca;  
Tuż Biały: Zorza wróży, że wnet rozednieje,  
Będzie rano; kraju mój harmonji i słońca,  
Puszka Pandory na dnie ukryła Nadzieję.

(*Rubén Darío, Antologia poetica, Los Cisnes, Madrid, Renacimiento s. d.*)

#### BIAŁA KARTA

Oczy zwróciłem w godzinę rozmarzeń  
Na białą kartę.  
Przede mną snuł się pochód mar i cieniów;  
Stąpały kobiety z twarzami posągów,  
Z twarzami lśniącymi bielą alabastru,  
Smutne, słodkie, łagodne i blade,  
Niby wizyjne, dziwne poematy,  
Poematy z łez i pocałunków;  
Historje, których okrutne momenty  
Odrazu męski ośnieżają włos.

Jakież płaty bieli los kładł mi na skroniach,  
Jakie wczesne zmarszczki złościł mi na licu,  
I jakże chcecie, by stąpały lekko  
Zmęczone wielbłądy długiej karawany?

Zmęczone wielbłądy,  
Figury wycięte z jakiejś panoramy,  
Jakgdyby to była pustynia ze szronu,  
Stąpają po karcie białej.

Jeden dźwiga brzemię  
Cierpień i lęków prastarych,  
Lęków ludzi, cierpień całej rasy,

Cierpień i lęków, z jakimi Chrystusy  
Schodzą na padół tragiczny.

Drugi dźwiga  
Na swym grzbiecie  
Szkatuły pereł, wonności i złota,  
A kroczą w orszaku Saby.

Inny znów  
Dźwiga trumnę,  
W której spoczywa, zmarła boleściwie  
Jak martwa lilja, nieszczęsna Otucha.  
Pojeżdża na dromaderze  
Pani biała,  
Przybrana w ciemną szatę,  
Królowa niezwalczona, niepogwałcona, piękna  
Śmierć.

A człowiek, co go ciężkie wizje obsiadły  
I co w gwiazdach niebieskich ogląda  
Dziwy i tumany, znaki przerażenia,  
Wpatruje się w dromadera, karawany  
Przodownika, który światło wiedzie  
Na szerokie pustkowię  
Białej karty.

(*Tamże, Antologia poetica, Carta blanca.*)

#### ANTONIO MACHADO

(ur. 1875)

#### SOLEDAD

Lubię wysłuchiwać  
Prastare kadencje,  
Co je nucą dzieci,  
Wodząc się za ręce.  
Wyspiewują chórem  
— Rozmarzone dusze —

Rzekłbyś, zdrój się toczy  
W kamiennej pielusze.  
W ciągłej monotonji,  
Z nieustannym śmiechem,  
Co nie jest radością,  
Lecz lkań dawnych echem;

Co nie jest goryczą,  
Ale głosi smęty,  
Żałości miłosne  
Prastarej legendy.

Z drobnych ust dziecięcych  
Melodja wyrasta:  
Sens jej powikłany,  
Lecz tęskność wyraźna,  
O starych miłościach —  
A jest ich niemiara!

Tak igrając w cieniu  
Na placyku starym,  
Śpiewają piosenki,

Jak w skalnej pielusze  
Toczą się kryształem  
Wieczystej legendy.

Wyśpiewują dzieci  
Swe naiwne pieśni  
O czemś, co przechodzi,  
Ale podejść nie śmie.  
Sens jest powikłany,  
Lecz tęskność wyraźna.

Szeptala krynica  
Swoj odwieczny morał:  
Powiesc się skonczyła,  
Ale smutek zostal.

(*Ant. Machado, Poesias completas, Soledad nr. 8, Madrid 1917.*)

## STROFA

Swoj rytm dzis ma zycie:  
Struga, co sie toczy  
Drzaca i zalękla,  
Chyla sie i wznosi.

Zycie obecne plynie rytmem rzeki,  
Gdy smiechem sie ozowie,  
Pluskajac skros zonkilow,  
Gnac zielone sitowie.

Majowe sny wiatr rozwiewa lagodny,  
Nowe galazki sok miodzieńczy rozsadza;  
Drza skrzydla i konary,  
Orlego wzroku strzala  
Leci niehamowana; pole we snach dygoce  
I wibruje jak harfa.

Pierzchliwa zludo mych oczu zaborczych,  
Ktora po boru chadzasz

W porze zenitu, drzy jeszcze w mem lonie  
Grot twojego kolczana.

Na wargach twoich rozkwita uciecha;  
Uszczknietem kwieciem stroj powiewny trefi  
Woń najpierwszych pierwiosnkow,  
Fiolek zapachem przesyca jej treпки.

Wslad krokow twoich biezalem po lesie,  
Porwany pędem niedościgłej lani,  
Za zwinnym skokiem różowych muszkułow  
Wysmukłych nówek srod zielonej własci.

Pierzchliwa zludo mych zrenic zaborczych,  
Ktora po boru chadzasz,  
Gdy rozweseli sie swiat i gdy smiechem  
W sitowiu fala gada,  
Drzy jeszcze w lonie mojem  
Zloto twego kolczana.

(*Tenże, Canciones y coplas, nr. 42.*)

## DO POMARAŃCZY I CYTRYNY W PODWÓRKU

O, pomarańczo, zal mi twojej dolil  
Zmarzly o słońce liś sie upomina.  
O, pomarańczo, twój smutek mię boli  
I twych owocow zmarszczona lupina.

Cytryno, drzewko strojne w zolta pyche,  
Od bladych woskow dzis wygladasz bladziej,  
Jak mi twój widok cięża, drzewko liche,  
Na wychowaniu w tej pekatej kadzi.

Z dziedzin, gdzie słońce Andaluzji świeci,  
Kto was przesadzil do kastylskiej ziemi,  
Co dzisiaj siecze wiatrami ostremi  
Te kraju mego ukochane dzieci?

Drzewo cytryny, naszych sadow chwalo,  
Co tam rozjasniasz ozloconem czolem  
Cyprysow smukla i znieruchomiała  
Grupe, choralnem ustawiona kołem.

Ty, pomarańczo, mej lubej zagrody  
Snów upragnionych wizja ciebie goni;  
Tej ziemi zawsze plodnej, zawsze mlodej,  
Brzemiennej skarbem owocow i woni.

(*Tenże, Humorismos, nr. 53.*)

## VICENTE BLASCO IBÁÑEZ

(1867—1928)

## NASZE MORZE

Statek kapitana Ferraguta został na morzu Śródziemnym storpedowany przez nieprzyjacielską łódź podwodną, która się tam dostała z jego własnej winy. Załoga i pasażerowie ratowali się, skacząc w wodę.

...Ferragut nie chciał naśladować pływaków; ziemia znajdowała się zbyt daleko dla ramion ludzkich; niepodobna było do niej dopłynąć. Z okrętu nie zachowała się ani jedna łódź na fali; jedyna nadzieja daleka i chimeryczna była, że jakiś statek odkryje rozbitków i uratuje.

To złudzenie poniekąd urzeczywistniło się. Na grzbiecie dalekiego batwanu obaczył statek czarny, szeroki i niski na burtach, bez kominów i masztów, pływający powoli między szczątkami katastrofy. Rozpoznał łódź podwodną. Ciemne sylwety ludzkie odrzynały się od jego grzbieta. Zdawało mu się, że słyszy głos: — Ferragut, gdzie jest kapitan Ferragut? — A, nie! Lepsza śmierć! — I utrzymywał się siedząco na drewnie, chyląc głowę, jak topielec.

Z nadejściem nocy usłyszał znowu głosy, wołające o ratunek; zalekłe głosy śmierci; owi wybawcy jego jedynie szukali, nie dbając o innych.

Stracił poczucie czasu. Chłód śmiertelny paraliżował mu członki. Palce, szponiasto zakrzywione, odrywały się od drewna, a on czepiał się go ostatnimi wysiłkami woli...

Trwał w swym uporze, walcząc z omdleniem, co go kusiło wypuścić zbawczą podporę, iść na dno, zasnąć, zasnąć na wieki. Trzewiki i spodnie ciągnęły go coraz to większym ciężarem. Były jakby całunem, co się rozdymało, napęczniały wodą. Rozpacz kazała mu obrócić oczy ku górze, spojrzeć na gwiazdy. Tak wysoko! Gdyby można ucześcić się jednej, jak tego drewna!...

Ocknął się równocześnie z jakimś instynktownym uczuciem obrzydzenia. Głowa nurzała się w wodzie, gorzki płyn jał wlewać się weń przez usta.

Bolesnym wysiłkiem starał się trzymać w pozycji pionowej i spojrzeć znów ku gwiazdom. Niebo przestało już być ciemnym fioletem; było barwy czarnej, a wszystkie gwiazdy czerwone, niby krople krwi.

Nagle uzyskał pewność, że nie był sam, i spuścił oczy. Tak, ktoś był przy nim...  
Kobieta!

Kobieta biała jak obłok, biała jak chusta, biała jak piana. Włos zielony przystroiła w perły i fosforyczne korale; uśmiechem wyniosłym, królewskim, boskim dopełniał się majestat jej diademu.

Otoczyła go ramiony, przyciskając do piersi żywicielskich a zawsze dziewiczych, do perłowego łona...

Atmosfera zgęśla, zielonawa odbijała od jej bieli, jak światło w głębinie morskiej. Blade usta przyłgnęły do ust tonącego pocałunkiem władczy. A woda tych ust, tocząc się przez zęby, przelewała się w jego usta potopem słonym, niewyczerpanym. Czuł, że przepelnia się jego wnętrze, jakgdyby wszystko życie białej zjawy roztopiało się, przechodząc w jego ciało pod nakazem pocałunku.

Nie był już zdolen patrzeć, ni mówić; oczy przymykały się, aby nie otworzyć więcej, rzeka gorzkiej soli płynęła gardłem.

Mimo to poglądał na kobietę, coraz mocniej doń przywarta, światlejszą, z wyrazem smutnym ukochania w modrych oczach. Tak zstępował i zstępował w nieskończone pokłady otchłani, bez czucia, bez woli; głos tylko jakiś szumiał mu pod czaszką, i zdało mu się, że go rozumie:

— Amfitryte, Amfitryte! —

(Vicente Blasco Ibañez, *Mare nostrum*, Valencia s. d.)

## MIGUEL DE UNAMUNO

(ur. 1864)

## ŻYWOT DON KISZOTA I SANCZA

Zakończył pisanie ostatniej woli Alonso Kiszano (Don Kichote), przyjął Sakramenty, wyrzekł się ksiąg wędrownego rycerstwa. Śród żalów i płaczu obecnych oddał ostatnie technienie — chcę rzec, umarł — dodaje historyk. «Oddał technienie»? Komuż to je oddał? I gdzie jest dzisiaj? Gdzie śni, gdzie przebywa? Gdzie jest ta otchłań zdrowego rozsądku, dokąd idą odpocząć dusze wyleczone ze snu życia, z obłądu wiecznotrwałości? O, Boże mój! Ty, który dałeś życie i ducha Don Kiszotowi w dziejach i duchu jego ludu. Ty, który natchnąłeś Cervantesa epopeją nawskróś chrześcijańską, Ty, Boże mego marzenia! Gdzie to ugaszczasz dusze nasze, co przeżywamy sen żywota, dotknięci obłądem wiecznotrwania dla wielkich przyszłych wieków? Dałeś nam żądzę rozgłosu i sławy, jako odbicie twej gloriozy. Minie świat, czy minimy z nim, Boże mój?

«Życie jest snem». Czy nie jest równie snem, Boże mój, ten wszechświat, którego Ty jesteś świadomością wieczną i bezkresną? Byłżeby on Twoim snem, a my widzeniami tego snu? Gdyby zaś tak być miało, co się stanie z wszechświatem i z nami, i ze mną, gdy, Boże mego życia, zbudzisz się? Śnij o nas, Panie! — — — — —

— Pozostaw Sanczowi jego sen, jego wiarę; niechaj wierzy w wiecznotrwałość swego bytu, niech marzy, że jest pasterzem, tam na niezmiernych połoninach Twego łona, śpiewa o swym bycie niezniszczalnym, jakim jesteś Ty; zachowaj mu tę wiarę, Boże mej Hiszpanji. Zważ, Panie, że w dniu, kiedy sługa Twój Sanczo uleczy się z obłądu, umrze, a z nim umrze jego Hiszpanja, Twoja Hiszpanja.

Panie! Ugruntowałeś ten swój lud, lud Twoich sług: Don Kiszota i Sancza w wierze o nieśmiertelności indywidualnej; patrz, Panie, to jest racja naszego bytu i przeznaczeń pośród ludów czynu, aby ta nasza prawda wewnętrzna rozjaśniała umysły wbrew mrokom logiki i rozumu i pouczała serce, skazane na sen żywota:

«I tak życie nas zabija,

Śmierć nas przywraca do życia».

— Czy sądzicie, że Don Kiszot nie zmartwychwstanie? Są, którzy utrzymują, że nie umarł Cervantes, co ogłosił go umarłym. Są, którzy mniemają, że zmartwychwstał dnia trzeciego i że wróci na ziemię w ciele nieśmiertelnem, i objawi się czynem.

A wróci, kiedy Sanczo, znękany dziś wspomnieniami, poczuje, że wre w nim krew, stłoczona wśród wędrowek w roli giermka; że wsiadzie, jak był zapowiedział, na Rosynanta, zakuty w zbroję pana; że chwyci w pięść włócznię, by spełniać nadal dzieło don Kiszota. Zaś pan przyjdzie również i wcieli się w niego. Śmiało, bohaterski Sanczo, niech ożyje wiara, jaką zapalił w tobie twój pan i którą podsycali i utrwalali z takim mozołem.

Niech też nie uchodzi za cud to, co zdziałał po śmierci, podobnie jak opowiadają o Cydzie, że wygrał bitwę, będąc już trupem. A opowiadają nadto, że kiedy leżał martwy, a pewien żydowin chciał go pociągnąć za brodę, co jej nikt nie tknął za życia, to, zanim sięgnął do brody, dzielny Cyd ujął swą szpadę hartowną i do pół wydobyl ją z pochwy.

A żyd, kiedy to ujrzał, takim był zdjęty strachem, że runął martwy na ziemię, jakby gromem rażony...

Czy Cyd wygrał bitwę po śmierci — nie wiem, ale to wiem, że dziś wielu żydów śmie go targać za brodę. Niewiadomo też, czy don Kiszot czynił cuda po śmierci, ale czy niedość tych, jakie czynił za życia? I czy nie były cudami nieustannymi jego przygody? — — — — —

Trzeba wierzyć, że historyk arabski Cide Hamete Benengeli<sup>1</sup> nie jest prostym wybiegiem literackim, ale że kryje w sobie głęboką prawdę, a mianowicie, że ową historję podyktował Cervantesowi ktoś inny, mieszkający w jego sercu, ktoś ani

<sup>1</sup> Postać fikcyjna, podawana przez Cervantesa, jako właściwy autor «Don Kiszota».

przedtem, ani po napisaniu książki już niewspomniani: duch, mieszkający w głębi jego jestestwa. — — —

— Podejrzewam nawet, że kiedy ja sam komentowałem i objaśniałem ów żywot, to potajemnie odwiedzali mnie Don Kiszot i Sanczo i poza moją świadomością otwierali mi zakamarki swych serc. A dodam tutaj, że niejednokrotnie uważamy pisarza za istotę realną i historyczną, przeto, że ją oglądamy w ciele i kościach, a zaś ich utwory za czystą jeno fikcję, gdy tymczasem rzecz się ma przeciwnie, t. j. że owe utwory są właśnie rzeczywiste i że posługują się owymi, rzekomo z ciała i kości, aby je uprzystępnąć ludziom. Skoro przebudzimy się wszyscy ze snu żywota, obaczmy rzeczy pod tym względem dziwne, a mędrcy przerażą się, gdy rozpoznają, co jest prawda, a co kłamstwo, i jak dalece byliśmy w błędzie, mniemając, że owa zagadka, zwana logiką, nie posiada znaczenia poza nędznym światem, w jakim więżą nas przestrzeń i czas, despoci ducha...

(*Miguel de Unamuno, Vida de Don Quijote i Sancho, 3 wyd. Madrid 1928.*)

## LITERATURA KATALOŃSKA

JACINTO VERDAGUER

(1845—1902)

ATLANTYDA

Młody rozbitek genueński wydostaje się na brzeg Luzytanji i znajduje schronienie w chacie starego pustelnika. Pustelnik opowiada mu mityczno-fantastyczne dzieje zatopienia Atlantydy na tle czynów Herkulesa w Hiszpanji, a głównie walk i zabiegów tego bohatera dla otrzymania ręki Hesperjdy, żony zmarłego Atlasa. Rozbitek — a jest nim Kolumb — natchniony tem opowiadaniem, puszcza się na morze i odkrywa Amerykę, stanowiącą dalszy ciąg zatopionej Atlantydy. Z poematu tego (w 10 pieśniach) przytaczamy dwa wyjątki. Pierwszy wyjęty jest z opisu kraju Atlantydy.

Olbrzymi jeleni rogów potrząsa rosochą,  
Którą, jak wielkie drzewo, gwar oblata ptaszy;  
Dziki mastodont goni za gazelą płochą,  
A korpulentny mamut mastodonta straszy.

Ku ogrodowi idzie<sup>1</sup> w głąb przez wonne gaje;  
Lew czai się, a bawół przed nim mknie z kopyta;  
Już nad jego ramiony trzecie słońce wstaje —  
Oczom nagle oaza zieleni zaświta.

Kroczy przez koronkowe mirtowe aleje,  
Wiatr mu sycony miodem powonienie pieści;  
Niebo płonące, zda się, klejnotami sieje,  
Każda gałąź, zdrój każdy łagodnie szeleści.

Rzędami smukłe cedry, ciemne cynamony,  
Których gałęziom słodko świeże ciężą kwiaty;  
Pary drzew w długi portyk splotły się ramiony,  
Zorza mruga różowa przez zielone kraty.

Tysiąc kaskad roztrąca rzeki nurt pienisty  
O kryształowe groty, o schody z porfiru;  
Białe nimfy, zniesione prądem, powłóczysty  
Swój warkocz rozpuszczają na koliska wiru.

<sup>1</sup> Herkules, poszukujący Hesperji.

Po zieleni wybrzeża deszczem pereł siecze  
 Rozbawiony rajski ptak; w gęstwinie zacisznej  
 Tęskna turkawka jęki zawodzi człowiecze,  
 Gil wesoły tryluje i gwizdże kos pyszny.

W drugim ustępie wyspa Delos opowiada swoje powstanie:

Oстрым трójębem wyrwał mię bóg morza  
 Z pięknej Sycylji rozdartego biodra;  
     Wokoło mnie toń modra,  
 Ja śród lazurów niby gwiazda hoża.  
     Patrząc, zalotne mewy,  
 Na śnieżnej fali sprawiając gonitwy,  
 Za swoją siostrę bielutką mię brały;  
     A zaś morskie rybitwy  
     Za lotusu kwiat biały,  
 Co między krwawe koralowe trzony  
 Swoje dziewicze rozchylił osłony.  
 Achelous, taką na rąbku Etolji  
 Widząc mię w świtu różowej koronie,  
 Zdaleka brał mię za kielich magnolji,  
 Rankiem mu w darze ślącej świeże wonie.  
     Wyspa, co mię dostrzegła  
 Najpierwsza, wzięła za galję zwinną,  
     Co z ładunkiem pachnideł  
     Pełnym lotem swych skrzydeł  
 Od Epidauru ku Dorydzie biegła.  
 A zewsząd ku mnie biły muzyk tony:  
 U moich brzegów Najady, Trylony,  
 Pryskając, rwały srebra wstęgę płynną.

(*Mossen Jaémo Verdaguer, Atlantida, Barcelona 1886.*)

## ANGEL GUIMERÁ

(1849—1924)

### MORZE I NIEBO

Maur Said, w guście korsarza Konrada, pałający do chrześcijan nienawiścią za wymordowanie jego rodziny, rozbija, jako wódz piratów, chrześcijańską galę i bierze w niewolę starego Kastylczyka, syna jego i córkę Blankę. Pomysł to niezwykły umieszczenia dwojga synonych fanatyzmem nienawiści tuż obok siebie na szerokim spokojnym morzu, a stopniowe przesilanie się tej nienawiści na miłość odtworzone po mistrzowsku. Pewnej nocy Blanka wchodzi do celi Saida ze sztyletem w ręku; podnosi broń... korsarz chwytą ją za ramię — i przebacza. Teraz w niej budzi się naprzód gniew obrażonej dumy za darowanie jej życia, potem litość dla cierpiącego, potem uwielbienie dla wielkiej męskiej duszy. W III akcie następuje śliczna scena miłosnych wyznań, w chwili, gdy okręt wpadł w ręce chrześcijan i Saidowi grozi śmierć.

Blanka:

To oni!

Said:

Nie jeszcze... — To nie śmierć jeszcze.

Blanka:

Śmierć... ha! niech się zbliży!

— Pójdź, niech na ciebie patrzę; już mię blask ten  
 Oczu nie straszysz. Ktoś ty?... Niechaj spojrzę  
 Przez oczy twoje aż w duszę. Mów, ktoś ty?  
 Gdzie cię widziałam, gdzieś tak patrzył na mnie?  
 Przed urodzeniem może, w tamtym świecie

Tak przemawiałeś do mnie pieśczośliwie.  
 Nie, nie kryj oczu, niech się im napatrzę  
 Za wszystek przeszły czas. Ja nieznający  
 Jużem tęskniła; ty w snach moich żyłeś  
 Śród pustej celi, a ja nie wiedziałam,  
 Jak wyglądałeś! — Ot tak, jak w tej chwili.  
 Ja nie chcę, abys umierał; z twem życiem  
 Już moje spięte. Cóż, że nas obwiną  
 Miast kwiatów węże — jeżeli nas złączą?

S a i d:

— Przyszedł tak późno; samotny tę drogę  
 Życia przebyłem i oto u kresu  
 Ciebie spotykam: u kresu — nad grobem.

B l a n k a:

— Nie, nie, Saidzie! Nie, nie, to nie pora  
 Umierać!... Boże mój, ja czuję życie,  
 Rosnące we mnie. Chcę żyć! Ocalenia!

S a i d:

Na gniew Ałtacha! Niech wrócą — tu czekam.  
 Ja im rozedrę pierś, ja im wnętrzości  
 O mur rozbryzgam. Tygrysy!... I z sercem  
 Tak pełnem jadu, ha! — oni się modlą!  
 — Gardzę pokorą, krew mię w gardle dusi,  
 Ja chcę umierać, mordując!...

B l a n k a:

Saidzie!

S a i d:

Już... jam twój sługa... pokorny, jak gołąb...  
 Chcesz, bym całował twego ojca nogi,  
 Chcesz, bym całował stopy jego ślady?

B l a n k a:

Tak... ja chcę, ja chcę... Ocal go, mój Boże!

S a i d:

Wszystko daremne. Tyś niebo, jam morze,  
 Lecz tam się schodzą, patrzaj, tam się schodzą.  
 Na horyzoncie!...

(Siepacze chcą zawlec Saida; on porywa Blanke z okrzykiem):

«Jest moja na wieki!» i rzuca się z nią w głębiny.

Byłaby rzecz godna trudu wypiększyć naszą scenę sztuką tak wysoce poetyczną, ale potrzebaby chyba sprowadzić do niej stamtąd aktorów, gdyż tylko Hiszpan potrafi odtworzyć lwie wybuchy takiego Saida.

Z «LIRYK»

Więc cię na wieki tracę — życie moje!  
 — Przepaść u naszych stóp.  
 A jednak duszę ból porywa... roję,  
 Po skrę nadziei sięgam — aż za grób.

Sam cię powiodłem do kościoła progu,  
Widziałem w blasku świec;  
Rzekłem: Polecam twoje szczęście Bogu!  
— Serce załkało, lecz nie rzekło nic.

Przyczółgałem się pod twe białe ściany,  
W zamknięte patrząc drzwi;  
A co ty robisz i co twój kochany,  
Światło od okna powiadało mi.

Wszystko wydało bratnie światło one:  
Twoje ostatnie tak  
I to, że jutro oczy mieć czerwone  
Będziesz, a dla mnie nosić świętej znak...

— Jednak cię Kocham i dałbym niemało:  
Oddałbym błogi skon,  
By wiedzieć, kiedy to światło się zwiąło,  
Czyś je zgasiła ty sama, czy on?

---

*Wybór, układ i tłumaczenie Edwarda Porębowicza.*



## Z KANCJONARZA KRÓLA DOM DINISA

(XIV w.)

### PIEŚŃ MIŁOSNA

(w stylu trubadurów)

Zakazałeś mi, Panie<sup>1</sup>,  
Skargą przykrzyć się Tobie,  
O to ze mną igranie,  
Co położy mię w grobie.  
Ale, na zmiłowanie  
Boskie, pytam i proszę,  
Komuż wyznam, co znoszę,  
Jeśli nie Tobie, Panie?

Bo przed kim się otworzy  
Dusza, co łaski błaga,  
Gdy milczeć — nie pomaga,  
A mówić — tem ci gorzej.

A skoro z bólu ginę,  
Jeśli Ciebie pominę,  
Jak dowiesz się, mój Boże!

I komuż mam się zdradzić  
W takie wzięty obieże,  
Gdy się tobie nie zwierzę,  
Coś zdolna w tem poradzić?  
Z pobłażliwością boską  
Ty, serca mego trosko,  
Możesz ból mój wygładzić.

### PIEŚNI DO KOCHANKA.

(w stylu ludowym niewyjaśnionego pochodzenia)

— Ej, kwiaty z majowego ziela,  
Czyście nie widziały mego przyjaciela?

Czyście nie widziały mego kochanka,  
Co mi się zaklinał z wieczora i ranka? —

Ej, kwiaty, kwiaty z zielonego wianka,  
Czyście nie widziały mego kochanka? —

— Skoro chcesz wiedzieć, to ja ci odpowiem:  
Twój chłopiec żywy i cieszy się zdrowiem.

Czyście nie widziały mego przyjaciela,  
Com z nim wyglądała rychłego wesela?

Gdy chcesz usłyszeć o swoim chłopczynie,  
Wiedz, że powróci, zanim pora minie.

Gdy chcesz usłyszeć o swym chłopcu lubym,  
Wiedz, że dotrzyma, jak się związał ślubem.

Ocknęła się piękna panna,  
Ocknęła się rano,  
Podniosła się temci żywiej

I pobiegła prać bieliznę  
Na przyplwywie,  
Ocknęła się rano.

<sup>1</sup> Señhor, w myśl prawa feudalnego, może oznaczać mężczyznę i kobietę. Wyraz w takim znaczeniu był używany jeszcze długo, np. u Poliziana, u Małgorzaty Navarry i innych; w okresie nowoplatońskim mieszał się z pojęciem pana, do którego tęskni dusza mistyczna, zwłaszcza u poetów hiszpańskich.

Ocknęła się piękna panna,  
Ocknęła się rano,  
Podniosła się temci żywiej,  
I poszła prac na przyplýwie  
Swoją szatkę lnianą.

Porwał ją wiatr i wytrząsa,  
Porwał ją tak rano;  
Panna gniewa się i dąsa  
Na przyplýwie,  
Że wstała tak rano.

Ocknęła się panna hoża,  
Ocknęła się rano,  
Poszła prac nad brzegiem morza  
Swoją szatkę lnianą,  
Wiatr ją porwał rano.

Wiatr ponosił ją po fali,  
Rzucał ją tak rano;  
A dziewczyna precz się żali  
Na przyplýwie,  
Że wstała tak rano.

(*Denis v. Portugal, Liederbuch, ed. H. R. Lang, Halle 1894, nr. VI, XCII, XCIII.*)

### SERRANILHA

(XIV w.)

Dziewczyna pośród ogroda  
Tańczyła gładka i młoda.  
Miłość, hej!

Dziewczyna smukła i gładka  
Tańczyła piętnastolatka.

Pośród ogrodu dziewczyna  
Tańczyła smukła jak trzcina.

Pośród ogrodu płaśała,  
Kochanka jeszcze nie znała.

Płaśała piętnastolatka,  
Jeszcze nie znała gamratka.

(*Il Canzoniere portoghese della Bibl. vaticana 4803, ed. Ern. Monaci, Halle, Niemayer 1875, nr. 889.*)

### GIL VICENTE

(ok. 1470 — po 1531)

#### AUTO INÈS PEREIRA

(odegrane 1520 r.)

Treść pospolita: lepszy na męża ubogi, lecz kochający, niż magnat niepewnych zamiarów, co wyraża się portugalskiem przysłowiem: wolę osła, który mię nosi, niż konia, co mię zrzuca z siodła. Akcja niepozobawiona zręcznej intrygi, a nadewszystko wesola i pełna wdzięku.

#### Śpiew weselny:

Leci czapla zakochana,  
Krew serdeczną broczy z ciała,  
Leci nad polem i biadą:  
Gdzie się wodne sączą zdroje,

Czapla miała gniazdo swoje,  
Łucznik ją ugodził strzałą  
W serce samo:  
Leci sama, krzyczy, biada...

#### Scena weselna:

Książę Fernando:  
Odchodzę, mości panowie,  
Z laską waszą; tym obojgu  
Niechaj Pan Bóg daje zdrowie.  
Dotąd wszystko szło pomyślnie,  
Jeszcze lepszy dzień im błysnie.  
Przebaczcie wszystko obecne;

Dzięki me niedostateczne  
Za twoją uprzejmość, pani.

#### Łucja:

Zdrowia życzę, państwo młodzi:  
Wszystko dobre zeń pochodzi,  
Niebo niech nie zajdzie chmurką.

<p>Matka:</p> <p>Zostań z Bogiem, luba córko,          Niech na ciebie ciągle płynie          Błogosławieństwo matczyne;          Ten dom, w którym dziś mieszkacie,          Oddaję; mnie dość na chacie.</p>	<p>Zięciu mój i panie luby,          Skoro z nią wstępujesz w śluby,          Szczególnie polecić muszę.          Wiedz, odkąd była w pielusze,          Nie znała innego pana;          Ufam, że będzie kochana,          Za co Bóg nagrodzi w niebie...</p>
--	---

(Kończy wesoło przejściem przez rzeczkę do kaplicy pustelnika; mąż przenosi pannę młodą na plecach ku wielkiej uciechu obojga.)

(*Gil Vicente, Auto de Inês Pereira, ed. Carolina Michaelis de Vasconcellos [fac simile, z pośród 19 «pliegos sueltos»], Madrid 1922.*)

## LUÍS VAZ DE CAMÕES

(1524 ?—1580)

### LUZJADY

(P. X, str. 132—138)

Obaczysz tutaj po wschodowej stronie  
 Wynoszące się nad morzem wspaniale  
 Tidor i Tarnat; skryty w górskim łonie  
 Żar miota ogni niejarzmione fale.  
 Drzewo tam ujrzysz, co czerwienią płonąć:  
 Krwią je kupili własną Portugale,  
 I ptaki złote: pod liści poszyciem  
 Żyją; gdy spadną, to już chyba z życiem.

Tedy wysp Bandy brzeg emaljowany  
 W pyszną purpurę owocu i kwiatu;  
 Różnego ptactwa nieznanie odmiany,  
 Co swe trybuty pobiera z muszkatu.  
 Dalej Borneo, gdzie sok łez, wylany  
 Z pnia, pożądany jest całemu światu.  
 Sok, co się skupia pod naciętą korą,  
 A w waszych krajach zowie się kamforą.

Tam równie Timor; sandału oliwa  
 Stamtąd własności posiada lecznicze.  
 Dalej szeroka Sunda, co zakrywa  
 W stronach południa światy tajemnicze.  
 Lud o jej rzece głosi istne dziwa:  
 Oto, gdy drzewną rzucisz tam kłonicę,  
 Jeśli tam innych wody rzek nie wpłyną,  
 Wnet się odzieje skalistą łupiną.

Owy ład<sup>1</sup> w wyspę przekształciły lata;  
 Dziś ogniem bucha z podziemnej komory.  
 Tam wonny olej sływa, radość świata,  
 Tam pachnącemi pień płacze likwory.  
 To wonna mirra; Arabja, bogata  
 W aromy, musi złożyć jej honory.  
 W niczem też wspom innym nie zazdrości:  
 Złoto i jedwab ma obok wonności.

<sup>1</sup> Sumatra.

Lecz oto Cejlon; tam się góra wznosi:  
 Chmury przebija, przed wzrokiem ucieka;  
 Mieszkaniec w modłach jej szczyt świętym głosi,  
 Gdyż tam odkrywa ślad stopy człowieka.  
 Drzewo Maldywy chwałę jej przynosi,  
 Z dna mórz płyn do niej ożywecy przecieka,  
 Przeciwno jadom i truciznom znanym  
 Ma antidotem służyć niezrównanym.

A naprzeciwko czerwonej cieśniny  
 Aloes gorzki rośnie w Sokotorze;  
 Spójrzcie na owe śródziemskie dziedziny,  
 Kędy Afryki piasków pług nie orze;  
 Po fali wonne pływają bursztyny,  
 Cenne, tajone światu dary Boże;  
 Wyspą Wawrzyńca zwie się mianem starem,  
 Młodzi nazwali ją Madagaskarem.

Oto są nowe oceanu bramy,  
 Co je pod nowe oddajecie władze,  
 Prując nurt, jaki już nie kładzie tamy  
 Waszej tężyźnie i waszej odwadze.  
 Teraz pozwólcie: innego poznamy  
 Luzytańczyka<sup>1</sup>.

*(Luis Vaz de Camões, Os Lusíadas, ed. dr. João Maria Rodriguez [fac-simile, wyd. 1572], Lisboa 1921. Cenny i zupełny przekład «Luzjad» w formie oryginału pozostawił p. Adam M-ski [pseudonim kobiecy], Warszawa 1890.)*

## JOÃO BAPTISTA DA SILVA LEITÃO VISCONDE DE ALMEIDA GARRETT (1799—1854)

### BIAŁE SKRZYDŁA

Miałem jasnych skrzydeł dwoje,  
 Sam anioł dał mi te skrzydła;  
 Wzłatałem na nich ku niebu,  
 Ilekroć mi ziemia zbrzydła.

Były białe, takie białe!  
 U anielskich ramion rosły;  
 Jam był niewinny, jak one,  
 Przeto mię do nieba niosły.

Przychodziła chciwość ziemską  
 I wabiła bogactw szalem;  
 Za pagóry srebra, złota  
 Skrzydeł moich nie oddałem.

Przyszła próżność i ambicja,  
 Podbijała pychę we mnie:  
 Sławę, moc do nóg mi kładła,  
 Lecz kusila nadaremnie.

Bo tych jasnych skrzydeł dwoje,  
 Z anielskiego daru skrzydła,  
 Unosiły mię ku niebu,  
 Ilekroć mi ziemia zbrzydła.

Ale jednej nocy ciemnej,  
 Kiedym się zapatrzył w gwiazdy  
 I byłem, sprzykrzywszy ziemię,  
 Znów do łubej gotów jazdy,

Nagle, z nich odjąwszy oczy,  
 Popatrzałem w ziemską stronę:  
 W szarej mgłę ujrzałem gwiazdy  
 Jeszcze jaśniejsze, niż one.

I odtąd te moje skrzydła,  
 Te anielskie skrzydła białe,  
 Przestały mię rwać ku niebu,  
 Leniwe i ociężałe.

Oślepiło mię na wieki  
 Owych gwiazd oczarowanie,  
 Czarna chwila, smutna dola,  
 I nieszczęsne to kochanie.

Te anielskie skrzydła białe,  
 Mój skarb niegdyś pacholący,  
 Uroniły wszystkie pióra,  
 Nie wzleciały w niebo więcej!

*(Almeida Garrett, Folhas caídas, Lisboa 1869.)*

<sup>1</sup> Magellan w 1520 r. przepłynął cieśninę, zwaną jego nazwiskiem.

## ALEXANDRE HERCULANO DE CARVALHO E ARAUJO

(1810—1877)

## BURZA

Gdybym się w burzę mógł zmienić i bujać      Tutaj swoboda i tu państwo moje,  
     Po czarnym chmur zamczysku,      I tutaj jestem panem!  
 I rozdierane widzieć morskie fale      Gdybym się dźwignąć mógł, jak dzikie wiry,  
     W piorunów moich błysku;      W oceanu obszarze,  
 Jabym okrążył glob i na ląd stały      Pędzić w tętentach i hukach gromowych  
     Wparł oceanu lawę,      Po tej płynnej Saharze!...  
 Jabym w wulkanów wnętrzu pozapalał      Lecz w ziemskich skażeń nieszczęsnej obręczy  
     Od wieków martwą lawę;      Myśl omdlewa skrzydlata;  
 Silnego dębu i starego buku      Próżno się w niebo podrywa; strącona,  
     Czoła w kabłąki zgniótłbym,      Na padoty znów złata;  
 Wszystek libijski piasek w jedną górę      Śmierci, przyjazna śmierci! pośród morza,  
     Wichrami memi zmiótłbym,      Pośród fali cię wspiętej  
 A potem usiadł na bieguna szczycie      Wołam: ach przybądź, przybądź, zarzuć kiry  
     Tuż pod gwiazdą polarną,      Na mój żywot wyklęty,  
 Patrzył na lody, jak pod czasu dłonią      Skrusz więzy, w których duszę mą gorącą  
     Nieskończenie się garną;      Natura trzyma wroga,  
 Tam ja samotny, tam ja, śmierci władca,      Niechaj polecą przez powietrzne sfery  
     Wołałbym huraganem:      Do niebieskiego proga.

*(Alexandre Herculano, Harpa do Crente, Lisboa 1860.)*

## ANTONIO DE SERPA PIMENTEL

(1825—1900)

## DO POETY

I tak smutna historja i łzawa      Wygnaniec ziemskiego bytu,  
 W twych księgach złożona leży,      Na cierniach raniący nogi,  
 Jak nędzna — poeto — ta sława,      Owiany ogniem zachwytu,  
 Którą przyszłości podawa      Śpiewa z wierzchołka granitu  
 Człowiek, co kocha i wierzy.      Na zakręcie jakiejś drogi.

A tłum słucha, dziwem zdjęty,  
 Tej płynących głosów fali:  
 Pieśń urocza, śpiewak święty!  
 I podchodzi uśmiechnięty,  
 Uśmiechnięty idzie dalej.

*(Antonio de Serpa Pimentel, Poesias, Madrid 1852.)*

## JOÃO PENHA

(1835—1919)

## SONET

Gdym na cię patrzył z pod jaśminów cienia,  
 Z szemrzącej wody trwożnie wychyloną,  
 Kładącą ręce dwie na kształtne łono,  
 Z włosiem wilgotnym od pereł strumienia,

Pokładającą kibić odniechcenia  
Z uśmiechem dziecka na trzcinę zieloną —  
Wydałaś mi się do życia zbudzoną  
Statuą grecką z białego kamienia.

I kusila mię jedna chęć zuchwale,  
— Nie ta, jaką się paśli wyuzdani,  
Podpatrujący Zuzannę brzydale —

Lecz jakiej, z uczuć człowieczych obrani,  
Mają doznawać dzicy kanibale,  
Taka żarłoczna chęć... nie bój się, pani!

(*João Penha, Poesias.*)

## POECI BRAZYLIJSCY

CASEMIRO DE ABREU

### MIŁOŚĆ I LĘK

Kiedy cię unikam i dobyć się pragnę  
Z pierścienia twych ogniów, co mię w krąg osnuły,  
Powiadasz do siebie, wzdychając miłośnicze:  
«Mój Boże, tak zimny i taki nieczuły!»

O jakże się mylisz! miłość ma — to płomień,  
Który tajemnymi pragnieniami poję;  
Więc jeśli unikam, to, żem jest szalony;  
Tyś piękna, ja młody — kochasz, więc się boję.

Kiedym cię obaczył śród upalnej siesty,  
Z rękami drżącymi, jak ptaszek, co kona,  
W białej i niedbale narzuconej sukni,  
Z włosiem rozpuszczonym na białe ramiona;

Kiedym cię obaczył, Magdaleno czysta,  
Wpół na aksamitnej kozetce przegiętą,  
Z temi zmrużonemi rozkosznie oczyma,  
Z tą piersią, oddechem przyśpieszonym wzdętą;

Kiedym cię obaczył w przesłicznym omdleniu,  
Twe lice, jak róża płonąca, wstydlive,  
Twe usta, szepczące zaprzeczenia słowa,  
I wargi nabrzmiące, pocałunku chciwe —

Gdzieby się podziela twa czystość anielska,  
Twoje skrzydła białe, twych rumieńców kwiecie?  
Ach, spaliłabyś się, jak po iskrach żaru  
Stapające boso obłąkane dziecię!

Więc mnie nie posądzaj, że mam serce z lodu;  
Nie widzisz? zdradziłem tajemnicę moję:  
Jeżeli unikam, to, żeś dla mnie święta...  
Tyś piękna, ja młody — kochasz, więc się boję.

(*Casemiro de Abreu, Primavera, Lisboa.*)

## GONÇALVES CRESPO

(ur. 1846)

## SIESTA

W hamaku, trącanym rękami murzyna,  
 Jak z piany kołyska,  
 Uroczą kreolka do snu się rozmarza,  
 A nad nią mulatka kiściami wachlarza  
 Piór białych połyska.

Po hamaku prostych, wysmukłych bambusów  
 Drżą cienie nieśmiałe,  
 I drzemie kreolka, łagodnie uśpiona,  
 Z śnieżno-białej sieci zwisły jej ramiona  
 Odkryte i białe.

Wtem hamak, co wokół mocnemi zapachy  
 Powietrze przesycą,  
 Zatrzymał się nagle, bo murzyn lubieżny  
 Zagląda do sieci przez rąbek jej śnieżny  
 Na pani swej lica.

W hamaku, zwieszonym z gałęzi, co w górce  
 Baldachim zaplata,  
 To westchnie, to znów się uśmiechnie dziewczyna;  
 Po drzewie swawolna gałęzie ugina  
 Małpeczka włochata.

W hamaku chwilami poruszy się senna  
 I z ust jej zajękną  
 Przypomnianej pieśni urywane tony,  
 Które tam osadnik, za krajem stęskniony,  
 Zawodzi w noc piękną.

I hamak pomiędzy drzewami znów buja,  
 I piękna znów marzy:  
 — Woddali, gdzie lasów ponura gęstwina,  
 Żałośnie jęcząca piosenka murzyna  
 W powietrzu się waży.

W hamaku pachnącym zasnęła naprawdę  
 Śród słońca upału;  
 — Murzynie, wolniejszym rozkołysz sieć ruchem,  
 Mulatko, powiewaj wachlarzów twych puchem  
 Pomału, pomału...

(A. C. Gonçalves Crespo, *Miniaturas*, Coimbra 1871.)

## JOAQUIM SERRA

## ŚLAD KRWI

Wieczorny zmrok zapada,  
 Wiatr lube chłody niesie,  
 Strumień szumami gada,  
 Ptak śpi w dziewiczym lesie.

Nagle się bawół jawi  
 Na stromym góry stoku;  
 Pragnienie, co go trawi,  
 Ugasić chce w potoku.

Ant. II.

5

Wtem drgną wzruszone trzciny,  
Ozwie się ryk straszliwy —  
Jaguar spadł z gęstwiny,  
Czepia się byka grzywy.

Przez suche pędzą trawy,  
Posoką bawół broczy,  
Wyskoczyć chcą z oprawy  
Rozplamienione oczy.

Wywiesił język, pianę  
Zdyszany toczy z pyska;  
Zwierzę nieubłagane  
Kły ostre w kark mu wciska.

Kędy niósł ich bieg rączy,  
Krwawy ślad znaczy struga,  
A wciąż z boku się sączy  
Ta purpurowa struga.

Wstrzymał się, pędzi znowu  
To pustynią, to jarem,  
Aż w otchłani parowu  
Bawół padł z jaguarem.

(*Joaquim Serra, Quadros, Rio de Janeiro 1873.*)

## CASTRO ALVES

### IMMENSIS ORBIBUS ANGUIS<sup>1</sup>

Zsuwa się słońca blask stromemi gór ramiony,  
I nagi grzbiet Indjanki promieniem złotym pisze;  
W zaroślach skrzydeł brzękiem owad gra zielony,  
W kielichu liany siedząc, kolibryk się kołysze.

Tam słońca żar okrutny, śmierć w parnej atmosferze,  
Tu cień i wody szum, i chłód, i spokój dziczy;  
Nieukojonem drżeniem bambusów drżące pierze,  
Tysiąca ptaków śpiew, samotność, las dziewiczy.

Chwila to owa, gdy z upałów esplanady  
Chroniąc się w las, Indjanka, patronka puszczy wspaniała,  
Wiąże swój hamak pstry do palmy u kaskady,  
By go łagodna dłoń wiatru pokołysała.

Sama na jego ust gorące całowania  
Podaje śliczny tors i toczone kolano  
I, mrużąc wieka ocz, dla dziecka pierś odsłania,  
Błyszczącą metalicznie, okrągłą pierś miedzianą.

Wtem z pod kokosów liści, między orzechów grona,  
Które zieloną szarfą pień ustroiły w górze,  
Ześlizga się powoli gadzina przyczajona,  
Zawisła głową wdół na liany gibkim sznurze

I sunie, sunie niżej, do sieci... jeszcze chwila...  
Ku warkoczom Indjanki swój długi ogon zwleka...  
Ha! straszny gad do piersi odkrytej się nachyla,  
Ha! potwór czuje głód, wąż zapragnął mleka...

(*Castro Alves, Poesias, Bahia 1870.*)

*Wybór, układ i tłumaczenie Edwarda Porębowicza.*

<sup>1</sup> Wąż o kregach niezmiernych.



## LIST BOJARA NEAKSZU

(1521)

(Najstarszy zabytek rumuńskiego piśmiennictwa.)

Mądrymu a szlachetnemu i laskawością od Boga darzonemu Panu wiele zdrowia od Neakszu z Kampulungu. A także słę Waszej Miłości o turezyńskiej sprawie wiadomość, jakom slyszal, iż cesarz, Sofję porzuciwszy, nie indziej, jeno wgórę Dunajem pożeglował. I to się też godzi wiedzieć Waszej Miłości, że mię oto nawiedził jakowys mąż z Nikopola i rzekł, na co miał własnymi poglądać oczami, iż ci one wiadome Wam okręty po Dunaju jachały i jeszcze, że z wszelkich miast wedlebrzeżnych po pięćdziesięciu zbrojnych dobiera na okręty, aby mu byli pomocni. I to niech Waszej Miłości będzie wiadome, że jakowis mistrzowie z Carogrodu powiedali — jako to okręty one popłyną cieśniną, którą zna Wasza Miłość. A też z wiadomością pośpieszam o Mechamedbegu, jaże mi opowiedali bojarzyni sąsiedzcy i zięć mój Negre, iż cesarz Mechamedbegowi zwolił, by jako sam zechce, przeszedł ziemię rumuńską. I jeszcze Waszej Miłości wiadomem czynię, że Besaraby większy się ima lęk przed tym zbójem okrutnym niżli Miłości Waszej. Tak ze wszystkiego, co moich uszu doszło, Waszej Miłości, zwierzchnikowi mojemu, się zwierzam, a że Wasza Miłość jest mądry, tedy raczysz słowa moje zachować dla siebie, aby się o nich wiele ludzi nie zwiedziało — i raczysz się Wasza Miłość strzec wedle swego rozumienia najlepiej — a Pan Bóg niech Waszą Miłość pocieszy — amen.

Według I. A. Bassarabescu și Vasile V. Haneș,  
*Antologia scriitorilor români.*

*Tłum. Emil Biedrzycki.*

## DUMKA ŻALU

Czem li zechcesz — zrób mię, Panie,  
Lecz daj duszy spoczywanie.  
Niech gołąbkim, niech srebrzystym  
Mknę pod nieba błękit czysty,  
Niech skrzydłami wietrzanemi  
Wdal uleć z zimnej ziemi,

Aż na matki mej mogile  
Dusza moja wytchnie chwilę,  
Aż wyszłocha się, wyżali  
Z tego, co mi serce pali,  
Z dobrej chwili, z biednej doli,  
Z tego żalu, co mię boli...

*Tłum. Włodzimierz Lewik.*

## PIEŚŃ WOLNEGO WŁOŚCIANINA

Listku zielony — żaluj ty nas!  
Jakże daleka droga do Jass!  
Jakże daleka droga i trud  
Po Prut od bystrych Seretu wód!  
Już ci nie ciągnie wozu tam wól,  
Jeno się bieda toczy bez kół,

Bieda się ludzka wlecze od strzech,  
A za nią ciężko stąpa mój grzech.  
Ziemię niech wolną pochłonie bies!  
Została nędza i spokój szczeł.  
Darłem pazury za ziemi piędź,  
Aż do roboty zgłasła mi chęć;

Sterałem długie noce i dni,  
 Każdy dziś ze mnie — ot sobie — drwi.  
 Spory i zwady, sąd i nie sąd,  
 Sąd trzeba płacić, a niema skąd.  
 Dzieci mi w domu morzy już głód,  
 Żona żałośnie płacze u wrót.  
 Nędza i nędza! Dajże mi Bóg,  
 Żebym ją twardo zdusił i zmógł!

Chyba mi rzucić przyjdzie mą włosć,  
 Dostyc udręki, biedy mam dość!  
 Ot, co — zbójceki przywdzieję strój  
 I w świat wyruszę hardo, jak zbój!  
 Za ból, za gorzki czarny mój chleb  
 Jedna zapłata: maczugą w łeb!  
 Miasto nie miasto, wieś czyli dwór —  
 Sędzią mi będzie dębowy bór!

*Tłum. Włodzimierz Lewik.*

### ŻAŁOBNA PIEŚŃ Z BUKOWINY

Wstań, matenku, bo z rozpaczą  
 W całym domu ciebie płaczą.  
 Wstań i czułą słodką mową  
 Przemów do nas chociaż słowo,  
 Spójrz na nas okiem matki,  
 Chćiej pocieszyć swoje dziatki.  
 Śmierć nieludzka, śmierć zuchwała  
 Bezlitośnie cię zabrała;  
 Poszłaś, matko, w inne progi,  
 Opuściłaś swe niebogi. —  
 Dziś twój domek w ziemi łonie —  
 Już cię wietrzyk nie owionie...  
 Z czarnych twoich brwi u czoła  
 Wonne ci wyrosną zioła,  
 Z modrych ocząt mej mateczki  
 Kwitnąć będą fijołeczki.

Z ust malutkich —  
 Niezabudki,  
 Z białych rączek —  
 Lilji pączek,  
 Aż twe ciało jakiejś chwili  
 W czarną ziemię się przesili.  
 Wstań, matenku, wróc z oddali  
 Dopilnować naszej hali,  
 Niechaj trawka nam wyrośnie  
 Zieleniutka, jak o wiosnie.  
 Bodaj tobie dola marna,  
 Ty niedobra ziemio czarna,  
 Wzięłaś serce naszej mamy,  
 Że nas zostawiła samych...  
 Teraz płaczą drzwi, okienka —  
 Oj! pomarła nam matenka.

*Tłum. Włodzimierz Lewik.*

### DUMKA Z SIEDMIOGRÓDU

Biedna, obca ty kraino!  
 Długo byłaś mi gościna,  
 Lecz mię lud twój już dojada,  
 Niby trawę wołów stada.  
 Już mię gryzą moje wrogi,  
 Jak wół trawę długorogi.  
 Złość mię zjada twojej mowy,  
 Jak tę trawę mleczne krowy.

Zjada nędza, gryzą głody,  
 Nikiej trawę owiec trzody.  
 Obchodziłem twoje pola —  
 Wszędzie jeno pieska dola!  
 Choć przeszedłem wszystkie drogi,  
 Nie zaznałem chwili błogiej;  
 Choćem błdził bez wytchnienia  
 Nie zdobyłem odpocznienia.

*Tłum. Włodzimierz Lewik.*

### ALEKSANDBIA

#### PRZYBYCIE ALEKSANDRA W POBLIŻE RAJU I ODWRÓT

I wyprawił się Aleksander z wojskiem swoim, a dziewięć dni będąc w drodze, do góry jakowejś przybył i minął ją; a postawiwszy słup w owem miejscu, wyrył na nim dzieje swoje. I poszli żołnierze dalej, aż znowu dotarli do groty niepomernej. I rzekł Aleksander: «Co li kto znajdzie w onej grocie, niechże dobywa, drewno albo kamień. Kto zbyt wiele nabierze — pożałuje, a kto zaś mało — i ów pożałuje, że nie wziął więcej». Tedy kazał Aleksander wojom swym na klaczach wjechać, a źrebięta u wnijscia do groty poprzywiązować. Co uczyniwszy, weszli pod sklepienie groty — a była tam ćma nieprzejrzana — i wzięli, co kto znalazł, poczem puścili

wolno klacze, a one wywiodły ich z grotty, zdążając ku źrebietom, bowiem żołnierze oni nie wiedzieli, którędy wyjść. I wynieśli wszystko złoto i perty, i drogie kruszce, żalując w sercach, że nie wzięli więcej. Zaś tedy Aleksander ruszył dalej — i znowu dotarli do łąki cudnej wielce, która woniała, jakby kadzidłem i mirrą. I było tam niepoliczone mnóstwo wszelkiego kwiecica, a łąka ona rozłożona była na wysokościach więcej niżli dziewięciu mil. I pokazały się ognie wedle rajy, zaś aniołowie dwaj, którzy wyszli byli na spotkanie, zawołali: «Stój, Aleksandrze! i nie waż się iść dalej w to miejsce święte, bo zginiesz i ty, i wojsko twoje!» Ustyszawszy to, Aleksander przystanął i wznosił słup złoty, takie na nim wypisując słowa: «Ja, Aleksander, król wszego świata, doszedłem aż tutaj, gdzie dwaj aniołowie wyszli na spotkanie moje i dalej mi iść zabronili, żebym wraz z wojskiem swoim nie zginął — a kto tu dojdzie, niech wstrzyma swoje kroki». I zapytał aniołów Aleksander: «Którędyż na świat się wydostanę?» a oni się śmiali i rzekli: «Poźrzyj na one cztery rzeki, z rajy wypływające: Feson, Gleon, Tygrys i Eufrat — a niemi na świat wyjdiesz».

Tak mówili do Aleksandra aniołowie.

I wrócił Aleksander w świat, i szedł ku wschodowi dni sześć, aż doszedł do jeziora.

Pozwolił tedy wojom swym spocząć, a kucharz królewski poszedł rybę wymyć w jeziornej wodzie. A skoro ją w wodę zanurzył, ożyła i pomknęła ku głębi. Tedy kucharz rzekł do Aleksandra: «Każ, Panie, niechaj wykąpią się wszyscy ludzie, a także i konie». Tak uczynili, a ozdrowieli wszyscy, na jaką kto niedomagał chorobę.

I ruszył dalej Aleksander, aż znowu w drodze napotkał jezioro o wodzie słodkiej i czystej. Kiedy zaś chciał się kąpać, rzuciła się nań ryba wielka, aby go pożreć; i uciekł Aleksander z wody, a ryba za nim aże na brzeg poskoczyła. Tedy odwróciwszy się, dosiadł Aleksander ryby, a żołnierze onę zaktuli i otworzyli jej wnętrzności, dobywając z nich kamień kosztowny, a zaś łuski tej ryby były ze złota. I teźże nocy pokazały się jakoweś dziewczki przedziwne z włosami po pas i przystrojone w korony pozłociste. I krążąc tak wedle wojsk, płakały i pieśni zawodziły tak cudne, że nikt we świecie takowych głosów żałośliwych nigdy nie słyszał — i wołały: «O, drogi nasz i Panie nasz! Jakoż cię zabił król Aleksander?» a opiewały go z wielką żałością...

*Według I. A. Bassarabescu și Vasile V. Haneș,  
Antologia scriitorilor români.*

*Źródło: Emil Biedrzycki.*

### BALLADA PASTERSKA O JAGNIĄTKU

Od rajskiej bramy,  
Ścieżką w parowie,  
Wiodą owieczki  
Trzej pastuszkowie.  
Jeden z węgierskie  
Rodem krainy,  
Drugiego ojce  
Z gór Bukowiny,  
A zasię trzeci  
Pomiędzy niemi  
Z mołdawskiej znowu  
Pochodził ziemi.  
Ów Bukowińczyk  
Z węgierskim w znowie,  
Radzą i radzą,  
Aż jeden powie:  
Oto sposobna  
Bije godzina,  
Trzeba nam śmierci  
Mołdawjanina!

A na to drugi:  
Bo jeno powiedział,  
Który z nas więcej  
Pięknych ma owiecz?  
Kto junak tęższy  
W pasterzy gronie,  
Kto psy wierniejsze,  
Szybsze ma konie?  
Słońce za góry  
Kryć się zaczyna —  
Dziś zabijemy  
Mołdawjanina!  
— A połoniną  
Jagnię się błąka,  
Ani je kwietna  
Nie bawi łąka,  
Omija trawkę,  
Omija krzaczek,  
W smętku i żalu  
Płacze i płacze...

— Przyszedł pastuszek  
I pyta słodko:  
Czemuś spłakana,  
Moja pieśczoćko,  
Może ci gorzka  
Trawka nad rzeczka,  
A możeś chora,  
Moja owieczko?  
— Żeń nas do lasu,  
Pastuszkowi miły,  
Tu się doczekasz  
Jeno mogiły!  
Drogi mój panie,  
Porzuć te strony,  
Dobrego pieska  
Weź do obrony —  
W dalekim lasku  
Wyszukaj leże,  
Bo cię zabiją  
Wieczór pasterze!

— Jeśli masz oczy  
 Jasnowidzące,  
 A ja mam umrzeć  
 Tu, na tej łące,  
 Idź do pastuszka  
 Z Węgier krainy,  
 Idź do pastuszka  
 Z gór Bukowiny —  
 Idź, ma owieczko,  
 Tylko im powiedz —  
 Niechaj mię grzebią  
 Wśród moich owiec.  
 Niechaj w mogile  
 W wieczorną ciszę  
 Szczekanie moich  
 Piesków usłyszę.  
 A ty, owieczko,  
 Ty mi pod głową  
 W grobie fujarkę  
 Położ bukową —  
 Fujarkę z kości,  
 Co gra tak rzewnie,  
 Złóż mi, owieczko,  
 W trumiennem drewnie —  
 A żebym słyszał  
 Ogniste dźwięki,  
 Bzową fujarkę  
 Włóż mi do ręki.  
 A kiedy wietrzyk  
 Zagra na dudkach,  
 Zbierze się owiec  
 Trzoda cichutka,  
 Na góry, lasy,  
 Zielone hale  
 Wypłacze swoje

Skargi i żale.  
 A ty im nutą  
 Opowiedz rzewną,  
 Żem się ożenił  
 Z białą królowną,  
 Że na weselu  
 Niebieski gazda  
 Kazał, by jedna  
 Spadła mi gwiazda.  
 Że złote słońko  
 W parze z księżycem  
 Kwietnym mi wiankiem  
 Stroiło lice,  
 Że mię jesiony  
 I družki jodły  
 W ślubnym orszaku  
 Pod ręce wiodły,  
 Że mi śpiewały  
 Ptaszące chóry  
 I w szatach księżych  
 Wysokie góry —  
 Tysiące ptasząt  
 Ćwierkało zgodnie,  
 A gwiazd na niebie  
 Lśniły pochodnie...  
 A kiedy spotkasz  
 W starym szalasię  
 Moją matulę  
 W wełnianym pasie,  
 Kiedy zobaczysz,  
 Że moja mama  
 Ze łzami w oczach  
 Błąka się sama —  
 I pyta wszędy,  
 Splakana taka,

Czy kto nie widział  
 Zucha — junaka.  
 — Gdzie mój pastuszek,  
 Gdzie mlecznolicy?  
 Ach! jego wąsik,  
 Jak kłos pszenicy —  
 Włosy u niego,  
 Jak skrzydło kruka —  
 Gdzie mi się podział,  
 Gdzie go wyszukam?  
 — Kiedy zobaczysz  
 Moją matulę,  
 Zlituj się nad nią,  
 Powiedz jej czule,  
 Powiedz jej mową  
 Cichą a rzewną,  
 Żem się ożenił  
 Z rajską królowną,  
 Ale jej nie mów,  
 Że z niebios gniazda  
 Na mem weselu  
 Upadła gwiazda,  
 Że mię jesiony  
 I družki jodły  
 W ślubnym orszaku  
 Pod ręce wiodły,  
 Że mi śpiewały  
 Ptaszące chóry  
 I w szatach księżych  
 Wysokie góry,  
 Tysiące ptasząt  
 Ćwierkało zgodnie,  
 I gwiazd na niebie  
 Lśniły pochodnie.

*Tłum. Włodzimierz Lewik.*

## GRIGORE ALEXANDRESCŪ

(1812—1885)

### PIES I PIESEK

«Złości mię — mówiąc szczerze,  
 gdy to czy inne zwierzę,  
 jeśli jest wilkiem, słońcem czy lampartem —  
 myśli, że już coś warte!  
 Cóż, gdyby nawet herby miało rzadkie —  
 to przecież tylko przypadkiem!  
 Możem i ja ze szlachty!... Gdybyśmy zbadali?...  
 lecz nie... zbyt... nie lubię się chwalić!  
 — Podobno w mądrych krajach oddawna już gości  
 prawo równości; —  
 wszystko nowych porządków uczy się nawzajem!  
 — tylko u nas — jak u nas... ot — starym zwyczajem...  
 Co do mnie — wiedzą przecie bratnich zwierząt rzesze,  
 że się ogromnie cieszę,

kiedy mię nawet byle potomstwo baranie  
 zawoła «psie» poprostu — a nie «jasny panie»!  
 — Tak do pewnego wołu — i takimi słowy  
 mówił Samson — olbrzymi brytan podwórzowy —  
 a maleńki pinczerek, który gdzieś pod płotem  
     bawił się z kotem,  
 słysząc słowa brytana tak górne i gromkie,  
 przybiegł doń, najprzymilniej merdając ogonkiem.  
 «Jakże piękne — zaskomlał — to, coście mówili,  
 podzielał wasze myśli, bracia moi mili!»  
 — «Twi bracia? — o, chłystku!» — warknął, szczerząc kielce  
     Samson, wzburzony wielce...  
 «Widzisz go! mili bracia! — słyszysz mości wole?  
 Ja się tu byle komu tykać nie pozwolę!  
 Wiesz — z kim masz do czynienia? Zmykaj, gdzie pieprz rośnie!»  
     Na to piesek żałośnie:  
 «Przecieżście mówili...» — «Mówiłem — i kwita!  
 ale się takich łyczków o rację nie pytam!  
 Nie znoszę lwów i wilków, co zbyt siebie cenią —  
 tak jest... pragnę równości — ale nie dla szczeniąt!»

\*

Podobnie bywa u nas... świat mało się zmienia —  
 z większym każdy z nas żąda równouprawnienia...

*Tłum. Włodzimierz Lewik.*

## ION CREANGA

(1837—1889)

### JAN ROATA I ZJEDNOCZENIE

W r. 1857, kiedy to w Jassach przygotowywano zjednoczenie Mołdawji i Muntenji, liberalni bojarowie mołdawscy, jak Konstanty Hurmuzaki, Cogălniceanu czy inni, uważali za rzecz nieodzowną zaprosić na zebranie także po jednym z pośród poważniejszych włościan każdego powiatu, aby i oni wzięli udział w pracy około tak wspaniałego i szlachetnego poczęcia w duchu narodowym. Przybyłych do Jass chłopów postroili bojarzy wspólnym kosztem w jednokie białe sukmany i nowe czapki, tak piękne, że się aż dziwowało chłopstwo onemu zbyt kowci, który ich spotkał. Powierzono ich potem jakiemuś podobno bojarowi, aby ich pouczył, poco właściwie przybyli do Jass. — Moi drodzy, a czy też wiecie, w jakim celu was tutaj powołano? — zapytał bojar przyjaźnie.

— Dyc się ta dowiemy, panie, kiej nam powiecie — odparł nieśmiało jeden, starszy już chłopina, drapiąc się w głowę.

— Otóż posłuchajcie, moi kochani... Od wieków dwa braterskie i chrześcijańskie kraje sąsiedzkie, nasza Mołdawja i Wołoszczyzna albo ziemia Munteńska, o której możecie coś kiedy słyszeli, rozszarpują się i pożerają wzajemnie ku pogębieniu i — powiedziałyby — wyniszczeniu rumuńskiego narodu. Mówiłem — moi kochani — że to ziemie braterskie i chrześcijańskie, gdyż nasi bracia z Muntenji tak samo się modlą, jak i my, Mołdawjanie. Wzrost, mowę, jedzenie, ubiór i zwyczaje wszelakie, jakie my mamy, posiadają tak samo i nasi bracia z Wołoszczyzny. Rzekłem dalej — moi kochani — kraje sąsiedzkie, gdyż dzieli je jeno strumyk Milkow, przepływający przez Fokszany. Wysuszmy go naraz, jakby jednym tykiem, i dokonajmy świętego zjednoczenia, to jest zbratania, którego tak pragnęli przodkowie nasi, a nie mogli osiągnąć z powodu trudnych podówczas warunków. Widzicie oto — moi kochani — jak piękne i chrześcijańskie mamy spełnić zadanie. Ohy nam jeno Bóg pomocy nie poskapi! No — rozumiecie już teraz, pocośmy was tutaj zawołali? A jak tam który

ma coś do powiedzenia, to śmiało! Mów po mołdawsku, człecze, a szczerze, jak brat do brata, którym przecież dla was jesteśmy sercem: bośmy się nato zebrali, aby się oświecać wzajemnie, a Bóg niechaj nas wszystkich oświeci wedle swej mocy.

— Ano, to niby rozumiemy, panoczku... jużci, że tak będzie... mruknęło kilku chłopów bardziej zgodliwych... — Bo jeśli wy, panowie, nie będziecie wiedzieć, co się dzieje po świecie, to skądże nam, mizerakom od pluga, wyrozumieć, jak dobrze a jak źle?

— A ja, prawdę mówiąc, panoczku, jakości was nie rozumiem — bąknął Jan Roatã.

— A choćby my się ta i rozumieli na czem, to i tak po próznicy, bo to, panoczku, wedle przysłowia: «Chłop, jak idzie, to ino tupie, a jak gada, ino hałasuje». Darujcie panie, ale tak na mój rozum, to można było i bez nas, co ino trza, zrobić, bo choć ta chłopisko kosą, sierpem czy motyką niezgorzej zamachnie — nic z tego! A wy kręcicie piórem i umiecie dowoli z białego zrobić czarne, a z czarnego białe... Dał wam Bóg rozumu, żebyście nas, głupich, pouczyli...

— O nie — moi kochani — minęły już te czasy, kiedy wszystko w tym kraju leżało w rękach bojarów, którzy zeń wyciskali, co tylko chcieli... Dzisiaj — widzicie — wszyscy od włodyki do chłopca musimy mieć swój udział tak w potrzebach, jak i szczęśliwości naszej ziemi. Praca i zarobek, prawa i obowiązki równe dla wszystkich!... Opowiadał im jeszcze bojar o pochodzeniu Rumunów, jak i skąd wzięli się w tym kraju, o ich cierpieniach, rozbiciu i rozproszeniu po świecie. Przytaczał przypowieści o wiążce prętów, o bykach powaśnionych — słowem, wysiłał się, jak jeno mógł, by chłopom wytłumaczyć nareszcie dobroczynne skutki zjednoczenia, przypominając, że i kościół modli się codziennie za zjednoczenie wszystkich od przeszło 1850 lat...

— No, myślę — moi kochani — że teraz toście już chyba zrozumieli?

— Zrozumieli, panoczku, dokumentnie — powtarzali prawie wszyscy. — Niech wam Bóg dopomoże w tem chrześcijańskim dziele!...

— Hm! ...Kiedy ja nie mogę jeszcze nic jakoś wyrozumieć — odezwał się znowu stary Roatã.

— Bóg łaskaw, ojcze Janie... Ale wy coś w głowie nietęgi, chodźmy więc do ogrodu, tam jeszcze pogadamy...

— Widzicie — ojcze Janie — ten kamień, tam, w moim ogrodzie?

— Zaśbym nie widział?

— No, to bądźcie tak dobry i przynieście go do mnie... — rzekł bojar, który siedział na krześle wśród chłopów.

— Darujcie, panoczku, ale nie dam rady, bo ciężki widzę — nie na żarty...

— Spróbujcie tylko, a zobaczycie!

Ojciec Jan idzie i próbuje podnieść głaz, ale bezskutecznie.

— Idźcie i wy, ojcze Bazyli, i wy, bracie Eljaszu, i wy, bracie Pandelake...

Poszło ich wkońcu coś czterech, ruszyli kamień i przynieśli go do bojara.

— A co, moi kochani? Widzicie? — Poszedł ojciec Jan i sam nie podolał, ale gdy was kilku z pomocą pośpieszyło, to rzecz łatwo już poszła. Nie był to już ciężar ten sam... jakże to mówi pieśń?

Gdyś samotny jest w potrzebie —  
Własne siły nie pomogą!  
Gdy nas wielu — i sił wiele,  
Zmóc nie damy się swym wrogom!

Tak samo i ze zjednoczeniem — moi kochani... Czy myślicie, że gdy przy Boskiej pomocy połączy się Mołdawja z Wołoszą, to tylko tyłu nas będzie? Jak jeno bracia nasi z Siedmiogrodu, Besarabji czy Bukowiny, a i ci z poza Dunaju, z Macedonji czy skądinąd zobaczą, że dobrze nam razem, to i oni się z nami połączą. Stworzymy wtedy wielki bogaty kraj i potężny, że już żaden wróg nie zaczepi nigdy Rumunów! A potem pobratymcy nasi Francuzi, Włosi, Portugalczycy i Hiszpanie — jak myślicie — na cóż oni czekają? Oni przecie w każdej — czego nie daj Boże — po-

trzebie krew swą za nas przelać gotowi! W jedności siła — moi drodzy. Tak! — no, chyba już teraz zrozumieliście wszyscy i dokładnie?

— Nie gniewajcie się, panoczku, a ja, jak nie rozumiałem, tak dalej nie rozumiem — rzekł ojciec Roatã.

— Jakże to, ojczu Janie, przecieżem tak już do głowy poprostu łopatą kładł, że dzieckoby wyrozumiało!

— Niby tak — przytaknęli inni...

Na to bojar już trochę zmęczony i nadaşany: A więc, słuchajcież, ojczu Janie... Opowiedzcie nam tak na swój rozum, coście tu zrozumieli, a czego pojąć nie możecie, żeby i nam się głowy pootwierały, bo już zbyt długo o tem gawędzimy.

— Ano dobrze — bez waszej, panoczku, obrazy — ale widzi mi się, że od słów do czynów droga daleka. Wy, panoczku, jak każdy bojar, kazaliście nam tylko przynieść kamień, aleście sami do tego ramion nie przyłożyli — akuratnie tak, jakieście to mówili, że teraz wszyscy będą mieli udział w ciężarach od włodyki aż do chłopca. Gdyby to tak było — byłoby dobrze, ale to jak do wojny, to niema nikogo, a jak do darmochoy, to się wszyscy rzucają — a tak i człowiekowi za bardzo i wierzyć się nie chce.

A wedle tego kamienia — tom znowu tak rozumiał... Do dziś, to każdy chłop dźwigał na swoich ramionach swoją biedę, swój ciężar, mniejszy czy tam większy, a dziś każecie nam, chłopom, panoczku, wszystkim razem, unieść całą skałę. Daj Boże, żeby było inaczej. Jabym się ino cieszył...

Na te słowa poczęli chłopci ramionami wzruszać, poglądać po sobie i przegadywać: Ot, może być, że i nasz Roatã ma słuszność!... A bojar, zagadując ich żartami, przełknął tę pigułkę — i zamilkł.

*Tłum. Emil Biedrzycki.*

## VASILE ALECSANDRI

(1821—1890)

### INDYCZKI

Indyczki rozczochrane, stare, przygarbione  
trzęsą się pod kurnikiem, jak liście zwarzone.

Gdzie spojrzeć — na podwórza całuskim obrębie  
całują się gołębie, kochają gołębie.

Mówi stara indyczka do starej indyczki:  
cóżto za zwyczaj, cożto za nawyczki —

Cóżto za rozpasanie, wzloty i obloty,  
mizdrzenia, całowania, rozpusta, pieszczoty —

Spójrzno na tamtą parę — tam na dachu końcu —  
przytulają się k'sobie na dnia pełnem słońcu —

To okropność, to bezwstyd — ten afekt brutalny —  
ieden z drugim swawoli, jakby niewidzialny —

A przecież my na igry patrzym wyuzdane,  
my, indyczki, przez wszystkich zawsze szanowane —

Zapytaj się gąsiora, co naszym sąsiadem,  
a przyzna, że jesteśmy wzorem i przykładem.

Na to im pies odpowie, leżący przy budzie:  
moje paniusie gderne, żyjecie wciąż w złudzie —

Zgarbione, rozczochrane, jak naręcze liści,  
trzęście się ze zimna, zła i nienawiści —

Gulgacie, obmawiacie gołębie z zazdrości,  
bo oddawna nie wiecie, co to czar miłości —

Przeżyłyście już życie, nic wam nie zostało  
prócz jednego bełkotu: przekląć, przekląć ciało —

Tu w warczeniu już przeszedł nasz piesek uparte:  
nic nie jesteście warte, nic warte, nic warte...

*Tłum. Emil Zegadłowicz.*

### ŚNIEŻYCA

Kurzawa... Noc... Dmie wicher i wyje zziąjany,  
Śniegowe z pól pod niebo miotając tumany.  
Horyzontem raz po raz biała przemknie fala  
I zgubi się w zamglonych i mrocznych oddalach...

Kłębowisko żywiołów. Z kniej wyszły niemrawe  
Wilki, zlorzecząc burzy skróż śnieżną kurzawę;  
Trzody drżą, wiatr krukami miota w dzikich płasach  
I czuby wierzb nad rzeką wicherzy i potrząsa.

Jękliwy poryk bydła się zrywa po chatach,  
Od pól i borów wrzawą zmieszana dolata...  
Skądś... z dali rzenie słyhać... brzęk — zda się — uprząży...  
Noc... Wilki... Za podróżnych pacierze wiatr rzeży...

Szczęśliwy ten, co nocą, zbłądziwszy wśród burzy,  
Zatrzyma się — i oczy zdziwione przymruży,  
I psów posłyszysz skowyt, dom ujrzy i strzechę,  
Która go w ciepłą izbę zaprasza z uśmiechem...

*Tłum. Włodzimierz Lewik.*

### IOAN LUCA CARAGIALE

(1853—1912)

#### GROMNICA WIELKANOCNA

Lejba Zibal, karczmarz w zapadłej wsi, chory na malarję, wydalil ze służby parobka-brutala Jura, który mu na odchodnym rzucił groźbę okrutną, obiecując ją spełnić w sobotę wielkanocną, kiedy mieszkańcy wsi brać będą udział w rezurekcyj z płonącymi gromnicami w rękach. Sobota wielkanocna. Lejbie malarja coraz daje się we znaki. W południe zajeżdża dyliżans z kilkugodzinnym opóźnieniem. Pocztyljon omawia z pasażerami wypadek wymordowania całej rodziny karczmarzkiej, co właśnie spowodowało opóźnienie dyliżansu. Lejba słucha. Ogarnia go przerażenie. Każe żonie i dzieciom wcześniej udać się na spoczynek. Gasi światło...

...Noc. Zibal siedzi w sieni na progu izby — i słucha... Zdała dobiegają niewyraźne odgłosy... Niby stłumiony tętent czy głuchy stuk kafarów — jakieś rozmowy żywe i tajemnicze. Uwaga, napięta jak struna, wyostrza słuch w nocnej samotni. Gdy oko bezbronne i słabe, słuch, zda się, walczy, aby je zastąpić.

Ale te głosy... Nie, to nie złuda... Na drodze, wiodącej ku karczmie od gościńca, słyhać tępe stapanie kopyt. Zibal wstaje, podchodzi do wrót sieni. Wrota zamyka napoprzek ciężki drąg, którego końce tkwią w wydrążeniach muru. Przy pierwszym kroku zazgrzytał piasek zdradliwie pod butem. Zibal zdejmuję buty i zostaje w skarpetkach. Cicho i niedosłyszalnie dla uszu nieprzygotowanych podchodzi do wrót



w chwili, gdy jeźdźcy je mijają stępa. Rozmawiają stłumionym głosem, nie tak jednak, by Zibal nie mógł pochwycić wyraźnie tych kilku słów:

— Położył się wcześniej...

— A gdyby wyjechał?

— Przyjdzie na niego czas innym razem... Choć wolałbym...

Dalsze słowa gubią się i głuchną; ludzie oddalili się zbytnio. Lecz o kim była mowa? Kto się miał położyć czy wyjechać? Na kogo przyjdzie czas?... Któż to co innego by wolał? I co to jest, co by wolał? A czego ci ludzie szukali na ścieżce, na którą wstępują jeno idący do karczmy?

Znużenie jak kłoda osuwa się na kark Zibala...

— A może to Jur?

Lejba czuł, że siły w nim gasną, i znowu usiadł na progu. Z pośród ułamków kołujących po głowie myśli nie mógł uchwycić ani jednej całej, decydującej. Bezmyślnie powłókł się do sklepu, potarł zapalkę i zaśwycił lampkę naftową.

To jeno błąd ślad światła; knot bowiem tkwi tak głęboko, że płomień kryje się w mosiężnym kapturku; tylko przez szpary wycięć w maszynie sączą się cienkie, poziome smugi prawie martwego światła. Wystarczy to jednak, by Zibalowi dać możliwość wnikięcia wzrokiem w tak dobrze mu znane kąty. Ach, znacznie mniejsza jest różnica między słońcem a iskrą najnędzniejszą, niż między tą iskrą a ciemnością! Zegar tylko tyka na ścianie. Ów monotony szmer drażni Zibala, położył więc dłoń na kołyszącym się wahadle i wstrzymał ruch zegara.

Usta miał suche. Odczuwał pragnienie. Wypłókał kieliszek w stojącej obok szynkwasu baryłce na trzech nogach i chciał sobie nalać wódki, lecz szyjka flaszki zbyt głośno podzwaniała o brzeg kieliszka, co drażniło go jeszcze więcej. Powtórny wysilek, by całym skupieniem woli opanować osłabienie, pozostał bez wyniku.

Wtedy Zibal opuścił kieliszek do wody i pociągnął z flaszki parę łyków. Postawił flaszkę, która, dotknąwszy deski, stuknęła nadszpodziewanie głośno. Zmartwił na chwilę — przerażony. Umieścił potem lampę w nyży okna, od strony sieni. Po wrotach, po podłodze i po przeciwległej ścianie ślizgały się szerokie smugi światła, ledwie że silniejszego nad wyobrażenie.

Zibal usiadł na progu, nasłuchując bacznie... Dzwony na wzgórzu... kołatki przedrezurekcyjne... A więc już po północy i zbliża się dzień... Ach, gdyby i druga część tej nocy tak długiej minęła, tak jak pierwsza!

...Zgrzyt piasku pod stopą! — ależ on jest w skarpetkach i nawet nogą nie ruszył... drugie zgrzytnięcie... kilka dalszych... z pewnością tam ktoś jest, i to blisko. Lejba wstaje, ręką przyciska pierś, gardłem wykonywa ruch, jakby przetykał coś, co go dławi.

...Jest kilku ludzi przed domem... i Jur!

Tak... i on... wybiła na wzgórzu godzina rezurekcji...

— ... Ależ powiadam ci, że śpi! Widziałem, jak zgasił światło!

— Tem lepiej! dostaniemy całe gniazdo...

— Wrota ja otworzę; znam ich tajemnicę. Wykrójmy okienko. Tędy przechodzi drąg.

I słyhać było dotknięcia, któremi człowiek z zewnątrz odmierzał na drzewie odległości.

Słyhać wżeranie się świdra w suche i stare dębowe drewno. Zibal czuje potrzebę oparcia się; lewą rękę opiera na wrotach, a prawą zakrywa oczy.

Wtedy, dzięki dziwnemu jakiemuś kaprynowi sił wewnętrznych, odzywa się w jego uchu jakiś wyraźny głos:

— Lejba! dylizans nadjeżdża!

Był to niewątpliwie głos Sury... Ciepły promień nadziei... Chwila szczęścia i znowu jeno marzenie senne... Lejba cofnął nagle lewą rękę; koniec narzędzia, przebiwszy drzewo, ubódl go w dłoń.

Myśleć jeszcze o ratunku? — Absurd!

W płonącym mózgu obraz świdra nabierał rozmiarów, przekraczających wszelkie wyobrażenie. Świder, kręcąc się bezustanku, rósł w nieskończoność, a otwór sta-

wał się coraz większy, tak wielki, że w jego ramach — nie pochylając się — można było dojrzeć stojącego napastnika. Co się działo w tym mózgu, tego myśl ludzka pojąć nie zdoła; życie uniosło się do takiej wyżyny egzaltacji, z której wszystko widzialne, słyszalne i dotykalne nabierało chaotycznych olbrzymich rozmiarów.

...Praca od zewnątrz postępuje wytrwale i metodycznie. Lejba widział już po raz czwarty wwiercający się i wycofujący ząb stalowy.

— Podaj piłę — mówi Jur...

Wąski język piły wśliznął się przez pierwszy otwór i począł zgrzytać miarowo i regularnie. Plan łatwo można było przejrzeć... cztery otwory po czterech rogach kwadratu; między nimi piła wyciąga kreski; przedtem — świder, wkrecony w środek kwadratu; gdy kwadrat oddzieli się całkiem od ciała drewna, będzie wyciągnięty. Powstałym otworem wejdzie silna dłoń — pochwyti drąg — odsunie... i goje wejdą w dom Lejby... Za kilka minut ten sam świder stanie się narzędziem męki Zibala i całej jego rodziny. Dwu katów przytrzyma rozciągniętą na ziemi ofiarę, a Jur, oparłszy obcas na jej brzuchu, wrazi powoli, jak w martwe drewno, świder w żywą pierś siową kość — głęboko — coraz głębiej, aż dojdzie do serca, którego bicie rozszalałe zatrzyma i przygwoździ...

Pot śmiertelny zwilżył ciało Zibala. Żyd, jak podcięty, zachwiał się i runął na kolana, jak bydlę, które ugina karku po cios ostateczny.

Tak!... niech je przygwoździ... pomyślał beznadziejnie... niechaj przygwoździ...

Przez chwilę szklanemi oczyma wpatrywał się w światło na oknie. Nagle ocknął się z zamyślenia, ze skamienienia. Tak, tak — powtarzał z przerażającym błyskiem w źrenicach — niech je przygwoździ...

Wtedy dokonano się w nim dziwne jakieś zjawisko, jakaś przemiana zupełna. Przestał się trząść, rozwiąło się przygnębienie, a twarz, zniekształcona tak długą walką, przybrała wyraz jakiejś pogody dziwacznej. Wyprostował się, jak człowiek silny i zdrowy, pewny siebie człowiek, który zdążył do mecie, łatwej do osiągnięcia.

Linja między górnymi punktami kwadratu była już na ukończeniu.

Lejba zbliżył się z ciekawością, by patrzeć na ruchy narzędzia. Uśmiechał się coraz widoczniej. Kiwał głową, jakgdyby mówił:

— Jeszcze mam czas!

Piła przezarła tymczasem ostatnie włókna, dzielące ją od najbliższego otworu, zaczęła się przedzierać ku następnym.

— Są jeszcze trzy — pomyślał Lejba — i ostrożnie, jak doświadczony myśliwiec, wszedł wolnym krokiem do sklepu. Szukał czegoś pod ladą, zabrał i wrócił z tym samym spokojem, skrywając w ręce przedmiot, jakby się bał niedyskrecji murów. Na palcach podszedł ku bramie. Lecz — cóżto? — praca około wrót ustała... cisza... czyżby odeszli? Czy odszedli!? — błyskawicą śmignęło pytanie przez mózg człowieka w sieni. Żyd, jakby przeczuwając, że tak się stało, przygryzł wargę — rozczarowany.

Ha! — to na szczęście złudzenie! — jakże niemiłe! Z zewnątrz podjęto znów pracę, a on śledzi ją z biciem serca, w gorączce ciekawości... Tak... Zibal stanowczo dręczył się pragnieniem niewytłumaczonym rychłego końca tej pracy... Prędszej! — myślał niecierpliwie — prędszej!...

Znowu dzwony na wzgórze...

— Prędszej, człowiecze, bo dzień nas zaskoczy — odezwał się głos z zewnątrz, jakgdyby podniecony wołą Zibala.

Pracownik piłował pilnie. Jeszcze kilka ruchów — a punkty kwadratu się połączą...

Nareszcie!

Świder wyciąga powoli kwadratowy wykrój drewna. Wsuwa się ręka silna i żylasta. Nim jednak zdążyła dotknąć drąga, którego szuka, padają dwa okrzyki, a Zibal owija silnie wolny koniec pętli dokoła pnia, obok wejścia do piwnicy. Pętlę sporządził przemyślnie: długi sznur, jednym końcem uczepiony u pniaka; drugi spleciony w pętlę, której oko przytrzymuje Zibal lewą ręką na wysokości mającego się ukazać otworu w wyciętym kwadracie, w prawej zaciska kurczowo sznur zwisa-

jący. W sposobnej chwili Lejba puścił oko, a chwyciwszy obiema rękami za sznur, potężnym szarpnięciem wciągnął do środka całe ramię.

Operacja ta była dziełem jednej sekundy. Towarzyszyły jej dwa okrzyki — rozpaczy i triumfu; ręka była «przygożdżona».

Dał się potem słyszeć tupot śpiesznie oddalających się kroków. Towarzysze Jura zostawili na pastwę Zibala zdobycz, złapaną tak chytrze.

Żyd pobiegł do sklepu, wziął lampę i pewnym ruchem podkręcił knot, a światło, zamknięte dotychczas pod kapturkiem maszyny, buchnęło zwycięsko, wesoło, ożywając i zarysowując ostro kontury otoczenia.

Zibal wszedł z lampą do sieni. Napastnik stękał głucho; wyteżone ramię świadczyło, że zrezygnował z beznadziejnych szamotań. Ręka puchła, palce zginały się, jakby coś chciały pochwycić. Żyd przybliżył lampę... Dreszcz... wracała znowu gorączka... Podsunął lampę zbyt blisko, wskutek czego, drżąc, gorącym szkiełkiem dotknął ręki bandyty... Palce rozprężyły się gwałtownie i głuchy jęk zarzęził...

Zibal zadrżał znowu... w błyszczących jego żrenicach żarzyła się myśl dziwaczna. Zarechotał śmiechem, który wstrząsnął sklepieniem sieni i wszedł do sklepu.

Dniało.

Przebudziła się Sura... zdało się jej, że słyszała przez sen jakieś ryki okrutne. Lejby nie było w izbie. Wszystko, co przeżyła poprzedniego dnia, wskrzesło w jej pamięci... Działo się coś złego... zeskoczyła z łóżka i zapaliła lampę. Łóżko Lejby było nietknięte. Lejba wcale się nie kładł.

Gdzież był... Spojrzała przez okno; naprzeciw na wzgórzu roilo się od światełek żywych, które to błyskały, to znów tonęły w mrokach...

Tłum wracał z rezurekcji. Sura uchyliła okno i wtedy dobiegły jej uszu jęki od wrót. Przerazona zbiegła po schodach... W sieni było światło... Zmartwiła na progu, rażona grozą tego, co ukazało się jej oczom... Zibal siedział na stolku... łokcie na kolanach, broda wsparta na rękach... Niby uczony jakiś, który ze splotu żywiołów rozmaitych usiłuje odczytać jakąś subtelną tajemnicę przyrody, wpatruje się Lejba w wiszący, czarny przedmiot niekształtny, pod którym na drugim stolku, na odpowiedniej wysokości pali się wielka gromnica.

Zibal bez zmużenia powiek przygląda się procesowi rozkładu ręki, która nie oszczędziłaby go na pewno. Nie słyszał wcale wycia nieszczęśnika... To, co widział, było zbyt ciekawe, aby dopuścić możność słyszenia czegokolwiek. Zibal śledził z rozkoszą kurczenie i rozwieranie palców; widział, jak mdlały kolejno, powoli, przybierając kształt łapek chrabąszcza, które się prężą i kurczą, dziwaczne wykonują ruchy, odruchy silne i słabsze, coraz bardziej słabe, aż wreszcie sztywnieją w rękach brutalnego chłopca...

I już po wszystkim... Ręka smażyła się wolno, nabrzmiewając w bezruchu.

...Aż wrzask Sura: Lejba!

Żyd dał znak ręką, by mu nie przeszkadzała... Po sieni rozwlekał się tłusty odór palonego mięsa... Słyszać było syczenie i drobne — jakgdyby trzaski...

Co jest — Lejba, co jest? powtórzyła kobieta...

Dniało już na dobre. Sura rzuciła się ku wrotom i odsunęła drag. Wrota rozwarły się, ciągnąc za sobą zwłoki Jura, wiszącego na prawym ramieniu. Tłum chłopów ze świecami wtargnął do środka:

— Co to? — Co tu się stało?... i nagle zrozumieli wszystko. Zibal, który dotychczas siedział nieruchomo, wstał z powagą. Spokojnie przez tłum się przecisnął...

— Jak to było, Żydzie? — zapytał jeden...

— Lejba Zibal — rzekł karczmarz głosem piskliwym, szeroko rozkładając ręce — Lejba Zibal idzie do Jass, do rabina — i powie, że Lejba Zibal nie jest żydem... Lejba Zibal jest gojem... bo Lejba zaświecił Chrystusowi gromnicę...

I ruszył ku wschodowi, wgórę, powolutku, niby wędrowiec roztropny, który wie, że w daleką drogę nie idzie się szybkim krokiem...

*Tłum. Emil Biedrzycki.*

## MIHAIL EMINESCU

(1850—1889)

## GLOSSA

*Wszystko w zmiennym mija czasie,  
Co dziś nowe — jutro stare.  
Co jest złe — co dobre zasię,  
Sam odnaleźć musisz miarę.  
Rzuć nadzieje, rzuć obawy,  
Co jest fałą, fałą minie,  
Od kuszącej uchodź zjawy,  
Zimny w każdej bądź godzinie.*

*Płynie wielość niepojęta,  
Dziwy szepce ci do ucha.  
Ale któż je zapamięta,  
Kto zrozumie i wysłucha!  
Ty się jednak usuń z drogi,  
W ducha zamknij się szalaście,  
Kiedy pośród wrzawy srogiej  
Wszystko w zmiennym mija czasie.*

*Niech ku mijającym chwilom,  
W myśli twoich zimnym trudzie  
Szale wagi się nie chylą  
Gwoli zwiewnej szczęścia złudzie,  
Którą zgon tych chwil ożywi,  
Aby trwała godzin parę.  
Dla znających ziemskie dziwy,  
Co dziś nowe — jutro stare.*

*Niby w krzesel siedząc rzędzie,  
W świat spoglądaj, jak na scenę —  
Kto jakkolwiek tańczyć będzie,  
Poznasz prawą jego cenę.  
W samotności wejdz korytarz,  
A w płynących dni hałasie  
Z ludzkich sztuczek sam wyczytasz,  
Co jest złe — co dobre zasię.*

*Dzieje przyszłe, dzieje dawne —  
Jednej karty to dwie strony.  
Zakończenie temu jawne,  
Kto je czytać nauczony.  
Tedy znaną jutra kartę  
Masz przed oczu swych obszarem;  
Czy to jednak wiele warte,  
Sam odnaleźć musisz miarę.*

*Bowiem wszystko, przyjacielu,  
Jedną toczy się kolejną.  
A od wieków — widzisz — wielu  
Ludzie smucą się i śmieją.  
Nutą nowych brzmia kantylen  
Wciąż te same jednak sprawy;  
Gdyś zawodów przeżył tyle,  
Rzuć nadzieje, rzuć obawy.*

*Rzuć nadzieje, gdy dokoła  
Ku zwycięstwu tłum się trudzi —  
Choćbyś gwiazdę miał u czoła,  
Zawsze głupszy będą przódzi.  
Zawodników mkną szeregi,  
Pną się, tłoczą ku wyżynie.  
Nie dla ciebie owe biegi,  
Co jest fałą, fałą minie.*

*Pośród twardej życia walki  
Nie poskąpi świat przynęty.  
By na scenie zmienić lalki,  
W wirów ciągnie cię odmęty.  
Niechaj czary cię nie zmoga,  
Odwróć od nich wzrok ciekawy,  
Idąc raz obroną drogą,  
Od kuszącej uchodź zjawy.*

*Milcz, gdy obca twarda mowa  
Biczem rani cię i smaga,  
Nacóż zdadzą się twe słowa,  
Wszak wiadoma ci ich waga.  
Nic to, bracie, gdy wśród drogi  
Chytrze ten i ów cię minie.  
Od miłosnej stroń pożogi,  
Zimny w każdej bądź godzinie.*

*Zimny w każdej bądź godzinie,  
Od kuszącej uchodź zjawy,  
Co jest fałą, fałą minie,  
Rzuć nadzieje, rzuć obawy.  
Sam odnaleźć musisz miarę,  
Co jest złe — co dobre zasię,  
Co dziś nowe — jutro stare,  
Wszystko w zmiennym mija czasie.*

Tłum. Włodzimierz Lewik.

## MODLITWA DAKA

*Gdy jeszcze śmierci nie było, niczego, co nieśmiertelne,  
gdy nie istniało światło, życia ognisko naczelne,  
gdy nic nie zwało się zawsze ni dziś, ni jutro, ni wczora —  
bo dla wszystkiego w jedności jednaka trwała pora —*

gdy ziemia, niebo, przestrzenie, świat cały w zespoleniu  
w równorzędności istniały — istniały w swem nieistnieniu —  
wówczas to byłeś Ty jeden, przeto ma wargę woła:  
kim jest ten Bóg, przed którym schylamy nasze czoła? —

Był-ci on Bogiem jedynym — nie było przed nim bogów —  
wówczas, gdy złote ziskrzzenia z nocnych wstawały rozłogów,  
On ducha we wszystkich tchnął bogów, szczęśliwość w ziemię wpromienia,  
On jeden ludzkość prowadzi do źródlanego zbawienia.  
Wgórę unosić serca — świat wypełnijcie śpiewaniem,  
On-ci jest śmiercią śmierci, On życia zmartwychpowstaniem.

On mi dał żadne źrenice, bym światło ujrzał dniące,  
szczęsnym urokiem współczucia napełnił serce bijące,  
Jegom usłyszał imię wśród wielkich wichrów szumienia —  
w tym głosie na falach pieśni pojąłem słodycz wieszczenia  
— i jeno o jeden jedyny w tem wszystkim zebrzę przyczynek:  
aby mi odejść pozwolił w wieczysty odpoczynek.

I oby przeklął każdego, kto się nade mną lituje,  
a błogosławił tego, co plecem brzemienia dosuje.  
O, niechaj przekleństw wysłucha — niech błogosławi szydercę  
i niechaj skrzepi to ramię, co nóż wbić pragnie w me serce —  
i niechaj podniesion będzie pośród współbraci mrowia  
— ten, co z pod głowy mi wyrwie kamień mojego wezgłowia.

O, niechaj przejdę przez życie jako ścigane zwierzę,  
aż męka oczom moim ostatnią łzę zabierze,  
aż ujrzę, że w każdym człowieku wróg mój zacięty powstaje,  
aż rzucę w otchłań pytanie: czyliż to ja? — nie poznaję!  
bo oto z bólu i cierpień tak stwardłem, skamieniałem,  
iż mogę uragać matce, którą tak bardzo kochałem...  
Tedy, gdy straszna nienawiść miłością, zda się, nadnieje,  
przepomnę, być może, cierpień — nareszcie do śmierci dojrzeję!

Natenczas, gdy umrę — ja obcy, ja zbrodniarz wyrodny —  
wyrzucie kędyś na drogę mój zewłok podły, niegodny,  
A tego, Ojczy mój, okryj w koronę i wielkie cenności,  
co psy poszczuje, by ze mnie wyżarły wraże wnętrzości,  
a temu, co kamień podniesie i w moje rzuci oblicze,  
wiekuistego żywota, za twą poręką, życzę!

Tak oto jedynie, Ojczy, dziękować mogę przecie —  
za szczęście, iż zezwoliłeś żyć mi na Twoim świecie!  
Nie ugnę kolan ni czoła nie schylę, proszący o Twe dary,  
raczej Cię skłaniam do przekleństw, do nienawiści bez miary,  
bym czuł, że Twoje tchnienie łamie mi ducha jak trzcinę —  
aż-ci wygasnę na wieki — przepadnę bez śladu — i — zginę!

*Źm. Emil Zegadłowicz.*

GEORGE COȘBUC

(1866—1918)

WIEJSKA KOŁYSANKA

Przyszedł z lasu wilczek zły...  
Zbiegał wsi kawałek spory,  
Aby porwać do swej nory  
Dzieci, które lubią łzy...  
Do mej chatki także wlał,

Alem rzekła do wilczura:  
Gdy ci, bratku, miła skóra,  
Zmykaj dobrze — póki czas!  
— Ale wilk już był daleko  
— Za dziesiątą górą, rzeką...

Wczoraj jakiś brzydki stwór  
 Pytał pilnie u sąsiadki,  
 Czy się grzecznie bawią dziatki,  
 Bo jak nie — to dalej w wór!  
 Wysłałam doń przed chaty próg:  
 Słodko kwili moje dziecię,  
 Nie dam ci go za nic w świecie,  
 Innych szukaj sobie dróg!  
 — Ale stwór już był daleko  
 — Za dziesiątą górą, rzeką...

Dzisiaj znów bogaty kmieć  
 Dopytywał się po bramach,  
 Gdzie są dzieci, których mama  
 Nie chce kochać ani mieć?  
 Przyszedł do nas... A ja w krzyk:  
 Żeby kupić mego synka,  
 Nie ma na to złota w skrzynkach  
 Ani cesarz, ani nikt...  
 — Ale kmieć już był daleko  
 — Za dziesiątą górą, rzeką...

Tłum. Włodzimierz Lewik.

## IOAN LUCA CARAGIALE

(1853—1912)

### OMYŁKA

Dragomir, chcąc się ożenić z Anką, zamordował jej pierwszego męża Dymitra. Podejrzanie padło na gajowego Jana, u którego znaleziono fajkę, tytoń i krzesiwo denata. Jan pod batami uznaje się winnym i zostaje skazany na roboty w kopalni soli.

Anka podejrzewa Dragomira, wychodzi jednak za niego, by dowiedzieć się prawdy. Po dziewięciu latach, na rok przed przedawnieniem kary dla rzeczywistego mordercy, Jan ucieka z kopalni i ukrywa się w domu Dragomira i Anki.

### Akt II — Scena III

Anka, Dragomir, Jan.

Jan (*wchodzi, drząc*): Dasz mi co zjeść?... Takim głodny...

Anka (*pocichu do Dragomira*): Musimy go tu zatrzymać do jutra. (*Idzie do lady, bierze chleb i wódkę, kładzie na stole*) — Usiądź, Janie!

Jan: Siedzę (*siada nieśmiało obok Dragomira, który cofa się z krzesłem*).

Anka (*podsuwając wódkę*): Jak tam w kopalni, Janie?

Jan: Dzięki Bogu... dobrze!... (*na jej pytania on odpowiada Dragomirowi*)

Anka: A jakże uciekłeś?

Jan (*jakby ośniony*): Widzisz — zesłała do mnie Matka Boża i mówi: gdy dojdiesz do studni pod górą, wyjdzie na twoje spotkanie ktoś, by cię przywieść ku mnie — a ty przyjdź, przyjdź — bo ja, Boża Matka, położę tamę między tobą a złem — i ani złe ku tobie, ani ty do złego nie przejdiesz... (*poprostu*) No tak...

Anka: I cóż dalej?

Jan: Potem, bracie, poszedłem do studni pod górę i postawiłem konewki... Hej!... było pięknie, było ciepło i ten las, taki samotny... tylko gdzieś zdaleka gwizdała wilga po krzakach... Aż — patrzę — od góry podchodzi do mnie wiewiórka — bo widzisz — Boża posłała ją Matka... — Stanęła przede mną na dwu łapkach i patrzy we mnie żółtymi malutkimi ślepkami... chciałem ją złapać — a ona szast, skoczyła na gałązkę leszczyny; gałązka się chyliła ku ziemi i podnosiła się, i znowu się pochylała... Ja za wiewiórką — a ona znów na ziemię i na dwu łapkach przede mną staje i patrzy... A oczy — to jej się tak świeciły, niby jakieś iskry... patrzy na mnie i patrzy... i daje mi znaki (*naśladuje znak ręką*). Cały dzień za nią szedłem... aż znikła — a ja zabłądziłem... Teraz, trzeba mi chyba wrócić... do domu...

Anka: Do jakiego domu?

Jan: ... Do kopalni...

Dragomir: Jakto? — Uciekłeś — i znowu chcesz wracać?

Anka: A za co cię skazali, Janie?

Jan: Zabiłem Dymitra!

Anka: Ależ... nie ty!

Jan: A jednak — ja! jego fajkę, jego krzesiwo i jego tytoń u mnie znaleźli!

Dragomir: To i cóż? A gdybym ja tak miał twoją fajkę, twój tytoń i twoje krzesiwo — czyż znaczyłoby to, że cię zabiłem?

Jan (*nie rozumiejąc dobrze, o co idzie*): E...!

Anka: Słuchaj go, Janie... Ty cierpisz niewinnie!

Jan (*kiwa głową*): Ha, — ot!...

Dragomir: I kara ci się wnet skończy... Za rok!... (*patrzy podejrzliwie na Ankę, która robi ruch porozumiewawczy, zbliża się do lady, potem do spiżarni i nastuchuje przez uchylone drzwi*).

Jan: Zostało jeszcze jedenaście lat...

Dragomir: Skąd jedenaście? — rok!

Jan: Nie! jedenaście...

Dragomir (*zniecierpliwiony zbliża się do Jana — rzuca oczyma dokoła — mówi poufale*): A... jeśli dziś czy jutro znajdzie się ktoś, kto zgłosi się do sądu i powie: Wypuście Jana, bo... bo mordercą jest... kto inny?

Jan: Kto inny? — Ach!... zrobił tak jeden w kopalni... litośny człek! Niech mu Bóg — bracie, nagroził!...

Dragomir: Ależ pozwól, niech ci wytłumaczę! Jest taki «inny»!... Jan był głupi, Jan wyjął z kieszeni tytoń i fajkę, ale wtedy, gdy Jan to zabierał, Dymitr już nie żył!

Jan: Nie, nie...

Dragomir: Powiadam — nie żył. Leżał twarzą do ziemi...

Jan: Nie, nie — leżał nawznak (*za drzwiami poruszyła się Anka*), patrzył we mnie otwartymi oczyma...

Dragomir: Tak!?

Anka (*podchodzi szybko do stołu*): A potem? Co było potem?

Jan: Potem... buchnęła mu krew ustami i nosem... i umarł...

(*Jan je. Anka przeciera oczy i patrzy na Dragomira.*)

Dragomir (*ostro do Anki*): Czegóż tak na mnie patrzysz? (*Anka spuszcza oczy*.) No — patrz na mnie, patrz! (*wali pięścią w stół. Jan podskakuje. Dragomir wzburzony do Jana*) Kiedyś go znalazł w lesie?

Jan (*wstaje przerażony i zaczyna drżeć*): Nie bij mię, nie bij mię!

Dragomir: Kto cię bije? (*Jan siada*) i pocóżbym cię miał bić?

Jan: Bo ja zabiłem Dymitra...

Anka: Człowiecze — na miłość Boską! — zrozum, że to nie ty!

Jan (*do Dragomira*): Nie ja...?... a któż? (*Dragomir milczy ponuro.*)

Anka: Powiedz kto — Dragomirze!

Dragomir (*kipiąc gniewem*): Nie mieszaj się do nieswoich rzeczy! Zostaw nas!.. (*Pije z pragnieniem.*)

Anka (*bardzo prosto*): Chcesz Janie, żebym ja ci to powiedziała? Patrz! (*wskazuje na Dragomira, który się podrywa*) Patrz, Janie! — widzisz! on zabił Dymitra... (*do Dragomira*) O! powiedz, że to nieprawda! (*Jan wstaje, uśmiecha się ukradkiem, przesyiwając wzrokiem Dragomira.*)

Dragomir (*pije do dna i rzuca dzbanek na stół, rozbijając go na drobne czerepy... wstaje*): Żeby wdawać się w pogawędki z dwojgiem warjatów — trzeba być... głupcem ostatnim! (*groźąc*): Ach! Kobieto! (*rozjuszony, chce rzucić się na nią. Anka chowa się za ladę.*)

Jan (*runął z okrzykiem ku Dragomirowi, zastaniając mu drogę; chwytła go za gardło i potrząsa ciałem Dragomira*): A więc... — jeśli tyś go zabił, to czemu ja cierpię? — Ty!... Dlaczego mnie męczyli? Dlaczego mnie bili po głowie? Dlaczego... (*potrząsa nim i rzuca ku stołowi. Dragomir pada na krzesło.*) Jeśli ty jesteś mordercą, (*jęczy, ukazując na ciemię*) to czemu zrobili mi krzywdę tam, w środku?... ach — boli!... boli!...

Dragomir (*wstaje ukradkiem*): Jak się tu stąd wydostać? — jak się wydostać?...

Jan (*rzuca się ku niemu*): Stój! (*chwytła go za gardziel*)

Dragomir: Anko! Anko!... sił nie mam... Anko!

Jan (*crescendo*): Ty jesteś... djablem! A jeśli ty jesteś djablem, to czemu nie idziesz w błoto, gdzie Matka wyгнаła cię Boża? Czemu się po pustyni nie błąkasz? Czemuś nie na dnie piekła?... Dlaczego? (*rzuca go na kolana.*)

Dragomir: ...Zniszczył mię, złamał, zamęczył...  
 Jan: A czemuż ty mnie miałeś męczyć? (*puszcza go na chwilę, patrząc weń dzi-  
 kim wzrokiem*) ty!...  
 Jest u nas kopalnia... opuszczona kopalnia... i woda na dnie, czarna woda... gdy  
 ciśniesz w nią kamień — słyszysz jak wyje tam coś w sercu ziemi, wyje bez końca,  
 aż kiedy Matka Boża powie: dość — przycicha... Tam pójdziesz ze mną! Tam chwycę  
 cię za gardziel — uniosę wgórze i grzotną aż tam, na dno, do głębi... (*Dragomir  
 wyje*) Chodź, chodź! (*ciągnie go. Dragomir się opiera*)  
 Anka: Zabij! nie, nie trzeba! (*chwytła siekiere*)  
 Dragomir: Anko! ratuj, Anko!  
 Jan: Nie wyj, psiel... Na dno, do głębi!...  
 Anka (*podbiega z podniesioną do ciosu siekiere*): Puszczaj, puszczaj warjacie, bo  
 ci głowę rozplątałam!  
 Jan (*drgnął, puszcza Dragomira i usuwa się nabok, nieśmiało*): To nie on?...  
 a sama mówiłaś!... Mówiłaś... (*cofa się*)  
 Anka (*podnosi Dragomira*): Wstań!  
 Jan: Ano — to idę... (*zmierza szybko ku tyłowi*)  
 Anka (*kiedy Dragomir usiadł zmęczony, Anka rozgląda się po izbie*): Poszedł już,  
 Dragomirze...  
 Dragomir: Poszedł?  
 Anka: Idzie do wsi... musimy go zawrócić, zatrzymać, aż zastanowimy się nad  
 tem wszystkim... Chodźmy za nim.  
 Dragomir: Nie pójdę...  
 Anka: Ucieka! Już go nie dogonimy.  
 Dragomir: Idź ty!  
 Anka (*patrząc na niego, do siebie*): Czekaajno — czekaj! to się dopiero zaczęło...  
 (*Wybiega tylnymi drzwiami.*)

Według J. A. Bassarabescu și Vasile V. Haneș  
 Antologia scriitorilor români.

Tłum. Emil Biedrzycki.

## STEFAN O. IOSIF

(1877—1913)

### POCÓŻ TEN LĘK?

Pocóż ten lęk — o, moja droga,  
 i pocóż jeszcze myśli ważyć?  
 Ta sama pali nas pożoga  
 i ten sam ból nosimy w twarzy!

Daremna, wierzaj mi, obawa —  
 przyrody przyjrzyj się zjawiskom  
 i patrz: przez miłość dane prawa  
 na swojej drodze kruszą wszystko.

Od lat te prawa rządzą wielu  
 i jakże wieść nam z niemi boje!?  
 Daremna walka — trud bez celu —  
 — zgubiłyby nas wnet oboje...

Tłum. Włodzimierz Lewik.

## PANAIT CERNA

1881—1913)

### NOCILETNIA

Bój dnia i nocy... łyska broń,  
 zbroczyła zachód krew czerwona —  
 i wzdycha las, i stawu toń,  
 dzień zwyciężony skonał.

Wilgotne cienie toną w mgle —  
 a słońce lśnienie chorągiew błądą  
 na burem nieb pochyla tle  
 przed wrogich wojsk paradą.



Dokoła — patrz — za dziwem dziw —  
 Doliną nocne płyną mroki...  
 O, przyjdź — a szczęście w cieniu iw  
 Zatrzyma nasze kroki.

*Tłum. Włodzimierz Lewik.*

NICOLAE IORGA

(ur. 1871)

CZUJ DUCH!

Gdy w wnętrzu onych zapał zgluchł,  
 co zbyt w los szczęścia uwierzyli —  
 ty — nie ulegaj zmiennej chwili:  
 czuj duch!

Gdy słodczy pokus pieści słuch  
 i w ogród róż ci zmieni ziemię —  
 ty — niedostatku dźwigaj brzemię:  
 czuj duch!

Wśród głupców trwaj, jak mądry duch,  
 co nawet pośród klęsk ogromnych  
 woła w prawości swej niezłomny:  
 czuj duch!

*Tłum. Emil Zegadłowicz.*

IOAN ALEX. BRĂTESCU-VOINEȘTI

(ur. 1868)

OBŁĘD PANA RADU FINULCA

Podzielone są zdania na temat przyczyn obłąkania pana Radu Finulca. Zapewne — większość twierdzi, że zwarzjował, bo zwarzjował. Niektórzy jednak — a między nimi także i zięć Finulca, prezes trybunału — są zdania, że wielki majątek i stanowisko poważne, do których doszedł zbyt prędko, zawróciły mu w głowie. Inni wreszcie, idąc za poglądem Aleksandra Moinescu, człowieka o pewnej oglądzie i wykształceniu, z zawodu dziennikarza i żalobnego mówcy — uważają, że Finulec po matce odziedziczył obłąd, zaś do wybuchu jego cierpienia przyczynił się niewątpliwie bolesny cios, który ugodził weń z powodu śmierci żony.

Ostatni ten pogląd, choć mniej może wiarogodny — zwłaszcza, jeśli idzie o drugą jego część, a mianowicie ze względu na zawartą w niej myśl zgola sentymentalną — ma jednak za sobą ważki argument zbiegu okoliczności, gdyż Radu Finulec postradał zmysły niedługo po śmierci żony. Nie bez znaczenia byłby też fakt, że Finulec w przystępie szału zapala najczęściej dwanaście świec w sieni i śpiewa pieśni kościelne. Oczywiście Finulec dokonywa także innych czynów. Chodzi například po rynku miasteczka, wymyślając dorobkiewiczom i wyzyskiwaczom, a chwając bojarów, lub też urządza sobie dzikie eskapady powozem, wrzeszcząc na całe gardło, że słychać go nawet za miastem. Przedewszystkiem jednak pali w sieni dwanaście świec i śpiewa pieśni kościelne.

\* \* \*

Ale Finulec niezawsze był taki. Był czas, kiedy znaczną część ulicy od rogu domu Stamatiu do kamieniczki Joniki B. Ion zajmowały jego sklepy, nie licząc już «Żółtej gospody» i «Hotelu Finulec», które też były jego własnością. Trzeba dodać, że chyba niema kupca w całym miasteczku, któryby nie był niegdyś uczniem w sklepach Finulca. Finulec był także burmistrzem, i to burmistrzem niebylejakim. Ogród miejski, gdzie w czwartki i niedziele grywa muzyka — a wreszcie zakład kąpielowy — oto jego zasługi z czasów burmistrzostwa, przed dwudziestu czterema laty. Był wówczas człowiekiem w całej pełni. Głowa do interesów — lecz nie spryciarz, oszczędny — ale nie sknera, poważny — lecz nie ponury, a wszystkie te zalety były tak od-

6\*

ważone i odliczone, że stary bojar Dinka Radulescu, człowiek wielkiej zacności i zdrowego rozsądku, generalny «doradca» całego niemal miasteczka, uważając, że Finulec dość często zasięga jego rady, zapytał go raz poprostu, czy nie miałby ochoty na żeniączkę, gdyż w takim razie oddałby mu chętnie swoją Lincę. Tak więc Finulec ożenił się z Lincą, ukochaną córką Radulescu, nie chcąc, poza teściostwem bojara, przyjąć żadnego posagu.

Wszyscy mieszczanie, którzy mieli podówczas córki na wydaniu, byłiby na pewno nie zostawili na nim suchej nitki, odsadzili go od czci i wiary, gdyby nie wyjątkowa wprost uroda Lincy, wobec której musiała zgasnąć wszelka obmowa i zawiść. Uroda Lincy? Nawet dziś, po latach dwudziestu pięciu, gdyby kogoś, kto znalazł ją choćby z widzenia, zapytać o tę niewiastę, kiwałby jeno głową w milczeniu, nie mając słów podziwu.

Nie pytajcie tylko Finulca, bo nie odpowie. Spójrzy na was wielkimi bezmyślnymi oczyma, jakby sobie już nie mógł nawet pożycia z nią przypomnieć ani też strasznych okoliczności, wśród których — jedenaście miesięcy po ślubie — zginęła Linca, urodziwszy córeczkę i zabrawszy ze sobą jego zmysły. Ciekawe tylko, że Finulec zachował jednak pamięć niektórych rzeczy, które zdarzyły się później. Pamięta więc, że jego córeczkę wychowywała siostra Dinki Radulescu i że przed trzema laty wydano ją za prezesa trybunału. Finulec wie nawet, że ma już wnuczkę dwuletnią, której jednak nie widział dotąd nigdy.

Nie wdawała się jakoś w rodziców ani zewnątrz, ani pod względem dobroci — ta pani prezesowa. Brzydka i zła, nie współczuje nawet z ojcem, tak jak się współczuje z każdym obłąkańcem. Wedle jej pojęć, cierpienie ojca przynosiło ujmę jej powadze, jako żony prezesa; dlatego też wygnała go z domu do jakiejś chałupinki na przedmieściu i, nie chcąc o nim słyszeć, oddała go pod dozór starej babiny i ulicznego policjanta, którzy mieli uważać, żeby się nie wydalął z domu w dni ostrzejszych napadów.

\* \* \*

Aleksander Moinescu, jako dziennikarz, ma niewątpliwie prawo i obowiązek wiedzieć więcej niż inni; dlatego też opowiadał kiedyś w kawiarni, że ostatnimi czasy Finulec coraz już rzadziej miewa napady i że co wieczór, kiedy słycać dzwony z kościoła, skrada się uliczkami i tylną furtką wchodzi na podwórze prezesa trybunału.

Jedna i druga wieść prawie nie do wiary, choć jedna i druga prawdziwe.

Wszak raz minionej jesieni, w dzień, kiedy przyroda zda się powtarzać wszystkie role, jakie odegrała od pierwszego dnia wiosny — gdy siedział w miejskim ogrodzie na ławce, kreśląc laską po źwirze alei różne wykrętaszy — jakaś dwuletnia dziewczynka potknęła się o jego nogi w pogoni za piłką — i upadła. Guwernantka skoczyła przerażona, aby podnieść dziecko, które nie zapłakało nawet, ale oparłszy się o nogi Finulca, wstało i, uśmiechając się dużemi, czarnymi oczyma, patrzyło w twarz nieszczęśnika.

Trudno zrozumieć — co wtedy stało się w jego umyśle. Fala nagle zaświeconego światła — i znowu ciemno; potem widzenie niejasne, umykające, jak skrzydła ptaka, szybującego zmierzchem...

Teraz już wie, czyja to dziewczynka...

Z początku niepokoił się rodzice i domownicy, widząc go wchodzącego do pokoju dziewczynki; że jednak siedział spokojnie przy piecu na krześle i patrzył bez ruchu, bez słowa na uganiające po pokoju dziecko, że odchodził poważnie — skoro tylko na zegarze wybiła dziewiąta — przyzwyczaili się rychło. A nawet jakiegoś wieczora odezwał się prezes: «To pańska wnuczka — córka Tiukucy». A jemu jeno oczy zaszkliły się łzami i zrozumieniem.

Rozumiał.

Na widok podobnej do kogoś dziewczynki, przeszywały mu mózg oslepiająco jasne obrazy dni dawnych... A tak była podobna... we wszystkim! Te usta, ta buzia okrągła — a nadewszystko oczy, czarne, żywe oczy... A może i nie była podobna?... Bo nawet, jakże można dopatrywać się podobieństwa dwuletniej dziewczynki do dwudziestoletniej kobiety! A jednak przypomina mu obraz tej, którą stracił. Dziecko

patrzyło nań, dziwiąc się bezruchowi i milczeniu — a on widzi jeno swą Lincę w każdym szczególe i poruszeniu wdzięcznym. Kolejno ogląda ją we wszystkich okolicznościach, w których ją widział za życia, słyszy jej głos i czuje ją przy sobie. Widzi — jak ślapa przed nim gibko po ścieżce w winnicy — a on towarzyszy jej sercem, bijącym od nadmiaru miłości... Widzi ostatni wieczór... Linca osłabła — on przynosi jej lekarstwo — podaje do ust — a po godzinie, mimo wszelkiej pomocy pośpiesznie przyzwanych lekarzy, umiera mu w ramionach, wśród spazmów najstraszliwszych... Umiera, po zażyciu niewłaściwego lekarstwa... Jakże mu wszystko teraz przed oczyma jawi... Konwulsje i te ręce, zarzucone na szyję, spojrzenia ku lekarzom błagalne, ostatni uścisk dłoni — i westchnienie ostatnie...

A jeśli teraz wieczorami, kiedy dzwonią w kościele, hoczniemi uliczkami się skrada i tylną furtką wsuwa się na podwórze prezesa — to dlatego, żeby od promieni oczu dziewczynki zapalić w swym mózgu pochodnię...

\* \* \*

Od piwnic po dach dom stoi w płomieniach, które falują i niby chorągwie szleszczą. Wicher — zamieszanie — ciasno... pompy ledwie że dyszą; ścisk pracę utrudnia. Mężczyźni i kobiety przybiegli na miejsce nieszczęścia w wieczorowych strojach wprost z balu «Czerwonego Krzyża». Obok tłum większy: ratują zemdloną żonę prezesa. Wrzaski bez związku, głos trąby ogłuszający — a ponad wszystkim wysoki, przejmujący głos guwernantki: «Dziewczynka, dziewczynka!...»

W zamieszaniu, jakiś człowiek dopadł schodów płonących... Dym dławi go, dusi, bicząc płomień — a on, zastaniając twarz lewem ramieniem, przediera się naprzód krokiem spokojnym i pewnym ku pokojowi dziecka. Ognisty wir na końcu korytarza... Minął... Na prawo drzwi do pokoju... Otwiera... ciemno... Wiatr wyrывa mu drzwi i ciska je tak potężnie, że aż domem zatrzęsło. Człowiek posuwa się poomacku... na stole znalazł zapalki... Zapala... Na podłodze przy łóżku leży nawznak dziewczynka w koszulince... Człowiek zapala świeczkę, owija dziecko w koldrę, mimo niebezpieczeństwa uduszenia — i wraca. Lecz wskutek wstrząsu drzwi — wyleciała klamka... Klamka! gdzie klamka?... Próżno jej szuka... niema i niema... wtedy skokiem ku oknu — rozbija szybę pięścią — woła co sił: Drabiny!... Znikąd pomocy... Wraca do drzwi, kładzie na ziemi zawiniątko i wali nogą w deski, raz po raz, raz po raz, w takt tętnienia krwi w skroniach. Puściły zawiasy, lecz drzwi, włoczone prądem powietrza, które przynosi za sobą kokardę płomieni — walą się do wewnątrz i ranią go w czoło. Chwila oszołomienia... i znowu schyla się, porywa dziecko — i w ogień... Ubranie na nim płonie, dym i krew, ściekająca z rany na czole — oslepiają mu oczy — co chwilę tłumi okrzyki, dobywające się z gardła... Lecz widać — przeznaczenie chce, żeby wyszedł... Schody... czy uciął wiatr, czy drzwi, które wiał, już zamknięte? — bo tutaj ogień płonie spokojnie, wspaniale... Spokojnie i wspaniale schodzi teraz człowiek, rozwijając dziewczynkę z koldry, która ją dusiła...

Na podwórzu poznali go wszyscy — mimo twarzy zakrwawionej. Guwernantka wyrывa mu dziecko... Pozwolił je sobie wydrzeć — jeszcze dwa kroki postąpił — i padł — na kolana najpierw, jak do modlitwy — aż legł na prawym boku...

Czwartego dnia ogłosiły w całości miejscowe «Nowiny» jedyne, naprawdę piękne w dotychczasowej karierze Aleksandra Moinescu przemówienie, które wygłosił na grorzebie Radu Finulca...

*Tłum. Emil Biedrzycki.*

## OCTAVIAN GOGA

(ur. 1881)

### OPUSZCZENI

Świeca zgasła — a po ścianach  
Czarne cienie mrok rozpina...  
Samiuteńcy staruszkowie  
Przycupnęli u komina.

Miesiąc się za szopę ślania,  
Błado puka do okienka —  
Dziad zapomniął o fajeczce,  
O wrzecionie babuleńka.

Aż, gdy nocą u sąsiada  
 Coraz psy podnoszą wrzawę —  
 Zapłakała cicho babka  
 I dziad oczy przetarł łzawę.

W księdze losów im pisana  
 Była synków dwu utrata...  
 Pomarł jeden na jesieni —  
 Drugi się z panami brata...

*Tłum. Włodzimierz Lewik.*

#### STARUSZKOWIE

Czemuż z domu mię wyгнаły  
 Wasze słowa nielaskawe?  
 Terazbym wam pole orał  
 I zieloną kosił trawę!  
 Pocóż było mi się błąkać  
 Po dalekich, cudzych światach?  
 Jakaż pomoc rodzicielom:  
 W domu syn — na stare lata!

Po żołnierce — może żonkę  
 Dałaby mi woła boska —  
 Miałbym swoją chałupinkę  
 — Jakżeby mię czcila wioska!  
 Ileżby to było wnucząt,  
 Ile sercu milej wrzawy!  
 Moglibyście im wieczorem  
 Prawić baśń o królu krwawym...

A tak! — życie wam się kończy  
 Wśród pacierzy do Panienci...  
 Płacze matka nad brewjarzem —  
 Ojciec brodę rwie z udreki...

*Tłum. Włodzimierz Lewik.*

#### NICHIFOR CRAINIC

(ur. 1889)

#### POETA

Nauczyłeś mię, ojczy, czytać od kolebki  
 w trudnej księdze przyrody niepojęte głoski  
 i w serce moje wlałeś dreszcz zdrowy i krzepki  
 lanów, pługiem oranych w marcowe przymrozki.

Przed horyzontów dale wiodły mnie twe ręce  
 i czułem suchy upał słonecznej pożogi —  
 a w duszy mojej kwitły marzenia dziecięce  
 na wiosnę, gdy po miedzach różowiły głogi...

Gdyś orał w falujące błękitem południe,  
 nucąc rzewną melodię nieuczzonej dojny —  
 symetria brózd, lemieszem wykrojonych żmudnie,  
 wskazywała mi prawa strof miary dostojnej...

Z kołujących po niebie skowronkowych latań  
 uczyłem się strzelistych wniebowstąpień ducha —  
 a rytmu, który słowa harmonijnie spleta,  
 z kołysań lanów zboża w wietrzanych podmuchach...

Ty pługiem po zagonach wyorywasz twardą  
 w czas wiosenny poezję czarnej ziemi-matki —  
 ja na ton jej surowy nastrajam swój bardon  
 rymem sławie prostym jej żyzne dostatki.

A we śnie — gdy po niebios łące granatowej  
 noc tysięcznym gwiazd kwieciami srebrzyście zapłonie —  
 nachodzą mię bogunki z szumiącej dąbrowy  
 laurowym mi wieńcem oplatają skronie.

*Tłum. Włodzimierz Lewik.*

## MIHAIL SADOVEANU

(ur. 1880)

## WESELE HOSPODARÓWNY ROXANDY

(z rozdz. XII)

... Wuj milczał. Zacząłem się niepokoić.

— Rozumiem, czego pragniesz, ozwał się, siadając blisko. Może myślisz, że waham się, czy opowiedzieć ci wszystko dokładnie? Przeciwnie — w tym właśnie celu przyjechałem...

... Podobną historję zdarzyło mi się widzieć nieraz na polowaniu, w zasadzce — kiedy to — widzisz — wilk próbuje z zarosli wyjść na polanę. Najpierw przez krze się przedziera, myszkując ostrożnie — potem przystaje — i, skryty jeszcze w gąszczu, łeb jeno z pośród gałęzi ukaże. Stoi, słucha, uważa. Nieruchomy — uszami strzyże, wywachuje wonie, nawiane wiatrem. Tylko końcem ogona o ziemię uderza. Tak i Tymoszko, wyszedłszy na skraj Ukrainy, w Jampolu się przyczaił, węsząc i gońców śląc za wieściami. Wszystko wedle rozkazów i zarządzeń starego Chmiela, gdyż Tymoszce zaledwie pierwszy meszek znaczył się na wargach. Kozacy poweseleli dopiero za przybyciem Tomasza i Gawryła — i wtedy odważyli się wreszcie na przeprawę przez Dniestr.

Popasłszy tedy conieco w Bielcach, na czwarty wieczór dotarli do Skulen, gdzie, oka nie zmrużywszy, najpilniejsze odprawiali służby około wypróżnienia antałów wina, przysłanych ze dworu. Trzy tysiące wojska przeszło rzekę w bród, jeno Tymoszko z Wyhowskim czajkami przejechali, a za nimi wozy, naładowane bronią. W Poprikanach czekało na Tymoszkę ośmiu jezdnych gospodarza, przybranych we wspańnię, złotemi frendzlami obszywane szaty, składając mu pierwszy podarek: osiem koni z turecką bogatą uprzężą. Do zakrętu pod wzgórzem w Podgorji wyjechał na jego spotkanie sam gospodar Bazyli z wielkim orszakim — pod Copou czekało rozkazów osiem tysięcy jazdy... Po prawym i lewym boku gospodarza stali bojarzy, jeden w drugiego brodaci, dumni, w drogich czapach i strojach, dla których jeszcze się nie urodził mistrz-krawiec na stepach kozackich.

Gdy tylko pojawił się Tymoszko, huknęło wrzawą wojsko, zgromadzone na wzgórzu. Poznałem go odrazu. Jechał na czele, mając po lewym boku atamana Wyhowskiego. Ot — zgrabny w biodrach mołojec — pierś szeroka — dumnie siedzący na koniu. U ramion, niby skrzydło, trzepotał płaszcz aksamitny. Na karmazynowych jedwabnych szalach lyskała broń i złoto. Piękny strój. Jeno zbyt mi się zdawał obszerny. Zrozumiałem, że w innym kraju skrojony, na innego rycerzyka, który gdzieś padł pod ciosami kozaków Chmiela. Słowem, strój możnego szlachetki... Syn hetmana miał twarz ospowatą, a oczy bezmyślne, schowane głęboko pod czołem, błyszczały jak rybie łuski. Poznałem w nich oczy wilka. Twarz Tymoszki ani drgnęła — milczał...

Hospodar Bazyli dał znak, zsiadając z konia. Zsiadł i Tymoszko. Ataman Wyhowski, człek bystry, pechnął go w ramiona gospodarza, który, ucałowawszy Tymoszkę, wypowiedział po rusku kilka słów powitania. Syn Chmiela słuchał, wpatrzony w swe buty safjanowe, lewą ręką wsparty na szabli, a prawą głaszcząc rękojeść sztyletu. Zabrał tedy głos ataman Wyhowski — i wtedy przekonałem się, że mówi pięknie. Ułożył fałdy oblicza w grymas, podobny do uśmiechu, i skłonił się gospodarowi.

— Przybyliśmy tutaj — rzekł — poznać kwiaty z ogrodów Mołdawji — a nade wszystko kwiat jeden, przestawny i najmilszą obdarzony krasą...

Tymoszko słuchał — nastawiwszy uszu, ale oczu nie podniósł ani zębami nie błysnął...

Pachołkowie, skłoniwszy się z szacunkiem, poprosili pana młodego, by usiadł na krześle. Tymoszko rozglądał się dookoła. Otoczyli go bojarowie młodzi, raz po raz zagadując przyjaźnie. A on stał — nieruchomy — utkwivszy wzrok w palcach... Nie odpowiadał... Pytali, czyby sobie nie życzył zajrzeć do łaźni tureckiej imci gospodarza. Niektórzy dodawali nawet, że jest to w zwyczaju pośród młodzieży mołdawskiej.

Tymoszko istotnie tak był zakurzony z drogi, że można mu było imię na twarzy wypisać... Mimo to nie drgnął nawet ani słowa nie pisnął. Odwrócił się tyłem do bojarów, dobył z za pasa sztyletu w oprawie z kości słoniowej — i uznał za rzecz najstosowniejszą obcinać i na podłogę ciskać czarne łuki paznokci. Bojarowie poczuli się wycobywać, lecz Wyhowski zagadywał ich, wypytując o stroje i konie, stwierdzając, że ubiór mołdawski piękniejszy niżli u Lachów, zaś konie zdobniejsze niż perskie.

— Pragnąłbym się dowiedzieć, gdzie mieści się łaźnia turecka mości gospodarza, bowiem w rzeczach, na które patrzy niechętnie Tymoteusz Chmielnicki, chciałbym mu być pomocnym, chciałbym go zastąpić, aby wszyscy byli zadowoleni...

Muszę ci rzec, że wiele już wesel miałem sposobność oglądać w swoim życiu. To jednak było, zda się, jedyne z woli Bożej, na którym panna młoda po raz pierwszy miała usłyszeć głos swego oblubieńca — aż przy ołtarzu. Dziwny to głos zaiste — zmieniony nieco podówczas i zachrypnięty. Gospodarówna przygryzła wargę, jakby się chciała wstrzymać od śmiechu; potem przypomniała nagle, że ma płakać — i z oczu jej posypały się łzy na pantofle przewielebnego księdza metropolity...

W roli drużbów, ze świecami woskowymi w rękach, wystąpili: Jego Mość gospodar i jego małżonka Teodozja. Ksiądz metropolita, błogosławiąc, nakazywał gospodarównie, aby się bała swego męża i miała sobie za wzór prababkę naszą Leję, względem pomnożenia rodu...

Wśród wrzasków wiwatowych, w towarzystwie liczego orszaku wrócili państwo młodzi do dworu, gdzie zajęli miejsca przy stołach. Na strzał z niemieckiego moździerza umilkła muzyka, a gospodar odebrał z rąk podczaszego puhar srebrny i wypił zdrowie potężnego hetmana Ukrainy Bohdana Chmielnickiego. Nastąpiły dalsze toasty. Biesiadnikom rozwiązały się języki i rozmowa potoczyła się gwarnie. Zauważyłem, że Tymoszko panuje dalej nad swą mową, oddając wszelkie prawa słodkim pucharom, co mi się nawet podobało. Panna młoda czekała spokojnie na słowo męża. Wyhowski, widząc to, trącił łokciem Tymoszkę, nakłaniając go do przerwania milczenia. Tedy zwrócił się wreszcie małżonek ku młodej pani — i coś bąknął pod nosem. A ona, usłyszawszy owo mruknięcie niespodziane, znów rześnistemi załała się łzami.

*Tłum. Emil Biedrzycki.*

## TUDOR ARGHEZI

(ur. 1880)

### PŁODNOŚĆ

Samotny oracz ku nieba upłazom  
od ziemi brózdę lśniąca wypromienia.  
Splątani w uprząż, jarzmo i żelazo —  
spójrz — oracz z brązu, a woły z kamienia.

Żyto, chmiel, owies, kukurydza — łuszczą  
swe ziarna — życie ziemi je powierzają;  
kiedy lemiesz pod słońce się zlustrzą —  
trwają tak chwilę: to chwila przymierza.

Ciepła jak serce stal do głębi porze  
oporną rolę — gniewnie i z uporem,  
i wraz z nadzieją — dopóki przestworzem  
księżyc nie wzejdzie ponad białym dworem.

Jak szumna topól noc wyrasta słodka —  
w bezmiarach czujnie przyczajona czuwa...  
Księżyc z srebrnego niebios kołowrotka  
świetlistą przedzę nad światem wysnuwa...

Nie patrz poza się! — ciszy uroczysko  
 — jak przed stworzeniem — mierza przestrzeniami —  
 módl się, bo oto Bóg twój staje blisko  
 jarzącym cieniem pomiędzy wołami.

*Tłum. Emil Zegadłowicz.*

ION MINULESCU

(ur. 1881)

TEJ, KTÓRA KLAMIE

Choć wiem, że jutro mię okłamiesz — lecz dziś, gdy tulisz mię do łona,  
 Przebaczam ci... Wszak grzech to stary — i nie tyś pierwsza w jego szponach...

Na twoją cześć — o, najpiękniejsza z pośród kłamliwych dziewcząt koła,  
 Na srebrnych pałę dziś trójnogach trujące wonie, słodkie zioła —

Na łożę sypię ci goździki i maków krwawych pełne paki —  
 Jodłową pokropiłem wonią poduszek miękkich twych koronki...

Dywanik nawet, miła pani, był też przedmiotem mojej troski,  
 Zatknałem zaś cyprysu liście i pomarańczy dwie gałązki...

Lecz słuchaj... oto północ bije — godzina krwawej serc ofiary —  
 kiedy to kochankowie dawni truciznę z jednej pili czary...

Więc przyjdź! — i rozpuść z pod grzebienia z słoniowej kości włosów fale  
 I kłamstwo w oczu włóż spojrzenia — a prawdę w ciepłych ust korale...

I mów: z tych, którym użyczyłaś do twego serca złotych kluczy,  
 Ilu wziął grób, a klnie cię ilu, że się twój cień za nimi włóczy...

Choć wiem, że jutro mię okłamiesz — lecz dziś, gdy tulisz mię do łona,  
 Przebaczam ci... Wszak grzech to stary — i nie tyś pierwsza w jego szponach.

Nie żądam słów, któremi chwile słodziłaś innym — dziewczko pusta —  
 Lecz mowy pragnę, którą nigdy nie drgały jeszcze twoje usta!

Nie żądam dzikiej namiętności płonących żarów — i nie proszę  
 O te — do których wzdycha smętnie poeta blade — mdłe rozkosze!

Chcę, byś w tych samych chwil szeregu — zmieniła jednej choć oblicze  
 I żebyś wlała nieskończone nektarem w duszę mą słodycze...

I chcę, byś jeszcze na me skronie włożyła lauru liść zielony  
 I utrwaliła w oczach kłamstwo miłości, niczem nie skażonej!

Więc w takiej ciszy — jak dwa cienie, na stos rzucone kwiatnych wianków,  
 Poczniemy chuci naszych sprawę — aż szal uciehnie o poranku...

*Tłum. Włodzimierz Lewik.*

NICOLAE DAVIDESCU

(ur. 1888)

SZKIC PROWINCJONALNY

Wieczór w zmierzch popielaty powoli się wpieszczą  
 I zaludnia widmami mroczne zakamarki,  
 Wyganiając drzemiących po ogrodach mieszczan,  
 Którym już rezygnacja pochyliła barki..

Nad ławką przy stoliku — uśmiecha się księżyc —  
 Gdzie siedzą: starowinka i parasol stary...  
 Widać, że im obojgu zanadto już cięży  
 Sentymentalny wygląd nierozłącznej pary...

Babci, starej jak rączka kuma parasola,  
 Dobrze chyba tak siedzieć w parze z czupiradłem,  
 Które się pokorniotko tuli do jej kolan,  
 Niby chudy małżonek w surducie wybladłym...

To wszystko... jak refrenem mdlejąca canzona,  
 Przygasa coraz wieczór milczący i blade,  
 I ciepły, jak pokusa kobiecego łona —  
 A cisza w cieniu senne szkicuje ballady.

*Tłum. Włodzimierz Lewik.*

## LIVIU REBREANU

(ur. 1885)

### ION

... Bazyli Baci u wyniósł się z domu o świcie, po nocy, spędzonej wśród dręczących domysłów i rozmyślań. W jego umyśle, nieprzyzwyczajonym do gwałtowniejszego myślenia, wrzało i kipiało wciąż, jak w pełnym i odkrytym garnku, nieodstawionym z ognia przez zapomnienie. Szalony wstyd zapierał mu oddech, nie dlatego, że dziewczyna zaszła w ciążę, ale dlatego, że Jerzy nie przychodzi, uwiódłszy ją i zbezczeszcisz. To doprowadzało go do wściekłości. W pewnej chwili powiedział do siebie: skoro chłopakowi z tem się nie śpieszy, to on pójdzie porozumieć się z Tomaszem, gdyż Anna może porodzić, a wtedy wszyscy najedzą się wstydu coniemiar. Ale dlaczego nie zjawił się Jerzy, takby to przecież wypadało? Może trudno mu dojść ładu ze starym kutwą w sprawie zapisu... Lecz czemu nie przyjdzie pogadać przynajmniej z nim, że jest tak a tak, nie mieszka przecież za dziewięciu morzami i za dziewięciu krajami? Czyżby on nie był ojcem dziecka? Ta myśl, budząc się niekiedy w umyśle, wstrząsała całą jego duszą. Wówczas rzucał się po łóżku, sapał jak smok, kłął między zębami i był gotowy chwycić Annę za gardło, żeby wydobyć z niej prawdę. Po chwili przychodził znowu do siebie, przepędzał te przypuszczenia i zaczynał wierzyć zpowrotem w uczciwość Jerzego. Celem wydobycia zupełnej pewności odtwarzał w myśli szczegóły zachowania się chłopaka w czasie, gdy mu przyrzekał Annę z całą pewnością, odzywając się doń «mówże zięciu»; zwłaszcza męczył się w odtwarzaniu szczegółów owej pamiętnej nocy, kiedy, chociaż spojony jak wół, słyszał skuczenie dziewczyny, zmieszane z ostrem i przytłumionem mručeniem. Bo to mogło się stać tylko wtedy! Mylił się sam, przypisując grubsze szeptanie Jerzemu. Lecz to ułatwiało mu zadanie, spokojąc udrękę serca.

W tem całym wzburzeniu nie było szczypty nięności do Anny, nie brał jej nawet na serjo. Znał jej uległość i nie winił jej wcale. Czuł jedynie do niej żal za jej głupotę, że oddała się Jerzemu przed ostatecznymi oświadczeniami. Był wreszcie pewny, że uczyniła to w dobrej wierze, stosując się do jego życzeń, gdyż zwracał jej głowę Bulbukowym chłopakiem. Jak można ją winić, gdy z niczego nie zdaje sobie sprawy, gdy w swem zaślepieniu jest nawet w stanie poślubić Glanetaszowego Iona.

Wkońcu trzeba przecież coś postanowić. Więc powiedział sobie, że wczas rano pójdzie do Tomasza, że zagadnie go mimochodem, tak na chybił trafił, dając do poznania, tak staremu, jak i chłopakowi, o co chodzi...

Z brzaskiem dnia ruszył do Tomasza, spodziewając się zastać wszystkich w domu. Był zdania, że nie powinien się certować, ale wyłożyć kawę na ławę... Skręciwszy na tylną ulicę, zbliżał się do domu Tomasza, roniąc krok za krokiem coś ze swego postanowienia i poddając się wstydowni urażonej dumy.



Jerzy poił bydło. Żóraw studni skrzypiał przeraźliwie, gdy pełne wiadro podnosiło się ociężale.

Bazyli Baci u wszedł do ogrodu, trzasnąwszy furtką, i podszedł prosto do chłopaka:

— Jakże to, Jerzy, jakże to obchodzisz się ze mną? Więc poto cię strzegłem, jak oczu w głowie, poto cię przyjmowałem i częstowałem, żebyś mi narobił wstydu wobec całego świata, żebyś potem pokazał mi, za przeproszeniem, tylek?..

Jerzy uniósł wiadro z wielkim spokojem i przewrócił je na lód, gruby na kilka cali, jaki się utworzył w żłobie, przylegającym do studni. Woda rozlała się gwałtownie, ochlapując pyski. Krowy, pojące się spokojnie, poderwały się jak na komendę.

— Jak powiedziałaś, ojczu Bazyli? — rzekł chłopak, zwracając tylko głowę i trzymając puste wiadro w obu rękach.

Obojętność i oziębłość Jerzego wysadziły go z siodła. Rozgryzł przekleństwo, które miał już na języku, i zaczął go rugać, starając się panować nad sobą:

— Więc widzę, że nie jesteś uczciwym człowiekiem, mówże chłopcze, słyszysz?

— Niby dlaczego? — rzekł Jerzy, stojąc bez ruchu.

— Ponieważ to winno cię obchodzić, słyszysz? Dobrałeś się do mojej dziewczuchy i zrobiłeś jej brzuch, a teraz nic, nawet jej nie znasz... Więc to jest po ludzku?

— Ja?

— Oczywiście, że ty!

Chłopak odstawił wiadro, wytarł ręce o portki i, stąpając ciężko, podszedł do Bazylego z uśmiechem, pełnym współczucia, rozsadzającym mu policzki. Spojrzał prosto w oczy Bazylemu i mówił, ważąc każde słowo, jakby chciał przepędzić z jego głowy wszelkie wątpliwości:

— Ażebyś wiedział, ojczu Bazyli, że się mylisz, bo to nie moja sprawka! Nie moja, wierzaj mi! Mogę przysięgać z ręką na krzyżu, że nie jej nawet nie tknął... Polubiłem bardzo Annę, przychodziłem do was i zabiegałem na wszystkie strony, ażeby było najlepiej. Jeżeli potem stało się inaczej, to już nie moja wina, ojczu Bazyli. Odsunąłem się, gdy zobaczyłem, jak inny wychodził nocą z domu, a potem com się jeszcze nasłuchał...

Bazyli Baci zrozumiał nagle wszystko. Miał wrażenie, że dostał maczugą w ciemię. Oczy mu zaszyły krwią. Ogród zdał się wirować i tańczyć. Słuchał jeszcze długo żalów chłopaka, jego wyrzutów i pocieszeń, nie rozumiejąc niczego. Widział, jak przez sen, że podeszła do nich matka Jerzego, kobieta o wesołych oczach i płaczącym głose, że gadała wiele, ale on zatamował ręce, pokłonił się i spojrzał na niebo... Nic już nie dochodziło do jego mózgu, zaryglowała się w nim jedyna myśl, że Jerzy jest niewinny, i szamotała się, jak dzikie zwierzę, wpadłszy do pułapki.

Powrócił do domu, sam nie wiedząc jak, ostępiały, chwając się na nogach, jakby chłwał w karczmie przynajmniej przez trzy doby. Droga wydała mu się nieskończenie długa. Ledwo mógł się doczekać, żeby walić głową o wszystkie ściany i złagodzić ból, potęgający się nieustannie.

Gdy otworzył bramę, zobaczył Annę, powracającą z nad potoku z koszem, nala-dowanym wypraną bielizną. Na jej widok doznał Bazyli szalonego wstrząsu. W jednej chwili rozjaśniło mu się w głowie. Zdało mu się, że widzi Iona Glanetasza, pokazującego z miną pogardliwą i triumfującą na brzuch Anny. Nie widział więcej dziewczyny. Jego wzrok kierował się na brzuch, przysłonięty podkasaniem, pasiastym fartuchem, na brzuch olbrzymi, wyzywający, drażniący, obrzydliwy, kryjący w sobie winę i hańbę.

Anna, spojrzawszy na ojca, stanęła jak wryta, przerażona jego zinnem, natarczywym i dzikim spojrzeniem, przeszywającym jej serce, niby sztyletem. W duszy jej obudziła się tak rozdzierająca trwoga, że zaczęła krzyczeć z rozpaczem piskliwym głosem:

— Nie zabijaj mnie, tatusiu, nie zabijaj mnie, nie zabijaj mnie!

Kosz wypadł jej z rąk, bielizna rozsypała się po śniegu, a zdrętwiałe ręce skrzyżowały się na wypukłym brzuchu, jak do obrony, podczas gdy krzyk stawał się żałośniejszy, słabszy i zachrypnięty.

Jak dzikie zwierzę, oszołomione widokiem zdobyczy, przypatruje się jej władczy wrokiem, zanim ją rozszarpie, chcąc przedłużyć moment krwawej rozkoszy, tak Bazyli Baci stał w miejscu, pochłaniając rozpacz Anny i słuchając jej straszliwych wrzasków, podniecających w nim wrogie zapędy... Wkońcu podszedł do niej ciężkimi i wolnymi krokami, chwycił ręką za włosy i gwałtownym szarpnięciem grzmotnął nią o ziemię. Potem zaczął ją okładać pięściami po głowie, po żebrach i po brzuchu z błyskawiczną szybkością, dysząc w zapamiętałym ryku:

— Parszywico!... Parszywico!... Teraz cię zabiję!... Bezwstydna włoko!... Było ci potrzeba Glanetaszowego byczka?... Masz, parszywico!

Krzyki Anny były coraz szybsze, boleśniejsze i rozpaczliwsze:

— Zmiłuj się, tato!... Przebacz mi... Nie zabijaj mnie, tato!...

Czem wrzaski były przazliwsze, tem okrutniej ryczał Baci, jakby chciał je zagłuszyć. Krzyki Anny nie słabły, potęgując się z każdą chwilą. Rozwścieczony Bazyli spojrział znowu na drwiący zeń brzuch i począł go kopać, odsapując z ulgą. Anna odpierała instynktownie skrzyżowanymi rękoma okrutne ciosy, zagrażające grzesznemu plodowi. Ciężkie buty spadały bezustanku, kalecząc jej ciało, popękane od mrozu, i odtłukując je od kości...

Jak przestraszone ptaszęta, biegły krzyki dziewczyny i rozpraszały się alarmująco po wsi, odbijały się od wzgórz, pokurczonych od zimna... Baci okładał ją ciągle i nie mógł się nasycić. Potem, chcąc przytłumić jej krzyki, przewrócił ją twarzą do śniegu, poczerwieniałego od krwi, buchającej przez nos i usta. Z piersi Anny wychodziło bezsilne charczenie...

*Tłum. Stanisław Łukasik.*

## ARON COTRUȘ

(ur. 1891)

### NA STEPIE

Wichry zawodzą...

Wielki step popołudniem złocistym nagrzanym;  
rzy głośno zwinnych źrebców tabun rozigrany —  
a okazałe klacze pasą się leniwie  
na tej wichrami żywej, bezgranicznej niwie...  
Wspaniałe — idą w słońcu — wolno i pocichu  
wśród traw i ziół wonnego, zielnego przepychu —  
— czasem — podnoszą głowy — dumne i tęskliwe  
— jak rasowe kobiety z nagła pożądliwe...

Poprzez rozdrzanych pyłków czarowną zasłonę  
biegną figlarne klaczki, słońcem rozognione...  
dzikie, młode, kapryśne — wichrem rozgrzywione...  
Upił je modry bezkres; wiehr jak biczem bije  
i zarazem upieszcza grzywy ich i szyje —  
i dreszczem smaga krew...  
w tupotliwym tęlencie pędzą zbitą zgrają —  
nagle wstrzymują kroku, zwalniają i stają —  
by znów runąć galopem i biec bez wytchnienia  
w chwale ciał rozkwieconych, w szalenistwie pragnienia;  
zmiennie, dziwacznie barwne na wielkiej równinie  
łykają w tej krwawiącej zachodu godzinie...  
raz po raz z traw stepowych tabun się wynurza  
i pędzi jak nawała, jak chmura, jak burza —  
— aż oto młode klacze wracają z kurzawy —  
galop ich znów zagniony coraz bardziej żwawy,  
szalony, dziki — zjawa dawnych, wędrujących stad.  
Wreszcie z tumanów kurzu krzepną ich zarzysy —

coraz bliższe — tuż przy mnie — tak majestatycznie!  
i spoglądają słodko, jak piękne hurysy...  
Stoję w zdumieniu, w dreszczach — patrzę oniemiały  
na te żywe posągi — kunszt rzeźby wspaniałej...

W grzywy klacz sierpień wplata tęczone promienie,  
ich krew młoda wichr smaga, jak słodkie pragnienie...

*Tłum. Emil Zegadłowicz.*

#### ION CODRU

Ion Codru — imię i nazwisko...  
— chłop!.. kłaniać się nie umiem nisko.  
Cóż moje mienie? — flet i palica tęga,  
a żywioł mój —: włóczęga,  
                    chałupą — las,  
                    poduszką — głaz,  
ach, miałem owiec trzodeł!  
trudno —... przepadła, niby kamień w wodę...  
ażem owieczki pasał — poprostu  
u hrabiów i starostów...

Ja, pastuch marny,  
modliłem się do Boga w pacierzu niezdarnym...  
Z tego, com miał — została mi włóczęga  
i stary flet,  
i ta palica tęga...

*Tłum. Włodzimierz Lewik*

#### LUCIAN BLAGA

(ur. 1895)

#### DĄB

W piersi wieży — w modrej dali —  
bije serce, bije dzwon —  
                    słodkie dźwięki,  
                    jakby krople  
ciszy — sączą się w mą krew...

Dębie z okrainy boru,  
czemuż tak owłada mną  
spokój miękki, uskrzydłony,  
gdy tak leżę w twoim cieniu,  
w upieszczeniu nieukojnych liści twych?...  
... może, może — któż to wie? —

niezadługo z ciebie trumnę  
                    zbiją mi —  
                    — wielki spokój,  
który czeka w deskach twoich utajony,  
już przeczuwam:  
mówę liści twych rozumię —  
                    i w zamilku  
słucham, jak w twym pniu każdą chwilą  
                    rośnie trumna,  
                    moja trumna —  
dębie z okrainy boru...

*Tłum. Emil Zegadłowicz.*

#### CAMIL BALTAZAR

(ur. 1902)

#### DO MATKI

Ostatni list z sanatorjum

Kwiecień — miesiąc tych, którzy na gruzlicę gasną,  
przyjdzie złożyć na oknach pocałunek siny  
i wsączy płynną, przezroczystą jasność  
w gałązki jedliny...

Po werandach od chorych znowu będzie rojno —  
a siostra Marja każe miłosiernym ustom  
rozzrzucić słów-uśmiechów melodię ukojną...  
Tylko ja się zapatrzę w okna przestrzeń pustą...

Aż kiedyś... w takie chłodne południe — Mamo,  
gdy deszcz, jak płacz gruźlika — przycichnie i spłynie —  
pochyli siostra Marja głowę zatroskaną  
nade mną, majaczącym w gorączce Twe imię...

A północą, znieńacka się ocknę  
i poszukam rąk siostry w czarnej ciszy nocnej —  
słyszac zdale, z za okien, litanję żórawi,  
która mi serce znów bólem zakrwawi...  
— ale, że już nie mogę załkać płaczem długim —  
poczuję w ustach krwi gorącej strugi...

Rano — gdy z kaszlem w łózkach poruszają się chorzy,  
z sinych warg sącząc słowa niemrawe, dziecięce —  
mnie sen dopiero zmorzy  
i cicho mi na piersiach ukrzyżuje ręce...

I może — by już zwłoki ułożyć w kaplicy —  
powiodą mię ogrodem w milczących całunach;  
— a wtedy, nad spotkanym w zielonej ulicy,  
drżąc, niby skrzypiec naprężona struna,  
pochyli się gałązka w to rano, tak ciche,  
i twarz mi cieniem omota —  
i dotknie warg mych kwiecica białego kielichem,  
niby spóźniona, spokojna pieszczota.

A kiedy mi — bym spoczął — zatrzymać się każą  
w tej bieli kwietnia — z żółtą, jak wosk, twarzą —  
tyle się ciszy  
i taki spokój na demną rozplynie —  
i jabłoń na me usta opaść każe płatkom —  
jakby się bojąc mych próśb w tej godzinie,  
byś — gdy o śmierci mojej usłyszysz,  
nie zapłakała — o, Matko!...

*Tłum. Włodzimierz Lewik.*

*Wybór tekstów i układ Emila Biedrzyckiego.*

EPOS

ZAGNANIE KRÓW Z KÛLNI  
(TAIN BÓ CUÁLNGE — Z CYKLU ULACKIEGO)  
(Urywki z redakcji drugiej ok. w. X—XI)

I. Rozmowa na wezgiłowiu

Pewnego razu, gdy pościelono już dla Aililla i Medby ich królewskie łoże na grodzie Kruachan w Konnacht, taka oto wynikła między nimi sprzeczka na poduszce. «Prawdę rzekłszy, dziewczyno», powiada Ailill, «i kobieta godniejsza, gdy jest żoną dzielnego męża». «Juści godniejsza», odpowie niewiasta, «ale skąd ci te myśli?» «A stąd mi myśl taka», mówi Ailill, «żeś dziś godniejsza, niż w dniu, gdym cię wziął». «Godnąm była przed tobą», rzecze Medb. «Dziwna godność, o której nie było u nas ni widu, ni słyhu», mówi Ailill, «boć nie to, żeś siedziała na mieniu niewieściem, i że wrogowie z sąsiedztwa wciąż unosili od ciebie, cokolwiek warto było ukraść lub zrabować». «Taką nie byłam wcale», mówi Medb, «bo ojciec mój piastował dostojęństwo zwierzchniego króla Erynu: był nim Eocho Wytrzymały, syn Finda... A co do córek, miał ich sześć: Derbriu, Éthne i Ele, Klothru, Mugain, Medb. Byłam najszlachetniejsza i najzacniejsza z nich. Pierwsza z nich byłam łaskawością i hojnością, pierwsza i najdzielniejsza w bitwie i w walce, i w boju. Było przy mnie setek piętnaście wojów królewskich z pośród synów uchodźców z krain obcych i drugie tyle synów wielmożów krajowych; a poczet każdego z nich był z dziesięciu ludzi, z ośmiu i z siedmiu, i z sześciu, i z pięciu, i z trzech, i z dwóch, i jeszcze z jednego woja przy każdym z wojów pocztowych. Był to tylko codzienny mój orszak», dodaje Medb, «i za to mój ojciec darował mi jedną z pięciu dzielnic Erynu, kruachańską dzielnicę; dlatego to nazywają mnie Medb z Kruachan. Słał do mnie swatów Finn, syn Rossa Rudego, król Lajgeński, i Kojrpre Chrobry, syn Rossa Rudego, król Temrach; i przybywali swaci od Konchobara, syna Fachtny Olbrzyma, króla Uladu, przybywali od Eocho Malca — a ja nie poszłam. Bom tą była, co żąda niezwykłego daru ślubnego, takiego, jakiego przede mną nie zażądała nigdy kobieta od żadnego mężczyzny z pośród mężów Erynu, mianowicie męża bez sknerstwa, bez zazdrości, bez trwogi! Gdyby skąpym był mąż, któremubym się oddała, nie byłoby nasze współzycie przystojne, gdyż ja łaskawością i szczodrobliwością się szczycę, i byłoby wstydem dla męża mego, gdybym go przewyższała swą łaskawością; nie byłoby zaś wstydem, gdybyśmy równi w tem byli, pod warunkiem, że oboje będziemy w tem dobrzy. Gdyby mąż mój miał być lekkliwy, tak samo nie moglibyśmy żyć razem przystojnie, albowiem w bitwach, potyczkach i walkach stawam sama i wstydem byłoby dla męża mego mieć żonę waleczniejszą od siebie; nie byłoby zaś wstydem być waleczności równej, abyśmy tylko oboje byli waleczni. Równie mało przystojne byłoby, gdyby mężczyzna, któremubym się oddała, był zazdrośnikiem, gdyż nigdym przedtem nie obcowała z mężczyzną inaczej, jak tak, że padał na nas cień drugiego, czekającego kolei. Znalazłam wreszcie takiego męża, a to ciebie, Aililla, syna Rossa Rudego z Lajgenu. Nie byłeś skąpy, nie byłeś zazdrosny, nie byłeś gnuśny. Zawarłam z tobą umowę i dałam ci ślubny dar, jaki należy się najcenniejszej kobiecie, mianowicie na dwunastu mężów odzież, wóz wartości trzykroć siedmiu niewolnic, blachę złota szerokości twej twarzy i elektrum

na grubość twego lewego przedramienia. I dlatego, ktokolwiek byłby ci przyczyną wstydu, zmartwienia czy pohańbienia, należeć ci się będzie tylko tyle odszkodowania i zadośćuczynienia, ile i mnieby się należało», wyjaśnia Medb, «boś mężem na niewieścim mieniul!» «Wcale tak ze mną nie było!» odpowiada jej Ailill, «a tak, że miałem dwóch braci, jednego królem na Temrach, a drugiego królem nad Lajgenianami, mianowicie Finna nad Lajgenianami i Kojrpre na Temrach. Ustąpiłem im królowania, bo starsi byli, nie zaś by mieli być ode mnie zaciejsi łaskawością i szczodroblivością. I nie wiadomo mi było nic o żadnej z pięciu dzielnic Erynu, by była mieniem niewieścim, z wyjątkiem tej oto jednej. Przybyłem i królowanie objąłem prawem dziedzictwa po matce, bo matką moją była Mata z Muresk, córka Magacha. A na królowę któż mi się bardziej nadawał od ciebie, boś ty przecież córką zwierzchniego króla Erynu». «Jest i to», rzuca Medb, «że moje mienie wynosi więcej, niż mienie twoje!» «Dziwne mi to, co mówisz», odrzeczce Ailill, «niema bowiem nikogo, kto by posiadał więcej ode mnie klejnotów, skarbów i bogactw; i wiem, że niema takiego».

## II. Powód wyprawy

Przyniesiono im, co pośledniejsze było z majątku ich, aby wiedzieli, które z nich dwojga posiada więcej klejnotów, skarbów i bogactw. Przyniesiono im ich cebry i stągwie, i sagany żelazne, i dzbany, i wanny. I przyniesiono im pierścienie ich i naramienniki, obrączki i złote przedmioty, także odzienie, zarówno purpurowe, jak błękitne i czarne, zielone, żółte i pstre, i szare, i brunatne, i kraciaste, i pasiaste. Przypędzono duże stada owiec z polan, pastwisk i równin. Porachowano je i policzono, i stwierdzono, że były wartości równej, również wielkie i również liczne; a choć przy owcach Medby był baran tak piękny, że oceniono go na jedną niewolnicę, to i przy owcach Aililla znalazł się odpowiadający mu baran. Sprowadzono konie ich i sprzężaj, i stadniny z pastwisk i z okólników. I wśród koni Medb był ogier szczególnie piękny, oceniony na jedną niewolnicę; odpowiedni mu ogier znalazł się wśród koni Aililla. Przypędzono też stada wieprzy z dąbrów, z wawozów i z bagnisk. Medb miała szczególnie pięknego knura. Takiego samego miał Ailill. Spędzono wreszcie ich woły i stada bydła, i krowy z lasów i pustaci kraju całego. Przeliczono je i obrachowano, i oceniono. Były jednej wartości, jednakowo wielkie i liczne jednak, oprócz, że przy bydłe Aililla pasł się byk szczególnej piękności. Był cielęciem, zrodzonym z krowy, należącej do Medby, i na imię miał Białorogi. Ale uznał za niezaszczytne trzymać się niewieściego mienia, więc odszedł i przystał do stada króla. I zdało się Medbie, jakby nie miała nic zgoła, skoro nie posiadała równego byka w swem stadzie.

Zawołany więc został do Medby Mak Roth, goniec, i Medb zażądała, by się dowiedział, gdzie i w której z dzielnic Erynu znajduje się równy byk. «Wiem», odpowiedział Mak Roth, «gdzie jest najlepszy byk, lepszy jeszcze od tego: w dzielnicy Ulad, w opolu Kùlni, w zagrodzie Darego, syna Fiachny. «Czarny z Kùlni — imię jego». «Ruszaj doń, Mak Roth! proś w moim imieniu, by Dare użyczył mi Czarnego z Kùlni na rok jeden. W końcu roku otrzyma nagrodę za tę przysługę, mianowicie pięćdziesiąt jałowic i Czarnego zpowrotem. I zanieś, o Mak Roth, zlecenie drugie: gdyby lud opolny i krajowy miał mu mieć za złe, że tak szczególny skarb jest używany, mianowicie Czarny z Kùlni, to niech ze swoim bykiem przybędzie sam, a otrzyma z pięknej równiny Ai tyle ziemi, ile porzucił i ponadto wóz wartości trzykroć siedmiu niewolnic, i ponadto jeszcze czułość moich własnych bioder!» I pobieżeli gońce do domu Darego, syna Fiachny . . . . .

Mak Rothowi cześć oddano w domu Darego. Słusznie: najprzedniejszy z gońców Mak Roth! Dare zapytał Mak Rotha o powód podróży i cel przybycia. Goniec opowiedział i poco przybył, i o sporze Aililla i Medby: «Prosić o użyczenie Czarnego z Kùlni, by przeciwstawić go Białorogiemu, oto czemu przybyłem», powiedział, «ty zaś otrzymasz nagrodę za użyczenie go, pięćdziesiąt jałowic oraz Czarnego z Kùlni zpowrotem i coś ponadto, jeśli sam z bykiem swoim przybędziesz, mianowicie tyle ziemi z pięknej równiny Ai, ile porzucisz tu, i wóz wart trzykroć siedmiu niewolnic, i jeszcze

w dodatku czułość bioder Medby». Uradował się Dare i zaśmiał się, aż pękły pod nim wszystkie szwy w pierzynie, i rzekł: «Prawdziwie i sumiennie, niech Ulatowie myślą o tem, co zechcą, ale tym razem skarb ten dostarczony będzie Ailillowi i Medbie» . . .

Uczczono ich potem i podścielono im sitowia i świeżego ziela. Przyniesiono im nadobnego jadła i ucztę wydano dla nich, tak że się popili i hałasowali. Dwóch z pośród gońców wszczęło rozmowę... A przy rozmowie tej obecny był trzeci goniec. «O czem mówicie?» zapytał. «Oto, co goniec ten mówi: pan tego domu, w którym jesteśmy, to godny mąż!... Czy znajdzie się u Ulatów godniejszy?... tak jest... godniejszy Konchobar, którego on słucha, ale gdyby wkoło niego (Darego) skupili się Ulatowie, nie byłoby to dla nich wstydem. Łaskawość (Darego) jest wielka, daje bowiem nam, dziewięciu stajennym, to, co z trudem dałoby się wydostać z kraju Ulad wspólnym wysiłkiem czterech potężnych dzielnic, mianowicie Czarnego z Kùlni!» «Gdyby krwią płuć zaczęły usta, co to wyrzekły, małoby było! Bo czegoby nie oddał z dobrej woli, oddałby z musu».

Przechodził właśnie szafarz Darego, syna Fiachny... i usłyszał, i gniew go ogarnął... Poszedł do domu, gdzie siedział Dare, syn Fiachny, i spytał: «Czyś tym jest, który przesławny skarb, Czarnego z Kùlni, gońcom oddał?» «Tak, jam jest», odrzekł Dare. «Miejsce, gdzie go oddano, niegodne króla! Prawdą jest snadnie to, co mówią», powiedział, «że gdybyś nie oddał go z dobrej woli, oddasz go z musu z przyczyny wojska Aililla i Medby i groźnej sławy Fergususa, syna Rogasa». «Klnę się na bogów, których czczę, że nie zabiorą mi gwałtem, czego nie dam im z dobrej woli!» Na tem stanęła sprawa — do świtu.

Gońce powstali nazajutrz wczesno. Poszli do domu, gdzie siedział Dare. «Wskaż nam, szlachetny panie, jak dojść do miejsca, gdzie przebywa Czarny z Kùlni!» «Nic z tego!» rzekł Dare, «co do was, gdyby była naszym zwyczajem zdrada w stosunku do gońców, wędrowców i ludzi idących drogami, żaden z was nie wróciłby żywym». «Czemuż to?» zapytał Mak Roth. «Oto dlaczego», rzekł Dare, «głosicie, że gdybym nie dał z dobrej woli, zmuszony byłbym dać przez wojsko Aililla i Medby i przez groźną sławę Fergususa!» «Ależ», powiada Mak Roth, «tego, co po twoich potrawach i po twojem piwie gońce gadają, niema co brać pod uwagę ani czynić z tego zarzutu Ailillowi i Medbie». «Jednak, o Mak Roth, tym razem byka nie dam, o ile będę miał siłę po tem!»

Gońce wrócili... Mak Roth zdał sprawę z tego, że nie zdołali otrzymać byka od Darego. «Jaka przyczyna?» spytała Medb. Mak Roth opowiedział rzecz całą... «Nie będziem więc gładzić jeża, o Mak Roth!» rzekła Medb; «jasne, że skoro byk nie został oddany z dobrej woli, będzie oddany z musu. Weźmiemy go!»

#### IV. Wróźba

(Po zgromadzeniu wojsk przez Medb)

Gdy Medb przybyła na miejsce, gdzie był druid, zapytała o wieść i o wróźbę. «Wielu jest», rzekła Medb, «takich, co dziś się rozstają z ukochanymi i przyjaciółmi, z ojczyzną i krajem, z ojcem i matką. Jeśli nie wrócą wszyscy cało i zdrowo, jęki ich i przekleństwa na mnie spadną»... Druid rzekł: «Ktokolwiek nie powróci — ty wrócisz!»

Woźnica zawrócił wozem i w powrotnej drodze Medb ujrzała coś, co dziwnem jej się wydało. Oto samotna kobieta jedzie wprost na nią, stojąc na dyszlu wozu... «Co tu robisz, dziewczyno?» spytała Medb. «Przybyłam, by ci objawić twą przyszłość i szczęście twoje, w chwili, gdy sprzymierzyłaś cztery potężne dzielnice Erynu przeciwko krajowi Ulad i zgromadziłaś (ich wojska) na wyprawę po woły z Kùlni»... «Któraś ty z mojej czeladzi?» spytała Medb. «To jasne, że Fedelm Wieszcziarka z Uroczyńska Kruachańskiego ja jestem».

«Dobrze więc, o Fedelm Wieszcziarko, co na hufcach dostrzegasz?»

«Skąpane w szkarłacie — czerwieni na nich widzę».

«Ależ Konchobar leży chory na dziewięć dni<sup>1</sup> w Emain», rzekła Medb. «Byli

<sup>1</sup> Wszyscy Ulaci, z wyjątkiem Kuchulajna, cierpieli raz do roku na wywołaną kłątwą chorobę dziewięciodniową. Istnieje o tem opowieść osobna.

tam moi gońcy; niema nic, czegośmy obawiać się mieli od Ulatów. Powiedz prawdę o, Fedelm!»

«Fedelm Wieszcziarko, co na hufcach dostrzegasz?»

«Skapane w szkarłacie — czerwien na nich widzę».

«Kuskrajd Jąkała, syn Machy i Konchobara, złożon swoją chorobą w Inis Kuskrajd. Byli tam moi gońcy. Niema nic, czegośmy obawiać się mieli od Ulatów. Powiedz prawdę, o, Fedelm!»

«Fedelm Wieszcziarko, co na hufcach dostrzegasz?»

«Skapane w szkarłacie — czerwien na nich widzę».

## IX. Rokowania

...Medb zaczęła do Kuchulajnn przemawiać i zaśpiewała tę pieśń:

Medb: «Kuchulajnnie, za którym miłosny wiersz goni;  
Odejmij od nas twą procę.  
Twoje gwałtowne, świetne natarcie przemogło,  
Złamało nas, zmaciło nas!»

Kuchulajnn: — «O Medb z Mur Mak Magacha,  
Nie jest ze mnie lichy, bezsławny wojownik!  
Nie poniecham dla ciebie — gdy mój czas przyszedł —  
Rozpędzania wyprawy po woły z Kúlni».

Medb: «Gdybyś to dla nas uczynił,  
O, waleczny Psie z Kúlni!<sup>1</sup>

Polowa wołów i połowa kobiet (zagrabionych)  
Stałaby się twoją; wymusza to odwaga (twoja)».

Kuchulajnn: «Ponieważ prawem zadawanych ciosów  
Stałem się opiekuńczym obrońcą Ulatów,  
Nie zgodzę się na nic, zanim mi oddadzą  
Wszystkie krowy mleczne, wszystkie kobiety Erynu!»

Medb: «Za wiele chcesz mieć,  
Po tem, jakieś ludzi naszych poraził.

Tylko konie i kosztowności  
Pozostałyby dla nas — i to z przyczyny jednego męża».

Kuchulajnn: «Córko Eocho Białego z Fál,  
Lichy ze mnie szermierz na słowa.  
Chociaż ze mnie bohater świetności wspaniałej,  
Małym jest radą».

Medb: «Nie jest wstydem dla ciebie, co powiadasz,  
Rzeszom równy synu Dechtery.  
Bardzo zaszczytny dla ciebie jest podział (łupu),  
O, waleczny Psie z Kúlni!»

Po prześpiewaniu tej pieśni Kuchulajnn nie przyjął warunków, o które prosiła. Rozstali się i prawie że gniewni rozeszli się po jednej i drugiej stronie wąwozu...

## XV. Skarga Kuchulajnn

1. Lazeg<sup>2</sup>, odejdz stąd — zapal wzniecić w zastępach  
W mocnem Emain: wymagam tego!  
Jam przemęczony w bojach codziennych,  
Ranamim okryty, ociekam krwią.

<sup>1</sup> Gra słów: imię Kuchulajn (Cúchulainn) znaczy Pies (cú) Kulana (Culann). Przewisko, otrzymane przez bohatera od chwili, gdy po zabiciu przez pomyłkę psa niejakiego Kulanna naprawił szkodę, objawwszy straż nad zagrodą.

<sup>2</sup> Wóznica Kuchulajnn



2. Prawy mój bok i bok mój lewy:  
Sąd odbył się srogi nad obu,  
To nie Fingina<sup>1</sup> ręka ich dotknęła!
11. Sam jeden przeciw zastępom stawałem  
U brodu w Kenn Tire Moir!  
Gorszy był Loch, sprzymierzony z Bodb<sup>2</sup>,  
Jak zapowiedziano w Tain bó Regamna<sup>3</sup>.
15. Cóż się stało Ulatom, że nie biją się w wojnie  
Aililla i córki Eocho?  
A ja tu jestem w męce,  
Okryty ranami, ociekający krwią.
16. Powiedz świetnym Ulatom,  
Że winni przybywać wślad za ich stadem:  
Oto Mak Magachowie<sup>4</sup> zagarnęli ich krowy  
I podzielili je między siebie.
17. Walczę w tym boju (zapowiedzi są wielkie  
I zostały spełnione),  
Walczę z czystej miłości honoru,  
Ale walka nie powinna być moim tylko udziałem.
18. Rade są kruki na wałów wyłomie  
U obozu Aililla i Medby;  
Żalotne skargi i jęki,  
Krzyki na równinie Murthemne<sup>5</sup>.
19. Konchobar nie wychodzi z grodu,  
Hufiec jego nie był w potrzebie.  
Jeśli go nie opuszczą,  
Trudno będzie obliczyć wojsko, gdy się ruszy!

### XVII. Przepiękna postać Kuchulajinna

Nazajutrz pojechał Kuchulajnn obejrzeć wojsko<sup>6</sup> i okazać swą piękną i ujmującą postać kobietom, dziewczętom, poetom i mistrzom sztuk, ponieważ magicznego oblicza grozy, które ukazał im nocy poprzedniej, nie miał sobie za zaszczytne ni piękne. Dlatego wybrał się ukazywać swą piękną i pociągającą postać.

Piękne, zaiste, było pachole, które przybyło ukazać swą postać zastępom, Kuchulajnn, syn Sualtama! Trojakięj barwy miał włosy — ciemne przy skórze, czerwone, jak krew, pośrodku, a złoto-płowa korona pokrywała wszystko. Piękne było ułożenie tych włosów: obiegały one trzykrotnie wyżłobienie pod potylicą, a podobny do nici złotej był każdy cienki, wolny, złoty, prześliczny, a w długi zwinięty lok, wytworny, przecudnej barwy włos pojedynczy, spadający wdół z ramion. Wkoło szyi miał sto świetnych, jak purpura, zwojów z czerwonego, płomiennie-jasnego złota. Okrycie głowy ze stu w siatkę splecionych sznurów karbunkułów. Na każdym policzku cztery plamy — plama żółta, plama zielona, plama modra i plama purpurowa. W każdym z oczu świeciły, jakby siedem drogich kamieni jasnych, jak oko ludzkie. U każdej nogi miał po siedem palców, u każdej ręki po siedem palców, paznokcie zaś chwytne, jak szpony jastrzębie, obejmujące, jak pazury puhacza, i to na każdym palcu.

Dnia tego włożył strój okazały. Za odzież miał piękny, równo barwiony płaszcz

<sup>1</sup> Lekarz-wróżbita Ulatów.

<sup>2</sup> Bogini wojny i rzezi, wroga Kuchulajnnowi, na którego napadła w postaci wilka i węża w czasie jego walki z Lochem.

<sup>3</sup> Opowieść epicka o przyczynie wrogiego stosunku Bodb do Kuchulajinna.

<sup>4</sup> Rodacy Aililla.

<sup>5</sup> Z przyczyny wielkiej ilości trupów tych, których zabił Kuchulajnn.

<sup>6</sup> Wojsko nieprzyjacielskie i zaludnienie obozu nieprzyjacielskiego, w którym, sprawiwszy nocy poprzedniej pogrom czarami, Kuchulajnn chce wzbudzić podziw.

purpurowy pięciokrotny z frendzlami. Na białej piersi spinka z białego srebra, upięk-szona wzorem z nakładanego złota — niczem jasno świecąca pochodnia, tak że oczy ludzkie oslepiene były tym blaskiem i błyskaniem. Na skórze tunika, ujęta obrzeżeniami, pasami i frendzlami ze złota, srebra i elektrum. Spadała na górną część jego godnych wojownika czerwono-brunatnych ciemnych spodni z królewskiego aksamitu. Przewieszoną miał pyszną purpurowo-brunatną tarczę, obrzeżoną okuciem z czysto białego srebra. U lewego boku miecz o złotym jelcu i złotem okuty. W wozie miał przy so-bie długi oszczep z niebieskawym grotem i ostry dziurę zaczepny ze sznurami i ni-tami z jasnego bronzu. W jednej ręce dziewięć (obciętych) głów, w drugiej dzie-sięć głów, któremi potrząsał, trzymając je daleko od siebie, naprzeciw zastępom, by pokazać świadectwa swojej zręczności bojowej i swojej dzielności.

Medb ukryła swą twarz pod osłoną z tarcz, by zabezpieczyć się na wypadek, gdyby Kuchulajnn zaczął znów miotać pociski.

Ale dziewczęta uprosiły mężów Erynu, by je na tarczach ponad ramiona męż-czyn podnieśli dla podziwiania postaci Kuchulajnn. Albowiem piękna i ujmująca postać, którą widziały dnia tego, wydawała im się czemś cudnem w porównaniu z tą straszną postacią zaczarowaną, jaką widziano nocy poprzedniej.

## XX. Walka z Ferdiadem

Naradzali się mężowie Erynu nad tem, kto nadawałby się do wystąpienia do walki i do boju z Kuchulajnnem nazajutrz wczas rano. To, co mówili, było, że tym jest Ferdiad, syn Damana, syna Darego, wielce waleczny wojownik z Fir Domnan-nów<sup>1</sup>. Albowiem w walce i potykaniu się byli równi i odpowiadali sobie. Dokonywali byli sztuk waleczności i bojowej zręczności u tych samych mistrzyni i obadwaj umiejęt-nością prześcignęli je, mianowicie Skathach i Uathach, i Aife. I żaden nie miał prze-wagi nad drugim, oprócz tego, że Kuchulajnn znał sztukę Gae bulga. Zato Ferdiad okryty był skórą rogową<sup>2</sup> podczas walki i boju przeciw bohaterowi u brodu rzecz nego.

Wyprawiono posłów i gońców do Ferdiada. Ferdiad oparł się, odmówił i posłów odprawił. Sam z nimi nie przyszedł, bo wiedział, czego zażądają od niego. Tego, by bił się i walczył z przyjacielem, z towarzyszem, z bratem mlecznym. Wówczas Medb wystąpiła do niego druidów i zaklinaczy, i zaczepnych satyryków, by zaczepili go w trzech czterowerszach i trzy rzucili zaklęcia tak, by mu na twarzy trzy utworzyły się wrzody, gdyby nie przyszedł, mianowicie Hańba, Wstyd i Wina. Ferdiad przyszedł z nimi ze względu na cześć swoją, miał bowiem za lepsze polec od oszczepów waleczności, sztuki bojowej, męskiej dzielności, niż paść od oszczepów satyry, pohańbienia i ośmie-szenia. Gdy zaś przybył, uczczono go i obsłużono. Poczęstowano go odurzającym, kla-rownem, doskonale smakującym piwem, aż sobie podchmielił i rozweselił się. I obie-cano mu dary bogate za podjęcie się walki i boju — mianowicie wóz (wart) cztery-kroć siedmiu niewolnic; na dwunastu mężów odzienia wszelakiej barwy i drugie tyle ziemi, ile dotychczas posiadał, w pięknej równinie Ai, wolnej od danin, od ciężarów, od postoju, od przemarszu; wolność od przymusowej służby dla syna, dla wnuka i dla prawnuków aż do dnia Sądu i Życia (wiecznego) i Findabajr<sup>3</sup> za jedyną żonę i jeszcze ponadto spinkę złotą, która tkwiła w płaszczu Medby.

(Pijany Ferdiad po długich wahaniach, gdy szereg wodzów poręczył spełnienie obiet-nic — zgodził się, lecz nie bez żalu.)

I mówił:

1.

Wysilek to wielki  
Bój z Kuchulajnnem krwawym!  
Szkoda, że to raczej dwustu mężom z Fál  
Nie nakazano czola mi stawić, dwukrotna.

2.

Żaloszny to bój,  
Który ja i Zręczny Pies z sobą stoczymy!  
Sieć będziem ciało i krew,  
Mięśnie i skórę rąbać.

<sup>1</sup> Szczep w Irlandji zachodniej.

<sup>2</sup> Motyw «skóry rogowej», występujący w podaniu germańskiem w związku z postacią Sigfrita, jest może stamtąd zapożyczony przez Irlandczyków (za pośrednictwem Normanów).

<sup>3</sup> Królowna, córka Aililla i Medby.

3.

Żalodne to, Boże,  
 Że między mną i nim stanęła kobieta!  
 Połową mego serca jest Pies Bez-wady,  
 A połową serca Psa jestem ja!

4.

Na tarczę moją:  
 Jeśli polegnie Pies z Ath-kliath,  
 Pchnę wąski miecz mój  
 Przez moje serce, mój bok, moją pierś!

5.

Na miecz mój:  
 Jeśli polegnie Pies z Glinne-bołg,  
 Nie zabiję żadnego potem człowieka,  
 Zanim nie przeskoczę na Drugi Brzeg<sup>1</sup>!

6.

Na rękę mą:  
 Jeśli polegnie Pies z Glen-in-sgail,  
 Zabiję Medbę pośród jej zastępów,  
 A potem nikogo więcej z mężów z Fáll

7.

Na oszczep mój:  
 Jeśli polegnie Pies z Ath-kro,  
 Niech w jego grobie mnie złożą,  
 Niech ten sam będzie mój i jego grób!

8.

Powiedzcie mu,  
 Psu o przepięknej skórce,  
 Że wywróżyła Skathach bez trwogi,  
 Iż przez niego polegnę u brodu.

9.

Biada Medbie,  
 Która swych praktyk dokonała na nas:  
 Przeciwstawić wzajemnie mnie  
 I Kuchulajna — sztuka niebywała!

Tymczasem Kuchulajnn dojechał do brodu. Ferdiad stał na południowym brzegu, Kuchulajnn siadł na północnym. Ferdiad powitał Kuchulajna. «Witam twoje przybycie, Kuchulajnnie», rzekł Ferdiad. «Powitanie wydaje mi się szczerze, o ile dotyczy czasu, aż do niniejszej chwili», odrzekł Kuchulajnn, «dzisiaj jednak nie polegamy już na niem. I to jeszcze, Ferdiadzie», dodał Kuchulajnn, «właściwsze byłoby, gdybym to ja ciebie powitał, nie ty mnie, gdyż ty właściwie przybywasz do krainy i do dzielnicy, w której ja mieszkam. Nie jest też przystojne, że to ty przychodzisz, by ze mną bój toczyć i walkę, natomiast byłoby właściwsze, gdybym to ja wyszedł na bój i na walkę z tobą, albowiem przed tobą (są gnane) kobiety i dzieci nasze, nasze konie i nasze stadniny, nasze stada i nasze woły, i nasze bydło!» «Pięknie, Kuchulajnnie», rzekł Ferdiad, «cóż cię skłoniło stawiać mi czoło w boju i w walce? Albowiem, gdyśmy razem byli u Skathach, u Uathach i u Aife, byłeś mi pacholęciem służebnym, które czyściło moje oszczepy i ścieliło mi łoża». «To prawda», odrzekł Kuchulajnn; «— jeśli to jednak czynił dla ciebie, to ze względu na moją młodość i nic to nie ma do mnie obecnie, niema bowiem takiego bohatera na świecie, któremubym dzisiaj nie był zdolny stawić czoła».

Poczem każdy z nich uczynił drugiemu ciężki zarzut wypowiedzenia przyjaźni.

«Tak, Ferdiadzie», mówił Kuchulajnn, «to, że przeciw mnie występujesz do walki i boju, nie jest słuszne, dlatego, że gdyśmy byli u Skathach i u Uathach, i u Aife, wspólne były nam każda bitwa i każde pobojuwisko, każda walka i każdy bój, każdy las i każde pustkowie, każda ciemnia i każde schronisko». Tak mówił i oto jakie wypowiedział słowa:

«Byliśmy przyjaciółmi od serca,  
 Byliśmy towarzyszami w lesie,  
 Byliśmy mężami, dzielącymi postanie,  
 Gdy zmorzył nas ciężki sen  
 Strudzonych bojami  
 W tak licznych obcych krainach.  
 Wędrowaliśmy razem,  
 Razem zapuszczaliśmy się w las  
 W czasie nauki u Skathach».

<sup>1</sup> Nie umrę.

«Miły mój, zręczności pełny Kuchulajnnie», rzekł Ferdiad, ..

«Opanowaliśmy równej śmiałości sztuki,  
Ale umowy przeważały przyjaźń,  
Zadość trzeba uczynić za rany, któreś zadał.  
Nie wspominaj braterstwa naszego —  
O, Zezowaty!<sup>1</sup> nie pomoże ci ono».

«Za długo bawimy się rozmowami», dodał Ferdiad; «jaką bronią zetrzemy się dziś, Kuchulajnnie?» «Przy tobie dziś wybór broni», odrzekł Kuchulajnn, «boś pierwszy przybył do brodu»...

Natarli na siebie najpierwszemi sposobami sztuki bojowej. Uzbroili się jednakowemi, do gry wojennej zdatnemi tarczami... ośmiu dziurkami, ośmiu nożami z rękojeścią z zęba morsa, ośmiu oszczepami z takiemiż ujęciami. Odlatywać od nich zaczęły i przylatywać, jak pszczoły w pogodny dzień. Żaden z dwu nie cisnął ani razu tak, by nie trafił, i tak każdy z nich usiłował porazić przeciwnika swą sztuką od przedświtu aż do środka południa, ale wszystkie ciosy były odbijane środkiem lub brzegiem tarcz. I mimo że doskonałe było ciskanie, obrona była tak świetna, że żaden z nich nie zakrwawił się w ciągu tego czasu. «Porzućmy tę zbrojną zabawę, Kuchulajnnie», rzekł Ferdiad, «bo nie rozstrzygnie ona między nami». «Oczywiście, przerywajmy, skoro czas po temu», odrzekł Kuchulajnn. . . . .

Przestali. Odrzucili od siebie broń w ręce woźniców. I wówczas każdy z nich ruszył ku drugiemu i objął ramieniem jego szyję, i ucałował go po trzykroć. Konie ich pasły się tej nocy w tej samej zagrodzie, woźnice siedzieli przy ogniu tym samym i pościelili dla obu jednakie legowiska ze świeżego sitowia. Znachorzy i lekarze przybyli ich leczyć i opatrywać, obłożyli ziołami i zakłęciami ich rany klute i cięte, i liczne ich skaleczenia. Jakikolwiek liść, jakikolwiek zioło lecznicze, jakikolwiek zamówienie kładzione było na przekłucia, zadrażnienia, zacięcia i liczne rany Kuchulajnn, taką samą część zanoszono Ferdiadowi na drugą, zachodnią stronę brodu, aby nikt z mężów Erynu nie mógł powiedzieć, gdyby z Kuchulajnn ręki poległ Ferdiad, że to skutkiem staranniejszego leczenia. Jakakolwiek potrawa i jakikolwiek smaczne w picciu, klarowne i upajające piwo dostarczone były Ferdiadowi przez mężów Erynu, równą ich ilość zanoszono na północny brzeg brodu Kuchulajnnowi, albowiem karmiciele Ferdiada liczniejsi byli od tych, co karmili Kuchulajnn... Tak przebyli tę noc. Nazajutrz wczesnym rano powstali i podeszli do brodu. «Jaką bronią zetrzemy się dziś, Ferdiadzie?», rzekł Kuchulajnn. . . . .

Tego dnia starli się na długie włócznie. . . . .

Przestali. Odrzucili broń w ręce woźniców. Każdy podszedł do drugiego, jak do towarzysza, zarzucił mu ramię na szyję i po trzykroć go ucałował. . . . .

(Trzeciego dnia) Kuchulajnn zaczął się skarżyć i żalić, a Ferdiad mu odpowiadał.

- Kuchulajnn: 1. «Ferdiadzie, któryś tu jest przede mną,  
Przeznaczny jesteś na pewną śmierć!  
Z namowy kobiety stanąłeś  
Do walki z twym bratem mlecznym».
- Ferdiad: 2. «Kuchulajnnie — to tylko spełnienie mądrej zasady:  
Wszak — prawy bohaterze, prawy wojownik! —  
Każdy kiedyś stanąć musi  
Na tej murawie, która będzie jego łóżem ostatniem».
- Kuchulajnn: 3. «Że Findabair, córka Medby —  
Aczkolwiek tak piękną ma postać —  
Obiecana ci jest, to nie z miłości do ciebie,  
Lecz by na próbę wystawić twą siłę królewską».

<sup>1</sup> Kuchulajnn patrzy zezem, gdy opęta go szal gniewu.

- Ferdiad: 4. «Moja siła wypróbowana już dawno,  
O, Psie, pięknych cnót pełny!  
O nikim odważniejszym nie wiadomo,  
Po dziś dzień nie znalazłem takiego».
- Kuchulajnn: 5. Tyś jest, którego winą to, co nastąpi —  
O, synu Damana, syna Darego! —  
Z namowy kobiety poszedłeś  
Ciosy miecza wymieniać z bratem mlecznym».
- Ferdiad: 6. «Gdybyśmy się rozeszli bez walki,  
To, chociaż my bracia mleczni,  
Żle byłoby z mojem słowem i czcią  
U Aililla i Medb z Kruachan».
- Kuchulajnn: 7. «Nie wziął jeszcze do ust swych pokarmu  
I także nie urodził się jeszcze  
Taki król czy królowna szczęśna,  
Dla których uczyniłbym ci krzywdę».
- Ferdiad: 8. «O, Kuchulajnnie, z walecznych czynów powodzią!  
To nie ty, to Medb nas zdradziła!  
Wyjdiesz zwycięski i sławny,  
Nasze błędy nie spadną na ciebie».
- Kuchulajnn: 9. «Serce moje przemieniło się w skrzep,  
Rozstałem się prawie z mą duszą!  
Nierównym mi się zdaje pełen czynów walecznych  
Bój z tobą, o Ferdiadzie!»

«Nazaliłeś się na mnie dość dzisiaj», rzekł Ferdiad, «powiedz, jaką bronią ze-  
trzymy się dziś?» . . . . .

(Wkońcu Kuchulajnn zabił Ferdiada. Gdy ten padł porażony)

Kuchulajnn poskoczył do niego i objął go obu ramionami, i przeniósł go wraz z bronią i zbroją, i odzieżą na północny brzeg brodu, aby na tym brzegu północnym oddana została (zmarłemu) cześć, a nie po drugiej stronie brodu u mężów Erynu.

Kuchulajnn zaczął wówczas żalić się i opłakiwać Ferdiada, i mówił te słowa:

«Tak jest, Ferdiadzie, smutne to dla ciebie, że zanim nie starliśmy się w spotka-  
niu bojowym, nie rozmawiałeś z żadnym z tych ludzi, którzy wiedzieli prawdę o moich  
czynach walecznych i zręczności bojowej!

Smutne to dla ciebie, że Laeg, syn Riangabara, nie uczynił ci wyrzutu ze względu  
na nasze braterstwo mleczne!

Smutne to dla ciebie, żeś nie dowiedział się o szczerem ostrzeżeniu Fergusa.

Smutne to dla ciebie, że ze względu na nasze braterstwo mleczne nie wdał się  
w sprawę bogaty w triumfy, zwycięski, w bitwach obfitujący w przewagi Konall!

Bo ci mężowie nie byliby mówiliby z tobą z poduszczenia ani na życzenie, ani na zle-  
cenie, ani za kłamliwe obietnice białogłowych kobiet z Konnacht.

Bo ci mężowie wiedzieli, że aż do chwili Sądu i Życia nie narodzi się drugi,  
który równie wielkie, równie dotkliwe klęski zada Konnachtzykom, jak ja: zarówno  
w działaniu szczytami i tarczami, jak w działaniu oszczepami i mieczami, w grze  
w szachy i warcaby, w kierowaniu końmi i wozami!

Nigdy ręka wojownika, która siecze mięśnie bohaterów, nie zrówna się z ręką  
Ferdiada Obłocznobarwnego.

Nie rozlegnie się jego ryk krwawogębnej Bodb na wylomie w palisadach, obwie-  
szonych pstrami tarczami!

Nie zdoła już Kruachan wywalczyć ni osiągnąć bez ciebie korzystnych umów,  
i to do chwili Sądu i Życia, o! synu Damana o twarzy rumianej».

Tak powiedział Kuchulajnn.

I stanął Kuchulajnn nad Ferdiadem. «Tak jest, o Ferdiadzie», rzekł Kuchulajnn,  
«wielką zdradę i zaprzecanie popełnili względem ciebie mężowie Erynu, wysyłając cię

na walkę i bój ze mną, albowiem rzeczą nietatwą jest walka i bój ze mną w wyprawie po krowy z Kùlni». Tak rzekł i powiedział te słowa:

1.	2.
«Ferdiadzie, poraziła cię zdrada! Jakże smutne to ostatnie przebywanie z tobą! (To, żeś martwy, gdy ja pozostaję.) Smutne na wieki, nasze na wieki rozstanie!	Gdyśmy byli na obczyźnie U Skathach, Buadach, Buanann, Zdawało się nam, że aż do dnia Wielkiego Sądu Nie będzie końca naszej przyjaźni.

3.

Miłym mi twój szlachetny rumieniec,  
Miłą twa doskonale piękna postać,  
Miłem twe modre, jasne oko,  
Miłą twa mądrość i twoje krasomówstwo»...

. . . . .

Zaczął tedy Kuchulajnn przyglądać się Ferdiadowi... (Na rozkaz Kuchulajinna) Laeg podszedł i obnażył Ferdiada. Zdjął zeń zbroję i odzież, i Kuchulajnn dojrzał spinkę, i zaczął opłakiwać go, i żalić się nad nim, i wyrzekł te słowa:

1.	3.
O, nieszczęsna spinko ze złota! Ferdiadzie Zastępów, Potężne zadający ciosy, szlachetny! Zwycięską była twa dłoń.	O, nasze wierne braterstwo mleczne! O, ostry wzroku oka szlachetnego! O, tarczy twoja, złotem okuta! O, szachownico, coś skarbu warta!
2.	4.
Twoja płowa falista czupryna Tak obfita — jakże wielką ozdoba! O, pasie miękki w liściasty wzór Wkoło twych boków, jeszcze w chwili śmierci!	Śmierci z mojej ręki Nie powinieneś być, wyznaję to, ponieść. Nie była to walka piękna! O, nieszczęsna spinko ze złota!

. . . . .

«A teraz, o Kukuk», rzekł Laeg, «opuszczymy ten bród. Zbyt długo tu przebywamy». «Napewno opuszczymy go, ojcuzku Laegu», odrzekł Kuchulajnn, «bowiem igraszką i żartem wydaje mi się wszelka walka i wszelki bój, w którym udział brałem, w porównaniu z bojem i z walką przeciw Ferdiadowi».

### XXVIII. Walka obu byków

Opowiemy teraz o Medbie. Mężowie Erynu zostali przez nią zaproszeni i spędzeni do Kruachan, aby przyjrzeni się walce obu byków.

Oto, co zdarzyło się Czarnemu z Kùlni: gdy zobaczył piękną nieznaną mu krainę, wydał z siebie swe trzy głośnie mowy-ryki. Białorogi z Ai usłyszał go... Podniósł głowę i ruszył przed siebie do Kruachan, aby spotkać Czarnego z Kùlni...

...Byki patrzyły jeden na drugiego i racicami ryły ziemię, i wyrzucały grudę ponad siebie. Wyrzucały grudę ponad swe łopatki i kłęby, a oczy ich świeciły im w głowach, jak kule ogniste. Ich policzki i wola nadymały się, jak miechy kowalskie w kuźni.

Wtem każdy z nich wykonał kruszące, rozstrzygające natarcie na drugiego. Każdy usiłował drugiego przebić i przedziurawić, i obalić, i zniszczyć. Białorogi z Ai zmylił Czarnego z Kùlni swoim kolowaniem i bieganiem, i swemi drogami — i wbił mu róg w bok i przewagę osiągnął w ryciu ziemi nogami. . . . .

Kormak Kondlonges, syn Konchobara, spostrzegł to, ujął drzewce od oszczepu pełną garścią i zadał Czarnemu z Kùlni trzy uderzenia od ucha przez grzbiet do ogona. «Ten niby-skarb nie jest dla nas żadnym wielkim skarbem», zawołał Kormak, «albowiem nie zdoła obronić się nawet przed cieleciem swego rodzaju». Czarny z Kùlni dosłyszał to i, mając rozum ludzki, zwrócił się przeciw Białorogiemu. I stało się,

ze zaczęły się bóść długi czas i bezustannie, aż noc zapadła nad mężami Erynu. A gdy zrobiło się ciemno, mężowie Erynu mogli już tylko nasłuchiwać, skąd szedł szum i hałas. Byki biły się nocy tej, biegając po całym Erynie.

(Wkońcu Czarny zabił Białorogiego, sam jednak padł od ran. Na tem kończy się opowieść o rabunku krów z Kùlni.)

(Z irlandzkiego.)

## POWIEŚĆ

### JAK STARAŁ SIĘ KULHUCH O RĘKĘ OLWENY

(Z Mabinogion — urywki)

(w. XII)

...Mówi więc Kulhuchowi macocha:

«Dobrze robisz, żeniąc się. Już upatrzyłam dla ciebie dziewczynę. Zadowoli najwyżej urodzonego». «Ależ ja», odpowiedział, «nie dorosłem jeszcze do wieku małżeńskiego». A ona na niego krzyknie: «Klątwę rzucam na los twój: oto bok twój nie otrze się o bok żadnej kobiety, zanim posiadasz Olwenę, córkę Yspadhadena Penkaura!»

Zapłonął się młodzian. Pożądanie dziewczęcia tego, chcąc jej nie widział był nigdy, przeniknęło wszystkie jego członki. «Czemuż rumienisz się, synu?» zapyta ojciec. «Co przyczyną tego zmieszania?» «Macocha przysięgła, że nie będę miał żony, chyba Olwenę, córkę Yspadhadena Penkaura». «To nie sprawi ci trudności. Artur jest twoim krewnym. Udaj się doń, by cię postrzygł. A o tamto proś, jako o dar».

Pojechał chłopiec na czterolatku o siwej-jabłkowej głowie, mocnych udach, kopytach gładkich, jak muszle. Uzda z wędzidłem złotem, łamanem. Siodło błyszczące, cenne. W ręku jeźdźca dwa srebrne, doskonale ostre dziiryty. Ma też włócznię o grocie sterczącym, długim na łokieć, biorąc za miarę łokieć rosnącego męża... U boku miecz: złota rękojeść i głownia, jelce krzyżowe, zdobne emalją złotą, barwy błyskawic na niebie. Pędzą przed nim dwa charty: piersi białe, grzbiet w cętki; na szyi obroża w rubiny. Ten, co na prawo był, przebiega w lewo, ten co był z lewej strony — w prawo: kołują, igrając, jak morskie jaskółki...

«Bramę otwieraj!» «Niel...» «Jeśli otworzysz — to dobrze. Jeśli nie, to hańbę twojego pana rozgłoszę. I na ciebie spadnie także niestawa!...»

Poszedł odzwierny do sali. «Co nowego u bramy?» zapytał Artur. «Dwie trzecie życia mego spędziłem przy tobie. Bywałem z tobą w Ker Se i w Asse, w Sach i w Salach, w Lotor i w Fotor... Widzieliśmy dziewięciu królów potężnych, widzieliśmy mężów dostojnych. Ale nie widział nigdy tak dostojnego, jak ten, co czeka przed bramą!» «Więc jeśliś tu przyszedł krokiem», rzekł Artur, «to wracaj biegiem... Nie godzi się pozostawiać takiego męża, jak ten, o którym mówisz, na deszczu i wietrze»... Kulhuch wjechał i, chociaż wszyscy wyszli naprzeciw na kamienne schody, nie zsiadł z konia...

«Nie przybyłem tu, by jeść i pić. Daru chcę. Jeśli otrzymam go, potrafię okazać szacunek i wdzięczność. Jeśli nie, to twą niestawę rozgłoszę na cztery strony świata, tak daleko, jak daleko wieść doszła o chwale twojej!» «Skoro nie chcesz ucztować tu z nami», rzekł Artur, «otrzymasz w darze, co umyśliła twa głowa i co wypowie twój język, choćby szukać tego wypadło tak daleko, jak miejsce, skąd wieje wiatr suchy, skąd bierze się mokry deszcz — tak daleko, jak obraca się słońce, jak rozciąga się morze i ląd; wszystko, z wyjątkiem okrętu mego i mego płaszcza, z wyjątkiem mojej włóczni Kaledyuch i mojej lancy Rongomyat... z wyjątkiem mej tarczy... noża i mojej żony...» «Żądam, byś włosy me postrzygł». «Zrobię to».

Artur wziął złoty grzebień i nożyczki o pierścieniach ze srebra i postrzygł go. Poczem zapytał Kulhucha, kim jest: «Czuję, jak serce moje skłania się ku tobie; widzę, żeś jednej krwi ze mną. Powiedz — ktoś ty?...»

(Artur dowiaduje się o zamiarze Kullhucha poślubienia Olweny i wysyła gońców, by zasięgnęli wiadomości o nikomu nieznaney dziewczynie. Gdy ci powracają z niczem, rusza w świat sam Kullhuch w towarzystwie kilku wybranych z pośród wojowników Artura.)

Wyszli na wielką równinę, na której dojrzeli groźny zamek warowny. Był tak wspaniały, jak żaden inny. Szli doń aż do wieczora. Ale gdy im się zdało, że powinni być już niedaleko, okazało się, że nie są bliźsi celu, niż rano. Szli tak dwa, szli trzy dni, zanim po trudach dotarli do zamku...

(Spotkany pasterz ostrzega ich, by nie wazyli się wchodzić.) «Niechże was Bóg ochrania mężowie! Nie czyńcie tego za nic w świecie! Nie było jeszcze nikogo, któryby życiem nie przypłacił tego żądania» (ręki Olweny)...

(Dowiedzieli się jednak także, że z Olweną można się porozumieć, ma bowiem zwyczaj przychodzić do mieszkania pasterza i jego żony co sobota.)

Dziewczyna przybyła. Była odziana w gieźleczek kraśne, jak płomień, jedwabne. Szyja objęta obręczą z czerwonego złota, wysadzana drogiemi kamieniami. Włosy jaśniejsze od kwiatu janowca, pęcz bielsza od piany na fali, ramiona i palce, lśniące jak woda, tryskająca strumieniem z krynicy. Postać świetna nie mniej, niż sokolika, gdy go pierwsze pióra okryją, albo raroga, gdy już trzykrotnie pierze zmieni. Piersz od łabędziej bielsza, policzki kraśniejsze, niż najkraśniejsza z róż. Niesposób spojrzeć i nie rozmiłować się. Gdzie stąpi, tam wykwitają cztery kwiaty białej koniczyny — stąd imię miała, Ol-u-en (Biały Ślad).

Weszła. Usiadła na ławie poczesnej, obok Kullhucha. Poznał odrazu, kto ona. «Dziewczyno!» zawołał, «tyś tą, którą miłuję! Pójdź ze mną! Oszczędzisz trudów i mnie, i sobie. Już oddawna miłuję cię!» «Nie mogę», odrzekła. «Ojciec zaklął mnie, że bez jego zgody nie pójdę. Albowiem żyć on będzie tylko dopóty, dopóki nie pójdę za mężczyzną. Ale, jeśli rady wystuchać zechcesz, mogę dać jedną. Pójdź, poproś ojca o moją rękę. Przrzeknij mu, że wszystko mu dasz, czego zażąda. Jeśli w czemkolwiek sprzeciwisz się ojcu, nie posiadziesz mnie nigdy i szczęśliwy będziesz, jeśli żyw ujdiesz». «Wszystko przrzeknę i wszystko spełnię».

Wyszła Olwena, a za nią wślad wojownicy. Zakłuli po drodze dziewięciu wrotnych przy bramach dziewięciu. Żaden z nich głosu wydać nie zdążył. Zakłuli dziewięć brytanów. Wkroczyli na salę.

«Bądź pozdrowiony», zawołali, «o Yspadhadenie Penkaurze, w imię Boga i w imię ludzkie!» «Poco tu przyszlście — wy?» «Przychodzimy, by prosić o rękę twej córki, Olweny, dla Kullhucha, syna Kilydha»... «Wróćcie tu po odpowiedź jutro».

Powstali, by odejść. Wtem Yspadhaden Penkaur chwycił jeden z trzech zatrutych dzirytów, które miał na podorędziu przy sobie i cisnął w nich. Ale Bedwyr złapał dziryt w powietrzu i, odrzuciwszy, przebił (Yspadhadenowi) rzepkę w kolanie. «Przeklęty bądź, obcy zięciu! Będę teraz na nowo przeżywał całe me życie, ale schodząc wdół. Cierpię od zatrutego grotu, jakby mnie gad złośliwy ukąsił. Przeklęty niech będzie kowal, który go wykuł! Przeklęte kowadło, na którym został wykuty!»...

(Scena zupełnie podobna powtarza się jeszcze dwukrotnie. Wreszcie czwartego dnia wywiązuje się rozmowa następująca:)

«Nie ciskaj w nas więcej dzirytami. Wynikają stąd tylko rany, przykrości i cierpienie — dla ciebie samego. Jeśli nie zmienisz swego postępowania, sprawy twoje wezmą jeszcze gorszy obrót. Oddaj nam córkę. Umrzesz i tak z jej powodu, jeśli tego nie uczynisz».

«Który jest, co prosi o rękę mej córki?...» «Jam jest...» «Daj słowo, że nie uczynisz nic, co by było bezprawiem. Skoro otrzymam wszystko, czego zażadam, będziesz miał moją córkę». «Dobrze! Mów, czego chcesz?» «Oto, czego ja chcę. Czy widzisz to wzgórze, tam, hen?» «Widzę». «Chcę, by wszystkie na niem korzenie zostały wybrane, spalone, tak, by ziemia stała się żyzna; chcę, by zostało zorane i obsiane. To wszystko w jeden dzień. W tym samym dniu niech ziarno dojrzeje. Z pszenicy tej chcę mieć chleb i piwo na twoje wesele z córką. A wszystko musi być dokonane w jeden dzień!» «Dokonam tego z łatwością, aczkolwiek ty masz to za trudne!»

«Choćbyś tego dokonał, nie podolasz innemu zadaniu. Ziemi tej nie zorze nikt



i nie oczyści, tak zarosła (krzakami) — z wyjątkiem jednego oracza, Amatheona, syna Dona. Dobrowolnie nie pójdzie z tobą, a przymusić go nie zdołasz». «Przyjdzie mi to z łatwością, choć tobie wydaje się trudne».

«Choćbyś zdobył to wszystko, jest coś, czemu nie sprostasz. Niema na świecie grzebienia ni nożyc, któreby dały radę mojej czuprynie, tak jest oporna — z wyjątkiem tego grzebienia i tych nożyc, które między uszami nosi Turch Truyth (zakłęty w dzika), syn księcia Taredh. Nie odda ich dobrowolnie, a przymusić go nie zdołasz». «Przyjdzie mi to z łatwością, choć tobie wydaje się trudne».

«Choćbyś tego dokonał, nie podołasz innemu zadaniu... Nie zdobędziesz Druwyna-psa, bez którego nie upoluje się Dzika Truytha...

[I t. d. Yspadhaden stawia coraz nowe warunki. Do łowów potrzebny myśliwy, który przepadł bez wieści; potrzebny szczególnie koń; smycz, spleciona z włosów, wydartych z brody olbrzyma. Potrzebna pomoc króla Francji; potrzebny miecz innego olbrzyma, Gurnacha Gaura. Kullhuch podejmuje się wszystkiego.] «Będę miał konie, dosiądę ich. Artur, mój pan i mój krewny, dostarczy wszystkiego. Posiądę dziewczynę. Ty umrzesz!» «Więc dobrze. W drogę!... Gdy wszystkiego dokonasz, córka moja stanie się twoją».

Poszli. Wieczorem dojrzeli zamek ogromny, z największych na świecie. Wyszli zeń człowiek czarny cały, wysoki na troje chłopa... «Kto panem tu?» «Doprawdy, głupcy z was! Każdy wie, że panem w tym zamku jest Gurnach Gaur»...

...«Otwórz bramę!» «Nie otworzę!» «Czemu nie chcesz mnie wpuścić?» «Nóż wrażony w mięsivo, miód nalany do rogu: uczta zaczęta w sali Gurnacha Gaura. Tej nocy nie otwiera się już bramy, chyba przed sztukmistrzem, który swoją sztukę przynosi». Kei na to: «Odźwierny! ja właśnie posiadam sztukę!» «Jaką?» «Jestem najlepszym, jaki jest na świecie, szlifierzem mieczów»...

Wrotny otworzył bramę. Kei wszedł i pokłonił się Gurnachowi Gaurowi. Wyznaczono mu miejsce naprzeciw. «Czy to prawda, człowieku», zapytał Gurnach Gaur, «co mówią o tobie, że umiesz szlifować miecze?» «Umiem, i to dobrze», odrzekł Kei. Przyniesiono mu miecz Gurnacha Gaura...

...Gdy skończywszy szlifowanie, Kei podał miecz Gurnachowi Gaurowi... «Dobra robota», rzekł olbrzym, «podobna mi się». «To pochwa», rzekł Kei, «popsuła miecz. Daj ją, niech odejmę części drewniane i założę nowe». Ujął jedną ręką pochwę, drugą miecz i stojąc nad olbrzymem, jakby zabierał się włożyć miecz do pochwy, zwrócił się nagle i głowę zdjął z karku (Gurnachowi)... Wrócili na dwór Artura z mieczem Gurnacha Gaura. Opowiedzieli Arturowi swoje przygody.

[Z pomocą króla Kullhuch i jego towarzysze zdobywają kolejno ludzi i rzeczy, konieczne do zorania wzgórza i zapolowania na zaczarowanego dzika. Powodzenie to zawdzięczali przede wszystkim odwadze, sile i zręczności samego Artura i jego drużyny oraz współdziałaniu z nimi świata zwierzęcego i mocy magicznych. Ale pozostało zadanie najtrudniejsze — upolowanie dzika.]

Artur zgromadził wojowników z trzech wysp Brytanji i z trzech wysp przyległych<sup>1</sup>, z Francji, z Armoryki i z Normandji oraz z Krainy Letniej: byli tam co najlepsi z piechurów i co sławniejsi z jeźdźców — wszyscy. Z hufcami temi ruszył do Iuerdhon<sup>2</sup>. Na wieść o jego zbliżaniu się strach i drżenie przebiegły kraj. Gdy zsiadł z konia, Iuerdhonscy święci przyszedli prosić go o opiekę, a mieszkańcy pośpieszyli złożyć daninę w żywności. Artur podążył do Esgeir Oeruel, gdzie był Dzik Truyth ze swemi siedmiu warchlakami.

Poszczuto go ze wszystkich stron psami. Guydhylowie<sup>3</sup> bili się z nim dnia tego aż do wieczora. Mimo to zniszczył piątą część Iuerdhonu. Nazajutrz walczyła z nim czeladź Artura. Ale nic nie wskórała, prócz guzów. Na trzeci dzień stanął do walki sam Artur. Bił się dziewięć dni i dziewięć nocy. Lecz zdołał zabić tylko jednego

<sup>1</sup> Wight, Man i Orkady, te ostatnie pojęte jako jedna wyspa Orc.

<sup>2</sup> Irlandja.

<sup>3</sup> Irlandczycy.

warchlaka. Ludzie Artura spytali go wówczas, kim jest ten dzik. Wyjaśnił im, że to król pewien, którego Bóg za grzechy odmienił.

Artur wysłał Gurhyra Gualstauta, by próbował rokować z bestją. Wziąwszy na siebie kształt ptasi, Gurhyr poleciał nad legowisko dzika i jego władacie mówą, niech jeden z was uda się na rozmowę z Arturem». Srebrnoszczecinny Chrząkacz... odrzekł w te słowa: «Klnę się Tym, który nam nadał tę postać, że nie pójdziemy. Nie chcemy mówić z Arturem. Dość nam tej krzywdy, którą nam Bóg wyrządził, odmieniając nas. Teraz wy przychodźcie napadać nas zbrojno». «Wiedźcie więc, że Artur walczy z wami o grzebień, brzytwę i nożyce, które są ukryte między uszami Dzika Truytha». «Nie zdobędziecie tych skarbów, póki on żyw», odrzekł Chrząkacz, «jutro rano ruszymy stąd, by pójść do kraju Artura. Postaramy się wyrządzić mu tyle złego, ile jest w naszej mocy». Nazajutrz dziki ruszyły w kierunku krainy Kimry<sup>1</sup>. Artur z wojownikami, końmi i psami wsiadł na swój okręt «Prytuen» i po chwili gonił na oko. Dzik Truyth wylądował w Porth Kleis w Dyvet, Artur posunął się za nim nocy tej aż do Mynyw<sup>2</sup>. Dogonił dziki w chwili, gdy zabijały bydło w Kynnuas Kurry Vagyl, a przedtem już pozabijały cokolwiek było żywego, ludzi i bydłęta, w Den Gledhyu. Gdy Artur się zbliżył, Dzik Truyth uszedł aż do Presseleu<sup>3</sup>. Podążył tam i Artur z hufcami i wysłał swych ludzi w pogon...

[W pościgu za dzikiem, który broni się zajadle, Artur traci wielu z pośród najdzielniejszych wojowników. Traci rodzonego syna. Dnie i noce pędzą po tropie, doganiają potwora, który odwraca się, kaleczy i zabija. Gubią ślad, odnajdują go. Padają kolejno warchlaki. Ale Dzik Truyth wciąż uchodzi myśliwym.]

Dzik Truyth przemknął się między Tawy i Emgas<sup>3</sup>. Artur zwołał mężów Kornwalji i z Dyvneint, by wyszli naprzeciw niemu na drugi brzeg ujścia Havren<sup>4</sup>. Powiedział wojownikom z tej wyspy: «Dzik Truyth zabił mi wielu ludzi. Pókim żyw, nie przedostanie się on do Kornwalji — klnę się męstwem mych wojowników. Co do mnie, nie będę ścigał go dłużej. Zagram życie swoje za jego. Wy zaś, zróbcie, co do was należy». Miał plan. Zamyślił wystać oddział jeźdźców z psami z wyspy, by dzika pognać ku rzece Havren. Tam Artur z wypróbowanymi wojownikami z wyspy zaszedłby mu drogę i nieuchronnie zepchnął do rzeki. Mabon, syn Modrona, poszedł za dzikiem w trop... Artur wpadł nań z kwiatem brytańskiego rycerstwa. Osla Gyllelvaur, Manawydhan, syn Llyra, Kachmuri, sługa Artura, Gwyngelli rzucili się na niego, chwycili za nogi i zatopili w Havren, tak że wody miał powyżej głowy, a wówczas Mabon, syn Modrona, spiął ostrogami ogiera i zerwał brzytwę, jednocześnie zaś Kyledyr Wyllt na drugim ogierze skoczył również do rzeki i zdobył z drugiej strony nożyce. Ale z nim zdołano zabrać grzebień, dzik zdołał oprzeć nogi na ziemi i od tej chwili ni pies, ni człowiek, ni koń nie mógł nadażyć za nim, tak że przeprawił się do Kornwalji. Więcej było kłopotu z wyłowieniem z wody obu rycerzy, zanim się utopili, niż rycerze ci mieli trudu ze zdobyciem skarbów...

Artur z drużyną zdołał wkońcu dzika dogonić, ale dopiero w Kornwalji. Trudności, które zwalczyć musiano poprzednio, niczem były w porównaniu z temi, które sprawiło zdobycie grzebienia. Wszakże udało się zabrać mu go, aczkolwiek kosztowało to wiele ofiar. Poczem popędzono dzika dalej i wepchnięto go w morze. Dokąd popłynął, nie dowiedział się nigdy nikt. Co do Artura, to powrócił on do Kelliwik w Kornwalji, by wykapać się i wypocząć po trudach. . . . .

(Zdobycszy już wszystkie skarby) Kulhuch udał się na dwór Yspadhada Penkaura, niosąc złupione rzeczy. Kau z Prydein ogolił go, zdzierając mu skórę i mięso na twarzy do kości, od ucha do ucha. «Czy ogolony już dobrze, człowieku?» spytał Kulhuch. «Tak jest», odrzekł. «Czy córka twoja jest moją teraz?» «Twoja jest. Nie dziękuj mi za to. Arturowi złóż dziękczynienia, bo on ją zdobył dla ciebie. Ja nie

<sup>1</sup> Walja.

<sup>2</sup> Miejscowości w obecnym hrabstwie Pembroke.

<sup>3</sup> W okręgu Breconshire.

<sup>4</sup> Rzeka Severn.

oddalbym ci jej nigdy dobrowolnie. Co do mnie, nadszedł czas rozstania się z życiem». Wtedy Goreu chwycił go za włosy i powłókł do zamkowego stołpa. Tam uciął mu głowę. Umieścił ją na palu na dziedzińcu. Sam objął władzę nad zamkiem i całym majątkiem.

Kulhuch spał tej nocy z Olweną. Do końca życia nie znał innej żony. Towarzysze jego rozeszli się, każdy do swego kraju.

Takich to sposobów użył Kulhuch, by zdobyć Olwenę, córkę Yspadhadena Penkaura.

(Z walijskiego.)

## OPOWIEŚĆ O BAJLEM SŁODYCZĄ-SŁYŃACYM

(SCÉL BAILI BINNBÉRLAIG)

(w. XIII?)

Bajle Słodyczą-słynący... był umiłowanym jedynym Ajllinny, córki Lugada... Kochał go każdy, kto go widział, a nawet słyszał tylko o nim, takie o nim były opowieści. I zmówili się oboje na schadzke miłosną w Ross na Ríg... na wybrzeżu Boyne'y, w kraju Breg.

On wyruszył z północy, by zejść się z nią... (Gdy dotarł) do Tráig Baili, zdjęto iarzma wozowe z koni, które puszczone na paszę. I było wesoło, radośnie.

Ale, gdy tam obozowali, ujrzeni... męża, który zbliżał się od południa. Szybkie były jego bieg i zbliżanie się. Sunął nad ziemią, jak sokół nad urwiskiem, jak wiatr nad morzem zielonem. Miał ich po swojej lewicy.

«Do niego!» zawołał Bajle, «spytajmy, dokąd idzie i skąd przychodzi, i jaki ma powód do pośpiechu».

«Do Tuaig-Inber podążam i dalej na północ... a nowin nie mam, prócz tej, że córka Lugada, syna Fergusa, przyrzekła swą miłość Bajlemu, synowi Buana, i szła na schadzke z nim, gdy napadli na nią wojownicy lajgeńscy i zabili ją. Przepowiedzieli byli o nich obojgu druidzi i dobrzy wieszczbiarze, że nie spotkają się żywi, lecz zejda się po śmierci, by nie rozejść się nigdy. Oto moje nowiny». I odszedł od nich, a oni nie zdołali wstrzymać go. Bajle zaś, gdy to usłyszał, padł martwy bez życia. I usypiano jego mogiłę, i wał wkoło niej. Ustawiono jego kamień i pogrzebowe igrzyska zostały odprawione przez mężów ulackich. Na mogile wyrósł cis, w którego koronie rozpoznawało się kształt i postać głowy Bajlego.

Wówczas ten sam mąż pobiegł na południe do miejsca, gdzie była dziewica Ajllinn i wszedł do altany. «Skąd przybywa ten, którego nie znamy?» spytała... «Czy masz jaką nowinę?» «Nie mam nowin... prócz tej, że w Tráig Baili widziałem mężów ulackich, zajętych pogrzebami igrzyskami, sypaniem mogiły i ustawianiem kamienia, i ryciem imienia Bajlego, syna Buana, królewicza Uladu. Szedł na spotkanie kochanki i ku miłości tej z kobiet, której miłość swą dał. Jest bowiem ich losem, że nie spotkają się w życiu i żadne z obojga za życia nie ujrzy drugiego». Ajllinn padła martwa, bez życia... I oto z mogiły jej wyrosła jabłoń i stała się dużym drzewem w lat siedem. W koronie (dostrzeżało się) kształt głowy Ajllinny.

Gdy zaś przeszło lat siedem, naczelnicy, wieszczbiarze i wróżbici ścięli cis, który rósł na mogile Bajlego, i zrobili zeń tabliczkę dla poetów. Spisano na niej wieszczby i uczty, i zaloty Uladu. Podobnie zaloty Lajgeny zostały spisane na tabliczce (zrobionej z drzewa jabłoni, która rosła na grobie Ajllinny).

Nadeszło święto Samain i Kormak, syn Arta, wydał uczte. Zbiegli się na nią poeci i ludzie, uprawiający jakąkolwiek sztukę. Przynieśli z sobą tabliczki. Król je zobaczył i zapytał o nie. Podano mu je. Trzymał w rękach licem do lica.

I oto obie tabliczki przyskoczyły do siebie i splotły się, tak jak wiciokrzew z gałęzią, i niepodobienstwem było rozdzielić je.

Złożono je do królewskiego skarbcza w Temair i przechowywane tam były na równi z najcenniejszymi klejnotami aż do czasu, gdy spalił je Dunlang, syn Erny.

(Z irlandzkiego.)

## PIEŚNI

## PIEŚŃ Z CYKLU OSJANICZNEGO

(Przed w. XII)

Oto pieśń Ossina o bitwie pod Gabajr<sup>1</sup>, w której polegli Oskur i Kajrpre Lifechajr<sup>2</sup>.

1. Napis na kamieniu, kamień na mogile.  
Ciągnęli tędy wojenni mężowie.  
W tem miejscu poległ syn króla Erynu  
Od krótkiego dziryta — siedział na siwoszu.
2. Cisnął wraz Kajrpre rzutem bohaterskim  
Z grzbietu rumaka swego bojowego:  
Na krótko zanim nastąpiło starcie,  
Ciosem prawicy ugodził Oskura.
3. Cisnął i Oskur bardzo silnym rzutem,  
Uniesion gniewem, wściekły, jako lew:  
Zabity został Kajrpre, (pra)wnuk Konda,  
Zanim czyn zdołał zaświadczyć o bitwie.
4. Wróżba ta wiele waży: pacholátko  
Oto, rażone śmiercią, pada w bitwie,  
Zanim zdążono bronią w broń uderzyć!  
Śmierć jego więcej warta, niżli żywot!
5. Sam brałem w boju tym udział, ja sam:  
Od zielonego Gabajr na południe  
Dwukroć pięćdziesiąt sam zabiłem wojów,  
Tak — własną ręką poraziłem tyłu!
6. Igraszką wówczas było mi nagrodę  
Na wozie w rączym osiągnąć wyścigu  
Czy zwalczyć dzika w mateczniku leśnym,  
Czy jaja wybrać mimo szpony ptaka!
7. Napis wryty jest na tym kamieniu,  
Koło którego nieszczęśni polegli.  
Gdyby był tego dożył Finn<sup>3</sup> Dwudziestu-czynów,  
Długo w pamięci zachowałby napis!

(Z irlandzkiego.)

## GWILYM DDU O AFRON (WILJAM CZARNY, SYN AFRONA)

(Pierwsza ćwierć w. XIV)

ŻAL Z POWODU UWIĘZIENIA OPIEKUNA, SIR GRUFFYDDA LLWYDA, PRZEZ EDWARDA II  
W R. 1322

(Z poematu «Ody miesięcy»)

Oto początek maja: dla mnie bezsenność —  
Gorzej — przepadły jado i miód;  
Zrozumiałe oburzenie: tak srogiej, smutek nawodzącej zbrodni  
Nie było od uwięzienia Chrystusa; do zropaczonego wdowcam podobny.

<sup>1</sup> Kronikarze wspominają o tej bitwie pod rokiem 284 po Chr.

<sup>2</sup> Ossin (lub Ojsin) identyczny z Osjanem Macphersona. Oskur (lub Oskar) — jego syn. Kajrpre Lifechajr («Blaskiem się wydający») — król zwierzchni Erynu.

<sup>3</sup> Finn (Fingal Macphersona) — umarł o rok wcześniej.

5. Skarga moja, to troska i żal  
Z powodu kary Bożej — bo Czerwony miecz<sup>1</sup> uwięziony,  
A wspomnienie obfitości  
Nęka — nie dziw — jak choroba;  
Zawiść tłumu idzie za mną w trop.
10. Przy ucztach zamilkli bardowie mego języka;  
W niewoli wszelki dar, skoro ten, co Nuddowi jest równy, w niewoli:  
Gruffydd, sokół dzielny, zwierzyną ubitą mądrze szafujący;  
Zasmuca to bardów, pełnych zapachu, pijanych od przedbiesiadnego miodu;  
Dla mnie, podczaszego na uczt setce, cios to bolesny.
15. Jakaż srogość więzienia! Jakaż to Anglików nieprawość  
Względem Smoka bojowego<sup>1</sup> z Llan Rystut, tak wytwornie szlachetnego!  
Oto nie mam osłony Zwycięstwa<sup>1</sup>, po którego lewicy stałem,  
Oto nie wspiera mnie Dzielność<sup>1</sup>, jak czyniła lat wiele.  
Tak że już — wielki Boże! — przestaję dbać o słuchanie w przyszłości Twoich  
chórów niebiańskich,
20. Od kiedy przewodnik mój, Lew z Tref Garnedd<sup>1</sup>, w niewoli.  
Oto dwóch ludzi, znękanym jego nieobecnością, brakiem uczyty;  
Bardowie stu krajów poznali, że nie jest szczęściem bogactwo.  
Oto zaprawdę — tak! zaprawdę — znikomości tego, co ludzkie, obrazem  
Widok, który przedstawiał w swej wspaniałości mój Orzeł<sup>1</sup>.
25. Oto troska zadała mi cios bolesny swą włócznią:  
Jakież ciężkie cierpienie znosi ten, który mnie wspierał;  
Wenedocjan<sup>2</sup> znękanie, bezradność, okropne zamieszki,  
Ucisk, gnębiący ich, przedłużony — to za ich grzechy —  
I długo trwające zaćmienie blasku mieczów-pochodni,
30. I oddalenie się w mrok od Waleczności<sup>1</sup> Achilla!  
— Oto odpyw miesiąca maja już ostateczny.

(Z walijskiego.)

### PIEŚŃ MIDERA — OPIS ZAŚWIATA (Z «TOCHMARC ETÁINE»)

(Rękopis z w. XI. Redakcja z w. IX?)

- |  |   |
|--|---|
| <p>1. O, piękna! — czy zechcesz pójść<br/>Tam, gdzie strun głos rozbrzmiewa,<br/>Gdzie wieńczą pierwioski włos,<br/>Ciała lśnią białe, jak śnieg?</p> <p>2. Gdzie niema smutku ni trosk,<br/>Gdzie ząb biały, czarne brwi,<br/>Blask oka, jak kiedy bój,<br/>Lica — kwiat naparstnicy,</p> <p>3. Purpura zalewa kark<br/>I ptasiem jajem biel ócz.<br/>Chociaż tak piękna jest Fál<sup>3</sup>,<br/>«Wielkie Pole» cudniejsze<sup>4</sup>.</p> | <p>4. Choć tęgie jest piwo w Fál,<br/>W «Wielkiej Ziemi» mocniejsze.<br/>Kraj ten, powiadam, to cud!<br/>Młodość w nim nie przemija.</p> <p>5. Są tam słodkie strumienie:<br/>Wino w nich płynie i miód.<br/>Jurni mężowie bez wad:<br/>Oddawać się im — nie grzech<sup>5</sup>.</p> <p>.....</p> <p>7. Gdy — kobieto — przybędziesz,<br/>Ozdobisz złotem czoło;<br/>Wieprza dam — piwa, mleka,<br/>Tam ze mną — o, piękna — pójdź!</p> |
|--|---|

(Z irlandzkiego.)

<sup>1</sup> T. j. Gruffydd.

<sup>2</sup> Wenedocja: jedno z trzech księstw, z których składała się Walja.

<sup>3</sup> Fál — Irlandja.

<sup>4</sup> «Wielkie Pole», «Wielka Ziemia» (Mag albo Tír Mór): kraj bogów i zmarłych, zaświat.

<sup>5</sup> Czterowiersz 6 opuszczamy; jest wtrętem późnym.

## MODLITWA NININE'A

(w. VIII najpóźniej)

Ufność nasza w świętym Patryku, naczelnym apostołe Erynu:  
Sławny imieniem, czcigodny; płomień, co ludy chrzci.  
Zwalczył druidów twardego serca,  
Zgnębił pysznych.  
Z pomocą Pana jasnego nieba  
Wyzwolił Erynu trawiaste równie. Wielki to czyn!  
Prosimy Patryka:  
(By) uratował nas wyrokiem swym w Sądzie  
Od złośliwości czartów czarnych.  
Bóg przy mnie, za wstawieniem Patryka, naczelnego apostoła!

(Z irlandzkiego.)

## ROZMOWA CIAŁA Z DUSZĄ

(w. XV?)

- Dusza: Póki, towarzyszu zacny, iść będziemy razem,  
Niech postępowanie nasze będzie bez zarzutu;  
Usiłujmy tu osiągnąć zbawienie  
Przez wiarę, prawowierność, naukę.
- Ciało: Wprawdzie Bóg zapewnia prawowierność dzięki zawartej w wierze miłości,  
Ale dłuży się codzienna pokuta.  
Duszo, co do mnie przemawiasz,  
Jaki mój koniec? Mogiła?
- Dusza: Nie troskaj się, zanim zejdziesz do mogiły.  
Miłuj pokutę i wiarę.  
Wrócisz na górę  
Po raz drugi w twym kształcie ziemskim.
- Ciało: Potem, jak moja skóra zbutwieje, a z kości zrobi się mąka!  
Przestańże wpatrywać się w swą najczystsą istotność!  
Nie uwierzę w to, co powiadasz,  
Chyba, że będę miało wiarę w Trójcę.
- Dusza: Widziałam literami płomiennymi (wypisane),  
Pożądane przez ciebie wielkie słowa:  
Że po postaci śmierci w mogile  
Osiągniesz odrodzenie i dni nowe.
- Ciało: Ponieważ na pewno czeka na mnie mogiła i długie wygnanie,  
I wiele nędzy,  
Wstydem mi będzie utracić mą postać  
I moją urodę, i moją chwałę.
- Dusza: O, ciało! mizerny grzeszniku!  
Jesteś nieznośne, drażliwe, zatroskane.  
Nie miałam, gdym do ciebie przybyła,  
Potrzeby żadnego mienia; bez wysiłku (żyłam).
- Ciało: Ja posiadałobym ogień, glinę  
I wodę, i ziemię naraz,  
I samo siebie, gdybyś ty nie była się stała.  
Duszo! byłaś mi zgoła niepotrzebna.

Dusza: Gdym przybyła do ciebie, o bezrozumne, popędliwe ciało!  
 Jakaż była twa zdolność wysiłku?  
 Nie mówiło swoim językiem, nie słyszało swemi uszami;  
 Wydać nie mogło żadnego owocu...  
 (C. d. zatracony.) (Z walijskiego.)

## DRAMAT

### MISTERJUM ŚWIĘTYCH KRYSPIŃA I KRYSPIŃJANA

(Wiek XVII)

[Misterjum otwiera prolog, który zapowiada treść przedstawienia, poczem następuje scena narady cesarza Dioklecjana z jego książętami w sprawie ogłoszenia nowego edyktu przeciw chrześcijanom i scena, w której szlachetni Rzymianie, bracia Kryspin i Kryspinjan, odmawiają cesarzowi wyparcia się chrześcijaństwa. Prześladowanie rozpoczęte.]

Mieszczanin (*wchodzi z żoną i dzieckiem*): My, żono moja, chrześcijanami jesteście;  
 Wierzmy w Boga prawdziwego: grozi nam kara.  
 Dowiedziawszy się o tem, porzuciliśmy wszystko  
 I, jak dotknięci szaleństwem, błądzimy po kraju.  
 Nie ośmielamy się zachodzić do miast —  
 Więc poszukajmy schronienia w lasach  
 Pomędzy dzikimi zwierzętami, w miłości Boga,  
 Aby Go chwalić i czcić Jego majestat.  
 Choćbym miał za to umrzeć, zapewniam was, że nigdy  
 Nie wyrzeknę się imienia chrześcijanina.  
 A teraz, żono moja, powiedz mi, proszę —  
 Jako że oboje jesteśmy pogrążeni w trosce i niepokoju —  
 Czy zechcesz wytrwać wraz ze mną,  
 Czy też powrócisz do miasta?

Mieszczka: Gdy go słucham, ogarnia mię doprawdy zdziwienie!  
 — Za żadne skarby świata nie opuszczę ciebie.  
 Pójdę z tobą ja i moje dziecko.  
 Jak przystoi prawej, posłusznej małżonce!  
 Obowiązkiem mym kochać cię zawsze i za wszystko  
 Oraz iść za tobą, dokądkolwiek rozkażesz.  
 Niemniej przykro mi bardzo, że musimy Rzym opuścić  
 I porzucić matkę i ojca, którzy tam mieszkają —  
 Że my, urodzeni w tym Rzymie, musimy wyruszyć w świat,  
 Porzucić nasze dobra i krewnych.  
 Ale to wszystko jest drobnostką!  
 Zawsze służyć będziemy Jezusowi Chrystusowi, zmarłemu na krzyżu.

Kryspin (*wchodzi z Kryspinjanem*): Widzę woddali wysoką wieżę Soissons.

Bracie mój, Kryspinjanie! Wobec tego, że poszliśmy w świat,  
 Cóż będziemy teraz robili? Nie jesteśmy dość zręczni,  
 By nauczyć się rzemiosła. Nie nauczyliśmy się nigdy tego;  
 Byliśmy dziećmi szlacheckimi: nigdyśmy o czemś podobnem nie myśleli.  
 Błagajmy więc Boga o łaskę i o to, byśmy zdołali  
 Nauczyć się rzemiosła jakiego. Ponieważ myśmy chrześcijanie,  
 Jeśli nie ubłagamy Króla niebiańskiego,  
 Nie znajdziemy litości u pogan.

- Kryspinjan: Jakiem rzemiosłem czy sztuką zdołamy najlepiej  
Zasłużyć się naszemu Stwórcy i uczcić Go?  
Kryspin: Szewctwo, to zawód skromny,  
Spokojny, cichy i pożyteczny.  
Kryspinjan: Podoba mi się rada twa, bracie:  
Rzemiosło to skromne, jak żadne.  
Przytem, że wielu zachodzić będzie do nas, by zakupić obuwie,  
Będziemy im opowiadać o fałszywości ich bogów.

(*Wchodzi mieszczanin z Soissons*)

- Dzieńdobry, panie! Czy można tu  
Znaleźć miejsce na sklep dla szewca?  
Jeśli możecie, przyjacielu, znajdźcie nam miejsce  
Takie w mieście Soissons, gdzieby można robić obuwie.  
Mieszczanin: Gdybyście byli mieszkańcami miasta Soissons,  
Dałbym wam wszystko, czego dusza zapagnie;  
Ale, jeśliście poprostu ludzie dobrzy, jak na to wyglądacie,  
Znajdę wam miejsce. Wejdźcie do domu. No, wchodźcie!  
Zobaczcie, czy to miejsce nadaje się dla waszego rzemiosła.  
— Uczynię, co tylko możliwe, by wam dopomóc.  
Kryspin: Dzięki wam wielkie, panie!  
Postaramy się, byście byli zadowoleni z dostarczenia nam miejsca.  
Mieszczanin: Skoro macie już gdzie, zabierzcie się do roboty,  
A jeśli pracować będziecie dobrze, polubią was ludzie.

(*Wychodzi. Bracia klękają*)

- Kryspin: Panie! Ty, któryś Końcem i Początkiem,  
Który rządysz wszystkim, cokolwiek w przestrzeni stworzone,  
Który sposobnymi czynisz ludzi nieumiejętnych,  
Racz z nami być teraz!  
Będziemy bowiem, Zbawicielu nasz błogosławiony,  
Strapieni wielce, o ile nas nie oświecisz;  
Racz więc, o Panie, udzielić naszym umysłom światłości,  
Byśmy dokonać zdołali przedsięwziętego dzieła! (*Wstają*)  
Kryspinjan: A teraz, bracie Kryspinie, weźmy się do roboty!  
Ponieważ Bóg tak chce i ponieważ Mistrzem jest dobrym,  
Niech udzieli nam łaski Swej i da możność  
Zarobienia na życie, zgodnie ze Swym rozkazem.  
Kryspin: Weź mój nóż. Jużem go wyostrzył.  
Zaczynj kroić. Ja tego nigdy nie robiłem.  
Kryspinjan: Wybacz, bracie! Nie będę ciął pierwszy.  
Jesteś starszy. Winienem ci szacunek.  
Byłbym bardzo nieuprzejmy, gdybym cię pozbawił zaszczytu,  
Który należy się tobie, jako pierworodnemu.  
Kryspin: Ponieważ chcesz, bym kroił ja,  
Wyostrz tymczasem szydło i drugi nóż.  
Weź dwa kawały (skóry): będą z nich przyszwę.  
Zanim je dobierzesz, ja znajdę kopyto.  
Potem, podczas gdy ty naciągniesz (skórę) na kopyto,  
Ja przytnę dwie pary podeszew.  
Kryspinjan (*który zaczął pracować i wykończył parę trzewików*):  
Weź, bracie, obejrzyj, czy dobrze zrobione.  
Kryspin: Czy znajdziemy nabywcę, dla którego byłyby odpowiednie?  
Kryspin: Podobają mi się, robota dobra.  
Teraz, zanim w pracy pójdziemy naprzód, złożmy dzięki Bogu!



- Kryspinjan: To najlepsze, co teraz uczynić możemy,  
Wobec tego, że raczył nauczyć nas naszego rzemiosła. *(Kłękają)*
- Kryspin: O, Majestacie Boski, łagodny i błogosławiony!  
Zawsze z nami, by nas pouczać.  
Dzięki składamy Ci za Twoją łaskawość!  
Żadne męki nie skłonią nas do wyrzeczenia się Ciebie.  
*(Wstają. Wchodzi mieszczanin)*
- Mieszczanin: Dzieńdobry, Kryspinie i Kryspinjanie!
- Kryspin: I wam także. Czy przybywasz w odwiedziny do nas?
- Mieszczanin: Oczywiście, panowie! Przychodzę do was,  
By nabyć parę trzewików. Bardzo mi potrzebne.  
Ale! widzę, że macie ich już dużo gotowych, i wielkich, i małych!  
Tak dobrych nie widziano jeszcze w naszym mieście.  
*(Podają mu trzewiki. Ogląda je, mówiąc:)*
- Nawet nie znajdziesz w mieście rzemieślnika,  
Któryby tak kunszt swój poznał.  
To mi buty! Wykonane starannie;  
Przycięte pięknie; — co ważniejsza, doskonale uszyte!  
Fason ładny; mocne podeszwy!  
Mówcie: ile będzie mnie kosztować para?
- Kryspin: Skoro wam tak przypadają do smaku, wybierzcie najlepsze.  
Załadamy od was niewiele, boście pierwszy nasz klient.
- Mieszczanin: Po tem, coś powiedział, Kryspinie, porozumiemy się łatwo.
- Kryspin: Dajcie, przyjacielu, co chcecie. Ja zadowolę się tem.
- Mieszczanin: Oto macie osiem realów.  
Czy uważacie, że dość?
- Kryspin: Choćbyście dali mniej, i tembym się kontentował.
- Mieszczanin: Powodzenia przy pracy! Żegnajcie. Do zobaczenia niedługo!  
Życzę wam wszystkiego dobrego, ponieważ przybyliście do tego miasta.
- Kryspin: Oby wam dobrze służyły! A wy, obyście przynieśli nam szczęście!  
Życzę wam łaski poznania Majestatu Bożego. *(Mieszczanin wychodzi.)*
- Czeladnik *(niosąc narzędzia swe, wchodzi):*  
Dzieńdobry wam, panie, i tobie towarzyszu!  
Jestem teraz bez pracy.
- Kryspinjan: Musisz przybywać zdaleka, boś zmęczony.  
Czyś z Górnego Kraju, czy też z Bretanji?
- Czeladnik: Poznałeś dobrze: zdaleka wędruję  
Do tego miasta. Zgarbił mi się grzbiet  
Od noszenia na nim moich gratów i szczypców do ognia.  
Dlatego pragnąłbym przedewszystkiem sprzedać je.  
Poszukuję pracy. Proszę was, towarzysze,  
Wy, którzy znacie panów w Soissons,  
Skierujcie mnie do kogo z nich,  
Bym mógł pracować i zarobić na utrzymanie.
- Kryspin: Jeśli zechesz, to możesz pracować tu z nami;  
Zapłacę, co i jak się należy.
- Czeladnik: Jestem uradowany. O nic więcej nie proszę.  
Jeśli praca moja spodoba się wam, będę służył wiernie.  
Wiele przewędrowałem miast,  
Alem w żadnym warsztacie nie widział  
Trzewików, równych tym, ani też robotników,  
Którzyby równie bez zarzutu wykonywali swą pracę,  
Ale spodziewam się, panie, że mnie nauczycie  
(Szewctwa), nie umiem bowiem nawet trzymać szydła.

- Kryspin: Jeśli trzewiki, które robimy, są dobrego gatunku,  
Zawdzięczamy to Panu, któremu służymy.  
A teraz, włóż fartuch  
I weź kawałek wosku: natrzyj nim dratwę.
- Czeladnik (*robiąc, co mu polecono*): Boże mój, Apollinie, dzięki twym przewagom  
Godnyś, by cię chwalono ponad bogów innych.  
Dzięki ci składam z całego serca  
Za to, żeś natchnął mnie myślą pójścia do Soissons.  
Znalazłem tu szewca nad szewce:  
Niema mu równego na świecie.  
Mam wolę pracowania dobrze  
I służenia mu wiernie, by się czegoś nauczyć.
- Kryspinjan: A cóżto za jeden, ten, który się nam zdarzył?  
Mielśmy go za chrześcijanina, a to widocznie poganin!
- Kryspin: Któż są ci, o których mówiłeś?  
Oszukanyś, jeśliś w nich wierzył.  
Trzeba, byś się nawrócił i oświecił umysł;  
Byś miał pojęcie o tajemnicy Trójcy,  
Wierz w Ojca, Syna i Świętego Ducha:  
Trzy Osoby w Jednej; w Boga wiekuistego,  
Jednego zawsze dobrocią, potęgą i chwałą,  
Który stworzył niebo i ziemię.  
Jeśli nie uwierzysz, możesz pójść sobie:  
Chcę mieć ludzi, którzy wierzą w prawdziwego Boga!
- Czeladnik: Prawdę mówicie, panie! Aż do tej chwili  
Byłem oszukiwany przez złych bogów.  
Błogosławiona godzina, w której was, panie, poznałem!  
A teraz, gdy się nawrócił, pragnę odejść do swego kraju.

*(Wychodzi. Wchodzą kupcy)*

- Pierwszy kupiec: Otośmy kupcy. Przybyliśmy, by was zobaczyć  
I nabyć obuwie. Czy macie gotowe?
- Kryspinjan (*podając trzewiki*): Tak jest, panowie. I małe i duże,  
Dobrze zrobione, jakich kto zażąda.
- Drugi kupiec: Jestem szlachcic — nie oszukam was.  
Moja miara dwanaście. Oto pieniądze.  
Cenę łatwo ustalić:  
Po realu za punkt — nie dam więcej.
- Kryspin: Zgoda na tę cenę. Jest dobra,  
Ale obuwie wam sprzedam, o ile wyprzecie się swojej religji...  
.....
- Trzeci kupiec: Ach! jakaż to łaska dla nas, żeśmy poznali  
Prawdziwego Boga — wiekuistego, godnego miłości!  
Zamyślaliśmy tylko kupić trzewiki,  
A oto poznaliśmy Boga, prawego Pana naszego.  
Błogosławiony dzień i godzina,  
W które przybyliście do Soissons, by trudnić się tu rzemiosłem.  
Czekało nas potępienie nieuchronne — widzimy to teraz,  
Albowiem nie znaleźmy prawdziwej religji.

[Następuje akt II, w którym przedstawione jest męczeństwo świętych braci oraz od-  
danie im czci przez świat chrześcijański.]

*(Z bretońsko-armorykańskiego.)*

## UTWORY GNOMICZNE

## KUPLETY ŚW. MOLINGA

(Początek w. XII)

Siedział raz Moling nad stawem młyńskim, gdy oto dojrzał zbliżających się dzie-  
więciu zbójców.

«Bywaj zdrów, stary!» — «Amen, bracie!» — «Prorok, to ty?» — «Tak, to ja». —  
«Zaśpiewaj nam kuplety, stary!» — «O którym z was śpiewać?» — «O mnie. Jam  
herszt». — «Jak ci na imię?» — «Łysek Koniokrad. A nie zaniedbaj pochwalić  
mnie i mego oszczepu!» — «Jakie imię oszczepu?» — «Brwi-żądny — bo lubi bardzo,  
gdy któremu z moich towarzyszy łeb trzeszczy od jego drzewa». Wtedy Moling za-  
śpiewał:

«Łyskowi Koniokradowi  
Niechaj zdrętwieje bok:  
Brwi-żądny przebiję trzykrotnie —  
Bok Łyska Koniokrada! — Płać za kuplet!»

«Udał się, owszem». — «Ułóż i o mnie!» — «Jak ci na imię?» — «Grób-Kruka».

«Grób-Kruka  
Zwykł bić, gdzie popadnie:  
Rychło ten, którego grobem,  
Wydziobie oko temu, który nosi to imię! — Zapłać za kuplet i ty!»

«O mnie teraz!» — «Jak ci na imię?» — «Wszechstaranny, stary!»

«Będzie zabity Wszechstaranny,  
Wszechstarannie łupiący kościoły;  
A że powity między dwoma wzgórzami,  
Wrzucony będzie na dno źródła!»

«O mnie!» — «Imię?» — «Pies-obżartuch».

«Pies-obżartuch  
Będzie ubity między dwoma mokrzeniami;  
Mocnym smrodem, jak po wędzonce,  
Wytchnie duszę Pies-obżartuch! — Płać za kuplet!»

«O mnie, stary!» — «Jak ci na imię?» — «Pies-skórzany».

«Śmierć przyjdzie na Psa-skórzanego  
Od wschodu przez mórz siedemkroć siedem;  
Krzyż stanie na jego grobie,  
Zanim od dziś minie tydzień! — Płać za kuplet!»

«Darujemy cię zdrowiem, boś dobry improwizator». —  
I poszli.

(Z irlandzkiego.)

## JAK ŻONĘ WYBRAĆ?

(Wiek XVIII)

Przestrzegał Fithal syna, mówiąc: «Synu! Najcenniejszym skarbem, który posia-  
dać może mężczyzna, jest żona, o ile jest zącną kobietą. Oto wygląd i kształt zącnej  
kobiety: wzrost dorodny, matowa błądość, brwi czarne. Wiedz też, że zącną kobietę  
znamionuje piętnaście cech:

Roztropność, rozwaga, skromność;  
Pokora, uroda, uprzejmość;  
Bogactwo, urodzenie, ochoczość;  
Łagodność, stateczność, hojność;  
Wiedza, czystość, uczciwość.

Tyleż cech znamionuje kobietę lichą. Mianowicie:

Nędza, skąpstwo, próżność;  
Gadatliwość, lenistwo, gnuśność;  
Krzykliwość, markotność, zgryźliwość;  
Namiętność do odwiedzin, kradzieży, oszustwa;  
Rozpusta, zrzędność, kłamliwość.

Również nie należy łąkomić się zbyt na chude a krótkie, czy na krzepkie a plugawe, czy na bardzo wysokie a cienkie, czy na czarnookie przewrotne złośnić, czy na bardzo wybuchowe, czy na rosłe a mizerne, o ostrym języku, gdyż te zwykle są rozpustne i zazdrosne.

(Z irlandzkiego.)

---

*Wybór tekstów, układ i tłumaczenie Stefana Czarnowskiego.*

## Z «BEOWULFA»

(w. VII, rękopis z w. X)

Powstaje dzielny bohater, a przysłonięty tarczą, z groźnym hełmem na głowie, cały okryty zbroją, idzie do podnóża skały, ufny we własną odwagę. Wówczas przygląda się wyszczerbionej skale on rycerz potężny, który tylokrotnie patrzył na krwawe boje, walcząc na czele nieustraszonych zastępów. Widzi sklepienie kamienne, skąd wypływa ognista rzeka, a nikt nie może zbliżyć się do skarbu, nie przekroczywszy płomieni, buchających z paszczy smoka, który spoczywa w głębi jaskini. Okrzyk gniewu wybiega z piersi króla Anglów. Rycerz z dzielnym sercem zżyma się, głos jego grzmiący przenika otchłań, smok drży, zdjęty trwogą, poznaje głos człowieka i wpada nań zajadle.

Ziemia wstrząsnęła się, rycerz stał u stóp wzgórza, słońcąc pierś tarczą przed pociskiem wroga: dobry król uniósł w górę miecz zaczarowany, odziedziczony niegdyś, a którego ostrze było dotąd tak straszne. Wyciąga król Anglów prawicę, uderza srogiego nieprzyjaciela, uderza, ale ostrze ślizga się po czarnych łuskach, miecz niezwalczony zawiódł Beowulfa! Smok rzuca się jednym skokiem, wściekły od gniewu, wyrzuca z paszczy gorący płomień wraz z wilgotnymi wyziewy. Już król Anglów nie chlubi się zwycięstwem, miecz zawiódł jego dłoń rozbrojoną w walce, nie tego spodziewał się po jego niezwykczonym ostrzu! O, jakby monarcha rad się ujrzał w tej chwili wśród murów swego grodu! Jakież męki cierpiał, ogarnion płomieniami, ten, który niegdyś przewodził ludom!

Wiglaf, młody rycerz, stojąc na uboczu, dostrzegł, jak upadł monarcha pod śmiertelnym pociskiem. Wspomnił na otrzymane zaszczyty z jego ręki, na piękne włosci, dostojenstwa, udzielone niegdyś jego ojcu. Nie może się powstrzymać, chwytając puklerz lipowy, przypasuje miecz praocjów; «pomnę — mówi w duchu — owe czasy, gdyśmy popijali miód weselo, gdy król w biesiadniczej sali rozdawał nam naramienniki złote, przyrzekaliśmy wypłacić się w dzień walki, gdyby mu nieszczęście grozić miało, przysięgaliśmy mu służyć hełmem i orężem».

I w tejże chwili rzuca się w tuman płomieni, cały zbrojny, zasłania wodza, przemawiając w te słowa: «Dobry królu Beowulfie! pomnij, jak w czasach młodości przyrzekałeś nie ociągać się z zemstą, teraz, wodzu nieustraszony, sławny z tylu wypraw, należy całą siłą bronić twego żywota. Otóż jestem wierny przy twym hoku!» Wówczas król odzyskał przytomność, podniósł w górę nóż wojenny, ostry i kończasty, który nosił przytwierdzony do pancerza, a skupiwszy całą swą siłę, uderzył nim smoka.

Uczuł jednak Beowulf, że ranny jest śmiertelnie, i ozwał się temi słowy: «Przez lat pięćdziesiąt byłem panem narodu, a żaden król sąsiedni nie śmiał mnie zaczepić. Przeżyłem na ziemi czas, przeznaczony mi z wyższych wyroków. Czuwałem, jakem był powinien, nad daną mi własnością, nie szukałem próżnych sporów, nie trwoniłem fałszywych przysięg; owóż dziś, ranny śmiertelnie, mogę się jeszcze weselić, albowiem Stwórca ludzi nie zarzuci mi zbrodni, gdy duch mój rozłączy się z ciałem».

Wtedy Wiglaf na rozkaz rannego pana wszedł do jaskini. Ujrzał tam złote czasze, które pili dawni ludzie, ujrzał rdzą pokryte hełmy i wiele drogocennych klejnotów. Skarb ten przechodził wszelkie inne, ukryte kiedykolwiek w tonie ziemi. Wiglaf ujrzał także znaki złote, rzeźbione pod sklepieniem, znaki cudowne, kreślone czarodziejską

sztuką, które rzucały tyle światła, że bohater mógł się cieszyć z oddali widokiem dokonanej zemsty. Beowulf wyrzekł po raz ostatni:

«W młodości, jak i w starości lubiłem siać złoto wokół siebie; dzięki składam Bogu, Stwórcy przedwiecznemu, iż mi dozwolił przed śmiercią zdobyć takie skarby dla moich wiernych rycerzy; pragnę, aby je zachowano na potrzeby ludzi. Niedługo już będę z wami; skoro zagaśnie płomień mego stosu, niechaj mi usypią wielką mogiłę na szczycie przylądka, aby mi była wiecznotrwałym u narodu pomnikiem; aby w czasy dalekie żeglarz, płynąc wzdłuż tych brzegów po ciemnych falach oceanu, wskazywał ją i wspominał imię Beowulfa!»

*Tłum. (prozą) Seweryna Pruszkowa.*

## GEOFFREY CHAUCER

(1340?—1400)

### Z «OPOWIEŚCI KANTERBERYJSKICH»

#### Prolog (wyjątek)

(Grono pątników zbiera się w gospodzie w Southwark celem wspólnego odbycia pielgrzymki do sanktuarjum św. Tomasza à Becket w Canterbury. Między innymi)

do pątniczej braci

Także się mniszka, przeorysza, liczy.  
 Uprzejma, pełna prostoty dziewiczej.  
 Cną Eglantyną zwała się ta pani,  
 A święty Ludwik był wezwaniem dla niej,  
 Ilekroć ręce do przysięgi złoży.  
 Nie było nad nią lepszej w służbie bożej:  
 Przez nos śpiewała mile nad pojęcie;  
 Francuskim ślicznie mówiła — w akcencie,  
 Jaki w Stratfordzie wbijają do głowy,  
 Paryskiej bowiem nie znała wymowy.  
 Wiedziała, jak się zachować przy stole:  
 Nigdy paluszka nie moczy w rosole,  
 A każdy kąsek tak podnosi składnie,  
 Że ani krzta jej z gęby nie wypadnie,  
 Ani na piersi nie spłynie kropelka;  
 Dworski obyczaj to jej troska wielka.  
 Wargę też górną tak zawsze obciera,  
 Że na kielichu, jeśli chęć ją zbiera  
 Napić się czego, ni ślad nie zostaje  
 Żadnej tłustości: gładkie obyczaje  
 Umie przy całej zachować biesiadzie;  
 Zawsze starała się o wdzięk w układzie,  
 Zawsze wesola, nigdy w złym humorze,  
 Mile widziana była w każdej porze;  
 Zawsze dworskimi przejęta maniery,  
 Szacunek k sobie rozbudzała szczery.

Pytacie teraz, jak tam z jej sumieniem?

Litości była ożywiona tchnieniem,  
 Wielce łagodna, miłosierna w duszy.  
 Nieraz, bywało, do łez ją poruszy  
 Myszka w pułapce, ranna lub zabita;  
 Nieraz widziano, jak psinki dosyta  
 Mlekiem, pieczenią, kromką chleba raczy.  
 A zdechła która, to była w rozpacz;  
 Bał gdy kto psince nieco bólu sprawi,  
 Już się jej serce litościwe krwawi.

Nadzwyczaj wdzięcznie miała welon spięty,  
 Oczy szarawe, nosek wyciągnięty,  
 Usteczka małe, różowe, łagodne,  
 Czoło przed wszystkim piękne a swobodne —  
 Na piędź szeroką miała skroń nadobną;  
 Wogóle w wzroście swym nie była drobną.

W chędogiej wielce chodziła sukience,  
 Z parą różańców z koralu na ręce,  
 Poprzekładanych tu, ówdzie zielenią,  
 Z złotem zamknięciem, na którym się mienia  
 Pod A, wrytem u góry z koroną,  
 Słowa, że «Amor vincit omnia».

— — — — —  
 Był tam braciszek, filut, paliwoda,  
 Kwestarz — zapewne najlepszy z kwestarzy.  
 Nie wiem, czy w czterech zakonach się zdarzy  
 Mąż równie gładkiej i pięknej wymowy.  
 W wielkich go łaskach miały białogłowy;  
 Przezeń niejedna ślub zawarła para,  
 Zakon lepszego nie posiadał filara.  
 Na okolicę — pomiędzy włościany  
 Był on ogółem bardzo dobrze znany —  
 I w mieście znany go niejedne panie:  
 W konfesjonale miał on zaufanie  
 Większe, jak sam to zwykł mawiać przed światem,  
 Od wikarego, gdyż licencyjatem  
 Był w swym zakonie. Nikt go nie wyprzedzi  
 W uprzejmem wielce słuchaniu spowiedzi:  
 Nikt też od niego grzeczniej nie rozgrzeszy.  
 A już gdy grzesznik z jałmużną pośpieszy,  
 To i niewielką pokutę odbiera,  
 Bo jużci taki, co ubóstwo wspiera,  
 Nie może wiele na sumieniu nosić.  
 Z tej on przyczyny mógł już naprzód głosić:  
 Grzechów żałuje zawsze ten, kto daje;  
 Gdyż człek niejeden, choć się serce kraje,  
 Płakać nie umie — i to jest boleśniej!  
 Stąd mu też płacze i pobożne pieśni  
 Zastąpi srebro dla braci ubogiej.

W kołnierzu zawsze nosił zapas mnogi  
 Miłych drobnostek; szpileczki, nożyki,  
 Którymi piękne obdarzał podwiki.  
 Głos miał przyjemny i dźwięczny, grał ładnie  
 I zacie śpiewał, a jeśli wypadnie  
 Coś opowiadać, nikt go nie pobije.  
 Karku białego, jak szczere lilije,  
 Mógł był swej siły wojakom użyzyć!  
 A w każdym mieście umiał ci wyliczyć  
 Szynki, znał wokół kiprów i szafarzy  
 Lepiej, niż ślepych i chromych nędzarzy;  
 Zresztą — przystoi-ż wielobnej osobie  
 Częściej, niż można uniknąć w złej dobie,  
 Walać się w takim towarzystwie brzydkim?  
 To nie zaszczytnie, ani też z pożytkiem!  
 Lepszy już zawsze, niż biedna hołota,  
 Ten, komu w worku nie zabraknie złota.

Wszędzie, gdzie skutek widział pożyteczny,  
 Odrazu bywał pokorny i grzeczny.  
 Pośród braciszków — w nikim cnota taka —  
 Za najlepszego uchodził żebraka.  
 Czysz klasztorowi, bywało, wciąż płaci,  
 By mu w okręgu nie żebrał nikt z braci.  
 Choć biednej wdowie nie stało trzewika,  
 Swem «in principio» tak jej w duszę wnika,  
 Że grosz ostatni daje mu niezwłocznie —  
 Więcej, niż z pensji, miał z tych targów rocznie.  
 Jak psiak, tak czekał, gdy był rozsierdzony;  
 Stąd poważnione umiał godzić strony;  
 Przy takich sprawach któż w nim poznał wtedy  
 Tego braciszka, żebrzącego z biedy?  
 Istny kanonik, papież oczywisty,  
 Ornat na siebie brał gruby, wełnisty,  
 Sterczący wokół niby dzwon — prawdziwie!  
 Coś też pod nosem mruczał pożądliwie —  
 Tak, że w nim były te anielskie dźwięki  
 Szczególnie słodkie. A gdy brał do ręki  
 Harfę po śpiewie, zwykł przymrużać oczy,  
 Jak drgają gwiazdy śród zimowej mroczy.  
 Hubertus zwał się ten mnich przewielebny.

*Tłum. Jan Kasprowicz.*

### SIR TOMASZ MORE (MORUS)

(1478—1535)

#### Z «UTOPJI»

Utopja rządzi się nielicznymi prawami, i dobrodziejstwa rządu spływają na wszystkich obywateli. Każda zasługa bywa tam wynagradzana; a jednocześnie bogactwa narodowe podzielone są tak równo, że każdy opływa w dostatki i korzysta ze wszystkich przyjemności życia. W innych krajach panuje zasada «moje i twoje», uświęcona przez całą organizację o bardzo złożonym, a jednocześnie fałszywym mechanizmie. Widzimy wszędzie tysiące praw, a liczba ich jest jeszcze zbyt ograniczona, aby zapewnić każdemu możliwość zdobywania własności innych. Jako dowód służyć mogą te liczne sprawy sądowe, które codzien powstają i nie kończą się nigdy.

Rozmyślając nad tem, muszę zupełnie zgodzić się z Platonem i nie dziwię się, że żywił pogardę dla ludów, nie uznających wspólnej własności. Ten wielki genjusz widział jasno, że jedyny środek do osiągnięcia powszechnego szczęścia polega na zastosowaniu zasady równości. Równość zaś, jak sądzę, jest niemożliwa w państwie, gdzie jedynym i nieograniczonym prawem jest prawo własności; każdy bowiem, pod wszelkimi pozorami, stara się zagarnąć na własność, ile tylko się daje, i nawet jak największe bogactwo narodowe staje się w końcu udziałem niewielu osób, pogrążając pozostałych w niedostatku i nędzy. Jestem najmocniej przekonany, że tylko zniesienie własności prywatnej jest w stanie zapewnić sprawiedliwy i równy podział bogactw i utrwalić szczęście ludzkości. Dopóki własność prywatna będzie podstawą gmachu społecznego, dopóty nędza, troska i rozpacz pozostaną udziałem najliczniejszych i najpożyteczniejszych klas społeczeństwa. Przyznaję, że klęski te mogą być nieco złagodzone i częściowo usunięte, ale twierdzę zarazem, że nie można ich uniknąć zupełnie. Bo gdyby nawet określono prawnie, że nikt nie może posiadać ziemi więcej ponad pewną miarę, gdyby istniało prawne ograniczenie ilości pieniędzy, jaką wolno nazywać swoją własnością, gdyby nawet specjalne przepisy prawne ustaliły, że książę nie może być zbyt samowładny, a lud zbyt zuchwały, że nie wolno zdobywać urzędów przez protekcję ani za pieniądze i że wydatki na reprezentację nie są potrzebne, ponieważ



daje to sposobność do zdobywania pieniędzy drogą oszustwa i rabunku, a także sprzyja obsadzaniu urzędów przez bogaczy, zamiast przez odpowiednio uzdolnionych: takie prawa mogłyby nieco osłabić i złagodzić zło, jakim jest własność prywatna, tak samo, jak chory organizm daje się podtrzymać przez ciągłe stosowanie leków; ale niema nadziei, aby wykorzystać to zło i zaprowadzić pomyślny stan rzeczy, dopóki każdy może posiadać własność prywatną. Lecząc bowiem jedno chore miejsce, zadaje się rany w innym, gdyż nie można dołożyć jednemu, nie odbierając drugiemu.

*Tłum. St. Klonowicz.*

## WILLIAM DUNBAR

(1440—1520)

### ODWIEDZINY ŚWIĘTEGO FRANCISZKA

Ostatniej nocy, przed jasnym porankiem, zdawało mi się, że święty Franciszek mi się ukazał, z mniszym habitem w ręce, i rzekł: «Pójdź, ubierz się w to, sługo mój; porzuć świat, albowiem musisz zostać braciszkiem».

I jego habitu się przeląknęłam, jak człowiek, co go widmo przeraziło; zdawało mi się, że położył habit na mnie, na łóżku; ale ja bez namysłu szybko wyskoczyłam z łóżka na ziemię i do habitu zbliżyć się nie chciałam.

Rzekł: «Czemu się lękasz tej świętej szaty? Odziej się w nią, bo nosić ją musisz koniecznie. Ty, coś długo uczył praw Wenery, będziesz teraz braciszkiem i w tym habicie kazania będziesz mówił; nie ociągaj się z tem, to musi być zrobione, bezwątpienia».

Na to ja: «Święty Franciszku, miłość tobie; i podziękować ci należy za twą dobrą wolę ku mnie, że szatami tak hojnie szafujesz; ale te szaty nosić nigdy mi na myśl nie przyszło; słodki wyznawco, nie bierz mi tego za złe».

W świętych legendach słyszałam zaiste siedem razy więcej o świętych z biskupów niż z braciszków; o bardzo niewielu braciszkach czytałem, co byli świętymi; idź więc, przynieś mi biskupa szatę, jeżeli chcesz, żeby kiedyś moja dusza zaszła do nieba».

«Moi bracia często zwracali się z prośbami do ciebie w listach, kazaniach i przedstawieniach, byś wdział ten habit; ale tyś zawsze odkładał. Dlatego też chodź teraz odrazu i bez wykrętów, zostawiwszy na boku wszelkie ociąganie i tłumaczenia».

«Jeżeli kiedy moim losem było być braciszkiem, to czas tego już minął od wielu lat. Bo w każdym wesolem mieście i miasteczku całej Anglii od Berwick do Calais niedługo w twoim habicie używałem sobie».

Ładne ja szelmostwa popełniłem w habicie zakonnym; w habicie też wchodziłem na ambonę i mówiłem kazania w kościele w Darnton, a także w Canterbury; w habicie przeprawiłem się w Dover przez kanał, przeszedłem Pikardję i tam naród uczyłem.

Dopóki nosiłem tytuł braciszka, wiele podłości i zdrady, Bóg wie, we mnie było; była we mnie fałszywa skłonność do pochlebstwa wobec każdego, której żadną święconą wodą nie można było wypędzić; zawsze byłem gotów oszukiwać wszystkich ludzi»

Braciszek, co się tam świętym Franciszkiem wydawał, szatan to był w postaci mnicha; znikł ze śwędem i ognistym dymem; ze sobą, zdawało mi się (we śnie), porwał cały dach domu. I zbudziłem się, jak człowiek w obawie.

*Tłum. (prozą) Roman Dąbowski.*

## Z POEZJI LUDOWEJ

### DUCH LUBEGO WILLIAMA

Pod dom Margrety zleciał duch,  
Stanął u drzwi w noc ciemną;  
Do bram kołacze, biada i płacze,  
Zaklina ją daremno.

— Czy to mój ojciec Filip stuka,  
Czy Janek, brat rodzony,  
Czy to mój wierny, luby Willie  
W ojczyste wraca strony? —

— Słodka Margreto, droga Margreto,  
Odpowiedz słówkiem małym:  
Jeszcze raz wiarę mi przysięgnij,  
Jak ja ci przysięgałem. —

— Ja wiary tobie nie przysięgnę,  
I próżne twe zachody,  
Aż do mnie wejdiesz, aż ucałujesz  
Me usta i jagody. —

— Jakże wejść, skoro ducha mego  
Już ciało nie obleka?  
Gdy ucałuję krasne usta,  
Śmierć twoja niedaleka.

Słodka Margreto, droga Margreto,  
Ozwij się słówkiem małym,  
Jeszcze raz wiarę mi przysięgnij,  
Jak ja ci przysięgałem. —

— Ja wiary tobie nie przysięgnę,  
I próżno czas swój gubisz,  
Aż mię zawiediesz na swój cmentarz,  
Pierścieniem swym zaślubisz. —

— Me kości leżą na cmentarzu,  
W nadmorskiej leżą glebie,  
A jam jest tylko duch, Margreto,  
Co mówi tu do ciebie. —

— O, stój, kochanku wierny, stój! —  
Margreta zawołała;  
Zbladła jej twarz, przygasł jej wzrok,  
Upadła i skonała.

*Tłum. Edward Porębowicz.*

#### BALLADA O ŁOWACH W CZEWIOCIE

##### Część pierwsza.

Percy, Northumberlandu pan,  
Przez Boże przysięgi imię,  
Że na łów pójdzie w góry Cheviotu,  
Zanim trzy doby minie,  
Naprzekór hrabi Duglasowi,  
Na złość jego drużynie!

Że mu najtłustsze w lesie jelenie  
Wybije i z gór wywlecze...  
— Hola! Ja jemu te łowy skrócę —  
Tak dzielny Duglas rzecze.

Graf Percy przybył do Banborow,  
Szła za nim dworzan chmara;  
Samych łuczników tysiąc i pięćset,  
Z trojga hrabstw dzielna wiara.

Zaczęły się te łowy Cheviotu  
W poniedziałek o świcie:  
Mogło żałować wielkiej uciechy  
Nienarodzone dziecię.

Ściągnęła dłoń, jak lilja białą,  
Dłoń jego czule bierze:  
— Oto jest moja wiara, Willie,  
Niech Bóg twej duszy strzeże! —

Zielony swój jedwabny strój  
Do kolan zakasała,  
W długą, jak życie, noc zimową  
Szła w trop martwego ciała.

— A jest tam miejsce, Willie mój,  
U stóp czy w głowach może,  
A znajdę-ż kącik przy twym boku,  
Gdy w trumnie się ułożę? —

— W głowach, Margreto, miejsca niema,  
U stóp się znaleźć nie może  
Ani się znajdzie przy mym boku;  
Ciasne jest moje łóże. —

Czerwony kogut zapiał raz,  
A szary zapiał potem:  
— Słyszysz, Margreto? już na mnie czas,  
Już na mnie czas zpowrotem. —

Nic więcej do niej nie rzekł duch  
Ani tam dłużej bawił,  
Jęknął i zniknął w chmurze mgły  
I samą pozostawił.

Nagonka poszła środkiem puszczy,  
Kolejno biorąc mioty;  
Łucznicy stąpali po stoku gór,  
Na łukach trzymali groty.

Gdzie bór prześwitał, tędy zwierz  
Mknął, na dwie strony party,  
A za zwierzyną pośród krzów  
Śmigły lotne charty.

Zaczęły się te łowy Cheviotu  
W poniedziałkowe rano,  
A do godziny dziewiątej już  
Jeleni sto zażgano.

Złożono wszystek martwy łup  
Rzędami na polanie;  
Przyjechał hrabia Percy sam  
Patrząc na ćwiartowanie.

— Douglas przysięgał, odgrażał się,  
 Że stanie mi na drodze:  
 Tymczasem widzę, że mię zwiódł —  
 I Percy zaklął srodze.

Ozwał się szlachcic z Northumberland,  
 Najbliżej stał w orszaku:  
 — Tam oto ciągnie dzielny Douglas,  
 Widzę z nim wojsk jak maku.

Wspaniały widok kopij i dzid,  
 Mieczów i różnej broni:  
 Nie znajdzie wśród chrześcijańskich niw  
 Mężniejszych serc i dłoni.

Dobrych łuczników tysiące trzy,  
 Junaczych w każdym calu:  
 Wszyscy są rodem z nad Twydu fal,  
 Od granic Tivalalu.

Prześciancie rąbać cząbry jelenie  
 I naszykujcie strzały:  
 Od chwili, jak was matka rodziła,  
 Tak wam się nie przydały. —

Odważny Douglas na czele rot  
 Sunie, rumakiem toczy:  
 Świeci się na nim stal polerowna,  
 Rycerz to wielkiej mocy.

— Hola! gadajcie, co wy zacz  
 I skąd mam takich gości?  
 Kto wam pozwolił chodzić na łów  
 Pośrodku moich włości? —

Zaraz mu pierwszy odpowiedź dał  
 Graf Percy w tym sposobie:  
 — Nie raczę sprawy zdawać nikomu,  
 Com zacz i co tu robię,  
 I będę chodził do twoich kniej  
 Na łów naprzekór tobie.

Już co najtlustszy jeleni Cheviotu  
 Padł, z kniei go wywleczem — —  
 — Za to — rzekł Douglas — musi paść  
 Dziś jeden z nas pod mieczem.

W takie się Douglas odezwie słowa  
 I, przemówiwszy, doda:  
 — Tyle szlachetnej gubić młodzieży  
 Szkoda, doprawdy szkoda.

Ty, Percy, lordem jesteś swej włości,  
 Jam hrabią w hrabstwie mojem:  
 Niech nasi ludzie staną na stronie,  
 My skończmy ręcznym bojem. —

— Klątwa na tego klejnot szlachecki,  
 Kto zgóry nie przystanie:  
 Jeśliś tak myślał, hrabio Duglasie,  
 Twoje niedoczekanie.

Nie żyje w Anglii, Szkocji lub Francji  
 Człek, zrodzony z ziemiarki,  
 Aby z pomocą Boga i szczęścia  
 Nie stanął jemu w szranki. —

Ozwał się szlachcic z Northumberland,  
 Ric. Wytharynton mianem:  
 — Nikt w dobrej Anglii mię nie pohańbi  
 Przed królem, moim panem.

Wy dwaj jesteście możni lordowie,  
 Jam szlachcic jest mizerny,  
 Lecz nikt nie rzecze, że gdy wódz walczył,  
 Ja w polu stałem bierny.  
 Póki miecz dźwigam, zostanę panu  
 Sercem i dłonią wierny. —

O tym okropnym, krwawym dniu  
 Śpiew pierwszy tutaj macie;  
 Jak się skończyły łowy Cheviotu —  
 Powiem, gdy posłuchacie.

*Tłum. Edward Porębowicz.*

## TOMASZ WYATT (1503?—1542)

### ŁASKI ŚMIERCI

Im dłuższe życie, tem się gęściej snują winy;  
 Im więcej win, tem więcej grozi kar za czyny;  
 Im więcej kar, tem słabsza nadzieja obrony,  
 Z nadzieją cały urok życia — już stracony  
 I przyszłość naszą długi czarny mrok osłania:  
 Więc przyjdź, o! śmierci, przyspiesz godzinę skonania.

Im krótsze życie, tem mniej obciąża dłużnika,  
 A krótsze obliczenie prędeż się zamyka;  
 Po obliczeniu raźniej wije się dni przedza,  
 A wijąc się po duszy, czarną myśl rozpędza.

Zaprawdę, krótkie życie chmurę trosk odgania:  
Więc przyjdź, o! śmierci, przyśpiesz godzinę skonania.

O! przybądź! ja tu ciebie powitam życzliwie,  
Szlachetna śmierci, przybądź, ty, cierpień odpływie!  
Niech wśród przyływu raz już skończy się ta długa  
Rozkoszy i boleści, łez i walk żegluga;  
Ta jedna żądza całą duszę mą pochłania:  
Więc przyjdź, o! śmierci, przyśpiesz godzinę skonania.

*Tłum. Feliks Jeziński.*

### SIR FILIP SIDNEY

(1554—1586)

#### DO KSIĘŻYCA

Jakże spokojnie twoje widmo kroczy  
I z jakim smutkiem, o księżycu biały,  
Pośród niebiosów! Rzuca li swe strzały  
Ten skrzętny Łucznik i wśród gwiazd roztoczy?  
Jeśli się mogą rozkochane oczy  
Skarżyć na miłość, w twej twarzy zbolalej  
Czytam, że mąk tych, które mnie złamały,  
Wyczerpujący trud i ciebie tłoczy!

Więc, towarzyszu cierpień, powiedz, zali  
I tam się głupstwem wieczna Miłość zowie?  
Czyż i tam Piękność pyszni się i chwali?

Czyż na szyderstwo muszą kochankowie  
I tam oddawać swe serca? Czyż miano  
Cnoty i u was niewdzięczności dano?...

*Tłum. Jan Kasproicz.*

### EDMUND SPENSER

(1552—1599)

#### Z «KRÓLOWEJ WIESZCZEK»

Szlachetny rycerz pomyka po błoni,  
Z srebrnym puklerzem i w pancierz odziany,  
Na którym ślady wojennych pogoni  
Niby głębokie pozostały rany —  
Lecz on w tę zbroję pierwszy raz ubrany.  
Rumak wędzidło gryzie niecierpliwie,  
Jakby go ciężkie więziły kajdany.  
Rycerz to piękny, stworzony prawdziwie,  
By z wrogiem się spotykać na najkrwawszej niwie.

Na piersiach, w pamięć onej śmierci świętej  
Naszego Zbawcy, krzyż mu się czerwieni;  
Nosi to godło, cześć k'Niemu przejęty —  
W czci dla spraw Jego nigdy się nie leni.  
I na puklerzu takiż znak się mieni,  
Bo w jego pomoc przednią ma nadzieję.  
Z czynem i słowem zawsze prawdę zeni,  
Surowa godność w twarzy mu widnieje,  
Drżą przed nim, on przed niczem w świecie nie truchleje.

Na wielką śpieszy on wyprawę ninie  
 Dla Gloryany: wszystko spełni dla niej,  
 Dla tej królowej we wieszczek krainie;  
 Z tego, co tylko świat nam niesie w dani,  
 Najpożądane mu względy tej pani;  
 Jedzie, a żądy powstrzymać nie może,  
 Aby spróbować sił swych jak najraniej —  
 W potężnym boju, w jak najprędzej porze —  
 Na wrogu jej, na smoku, strasliwym potworze.

Przy nim niewiasta słodka a nadobna;  
 Oślica pod nią niby śnieżek biały,  
 A nawet bielsza. Ją samą żalobna  
 Kryje zasłona i z postaci całej  
 Czarnej się sukni fałdy powieszają.  
 Na swem zwierzęciu siedzi, jak w żałobie  
 Jakiej najcięższej, widać, że niemały  
 Trapi ją smutek i troska w tej dobie.  
 Na sznurku mleczne jagnię prowadzi przy sobie.

Dziewka, by jagnię, czysta i niewinna  
 W każdym żywota swojego zawodzie,  
 A z pochodzenia swego wielce słynna,  
 Bo miała królów i królowe w rodzie,  
 Co na Zachodzie władli i na Wschodzie,  
 Co wszystek świat ten w mocy posiadali,  
 Aż ich gnieźdzący się na piekiel spodzie  
 Czarczi z ich własnych dzierżaw nie wygnali;  
 By pomścić ich, rycerza tego wiedzie zdali.

*Tłum. Jan Kasprzewicz.*

#### Z «HYMNÓW O PIĘKNOŚCI»

##### Piękność ziemską

Czy białości, rumieńca taka jest potęga,  
 Że urok ich przez oczy aż serca dosięga  
 I nieraz tyle szalu, tyle burz wywoła,  
 Że nic ich oprócz śmierci zgasić tam nie zdoła?  
 Czy strojność rysów tak jest ponętna dla duszy,  
 Że wstrząsa ją, że czarem miłości opręga,  
 Aż czucie z niej wykradnie, a rozum zagłuszy?

O, jeśli tak, to czemuż ów kwiatek na łące,  
 Z przepychem Wschodu w barwy odziany jarzące,  
 Od których woń subtelna wskroś zmysły przenika,  
 Nie budzi równych wzruszeń w sercu podróżnika?  
 Lub czemu tak głęboko w ducha się nie wraża  
 Prześliczny obraz, w którym na hasło malarza  
 Twór sztuki nad natury krańce się wymyka?

Ach, wierzcie, jest coś więcej, jest tajemna siła,  
 Co sprawia takie cuda w jestestwie człowieka:  
 Ja czuję, bo mię własna przeszłość nauczyła  
 (I każdy, kto przed taką próbą nie ucieka,  
 Przeświadczył się i takiej wiary się doczeka),  
 Że Pięknem nie jest, jak to ślepy gmin powiada,  
 Zewnętrzny wdzięk, co tylko pod oczy podpada.

Gdyż barwy te, białością lśniące i czerwienią  
 W prześlicznej twarzy, zblednąć i zniknąć tam muszą,  
 Gdyż liście róży, co się i błyszczą, i mienią  
 Na ustach, zwiędną kiedyś i w to się rozprószą,  
 Czem były -- o, niestety! w gliny kłęb zepsuty,  
 A włos, acz i gwiazdnymi wyrzeźbiony dłoty,  
 Zapadnie w prochu, z boskiej światłości wyzuty.

Lecz owej lampy, której promyczek niebieski  
 Zaświtał raz, miłości wzniecony podmuchem,  
 Nie może zgasić nawet pleśń grobowej deski,  
 Nie może — bo sierota, gdy dech już wyzionie,  
 Wzlatuje, aby spocząć na rodzinnem łonie  
 Planety swej — nieziemska, nie umiera duchem,  
 Bo najczystsze nieba jest świętym okruczem.

*Tłum. Feliks Jezierski.*

## FRANCISZEK BACON

(1561—1626)

### ZE «SZKICÓW»

#### O miłości

Jeżeli chodzi o miłość, scena teatru ma jej więcej do zawdzięczenia, aniżeli życie ludzkie. Miłość jest bowiem stałym przedmiotem komedji, a także i tragedia nie rzadko używa jej jako motywu. W życiu jednak wpływ jej bywa bardzo ujemny; czasami działa ona na ludzi jak Syrena, kiedy indziej znowu — jak Furja. Proszę zauważyć, że wśród wszystkich wielkich i dostojnych postaci (czyto w dziejach dawniejszych, czy też nowszych) żadna nie dała się unieść miłości do tego stopnia, gdzie graniczy ona z szaleństwem. Jest to dowód, że ludzie wielkiego ducha i wielkich czynów trzymają się zdala od tej namiętności. Wyłączyć tu jednakże należy Marka Antonjusza, współ-władcę imperjum rzymskiego, jako też Appiusza Klaudjusza, znanego decemwira i prawodawcę.

Jest rzeczą ciekawą i godną uwagi, jak brak umiaru w tej namiętności poniża naturę i wartość rzeczy: stałe używanie hiperbol nigdzie nie uchodzi, w miłości jednak jest to najzupełniej na swoim miejscu... nie było jeszcze pod słońcem człowieka, któryby miał o sobie samym tak nedorzecznie wysokie mniemanie, jakie ma osoba kochająca o osobie przez się kochanej. Słusznie też powiedziano, że niemożliwą jest rzeczą kochać i być równocześnie w posiadaniu rozsądku.

W naturze ludzkiej tkwi ukryta skłonność ku temu, aby miłością objąć swoich bliźnich; jeżeli miłość ta nie ogranicza się do kilku jednostek, a rozszerza na wielki ogół, przybiera ona charakter humanitaryzmu i miłosierdzia — zauważono to czasami w zakonach duchownych.

Miłość małżeńska utrzymuje rodzaj ludzki, miłość przyjacielska doskonali go, lecz miłość nieokiełznana znieprawia i poniża go. *Tłum. Tadeusz Grzebieniowski.*

#### O fałszywej roztropności egoisty

Małe zwierzątko, mrówka, rozumie doskonale swoje drobne interesy, a jednocześnie jest kłeską dla ogrodów i gajów. Ludzie, którzy nazbyt kochają samych siebie, są, tak jak ona, kłeską dla ogółu. Starajcie się zatem podzielić rozumnie pomiędzy waszym interesem a interesem powszechnym; bądźcie sprawiedliwi dla siebie, nie będąc niesprawiedliwymi względem innych, a nade wszystko względem waszej ojczyzny i króla. Czyż jest coś bardziej niskiego, jak robić ze swego osobistego interesu centrum wszystkich swych czynów. Znaczy to być zupełnym materialistą i trzymać się przy ziemi.

Ziemia bowiem jest stała i nieruchoma w swem centrum, lecz wszystko, co jest spokrewnione z niebem, dąży do innego bytu, jako do środka, któremu służy.

Egoizm panującego, który wszystko stosuje tylko do swego własnego interesu, jest w pewnym względzie złem jeszcze znośniejszem, gdyż interes panującego nie jest interesem jednostki, ale wielkiej liczby ludzi, a dobro i zło, jakie go spotyka, odbija się prawie zawsze na pomysłności ogółu. Ta zaś wada, gdy stanowi jedyną sprężynę działania zwykłego poddanego w monarchji lub obywatela w Rzeczypospolitej, sprządza naprawdę nieszczęście. Na wszystkich sprawach, przechodzących przez jego ręce, odczuwać można interesowność. Odwraca je od kierunku właściwego, aby je popchnąć ku swym celom osobistym, które prawie zawsze są ekscentryczne i bardzo odmienne od celów panującego i państwa.

Niech tedy panujący i rządy obdarzają zaufaniem tylko ludzi, wolnych od tej wady, jeżeli nie chcą, aby dla nich pełnili służbę jedynie dodatkową. Ludzi tego charakteru czyni najbardziej niebezpiecznymi ta okoliczność, że niema żadnego proporcjonalnego ustosunkowania pomiędzy dobrem, jakie czynią dla samych siebie, a złem, które wyrządzają innym. Dysproporcja byłaby już dość wielka, gdyby interes poddanego miał pierwszeństwo przed interesem pana, ale daleko jest gorzej, gdy najważniejsze interesy pana są poświęcane dla najdrobniejszych interesów poddanego.

W taki jednak sposób prowadzą się owi ministrowie, skarbnicy, ambasadorowie, generałowie, urzędnicy i inni zepsuci służalcy, których tu mamy na myśli. Dodając na wagę ciężar swego podłego interesu, starają się zawsze przechylić ją na swoją stronę i w ten sposób rujnują najważniejsze sprawy swego pana.

Najczęściej zyski, wyciągane z tych przewierstw, są odpowiednio tylko do ich położenia, a tymczasem zło, jakie czynią, jest proporcjonalne do wielkości położenia ich pana. Tacy egoiści bowiem nie krępują się żadnymi skrupułami i bez wahania podpaliliby dom sąsiada, aby przy ogniu usmażyć sobie jajecznicę.

Jednakże często właśnie tacy bywają w łaskach u pana, gdyż poza własnym interesem najdroższym ich celem jest podobać się panu. Więc też bezustannie jednemu lub drugiemu z tych dwóch celów poświęcają najważniejsze interesy monarchy lub państwa.

Ta roztropność egoisty objawia się w kilku rodzajach, a każdy z nich jest zgubniejszy od drugiego.

Bywa to czasem roztropność szczurów, które opuszczają dom, kiedy jest bliski zawalenia; czasem roztropność lisa, która ściga zwierzynę w norze, przez siebie samego wykopanej; niekiedy zaś jest to roztropność krokodyla, który leje łzy, kiedy chce połknąć ofiarę.

Trzeba przytem pamiętać, że ci ludzie, tak dalece zakochani w sobie — a takim miał być Pompejusz, według Cycerona — pospolicie nie osiągają swoich zamiarów. Tak jak przez całe życieścili tylko samych siebie, kończą jako ofiary niestałości losu, chociaż pochlebiali sobie, że przez swoją interesowną mądrość zdolali podciąć skrzydła fortune.

## O zabobonie

Lepiej już chyba nie mieć żadnego pojęcia o Bogu, niż mieć o Nim pojęcie, niegodne Jego; w pierwszym bowiem razie znajdujemy tylko nieświadomość lub niewiarę, w drugim zaś — obrazę i bezbożność. Zupełnie zasadnie można twierdzić, że zabobon stanowi obrazę bóstwa. «Zresztą — mówi trafnie Plutarch — wolałbym, iżby powiedziano, że Plutarcha wcale nie było na świecie, niż — że istnieje pewien człowiek, zwany Plutarchem, który pożera wszystkie swoje dzieci zaraz po ich urodzeniu, co poeci opowiadają o Saturnie».

O ile zabobon więcej obraża Boga, niż brak religji, o tyle jest też niebezpieczniejszy dla człowieka. Ateizm pozostawia mu bowiem jeszcze wiele punktów oparcia i przewodników takich, jak filozofja, uczucia tkliwości, których natchnienie otrzymujemy od natury, ustawy, miłość chwały, pożądanie dobra i reputacji, słowem — to wszystko, co wystarczyłoby, aby go doprowadzić do pewnego stopnia cnoty moral-

nej, przynajmniej zewnętrznej, przypuszczając nawet, że byłby człowiekiem bez żadnej religji.

Tymczasem zabobon wywraca wszystkie te podpory i wywiera na dusze ludzkie istny despotyzm. Ateizm również nie zakłócił nigdy spokoju w państwach, gdyż czyni ludzi bardzo rozsądnymi w tych sprawach, które ich dotyczą osobiście, i sprawia, że zajmują się tylko swoim własnym bezpieczeństwem, nie troszcząc się o resztę. Widzimy też, że czasy najpomyślniejsze dla ateizmu są to okresy pokoju i ciszy, jak wiek Augusta. Zabobon zaś wstrząsnął wiele państw przez wprowadzenie do nich nowego motoru, który, wyciskając swój ruch gwałtowny na wszystkich sferach rządowych, zagwoździł cały system polityczny.

.....  
Tłum. Stanisław Pyrowicz.

## KRZYSZTOF MARLOWE

(1564—1593)

### Z «TRAGICZNYCH DZIEJÓW DOKTORA FAUSTA»

(*Noc. — Zegar wybija jedenastą.*)

F a u s t :

A, Fauście!

Zaledwie jeszcze masz godzinę życia,  
A potem będziesz potępion na wieki!  
Stańcie, ruchome wieczne sfery niebios!  
Czas niechaj stanie, by nie przyszła północ;  
Otwórz, Naturo, swe oko nadobne  
I dzień wieczysty stwórz! niech ta godzina  
W rok mi się zmieni, w miesiąc, w tydzień, w jeden  
Dzień, aby skruczą Faust ocalił duszę!  
O lente, lente currite noctis equi!  
Zwolna się toczą gwiazdy, czas ucieka,  
Zegar uderzy, szatan się pojawi  
I Faust potępion! Zwracam się ku Bogu —  
Któż mnie odtrąca? Patrz, jak krew Chrystusa  
Zalewa cały firmament — kropelka  
Zbawi mą duszę — pół kropelki, Chryste!  
Do niego wołam — odejź, Lucyferze!  
Gdzie on jest teraz? Zniknął? Patrz, jak swoje  
Wyciąga ramię Bóg, jak brew swą marszczy!  
Zwalcie się na mnie, wy, szczyty i wzgórza,  
Zasłońcie Fausta przede gniewem Boga!  
Nie! nie!

A więc się rzucę, jak długi, na ziemię —  
Rozstąp się, ziemio! — Nie chce mnie pochłonać.  
Słuchajcie, gwiazdy, wy, coście władały  
Przy narodzinach moich, co swym wpływem  
Przeznaczyłyście dla mnie śmierć i piekło,  
Jak mgłę, tak Fausta podnieście ku sobie,  
Wchłońcie mnie w wnętrze swoich chmur ciężarnych,  
Iżby, rzygnąwszy w przestworach, me kości  
Ze swojej czarnej wyrzuciły paszczy,  
A iżby k'niebu poszła moja dusza.

(*Zegar bije wpół do dwunastej.*)

Już pół godziny minęło! za chwilę  
Minie i druga połowa!



O, Boże!  
 Jeśli się nie chcesz zlitować mej duszy,  
 Na krew Chrystusa, wyczoną dla mnie,  
 Racz kres położyć wieczystej męczarni;  
 Faust niechaj w piekle żyje i lat tysiąc,  
 Nie, sto tysięcy — ale potem zbaw go!  
 O, niema końca potępieniu duszy!  
 Czemu nie jesteś stworzeniem bez duszy?  
 Lub czemu dusza twa jest nieśmiertelna?  
 Metempsychozo Pytagorasowa!  
 Jeżeliś prawdą, niechby moja dusza,  
 Precz mnie rzuciwszy, weszła w jakieś zwierzę!  
 Wszystkie zwierzęta szczęśliwe, albowiem,  
 Skoro skonają,  
 Wraz się ich dusza rozplywa w żywiołach —  
 Moja żyć musi, by się dręczyć w piekle!  
 Przekleństwo ojcom, którzy mnie spółdzili!  
 Siebie przeklinaj, Fauście! Lucyfera,  
 Który z niebiańskich obdarł cię rozkoszy.

*(Zegar bije dwunastą.)*

Bije, już bije! Rozplyń się w powietrzu,  
 To moje ciało, albo cię Lucyfer  
 Zabierze z sobą w te tropy do piekła.

*(Grzmot i błyskawica.)*

Zmień się, o! duszo, w drobne krople wody,  
 Spadnij w ocean, by cię nikt nie znalazł.

*(Wchodzą djabli.)*

Boże, mój Boże! Nie patrzcie tak gniewnie!  
 Zmijcie i węże, dajcie mi odetchnąć!  
 Nie ziej tak, piekło! Nie przychodź, szatanie!  
 Spalę me księgi!... A, Mefistofelu — — —  
*(Exeunt djabli z Faustem. — Wchodzi chór.)*

Chór:

Złamana gałąź, wzniosła, pełna mocy,  
 Spalon wawrzynny krzew Apollinowy,  
 Co tak się pełnił w tym uczonym mężu.  
 Niema już Fausta. Zważ jego upadek,  
 Niechaj los jego będzie ci nauką,  
 By w zakazane nie wglębiać się sprawy,  
 Wiodące umysł na takie rozdroże,  
 Na które niebo zgodzić się nie może. *(Exit.)*

*Tłum. Jan Kasprowicz.*

WILLIAM SZEKSPIR (SHAKESPEARE)

(1564—1616)

Z «HAMLETA»

*(Sala tronowa na zamku.)*

Król:

Jakkolwiek świeże jest jeszcze wspomnienie  
 Króla Hamleta a naszego brata,  
 Tak iż stosowny ból i rozżalenie  
 Wydałyby się słuszniej w oczach świata,

Bieg rzeczy-stanu wstrzymując żalobą;  
 Nie przeto jednak w tak krytycznej dobie,  
 Czucie i rozum pomierzywszy z sobą,  
 Zmarłego czcimy, pomnąc też o sobie...  
 Stąd to przesławny duński tron widzimy  
 Tej uświetnionej obecnością pani,  
 Którą zwaliśmy siostrą, dziś zaś zwiemy  
 Małżonką. — Jakoż, i uczucie dla niej  
 W równej się mierze spotkawszy z tęsknotą,  
 Moznaby twierdzić, iż dbaliśmy o to,  
 By mirt nie zakrył kiru, ni kir — wieńca,  
 Bolesci — uśmiech, ni bladość — rumieńca;  
 Akt, w którym nadto, wyznać nam jest miło,  
 Nie bez doradczych głosów się spełniło,  
 Z jednomyślnością owszem — za co dziękui...

Teraz — zostaje tylko rzecz podrzędna  
 Co do młodego Fortinbrasa schedy  
 Czy uroszczenia raczej; bo jest względna,  
 Jako zewszecmiar prawnie jeszcze wtedy  
 Przeszła na własność króla poprzednika,  
 Gdy żył i drzierzzył sam, nie przez lennika.

Dziś — że niezgasłej pamięci brat drogi  
 Zeszedł — Fortinbras, tusząc, z jednej strony,  
 Iż kraj być może w sobie rozdzielony,  
 Z drugiej — rachując na wrażenie trwogi,  
 A zawsze ludząc się uroszczeń marą,  
 Coraz to wznowi oną kwestję starą  
 I śle nam gońce albo dzierzaw przeczy;  
 Lecz o osobie dość, przejdźmy do rzeczy.

Zważywszy, ile w sprawie tej natury  
 Godziłoby się, aby król Norwegji  
 (Wuj Fortinbrasa), uwiadomion zgóry  
 O formowaniach przez siostrzeńca legji,  
 Burzeniach ludu i całym przyborze,  
 Coś postanowił o tem sam na dworze;  
 A wiedząc, że jest chorobą złożony  
 I mało w państwa wglądający sprawy,  
 Chcemy, by przyszłe zwinięto legjony,  
 Wstrzymano zaciąg i rozgłos wyprawy.  
 — Treści tej nasze ślemy memoranda  
 Przez wasze zacne ręce, Voltimanda  
 I Corneliusa — z poselstwa urzędem  
 Dając moc, wszakże pod tym tylko względem  
 Wzmiankowanego wyżej interesu —  
 Żegnam... niech zapal przyczynia sukcesu...

Cornelius i Voltimand:

W tem, jak we wszystkim, spełnimy życzenia...

Król:

Nie raczej wątpić... zatem... dowidzenia...  
 No — więc... Laertes... cóż nowego mamy?  
 Zda się, iż było jakieś przedstawienie.  
 Co żądasz? jestże słuszność, którą znamy,  
 A czasuby nam zbrakło na ziszczenie — ?  
 Prośbę twą raczej uprzedzić ofiarą  
 Życzylibyśmy pierwiej z naszej strony,

Przyjaźnią z ojcem twym złączeni starą.  
Wierz mi, że serce mniej się z głową znosi,  
Głód mniej jest własną ręką usłużony,  
Niż tron przez ojca twego... o cóż prosi  
Laertes...?

Laertes:

Łaski ustąpienia z dworu,  
Gdzie, własną wolą i nie dla pozoru,  
Przybyłem z Francji na sakru dzień słynny:  
Ten minął, a z nim i co byłem winny,  
Tak iż w następstwie myślę o powrocie.  
I to jest prośba moja...

Król:

Przyzwolenie  
Ojca czy służy?... co Polonius na to?...

Polonius:

Panie! przyjąłem zamiar ten w istocie,  
Lecz raczej, rzekłbym, z przyzwalania stratą;  
Bo jakby tamę kładąc wraz z pieczęcią  
Tam, gdzie z natrętną żal się spierać chęcią.  
— Proszę więc za nim o sankcję odpławy...

Król:

Zamierzonego dopełniwszy czynu,  
Laertes, czas twój — jest twój... król łaskawy  
Wraca go...

Hamlet! krewny nasz i Synu...

Hamlet (*do siebie*):

Nieco mniej niż syn, a więcej niż krewny...

Król:

Co jest?... co znaczą chmury te nad tobą?...

Hamlet:

Chmury? nie, panie, nadtom słońca pewny...

Królowa<sup>1</sup>:

Hamlecie luby! zerwij już z żalobą  
I pojrzyj ku nam jako syn królestwa.  
Czy podobieństwo wciąż za ojca duszą  
Odlatać w przeszłość?... Rzeczą jest nicestwa,  
Że ci, co rodzą się, i konać muszą...

Hamlet:

Tak, to nicestwa rzecz... Pani...

Królowa:

...A przeto

Skąd nadzwyczajną wydawa się sobie?...

<sup>1</sup> Druga redakcja przekładu:

Matka: Wiesz sam, i rzeczą jest najprostsza w świecie  
I tak to bywa wciąż, że co się rodzi,  
Przechodzić musi przez śmierć w nicość trzecią,  
W wieczność...

Hamlet: Wiem, Pani: tak, to tak przechodził —

Matka: Więc czemu rzeczy nie brać jak są one —  
Zwyczajne czemu zdawać się ma dziwnem?

## H a m l e t :

Oh! Pani, mnie się tu nic nie wy d a w a...  
 Ja cierpię... Matko dobra! nie w żalobie  
 Dworu, w mundurze barwy przeraźliwej  
 Ani w powietrzu, wyrzucaniem silnie  
 Z płuc, ani w rzekach łez, w barwie nieżywej  
 Policzków — faktach, świadczących niemylnie  
 O zaszłym smutku — owszem, ani w całym  
 Obchodzie, który weszedł we zwyczaj: —  
 Te bowiem godłem są mniej więcej trwałem,  
 Przez które człek się maluje... w y d a j e...  
 Gdy ja, ja wydać się nie mogę, raczej  
 Przenikam z wnętrza, i nic mię nie znaczy...

## K r ó l :

Zaprawdę — pięknie jest z Hamleta strony  
 I naturalnie, że syn zasmucony.  
 Wszelako spytać pozwolisz, azali  
 Ojciec twój swego nie stradał rodzica,  
 A ten znów ojca swego — i tak dalej...  
 W sposób, iż każdy z łez ocierał lica —  
 Lecz puścić wodze tęsknocie bez granic  
 W nad-ludzką miarę lamentów — zaiste,  
 Jest to tentować Opatrzność — mieć za nic  
 Prawa niezłomne, prawa oczywiste,  
 Rzekłbym — mieć serce dzikie, myśl narowną,  
 Pojęcie płytkie i ograniczone  
 Elementarnych prawd i jak są one  
 W sobie — potrzebą będąc nieodzowną.  
 Trwać, mówię, mamy-ż w sprzeczce niedoleżnej  
 Z rozsądkiem, który stokroć od nas mężny?  
 Fe! to jest, primo, winą wobec nieba,  
 Secundo, zmarłych niepokojem, trzecie,  
 Zatknięciem uszu, gdy głos ten «t a k t r z e b a»  
 Od najpierwszego trupa po to dziecię,  
 Co się tam dzisiaj rodzi gdzieś, słyszymy.  
 Hamlet! zaprzestań smutków, myśląc raczej  
 O nas, jakoby o ojcu — prosimy —  
 Świat niech zna, ile Hamlet u nas znaczy,  
 Najbliżej tronu będąc — i że równie  
 Najbliższy sercu (o co idzie głównie),  
 Świat niech przez ciebie zna to...

...Co do wniosku,

By Akademię Wittenbergską zwiedzić —

- 
- H a m l e t : Zdawać? — O! Pani — to nie jest zmyślane  
 Czarnym kolorem płaszcza, ruchem sztywnym,  
 Wzdychaniem, które siłę płuc oznacza,  
 Bładością cery, dużym łez potokiem  
 Z całą ich formą, modą i urokiem,  
 Który się z d a w a ć może — że rozpacza!  
 Nie — to mię wszystko najmniej nie wyraża:  
 Właśnie, iż sztuka wygrać to jest w stanie,  
 Właśnie, iż często udać się to zdarza,  
 Gdy to, co cierpię ja, jest n a d u d a n i e . —
- K r ó l : Że Hamlet ojca płacze, jest przykładnie,  
 Bardzo przykładnie, owszem, bardzo ładnie —
- — — — —

Zamierzonego nie otrzyma czynu;  
 Owszem — z zupełną radzimy ufnością:  
 Ciesz nas, Hamlecie, swoją obecnością,  
 Ciesz nas, najdroższy — gościu — krewny — synu —

Królowa:

Życzenia Matki niech ci będą siłą,  
 Hamlet — ja niemniej z królem o to wołam...

Hamlet:

Życzenia Pani spełnię — ile zdołam...

Król:

Wybornie! To mi odpowiedź — aż miło —  
 Tkliwa, acz męskiej pełna rezygnacji —  
 Goście nam w Danji, proszę, jak u siebie.  
 Królowo! Hamlet pojął, nie bez racji,  
 Ile nam drogi... O! chcę, aby w niebie  
 Echa dział duńskich glosy śpizowemi  
 Odgrzmiwały toast, który wznieść idziemy.

*(Odchodzą wszyscy, prócz Hamleta.)*

Hamlet:

Oh! gdyby, gdyby to za trwałe ciało  
 Mogło się rozmglić, gdyby roztajało!  
 Lub gdyby prawdą nie było zbyt grzmiącą  
 Że samobójca Twórcy czołem staje...  
 O! Wielki Boże — jakże bezkwitnącą,  
 Startą i marną mi się być wydaje  
 Rzeczą świat z normą obowiązującą.

Dalej stąd — dalej — to ogród zapadły,  
 Gdzie co sędziwsze chwasty szerzej siadły..  
 — Czyliż powinno było wyjść aż na to?...

Miesiący temu dwa — nawet nie tyle —  
 Król taki umarł, mąż taki w mogile,

I oto ten go powetował za to

Satyr — co miejsce zajął Hiperjona...

A tamten kochał był tak matkę moją,  
 Że czuł, gdy nadto wiatr jej dotknął łona...

O! czemuż w oczach mi te rzeczy stoją?...

Ona też — ona — zdawało się, wzajem

Że od-kwitła w miłość ze zwyczajem,

Aż dobiegł miesiąc... zbyt odległa meta.

Próżnośćil... ty się nazywasz kobieta.

Tak — w miesiąc — rychlej, niż obuwie zdarła,

W którym za zmarłym szła, nawpół umarła,

Jako Niobe w łzach — ona — też sama — —

Plaż czułby dłużej smutek, niż ta dama.

W miesiąc, za stryja idzie — ten, zaiste,

Ma podobieństwo z bratem oczywiste,

Tak jak pomiędzy mną a Herkulesem —

W miesiąc więc — ślady łez zaledwo zbrzękły...

O! nie — jakżeby związki te nie pękły...

Lecz ty, o! serce, pęknij pierw z milczenia,

Gdy właśnie... przestać muszę...

*(Horacjo, Bernard i Marcellus wchodzą.)*

Horacjo:

Jego Wysokości

Hołd...

Hamlet:

Nieskończenie szczęśliwy z widzenia...  
Horacjo? albo nie mam przytomności?...

Horacjo:

On sam, i zawsze sługa uniżony...

Hamlet:

Przyjacieli... swemi zwijmy się imiony,  
Horacjo!... wszakże, czemu z Akademji...  
Marcellus...?

Marcellus:

Książę miły...

Hamlet:

Najuprzejmiej  
Witam i ciebie, Panie — lecz — do rzeczy:  
Cóż z Wittenbergu sprowadza?...

Horacjo:

Pustota...

Niestatek... młodość...

Hamlet:

Wiesz? Gdyby niecnota  
Jaki o tobie mówił nie-do-rzeczy  
Przy mnie — zamilkłby; — mamże, z twojej strony  
O tobie słysząc, dwakroć być zraniony...  
Znam Cię... nie jesteś trzpiot... Co tu obwijać...  
Mów — bo nauczę cię do dna wypijać...

Horacjo:

Panie — Twojego Ojca pogrzeb...

Hamlet:

...Wolne zarty...

Wesele Matki prędzej... bądź otwarty...

Horacjo:

Zaiste — jakoś razem to wypada...

Hamlet:

Oszczędność!... stypa jeśli się odkłada,  
Na ustrojenie weselnego stołu  
Mniej zbywa — trawiąc to i to pospołu,  
Na zimno — mięsa zwłaszcza, zysk gotowy...  
O! wszakże milej wśród niebios świątnicy  
Nieprzyjaciela dojrzeć — niż dzień owy...  
— Ojciec — ja — widzę Ojca...

Horacjo:

Gdzie?

Hamlet:

W żrenicy

Mojego ducha... Horacjo...

Horacjo:

O ile

Pamiętam — był to monarcha wspaniały.

Hamlet:

Mąż to był, wierzaj, skończony, mąż cały —  
Równego temu nie spotkasz za chwilę...

Horacjo:

Panie, zda mi się, żem go widział wczora...

*Tłum. Cyprjan Norwid.*

ZE «SNU NOCY LETNIEJ»

(Król elfów Oberon, pokłóciwszy się ze swą żoną Tytanją, postanowił ją ukarać.)

*(Las w pobliżu Aten. — Wchodzi Tytanja z orszakiem.)*

Tytanja:

Tańczcie, śpiewajcie, a potem niech w trzecią  
Cząstkę minuty jedne z was pośpieszą  
Wygnieść robaczki z pączków róż piżmowych,  
Drugie niech w boju nietoperzom wydra  
Skórzane skrzydła na strój elfom drobnym,  
Inne wrzaskliwą niech odpędzą sowę,  
Co w nocy huką z podziwu nad nami.  
W pieśń mię uspiwszy, idźcie, a ja spocznę.

Pieśń

Pierwsza rusałka: Precz, z dwudzielnem żądłem węzeł!  
Niech jeź, co się w kolcach łąże,  
Niech padalec i niech żmija  
Łoże królowej omija.

Chór: Niech ją śpiewem w sen utuli,  
Filomelo, twoje luli,  
Lula, luli, lula, luli,  
Lula, luli, lula, luli!  
Żaden urok, czar ni zdrada  
Niech na oko jej nie pada,  
Kiedy śpiew ją w sen utuli;  
A więc na dobranoc: luli!

Druga rusałka: Precz, długonogie pająki,  
Precz, rodzie tkaczów włóknisty!  
Czarne żuki, precz z tej łąki,  
Precz, ślimaki, precz stąd, glisty!

Chór: Niech ją śpiewem sen utuli,  
Filomelo, twoje luli,  
Lula, luli, lula, luli,  
Lula, luli, lula, luli!  
Żaden urok, czar ni zdrada  
Niech na oko jej nie pada,  
Kiedy śpiew ją w sen utuli;  
A więc na dobranoc: luli!

Druga rusałka: Idźcie! Już się do snu waży.  
Niech jedna stanie na straży.

*(Rusałki wychodzą. Tytanja zasypia. — Wchodzi Oberon.)*

Oberon:

Wnet swą moc ten sok wykona.

(Oberon wyciska sok z kwiatu na powieki Tytanji.)

To, co ujrzysz przebudzona,  
Kochaj, błagaj, tul do łona.  
Żbik, ryś, niedźwiedź, lampart, czyto  
Dzik ze skórą, w kolce krytą,  
Cokolwiek ci w oczach stanie,  
Gdy się ockniesz — tve kochaniel!  
Ujrzyj potwór niespodzianie.

(Wpobliżu miejsca, gdzie Tytanja leży uśpiona, odbywa się próba tragedji, którą za dni kilka mają odegrać rzemieślnicy ateńscy, pragnąc uświetnić wesele księcia.)

Spodek: Czyśmy się już wszyscy zebrali?

Pigwa: Wszyscy, co do nogi. Co za dziwnie wyborne tu miejsce na naszą próbę! Ten trawnik będzie naszą sceną, ta zarośl ciernista naszą garderobą. Odegrajmy więc sztukę, jakby przed samym księciem.

Spodek: Są rzeczy w tej komedji Pirama i Tyzby, które się nigdy podobać nie mogą. Najpierw, Piram musi dobyć miecza, by się zabić, czego kobiety nie zniosą. Co mówisz na to?

Ryjek: Na uczciwość, punkt to niebezpieczny.

Głodniak: Mnie się zdaje, że będziemy musieli przełożyć to zabójstwo aż poza koniec całego przedstawienia.

Spodek: Bynajmniej. Mam sposób, który wszystkiemu zaradzi. Napisz mi prolog, a w nim daj do zrozumienia, że nasze miecze nikomu szkody nie wyrządzą i że Piram nie zabija się rzeczywiście; a dla większej jeszcze pewności powiedz im, że ja, Piram, nie jestem Piram, ale tkacz Spodek. To ich doreszty uspokoi.

Pigwa: Dobrze, znajdzie się taki prolog, a będzie napisany w ośmiu- i sześciu-głoskowych wierszach.

Spodek: Co ci szkodzi, dodaj dwie jeszcze i niech będzie w ośmiu i ośmiu.

Ryjek: Czy też kobiety lwa się nie przelękną?

Głodniak: Ręczę wam, że się strasznie tego boję.

Spodek: Panowie, powinniście to dobrze wprzód rozważyć. Wprowadzać, niech Bóg broni, lwa między kobiety, to rzecz najokropniejsza, gdyż niemasz straszliwszego ptaszka, jak lew, kiedy żywy. Dobrze więc baczmy na to.

Ryjek: A zatem niech inny prolog powie, że to nie lew prawdziwy.

Spodek: Niedość na tem, trzeba wymienić jego nazwisko i niech pół jego twarzy wyziera z pod lwiej grzywy. On zaś sam niech doda, mówiąc tak albo w podobnym nonsense: Panie lub piękne panie, jabym was błagał, abyście się nie trwożyły i nie drżały. Stawiam moje życie za wasze. Jeślibyście osądziły, że tu jak lew przychodzę, już byłoby po mnie. Nie, ja żadną podobną poczwara nie jestem. Jam człowiek, jak inni ludzie. I wtedy zaprawdę niech wyjawi swe nazwisko i powie im prostoprostu, że jest Spój, stolarz.

Pigwa: Teraz niech usiądzie każdy syn swojej matki i wyrecytuje swą rolę. Piramie, ty zaczynasz. Skoro skończysz swą mowę, odejdziesz w te krzaki, i tak każdy następnie wedle swej roli.

Puk (jeden z elfów): Cóż to za ciury tu się popisują?

I przy kolebce królowej tak blisko?

Co? Grają sztukę? Będę więc słuchaczem,

Może aktorem, jeśli powód znajdę.

Pigwa: Mów, mów, Piramie. Tyzbe, wystąp naprzód.

Piram: Jak kwiat, cuchnący wonią...

Pigwa: Tchnący, jak kwiat, tchnący...



Piram: Jako kwiat, tchnący wonią, jak Tyzbe Pirama  
Owiewa swym oddechem. Tyzbe, droga tyle!  
Ale, słuchaj, głos jakiś! Ach, zostań tu sama,  
A ja się znowu tobie ukazę za chwilę. (*Wychodzi*)

Puk (*na stronie*): Nigdy Pirama większy nie grał cudak. (*Wychodzi*)

Tyzbe: Mnież teraz mówić wypada?

Pigwa: Już ciż, tobie. Trzeba ci bowiem zrozumieć, iż on wyszedł, żeby zobaczyć zgiełk, który usłyszał, i zaraz winien powrócić.

Tyzbe: Promienisty Piramie, jako lilja biały,  
Kraśny, jak na przepysznym cierniu pączek róży,  
Najszumniejszy młodziku, dziku okazały,  
Wierny, jak rumak, który nigdy się nie nuży,  
Czekać cię tęsknie będę na Nygusa grobie.

Pigwa: Na Ninusa grobie, człowieku. Ale tego jeszcze nie powinienś mówić. Tym ostatnim wierszem odpowiesz dopiero, jak Piram znowu zagada. Repetujesz od razu całą rolę, odpowiadasz, nim cię jeszcze zapytano. Piramie, wejdz. Kolej twoja już przeszła. Staaliśmy na wyrazach: «nigdy się nie nuży».

(*Wraca Puk, za nim Spodek z osłą głową.*)

Tyzbe: Wierny, jak rumak, który nigdy się nie nuży.

Piram: Gdybym był piękny, Tyzbe, to tylko dla ciebie.

Pigwa: O, strach, o, dziwo! Czary padły na nas,  
Błagam was, bracia, uciekajmy! Gwałtu! (*Uciekają*)

Puk: Puk was popędzi i wkółko was zagna  
Na ciernie, głogi, przez knieje i bagna.  
Będę psem, koniem, niedźwiedziem bez głowy,  
Dzikiem lub ogniem i sprawię wam lowy,  
Rżąc, skomlać, kwicząc, rycząc i paląc tych ziemian,  
Jakby koń, pies, dzik, niedźwiedź i ogień naprzemian.

Spodek: Czegoż oni uciekają? Chcieliby tą podłą sztuczką napędzić mi strachu.  
(*Wchodzi Ryjek*)

Ryjek: Ach! Spodku, jakżeś ty przemieniony! Cóż to ja widzę na twoim karku?

Spodek: Co widzisz? Chyba twą własną osłą głowę, wszak prawda?

(*Ryjek wychodzi, Pigwa wraca.*)

Pigwa: Niech cię Bóg strzeże, Spodku. Tyś przemieniony. (*Wychodzi*)

Spodek: Teraz rozumiem ich niecie figle. Chcą mię zrobić ostem, przestraszyć, jeśli im się uda. Lecz się z tego miejsca nie ruszę, niech sobie dokazują, co chcą. Będę się tu przechadzał w tę i ową stronę, będę śpiewał sobie, aby się przekonali, że się niczego nie lękam. (*Śpiewa*)

Z wyłaczanym dziobem kos,  
Pierzem czarnej barwy wzór,  
Drozd, co ma tak dźwięczny głos,  
Królik, słynny z drobnych piór.

Tytanja (*budząc się*): Jakież mię anioł z łoża kwiatów budzi?

Spodek (*śpiewa*): Czyżyk, wróbel, skowronek,  
Pstra kukułka, co drwić śmie,  
Rozumie ją małżonek,  
A nie może odrzec: nie!

i w istocie, nie miałby ten rozumu, co by chciał przegadać tak głupiego ptaka. Któżby je chciał zadawać kłamstwo, choćby i wiecznie powtarzała: «kuku».

Tytanja: Ach, śpiewaj jeszcze, piękny śmiertelniku.  
Me ucho wielce twą pieśń polubiło,  
A z twą postacią sprzęgło się me oko.  
Tak mię twej cnoty wzrusza siła cała,  
Żem cię już w pierwszej chwili pokochała.

Spodek: O ile mi się zdaje, łaskawa pani, rozum twój nie znajdzie w tem dostatecznego powodu, chociaż, mówiąc prawdę, rozum i miłość rzadko chodzą w parze za naszych czasów. Tem większa szkoda, że jacy poczciwi sąsiedzi nie pogodzą ich nawzajem. Umiem ja żarty prawić, gdy się pora zdarzy.

Tytanja: Widzę, żeś równie mądry, jak nadobny.

Spodek: Ani jedno, ani drugie. Lecz gdybym miał dość rozumu, by się wydożyć z tego lasu, toby mi starczył przynajmniej na własną potrzebę.

Tytanja: Niech cię myśl żadna za ten las nie niesie.

Czy chcesz, czy nie chcesz, zostaniesz w tym lesie.

Jam duchem, który wzniosłym rodem słynie.

Wieczne się lato święci w mej dziedzinie.

Kocham cię, przeto pójdź ze mną, mój miły:

Moje rusalki będą ci służyły.

One ci w morzu znajdą perły na dnie,

Śpiewać ci będą, gdy cię sen owładnie.

Ma moc śmiertelną z ciebie ciężkość zetrze,

Byś, jak duch, zdołał wzlatywać w powietrze.

*Tłum. Stanisław Koźmian.*

### Z «SONETÓW»

30

Gdy na milczących lubych myśli zborze  
Minionych rzeczy wspomnienia przebiegam,  
I czas stracony znów serce mi porze,  
I mało z tego, com szukał, dostrzegam,  
We łzach się topię za drogimi druchy,  
Pogrążonymi w noc śmierci bez daty,  
Miłości dawno przekreślone skruchy  
Płaczę, i drogie lichych złudzeń spłaty;  
Tak przeto dawną utrapień mych kolej  
I ciężkie w duchu przeliczając żale,  
Smętny rachunek z tego, co mię boli,  
Znów płacę, jakby niespłacony wcale.  
Lecz kiedy nagle ku tobie myśl zwrócę,  
Wetuję straty i smutki me króćę.

66

Znużon do głębi w tym świata obrocie,  
Chcę zgonu — widząc zasługę, jak żebrze,  
I czystą wiarę w krzywoprzysięstw błocie,  
I Nic — chodzące we złocie i srebrze;  
I cześć dziewczęcą, na nierząd złowioną,  
I czysty honor, podany w odprawę,  
I świetną dzielność, niesłusznie krzywdzoną,  
I siłę, zmiętą przez wodze kulawe;  
I sztukę, kneblem tłumioną przez władzę,  
I prostą wierność z przewiskiem prostoty,  
I głupstwo ponad rozumem w przewadze,  
I dobro u zła w obroży heloty:  
Znużon tem wszystkim, odszedłbym już prawie,  
Gdyby nie troska, że ciebie zostawię.

*Tłum. Artur Górski.*

71

Po mem skonaniu nie płacz ty dłużej nade mną  
 Nad chwilę, gdy usłyszysz jęk posępny dzwonu  
 I dowiesz się, żem rzucił ziemię tę nikczemną,  
 By dzielić z robakami łożę mego zgonu.  
 I nawet teraz, gdy ma dłoń te wiersze kreśli,  
 Zapomnij ją, zapomnij! Ja tak kocham ciebie,  
 Że wolę, byś mą pamięć zatarała w swej myśli,  
 Niż miała się rozżalać po moim pogrzebie.  
 Ach, tak; jeśli twe oko spocznie na tym rymie,  
 A ja może już zmieszam się z cmentarną gliną,  
 Niech z ust twych nie wychodzi biedne moje imię,  
 A sny miłości razem z mem życiem zaginą.  
 Bo mądry świat, ujrzawszy, że więdniesz w żalobie,  
 Wyszyci nas oboje, gdy będę już w grobie.

*Tłum. Feliks Jezierski.*

123

Nie ujrysz, Czasie, we mnie zmian! Budowy  
 Twoich piramid, choć je z taką mocą  
 Wznosisz, to dla mnie widok już nie nowy:  
 Świeże się tylko bielidła migocą  
 Na dawnych ścianach... Drogę my niedługą  
 Mamy, więc wielbim świeżość w tem, co stare,  
 I chcąc, by było naszej żądzy sługą,  
 Że nie jest nowe, któżby z nas dał wiarę!  
 Lecz twe świadectwa wraz z tobą są niczem  
 Dla mnie, nie dziwi mnie twe dziś ni wczora,  
 Albowiem wszystko lichem i zwodniczem,  
 Co starwa dłoń twa, do pośpiechu skora.  
 Jedno ślubuję: Forytuj odmianę,  
 Ja wbrew twej kosie wiernym pozostanę.

*Tłum. Jan Kasprówicz.*

### BENJAMIN JONSON

(1573—1637)

#### PAMIĘCI MEGO UKOCHANEGO MISTRZA — WILLIAMA SZEKSPIRA (W skróceniu)

Szekspirze! nie z zazdrości ku mistrza potędze  
 Tak górne składał hołdy twej sławie i księdze...  
 To głos wszystkich. Nie! nie tą drogą uwielbienia  
 Ja uczcić chcę majestat twojego imienia.  
 Zaprawdę, splamiłbym się tym głupoty grzechem,  
 Co, grząc najgłośniej, tylko cudzych słów jest echem  
 Lub ślepem zachwyceniem, co prawdy przed oczy  
 Nie stawia, nie posuwa, lecz omackiem kroczy;  
 Lub z złością i podstępem, co pod maską chwały,  
 Rzekomo czcząc, podkopać i zgubićby chciały:  
 Nie! ty stoisz bezpieczny, wyższy nad grę losów,  
 Nad zazdrość, a pochlebnych nie trzeba ci głosów.  
 Więc tak zacznę: Ty, duszo wieku, i do zgonu,  
 I po zgonie, ty, cudzie sceny Albijonu,  
 O, powstań, mój Szekspirze! Za dźwięki twe wieszczę  
 Ja ciebie przy Chaucera boku nie umieszczę

Ni przy Beaumencie, ale przy wielkim Spenserze,  
 Lub żeby posunęli swe śmiertelne leże  
 Dla ciebie, o to prosić nie będę ich obu:  
 Wszak ty jesteś sam sobie pomnikiem, bez grobu,  
 I żyjesz jeszcze, póki twa księga żyć będzie,  
 Czarując duchy w wiecznym ku pięknu popędzie...  
 Więc cześć ci, cześć, Brytanjo, tyś zrodziła syna,  
 Przed którym dziś Europa kolano ugina,  
 Jak ugiąłby je zmarły świat Rzymian i Greków...  
 Tyś był nie mężem wieku, tyś mężem wszechwieków:  
 O, jeszcze snem wiosennym drzemało muz plemię,  
 Gdyś ty, jak bóg Apollo, zstąpił na tę ziemię,  
 Byś nam, jak ten, ogrzewał słuch grzmiącymi chóry,  
 Czarował urokami sztuki, jak Merkury —  
 Natura sama, dumna z jego arcytworów,  
 Tak sobie podobała w przepychu kolorów  
 Tych szat, w które ubrały ją twoje piosenki,  
 Że odtąd już nie zechce mieć innej sukienki...  
 Szekspirze! tyś był wzorem takiego pieśniarza —  
 I oto, jak się w dzieciach twarz ojca powtarza  
 I żyje po swym zgonie, tak duszy twej znamię  
 Tyś odbił w twoich pieniach, wielki Willijamie!  
 ...O! gdybyś ty, łabędziu słodki z nad Avonu,  
 O, gdybyś nad Tamizą, budząc się ze zgonu,  
 Rozwinął jeszcze skrzydła z tym czarem poety,  
 Nad którym się zdumiewał duch naszej Elżbiety!...  
 Lecz próżne to marzenie, próżne to zakłęcie:  
 Jak gwiazda, dziś ty świecisz tam na firmamencie.  
 Świeć, świeć, gwiazdo poetów, niech twoje promienie  
 Wskrzyszają ducha w naszej walącej się scenie:  
 Zaćmiłaby się ona, gdyby na jej lica  
 Nie promieniała życiem twoich dzieł skarbnica.

*Tłum. Feliks Jezierski.*

HYMN DO DIANY  
 (z «Uczty Cyntji»)

Boska lowczyni, przezczysta królowo!  
 Słońce zasnęło, więc zasiądź, Dianio,  
 Zasiądź na srebrnym tronie, chwyć na nowo  
 Władzę, zkolei tobie przekazaną.  
 Hesper twą światłość chce okuć w swe pęta,  
 Cyntjo, królowo gwiazd, Cyntjo prześwieta!  
 Ziemi! niech cień twój pod czarną oponą  
 Świata po zgonie dnia w mroku nie grzebie;  
 Tarcza Diany nato jest stworzoną,  
 Aby po słońcu oświecać podniebie.  
 Ty z nocy czynisz dzień, o, wniebowzięta!  
 Cyntjo, królowo gwiazd, Cyntjo prześwieta!  
 Opuść z ramienia twój kołczan perłowy,  
 Łuk twój niechybny w polocie do mety!  
 Niechże łań, którą wystraszają lwy,  
 Wythnie na chwilę, choć krótką, niestety.  
 Znajdź, pobłogosław ludzi i zwierzęta  
 Czarem światłości, bogini prześwieta!

*Tłum. Feliks Jezierski.*

JOHN FLETCHER

(1579—1625)

I FRANCISZEK BEAUMONT

(1584—1616)

## Z «TRAGEDJI DZIEWICY»

(Amintor porzuca narzeczoną swą, Aspatję, i bierze ślub z piękną Ewadne, przeznaczoną mu za żonę przez króla, którego jest kochanką. Po wyjawieniu mężowi swej hańby odepchnięta przez niego Ewadne przebija się. Świadkiem tej sceny jest jakiś nieznajomy, który podaje się za zaginionego oddawna brata Aspatji i przychodzi teraz pomścić skrzywdzoną siostrę; Amintor przyjmuje wyzwanie i rani go w pojedynku.)

Amintor:

Oto pode mną trzęsie się ta ziemia,  
 We krwi mej czuję zimne tętno trwogi,  
 A duszy już się ten jej dom uprzykrzył...  
 Sam teraz jestem postrachem dla siebie.  
 Tkwi jakaś tajna moc w świecie umarłych,  
 Która me ciało powołuje do nich...  
 Ha! już zastygam... nuże, bądź stanowczy  
 I pójdz za nimi... a jednak, a jednak  
 Jest coś, z czem lękam się rozstać. Jest we mnie  
 Dość męża, aby stawić czoło trwogom,  
 Które przynosi śmierć; a przecież chciałbym...  
 A przecież jeszcze pomiędzy rozumem  
 A czynem staje krzywda, którą zadał  
 Aspatji — krzywda, na którą nie mogę  
 Żadną z jej strony winą odpowiedzieć.  
 Choć słusznie pierś swą mogłaby uzbroić  
 W szyderstwo i mnie nienawidzieć, jednak  
 Mniej niespokojna uleci ta dusza,  
 Jeżeli łzami spłacę jej mą żalność.  
 Tak! tego czynu nie spełnić nie mogę.

Przychodzień:

Czy śnie?... Tu stoi jeszcze mój Amintor,  
 Albo to jeszcze sen.

Amintor:

Sen? o czym? przemów  
 I przyjmij moją miłość i ratunek.  
 Krew twoja bije napowrót do dawnej  
 Dziedziny swojej, jeszcze jest nadzieja —  
 Ratujcie!

Przychodzień:

Wszakże wymówiłeś imię  
 Aspatji.

Amintor:

Tak, tak!

Przychodzień:

A potem mówiłeś  
 O łzach i twojej żalności.

Amintor:

To prawda,  
 I pierw, nim wdzięczne rysy twojej twarzy  
 Krok mój wstrzymały, biegłem do niej.

Przychodzień:

Oto

Już jesteś przy jej boku, a te rany  
Są jej ranami; a owe pogróżki,  
Którem przyniosła, nie szukały zemsty,  
Nie — one przyszły po błogosławieństwo  
Z twej ręki. Jeszcze ja jestem Aspatją.

Amintor:

Aspatjo, czyliż jeszcze kiedykolwiek  
Na świat ma dusza wyjrzeć się ośmieli?

Aspatja:

O! Amintorze, jeszcze ja żyć będę;  
Jakże mi dobrze, jakaż zdrowa błogość  
Wskroś mię przebiega!

Amintor:

Tyłu żyć świat nie ma,  
By mógł okupić utracenie ciebie.  
Pójdź, niech poniosę cię kędyś, pomocy  
Tobie udzię.

Aspatja:

Nie! mój Amintorze,  
Zostaniesz — bo — ja muszę tu odpocząć,  
Bo siła jakoś zaczyna odmawiać  
Już posłuszeństwa woli... Jakże tobie,  
Najlepsza duszo moja? Wielki Boże,  
Jak jabym chciała żyć jeszcze, żyć właśnie  
Teraz — tak — gdybym mogła, a czy wtenczas  
Tybyś mię kochał jeszcze?

Amintor:

O! niestety!  
Aspatjo moja, wszystko to, czem jestem,  
Jednego włosa twego nie jest godne!

Aspatja:

Podaj mi swoją rękę — moje ręce  
Omackiem w górę i nadół sięgają  
I znaleźć ciebie nie mogą — tak dziwnie  
Mdło! — Czy to twoja ręka — Amintorze?

Amintor:

Tak — o, najwyższe ty błogosławieństwo  
Na świecie — bierz ją.

Aspatja:

Tobie bardziej wierzę.  
Niż moim zmysłom. — Och! muszę umierać,  
Bądź zdrow! (*Umiera*)

Amintor:

Omdlewa! Aspatjo! Ratujcie!  
Na miłość nieba — wody! aby mogła  
Z tem ciałem życie zespolić na zawsze —  
Aspatjo, przemów! — jakto — nie pomogło?  
Szalony! — potrę jej skronie — co? jeszcze  
Żadnego ruchu? niech jaka moc tajna

Powie jej: «luba, Amintor cię wzywa»,  
 I niech odpowie mi! Przemów, Aspatjo...  
 Słyszałem kiedyś, że jeśli jest życie,  
 Dość nagiąć ciało — ot tak — a to życie  
 Da znak o sobie. — Niestety, skonała...  
 A jednak jeszcze ja jej nie opuszczę.  
 O! skoro o nic wbrew sprawiedliwości  
 Nie wolno błagać, to niechże ja nazwę  
 To miłosierdziem, jeśli się nade mną  
 Ulitujecie, wy, moce niebieskie,  
 I na maluczko lat tym pięknym pustkom  
 Błogostawionej duszy pożyczycie.  
 Daremnie — bogi już się mnie wyparty.  
 Raz jeszcze nagnę to ciało — Aspatjo —  
 O! już na wieki uleciała dusza,  
 A ja sam siebie krzywdzę, gdy tak długo  
 Trwam w rozłączeniu z nią. Czyliż mam jeszcze  
 Przemówić?... Luba, oto jestem z tobą.

*(Przebija się.)*

*Tłum. Feliks Jezierski.*

JOHN MILTON

(1608—1674)

Z «RAJU UTRACONEGO»

Grzech pierworodny i owoce drzewa  
 Zakazanego, które śmierci grozę  
 Przyniosło światu, a wraz pozbawiło  
 Ludzkość Edenu, póki Mąż najświętszy  
 Nas nie odkupił, by odzyskać niebo —  
 Śpiewaj, niebianko, co na tajnym szczycie  
 Horeb lub Synaj budziłaś natchnienie  
 W Pasterzu, który uczył lud wybrany,  
 Jako się począł w Bogu i z chaosu  
 Wyszedł zrab świata. — Lub jeśli ci miłszy  
 Syjon lub potok Siloe, co płynie  
 Tam, kędy Bóg się objawiał, więc zowąd  
 Błagam cię, pomóż pieśni mej zuchwałej,  
 Co dumnym skrzydłem ulecieć zamierza  
 Ponad Aońskich szczyty gór i pragnie  
 Opiewać rzeczy dotąd nieśpiewane!  
 Ty zwłaszcza, Duchu Święty, który wolisz  
 Od wszystkich świątyń czyste, prawe serce,  
 Ucz mię, bo wszystko Ty wiesz. — Na początku  
 Tyś był. — Potężne skrzydła rozpostarłszy,  
 Jak gołębicą wysiadałeś otchłan  
 I urodziłeś byt. — Co we mnie ciemne,  
 Oświeć, o Duchu; to, co chwiejne — podnieś,  
 Bym na wyżynie mych polotnych dążeń  
 Mógł Opatrzności dać żywe świadectwo  
 I człowiekowi stwierdzić drogi boże. —  
 Mów naprzód (bowiem niebo ani piekło  
 Nic ci nie skryje) — mów, z jakiej przyczyny  
 Praojce nasi, w ubłogostawionej  
 Żyjąc krainie rozkoszy — odpadli

Od swego Stwórcy, łamiąc jego wolę,  
 Jednym zakazem li zawarowaną?  
 Kto doprowadził ich do tego buntu?  
 Wąż to piekielny, którego złościwość,  
 Karmiona zbrodnią i zemstą, uwiodła  
 Matkę ludzkości; który dla swej pychy  
 Strącony z niebios z tłumem zbuntowanych  
 Swoich aniołów. — Przez nich on zamierzał  
 Sam zasiąść w chwale ponad towarzysze,  
 Ufny, że z Panem zrówna się wszechmocnym,  
 Gdy mu wytoczy bóg; w zuchwałym celu  
 Przeciw tronowi i monarchji Boga  
 Jął się bezbożnych walk — i dumnie walczył  
 W próżnych zapasach. — Potęga wszechmocna  
 W przepaść go z jasnych strąciła eterów  
 Z głuchym łomotem — precz — w głąb — ku bezdennej  
 Zagładzie — w otchłań, aby w diamentowych  
 Żył tam łańcuchach i w ogniu piekielnym,  
 Cierpiąc, że podniósł ramię przeciw Bogu. —  
 Dziewięć dni — licząc, jak liczą śmiertelni  
 Dni swe i noce — z armją swą piekielną  
 Padał rozbity w płomienistą otchłań —  
 Rozbity, jednak nieśmiertelny. — Niebo  
 Chowa nań sroższy gniew. — Podwójna męka —  
 Stracone szczęście i cierpienie przyszłe —  
 Dręczy go; wokół toczy wzrok pochmurny,  
 Gdzie czytasz wyraz bólu i niemocy  
 Wraz z twardą pychą — twardszą nienawiścią...  
 Więc, jak daleko duch sięga spojrzeniem —  
 Ogląda turmę: dzika to pustynia,  
 Ciemnica straszna, ze wszech stron okrągła,  
 Piec gorejący, olbrzymi. — Lecz z ognia  
 Tych niemasz światła. — Tylko mrok widzialny  
 Odkrywa nieco widowiska bólu,  
 Religji smutku, rozpaczliwych cieni,  
 Gdzie odpoczynek nigdy nie zamieszka  
 Ani przebywa ta, co żyje wszędzie —  
 Nadzieja! Tylko męczarnie bez końca  
 W milczeniu dręczą — i ognisty potop  
 Trwa, podsycany niezagasłą siarką:  
 Taką więc turmę zgotował Wszechmocny  
 Tym rokoszanom. — Z woli swej ją rzucił  
 W ćmę ostateczną. — A głębia ta leży  
 Od niebieskiego światła i od Boga  
 W takiej oddali, jak od środka ziemi  
 Liczyłbyś trzykroć po najwyższy biegun.

*Tłum. Antoni Lange.*

Czołgał się szatan, zwykły mąż z pozoru,  
 I przepatrywał, gdzie najpewniej może  
 Napotkać łup swój zamierzony: ludzką  
 Parę, jedyną, lecz zawierającą  
 Cały ród ludzki. W schronisku i w polu  
 Szukał, gdzie tylko drzew kępa lub ogród  
 Był powabniejszy, uprawny ich ręką;  
 Przy źródle, w cieniu, nad strumykiem szukał



Obojga, ale nade wszystko pragnął  
Spotkać osobno Ewę; pragnął, chociaż  
Nie liczył na tak rzadkie powodzenie.  
Niespodziewanie, tak jak życzył sobie,  
Ujrzał samotną Ewę, otoczoną  
Obłokiem wonnym, tylko do połowy  
Widzialną, pośród krzaków róży  
Czerwonych; często schylała się, aby  
Podpierać kwiaty na wąskich łodygach;  
Ich główki, żywo barwione purpurą,  
Lazurem, złotem, pstro skropione, często  
Zwisły nadół; tym przywiązywała  
Podpory z mirtu, nie myśląc o sobie,  
Że najpiękniejszym jest kwiatem, niewspartym,  
Dalekim od swej najlepszej podpory,  
A burza blisko! Szatan się przysuwał  
Przez różne ścieżki w cieniu cedrów, sosen  
I palm wyniosłych; wijąc się zuchwale,  
To się pojawiał, to niknął w gęstwinie  
Splątanych krzaków i kwiatów, którymi  
Dwie strony ścieżki obsadziła Ewa:  
Miejsce piękniejsze, niż te wymarzone  
Ogrody, w których powrócił do życia  
Adonis, albo te Alkinousa,  
Co podejmował Ulissesa, albo  
Ów niezmyślony, w którym król Salomon  
Z oblubienicą, piękną Egipcjanką,  
Spędzał swobodne chwile. Wielbił szatan  
Miejsce uroczę, lecz więcej osobę.  
Jak ten, co długo w ludnem przebył mieście,  
Gdzie domy liczne i kanały psują  
Powietrze, jeśli w świeży letni ranek  
Wyjdzie odetchnąć wśród wiosek i dworków,  
Cieszy się wszystkim, co spotkać się zdarzy:  
Zapachem zboża, skoszonego siana,  
Krową, oborą, każdym wsi widokiem  
I każdym dźwiękiem wiejskim; a gdy spotka  
Piękną dziewczynę, lekkim nimfy krokiem  
Idącą, wszystko, co dotąd uwielbiał,  
Jeszcze piękniejszym zda mu się, a ona  
W oczach swych wszystkie piękności jednoczy, —  
Tak czuł radość wąż, patrząc na kwietnik,  
Ustronie Ewy; tak sama, tak wcześniej!  
Postać niebieskich aniołów, lecz słodsza,  
Lecz łagodniejsza — niewieścia. Prostota,  
Luba niewinność, wdzięczny wyraz twarzy  
I ruchów zmogły złośliwość szatana,  
Zwolna stłumiły dzikość strasznych planów,  
Które go tutaj przywiodły. Przez chwilę  
Stał zły, jakoby swego zła pozbywszy,  
Był głupio dobry, rozbrojony z złości,  
Podstępu, zemsty, zazdrości, odwetu;  
Lecz piekło, co w nim nieustannie gore,  
Choćby i w niebie, skończyło niebawem  
Jego zachwyty; i tem większe teraz  
Uczuł tortury, im większe rozkosze,

A nie dla siebie, ujrzał zgotowane.  
 Pali go dzika nienawiść; witając  
 Wspomnienie wszystkich klęsk swoich, tak duuna:  
 «Myśli me, dokąd mnie wiedziecie? Jaka  
 Podniętą słodką, aż do zapomnienia,  
 Pocom tu przyszedł? Nienawiść, nie miłość!  
 Ani w nadziei raju zamiast piekła,  
 Ani w nadziei zażycia rozkoszy  
 Przyszedłem burzyć w świecie rozkosz wszelką:  
 Oprócz jedynej rozkoszy burzenia,  
 Już każda inna nie dla mnie. Nie stracę  
 Dogodnej pory, jaka się nastęrcza:  
 Kobieta sama, pokusić ją łatwo,  
 Mąż jej daleko, bom patrzył dokoła;  
 Bystrości jego rozumu się lękam,  
 Siły, odwagi dumnej i potężnej  
 Budowy członków, choć na ziemską miarę.  
 Nieprzyjaciela tego lekceważyć  
 Trudno; nie można go ranić, mnie można;  
 Tak mnie głęboko poniżyło piekło!  
 Tak siły dawne odjęła mi męka!  
 Piękna, niebiańsko piękna, godna bogów,  
 Ale nie budzi strachu, chociaż miłość  
 I piękność zwykle z strachem idą w parze,  
 Póki nie przyjdzie silniejsza nienawiść,  
 Gdy ustrojona w pozory miłości:  
 Tą drogą dążyć będę do jej zguby».  
 Tak nieprzyjaciel rodzaju ludzkiego,  
 Schowany w wężu, zły jego domownik,  
 Rzekł i ku Ewie pokierował drogę,  
 Nie w zwykły sposób czołganiem po ziemi,  
 Ale ku górze zatoczył swe kłęby  
 Jedne nad drugie, zwijając pierścienie  
 Labiryntowe; na łbie wielki grzebień,  
 Oczy świeciły mu, jak karbunkuły;  
 Z pośród falistych zwojów na murawie  
 Sterczała szyja zielonawo-złota.

— — — — —  
 Naprzód mknął ukosem,  
 Jakby się zbliżał, lecz nie śmiał przeszkadzać,  
 I niby sunął dalej swoją drogą,  
 Jak okręt, ręką zręcznego sternika  
 Wiedziony, gdy wiatr często się wykręca,  
 Do ujścia rzeki albo do przyładka,  
 Zawraca, znowu zmienia siłę żagli;  
 Tak i wąż zmieniał swoją krętą drogę,  
 Zwijając ogon w rozmaite węzły,  
 Aby uwagę Ewy zwrócić na się.

*Tłum. Władysław Bartkiewicz.*

#### Z «L'ALLEGRO»

Precz wszelka troska, wszelka męka!  
 Rzucam w ten piękny świat z okienka  
 «Dzieńdobry!» przez kwitnące róże  
 I wino, co się pnie po murze;

Piejąc radośnie z całej mocy,  
 Kur precz ostatki ploszy nocy  
 I po rycersku wiedzie dumnie  
 Rój towarzyszek swych po gumninie.

Słysz! psów szczekanie, rogów granie  
 W krąg się rozlega niespodzianie,  
 Śród kniej polata, śród polanek  
 I budzi senny jeszcze ranek.  
 Wiązów przechadzam się aleją  
 Po wzgórz zieleni, gdzie widnieją,  
 Zda się, złociste wschodu wrota,  
 Gdzie słońce pierwszą strzałę miota.  
 Lśniąc barw tysiącem, w krąg obłoki  
 Korzą się przed niem w czci głębokiej.  
 Tuż oracz pieśnią wita rano;  
 Nad ziemią, w brózdki pokrajaną,  
 Dzwoni mleczarki śpiew ochoczy,  
 I kosiarz lśniącą kosę toczy.  
 A tam w dolinie przy ruczajku  
 Pasterz swe plecie bajki, bajki...  
 Coraz więcej nowych zgoła  
 Uciech oko ma dokoła.  
 Szary ugór, jasna łąka,  
 Gdzie się trzoda, pasąc, błąka...  
 Gór jałowe twarde łoże,  
 Gdzie śpi chmurka, gdy się zmoże...  
 Niwa, lśniąca od zieleni...  
 Rzeka, co się srebrem mieni.

Wieże sterczą tam i blanki,  
 Skryte w drzew wyniosłych wianki;  
 Piękność mieszka w głębi sadów,  
 Ukochanie wszech sąsiadów.  
 Śród pary dębów rosochatej  
 Dym się z sąsiedniej kłębi chaty,  
 Kędy Korydon wraz z Tyrsytem  
 Siedli przy jadle smakowitem...  
 Jarzyny i plon sielski mnogi —  
 Wszystko z Fylidy rąk chędogiej;  
 By wiązać snopy czyżym lotem,  
 Do Testylisa bieży potem  
 Lub, gdy właściwy czas nastanie,  
 Na łąkę krzątać się przy sianie,  
 A czasem, gwoli cnej zabawy,  
 Schodzi się z wioski, kto laskawy.  
 Gdy dzwonią w krąg wesole dzwony,  
 Kiedy zadźwięczą skrzypek tony,  
 W pstrym cieniu ten i ów z ochotą  
 Młodzian z panienką w tan się splotą...  
 I starzy bawią się i młodzi;  
 W słoneczne święto, jak się godzi,  
 Dzień cały na zabawie schodzi.

— — — — —  
 A potem miasto w nas zajęcie budzi:  
 Gwar zatrudnionych ludzi,  
 Kędy w odświętnych szatach, za laurem w pogoni,  
 Mężni zebrali się rycerze i baroni  
 Z zastępem niewiast, co w jasnych osłode  
 Mając żrenicach, przysądzą nagrodę  
 Wraz o lepsze idących ducha i oręza,  
 Z których każde, by zdobyć wawrzyn, moc wyteża.  
 Nieraz tu Hymen jawił się najgodniej  
 W szafranowych szatach, przy blasku pochodni,  
 Z przepychem, pompą, biesiadą,  
 Paradą i maskaradą,  
 Jak to wymarzył poeta młody  
 Letnim wieczorem nad biegiem wody.  
 Potem uczoną pieśń Jonsona  
 Najlepszy sceny chór wykona,  
 Albo najslodsza zabrzmi lira:  
 Leśno-szalona pieśń Szekspira.

#### DO SŁOWIKA

Słowiku, kiedy w nocy ucichną gęstwiny,  
 Ty, siedząc na gałązce, tkliwe pienia glosisz  
 I, gdy wonny maj wiodą szczęśliwe godziny,  
 Miłością spiekłe serca i nadzieją rosisz.

Biednym kochankom błogiej zabłyśnienie doli  
 Kuka rano kukułka, ale twe płynące  
 Nuty ją uprzedzają — jeśli z niebios woli  
 Pieśni twe są balsamy, rany ich gojące.

Śpiesz się dla mnie zaśpiewać, harmonijny ptaku,  
 Śpiesz się, nim odgłos sowy przedgrobowych pieni  
 Zahuczy moją podróż do niewrotnych cieni;  
 Lecz nie wiem, czemu dla mnie nie śpiewasz, śpiewaku!  
 Czy cię muza, czy miłość towarzyszem mieni —  
 Ja obydwu im służę, jestem z ich orszaku.

—————  
*Tłum. Władysław Nawrocki.*

JOHN DRYDEN  
 (1631—1700)

UCZTA ALEKSANDRA  
 (w skróceniu)

Oto królewska biesiada...  
 Filipa chrobry syn  
 Spełnił zwycięski czyn;  
 Persja zdobyta — wysoko zasiada  
 Na tronie cesarskim półbóg młodzieńczy;  
 Niżej hetmani w dokolnem gronie,  
 Mirty i róże wieńczą im skronie  
 (Tak nieraz pustynię pęk liści uwieńczy).  
 U boku władcy przeurodziwa  
 Tais wdzięków kwiatem, młodości krwią błyska,  
 stna Wschodu odaliska.  
 Szczęśliwa to para, szczęśliwa!  
 Nikt a nikt — tylko dzielny mąż,  
 Nikt a nikt — tylko dzielny mąż,  
 Nikt inny wdzięków tych nie pozyska.  
     W chórze Tymoteus staje na czele,  
 Uderzył w lutnię... drżąca, przenajczystsza  
 W niebo wstępuje pieśń pod dłonią mistrza,  
 A w serca tchnie święte wesele.  
     Hołdem Zeusowi brzmią pierwsze tony,  
 Od chóru pobrzmiwa wtór:  
 «Wszak on opuścił błogostawiony  
 Swój olimpijski dwór  
 (Miłość, najstarsza z niebieskich cór  
 Wsze duchy swą siecią oplata),  
 I larwa smoka ognisto-skrzydłata  
 Skłamała boga: jej zwojem obłysnął  
 Piękną Olimpję, w promieniach zawisnął,  
 Chwycił w objęcia — i odcisnął  
 Obraz samego siebie, władcy świata!»  
     Wzruszenie, zachwyt w szal się przemienia;  
 «Tu bóstwo jest», grzmi okrzyk zdumienia;  
 «Bóstwo!» odgrzmiwały górne sklepienia,  
 A w tłumie ponad bohaterami  
 Góruje zwycięzca i słucha;  
 Powstał i pełną piersią w swego ducha  
 Wdycha to bóstwo: jak bóstwo, brwiami  
 Zdawał się dawać skinienia,  
 Zdawał się wstrząsać sferami.  
 Pod pieśnią w pychę wzbija się król,  
 Marzy o chwałach wśród krwawych pól,

Trzy razy prze wrogów, strzałami przeszytych,  
Trzy razy zabija zabitych.

I widzi mistrz, że wzmaga się szal,  
Że twarz rumieńcem, wzrok ogniem drgał...  
«Dość, dość: wyzwiałem ziemie i nieba,  
Teraz ten płomień uśmierzyć potrzeba».  
Więc mużę żalobną wybiera;  
By wzbudzić litość w duszy bohatera,  
Zaśpiewał o Darjusz: «On panował światu,  
Był wielki, dobry, dziś... biada, o! biada!  
Darjusz upada, upada, upada  
Z wysokiego majestatu,  
I oto ciało mocarza  
W broczącej krwi się tarza;  
Ów tłum, co niegdyś ochoczy  
Sycił się jego łaskami szczodremi,  
Odstąpił leżącego w marnym prochu ziemi,  
I niema, kto by zamknął konające oczy!»  
Smutek ogarnia marsowego syna,  
Spuszcza oczy... i była zadumy godzina,  
Zadumy nad Przeznaczeń blaskiem i upadkiem;  
Naprzód westchnienia budzą się ukradkiem,  
A wkońcu łza płynąć zaczyna.

— — — — —  
«O złota lutnio, uderz na nowo,  
W głośniejszą nutę, w drażniące słowo.  
Zrzuć pęta snu z jego prawicy,  
Wzbudź hukiem grzmotu, błyskiem błyskawicy».  
Słuchajcie! oto głos straszliwy  
Wstrząsnął jego głową;  
Zrywa się, jakby zmartwychwstał... o! dziwy!  
Wzrok ostępiały błądzi dokoła...  
«Ha! zemsta, zemsta», śpiewak zawoła:  
«Czy widzisz, jak tam piekielną zgrają  
Furje się zrywają,  
Jak wykarmione piersią każdej jędzy  
Z pod starganej włosa przedzy  
Gadziny syczą, jak tam krwawemi oczyma  
Wypuszczą iskry trupie to grono,  
A każda śmierci pochodnię trzyma...  
To duchy Greków, których uśmiercono  
Wśród mężobójczej rozprawy —  
Tam bez zadatku potomnej sławy,  
Bez łez zepchnięci na śmierci łono,  
Zalegli pokotem równinę.  
Wzniesł miecz karzący nad Persów zbrodniami,  
Pomścij waleczną drużynę.  
To duchy Greków trzęsą pochodniami,  
Martwą dłonią wskazują na Persów stolicę,  
Na wrogich bogów ich złote świątnice!»  
I oklask szalony był końcem biesiady;  
Król chwytą pochodnię pod hasłem zagłady:  
«Na boje, na boje»...  
W pochodzie piękna Tais przewodniczy,  
Oświeca drogę do przyszłych zdobyczy,  
I — jak druga Helena — pali drugą Troję.

Tak to pradawno, nim ciężki miech  
 Wyzionął pierwszy szeroki dech,  
 Organy jeszcze były niememi,  
 Ów mistrz nad mistrzów helleńskiej ziemi  
 Przez dyszące piersi fletu,  
 Przez melodyjny lutni dźwięk  
 Wyzywał z duszy boleści jęk,  
 Miłość i wściekłą żądzę odwetu.  
 Aż oto weszła w progi świątyni  
 Głosowych form wynalazczyni,  
 Ta marzycielka arcyświęta,  
 Cecylja — cenne rozwarła skarbnice,  
 Stargała dawnej muzyki pęta,  
 Rozwarła ciasne harmonji granice.  
 Więc hołd jej, hołd wiekuisty!  
 Ona w ton nikły, acz uroczysty  
 Wcieliła nowy nerw:  
 Ciągłość — a wszystko to sprawiła  
 Matki natury wszechwórcza siła  
 I cuda sztuki, nieznane pierw...  
 Wieszczu przedwieczny, odstąp jej triumfy swoje  
 Lub się koroną podzielcie oboje.  
 On wzniósł ku niebu śmiertelnych plemię,  
 Ona anioła zwabiła na ziemię.

## ZE «ZDOBYCIA GRENADY»

(Almanzor traci ukochaną przez siebie Almabidę; Lindaraksa usiłuje złagodzić tę ranę ponętami nowej miłości.)

## Almanzor:

Miłość — wszak to szaleństwo, pałace każdego  
 Kochanka; ale cóż to za rozkosz tak szaleć!  
 Miłość — zaczarowanie, krępujące rozum,  
 Ale jest raj w krainie tej zaczarowanej,  
 Jest pałac, wolen troski, cierpień i zazdrości,  
 Słodkie godziny bieg tam życia oszukują.  
 Odjąć te czary, wrócić mi wolność — doprawdy  
 Jest to samo, co wtrącić mię w otchłań nieszczęścia,  
 A ów rozum, którego leki mi zachwalasz,  
 Odnowi mękę, słodkim szałem rozpędzoną.

## Lindaraksa:

Ja też nie chcę jej leczyć, jak filozofowie,  
 Lecz wskażę tobie miłość w weselszej postaci:  
 Ty widziałeś ją smutną, krnąbrną i ponurą,  
 Ja wskażę ci ją pełną pogody, laskawą,  
 Słowem, mój żałośniku, ja ci wskażę miłość;  
 I uwierzysz, boś dotąd widział tylko rozpacz.

## Almanzor:

To prawda: w jej postaci ja widziałem rozpacz,  
 Lecz ty mi w jej postaci chcesz wskazać niestałość.

## Lindaraksa:

Niema na świecie tego, co ty zwiesz stałością,  
 Tu serc nie wiąże wiara, wszystko jest skłonnością,  
 I dopiero zwichnięty mózg, przekwitłe wdzięki

Stalość w kochaniu cnotą nazwały; zburzywszy  
 Graniczny słup przyjaźni, potem go fałszywie  
 Na granicę rzekomej miłości przeniosty:  
 Raz spróbuj skutków zmiany, umizgnij się do mnie  
 I nazwij mię — tak choćby żartem — Almabidą.  
 Ale to tylko rada niewinna; gdyż może  
 Twojego serca jabym nigdy nie zdobyła.

Alm a n z o r:

Chociaż jesteś tak piękna, jak letnie poranki,  
 A oczy masz świetniejsze, niż wszystkie te gwiazdy,  
 Co miotają iskrami wśród zimowej nocy,  
 Choć posiadasz wymowę, zdolną do wzbudzenia  
 I ogrzania miłością nieczulego starca,  
 Pustelnika w godzinie jego modłów — chociaż  
 Almabida me hołdy odpłaca pogardą —  
 Szlachetniej jest rozpaczać, niż uwieść się zmianą.  
 Moja miłość to dusza ma, a ta jest wolna  
 Od Losu — to niezmienna, to jest nieśmiertelna  
 Cząstka mnie.

L i n d a r a k ś a:

Niech więc ściga bez końca twą miłość  
 Fatum stałości, skoro chcesz zostać niezmiennym  
 Dla tej, która dla ciebie była tak fałszywa.

*(Odwraca się i odchodzi zagniewana.)*

*Tłum. Feliks Jezierski.*

JOHN BUNYAN

(1628—1688)

PIELGRZYMKA

(wyjątek)

...Pokazywali mu narzędzia, którymi niektórzy ze sług jego dokonywali cudów. Pokazali mu laskę Mojżesza, paszczękę, którą Samson spełnił tyle potężnych czynów, pokazali mu procę i kamień, którym Dawid zabił Goljata... O! tak, słyszeli tam nieustannie śpiew ptaków, widzieli, jak codziennie kwiaty wyrastały z ziemi, a z pola dochodził głos turkawki. W krainie tej słońce świeci dniem i nocą, albowiem było to poza doliną cienia i śmierci, dokąd nie dosięgnął już Olbrzym rozpaczny. Mieli już tedy przed oczami widok grodu, do którego szli, spotykając jego mieszkańców — było to bowiem nad brzegami nieba. W owej krainie odnawiała się umowa ślubów pomiędzy narzeczonym a narzeczoną. A nie potrzebowali już oni ziarna ani wina, gdyż było wszystkiego pod dostatkiem na ich pielgrzymstwo. Ode grodu słyszeli głosy mówiące: «Powiedźcie córce Syjonu: patrz, oto przychodzi zbawienie twoje...»

*Tłum. Feliks Jezierski.*

TOMASZ OTWAY

(1652—1685)

Z «DON KARLOSA»

(Po fałszywym oskarżeniu królowej o miłość z Don Karlosem król Filip rozkazuje strażom pochwycić ją.)

Don Karlos:

Ojczy (jeśli śmiem jeszcze tak nazywać ciebie,  
 Bo od tej chwili, przebóg! wątpiłem i nie wiem,  
 Czy jestem twoim synem, czy nie jestem)..

Król:

Jakto? więc mi ten potwór jeszcze śmie przemawiać!

Don Karlos:

O, królu! konający nie kryją swych myśli,  
 Więc, jeśli taką czujesz rozkosz w okrucieństwach,  
 Pierw, nim śmierć moja nową przyniesie ci rozkosz,  
 Racz posłuchać, jak dla mnie byłeś ty okrutny:  
 Niegdyś los do nas obu wspólnie się uśmiechał,  
 Tyś nie był jeszcze srogi, a ja nieszczęśliwy.  
 Wtedy, wtedy ja byłem twym synem, a słysząc  
 O mych hołdach ku ojcu, i tyś się radował;  
 Mówiłeś mi o słodkich urokach miłości,  
 O tajnikach, gdzie leżą bezcenne jej skarby,  
 I wskazywałeś drogę, prowadzącą do nich.  
 Więc idę — widzę — kocham — błogosławię ciebie...  
 A potem, kiedy miłość najświętszem ogniwem  
 Zespoliła ją z mojem sercem, wtedy, królu,  
 Ty ją od mojej piersi oddarteś przemocą.  
 I dziś, że krwawej rany mej ukryć nie mogę,  
 Że z tem głębszym urokiem pragnę jej widoku,  
 Ty chcesz mojego życia za jedno spojrzenie,  
 Niepomny wszech męczarni, które wycierpiałem.  
 Serce twoje żarem zazdrości wre za to,  
 Że ja kocham ją jeszcze, a ty już nie możesz.

— — — — —  
 Skoroś tedy zamierzył ucztę krwi wyprawić,  
 Możesz oto nasycić się moją. Ja kocham  
 Królowę i wyznaję to — o! jakżem dumny,  
 Gdy pomyślę, że kocham ją więcej od ciebie;  
 Chociaż, niebo mi świadkiem, ona jest przeczysta,  
 A jam niesprawiedliwy był i godny śmierci...

*Tłum. Feliks Jezierski.*

JONATHAN SWIFT

(1667—1745)

Z «PODRÓŻY GULLIVERA»

Gulliver w kraju Houyhnhnmów

...Gdym wszedł, podniosła się klacz i zbliżyła do mnie, a obejrzawszy z największą uwagą moją twarz i ręce, rzuciła na mnie spojrzenie pełne wzgardy; obróciła się potem do konia i słyszałem, że często powtarzała wyraz «Jahu», którego jeszcze nie rozumiałem, lubo był pierwszy, jakiegom się nauczył. Lecz niezadługo dowiedziałem się z ogromnem zmartwieniem znaczenia tego wyrazu. Koń dał mi znak głową, powtarzając wyraz «hune, hune», którym chciał oznaczyć, abym poszedł za nim. Zaprowadził mnie na podwórze, gdzie niedaleko od domu stał drugi budynek. Wszedłszy, zobaczyłem trzy z owych szkaradnych stworzeń, które zaraz po wylądowaniu spotkałem był na polu. Przywiązane były za szyje grubemi powrozami do wbitych w ziemię słupów, żywiły się korzeniami tudzież, jakem się później dowiedział, mięsem psów, osłów i zdechłych krów, które, trzymając w przednich łapach, szarpały zębami.

Pan koń rozkazał bułanemu, który był jego służącym, ażeby odwiązał jedno z tych zwierząt i wyprowadził na podwórze. Postawiono nas koło siebie, i pan ze służącym porównywali uważnie rysy naszych twarzy, przyczem często wymawiali



wyraz «Jahu». Nie mogę opisać zadziwienia i grozy, które mnie przejęły, gdym obaczył, że szkaradne to zwierzę podobną całkiem do człowieka ma budowę. Twarz jego była wprawdzie płaska i szeroka, nos też płaski, wargi zapuchnięte i bardzo grube, gęba szeroka; ale wymienione rysy twarzy są właściwe wszystkim dzikim ludom, gdzie dzieci czołgają się bezustannie na brzuchu, a matki noszą je zawsze na grzbiecie i plecami swojemi trą ciągle ich twarze. Przednie łapy tego Jahu różniły się od moich rąk jedynie długością paznokci, chropowatością i grubością, jako też brunatnym kolorem skóry, która była gęsto zarośnięta włosami. Nogi jego również były całkiem podobne do moich, ale konie nie domyślały się tego, bom nosił pończochy i trzewiki. Co do reszty ciała też sama była proporcja, wyjąwszy kosmatość i kolor skóry. Najbardziej to zastanowiło konie, że niektóre części mego ciała całkiem się różniły od odpowiednich tego zwierzęcia; winienem to być mojej odzieży, o której konie żadnego nie miały wyobrażenia...

Największem mojem usiłowaniem było nauczyć się języka krajowego, w czem mi pan mój (tak go odtąd będę nazywał), dzieci jego i służący we wszelaki sposób dopomagali. Uważali to za największy cud, że tak bezrozumne zwierzę objawia tyle oznak rozsądku. Wskazywałem na każdą rzecz, pytałem się o nazwisko, zapisywałem je w swym dzienniku, kiedy byłem sam, i uczyłem się akcentować należycie wyrazy, prosząc często członków rodziny mego pana, aby je przy mnie wymawiali. W tem zatrudnieniu dopomagał mi najwięcej rudy koń, jeden z niższych służących mego pana.

Houyhnhnmowie mówią i przez nos, i przez gardło. Język ich ma ze wszystkich języków europejskich, które znam, najwięcej podobieństwa do niemieckiego, tylko że jest ładniejszy i wyrazistszy. Cesarz Karol V uczynił też tę uwagę, że gdyby miał mówić ze swym koniem, mówiłby z nim po niemiecku. Mój pan tak bardzo chciał usłyszeć mnie mówiącego jego językiem, że wszystek czas wolny obracał nato, by mnie nauczać. Był przekonany, jak mi później powiedział, że jestem Jahu; ale pojętność moja, grzeczność i czystość niezmiernie go zadziwiły: te przymioty były całkiem przeciwnie naturze tych zwierząt. W najwięcej był niepewności co do mej odzieży i nieraz rozmyślał, czy ona jest też częścią mego ciała, czy nie: nigdy bowiem nie rozebrałem się wprzód, aż rodzina się oddaliła, a za jej przybyciem zawsze już byłem ubrany. Mój pan bardzo był ciekaw tego, skąd przybywam, gdzie nabył tego pozoru rozsądku, co się we wszystkich moich przebiegach czynnościach: pragnął usłyszeć moją historję z własnych mych ust i spodziewał się, że przy wielkich postępach, które czynię w uczeniu się wyrazów i sposobu mówienia, będę wkrótce mógł opowiedzieć mu to wszystko dosyć dokładnie. Celem ulżenia mojej pamięci napisałem sobie wszystkie wyrazy, których się nauczyłem, alfabetem angielskim wraz z ich tłumaczeniem. Z niezmierną trudnością zdołałem wyjaśnić memu panu to, co czynię, gdyż mieszkańcy tego kraju nie mają najmniejszego pojęcia o książce i literaturze.

Po upływie dziesięciu tygodni byłem w stanie zrozumieć większą część jego pytań, a po trzech miesiącach mogłem mu dawać dosyć dokładne odpowiedzi. Bardzo go zaciekawiło, z jakiego kraju przybywam, w jaki sposób nauczyłem się naśladować rozumne stworzenia; bo te Jahusy, do których twarzą, rękami i głową zupełnie jestem podobny, wyjąwszy ich skłonność do chytrności i złośliwości, są najmniej pojętne ze wszystkich zwierząt. Odpowiedziałem, że przybywam z dalekiego bardzo kraju, że na drewnianym statku przepłynąłem morze z wielu mojego rodzaju stworzeniami, które mnie wysadziły na ten brzeg i opuściły. Z wielkim jeno trudem i zapomocą wielu znaków potrafiłem opisać mu to zrozumiale. Mój pan powiedział mi na to, że się pewno mylę albo opowiedziałem mu rzeczy, które wcale nie istnieją. Houyhnhnmowie nie mają w swym języku wyrazu, oznaczającego kłamstwo lub fałsz...

Urządziłem sobie małe gospodarstwo podług swego życzenia. Pan mój rozkazał zbudować dla mnie na sposób krajowy małą chatę w odległości pięciu łokci od wła-

snego domu. Ściany jej i podłogę okryłem gliną i rogożami mojego wynalazku. Z dzikich, rosnących na polach konopi sporządziłem sobie gatunek grubego płótna i napełniłem je piórami ptaków, złowionych zapomocą siideł z włosia Jahusów; ptaki te były dla mnie zarazem doskonałym pokarmem. Zrobiłem też sobie nożem stół i dwa krzesła, przyczem kasztanowaty wielce mi był pomocny, osobliwie w trudniejszych i mozolniejszych częściach roboty. Gdy odzież moja się podarła, sporządziłem sobie inną ze skórek królików i pewnych pięknych zwierząt tejże wielkości, «nnuhnoh» zwanych, których skóra jest okryta najdelikatniejszym puchem. Z takich skórek zrobiłem sobie także dosyć wygodne pończochy. Trzewiki podzelałem małemi deszczulkami z drzewa, które przywiązałem do wierzchniej skóry; skoro i te były zużyte, zastąpiłem je skórą z Jahusów, suszoną na słońcu. Często wyjmowałem miód z wydrążonych drzew, mieszałem go z wodą lub jadłem z chlebem. Nikt przeto nie doświadczył lepiej ode mnie prawdy tych dwóch zasad, że natura daje się z łatwością zaspokoić i że potrzeba jest matką przemysłu.

Cieszyłem się najlepszem zdrowiem ciała i największym spokojem duszy. Nie martwiłem się niestałością lub zdradą przyjaciela ani obrazami jawnego lub skrytego nieprzyjaciela. Nie miałem sposobności do przekupywania, pochlebiania i płaszczenia się, do zjednywania sobie przychylności możnego lub jego faworyta. Nie miałem potrzeby bronić się przeciwko oszustwu lub uciemżeniu. Nie było tam lekarzy do niszczenia mego zdrowia ani prawników do rujnowania mego majątku, ani szpiegów do czatowania na moje słowa i czynności lub wymyślania za pieniądze skarg przeciwko mnie. Nie było szycerów, plotkarzy, oszczerców, złodziei, lotrów, adwokatów, podłych stręczycieli, głupców, graczy, polityków, mędrców, hipochondryków, nudnych gadułów, sprzeczników, gwałcicieli, morderców i wirtuozów ani naczelników stronnictw i partyj, podżegaczy do rozpusty przykładem lub zwodnictwem; żadnych więzień, toporów, szubienic i pęgieryzy ni kupców i rzemieślników oszukujących; nie było dumy, próżności ni afektacji, fanfaronów, pijaków i wszetecznic, swarliwych, niewiernych i kosztownych małżonek, głupich i dumnych pedantów ani natrętnych, zarozumiałych, kłótniowych, niespokojnych, krzykliwych, ograniczonych, dziwacznych, klnących towarzysów; nie było podłych, wynoszących się z prochu przez swoje występki, ni szlachetnych, ginących przez swoje cnoty; nie było wielkich panów, skrzypków, sędziów ni tanecmistrzów...

*Przeład bezimienny w «Bibl. Powszechnej»  
Poprawił Alfred Tom.*

#### WIERSZE NA ŚMIERĆ DOKTORA SWIFTA — PRZEZ NIEGO SAMEGO

Nad miastem jęknął dzwonek pogrzebowy,  
Wieść się rozbiega, krzyżują rozmowy:  
«Na śmierć gotujmy wszyscy grzeszne serca...  
Co też zostawił? gdzie jest spadkobierca?»  
Moje damulki, co umieją przecie  
Lepiej odgrywać rolę swą na świecie,  
Drętwieją z żalu na odgłos tej wieści:  
«Nasz Dziekan umarł! o, straszna boleści!  
Nasz Dziekan umarł — ach! wieczny nasz Panie,  
Racz mieć nad jego duszą zmiłowanie...»  
«Ja — wiem na pewno (dziś mówią tu wszędzie),  
Że całun sześciu dziekanów nieść będzie...»  
— Ma się rozumieć... Lady ukochana,  
Czy mąż twój przyjdzie na pogrzeb Dziekana? —  
«Co? na tak smutny obrzęd? a, broń Boże:  
Zajęty — właśnie ma być na wieczorze;  
Dla klubu smutna byłaby to chwila,  
Gdyby omieszkał stanąć do kadryla;  
On kochał Swifta, świadczę się mą duszą,  
Lecz i najdrożsi umierać nam muszą,

Przyszedeł czas — dobiegł do tej wiecznej bramy,  
 Gdzie jest mu lepiej; tak się spodziewamy».  
 — Ledwie rok minął — o, straszliwa zmiano!  
 Już ani wzmianki — ha! więc zapomniano.  
 Gdzie jest ów pieszczoch muz? skonał, niestety!  
 A za nim pójdą i dzieła poety.  
 I nie zasmuci nikogo ta strata,  
 Jakgdyby nigdy nie istniał wśród świata...  
 Patrz! jakiś szlachcic od wiejskiego płota  
 Wechodzi do sklepu wydawcy Liutota.  
 «Czego pan żąda?» a szlachcic odpowie:  
 «Dzieł Swifta prozą i wiązanej mowie».  
 Mój Linlot (brodząc pod wspomnień nawalem):  
 «Swifta? — nazwisko to kiedyś słyszałem;  
 Umarł przed rokiem?» — «Ten sam!» — i przewraca  
 Całą księgarnię — lecz daremna praca.  
 «Swifta?» — «Tak, Swifta». — «Aha, dobry panie,  
 Teraz wiem: możesz znaleźć go w Duck-Lanie,  
 Tam z nim odeszła cała książek plika  
 W ten poniedziałek do rąk paszтетnika.  
 Swift w swoich czasach rozgłośnie miał imię,  
 Był pewien rodzaj sprytu w jego rymie;  
 Dziś nie krążymy już po jego szlaku,  
 Dziś miasto przyszło do lepszego smaku,  
 Ja antykwarskim nie kupczę odpadkiem.  
 Zato nowinek mam tu poddostatkiem».  
 «Proszę o pokaz». — «Ten oto zawiera  
 Na urodziny, poemat Cibbera».

*Thum. Feliks Jezierski.*

MEDYTACJE NAD STARĄ MIOTŁĄ  
 (w skróceniu)

Tę miotłę, co w tym kąciku  
 Niedbale widzisz rzuconą,  
 Niedawno w naszym gajku  
 Pełną soków i zieloną  
 Widziałem na własne oczy,  
 A dziś robactwo ją toczy!  
 Napróżno człowiek, choć przeczy natura,  
 Chce ją naprawić, pychą się zaślepia  
 I do starego kostura  
 Ten brudny wiecheć przyczepia;  
 Niestety! miotła zwiędniała  
 Nie będzie, czem wprzód bywała  
 I owszem, całkiem zmieniła figurę:  
 Wierzch jej na ziemi, korzeń sterczy wgórze...  
 Przejęty żalością tkliwą,  
 Rzekłem, westchnąwszy głęboko:  
 — Zaprawdę, człowiek jest miotłą prawdziwą.  
 Przychodzi na świat — zielony,  
 Ale dobrze ukształcony,  
 Ma włosy, jak ma liście gałązka brzeziny,  
 Gdyż liście są włosami rozsądnej krzewiny.  
 Ale wkrótce je traci przez zbytłki, mozoły,  
 A gdy łysy, kiedy łeb, jak dynia, już goły,

Do pomocy wzywa sztukę  
I, jak ów kostur wiecheć, on bierze perukę,  
Kładzie puder, pomadę na tupet wyniosły,  
Choć na nim nigdy nie rosły!...  
Ale już słyszę, ktoś mi z boku powie:  
Miotła jest tylko drzewem, co stoi na głowie.  
Lecz i my ludzie czyż tak nie stoimy,  
Czyliż na głowach często nie chodzimy?  
Czyż niejeden przed władzą w koperczakach zwinny  
Nie ma tam głowy, kędy pięty być powinny?  
Z tyłą jednak słabości, chociaż nieraz chybi,  
Do czegoż się człowiek nie wścibi?  
Wszystko poprawia, wszystko wiedzieć żąda  
I w każdy kątek natury zagłada.  
A stamtąd, wymiatając rozmaite brudy,  
Kiedy w mniemaniu, że wynalazł cudy,  
Dumny przed światem odkrycia swe głosi,  
Jak miotła, tuman kurzawy podnosi!  
Jeśli ten kostur, wiecheć zaszargany  
Jest przez dziewczkę tak szarżany,  
Ach, w każdej kobiety ręku,  
A często nawet bez wdzięku,  
Czemże jest człowiek? Ach, co z nim wyrabia  
Płochą lekkość lub złość babia!  
Nie mówmy dalej: obu meta niedaleka,  
I ten sam koniec miotły, co człowieka.  
Gdy mało szczęścia, wiele doma złego;  
Gdy się przez chwilę pośmieje, posmuci,  
W starości — już niezdatnego —  
Ktoś, jak ten wiecheć, na śmiecie wyrzuci.

*Tłum. Julian U. Niemcewicz.*

## DANIEL DEFOE

(1660?—1731)

### Z «ROBINSONA CRUSOE»

...Ujrzałem pewnego poranku pięć łodzi u brzegu. Przypatrując się im z bijącym sercem, nie dostrzegłem ludzi; musieli już wysiąść i oddalić się. Przybyło ich zapewne mniej więcej trzydziestu, bo czterech do sześciu wsiadało zwykle do jednego czółna. Z tak liczną gromadą potykać się nie miałem odwagi; schroniłem się do swej warowni, przygnębiony i niespokojny, i poczyniłem przygotowania do obrony. Zniecierpliwiony, wylazłem na pagórek i umieściłem się tam w ten sposób, że sam będąc zasłonięty, mogłem widzieć wszystko dokładnie, zwłaszcza przez lunetę. Było ich rzeczywiście trzydziestu. Ująwszy się za ręce, tańczyli około płonącego ogniska. Uczta była już widocznie przygotowana, za chwilę mieli zabrać się do jedzenia.

Wtem dostrzegłem przez lunetę dwóch nieszczęśliwych jeńców, wywlekanych z łodzi. Jeden z nich, ugodzony drewnianym mieczem, padł natychmiast bez życia. Kilku dzikich rzuciło się na ciało, aby je porąbać. Drugi tymczasem stał na stronie, oczekując podobnego losu. Wtem dzieje się rzecz dziwna. Biedaczysko, korzystając z tego, że oprawcy, zajęci jego towarzyszem, nie zwracali na niego uwagi, pomknął z miejsca i zaczął biec z niesłychaną szybkością w kierunku mojej zagrody.

Struchlałem na ten widok, przekonany, że cała gromada ścigać go będzie... Dostrzegłszy, że trzech tylko ludzi ściga zbiegłą ofiarę, nabrałem odwagi, zwłaszcza, że uciekający biegł znacznie szybciej od swych prześladowców, i było rzeczą widoczną, że jeśli mu sił nie zabraknie, to im z pewnością ucieknie.

Pomiędzy dzikimi a moją zagrodą była zatoka morska, nieraz przeze mnie wspomniana; tam to bowiem przybijałem z tratwą, przywożąc rozmaite rzeczy z okrętu. Otóż, chcąc ująć pogoni, musiał biedak zatokę tę koniecznie przepłynąć. Rzucił się w wodę bez wahania i w kilkudziesięciu rzutach znalazł się z tej strony, poczem znów począł biec, nie ustając w szybkości. Dwóch tylko ścigających puściło się wplaw za nim; trzeci, widocznie nie umiejąc pływać, zawrócił i odszedł do swoich, co mu wyszło na dobre, jak się to wkrótce okaże. Ścigający potrzebowali dwa razy tyle czasu na przepłynięcie zatoki, co ich ofiara.

W tej chwili pomyślałem, że sam los zsyła mi tego zbiega na przyjaciela i przewodnika i że z woli Bożej powinienem ocalić mu życie. Zeskoczyłem prędko nadół, porwałem dwie przygotowane strzelby; wbiegłszy napowrót na pagórek, zbiegłem z niego ku morzu krótszą drogą, stanąłem wkrótce pomiędzy ściganym a goniącymi i zawołałem głośno na uciekającego. Odwrócił się, zatrzymał, ale patrzył na mnie z równym przestraszaniem, jak na tamtych swoich wrogów. Dałem mu znak, aby szedł za mną i nie bał się, a sam z wolna szedłem naprzeciw dzikich. Pierwszego z nich powaliłem na miejscu uderzeniem kolby, nie chcąc strzelać, aby huk nie przywabił tu innych. Tak samo chciałem postąpić i z drugim, ale gdym zauważył, że stanął i mierzy do mnie z łuku, musiałem go uprzedzić; dałem ognia i powaliłem go trupem.

Biedny jeniec tak był oszołomiony błyskiem i hukiem wystrzału, że stał na miejscu, jak posąg nieruchomy. Chociaż widział, że wrogowie jego padli, był jednak tak bardzo przerażony, że raczej uciekać miał ochotę, niż zbliżyć się do mnie. Zawołałem znów na niego i dałem znak ręką, żeby przyszedł. Zrozumiał i postąpił kilka kroków naprzód, zatrzymał się, potem znów uszedł kilka kroków i znowu stanął na miejscu. Domyśliłem się, że lęka się zginąć taką samą śmiercią, jak jego prześladowcy. Znowu więc zachęcałem go jak najprzyjaźniej, aby się do mnie zbliżył, usiłując dodać mu odwagi. Postępował naprzód, klękając co dziesięć kroków, aby w ten sposób wyrazić swą wdzięczność za ocalenie mu życia. Uśmiechnąłem się do niego życzliwie i dawałem znak ręką, aby bliżej jeszcze przystąpił. Uczynił to wreszcie. Klęknął, upadłszy na twarz, ucałował ziemię i, porwawszy mnie za nogę, postawił stopę moją na swojej głowie. Zdaje mi się, że w ten sposób przysięgał mi wierność i uznawał się niewolnikiem moim na całe życie...

Zabrałem go z sobą i zaprowadziłem do grotty w lesie... Przyniosłem mu chleba, rodzynek i świeżej wody; jadł i pił chciwie, bo głodny był i spragniony. Pokazałem mu w kącie postanie ze słomy ryżowej; rzucił się na nie i zasnął odrazu. — Był to młodzieniec mocny, kształtny i doskonale zbudowany, wyglądający na lat dwadzieścia sześć. Twarz miał piękną o wyrazie raczej łagodnym, niż dzikim. Uśmiech nadzwyczaj przyjemny, i gdyby nie kolor skóry, mógłby prawie być wzięty za Europejczyka. Czoło miał wysokie, oczy bystre i rozumnie patrzące, włosy czarne, długie, ale miękkie i niebardzo kędzierzawe. Twarz miał okrągłą i pełną, nos niewielki, ale wcale nie płaski, jak u murzynów, usta kształtne, a zęby równe i białe, jak kość słoniowa. Skóra jego nie była czarna, jak murzyńska, ani też brudno-żółta, jak u brazylijskich krajowców, ale raczej ciemno-brunatna. — Przedrzemawszy się jakie pół godziny, gość mój wybiegł z grotty. Doiłem właśnie kozy. Gdy mnie spostrzegł, przybiegł i starał się wszelkimi sposobami okazać mi swą wdzięczność. Wkońcu padł znów na ziemię i stopę moją położył na swej głowie, dając mi do zrozumienia, że oddaje się zupełnie na moje usługi. Ja również okazywałem mu, jak mogłem, życzliwość i przyjaźń. Zacząłem go zaraz uczyć wymawiania niektórych wyrazów. Nazwałem go «Piętaszkiem» od piątku, w którym to dniu życie mu ocaliłem, a do siebie kazałem mówić «Panie!» i nauczyłem go wymawiać i rozumieć wyrazy: «tak» i «nie»... Na drugi dzień kazałem mu iść za sobą, chcąc dać mu ubranie. Gdyśmy przyszli do miejsca, gdzie pogrzebani byli dwaj zabici, Piętaszek dawał mi przez znaki do zrozumienia, że trzeba ich koniecznie wykopać i zjeść! Popatrzyłem na niego surowo i wyraziłem mu na migi wstręt swój i obrzydzenie, następnie kazałem mu iść za sobą; usłuchał natychmiast, pokorny i uległy, jak dziecko...

*Przekład bezim., wyd. w Warszawie (1902).*

JÓZEF ADDISON

(1672—1719)

ZE «SPEKTATORA»

## O duchu partyjnictwa i jego zgubnych wpływach

Rozbiciu danego społeczeństwa na swarzące się ze sobą obozy winna jest niepokojna ambicja wyrafinowanych jednostek, które pod płaszczykiem państwowego dobra najsurowiej myślących ludzi potrafią wciągnąć w wir swych osobistych interesów. W ilu to uczciwych duszach zagnieździły się zło, a nieraz nawet barbarzyńskie pojęcia, pod wpływem fałszywie rozumianej gorliwości o dobro spraw publicznych! Do tych wszystkich niegodziwych kroków i do zniewag wszelkiego rodzaju w stosunku do członków przeciwnej partji nie byłiby oni wcale zdolni, jeśliby nie ulegali sugestjom i chcieli widzieć ludzi w ich prawdziwym świetle. Tak to jednostki o charakterze nieraz kryształowym dają się zwodzić z drogi uczciwości i popadają w sieć błędów i uprzedzeń, które wstyd ich imieniu przynoszą; wypaczają oni swe dusze w imię tak szlachetnej zasady, jak miłość ojczyzny. Trudno mi nie przytoczyć na tem miejscu znanego przysłowia hiszpańskiego: «Gdyby na świecie nie było ani głupców, ani nikczemników, wszyscy ludzie byłiby bez wyjątku jednej myśli».

Ja osobiście bardzobym sobie życzył, ażeby uczciwie myślące jednostki, bez względu na przynależność partyjną, zrzeszyły się w związek przeciw poczynaniom tych, których powinni uważać za swych wspólnych wrogów. Gdyby doszła do skutku tego rodzaju organizacja, nie byłoby wtedy takich wypadków, że na najwyższe stanowiska wybijają się typy najgorsze — dzięki temu jedynie, że jest to ku wygodzie danej partji; ani też nie usuwanoby w cień tych ludzi, którzy nie mogą się zniżyć do poziomu moralności praktyk partyjnych. Udałoby się wtedy wytrzebić złoczyńców, a głos oddać ludziom prawym. Przestalibyśmy wtedy patrzeć na swych współobywateli jako na Whigów czy też Torysów, lecz w każdym człowieku zasłużonym widzielibyśmy swego przyjaciela, w każdym nikczemniku — wroga.

---

Diodorus Siculus daje nam opis pewnego niezwykle dzielnego zwierzęcia, które, o ile sobie przypominam, zwie się «ichneumon»; praca całego jego życia polega na tem, że niszczy ono jaja krokodyle, gdziekolwiek je napotka. Instynkt ów jest tem bardziej godny uwagi, że ichneumon owemi jajami bynajmniej się nie żywi ani też ich nie potrzebuje do żadnego innego celu. Jeśliby nie trudy owego pracowitego stworzenia, Egipt — powiada ów historyk — roiłby się od mas krokodyli.

Jeśliby tak przypatrzeć się postępowaniu naszych partyjników, jakżeż niepodobni są oni owemu bezinteresownemu zwierzęciu. Calkiem naodwrot, czynami swemi przypominają oni raczej dzikich Tatarów, których niszczycielskie wysiłki obliczone są na zagładę ludzi najbardziej utalentowanych i w których przekonaniu wybitne zdolności człowieka uśmierconego przechodzą, z natury rzeczy, na tego, który go uśmiercił.

---

Obserwowany przeze mnie duch waśni partyjnych mocno mię niepokoi. Od jego tchnienia cierpi bowiem nietylko cnota i rozsądek; cierpimy nietylko my przez to, że się w barbarzyńców przeobrażamy, lecz, co gorsza, duch ten gotów jest przenieść partyjne namiętności nasze na potomstwo nasze i bardziej jeszcze pogłębić przepaście w życiu naszym. Trwoga prawdziwa ogarnia mię chwilami; zdaje mi się bowiem, że w swarach tych tli zarzewie wojny domowej. Gore dzieciom naszym!

*Tłum. Tadeusz Grzebieniowski.*

---

## ALEKSANDER POPE

(1688—1744)

## Z «WIERSZA O CZŁOWIEKU»

Poznaj siebie! Niech Boga myśl twa nie docieka,  
 Sam człowiek jest właściwą nauką człowieka.  
 On, zająwszy w stworzeniu ten stan pośredniczy,  
 Wielkość dziwną z światłem przyćmionem dziedziczy;  
 Na sceptyka zanadto ufa w swym rozumie,  
 Za wąty, by w stoików utrzymał się dumie;  
 Wątpiąc, jeśli spoczynek lub czynność obierze,  
 Nie wie, czy się już uznał za Boga lub zwierzę,  
 Czy swej duszy, czy ciału pierwszeństwo przysądził;  
 Rodzi się, aby umarł, rozprawia, by błdził.  
 Zawsze ciemny, gdyż taki ma rozum w udziale,  
 Czyto zgłębia za mało, czyli też za wiele.  
 W nim myśl z namiętnościami ciągly zamęt wznieca,  
 On sam się zawsze zwodzi i sam się oświeca,  
 Każde w nim uniesienie jest upadku bliskiem,  
 Pan moźny wszystkich rzeczy, sam wszystkich igrzyskiem;  
 Jedyń sędzia prawdy, błdzi doostatka,  
 Świata tego ozdoba, igraszka, zagadka.

Wznoś się, dziwne stworzenie, w nauki przestworza,  
 Mierz ziemię, waź powietrze, śledź w odmianach morza,  
 Wskaż planetom, przez jakie mają koła dążyć,  
 Popraw czas zestarzały, naucz słońce krążyć;  
 Niech się wzbije z Platonem do nieba myśl płodna,  
 Gdzie piękność, doskonałość, dobroć pierworodna;  
 Lub, zbłądziwszy wraz z jego naśladowców mnóstwem,  
 Sądz, że tracąc rozsadek, porównasz się z bóstwem;  
 Jak ów bramín na Wschodzie kręci się dokoła,  
 Tusząc, że tak bieg słońca naśladować zdoła.  
 Idź, popraw Najwyższego rząd świata tajemny,  
 Potem spojrzij na siebie, patrz, jak jesteś ciemny...  
 Niestety, gdy człowieka wyższa natchnie władza,  
 Nic jej postępow w licznych sztukach nie przeskadza;  
 Lecz gdy badać sam siebie jaką chęć okaże,  
 Co rozum przysposobi, to namiętność zmaże.

*Tłum. Ludwik Kamiński.*

## Z «RZECZY O KRYTYCE»

Czyli więcej sprawności owemu brakuje,  
 Co źle pisze, czy temu, co źle krytykuje —  
 Trudno powiedzieć; ale z tych dwóch mniej zaszkodzi  
 Ten, co nudzi cierpliwość, niż co umysł zwodzi.  
 Pierwszym sposobem kilku, drugim mnóstwo błdzi:  
 Jeden nie wczas napisze, dziesięciu źle sądzi.  
 Mógł niegdyś jeden głupiec sam sobie być zgrozą;  
 Dziś jeden wierszem robi, wielu innych prozą.  
 Zdania nasze wskazują, jak nasze zegary:  
 Wszystkie niezgodne, lecz któż swemu nie da wiary?  
 Rzadko się prawy genjusz w wieszczu napotyka,  
 Rzadko też i gust prawy jest działem krytyka.

Trzeba, by z niebios światło ten i ów wywodził,  
 Czy do pisania, czy się do cenzury rodził.  
 Niech uczą drugich sami w kunszcie doskonali,  
 Niech wolno sądzą tacy, co dobrze pisali.  
 Wiem, że przy swym dowcipie stronne są autory,  
 Lecz przy swym sędzie nie są uparte cenzory?  
 Jednak najdziemy, gdy rzecz rozważymy ściśle,  
 Iż wielu ma nasiona rozsądku w umyśle:  
 Natura im dostarcza prawidła obfite,  
 Postacie określone, choć słabo wryte.  
 Lecz jak rys cienki, im jest ciągnięty foremnie,  
 Tem przez złe ukształcenie bardziej się nikczemni;  
 Tak zmysł, z natury dobry, oszpecony bywa,  
 Gdy go w barwę przystroi nauka fałszywa.  
 Jedni zdziczeli, w szkolne zabrnawszy manowce,  
 Drudzy, z natury głupcy, wyszli na półgłowce.  
 Z stratą pospolitego zdania dowcip gonia,  
 Potem są krytykami, gdy się samych bronią...  
 Wszyscy głupcy świerzbiecie cierpią do szydzenia,  
 Radzi stać śmiejącym się zawsze u ramienia...  
 Ów uchodził za dowcip, wziął poety wieniec,  
 Wreszcie jął się krytyki i został szaleniec.  
 Ten — czy dowcip, czy krytyk? — nie można rzec o nim:  
 Ciężki, jak muł, a nie jest osłem ani koniem.  
 Na naszym wyspie takich półmędrków jest tylu,  
 Co półtwarzych owadów na mieliznach Nilu:  
 Rzecz nieskończona! ani wiek to, jak się zowie  
 Płodów ciepła i błota tak dwu-znaczne mrowie.  
 Liczyć ich? stu języków trzeba lub z gadaczów  
 Jednego, co potrafi stu znudzić słuchaczów.  
 Rozdawcy sławy, którzy na nią pracujecie,  
 A cne imię krytyków godnie nosić chcecie!  
 Znajcie własną donośność, niech każdy poszuka,  
 Jak daleko w nim idą: dowcip? smak? nauka?  
 Wara! niech strzał nad głębię waszą nie przesadza!  
 Baccie metę, gdzie rozum, gdzie głupstwo ugadza!

*Tłum. Jacek Przybylski.*

#### Z «PUKLA PORWANEGO»

...Srogi niepokój i gniew z udręczeniem  
 Nieszczęsną nimfę tajnym pożerał płomiem:  
 Ni młody rycerz w boju, gdy koń mu się zwije,  
 Ni smutna panna, kiedy wdzięki swe przeżyje,  
 Ni czuły amant, gdy się w nadziejach zawodzi,  
 Ani stara konteska, gdy zmarszczek znachodzi,  
 Ani krwi chciwy tyran, gdy, bluźniąc, umiera,  
 Ni Kloe, kiedy w tańcu fartuszek rozdiera —  
 Nie przeklinali z taką rozpaczą swych losów,  
 Jak ty, smutna Belindo, porwanie twych włosów!  
 Skoro tłum sylfów pukła nie zdołał ocalić,  
 I zapląkany Arjel musiał się oddalić —  
 Los nimfy zostawiając biegowi natury,  
 Umbrjel, duch zasępioy, smutny i ponury,  
 Spuszcza się w środek ziemi, do ciemnej jaskini,  
 Kędy zmarszczona splinu mieszkała bogini.



Na okopconych skrzydłach gnom ciężki przybywa  
 W pieczary, które gęsta mgła zewsząd okrywa.  
 Nigdy krain tych zefir nie chłodzi wesoty,  
 Gęsta para napelnia nieszczęsne padoly;  
 Tam w grocie, cieniem zewsząd okrytej zawisnie;  
 Kędy promień słoneczny nigdy nie zabłyśnie,  
 Smutna bogini na swem łożu wiecznie wzdycha;  
 Migrena przy jej głowie, obok boleść cicha.

Przy tronie zastał damy honoru stojące,  
 Równe urzędem, ale twarzą się różniące:  
 Tu stała zła natura, nakształt panny starej,  
 Z czołem w zmarszczki porytem i w zasłonie szarej;  
 W ręku miała modlitwy i różańców trzosi,  
 A na piersiach obmowy i paszkwilów stosi.

Dalej afektacja — tej w schorzałej minie  
 Kwitną różę, jak w roku szesnastym dziewczynie.  
 Nauczona szepleńić i jak głowę schylać,  
 Jak poważnie omdlewać i jak się przymilać.  
 Członki jej niby słabe, lecz w istocie zdrowe,  
 Tłoczyły odniechcenię wezglowia puchowe.  
 Damy nasze chorobę zwykły cierpieć taką,  
 Gdy u rywalki nowe postrzegą karako.

Gęste chmury nad gmachy panują smutnemi,  
 Dzikie widma z mgłą razem podnoszą się z ziemi,  
 Straszne, jak pustelników odludnych widzenia,  
 Lub świetne, jak gasnących panien zachwycenia.  
 Raz smoki, ogniem tchnące, i jędze zażarte,  
 Płomienie, blade trupy i groby otwarte.  
 Znów sceny elizejskie, przezroczyście zdroje,  
 Latające aniołki i złote pokoje.

Tam omackiem błąkał się tłum ciał niezliczonych,  
 Mocą splinu w postaci różne przemienionych.  
 Tu stoi imbryk żywy: lewa ręka zgięta,  
 Udaje uszko; rurkę — prawa wyciągnięta.  
 Tu, jak trójnog Homera, ronderek wypada,  
 Tam wzdycha filiżanka, a tu pasztet gada.  
 Mężczyzna mniema, że płód w żywocie swym nosi,  
 Panna sądzi się flaszka i o korek prosi.

Gnom przez widma tak dzikie i durzące wiecznie,  
 Woniami okurzony, przechodzi bezpiecznie  
 I tak mówić zaczyna: «Dziwaczna królowo,  
 Która rządzisz płcią piękną i mężczyzn połową,  
 Piękna matko waporów, ty, co przez gradusy  
 Wzbudzasz w ludziach żółtaczki lub wierszów raptusy;  
 Ty, co sprawiasz, że podług skłonności i mody  
 Jedni biorą enemy, drudzy bazgrzą ody;  
 Która dajesz głupiemu postać zamyśloną  
 I oddalasz od świata dewotkę skwaszoną:  
 Jest nimfa, co pogardza twą władzą bogini,  
 Sama wesola, drugich wesolymi czyni;  
 Lecz przebóg! jeśli gnom twój dla samej zabawki  
 Na pięknych ustach umiał wywodzić brodawki,  
 Jeśli zwiędłym matronom przez sposoby nowe  
 Umiał ogniem zapalać twarze cytrynowe,  
 Jeśli mniemane rogi na głowach budował,  
 Miał spódnice, gniotł łożka i fryzury psował

Lub wzbudzał podejrzenia, gdzie nie było winy,  
 I rozwodził małżeństwa bez żadnej przyczyny;  
 Jeśli pieskowi umiał zatwardzenie sprawić,  
 Tak iż płacz pięknych oczu nie mógł go wybawić:  
 Słuchaj mię — racz w Bełndzie smutek taki wzbudzić,  
 By splinem swoim mogła świat na śmierć zanudzić».

Bogini, poziewając od ucha do ucha,  
 Zdaje się, że odmawia, gdy łaskawie słucha  
 Prośb jego; i natychmiast wór mu daje duży,  
 W jakim Ulisses wiatry chował w swej podróży;  
 W nim zamyka kobiece wapory i mdlenia,  
 Chorobę śledzion, swary, łkania i westchnienia;  
 Nadto wlewa w flaszczykę tajemnice pewne,  
 Słodkie gniewy, boleści, żale i tży rzewne:  
 Gnom, radością przejęty, odbiera te dary  
 I leniwym polotem opuszcza pieczary.

*Tłum. Julian U. Niemcewicz.*

## OLIWER GOLDSMITH

(1728 ?—1774)

### Z «WIKAREGO Z WAKEFIELDU»

...Wróciwszy, zastaliśmy oprócz naszego kolatora paru nieszczególnie się prezentujących jegomościów i dwie młode strojne damy, które przedstawił nam jako osoby wyższego towarzystwa ze stolicy. Ponieważ dla tak licznego towarzystwa zabrakło krzesel, więc pan Thornhill zaproponował natychmiast, by każdy z panów posadził sobie damę na kolanach. Temu ja sprzeciwiłem się stanowczo, pomimo znaków, jakie mi dawała żona. Wyprawiliśmy więc Mojżesza, aby pożyczył kilka krzesel u sąsiadów, a że do kontredansa brakło pań, tamci dwaj panowie poszli z nim postarać się o partnerki. Wkrótce znalazły się jedne i drugie. Panowie wrócili z rumianemi córkami mego sąsiada Flamborough, przystrojonemi w ponsowe kokardy. Ale, niestety, okazało się, że chociaż panny Flamborough stynęły jako najlepsze tancerki w okolicy i doskonale tańczyły dryga i wirowe tańce, nie miały pojęcia o kontredansie. To nas trochę stropiło; lecz przy dobrych chęciach, wskazówkach i popchnięciu tu i tam jakoś poszło. Orkiestra składała się z dwóch skrzypiec, piszczałki i bębna. Księżyc świecił jasno. Pan Thornhill prowadził tańce z moją starszą córką, ku wielkiemu zadowoleniu widzów; sąsiedzi bowiem, zasłyszawszy, co się u nas dzieje, zbiegli się tłumnie. Oliwja poruszała się z takim wdziękiem i swobodą, że żona moja znów urosła w dumę i zwierzyła mi się pocichu, że chociaż ta smarkata ma dużo wrodzonej zręczności, jednak nicby to jej nie pomogło, gdyby nie wzorowała się na matce. Panie ze stolicy starały się dorównać Oliwji, ale bez powodzenia. To sunęły powłóczyście, to skakały jak kozy, to znów przybierały omdlewające miny lub wyrzucały głowami jak młode żrebaki — wszystko napróżno. Widzowie wprawdzie chwalili, ale sąsiad Flamborough zauważył, iż nóżki panny Liwy tak się zgadzają z muzyką, jakgdyby były jej echem. Po upływie godziny obie damy, lękając się zaziębić, położyły kres tańcom. Jedna z nich przy tej sposobności wyraziła się dosyć — jak mi się zdawało — ordynarnie, mówiąc, że «dalibóg spościła się jak mysz».

Wszedłszy do domu, zastaliśmy bardzo elegancką zimną wieczerzę, którą pan Thornhill sprowadził ze sobą. Rozmowa przy stole stała się trochę wstrzemięźliwsza, niż poprzednio. Obie damy zakasowały w zupełności moje córki; mówiły bowiem ciągle tylko o wielkoświatowym życiu, o wielkoświatowym towarzystwie i innych modnych tematach, jak malarstwo, Szekspir i muzyka. Wprawdzie parę razy wymknęło im się jakieś przekleństwo, co nas potrosze stropiło, ale uważaliśmy to jako niezbity dowód ich dystynkcji (potem dopiero dowiedziałem się, że przekleństwa nie należą bynajmniej do dobrego tonu). Były jednak obie tak eleganckie, że ta elegancja rzucała zasłonę na

wszystko, co mogło się wydawać nieokrzesane w ich rozmowie. Moje córki spoglądały na nie z zazdrością, uważając to, co im się mogło wydawać niestosownem, za szczyt wykwintego wychowania. Zresztą, uprzejmość i wyrozumiałość obu dam przewyższała ich inne zalety. Jedna z nich zauważyła, że gdyby panna Oliwja poznała trochę świata, byłoby to z wielką dla niej korzyścią. Na co druga dodała, że jedna zima w stolicy zmieniłaby «Zosienkę» do niepoznania. Moja żona przytaknęła temu gorąco, dodając, że niczego tak nie pragnie, jak żeby jej dziewczęta nabrały trochę światowej ogłady. Na to nie mogłem się powstrzymać od uwagi, że ich wychowanie już i tak przewyższa ich materialne położenie i że jeszcze większa wytworność uwydatniłaby tylko w śmieszny sposób ich ubóstwo, wyrabiając w nich przytem upodobanie do rozrywek, do jakich nie mają prawa. «Ach», zawołał pan Thornhill, «do czegoż nie mają prawa te, które same tyle z siebie dać mogą? Co do mnie», ciągnął dalej, «mam duży majątek; miłość, swoboda i rozrywki to są moje maksymy: ale niech zginę, jeżeli nie oddałbym połowy mego mienia, by sprawić przyjemność mojej uroczej Oliwji, i nichym wzamian nie żądał, prócz tego, by i moją osobę przyjęła w dodatku». Nie byłem do tego stopnia obcy światowym obyczajom, aby nie wiedzieć, że pod pokrywką tych miódowych słówek kryła się najbezcześniejsza intencja; pohamowałem się jednak, aby nie okazać mego oburzenia. «Panie», zawołałem, «rodzina, którą obecnie zaszczytasz swem miłem towarzystwem, posiada również drażliwe poczucie honoru, jak pan. Wszelkie uwłaczające w tym kierunku pokuszenia mogą pociągnąć za sobą bardzo niebezpieczne następstwa. Honor jest obecnie jedynem naszym mieniem i musimy dbać bardzo o zachowanie tego ostatniego «karbu». Pożałowałem jednak zaraz uniesienia, z jakim to wypowiedziałem, gdyż pan Thornhill, chwytając moją rękę, zaczął przysięgać, że moje podejrzenia są całkiem bezpodstawne, aczkolwiek moja drażliwość bardzo mu się podoba. «Co się tyczy ostatnich moich słów», ciągnął dalej, «upewniam pana, że taka myśl nie powstała nawet w mojej głowie. Nie, na wszystkie pokusy świata! Cnota, która potrafi stawić czoło obłączeniu, nie była nigdy w moim guście; bo zwykłem przeprowadzać moje miłostki en un tour de main».

To ostatnie wyznanie wiary wielce się nie podobało obu damom: natychmiast zaczęły bardzo poważną rozprawę o cnocie, w której moja żona, kapelan i ja wzięliśmy udział, co tak podziało na pana Thornhilla, że wreszcie wyraził pewną skruchę z powodu swych dawniejszych wybryków. Ja zaś tak byłem rad obrotowi, jaki wzięła rozmowa, że pozwoliłem malcom pozostać dłużej przy stole gwoili zbudowania ich tak pouczającą wymianę zdań. Pan Thornhill przeszedł nawet moje oczekiwania, wystąpił bowiem z propozycją wspólnej modlitwy. Z radością przystałem na to, i wieczór upłynął jak najprzyjemniej, aż wreszcie towarzystwo zaczęło myśleć o powrocie.

*Tłum. Hajota (H. J. Rogozińska).*

## LAURENCE STERNE

(1713—1768)

### Z «PODRÓŻY SENTYMENTALNEJ»

#### Puls (Paryż)

Drobne przyjemności życia drogę jego gładzą i miłszą czynią. Wdzięki, piękność sposobią do miłości za pierwszym wejrzeniem; otwierają drzwi jej przybytku i wprowadzają do niego cudzoziemca.

«Bądź, pani, łaskawa powiedzieć, którądy iść na operę komiczną?» — «Bardzo chętnie», odpowiedziała mi, porzuciwszy robotę.

Zajrzałem do pięciu lub sześciu sklepów, szukając twarzy, któraby się nie zmarszczyła na to zapytanie — ta mi się nakoniec podobała i wnet wszedłem.

Siedziała na niskim stołku, w głębi sklepu naprzeciwko drzwi, dziergając mankielki.

«Bardzo chętnie», rzekła, a położywszy na bliskim sobie stołku robotę, wstała z wejrzeniem tak wesołym, tak przyjemnym, że gdybym był wydał sto dukatów w jej sklepie, mógłbym powiedzieć: ta kobieta jest wdzięczna.

«Trzeba się obrócić, mówiła, idąc ze mną ku drzwiom i wskazując mi ulicę, trzeba się obrócić w lewo — ale ostrzegam, że będą dwie ulice, należy pójść drugą. Uszedłszy nieco, zobaczysz WPan kościół; gdy ten miniesz, obrócisz się w prawo, a ta ulica zaprowadzi go aż do nowego mostu, przez który przejść należy — tu już każdy mu chętnie resztę drogi wskaże».

Powtórzyła mi to samo po trzykroć, z równą cierpliwością i dobrocią raz trzeci, jak pierwszy; a jeżeli ton mowy i gesta mają znaczenie, które mają pewnie dla serc czułych, zdawało mi się, że ją obchodzi, ażebym nie zbłądził.

Nie uszedłem dziesięciu kroków, a już zapomniałem o tem, com od niej usłyszał. Obejrzałem się i postrzegłem ją, stojącą jeszcze we drzwiach, jakżeby uważała, czy tu nie pomyłę. Wróciłem do niej, aby zapytać, czy mi iść zrazu należało w prawo czy w lewo, gdyż zapomniałem wszystkiego, rzekłem.

«Czy podobna?» — odpowiedziała z półusmiechem. «Bardzo podobna», mówiłem jej, «kiedy się zważa więcej na osobę, niżeli na to, co ta nam powiada». Było to prawdziwe wyznanie; przyjęła je, jak wszystkie kobiety przyjmować zwykły rzeczy im miłe, i lekko mi się skłoniła.

«Zaczekaj», rzekła mi, kładąc rękę na mojem ramieniu, jakby mię zatrzymać chciała. Wtem zawołała chłopca z tylnego sklepu, żeby jej niebawnie przyniósł pakiet rękawiczek. «Mam go» — powie — «właśnie posłać z niemi w tamtą stronę — jeśli się podoba WP. wrócić na chwilę, wnet przyjdzie i zaprowadzi go na miejsce». Wszedłem więc z nią znowu do sklepu; zdjąłem ze stołka mankietki, w chęci spocznienia na nim — siadła na swoim niskim stołku, i ja siadłem tuż przy niej. — «Za moment przyjdzie», mówiła mi. Ja też w tym momencie chciałbym jej powiedzieć, jak czuły jestem na wszystkie jej grzeczności. «Niemasz nikogo, coby przypadkiem czegoś nie uczynił, co dobrego serca dowodzi; ale ciąg tym podobnych uczynności jest skutkiem charakteru i temperamentu. Jeżeli wychodząca krew z serca jest ta sama, która płynie do najdalszych części ciała, pewny jestem» — dodałem, dotykając jej ręki — «iż niemasz kobiety, któraby lepszy puls miała». — «Doświadczyć go WPan» — rzekła, wyciągnąwszy rękę. Położyłem natychmiast kapelusz, ująłem jej palce jedną ręką i położyłem dwa pierwsze palce mojej ręki drugiej na jej arterji.

### Mąż (Paryż)

Już naliczyłem dwadzieścia uderzeń pulsu i do czterdziestu dociągnąć chciałem, gdy mąż jej, niespodzianie z pobocznej wyszedłszy izby, pomieszał nieco moją rachubę. «Jest to mój mąż» — rzecze — «nie szkodzi». Zacząłem liczyć na nowo. «Jegomość jest tak grzeczny» — dodała, gdy blisko nas przechodził — «iż chce się fatygować doświadczeniem mojego pulsu». Mąż, zdjawszy kapelusz, ukłonił mi się i powiedział, że mu nadto wiele zrobiłem honoru. Nakrył znowu głowę i odszedł. Boże! wykrzyknąłem i pomyślałem sobie, może-ż ten człowiek być mężem tej kobiety?

Wielu wie pewnie, co mi było powodem wykrzyknienia tego. Niech ich nie uraża, że to powiem tym, którzy o tem nie wiedzą.

W Londynie kupiec z żoną swoją są jedną nierozdzieloną całością; czasem w jednym z nich, czasem w drugim świetnieją różne przymioty duszy i ciała; lecz jednoczą je razem, są zawsze w parze i usiłują przypadać do siebie tak ściśle, jak tylko to czynić mąż i żona powinni.

W Paryżu ledwie widzieć można dwa rzędy istot bardziej od siebie różnych... Genjusz narodu, w którym niemasz nic salicznego, czyli wyłączającego kobiety, prócz monarchji, odstąpił ten wydział, podobnie jak wiele innych, całkiem kobietom; te przez ustawne szczebiotanie i obcowanie z przybywającymi i odchodzącymi wszelkich stanów osobami są nakształt różnych kamyków, które tarciami się jedne o drugie tracą chropowatość swoją, a niekiedy nabywają gładkości i blasku szlifowanego diamentu. Pan mąż niewiele więcej wart od kamienia pod nogami.

«Jak znajdujesz WPan bicie mego pulsu» — zapytała mnie. «Tak jest łagodny» — odpowiedziałem, wpatrując się w nią ciągle — «jakimem go sobie wystawiał». Grzecznego miała mi coś nawzajem powiedzieć, wtem chłopiec przyszedł z rękawiczkami.

## Tłumaczenie (Paryż)

Jednego wieczora szedłem na koncert Martiniego w Medjolanie i tylko co miałem wnieść do sali, kiedy z niej margrabina F... z takim wychodziła pośpiechem, że pierwszej wpadła na mnie, nimem ją spostrzegł. Uskoczyłem nabok, by zostawić jej przejście; również w tę samą stronę uskoczyła i ona, tak że się głowy nasze spotkały — wnet w drugi bok się zwróciła, i ja nieszczęściem w tenże bok się rzuciłem, tak że znowu przeszkodziłem jej przejściu — jeszcze raz powtórzyliśmy to samo poniewolnie z wielką śmiesznością i zapłoniliśmy się nieznośnie — nakoniec uczyniłem to, co odrazu uczynić należało; stanąłem spokojnie, a margrabina przeszła bez trudności. Nie mogłem wejść do sali, póki bym jej nie przeprosił za moją niezgrabność; przeprowadziłem ją tedy oczyma aż do końca przejścia. Obejrzała się po dwakroć i tak szła wzdłuż muru, jakżeby chciała zostawić miejsce mającemu przejść koło siebie. Nie — mówiłem sam sobie — niedobre to tłumaczenie; ma ona prawo wymagać ode mnie wymówki i miejsce mi zostawia do tego. Biegnę więc do niej, prosząc o przebaczenie za sprawioną jej zawadę, i mówię jej, że myślą moją było zostawić jej wolne przejście. Odpowiedziała mi, że takiż jej względem mnie był zamysł. Wzajemnie więc dziękowaliśmy sobie. Stała jeszcze na schodach; ja, nie widząc nikogo przy niej, podałem jej rękę celem odprowadzenia jej do pojazdu. Zeszliśmy ze schodów, zatrzymując się na każdym niemal stopniu, i mówiliśmy to o koncercie, to o naszym trafunku. Wsadziliśmy ją do karety, «prawdziwie, Pani» — rzekłem — «sześć razy usiłowałem wolne jej zostawić wyjście». — «Ja tyleż zrobiłam poruszeń» — odpowiada mi — «chcę mu dać wolne wejście». — «Obyś jeszcze, Pani, uczyniła to samo raz siódmy» — dodałem. «Bardzo chętnie» — rzecze, robiąc mi miejsce w pojeździe. Życie zbyt jest krótkie, żeby się trudzić długimi formalnościami. Wsiadłem wnet, i odwiozła mnie do domu ze sobą. A cóż się stało z koncertem? — ci, co na nim byli, lepiej o tem wiedzą ode mnie.

Przydam to tylko, że związek przyjemny, z tłumaczenia tego wynikły, więcej mi sprawił rozkoszy, niżeli jakikolwiek inny, który miałem szczęście zawrzeć we Włoszech.

## Marja (Mulin)

O pół mili od Mulin na wąskiej ścieżce, wiodącej do gaju, postrzegłem biedną Marję, siedzącą pod topolą, z łokciem opartym na kolanach i głową pochyloną na rękę. Strumyk mały płynął przy drzewie. Była w bieli. Do gorsetu przydała także wstążkę bładozieloną, która, przepasując jej ramię, spadała do pasa; na końcu jej wisiał flecik. Jej koza, również jak jej kochanek, stała jej się niewierną, miała zamiast niej pieska, którego trzymała na sznurku, przywiązany do ręki. Gdym spojrzał na pieska, pociągnęła go ku sobie. «Nie porzucisz mnie, Sylvio» — rzekła. Wpatrując się w nią, widziałem, że więcej myślała o ojcu, niżeli o kochanku i kozie swojej, bo gdy wspomniała o nich, łzy jej się z oczu puściły.

Siadłem tuż przy niej, i dozwoliła mi otrzeć je chustką moją. Zkolei otarłem nią moje i znowu jej łzy jeszcze; gdy to uczyniłem, niewypowiedzianych doświadczałem uczuć, które pewnie nie pochodziły z połączenia materji z ruchem.

Oh! pewny jestem, że mam duszę. Wszystkie dzieła, któremi materjaliści świat zarazili, nie przekonają mnie o jej niebytności. *Przekład bezimienny z r. 1817.*

EDWARD YOUNG

(1681—1765)

Z «MYŚLI NOCNYCH»

Słodki śnie, ty, którego balsamiczne tchnienie  
 Nową mocą zemdlone krzepi przyrodzenie...  
 Ale próżno go wzywa stęskniona powieka,  
 Tak on, jak świat zepsuty, od nędzy ucieka:

Na suchem siada oku, szczęściu towarzyszy,  
A unika mieszkania, skąd jęki usłyszy.  
Oddawna nie spoczywam w łożu, lecz się trudzę,  
I nagle po burzliwej snu chwili się budzę.  
Szczęśliwi, którym wiecznie powieka zapadła!  
Jeśli ich w grobie czarne nie trwożą wzdziadła.  
Jakże od natrętnego dzikich marzeń tłumu  
Bite były me zmysły w czasie snu rozumu!  
Ach, jak nędze po nędzach na mnie się ważyły!  
Czułem rozpacz dla nieszczęść, które mi się śniły.  
Przychodzę do rozumu: widzę, żem się ludził.  
Biedny! i cóż zyskałem w tem, żem się przebudził?  
Bynajmniej w tej odmianie stan się mój nie zmienia,  
Prawda jeszcze jest sroższa, niż srogie marzenia.  
Dni nie starczą łzom, które oko moje leje;  
A noc, gdy nawet w całą czarność się odzieje,  
Nie jest czarna przy losu mojego postaci:  
Przy smutku mojej duszy swą posępność traci...

Kiedy ciało pod własnem znużeniem ulegnie,  
Dusza, bez wsparcia zmysłów, górnym lotem biegnie:  
To po murawach stąpa, wonne kwiaty zrywa,  
To znowu czarne puszcze samotna przebywa;  
Tor ludzki wśród manowców dzikich znaleźć żąda,  
A nigdzie ją cieszących śladów nie ogląda:  
To znowu z góry złata i złękła, wybladła,  
Tocząc się po przepaściach, w jezioro upadła:  
Jużci płynie do brzegu przez pienne wały  
I z ciężkością się wdziera na wierzchołek skały;  
Ileż razy na skrzydle bystrych wiatrów leci,  
Wśród dzikich marzeń, lekkich wyobraźni dzieci!  
Ale, czy w nich przejęta bólem, czy rozkoszą,  
Te nawet zwodne kłamstwa oczywiście głoszą:  
Że wyższa nad proch, który wznosi się z pod stopy,  
Że granic jej szlachetne nie mają pochopy;  
Wolno buja nad ciałem, które nadół ciąży,  
I do swego początku, lecąc w górę, dąży.  
Tak wieczność duszy głucha noc wskazuje jasnie,  
W ciemnościach dzień objawia, co nigdy nie zgaśnie;  
Sen oświeca mój rozum, gdy zmysły przygniata,  
I przy mnie z marzeń tłumem nie napróżno lata.  
Sny nocy pożyteczne: ale te sny szkodzą,  
Które się w przebudzonej głowie człeka rodzą.  
Ileż razy łączyłem sprzeczne myśli — zbiory  
Dziwaczniejsze nad wszystkie snów płochych utwory;  
Wiązałem z sobą siebie niecierpiące rzeczy,  
Dając im bytność, której natura im przeczy.  
Nierozsądny, marzyłem szczęście doskonałe,  
Chciałem na zmiennym świecie mieć rozkosze trwałe,  
Dni wesole wśród życia dręczeń rozmaitych,  
Spokojność wpośród wałów, ciągłym szturmem bitych.  
Młodość moja we wszystkie świat przybrała skarby,  
Wszystkie przedmioty w cudne ustroiła farby:  
Same miłe obrazy, widoki, uśmiechy,  
Pasmem jedne po drugich idące uciechy.  
Tak gdym w różne ozdoby mój dom poukładał,

Z radością się przechodził i z chlubą przezierał;  
 Jak robak, który w własną obwija się przędzę,  
 Z mar uwilem zasłonę, w nią skryłem mą nędzę.  
 Coraz-em grubsze sobie sam zasłony wkładał,  
 Zupelnem widok nieba i prawdy postradał;  
 Łańcuchem mej niewoli stokroć otoczony,  
 Błędem należne Bóstwu dawałem ukłony:  
 Ścisłem serce z światem powiązawszy węzły,  
 Tum sobie wróżył szczęście. W tych głupstwach zagrzęzły,  
 Słyszę dźwięk przeraźliwy, co tysiące ludzi  
 Wiedzie przed ołtarz śmierci; dzwon mię nagle budzi.  
 Patrzę... już wszystkie z oczu zasłony się zdarty,  
 Patrzę i widzę z drzeniem, żem napół umarły.  
 Gdzież słodkie omamienia? gdzie pyszne mieszkanie?  
 Gdzie skarby? gdzie szerokie moje panowanie?  
 Gdzie są? i co się z tego dla mnie dziś ocali?  
 Krucha lepianka z gliny, a i ta się wali.  
 Słabsze są jeszcze węzły od mdłej pajęczyny,  
 Co do szczęścia i życia wiążą ludzkie syny:  
 W momencie je rozniosą lekkie wiatru dmuchy.

*Tłum. Fran. Ksaw. Dmochowski.*

## JAKÓB THOMSON

(1700—1748)

### RULE BRITANNIA!<sup>1</sup>

Kiedy Brytanja, z woli Boga,  
 Niegdyś wyrzała z wód lazuru,  
 Wraz wolność już jej była droga  
 I dzwonił śpiew aniołów chóru:  
 Wznies, Brytanjo! nad morza wznies twój szczyt!<sup>2</sup>  
 Nigdy nie będzie rabem Bryt!  
 Nie każda nacja szczęsną bywa:  
 W innych tyranja stale gości...  
 Ty kwitniesz wolna i szczęśliwa  
 Ku przerażeniu ich i złości.  
 Wznies, Brytanjo! nad morza wznies twój szczyt!  
 Nigdy nie będzie rabem Bryt!  
 Odeprzesz wszystkie wroga ciosy  
 W coraz świetniejszym diademie...  
 Tak wicher, który drze niebiosy,  
 Rodzimy dąb wkorzenia w ziemię.  
 Wznies, Brytanjo! nad morza wznies twój szczyt!  
 Nigdy nie będzie rabem Bryt!  
 Ciebie tyrana moc nie skruszy,  
 I wszystkie jego próby krwawe  
 Jeno rozetlą żar twej duszy,  
 Jemu srom niosąc, tobie sławę.  
 Wznies, Brytanjo! nad morza wznies twój szczyt!  
 Nigdy nie będzie rabem Bryt!

<sup>1</sup> Pieśń z obrazu scenicznego p. t. «Alfred», wystawionego w r. 1740 w obecności dworu podczas toczącej się naówczas wojny morskiej pomiędzy Anglią a Hiszpanją. Pieśń ta stała się hymnem narodowym.

<sup>2</sup> Szczyt — w dawnej polszczyźnie: tarcza.

Twa sielskość w całej jest ozdobie,  
 Twe są kwitnące handlem grody,  
 I ocean podlega tobie,  
 I brzeg, oblany przez twe wody.  
 Wznies, Brytanjo! nad morza wznies twój szczyt!  
 Nigdy nie będzie rabem Bryt!  
 Pieśń wolna bije nad twe łany,  
 Sławiąc szczęśliwe twe wybrzeże,  
 Wyspo piękności niezrównanej  
 I serc odwagi, co jej strzeże.  
 Wznies, Brytanjo! nad morza wznies twój szczyt!  
 Nigdy nie będzie rabem Bryt!

*Tłum. Wład. Nawrocki.*

Z «PÓR ROKU»

Stało się — straszna Zima ściele swe pomroki  
 nad podbitym Rokiem obejmuje władzę.  
 Martwo legło dokoła królestwo roślinne...  
 To błada Zima kroczy i zamyka scenę...  
 Kędyż teraz odbiegły marzenia wielkości?  
 Owe kruche nadzieje szczęścia, żądza sławy?...  
 Lecz patrz! oto nadchodzi prześwietny poranek,  
 Powtórne narodzenie się nieba i ziemi.

DO ZMARŁEJ OBLUBIENICY

Powiedz mi, duszo tej, którą kochałem, Dokąd odbiegłaś mi w światów przestrzeni? Czy tam, wysoko wzbijałaś się nad ciałem, Gdzie w zaoblóczach mieszkają zbawieni?	Możesz tu, przy mnie?... bo ja pod sklepieniem Każdego dobrze nam znanego drzewa Rozmawiam z twoim wymarzoną cieniem, A każde moje słowo lza oblewa.
Czy może, wolno pielgrzymując sobie, Podzielasz żalność kochanka-sieroty, Gdy tu, bez ciebie, dom jego w żalobie Wieje pustkowiec śmiertelnej tęsknoty?	O! jeśli w duszę, po strasznej rozłące Wsłuchaną w cichy szmer krynicznej wody, Sny wsączyc mogą choć kroplę osłody, Luba! nawiedzaj moje sny kojące.

*Tłum. Feliks Jezierski.*

TOMASZ GRAY

(1716—1771)

BARD<sup>1</sup>

(wyjątek)

«W otchłań wieczną zapadnij, ty, królu krwiożerczy!  
 I te groźne sztandary, które pod twym słowem  
 Falowały zwycięstwa skrzydłem purpurowem,  
 A powietrzu urągał ich poszmer szyderczy...  
 Tyranie! ani pancerz, ani hełm ze stali,  
 Ani miecz — o! modlitwa nawet nie ocali  
 Twej duszy przed strachami nocy, nie ocali  
 Przed łzami Kambri i przekleństwem Kambri!»

<sup>1</sup> Wedle podania, Edward I, zdobywszy Walję, kazał pozabijać wszystkich bardów, wziętych do niewoli.



Takie dźwięki przebiegły od wierzchołka skały  
 I strwożyły Edwarda, niby hasło zgonu,  
 W on dzień, gdy po włochatych urwiskach Snowdonu  
 Znojnym pochodem jego hufce przeciągały.  
 Drży mężny Gloster, w piersi wodza dech zamiera,  
 «Do broni» — i opadła włócznia Mortymera...

*Tłum. Feliks Jezierski.*

WILLIAM COLLINS

(1721—1759)

ZGON WALECZNYCH

Jak cicho śpią waleczni wśród grobowych cieni,  
 Łzami całej ojczyzny ubłogostawieni.  
 Ilekroć wiosna z dłonią rosy, w pół zziębniętą,  
 Przesunie się ponad tą skibą arcyświętą,  
 To odświeży, osłodzi duszne ich mieszkanie  
 Cudniej, niż wyobraźnia pomyśleć jest w stanie,  
 I czarodziejskie ręce bić im będą w dzwony,  
 I hymn śmierci nadziemskie odśpiewają tony.  
 I zatrzyma się pielgrzym: głowa jego siwa  
 Złoży hołd darni, która prochy ich pokrywa.

*Tłum. Feliks Jezierski.*

JAKÓB MACPHERSON

(1736—1796)

Z «OSJANA PIENI SELMSKICH»

Księżycu! nocy ty jesteś ozdobą,  
 Świetne obłoki rzucając za sobą,  
 Gdy krok twój pyszny po niebiosach płynie,  
 Czego się niskiej przyzieraszaś dolinie?  
 Już wicher dzienny ucicha,  
 Już daleki potok spycha  
 Ostatki szumu; a fale  
 Poddają się wrytej skale.  
 Wieczorne muszek polotnych roje  
 Sieją po cichem powietrzu gry swoje.  
 O, gwiazdo w jasnej nad nami krainie!  
 Czego się niskiej przyzieraszaś dolinie?  
 Ale ty zapłonieniona,  
 Uśmiechając się ku ziemi,  
 Zstępując w morze znużona;  
 Uradowane promieniami twojemi,  
 Fale tam ciebie witają  
 I złoteć włosy płójkają.  
 Spocznij, o Gwiazdo! a kiedy noc głucha,

Mego niech ogień zajaśnieje ducha:  
 Dawne sił jego czułem ja wzruszenie.  
 Przyjaciół moich postrzegam cienie!  
 Widzę, o Loro, nad twemi mgłami  
 Fingala między bohaterami,  
 Przy nim bardowie, wy moja drużyna,  
 Widzę ja ciebie, szanowny Ullinie,  
 I ciebie, słodki śpiewaku, Alpinie!  
 Widzę Minonę i pięknego Ryna,  
 O, zacne grono, przyjaciele moi!  
 Jak od tych czasów wyście się zmienili,  
 Czasów, co tylko wspomnienie zostało;  
 Gdyśmy na Selmie, bywało,  
 Pod święte u nas wieczory  
 O pienia wdzięczne wiedli z sobą spory,  
 Równi zefirom na wiosnę,  
 Co głaszczą wzgórkami radosne  
 I kołysają wschodzące  
 Zioła po łące.

*Tłum. Fran. D. Książnin.*

ŻAL MINWANY PO RYNIE

(Minwana, córka Morniego, a siostra Gaula, była kochanką Ryna, syna Fingalowego.)

Zapłoniona i smutna, nachyla się ona ze skał Morwenu nad posępnie wzburzone morze. Postrzega młodzież w całym uzbrojeniu. — Gdzież jesteś, Ryno, gdzież jesteś?

Wasze pochmurne wejrzenia mówią: że on poległ! że błądy uleciał za chmury  
że w trawie pagórków morweńskich słyhać we wietrze jego głos słaby.

Poległ-że syn Fingala na mszystych płaszczyznach Ullinu? Mocne było ramię, co  
go pokonało. Biada mi — sama zostałam!

Nie będę sama, o, wiatry, co mój włos ciemny podnosicie! Niedługo westchnienie  
moje będzie się mieszać z waszym strumieniem, bo ja z Rynem usnąć muszę!

Nie widzę ciebie, powracającego z łowów krokami urody! Noc objęła kochanie  
Minwany. Mroczna cisza mieszka przy Rynie!

Gdzie są psy twoje? Gdzie łuk twój, twoja tarcza tak mocna, twój miecz, jak  
ogień spadający z nieba? Gdzie twój krwawy oszczep, o, Ryno?

Widzę je pomieszane w twoim głębokim okręcie, widzę je krwią umalowane.  
W twojej ciasnej sali niema żadnego oręża, o, Ryno, mieszkańcze mroku!

Kiedyś przyjdzie poranek i powie: wstań, królu oszczepów, wstań! łowy dokoła,  
łanie, o, Ryno, blisko ciebie!

Ustąp, pięknowłosy poranku, ustąp. Nie słyszy ciebie król drzemiący. Łanie  
skaczą po jego ciasnym grobie, bo śmierć mieszka przy młodzieńcym Rynie. Zcicha  
ja przystąpię, mój królu, zcicha skradnę się do łoża spoczynku twojego. Milczkiem po-  
łoży się Minwana przy drzemiącym swoim Rynie.

Dziewice będą mię szukać, ale nie znajdą. Pieśniami będą żegnać moje rozstanie  
się; — ale nie usłyszą was, o, dziewice! Z moim Rynem pięknowłosym będę ja spała!

*Tłum. Seweryn Goszczyński.*

### TOMASZ CHATTERTON

(1752—1770)

#### Z «BALLADY BRISTOLSKIEJ»

W katedry wielkiem oknie król  
Ze swoją świtą siadł —  
Patrzy, jak Bawdin, jego wróg,  
Po los swój jedzie rad.

A gdy się zbliżył tak, że król  
Dostyszał słowa treść,  
Pan Bawdin podniósł się i rzekł,  
Bijąc w Edwarda cześć:

«Nikczemny zdrajco! pragniesz mnie  
Pograć w srom i wstyd,  
Alem ja większy jest niż ty,  
Wszelkiej podłości syt.

Koronę-ć zdobył nędzny czyn,  
Zdrada i mord, i krew,  
I dziś skazałeś mnie na śmierć,  
Prawu i cnocie wbrew.

Mniemasz, że umrę chwilą tą;  
Jam zmarły był, nie żyw,  
Dziś pocznę żyć w koronie cnej  
Pośród niebieskich niw.

Ty władać będziesz krótki czas;  
Od sądu ty się chroń,  
Gdy kraj zobaczy, czem jest król,  
A czem tyrana dłoń.

Zdrajco! bezprawną władzę swą  
Niedługo będziesz niósł! —  
I po tych słowach stracił król  
Z oczu katowski wóz.

Duma z Edwarda płonie ócz —  
I, odwróciwszy twarz,  
Rzekł do Glostera, brata: «Hej!  
Znasz li równego? znasz?»

Choć śmierć straszliwa, niczem dlań  
Śmierci jest lęk i ból.  
Spojrzyj na niego! prawdę rzekł:  
On większy jest niż król!»

«Więc niechaj umrze!» Ryszard rzekł,  
«Wszelki nasz wróg, jak on,  
Niechaj pod topór kładzie kark,  
Niech będzie karmią wron!»

A konie wloką się, krok w krok,  
Aż do wysokich wzgórz;  
Wnet się przeleje zacna krew,  
Błysnął katowski nóż.

Bawdin na szafot dumnie szedł,  
Jak na zwycięski wóz,  
Który w zamęty krwawych bitw  
Waleczne wodze niósł.

I tak do ludu ozwie się:  
 «Pod topór kładę kark,  
 Bom władcy memu wierny był,  
 Z zdrajcą nie wszedłem w targ.

Póki tu będzie panem wam,  
 On, Edward, pełen win,  
 Potoki wasze spłyną krwią,  
 Padnie wasz mąż i syn.

Opuszczon przez was prawy król,  
 Dola nań przysła zła;  
 Jak ja, tak broncie jego praw,  
 Gińcie tak zań, jak ja!»

I na kolana z księdzem padł,  
 I modlił się, by Bóg  
 Tę jego duszę przyjąć chciał  
 Za swój niebieski próg.

A potem, klęcząc, głowę swą  
 Na pniu położył rad,  
 I od tułowia jednym tchem  
 Odciął ją zręczny kat.

I krew poczęła strugą ciec,  
 Oblała wokół pień,  
 Lecz popłynęło dosyć łez,  
 Ażeby zmyć ją zeń.

I piękne ciało pocał kat,  
 A każdą zwłok tych ćwierć  
 Na pal zatknięto z głową wraz,  
 Na przeraźliwą żerdź.

Na Kynwulfijskiem wzgórzu część,  
 Część ma na tumie schron,  
 Trzecia u zamku wisi bram,  
 Pastwą jest głodnych wron.

Czwarta zaś strzeże — zgrozo ty! —  
 Świętego Pawła wrót,  
 Głowę wysoki dźwiga krzyż,  
 Gdzie się gromadzi lud.

Ten-ci Bawdina koniec był:  
 Króla błogosław Bóg,  
 Iżby z rycerza duszą cną  
 W niebie się spotkać mógł.

*Tłum. Jan Kasprovicz.*

#### PIEŚŃ POGRZEBOWA

Umarł mój luby,  
 Legł na łożu śmiertelnem  
 Pod wierzbą płaczącą.  
 Jak noc zimowa, czarny miał włos,  
 Laskę miał białą, jak śnieg,  
 Jak ranne światło, rumianą twarz...  
 Słuchaj — to kruk skrzydłem trzepocze  
 Tam w zadrzewionej dolinie;

Słuchaj — to sowa huka o śmierci  
 Do nadchodzących nocnych mar.  
 Umarł mój luby...  
 Patrz! księżyc biało świeci tam wgórze,  
 Bielej śmiertelna jego koszula,  
 Bielej, niż niebo poranka,  
 Bielej, niż obłok wieczorny.  
 Umarł mój luby...

*Tłum. Feliks Jezierski.*

#### WILLIAM COWPER

(1731—1800)

#### DO MARJ

Przemija już dwudziesty rok,  
 Odkąd nam niebo zasnuł mrok...  
 Bodaj ostatni był to krok,  
 Marjo!

Siły twe nikną z każdym dniem...  
 Duch coraz słabszy w tobie — wiem,  
 Że mej niedoli wina w tem,  
 Marjo!

Twym igłom, niegdyś lśniącym tak,  
 Gdy nam się kwiecił życia szlak...  
 Dzisiaj — porzuconym — blasku brak,  
 Marjo!

I chociaż teraz radabyś  
 Te same spełniać trudy — tyś  
 Nie w stanie im podolać dziś,  
 Marjo!

Lecz nie przestajesz przy mnie być,  
 I więzów twych magiczna nić  
 W krąg serca wciąż się będzie wic,  
 Marjo!

Wyrazy twoje zdają się  
 Wypowiadane, jakby w śnie —  
 I sam ich dźwięk czaruje mnie,  
 Marjo!

Twój srebrny włos, za dawnych dni  
Ciemny — jest dzisiaj droższy mi,  
Niż złoto zórz, co z brzaskiem lśni —  
Marjo!

Jeśli bym tobą ócz i nim  
Nie pieścił — na cóż patrzyłbym —  
I słońca blask byłby mi czezym —  
Marjo!

Choć sił ujęła dola zła,  
Wszelako jeszcze ręka twa  
Dość do uścisku siły ma,  
Marjo!

Choć padł na moc twą taki mrok,  
Że dwu twój słaby wspiera krok —  
Jeszcze miłością lśni twój wzrok,  
Marjo!

Że kochasz, mimo dolę złą,  
Że w zimę płoniesz ciepłą skrå —  
To jeszcze zwiększa miłość mą,  
Marjo!

Gdy się wspólnemi poim sny,  
Smutek, co w głosie moim drży,  
Nieraz ci uśmiech zmienia w łzy,  
Marjo!

Gdyby mój przyszły losu dział  
Przeszłemu być podobny miał —  
Bólby twe wążte serce zwał,  
Marjo!

*Tłum. Władysław Nawrocki.*

## ROBERT BURNS

(1759—1796)

### O, GDYBYŚ STAŁA GDZIEŚ ŚRÓD PÓL

O, gdybyś stała gdzieś śród pól,  
Gdzie wichry dmą, gdzie wichry dmą,  
Jaćbym otulił płaszczem swym  
Tę postać twą, tę postać twą.  
Gdyby się zerwał strasznych kłesk  
Burzliwy gon, burzliwy gon,  
Ma pierś zmieniałaby się w tarcz,  
By dać ci schron, by dać ci schron.

Gdyby mię w pustkę zagnał los  
Śród nagich skał, śród nagich skał.  
Z tobą nie smutny, tęskny świat,  
Lecz rajbym miał, ach! rajbym miał!  
Gdybym był jako król i pan  
Na ziemski krąg, na ziemski krąg,  
Najdroższy klejnot z skarbów mych  
Wzięłabyś z rąk, z tych moich rąk.

### DO MARYJKI W NIEBIE

Pobladła jutrznio, słabym tchem  
Obwieszczająca wschodu czar,  
Znów mię znajomisz dzisiaj z dniem,  
W którym Maryjki promień zgasł.  
Maryjo, drogi cieniu mój:  
Gdzie szczęśliwości twojej dal?  
Widzisz, jak zgiął mię ciężki znój?  
Mojego serca słyszysz żal?

Ach! czyż zapomnąć mógłby człek  
Tę świętą chwilę, święty gaj,  
Gdyśmy nad Eru poszli brzeg,  
By dzień żegnania zmienić w raj?  
Może-ż w zapomnieniu wieczną toń  
Paść ten radosny, słodki szal,  
Gdym raz ostatni ścisnął dłoń,  
Gdym miód ostatni z ust twych brał?

Er swe całunki brzegom niósł,  
Nad nim zielony głuchy bór;  
Krzewiny głogu, gęstwy brzóz  
Tuliły zwierzeń naszych wtór.  
Łoże nam słały kwiaty łąk,  
Brzmiał śpiewem ptasząt każdy liść,  
Aże ognisty rzekł nam krąg,  
Że dzień już od nas musi iść.

Chwil tych ma pamięć wieczny stróż,  
Troska obfitszy wciąż ma żer,  
Coraz mi głębiej wciska nóż —  
Tak swe koryto żłobi Er.  
Maryjo, drogi cieniu mój!  
Gdzie szczęśliwości twojej dal?  
Widzisz, jak zgiął mię ciężki znój?  
Mojego serca słyszysz żal?

*Tłum. Jan Kasprówic.*

## ME SERCE JEST W GÓRACH

Me serce jest w górach, me serce nie tu!  
 Tam pnie się za sarną po skałach, po mchu!  
 Za sarną, jeleniem tam tropi mój wzrok,  
 Me serce jest w górach, gdzie hądz niosę krok!

Żegnajcie mi, góry! mój kraju, bądź zdrow!  
 Ojczyzno walecznych! kolebko mych snów!  
 Gdziekolwiek po świecie zapędzi los mnie,  
 Me serce ku góróm, ku góróm się rwie!

O, żegnam was, góry, i wieczny wasz śnieg,  
 I wasze doliny zielone wzdłuż rzek,  
 I żegnam sosnowy szumiący wasz bór,  
 I waszych strumieni ryczący im wtór.

Me serce jest w górach, me serce nie tu!  
 Tam pnie się za sarną po skalach, po mchu!  
 Za sarną, jeleniem tam tropi mój wzrok,  
 Me serce jest w górach, gdzie bądź niosę krok!

*Tłum. Adam Pajgert.*

## NO BO I CÓŻ?

Chociaż cię w biedę wpędził los,  
 Noś dumnie skroń — bo cóż?  
 Że się tam podlec zaprze w głos,  
 Ty nie wstydz się, bo cóż?  
 No bo i cóż, no bo i cóż,  
 Że znosisz trud — to cóż?  
 Urząd i godność stemplem jest,  
 Zaś złotem mąż, więc cóż?!

Cóż, żeś na obiad skromnie jadł,  
 Masz stary płaszcz, to cóż?  
 Niech winka spija głupi świat —  
 Co mąż, to mąż! więc cóż?  
 No bo i cóż, no bo i cóż,  
 Że jest gdzieś szych, to cóż?  
 Uczciwy człek, choć biedny on,  
 Wzdyć jest jak król — więc cóż?

Że ten tam smyk to jasny pan,  
 Że puszy się, to cóż?  
 Choć mu czapkuje cały klan,  
 Zawszeć to kiep, bo cóż?

No bo i cóż, no bo i cóż,  
 Że order ma — więc cóż?  
 Człek niezależny, mądry człek  
 Drwi sobie z głupstw — bo cóż?

Że król przypasze komuś miecz,  
 Szlachectwo da — to cóż?  
 Nadać szlachetność trudna rzecz,  
 A cóż ponad nią, cóż?  
 No bo i cóż, no bo i cóż  
 Wszelkie zaszczyty, cóż?  
 Umysł to moc, dusza to cześć,  
 A inna godność — cóż?...

Więc módlmy się po wszystkie dni  
 — Że ciężko dziś, to cóż? —  
 Aby się świat stał cnocie brat  
 I godnie żył — bo cóż?  
 No bo i cóż, no bo i cóż,  
 Choć dziś tak źle — to cóż?  
 Jutro przy druhu stanie druh,  
 A cóż jest nad to, cóż?

*Tłum. Jan Kasprowicz.*

## BRUCE DO SWEGO WOJSKA POD BANNOCKBURNEM

Szkoci, coście leli krew  
 Na Wallace'a mężny zew,  
 Dziś was wzywa Bruce: jak lew  
 Niechaj walczy każdy z was!

Oto chwila, oto dzień,  
 Aby wroga wyciąć w pień:  
 Edward ciągnie, z nim jak cień  
 I niewoli idzie czas!

Któżby chętny był do zrad?  
Któżby w nędzny grób się kładł?  
Któż kajdanom będzie rad?  
Tchórzul! zdrajco! rzućcie nas!

Kto za kraj i króla rzecz  
Gotów ostry wyjąć miecz,  
Ten mi druhem, inni precz!  
Władni mężel! ze mną wraz!

Na ciemństwa ból i trud!  
Na ginący w jarzmie lud!  
Lejmy krew i dziś, jak wprzód —  
Wolny nie chce być li płaz!

Niech zuchwały ginie wróg!  
Z nim się tyran wali z nóg.  
Wolny ten, kto wroga zmógł!  
Wawrzyn brać lub paść jak las!  
*Tłum. Jan Kasprówicz.*

## MOJA BASIA

Mężu, porzuć kłótnię zgubną  
Z swarów nawałnicą —  
Jestem żoną twoją ślubną,  
Lecz nie niewolnicą,  
«Słuchać musi jedno z dwojga,  
Mąż lub żona, Basiu!  
Powiedz sama, któż z obojga?  
Moja Basiu!»

Zawsze tylko rozkaz pana,  
Wola jegomości!  
Więc porzucę dom tyrana,  
Kwita z uległości!  
«Chcesz opuścić mnie w żalobie,  
Basiu, Basiu!  
Dam ja jakoś radę sobie,  
Moja Basiu!»

Już mi z bólu serce pęka,  
Bliski kres mój smutny,  
Czy, gdy w grób mnie pchnie twa ręka,  
Zniesiesz cios okrutny?  
«Ufam, że mi łaska nieba,  
Basiu, Basiu!  
Sił da nato, ile trzeba,  
Moja Basiu!»

Więc porzucę grobu łożę,  
Przyjdę ciebie ścigać  
O północnej duchów porze,  
W snach się będziesz wzdrygać.  
«A więc z drugą się ożenię,  
Taką, jak ty, Basiu!  
Całe piekło to odżenię,  
Moja Basiu!»

*Tłum. Adam Pajgert.*

## WILLIAM BLAKE

(1757—1827)

## SZALONY ŚPIEW

Jęczą wichury  
Noc zimna, jak lód;  
Chodź, śnie ponury,  
Osłoń mój trud.  
Lecz już od wschodniej strony  
Lśni ranek rozogniony,  
Rosa kroplami drżącemi  
Ucieka z ziemi.

Tam, gdzie nade mną  
Niebieskie szczyty,  
Mknie głos mój w ciemną  
Troskę spowity.

Do uszu nocy się wlewa,  
Żrenicę dnia przyćmiewa,  
W szalone wichrów rozpaczę  
Miesza swe płacze.

Jak szatan w chmurze,  
Wyjąc z boleści,  
W noc się zanurzę,  
Niech noc mię pieści!  
Zwrócę się ku porankowi,  
Skąd serce pociechę łowi,  
A światłość na mą duszę  
Sypie katusze.

*Tłum. Jan Kasprówicz.*

## Z «MAŁŻEŃSTWA NIEBA Z PIEKŁEM»

## Przysłowia piekielne

Czasu siejby ucz się, we żniwa ucz się, podczas zimy baw się.  
Właczaj w ziemię wozem i zaoruj pługiem kości umarłych.  
Droga przekroczeń wiedzie do pałacu mądrości.

Rozsądek to bogata szpetna dziewczka, której asystuje nieudolność.  
 Kto pożąda, nie działając, ten zaraża powietrze.  
 Przecięta glista wybacza pługowi urazę.  
 Głupiec widzi nie to samo drzewo, które widzi mędrzec.  
 Wieczność kocha się w wytworach czasu.  
 Zajęta pszczoła nie ma chwili wolnej na zmartwienie.  
 Wszelki zdrowy pokarm zdobywa się bez sideł i pułapek.  
 Najszczytniejsza rzecz wynieść kogoś nad siebie.  
 Gdyby zaślepieniec wytrwał w swem zaślepieniu, mógłby stać się widzącym.  
 Błaźństwo — kostjum niewolnika.  
 Wstyd — przydzież pychy.  
 Nadmiar bólu śmieje się, zbytek radości płacze.  
 Ryk lwów, wycie wilków, wściekłość burzliwych morskich fal, zabójczość oręza —  
 to cząstki wieczności, zbyt ogromnej dla ujęcia okiem ludzkim.  
 Lis złorzeczy żelazu, w które się złapał, nie sobie.  
 Uciechy nasycają, troski wyczerpują.  
 To, co dziś dowiedzione, było niegdyś tylko przypuszczalne.  
 Ptak gniazdo, pająk sieć, człowiek — przyjaźń.  
 O ile praca towarzyszy słowu, o tyle Bóg wynagradza modlitwy.  
 Poddac się wymówkom głupca — tytuł królewskośći.  
 Myśl jedna zapelnia bezmiar.  
 Jabłoń nie pyta grzędy, jako ma rość, ani lew konia — jak ma się żywić.  
 Dla orła największa to strata czasu, gdy poddaje się naukom wrony.  
 Lis dba o siebie, ale Bóg troszczy się o lwa.  
 Myśl rano, działaj we dnie, jedz wieczorem, śpij w nocy.  
 Kto pozwala ci, ażebyś nad nim przewodził, ten cię poznał.  
 Nigdy nie będziesz wiedział, co jest dosyć, jeśli nie wiesz, co jest więcej niż dosyć.  
 Gdyby lew słuchał porad lisa, byłby podstępny.  
 Poprawki prostują drogę, lecz drogi kręte bez poprawek to drogi geniusza.  
 Jak gąsienica wybiera najpiękniejszy liść, ażeby złożyć na nim swe zalążki, tak  
 osoba duchowna okłada klątwą najpiękniejsze radości.  
 Prawdy nie trzeba tak wypowiadać, ażeby ktoś, zrozumiawszy ją, mógł w nią  
 nie uwierzyć.  
 Dość! albo zbyt wiele.

*Tłum. Jan Lemański.*

## WILLIAM WORDSWORTH

(1770—1850)

### BYŁA WIDZENIEM PEŁNEM UROKU

Była widzeniem pełnem uroku,  
 Gdy błysła pierwszy raz memu oku,  
 Wdzięcznem zjawiskiem krasy motylej,  
 Tu na ozdobę zesłanem chwili:  
 Oczy, jak gwiazdy, co w mroku płoną,  
 Pod — jak mrok ciemnych — włosów koroną;  
 I zresztą wszystko, wszystko koło niej  
 Wiało tchem wiosny, majowych woni —  
 Pogodny obraz, zjawisko łube,  
 Co łśni, czaruje, czyha na zgubę.  
 Bliżej się nieraz oko nią pieści;  
 Duch, a zarazem czar ma niewieści!  
 Jak się w domowej lekko zagrodzie,  
 Zwinna, w dziewiczej krząta swobodzie,  
 Jak odbijają splezione lice  
 Łube wspomnienia i obietnice...

Nie nazbyt jasny, ni zbyt łaskawy  
 Duch to dla życia codziennej strawy,  
 Dla trosk przelotnych, dla prostych grzechów,  
 Win, pocałunków, łez i uśmiechów.

Dzisiaj żrenicą jasną i chętną  
 Widzę prawdziwe jej życia tętno:  
 To tchnieniem myśli tchnąca istota...  
 Łączy mrok śmierci z światłem żywota...  
 Rozum jaśnieje w niej niezachwianie,  
 Wola, przezorność, moc i wyrwanie.  
 Oto kobieta, która w potrzebie  
 Ostrzeże, wesprze, pocieszy ciebie,  
 A nic z czystości blasków nie straci,  
 Coś anielskiego mając w postaci.

#### SIEDEM SIÓSTR, CZYLI SAMOTNOŚĆ BINNORJI

Miał siedem córek lord Archibald,  
 Zrodzonych z jednej matki:  
 Brakłoby tehu  
 Rzec w jednym dniu,  
 Jak się kochały dziatki.  
 Wieniec, co siedem lilijek miał,  
 W jedne się krył podwoje —  
 Ale o córę lord ani dbał...  
 Milszy szczęk miecza był mu, świst strzał:  
 Rycerz ukochał boje —  
 Żałosna pieśni z doby niepowrotnej,  
 Dzwon o Binnorji samotnej!

I powiał świeży z zachodu wiatr,  
 I od Erynu ściegów  
 Korsarzy wiodł  
 Przez głębie wód  
 Do jasnych Szkocji brzegów —  
 I ku Binnorji zwrócili swój  
 Okręt przez móż odmetry.  
 Na brzeg wylega korsarzy rój,  
 I herszt szykuje bandę na bój,  
 I wróg uderza kręty. —  
 Żałosna pieśni z doby niepowrotnej,  
 Dzwon o Binnorji samotnej!

Przy swej pieczarze bezpiecznie wraz,  
 Pod wielkich drzew osłoną,  
 W upalny dzień  
 Spoczęły w cień —  
 Zda się, łań wdzięczne grono.  
 Wtem, gdy się tłumem zaroił brzeg,  
 A w słońcu błysły zbroje —  
 Z szczękiem oręza strach na nie legł:  
 Ojczy-rycerzu, oj, złeś ty strzegł  
 Twój dom i córę twoje! —  
 Żałosna pieśni z doby niepowrotnej,  
 Dzwon o Binnorji samotnej!

Wskok pierzchło siedem Campbella cór!  
 Śladem, śród gór i błoni,  
 Szalonych żąd  
 Obelgi śląc,  
 Junaków tłum je goni:  
 «Ojcu włóczęga zajmuje czas —  
 Niech dom zastanie pusty!  
 Lecz wy nam waszych nie szczędźcie kras  
 I złotym włosom przyjmijcie nas,  
 I płonącemi usty!» —  
 Żałosna pieśni z doby niepowrotnej,  
 Dzwon o Binnorji samotnej!

Mkną, jako chmury w burzliwy czas,  
 Z bólów i skarg wyrazem...  
 Krzyk bije z ton:  
 «Ach! — raczej zgon...  
 Dajcie nam umrzeć razem!»  
 Wpobliżu stromy piętrzył się brzeg,  
 Morską zbryzgany pianą —  
 Tam rozpaczliwy zwróciły bieg,  
 Tam się ich życia zakończył ścieg —  
 Więcej ich nie widziano! —  
 Żałosna pieśni z doby niepowrotnej,  
 Dzwon o Binnorji samotnej!

I w owem miejscu z głębiny wód  
 Wraz siedem wysp wystrzela,  
 I fala wieść  
 Wciąż będzie nieść:  
 Los siedmiu cór Campbella.  
 Siedem wysp morze dało za łup  
 W zieleni zawsze świeżej.  
 «Tu — mówi rybak — u naszych stóp,  
 Kędy je nimfy złożyły w grób,  
 Siedem sióstr pięknych leży.» —  
 Żałosna pieśni z doby niepowrotnej,  
 Dzwon o Binnorji samotnej!

*Tłum. Władysław Nawrocki.*



## SAMUEL TAYLOR COLERIDGE

(1772—1834)

## PIEŚŃ O STARYM ŻEGLARZU

## Część pierwsza

Stary żeglarz, spotkawszy trzech na uroczystość weselną zaproszonych młodzieńców, zatrzymuje jednego z nich.

Powstrzymał krok jednego z nich,  
Powstrzymał żeglarz stary.  
«Na siwy włos twój! czego chcesz?  
Czego chcą ócz twych żary?

Naoścież, patrz, drzwi rozwarł swe —  
Otworzył dom pan młody:  
Ma gości rój ten krewniak mój,  
Weselne sprawia gody».

Położył nań swą chudą dłoń  
I «był raz okręt» — rzecze...  
«Precz starcze! precz z tą ręką twą!  
Puść mię, szalony człecz!»

Weselny gość, pod wpływem oczu starego żeglarsza, zmuszony jest słuchać jego opowieści.

Puścił, lecz wlepił weń swój wzrok.  
I na tę moc żeglarsza  
W miejscu weselny stanął gość  
I niby dziecię zważa.

Weselny gość na głazie siadł  
I musi bez odwłoki  
Słuchać, co mówi stary człek,  
Żeglarz płomieniooki:

«Okrętu przód pruć bezmiar wód,  
Niemasz jak na głębinie!  
Znikł kościół już, szczyt góry znikł,  
Latarnia morska ginie.

Stary żeglarz opowiada, jak, dobry mając wiatr i toń sprzyjającą, okręt płynie ku południowi, aż dosięga równika.

Po lewej hen! z odmętu fal  
Wznosi się słonko boże  
I pnie się, pnie i blaski swe  
Z prawej zatapia w morze.

Weselny gość usłyszał muzykę weselną, atoli żeglarz opowiada mu dalej.

I pnie się, pnie, w południa czas  
Nad masztem lśnić najświetniej».  
Ma starca dość weselny gość:  
Usłyszał granie fletni.

Jak róży kwiat w świąteczny dom  
Oblubienica wchodzi,  
Wesoło przed nią głowy swe  
Chylą grajkowie młodzi!

Ma już go dość weselny gość,  
Lecz musi bez odwłoki  
Słuchać, co mówi stary człek,  
Żeglarz płomieniooki:

Okręt, zapędzony burzą do  
bieguna południowego,

«Lecz potem wicher rozpoczął dać,  
A wicher to był szalony,  
Walił skrzydłami w okręt nasz,  
W południa pędził strony.

Z masztaini wskos, w pianach po brzeg,  
Jak niby on ścigany człek,  
Na wroga cień gdy, pędząc, wbiegł,  
Przed się schyliwszy głowę,  
Tak okręt mknął, a wicher dał  
Na wody południowe.

I przyszedł śnieg i straszne mgły,  
I mróz jął wstrząsać nami,  
Nad masztu szczyt zielony lód  
Przyptywał k'nam falami.

dotarł do kraju lodów  
i głosów straszliwych,  
gdzie żadnego nie było  
żywego stworzenia.

I śnieżny zwał bladawe siał  
Promienie przez szczeliny:  
I wzdłuż i wszerz ni człek, ni zwierz,  
A tylko lód był siny.

Gdzie padnie wzrok, tam lodu tłok,  
Zrąb piętrzy się na zrębie,  
Za złomem złom z hukiem, jak grom,  
Krajał te morskie głębie.

Wtem wielki ptak mor-  
ski, zwany albatrosem,  
przedarł się przez męty  
i śnieżne zamiecie; przy-  
jęto go z wielką uciechą  
i gościnnością.

Wtem wzbil się ptak na górny szlak  
Na mgliste hen! niebios: a  
Jakby to był żyjący człek,  
Witamy albatrosa.

By druh czy brat, on z rąk nam jadł,  
Wciąż krążył nad okrętem.  
I rozpękł lód i statku przód  
Morzem popłynął wzdętem.

Na tyłach wiatr z południa wiał,  
Nad nami ptak się waży  
I codzień w mig na majtka krzyk  
Zlatuje do żeglarzy.

Na masztach on swój miewał schron  
Przez mglistych dziewięć nocy,  
A z poza gór skłębionych chmur  
Lśnił księżyc w białej mocy».

Stary żeglarz, wbrew pra-  
wom gościnności, zabił  
zbożnego ptaka, który  
z dobrą przyleciał  
wroźbą.

«Skąd taki wzrok, żeglarzu, mów!  
Niech strzegą cię niebios!»  
«Ukarz mnie Bóg! Do ręki łuk —  
Zabiłem albatrosa!»

#### Z części siódmej

Stary żeglarz błaga pu-  
stelnika, aby go rozgrze-  
szył.

«Daj rozgrzeszenie, księżu, daj!»  
On, jakby chciał mieć pieczę,  
Wprzód się przeżegnał, potem rzekł:  
«Powiedz, kim jesteś, człecze?»

I pozbywa się swej kary.

I ciało moje przebiegł dreszcz,  
I zdjął mnie ból złowrogi:  
Opowiedziałem dzieje swe,  
I byłem już bez trwogi.

Atoli, mimo to, ból jakiś  
zmusza go do wędrówki  
od kraju do kraju

Od tego czasu nieraz, ach!  
Ten ból się na mnie wali —  
I opowiadam powieść swą,  
Bo mi się serce spali.

I z kraju w kraj, jak ciemna noc,  
Tak ja podążać muszę;  
A komu z lic wyczytam wieść,  
Że może żal mój ciężki znieść,  
Temu otwieram duszę...

-----  
Dla mnie — weselny gościu, wierz —  
Nad wszystko jest wesele,  
Gdy do kościoła mogę iść,  
Gdzie lud się kornie ściele.

i do rozbudzenia swym  
własnym przykładem mi-  
łości ku wszystkiemu, co  
Pan Bóg stworzył i kocha.

Bądź zdrow! bądź zdrow i pomny słów,  
Że ten się modli szczerze,  
Kto szczerze kocha wszelki płód —  
Człowieka, ptaka, zwierzę.

Kto szczerze kocha wszelki płód,  
Ten modli się najprościej:  
Bóg, co nas kocha, stworzył świat  
I ma go w swej miłości!»

-----  
*Tłum. Jan Kasprówiez.*

WALTER SCOTT

(1771—1832)

DZIEWICA Z JEZIORA

Pieśń trzecia. Krzyż ognisty.

I.

Czas leci niewstrzymany. Ludzie, co niedawno  
Na kolanach dzieciństwo nasze piastowali  
I czy dziejami przodków, czy bajką zabawną  
Duch w nas wieszczy i miłość kraju zapalali:  
Gdzież są? — Znikli ze świata; zmarli lub zgrzybiali,  
Z myślą znużoną, z sercem półskrzepłym już w łonie,  
Jako szczątki rozbicia nad brzegami fali,  
Czekają, zda się, rychło, jak morze w swe tonie,  
Wieczność ich coraz bliższa zajmie i pochłonie.

Żyją jednak, co jeszcze pomną owe czasy,  
Gdy, skoro wódz góralski w róg łowczy uderzył,  
Głos ten ożywiał góry, doliny i lasy,  
Zwoływał na ochotę i sam radość szerzył;

Gdy, skoro wróg zagroził lub wódz bój zamierzył,  
 Cały klan, jak mąż jeden, rzucał dom spokojny,  
 Śpiesząc, gdzie wbity sztandar wśród pola się jeżył;  
 A wszystkie kobzy w górach grały pochód zbrojny,  
 A krzyż ognisty krążył, jak meteor wojny<sup>1</sup>.

## VIII.

Stos już gotowy. Z pobliskiej zagrody  
 Prowadzą kozła, patrijarchę trzody.  
 Kładą na stosie. Mnich wodą go skropił,  
 Wódz po rękojeść miecz w piersiach utopił.  
 Krew się po stosie polała strumieniem;  
 Cierpliwe zwierzę, z błagalnym wejrzeniem,  
 Konając zwolna, patrzyło na wrogów,  
 Gdy stos ze czterech zapalali rogów.  
 Naówczas Brian, nad ciałem ofiary  
 Szepcąc naprzemian modlitwy i czary,  
 Ułożył, strzegąc ścisłych miar przepisu,

W krzyż, łokieć długi, dwie gałęzie cisu,  
 Wzięte z drzew, które na Inch-Kaliachu,  
 Wiejąc nad szczytem kościelnego gmachu,  
 Mrocznym swym cieniem, jak kirem żałoby,  
 Klanu Alpina okrywają groby  
 I, szum swój łącząc do jeziora szmerów,  
 Słodzą sen wieczny dawnych bohaterów.  
 Brian, oburącz krzyż wznosząc do góry,  
 Wzniósł razem lica i wzrok swój ponury,  
 A strach i zapal słuchaczy przeniknął,  
 Gdy taką kłątwę ku niebu wykrzyknął:

## IX.

«Hańba i biada z ojca na syna!  
 Kto krzyż ten widzi, a zapomina,  
 Że rósł na grobach klanu Alpina,  
 Gdzie dawnych wodzów jego rodzina  
 Śpi w cieniu drzew tych opieki.

Umilkł. — Lennicy, stojący kołem,  
 Z ognistym wzrokiem, z licem wesołem,  
 Błyszczące miecze wstrzęśli nad czołem,  
 Tarcza o tarczę zabrzękli społem —  
 I szmer, jak burzy dalekiej,

Niech zdrajca, w nędzy wlokąc swe lata,  
 Nieopłakany schodzi ze świata,  
 Prochami jego wiatr niech pomiata,  
 Przekleństwo ojca, syna i brata  
 Niechaj go ściga na wieki!»

Rósł coraz bardziej, jak burza grzmiąca,  
 Jak pośród burzy fala huczająca,  
 Gdy się o twarde brzegi roztrąca,  
 Aż okrzyk jeden z ust ich tysiąca  
 Zabrzmiął: «Przekleństwo na wieki!»

Wstrząsły się echem Benwenu skały,  
 Zawył w wąwozach wilk wygłodniały,  
 Spłoszone sępy w krąg zakrakały,  
 Przeczyły z hasła żer, co mieć miały:  
 Trupy i świeżej krwi rzeki.

*Tłum. A. E. Odgynec.*

## Z «KENILWORTH»

— Królowa! Królowa!... Bacność i cisza!

Szło naprzód dwustu jeźdźców z pochodniami, które rozlewały dookoła potoki żywego światła, podobne do dziennej jasności. Za nimi dopiero postępowała sama Elżbieta w gronie panów i przedniejszej szlachty, w bogatych szatach i cała jaśniejąca od złota i drogich kamieni. Jechała na białym koniu, prowadząc go z właściwym sobie wdziękiem i godnością; a w całym jej ułożeniu i szlachetnej postawie znać było córkę stu królów.

<sup>1</sup> Gdy wódz zamierzał powołać swój klan pod broń, zabijał kozła. Zrobiwszy krzyż z drzewa, końce jego zapalał w płomieniach stosu i gasił je we krwi zabitego zwierzęcia. Krzyż ów zwał się «krzyżem ognistym» lub «krzyżem hańby»; hańbą było bowiem nie usłuchać wezwania, które ten krzyż głosił. Wręczano go wiernemu gońcowi, a ten biegł z nim bez tchu do najbliższej wsi, by go podać dalej w inne zaufane ręce, ograniczając się przytem do wypowiedzenia jednego tylko słowa: miejsca zlotu. W ten sposób krzyż ów obiegał okolicę z niesłychaną szybkością.

Dworskie panie z orszaku królowej dołożyły starań, aby ich ubiory ani zbyt skromne nie były na tak wielką uroczystość, ani też nie polyskiwały nadzwyczajnym przepychem: a to, iżby podrzędne konstelacje blaskiem swym nie ćmiły wspanialszej od nich gwiazdy. Ale ich wdzięki, nie przygaszone zewnętrzną okazałością, w tym żywszych jeszcze zajaśniały kolorach. To grono sprawiedliwie można było nazwać kwiatem królestwa, słynącego na cały świat z piękności kobiet. Zato panowie i dworzanie, nie oglądając się na prawidła skromności, od których kobiety wolne nie są, rozwinęły przepych bez granic.

Orszak zbliżał się do wieży, nazwanej galerją, która stanowiła najpierwszą bramę zamkową.

Teraz dopiero przyszła chwila, kiedy odźwierny miał wystąpić ze swoją rolą; ale ten wielkolud tak się przeląkł, a gąsior wina, który wypróżnił dla odświeżenia pamięci, tak przeciwny sprawił skutek, że nieborak sapał tylko okropnie na swej kamiennej ławie, ze strachu nie mogąc ni słowa przemówić. I już królowa przejechałaby bez żadnego powitania, gdyby jego tajemny sprzymierzeniec, Flibbertigibbet, zalazszy pod niedźwiedzią skórę, nie ukłuł go długą igłą, która mu doszła aż do samej kości.

Odźwierny, poczuwszy taki bodziec, zawył przeraźliwym głosem, co już było niezłym rozpoczęciem jego roli. Poczem wyskoczył z maczugą, wywinął nią kilka razy w lewo i prawo i, jako koń spięty ostrogą, pomknął naprzód. Przy pomocy swego przyjaciela, począł on recytować:

Hola, panowie! Co znaczy ta wrzawa!  
 Przecież odźwiernym jestem nie dla kształtu.  
 Precz stąd! bo laską wesprę moje prawa;  
 Precz stąd, panowie, bo narobię gwałtu!  
 Ale nie! — Stójcie! — Cóż to za zjawienie?  
 Jaki tłum panów, giermków, jakie godła!  
 Jak dzielne konie! jakie drogie siodła!  
 Jak pyszne pióra! jaki blask pancerzy!  
 Znieść go nie może olśniona źrenica.  
 Ale dla Boga! Powiedzcie mi, kto to  
 Ta najpiękniejsza pośród nich dziewica,  
 Jak brylant, w czyste oprawiony złoto?  
 Niech co chce będzie! Widząc taką damę,  
 Trudno mi spełniać strażnika powinność.  
 Uchyłam laskę i otwieram bramę;  
 Niech dla niej miła będzie tu gościnność.

Królowa, przyjąwszy uprzejmie hold od tego nowożytnego Herkulesa i skinąwszy głową na znak podziękowania, wjechała w bramę, gdzie wraz zabrzmiała muzyka wojenna, której dźwięki, zmieszane z odgłosem instrumentów, dochodzącym z różnych stron zwierzyńca z wałów zamkowych, tworzyły przedziwną harmonję.

Przy odgłosie tej czarującej muzyki Elżbieta wjechała na długi most, łączący galerję z wieżą Mortimera i oświetlony po obu stronach tysiącem gorejących pochodni. Tu niektórzy panowie posiadali ze swych rumaków, a odesławszy je do pobliskiej wioski, złączyli się z tymi, którzy przyjmowali królowę Elżbietę.

Raleigh chciał nawiązać rozmowę z Tressilianem; lecz niemało się zadziwił, gdy jego przyjaciel dawał mu tylko nedorzeczne albo niezadowolające odpowiedzi. Tak ta okoliczność, jak też i to, że opuścił on swe mieszkanie bez żadnej słusznej przyczyny, przytem zaniedbany ubiór, mogący obrazić królowę, i inne znamiona niezwyčajnego stanu naprowadzały go na domysł, czyli jego przyjaciel nie dostał lekkiego pomieszania zmysłów.

Zaledwie królowa stanęła na moście, aliści nowy widok przedstawił się jej oczom. Na dany przez muzykę znak, zjawiła się na jeziorze tratwa, urządzona na podobieństwo

stwo pływającej wyspy, oświetlona mnóstwem pochodni i mająca po bokach maszyny w kształcie morskich koni, na których siedziały trytony, nereidy i inne bóstwa morskie lub rzeczne. Zwolna wyspa podpłynęła pod sam most.

Znajdowała się na niej niewiasta cudnej urody, a z jej ramion spływał płaszcz błękitnego koloru ponad przepaską, na której widniały różne tajemnicze znaki. Nogi i ręce niczem nie odziane; na każdym stawie połyskiwały złote obrączki nadzwyczajnej wielkości. Między długie czarne włosy miała wpleciony wieniec z kwiatów wodnych; w ręku trzymała laskę hebanową. Dwie nimfy, przy niej stojące, miały podobnie starożytne i tajemnicze ubiory.

Cała ta sztuka była tak dobrze urządzona, że pani pływającej wyspy, odbywszy czarującą podróż wzdłuż całego mostu, wylądowała równo z królową przy wieży Mortimera. Tam dopiero nieznajoma oświadczyła związaną mową, że jest panią jeziora, sławną w historii króla Artura; że jest tą samą, która wykarmiła Lancelota i której piękność stała się straszną dla mądrości i czarodziejskich mocy Merlina; że od tych dawnych czasów przez cały przeciąg wieków nie wychodziła nigdy ze swych pałaców kryształowych, lubo tak znamienite i dostojne osoby mieszkaly w zamku: Saksonowie, Duńczycy i Normanowie, Saintlowowie, Klintonowie, Montforty, Mortimerowie i Plantageneci. Aczkolwiek wielka była ich potęga i sława, nie mogli nigdy skłonić jej do tego, aby wychyliła głowę z wód, oblewających jej kryształowe państwo. Ale skoro doszła ją wieść, że ma przybyć w te strony sławniejsza od nich wszystkich niewiasta, pośpiesza natychmiast ze złożeniem jej hołdu i prosi uprzejmie, aby raczyła zażyć rozrywek i wszelkich rozkoszy, jakie tylko w tym zamku i jego okolicach, na wodzie i na ziemi znaleźć dla siebie może.

Królowa przyjęła wdzięcznie to powitanie i odpowiedziała z uśmiechem:

— Rozumieliśmy dotąd, że to jezioro należało do naszych posiadłości, ale skoro tak piękna i sławna pani przywłaszcza je sobie, miło nam będzie pomówić z nią obszerniej innym razem i wejść w układy względem urzędu naszego wspólnych interesów. —

Po tej ujmującej odpowiedzi znikła pani jeziora, a Orjon, znajdujący się między morskimi bóstwami, wyjechał na swoim delfinie. Ale Lamburn, który przyjął na siebie tę rolę w nieobecności Waylanda, dostał dreszczy od długiego zanurzenia w żywiole, którego nie był wielkim przyjacielem. Przytem, nie wyuczysz się napamięć swej mowy, a nie mając przy sobie nikogo, kto by mu podpowiadał, podobnie jak podpowiadano odźwiernemu, zrzucił beczelnie maskę i oświadczył donośnym głosem, że nie jest ani Orjonem, ani Arjonem, tylko poczciwym Michałem Lamburnem, że od świtu do zmroku pił zdrowie Jej Królewskiej Mości i dlatego tylko wyjechał na tem morskiem straszidle, aby jej powiedzieć, że będzie ona miłym i pożądanym gościem.

Ten żart sprawił może lepszy skutek, aniżeli sprawić mogła mowa, ułożona według wszelkich prawideł retoryki. Królowa śmiała się serdecznie i oświadczyła, że to było najlepsze powitanie, jakie w owym dniu słyszała. Lamburn, spostrzegłszy, że mu się sztuka udała, wyskoczył zgrabnie na brzeg jeziora, nogą odepchnął delfina i zaklął się, że nie będzie miał już nigdy do czynienia z rybami, chyba tylko na dobrym stole.

Gdy już królowa wjechać miała do samego zamku, wypuszczono wówczas owe pamiętne ognie sztuczne, które pan Lancham starał się opisać z całą wymową, na jaką tylko mógł się zdobyć.

— Taka była — powiada on — jasność zapalonych pochodni i strzał ognistych, latających w powietrzu, taki blask, rzucony przez gwiazdy migotliwe, takie potoki światła, rozlanego po całej okolicy, taki grzmot i łoskot od moździerzowych wystrzałów, że aż się ziemia zatrzęsła, wody powstały ze swych łóżysk, a niebiosa odpowiedziały przewlekłym odgłosem. A co się mnie tyczy, lubo jestem dość odważny, nigdy nie jechałem w życiu nie drżał tak mocno ze strachu.

*Thum. Erazm Rykaczewski (r. 1828).*

## WALTER SAVAGE LANDOR

(1775—1864)

## Z «UROJONYCH ROZMÓW»

Lord Bacon i Ryszard Hooker

(Wyjątek)

Bacon: Słyszałem wiele, mości Ryszardzie, o twej cnocie i twej mądrości, stąd też powzięłem myśl szukania u ciebie pociechy i pokrzepienia w mem ciężkiem nad miarę strapieniu. Często bowiem odczuwamy potrzebę usłyszenia z czyichś ust rzeczy, wiadomych nam dokładnie, i pragniemy, by obca ręka wlała w nasze serce dobrze znany balsam. Jak sama atmosfera własnego domostwa oddała nieraz skuteczniej ból i zmęczenie, niżby zdziałać to mogły najwymyślniejsze leki — tak głos przychylnego gościa i sąsiada łącznie mocen jest uśmierzyć nasze troski, niż najbardziej przekonujące argumenty retoryki i najbardziej abstrakcyjne wywody wiedzy. Nie jesteśmy zresztą wprost podatni do słuchania ich w podobnych wypadkach, tem mniej zaś jeszcze do szperania we własnych zasobach i wglądania w nagromadzone plody własnych refleksyj...

Hooker: ...Wiem, najszlachetniejszy lordzie, jak słabe jest me zrozumienie i jak słabe korzyści zdołałem osiągnąć z mych ciężkich trudów. Mózg mój obejmuje zaiste niewiele zagadnień, i to w sposób niedoskonały; powtarzam też tylko, co powiedzieli już inni — ludzie mądrzy i święci. Jeśli zaś podoba się Bogu, by te skarby, nieobfite wprawdzie, nie traciły nic ze swej mocy i czy.łości, gdy z serca, które je wyczulo, płyną w świat szeroki — radość moja wówczas jest ekstazą pokory...

Bacon: Obserwowałem wogóle tę samą prawie ilość błędzeń i ułomności u ludzi wiele i mało wiedzących... Zastanów się tylko, mości Ryszardzie, nad dyskursami i pismami najprzedniejszych filozofów, a zobaczysz, jak często nadawane są w nich fałszowi pozory prawdy. Przystępując do niej z bardzo bliska, nie wchodzą z nią w bezpośrednią styczność: «*evitata fervidis rotis*» — takie jest, według słów poety, zadanie woźnicy, lecz my, co żyjemy zdala od pieśni i kadencji i nie mamy czasu na dobijanie się aplauzów, śpieszymy poprzez głązy i piaski wprost do zamierzonego celu. Przekonałem ludzi i utrwaliłem ich w tem przekonaniu na wieki — że posiadałem rozległą dziedzinę myśli, której nie zbadał nikt przede mną: pierwszy rozwarłem do niej wrota, a przyciąga w niej uwagę wiele zawitych i trudnych zagadnień wiedzy. Pobudziłem ich do badania wszystkiego, co stać się może przedmiotem pożytecznych i racjonalnych dociekań, i nauczyłem, jako je prowadzić. Rzadkom też nie próbował sam pogłębiać dokładniej rzeczy, nasuwających się mej obserwacji. Jedna wszelako uszła całkowicie niemal mego zrozumienia — a warta była zachodu.

Hooker: Czy mógłbym zapytać cię, panie, nie dopuszczając się niedyskrecji, jaki to problemat masz na myśli?

Bacon: Franciszka Bacona.

*Thum. Marja Rakowska.*

## THOMAS CAMPBELL

(1777—1844)

## Z «WIERSZY O POLSCE»

(Na wybuch powstania listopadowego)

I jam-że dożył chwili, gdy z orężem w dłoni,  
O, nieśmiertelna Polsko, tyś znowu powstała!  
Niech się przed twą chorągwią wszech-rycerstwo kloni,  
Przed nią precz w cieniu znika trójkoloru chwała.  
Ach! dla ust nienatchnionych treść ta jest zbyt wzniosła,  
Którą serce nad pieśni potęgę mi wzrosło.  
Majestat czynów polskich nawet wiarę dziwi,  
Lecz mi wątpliwość losów w piersi dech wstrzymuje.

Zazdroszcząc tym, co biegną na grad kul, szczęśliwi,  
 Czuję właśnie tem więcej, że napróżno czuję.  
 Polacy! gniew wre we mnie, kiedy was służalce  
 Biednymi zwa litośnie. Anglja waszej walce  
 Urąga się czczym żalem i, cara złodzieja  
 Nienawidząc, miast karcić, sojusze z nim skleja.  
 Francja, z duszą w burbońskim i jarzmie, i kale,  
 I ta Germanja, która nie ma duszy wcale —  
 Drżą przed olbrzymem wszystkie w pokornej postaci,  
 Gdy wy go sami jedni trzymacie na wodzy!  
 Nie, choć krew was ubiega, wy w sławę bogaci,  
 My, niezdolni wam pomóc, my to — my ubodzy!  
 Naprzekór losom, Polska w wielkiem oku świata  
 Zyskała nieśmiertelność; i choćby nóż kata  
 Przebił jej łono teraz, morderca nie zdoła  
 Zedrzyć jej wieńca chwały z nadobnego czoła.  
 Choćby ją ćwiartowano i na proch spalono,  
 Gdzie proch padnie, tam będzie ziemia uświęconą.

Lecz porzuć, duszo moja, te myśli złowieszcze.  
 Duch Polski jest tą wieczną iskrą, którą jeszcze  
 Niebo rozdmucha w płomień, na złość tyranowi.  
 Wnet Polska, jako orzeł, pióra swe odnowi  
 I zabłyśnie przybrana w nowe skrzydła chwały,  
 Jaką po Maratonie Ateny błyszczwały.  
 Wymowa tam znów zagrzmi i sztuka zakwitnie,  
 Świecąc, jak teraz świeci polska broń zaszczytnie.  
 Niech grom we mnie uderzy, niech zdroje żywota  
 Przetnie mi zbytek szczęścia, i niech zorza złota  
 Roztoczy swe promienie na mym świeżym grobie  
 W dniu, który Polska ujrzy w zwycięstwa ozdobie.

— — — — —  
 Ma kres zło wszelkie: wicher, pożar, zatop, plaga,  
 Nawet przemoc nie może hrnąć we krwi bez granic;  
 Wolność wkońcu mieć musi kraj, co się nie wzdraga  
 Cierpieć, każdy ból dla niej poczytując za nic.  
 Tyrani, ciał mordercy, woli tej nie skruszą,  
 Która dziedzicznie włada narodową duszą.  
 Przechodząc z ojca w syna, tem goręcej płonie,  
 Im świeższym tchnie żywiołem w coraz młodszym łonie.  
 Jej spuścizną jest serce. Przodkowie polegli  
 W sierocych wnukach walczą zacięciem i bieglej.  
 Polska, choć w sławne męże oddawna bogata,  
 Wznosi swe syny w coraz większe bohaterzy.  
 Orzeł jej, który pierwszym jest wśród gołęi świata,  
 To potęgi jej ducha wizerunek szczery.

*Tłum. Stanisław Koźmian.*

JERZY BYRON

(1788—1824)

Z «KORSARZA»

O, ziemio grecka! O, kraju uroczy!  
 Któż, gdy cię poznał — w jakimkolwiek pieniu —  
 Mógłby nie oddać czci twemu imieniu?  
 Kto, widząc z Aten zachód twego Feba,



Ich wieczornego mógł zapomnieć nieba?  
 Nie ten, co z gościa, jakby syn twej ziemi,  
 Niezmienny miejscem ni łąty długimi,  
 Myślą po tobie dawne licząc ślady,  
 Żyje zakłęty między twe cyklady,  
 Ni hołd ten obcym pieśni swej uważa.  
 Twą była wyspa mojego korsarza —  
 Wyzwól ją z jarzma, którem wróg znieważał!

*Tłum. A. E. Odyniec.*

Z «NARZECZONEJ Z ABYDOS»

Ożył, odetchnął; z lic ogień wytrysnął.  
 Podniósł dziewicę, do piersi przycisnął.  
 Gniew, boleść znikła, z oczu niezwykła  
 Radość, jak jasność, błysła spojrzeniem,  
 Myśli promieniem, uczuć płomieniem.

Jak woda, z gór lecąca,  
 Gdy ją ciasny brzeg zwięzi,  
 Wirywa się iskrząca  
 Z pod wierzbowych gałęzi;  
 Jako piorun, gdy z góry

Ogniem błysnie w obłoku;  
 Tak z pod brwi tej ponurej  
 Dusza błyszczący w tem oku.  
 Na dźwięk trąby koń wrzący,  
 Na wrzask łowów lew śpiący,  
 Na krzyk buntu szalony  
 Tyran, ze snu zbudzony,  
 Mniej gwałtownie się wzruszy,  
 Mniej uczuje sił w duszy,  
 Niż Selim, słysząc przysięgę dziewicy,  
 Słyszając wyznanie uczuć tajemnicy.

*Tłum. A. E. Odyniec.*

ZΩΗ ΜΟΥ, ΣΑΣ ΑΓΑΠΩ

Dziewczę z Aten, czeka łódź:  
 Ty mi serce moje zwróć!  
 Albo weź mi wszystko już,  
 Co zostało z życia burz.  
 Nim odpłynę, słuchaj — o!  
 Ζώη μου, σάς αγαπώ.

Na rozwiany, sypki włos,  
 Pieszczon wiewem morskich ros,  
 Na tych powiek ciemny skraj,  
 Całujący lic twych maj,  
 Na tych sarnich źrenic szkło,  
 Ζώη μου, σάς αγαπώ.

Na tęsknotę żarnych warg,  
 Na ten wzrost, na smukły kark,  
 Na to, co nam mówił kwiat  
 W słowach, których nie zna świat,  
 Na miłości raj i zło,  
 Ζώη μου, σάς αγαπώ.

Dziewczę z Aten, czas mi, czas!  
 Cóż rozdzielić może nas?  
 Do stambulskich śpieszę bram,  
 Lecz tu serce swoje mam!  
 Kto mi cię zabierze, kto?  
 Ζώη μου, σάς αγαπώ. •

*Tłum. Jan Kasprowiec.*

Z «WĘDRÓWEK HILDE HAROLDA»

Do Inezy

Do mnie smutnego nie śmieję się!  
 Śmiech dawno zbiegł ode mnie.  
 I niech też Bóg uchowa cię  
 Od lania łez daremnie.  
 Ciekawaś tajnej troski mej,  
 Co młodość mą stargała?  
 Mej rany? Nie, i tybyś jej  
 Uleczyć nie zdołała.  
 Nie myśl, że ból miłosnych pęt  
 Albo nienawiść ludzi,  
 Lub żal ambitny — we mnie wstręt  
 Do uciech życia budzi.

To przesył, który dziś co krok  
 Dusza i zmysły czują,  
 Że mi na wdzięki stępał wzrok,  
 Twe oczy nie czarują;  
 Bezdeny smutek, co się wpił  
 W Żyda Tułacza duszę:  
 Poza grób spojrzeć nie mam sił,  
 Do grobu cierpieć muszę.  
 Dokądże tułacz uciec ma  
 Przed sobą? w które strony?  
 Gdy z nim tuż tuż żywota rdza,  
 Z nim myśli, ach, demony!

Niech innych ciągnie uciech czar,  
 Zachwyty własne ludzą;  
 Niech sobie śnią wśród rajskich mar,  
 Niech się, jak ja, nie budzą!

Tułaćtwo przeznaczeniem mem —  
 Z brzemieniem wspomnień całym;  
 Co bądź mnie spotka, mniejsza z tem:  
 Najgorsze już poznałem.

Najgorsze — pytasz — jakież to?  
 O, wiedzieć nie pożądaj!  
 W męskiego serca nie patrz dno —  
 Do piekła nie zagląda!

*Tłum. A. A. K. (Aleksander Krajewsk*

[O c e a n]

Tocz fale wód swych, oceanie siny!  
 Bicz flot tysiąca darmo cię rozpienia!  
 Na łądzie śladem człowieka: ruiny,  
 Tu u twych brzegów kres jego niszczenia!  
 Ty sam druzgoczesz tu statki! Ni cienia  
 Tu nie zostawia człowiek, gniewem zdjęty,  
 Chyba ślad jeden: piany krótkie wrzenia,  
 Gdy, jak dżdżu kropla, padnie w tve odmęty  
 Bez dzwonów, bez pogrzebu, w trumnie nie zamknięty.

Smug twój nie nato, aby go łupity  
 Ręce człowieka... Spiąwszy się do góry,  
 Strącisz go z siebie... Ty szydzisz z tej siły,  
 Którą on ziemi zadaje tortury —  
 Ze swojej piersi podrzucisz go w chmury  
 Albo o ziemię twa moc nim uderzy,  
 Śród fal wyjących igraszki ponurej,  
 W jakiejś zatoce, u jakichś wybrzeży,  
 W porcie jego nadziei: tam niech sobie leży!

Państwa twych brzegów — czem są dzisiaj one?  
 Rzym, Kartagina, Asyrja, Hellada!  
 Zmyły ich wolność tve fale spienione,  
 Lecz i tyranów... Dziś nad niemi władza  
 Obcy, słuźalec, ciemieżca... Zagłada  
 W puszcze zmieniła dzierzawy, tve skronie  
 Zawsze te same! Czas im brózd nie zada!  
 Jak w dniu stworzenia, tak i dzisiaj płonie  
 Ten lazur, co okrywa igrające tonie!

Chwałebne lustro, gdzie się nawet w burzy  
 Ogląda Wszechmoc! ty — cichyś czy wrzący,  
 Czy wiew cię muska, czy cię orkan chmurzy,  
 Czyś pod biegunem, czy w strefie gorącej —  
 Zawsześ wspaniały, granic nie znający!  
 Niewidzialnego tronie! Pierwowzorze  
 Wieczności, berło wszystkich stref dzierzący!  
 Z twych mułów plód ten, co w tobie ma łożę,  
 Bezdenny i samotny strasznych wód przestworze!

Jam umiłował ciebie, oceanie!  
 I szczytem uciech w mej młodości lecie  
 Było, jak bąbel, płynąć po twjej pianie!  
 Od dzieckam przywykł do twych fal! Na grzbiecie  
 Twoim spoczywać to rozkosz! Zamiecie

Burz twych jam kochał, choć wewnątrz człowieka  
 Przejmują grozą: ufałem, twe dziecko,  
 Twoim oddechem zbliżona i zdaleka,  
 Jak dziś, gładziłem włos twój, co zdrojami ścieka!...

*Tłum. Jan Kasprówic.*

Z «MELODYJ HEBRAJSKICH»

Idzie w piękności

Idzie w piękności swej, jak noc  
 Gwiazdzistych sfer południa ziem,  
 I blask, i mrok, ich czar i moc  
 Łącząc w postaci, w oku swem,  
 Śród lubych bladych nocy lśnięć,  
 Jakich świetniejszy nie zna dzień!

Skra więcej, jednym cieniem mniej  
 Mogłoby cudny wdzięk w pół śmieć,  
 Co płynie z kruczonych włosów jej

I z lic łagodnych zda się lśnić,  
 Gdzie myśl pogodą świadczy swą,  
 Jak błogiem jej mieszkanie to.

I taki spokój rysów tych,  
 Z lic tak wymowna słodycz lśni  
 Uśmiechem, grą rumieńców swych,  
 Iż widzisz ciąg cnotliwych dni,  
 Duszę, co zgodą wita nas,  
 Serce, gdzie miłość jest bez skaz.

Córka Jeftego

Jeśli ojczyźnie, gdy Bogu, panie,  
 Śmierć moja chwały przyczynić w stanie,  
 Jeśli zwycięstwo ślubem zdobyto —  
 Ach uderz, ojcze, w tę pierś odkrytą!

Dziewczęcych żalów nie ronią wargi,  
 Śród wzgórz nie błądzę z rzewnemi skargi,  
 Śmierć od cię lekka — ręce kochane  
 Bez bólu w serce zadadzą ranę!

A wierz w tę — czysta krew córy twojej,  
 Jak myśl ostatnia, co mię tu koi,  
 Jak prośba, aby, nim nóż pierś skrwawił,  
 Twój głos serdeczny mi błogosławił.

Na dziew solimskich zgłuchnij lamenty,  
 Jak mąż, jak sędzia — trwaj nieugięty!  
 Przez mię zwycięstwo dziś dał wam bój,  
 Wolna ojczyzna i ojciec mój!

Gdy krew mą — dar twój — wytoczą żyły,  
 Gdy zaniemieje głos, dziś ci miły,  
 Ty się pamięcią swej córy chlubi,  
 Pomnąc na uśmiech, z jakim szła w grób.

*Tłum. Adam M-ski (Zofja Trzeszczkowska).*

Z «DON JUANA»

Patrzą na siebie, z oczu blask im bije,  
 Ona mu białe ramię koło głowy  
 Oplotła; on zaś, objąwszy za szyję,  
 Skrył dłoń w kaskadzie włosów hebanowej;  
 Już na kolanach mu siadła, dech pije,  
 Oddech się staje prędszy, gorączkowy...  
 I wtedy grupę stworzyli klasyczną,  
 Miłosną, naga, naturalną, śliczną.

A gdy on, syty szalem, po upływie  
 Tych chwil pochyla w jej ramiona skronie,  
 Ona nie zaśnie, lecz mocno a tkliwie  
 Głowę mu trzyma na powabnym łonie,  
 czasem oczy obróci lekliwie,  
 I od lic jego bladych pierś jej płonie,  
 I wszystkie w sobie rozkosze zestrzela,  
 Których doznała i których udziela.

Dziś nienawiści, równie jak kochania —  
 Nie są szalone. Ja, gdy czasem kole,  
 To — że mię jakaś wnętrzna siła skłania  
 Lub sobie radzę tem w rymów mozole.  
 Jabym prostował złe żądze i zdania  
 (H a m u j ą c jednak, nie k a r c ą c złą wolę),  
 Gdyby Cervantes w dziejach Don Kichota  
 Nie wskazał, że to próżna jest robota.

Najrozumniejsza to z powieści, zwłaszcza  
 Przeto, że śmiesz. Jego rycerz prawy  
 I strzeże prawa, harde głowy spłaszcza,  
 Walczy w obronie tylko dobrej sprawy;  
 To cnota, co go z rozumu wywłaszcza.  
 Śmieszny — a sprawia widok bardzo łzawy,  
 Smutniejszy nawet, niż eposu moral,  
 Kto go zrozumiał i myśl zeń wyorał.

Naprawia szkody, złym kary wydziela,  
 W służbie dam z łotrem walczy bez bojaźni,  
 Naprzeciw tłumom jeden się ośmiela,  
 By lud wyzwolić z niewolniczej kaźni.  
 Ach! maż szlachetność ta, jak pieśń minstrela  
 Niegdyś, być tylko igrą wyobraźni?  
 Żartem, zagadką, cnót błędnym migotem?...  
 Sokrates ma być mądrości Kichotem?...

Cervantes zdmuchnął rycerstwo Hiszpanji;  
 Jeden śmiech zdołał prawego pozbawić  
 Ten kraj ramienia. Odtąd niewidzialni  
 Tam bohaterzy...

*Tłum. Edward Porębowicz.*

[W OSTATNIM ROKU ŻYCIA POETY]

Missolonghi, 22 stycznia 1824.

(«W tym dniu kończę rok trzydziesty szósty»)

Czas spocząć sercu, gdy tętniąc już mdławo,  
 Przestało wzniecać cudzych serc pożogę;  
 Lecz — jeśli być już kochanym nie mogę,  
 Niech jeszcze kochać mam prawo.  
 Pożółkły liście mojego żywota,  
 Zwiędły miłości kwiaty i owoce;  
 Pozostał tylko ów robak — tęsknota,  
 Co je toczy dnie i noce.  
 Żar, nurtujący od serca do głowy,  
 To wulkaniczna wyspa w ramach fali;  
 Pochodni — płomień jego nie zapali  
 Na marny stos pogrzebowy.  
 Z trwogą, z nadzieją — o! już się rozstałem;  
 Troska zawiści i ból obłąkany  
 Miłości przestał być moim udziałem;  
 Dźwigam — tylko jej kajdany.  
 Lecz nie tak, nie dziś niech ból ten pożera  
 Rozbitą duszę i wstrząsa jej tonie,  
 Gdy chwała wieńczy trumnę bohatera  
 Lub męczeńskie jego skronie.

Dziś, gdy przede mną sztandar rozpostarty  
 Wśród krwi i mieczów wszechhelleńskiej ziemi,  
 Zmarłe na własnych tarczach dzieci Sparty  
 Nie czuły się wolniejszymi.  
 Zbudź się — nie Grecja! ona stoi czujnie! —  
 Zbudź się, mój duchu! i wspomnij, przez kogo  
 Krew twoja bije tak bratnio a bujnie,  
 I staw czoło wrogom wrogo!  
 Zdepcz, jako słabość, niewartą i echa,  
 Odzywające namiętności tętno;  
 A piękność, czy się dąsa, czy uśmiecha —  
 Witaj twarzą obojętną.  
 Żal ci młodości!... To pocóż żyć dalej?  
 Kraina śmierci na zaszczytnej scenie  
 Jest tu... Więc w pole! tam wskrześ ją, tam szalej,  
 Tam wyzioń ostatnie tchnienie!  
 Pomyśl (ach, snadniej dla trupiego szczątka  
 Znajść go, niż szukać!) o żołnierskim grobie;  
 Rozejrz się wokół — wyszukaj zakątka,  
 Byś już raz odpoczął sobie.

*Tłum. K. J. Jezierski.*

### PERCY BYSSHE SHELLEY

(1792–1822)

#### SMUTEK

Szybciej, niżli tchnienie lata, Niż młodości pieśń skrzydlata, Niżli szczęściem noc bogata — Znikłaś mi, jak sen przelotny.	Serce wiecznie pragnie świtu, Lecz i sen mi pełny zgrzytu, Próżno zima chce rozkwitu Dać mi z jakich palm słonecznych.
Jako las — gdy zieleń zginie, Jako noc — gdy sen przeminie, Jako duch — gdy łza popłynie, Jestem dzisiaj sam — samotny!	Lilje — pannom w ślubne doby, Róże — matkom do ozdoby, Fiołki są na dziewic groby: Bratki — oto moje kwiecie!
Jaskółeczka lato — wróci, Sowa noc — się znów ocuci, Łabędź młodość — gdy nas rzuci, Zniknie w czasie mrokach wiecznych.	W grobie duszy swej je noszę, Bez łez gubię je potrosze: Łzy mi wyschły i rozkosze — Brak mi serca na tym świecie!

#### SERENADA INDYJSKA

Wstaję z łoża, śniąc o tobie, W pierwszym słodkim nocy śnie, Gdy łagodny zefir tchnie, Gdy się złocą gwiazdek roje! Wstaję z łoża, śniąc o tobie — Jakiś duch czy jakiś ptak Prowadzi mnie — któż wie jak? — Pod twe okno, dziecię moje!	Żałośliwa pieśń słowika Obumiera cichym snem: Tak jak ja na sercu twem Mam ostatnie wydać tchnienia!  Otwórz, otwórz swe okienko! Ja omdlewam, padam, mrę — Niech jak deszcz — całunki twe — Zaleją mi usta — oczy! Twarz ma biała pragnień męką: Serce me tęsknotą drży — Ze swem sercem złącz je ty — Moje z piersi wnet wyskoczy!
---	--

*Tłum. Antoni Lange.*

## CHMURA

1.

Świeże ulewy  
Na spragnione krzewy  
Przynoszę z morza lub rzeki;  
Dostarczam cieniu  
Listkom, co w znużeniu  
Wśród dziennej spoczęły spieki.

Na skrzydłach niosę  
I otrząsam rosę,  
Budząc tłum pączków uroczy:  
Śpiące gromadki  
Na piersiach swej matki,  
Co wkoło słońca się toczy.

Gradami zionę  
I łąki zielone  
Pokrywam białym całunem;  
W deszcz je przemienię  
I, mknąc już w przestrzenie,  
Znów się uśmiechnę piorunem.

2.

Śniegiem zawieję  
Gór lesiste knieje,  
Aż sosny gną się i dyszą,  
I na noc całą  
Mam poduszkę białą,  
Gdy wichry śpiącą kołyszą.

Wgórze, u szczytu  
Mej wieży z błękitu,  
Tam błyskawica ster trzyma;  
W otchłani, wdole  
Grom, wzięty w niewolę,  
Ze swych więzów rwie się i zżyma.

Z łądów na morza  
Wiedzie mnie w przestworza  
Ten mój przewodnik ognisty,  
Co rozkochany  
W duchach mgły i piany  
Ściga je w toni falistej.

Wszędzie on z niemi  
Na niebie i ziemi  
Brata się jawnie i skrycie,  
Śląc im z przestrzeni  
Swoją całość z płomieni,  
Gdy ja się grzeję w błękitcie.

3.

Gdy w krwawej zorzy  
Wschód oczy otworzy,  
Zgasiwszy gwiazdy już senne...  
Wskakuje nagle,  
Na me wzdęte żagle,  
Roztacza pióra płomienne,

Jak orzeł, który  
Gdzieś na zrębie góry,  
Co nad przepaścią się chwieje,  
Zawisłszy w locie,  
Przez kilka chwil w zlocie  
Otwartych skrzydeł jaśnieje.

A gdy z nad morza  
Tchnie zachodu zorza  
Ciszą, miłością, rozkoszą,  
Gdy płaszc z purpury  
Pada nadół z góry,  
A z dołu cienie się wznoszą:

Ja skrzydła złoję  
W błękitów przestworze,  
Piór szarych pochowam ząbki  
I, w gniazdo mroczne  
Uleciawszy, spocznię  
Nakształt drzemiącej gołąbki.

4.

Ta srebrzystolica  
Błękitów dziewica,  
Zwana księżycem na ziemi,  
Połyskując, sunie  
Po mem wiotkiem runie,  
Wzdętem powiewy nocnemi.

A gdzie w mym namiocie  
W cichym stóp swych locie,  
Co słyszą tylko anioły,  
Przerwie tkanę cienką,  
Zaraz przez okienko  
Tłum gwiazd przegląda wesoly.

Ja, widząc, jak chyże  
Przelatują w wirze,  
Niby złocistych pszczoł roje,  
Z uśmiechem rozwinę  
Namiotu szczelinę:  
Aż morza, jeziora, zdroje,  
Jak strzępki błękitu,  
Stracone ze szczytu,  
W księżyc i gwiazdy przystroję.

## 5.

Ja owijam słońce  
W wstęgi gorejące,  
Księżyc — w przepaski tęcz sine;  
Wulkany się mroczą,  
Gwiazdy drżą, migoczą,  
Gdy ja swój sztandar rozwinę.

Z ładu na ład śmieie  
Pomostem się ścielę  
Przez mórż wzburzone obszary;  
Nie puszcza promieni  
Przez mój dach w przestrzeni,  
Oparty o gór filary.

Triumfalna brama,  
Co powstaje sama  
Na me zwycięskie przybycie,  
Gdy z burzą i gromem  
Krocę nad poziomem —  
To tęczy barwne odbicie.

Słońca glob ognisty  
Tka jej wzór przejrzysty  
I luk świetlany napina,

Podczas gdy zroszona,  
Łzy strząsając z łona,  
Śmiać się znów ziemia poczyna.

## 6.

Duchy wód i ziemi —  
Rodzicami memi,  
Piastrką — przestrzeń powietrzna;  
Przenikam w obiegu  
Tkań morza i brzegu,  
Wciąż zmienna, a jednak wieczna.

Choć z deszczową rosą  
Wiatry mię rozniosą  
I wgórze istnieć przestanę;  
Choć słońca promienie  
Błękitów sklepienie  
Bez skaz utkają świetlane:

Ja z swego pogrzebu  
Wzlatuję ku niebu  
Z jaskini deszczów ukrytej;  
Jak duch z grobu łona  
Nowonarodzona  
Przesłaniam znowu błękity.

*Tłum. Adam Asnyk.*

## TULACZE ŚWIATA

Powiedz mi, gwiazdo złota, w biegu  
Swym — do jakiego zdążasz brzegu,  
W jakiej pieczarze do noclegu  
Swe skrzydła złożysz już?

Blady księżycu, ty błękitu  
Siwy pielgrzymie, z brzaskiem świtu  
U jakich urwisk spocznieś szczytu,  
Śród jakich dolin, wzgórz?

Wichrze strudzony, co, jak dziecię  
Bezdomne, tułasz się po świecie,  
Masz li gdzie gniazdo na skał grzbiecie,  
Śród drzew czy w głębi mórż?

*Tłum. Władysław Nawrocki.*

## OZYMANDJAS

Podróżnik, wracający z starożytnej ziemi,  
Rzekł do mnie: — Nóg olbrzymich z głazu dwoje sterczy  
Wśród puszczy bez tułowia. Wpobliżu za niemi  
Tonie w piasku strzaskana twarz. Jej wzrok szyderyczy,

Zacięte usta, wyraz zimnego rozkazu  
Świadczą, iż rzeźbiarz dobrze na tej bryle głazu  
Odtworzył skryte żądze, co, choć w poniewierce,  
Przetrwały rękę mistrza i mocarza serce.

A na podstawie napis dochował się cało:  
«Ja jestem Ozymandjas, król królów. Moczarze!  
Patrzcie na moje dzieła i przed moją chwałą

Gińcie z rozpaczyl!» Więcej nic już nie zostało...  
Gdzie stąpić, gruz bezkształtny oczom się ukaże  
I piaski, bielejące w pustyni obszarze.

*Tłum. Adam Asnyk.*

JOHN KEATS

(1795—1821)

Z «HIPERJONA»

W głębokich mrokach posępnej doliny  
Zdała od świeżych oddechów poranka,  
Żarów południa i gwiazdy wieczornej  
Usiadł Saturnus, jako głaz, spokojny  
I tak milczący, jak owo milczenie,  
Co go otacza wokoło; nad głową  
Las mu się zwieszał na lesie, jak ciemna  
Chmura na chmurze. Ani jeden tutaj  
Nie wkraść się powiew, tyle sił mający,  
Ile ma cichy dnia letniego podmuch,  
Wdał unoszący żdźbła pierzastej trawy;  
Liść tu umarły zostawał, gdzie upadł,  
Samotny potok włókł go oniemiały  
I coraz bardziej małał i pochmurniał  
Z żalu nad bóstwa swojego upadkiem;  
W trzcinach i łożach wylękała najada  
Usta swe zimnym zamykała palcem.

W piasku nabrzeżnym ślady stóp szerokich,  
Ale idące do tego li kresu,  
Dokąd on dotarł, by spocząć i zasnąć.  
Dłoń jego stara, zgrzybiała, olbrzymia  
Legła na ziemi darnistej, bezwładna,  
Martwa, bez berła; oczy mu przywarły  
Ciężkie powieki, a głowę obwisła  
Tulił do ziemi, jakby nasłuchiwał,  
Czy przyjdzie pomoc od matki odwiecznej.  
Zdawałoby się, iż go żadna siła  
Z miejsca nie ruszy, gdy wtem ktoś się zbliżył  
I, ze czcią wielką schyliwszy się nad nim,  
Przyjazną ręką łagodnie się dotknął  
Jego barczystych, przepotężnych ramion:  
Pierwszego świata była to bogini.  
Przy jej postaci rosła amazonka  
Równałaby się pigmejce; za włosy  
Pochwyciłaby Achilla i zgięła  
Kark mu ku ziemi; lub też jednym palcem  
Iksyjonowe wstrzymałaby koło.

Lica jej były ogromne, prawdziwie,  
Jak to oblicze memfijskiego sfinksa,  
Co gdzieś w dziedzińcu stanął pałacowym,  
Kiedy mędrcom, szukając mądrości,  
Zwracali oczy swe ku Egiptowi.  
Lecz do marmuru jakże niepodobne  
Było to lice! Jakże było piękne,  
Jeśli ból wielki nie uczynił bólu  
Jeszcze piękniejszym od samej piękności!  
W jej wzroku czyhał jakiś strach wylękły,  
Jakgdyby klęska zaczęła się właśnie,  
I jakby w dniu burzy przednia straż chmur ciemnych  
Już rozpoczęła swój posiew nieszczęścia,  
A czarny hufiec jął nagromadzonym



Pracować grzotem. Jedną rękę swoją  
 Do bolesnego przycisnęła miejsca,  
 Gdzie u człowieka słyhać serca bicie,  
 Jakby tam właśnie, chociaż nieśmiertelna,  
 Czuła ból krwawy; drugą na Saturna  
 Złożywszy karku przegiętym, otwarte  
 Zbliżyła wargi w stronę jego uszu  
 I uroczystym, głębokim, organnym  
 Rozbrzmiała dźwiękiem w żalne, smutne słowa,  
 Które w akcentach naszego języka —  
 O! jakże słabych, ażeby wyrazić  
 Pierwotnych bogów rozlewną wymowę —  
 Takieby miały znaczenie: «Saturnie!  
 Otwórz swe oczy! — Jakkolwiek dlaczego,  
 Ty stary, biedny mój królu!? Pociechy  
 Nie mam ja żadnej dla ciebie — nie — żadnej!  
 Nie mogę rzeknąć: — Czemuś zasnął, panie? —  
 Albowiem niebo już cię opuściło,  
 I ziemia boga nie widzi w pobitym,  
 I morze z swoim uroczystym szumem  
 Odbiegło berła twojego, i wszystkie  
 Wokół przestwory przestały ulegać  
 Twej osiwiałej, dawnej królewskości.  
 Grzmoty, nowego świadome rozkazu,  
 Opornie tylko buczą ponad naszym  
 Upadłym domem, a twa błyskawica,  
 Niedoświadczoną kierowana ręką,  
 Niszczy i pali te, ongiś spokojne,  
 Nasze dzierżawy. O, czasy bolesne,  
 O, chwile długie, jak lata...»

Tymczasem w innych dzierżawach roniono  
 Łzy przeogromne, i jeszcze tam krwawszy  
 Ból się wylewał, i żal był tak wielki,  
 Że nie wyrazi go ni język ludzki,  
 Ani też pióro; groźny ród tytanów,  
 Sam się ukrywszy albo w pętach leżąc,  
 Nad utraconem jęczał panowaniem  
 I w męce srogiej ciągle nastuchiwał,  
 Zali się Saturn nie ozwie. Lecz jeden  
 Z tego plemienia mamutów wciąż jeszcze  
 Dzierżył swe władztwo, swą moc, swój majestat:  
 W kręgu swych ogni wciąż jeszcze płomienny  
 Siedział Hiperjon, wciąż wdychał kadzidla,  
 Z męża na boga rosnąc słonecznego —  
 Ale niepewnie; bo jak w nas śmiertelnych  
 I dreszcz, i trwogę straszne budzą znaki,  
 Tak i on również drżał, lecz nie, jak człowiek,  
 Na głuche wycie psa lub krzyk puhacza  
 Lub gdy, przyszedłszy do kogoś ze swoich,  
 Usłyszy naraz jego dzwon pogrzebny,  
 Lub modły księży w północ przy gromnicach —  
 Tylko przestrazy, o władnąwszy każdym  
 Nerwem olbrzyma, częstokroć dręczyły  
 Hiperjona...

...Oto pieśń ta poświęcona ojcu  
Wszelakiej pieśni... Niechaj się płomieni  
To, co purpury okraszone barwą!  
Róże niech rosną, i niech ciepłem wionie  
W okrag powietrze, i niechaj wieczorny  
I porankowy obłok tuli wzgórza  
W swoje rozkoszne runo; niech w puharach  
Pieni się wino czerwone, zimniejsze  
Od fal perlitych; niech muszla różowa,  
W piasku lub w głębiach schowana bezdennych,  
Skręca się w swoje kraśne labirynty;  
I niech się młoda rumieni dziewica,  
Niby znienacka tknięta pocałunkiem!  
Raduj się, wyspo Delos, ty, najpierwsza  
Z pośród lesistych Cyklad, ty, zielonych  
Pełna oliwek i palm, rzucających  
Cień na polany twoje, i topoli,  
I szumnych buków, w których zefir śpiewa  
Swe najgłośniejsze śpiewy, i tych gęstych  
Krzaków leszczyny, ciemniejących w cieniu —  
Raduj się razem z niemi: on, Apollo,  
Jest znowu pieśni promienistą treścią.  
Gdzież on przebywał, kiedy olbrzym słońca  
Stal jaśniejący śród żalów swych braci?  
W tym samym czasie opuścił był wcześniej  
Nadobną matkę i siostrę bliźniaczą,  
Śpiące w przybytku swoim, i o świcie  
Jął się przechadzać pośród wierzb nadrzecznych,  
Po kostki brodząc w liljach doliny.  
Umilkł już słowik; po niebieskich drogach  
Wlokło się jeszcze kilka opieszatych  
Gwiazd, a w gęstwinie drozd rozpoczął świstać  
Z cichej gardzieli. Na tej wyspie całej  
Nie było schronu ni grotu ustronnej,  
Gdzieby nie dotarł szmer i pogwar fali,  
Choć ledwie słyszany w niektórych zaciszach.  
On nasłuchiwać począł i zapłakał,  
A łzy promienne ściekały kroplami  
Po łuku złotym, który dzierżył w dłoni...

*Tłum. Jan Kasłowicz.*

#### KOŚCIUSZKO

Sława imienia twego aż do nas dolata,  
A dźwięk jego tak wzniosły jest i tak wspaniały,  
Iż napełnia odgłosem swoim wszechświat cały,  
Brzmi wszędzie i brzmieć będzie po tysiącne lata.

Imiona bohaterów z nadziemskiego świata  
Spadają gromem. Bóg je zamienia w pieśń chwały,  
Ażeby potomności zdumionej śpiewały  
O wawrzynie, co skronie wybrańców oplata.

I z twojego imienia w ów dzień upragniony,  
Gdy dobro zapanuje, kiedy fałsz zaginie,

Powstanie pieśń, dźwięcząca natchnionemi tony,  
I nieśmiertelnym hymnem w błękitny popłynie...  
Pieśni tej słuchać będzie wszechświat zachwycony  
wielki Bóg w niebiosów słonecznej krainie.

*Tłum. Julian Ejsmond.*

#### KONIK POLNY I ŚWIERSZCZ

Poezja ziemi nigdy nie zaginie:  
Gdy ptakom blasków jesiennych ulewa  
Każe się schronić w lubym cieniu drzewa,  
Śród żywopłotów pieśń z pokosu płynie:  
To konik polny wodzi rej w drużynie  
Piewców!... bez końca w śpiewie tym rozbrzmiewa  
Rozkosz i radość; nawet gdy omdlewa  
Z uciech — spoczynek trawa da jedynie.  
O tak! Poezja ziemi nie ma końca:  
W mroźny zimowy wieczór, w martwą ciszę,  
Kiedy wśród pustki z poza pieca dzwoni  
Pieśń świerszcza, w ciepłe coraz głośnieję brzmiaça,  
I w niej konika polnego pieśń słyszę,  
Napoty sennie płynącą śród błoni.

*Tłum. Władysław Nawrocki.*

#### THOMAS MOORE

(1779—1852)

#### Z «MELODYJ IRLANDZKICH»

Cześć wieczna krwawej niwie, gdzie w kraju obronie  
Padły święte, ostatnie, bohaterskie głowy!  
Legli mężni, a z nimi straszny mrok grobowy  
I nadzieję, co od nich nam świeciła, chłonie.

O, gdyby wydrzeć śmierci te serca olbrzymie  
Z ich miłością ojczyzny, zapalem i siłą!  
O, gdyby im raz jeden jeszcze wolno było  
Na święty bój za wolność stanąć w Boże Imię.

O, gdyby choć na chwilę stargać te kajdany,  
W które przemoc wtrąciła kraj nasz, krwią obłany,  
A nie byłoby mocy w niebie ni na ziemi,  
Coby nas po raz drugi okowała niemi.

Stało się! Lecz choć w dziejach nasz zwycięzca srogi  
Czoło swe w najpiękniejsze przystraja wawrzyny —  
Hańba sławie, co nie zna dla się innej drogi,  
Jak przez wolnego ludu groby i ruiny!

O, bo droższe mogiły, droższe więzień stopy,  
Gdzie pamięć patryjoty świętym blaskiem płonie,  
Niż trofea tych wszystkich, co, sięgając po nie,  
Serca wolnych za szczeble biorą dla swej stopy!

*Tłum. Adam Pług.*

Erinie!<sup>1</sup> twój uśmiech i łza w twojem oku

Erinie! twój uśmiech i łza w twojem oku Są jako ta tęcza, zawisła w obłoku! Jasność w tych smulkach się pleni, Twa radość pełna jest cieni, Twe słońca pośród promieni Płaczą na niebios stoku.	Erinie! Nie zmniejszy się łza twego znoju, Nie wzmoże się fala uśmiechów twych zdroju, Póki, jak w tęczy tej bożej, Barwa się z barwą nie złoży I pośród górnych przestworzy Nie załśni łukiem pokoju.
--	---

*Tłum. Jan Kasprzewicz.*

## Zlew wód

Czy jest na całym świecie tak miłe ustronie,  
Jak dolina, gdzie jasne zlewają się zdroje?  
Dolino, będą w sercu błyszczeć kwiaty twoje,  
Póki w duszy ostatni promyk życia płonie!

Nie dlatego o tobie tak wspominać miło,  
Że cię szmaragd odziewa i kryształ oblewa,  
Że masz żywe strumienie, urodziwe drzewa:  
Ach, w tobie coś droższego, coś miłszego było!

Tu byli ukochani przyjaciele moi;  
Oni rozleli lubość w lubej okolicy,  
Oni czuli, że piękność, która ziemię stroi,  
Miłszą jest, kiedy w miłej odbita źrenicy.

Daj Boże, abym wrócił w to miłe ustronie  
I obok mych przyjaciół spoczął na twem łonie,  
Kiedy przeminą wszystkie życia niepogody  
zmieszają się serca, jako twoje wody!...

*Tłum. Adam Mickiewicz.*

## Młody minstrel

Młody odważny minstrel z dźwięczną harfą swoją,  
Z orężem, którym ojciec nieraz gromił wrogów,  
Tam, gdzie waleczni kraju mściciele się zbroją —  
Z rodzinnych pośpieszył progów.

«Naddziadów moich ziemio!» rzekł bard rozczulony,  
«Choć świat cały na ciebie wzniesie dłoń zuchwałą:  
Ten oręż jeszcze błysnie dla twojej obrony,  
Ta harfa — zabrzmie twą chwałą!»

Śród bitwy w ręce wrogów dostał się bard śmiały,  
Lecz wróg próżno go zmuszał, by cześć jego śpiewał —  
Już struny dźwięcznej pieśni więcej nie zabrzmiały:  
Własną je ręką pozrywał.

«Nie splamią cię kajdany!» zawołał z zapalem,  
«Ty, coś do boju w lepszej zachęcała doli,  
Harfo, na której wolnym rodakom śpiewałem:  
Nigdy nie zabrzmisz w niewolili!»

*Tłum. Konstanty Gaszyński.*

<sup>1</sup> Erin = Irlandja.

KAROL LAMB

(1775—1834)

DAWNE, ZNAJOME MI TWARZE

Miałem rówieśnych, miałem towarzyszków  
 W latach dzieciństwa, w błogich latach szkolnych...  
 Wszystkie już znikły dawne, znajome mi twarze!

Śmiałem się niegdyś i biesiadowałem,  
 Pijąc dopóżna w łubych druhów kole...  
 Wszystkie już znikły dawne, znajome mi twarze!

Niegdyś kochałem z kobiet najpiękniejszą...  
 Przejszć mi jej progę — widzieć jej nie wolno!  
 Wszystkie już znikły dawne, znajome mi twarze!

Jam przyjaciela miał — nie ma lepszego  
 Nikt... jak niewdzięcznik, nagle go rzuciłem,  
 By rozmyślać o dawnych, znajomych mi twarzach!

Jak duch, błądziłem po miejscach dzieciństwa...  
 Ziemię musiałem przejść, niby pustynię,  
 Szukając dawno znikłych, znajomych mi twarzy!

Druhu serdeczny mój, więcej niż bracie!  
 Gdybyś się zrodził w mego ojca domu,  
 Moglibyśmy wspominać dawno znikłe twarze!

Jak jedni zmarli, jedni mnie rzucili,  
 Innych mi wzięto... wszyscy już odeszli!  
 Wszystkie już znikły dawne, znajome mi twarze!

*Tłum. Władysław Nawrocki.*

[ŚWIAT KSIĄŻEK]

Zapewne nie wpłynie to korzystnie na opinię, jaką mieć mogą o mnie różne praktyczne osoby, gdy powiem, że niemalą część mego czasu pochłaniają mi myśli cudze. Śnię o życiu zapomocą cudzych kontemplacyj. Lubię zabłąkać się w jakimś obcym mi umyśle. Umiem myśleć tylko, chodząc: to też, gdy nie jestem w ruchu — czytam; siedzieć i myśleć — to dla mnie niemożliwość; gdy siedzę, książki myślą za mnie. W świecie książek nie znam wyłączości. Shaftesbury nie jest dla mnie zbyt wytworny, i nie lękam się otrzeć o Jonathana Wilda. Jestem w stanie czytać wszystko, cokolwiek bądź jest książką. Ale istnieją rzeczy, które mają kształt książek, lecz niemi nie są. Do katalogu książek-nieksiążek, Biblia Abiblia, zaliczam dworskie kalendarze, księgi adresowe, notesy, księgi rachunkowe (a są oprawne i zaopatrzone w litery porządkowe na nagrzbietkach), traktaty naukowe, almanachy, kodeksy praw, dzieła Hume'a, Gibbona, Robertsona, Beattie, Soame Jenynsa i wogóle wszystkie te tomy, bez których nie może się obejść żadna w dobrym tonie biblioteka, dzieła historyczne uczonego żydowina Józefa Flawjusza i filozofję moralną Paleya. Poza temi wyjątkami jestem w stanie czytać chyba wszystko. Błogosławię mej gwiazdzie za upodobania tak katolickie i nie znające uprzedzeń. Przyznaję, że nie mogę widzieć bez rozgoryczenia, gdy rzeczy w kształcie książek i uposażone w ich szaty rozpościerają się po półkach, które tylko książkom służyć powinny: są to w moich oczach uzurpatorzy, rozpychający się w świątyniach i wypędzający z nich prawych właścicieli, są to samozwańczy fałszerze, wydzierający świętym ich kaplice. Wyobrazić sobie, że

można sięgnąć po coś, co wygląda jak tom i mogłoby być zbiorem utworów dramatycznych, a gdy rozchyli się to, co chce uchodzić za stronicę, znajduje się zeszcły szkic o zaludnieniu. Szuka się Steele'a, a natrafia na Adama Smitha. Nielatwo jest znieść widok jakiegoś skrzętnie dobranego kompletu najidjotyczniejszej encyklopedji (anglikańskiej lub metropolitalnej), tom za tomem oprawne w najlepszą ruską skórę lub maroquin, i myśleć, że jedna dziesiąta tylko tego przepychu zabezpieczyłaby trwa- nie i wygodę moim roztrzęsionym tomom, ba, odnowiłaby samego Paracelsa, a staremu Raimundusowi Lullemu pozwoliłaby wyglądać podobnie do samego siebie, by nie potrzebował świecić czołem wobec świata. Zawsze mam ochotę obedrzeć tych oszu- stów, i serce mi się kraje na myśl, jakby ciepło było i przytulnie w tym przyodziewku moim obdartym weteranom...

*Tłum. Stanisław Brzozowski.*

### TOMASZ HOOD

(1799—1845)

#### Z «PIEŚNI O KOSZULI»

<p>Z utrudzonymi palcami, Z źrenicą mętną, zastygłą, Siedziała kobieta w mizernych łachmanach Przy pracy, zgięta nad igłą — Chyżo za ściegiem ścieg rośnie! Zmęczona, głodna, zbolała, Wszelako znękanym swym głosem żałośnie «Pieśń o koszuli» śpiewała:</p> <p>«Szyj! szyj! szyj! Gdy wdali koguty pieją. I szyj! szyj! szyj! Gdy gwiazdy przez dach jaśnieją. O, doloż moja, ty raczej W turecki mnie jasyr prowadź!... Tam przecie kobieta na duszę nie baczy... Niż mam u chrześcijan pracować!</p>	<p>«Szyj! szyj! Szyj! Póki się mózg nie zamroczy. Szyj! szyj! szyj! Póki nie zaćmią się oczy. Kliniki, szlaki, więzadła, Więzadła, szlaki, kliniki, Aż sen mnie pod koniec już zmorzy, i wtedy We śnie przyszyję guziki.</p> <p>«Mężczyźni, co się istnieniem Sióstr, żon i matek cieszyacie! Nie z płótna samego są wasze koszule, W nich istot ludzkich tkwi życie! Chyżo za ściegiem ścieg rośnie! Zmęczona, głodna, zbolała, Jam nitką podwójną zarazem z koszulą Dla siebie całun zszywała.</p>
--	--

«Lecz czemuż mówię o śmierci,  
O tym ohydny szkielecie?...  
Wszelako przed straszną tą marą nie zadrzę,  
Do mnie podobna jest przecie —  
Wszak codzien poszczę... O, Panie!  
Dlaczegoż tak drogi jest chleb na tym świecie,  
A krew i ciało — tak tanie!?...»

*Tłum Władysław Nawrocki.*

### TOMASZ CARLYLE

(1795—1881)

#### Z «SARTORA RESARTUSA»

#### W i e c z n e T a k

«Pokuszenie na puszczy!» — woła Teufelsdröckh. — «Czyśmy wszyscy nie byli wrodzeni na takie pokuszenie? Nie tak to łatwo eksmitować zamieszkałego w nas sta- rego Adama. Życie nasze jest całe opasane Koniecznością, a jednak wyraz Życie nie ma innego znaczenia, jak Wolność, jak Dobrowolna Siła; z tego wynika walka, bój, zwłaszcza z początku zawzięty. Albowiem przykazanie Boże: P r a c u j d o b r e m i

uczynkami leży w sercach naszych, zapisane tajemniczymi, Prometeuszowemi, proroczymi znakami, nie dając nam spoczynku dzień i noc, póki go nie odczytamy i nie usłuchamy, póki nie zapłonie przez postępowanie nasze widomą, wykonywaną ewangelją Swobody. Ponieważ zaś przykazanie, dane glinie: «Jedź i napelniaj się» obwieści się zarazem w sposób przekonywający w każdym nerwie, czy nie musi zatem nastąpić zamieszanie i walka, zanim lepszy wpływ nie weźmie góry?

«Mojem zdaniem, niema nic naturalniejszego, jak to, żeby Syn Człowieczy, słyszący w sobie pierwsze prorocze wzburzenie takiego danego przez Boga przykazania oraz uczuwszy, że glina albo musi być teraz pokonana, lub musi zwyciężyć, został przeniesiony do dzikiej pustyni i przeciwstawiony na niej kusicielowi do stoczenia z nim jak najdłuższej bitwy, wyzywając go zuchwale tak długo, póki się nie podda i nie uciecze. Nazwijcie to jak chcecie — z widocznymi i z niewidocznymi djabłami tak na pustyni przyrodzonej, ze skał i piasków, jak w ludnej pustyni moralnej, z sobkostwa i podłości, wszyscyśmy powołani na takie pokuszenie. Biada nam, jeżelibyśmy byli niepowołani! Biada nam, jeśliśmy tylko półludźmi, w których nigdy nie zapłonęło owo pismo boskie w pokonywającym wszystko prawdziwym przepychu słonecznym, ale jedynie drga niepewnym światełkiem pośród innych podlejszych światła lub też ckliwą boleścią tli się w ciemności pod wyziewami ziemskimi! — Naszą pustynią w ateistycznym stuleciu jest świat szeroki; naszymi czterdziestu dniami — długie lata cierpień i postu. Jednak i one się skończą. Tak, i mnie była udzielona świadomość, jeśli nie zwycięstwa, to przynajmniej bitwy oraz postanowienia wytrwania w niej, póki stać życia lub zdolności. I mnie także, osidlonemu w zaczarowanych lasach, zaludnionych czartami, bolesnych dla widzenia i słuchu, było dane po jak najbardziej nużących wędrówkach wybrnąć na wyższe słoneczne stoki, na Górę bez szczytu lub której szczyt znajduje się tylko w Niebie!»

*Tłum. Sygurd Wiśniowski.*

## TOMASZ BABINGTON MACAULAY

(1800—1859)

### ZE «SZKICU O MILTONIE»

Najwybitniejszą właściwością miltonowskiej poezji są z najodleglejszych krańców schwyte powinowactwa idei, silnie poruszające umysł czytelnika. Wrażenie wywiera nietyle to, co rzeczywiście jest wypowiedziane, ile raczej to, co się odgadywać daje; nietyle wprost przedstawione idee, ile inne, z temi związek mające. Zapala umysł zdaleka, za pośrednictwem elektrycznych nici. Ludzie o najtępszej wyobraźni rozumieją Iljadę. Homer nie zostawia czytelnikowi wyboru i nie wymaga odeń żadnego wysiłku. Bierze wszystko na siebie i w tak wyraźnym świetle przedstawia swoje obrazy, że niepodobniśwem jest stać przed nimi z zamkniętymi oczyma. Poezja Milona, przeciwnie, wtenczas tylko może być zrozumiana i odczuta, kiedy duch czytelnika działa wspólnie z poetą. Nie podaje żadnego ostatecznie wykończonego obrazu, harfa jego nie dźwięczy dla ucha biernego tylko słuchacza. On daje jedynie zarys konturów, a innym zostawia staranie, jak dalej je ukoloryzować. Uderza tylko ton zasadniczy w oczekiwaniu, że słuchacz sam dośpiewa resztę melodji.

Tak wiele mówią o magicznym wpływie poezji; wogóle są to puste słowa, które tylko w zastosowaniu do dzieł Milona nabierają rzeczywistego znaczenia. Poezja jego działa jak czarodziejskie zaklęcie. Wartość jej polega nietyle na myślach, otwarcie w niej zawartych, ile raczej na ukrytej w nich potędze. Zrazu wydaje się, jakoby słowa jego nie miały większego od innych znaczenia. Lecz to są słowa czarodziej-skiej formuły, gdyż zaledwie je wymówiono, przeszłość staje się terażniejszością, a odległość znika. Nowe kształty piękna występują nagle w żyjącej pełni, i wszystkie mogity wspomnień zwracają swych umarłych. Lecz zmienmy tylko porządek zaklęcia, zastąpmy tylko jeden synonim drugim, a urok znika natychmiast. Formuła straciła swoją potęgę, i kto by się chciał ludzi nadzieją, że jeszcze nią zakląć potrafi, zawiódłby się równie gorzko, jak Kazem w powieści arabskiej, gdy, stanąwszy przed

drzwiami, posłusznymi tylko słowom: «Sezamie, otwórz się!» wołał: «Pszenico, otwórz się!», «Jęczmieniu, otwórz się!»...

Na poparcie naszych spostrzeżeń możemy to jeszcze dodać, że z pomiędzy ustępów poezyj miltonowskich żadne prawie nie są tak powszechnie znane ani tak często przytaczane, jak te, które niewiele co więcej zawierają od samego wyliczenia imion. Nie są to imiona znakomitsze ani dźwięczniejsze od innych, lecz są to słowa czarodziejkiej potęgi. Każde z nich stanowi pierwsze ogniwo długiego łańcucha połączonych idei. Robią na nas wrażenie, zupełnie niezależne od rzeczywistego ich znaczenia, podobne do tego, jakiego doznajemy, kiedy w wieku dojrzałym zwiedzamy miejsca, w których upływało dzieciństwo nasze...

*Przekład bezim., wyd. w Warszawie, 1879 r.*

JOHN HENRYK NEWMAN

(1801—1890)

WYJĄTKI Z KAZAŃ

[Wielkanoc]

Urzeczywistnienie wielkiej radości lub wielkiej boleści jest zawsze bardzo trudną rzeczą. Nie wystarcza tu samo pragnienie. Okoliczności i to wszystko, co towarzyszy radościom i bólom tego świata, czyni nam je głęboko odczuwalnymi.

Gdy umiera nam przyjaciel, nie możemy z początku uwierzyć, że go nam zabrano. Nie możemy sobie wierzyć, że znajdujemy się na nowem miejscu, kiedy tam przychodzimy. Gdy ktoś nam o czemś mówi, przyświadczamy temu i nie wątpimy o tem, ale nie odczuwamy tego jako prawdziwe, nie rozumiemy jako faktu, który ma zająć miejsce w naszych myślach lub mieć wpływ na nie i ma stać się czynnikiem lub celem naszych czynów — słowem, nie urzeczywistniamy go.

... I chociaż według powinności naszej odczuwamy silnie, że nie czcimy dzisiaj świętego dnia z należną mu żywą i żarliwą radością — nie zrażamy się, nie upadamy na duchu. Odczuwamy radość i więcej radości, niżli nam się zdaje, widzimy więcej przyszłego świata, aniżeli wiemy o tem. Jeśli należycie poprawiliśmy się w świętym okresie, który dobiegł końca, jeśli w pełnej szczerości i bez zwodzenia samych siebie umartwialiśmy nasze ciało w jedzeniu, picciu i przez inne zadośćuczynienie, stosownie do sił naszych, jeśli modliliśmy się, możliwie najczęściej — nieprawdopodobną jest rzeczą, aby błogostawieństwo nie zeszło na nas i jeszcze obecnie w nas nie przebywało...

[Wezwanie Boże]

Niema większego pewnika nad to, że niektórzy ludzie czują się powołani do spełnienia obowiązków i wielkich dzieł, a inni tego wezwania nie czują. Przyczyny tego są nam nieznane. Czyto, że ci, którzy nie są wezwani, dopuszczają się zdrady wezwania, bo upadli w przejściach poprzednich, jużto byli wezwani i nie usłuchali, czy też, że Bóg, obdarzając wszystkich łaską chrztu, powołuje jednak w rzeczywistości z dobrej łaski pewnych ludzi do wyższych rzeczy, aniżeli innych — lecz tak dzieje się istotnie; jeden dostrzega widoki, których drugi nie dostrzega, posiada wiarę szerszą, miłość żarliwszą i większą inteligencję duchową. Nikt nie ma prawa brać sobie za ideał świętości czyjegos niższego ideału. Nic nas nie obchodzi, czem są inni. Jeśli Bóg wezwie nas do pełniejszego wyrzeczenia się świata, jeśli zażąda od nas ofiary z naszych nadziei i obaw — oto nasza zdobycz, oto dowód Jego miłości dla nas, oto, co powinno nas cieszyć...

*Thum. Stanisław Brzozowski.*



JOHN RUSKIN

(1819—1900)

## Z «NOWOCZESNYCH MALARZY»

Pośród nieograniczonych tworów natury, wątpię, czy jest co piękniejszego nad świeży, gęsto spadający śnieg, w jasnym świetle widziany. Płatki, lecąc, zakreślają wdzięczne i zmienne krzywizny, tworzą przezroczystą zasłonę, o światłach i cieniach niezrównanych w różnorodności i wykończeniu. Cienie są wyraźne i mają kolor nieba; światło odbite wdzięcznie się krzyżuje ze światłem przepuszczonym. Żadna ręka śmiertelnika nie zdoła odtworzyć powagi i czaru tego widoku, byłoby jednak możliwe przy staraniu i zręczności zaznaczyć przynajmniej misterność jego i zaakcentować charakter tych światel i cieni. Ale nikt nie pokusił się o to, a mógłby to uczynić tylko artysta pierwszorzędny; ci zaś wogóle nie mają upodobania w efektach śnieżnych wśród otoczenia zwykłego. Lecz jeśli te same piękności rozwiną się wśród wspaniałej przyrody górskiej i w odosobnieniu od wszelkich wrażeń życiowych, nie rozumiem, dlaczego artyści mieliby nimi pogardzić — jak to bywało dotychczas. Być może, że pogodzenie połysku śniegu z malowniczym światłem i cieniem przedstawia takie trudności, że nawet wielcy malarze unikają krajobrazu wyżyn górskich, cieniuja jedynie zlekka lodowce, nie czując potrzeby sumiennego studjowania ich postaci. — Każda wysoka góra nosi na sobie tyle śniegu, ile go może utrzymać. Zauważcie, iż nie jest to proste pokrycie śnieżne danej głębokości, lecz ładunek śnieżny tak właśnie wielki, jaki góra unieść zdoła. Nadmiar nie odrywa się w ziemie, gdyż ciągły mróz go przytwierdza, a ilość śniegu, która wtedy spoczywa na górze, większa jest od tej, jaką jedna zima dostarczyć może. Dopiero w pierwszych dniach wiosny nadmiar ten spada w kształcie olbrzymich lawin. Następnie odwilż trwa dalej i zabiera pochyłym skałom małe ilości śniegu, które na nich utrzymać się mogły. Skały te pozostają czarne i nagie wśród pól śniegowych nieznannej głębokości, co zalegają obszerne doliny i inne mniej pochyłe powierzchnie gór. Stąd wynika, że najgłębszy śnieg nie przybiera ani zarysowuje kształtów rzeczywistych skał, na których leży, ale zwiesza się od szczytu do szczytu w nieprzerwanych festonach lub obszernymi nieprzerwanymi pokrywa całe grupy wierzchołków, jeśli te dają oparcie dość silne, kopułami. Wygięcia i wielkość tych festonów i kopuł zależą od potęgi i kierunku wiatrów zimowych.

Natomiast śnieg z wielką różnorodnością zaznacza nam spodni kształt góry: naprzód mamy zwykłą powłokę śnieżną, łatwo znikającą, jakoby pył lub proszek, co się pokazuje wskutek zamieci na szczytach, następnie spotykamy płytką inkrustację pochyłych stoków, wygładzoną od częstego tajania, a także od zamarzania w nocy; głębszy śnieg, tu i ówdzie pospinany klamrami skał, nagle wystających lub wiszących w przerywanych, nieregularnych festonach albo niebieskawych wyniosłościach na zboczach. Niekiedy chwije się nad krawędziami przepaści i sterczy daleko nad nimi naksztalt gzymsu — przedstawia wtedy wielkie niebezpieczeństwo dla zbliżających się. Wreszcie idą owe wielkie, nagromadzone, głębokie warstwy, gładkie, wymiecione, prawie pozbawione zapadlin, których postać zmieniają tylko szlaki zawiei. Niezliczone zjawiska skończonej piękności wiążą się ze splotem wszystkich tych warunków, że już nie wspominam o przechodzeniu śniegu w lód na niższych poziomach — ale w tej chwili pragnę tylko na to nacisk położyć, by artyści nie uważali gór za proste białe wyniosłości, lecz pojęli je jako grupy wierzchołków, naładowane śniegiem, i by umieli korzystać z wygięć, których nigdy nie brak, a które stanowią miły kontrast i połączenie z twardymi i załamanymi liniami skał.

*Tłum. Marja Chwałibóg.*

## Z «SEZAMU I LILII»

...Chcę mówić wam o skarbach, ukrytych w książkach, jako też — o sposobie ich znajdowania albo tracenia...

...Książka w istocie swej nie jest rzeczą mówiącą, lecz pisaną, i to pisaną nie celem porozumienia się tylko, lecz do trwałego użytku. Książkę gawędziarską wydru-

kowano tylko dlatego, że autor jej nie może mówić równocześnie do tysięcy ludzi; bo gdyby mógł, uczyniłby to — taka więc książka jest jedynie z wielokrotnieniem jego głosu. Nie możecie mówić do swych przyjaciół w Indjach; gdybyście mogli, uczynilibyście to; zamiast tego piszecie listy; jest to jedynie przesłanie głosu. Ale książkę pisze się nietylko w celu zwielokrotnienia głosu, nietylko celem jego przeniesienia, lecz aby go utrwalić. Autor ma do powiedzenia coś takiego, co, jego zdaniem, jest prawdziwe i użyteczne albo piękne i zbawienne. O ile mu wiadomo, nikt inny nie może powiedzieć. Jest więc obowiązany powiedzieć to jasno i melodyjnie, w miarę swej możliwości, a w każdym razie — jasno. W sumie swego życia znajduje, iż to coś jest rzeczą lub grupą rzeczy, jemu objawioną; ten to fragment prawdziwej wiedzy dozwolił mu pochwycić jego udział w świetle słonecznym i ziemi. Chętnieby go ustalił na zawsze; wyrylby na kamieniu, gdyby mógł, mówiąc: «Oto najlepsza czątko mej istoty; zresztą zaś jadłem, piłem, spałem, kochałem i nienawidziłem zupełnie tak samo, jak inni; życie moje było jak mgła i już się rozwiało, ale to widziałem i wiedziałem: to jedno z całej mej istoty zasługuje na waszą pamięć». To jest jego «pisanie»; oto na jego mały ludzki sposób i według właściwego mu stopnia prawdziwego natchnienia — jego napis lub jego biblja. To jest «książka».

*Tłum. Wojciech Szukiewicz.  
Poprawił Alfred Tom.*

## CHARLES DICKENS

(1812—1870)

### Z «DAWIDA COPPERFIELDA»

Objąłem ją i przycisnąłem do serca; drżąca jej dłoń spoczęła na mojem ramieniu, a z jej oczu padał ku mnie poprzez lzy jasny promień szczęścia.

«Gdy opuszczałem kraj ojczysty, Agnieszko droga, miłość ku tobie pierś mi rozpięła. Gdy mieszkałem w stronach dalekich, nic się w duszy mojej nie zmieniło. Gdy wracałem do domu, tą samą miłością ku tobie gorzałem».

Opowiedziałem jej o swoich zmaganiach i postanowieniu, które powziąłem. Staralem się utworzyć przed nią całą duszę swoją. Staralem się ukazać jej, jakimi sposobami uświadomiłem sobie, czem ona jest i czem ja jestem. I prosiłem ją w imię miłości, którą ku mnie żywiła, by zechciała złączyć się ze mną węzłem małżeńskim. — Agnieszko! W twoich wiernych prawdomównych oczach objawił mi się o owej chwili duch mojej małżonki, zmarłej w wiosnie życia; objawił się i przyzwolił mi, i krok mój za słuszny uznał. Mówił — a pod wpływem mowy tej w duszy mojej odezwały się rzewne wspomnienia o kwieciu, tak wcześnie uwiędłym!

Szczęśliwi byliśmy, szczęśliwi! Jeżeli z oczu naszych lzy się toczyły, to nie z powodu owych prób ciężkich, któreśmy przejść musieli, ażeby się znaleźć u celu, lecz z powodu radości, żeśmy się wreszcie znaleźli u tego celu i że to, co w owej chwili połączone zostało, nigdy już, nigdy nie ulegnie rozłączeniu.

Zimowy wieczór dyszał taką samą błogosławioną ciszą, jaka zaległa dusze nasze. Szliśmy przez pola, okryci nieboskłonem, na którym poczęły migotać pierwsze gwiazdy. Spoglądając ku nim, staliśmy dziękczynienia Bogu; gorące dziękczynienia za to, że nam serca uciszył.

Dnia następnego około południa zjawiliśmy się oboje w domu mojej ciotki. Zastaliśmy ją, siedzącą przy kominku, w swych nieodłącznych okularach.

«Na miłość boską» — rzekła — «a kogoż to ty znowu wprowadzasz mi do domu?»

«Agnieszkę» — odpowiedziałem.

Ciotka zdjęła okulary i znowu je nałożyła. Jeszcze raz je zdjęła, poskrobała się niemi w nos i nałożyła je ponownie, ażeby mi się dokładniej przyjrzeć. Panu Dickowi, który obserwował ową scenę, gesty ciotki bynajmniej się nie podobały; wiedział, że

nie dobrego nie wróżą. Wziąłem Agnieszkę pod ramię; zbliżywszy się ku ciotce od tylnej strony fotelu, nachyliłiśmy się oboje nad jej głową. I tu nastąpił moment krytyczny; staruszka klasnęła w dłonie, rzuciła okiem poprzez okulary — i dostała napadu hysterji.

Nadbiegła służąca. Ciotka zerwała się, a padłszy w jej ramiona, częstować ją poczęła mało delikatnymi przewiskami. Zkolei to samo spotkało pana Dicka, który sobie wprawdzie poczytywał za wielki zaszczyt znaleźć się w objęciach mej ciotki, stał jednak oszołomiony widokiem tak niespodziewanego obrotu sprawy. Uspokoiwszy się, staruszka wyznała, że tym sposobem chce wyładować swoją radość; widzi bowiem, że poczyną spełniać się jej dawne, dawne życzenie skojarzenia mnie z Agnieszką. I tak zrozumieliśmy się wszyscy bez wyjątku, i wszyscy bez wyjątku czuliśmy się szczęśliwi.

W przeciągu dwóch tygodni związek nasz został pobłogosławiony. W objęciach swych trzymałem tę, która była dla mnie źródłem wszelkich dążeń i ogniskiem wszelkich moich myśli; a ma miłość ku niej na granitowej opoce była wsparta.

«Mężu mój najdroższy» — rzekła — «teraz, w chwili, gdy już swoimi jesteśmy, do ust cisną mi się słowa, któremi muszę dopełnić to, co dawniej ode mnie wyszaleś; słowa, które są echem przedśmiertnych szeptów twej żony, zgasłej w zaraniu życia swego. Gdy czuwałam nad lożem jej śmierci, zostawiła mi testament... wiesz jaki?»

Miałem wrażenie, że wiem. I jeszcze mocniej ramieniem swem Agnieszkę do serca przycisnąłem.

«Ostatniem jej słowem było...»

«Było...»

«Że to ja mam zająć miejsce, które jej jest sądzone za chwilę opróżnić».

Oparłszy głowę o pierś moją, załkała. I mnie łzy z oczu popłynęły, i mój płacz jej płaczowi wtórować począł — mimo że serca nasze wezbrane były uczuciem tak pełnego szczęścia.

*Thum. Tadeusz Grzebieniowski.*

### Z «KLUBU PICKWICKA»

(Pickwick niesłusznie przegrał proces i, choć jest człowiekiem zamożnym, nie chce uiścić należności, lecz woli iść do więzienia za długi.)

...Filozof nasz, a wraz z nim i pan Perker, wsiadł do powozu i pojechał do «Chancery-lane». Tam po załatwieniu przepisanych formalności osoba pana Pickwicka powierzona została opiece woźnego celem odesłania do więzienia Floty i trzymania w niem do chwili, w której stracone korzyści i koszta, wynikłe z procesu Bardellowa contra Pickwick, nie zostaną całkowicie opłacone. «Nieprędko doczekacie się tego — powiedział pan Pickwick, uśmiechając się. — Samie, sprowadź inny powóz. Perker, żegnam cię, kochany przyjacielu». — «Pójdę z panem, gdyż trzeba Go należycie ulokować». — «Przyznam się, że wołałbym zostać z Samem tylko. Jak się urządzę, zawiadomię pana o tem i będę czekał na niego. Aż do tego czasu rozstańmy się». To rzekłszy, pan Pickwick wsiadł do powozu wraz z woźnym, a Sam umieścił się na koźle. — «Szczególny człowiek», rzekł pan Perker do swego dependenta, wkładając rękawiczki. — «Jaki pyszny bankrut byłby z niego!» dodał pan Lowten, «wyprowadzałby w pole komisarzy!» Pełnomocnik nie wydał się bardzo zbudowany uwagami swego dependenta nad charakterem pana Pickwicka, gdyż odszedł, nie nie powiedziawszy.

Powóz, wiozący pana Pickwicka, zaledwie włókł się po ulicach; stangret utrzymywał, iż konie raźniej biegly, gdy widziały inne konie przed sobą, i na tej zasadzie jechał za jakimś wozem; gdy ten stawał, stawał i powóz. Pan Pickwick siedział naprzeciw woźnego, a ten, trzymając swój kapelusz między kolanami i pogwizdując, patrzył ciągle przez okno. Czas robi cuda; przy pomocy tego potężnego starca nawet wynajęty powóz ujedzie mile. Tak się też stało i teraz. Pan Pickwick wysiadł przy drzwiach więzienia.

Woźny poszedł przodem, ciągle oglądając się poza siebie, by być pewnym, że pan Pickwick idzie za nim. Przeszli podwórze i stanęli przy drzwiach zamkniętych, strzeżonych przez barczystego odźwiernego, z kluczami w rękę. W przedpokoju oznajmiono filozofowi, iż ma się zatrzymać i poddać ceremonji, znanej pod nazwą «zdejmowania portretu». «Jakto — zdejmowania portretu?» zapytał pan Pickwick. «Dla zapamiętania rysów pana», odrzekł odźwierny, «o! my mamy w tem wielką wprawę. Zdejmujemy portret w bardzo krótkim czasie. Niech pan sobie siada wygodnie». — Pan Pickwick był posłuszny temu wezwaniu. Gdy usiadł, Sam, oparłszy się o poręcz krzesła, powiedział mu cicho, iż rozmaici stróże więzienni będą go oglądać, by następnie mieć możność odróżnienia go od osób, które go będą odwiedzać. «Chciałbym, Samie», rzekł pan Pickwick, «by artyści przyszli jak najprędzej, bo miejsce to niebardzo przypada mi do smaku». — «Przyjdą zapewne niezadługo», odrzekł Sam. «Widzi pan, tu jest zegar z wagami». — «Widzę». — «I klatka na ptaki; więzienie w więzieniu, prawda?»

Podczas gdy Sam puszczał wodze swym filozoficznym spostrzeżeniom, pan Pickwick dostrzegł, że artystyczne posiedzenie już się zaczęło. Barczysty odźwierny usiadł niedaleko od naszego bohatera i od czasu do czasu spoglądał na niego nie dbale, a inny, słuszny i chudy mężczyzna, umieścił się naprzeciw niego i, ukrywając ręce pod poły surduta, wpatrywał się mu w twarz bardzo uważnie. Trzeci dżentelman, widocznie w złym humorze z powodu, że go przywołano od herbaty, gdyż jeszcze dojadł chleb z masłem, umieścił się także koło filozofa i, wsparty pod boki, oglądał go bardzo szczegółowo; nakoniec dwa inne indywidua studjowały jego rysy w zamyśleniu i z wielką uwagą. Pan Pickwick drżał niejednokrotnie podczas tej operacji i wiał się na krześle, ale nie robił żadnych uwag nikomu, nawet Samowi, który, pochylony na poręcz krzesła, rozmyślał częściowo nad położeniem swego pana, częściowo zaś nad przyjemnością, jakiejby doznał, atakując pokolei wszystkich tych stróżów więziennych, gdyby tylko nie sprzeciwiało się to prawu i publicznemu spokojowi.

Po ukończeniu portretu oznajmiono panu Pickwickowi, że ma wejść do więzienia. «Gdzie będę spał tej nocy?» zapytał. — «Doprawdy» — odrzekł barczysty odźwierny, «że na dzisiejszą noc to sam nie wiem. Jutro rano znajdzie się dla pana miejsce przy innym więźniu; wtedy będzie panu wygodnie. Pierwszą noc zwykle przepędza się tu, jak się uda; ale nazajutrz wszystko się ułoży». — Po długiej rozprawie odkryto, że jeden ze stróżów ma do najęcia łóżko na noc; pan Pickwick pośpieszył skorzystać z tego. «Jeżeli pan chce, mogę pana tam zaraz zaprowadzić. Tędy, panie». — Poszli na wewnętrzny dziedziniec, i po raz pierwszy pan Pickwick znalazł się w więzieniu za długi.

Dżentelman, towarzyszący naszemu filozofowi, pan Roker, zwrócił się na prawo i przez furtę po kilku schodach wszedł do galerji niskiej, długiej, wąskiej i brudnej, wyłożonej kamieniami i oświetlonej dwoma oknami na dwóch końcach. «To są», rzekł ów dżentelman, wsuwając ręce do kieszeni i nie dbale spoglądając na pana Pickwicka przez ramię, «to są schody do sali». — «A!» odrzekł pan Pickwick, spuszczając oczy, by przypadzieć się schodom ciemnym i wilgotnym, wiodącym jakby do podziemia. «Tam zapewne znajdują się piwnice, w których więźniowie przechowują swoje zapasy węgla. Brzydkie to miejsce, ale założyłbym się, że wygodne». — «Spodziewam się, że wygodne, kiedy ludzie tam żyją i nawet nieźle żyją». — «Mój przyjacielu», odrzekł pan Pickwick, «nie chcesz zapewne powiedzieć przez to, że istoty ludzkie rzeczywiście mieszkają w tych nędznych lokalach!» — «Nie chcę powiedzieć?» zawołał ze zdumieniem pan Roker, «a dlaczegożbym nie chciał powiedzieć?» — «Więc żyją? żyją tam?» — «A tak! żyją! a nawet bardzo często umierają. I czemużby nie? Cóżby kto mógł mieć przeciw temu? Czy żyją! Alboż to złe miejsce do życia?» — Ponieważ pan Roker zwrócił się ku panu Pickwickowi w sposób nader gniewny, więc filozof nasz nie uznał za właściwe przedłużać rozmowy...

*Tłum. Włodzimierz Górski.*

WILLIAM MAKEPEACE THACKERAY  
(1811—1863)

Z «KSIĘGI SNOBÓW»

...Powinniśmy się litować nad owymi zazdrosnymi szaleńcami, nad owymi dandysami-nędzaczami, którzy wystawiają haftowany gors, nie mając pod odzieniem kożuli. Godni litości manjacy! Przypominają oni te głupie wrony, które, ciągnąc za sobą pawie piórko, myślą, że są podobne do owego ptaka, zwykłego gościa pałaców, dumnie połyskującego na słońcu swym świetnym ogonem.

Wrony, przystrojone w pawie piórka, są doskonałym portretem snobów obecnych, i od czasów Ezopa nie było na świecie tyle tego ptactwa, ile w wolnej Anglii, naszej kochanej ojczyźnie.

Lecz cóż za związek pomiędzy owym starożytnym apologiem a naszym przedmiotem — snobami, wydającymi obiady? Naśladowanie wielkich odbywa się powszechnie w Londynie, od pałaców Belgawji i Kensingtonu aż do najskromniejszych mieszkań Brunswick-Square; niema ani jednej rodziny, której członkowie nie zdołają sobie ogona mniejszą lub większą liczbą pawich piórek. I my wszyscy, stado drobiu, największych dokładamy starań, żeby naśladować dumny i wyniosły chód, zuchwały i ostry krzyk ptaka Junony. Biedny zbłąkany snobie, który się dobrowolnie zarzynasz, żeby wydawać owe uczty! nie domyślasz się nigdy, jakich się pozbawiasz przyjemności, jakie przygotowujesz sobie rozczarowania, swoją śmieszoną wielkość budując na hipokryzji i kłamstwie. Opychając biesiadników niezdrowemi potrawami, które gwałtem trzeba zjadać, niszczysz szczerą i prawdziwą przyjaźń, nie mówiąc już o żółtku; przekazujesz zapomnieniu wesołe tradycje gościnności, a tymczasem, gdybyś zechciał odrzucić swój pawi ogon, zakosztowałbyś wszelkich rozkoszy milej a swobodnej pogawędki!

Umieściny człowieka z usposobieniem filozoficznym pośród licznego towarzystwa snobów, wydających obiady, i snobów, którzy je spożywają; natychmiast spostrzeże on niesłychany bezsens tego wszystkiego: potrawy, wina, lokaje, naczynia, gospodarz, gospodyni, rozmowa, zaproszeni, nie wyłączając nawet samego filozofa — wszystko będzie fałszywe, wszystko podrabiane.

Gospodarz do każdego się uśmiecha, każdemu oddaje atencje według jego stopnia; ale ciągle dręczony jest śmiertelną obawą, żeby nie zabrakło wina, które kazał przynieść z piwnicy, żeby nie zawiodła nadziei pewna opieczętowana butelka, żeby najęci lokaje nie popełnili jakiej niezręczności...

Gospodyni zachowuje ciągle niezakłócony uśmiech, piekielne cierpiąc tortury. Jej myśl w kuchni! Może opadła legumina? Może Wiggins nie przyniesie na czas lodów? Myśl samobójstwa przebiega po tej pięknej główce...

Dzieci na wyższym piętrze zanoszą się od krzyku, gdyż bona, żeby je ufryzować, ścisła im małe ich pukle w szczypcach, napół ogrzanych pod popiołem...

*Według przekł. bezim., wyd. w Petersburgu, 1860.*

ROBERT LOUIS STEVENSON  
(1850—1894)

Z «MARKHEIMA»

(Zabójca antykwaryusza, Markheim, rozmawia z jakimś nieznanym, który zjawił się nagle w sposób tajemniczy.)

«Trzydzieści sześć lat żyje pan na tym świecie», mówił nieznanomy, podniósłszy palec do góry. «Śledziłem pana wśród różnych zmian i kolei życia. Piętnaście lat temu byłby się pan wzdygał na samą myśl o kradzieży, a jeszcze przed trzema laty zbłądłby pan przy samym słowie «morderca». A teraz niema takiej zbrodni ani takiego przestępstwa, przed którymby się pan cofnął. W ciągu pięciu najbliższych lat mogę

panu dostarczyć konkretnych dowodów. Z góry nadół, po równi pochyłej toczy się pańska droga — i nic, oprócz śmierci, nie może pana ocalić».

«Tak, to prawda», zachrypiał Markheim, «ja istotnie nawykłem do złego. Ale to zdarza się i u wszystkich; nawet święci w zetknięciu się z życiem poddawali się pokusom, stając się podobnymi do otoczenia».

«Pragnę panu zadać jedno proste pytanie», przerwał nieznajomy, «i stosownie do pańskiej odpowiedzi, postawię panu jego horoskop moralny. Niewątpliwie, że w częstych wypadkach byłeś pan zbyt miękki względem siebie — i możliwe, że czyniąc tak, postępowalesz pan słusznie. Ale powiedz mi pan szczerze, czy zaszedł w pańskim życiu choćby ślad, choćby najmniejszy cień możliwości poprawy?»

«Nie było ani jednego», odpowiedział Markheim z udręką świadomości. «Nigdy, w niczem», powtórzył z tępą rozpaczą. «We wszystkim staczałem się coraz niżej i niżej».

«Jeśli tak», rzekł nieznajomy, «to mój sąd odpowiada rzeczywistości. To najrozumniejsze. Pan się już nigdy nie poprawi. Pańska rola na tym świecie jest inna. Od upadku do upadku — oto, co nieodwołalnie napisano w księdze pańskiego przeznaczenia».

Markheim długo milczał, pogrążywszy się w ciężką, mroczną zadumę. Nieznajomy podjął ponownie:

«Wobec tego — czy mam panu pokazać, gdzie są pieniądze?»

«A łaska?» zawołał Markheim.

«A czyś pan nie próbował tego środka ocalenia! Czyż nie widziałem pana przed dwoma, trzema laty, przemawiającego na mityngach «Duchowego Odrodzenia» i śpiewającego hymn pokuty?»

«Tak, pan ma słuszność», rzekł Markheim. «Teraz widzę jasno, co mam zrobić i jak spłacić swój dług. Dziękuję panu za tę naukę z całego serca. Moje oczy przejrzały, i na koniec widzę siebie takim, jakim jestem istotnie».

W tej chwili rozległ się po całym domu dzwonek wchodowy. I po tym dźwięku, jakgdyby na umówiony zgóry sygnał, dziwny gość zmienił nagle swoje dotychczasowe postępowanie.

«To służąca», zawołał. «Jak pan widzi, wróciła już, przed czem zresztą ostrzegłem pana wporę. Teraz przychodzi na pana ciężka chwila... Gdy ona wejdzie do sieni i drzwi się zamkną, to dzięki sprawności, tak świetnie wykazanej na antykwarjuszku, nietrudno będzie panu usunąć niewygodnego świadka. Po spełnieniu tego czynu będzie pan miał do dyspozycji cały wieczór, a może i całą noc, a wówczas przyjdzie panu łatwo, uniósłszy wszystkie stąd skarby, zatrzeć za sobą wszelkie ślady podejrzeń. A więc nuże, mój przyjacielu! Pańskie życie wisi na włosku. Do dzieła więc!»

Markheim mocno patrzył na swego doradcę.

«Jeśli mnie sążone wyłącznie zło, to mam jeszcze jeden sposób wyjścia z tego położenia. Mogę wyrzec się wszelkich czynów. Jeśli moje życie wiąże się tylko z grzechem, mogę to życie zatrzymać. Chociaż ja, jakżeś pan słusznie zauważył, ulegam każdej pokusie, to jednak, mimo wszystko, jednym zdecydowanym ruchem mogę stanąć poza wszelką pokusą. Pan twierdzi, że moja miłość dobra skazana jest na bezpłodność? Możliwe, że tak. Ale równocześnie z tą miłością żyje we mnie i nienawiść grzechów, a dzięki niej, ku pańskiemu rozczarowaniu, zdobędę się na tyle energii i decyzji, aby to zło pokonać».

Przy tych słowach w fizjonomji gościa zaszła kompletna zmiana. Twarz stała się miękka i jaśniejsza, zawitał na niej jakiś wyraz triumfu, zmieszany z ciepłym głębokiem wzruszeniem. — Poczem nieznajomy zaczął się rozptylać, niby mgła. Ale Markheim już go nie śledził ani się starał zrozumieć tę przemianę; otworzył drzwi na korytarz i, pogrążony w głębokiej zadumie, zaczął schodzić powoli ze schodów. Cała przeszłość stanęła mu przed oczyma; ujrzał ją taką, jaka była w rzeczywistości: szpetną i nieprawdopodobną, jak koszmar, przypadkową, jak pstra mieszanina — jedną wielką scenę porażki. Życie nie stanowiło już dlań uroku; pociągał go raczej odległy brzeg cichej przystani. W sieni zatrzymał się i spojrzął na sklep, gdzie na kantorku przed trupem paliła się jeszcze świeca. Panowało głębokie milczenie. Markheim stał

i patrzył na nieboszczyka, aż mu się zakręciło w głowie. Nagle zabrzmiał dzwonek, ale już głośniejszy i bardziej niecierpliwie. Markheim, zetknąwszy się na progu ze służącą, rzekł z grymasem na twarzy, trochę podobnym do uśmiechu:

«Niech pani idzie po policję — zabiłem gospodarza».

*Tłum. Roman Zrębowicz.*

#### Z «WYSPY GŁOSÓW»

Co się tyczy Wyspy Głosów, to przez większą część roku była niezamieszкана, tylko czasami zajeżdżała tu załoga jakiejś łodzi, szukając kopry, a w złej porze roku, gdy ryby na głównej wyspie były trujące, mieszkał tu cały szczerp. Nazwę miała od cudu, gdyż, jak się zdaje, przymorska część była zajęta przez niewidzialne djabły; dzień i noc słychać było, jak rozmawiają z sobą w obcych językach, dzień i noc małe ogniska paliły się i gasły na wybrzeżu, a jaka była tego przyczyna, tego nikt zrozumieć nie mógł. Keola pytał, czy to samo dzieje się na ich wyspach, gdzie mieszkają stale, ale powiedziano mu, że nie; nie zdarza się to też na kilkuset wyspach, które leżą dokoła w tej części morza; jest to szczególna właściwość Wyspy Głosów. Powiedziano mu również, że te ognie i głosy pojawiają się tylko po stronie morskiej i na skraju lasów przy oceanie; ktoś mógłby mieszkać dwa tysiące lat przy lagunie (jeśliby wogóle tak długo mógł żyć), a nicby mu się złego nie stało; a nawet nad morzem djabły nie krzywdzą nikogo, gdy się je zostawia w spokoju. Raz tylko pewien naczelnik rzucił dzidą w kierunku jednego z głosów i tego samego wieczora spadł z palmy kokosowej i zabił się. —

...Keola stał się człowiekiem najbardziej przerażonym na wszystkich czterech oceanach. Słyszał opowiadania o ludożercach, którzy żyją na wyspach południowych, i zawsze go to przerażało; a teraz to niebezpieczeństwo zapukało do jego drzwi. Słyszał także od podróżników o zwyczajach tych ludzi, że, niby matka swe ukochane dziecię, pieszczą i hołubią tego, którego zamierzają zjeść. Zobaczył teraz, że z nim dzieje się to samo; to było powodem, dla którego dali mu dom, pożywienie i żonę i zwolnili go od wszelkiej pracy.

...Wybrzeże leżało nagie w gorącym słońcu, nigdzie nie widać ludzi, lecz był tam ruch, a gdy Keola szedł, dokoła niego odzywały się i szeptały głosy, a małe ogniska buchały i gasły. Mówiono tu wszystkimi językami ziemi: francuskim, holenderskim, rosyjskim, tamilskim, chińskim. Z wszystkich krajów, w których znane jest czarodziejstwo, byli tu ludzie i szeptali do ucha Keoli...

*Tłum. Wilam Horzyca.*

#### CIEŃ

Mam mały cień przy sobie: gdzie pójdę — i on tam;  
Ale naco się przyda, doprawdy nie wiem sam.  
Zupełnie taki jest, jak ja, lecz waży chyba mniej;  
Gdy skaczę do łóżeczka, czepia się nóżki mej.

A najdziwniejsze w cieniu tym, że coraz bywa inny;  
I nie jest grzeczny — wcale nie! — jak dzieci być powinny.  
To, jak pajacyk mój, da susa w górę — hyc! —  
To znowu tak się skurczy, że już nie widać nic.

Raz wstałem, zanim błysnął dzień, i było ciemno prawie;  
Po rosie biegnę tu i tam i szukam go na trawie.  
Tymczasem ten ci leniuch cień, tak jakby katar miał,  
Wygodnie w łóżku sobie leżał — i mocno spał.

*Tłum. Alfred Tom.*

## GEORGE ELIOT (MARJA ANNA EYANS)

(1819—1880)

## Z «ADAMA BEDE»

...Nikt na świecie nie miał piękniejszych rzęs od Hetty, i teraz, gdy przechadza się po pokoju z ptasią powagą i spogląda na okrągłe ramiona, opasane czarną koronką, ciemna ich frendzla rysuje się doskonale na różowych policzkach. Jej ciasna wyobraźnia zdobyć się może tylko na marne obrazy przyszłości, ale we wszystkich tych obrazach widzi siebie wystrojoną, kapitan Donmilhorne, także ślicznie ubrany, obejmuje ją, całuje, a wszyscy inni zachwycają się nią i zazdroszczą — osobliwie zazdrości jej Marja Burge, której nowa suknia licho bardzo wygląda przy pysznym stroju Hetty. — Czyż nie mieszają się z temi marzeniami słodkie lub smutne wspomnienia? czy niema w niej przywiązania do przybranych rodziców, tkliwości dla dzieci, które się przy niej chowały, czy nie wspomina jakiej towarzyszki, przyjaciółki, chociażby ulubionego zwierzątka? Nic podobnego! Są rośliny, które prawie nie mają korzeni, można je wyrwać z muru lub ze skały, na której żyją przyczepione, i włożyć w doniczkę, a tak samo kwitnąć będą. Hetty mogła odrzucić całe przeszłe życie i nigdy o niem nie pomyśleć, nie miała żadnego przywiązania do starego domu, nie były jej miłsze kwiaty i stare szpalery ogrodu Hall Farm od innych ogrodów, a nawet może były jej one mniej miłe. Dziwnie mało dbała o wuja, który okazywał się zawsze dla niej dobrym ojcem; nigdy nie pamiętała sama z siebie nałożyć mu fajki we właściwym czasie, chyba że był kto z gości, a ona chciała tym sposobem pokazać lepiej swą kibić, przechodząc koło ogniska. Hetty nie mogła pojąć przywiązania do osób w średnim wieku. A co do tych nieznośnych dzieci, były one rozpaczają jej życia, jak owe uprzykrzone owady, co przeszkadzają spocząć w dzień gorący...

Dina lubiła swoje okno. Położone na drugim piętrze wysokiego domu, miało widok rozległy; przysuwała sobie krzesło w zagłębienie muru, ażeby go używać. Teraz także, przyszedłszy do siebie, siadła na niem i przyglądała się spokojnym polom, poza którymi nad grupą olch podnosił się księżyc. Najlepiej lubiła patrzeć na pastwiska, gdzie spoczywały mleczne krowy, oraz na łąki nawpół skoszone, odznaczające się srebrzystą linją. Była wzruszona, bo już tylko jedną noc miała widzieć te pola, a potem opuścić je na długo... Myślała o ukochanych, których tutaj zostawić miała a o których pamiętać będzie z miłością, myślała o trudach i smutkach, jakie spotkać ich mogły w dalszym życiu, gdy ona będzie daleko... Zamknęła oczy, ażeby lepiej odczuwać Wszelchmiłość, rozlaną na niebie i ziemi. Był to często jej sposób modlenia się w samotności — zamknąć oczy i powierzyć się Boskiej Opatrzności, a wtedy jej trwogi i pałący niepokój o drugich niknęły, jak kryształły lodowe, rzucone w ciepłe fale...

*Tłum. Walerja Marrené-Morzowska.*

## JERZY MEREDITH

(1828—1909)

## Z «DIANY Z ROZSTAJNYCH DRÓG»

Szerokoskrzydły ciepły wiatr toczył wdzięczne chmury poprzez błękit nieba, który miejscami przezierał; to opadały one całkiem nisko, muskając swym zębkiem seledynową powierzchnię jezior, to znów wzbijały się ku górze i piętrzyły w kręgach, jakgdyby budując amfiteatr na zbliżające się widowisko zachodzącego w majestacie słońca. I znowu owe córy wiatru lot swój obniżaly i biegły parami, szkarłatem zabarwione, i zdawały się grozić ukrytą w swem łonie ulewą, a roztrzaskując mrok, budziły natchnienie w sercu człowieka i zmieniały je w melancholijnie rozśpiewane gniazdo. Córy wiatru, chyże córy wiatru, owiewającego słońce, które zachodzi; trzeba umieć je widzieć, aby je ukochać w ich cudnych przemianach... Diana poczuła, że straciła władzę myślenia, nie miała już żadnych dążeń ani żadnych pragnień... Zbierała tylko wiązanek wrażeń, układała kolekcję krajobrazów, szukała kluczy do wymarzonych horyzontów, do świata innego, aniżeli świat jej dawnych ambicij. Po swej klęsce padła na łono Ziemi-



Odnowicielki, a zbawcze tchnienie przyrody odrodziło ją i z kobiety znowu na dziecko przetworzyło; zasłona zapomnienia padła na tę część jej życia, która już była poza nią.

I tak Diana przyszła do przekonania o konieczności stanu wojny między płciami... «Niech będę sama sobą, jakimkolwiek męczeństwem miałabym to okupić!» wykrzyknęła w świętym młodym zapale. Dla niej, kwitnącej kobiety, maska byłaby groźbą, zwarzyłaby jej świeżość, skrepowałaby swobodę jej ruchów. A jednak była ona zmuszona wyznać, że nosiła swego rodzaju maskę; nosiła ją, gdyż świat tego wymagał, jako warunku pozycji kobiety w społeczeństwie. Lecz do maski tej zawsze czuła odrazę, a teraz ją zdecydowanie odrzuciła i stanęła przed światem taka, jaka była w rzeczywistości. Przyjęła palmę męczeństwa, pierwszego męczeństwa dla spraw kobiety nowożytniej... O, dzielna Dianol!

*Tłum. Tadeusz Grzbieńowski.*

#### ŻAŁOBA LEŚNA

Wicher potrząsa sosny,  
A dołem  
Ni jeden wiew radosny  
Nie brzmi nad mchem, wądolem,  
Co lśni u drzew podnóża  
Tu i tam wśród korzeni.  
Co martwe — spada z sosny,  
Cisza jak toń się mieni,

W toń, ciszę las się nurza,  
Lecz górą, górą  
Życie pędzi nad padół,  
Jak chmura mknie za chmurą,  
A my idziemy  
I jak owoc dojrzały mkniemy  
Nad ziemią, nadół —  
Jak one nadół.

*Tłum. Stanisław Helsztyński.*

#### BALLADA POPOŁUDNIOWA

Wczoraj, gdym ze spaceru powracał przed zmrokiem,  
Ujrzałem śmierć, jak ręką mi kredowo-białą,  
Pochylona nade mną czoliskiem bezokiem,  
Dawała kwiecie zwiędłe, które spaść już miało.  
O, śmierci, jakże gorzkim twój kwiat poi sokiem!

Śmierć rzekła: — Rwę i zbieram — i poszła swą drogą.  
Inny mi się kształt zjawił, plugawy żelazem,  
Zrabana mieczem postać, skamieniała trwożą,  
A z wen jej metalicznych lśnił żar raz za razem.  
Życia wiedz, o jakżeś wiedzą twardą, srogą.

Rzekło Życie: — Urabiać mój kształt w twojej mocy. —  
Wówczas pamięć, jak lelek, kwilący na sośnie,  
Beznadziejność, jak leśny skowronek sierocy,  
Nutę Życia i Śmierci splatając żałośnie,  
Śpiewały mi ten motyw mój do końca nocy.

#### DECH GŁOGU

I.

Południo-zachodni błogi  
Wietrzyk wionie. Pachną głogi.  
Liczka mej się lubej płońią.  
Zeszliśmy się pod jabłonią.  
Owoc ząbkiem tnie na dwoje:  
Ten — mówi — kęs mój, to — twoje.  
Nim ja i nim ona zjadła,  
Sok piliśmy z tego jadła.

II.

To jabłuszko, głogiem wonne,  
Kiedy dziś, samotny, wspomnę —  
Miało smak słodziutki mleka.  
Dziś jam tu, ona — daleka.  
Czasem błysnie wspomnień rąbek:  
To jabłuszko, w niem jej ząbek,  
Jej splon i mej chęci siła —  
Gryźć, gdzie ona nadkąsiła.

*Tłum. Jan Lemański.*

## O KOMEDJI I ZNACZENIU DUCHA KOMIZMU

(Wyjątki)

Nietrudno objaśnić, dlaczego wielki komedjopisarz jest zjawiskiem odosobnionem i osamotnionem. Zarówno temat, jak i słuchaczy może mu dostarczyć społeczeństwo o wysokiej kulturze, w którym idee krążą bez przerwy, jak krew w żyłach, i które posiada zdolność chwytania wlot istoty rzeczy. Odstępują go natomiast półbarbarzyńskie swawolne tłumy, okresy gorączkowych wstrząśnień i przewrotów, tudzież środowiska, w których panuje wybitna nierówność społeczna i towarzyska płci.

Twórca, którego zadaniem jest działać przede wszystkim na umysły, nie może liczyć na zrozumienie tam, gdzie brak należytej sprawności umysłowej.

Ponadto, by zapomocą śmiechu poruszyć i rozplomić sferę ducha, nie starczy mieć żywotność iskry, trzeba jeszcze posiadać nadmierne czułość i czujną wrażliwość...

Ludzie gotowi są poddać pociskom złośliwości i żartu swoje barki, piersi i boki, lecz strzegą bacznie głowy, a właśnie głowa jest celem, w który mierzy komedjopisarz. By nie chybić, musi mieć niezwykłą zręczność, z którą w parze winna iść odpowiednia bystrość oka. Konieczność współdziałania tych dwóch czynników objaśnia, dlaczego wielki twórca komedji zjawia się raz w ciągu długich stuleci. «C'est une étrange entreprise que celle de faire rire les honnêtes gens», mówi Molière; istotnie, trudności tego przedsięwzięcia nie można nigdy przecenić.

Należy wreszcie pamiętać, że komedjopisarza otaczają z dwóch stron wrogowie, nie znani ani tragiczowi, ani nawet myślicielowi.

Wiadomo powszechnie, że nie brak nigdy ludzi, których Rabelais nazwał agelastami, t. zn. niezdolnymi do śmiechu. Ludzi ci są pod tym względem podobni do martwych ciał, z których nie tryska krew po nakłuciu. Z równym skutkiem można usiłować wtoczyć na szczyt — szary zwietrzały złom skalny, który z wierzchołka runął w dolinę, jak starać się wydobyć śmiech z tych ludzi. Najzabawniejsze powikłania naszych spraw ziemskich nie zdołają okrasić ich oblicza nawet przelotnym błyskiem uśmiechu. Agelastę dzieli tylko krok od misogelasty, zaś misogelos, wróg śmiechu, usiłuje dźwignąć swe stanowisko na wyżynę zasady moralnej.

Są też ludzie, którym pochlebia rola współzawodników poprzednio wymienionych i których można nazwać hipergelastami; ci przesadni śmieszkowicze, z ustami, gotowemi każdej chwili wybuchnąć śmiechem, są jak serca dzwonów, łatwych do rozkołysania. Tym ludziom tak trudno o powagę i skupienie, że najmniejszy gest wywołuje w nich wstrząs śmiechu. «C'est n'estimer qu'estimer tout le monde» — szczerzyć zęby do wszystkiego, to znaczy nie pojmować istoty komizmu. —

Wymownem świadectwem cywilizacji danego kraju jest — jak już zaznaczyłem — pielegnowanie idei komizmu, które wiedzie do rozkwitu komedji. Dowodem zaś prawdziwej komedji jest jej zdolność wywołania śmiechu myślącego.

Jeśli wierzyć, że cywilizacja nasza oparta jest na zdrowym rozsądku — a wiara taka jest pierwszym warunkiem zdrowia społecznego — to w momencie zastanawiania się nad ludźmi, dojrzyć nad ich głowami unoszącego się wysoko ducha; ze sferą niebios ma on tyle wspólnego, co światło, bijące w górę, odbite od zwierciadlanej tafli, lecz świetlany on i czujny; nie wybiega nigdy naprzód ani nie zostaje zanadto w tyle; z ludźmi tak związany, że można go uznać za niewolniczy cień, zanim się dokładniej zbada jego rysy. Ma on czoło mędrca, a wokół jego półprzymkniętych warg, drgających lekko od ledwie dostrzegalnego natężenia, igra słoneczny, choć złowieszczy uśmiech fauna. Ten zatajony, nieznaczący, rysujący się w kształt łuku uśmiech, był ongiś pełnym rubasznym rehotem satyra; wypinał on w górę łuki jego krzaczastych brwi, jak wybuch prochu wysadza w górę forteczne wiązania. I oto śmiech ten wrócił w formie uśmiechu, opanowanego poczuciem dostojności, opromienionego blaskiem myśli, ukazującego jej rzetelne bogactwo, a nie przesadną wybujałość. Zwykła postawa ducha, o którym mówimy, przypomina spokojnego i doświadczonego łowcę, który rozgląda się bacznie po rozległym polu, czekając sposobnej chwili, by się rzucić na upatrzoną zdobycz bez gwałtu i podniecenia. Przyszłe losy ludzkości niewiele go zajmują; jego cała

uwaga skupia się na chwili bieżącej. To też skoro tylko dojrzy objawy wybujałości w jakimkolwiek kierunku, przesadę uczuć, wygórowane ambicje, obłudę, pedanterję, porywczą fantazję, gdy oczy jego uderzą czyny, płynące z samooszustwa lub zaślepienia, skłonność do bałwochwalstwa, próżność, rzesza, głowiąca się nad niedorzecznością, krótkowidztwo lub manjactwo, gdy dostrzeże, że ludzie stają w sprzeczności ze swem powołaniem, że przekraczają obowiązujące, choć niepisane prawa, że uwłaczają zdrowemu rozsądkowi lub własnej sprawie, hołdują fałszywej uniżoności, że wreszcie, czy jako jednostki, czy jako zrzeszenia, stają się dobrowolnym łupem buty i pychy — wtedy on, duch z wyżyn, zapala się świętym ogniem i miota na nich zukosa wprawną dłońią pęk prześwietlających nawskroś promieni, za którymi bieży w trop salwa jego srebrnego śmiechu. Ten-ci jest Duch Komizmu.

*Tłum. Florjan Sobieniowski.*

## ALFRED TENNYSON

(1809—1892)

### MINIONE DNI

(Pieśń z poematu «Księżniczka»)

Lży ciche, lży bezsilne (nie wiem, czemu płyną)  
Po licu mem się toczą w smutku nieujętych,  
Tryskają z mego serca — i do oczu płyną,  
Gdy patrzę po jesiennym ogrodzie zwiędniętym,  
Marząc o dniach, co przeszły na wieki, gdy miną.

Świeże, jak promień słońca ponad falą siną,  
Gdy żagle nam przyjaciół przywożą z oddali:  
Smutne, jak błysk ostatni ponad falą siną,  
Gdy żagle nam unoszą to, cośmy kochali:  
Takie smutne — tak świeże są dni, które miną.

Smutne — dziwne — jak w letniej zorzy nad doliną  
Pierwszy okrzyk poranny półbudzonych ptaków:  
Dla duszy, co się żegna z tą ziemską doliną  
I widzi już w lazurach cień cmentarnych znaków:  
Takie smutne — tak dziwne są dni, które miną.

Drogie, jak pocałunki, co w grobie nie giną;  
Słodkie, jak te, co marzy beznadziejna dusza  
Na zakazanych wargach; głębokie — jak wino  
Pierwszej wrzącej miłości, którą żal porusza.  
Niby śmierć w ciągu życia są dni, które miną.

*Tłum. Antoni Lange.*

### Z «IN MEMORIAM»

#### 1.

Ja wierzę w harfy dźwięcznej wieść,  
Która na różne tony śpiewa,  
Że ludzie mogą, jak z pni — drzewa,  
Nad swe znikome «ja» się wznieść.

Niech miłość koi ból, lub mrok  
Oboje ścimi, niech giną w grobie;  
Ach! lepiej tarzać się w żalobie,  
Śmierć wzywać w tan, nieść błędny krok,

Lecz kto tak przejrzy czasu mgły,  
Że znajdzie korzyść na dnie straty?  
Lub sięgnie przez lat sieć po kwiaty,  
Które wykwitną kiedyś z lży?

Niż żeby miał urągać czas  
Miłości i ze wzgardą biadał:  
«To mąż, co kochał i postradał,  
I stał się, jak bezduszny głaz».

2.

Ja wcale nie zazdroszczę, nie,  
 Więźniowi, w którym bunt nie tleje,  
 Ni ptakom, którym obce knieje,  
 Gdy zrodzą się na klatki dnie.

I nie pociąga mnie też los  
 Tych zwierząt, co, nie znając zbrodni,  
 Po świecie chodzą najswobodniej,  
 Bo w nich sumienia milczy głos;

Ni serc tych, które, szczęściem zwać,  
 Że nigdy nie ślubują wiary,  
 W gnuśności chwastach tęchną szarej;  
 Ni spokój miły mi bez żąd.

Ja wierzę — mniejsza, co ma być —  
 I czuję, choć mam bólem płacić,  
 Że lepiej kochać i utracić,  
 Niż bez miłości wiecznie żyć.

*Tłum. Aksel (Ignacy Baliński).*

ELŻBIETA BARRETT BROWNING  
 (1806—1861)

Z «SONETÓW Z PORTUGALSKIEGO»

I.

Dumałam raz nad starą pieśnią Teokryta,  
 Jak śpiewał lata błogie, cenne, upragnione,  
 Postacie dłoni wdzięcznych biorące osłonę,  
 By z nich płynęła ludziom dań szczęścia obfita.

Gdy tak myśl ma powieści w dawnej mowie czyta,  
 Zwolna z cienia powstają wizją lata one,  
 Błogie lata i smętne, lata roz tęsknione  
 Własnego życia mego, po których dziś drży ta

Lza, jak po śnie rozwianym. Znienacka, przez rosy  
 Ócz mych, dojrzę — mistyczny sunie kształt, aż stanie  
 Za mną i wstecz mię nagle pociągnie za włosy.

Gdy się opieram — spyta, władny, niespodzianie:  
 «Zgadnij, kto-ć trzyma?» Rzekłam: «Śmierć». Lecz srebrnogłosy  
 Wtem dźwięczy odzew: «Nie Śmierć, ale Milowanie».

II.

Lecz w całym świecie Bożym troje tylko słowo  
 Słyszało, któreś wyrzekł — Bóg, prócz mnie i ciebie!  
 Odpowiedziało jedno... Bóg przemówił w niebie...  
 I klątwę Swoją mroczną złożył tak surowo

Na me powieki, jakby skarać chciał za owo  
 Widzenie cię — iż nawet w śmiertelnej potrzebie  
 Ciężar skonu mniej stłoczy wzrok mój i pogrzebie  
 Mniej głęboko. «Nie» z Bożych ust, gdy grzmi nad głową,

Gorsze, niżeli z inszych wszystkich. O, mój drogi!  
 Ludzie nie poróżniliby nas waśnią świata,  
 Morza nie odmieniły, nie zgięły burz trwogi;

Dłoń się z dłonią, pomimo gór zapory, splata:  
 I, choć między nas nieba roztoczą swe progi,  
 Tem do gwiazd rychlej trafi ślubowań obiata.

## XIV.

Jeśli musisz mię kochać, niech miłość ta będzie  
Za nic, za miłość tylko samą. Nie mów sobie:  
«Za uśmiech, za spojrzenie kocham ją — w sposobie,  
Jakim przemawia słodko — myśl jej mam na względzie,

Co z myślą zgodna moją, albo — że z nią wszędzie  
Wczas mi się staje luby». Może w jutra dobie  
Odmienia się te cechy, któremi się zdobię  
W oczach twych — aż i miłość, skoro z nich się przedzie,

Porwać się może w strzępy. Niechaj się nie snowa  
Miłość twa przeto, iż mi dłoń twa lży ociera —  
Miłość stracić, zapomnieć leż łatwo, gdy owa

Litość stworzenie nędzne przygarnęła szczerą!  
Dla Miłości mię jeno kochaj, wiecznie nowa  
By mogła trwać na wieki — Ta, co nie umiera.

\_\_\_\_\_ *Tłum. Z. Reult-Witkowska.*

## ROBERT BROWNING

(1812—1889)

## MIŁOŚĆ ŚRÓD RUIN

Gdzie się w cichych barwach zmierzchu nieba mienia  
Nad zielenią  
Tych samotnych bujnych pastwisk, skąd w zachody  
Senne trzody  
Powracają ku oborom swym dzwoniące —  
Na tej łące,  
Tak wieść niesie, przed dawnymi sterczał laty  
Gród bogaty;  
W nim, stolicy tego kraju, miał swe cugi,  
Dworne sługi,  
Możny ksiączę; stąd dyktował dni spokojne  
Lub też wojnę.

Dziś od muraw tych, widzicie, ni drzewina  
Nie odcina  
Swej zieleni; z gór się jakiś strumyk rączy  
Wąsko sączy  
Tu, gdzie groźny strzelał zamek wieżycami,  
Jak strzałami  
Ognistemi, nad stubramną murów ścianą,  
Zbudowaną  
Z marmurowych płyt, a grubą tak, że snadnie —  
Gdy wypadnie —  
I dwunastu mogło na niej obok siebie  
Stać w potrzebie.

Któż to kiedy widział taką plenność trawy,  
Jak ten skrawy  
W żarach lata dywan miękki, co swem świeżem  
Zakrył pierzem

Wszelkie ślady tego miasta, skąd przez wieki  
W świat daleki  
Szły odgłosy bólów, uciech, tu, gdzie chwała  
Rozpalala  
Serca ludzkie, lub waliło je o ziemię  
Hańby brzemię,  
Tu, gdzie ongiś szły na sprzedaż za wór złota  
Grzech i cnota.

Dzisiaj tylko złom wieżyczki gdzieś na polu  
Śród kąkolu  
Stoi pustką, rozchodnikiem obrośnięty —  
Liche szczęty,  
Pełne zielska, swą postawą, tak żebraczą,  
Miejsce znaczą,  
Gdzie się pięły w dniach zamierzchłych hen do góry  
Dumne mury;  
Tej areny, życiem wrzące, znaczą kręgi,  
Gdzie zaprzęgi  
Tłumnie, szumnie szły na wyścig po oklaski  
Z władców łaski.

Dzisiaj wiem, że tu, gdzie w cichych barw oponie  
Zachód tonie,  
Śląc ostatnie pożegnanie naszym trzodom,  
Tu, gdzie z wodą  
Górskiej rzeczki w jeden szary cień się zlewa  
Ta bez drzewa  
Błoń; gdzie rycerz swego króla miał spojrzenie  
W takiej cenie,  
Że, by w zbrojnych tych gonitwach być na szczycie,  
Dałby życie,  
Tu mnie czeka ma dziewczyna, bez tchu prawie,  
Aż się zjawię.

Gród li miało, jak daleko, jak szeroko,  
Jego oko:  
Pełne gmachów wszystkie wzgórze, wszystkie spady;  
Kolumnady,  
Tumy, mosty, akwedukty! Ranek budzi  
Ciżbę ludzi  
Ja gdy przyjdę, milczą usta jej dziewczęce —  
Wprzód ręce  
Na ramieniu mi położy, oczy wprzód,  
Te dwa cudy,  
Pieścić każe, potem słowa szepce łube  
Na mą zgubę.

Bojowników stąd ci ślano na wsze strony  
Milijony;  
Na cześć bogów tu wznoszono pod niebiosy  
Słupów stosy;  
Złoto w biegu wstrzymywało, pełnym grozy,  
Setne wozy...  
Krwi gorąca, krwi ty mroźna! Płonna praca!  
Ziemia wraca

Z wieków szaleństw! Z wieków trudu, nędz i grzechu  
 Mknie w pośpiechu!  
 Niechaj zginie wszech zachodów jej zawitość!  
 Wszystkiem — miłość!

## SPOTKANIE W NOCY

Szara głąb morza, długi ciemny ląd;  
 Ogromny żółty półksiężyc róg;  
 Nagły, syczący, nieprzytomny tan  
 Zbudzonych ze snu kędzierzawych pian —  
 Lotne czółno szybki toczy łuk,  
 W piasku wilgotnym zgaś już jego prąd.

Potem ćwierć mili jeszcze brzegiem, wzdłuż;  
 Trzy jeszcze pola pod najbliższy dach;  
 Potem w okienko stuk, stuk, ostry trzask  
 I niebieskawy wraz siarczyka blask,  
 Głos, który radość tłumila i strach —  
 I dwa wzajemnie biją serca już...

*Tłum. Jan Kasłowicz.*

## DANTE GABRIEL ROSSETTI

(1828—1881)

## SONET

Sonet to pomnik, który wieczność duszy  
 Stawia minionej, a nie zmarłej chwili.  
 Dbaj, aby wszyscy jego pełnię czcili,  
 Czy żal cię zgnębi, czy radość poruszy.

Tnij go w hebanie, jeśliś w mrocznej głuszy;  
 W kości słoniowej, gdy ci dzień się mili;  
 Niechaj ma zawsze brzask przezczystej lilji,  
 Gdy wian jej rosa perłami oprószy.

Sonet to pieniądz, który z jednej strony  
 Odslania duszę, zakrywa ją z drugiej,  
 Bądź jest na haracz życia przeznaczony,

Kiedy miłości wyświadcza usługi,  
 Bądź jest podatkiem Śmierci, który w ręce  
 Charona rzucasz po przebytej męce.

## LILITH, CZYLI PIĘKNOŚĆ CIAŁA

O Lilith, żonie Adama (już potem  
 Daną mu była Ewa), chodzą wieści,  
 Że zanim jeszcze prawdę wąż zbeczcześci,  
 Ona kłamała i że pierwszym złotem

Były jej włosy... I swych czarów spletem,  
 Chytrze wpatrzona w siebie, mężczyzn pieści,  
 Aże w swej sieci ich ciało pomieści,  
 Serce i życie, młoda, choć nawrotem

Lat coraz starsza jest ziemia... Twe zioła  
To mak i róża: bo któż całunkowi  
I snu przemocy oprzeć się wydola?

Gdy na cię spojrzą młodzi, już gotowi  
Na żer twój; Lilith, twe złoto ich złowi:  
Serce im włos twój oplecie dokoła...

#### SYBILLA PALMIFERA, CZYLI PIĘKNOŚĆ DUSZY

Pod łukiem życia, gdzie jej arki strzeże  
Miłość i Śmierć, i Lęk, i Tajń, na tronie  
Widziałem Piękność. Chociaż dumnie płonie  
Jej wzrok królewski, jam go niby świeże

Wchłaniał oddechy: w niewolę swą bierze  
Tych, co ją widzą bądźto w niebosklonie,  
Bądź też w kobiecie lub gdzie morskie tonie  
Wieczne zawarły z jej palmą przymierze

I wieńcem. Patrzaj! oto jest twa Pani,  
Piękność, co głos twój i rękę porusza  
Ku swojej chwale... Dawnoś kraj jej szaty

Ujrzał i włosy i biegleś, skrzydlaty,  
Za nią; w jej władzy twe serce i dusza,  
I wszystko żąda bije tylko dla niej.

*Tłum. Jan Kasprowicz.*

#### WILLIAM MORRIS

(1834—1896)

#### Z ODCZYTU O SZTUCE LUDOWEJ

...Mojem zdaniem, bardzo nam są potrzebne dwie cnoty, jeśli kiedyś mają zaprowadzić stosunki znośniejsze. Jestem święcie przekonany, że są one konieczne do przygotowania gruntu dla sztuki, stworzonej przez lud i dla ludu, dającej radość zarówno wykonawcy, jak użytkującemu. Temi cnotami są uczciwość i prostota. Celem jaśniejszego wyrażenia mej myśli przeciwstawię nocnie drugiej występki, będący jej krańcowym przeciwieństwem: zbytek. Przez uczciwość rozumiem gorące a rozsądne dążenie do oddawania każdemu, co mu się należy, zajęcie stanowiska, nie pozwalającego ciągnąć zysków z czyjejkolwiek szkody, co — o ile wiem — nie jest cnotą ogólnie praktykowaną.

Proszę zważyć, jak bardzo wykonywanie jednej z tych cnót ułatwi nam spełnianie innych. Bo skoro tylko będziemy mieli małe potrzeby, nie będziemy też przez nie zmuszeni do popełniania niesprawiedliwości, a skoro stałą naszą zasadą będzie: oddawać każdemu, co mu się należy, jakże będziemy mogli sobie samym przyznawać za wiele, nie poniżając się we własnych oczach?

A przez wykonywanie tych cnót w sztuce i przygotowanie do nich, bez czego nie może istnieć sztuka o trwałej wartości, mianowicie przez podniesienie klas dotychczas upośledzonych, powstałby nowy świat. Skoro bowiem, mimo bogactw, będziecie jednak żyli skromnie, natenczas nie tylko złagodzicie straszny kontrast między zbytkiem a nędzą, tę straszną zmorę krajów cywilizowanych, lecz posłużycie nadto za wzór owym klasom, które, dzieląc na tym punkcie zapatrywania ludzi bogatych, zazdroszczą im życia w zbytkach i lenistwie i pragnęliby ich naśladować.

Pomijając zresztą stronę moralną, o której zmuszony jestem mówić, pozwólcie



sobie zwrócić uwagę, że prostota w sztuce, czy ona będzie droga, czy tania, nie jest przynajmniej szkodliwa, gdy przeciwnie — nic nie jest dla sztuki bardziej zgubne niż brak prostoty. Nie oglądałem nigdy mieszkania człowieka bogatego, o którym nie mógłbym powiedzieć, że wyglądałoby znacznie lepiej, gdyby dziewięć dziesiątych urządzenia rzucono w ogień. Mam istotnie wrażenie, że zrzekając się zbytków, małą tylko lub żadnej nie ponosimy ofiary. O ile bowiem widzę, przez zbytki rozumieją ludzie zazwyczaj zbijanie majątku, który dla właściciela jest istnym ciężarem, lub gromadzenie w mieszkaniach masy kosztownych gratów, będących na każdym kroku zawadą i przeszkodą. Tak, zbytek nie może istnieć bez pewnego rodzaju niewolnictwa, a jego zniesienie, tak samo jak zniesienie innych jarzm niewoli, błogosławić będą nie tylko wyzwoleni niewolnicy, lecz również ich właściciele.

A gdy wreszcie dojdziemy nietylko do prostego trybu życia, ale także do umiłowania sprawiedliwości, wszystko wówczas będzie przygotowane do nowej wiosny sztuki

*Przekład bezimienny (Warszawa, 1902).*

## CHARLES ALGERNON SWINBURNE

(1837—1909)

### TRIADY

#### I.

Co mówi lazurom słońc zorza,  
Co wiatr mówi morskim rozdołom,  
Co mówi księżycy blask mrokom,  
Któż o tem wie?

Przecz lubą motylom jest róża,  
Przecz lubą jest góra sokołom,  
Przecz lubą jest tęcza obłokom,  
Któż powie mnie?

Co śpiewa łzom rosy łąn zboża,  
Co śpiewa lipowy liść pszczołom,  
Co śpiewa głąb wyżyn urokom,  
Któż pojmie je?

#### II.

To, co kwiecień odsyła do maja,  
To, co maj zaś oddaje czerwcowi,  
A co czerwiec lipcowi przesyła,  
Niby urodzin dar:

Czem się zorza w dnia czarach upaja,  
Czem uśmiecha się dzień południowi,  
Czem piosenka westchnieniu jest miła,  
To łamie życia gwar.

Ach, nikt nie wie, co przeszłość zataja,  
Jak kosztowna miesięcznych jest nowi,  
Jak bolesna jest przemian ich siła,  
A każdy chce znać ich czar!

#### III.

Czem jest miłość życia fal do brzegu,  
Miłość brzegu do fal mrących toni,  
Czem jest miłość do skier błyskawicy  
Złoto-purpurowej —

Nie poznamy, choć włos będzie w śniegu,  
Po kres życia, co się we łzach trwoni  
I, ach, w dziwnej trawie się tęsknicy  
Do deski grobowej,

Do tej tajni, gdzie kres tajń szeregu,  
Tego mroku, w którym słońce płonie  
I zagasa w wieczorów ciemnicy —  
Lub w świt błyska nowy!

*Tłum. Antoni Lange.*

### PIELGRZYMI

«Gdzie jest pani serc waszych, wy, którzy idziecie  
Z pieśnią? Czy z żalu po tem, co było na świecie,  
Smutni tak — czy z tęsknoty za jutrznią, co będzie —  
Śpiewacie tak żałośnie naraz i weselnie?»  
«Pani serc naszych ludzkie nie zobaczą oczy:  
Nie ma ona rąk, źrenic, warg ani warkoczy  
Złocistych, ani kształtu; lecz ten, co posiedzie  
Jej miłość — wie, że piękno jej trwa nieśmiertelnie».

«Czyż to królowa, darów rozdająca skrzynie?»  
«Tak, owo: ten, co ujrzał ją, dla niej jedynie  
Życ będzie — i w cierpieniu, we łzach, krwi i pocie  
Dla niej, męki niesyty, pójdzie po otchłaniach.  
A gdy mu umrzeć każe — tedy umrze pewnie  
I wszystkie drogi rzuci, i da tej królownie,  
I nago pójdzie w słońca żarach, w śniegów słocie  
I życie swe przepędzi w wieczystych czuwaniach».

«Nie maż ona siedziby wśród ziemskiego koła?»  
«Wiek wieku pyta, naród narodowi woła:  
Gdzie ona? — a na krzyk ten niemasz odpowiedzi.  
Bo jeśli ona w duchu ludzkim się nie mieści,  
Jeśli nie ma stolicy w wnętrzu twego łona,  
Jeśli nią dusza twoja nie jest przepojona,  
Próżno śpiewać jej chwałę: dźwięk to pustej miedzi,  
Póki serce nie bije odczuciem jej treści».

«A czy nie żal wam życia słodkiego potoku?  
Bo śmiertelna wyrocznia płonie w waszym oku,  
Hieroglif smutku, piętno wielkie a ogniste,  
Że w życiu waszym niema wczasu ni spoczynienia,  
Miłości prostej, uczuć żywych i serdecznych.  
Przyjaźni, snów rozkoszy ani chwil bezpiecznych?»  
«Niema, tak! Dla nas tylko oblicze jej czyste —  
Jasny wzrok — i ożywcze a płodne jej tchnienia».

«Ale wy wszak umrzecie, nim jej tron ujrzycie».  
«Pewnie — i odrodzony w słonecznym rozświcie  
Glob bez nas płynąć będzie, gdy my legniem w grobie.  
Lecz jeśli ona żyje i ziemię porusza,  
Jeśli stary świat zerwie wszystkie stare pęta:  
Toć przez nas owa jutrznia odrodzin poczęta.  
My nie umrzem. Życ będziem, pełni szczęścia w sobie,  
Bo życie krótkie, śmierć zaś słodko wita dusza».

«A ludzie was zapomną». — «Ale my na wieki  
Staniem się częścią globu, oceanów rzeki —  
Częścią eteru, ognia, który w ziemi płonie,  
I wszystkich rzeczy dobrych; w każdym uderzeniu  
Ludzkich serc będzie drgała krwi naszej kropelka,  
Jak w waszych bije pulsach — niewygasła, wielka  
Krew zmarłych, co wszczepili żądzę w naszym łonie,  
By ich ognistym śladem iść w rozpromienieniu».

«Lecz wy pić moglibyście z rozkoszy kielicha!  
Szalony terazniejszość kwiecistą odpycha  
I zamyka się w jutra tchnieniu lodowatym,  
Gdy oto malka, ojciec, brat wasz, siostra wasza  
I ta wybranka wasza, wasze ukochanie,  
Pójdą w proch — i z nich śladu, jak z was, nie zostanie».  
«Zostanie ta, co była nam jedynym światem,  
Razem siostra, kochanka, razem matka nasza».

«Wartoż ofiar, by nagród doczekać tak małych?  
Patrzcie! zamarłe usta wieków osiwiących,

W przeszłości swej zasnute, jak w wiecznej ciemnicy,  
 W pozaświatowych mrokach, w mogiłach zamkniętych  
 Drwią z was, wiedząc, jak wielu mówiło też słowa  
 I upadli, upadli — i zmarłych grób chowa.  
 Wstaniecież wy, gdy łamci nie wstali z martwicy?»  
 «Nie my — lecz ona! Dla niej nie żal być z wyklętych».

«Nie jesteścież zmęczeni? duch wasz nie zamiera,  
 Widząc, jak noc zkolei — noc, dzień — dzień pożera,  
 Chwila chwilę w bezsennym ogniu jak pochłania?  
 Bezsenni! kiedyż do snu zamkniecie powieki?»  
 «Znużeni my! Omdlewa serce, mózg, dłoń, nogi —  
 I pewnie senby dla nas nad wszystko był drogi,  
 Nad wszystko, prócz straszego tego pożądanja,  
 Które, gdy kto raz odczuł, będzie czuł na wieki».

«Tak luba wam, że za nią gonicie wyschnięci,  
 Tak pewna, kiedy próżne wszystkie ludzkie chęci —  
 Mara ta: by w orkanach uzdrowienia cudu  
 Szukać — złamanym sercom i grzbietom ugiętym?»  
 «Gdyby żywot nasz ślepy był, a śmierć jałowa,  
 Dumna nadzieja świata przecież się zachowa;  
 Człowiek się do człowieka, lud zwróci do ludu,  
 I żywe będzie żywym, słowo święte — świętem».

«Omijajcie nas zatem i płyńcie swą drogą.  
 Jakież światła po śmierci zabłysnąć wam mogą?  
 A gdy świt zajaśnieje, dowiecież się w grobie?  
 A gdy człowiek zwycięży, gdzie wam posłać gońca?»  
 «Dość jest światła na miarę jednego żywota:  
 Ludzie mra, nieśmiertelna — człowiecza istota.  
 My ludzie śmierć ponosim, siejąc w nocy dobre,  
 By człowiek w dzień się żywił, żał i żył bez końca».

*Tłum. Antoni Lange.*

#### W SAN LORENZO<sup>1</sup>

O, nocy! kiedyż błysnie dla ciebie świtanie?  
 Kiedyż zorze poranku dosięgną twej duszy?  
 Śpisz dotąd snem kamiennym, ale cię poruszy  
 Głos, który z niebios zabrzmiał: Niech się światło stanie!

Ty wiesz, że my nie zbudzimy ciebie niespodzianie,  
 Nim czas łańcucha dawnych hańb i ran nie skruszy;  
 Więc każdy w piersi swojej dźwięk silniejszy głuszy,  
 By nie zmaćcić niebacznie przez głośnie wołanie

Tego, co jest ostatniem prawem twem i razem  
 Jedyńcem szczęściem twojem: móc spać i być głazem.  
 Milczym więc, bo twój spokój czcimy, jak ołtarze,

I choć wiemy, że żyjesz, zostawiamy tobie  
 Moc tę, że nic nie czujesz i nie widzisz w grobie...  
 Lecz czy własny twój anioł powstać ci nie każe?

*Tłum. Aksel (Ignacy Baliński).*

<sup>1</sup> Kaplica Medyceuszów (we Florencji), w której wznosi się posąg śpiącej Nocy, dłota Michała-Anioła.

## POMIĘDZY MORZEM A SŁOŃCA ZACHODEM

Pomiędzy morzem a słońca zachodem  
 jej pocałunków upiłem się miodem.  
 Z dnia noc się stała, a ze szczęścia smutki,  
 a z długiej żądzyszał rozkoszy krótki.  
 Jakąż, miłości, od ciebie nagrodę-m  
 miał między morzem a słońca zachodem?

Pomiędzy morzem a piaszczystą ławą  
 śmiech stał się bólem, ból stał się mą strawą,  
 a miłość łzami, a te łzy płomieniem,  
 a zmarła rozkosz ponownem pragnieniem.  
 I sam zostałem z raną w sercu krwawą  
 pomiędzy morzem a piaszczystą ławą.

Pomiędzy morzem a fal lekką pianą  
 miałem tę jedną godzinę pijaną —  
 i już ma miłość, by niebiański złodziej,  
 złotym gościńcem morza precz uchodzi.  
 Przyszła tak późno, odeszła tak rano  
 pomiędzy morzem a fal lekką pianą.

Pomiędzy morzem a morza skałami  
 sen o miłości już mię próżno mam.  
 Perłowy księżyc w ową noc bezwiedną  
 dwoje serc ujrzał, przemienionych w jedno;  
 gdy miłość pierzchła — ujrzyście mię sami  
 pomiędzy morzem a morza skałami.

*Tłum. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski.*

## THOMAS HARDY

(1840—1928)

## Z «POWROTU NA RODZINNĄ GLERĘ»

Niech tylko ktoś w chwili zmierzchu oprze się o pień ciernistego krzewu, rosnącego na łonie egdońskiej doliny, i niech spojrzy dookoła siebie. Stąd oko jego nie dosięgnie niczego, co się znajduje poza linią wzgórz, okalających pustkowie. Pograży się on w tej świadomości, że i to, co go otacza, i to, co jest pod jego stopami — wszystko to od najdawniejszych czasów trwa w swej niezmienności, tak jak i te gwiazdy, co świecą nad głową jego. A wtedy przekona się, do jakiego stopnia środowisko to hamuje rozpęd myśli ludzkiej, szukającej zmiany, goniącej za nowością. Nawet morze samo nie jest w swej pierwotności tak trwałe, jak Egdon — ten nieskalany zakątek ziemi. Ktoby mógł o jakimś morzu powiedzieć, że jest starożytne? Paruje ono, gdy mu słońce zaświeci, kłębi się i kłęśnie, gdy taka wola księżycy. Staje się nowe każdego roku, każdego dnia, każdej godziny. Wszystko się zmieniło, i morze, i pola, i rzeki, i ludzie; jeden Egdon sobą pozostał... Cywilizacja jest jego wrogiem. Kochanką jest mu burza, druhem — wicher polny.

Świeciło nad Egdonem gorące słońce lipca, a od jego żaru wrzosowisko stało się podobne do płachty szkarłatnej. Była to ta jedyna pora roku i ten jedyny okres pogody w owej porze roku, kiedy pustkowie odziało się w swą najwspanialszą szatę. Te chwile kwiecistości — to drugie zkolei, rzecz można, południowe stadjum w cyklu owych powierzchniowych tylko zmian, które tu były możliwe. Drugie zkolei; wyprze-

dzał je bowiem okres zielony, okres młodych paproci — niejako. A następowała po nim pora barw brunatnych, rdzawych barw wieczora. A potem i te znikaly, ustępując miejsca odcieniom czerni — to zima, to noc.

Clym i Eustacja spędzali chwile w swym małym domku w Alderworth. Monotonnie płynęło ich życie; monotonia ta jednak nie była pozbawiona rozkoszy. Pustkowie i zachodzące na niem zmiany pogody nie istniały dla nich przez czas pewien; żyli sobie, od świata odcięci swego rodzaju mgłą, swego rodzaju pyłem świetlnym, który przesłaniał im widok na dalsze ich otoczenie, tak że rzeczy z tego otoczenia ukazywały się ich oczom jakgdyby okolone pierścieniem promiennym. Cieszyli się porą dżdżystą, gdyż był to dla nich powód, aby razem w domu pozostawać. Cieszyli się pogodą piękną, gdyż mogli wtedy razem na zboczach wzgórz przesiadywać. Owym gwiazdom podwójnym podobni oni byli, które wzajem dookoła siebie krążą wciąż a krążą, tak że z odległości zda się, jakoby to tylko jedna gwiazda była. Samotność życia potęgowała ich myśli wzajemne. Jednak działanie jej było też i szkodliwe; pod jej wpływem bowiem malały ich uczucia, i to w tempie niezwykle szybkim. Clym, o ile o niego samego chodziło, obaw nie żywił żadnych. Męczyły go jednak przypomnienia onegdajszych wypowiedzeń Eustacji, wypowiedzeń o znikomości uczuć miłosnych. Słowa te wszystkie prawdopodobnie już dawno wyleciały z jej pamięci, lecz jego umysłu niepokoić nie przestawały, budząc w nim niejedną posępną refleksję. Bo przecież i sam Raj miał cechę skończoności...

Rozjaśnił się księżyc i rozsrebrzył, smagle wrzosowisko było jednak odporne na jego światło. Dziwny widok: ciemny, bezpromienny szlak ziemi — a nad nim atmosfera przeladowana światłością od zenitu aż po krańce nieboskłonu. Komuś, kto by mógł spoglądać z góry, twarze Eustacji i Wildeve'a na tle tej ciemnej ziemi wydałyby się niby dwie perły, położone na stole hebanowym.

Wildeve potykał się przy każdym prawie kroku; ścieżka bowiem, po której stąpali, nakryta była tak gęstą pomroką, że trudno było oczom rozpoznać, którędy się wila. Eustacja, by uchronić się przed upadkiem, wykonywała dla równowagi pełne wdzięku ruchy, ilekroć natknęła się na kępę wrzosu lub na krzew kolący; w każdej jednak chwili, gdy jej groził upadek, wyciągało się ku niej śpieszące z pomocą ramię i nie opuszczało jej, aż jej stopy ponownie natrafiły na grunt równy i gładki.

Szli w milczeniu, aż znaleźli się u rozstaju drogi, której jedno odgałęzienie prowadziło do domu Eustacji. Naprzeciw nich zamajaczyły dwie sylwetki ludzkie; robiły wrażenie sylwetek męskich.

Gdy zmniejszyła się dzieląca ich odległość, Eustacja przerwała milczenie: «Jeden z nich — to mój mąż. Przyrzekł mi wyjść na me spotkanie».

Ciemna noc zaległa pustkowie. Nie było wokół ni śladu istoty ludzkiej. Nachylając się ponad wrota, wiodące do ogrodu Eustacji, Wildeve spoglądał ku jej oknu. Nie oparł się pokusie, podszedł pod ścianę. Okno było ledwie przymknięte. Zastona była tylko częściowo spuszczone. W pokoju siedziała Eustacja — sama. Na krótką chwilę oczy jego spoczęły na jej postaci. Potem, cofnąwszy się ku pustkowiu, począł on lekko trzepać kępy paprociowe; uniósł się w powietrze rój spłoszonych ciem. Pochwyciwszy jedną, ponownie podszedł ku domowi. Na miejscu, gdzie okno było rozchylone, rozwarł swą dłoń, dotychczas zaciśniętą; ku świecy Eustacji frunęła ćma, zatoczyła parę ruchów wirowych i wpadła w płomień.

Eustacja zerwała się. Znak ten dobrze był jej znany z owych czasów, dawnych czasów, kiedy to Wildeve pokryjomu przychodził, tajemnicą otaczając swe zabiegi miłosne. Nie miała żadnej wątpliwości, że to on był pod oknem. Zanim jednak mogła powziąć jakąkolwiek decyzję, do pokoju wszedł jej mąż. Pod wrażeniem nieoczekiwanego zbiegu okoliczności gorąca krew napłynęła do jej twarzy.

«Co za silny rumieniec na twych policzkach», rzekł Clym, podchodząc ku żonie. «Gdyby tak pozostał na stałe, urodzie twej na złyby to nie wyszło».

«Jest mi gorąco», rzekła Eustacja. «Wyjdę na chwilę zaczerpnąć świeżego powietrza».

«Czy nie chciałabyś wyjść ze mną?»

«Oh! nie. Poza wrota nie wyjdę».

«Dlaczegoś mi nigdy dokładnie nie mówiła, Eustacjo, o tem, co kiedyś było między wami dwojgiem?»

«Nie mogłam. Teraz również nie mogę. Czasami w ciągu kilku chwil wtargnie do duszy tyle piołunu, że całego życia nie starczy, by go stamtąd wyrwać; być może, że to właśnie zaszło i w tym wypadku. Clymie! Pocoś ty powracał na glebę ojczystą? Pomyśl, Clymie, gdyby nie ten powrót, jakieby to było błogosławieństwo dla ciebie!... Tak to los poplątał nici żywota» —

«Trojga istot ludzkich».

Poprzez Egdon cały i poprzez wygony, poza Egdonem leżące, z ust do ust podawano sobie szczegóły zgonu Eustacji i Wildeve'a. Powiększono je, zniekształcano, zabarwiano tysiącem sposobów; lecz ani jemu, ani też jej nic nie ujęto z ich godności... Zły los skosił ich z wdziękiem, z wdziękiem przeciął splełany węzeł dziejów ich żywota.

Clym, samotny, krążył po pustkowiu. Na duszę jego legł cień zamierzchłej przeszłości i jał mu szeptać baśń o dziejach swoich. Przed oczami Clyma poczęły snuć się rojne gromady prastarych mieszkańców jego gleby rodzinnej, gromady Celtów, w pamięci ludzkiej tak dawno zatartych; snuły się one poprzez okolne wygony, stąpając po ścieżkach, wydeptanych niegdyś ich własnymi stopami. I zdawało się Clymowi, że wśród nich żyje, że w ich twarze patrzy, że staje z nimi u podnóży kurhanów, rozsiansych naokół, a tak nieskalanych i pierwotnych, jakimi były w tych czasach odległych, gdy świeżo wyrosły. Przypominał on sobie owych barbarzyńców o malowanych ciałach, którzy objęli we władarstwo tutejsze ziemie orne, i porównywał ich z tymi, którzy swe bytowanie na tych samych ziemiach kurhanami zaznaczyli; ci — to jakgdyby pokolenie z epoki pergaminu, tamci — to epoka papieru. Ślady po tych drugich dawno już zostały pługiem zaorane, pierwsi zaś stworzyli pomniki, które po dzień dzisiejszy opierają się zębowi czasu. Wszyscy oni jednak żyli i umierali w zupełnej nieświadomości co do losu, jaki zgotowany będzie dziełom, nad którymi ich ręce pracowały. Pograżył się Clym w zadumie, bo przyszło mu na myśl, że nieśmiertelność kowana jest przez jakieś siły nieobliczone i nieprzewidywane.

*Tłum. Tadeusz Grzebieniowski.*

#### DO MAJĄCEGO PRZYJŚĆ NA ŚWIAT UBOGIEGO DZIECIĘCIA

##### 1.

Zbliża się już chwila, gdy Czas na cię skinie,

Zawezwie do bytu na tej łez dolinie. —

W bezpiecznej osłonie,

W macierzyńskim łonie

Cicho teraz drzemiesz; w życiu zaś, wśród trwogi,

Los-Upiór wlec cię będzie przez ciernie i głogi.

##### 2.

Słysz! na ustach ludzi drga śmiech żartobliwy —

I milknie, urwany... Zabyśnie lękliwy

Brzask złudnej nadziei —

I zmierzchnie... Powieje

Swem skrzydłem Los-Upiór nad cierpień otchłanie,

A z marzeń o szczęściu ni strzep nie zostanie.

##### 3.

Gdyby krzyk mej duszy mógł ci być przestroga,

Zanim kości padną, zanim pójdziesz drogą

Cierpienia i klęski,  
 Poprzez padół ziemski,  
 Wyrzekłbym ci wszystką prawdę o tym świecie  
 I — wtedy — zapytał: «Chcesz li żyć, me dziecię?»

## 4.

Niestety! Daremna moich łez wymowa.  
 Nie dojdą do ciebie mych ostrzeżeń słowa,  
 Nie zawieszą losów,  
 Nie odwrócą ciosów.  
 U samej kolebki zło wplącze cię w sieci,  
 Grom niebios przywita, a żagiew oświeci.

## 5.

Chciałbym ci na ziemi wynaleźć ustronie,  
 Gdzie smutek nie trafia, gdzie się łez nie roni;  
 Darnią je wyścielić  
 Pogodą wybielić.  
 Lecz jam jest niemocem, jak i ty, nieboże!  
 Co nieba orzekły, zmienić się nie może.

## 6.

Jest ci więc sądzone wejść śród nas na ziemię.  
 Jeśli jednak zdołasz, mimo życia brzemię,  
 Zbiec w krainę marzeń,  
 Strząść pył ziemskich wrażeń —  
 Tam, w wybrańców gronie ulężesz śród ciszy,  
 Fala zapomnienia myśl twą ukołysze.

— Tłum. Tadeusz Grzebieniowski.

## OSCAR WILDE

(1856—1900)

## LA BELLA DONNA DELLA MIA MENTE

Płomienny żar me członki trawi,  
 Me stopy ciężki mozół rani,  
 Śpiew na mych ustach się nie zjawi,  
 Wciąż tylko wzywam mojej Pani.

Śpiewaj, skowronku, o mej drogiej  
 I ty, czeczotko, coraz słodziej  
 Wypełniaj pieśnią krasne głogi,  
 Moja jedyna tędy chodzi.

Dla jej uroków niema słowa,  
 Ponadmiar serce jej zachwyca,  
 Zali tak piękna jest królowa  
 Lub fala w mgławych mżach księżycą?

We włosy liście mirtu wplata —  
 Zielone mirty w złocie włosów!  
 Lśni-ż taki cud na schyłku lata  
 W zieleni traw, śród żółtych kłosów?

Jej warga drobna, co się nurza  
 Raczej w całunkach, niżli snadnie  
 Krzyczy z boleści, drży jak róża,  
 Gdy na nią deszcz wieczorny padnie.

Szyja mej lubej tak się bieli,  
 Jak w słońcu kwiat koniczyn słodki;  
 Mniej dźwięczny bije czar z gardzieli  
 Tej rozśpiewanej w krzach czeczotki.

Usta — granatu dwie połowy,  
 Co odsłoniły pestek białość;  
 Żar lic jej sino-purpurowy,  
 Jak brzoskwiń wonna jest dojrzałość.

O, bliźnie ręce! Jasne ciało,  
 Na ból stworzone i kochanie!  
 Kwiecie samotne, co zostało,  
 By deszcz w nie bił na smutnym łanie.

Tłum. Jan Kasprówicz.

## Z «POEZIJ PROZĄ»

## D o m s ą d u

Cisza zaległa w Domu Sądu, i człowiek stanął przed Bogiem nagi.

I Bóg roztworzył Księgę Żywota człowieka.

I rzekł Bóg do człowieka: «Złe było życie twoje, okazałeś się okrutnym dla tych, którzy potrzebowali ratunku i łaknęli pomocy; byłeś twardego i oschłego serca. Ubogi cię wołał, nie słyszałeś go, i uszy twoje były zamknięte na krzyk biednych moich. Dziedzictwo sierot zagarnąłeś sobie, a lisy szczułeś na winnicę sąsiada twego. Wydzierałeś chleb dziatwie i psy nim karmiłeś, a trędowatych moich, którzy żyli w spokoju na puszczy i chwaliли mnie, rozpędziłeś na rozstajne drogi, i na mojej ziemi, na tej ziemi, z której ciebie stworzyłem, przelewałeś krew niewinną».

A człowiek odpowiedział i rzekł: «Zaiste, czyniłem tak!»

I znowu Bóg roztworzył Księgę Żywota człowieka.

I rzekł Bóg do człowieka: «Złe było życie twoje, ukrywałeś piękno, które objawiłem, a przechodziłeś mimo dobra, które ukryłem. Ściany komnat twoich były obrazami pokryte, a z łoża twojej rozpusty powstawałeś przy dźwiękach fletni. Zbudowałeś siedem ołtarzy grzechom, które przecierpiałem, jadłeś potrawy, których jeść zabroniłem, a purpura szat twoich lśniła się trzema znakami hańby. Bóstwa twoje nie były ze złota ani ze srebra, które trwają, ale z ciała, które umiera. Włosy ich pachnidłami oblewałeś, a w ręce kładłeś owoce granatu. Nogi ich namaszczałeś szafranem i kobierce rzucasz im pod stopy. Malowałeś powieki ich antymonem, a ciała nacierałeś mirrą. Skłaniałeś się przed nimi w pokorze i wywyższałeś trony bóstw twoich aż do słońca. Słońcu hańbę swą okazałeś, a obłęd swój księżycowi».

A człowiek odpowiedział i rzekł: «Zaiste, czyniłem tak!»

I po raz trzeci Bóg roztworzył Księgę Żywota człowieka.

I rzekł Bóg do człowieka: «Złe było życie twoje. Złem płaciłeś za dobro i oszukaństwem za dobre uczynki. Poraniłeś ręce, które cię żywiły, a piersią, co cię wykarmiła, pogardziłeś. Kto do ciebie przyszedł, niosąc wodę, odszedł spragniony, a ludzi, stojących poza prawem, którzy cię w nocy ukryli w swych namiotach — zdradziłeś, nim dzień zaświtał. Wroga, który cię oszczędził, wciągnąłeś w zasadzkę; przyjaciela, który ci towarzyszył, wydałeś dla zysku, a tym, co ci nieśli w darze miłość, płaciłeś rozpustą».

A człowiek odpowiedział i rzekł: «Zaiste, czyniłem tak!»

I Bóg zamknął Księgę Żywota człowieka i rzekł: «Zaprawdę, pójdiesz do piekła; tak, do piekła cię przeznaczam».

A człowiek wykrzyknął: «Nie możesz tego uczynić!»

I Bóg rzekł do człowieka: «Czemu powiadasz, że nie mogę cię wydać piekłu?»

«Bom ja już żył w piekle — zawsze!» odpowiedział człowiek.

I zaległa cisza w Domu Sądu.

I po chwili przemówił Bóg i rzekł do człowieka: «Skoro nie mogę cię wydać piekłu, pošlę cię do nieba; tak, na niebo cię skazuję».

A człowiek wykrzyknął: «Nie możesz tego uczynić!»

I Bóg zapytał człowieka: «Czemu powiadasz, że nie mogę cię skazać na niebo?»

«Dlatego, że nigdy i nigdzie i w żadnej chwili nie umiałem sobie wymarzyć nieba», odpowiedział człowiek.

I Dom Sądu zaległa cisza.

## A r t y s t a

Wieczora pewnego w jego duszy zrodziło się pragnienie stworzenia posągu «Radości, która trwa chwilę». I w świat wyruszył na poszukiwanie bronzu, bo myśli swoje wyrażać umiał tylko w bronzie.

Ale wszystkich bronz całego świata zniknął był, i nigdzie na świecie nie można było go znaleźć, prócz jednego brązowego posągu «Smutku, który trwa życie całe».

Otóż on sam, własnymi rękoma, stworzył był ten posąg i ustawił na grobie je-



dynej istoty, którą kochał w życiu. Na grobie istoty, którą kochał tak bardzo, ustawił to dzieło swoje — na znak miłości, która nie przechodzi, i smutku, który trwa wiecznie. I na całym świecie nie było innego bronzu, jeno bronz tego posągu.

I wziął posąg, przez siebie stworzony, i rzucił go w ogień, aby go stopić.

I z posągu «Smutku, który trwa życie całe» stworzył posąg «Radości, która trwa chwilę».

Tłum. R. S.

### U c z e ń

Po śmierci Narcyza źródło jego rozkoszy z czary słodkich wód pełnej zamieniło się w czarę gorzkich łez pełną, a oready, płacząc, błędziły wśród lasów i śpiewały źródłu pieśni pocieszenia.

A gdy ujrzały, że źródło z czary słodkich wód pełnej przemieniło się w czarę gorzkich łez pełną, rozpuściły zielone zwoje swych włosów i z płaczem mówiły do źródła: «Nie dziwimy się, że w taki sposób oplakujesz śmierć Narcyza, albowiem był on tak piękny!»

«Lecz czyż Narcyz był piękny?» zapytało źródło.

«Któż, prócz ciebie, więcej o tem pięknie mógłby powiedzieć?» odrzekły oready. «Nigdy nie zwracał na nas uwagi, lecz zawsze ciebie jeno szukał i ciągle na brzegach twoich przebywał, i źrenice swe w ciebie wtapiał, a w zwierciadle wód twoich przyglądał się własnemu swemu pięknu».

A źródło odrzekło: «Lecz... miłość moja ku Narcyzowi stąd brała początek, że gdy leżał rozpostarty na brzegach moich i topił we mnie swe źrenice, natenczas w zwierciadle oczu jego zawsze widziałem odbite piękno moje własne».

Przekład bezimienny («Życie», r. 1899).

### Z «BALLADY WIĘZIENIA W READING»

Piał szary kur, czerwony piał,  
Lecz dzień nie przyszedł boży:  
Skulonych strachów niemy kłęb  
Wił się u naszych łoży;  
Wszelaki tłok, co lubi mrok,  
Korowód przy nas tworzy.

Mkną, mkną jak pył, to wprzód, to wtył,  
Jak w mgłę wędrowców rzesza;  
To śpią i śnią, z księżycą drwią,  
To tłum swój bieg przyśpiesza,  
To spocznie znów obrzydły huf,  
To zrywa się, kręci, miesza.

To wtył, to wprzód mknie duchów ród,  
A ręka za rękę się trzyma,  
To w mgławy tan, w powiewny wian  
Przed więźniów się wiąże oczyma,  
To tworzy tłum dziwacznych kum,  
Jak wiatr, gdy na piasku się żżyma.

W krygach, podrygach kręcą się,  
Jak sprawne kukły, jak wiły,  
W uszy nam, ach! pobrzmiwa Strach —  
Przed sobą go prowadziły,  
Śpiewają w głos, bo ten ich los:  
Budzić umarłe z mogiły.

«O!», krzyczą, «świat to ziemi szmat,  
Lecz nogi w okowach — kulawe!  
Raz grać czy dwa, wzdyc taka gra  
Za dobrą uchodzi sprawę,  
Lecz wygrał srom, kto w hańby dom  
Szedł rzucać kości plugawe».

Nie mgieł to twór ten dziwny chór,  
Co tak się miotał szalenie;  
Kto łańcuch włókł u swoich nóg,  
Nie żadne widział w nich cienie!  
O, Chryste nasz! żywa ich twarz,  
Żywe ich było tchnienie.

To wgóre, to wdół ten tłum się snuł,  
W taneczne się łączył pary,  
To milił się, to silił się,  
Jak dziewczek ulicznych maskary,  
To, zlepek ciał, wił się i śmiał  
I modlił się z nami bez miary...

W Reading w więzieniu nieszczęsny człek  
W wyklętym leży grobie;  
Żre go płomienia ostry żąb;  
W kiru płonącej ozdobie  
Leży, i śladu żadnego grób  
Nie pozostawi po sobie.

I niech tam leży, dopóki na głos  
 Chrystusa nie zmartwychwstanie;  
 Daremne tutaj pocziwców lzy,  
 Daremne serca łkanie:  
 Musiała taka spotkać go śmierć,  
 Bo zabił swoje kochanie.

Ale zabija każdy z nas  
 To, co ukochał. Człowiecze,  
 Słuchaj: ten okiem morduje złem,  
 Ten cię pochlebstwem zasiecze,  
 Tchórz pocałunkiem, dzielny mąż  
 Rycerskie ma nato miecze.

*Tłum. Jan Kasprówicz.*

;

JÓZEF CONRAD (KORZENIOWSKI)

(1857—1924)

Z «MŁODOŚCI»

(Marlow — dyrektor różnych towarzystw, buchalter, prawnik — kończy opowieść o dawnej swej podróży.)

«...Wróciłem, przywiązałem łódź do pomostu i nareszcie położyłem się spać. Poznałem już ciszę Wschodu. Słyszałem urywki wschodniego języka. Ale gdy znów otworzył oczy, cisza była tak wielka, jakby nikt jej nigdy nie mącił. Leżałem w powodzi światła, a niebo nigdy jeszcze nie wydało mi się takie dalekie, takie wyniosłe. Otworzyłem oczy, leżąc wciąż bez ruchu.

I wówczas zobaczyłem ludzi Wschodu — patrzyli na mnie. Pomost — jak długi — zapełniony był ludźmi. Widziałem brunatne, brązowe, żółte twarze, czarne oczy, połysk i barwę wschodniego tłumu. A wszystkie te istoty patrzyły we mnie bez szeptu, bez westchnienia, bez ruchu. Wpatrywały się w łódki na dole, w śpiących ludzi, którzy nocą przybyli do nich z morza. Nic się nie poruszało. Pędy palm odcinały się spokojnie na tle nieba. Wzdłuż brzegu nie drgnęła ani jedna gałązka, a brunatne dachy ukrytych domów widać było z za zielonego listowia, z za wielkich liści, które zwisały błyszczące i nieruchome, jak liście wykute z ciężkiego metalu. To był zaiste Wschód dawnych żeglarzy, taki stary, taki tajemniczy, wspaniały i chmurny, żywy i niezmienny, pełen niebezpieczeństw i obietnic. A oto byli jego ludzie. Siadłem nagle. Fala ruchu przebiegła po tłumie od końca do końca wzdłuż szeregu głów, zakotyssa ciablami, przemknęła po pomoście, jak zmarszczka po wodzie, jak powiew wiatru po polu — i wszystko znów zamarło. Widzę to w tej chwili — rozległy łuk zatoki, błyszczący piasek, przepych zieleni bogatej i różnorodnej, morze błękitne jak w marzeniu, tłum uważnych twarzy, blask jaskrawych barw — wodę, odbijającą to wszystko, wygięcie brzegu, pomost, statek krajowców o wysokiej rufie, tkwiący wciąż na wodzie, i trzy łódki ze znużonymi ludźmi z Zachodu, pogrążonymi we śnie, nieświadomymi tego kraju i ludu, i gwałtownego blasku słońca. Spali, porozkładani wpoprzek ławek, zwinięci w kłębek na belkach dna, w niedbałych pozach śmierci. Głowa staro szypra, rozpartego w rufie szalupy, opadła na piersi: wyglądał, jakby nigdy już nie miał się zbudzić. Dalej znów twarz starego Mahona zwrócona była ku niebu, długa biała broda rozpostarła mu się na piersi — zdawało się, że został zastrzelony tam u rudla; a jakiś majątek, skuliwszy się w dziobie łodzi, spał, obejmując ramionami głowicę stewy przedniej, z policzkiem przytulonym do burty. Wschód patrzył na nich w głuchym milczeniu.

Poznałem później czar Wschodu; zobaczyłem tajemnicze brzegi, cichą wodę, kraje brunatnych ludów, gdzie nemezys czyha w ukryciu, ściga, dopada tak wielu z rasy zwycięskiej, pyszniącej się swą mądrością, swą wiedzą, swą siłą. Ale dla mnie cały Wschód zawarł się w tej wizji mojej młodości. Mieści się cały w owej chwili, gdy otworzyłem nań młode oczy. Dotarłem do niego po ciężkiej walce z morzem — i byłem młody — i zobaczyłem, że patrzy na mnie. I oto wszystko, co z tego pozostało! Tylko chwila; chwila siły, romantyzmu, porywającej złudy — młodości!... Błysk słońca na obcym wybrzeżu, trochę czasu, aby wspomnieć, aby westchnąć i — żegnajcie! — Noc — Żegnajcie...!»

Wypił.

«Ach! Te dawne dobre czasy — dawne dobre czasy. Młodość i morze. Porywający czar złudy — i morze! Dobre, silne morze — słone, gorzkie morze, które szepce do ciebie i ryczy na ciebie, i wydiera ci ostatni dech».

Wypił znowu.

«I jakże rozstrzygnąć — czy tkwiło to w morzu, jak mi się zdaje, w samym morzu — czy też w samej młodości? Któż to wie? Ale wy wszyscy tutaj — którzyście mieli coś z życia: pieniądze, miłość — to, co daje ład — powiedzcie mi: czyż to nie najlepsze nasze czasy, gdyśmy — młodzi — byli na morzu; młodzi i nic nie mający, na morzu, które nie daje nic — prócz ciężkich razów — tylko czasem sposobność odczucia swej siły — jedynie to — czego wam wszystkim żal?»

I skinęliśmy wszyscy głowami: człowiek od finansów, człowiek od rachunków, człowiek od prawa — skinęliśmy potakująco głowami nad gładkim stołem, który jak cicha tafla brunatnej wody odbijał nasze twarze, pocięte, pomarszczone; nasze twarze, znaczone przez znój, przez zawody, przez powodzenie, przez miłość; nasze zmęczone oczy, wyglądające wciąż, wyglądające zawsze, wyglądające niespokojnie czegoś od życia, które już nas minęło, oczekujących — przeszło niepostrzeżenie w westchnieniu, w błysku — razem z młodością i siłą, i romantyzmem złudzeń.

*Tłum. Aniela Zagórska.*

#### Z «KSIĘCIA ROMANA»

Komisja, zasiadająca w cytadeli w pustej sklepionej izbie za długim czarnym stołem, składała się z trzech oficerów. Na końcach stołu znajdowało się kilku urzędników, i poza żandarmami, którzy wprowadzili księcia, nie było nikogo więcej.

Któż zgadnąć potrafi, ile w księciu Romanie było ukochania życia, tam w obliczu tych czterech ponurych ścian, które, zda się, odcinały go od wszelkiego nawet widoku i słuchu o wolności, od wszelkiej nadziei na przyszłość i innych pociech niosących złudzeń... gdy stanął sam jeden przed\* tymi, co, wrogami będąc, sądzić go mieli? Kto mógł wiedzieć, ile pozostało w nim jeszcze poczucia obowiązku, objawionego mu przez ból serdeczny? Ile nowonarodzonej miłości do kraju ojczystego? Tego kraju, który od synów swych większej żąda miłości, niż jakikolwiek inny kraj na świecie; miłości, pełnej żalostnego ukochania, jakim się kocha umarłych, a nie zapomnianych; niewygasającego płomienia beznadziejnego uczucia, jakie tylko żywy, technieniem ciepły ideał obudzić w nas może, na dumę naszą, na umęczenie, na wyższenie nasze i upadek najniższy.

Jest coś potwornego w pomyśleniu żądania takiego, aż stanie ono przed nami pod postacią najwyższego oddania, bez bojaźni i bez skazy. Zbliżając się do momentu, który był szczytem jego życia, księżę mógł tylko się spodziewać, że staje przed jego zakończeniem. Na pytania odpowiadał zwięźle i jasno... z najzupełniejszą obojętnością. Mówienie męczyło go po tylu miesiącach naprężonego czynu, ale ukrywał to starannie, aby wrogom nie przyszła nawet myśl podejrzenia go o apatię, zniechęcenie lub odrętwiałość złamanego ducha. Tak czy owak, szczegóły jego zachowania się nie mogły mieć znaczenia; ludzie ci wewnętrznym jego myśлом byli obojętni. Ani na chwilę ton jego nie przestał być uprzejmy, mówił, stojąc, nie skorzystawszy z ofiarowanego sobie krzesła.

Od oficera, który przewodniczył komisji, wiadomo, co zaszło na przedwstępnej badaniu. Człowiek ów, chwytając się jedyne go możliwego sposobu wyjścia z bardzo źle przedstawiającej się sprawy, starał się od pierwszej chwili naprowadzić sposób myślenia księcia na tę linję obrony, którą myślał go uratować. Prostu zadawał pytania w ten sposób, aby odpowiedź sama nasuwała się na usta obwinionego; szedł tak daleko, że wprost poddawał słowa: jak to, przyprowadzony do szaleństwa z żalu po stracie młodej żony, nieodpowiedzialny za swoje czyny, przez tę rozpacz, w chwili ślepej nierozwagi, nie zdając sobie sprawy z wysoce karygodnego charakteru swego czynu ani z jego niebezpieczeństwa i niesławy — przyłączył się do najbliższych buntowników pod wpływem nagłego impulsu, a że teraz... żałując...

Ale księżę Roman milczał. Oni, sędziowie wojskowi, patrzyli na niego, pewni

swego. On w milczeniu sięgnął po pióro i papier i napisał: «Przyłączyłem się do powstania narodowego z przekonania».

Poczem przesunął papier na drugą stronę stołu. Przewodniczący rzucił okiem na kartkę, pokolei pokazał obydwu towarzyszom po bokach, poczem, spoglądając przenikliwie na księcia, wypuścił ją z ręki. Nikt nie przerwał milczenia, aż padł rozkaz wyprowadzenia więźnia.

Tak brzmiało credo pisemne, wyrażone przez księcia Romana w najwznioślejszej chwili jego życia. Słyszałem, że książęta S. przyjęli ostatnie dwa słowa za dewizę, pisaną pod herbem na tarczy, ale nie wiem, czy tak jest naprawdę, wuj nie umiał mi tego powiedzieć, tylko zauważył, że, rzecz prosta, nie było tego na pieczęci, używanej przez księcia Romana.

Skazano go na dożywotnią katorgę w podziemiach Sybiru... Dopiero po dwudziestu pięciu latach książę Roman, złamany na ciele, głuchy zupełnie, otrzymał pozwolenie powrotu do Polski...

*Tłum. Teresa X. Sapieżyna.*

## FRANCISZEK THOMPSON

(1860—1907)

### CHART GOŃCZY NIEBIOS

(Wyjątek)

Pędziłem przed Nim poprzez dni i poprzez noce;  
 Pędziłem, uciekając pod lat arkadami,  
 Pędziłem po zawitym — gdzie myśl ma migoce —  
 Labiryncie; pod łez się ukrywałem mgłami  
 Przed Nim i pod śmiechem, co rozbrzmiewał z siłą.  
 Oddalonym gonił mamidła  
 I spadał, gdy lęk spętał skrzydła,  
 W Tytanów przepaść, gdzie mrok jeży się piętami,  
 Przed siłą stóp tych, co wciąż mknęły, mknęły ztyłu.  
 Zasię w gonitwie bez pośpiechu,  
 W kroków niezamąconem echu,  
 Świadomie prędką, natarczywa władza  
 Wieściła — niżli ona głośnieją  
 Głos jeszcze wieści to donośniej —  
 «Wszystkie rzeczy zdradzają tego, co Mnie zdradza».

Jak zbrodzień, przebaczenia chciałem  
 I furtkę otwierałem serca z krwi zastoną  
 Za kratą drobną w oknie z miłosierdzia całym;  
 (Bo choć znałem żar Jego, co biegł drogą ona,  
 Dusza ma była przerażoną,  
 Że mając Jego, nic mieć nie będzie poza Nim.)  
 I gdy okienko jedno otwarło się, zanim  
 Przybył, w wirze zbliżenia już zamknięte było.  
 Strach nie umiał uchodzić, jak Bóg ścigać siłą.  
 Krawędzią uciekałem globu oddaloną,  
 Zamęt zaniósłem aż do gwiazd złocistych wrzeczadz,  
 O gościnę w nie bijąc i dźwięk w bramach niecąc,  
 I zakłóciłem księżyc, lecąc,  
 Aż melodyjnie srebrne zadźwięczały bramy.  
 Brzaskowim rzekł: Przybywaj! nocy: Chodź z mrokami,  
 Kwiatami nieb mnie osyp młodych, od strasznego  
 Niechaj kochanka mnie ustrzegaj!  
 Szeroką rozwiń chustę, niech nie widzi okiem!  
 Wszystkie kusilem sługi Jego: wszędzie zdradę

Znalazłem w uczuciu dla Niego głębokiem,  
 W swej niestałości dla mnie Jemu byli stokiem,  
 Zdradna była ich wierność, ich zwodzenie wierne.  
 O dar szybkości wszystkim prosił rzeczy szybkie;  
 Zwisiałem u grzyw wichru, co świstały rade...

*Tłum. Stanisław Helsztyński.*

## RUDYARD KIPLING

(ur. 1865)

### Z «KSIĘGI DŻUNGLI»

#### W służbie Jej Królewskiej Mości

(Wyjątek)

...Muł Billy ruszył niedbałym stępem starego wiarusa, a koń zbliżył się do mnie i wietrzył koło piersi, dopóki mu nie dałem biszkoptu. Tymczasem Liszka, najzarozumialsza psina pod słońcem, opowiadała mu wierutne bajki o mnóstwie koni, będących w jej i mojem posiadaniu. «Będę jutro na przeglądzie w moim psim wózku», rzekła, «a ty gdzie będziesz?» — «Na lewym skrzydle drugiego szwadronu. Ja kieruję biegiem całego oddziału, moja damulko», odrzekł grzecznie; «ale muszę powracać do Dicka; zabłocilem sobie ogon; będzie musiał pracować ze dwie godziny, żeby mnie doprowadzić do porządku przed paradą».

Wielki przegląd całej trzydziestotysięcznej armji odbył się nazajutrz po południu. Liszka i ja zajmowaliśmy dogodne stanowisko w pobliżu wicekróla i emira Afganistanu w wysokim czarnym kołpaku barankowym, z ogromną gwiazdą diamentową w środku. Słońce świeciło przez pierwszą część rewji i pułki defilowały jeden za drugim. Fala za falą napływały szeregi poruszanych jednocześnie much i trzymanyh w jednej linii karabinów, od których w oczach się ćmiło. Potem ruszyła konnica przy dźwiękach wspaniałego marsza kawaleryjskiego «Bonnie Dundlee», który słysząc, Liszka nastawiła uszy w swoim psim wózku. Przy przejściu drugiego szwadronu ułanów ujrzeliśmy naszego rumaka z jedwabistym ogonem, z głową ściągniętą ku piersiom, z jednym uchem wysuniętym naprzód, a drugim wtył, kierującego biegiem całego szwadronu i wdzięcznie przebierającego nogami, niby w tempie walca. Następnie szły ciężkie działa. Ujrzałem Dwuogoniastego, sprzężonego z dwoma towarzyszami u czterdziestofuntowego działa oblężniczego, za którym postępowało dwadzieścia par wołów w jarmach. Siódma para była w nowem jarmie i szła jakoś ciężko i ospale. Wkońcu ukazały się śrubownice. Muł Billy szedł w swej naoliwionej i wyglansowanej uprzęży, która błyszczała zdaleka, z taką miną, jakgdyby dowodził całą armją. Powitałem go oklaskiem sam jeden, ale on ani myślał rozglądać się po stronach.

Deszcz znowu zaczął padać i przez chwilę mgła nie pozwalała śledzić poruszeń wojska. Utworzono półkołę w środku równiny i zaczęto je rozprostowywać. Szeregi wojska wydłużały się z każdą chwilą, aż stanął długi na trzy ćwierci mili zwarty mur ludzi, koni i oręża. Potem cała ta masa ruszyła prosto na wicekróla i emira, a w miarę jej zbliżania się ziemia zaczynała drżeć, jak pokład parowca, gdy maszyny wzmagają siłę pary.

Kto przy tem nie był, ten nie może sobie wyrobić pojęcia o wstrząsającym wrażeniu, jakie wywołuje to niepohamowane natarcie wojsk na widzów, chociaż każdy z nich wie, że to popis jedynie. Obserwowałem przez cały czas emira. Aż do tej chwili nie zdradzał nawet cienia podziwu albo innego uczucia, teraz jednak źrenice poczęły mu się rozszerzać coraz bardziej, ściągnął cugle koniowi i obejrzał się poza siebie. Przez jedno mgnienie oka wydawało się, że chce wyciągnąć szablę i przerznąć sobie drogę przez tłum Anglików obojej płci, znajdujący się z tyłu. Lecz marsz urwał się nagle, ziemia drżeć przestała, cały szereg wojsk zasalutował i trzydzieści orkiestr zagrzmiało jednocześnie. Rewja skończyła się, pułki odchodziły pod ulewą na swoje stanowiska, a chór piechoty zaczął śpiewać:

Wszystkie zwierzęta przechodzą parami,  
 Hurra!  
 Wszystkie zwierzęta przechodzą parami,  
 Za słońmi słońcie, muły za mułami,  
 Pary i parki wchodzą do arki,  
 Żeby nie zginąć na deszczu!

Wówczas jeden z dowódców azjatyckich, przybyłych z emirem, szpakowały starzec o długich włosach, wszczął rozmowę z oficerem tubylcem.

«Powiedz mi, w jaki sposób sprawiacie podobne cuda?»

A oficer odpowiedział:

«Wydano rozkazy, które zostały wykonane».

«Czyż i zwierzęta mają tyle rozumu, co ludzie?»

«I one są posłuszne, jak i ludzie. Muł, koń, słoń czy wół słuchają swego przewodnika, przewodnik sierżanta, sierżant porucznika, porucznik kapitana, kapitan majora, major pułkownika, pułkownik brygadiera, dowodzącego trzema pułkami, brygadier generała, który jest posłuszny wicekrólowi, a ten znowu jest sługą cesarzowej. Ot i wszystko!»

«Gdybyż tak było w Afganistanie!» rzekł dowódca. «Tam bowiem podlegamy jedynie naszej własnej woli».

«Dlatego też», odparł oficer, podkreślając wąsa, «wasz emir, którego słuchać nie chcecie, musi przychodzić tutaj po rozkazy do naszego wicekróla».

*Tłum. Józef Czekański.*

#### RECESSIONAL

O, Boże Ojców, od wieków nam znany,  
 Co bronisz hufców naszych po wszej ziemi,  
 Z którego strasznej dłoni jest nam dany  
 Rząd nad sosnami i palmy złotemi —  
 Panie Zastępów, bądź przy nas tej chwili,  
 Nie daj zapomnieć, czem my dawniej byli!

Przeminie zamęt, zgiełk i zamieszanie,  
 Królów i wodzów — burz zmiotą podmuchy:  
 A tylko Twoja ofiara zostanie,  
 Serca kornego i pełnego skruchy.  
 Panie Zastępów, bądź przy nas tej chwili,  
 Nie daj zapomnieć, czem my dawniej byli!

Kiedyś okręty nasze w nie odpłyną,  
 Na pustych wydmach zgaśnie płomień krzywy,  
 A moc wczorajsza i wielkość przeminą,  
 Jak przeszła wielkość Tyru i Niniwy!  
 Sędzio Narodów, oszczędź nam tej chwili,  
 Nie daj zapomnieć, czem my dawniej byli!

Kiedy pijani potęgą jak malcy  
 Ciebie wyzwimy złych języków wrzawą  
 I będziem chełpić się, jak bałwochwalcy  
 Albo jak ludy, którym obce Prawo —  
 Panie Zastępów, bądź przy nas tej chwili,  
 Nie daj zapomnieć, czem my dawniej byli!

A gdy nasz rozum pogański zawierzy  
 Maszynom lśniącym i bestjom ze stali,

Gdy my, proch, z prochu wznoszący zrab wieży,  
 W Tobie już schronu nie będziem szukali,  
 W on czas szaleństwa i pychy — Ty, Panie,  
 Okaż nad ludem Twoim zmiłowanie!

Amen.

*Przekład bezimienny («Droga», r. 1929).*

JERZY HERBERT WELLS

(ur. 1866)

Z «PODRÓŻY W CZASIE»

(Podróżnik po Krainie Czasu opowiada swe przygody.)

...Rychło odkryłem w moich małych gospodarzach rzecz zadziwiająca: brak wszelkiej ciekawości. Przychodzili do mnie z głośniami okrzykami podziwu, jak dzieci, lecz, również jak dzieci, szybko przestawali zajmować się mną i szli dalej, poszukując nowej zabawki. Gdy się skończył obiad wraz z początkami mojej konwersacji, zauważyłem po raz pierwszy, że odeszli wszyscy, którzy najpierw mnie otaczali. Dziwna rzecz, jak szybko przestałem być zajmujący dla tego małego ludu! Wyszedłem znowu przez bramę na światło dzienne, jak tylko zaspokoilem głód. Ustawicznie spotykałem coraz to więcej tych ludzi przyszłości, którzy kawałek drogi szli za mną, paplali i śmiali się ze mnie, a potem, uśmiechnąwszy się i zrobiwszy parę gestów przyjacielskich, pozostawiali mnie własnemu memu przemysłowi.

Na świecie stała się cisza wieczoru, a gdy wysunąłem się z wielkiej sali, krajobraz był już oświetlony ciepłym żarem zachodzącego słońca. Z początku wszystko wprawiało mnie w zakłopotanie, wszystko różniło się tak bardzo od świata, który znałem — nawet kwiaty. Wielki szary budynek leżał na pochyłości szerokiej doliny rzecznej Tamizy, lecz Tamiza oddaliła się była może o milę od swego położenia dzisiejszego. Postanowiłem wejść na wierzchołek wzgórza, skąd mógłbym mieć rozleglejszy widok na naszą planetę — w 802701 Anno Domini. Bo muszę objaśnić, że taką datę wskazywała mała tarcza w mojej machinie czasu...

Rozglądając się dookoła z płaskowzgórza, stwierdziłem przez nagłe zestawienie myśli, że nie widać tu zgoła małych budynków. Prawdopodobnie dom pojedynczy już się w mgłę był rozplynął, a może nawet i pojedyncza rodzina. Tu i ówdzie ponad zielonością wzbijały się budynki podobne do pałaców, lecz dom i zagroda wiejska, które stanowią tak charakterystyczny rys w krajobrazie angielskim, już znikły. «Komunizm!» rzekłem do siebie.

Ale myśl tę zaraz splotyła inna. Patrzałem na pół tuzina drobnych postaci, które szły moim śladem. Nagle spostrzegłem, że wszyscy mieli jednakowy krój szat, takie same twarze, słodkie i bez zarostu, taką samą dziewczęcą okrągłość nóg...

Widząc dobrobyt i bezpieczeństwo, w którym żył ten lud, zrozumiałem, że podobieństwo płci będzie ostatecznie tem, czego oczekiwać należy; gdyż siła mężczyzny i miękkość kobiety, instytucja rodziny i różnica zatrudnień są tylko koniecznością wojowniczą wieku siły fizycznej. Gdy ludność jest doprowadzona do równowagi liczebnej i obfita, wielka liczba urodzeń staje się raczej klęską niż błogosławieństwem państwa; gdy gwałt zdarza się rzadko, a potomstwo jest bezpieczne, mniej staje się potrzebna, a raczej wcale już jest niepotrzebna rodzina płodna...

Gdzie niegdzie wznosiły się białe i srebrzyste posągi w olbrzymim ogrodzie ziemi; gdzie niegdzie wrzynała się ostra linja kopuły lub obelisku. Nie było płotów, nie było znaków prawa własności, nie było śladów rolnictwa: cała ziemia stała się jednym ogrodem. Tak rozmyślając, pragnąłem ustalić pogląd swój na rzeczy, które oglądałem. Później przekonałem się, że odkryłem tylko połowę prawdy, a raczej, że dostrzegłem przeblysłk jednej tylko płaszczyzny brylantu.

...Podczas gorącego poranku piątego dnia, jak sądzę, gdy szukałem osłony przed żarem i upałem w ogromnych ruinach około wielkiego domu, w którym jadałem

i sypiałem, spotkałem dziwną istotę. Gdy się wdrapywałem na urwisko murów, spostrzegłem wąski loch, którego głąb i okna boczne były zasypane spadającym gruzem. Z początku wydawało się tam nieprzenikliwie ciemno wskutek przeciwieństwa z jasno oświetlonym widokiem zewnętrznym. Wszedłem ostrożnie, krok za krokiem, bo wskutek przejścia ze światła do ciemności przed oczyma migwały mi barwne plamy. Nagle stanąłem jak wryty. Para oczu, błyszczących od blasku światła zewnętrznego, gonila mnie w ciemnościach...

Zaświeciłem zapalną i, patrząc w dół, ujrzałem małą postać białą z temi samemi dużemi jasnymi oczyma, które patrzyły na mnie poprzednio. Dreszcz mną wstrząsnął. Było to stworzenie, podobne do ludzkiego pająka! Czepiając się ścian, schodziło w dół studni. Teraz dopiero po raz pierwszy ujrzałem cały ciąg metalowych szczebli i rączek, które tworzyły coś w rodzaju schodków, prowadzących nadół.

Nie wiem, jak długo siedziałem, patrząc w głąb studni. Dopiero po upływie pewnego czasu zdołałem dojść do przekonania, że istota, którą widział, była istotą ludzką. I tak stopniowo rozjaśniła mi się prawda: że człowiek nie pozostał gatunkiem jednolitym, lecz różniczkował się na dwa różne typy zwierzęce; że piękne dzieci ze świata, żyjącego na powierzchni ziemi, nie były jedynymi potomkami naszego pokolenia, lecz że również i te wybladłe wstrętne istoty nocne, które uciekały przede mną, miały prawo do dziedzictwa wieków...

Zbyt doskonale bezpieczeństwo Podślonecznych wprawiło ich w powolny ruch w kierunku zwyrodnienia, doprowadziło ich do ogólnego skartłowacenia pod względem wzrostu, siły oraz inteligencji. Już teraz widziałem to dostatecznie jasno. Nie wiedziałem jeszcze, jaki los spotkał Podziemnych, lecz już z tych Morloków — taką, nawiasem mówiąc, mieli oni swoistą nazwę — których widziałem, wnosić mogłem, że przemiana typu ludzkiego była w nich jeszcze głębsza, niż w Ełojach, owej pięknej rasie, którą już przedtem poznałem.

*Tłum. Feliks Werwiński.*

## JOHN GALSWORTHY

(ur. w r. 1867)

### Z «SAGI RODU FORSYTÓW»

#### Do wynajęcia

...Gdy żółkły drzewa, zwarzone październikowym chłodem, Soames wziął taksówkę na cmentarz Highgate i przez białe jego zagaje dotarł do grobu Forsytów. Przyparty do cedrów, ponad katakumbami i kolumbarjami, grób ten, wysoki, brzydki i osobliwy, wyglądał jakby jeden ze szczytów systemu współzawodnictwa. Soames przypomniał sobie dyskusję, w której Swithin orędownał za umieszczeniem godła bązanta na fasadzie. Projekt ten odrzucono na korzyść kamiennego wieńca, umieszczonego nad skromnym napisem: «Grób Jolyona Forsyte'a 1850».

Grób był w zupełnym porządku. Wszelkie ślady niedawnego pochowku zdołano już zatrzeć, a trzeźwa szarżyna nagrobka spokojnie smęciła się w blasku słonecznym. Leżała tu obecnie cała rodzina, prócz żony starego Jolyona, która wedle umowy powróciła do grobu własnej rodziny w Suffolk; sam stary Jolyon spoczywał w Robin Hill, Zuzanna Hayman została spalona, tak iż nikt nie wiedział, co się z resztkami jej stało. Soames z zadowoleniem przyglądał się mogile; była masywna, nie wymagała wielkiej o siebie dbałości — a to było rzeczą ważną, gdyż wiedział dobrze, że gdy sam zejdzie ze świata, nikt nad nią nie będzie zbyt czuwał, a jemu wkrótce wypadnie pomyśleć o kwaterze. Mógł mieć przed sobą i dwadzieścia lat, ale któż tam wie na pewno! Dwadzieścia lat, bez żadnego wuja, żadnej ciotki, z żoną, o które lepiej nic nie wiedzieć, w rozłące z córką... Zaczął czuć skłonność do melancholji i rozpamiętywań.

Ten cmentarz był, jak powiadają, pełen ludzi o niezwykłych nazwiskach, a pochowanych z wielkim przepychem. Bądź co bądź mieli stąd ładny widok, akurat na Londyn. Anetka dała mu raz do czytania nowelę tego Francuza Maupassanta —



bardzo ponurą opowieść, w której wszystkie szkielety w noc jedną wynurzają się z grobu, a wszystkie tkliwe napisy na ich grobach zamieniają się w opisanie ich grzechów. Powiastka zgoła nieprawdziwa. Niewiadomo, jak tam z tymi Francuzami, ale w narodzie angielskim nie było wiele prawdziwego zła, pomijnawszy zęby i gusty, które były niewątpliwie w oplakany stan... «Grób rodziny Jolyona Forsyte'a 1850». Wielu ludzi pochowano od tej daty — życie niejednego Anglika rozpadło się w proch i pył!..

Brzęczenie samolotu, przelatującego poniżej wyłoconych obłoków, kazało Soamesowi podnieść oczy w górę. Pomknął naprzód demon ekspansji. Jednakże wszystko powrócić musi na cmentarz — do daty i napisu na grobie. I z dziwną dumą myślał Soames o tem, że on i jego rodzina nie zdziałali nic albo nader mało, by poprzeć tę gorączkową ekspansję. Jako ludzie solidni i zacni, lecz przeciętni, brali się do pracy z godnością, by gospodarować i posiadać. Prawda, że «Superior Dosset» budował w groźnym, a Jolyon malował w niepewnym okresie, jednakże, o ile Soames mógł sobie przypomnieć, żaden z nich nie splamił sobie rąk stworzeniem czegokolwiek — chyba że liczyć Vala Dartie i jego hodowlę koni. Byli kolektorami, dependentami adwokackimi, kupcami, wydawcami, rachmistrzami, dyrektorami, agentami rolnymi, nawet żołnierzami! Kraj zaś, jakby im na złość, rozwijał się i rozszerzał swe horyzonty. Oni zajmowali się kontrolą, obroną, sprawdzaniem — a gdy pomyśleć sobie, że «Superior Dosset» zaczął niemal z niczego, a jego potomków oceniał stary Gradman w danej chwili na miljon lub półtora, to sprawa nie przedstawiała się bynajmniej tak źle! Jednakże czasami wydawało się Soamesowi, że jego rodzina już zmieniła swą rolę, że wygasł w niej instynkt posiadania. Wydawało się, iż oni, ta czwarta generacja, nie są już zdolni do robienia pieniędzy; brali się do sztuki, literatury, gospodarki rolnej i żołnierki albo poprostu żyli z tego, co im pozostawiono — nie mieli w sobie ruchliwości i skupienia. Gotowi powymierać, jeśli nie wezmą się do rzeczy.

Soames odwrócił się od grobowca i stanął twarzą w stronę wiatru. Powietrze byłoby tu rozkoszne, gdyby wykorzenił z siebie myśl, że jest w niem i dech śmierci. Z niepokojem przyglądał się krzyżom, urnom, aniołom, nieśmiertelnikom, kwiatom barwnym i zwiedłym — i nagle dostrzegł miejsce, które wydało mu się tak różne od reszty otoczenia, że czuł się zmuszony bliżej podejść i przyjrzeć się temu dokładniej. Był to posępny zakątek, pośrodku którego stał masywny i dziwaczny krzyż z szarego, grubo ciosanego granitu, strzeżony przez cztery cisy. Zakątek ten był wolny od natłoku innych grobów, mając poza sobą mały ogródek z bukszpanowym żywopłotkiem, a przed sobą żółkniejącą brzozę. Ta oaza w pustyni konwencjonalnych grobów przemówiła do estetycznego poczucia Soamesa, więc usiadł tam w blasku słonecznym. Przez drżące złote listki brzozowe spoglądał na Londyn i zdał się na fale wspomnień. Myślał o Irenie — tam na Montpellier Square — gdy jej włosy były złotawo-rude, a jej białe ramiona należały do niego... o Irenie, zdobywcy jego miłosnych namiętności, wzbraniającej się być jego własnością. Widział ciało Bosinney'a, leżące w owej białej kostnicy, oraz Irenę, leżącą na sofie i patrzącą nań zdaleka oczyma konającego ptaka. Potem znów myślał o niej, odtrącającej go ponownie — tam przy małej zielonej Niobie w lasku Bulońskim. Potem nurt wyobraźni poniósł go nad płynącą rzekę — w ów dzień listopadowy, gdy Fleur miała przyjść na świat; widział zeschnięte liście, kotłujące się po zielonawej wodzie i zielska o głowach węzowych, wciąż chwiejące się, to wyściubiające się z wody, wygięte, ślepe, do dna przykute. Potem przypomniał sobie okno z widokiem na noc gwiaździstą i chłodną, a obok — leżące zwłoki ojca. Potem przeskoczył myślą ku owemu obrazowi «przyszłego miasta», do chwili pierwszego spotkania się Fleur z tym chłopcem, ku błękitnym smugom, do cygara Prospera Profonda, do chwili, kiedy to Fleur, stojąc w oknie, wskazywała mu kierunek włóczęgi tego draba. Następnie przypomniał sobie Irenę i tego niedawnego nieboszczyka, siedzących przy sobie na trybunie Lord's Ground'u. Następnie widok jej i tego chłopca w Robin Hill. Następnie tę sofę, w której kątku skulona siedziała Fleur; przypomniał sobie, jak przycisnęła wargi do jego policzka i na pożegnanie powiedziała mu «tatuśku». I naraz zobaczył znów rękę Ireny w szarej rękawiczce, dającą mu ostatni znak pożegnania i pojednania.

Siedział tak przez czas długi, marząc o swoim życiu — wierny do ostatniego włoska swemu instyktowi posiadania, rozgrzewając się nawet poniesionymi przezeń stratami.

«Do wynajęcia» — i wiek forsytowski, i tryb życia, kiedy to człek był bez żadnych trudności i kwestyj panem swej duszy, swego kapitału, swej kobiety. Teraz zaś państwo zagarnęło — lub zagarnie — jego kapitał; kobieta jest panią samej siebie; a do kogo należy jej dusza — wiadomo jedynie Bogu. «Do wynajęcia» — zdrowa i prosta wiara!

Nadpływały spienione fale przemian, niosąc zapowiedź nowych form, gdy burząca ich powódź przejdzie już przez stadjum najwyższego rozpętania. On siedział, podświadomie zdając sobie z nich sprawę, lecz myślami ugrzęźnawszy w przeszłości, jakgdyby ktoś jechał w noc burzliwą, zwrócony twarzą ku ogonowi galopującego konia. Poprzez tamy wiktoriańskie wlewały się fale, zalewające własność, obyczaj, moralność, melodię i dawne postacie sztuki — fale, wtłaczające mu w usta słony smak, jakby krwi; fale, podmywające podnózek wzgórza Highate, gdzie w grobie spoczywał wiktoriaizm. Siedząc tutaj, w najbardziej indywidualnym punkcie tego miejsca, Soames — jakgdyby figura Prawa własności — nie dbał o ich niespokojne poszumy. Instyktownie nie chciało mu się z niemi walczyć; za wiele było w nim pierwotnej mądrości człowieka — zwierzęcia, chciwego posiadania. One ucichną, gdy przeminie ich gorączkowy przyptyk wydziedziczenia i burzenia, gdy twory i własności innych ludzi będą dostatecznie skruszone i obalone — wtedy te fale opadną i odpłyną i wyłonią się z nich nowe postacie, ugruntowane na instynkcie dawniejszym, niż gorączka przemiany — na instynkcie domowego ogniska.

— *Je m'en fiche* — mówił Prosper Profond. Soames nie mówił: «*Je m'en fiche*» (był to bowiem zwrot francuski, a sam Prosper był mu kolką w boku), jednakże w głębi duszy zdawał sobie sprawę z tego, że zmiana była tylko śmiertelnym przedziałem pomiędzy dwiema formami życia, zniszczeniem, koniecznym dla zrobienia miejsca nowemu posiadaniu. Cóż z tego, że wywieszono tabliczkę i że dom jest do wynajęcia? Pewnego dnia ktoś nadejdzie i znów go obejmie w posiadanie.

Jedna tylko rzecz naprawdę go martwiła, gdy siedział tak — z melancholją w sercu — bo słońce niby czar jakiś padało na jego twarz i na obłoki, i na złote liście brzozy — i wiatr szeleścił tak cicho — a zieleń cisów tak była ciemna, a na niebie jawił się biały sierp księżycy.

Jednej, jednej tylko rzeczy mógł sobie Soames życzyć po wieczne czasy i nigdy jej nie osiągnąć na tym świecie: — piękna i miłość!

Tłum. Józef Birkenmajer.

## GILBERT KEITH CHESTERTON

(ur. 1874)

### OBRONA NIEDORZECZNOŚCI

Od wieków istnieją dwa sposoby patrzenia na ten nasz świat mierzchnący; zmrok ów można uważać za zmięczenie lub świtanie; we wszystkim, aż do żółędzi, widzimy pierwowzór lub następstwo. Bywają chwile, gdy dech nam zapiera nietyle ogrom zła, co ilość dobroci ludzkiej, i uznajemy w sobie dziedzictwo potężnych, bohaterskich czynów. To znów wydaje się nam wszystko, jakby dopiero w załączku, gwiazdy wiekuiste są iskrami dziecięcego fajerwerku, a świat cały wygląda tak młodo i świeżo, iż nawet śnieżne włosy starców, mówiąc językiem biblij, są jak kwiaty migdału lub głóg na wiosnę. Godzimy się wszyscy na zbawienność uznania w sobie dziedziców wszechczasu; mniej popularny, lecz równie ważny jest pogląd, iż zbawienna może być wiara nietylko w rolę potomka, ale i prarodzica; dobrze to czasem zastanowić się, czy też naprawdę jesteśmy bohaterami, i snuć wzniosłe refleksje, czy nie jest się tylko mitem słonecznym.

Bezpośredniość i nagłość — oto co we wszystkich epokach świadczy najdobitniej o wiecznej dziecięcości świata; i gdyby mnie pytano o dowody na żadną przyciód

młodzięczość XIX wieku, to, mimo całego szacunku dla jego zdobyczy naukowych i filozoficznych — wskazałbym popularne wierszydła i literaturę niedorzeczną. Jest co prawda faktem, iż najwięksi pisarze wszystkich czasów — jak Arystofanes, Rabelais i Heine — pisali niedorzeczności, ale głupstwo ich było innego pokroju, miało charakter satyry, było symboliczne i stanowiło coś w rodzaju płasów dookoła prawdy. Instykt satyryka, który widzi typową cechę człowieka w wąsach panującego i wydłuża je celowo, różni się od instyktu błazna, wyobrażającego sobie, jak te wąsy wyglądałyby naprzykład na twarzy arcybiskupa, gdyby tam nagle wyrosły.

Traktowanie niedorzeczności jako odrębnego rodzaju literackiego (rzekłbym: swoiste pojmowanie) byłoby zgoła bezpodstawne, gdyby stanowiło tylko kaprys estetyczny. Nigdy potężny twór artystyczny nie wykwił z czystej sztuki, podobnie jak rzecz nawet najbardziej rozumna — z czystego rozumu. Każdy wielki rozkwit estetyczny wyrasta z bogatej gleby estetycznej. Zasada «l'art pour l'art» jest dobra wówczas tylko, gdy pragnie zaznaczyć istotną różnicę między ziemią a drzewem, które tkwi w tej ziemi korzeniami; zła jest, gdy usiłuje twierdzić, że drzewo mogłoby rosnać równie dobrze, gdyby korzenie jego wisiały w powietrzu. Wszelka literatura potężna była pierwotnie alegoryczna — alegoryczna dla pewnego określonego na świat poglądu. Iliada tylko dlatego jest wielka, ponieważ życie całe jest bitwą, Odyseja, gdyż życie całe jest wędrówką, Księga Hioba, gdyż życie całe jest zagadką. Pewni ludzie stoją wobec życia w postawie, którą możnaby nazwać uduchowioną; życiu innych odpowiadałoby natomiast określenie «Sen nocy letniej». Nawet najtrywialniejsze dramaty i historie kryminalne mogą być pożyteczne, gdy zawierają coś z drażniącego smaku niezwykłych możliwości, coś ze zdrowej trwogi, która ogarnia nas w nocy na pustych drogach. Jeśli przeto niedorzeczność ma być treścią literatury przyszłości, musi ona zdobyć własny pogląd na kosmos, a świat cały powinienby stać się nietylko tragiczny, romantyczny i religijny, ale także niedorzeczny. Teraz dopiero wierzę w skojarzenie się niedorzeczności z całokształtem pojmowania rzeczy — skojarzenie zgoła nieoczekiwane. Religija, budząc w ludziach podziw dla cudów stworzenia, nie zauważyła przez setki lat, że coś wyłącznie zmysłowego nie może stać się rzeczą całkowicie cudowną. Drzewo nie wywoła w nas specjalnego zdumienia, dopóki nie ujrzymy w niem jego istoty ponadzmysłowej. I dopiero, dostrzegłszy w niem tajemną falę życia, która, niewiadomo czemu, z ziemi dąży do nieba, uczuwamy trwogę przed opiekunem lasu. Wszelka rzecz posiada w istocie dwie strony, jak księżyc, patron niedorzeczności. W ptaku można widzieć kwiat, oderwany od łodygi, w człowieku — czworonoga, żebrzącego na tylnych łapach, na dom można patrzeć jak na olbrzymi, chroniący nas od słońca kapelusz, na krzesło — jak na aparat z czterema nogami dla kaleki o dwu tylko nogach.

Oto strona rzeczy odwrotna, wiodąca nas drogą najpewniejszą do cudów ducha. Znamienne jest, że w największym poetyckim dziele religijnym, Księdze Hioba, na bezbożnika działa nie myśl o świecie, jako uporządkowanym systemie Stwórcy, lecz sam obraz potwornej zagadkowej bezmyślności tego świata. «O, Panie! zesłałeś deszcz na ziemię, na której nikt nie mieszka, i na pustynię, gdzie niemasz człowieka!» Ów naiwny podziw dla układu życia i jego tajemniczej niezależności od naszych przesłanek intelektualnych i trywialnych definicji stanowi źródło spirytualizmu, równie jak podstawę niedorzeczności. Niedorzeczność i wiara (tak sprzeczne) to dwa najdobitniejsze dowody symboliczne faktu, że poznanie istoty rzeczy zapomocą sylogizmu jest tak samo niemożliwe, jak złapanie wieloryba na wędkę. Dobra dusza, która, pragnąc zhabać tylko logiczną stronę rzeczy, doszła do wniosku, że «wiara jest niedorzecznością», sama nie wie, jak trafnie sądziła; zczasem przekona się może, że niedorzeczność jest wiarą.

*Tłum. Stanisław Baczyński.*

#### OSIOŁEK

Gdy ryby skrzydła miały, drzewa — nogi,  
Tarnina — figi kwiecie,  
W czas, kiedy księżyc krwią przerażał w tarczy,  
Zjawilem się snuć na świecie:

Z głową potworną, z przeraźliwym rykiem,  
Z uszami, jak nietoperze,  
Chodzący złego ducha żart na wszelkie  
Czworonożne ziemskie zwierzę —

Lachman, wyrzutek jestem całej ziemi,  
Zadawniony we mnie opór —  
Bij, szydź i głódź mię: milczenia nie zmoże  
Różga świszcząca ni topór.

Lecz głupcy: i ja ongi, dawno, miałem  
Swą godzinę: brzmiały psalmy,  
O uszy głos się rozlegał: «hosanna!»  
Pod stopy słano mi palmy.

*Tłum. Stanisław Helsztyński.*

### JAMES JOYCE

(ur. 1882)

#### TĘTENTY SŁYSZĘ ARMJI

Tętenty słyszę armji, pędzącej na ład cwałem,  
Gromy kopyt dudniących, z pianą  
dokoła kolan —

W czarnej zbroi woźnice, za rydwanowym walem,  
Rzuciwszy na wiatr lejce, z biczowych  
klaszczą polan.

W noc imię swe, krzyk boju, w dzikim rzucają wrzasku;  
W śnie jęczę, kiedy słyszę śmiech ich,  
huczący wdali —

Mrok przedzierają marzeń swego zjawieniem blasku,  
W serce, jak po kowadle, hukami  
raz wraz biją.

Pędzą, w triumfie włosy trzęsą długie, zielone —  
Wynurzyli się z morza i wzdłuż wybrzeża  
biegną:

Gdzież twa mądrość, o, serce, czemu w rozpaczy tonę?  
Przecż że, Miłości moja, u boku-ś  
nie jest mego!

#### STRUN WICHR

Strun wicher nad ziemią brzmi woddali,	Muzyka jest tam nad tą rzeką,
muzyki słodkiej prąd;	bo tam miłości szlak,
tam na rozdrożu u tej rzeki,	białe na płaszczu nosi kwiaty,
gdzie wierzb się ciągnie rząd.	czarny we włosach mak.

Idzie i słodko gra, łagodnie  
ku dźwiękom chyli skroń,  
po strunach, które dźwięczą zgodnie,  
bijąca błądzi dłoń.

*Tłum. Stanisław Helsztyński.*

ROBERT BRIDGES

(ur. 1844)

## ZBUDŹ SIĘ, ME SERCE

Zbudź się, me serce, zbudź się, miłość czeka na cię;  
 Mrok półsrebrzysty zniknął, świt lśni w jasnej szacie,  
 Na niebie już poranek, księżyc w majestacie  
 Zanika zbladłym. Zbudź się, miłość czeka na cię.

Ta, która kocha ciebie, już otwarła oczy,  
 Noc już ciemnością zbiegła myśli jej nie mroczy;  
 Już wygląda, już patrzy na szlak, który ma cię  
 Przywieść do niej; o, zbudź się, miłość czeka na cię.

Jeśli wczas nie przybędziesz — jest li to możliwe? —  
 Ona przybędzie tutaj, o, serce szczęśliwe:  
 Dla ciebie wstyd porzuci i zjawi się w chacie;  
 O, zbudź się, serce, zbudź się, miłość czeka na cię.

Zbudź się, światło po wszystkich rozlewa się górach —  
 Sen z pola, z drzew ucieka na skrzydłach, na piórach,  
 Zorza całuje kwiaty, które lśnią w szkarłacie;  
 Zbudź się, zbudź się, o, serce, miłość czeka na cię.

Patrz, wszystkie rzeczy stoją: czekają na ciebie.  
 Ona patrzy i mówi: O, słońko na niebie,  
 Sprowadź milego mego, słońko, słodki bracie,  
 Powiedz sercu mojemu: Miłość czeka na cię.

\_\_\_\_\_ *Tłum. Stanisław Helsztyński.*

JAKÓB ELROY FLECKER

(1884—1915)

## ŚPIEW WOJENNY SARACENÓW

Gromada losem gnana, pędzimy w zmierzch i z rana:  
 Z kości sloniowej ściana do stóp wam padnie, królowie.  
 Nie jedwab i aksamit ni objęcia sulamit,  
 Ni w stroju śmierć nam chlamid, dzieci modlących się mrowie.  
 Sen nasz pośród namiotu, krzyk podobny do grzmotu,  
 Gwiazda lampą wśród lotu, wichry z hukiem na głowie.

Od kraju, gdzie są słonie, aż ku Balgharu stronie,  
 Stał nasza rzezią płonie, gwiazda na Rummy ruinie;  
 Z Indyj do Ebru mkniemy, wnet tędy przebiegniemy:  
 Brzeg tkwi przed nami niemy, brzeg, który z wyroczeni słygnie;  
 Krwią kupczyliśmy hojnie, tam w Dżalula na wojnie;  
 Nie ginęli spokojnie — strugami jeszcze krew płynie.

Niejednego w pustyni miecz nasz uległym czyni,  
 Do zimnej kładzie skrzyni, zatrąwszy żółc mu goryczą;  
 Zazdrość im naszej tarczy — rys jeden jej nie marszczy;  
 Jak Stambuł skalny sterczy, u stóp brzmiący konnicą;  
 Bohaterzy i tchórze, gdy cię zapłoną róże,  
 Trupem czczą Boga w górze, pieśni go poją słodyczą.

\_\_\_\_\_ *Tłum. Stanisław Helsztyński.*

## RUPERT BROOKE

(1887—1915)

## ŻOŁNIERZ

Jeżeli zginę, wiedźcie, myśląc o mnie:  
Jest spłacheć ziemi kędyś w polu obcem,  
Który jest Anglją. Proch drogi ogromnie,  
Droższy niż ziemia, leży tu pod tym kopcem.

Proch, dziecię Anglji, kształt, oddech jej łona,  
Co błoń jej kochał, po drogach jej chodził,  
Wdychał powietrze, które wdycha ona,  
W słońcu jej kapał się i rzekach brodził.

Wiedźcie też, serce to, zła docna zbywszy,  
Tętno, bijące poprzez wieczność całą,  
Co z Anglji wzięło, będzie dalej stało:

Głos jej, obrazy, sen dni najszczęśliwszy,  
Śmiech druhów szczery i tę dobroć cichą,  
Co w Anglji zdobi każdą miedzę lichą.

*Tłum. Stanisław Helsztyński.*

## WILLIAM BUTLER YEATS

(ur. 1865)

## SZALEŃSTWO KRÓLA GOLLA

(Ze starożytnych legend celtyckich)

Miałem ja z wydrzych skór postanie,  
Władcze me słowo wielce waży  
Od Ith po Emen; drzał ci na nie  
W Invar-Amargin tłum żeglarzy,  
Gasili gniewy swe i spory  
Chłopcy, dziewczęta, człek i zwierz,  
W ruń odziewały się ugory,  
Ptactwu plażyło pośród leż,  
Siwą mający szadz na głowie,  
Niejeden starzec, zdumion, powie:  
«Przed nim północny znika mróz»...  
A liście się nie chcą uciszyć, szumiące liście starych brzóz.

Przy pieśni siedzę i przy winie,  
Wtem przybiegł pasterz i narzeka,  
Że z trzodą, którą paś w dolinie,  
Okręt piratów wdał ucieka.  
Przede mną wlot stanęli męże,  
Stanął wojenny rydwan mój:  
Wpadnę na wroga i zwyciężę,  
W głębiach utonął morski zbój,  
Precz go strąciłem w snu zatokę,  
Bogaty łup za sobą wlokę —  
Złotem napelnion był mój wóz...  
Liście się nie chcą uciszyć, szumiące liście starych brzóz.

Lecz gdym mordował bezlitośnie,  
 Kiedym tak w krwawej brnął kałuży,  
 W głębi mej duszy zar wyrośnie,  
 Szalony ogień się rozburzy;  
 Stanę: tłum gwiazd się górą pali,  
 Wokół mnie ludzkich oczu zwał,  
 Wgłos się zaśmieję i wzdłuż fali,  
 Skrós bagnisk biegnę, i wśród skał.  
 Śmieję się z tego, że ptak leci,  
 Że obłok płynie, słońce świeci,  
 Że toń huczała, wicher się niósł..  
 Liście się nie chcą uciszyć, szumiące liście starych brzoź.

I odtąd leśną pędzę knieją,  
 Gdy lato złote pszczoły pasie,  
 Gdy w jesień drzewa się żółcieją  
 W barw leopardzich wrzącej krasie,  
 Albo gdy zimą wzdłuż wybrzeży  
 Drżą na urwiskach stada mew;  
 Dłoń mi się trzęsie, włos się jeży,  
 Biegnę, przede mną mknie mój śpiew.  
 Szary mnie poznał wilk; za uszy  
 Wlokę go z sobą w borów głuszy;  
 Zając w odwagę przy mnie wzrósł..  
 Liście się nie chcą uciszyć, szumiące liście starych brzoź.

Zaszedłem w lichy gród; w miesiąca  
 Blasku drzemały jego ściany;  
 Ma stopa ledwie piasek trąca,  
 A usta szepcą w rozszeptany  
 Takt jakiś tonów, za którymi  
 Jam tu wędrował noc i dzień:  
 Znalazłem wreszcie gęśl; na ziemi  
 W bramie leżała, skryta w cień.  
 Wziąłem ją z sobą w bór co prędzej  
 I wraz o ludzkiej jakiejś nędzy  
 Dziki się wtór nasz puszcza niósł..  
 Liście się nie chcą uciszyć, szumiące liście starych brzoź.

Jam śpiewał o tem, jak, gdy końca  
 Dobiega dzień, posępne drzewa  
 Kryją zachodnią kulę słońca  
 I jaka woń się z nich rozlewa.  
 Kiedy po strunach biegły dłonie,  
 Wnet, ni to szelest cichych ros,  
 Szalony ogień gościł mi w łonie,  
 Ech li zostawiał smętny głos.  
 Pękły mi struny, zmilkły wtóry  
 I ja przez lasy i przez góry  
 W spiekotę idę, w biały mróz..  
 Liście się nie chcą uciszyć, szumiące liście starych brzoź.

*Tłum. Jan Kaspróvicz.*

## W OGRODZIEŚMY SIĘ SPOTKALI

<p>W ogrodzieśmy się spotkali,          Ja i to moje kochanie;          Śnieżysto-białą stopą          Po kwietnym idąc dywanie,          «Bądź» — mówi — «spokojny w miłości,          Jako ten liści wieniec!»          Ale ja słuchać nie chciałem,          Młody ci byłem szaleniec.</p>	<p>Staliśmy wśród pola, nad rzeką,          Ja i ta moja wielbiona;          Śnieżysto-białe ręce          Na me składając ramiona,          «Bądź» — mówi — «spokojny w życiu,          Jako ta trawa na łące!»          Młody ci byłem szaleniec,          Łzy mię dziś pieką gorące.</p>
---	---

Tłum. Jan Kasprówicz.

## BERNARD SHAW

(ur. 1856)

## Z «MĘŻA PRZEZNACZENIA»

(Dwunasty maja 1796. — Gospoda w Tavazzano, przy drodze z Lodi do Medjolanu.)  
 Napoleon. — Oberżysta Giuseppe. — Dama.

Giuseppe: Ekscelencja życzy sobie...

Napoleon (*wpatrzony w mapę, lewą ręką mechanicznie napycha usta*): Nie gładź mi tu. Jestem zajęty.

Giuseppe (*w doskonałym humorze*): Jestem na usługi, ekscelencjo.

Napoleon: Daj mi czerwony atrament.

Giuseppe: Niestety, nie mam, ekscelencjo.

Napoleon (*z korsykańską jowialnością*): Zabij co i przynieś mi krew!

Giuseppe (*z uśmiechem*): Kiedy w tym domu niema nikogo, tylko koń ekscelencji, sztyldwach, dama na pierwszym piętrze i moja żona.

Napoleon: Zabij żonę.

Giuseppe: Z przyjemnością, ekscelencjo, ale na moje nieszczęście jest silniejsza ode mnie. Zabiłaby mnie.

Napoleon: To równie dobre.

Giuseppe: Nazbyt wielki zaszczyt dla mnie, ekscelencjo. (*Wyciągając rękę w kierunku flaszki*) Może trochę wina nadałoby się do tego celu?

Napoleon (*prędko zasłania flaszkę i staje się bardzo poważny*): Wina! Nie, to byłoby marnotrawstwo. Wszyscyście tacy sami: marnotrawcy, marnotrawcy, marnotrawcy! (*Robi sosem znaki na ścianie, przyczem używa widelca jako pióra.*) Sprzątnij! (*Dopija szklankę wina, odsuwa krzesło, serwetką ociera usta, wyciąga nogi, przechyla się w tył, wciąż jednak marszczy czoło, pogrążony w myślach.*)

Giuseppe (*sprząta ze stołu i stawia naczynie na tacy, umieszczonej na bufecie*): Każdy myśli, jak mu nakazuje jego zawód, ekscelencjo. My, oberżysty, mamy dużo taniego wina; cóż to dla nas, gdy się je rozlewa. Wy, wielcy generałowie, macie dużo taniej krwi; cóż to dla was, gdy się ją rozlewa. Czy nie tak, ekscelencjo?

Napoleon: Krew nie kosztuje nic. Wino kosztuje pieniądze. (*Wstaje i podchodzi do kominka.*)

Giuseppe: Powiadają, że wszystkiego oszczędzasz, ekscelencjo, prócz ludzkiego życia.

Napoleon: Życie ludzkie, mój przyjacielu, to jedyne, co oszczędza samo siebie. (*Wygodnie wyciąga się na sofle.*)

Giuseppe (*z podziwem*): Ach, ekscelencjo, jakimi głupcami jesteśmy my wszyscy w porównaniu z tobą! Gdybym to ja mógł odgadnąć tajemnicę twego powołania.

Napoleon: Wtenczas zrobiłbyś siebie cesarzem Włoch, co?

Giuseppe: To zbyt męczące, ekscelencjo: pozostawię to już panu. Zresztą, co by się stało z moją oberżą, gdybym został cesarzem? Ty, ekscelencjo, patrzysz rad, gdy dla ciebie rządzą moją gospodą i usługują ci. A ja patrzeć będę rad, gdy zostaniesz,



ekscelencjo, cesarzem Europy i dla mnie będziesz rządził krajem. (*Mówiąc to, zdejmuję obrus, zostawia jednak mapy i kałamarz, potem bierze w ręce rogi obrusa, środek przytrzymuje ustami i w ten sposób składa go.*)

Napoleon: Cesarzem Europy, co? Dlaczego tylko Europy?

Giuseppe: Rzeczywiście dlaczego? A cesarzem świata, ekscelencjo! Dlaczegooby nie? (*Sklada i zwija obrus, podkreślając wygłaszane zdania poszczególnymi okresami tej czynności.*) Jeden człowiek podobny jest do drugiego (*ruch*); jeden kraj podobny do drugiego (*ruch*); jedna bitwa podobna do drugiej. (*Gdy skończył, uderza obrusem o skraj stołu, zwija go zreżnie i dodaje, perorując*) Zdobędziesz jedno: zdobędziesz wszystko. (*Podchodzi z obrusem do bufetu i kładzie go do szuflady.*)

Napoleon: I rządzić za wszystkich, walczyć za wszystkich, być sługą każdego pod pozorem, że się jest panem każdego. Giuseppe!

Giuseppe (*przy bufecie*): Co, ekscelencjo?

Napoleon: Zabraniam ci rozmawiać ze mną o mojej osobie.

Giuseppe (*podchodzi do końca sofy*): Pardon. Ekscelencja jesteś w tem lak niepodobny do innych wielkich ludzi. Jest to przedmiot który lubią oni najbardziej.

Napoleon: A więc mów ze mną o tem, co poza tem wielcy ludzie lubią najwięcej, wszystko jedno co.

Giuseppe (*niestropiony*): Chętnie, ekscelencjo. Czy przypadkiem nie widziałeś, ekscelencjo, tej damy z góry? (*Napoleon zrywa się nagle i patrzy na niego z zaciękwieniem, które najzupełniej usprawiedliwia zadanie tego pytania.*)

Napoleon: W jakim jest wieku?

Giuseppe: We właściwym, ekscelencjo.

Napoleon: To jest, siedemnaście lat czy trzydzieści?

Giuseppe: Trzydzieści, ekscelencjo.

Napoleon: Przystojna?

Giuseppe: Nie mogę patrzeć twemi oczyma, ekscelencjo: każdy musi to sam osądzić. Mojem zdaniem, ekscelencjo, jest to ładna kobieta. (*Przebiegle*) Czy do kolacji mam dla niej tutaj nakryć?

Napoleon (*podnosząc się, szorstko*): Nie, nie trzeba nakrywać, aż powróci oficer, na którego czekam. (*Patrzy na swój zegarek i zaczyna chodzić tam i zpowrotem między kominkiem a winnicą.*)

Giuseppe (*z przekonaniem*): Ekscelencjo, wierz mi, z pewnością złapali go ci przekłeci Austriacy. Gdyby był wolny, nie ważyłby się pozwolić ci czekać na siebie.

Napoleon (*odwracając się u skraju cienia werandy*): Giuseppe, gdyby okazało się to prawdą, wprawi mnie to w taki humor, że nic nie potrafi mi sprawić przyjemności, chyba jedno, że każę powiesić ciebie i twoich domowników, łącznie z tą damą z góry.

Giuseppe: Jesteśmy wszyscy w zupełności do twego rozporządzenia, ekscelencjo, z wyjątkiem damy. Nie mogę za nią ręczyć; ale któraż kobieta potrafi ci się oprzeć, generale.

Napoleon (*przechadza się, ponuro*): Hm, ty nigdy nie skończysz na szubienicy. To nie jest przyjemność powiesić kogoś, kto nie ma nic przeciwko temu.

Giuseppe (*uprzejmie*): Ani trochę, ekscelencjo, prawda? (*Napoleon patrzy znów na zegarek i zaczyna zdradzać oznaki zaniepokojenia.*) O, zaraz widać, generale, że jesteś wielkim człowiekiem: umiesz czekać. Gdyby jaki kapral albo podporucznik był na twym miejscu, w trzy minuty kłąby, groził, wściekał się i cały dom przewróciłby do góry nogami.

Napoleon: Giuseppe, twoje pochlebstwa są nieznośne. Idź i gadaj sobie za drzwiami. (*Siada znów przy stole, wsparty brodą na dłoniach a tokcie na mapie, na którą patrzy z wyrazem niepokoju.*)

Giuseppe: Chętnie, ekscelencjo. Będziesz miał spokój. (*Bierze tacę i zabiera się do odejścia.*)

Napoleon: Gdy tamten wróci, przyślij mi go tu w tej chwili.

Giuseppe: Natychmiast, ekscelencjo.

Głos kobiecy (*wołą z odległej części gospody*): Giuseppe! (*Głos jest bardzo melodyjny i dwie ostatnie zgłoski wypiewuje wyższym tonem.*)

Napoleon (*zdumiony*): Co to? Co to?

Giuseppe (*opiera krawędź tacy o stół i przechyla się poufale*): To jest ta dama, ekscelencjo.

Napoleon (*roztargniony*): Tak. Jaka dama? Co za dama?

Giuseppe: Nieznajoma dama, ekscelencjo.

Napoleon: Co za nieznajoma dama?

Giuseppe (*wzruszając ramionami*): Któż to może wiedzieć? Jakie pół godziny przed panem przybyła najętym powozem ze «Złotego Orła» w Borghetto. Naprawdę, zupełnie sama, ekscelencjo. Bez służby. Kufer i torba podróżna, to wszystko. Pocztyljon powiedział mi, że pod «Złotym Orłem» zostawiła konia-wierzchowca z wojskowym ryszunkiem.

Napoleon: Kobieta z wierzchowcem wojskowym? To niezwykle.

Głos kobiety (*dwie ostatnie zgłoski wyśpiewuje teraz zniżonym głosem*): Giuseppe!

Napoleon (*zrywa się, nastuchując*): To zajmujący głos.

Giuseppe: O, to zajmująca dama, ekscelencjo. (*Woła*) Już idę, łaskawa pani, idę. (*Zmierza do wewnętrznych drzwi*.)

Napoleon (*mocno przytrzymuje go za ramię*): Stój! Niech ona tu przyjdzie!

Dama: Co za prawo masz pan pogardzać mną, gdy sam wygrywasz swe bitwy dla innych? Dla swej ojczyzny! Z patriotyzmu! To właśnie nazywam kobiecem; w tem jest pan zupełnie Francuzem.

Napoleon (*z pasją*): Nie jestem Francuzem!

Dama (*niewinnie*): Zdaje mi się, powiedział pan, że bitwę pod Lodi wygrałeś dla swego kraju, generale Bu... mam użyć wymowy włoskiej czy francuskiej?

Napoleon: Liczy pani na moją cierpliwość, madame. Urodziłem się francuskim poddanym, ale nie we Francji.

Dama (*składa ręce na skraju sofy i opiera się, z wyraźnym wzrastającym zainteresowaniem*): Myślę, że pan wogóle nie urodził się poddanym.

Napoleon (*mocno uradowany, znów rozpoczyna przechadzkę po pokoju*): No, nie. Tak pani sądzi?

Dama: Jestem o tem przekonana.

Napoleon: No, no, może tak jest. (*Miły dźwięk tego przyzwolenia lechce jego ucho. Nagle urywa, rumieniąc się. Potem, przyjąwszy uroczystą pozę, naśladując bohaterów starożytnych, uderza w wysoki ton moralu.*) Lecz my nie możemy żyć tylko dla siebie, moje dziecko. Nie zapominaj pani, że zawsze musimy myśleć o drugich, pracować dla drugich, działać i rządzić dla ich dobra. Poświęcenie jest podstawą każdego prawdziwie wielkiego charakteru.

Dama (*z westchnieniem porzuca swą pozycję*): Ach, z tego widać jasno, że pan nigdy tego nie próbował, generale.

Napoleon (*oburzony, zapomina zupełnie o Scypjonie i Brutusie*): Co pani chce przez to powiedzieć, madame?

Dama: Czy pan nie zauważył, że ludzie zawsze przeceniają wartość tego, czego nie posiadają? Biedni, myślą, że trzeba im tylko majątku, a byłiby dobrzy i szczęśliwi. Każdy wielbi prawdę, czystość, bezinteresowność dlatego — ponieważ w tych sprawach nie ma żadnego doświadczenia. Ach, gdyby tylko wiedzieli!

Napoleon (*ze złośliwym szyderstwem*): Gdyby tylko wiedzieli! Proszę, a pani wie coś o tem?

Dama (*opuszcza ramiona, dłonie składa na kolanach i patrzy prosto przed siebie*): O, tak! Miałam nieszczęście urodzić się dobrą. (*Przez chwilę patrzy na niego*) I zapewniam pana, generale, że to jest nieszczęście. Ja rzeczywiście kocham prawdę, jestem bezinteresowna i tak dalej, i tak dalej, ale to jest tylko tchórzostwo, brak charakteru, brak odwagi, aby rzeczywiście, mocno i prawdziwie być samym sobą.

Napoleon: Ha? (*zwraca się do niej z błyskiem silnego zainteresowania*)

Dama (*poważnie, z wzrastającym entuzjazmem*): Co, generale, jest tajemnicą twej siły? To tylko, że wierzysz w siebie. Możesz walczyć i zdobywać tylko dla sie-

bie, dla nikogo innego. Nie boisz się swego przeznaczenia. Pokazujesz nam, co my wszyscy moglibyśmy osiągnąć, gdybyśmy mieli wolę po temu i odwagę; i to (*nagle osuwa się przed nim na kolana*) jest przyczyną, dla której my wszyscy zaczynamy cię uwielbiać (*Całuje jego ręce*).

Napoleon (*zakłopotany*): Ależ — ależ! Niechże pani wstanie, madame.

Dama: Nie odrzucaj pan tego hołdu: masz do niego prawo. Będziesz cesarzem Francji.

Napoleon (*szybko*): Ostrożnie. To jest zdrada stanu!

Dama (*uparcie*): Tak jest, cesarzem Francji, potem Europy, może całego świata. Ja jestem tylko pierwszym poddanym, który przysięga ci wierność. (*Znów całuje jego ręce*.) Mój Cesarzu!

Napoleon (*zmożony tem, podnosi ją*): Ależ proszę... Nie, nie, moje dziecko, to głupstwa. Proszę, niech się pani uspokoi (*Głaszcze ją*). Tak, tak, moja mała.

Dama (*łtumiąc łzy szczęścia*): Tak, ja wiem, że to z mojej strony impertynencja mówić panu to, co musisz wiedzieć znacznie lepiej ode mnie. Ale pan nie gniewa się na mnie, prawda?

Napoleon: Gniewać się. Nie, nie! Ani trochę, ani trochę: jesteś pani bardzo roztropną, mądrą i interesującą kobietką. (*Głaszcze ją po twarzy*.) Będziemy więc przyjaciółmi?

Dama (*z zachwytem*): Pańską przyjaciółką? Pozwoli mi pan być pańską przyjaciółką? Ach! (*Z czarującym uśmiechem podaje mu obie ręce*) Widzi pan, daję panu dowód mego zaufania.

Napoleon (*z okrzykiem wściekłości i błyskawicą w oczach*): Co?

Dama: Co się stało?

Napoleon: Dowód zaufania pani! Abym odwzajemnił się mojem zaufaniem i pozwolił pani wymknąć się razem z mojami depezbami, co? Ach, Dalilo, Dalilo! Próbowalaś na mnie swych sztuczek, a ja okazałem się takim samym durniem, jak ten osioł, mój porucznik. (*Groźnie zbliża się do niej*) Tu, depeze! Prędko! nie pozwolę już więcej żartować ze siebie.

Dama (*umykając poza sofę*): Generale —

Napoleon: Prędko! powiadam. (*Szybko przechodzi środkiem pokoju i zastępuje jej drogę, gdy ona zmierza ku winnicy*.)

Dama (*w pułapce, stawia mu czoło*): Jak pan śmie przemawiać do mnie takim tonem?

Napoleon: Jak śmiem?

Dama: Tak jest, jak pan śmie! Kim pan jesteś, że pozwalasz sobie przemawiać do mnie w tak nieokrzesany sposób? O, podły, pospolity awanturnik korsykański zbyt łatwo przychodzi w panu do głosu.

Napoleon (*nie panując już nad sobą*): Ty djablico! (*Dziko*) Powiadam ostatni raz, oddasz mi te papiery czy też mam je wziąć sam? Przemocą!

Dama (*opuszcza ręce*): Weź pan je — przemocą! (*Gdy on patrzy na nią, jak tygrys, gotowy do skoku, ona przybiera pozę męczennicy, z rękami złożonemi w krzyż na piersiach. Ten gest i poza budzą natychmiast jego instynkt teatralny; zapomina o swym gniewie, aby pokazać, że nie ustępuje jej, gdy chodzi o odegranie komedji. Przez chwilę wytrzymał ją w oczekiwaniu, potem twarz jego nagle wypogadza się; z wyzywającym spokojem zakłada ręce w tył, kilkakrotnie mierzy ją od stóp do głowy, zażywa szczyptę tabaki, troskliwie wyciera sobie palce i wkłada chusteczkę do kieszeni — a tymczasem jej bohatera poza staje się z każdą chwilą śmieszniejsza*.)

Napoleon (*wkońcu*): No?

Dama (*zmieszana, lecz wciąż jeszcze z pokornie skrzyżowanemi rękami*): A więc, czego pan chce?

Napoleon: Popsuć pani pozę.

Tłum. Wilam Horzyca.

# LITERATURA PÓŁNOCNO-AMERYKAŃSKA

---

COTTON MATHER

(1663—1728)

Z «MAGNALJÓW»

W roku 1679 w dom Williama Morse'a w Newberry w srogi sposób zniosły się demony, dość podobne do tych, które harcowały w Tedworth. Uderzały o dom cegły i kamienie, miotane jakąś dłonią niewidzianą. Bywało kiedy indziej, że kot zleciał na jakąś białogłową. To znowu jakiś kij tajemniczy płąsy rozpoczynał w kominie; a gdy raz dwoje ludzi porwało go, by włożyć go w ogień i spalić, tak mocno się im opierał, że ledwie im dwojgu siły starczyło, aby go udzirzeć.

Gdy ktoś zajęty był pisaniem, niewidzialna ręka porywała mu inkaust z przed oczu; i nie znaleźć go nieborakowi. A tu, o dziwo! inkaust pada z pułapu na podobieństwo kropli dżdżu. Potem znowu ktoś but mu na ramię położył; porwie się on do tego buta — a buta już niemasz.

Byli ludzie, którzy ujrzeli raz rękę, co gruchotała człowieka, lecz pojąć jej nie mogli.

Innego znowu czasu słyhać było bębnienie po deskach, a głos jakiś nikczemny wołał: «Pomsta, pomsta! Słodka, zaprawdę, będzie nasza pomsta!» Lud, strachem zdjęty, w kaźni tej Imię Boże wyrzekł, a złe głosy poczęły wołać żałośliwie: «Biada, biada! Nie straszyci nam więcej w tym domu, nie straszyci nam!» I taki to koniec był temu wszystkimu.

---

BENJAMIN FRANKLIN

(1706—1790)

Z «PAMIĘTNIKÓW»

...Zacząłem wydawać w roku 1732 mój kalendarz pod imieniem Ryszarda Saunders; przez lat dwadzieścia prawie ogłaszałem corocznie nowy numer, i dziełko to zyskało sobie nazwanie «Kalendarza biednego Ryszarda». Starłem się, aby zawarte w nim przedmioty łączyły razem użyteczność z rozrywką, przez co tak się stał pokupny, iż znaczne przynosił mi korzyści; corocznie bowiem sprzedawałem do dziesięciu tysięcy egzemplarzy. Widząc, jak był powszechnie czytany i jak po całym rozchodził się kraju, uważałem go za narzędzie najsposobniejsze do rozszerzania moralności i oświecenia pomiędzy ludem, który rzadko inne kupuje książki. Zapelniałem więc wszystkie przerwy, jakie się znajdowały pomiędzy znakomitszymi dniami w kalendarzu, zdaniem, wyrażaniem w kształcie przysłów, wybierając takie jedynie, które były zdolne natchnąć zamiłowaniem do pracy i oszczędności, jako środków uzbierania majątku, a tem samem wzmocnienia cnoty; gdyż człowiekowi, w niedostatku będącemu, trudno jest żyć zawsze poczciwie, a wyrażając się tu jednym z przysłów moich, «trudno stać prosto pustemu workowi». Zebrałem te przysłowia, które w sobie mądrość wieków i narodów zawierały, i ułożyłem z nich pewien rodzaj przedmowy, umieszczając ją na czele kalendarzyka, na rok 1757 ogłoszonego, jako odezwę roztropnego i szanowanego powszechnie starca do ludzi, na publiczną licytację zgromadzonych. Złączenie w jedno ognisko wszystkich tych porzręczanych w różnych miejscach prawideł uczyniło je zdolniejszymi do sprawienia

mocniejszych wrażeń... Ponieważ w prawidłach moich zachęcałem do wystrzegania się nieużytecznych wydatków na przedmioty zbytku, z zagranicy sprowadzane, wielu było tego zdania, że właśnie tym prawidłem przypisywać należało tę obfitość gotowizny, jaka się w kilka lat po ich ogłoszeniu spostrzec dała...

Z «NAUK RIEDNEGO RYSZARDA»

Zatrzymałem się dnia pewnego na koniu w miejscu, gdzie zebrany tłum ludu oczekiwał na rozpoczęcie sprzedaży publicznej. Ponieważ zaś chwila ta jeszcze nie nadeszła, towarzystwo rozmawiało o ciężkich czasach, i ktoś z przytomnych, obracając się do sędziwego człowieka, rzekł do niego: «A wy, ojcze Bartłomieju, cóż mniemacie o tych czasach? Czyliż nie przyznacie, że ciężar podatków wkrótce zupełnie ten kraj zniszczy? bo jakżeż je opłacić? Jakibyście też środek za najlepszy w tych okolicznościach uważali?» — Ojciec Bartłomiej rozmyślał przez chwilę i tak odpowiedział: «Jeśli chcecie poznać mój sposób myślenia w tym względzie, w krótkich wam go objawię wyrazach, gdyż dla człowieka rozsądnego niewiele słów potrzeba. Nie wyrazami napelnia się korzec, jak mówi poczciwy Ryszard». — Wszyscy obecni wspólną prośbą zachęcali ojca Bartłomieja do mówienia, a gdy się zgromadzenie do niego zbliżyło, tak się odezwał: «Kochani moi przyjaciele i dobrzy sąsiedzi! niezawodną jest rzeczą, iż podatki są bardzo ciężkie; gdybyśmy jednak te tylko mieli do opłacania, których od nas rząd wymaga, moglibyśmy mieć nadzieję, że je łatwiej zaspokoić potrafimy; lecz mamy mnóstwo innych, nierównie uciążliwszych. I tak: lenistwo zabiera nam dwa razy tyle, co rząd, próżność i pycha trzy razy, a nierozwaga cztery razy tak wiele. Podatki te są tej natury, że rząd ani ich ciężaru zmniejszyć, ani nas od nich uwolnić nie jest w stanie. Możemy się jednakże czego jeszcze spodziewać, jeśli za dobrą radą pójdziemy...

«Gdyby się znajdował rząd jaki, któryby wymagał od poddanych, aby mu w usługach dziesiątą część czasu swego poświęcili, uważaliby zapewne to żądanie za uciążliwe; lecz większa część z pomiędzy nas daleko uciążliwszy przez lenistwo ponosi ciężar. Jeżeli bowiem policzycie ten czas, który w zupełnym przepędzaniu próżnowaniu, to jest nic nie robiąc albo zajmując się do niczego nie wiodącymi zabawami, przyznacie, że prawdę mówię. Próżniactwo pociąga za sobą zwykle choroby i znacznie skraca życie. Próżniactwo, jak mówi poczciwy Ryszard, podobne jest do rdzy; bardziej ono niszczy aniżeli praca: klucz, używany ciągle, jest zawsze czysty i polerowany. Lecz jeśli lubicie życie, jak powiada jeszcze poczciwy Ryszard, nie marnujecie czasu, gdyż on jest tą materją, z której się życie składa...

«Oprócz miłości pracy potrzebna jeszcze jest wytrwałość, niezmiennie postanowienie i staranność. Trzeba widzieć czynności swoje własnymi oczyma i niebardzo w nich polegać na innych, gdyż, jak mówi poczciwy Ryszard, nie widziałem nigdy, aby drzewo, które często przesadzają z jednego miejsca na drugie, albo rodzinie, często swój pobyt zmieniającej, tak pomyślnie się wiodło, jak innym, które ciągle w jednym pozostają miejscu. Albo, jak mówi gdzie indziej: trzy razy zmienić mieszkanie jedno jest, co raz pogorzeć. Trzymaj się swego sklepu, a twój sklep będzie się ciebie trzymał... Nie doglądać robotników jest to swoją kieszeń ich łasce powierzać. Zbytnią ufność w innych jest zgubą dla wielu ludzi, gdyż, jak mówi kalendarz, w czynnościach świata tego nie zaufanie, lecz niedowierzanie nas zbawia... Jeśli chcesz mieć wiernego służącego i do któregoś był przywiązany, sam sobie usługuj...

«Jak mówi poczciwy Ryszard, kiedy studnia sucha, dopiero wartość wody poznamy... Jesteście ciekawi, moi przyjaciele, przekonać się, ile znaczą pieniądze? Idźcie i próbujcie ich pożyczyć: ten, co się wybiera dług zaciągając, idzie po umartwienie... Drugim występkiem jest kłamstwo, a pierwszym zadłużenie się. Kłamstwo na krok od długu nie odstępuje... Ubóstwo często zaciera i odwagę, i cnotę...

«Praca, oszczędność i roztropność są to wyborne rzeczy, lecz będą dla was zupełnie bez użytku, jeśli im błogosławieństwo nieba towarzyszyć nie będzie. Proście więc o nie z pokorą; bądźcie litościwymi... lecz udzielajcie razem pociechy z zasiłkiem...»

*Przekład bezim., wydany w Warszawie w r. 1826.*

YANKEE DOODLE<sup>1</sup>

(w. XVIII)

Jankes — chłopiec chwacki, miły,  
Smukły jak topola,  
W tańcu zwinny, pełen sily,  
Bystrość to sokola.

Jankes kraju wiernie strzeże,  
Choć go zwaą gamoniem.  
Z gróźb, przechwałek drwi on szczerze,  
Bo Jankes nicponiem.

Do pracy się żwawo bierze,  
Czynny przez wybory,  
Porasta też szybko w pierze,  
Gdyż do handlu skory.

Jankes kraju wiernie strzeże i t. d.

Drzwi gościnnie ma otwarte,  
Ciast w szafach dosyta.  
Jabłeczniki dużo warte,  
Gościa mile wita.

Jankes kraju wiernie strzeże i t. d.

Dom własny, skromny z pozoru,  
Zasad nic nie wzruszy.  
Tron dla prawdy i honoru  
W czystej wznosi duszy.

Jankes kraju wiernie strzeże i t. d.

Ojczyzna dlań dumą, Bogiem,  
Wiernie jej też broni,  
A kiedy z jej walczy wrogiem  
I gdy w kielich dzwoni,

Woła: Jankes kraju strzeże,  
Choć go zwaą gamoniem.  
Z gróźb, przechwałek drwi on szczerze,  
Bo Jankes nicponiem.

*Tłum. Natalia Krzyżanowska.*

## WASHINGTON IRVING

(1783—1859)

## Z «LEGENDY O OSPALYM WĄWOZIE»

W związku z niezmałą ciszą i dziwnymi właściwościami mieszkańców, wywodzących się od pierwszych holenderskich osadników, ustronie nosi nazwę «Ospalego Wąwozu», a tamtejsza młodzież zwie się «chłopakami z Ospalego Wąwozu». Jakaś moc usypiająca i marzycielska zdaje się unosić nad tą ziemią i przenikać jej powietrze. Utrzymują niektórzy, że została zaczarowana przez pewnego niemieckiego doktora w pierwszych dniach osiedlenia; inni znów wierzą, że jakiś stary wódz indyjski, wieszcz czy czarodziej swego plemienia, odprawił tu swe ofiarne tany, zanim mistrz Hendrick Hudson odkrył ten kraj. Bądź co bądź wąwóz jest wciąż jeszcze w mocy siły czarodziejskiej, która włada duszami poczciwych mieszkańców i sprawia, że są stale zamroczeni snem. Wierzą we wszelkie cudowne baśnie, ulegają zachwyceniom i wizjom, widzą wciąż unoszące się w powietrzu dziwne oblicza, słyszą niezwykłą muzykę i głosy. Cała okolica jest pełna podań, straszących zakątków i zabobonnych opowieści o duchach. Gwiazdy spadają tu częściej, kule ogniste częściej oświetlają tutejsze niebo, niż gdziekolwiek indziej. Zmora ze wszystkimi swemi dziewięcioma bękartami zdaje się tu właśnie upatrywać miejsce dla swych posępnych igraszek. Naczelnym upiorem, nawiedzającym ten kraj zaczarowany, wodzem wszystkich mocy powietrza jest postać bez głowy, dosiadająca rumaka. Powiadają, że jest to duch jakiegoś heskiego jeźdźca, któremu pocisk zerwał głowę w bliżej nieoznaczonej bitwie podczas walk rewolucyjnych. Kmiotkowie spotykają go często i widzą, jak w skokach na skrzydłach wiatru unosi się po mroku nocy. Jego wizyty nie ograniczają się wyłącznie do Ospalego Wą-

<sup>1</sup> «Yankee Doodle» — Jankes Ciura.

wozu; czasami zwiedza sąsiednie gościńce wiejskie, a zwłaszcza okolice niezbyt oddalonego kościoła. Biorąc z tego asumpt, bardziej łatwowierni dziejopisowie owego kraju, którzy starannie zebrali i porównali wszystkie obiegające kraj gadki, dotyczące upiornego jeźdźca, twierdzą, że ciało jego leży pochowane na cmentarzysku kościelnym, że po nocach mknie on na pobojojwisko, aby odszukać swą głowę, i że wściekła szybkość, której pochwist rozbrzmiewa po dolinie, niczem wicher godzin północnych, świadczy o pośpiechu spóźniającego się zazwyczaj jeźdźca, który musi wrócić na cmentarz jeszcze przed świtem...

W tej oto kryjówce przyrody mieszkał we wczesnym okresie historii amerykańskiej — chciałem powiedzieć: ze trzydzieści lat temu — czcigodny młodzieniec, imieniem Ichabod Crane, który przebywał albo, jak sam się wyrażał, «bytował» w Ospałym Wąwozie w celu nauczania miejscowych dzieci. Pochodzi z Connecticut, z tej prowincji, która zaopatruje resztę Stanów Zjednoczonych w pracowników zarówno ducha, jak i lasu, i która corocznie wysyła w świat legjony drwalów i wiejskich nauczycieli. Nazwisko Crane — żóraw — wcale niezgorzej pasowało do jego postaci. Był wysoki, ale wyjątkowo szczupły, miał wąskie plecy, długie kończyny, ręce, które wybiegały daleko z rękawów, nogi, które mogły uchodzić za łopaty; wszystko zaś razem trzymało się nader luźno całości. Głowa, drobna i zwierzchu wygładzona, o ogromnych uszach, wielkich, zielonych, szklistych oczach i o nosie długim, jak dziób bekasa, przypominała kurek, wskazujący kierunek wiatru i osadzony na suchej, jak wrzecziono, szyi. Widząc go, schodzącego z pochyłości wzgórze w ubraniu wzdętym i łopoczącym na wietrze, można go było błędnie wziąć za genusza nędzy, co zstępuje na padół ziemski, albo za zbiegły z pola strach na wróble...

Jego napót koczownicze życie czyniło go czemś w rodzaju wędrującej gazety, która obnosiła cały zapas miejscowych plotek od domu do domu, skutkiem czego witano go zawsze z radością. Nadto kobiety uważały go za człowieka wielkiej uczoności, ponieważ przeczytał od początku do końca różne książki i znał niemal napamięć «Magnalia Christi Americana» Cottona Mathera, w które, mówiąc nawiasem, wierzył święcie. W istocie był on dziwną mieszaniną niejakiej przebiegłości i prostaczej łatwowierności. Jego upodobanie do dziwów i zdolność pochłaniania ich były zawsze nadzwyczajne; wzmogły się znacznie, odkąd przybył do zaczarowanego kraju. Nie było podania zbyt okropnego i niestrawnego dla jego żołądka. Po skończonych lekcjach lubił kłaść się wśród pysznej koniczyny, która graniczyła ze strumykiem, wyciągać się i po raz niezliczony wczytywać w straszne historie starego Mathera, póki zapadający zmierzch nie przesłaniał mgłą zadrukowanych stronik książki. Jeśli następnie powrotna droga do tymczasowej kwatery wypadła przez moczary, strumyki i mroczne bory, wówczas, w onej godzinie czarów, każdy dźwięk w naturze trwożył jego podnieconą wyobraźnię: więc żałosny okrzyk zwierzęcia whipoor-will, zapowiadający nieszczęście krzyk kreta drzewnego, smutne pojęki nocnej sowy lub nagłe zerwanie się zbudzonego z drzemki ptaka w gęstwinie. Nawet robaczki świętojańskie, które jaskrawiły się w najmroczniejszych zakątkach, przerażały go, gdy smugą światła przelatowały naukos przez drogę. A gdy przypadkiem jakiś niezręczny chrabąszcz skrzydłami trącał go w twarz, biedny młodzieniec szykował się wyzionąć ducha, w przekonaniu, że oto zła strzyga wycisnęła na nim zabójcze piętno. W takich chwilach szukał ucieczki przed straszliwymi przywidzeniami i złemi upiorami w śpiewaniu psalmów — i pocziwi mieszkańcy Ospałego Wąwozu, siedzący wieczorem przed drzwiami swych domostw, doznawali panicznej bojaźni, słysząc jego jękliwą pieśń «W uciśnieniu rozprzestrzeniłeś mię», dobiegającą z odległego wzgórze lub unoszącą się nad zapyłonym traktem... Były to wszystko zwykłe strachy nocy, widma wyobraźni, błakające się w ciemnościach... światło dzienne kładło kres wszystkim złym niepokojom; i Ichabod Crane, naprzekór Lucyporowi i wszelkim jego poczynaniom, przeżyłby wcale przyjemnie życie, gdyby nie weszła mu w drogę istota, która każdemu żyjącemu mężczyźnie srożej się daje we znaki, niż wszystkie duchy, chochliki, wiedźmy i koboldy razem wzięte, mianowicie — kobieta...

*Przekład bezim. w «Humorze amerykańskim», wyd.  
w Warszawie, 1927.*

## JAMES FENIMORE COOPER

(1789—1851)

## ZE «SZPIEGA»

...Na gruncie, na którym toczyła się bitwa, nie było ani jednego zamieszkanego budynku, prócz sadyby Harveya Bircha... Roztropna gospodyni Katy Haynes zachowywała bezwzględna neutralność na punkcie politycznych przekonań. Rodzina jej trzymała ze stronnictwem narodowym, lecz ona sama nigdy nie traciła z uwagi tej ważnej chwili, kiedy, jak wiele innych kobiet, żywiących ambitniejsze nadzieje, może być wezwana do poświęcenia miłości ojczyzny na ołtarzu domowego szczęścia. Jednakże, pomimo całej jej przezorności, bywały chwile, w których doletnia ta dziewica miewała poważne wątpliwości, na jaką szalę rzucić ciężar swej wymowy, aby być pewną, że podtrzyma tę sprawę, której służy wędrowny kramarz Harvey Birch. Jego obejście i postępowanie były tak dwuznaczne, że często, gdy w ciszy ich domowego życia chciała wystąpić z filipiką przeciw Washingtonowi i jego stronnikom, ostrożność zamykała jej usta i podejrzenia opanowywały umysł. Krótko mówiąc, całe zachowanie się tego tajemniczego człowieka było tego rodzaju, że mogło wprowadzić w błąd o wiele bystrzejszego i szersze poglądy na ludzi i życie mającego obserwatora, niż gospodyni Birchów... Kramarz odbywał wędrowki swe przeważnie w godzinach, w których inni spoczywali. Zachód słońca często zostawiał go w jednym końcu hrabstwa, a wschód zastawał w drugim. Tobół z towarami towarzyszył mu wszędzie, i ci, którzy bacznie obserwowali go w chwilach handlu, byli głęboko przekonani, że jedynym jego celem jest zbieranie złota. Często widywano go w pobliżu gór, zgiętego pod ciężarem olbrzymiej paki, to znów koło rzeki Harlem, postępującego lżejszym krokiem, z twarzą zwróconą ku zachodzącemu słońcu. Ale to zdarzało się rzadko i przelotnie. Co robił w międzyczasie, tego żadne oko wysledzić nie mogło. Przepadał przez całe miesiące bez śladu. Wyżyn Harlemu strzegły silne oddziały, a północny kraj wyspy Manhattan jeżył się bagnietami angielskich straży, mimo to kramarz prześlizgiwał się pomiędzy nimi szczęśliwie, nie zwracając na siebie uwagi. Przybliżał się też często do amerykańskich linii, ale zazwyczaj tak ostrożnie, iż nie narażał się na pościg. Niejeden wartownik, stojący u wylotu górskich rozpadlin, mówił o jakiejś tajemniczej, obcej postaci, prześlizgującej się koło niego w nocnych cieniach. Opowieści te dochodziły do uszu oficerów, i kramarz dwukrotnie wpadł w ręce Amerykanów. Pierwszy raz wymknął się wprędce po zaarrestowaniu, ale za drugim razem skazano go na śmierć. Jednak tego poranku, kiedy miała się odbyć egzekucja, znaleziono klatkę otwartą, a ptaszek z niej wyfrunął. Ta nadzwyczajna ucieczka odbyła się w nader dziwnych warunkach, gdyż pieczę nad więźniem miał jeden z ulubionych oficerów Washingtona i postawił strażę, złożoną z najzaufanych ludzi, których uważano za godnych strzec osoby samego naczelnego wodza. Przekupstwo i zdrada były w tym wypadku niedopuszczalne, i pomiędzy żołnierstwem ustaliło się mniemanie, że kramarz ma stosunki z nieczystymi siłami... Amerykanie nacierali różnemi czasy domek Bircha z zamiarem aresztowania go, ale zawsze bezowocnie; rzekomy szpieg miewał zawsze jakieś tajne wskazówki, obracające wniwecz ich plany. Raz, gdy silny oddział lądowej armji obozował przez całe lato w Czterech Kątach, sam Washington wydał rozkaz, by ani na chwilę nie spuszczano z oka drzwi domu Harveya Bircha. Zastosowano się ściśle do tego rozkazu, lecz przez cały ten długi przeciąg czasu kramarz nie pokazał się ani razu; natomiast skoro tylko oddział został odwołany, Birch wrócił następnej nocy. Ojciec Harveya miał wiele przykrości z powodu podejrzaney opinji syna. Ale, pomimo najdrobiazgowszego śledztwa, nie dało się wykryć nic w postępowaniu starca, coby mogło świadczyć na jego niekorzyść, a mienie jego przedstawiało zbyt małą wartość, by trzymać w naprężeniu gorliwość zawodowych patriotów...

Kramarz kończył przygotowania do odejścia... «Maszże przynajmniej jaki inny dom, gdziebyś mógł złożyć głowę?» — zapytała Katy. «Opatrzność pomyśli o tem za mnie». «Tak», rzekła gospodyni, «ale może to, o czem Opatrzność pomyśli dla ciebie, nie bę-



dzie ci się podobało». — «Ubody nie mogą być wybredni... Dolina jest piękna», rzekł kramarz z przejęciem, «a ludzie są wszędzie jednacy. Ale mnie to już nic nie obchodzi; wszystkie miejsca są dla mnie jednakie...» — «Nie mów tak, Harveyu», rzekła Katy, przysuwając się z krzesłem do niego. «Nie mów tak. Mnie chyba powinieś znać, moja twarz nie może ci być obca». — «Tak, dobra kobieto, ty jedna nie jesteś mi obca, ty możesz mi oddać do pewnego stopnia sprawiedliwość, i gdy inni potępiać mnie będą, znajdziesz może coś na moją obronę». — «Ani chybi, że znajdę», rzekła Katy żywo, «bronię cię będę, Harveyu, do upadłego, niechno spróbują jeden z drugim powiedzieć co na ciebie. Masz słusność, jestem sprawiedliwa względem ciebie. Mniejsza z tem, że służysz królowi, podobno to w gruncie dobry człowiek, tylko w kraju tam niema religji, a ministrowie — to skończone łotry, ot co!» Harvey wstał i zaczął się przechadzać po izbie, w ruchach jego malowała się godność, która silne wrażenie wywarła na gospodyni. «Dopóki żył mój ojciec», wyszeptał Harvey, niezdolny powściągnąć wzruszenia, «on czytał w moim sercu i — o! jaka to była pociecha wrócić do domu z tajemnych wędrowek, po przebytych niebezpieczeństwach i doznanych znie wagach, i otrzymać jego błogosławieństwo i pochwałę! Ale jego już niema», dodał, zatrzymując się i patrząc błędnym wzrokiem w ten kąt, w którym zwykle siadywał jego ojciec, «i kto mi teraz odda sprawiedliwość?» — «Ależ Harveyu! Harveyu!» — «Tak, jest ktoś, co mi ją odda, co musi mnie poznać, nim umrę. Och! jaka to straszna rzecz umrzeć i takie imię po sobie zostawić...» *Tłum. Hajota (H. J. Rogozińska).*

#### Z «PIONIERÓW»

Myśliwy gotował się do drogi. Powolnemi ruchami zacieśniając na sobie bandole, który się nieco rozluźnił, zwłóczył on rozmyślnie, aby jeszcze parę chwil zyskać, jeszcze na parę chwil swój smutny odmarsz odłożyć. Próbował coś rzec, lecz głos utkwiał mu w gardle. Wreszcie stanowczym ruchem zarzucił na ramię swą rusznicę...

I tak stracono z oczu Skórzaną Pończochę... Odszedł on ku stronom, gdzie słońce zachodzi, wskazując kierunek zastępowi pionierów, co przed narodem drogę torują, aby mu ułatwić pochód przez kontynent.

#### WILLIAM CULLEN BRYANT

(1794—1878)

#### MOGIŁA •

A kiedy ja umrę — niech moi druhowie  
 Nie płaczą nade mną cmentarnie:  
 Ja nie chcę kamieni za grobu wezglowie,  
 Lecz wioski mej kocham ja darnie.  
 Więc niech mię położą wśród gaju — za łąką,  
 Niech kwiaty zasadzą i zioła,  
 Niech kurhan ubiorą zieleni obsłonką!  
 Ja spałbym, czuwając: świeciłoby słońko  
 I kwiatom złociłoby czoła.

Przez długie, przez długie godziny tam w lecie  
 Słoneczne promienieby lśniły,  
 A trawa zielona i krzewy, i kwiecie  
 W precudnychby barwach wschodziły.  
 Ptaszeta gniazdeczko tam wilyby sobie,  
 Miłosną śpiewałyby pieśń na mym grobie,  
 I motylby fruwał wesoły.  
 I słyhaćby było o rannej tam dobie  
 Kolibry, djamety i pszczoły!

W południa gorące radosne okrzyki  
 Od wioski płynęłyby echem;  
 Wieczorem dziewczęta przy dźwiękach muzyki  
 Śpiewałyby pieśni ze śmiechem.  
 W północy, przy blasku miesięcznych promieni,  
 Ujawszy swe dłonie, młodzi narzeczeni  
 Kroczyliby nad mą mogiłą!  
 I gdyby się spełnił mój sen — u przedsieni  
 Mej trumnyby smutków nie było!

Ach, wiem ja, że nichym nie widział w swej trumnie  
 Z tych cudów, co budzi żar lata:  
 Że blask jego nieba nie spływałby ku mnie,  
 Ni jego muzyka skrzydlata.  
 Lecz jeśli przyszli na senne me kiry  
 Druhowie, by płakać zagastej mej liry —  
 Nie wrócą do domu z pośpiechem:  
 Bo kwiaty — a pieśni, promienie — zefiry  
 Wstrzymają ich słodkim oddechem.

Ho wszystko to, wszystko w wzruszonym ich łonie  
 Obudzi myśl o tem, co było,  
 I o tym, co dzielić nie może po zgonie  
 Radości — pod własną mogiłą,  
 Którego dział wszystek przepychów korony,  
 Słonecznie zdobiącej te niwy —  
 Jest tylko to jedno: że grób ma zielony!  
 I raz jeszcze chcieliby pieśni mej tony  
 I głos jeszcze słyszeć mój żywy!

*Tłum. Antoni Lange.*

## NATHANIEL HAWTHORNE

(1804—1864)

### ZE «SZKARŁATNEJ LITERY»

Zaskrzypiały wrzeczadze więzienia a z ciemnicy wynurzyła się ponura koścista postać dozorczy. U boku jego zwiślał miecz, w dłoni zaś dzierzył on laskę — symbol swojej władzy. Człowiek ten był jakgdyby uosobieniem owego budzącego dreszcz rygorysty, którym tchnął purytański kodeks karny; był jakgdyby jego narzędziem, w stosunku do skazańca bezwzględny i bezkompromisowy. Wyciągając ku przodowi swą laskę urzędową, trzymaną w ręce lewej, prawą rękę położył na ramieniu młodej kobiety; w ten sposób wypychał ją niejako z więzienia. Przystępując jednak próg, uwięziona niewiasta odtrąciła swego stróża gestem, pełnym godności i siły charakteru, i wyszła na dziedziniec, jakgdyby ze swej własnej woli. Na ramieniu trzymała niemowlę, nie więcej niż trzymiesięczne. Malerstwo mrużyło oczy i odwracało twarz od słońca, porażone nagle jego blaskiem; bo w całym swym dotychczasowym krótkim życiu nie znało ono innego światła, jak półmrok więziennego lochu.

Znalazszy się na oczach tłumu, młoda kobieta odruchowo dziecię swe przycisnęła do piersi. Nietyle był to, być może, znak afektu macierzyńskiego, ile raczej gest, uczyniony celem ukrycia czegoś, co widniało na tle jej stroju. W tej samej jednak chwili ułożyła ona niemowlę zpowrotem w dawnej pozycji; mimo że rumieniec płonął na jej licu, rzuciła ku tłumowi nieustraszone spojrzenie, wyzywając go uśmiechem, który drgał na jej wargach. Na gorsie jej wśród kunsztownie wyszytej, złotem przetkanej ornamentacji oczom gawiedzi ukazała się litera «A<sup>1</sup>», sporządzona z delikatnego

<sup>1</sup> Litera «A» — inicjał angielskiego słowa «adulteress» (cudzołożnica).

czerwonego sukna. Wykonanie było tak artystyczne i zdradzało tak wspaniałą polot fantazji, że znak ten zdobny sprawiał wrażenie, jakgdyby był koroną tych wszystkich wysiłków, których wymagało uszycie jej stroju. Strój ten — mówiąc mimochodem — był w najzupełniejszej zgodzie z owoczesnym prądem mody, wychodził on jednak daleko poza ramy prawnych przepisów o luksusie, które obowiązywały mieszkańców owej kolonii.

Przed nią szedł stróż, za nią ciągnęła procesja widzów — i tak cały ten korowód poruszał się powoli w kierunku miejsca kaźni. To wstępne stadjum swej próby ogniowej Estera Prynne przetrwała z wyrazem pogody na twarzy.

Wreszcie zatrzymano się w zachodniej części rynku przed drewnianą konstrukcją, która przypominała szafot. Było to wzniesienie, na którym niegdyś funkcjonowało narzędzie kary głównej, od trzech pokoleń nieczynne i cieszące się obecnie tylko swoją tradycją; w dawnych jednak czasach odgrywało ono rolę o pierwszorzędnem znaczeniu, jako środek szerzenia idealnych przekonań obywatelskich, podobnie jak francuska gilotyna w okresie terroru. W latach najnowszych estrada owa zmieniła swój cel i charakter, przekształciwszy się na zwyczajny pręgierz. Przygotowana na to, co ma czynić, Estera Prynne skierowała swe kroki ku drewnianym stopniom i weszła na rusztowanie. Stąd w całej wyrazistości postać jej ukazała się tłumowi, żadnemu widowiska.

Panując nad swoim, z natury wybuchowym temperamentem, znalazła ona w sobie tyle hartu, aby się uodpornić na żądla pogardy, które padały w jej stronę z niezliczonych par oczu; a oczy te, zdawało się, dobywały wszelkich możliwych wysiłków, aby w jak najdotkliwszy sposób kluć swoją ofiarę. Stojąc na tem nieszczyśnym wzniesieniu, widziała ona wdali swoją wieś ojczystą i domowe ognisko rodziny swojej — ona, Estera Prynne — tak, ona w swej własnej osobie — tu, na szafocie pręgierza, z dziecięciami na rękę i ze szkarłatnym znakiem na piersi... a jak fantastycznym haftem znak ten ozdobiony, jak pięknie haft ten lśni, przetkany nicią złotą!

Czyż to prawda, to wszystko? — Nagłym, spazmatycznym ruchem przycisnęła ona dziecię do piersi swojej; maleństwo zakwiliło. Estera spuściła oczy ku dołowi, spojrzała na literę szkarłatną. Dotknęła jej nawet palcem, aby się utwierdzić w przekonaniu co do jej rzeczywistości. Tak, znak ten — to rzeczywistość; dziecię również. Dwie jedyne rzeczywistości, które jej pozostały. Poza tem nic, nic...

*Tłum. Tadeusz Grzebieniowski.*

## RALPH WALDO EMERSON

(1803—1882)

### WIARA W SIEBIE

(wyjątek)

..Gańmy i odpierajmy gładką przeciętność i ckliwe zadowolenie z siebie naszych czasów — utartym zwyczajom, handlowi, urzędowi rzućmy w twarz tę prawdę: że wielka odpowiedzialna Myśl i wielkie Działanie przejawiają się wszędzie, gdziekolwiek człowiek działa, i że człowiek prawdziwy do żadnego miejsca ani czasu nie należy, ale jest punktem środkowym wszechrzeczy. Gdzie on jest, tam jest przyroda. On jest miarą twoją i wszystkich ludzi, i wszystkich zdarzeń. Zazwyczaj każda jednostka w towarzystwie przypomina nam coś innego lub jaką inną osobę. Charakter prawdziwy nic innego nam nie przypomina; wypełnia sobą przestrzeń zupełnie. W człowieku powinno być tak wiele, aby wobec niego wszelkie okoliczności stawały się obojętne. Każdy prawdziwy człowiek jest przyczyną, krajem i wiekiem. Wymaga nieskończonych przestrzeni i tłumów, i czasu, aby dopełnić swego przeznaczenia; następne pokolenia zdają się iść za nim, jak rzesza domowników. Urodził się człowiek Cezar, i przez długie wieki mamy potem cesarstwo rzymskie. Chrystus przyszedł na świat, i dusz miliony rosą w cieniu Jego ducha, i tak Nim są przepojone, że Jego imię znaczy to samo, co cnota i możliwa doskonałość człowieka. Każda instytucja jest przedłużonym cieniem człowieka: klasztor — pustelnika Antonjusza; reformacja — Lutra; kwakie-

ryzm — Foga; metodyzm — Wesley'a; zniesienie niewolnictwa — Clarksona. Milton nazywa Scypjona «szczytem Rzymu»; a całą historję można z łatwością przetopić w biografje kilku silnych, poważnych ludzi,

Niechaj człowiek zna wartość swoją i nagina rzeczy do siebie. Niech nie zerka ukradkiem, niech się nie czai z miną chłopaczka, który o jałmużnę prosi, bękartu lub oszusta — wśród tego świata, który dla niego istnieje. Lecz człowiek z ulicy nie znajduje w sobie nic, coby się równało owej sile, która zbudowała wieżę lub wyrzeźbiła bóstwo marmurowe, i czuje się biednym, gdy te cuda ogląda. Dla niego pałac, posąg, cenna książka mają twarz obcą i nieprzystępną, jak pojazd wspaniały, i zdają się mówić do niego: «Kim asan jesteś?» A jednak to wszystko do niego należy, wszystko prosi go o uwagę, zwraca się do niego z życzeniem, by się zbliżył do tego dzieła sztuki i wziął je w posiadanie. Obraz czeka na mój wyrok; nie on mi rozkazuje, lecz ja mam uznać, czy zasługuje na pochwałę. Ta znana bajka o głupim pijaku, którego nawpół żywego znaleziono, wniesiono do książęcego zamku, wykapano, ubrano i położono na łożu książęcym, a gdy się obudził, traktowano jak księcia, upewniając, że wszystko, co było, jest wytworem jego chorej wyobraźni — ta bajka zawdzięcza swoją popularność temu, że jest symbolem stanu duszy człowieka. I on jest w swoim rodzaju głupcem na świecie, lecz budzi się od czasu do czasu, używa swego rozumu i przychodzi do przekonania, że jest księciem rzeczywiście.

Nasz sposób czytania żebracki jest i pasorzytniczy. W historii wyobraźnia często nas prowadzi na manowce. Królewskość i wielkopańskość, władza i posiadanie brzmią piękniej dla ucha, niż prosty człowiek w małym domku i wśród codziennej pracy. Ale rzeczywistość życia jest ta sama dla jednych i dla drugich; równa jest ogólna suma ich treści. Więc dlaczego ten szacunek względem wielkich królów i wodzów? Przypuśćmy, że są zasłużonymi ludźmi; czy dlatego wszelka zasługa w nich się mieści? Wielkie były następstwa ich czynów, lecz równie wiele zawisło od tego, co ty robisz dzisiaj. Gdy każdy człowiek działać będzie z oczyma, zwróconemi ku niezależnym i odrębnym celom, wtenczas działalność obywateli rozjaśni ich blaskiem czynów królewskich.

*Thum, Marja Zielewiczówna.*

#### PODARKI

(wyjątek)

Powiedział ktoś, że świat bankrutuje, że dłużny jest sam sobie za wiele, by kiedykolwiek mógł z długu się uiszczyć, że należałoby na licytację go wystawić i sprzedać. Trudno przypuścić, by ociążałość, która przed Bożem Narodzeniem, Nowym Rokiem i w innych chwilach występuje przy wyborze podarków, wynikała z uświadomienia sobie powszechnej niewypłacalności, ogarniającej do pewnego stopnia całą ludzkość; toć zawsze tak przyjemnie być wspaniałomyślnym, gdy tymczasem przykra to rzecz opłacać długi. Ale w tem sęk — co wybrać! Ilekroć zdarzy się, że muszę zrobić komuś podarek, to dopóty łamię sobie głowę, coby się najlepiej nadawało, aż sposobność minie. Kwiaty i owoce są to dary zawsze odpowiednie; kwiaty — ponieważ są dumnym zeznaniem, iż jeden błysk piękna wart więcej, niż wszystkie świata pożytki. Te radosne dzieci natury niejako zadają kłam surowości, zazwyczaj malującej się na jej obliczu; są one jako muzyka, której dźwięki płyną ku nam z jakiegoś domu pracy. Natura nie zwykła nas rozpieszczać: jesteśmy jej dziećmi, nie — faworytami. Nie czuli się ona. Bez obawy i bez laski otrzymujemy z jej rąk wszystko, wydzielone podług praw surowych i niezłomnych. Lecz te kwiaty lekuchne i wiotkie są jako żart, jak intermezzo miłości i piękna. Każdy pono lubi pochlebstwa, nawet jeśli się przez nie omamić nie da — a to dlatego, bo widzi w tem dowód, iż ktoś uważa za rzecz wartą trudu, by mu dworować. Taką właśnie przyjemność sprawiają nam kwiaty. Któż bo ja jestem, że ofiarują mi tak miłą podniętę? — Owoce są darami właściwemi z tego względu, iż są wykwittem przepychu i że możemy otaczać je pewnym nimbem fantastycznym. Gdyby mnie ktoś zaprosił do siebie na odległość stu mil i stawiłby przede mną kosz pełen owoców pięknych, tchnących latem — pomyślałbym, że nagroda warta trudu.

W zwykłych darach — o tem, co w danym razie jest potrzebne i ładne, roz-

strzyga konieczność. Po większej części jesteśmy radzi, jeżeli wyraźne życzenie uwalnia nas od wszelkiego wyboru, bo jeśli ktoś przed drzwiami memi jest bez butów, to zbyteczna, bym namyślał się, czy nie sprawić mu farb i palety. A jak ukojnie działa na nas zawsze, w domu czy na dworze, widok człowieka, który chleb zajada lub wodę pije, tak tkwi w tem zawsze rzetelne zadowolenie, iż możemy pierwsze te potrzeby zaspokoić. Konieczność czyni wszystko dobrem. Wobec naszej zależności od świata całego zdaje się jedynie godnem — pozostawić proszącemu decyzję o tem, czego mu potrzeba, i dać mu wszystko, o co prosi, choćby to dla nas miało być nawet wielce nieprzyjemne. Jeśli życzenie jego będzie dziwaczne, to niech już inni go za to ukarzą. Zdade mi się, iż przyjemniej grać role inne, niż — bogiń zemsty.

Jeden z moich przyjaciół wygłosił to jako zasadę, by obok rzeczy, które trafiają w potrzeby obdarzonych, dawać ludziom to, coby odpowiadało ich usposobieniu i co w myśli snadnie z ich osobą łączymy. Nasze oznaki miłości i czci są natomiast przeważnie barbarzyńskie. Pierścienie oraz inne klejnoty nie są podarkami, ale raczej usprawiedliwieniem się z tego, iż nie stać nas na dary. Jedynym darem cennym jest cząstka siebie samego. Krwawić musisz dla mnie. To też pasterz przynosi w darze jagnię, rolnik — zboże, górnik — kamień szlachetny, żeglarz — muszle i korale, malarz — obraz, dziewczę — chustkę, własnoręcznie obrębiaoną. To jest słuszne i podobać się musi, albowiem prowadzi społeczeństwo niejako napowrót do źródła, kiedy to w darze człowieka zawierał się rys jego życia, a mienie było zasługi jego dowodem. Natomiast zimne to i bezduszne, gdy do sklepu jakiegoś idziesz, by dla mnie kupić coś, co nie jest zwierciadłem twego życia, twego talentu, jeno — złotnika. Stosowne to dla królów lub równych im bogaczy; w nich właśnie występuje najaw błędny podział własności, a ich dary w złocie i srebrze są jakby symboliczną ofiarą pokutną i wykupem.

Prawo czynienia dobrodziejstw jest prądem niebezpiecznym, który wymaga albo nader bacznego żeglarza, albo bardzo zgruba ciosanej łodzi. Nikt nie jest stworzony poto, by brać dary. Jak śmiesz więc mu je dawać? Chcemy utrzymać się o własnych siłach. Darzącemu nie przebaczymy nigdy całkiem. Dłoń, która nam karm podaje, narażona jest zawsze na ukąszenie.

Od miłujących wszystko przyjąć możemy, bo to tak, jakbyśmy sami siebie darzyli, ale od kogoś, czyja łaska pragnie nam coś podarować, nic nie chcemy brać. Nienawidzimy czasem mięsa, które jemy — bo uzależnia to nas niejako i upokarza, że niem się żywimy.

«Choć sam ci Jowisz dary zapowiada,  
Nic nie przyjmować — taka moja rada».

Żądamy wszystkiego. Mniej — to dla nas za mało. Oskarżamy społeczeństwo, gdy — prócz ziemi, ognia i wody — nie daje nam różnych okazji, miłości, szacunku oraz rzeczy, godnych naszego uznania.

Ten-ci jest człkiem do rzeczy, kto umie przyjąć dar należycie. Podarek cieszy nas lub gniewa: oba te uczucia nie przystoją nam. Czy się cieszę, czy trapię z powodu podarku, tak czy owak jest w tem jakieś pogwałcenie, jakieś upokorzenie. Strapiony jestem, gdy ktoś usiłuje poderwać moją niezawisłość, lub gdy dar pochodzi od kogoś, z kim nic mnie nie łączy, i gdy tak oto aktu darowania nie wspiera sama osoba darzącego. A jeśli podarek nadto mi się podoba, to wstydzić się powinienem, iż darzący umiał czytać w mem sercu i odkrył, że jego bogactwo przekładam nad niego. W darze istotne i niezbędne jest to, by przepływał on od darzącego ku mnie, jak dusza moja — ku niemu. Gdy zaś poziom jest równy, to mienie moje płynie ku niemu, a jego — ku mnie. Co moje — to jego; co jego — to moje. Rzechym chciał: «Jakoż ofiarujesz mi ten dzban oliwy, tę oto flaszę wina, gdy wszystka twa oliwa i wszystko wino do mnie należy? Tej wierze mojej dar twój jakby kłam zadawał». Z tego powodu na podarki są stosowne rzeczy piękne, nie zaś — pożyteczne. Taki rodzaj obdarzania jest niesmacznem bezprawiem, i gdy przeto ten, kto doznaje dobrodziejstw, okazuje się niewdzięczny — jak naogół wszyscy dobrodziejstw doznający nienawidzą swego Tymona i miast cenić wartość daru, baczą na widoczne zasoby, z których dar ten pochodzi — to sympatyzują raczej z tamtym, niż z gniewem pana Tymona. Albowiem

spodziewać się wdzięczności jest czemś gruboskórnem i mści się stale przez zupełny brak wrażliwości w tym, któregośmy względem siebie zobowiązali. Dziękuj Bogu, jeżeli bez obawy i żalu uwolnisz się od tego, który znalazł się w tem nieszczęśliwem położeniu, iż musiał korzystać z twych usług. Ciężko to pozwalać służyć sobie, i nic dziwnego, że dłużnik twój usiłuje drapnąć przed tobą. Złote słowa dla tych panów zawiera godne podziwu zdanie buddystów, którzy nie dziękują nigdy, mawiają zaś: Dobrodziejowi nie schlebiaj!...»

*Tłum. S. Frycz i A. Tom.*

#### NIE\_WAŻ SIĘ...

Nie waż się deptać grobów  
Ani z całunu obnażać mogiły,  
Którym czas miłosierny  
I przyroda pozwoliły  
Osłonić błędy mądrości niezmiernej.

Nie waż się deptać grobów  
Ani się staraj po zachodzie życia  
Człowieka z nędznej wyzuwać ozdoby —  
Z jego trofeów pogrzebowych —  
Mirry, wina, dzwonów bicia  
I ostatniego z ołowiu spowicia.  
Idź! niech ci powie, jak się życie z nim zmagalo,  
Jak walczył z niem i parł się śmiało.

Szkoda żywota, gdy w cynicznych kłótniach  
I w błahych sporach wysnuje się marnie:  
Szybko pasmo się wyprzedzie,  
Mrok wkrótce nas ogarnie.  
Więc wgórze! Cel swój miej na względzie —  
A Bóg pomocą tobie będzie.

\*

Tym, którzy porzucają mnie — zadaję kłam...  
Skrzydeł mi ich pierzchnięcie nie odpina —  
I wątpliwością, i wąpiącym jestem sam,  
I hymnem, zawodzonym przez bramina.

*Tłum. Władysław Nawrocki.*

#### HENRY WADSWORTH LONGFELLOW

(1807—1882)

#### O ZMROKU

Po dniu promiennym nadeszły mroki,  
Padając z skrzydeł nocy głębokiej,  
Tak jak padają pióra po piórach  
Ze skrzydeł orła, co płynie w chmurach.

Widzę światełka we wsi pobliskiej  
Skróś mgieł tumany, dżdżu wodotryski;  
Dziwny mi smutek ogarnia duszę,  
Któremu, nie chcąc, poddać się muszę.

Dziwny pół-smutek i pół-tęsknota:  
W tym smutku milknie boleść żywota,  
A tak cierpieniu bywa pokrewny,  
Jako deszczowi tuman powiewny.

Pójdź mię kołysać łagodną nutą,  
Czytaj mi piosnkę, z serca wysnutą,  
Co moje wszystkie smutki ukoj  
I wygna troski precz z duszy mojej.

Nie czytaj piewców tych starożytnych  
Ani tych bardów, jak gromy szczytnych,  
A których echo brzmi nam zdaleka  
Z pod nieśmiertelnych stuleci wieka.

Skromnego czytaj mi dziś pieśniarza,  
Którego pieśń się w sercu rozżarza,  
Jak lza w źrenicy — albo ulewa  
W letnich obłokach; który wciąż śpiewa,

Który, pomimo trudy codzienne,  
Pomimo noce swe bezpromienne,  
Słyszy w swem pieniu wieczyste dźwięki  
Cudnej melodji, cudnej piosenki.

Ach! takie pieśni dają nam ciszę  
Od trosk, któremi żywot nasz dysze:  
Błogosławieństwo niosą nam rzewne,  
Niby gorące łyzy modlitewne.

A potem weźmiesz księgę wybraną:  
Czytaj mi piosnkę swą ukochaną,  
I — niby zapach — w rymy poety  
Wlej czarodziejstwo głosu kobiety.

Zadrzy noc, pełna muzyki boskiej;  
I dzień czerniące żale i troski,  
Jak Arabowie, namioty zwiną  
I, tak jak oni, mierzając, odpłyną.

*Tłum. Antoni Lange.*

#### EXCELSIOR

Szybko zapadał wieczorny mrok;  
Alpejskiem siołem przez górski stok  
Szedł młodzian, niosąc w śniegu i lodzie  
Sztandar z tem dziwnym godłem na przodzie:  
Excelsior!

Czoło miał smutne, ale z pod brwi,  
Jakby miecz z pochwy, oko mu lśni;  
Jak srebrnej fletni głos kryształowy,  
Dźwięczy ton jego nieznaney mowy:  
Excelsior!

Widzi on światła szczęśliwych chat,  
Jasny i ciepły domowy świat;  
Nad nim lodowców groźne widziadła,  
Więc smutna skarga z ust się wykradła:  
Excelsior!

«Nie próbuj szczęścia!» — rzekł starzec doń —  
«Burza nad głową, potoku toń  
Wezbranym nurtem huczy w parowie!»  
Na to donośny głos ten odpowie:  
Excelsior!

«Stój!» — rzekło dziewczę — «zmęczoną już  
Na mojej piersi głowę swą złóż!»  
Łza w modrem oku błysła promieniem,  
Lecz odpowiedział tylko westchnieniem:  
Excelsior!

«Strzeż się gałęzi, idąc przez bór,  
Strzeż się lawiny, lecącej z gór!»  
Tem go wieśniacy słowem żegnali...  
A głos im odparł na górze, wdali:  
Excelsior!

O świcie, kiedy niebieska straż  
Uczniów Bernarda, chyląc swą twarz,  
Zanosi w niebo modły gorące,  
Ten okrzyk przedarł powietrze drzące:  
Excelsior!

Wędrowca wierny odnalazł pies:  
On w śnieżnej zaspie znalazł swój kres;  
Lecz trzyma jeszcze w rękę skostniałem  
Ten sztandar z godłem dziwnem a śmiałem:  
Excelsior!

Tam w szarem świetle porannych zórz  
Martwy, lecz piękny spoczywa już,  
A z toni niebios, pogodą tchnącej,  
Głos nakształt gwiazdy mknie spadającej:  
Excelsior!

*Tłum. Adam Asnyk.*

#### WIEJSKI KOWAL

Pod rozłożystym stoi kasztanem  
Kuznia wśród wiejskiej ustroni;  
Silny, barczysty kowal w niej panem,  
O grubej żylastej dłoni,  
A jego ramion mięśnie stalowe  
Potrafią złamać podkowę.

Włos kędzierzawy, czarny i długi,  
Twarz jego — jak dębu kora;  
Po czole potu spływają strugi  
Od rana aż do wieczora:  
Lecz patrzy dumnie z swego domu,  
Gdyż nic nie winien nikomu.

Przez cały tydzień z pod jego strzechy  
Słychać gwar dziennej roboty,  
Słychać sapiące powietrzem miechy  
I spadające w takt młoty,  
Które tak dźwięczą czysto i śmieie,  
Jak dzwony w bliskim kościele.

Powracająca dziatwa ze szkoły  
Przez drzwi zagląda z rozkoszą:  
Bawi ją widok ognia wesoly  
I miechów, co się podnoszą,  
I pryskających na wszystkie strony  
Iskier ze sztaby czerwonej.

W niedzielę zato w skupieniu ducha  
Czeladce on towarzyszy,  
Świątecznych modłów i kazań słucha;  
A kiedy śpiewy posłyszysz,  
Głos córki w świętem poznając pieniu,  
W głębokiem duma wzruszeniu.

Tak w trudzie, smutku, cichem weselu  
Przez życie idzie swym torem;  
Rano zadanie świeże na celu,  
A koniec pracy wieczorem;  
I codzien świeże zbierając żniwo,  
Na noc zarabia szczęśliwą.

Ten sam, co matka, głos ma dziewczyna;  
Lecz matka śpiewa u Boga...  
Więc z rozrzewnieniem o tej wspomina,  
Co jeszcze w grobie mu droga,  
I szorstką dłonią ociera oczy,  
Skąd łza po twarzy się toczy.

O, przyjacielu, przyjm dziękczynienia  
Za tę naukę nam daną:  
Tak w kuźni życia pośród płomienia  
Do pracy wstawać trza rano  
I każdy zamiar, każdy czyn potem  
Pod twardym urabiać młotem.

*Tłum. Adam Asnyk.*

#### Z «EWANGELINY»

Patrz! oto bór wiekuisty: sosny i świerki szumiące,  
Mchem brodate, w zielonych oponach, mgłą przyprószone,  
Stoją nakształt druidów przeszłości z posepnem prorocstwem;  
Stoją nakształt zastępów gęślarzy z brodami na piersiach.  
Głośno z dna jaskiń skalistych przywarł do brzegu ocean,  
Grzmi i ponurym odzewem wtóruje szemraniu gęstwiny.  
Patrz! oto bór wiekuisty; lecz gdzież owe serca, co niegdys  
Drgały w tej głębi, jak łań, gdy usłyszysz trąbkę myśliwską?  
Gdzież owe sioła pod strzechą słomianą, Akadjan osady?  
Mężę, których życie płynęło jak leśne strumienie,  
Cieniem ziemi zakryte, na dnie piastując twarz nieba?  
Puste dziś leżą osady, bez mężów na zawsze, na zawsze!  
Oto rozwiani jak prochy i liście, gdy wichur jesienny  
W wir je pochwyli i skręci, na dno oceanu zagrzebie.  
Tylko nad Grandpre ruchliwym w dni owe wzlatuje podanie.  
Wy, co wierzycie w miłość, cierpiącą z nadzieją i wiarą,  
Wy, co wierzycie w piękność i moc poświęcenia kobiety,  
Dla was to smutne podanie: dziś jeszcze powtarza je echo  
Buków i sosen miłosnej Akadji, tej szczęścia krainy.

Nieopodał od wioski nad spadkiem kotliny Minasu  
Najbogatszy w osadzie grandprejskiej Benedykt Belfonten  
Żył wśród staj chlebobajnych; przy starcu, nad domem sterując,  
Ewangelina szlachetna, Ewangelina wzrastała.  
Męską, poważną postawę miał starzec, nie zmogły go lata:  
Dzielny, dzielny to dąb był, pokryty szronem śniegowym,  
Włos też miał szronem sprószony, twarz ciemną, jak listki na dębie.  
Piękna była dziewczica, jej życie już w kwiat się wiązało:  
Okno jej ciemne jak ziarnko, na tarni rosnące przy drodze,  
Ciemne, lecz jasno świeciło pod cieniem brunatnych jej splotów;  
Tchnienie wiało słodyczą, jak tchnienie konwalji na łące,  
Kiedy wśród skwaru letniego dźwigała żniwiarzom w południe  
Napój rzeźwiący na pole. O! piękna była w południe,  
Lecz piękniejsza, gdy w ranek niedzielny przy dzwonów odgłosie,  
Świętym dźwiękiem dzwoniących, kapłan lud kropił hizopem,  
Błogosławieństwa udzielał ludowi; gdy Ewangelina  
Biegła po długiej ulicy z różańcem, szkaplerzem i księgą,  
W szacie błękitnej, normandzkim nagłowi, kolczykach ze złota,



Przywiezionych z Normandji, a potem jak spadek rodowy  
 Z matki na córkę idących rozległym szeregiem pokoleń.  
 Lecz już nie nasza to piękność, bo piękność eteru i nieba  
 Opromieniła jej skronie, gdy, wstawszy od stołu Pańskiego,  
 W progi domowe wracała, unosząc zadatek zbawienia.  
 Po jej odejściu, rzekłbyś, że wdzięczna ustała muzyka.

*Tłum Feliks Jezierski.*

#### PIEŚŃ NIEWOLNIKA

Spętane wznosząc ku niebu dłonie,  
 Śpiewał o wolnym, jasnym Syjonie;  
 O izraelskich zwycięstwie drużyn  
 Śpiewał z Dawidem niewolnik-murzyn.

A głos ten, łzami często oniemian,  
 Boleść z radością łączył naprzemian,  
 Tak się w dziecięcej kajał pokucie,  
 Aż piersią swoją drgało współczucie.

W chwilę północy — ciemną i głuchą —  
 Śpiew jego moje łowiło ucho:  
 Głos niewolnika, dźwięczny i czysty,  
 Rzewnie powtarzał słowa psalmisty.

Paweł z Sylasem w judzkim więzieniu  
 Śpiewał o Pana Wniebowstąpieniu —  
 I nagle w nocy ziemia się wstrzęsła,  
 I bram więziennych runęły przęsła.

W triumfie wielkim (na słomy szczypcie)  
 O ukaranym śpiewał Egipcie:  
 Jak potonęły w morzu Czerwonem  
 Wojska ciemieżców wraz z Faraonem.

Lecz jakież anioł złoty wystłowi  
 Wieść zmartwychwstania niewolnikowi?  
 Jakież trzęsienie ziemi wyłtamie  
 Wrzeczadze w jego więziennej jamie?

*Tłum. Józef Birkenmajer.*

#### PUHAR KRÓLA WITLAF

Czując, że nad nim śmierć niechybna wisi,  
 Cny Witlaf, król anglosaski,  
 Mnichom z Croylandu — weseli to mnisi! —  
 Puhar swój dał w dowód łaski.  
 I rzekł: «Gdy tylko siądziecie przy uczcie,  
 Pijąc z onego puharu,  
 Wspomnijcież o mnie — i pacierz zamruczcie  
 Za dawcę cennego daru...»  
 Raz więc usiedli przy wilijnych godach —  
 Z rąk do rąk puhar szedł wielki;  
 Czerwone wino lśniło im na brodach,  
 Jak w trawie — rosy kropelki.  
 Duszy królewskiej nie szczędzą toastu,  
 Potem zaś zgodnie wypiją  
 Zdrowie Chrystusa — i Uczniów dwunastu,  
 Co nieśli Ewangeliją.  
 Za Męczenników i Wyznawców pili  
 Litanję całą ogromną,  
 A ledwo puhar opróżnią — w tej chwili  
 Nowego świętego wspomną...  
 Jeden zaś z braci stał przy pulpicie  
 I mrucał, niby rój pszczelny:  
 Czytał świętego Guthlaka życie  
 I pisma Ojców kościelnych.  
 Aż naraz wielkie klasztorne dzwony  
 Pod wieżą gdzieś kopulastą —  
 Ow Bartłojem, ten Guthlakiem chrzczoney —  
 Biją — godzinę — dwunastą...

W kominku szczepa zajękła złowieszczo...  
 Mnich-zwierzchnik w zadumę popadł...  
 Iskierki ognia jarzą się i trzeszczą —  
 Lecz zimny był już ksiądz opat...  
 Mimo to dłonią skostniałą obłapiał  
 Rostruchan z złotego szczerta,  
 Gdzie duch się jego rozplywał, roztopiał...  
 — Podobnie rozpuszcza się perła.  
 A mnisi puhar znów puścili wkolej,  
 Bo gdy śmierć nagłą spostrzegą,  
 Krzykną wesoło: «Jeszcze wina dolej!  
 Zdrowie nowego świętego!»

*Tłum. Józef Birkenmajer.*

EDGAR ALLAN POE

(1809—1849)

DZWONY

Hej, u sanek dzwonią dzwony,  
 Srebrne dzwony!  
 Jakież świat zadowolenia wróżą nam ich miłe tony!  
 Jakże dźwięczą, jakże brzęczą,  
 Brzęczą, dźwięczą potrząśnięte,  
 Pośród nocy usniezonej,  
 Co lodową drzemie ciszą!  
 A te złotych gwiazd miljony,  
 Po niebiosach rozprysnięte,  
 Złociej lśnią się i kołyszą  
 Od rozkoszy krystalicznej —  
 I mrugają w takt muzyczny,  
 Niby w zgodny hymn runiczny  
 Z kołysaniem i śpiewaniem tej melodji wypieszczonej,  
 Którą dźwięczą, dźwięczą — dzwony,  
 Dzwony, dzwony, dzwony,  
 Dzwony,  
 Te dźwięczące, śpiewające, ach, te srebrne dzwony!

Hej, do ślubu dzwonią dzwony,  
 Złote dzwony!  
 Jakież świat uszczęśliwienia wróżą nam ich słodkie tony!  
 W balsamicznej ciszy nocy,  
 Gdy powietrze pierś ich trąca,  
 Dźwięczą płynne złote dźwięki  
 W jeden ton,  
 W jeden lotny ton piosenki,  
 Jak turkawki pieśń, co tęskni, patrząc w bladą twarz miesiąca,  
 Do niebiańskich stron!  
 Z różnodźwięcznych tych gardzieli  
 Tryska jakaś melodyjna pieśń w weselnej dziewic bieli.  
 Jakże drga,  
 Jakże trwa  
 Na przyszłości dni!  
 Jakże śpiewa o porwaniu,  
 O porwaniu, całowaniu,  
 Jak czarownice brzmiał!

Kołujące, wirujące,  
 Kołysane, rozśpiewane  
 Dwońią, dzwońią dzwony,  
 Dzwony, dzwony, dzwony,  
 Dzwony,

Całujące, zgodnie brzmiące, ach, te złote dzwony!

Hej, na trwozę dzwońią dzwony,  
 Spiżowe dzwony!

Jakiż dziki świat alarmu wróży nam ich jęk wzburzony,

Śród groźnego nocy cienia  
 Jakże wyją z przerażenia!  
 Od tej grozy słów im brak,  
 One mogą tylko tak

Wyć, jak wichler rozstrojony,

W swoim gromkiem przyzywaniu na ten krwawy blask pożaru

I w szalonym rozhukaniu na ten głuchy szal pożaru,

Który w dymie, który w skrach,  
 Pośród gwaru i rozgwaru  
 Płynie wgóre, wgóre, wgóre,  
 Jakby żądze swe ponure  
 Chciał w niebiosia ślać i w chmurę,  
 I w piekielnych swoich snach —

Jakby dziś lub nigdy już

Chciał rakieta krwawych róż

Na miesięcznych zasiać mgłach!

Ach, te dzwony, dzwony, dzwony,

Jak nam dźwięk ich rozstrojony

Śpiewa hymn rozpaczy!

Jakże wyją a skowyczą,

Jakże syczą, huczą, ryczą,

By grom armat i kartaczy!

Jaka dzika groza płonie

W rozhukanem, rozdyszanem, powietrznianem łonie!

Ale ucho czuje już

Z tego jęku,

Z tego szczęku,

Że ucicha klęska już.

Ale ucho słyszy już

Z tego blasku,

Z tego wrzasku,

Że omdlewa klęska już.

Bo zemdlone, uciszone, rozgniewane dzwońią dzwony,

Dzwony, dzwony, dzwony, dzwony,

Dzwony,

Te huczące, te wyjące, te spiżowe dzwony!

Hej, na pogrzeb dzwońią dzwony,

Żelazne dzwony!

Jakaż pieśń nam uroczystą ich poważne wróżą tony,

Śród nocnego, śród milczenia

Jakże huczą z przerażenia,

Ach, bo każdy, każdy dźwięk,

Który drży

Śród ich rdzy,

To śmiertelny jęk!



«Ona — rzekłem — świetniejsza od Diany,  
Ona krąży po westchnień eterze,  
Ona włada we wspomnień eterze,  
Ona wie, że wciąż niewyplakany  
Ból, gdzie rozpacz na twarzy łez strzeże —  
I nad gwiazd się uniosła rydwany,  
By nam w niebie zgotować wieczność,  
Letejskiego pokoju wieczność.  
Uleciała nad złote rydwany,  
Aby ziemskie oświecać rubieże!  
Uleciała nad jasne rydwany,  
Aby ziemskie weselić rubieże».

Lecz uległa nieznaną mi siłę,  
Wzniósłszy palec do góry: «Nie wierzę! —  
Tak mię Psyche mistycznie ostrzeże —  
Słuchaj, smutnej tej gwiazdzie nie wierzę,  
Ach, bladeści jej dziwnie nie wierzę!  
Śpiesz! Zbyt długie zostajesz tu chwile.  
Śpiesz — uchoźmy! Zaklinam cię szczerze».  
W bólu mówi i skrzydeł swych pierze  
Spuszcza wdół, aż sunęły się w pyle,  
W zgrozie mówi — i białe swe pierze  
Spuszcza wdół, aż tarzały się w pyle,  
Aż rozpacznie tarzały się w pyle.

«Siostrze — rzekłem — to nic, urojenie!  
Płynmy, płynmy w ten srebrny blask dalej,  
W kryształowy ten blask idźmy dalej:  
Sybilińskich to światła natchnienie,  
Co nadzieją i pięknem się pali —  
Na błękitach tej nocy się pali...

Z wiarą idźmy w te jasne promienie,  
Zaufajmy świetlanej tej fali.  
Śmiało dążmy w te czyste promienie,  
Szczęście ku nam wyblśnie z tej fali,  
Co na niebie, drząc, jasno się pali...»

Tak mą Psyche cieszyłem nadzieją,  
By ją wyrwać z ponurych tych dum.  
I z ponurych wyrwałem ją dum —  
I na kres sześciny dalej aleją,  
A na kresie alei był tum:  
«Jakież głoski tu, siostrze, jaśnieją,  
Jaki napis na drzewach nosi tum?»  
Rzekła mi: «Ulalume — Ulalume —  
To umarłej twej grób Ulalume!»

Jękała pierś ma żalobą surowa,  
Jako liści powiędłych ten szmer,  
Jak zeschniętych gałęzi ten szmer —  
I krzyknąłem: «Ach, październikowa  
Noc to była — najstraszniejsza z er,  
W roku zeszłym najstraszniejsza z er,  
Kiedym błądził, błądził wśród tych sfer —  
I przyniosłem tu czerwom na żer  
Straszny ciężar — aż pęka mi głowa —  
W noc wśród nocy najstraszniejszej z er...  
Jakież demon wiódł mię do tych sfer?  
Znam ja Aubr, który we mgłę się chowa,  
I wilgotny, pomroczny las Weir —  
Aubr — jezioro, co w mroku się chowa,  
I od wiedźm opętany las Weir!»

*Tłum. Antoni Lange.*

#### MILCZENIE (Baśń)

Szczyt górski — drzemie; dolina,  
opoka i jaskinia — milczą.  
*Alkman.*

Słysz mnie! — rzekł Szatan, kładąc mi dłoń na czole. — Kraina, o której mówię, jest posępną w Libji krainą na brzegach rzeki Zairy. Zaś owdzie — niemasz ani spoczynku, ani milczenia.

Wody rzeki są szafranowe w swej barwie i zarazą wyziewne, a nie zdążają ku morzu, jeno pod purpurowym znojem słonecznej źrenicy trzepocą się wiekuiście wzbudzonym i kurczowym odruchem. Po obu stronach tej rzeki, w bagnistych ostępach, na odległość mil kilkunastu szerzy się blada pustynia rozolbrzymionych nenufarów. Te wzdychają nawzajem ku sobie w owej pustoszy i tężą ku niebu swe upiornie wydłużone szyje, i unoszą tam i sam swoje kielichy wiecznotrwale. I dobywa się z nich pomruk słumiony, podobny do pomruku źródłisk podziemnych. I wzdychają nawzajem ku sobie. Atoli dany jest kres ich państwu, a kresem owym jest bór wysoki, mroczny i straszliwy. Tam nieustanna chwiejność drobnych zadrzewień przyrównana jest falom wokół wysp Hebrydzkich. A wszakże niemasz tam w niebie przewiewu. I rozłożyste drzewa pierwotne z donośnym skrzypem kołyszają się na strony. A z ich wysokich wierzchołków sączy się kropla po kropli rosa wiekuiста. A u ich stóp cudaczne, jadowite kwiaty kurczą się pokrętnie w trwożnym śnie. A ponad ich głowami szare obłoki z echowym szmerem pędzą naoslep wciąż ku zachodowi, ażeby wreszcie w postaci katarakt stoczyć się poza ogniste wały widnokregu. Wszakże niemasz tam w niebie przewiewu. Zasię na brzegach rzeki Zairy niemasz ni ciszy, ni milczenia.

Noc właśnie była i deszcz padał. A dopóki padał, był-ci deszczem, lecz gdy już upadł, był-ci krwią. A jam trwał w bagnie pośród smukłych nenufarów, i deszcz mi splotał na czoło, i nenufary wzdychały nawzajem ku sobie w uroczystem poczuciu swej zagłady.

I stało się nagle, że księżyc wynurzył się z poza zwiewnych obłon mgły posepnej, a był barwy karmazynowej. I wzrok mój padł na potwornie wielką szarą opokę, która się piętrzyła nad brzegiem rzeki, a którą blask księżycowy objaśniał. I szara była opoka, i złowroga, i bardzo wyniosła — i szara była opoka. Na jej czole kamiennem wyryty był napis, i brnąłem przed się poprzez bagna nanufarowe, aż dotarłem do brzegów pobliza, by odczytać napis, ryty w kamieniu. Ale go nie mogłem oczyma wyszperać. I jałem wracać ku bagnu, gdy oto księżyc rześistszym zapłonął szkarlatem; i powróciłem, i raz jeszcze spojrzałem w opokę i w napis — a napis głosił: **Z a g ł a d a.**

I spojrzałem wzwyż, a na wyży skalnej trwał człowiek. I posiadał ów człowiek wzrost wielki i majestat, a od ramion do stóp spowiła go pradawna toga rzymska. I mglisty był kontur jego postaci, lecz w rysach jego twarzy tkwiło oblicze bóstwa, gdyż oto, mimo płaszcza nocy, mimo kaptura mgły, mimo opończy księżycy i mimo zasłony rosy — promieniały rysy jego twarzy. A wysokie i zadumane było jego czoło, zaś oczy miał troską obłądne; tedy w brózdach jego oblicza wyczytałem legendy smutku i znużenia, i zniechęty do rodzaju człowieczego i wielkie upragnienie samotności.

Człowiek zasiadł na opoce i wsparł głowę na dłoni, i powiódł okiem po krainie zagłady. Spojrzał na wiecznie wzburzone krzewy i na olbrzymie drzewa pierwotne, spojrzał wyżej w szelestem przepelnione niebiosy i w księżycowe karmazyny. Zaczaiłem się w gnieździe nenufarów i śledziłem ruchy człowieka. I zadrzał on wobec samotności; tymczasem noc mijała, a on trwał nadal, siedząc na skale.

I odwrócił człowiek swój wzrok od nieba i przesunął go na Zairę, rzekę posepną, i na wody żółte, upiorne, i na blade bezbrzeża nenufarów. I nasłuchiwał westchnień nenufarów i pomruku, z nich dobytego. Czaiłem się w mej kryjówce i baczyłem ruchów człowieka. I zadrzał człowiek wobec samotności; tymczasem noc mijała, a on trwał nadal, siedząc na skale.

Wówczas zawieruszyłem się w najodleglejszych otchłaniach bagniska i szedłem poprzez chwiejny las nenufarowy i wzywałem hipopotamów, które swój pobyt mają w otchłaniach bagniska. I posłyszały hipopotamy mój zew, i w towarzystwie Behemota przywlokły się aż do podnóża opoki, i rozgłośnie a przeraźliwie zawyły na księżyc. Czaiłem się wciąż w mej kryjówce i nie traciłem z oczu ruchów człowieka. I zadrzał człowiek wobec samotności; tymczasem noc mijała, a on trwał nadal, siedząc na skale.

Wówczas rzuciłem na żywioły kłatwę wrzawy, i wnet burza potworna uzbierała się w niebiosach, kędy przed chwilą nie było cienia powiewu. I zsiniały niebiosy pod przemocą burzy — i deszcz smagał skronie człowieka — i fale rzeczne wystąpiły z brzegów — i pianą trysnęła rzeka zraniona — i nenufary wezbrały wrzaskiem w swych barłogach — i grom uderzył — i spadła błyskawica — i zachwiała się w posadach opoka. A jam się wciąż czaił w mej kryjówce, ażeby podglądać ruchy człowieka. I zadrzał człowiek wobec samotności; tymczasem noc mijała, a on trwał nadal, siedząc na skale.

Wówczas uniosłem się gniewem i poraziłem kłatwą milczenia rzekę i lilje, i wichry, i bory, i niebiosy, i piorun, i westchnienia nenufarów. I dosięgła ich kłatwa i onie miały. Poniechał księżyc swej mozolnej po niebie wędrówki — i skonał piorun — i już nie drgnęła błyskawica — i zawisły bez ruchu obłoki — i powróciły do swych łóżysk fale, aby tam pozostać — zaprzestały drzewa swych drgań rozkołysanych — i już nie było westchnień nenufarów — i z ich gromady już się nie dobywał najmniejszy pomruk ani cień dźwięku w całym ogromie pustynnego bezgranicza. I spojrzałem w napis skalny, i odmienił się napis, i tworzył teraz słowo: **Milczenie.**

I padł mój wzrok na twarz człowieka, a twarz jego blada była od przerażeń. Nagłym ruchem dźwignął głowę z swej dłoni, wyprostował się na skale i słuch natężył. Alieć nie było głosów w całym ogromie pustynnego bezgranicza, a napis, ryty

w skale, był taki: *Milczenie*. I człowiek zadygotał, i susem w miejscu się zawrócił, i jał uchodzić — wdał, wdał — naoslep — tak właśnie, zem go odtąd z oczu na zawsze utracił.

Otóż istnieją zgoła przednie opowieści w księgach magów — w melancholijnych księgach magów, oprawnych w żelazo. Toć mówię — są tam przepychu pełne podania o Niebie i Ziemi, i o potężnym Morzu — i o Genjuszach, które panowały na morzu, na ziemi i na niebie, najwyżej utwierdzonem. Wielki też był wiedzy dostatek w przypowieściach, przez Sybillę wygłoszonych. I świętych, świętych dziwów nasłuchały się ongi liście zmierzchłe, wokół Dodony rozedrgane — lecz, jako prawdą jest to, że Allach żywcem trwa, tak niechaj mi będzie poręką, że baśń, którą mi Szatan opowiedział, zasiadłszy przy mym boku w cieniu mogilnym, jest ze wszystkich baśni najdziwniejsza! Gdy więc Szatan dokończył swej opowieści, zwałił się zpowrotem w głąb mogiły i jał się zaśmiewać. I nie mogłem śmiać się wespół z Szatanem, i przeklął mnie przeto, iż śmiać się nie mogłem. A ryś, który w mogile wiekował, wypętnął stamtąd i legł, warując, u stóp Szatana i zajrzał mu w oczy nieruchomie.

*Tłum. Bolesław Leśmian.*

#### CIEŃ (Parabola)

Wy, którzy to czytacie, zaliczacie się jeszcze do żywych; ale ja, który to napisałem, odszedłem już dawno do krainy cieniów. Zaiste bowiem dziwne wydarzą się rzeczy i mnogie rozwidnią się tajemnice, i wiele wieków upłynię, zanim to pismo ukaże się oczom ludzkim. A kiedy się ukaże, to jedni nie dadzą mu wiary, inni będą wątpili, i tylko nieliczni do głębokiej skłoniają się zadumy nad głoskami, które tu żelaznym nakreśliłem ryłcem.

Rok ów był rokiem grozy oraz uczuć, mocniejszych od grozy, dla których niema tu na ziemi miana. Zaszło bowiem wiele znaków i dziwów, i wszecz i wzdłuż, nad lądem i morzem rozokolowały się zewsząd czarne skrzydła Zarazy. Dla tych, co czytają w gwiazdach, nie było rzeczą tajną, iż niebiosa przybrały wygląd złowieszczy; mnie zaś, Grekowi Oinosowi, porównie jak innym, było wiadomo, że doczekaliśmy się oto powrotu owego siedemsetnego dziewięćdziesiątego czwartego roku, gdy z pojawieniem się Koziorożca planeta Jowisza kojarzy się z czerwonym pierścieniem straszliwego Saturna. Osobliwy wpływ niebios, o ile wielce się nie mylę, objawiał się nietylko w przyrodzonych właściwościach bryły ziemskiej, ale także w duszach, wyobraźniach i rozmyślaniach ludzkich.

W dostojnym przebytku wśród głuchego miasta, które zwą Ptolomaidą, siedzieliśmy pewnej nocy przy kilku faszach czerwonego wina z Chios, a było nas siedmiu. Do komnaty naszej nie było innego wejścia, krom wielkich drzwi bronzowych; dzwierać te, wykowane cudnie mistrzowską ręką artysty Korinnosa, zaparliśmy mocno od wnętrza. Ponadto czarne opony w tej mrocznej komnacie zasłaniały oczom naszym księżyc, złowrogie gwiazdy i bezludne ulice; ale przecucia i wspomnienia Niedoli żadną miarą usunąć się nie dało. Dokoła nas i obok nas działy się rzeczy, z których niełacno jest mi zdać sprawę — rzeczy z materji i ducha — brzemienność powietrza — uczucie duszności — lęk — zaś przedewszystkiem ów straszliwy stan istnienia, znany ludzjom wrażliwym, kiedy zmysły są niepohamowanie czynne i czujne, a władze duchowe spoczywają w uspieniu. Obarczyło nas jakieś martwe brzemie. Zaciężyło nad naszymi członkami — nad sprzętami pokojowemi — nad puhami, z których piliśmy; wszystko było uciśnione i pognęzione — wszystko, krom płomyków siedmiu żelaznych lamp, co oświecały naszą biesiadę. Wystrzelając smukłemi, wiotkiemi smugami światła, jarzyły się wszystkie nieruchomo i blade, a w zwierciadle, utworzonem z ich poświeleni na krągłym hebanowym stole, przy którym zasiedliśmy, każdy z biesiadników widział bladeść własnego oblicza i niespokojne błyski w spuszczonych oczach swych towarzyszy. Mimo to śmialiśmy się i weseliliśmy się po swojemu — co było histerją; i śpiewaliśmy pieśni Anakreonta — co było szaleństwem; i piliśmy dużo — jakkolwiek purpurowe wino przypominało nam krew. Był bowiem w komnacie naszej jeszcze jeden uczestnik

w osobie młodego Zoilusa. Osłonięty całunem, leżał rozciągnięty i martwy — niby genjusz i demon całej tej sceny. Niestety, w igraszkach naszych nie brał udziału i tylko lico jego, zbróždzone przez mękę, i oczy jego, w których Śmierć jeno napoły przygasiała płomię zarazy, zdawały się okazywać zajęcie naszą zabawą w tej mierze, w jakiej umarli snadź uczestniczą w rozrywkach ludzi, co są bliscy zgonu. I jakkolwiek ja, Oinos, czulem, że oczy zmarłego spoczywają na mnie, mimo to starałem się nie zwracać uwagi na gorycz ich wyrazu i, uparcie tonąc spojrzeniem w głębiach hebanowego zwierciadła, śpiewałem dźwięcznym i donośnym głosem pieśni syna Teosu. Lecz stopniowo urywał się śpiew mój, a jego echa, zabłąkane hen, śród czarnych opon komnaty, przebrzmiewały, słabły, aż ucichły zupełnie. I dziw nad dziwy! z pośród tych czarnych opon, gdzie zamarły dźwięki pieśni, wyniknęła oto ciemny i nieokreślony cień — cień podobny do tego, jaki na obraz i podobieństwo ludzkie zdarza się utworzyć księżycowi, kiedy nisko toczy się po niebie: lecz nie był to cień ani człowieka, ani boga, ani żadnej znanej istoty. Staniając się przez chwilę śród opon komnaty, spoczął wkońcu jawny i widoczny na powierzchni brązowych dźwierzy. Aliści był on nikły, bezkształtny i nieokreślony i nie był cieniem ani człowieka, ani boga: ani boga greckiego, ani boga chaldejskiego, ani też jakiegokolwiek egipskiego boga. I spoczął ów cień na brązowej wrótni pod łukiem odźwierza i nie poruszył się, nie rzekł ani słowa, lecz ustalił się i tak pozostał. A drzwi, na których spoczął, znajdowały się, o ile pamiętam, naprzeciw stóp spowitego w całuny młodego Zoilusa. My wszakże wszyscy, jak było nas siedmiu, ujrzawszy, że cień wyłania się śród opon, nie odważyliśmy się śmiało spojrzeć na niego, lecz, spuściwszy oczy, patrzyliśmy nieustannie w głębię hebanowego zwierciadła. Aż wreszcie ja, Oinos, przemówiłem zcicha i zapytałem cienia o jego przebyt i nazwanie. Zasię cień odparł: «Jestem CIENIEM, a przebyt mój jest koło katakumb Ptolomaidy, tuż obok owych mrocznych równin Podziemia, co obrzeżają plugawą strugę Charona». Wówczas wszyscy, jak było nas siedmiu, zerwaliśmy się w przerażeniu ze swoich miejsc i staliśmy drżący, wstrząśnięci i spiorunowani; bowiem tony w głosie cienia nie były tonami jednej tylko istoty, lecz całego ich mnóstwa i, zmieniając się w swych spadkach od zgłoski do zgłoski, drgały nam żalobnie w uszach miłemi i pamiętnemi dźwiękami wielu tysięcy naszych zmarłych przyjaciół.

— — — *Tłum. Stanisław Wyrzykowski.*

## JOHN GREENLEAF WHITTIER

(1807—1892)

MAUD MÜLLER

(Wyjętek)

Maud Müller w letnie południe gorące  
Grabiła siano na zielonej łące.

Pod nędzną chustką twarzą jej biała  
Krasą i świeżym rumieńcem błyszcziała.

Śpiewała, grabiąc — a w lasku nad rzeką  
Wtórzył jej dźwięcznie drozd piosnką daleką.

Lecz gdy na miasto spojrzenie jej padło,  
Co się śmiejące na wzgórzu rozsiadło,

Pieśń jej zamarła, nieznaną a miłą  
Tęsknota nagle się w sercu zbudziła —

Żądzą tajemną a nieokreśloną  
Za lepszą dolą zadrgnęło jej łono. —



Sędzia powoli jechał, zadumany,  
Głaszcząc wierzchowca po grzywie bułanej.

U gruszy, która cień rzuca w dolinę,  
Zatrzymał konia, pozdrowił dziewczynę

I prosił wody z chłodnego strumyka,  
Co, szemrzając zcicha, przez łąkę pomyka.

Chyli się dziewczę na strugą przezroczą,  
Dzbanek cynowy napełnia ochoczo.

Skromnie podała mu go i nieśmiało  
Spuściła oczy; liczko jej skraśniało,

Kiedy spojrzała na swe bose nogi  
I zgrzebne płótno spódniczki ubogiej.

«Dziękil!» rzekł sędzia, «jak żyję, smaczniejszej  
Wody nie piłem — i z rączki ładniejszej!»

Potem jął mówić o kwiatkach, o drzewach,  
O brzękach pszczelich i o ptasich śpiewach;

O wonnem sianie, zbiorach, o pogodzie:  
Czy deszcz przyniosą chmury na zachodzie.

I Maud przestała myśleć o spódniczce  
I bosych nóżkach. Czują na twarzyczce

Wzrok jego, tchnący spokojem i siłą —  
Było jej dziwnie, rażnie jakoś, miło.

Nakoniec sędzia zwolna ruszył drogą:  
Jak ci, co zostać radzi, a nie mogą.

Maud Müller wzniosło się westchnieniem łono:  
«Gdybym-ż ja była jego narzeczoną!

«Ubierałby mnie w jedwab, złotogłowie  
I piłby winem czerwonym me zdrowie!

«Ojciec w sukiennej chodziłby odzieży,  
Brat starszy miałby swą łódź u wybrzeży;

«Matka ma suknie miałaby wspaniałe,  
Zabawek pełno — rodzeństwo me małe;

«Biedny u drzwi mych nie stałby daremnie,  
Każdyby znalazł opiekunkę we mnie!»

Sędzia oglądał się, jadąc, ku łące,  
Gdzie stało dziewczę, wciąż w dumach tonące.

«Milszej dziewczeczki w mojem życiu całym,  
Ze słodszą buzią, jeszcze nie widziałem.

«A że jest skromna, rozsądna i tkliwa,  
Nieśmiała mowa jej mi to odkrywa.

«Gdybyż to dziewczę mogło być mą żoną,  
A ja z nią — grabić tę łąkę skoszona!

«Wtedy nie dręczyłby mnie ów jałowy  
Targ, kto ma słuszność — i obrońców mowy;

«Słyszałbym wtedy dzwonki stąd, piosenki  
Ptaków — i słów mej ukochanej dźwięki».

Lecz wspomniał siostry swe, zimne i dumne,  
I próżnej matki swej plany rozumne,

I zamknął serce — i mocniej spał konia,  
A Maud wciąż stała w zadumie wśród błonia...

*Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).*

## WALT WHITMAN

(1819—1892)

### Z «SALUT AU MONDE»

Weź mię, weź za rękę, Walcie Whitmanie!  
Co za cudne rzeczy tam się rozłaczają, co to za brzmienia, co to za widoki?

Co słyszysz, Walcie Whitmanie?

Słyszę śpiew robotnika, słyszę śpiew żony farmera.  
Słyszę woddali głosy dzieci i głosy zwierząt — ranna to pora.

Słyszę opowieść o boskiem życiu i krwawej śmierci Pana Chrysta.  
Słyszę mędrca hinduskiego, jak swemu uczniowi, w którym sobie upodobał,  
prawi o miłości i o wojnach; jak sieje w jego duszę ziarna mądrości, przekazane przez  
poetów, którzy pisali lat temu trzy tysiące.

Co widzisz, Walcie Whitmanie?

Co to za jedni ci, którym ty pozdrowienia ślesz, i którzy tobie, jeden po drugim,  
pozdrowienia ślą?

Widzę płeć ludzką, płeć męską i żeńską.  
Widzę mędrców w braterstwie zjednoczonych.  
Widzę mocne spojenia rasy mojej.  
Widzę wyniki wytrwałości i skrzętności rasy mojej.  
Widzę ludzi różnych stanów i różnych barw, widzę i barbarzyńców i cywilizo-  
wanych; idę ja do nich, chadzam ja wśród nich, ocieram się o nich — o wszech,  
wszech.

I wszem, wszem pozdrowienie ślę.

Salut au monde!

Gdzie tylko światło i ciepło przenika, i ja tam przenikam.  
Gdzie tylko ptak na skrzydłach pomyka, i ja tam pomykam.

## Z «PIEŚNI O MNIE SAMYM»

Uśmiechnij się, ty rozkoszna, słodkim tchem dysząca Ziemiol  
 Ziemi drzemiących drzew, z których sok się sący,  
 Ziemi słońca zaszłego, Ziemi gór spowitych we mgłę,  
 Ziemi oszklona światłem księżycowem,  
 Ziemi migotliwych blasków i wzorzystych cieni, które igrają na nurcie rzecznym,  
 Ziemi chmur przezroczych, tem jaśniejszych, że dla mnie jaśnieją!  
 Ziemi szerokoramienna, Ziemi krasą jabłonnego kwiecia zdobna,  
 Uśmiechnij się, o Ziemi, bo oto ku tobie kochanek twój idzie!

*Tłum. Tadeusz Grzebieniowski.*

## ZE «ŚPIEWU O OSTRZU TOPORA»

## Wielkie miasto

Wielkiem miastem jest to, które posiada największych mężczyzn i kobiety największe,  
 A choćby się z nędznych składało chat, jest największym miastem na świecie.

Miejsce, gdzie stoi wielkie miasto, nie jest miejscem obszernych warsztatów okrętowych i doków, fabryk i składów,  
 Ani miejscem, gdzie nieskończone brzmią powitania nowoprzybytych, gdzie odjezdni wiecznie podnoszą kotwicę,  
 Ani miejscem najwyższych i najbogatszych gmachów lub sklepów, frymarczących dobrem wszystkich krajów na ziemi,  
 Ani miejscem najlepszych szkół i bibliotek, ni obszarem, gdzie obfitość płynie pieniądza,  
 Ani miejscem zaludnienia najliczniejszego.

Gdzie stoi miasto, płodzące najtęższą rasę mówców i pieśniarzy,  
 Gdzie stoi miasto, przez nich miłowane, a które ich wzajem kocha i rozumie,  
 Gdzie bohaterom nie wnoszą pomników, chyba że — w ludu słowach i czynach,  
 Gdzie oszczędność na swoim jest miejscu i roztropność — na swoim,  
 Gdzie mężczyźni i kobiety niewysokiego są mniemania o prawach,  
 Gdzie niema już niewolników i nikt niewolników mieć nie może,  
 Gdzie lud natychmiast powstaje przeciw niekończącemu się nigdy zuchwalstwu osobników urzędowych,  
 Gdzie nieulekli mężczyźni i nieulekłe kobiety wypadają strumieniem, jak morze, co — przy dźwiękach piszczałek śmierci — toczy wezbrane swoje, nieprzerwane fale,  
 Gdzie godność zewnętrzna najmniej znaczy, a godność wewnętrzna zdobywa pierwszeństwo,  
 Gdzie obywatel zawsze jest głową i celem, prezydent zaś lub namiestnik czy burmistrz i jak go tam nazwiecie — nie są niczem, jeno płatnymi sługami,  
 Gdzie dzieci uczy się być dla siebie samych prawem i sobie tylko samym być posłusznymi,  
 Gdzie panuje prawość w interesach,  
 Gdzie dążność duchowa doznaje zachęty,  
 Gdzie kobiety w pochodach publicznych kroczą przez ulice narówni z mężczyznami,  
 Gdzie kobiety na zgromadzenia publiczne mają wstęp narówni z mężczyznami,  
 Gdzie stoi miasto najwierniejszych przyjaciół,  
 Gdzie stoi miasto czystości płci,  
 Gdzie stoi miasto najzdrowszych ojców,  
 Gdzie stoi miasto najdoskonalszych matek —  
 Tam stoi wielkie miasto!

*Tłum. Alfred Tom.*

## Z «BICIA W BĘBNI»

## Przy biwakowym płomieniu

Przy biwakowym płomieniu migotnym  
Orszak jakiś obraca się wkoło mnie — uroczysty, powolny, słodki...  
Wpobliżu widzę namioty z wojskiem uspionem, mglisty zarys lasu, pól —  
Mrok oświecony ognistymi skrami, cisza —  
Tu, owdzie poruszy się, jak widmo, blisko lub zdala ciemny kształt,  
Drzewa i krzewy, gdy oczy podniosę, zda się, spoglądają na mnie...  
A w orszaku krążą myśli, miękkie, przedziwne myśli  
O życiu i śmierci, o ojczyźnie, o przeszłości i ukochanej, o tych, co w odległej są dali,  
Orszak uroczysty, powolny — gdy tu na ziemi siedzę  
Przy biwakowym płomieniu migotnym.

## Mogiła żołnierza

Kiedym wędrował mozolnie w lasach Wirginji  
Przy muzyce liści chrzęszczących, które trącała ma noga — było to bowiem jesienią —  
Ujrzałem kędyś pod drzewem mogiłę żołnierza:  
Śmiertelnie ugodzony, w odwrocie pochowany — z łatwością wszystko odgadłem;  
Postój w godzinie obiadu, i marsz! bo czas już naglił — a przecie został znak,  
Wyrzezany na desce, przybitej do drzewa nad grobem:  
«Śmiały, ostrożny i wierny, a mój kochany towarzysz».

Długo, długo tam stałem w zadumie, zaczem ruszyłem swą drogą.  
Niejedna przyszła odmiana pór roku, niejedna odmiana scen życia;  
Ale czasem — wśród zmiennych pór i scen — nagle, w samotności lub w ścisku ulicznym,  
Przedemną wznosi się grób nieznanego żołnierza  
I ten napis surowy w lasach Wirginji:  
«Śmiały, ostrożny i wierny, a mój kochany towarzysz».

## O świcie na biwaku

Świt na biwaku — szary i mglisty.  
Po nocy bezsennej wcześniej wychodzę z namiotu  
W chłód poranka i kroczę powoli  
Drogą mimo lazaretu polowego.  
Trzy postacie leżą wyciągnięte na noszach  
Zewnątrz przed namiotem, a nad każdą rozpostarta kołdra,  
Ciężka, wełniana, szarobrunatna kołdra, co wszystko osłania.  
Pociągnięty tajemną siłą, przystaję w milczeniu.  
Potem baczoną dłonią z twarzy najbliższego  
Podnoszę lekko kołdrę:  
Kto jesteś, starszy już człeku, tak suchy i twardy, o włosach mocno siwych, z głę-  
boko zapadłem ciałem pod oczyma?  
Kto jesteś, towarzyszu?  
Potem podchodzę do drugiego:  
A ty kto jesteś, mój chłopcze, ulubieńcze?  
Ty, co różowe masz tchnienie na policzku?  
A potem — do trzeciego:  
Oblicze nie dziecka i nie starca, bardzo łagodne, jak piękna żółtobiała kość sło-  
niowa.  
Młodzianie, pewno cię znam! —  
Ta twarz, zda mi się, ma najgłębszy rys Jezusa Chrystusa, który — umarły a bo-  
ski — wszystkim nam bratem i tutaj znów śmierć poniósł...

## Pojednanie

Słowo nad słowa, piękne jak niebo samol  
 Jak to dobrze, że wojna i krwawe jej dzieło muszą kiedyś całkiem zniknąć,  
 Że ręce siostrzyc: śmierci i nocy — bezustanku, znowu i znowu myją tę ziemię splamioną!

Bo wróg mój zmarł, człowiek, boski jak ja — oto zmarł:  
 Patrę, jak z twarzą białą i taki cichy w trumnie leży — podchodzę bliżej,  
 Chylę się nad nim i lekko dotykam ustami białej twarzy w trumnie.

*Tłum. Alfred Tom.*

## Z «PRZYPISAŃ» DO «ŻDZIEBEŁ TRAWY»

## Gdy pograżon w milczeniu

Gdy, pograżon w milczeniu,  
 Odczytywałem swoje poema, ważąc i medytując długo,  
 Podniosło się przede mną z urągłości wyrazem  
 Widmo, straszliwe w piękności, sędziwym swym wieku i sile,  
 Duch wieszczów odległych krajów, —  
 I płomień swoich oczu obracając ku mnie,  
 A palcem ku licznym a nieśmiertelnym wskazując pieśniom:  
 «Cóż ty śpiewasz?» — groźnym ozwało się głosem —  
 «Nie wiesz, że jedna li nuta jest w pieśni co nie przemija,  
 «Że jest nią nuta wojenna, zapasów bojowych losy,  
 «Tworzenie dobrego żołnierza?»

«Przypuśćmy» — odparłem na to —  
 «Ja też, wyniosły cieniu, śpiewam wojnę i to większą i dłuższą, niż tamta,  
 «A wiodę ją ze zmiennem szczęściem w swojej książce, wojnę pełną ucieczek w rozsypce,  
 szturmów zaciekłych, przezornych odwrotów,  
 «Z ważącem się i zwłóczęcem wiodę ją wciąż zwycięstwem (ale, jak tuszę, pewnem —  
 albo prawie pewnem),  
 «Świat cały bojowiskiem boju na śmierć i życie o ciało i o nieśmiertelną Duszę!  
 «Widzisz więc, że i jam tu przybył z pieśnią wojenną,  
 «I ja też przysparzam dobrego żołnierza».

## Niczem niestrwożon

Niczem niestrwożon, stojąc swobodnie pośrodku Natury,  
 Panując, owszem, wszystkiemu, pewien siebie, w ciżbie nierozumnych rzeczy,  
 Podatny wpływom jak one, pojemny, bierny, milczący jak one,  
 Widząc, że zawód mój, moje ubóstwo, sława, ułomności, przestępstwa są mniej do-  
 niosłe, niżli myślałem —  
 W stronie Meksykańskiej zatoki w Mannahatta lub Tennessee, na dalekiej północy lub  
 w głębi lądu,  
 Jako mieszkaniec porzeczka lub lasów lub jako farmer w którymś ze Stanów czy gdzieś  
 wśród jezior Kanady,  
 Gdziekolwiek przyjdzie mi żywać swój żywot — o, być zaprawdę niezachwianym po-  
 śród wydarzeń!  
 Stawić czoło nocy, burzom, głodowi, śmieszności, wypadkom, przeciwnościom, na po-  
 dobieństwo drzew i zwierząt!

## Przemądrzałość

Tam, gdy spojrzę, widzę tłumny odwrót zdarzeń i wszelkiej chwały i grążenie się w ci-  
 szę — z wiecznego musu. —

Tam dążą godziny, miesiące i lata — tam rzemiosła, zawody, kontrakty, organizacje  
— aż do najdrobniejszych.

Tam i życie powszednie, słowa, narzędzia, polityka, ludzie i wszelkie dobra,

Tam i ja również z pieśni swych zwojem, wiernych i dumnych,

Jak ojciec, co, idąc do ojca swego, zabiera z sobą swe dzieci.

### Poeci przyszłości

Poeci przyszłości! Mówcy! śpiewacy! muzycy przyszłości!

Nie dzień dzisiejszy ma oddać mi słuszość i wykazać kłom zacz,

Lecz ty, o nowe plemię, rodzinie, atletyczne, ładowe, większe niż którekolwiek ze znanych dotąd —

Powstawaj! bo ty musisz wykazać mą słuszość!

Ja sam rzucam tylko jedno, dwa słowa, potrącające o przyszłość,

Wysuwam się na chwilę ku przodowi i, znów zawracając na miejscu, pędzę nazad w ciemności.

Jestem jak człowiek, co, mijając was noga za nogą, krzyżuje się z wami spojrzeniem, poczem znów twarz swą odwraca,

Zdając na was określenie i bliższe dowody,

A tego, co najważniejsze, wyczekując od was.

*Tłum. Stefan Stasiak.*

### RICHARD HENRY STODDARD

(1825—1903)

#### LEONATUS

Nadobny Leonatus, paź Imogeny.

Za panią swoją chodził wślad,

Nióśł korne służby cały dzień

Ledwie brzask rozwił nocy cień,

Już do jej komnat pukał rad,

A gdy mar sennych pierzchnął rój,

Gdy wraz z służebną wdziały strój

I odmówiły pacierz swój —

Z pereł różańca z dawnych lat —

Wtedy wezwany i on sam

Z kornym ukłonem wchodził tam

I rozśpiewane ptastwo w krąg

Ziarnem, owocem karmił z rąk.

Odważny Leonatus, paź Imogeny.

Z arabskich niw dzianeta miał...

Gdy świetny orszak panów, dam

Na łowy ciągnął z zamku bram,

Nim jeszcze, w blasku złotych strzał,

Na wschodzie błysnął słońca wóz —

Z radości paź na siodle rósł,

Sokoła jej na berle niósł,

A cały dwór zazdrością wrzał.

A gdy jej źrenic uczuł grot,

Na wiatr pióropusz rozwił wlot,

Konia ostrogą spiął i — w cwał

Przy Imogeny boku gwał.

Usłużny Leonatus, paź Imogeny.

Znał go królewski cały dwór...

Z poleceniami biegał wciąż...

Klucz piwniczemu brał... (Ów mąż

Krzepki i rosty był, jak tur.)

On go do lochów z sobą wiódł,

Kędy chowano wino, miód...

Najszlachetniejszy brat z nich ród.

Na ogrodowy piął się mur,

Rwał, z oświeconych słońcem stron,

Brzoskwiń i morel słodki plon,

W mig złotą tacę po sam brzeg

Napełniał — i do pani biegł.

Nieśmiały Leonatus, paź Imogeny.

Za krzesłem pani swojej rad

Stawał, wsłuchany w lubej głos...

Wietrzyk mu pieścił złoty włos...

Pszczółą, rzuciwszy wonny kwiat,

W ciszy brzęczała... stał bez sił,

Oczyma w oczy jej się wpił,

Patrzył... i korzył się, i czczył,

I gonił myślą marzeń świat.

A gdy usłyszał lubej śpiew,

W żyłach młodzieńcza wrzała krew,

Rumieniec lica palił mu,

I nie stawało piersi tchu.

Posępny Leonatus, paż Imogeny.

Już go nie nęci uciech czar...  
 Wszystko mu mroczy smutku cień...  
 Za ciszą nocy tęskni w dzień...  
 W noc pragnie kresu sennych mar.  
 Już się nie miesza w gwarny tłum —  
 Gdzie nie dochodzi cizby szum,  
 Snuje samotny pasmo dum  
 I wciąż podsycza serca żar.  
 Nareszcie słabnąć począł... zbladł,  
 Zwarzył się lica świeży kwiat —  
 Tylko mu w oczach lśniły łzy,  
 Martwych fiołków rosy skry.

Trwożliwy Leonatus, paż Imogeny.

«Co tobie — pyta — paziu mój?»  
 A on z westchnieniem rzecze: «Nic».  
 Lecz wyczytała z bladych lic,  
 Skąd jego cierpień płynie zdroj.  
 Miała służebną, jak naschwał  
 Piękną... wzrok pazia ogniem wrzał,  
 Tak w nim miłosny płonie szal!...  
 Odtąd z zazdrością wszczęła bój  
 I wciąż śledziła go... lecz cóż!  
 Paż dla niej drogi stał się już...  
 Zwolna do serca jej się wkraśl —  
 Wreszcie przestonił cały świat.

Kochany Leonatus, paż Imogeny.

Gdy go nie było — za nim wdał  
 Myśl wśród serdecznych słała mąk.  
 Gdy przyszedł, świat rozjaśniał wkrąg.  
 Sto razy dziennie do jej sal  
 Paż, przyzywany, musiał biec...  
 Lecz nie wiedziała, co mu rzec.  
 Odszedł — i czas się pocznie wlec,  
 Znów smutek dręczy ją i żal.  
 To, gdy królewska zawrze krew,  
 Jak grom na pazia spada gniew;  
 To, niby dziecię, cicha znów  
 Pieści go czarem słodkich słów.

Uprzejmy Leonatus, paż Imogeny.

Tak się dziwiła, że on śmiał  
 — Jeśli to miłość mogła być —  
 Przed nią swej duszy tajnie kryć!  
 A nuż tu fortel-by się zdał:  
 «Napisz mi, paziu — wyreż mi —  
 List, jaki chłopcu dziewczę śle...  
 Liścik, z którego miłość tchnie!»  
 Paż ujął pióro... pisząc, drżał...  
 A gdy list pani oddał już,  
 Sama skreśliła adres tuż,  
 Płonąc, jak róży krasny pąk:  
 «Do Leonata, pazia, rąk».

Szczęśliwy Leonatus, paż Imogeny.

Zniknął mu z lica cierpień ślad...  
 Paż, co w obliczu pani drżał —  
 Kochankiem, panem jej się stał...  
 Zmienił się w jawę marzeń świat.  
 Kiedy ich wreszcie złączył ślub,  
 Czytał ballady u jej stóp...  
 A gdy na lutni grała lub  
 Śpiewała pieśni dawnych lat,  
 Cekał, w jej źrenic patrząc toń,  
 Aż się miłośnie schyli doń,  
 By ją w rozkoszny uścisk wplótl...  
 I szeptał, pijąc z ustek miód:  
 «Szczęśliwy Leonatus, pan Imogeny».

\_\_\_\_\_  
*Tłum. Władysław Nawrocki.*

FRANCIS BRET HARTE

(1839—1902)

Z «OPOWIADAŃ O ARGONAUTACH»

Wyrzutki z Poker Flatu

(W skróceniu)

...Osadnicy wpadli byli w arcyzradki paroksyzm surowej moralności. Osada w ostatnich czasach poniosła znaczne straty w postaci kilku wielkiej ceny koni i jednego z głównych swych koryfeuszów, nie licząc paru tysięcy dolarów. Wszystko to,

razem wzięte, zaostrzyło moralne zasady osadników. Tajemna bezsporna władza postanowiła oczyścić Poker Flat z figur podejrzanej moralności. Wyrok wykonany został w części przez powieszenie na gałęziach figowego drzewa, osłaniających wejście do szybu, dwóch przekonanych doraźnym śledztwem o przestępstwo zloczynców, poczęści zaś miał być uzupełniony przez wydalenie z gminy kilku źle notowanych jej członków...

Wyjazd banitów nie wywołał żadnych uwag wśród obojętnie przypatrującej się mu publiczności. Straże nie zamieniły słowa aż do granicy osady, gdzie, kończąc swą misję, oznajmiły wygnańcom wszem wobec i każdemu z osobna, że powrót do Poker Flatu zostaje im wzbroniony pod groźbą utraty życia... Dążyli do Sandy Bar, osady o dzień drogi oddalanej, nie zarażonej jeszcze epidemją cnoty i otwartej przeto dla włóczęgów wszelkiego rodzaju. Droga wiodła przez piętrzące się coraz wyżej góry. Pora roku była spóźniona i umiarkowany klimat dolin zmieniał się tu w zimny i wilgotny...

Jeździec spuszczał się stromą drogą ku koczującym w kotlinie. Po czerstwości młodocianej cery i otwartej fizjonomji Oakhurst poznał odrazu mieszkańca Sandy Bar, Toma Simsona, znanego ogólnie pod nazwą «niewiniątka». Oakhurst spotkał go był przed kilku miesiącami za zielonym stołem, ograł z całego mienia, a po skończonej grze wziął na stronę, mówiąc: «Jesteś poczciwym z kośćmi chłopakiem, ale nie masz pojęcia o kartach; nie kuś drugi raz szczęścia, bo ci nie dopisze». Przy tych słowach wsunął mu w rękę wygrane dopiero co pieniądze i, nie słuchając protestacyj i podziękowań, wypchnął łagodnie za drzwi, ani myśląc o tem, że zjednał sobie wiernego przyjaciela. — To też i teraz w zdziwieniu i powitaniach chłopaka przebiegała serdeczna radość. Jechał próbować, jak mówił, «szczęścia» do Poker Flatu. «Sam?» — «Nie, niezupełnie sam». Zaśmiał się. Była z nim Piney Woods. Oakhurst wszak przypomina sobie Piney Woods? Posługiwała gościom w sali wstrzemięźliwości; kochali się od dawna z Tomem, ale stary Woods robił trudności, więc ją Tom wykradł i miał zamiar poślubić w Poker Flat. Szczęśliwy istotnie traf przewodniczył im w podróży, gdyż tu właśnie zamierzali spocząć chwilę i najniespodziewaniej znaleźli się w tak miłym towarzystwie...

Oakhurst miał sen lekki. Nad ranem obudził się zdrętwiały, zziębły. Gdy powstał w celu rodmuchania ogniska, coś go musnęło po czole, coś, pod dotknięciem czego cała mu krew zbiegła do serca — był to mały płatek śniegu. Porwał się z miejsca w zamiarze zbudzenia towarzyszy i nagłego odjazdu, lecz, spojrzawszy na miejsce, gdzie z wieczora spoczywał wuj Bill, skamieniał. Wuja nie było i śladu, i śladu nie było uwiązanych z wieczora u drzew koni i mulów. Przekleństwo zazgrzytało przez zaciśnięte zęby Oakhursta. Po chwili ochłonął. Stał, jak zwykle, chłodny, rozważny. Poco im sen przerywać? Młody Tom śnił widać sny słoneczne, bo mu uśmiech igrał na purpurowych wargach, a Piney obok grzesznicy spała tak słodko, jak pod opiekuńczym skrzydłem anioła-stróża. Oakhurst otulił się pledem i, melancholijnie głaszcząc wąsy, wyczekiwał świtu. Dzień wychylał się leniwo poza zasłoną oślepiających patrzącego płatków śniegu, krajobraz zmienił się do niepoznania, a Oakhurst obecną chwilę i nieuniknioną przyszłość określił dwoma, ze spokojem wymówionemi słowami: «Śniegiem zasypań!» Szczęściem, złożone w lepiance prowjanty uszły rąk rabusia. Obejrzał je. Zaoszczędzane, mogły wystarczyć na dni dziesiątek...

Wieczorem ozwał się znów akordjon, to przerywanem rozlegając się łkaniem, to wzbijając się w wąwozie lotnemi chichotami. Tym razem jednak muzyka nie omamiła głodnych żołądków, trzeba się było uciec do środków energiczniejszych, jak naprzykład do opowiadania ciekawych historyj. Wniosek ten upadłby zapewne, gdyż ani Oakhurst, ani jego towarzyszki nie byli skłonni do wywoływania mar wspomnień, lecz głos zabrał młody Tom, któremu przed kilku miesiącami wpadły były przypadkiem do rąk zabłąkane wypisy z Iljady w przekładzie Pope'a. Miał on tedy co opowiadać, a choć miarową mowę poety zastąpił gminnym, miejscowym dialektem, ośwładnął niezłe osnową epepei, i wieczora tego przed wyobraźnią banitów kalifornijskiej osady odżyli w blasku i krasie, a po śnieżnych kobiercach, wyścielających wąwóz, stąpali bohaterowie starego Homera... Tak to z odrobiną chleba powszedniego, a z niesłychaną dozą przygrywek na akordjonie, bohaterskich opowieści i baśni minął tydzień cały...



Gdy oddano śniegom zwłoki pierwszej ofiary, Oakhurst wziął na stronę młodego Tommy, dał mu parę łyżew, sfabrykowanych z pozostałego siodła, i wskazując na Piney, następującej użyczył rady: «Pozostaje ci jeszcze jedna przeciw tysiącu szansa. Dla wygranej i zbawienia tego oto dziewczęcia obowiązkiem twoim jest ryzykować. Jeśli uda ci się wybrnąć ze śniegów i za dwa dni dotrzeć do Poker Flatu, wygrasz wielką stawkę». Zapytany, co sam zamierza począć, odrzekł krótko i sucho: «Zostaję». Kochankowie na pożegnanie spleli się długim i czułym uściskiem. «Księżniczka», widząc Oakhursta, gotującego się towarzyszyć młodzieńcowi, spytała go niespokojnie, czy też zamierza oddalić się. «Tylko do ujścia wąwozu», odrzekł chłodno. Nagle zwrócił się i na białych ustach «Księżniczki» złożył najniespodziewaniej pocałunek. — Noc przysła, zerwał się wichur i śnieżna zamieć. Oakhurst nie wrócił... Obie nie spały tej nocy. Spojrzawszy na siebie przy porannym brzasku, odgadły się wzajemnie, wiedziały co je czeka, lecz nie przemówiły i słowa. Piney, młodsza i silniejsza, objęła, aby ją wesprzeć, chwiejną kibić «Księżniczki». Tak wspierając się wzajemnie, przesiedzieli w milczeniu dzień cały...

Ucichła burza. Wiatr zwolna chwiał nad uspionymi gałęzie drzew, ciche im nucąc kołysanki. Leciuchne, olśniewające płatki śniegu, nakształt białych motyli, latały nad nimi i słały się dokoła miękkim, puszystym kobiercem. Gdy księżyc wyjrzał z poza chmur, tam, gdzie niedawno koczowała garść banitów, nie pozostało śladu ludzkiej ręki lub stopy. — Tak kobiety te spały dzień cały i jeszcze dzień następny i nie zbudziły się wówczas nawet, gdy ludzkie kroki i głosy niosących im pomoc przerwały zakłęta ciszę wąwozu. Gdy odgarnięto przysłaniającą ich twarze śnieżną zasłonę, obie były jednostajnie spokojne, i najsurowsza bogdaj moralność nie odróżniłaby grzesznicy od niepokalanej. Pozostawiono je, jak były, siostrzanem splecione objęciem. — Przy ujściu wąwozu na najwyższej sośnie dostrzeżono do odartej kory drzewa kulą przybitego asa, a na karcie ołówkiem, lecz nie drżącą wcale ręką skreślone słowa: «Pod tem drzewem spoczywają zwłoki Johna Oakhursta. W dniu 23 listopada 1850 roku przegrał wielką grę, a w dniu 7 grudnia tegoż roku zastrzelił się w tym wąwozie». Zimny i sztywny, jak za życia spokojny i obojętny, z rewolwerem w rękę i kulą w piersi, pod śnieżnym całunem i na śnieżnej pościeli spoczywał najsilniejszy napozór, lecz, jak się okazało, w rzeczy samej najslabszy z wyrzutków Poker Flatu.

*Tłum. W. Zyndram-Kościałkowska.*

## MARK TWAIN (SAMUEL LANGHORNE CLEMENS)

(1835—1910)

### JAK WYDAWAŁEM PISMO ROLNICZE

(W skróceniu)

Objąłem chwilowo redakcję pisma rolniczego — nie bez trwogi. Tak samo mieszkanie lądu stałego trwoźnie obejmuje kierownictwo okrętu. Ale znajdowałem się wówczas w okolicznościach, które czyniły dla mnie honorarjum dziwnie ponętnem. Redaktor pisma wyjeżdżał na wakacje, przyjąwszy więc ofiarowane przez niego warunki, zająłem jego miejsce. — Rozkosznie było czuć się przy pracy, więc cały tydzień mozoliłem się z prawdziwą przyjemnością. Wreszcie numer poszedł pod prasę, i cały dzień czekałem w naprężeniu, czy też wysiłki moje zwrócą na siebie uwagę. Gdym około zachodu słońca opuszczał biuro redakcyjne, pierzchnęła nagle zebrana u stóp schodów gromadka mężczyzn i chłopców, ustępując mi miejsca; usłyszałem, jak paru z nich szeptało: «To on!» — i to oczywiście sprawiło mi przyjemność. Następnego ranka ujrzałem podobne zbiegowisko u stóp schodów i rozmaite indywidua, bądź pojedynczo, bądź parami rozrzucone na ulicy w pobliżu; wszyscy przyglądali mi się z zajęciem. I ci rozstępowali się i usuwali za moim zbliżeniem, lecz znów usłyszałem, jak ktoś mówił: «Patrzenie, jakie ma oczy!» Udałem, że nie dostrzegam wrażenia, jakie wywieram; niemniej mile mię to łechtało, i postanowiłem napisać o tem do mojej ciotki. — Wchodząc na niewysokie pięterko, usłyszałem ożywione głosy i wesoly

śmiech, a otworzywszy szybko drzwi, zobaczyłem dwóch młodzieńców o sielskiej powierzchowności, których oblicza wydłużyły się i pobladły na mój widok, poczem obadwaj wysunęli się przez okno z wielkim trzaskiem. Byłem wielce zdziwiony.

W jakie pół godziny potem wszedł niemłody pan z długą brodą, o rysach pięknych, lecz surowych i, gdy go zaprosiłem, usiadł naprzeciw mnie. Zdawał się mieć coś na sercu. Zdjął kapelusz, postawił go na ziemi obok siebie, poczem wyciągnął zeń czerwoną jedwabną chustkę i egzemplarz mej gazety. Gazetę rozłożył na kolanach i, starannie przecierając chustką okulary, zapytał: «Czy pan jesteś nowym redaktorem?» Odpowiedziałem twierdząco. «Czy pan kiedykolwiek wydawałeś już pismo rolnicze?» — «Nie», odparłem, «to moja pierwsza próba». — «Najwidoczniej. Czy masz pan jakie praktyczne doświadczenie w rolnictwie?» — «Nie, zdaje mi się». — «Tak mi mówiło przecucie», rzekł stary jegomość, nakładając okulary i ostro na mnie patrząc ponad szklami, przyczem wygodnie sobie składał gazetę, «zyczyłbym sobie, abyś pan przeczytał to, co było powodem mego przecucia. Mianowicie ten ustęp. Słuchaj pan i powiedz, czy to naprawdę wyszło z pod pańskiego pióra: «Rzepy nie należy zrywać, bo to jej szkodzi. O wiele lepiej jest posłać chłopca, aby potrząsnął drzewo». Cóż pan w tem widzi? Cóż pan o tem sądzisz? Bo naprawdę, zdaje mi się, że pan to pisałeś». — «Co o tem sądzę? Sądzę, że to dobrze, sądzę, że to rozumnie. Nie wątpię, że co roku niszczy się miliony rzep, zrywając je nawpół dojrzałe, tymczasem gdyby zalecić chłopcu, aby potrząsnął drzewo...» «Potrząśnij pan swoją babkę! Przecież rzepa nie rośnie na drzewach!» — «Ach, nie rośnie, wiadomo. Któż mówił, że rośnie? To przecież była przenośnia, najzupełniejsza przenośnia! Każdy, co ma trochę rolgarnięcia, domyśli się, że chłopiec ma otrząsać rzepę z krzaku». Wówczas ten starzec powstał, podarł gazetę na drobne strzępy, podęptał je, potłukł laską rozmaite przedmioty, powiedział, że znam się na przedmiocie tyle, co krowa; wreszcie wyszedł, zatraskując drzwi za sobą. Słowem, z zachowania się jego mogłem przypuścić, że mu się coś nie podobało; nie wiedząc jednak, co jest przyczyną jego niezadowolenia, nie mogłem mu w niczem zaradzić.

Wkrótce potem zjawilo się jakieś stworzenie trupiej bladeści, o długich, strzępiastych włosach, spadających aż na ramiona; bujna złotawa ścierni pokrywała brózdki i miedze jego oblicza. Osobistość ta wpadła do pokoju i stanęła bez ruchu, w palcem na ustach, w postawie nasłuchującej. Żadnego dźwięku nie było słyhać. On jednakże wciąż nastuchiwał. Nic. Wówczas zamknął drzwi na klucz i zbliżył się ku mnie, kołysząc się na końcach palców; stanął przede mną, przez chwilę wpatrywał się we mnie z głębokim zajęciem, poczem wydobył z zanadru złożony numer mego pisma i rzekł: «Pan to pisałeś? Przeczytaj mi to pan... zaraz! sprawisz mi tem wielką ulgę, bo cierpię». Zacząłem czytać i w miarę, jak wyrazy padały z mych ust, widziałem, że następowała ulga, wolniało naprężenie mięśni, z rysów słuchającego znikał niepokój, i rozlewała się na nich słodycz i ukojenie, niby światło księżycowe nad posępnym krajobrazem. Czytałem tedy, co następuje: «Guano jest to piękny ptak, ale wymaga hodowli ogromnie troskliwej. Nie trzeba go nigdy przywozić przed początkiem czerwca ani po końcu września. W zimie należy go trzymać w ciepłe, aby samice mogły wysiadywać jaja. — Najwidoczniej będziemy mieli w tym roku wczesne upały. Wskutek tego gospodarze powinni przystąpić do sadzenia placków hreczanych w lipcu zamiast w sierpniu. — Co się tyczy dyni, jest to ulubiona jagoda mieszkańców Nowej Anglii. Wolą oni używać jej do ciast zamiast porzeczek, zastępują nią również maliny przy karmieniu krów, gdyż osiąga się w ten sposób znacznie lepsze rezultaty. Dynia jest to jedyny gatunek z rodziny pomarańczowych, jaki się udaje na północy oprócz tykwy. Ale szybko wychodzi z mody zwyczaj sadzenia jej przed domem między krzewami, albowiem przekonano się, że dynia, jako drzewo dające cień, niewiele jest warta. — Teraz, gdy nadchodzą dni ciepłe, gąsiory zaczynają dawać nasienie...» W tej chwili wzbudzony słuchacz poskoczył ku mnie, wołając: «Dosyć, dosyć! Wiem już, że jestem przytomny, skoro pan przeczytałeś to dosłownie tak, jak i ja. Lecz, panie, gdy moje oczy padły na to po raz pierwszy dziś z rana, ja, któremu nigdy dotąd nic podobnego nie przyszło na myśl, mimo że moi przyjaciele pilnują mię tak surowo, ja uwierzyłem, że oszalałem. Więc zacząłem wyć, że było słyhać o miłą naokoło, i wybiegłem, aby kogoś zabić; bo, wie pan, prędzej czy później może przyjść do tego, więc czemużbym

nie miał zacząć odrazu? Jeszcze raz odczytałem ten artykuł, aby się przekonać, że zwarzjowałem, poczem podpaliłem dom i wybiegłem. Kilku ludzi okaleczyłem po drodze, a jednego zarzuciłem na drzewo, żeby go mieć pod ręką w sposobnej chwili. Ale przyszło mi na myśl, że mogę tu zejść, przechodząc, i sprawdzić całą historję; skoro się przekonałem, że to naprawdę jest wydrukowane czarno na białym, no! to całe szczęście dla tego faceta, co tam siedzi na drzewie. Inaczej bowiem zabiłbym go z pewnością, wracając. Żegnam pana, żegnam! Zdjąłeś mi pan ciężar z serca. Skoro mój rozum nie nadwężył się po przeczytaniu pańskich artykułów, to już nie mu nigdy nie grozi. Do miłego widzenia!»

Czułem się trochę nieprzyjemnie dotknięty opowiadaniem tego jegomościa o burdach i pokaleczeniach, których ja byłem pośrednio powodem. Lecz te myśli rozwiało ukazanie się naczelnego redaktora. (Na widok jego pomyślałem: Gdybyś był usłuchał mojej rady i pojechał do Egiptu, miałbym sposobność do rozwinięcia nieco mej działalności; ale nie chciałeś widocznie. Domyślałem się, że tak zrobisz.) Redaktor zdawał się smutny, wzruszony i strapiiony. Rzucił okiem na zniszczenie, sprawione przez starożawadającą i tych dwóch, co uciekli oknem, i rzekł: «To smutna historja, bardzo smutna historja! Stłukli butelkę z klejem, sześć szyb, spluwaczkę i dwa lichtarze. Ale to jeszcze nic. Opinia naszego pisma jest podkopana, i to, obawiam się, na zawsze. Coprawda, jak świat światem nie było jeszcze takiego popytu na gazetę i nigdy tak olbrzymi nakład nie wyczerpał się w tak krótkim przeciągu czasu...»

*Tłum. Alina Świdorska.*

### EDGAR LEE MASTERS

(ur. 1869)

#### HOD PUTT

Tutaj to leżę ja przy grobie  
starego Billa Piersola,  
co się wzbogacił, kupcząc z Indjanami,  
a potem zgłosił upadłość  
i wyszedł z niej z nabitą kiesą.  
Ja zaś, znużony pracą i ubóstwem,  
widząc, jak Bill i inni porastali w pierze,  
napadłem przy zagaju podróżnego,  
i śmierć mu zadałem.  
Za to sądzono mię i powieszono.  
Oto i moja upadłość.  
Teraz, obaj za życia będąc bankrutami,  
Śpimy spokojnie skroń przy skroni.

*Tłum. Stanisław Helsztyński.*

### EDWIN ARLINGTON ROBINSON

(ur. 1869)

#### CZARNE WZGÓRZA

Gór czarne stoki, o wieczornej porze  
słońca nad wami zachód łśni zwieszony,  
jak dźwięk złotego rogu, który łoże  
porusza grobów i proch w nich uśpiony —  
zdala od szlaku, gdzie się sztandar pali,  
gdzie zamęt blasków strzela niespokojny,  
gaśnicie — jakby świat się zapadł wdali,  
jakby się wszystkie już skończyły wojny.

*Tłum. Stanisław Helsztyński.*

## ROBERT FROST

(ur. 1875)

## DOTKNIĘCIE, KTÓREM..

Dotknięcie, którym wrona  
z góry, z jemioly brzegu  
na głowę mą, ramiona  
chmurę strzepnęła śniegu,  
spędziło myśl mą czarną  
i przemieniło serce:  
dzięką było ofiarną  
za cząstkę dnia w rozterce.

*Tłum. Stanisław Helsztyński.*

## PASTWISKO

Ide oczyścić strumień na pastwisku;  
nic, tylko liście tu i tam wygrabię —  
toń będzie czysta — dłużej nie zabawię;  
nie potrwa długo — chodź i ty też ze mną.  
Drobiazg ten — ciełą przyprowadzić muszę,  
co tam przy matce stoi — młode jeszcze:  
drży, gdy językiem liżąc, sierść mu pieści.  
Nie potrwa długo — chodź i ty też ze mną.

*Tłum. Stanisław Helsztyński.*

## JACK LONDON

(1876—1916)

## ŚRÓD WIELKIEJ BIAŁEJ CISZY

(W skróceniu)

... Wielka biała cisza ścisła serce szczególnym niepokojem. Natura przypomina człowiekowi tysiącami sposoby jego znikomość, pokazując mu wieczysty przypływ i odpływ morza, rozszalałość burzy, trzęsienie ziemi, przeciągły huk grzmotu, najbardziej jednak przejmujące i zdumiewające z tych zjawisk — to ów bierny stan wielkiej białej ciszy. Zanika ruch wszelki; niebo rozjaśnia się, przybierając tony miedzi; najślabszy szmer wydaje się profanacją; dźwięk własnego głosu przejmuje lekkiem omiśmionego nagle podróżnika. Jest on jedyną iskrą życia wpośród bezmiernych przestrzeni martwego jakiegoś świata i drży na myśl o dotychczasowym swym zuchwalstwie, w poczuciu swej słabości. Dziwne myśli tłoczą się w mózgu, dręczy tajemnica wszechstworzenia. Strach przed śmiercią, Bogiem, wszechrzeczą opanowuje władnie duszę, budzi się nadzieja zmartwychwstania i nowego żywota, pragnienie nieśmiertelności — daremne wysiłki ujarzmionego ducha. W chwilach tych staje człowiek sam wobec Boga.

Dzień minął podróżnikom na wędrowce przez tę ciszę. Rzeka wyginała się w tem miejscu w wielki załom, to też Mason prowadził sanie drogą najkrótszą przez wąską smugę ziemi. W pewnym miejscu wszelako psy nie mogły wdrzeć się na przecinającą ją dość wysokie wzgórze. Poślizgiwały się wciąż, mimo iż Ruth z Malemutem pchali ztyłu sanie... Mason kroczył przodem, nie przeczuwając, jakie niebezpieczeństwo zawisło nad prowadzoną przezeń gromadką. Droga wiodła teraz poprzez kotlinę o krajach, porośniętych wysokopiennymi drzewami, wśród których sanie posuwały się naprzód z niemalym trudem. Nieco na uboczu wystrzelała w górę olbrzymia sosna; przetrwała wiele pokoleń ludzkich, i podczas lat tych długich przeznaczenie przechowywało ją dla swych celów: zdawna już może orzekło o losie Masona. Pochylił się on właśnie, by zacisnąć rzemień obuwia. W powietrzu była przejmująca cisza. Najślabszy podmuch wiatru nie kołysał sztywnych od mrozu gałęzi. Ale nagle jakby westchnienie jakieś

rozległo się w przestrzeni; wyczuli je raczej, niż usłyszeli: było niby zapowiedź ruchu wpośród pustki i znieruchomienia. I oto potężna sosna, dźwigająca ciężar lat i śniegu, odegrała swą rolę w dramacie przeznaczenia. Słyszając trzask znamiennej i złowieszczy, Mason podniósł głowę. Zbyt późno, niestety: pień powalił się olbrzymią swą masą na jego ramiona. — Ileż to razy stawiało już ich życie wobec nagłego niebezpieczeństwa lub widoków śmierci. To też zahartowany na nie Malemut nie stracił przytomności i zabrał się wnet do ratowania towarzysza. Młoda Indjanka nie zemdlała, nie poczęła nawet biadać, jak uczyniłyby niezawodnie jej siostry białej rasy, lecz za wskazówką Malemuta zaciążyła całym ciałem na zaimprovizowanej przezeń dźwigni, gwoli zmniejszenia straszliwego ucisku zwałonego drzewa. Sam Malemut wraził w nie siekiere. Po długich wysiłkach wy dobył wreszcie bezwładne ciało kamrata. Kobieta patrzyła nań wzrokiem, w którym lęk kojarzył się z nadzieją; niemy ból wyrzył się na jej obliczu. Zamienili za ledwie kilka uwag: ci ludzie Północy wcześniej poznają bezużyteczność słów i doniosłość czynów... Noc bezlitosna schodziła z wolna na ziemię. Ruth siedziała przy mężu, pełna stoickiej rozpacz swego rasy; na śniadej twarzy Malemuta żłobiły się nowe zmarszczki. Mason cierpiał w rzeczywistości mniej, niż oni; w bredzeniu gorączkowym odżywały dni przeszłości, wspomnienia ojczystych zakątków...

Malemut zabrał się czynnie do pracy i, korzystając z sąsiedztwa sosen, począł urządzać kryjówkę, podobną do tych, w których myśliwi chronią swój łup przed paszczą psów i wilków. Pochylił ku sobie, zginając je niemal ku ziemi, czuby dwóch młodych sosen i umocował w tej pozycji zapomocą specjalnych kleszczy. Skończywszy z tem, zaprzął psy do dwojga sani, na które złożył cały ładunek, z wyjątkiem futer, spowijających Masona. Otulił w nie szczelnie przyjaciela i obwiązał sznurami, których dwa końce przyczepił krzepko do dwóch czubów. Jedno cięcie nożem myśliwskim starczy, by powrócić drzewom naturalną ich pozycję i unieść ciało wysoko w przestrzenie. — Ruth nie opierała się ostatniej woli męża; oddawna już nauczyła się posłuszeństwa, przywykła od dzieciństwa chylić głowę przed panem stworzenia. Włożyła cały ból swój w pocałunek, jakim przylgnęła do jego twarzy, czego nie czynią wogóle kobiety jej rasy, poczem poszła ku saniom wraz Malemutem, który pomógł jej przywiązać łyżwy. Instynktownie, ślepo ujęła w jedną rękę bicz, w drugą długi drąg, służący do nadawania kierunku pojazdowi, i ruszyła w drogę. Malemut pozostał jeszcze przy przyjacielu, który zapadł był w sen letargiczny. Przysiadł u ognia i czekał długo — czekał, czy śmierć nie zechce ułatwić mu zadania. — Minęła godzina jedna i druga — Mason dyszał wciąż jeszcze. W południe słońce zakreśliło na niebie linię świetlną, która zniknęła szybko. Malemut zbliżył się do przyjaciela i powiódł wzrokiem po przestrzeni. Wielka biała cisza zdawała się urągać jego bezsilności. Dziwny lęk wstrząsnął całą jego istotą. Rozległ się strzał, a jednocześnie niemal Mason uniósł się w górę w swym powietrznym grobie. Malemut popędził gwałtownie psy, uciekając poprzez równie śnieżne.

*Przekład bezim. w «Literaturze i Sztuce» (1911).*

## SHERWOOD ANDERSON

(ur. 1886)

### Z «PIEŚNI STEFANA»

Z zachodu ja przychodzę, przychodzę z pól, pokrytych aksamitnym kobiercem zieleni. Postanowienie moje mocne jest. Jako on wichr polny zrodzonym ja jest. Przycho-dzę z pośród grzęd, na których szumią badyle kukurydzy. Skroń moją ogorzała kropki pot rześisty.

W zagonie kukurydzy było leże moje, przez długi czas, długi. Macierz ma — ziemia czarna — mlekiem mię swem karmiła. A gdy sił nabrałem, zbudowałem dom o oknach, ku wschodowi zwróconych. Włosy na mych barkach były jako owo ziele, co rośnie na lasu krawędzi.

Słyszcie! Oto ja jestem tym, który dom buduje i kamieniami wbija ćwieki. A od

uderzeń kamienie na cząstki się rozpadają. Młot pieśni został mi dany. Starym bogom podobny ja jestem — ja, Amerykanin z Dakoty, z głębokich jarów rzeki Missisipi, z Illinois, Iowy, Ohio.

CARL SANDBURG

(ur. 1878)

POMROKI GROBÓW

Gdy Abraham Lincoln zniknął pod piachem w ziemi, zapomniał o południowcach, o skrytobójcy... w prochu, w pomrokach grobów.

Również Ulysses Grant wrogów zbył z pamięci; zbył z pamięci wrogów i sprawy giełdowe i te kości, co obok niego spoczywają, przewrócone... w prochu, w pomrokach grobów.

Postać Pocahonty, wdzięczna jak topola, słodka jak czerwony głóg listopadowy, jak mak w miesiącu maju, czy dziwiła się czemukolwiek? czy pamięta o czemukolwiek?... w prochu, w pomrokach grobów?

Weź gromadę ludzi — stroje kupują albo towar korzenny, albo okrzyki na cześć bohatera wznoszą, rzucają konfetti lub w mosiężne dmą trąby... powiedz mi, czy kochankowie tracą cośkolwiek... powiedz, czyli ktokolwiek więcej, niżli kochankowie, zyskuje... w prochu, w pomrokach grobów.

*Tłum. Stanisław Helsztyński.*

VACHEL LINDSAY

(ur. 1879)

DO ŻŁOTOWŁOSEJ DZIEWCZYNY W LUIZJANIE

Wschód słońca jesteś ty,  
jeżeli gwiazda może wzejść jak słońce;  
wschód nowiu jesteś ty,  
jeżeli gwiazda może wzejść jak księżyc.  
Czar wiosny w tobie lśni,  
jeżeli twarz zakwitnąć może miast jabłoni.  
Miłością jesteś mi,  
jeśli twe serce takie jest łaskawe,  
jak oko twoje w młodych źrenic toni.

*Tłum. Stanisław Helsztyński.*

SINCLAIR LEWIS

(ur. 1885)

Z «BABBITTA»

Nie było nic z olbrzyma w postaci mężczyzny, który zaczynał się budzić w alkowacie sypialni domu Kolonji Holenderskiej w eleganckiej dzielnicy Zenitu, zwanej Floral Heights. Nazywał się Jerzy F. Babbitt. Liczył obecnie, w roku 1920, lat czterdzieści pięć. Nie «robił» w niczem specjalnie, ani w butach, ani w poezji, ale czuł żywe powołanie do sprzedawania ludziom domów za cenę wyższą, niż byli w stanie zapłacić. Szerokie jego oblicze było czerwone, brązowe, włosy cienkie i suche. We śnie twarz Babbitta miała coś dziecinnego, pomimo wąsów i czerwonej pręgi od binokli nad nosem. Nie był tłusty, ale wyjątkowo dobrze odżywiony. Policzki miał jak wywatowane, a dłoń, bezsilnie spoczywająca na kocu barwy khaki, przypominała nieco

poduszkę. Miał wygląd człowieka zamożnego, nieskończenie żonatego i nieromantycznego. Nic romantycznego nie było również w alkowie, z której widok rozpościerał się na jeden wielki klomb, na dwa szanowne trawniki, cementowaną drogę i żelazny garaż. Babbitt na nowo zapadł w sen o uroczem dziewczęciu, sen bardziej romantyczny, niż szkarłatne pagody nad srebrnym morzem...

Strajkujący zapowiedzieli pochód na czwartek rano. Ale pułkownik Nixon zabronił im tego — tak pisały gazety. Jadąc tego ranka do biura, Babbitt zobaczył pochód, złożony z kilkunastu nędźnie wyglądających ludzi, którzy szli w kierunku ciasnej brudnej dzielnicy za Court House Square. Nienawidził ich, ponieważ byli biedni, ponieważ z ich winy nie czuł się bezpieczny. «Przeklęte leniuchy! nigdy nie będzie z nich porządnych robotników, dopóki nie sprawi im się lania!» skarżył się. Myślał, czy dojdzie do starcia. Pojechał do miejsca, skąd miał ruszyć pochód; był to trójkąt zdeptanej zwiędłej trawy, noszący szumną nazwę Moore Street Park. Tu zatrzymał samochód. — Park i ulice pełne były strajkujących: młodzieńców w niebieskich koszulach, mężczyzn w kapotach. Między strajkującymi, trzymając ich w ciągłym naprężeniu, jak gotujący się kocioł, szli milicjanci. Babbitt słyszał monotony głos żołnierzy: «Przejsć! Rozejść się! Ustąpić!» Babbitt podziwiał ich spokój i takt. Tlum krzyczał: «Franty! Podte psyl Pacholki kapitalistów!» Ale milicjanci odpowiedzieli uśmiechem: «Masz słusność! Rozstap się, Kubusiu!» Babbitt zachwycał się obywatelskim wojskiem, nienawidził łajdaków, którzy robili zamieszanie na miłym i bezpiecznym gościńcu Własności Prywatnej, podziwiał zimną nienawiść pułkownika Nixona; a kiedy kapitan Drum, ten nadęty szewc, nadbiegł, Babbitt zawołał z uznaniem: «Czołem, kapitanie! Nie puszczajcie ich!» Patrzył na strajkujących, którzy szli od strony parku. Niektórzy z nich nieśli transparenty z napisem: «Nie mogą nam zabronić maszerować spokojnie!» Milicjanci wyrwali transparenty, ale z za pleców leaderów wyskoczyli strajkujący i plakaty odebrali z powrotem; małe, nieznaczne cofnięcie się stalowych szeregów żołnierzy... Ku swemu wielkiemu rozczarowaniu Babbitt przekonał się, że nie zanosí się na bijatykę ani na nic interesującego. Patrzył. W szeregu strajkujących obok młodego barczystego robotnika szedł Seneka Doane, uśmiechnięty, zadawolony. Przed nim prof. Brockbanks, dziekan wydziału historycznego na uniwersytecie rządowym; stary, siwowłosy jegomość, o którym było wiadomo, że pochodzi ze znakomitego rodu w Massachusetts. «Co, u diabła?» zdumiał się Babbitt, «i ten z nimi? I ten poczciwy Seneka Doane? Głupi, że się mieszają z tą hołotą! ale mają fason! Bo co im z tego? I nie powiem, żeby już wszyscy ci strajkujący mieli miny ostatnich nicponiów... wyglądają, jak inni ludzie!» Milicjanci skierowali pochód w boczną ulicę. «Takie samo prawo mają oni iść, jak każdy inny! Ulice są ich, jak są Druma albo Legjonu Amerykańskiego!» mruzczał Babbitt. «Oczywiście, to element bezwartościowy, ale...»

Podczas śniadania w «Klubie Atletów» Babbitt był milczący. Inni natomiast wrzeszczeli: «Nie wiem, do czego to dojdzie», lub piecieszali się, kpiąc ze strajkujących. Wpadł kapitan Drum — wspaniały w swoim mundurze khaki. «Jakże tam poszło, kapitanie?» spytał Werg Gunch. «O, zatrzymaliśmy tę hołotę. Wtłoczyliśmy pochód w boczną ulicę, rozproszyli się i z nosem na kwintę poszli do domów.» — «Ładnieście się spisali. Bez gwałtów.» — «Wcale nieładnie», gniewał się Drum. «Gdyby mi dali wolną rękę, byłoby trochę gwałtu, aleby się z tem skończyło! Nie mam przekonania do tego wiecznego cackania się z tymi łobuzami! To ich tylko rozzuchwala! Powiem wam szczerze, że ci strajkujący to poprostu banda socjalistów, i bez kija nie dojdzie się z nimi do ładu! Takie jest moje zdanie! Prac i szlus!» Nagle Babbitt usłyszał swój głos: «Pleciecie, Drum. Tacy sami ludzie, jak ja albo wy. Mówię wam, nie zauważyłem, żeby mieli złe zamiary». — «Nie zauważyłem, co?» unosił się Drum, «może zechcesz popierać strajki, co? Może zechcesz wytłumaczyć pułkownikowi Nixonowi, że to niewinne owieczki, co? Bardzo będzie rad to usłyszeć!» indyczył się Drum. Cały stół patrzył na Babbitta. «Co to znów za pomysł? chcesz te wściekle psy gładzić?» spytał Jones. «Bierzesz stronę nicponiów, którzy chcą odebrać chleb z masłem twojej rodzinie?» gorączkował się Pumphrey. Werg Gunch milczał niepokojąco. Ubrał się w po-

wagę, jak w maskę. Policzki jego były twarde, włosy «en brosse» miały w sobie coś okrutnego, w milczeniu była wściekłość piorunów... gdy inni zapewniali Babbitta, że musieli go źle zrozumieć, Gunch miał minę, jakgdyby rozumiał aż nadto dobrze. Jak surowy sędzia, słuchał dowodzeń Jerzego: «No, naturalnie, że to nicponie... ale uważam... to najgorsza metoda mówić do nich o kijach. Kabe Nixon wie o tem. Nixon ma delikatną włoską rękę. A Drum mu zazdrości». — «Czy wiesz», powiedział Pumphrey, «że obrażasz Druma? Przez cały ranek uwijał się do siódmego potu, nic więc dziwnego, że chciał...» Gunch nie mówił nic. Obserwował. Babbitt czuł, że jest obserwowany.

Tłum. Zofja Poptawska.

## EUGENE O'NEILL

(ur. 1888)

### Z «CESARZA JONESA»

(Sala przyjęć w pałacu cesarza jednej z wysp zachodnio-indyjskich; umeblowania brak zupełny z wyjątkiem olbrzymiego tronu, sporządzonego z szorstkiego, surowego drzewa. Jones — mocno zbudowany murzyn pełnej krwi, w średnim wieku; w twarzy jego jest coś dziwnie dystygowanego, pewna subtelna siła woli i twarda, niewzruszona pewność siebie budzą szacunek; w oczach widać śmiałą inteligencję i spryt, w obejściu przebiegłość, podejrzliwość i wykrętność. Smithers ma lat około czterdziestu, wysoki, nieco przygarbiony, z głową łysą, podobną do jaja; wyraz twarzy tchórzliwy, podły, człowieka bez skrupułów, niebezpieczny. W jego stosunku do Jonesa czuć, że pragnie dać ujście swej oddawna utajonej nienawiści i zawiści o jego wyższość — o ile mu odwaga na to pozwala.)

Jones (*nie widząc nikogo, zirytowany i zaspany mówi, przewracając oczyma*): Kto tu śmie gwizdać w moim pałacu? Kto się waży budzić cesarza? Pewnie który z tych bestyj negrów! Psiakr...

Smithers (*stojąc przed mm napół lekliwie, napół bezczelnie*): To ja gwizdałem — na was! (*Jones marszczy czoło*) Mam dla was wiadomości.

Jones (*starając się zdobyć na pewną uprzejmość, ale nie mogąc ukryć swej pogardy dla białego*): A, to ty, panie Smithers! (*Siada na tronie z godnością*) I cóż to za wiadomości — he?

Smithers (*podchodząc bliżej do niego, aby nacieszyć się jego zmieszaniem*): Czy nie zauważyliście dzisiaj — nic dziwnego?

Jones (*chłodno*): Dziwnego? Nie; dziwnego — nic.

Smithers: Toście nie tacy chytry, jak to sobie myślałem. A gdzie się dziś podział wasz dwór — (*z szyderstwem*) wasze generały i ministery, i ta reszta?

Jones (*bynajmniej niezmiessany*): Gdzie? A tam, gdzie ich zawsze gna, jak tylko się zdrzemnę — na rum do miasta i na pyskowanie. (*Szyderczo*) I że tyś tego nie wiedział — patrzcie państwow! A pewnie z nimi nieraz chlejesz?

Smithers (*dotknięty, udaje jednak obojętność, mrugając do niego*): Przecie to należy do urzędowania. Przecie — no jakże — to mój obowiązek — nie?

Jones (*z pogardą*): Obowiązek — he?

Smithers (*zapędzając się w podrażnieniu*): No, czy nie ładnie wam służyłem, jakeście tu wyładowali! Pamiętacie — jakeście to jeszcze nic nie mieli, oprócz waszych apetytów i fumów?

Jones (*sięgając ręką po rewolwer — groźnie*): Tylko grzecznie, biały drabie, tylko grzecznie, rozumiesz? Ja tu cesarzuje teraz — słyszysz? (*Biały już zamierza czynem obalić to jego twierdzenie, ale coś go ostrzega i napęlnia lękiem.*)

Smithers (*niemal jęcząc tchórzliwie*): Nie chciałem was urazić, stary przyjacielu.

Jones (*taskawie*): Dobrze — przebaczam ci. (*Zdejmuje rękę z rewolweru*) Bo i poco wywlekać stare dzieje? Czem byłem kiedyś — to inna sprawa, a czem teraz — to znowu inna. Żeś mnie wziął za współnika twoich szachrajstw — i to chyba nie przez jakieś żulości dla mnie — to wiadomo. A kto się naharował za ciebie, jak nie ja — co? I kto to głowił się, powiedz sprawiedliwie! A żeś się mną zajął, to tylko dlatego, żeś widział we mnie taki kawalek, co wart trochę grosza.



Smithers: A kto ci pierwszy podał rękę, jeszcze wtedy, jak cię nikt nie chciał, pamiętasz? Ja się nie strachalem najać was do roboty, kiedy nikt was nie chciał za te wasze historie w Ameryce — z kryminałem.

Jones: A boś nie miał żadnego prawa — skądże ty, kiedy sam niejedną raz w dziurze siedziałeś!

Smithers (*wściekły*): Łzesz! (*Następnie stara się złagodzić tę obelgę szyderstwem*) Głupie gadanie — i któż wam tych plotek nagadał?

Jones: Są takie rzeczy, których mi nikt nie gada. Nie potrzeba — bo ja je ludziom z oczu wypatrzę. (*Po pauzie — w zamyśleniu*) Prawda, pierwszy podałeś mi rękę — przyznaję. Ale i ja niedużo czasu potrzebowałem na osadzenia tych głupich negrów — wnet nauczyli się tańczyć, jak im zagram. (*Z dumą*) Z uciekiniera na cesarza — w dwa lata! To nie byle co — he?

Smithers (*z zaciekawieniem*): No, i niezgorsza kupka pieniędzy — dobrze schowana.

Jones (*z zadowoleniem*): To się wiel! I w banku zagranicznym — tam ich nikomu nie wydadzą — żeby się cały świat nawet zawalił. Tylko mnie osobiście. Chyba ci się nie ubrdało, żem dla chwały piastował tę cesarską fatygę — he? Te fupy i blichtry to dla tej czarnej hołoty — żeby się dziwili. Głupie negry płacą, bo chcą mieć cyrk. A ja zagarniam ich talary i daję im cyrk. (*Śmieje się*) Dolarki, zielone dolarki — hehe! (*Po chwili karcąco*) A ty też nie masz co pyskować, wypłaciłem cię co się zowie — i to w czwórnasób. A kto cię bronił i przymykał oczy na twoje szacherki! Przecież w jasny dzień darłeś skórę z ludzi — a ja ustanawiałem dla nich prawa, któreś ty łamał na lewo i na prawo. Hehe! (*Śmieje się*)

Smithers (*także się śmieje*): A kto ich docna ograbiał — kto ich podatkami mordował, co? i ostatni grosz z nich wyciskał?

Jones (*ze śmiechem*): Jeszcze niedosyć — jeszcze można więcej.

Smithers (*uśmiechając się do swych ukrytych myśli*): Zobaczysz, bracie, że już nie będzie można... A co do tego łamania praw — wyście je wydawali i samiście w mig łamali, jedno po drugim.

Jones: A czy ja to nie cesarz? Cesarza żadne prawa się nie imają. (*Spokojnie*) Ty mnie posłuchaj, Smithers. Są małe złodziejstwa, jak na przykład twoje, i duże — jak moje. Za małe złodziejstwa to świat cię złapie i wpakuje do dziury. A za wielkie — zrob cię cesarzem...

Tłum. Ryszard Ordyński.

Wybór tekstów i układ Tadeusza Grzebieniowskiego i Alfreda Toma.

JAMES LISTER CUTHBERTSON  
(1851—1910)

ODA DO APOLLINA

Mistrzu złotoliry,  
Boże natchnień, Febie,  
Przybądź, bywaj nam, z pieśnią uskrzydloną!  
Boskiej dorzuć siły  
Serc dziewiczej glebie,  
By Hellady czar naszą ziem' owionął —  
Orszak muz z Parnasu  
W zieleń łąk, do lasów,  
W miedze naszych pól wiedz przez morza mącieli;  
Wyspa wzniosła dłonie,  
Głowę Tobie kloni,  
Bądź, byś wzniecił skrę struny dusz potracił!  
Wdzięczniej, niż w Helladzie,  
Złoty kłos się kładzie  
Pod zefiru wiew na falach zbóż naszych.  
Dobrej woli technieniem  
I wolności pieniem  
Piersi nasze drżą Attyckich poddaszy  
I Peljonu zboczy  
Tak świeży, uroczy  
Winogradny liść nigdy nie umai —  
Lśni akacja w złocie,  
Chylą się paprocie  
I sędziwy cedr, i oliwne gaje.  
Jak zóraw zbarczony,  
My — naród bez pieśni —  
Leżym u Twych stóp. Skiń, dziecię Latony,  
Niech się ucieleśnią  
Nasze sny o chwale,  
Siej przyszłości siew. Wola przeznaczenia  
Wzywa nas z oddali;  
Jutrznia opromienia  
Wolnych synów ród. Zaranna poświęta,  
Przed słońca rydwanem,  
Nad wyspą rozplata  
— Od grani po grań — swe palce różane...  
Z poza mgieł zasłony  
Grzbietem fal spienionych  
Mknie echo twych strun, przy spiżowym wtórze

Głosu z Trafalgaru,  
 Co wśród krwi oparów  
 Był sternikiem dusz, obowiązku stróżem.  
 Przybądź, jasnowłoso,  
 Abyś pieśni rosą  
 Serc ukoił żar! W wawrzyn chram przystroim,  
 U ołtarzy staniem  
 Czcic Twe królowanie,  
 Sławić piękna moc — my, kapłani twoi...

HENRY KINGSLEY

(1830—1876)

Z POWIEŚCI: «ROZPAMIĘTYWANIA GEOFFRY HAMLINYA»

Cicho i dostatnio przeleciało szesnaście lat naszego życia. Dorabialiśmy się coraz większego majątku, a nasz pośrednik handlowy tylko ręce z zadowolenia zacierał. Był pieniądz po bankach, było wino po piwnicach. Stadnina nasza mnożyła się i rosła. Słowem, opływaliśmy w bogactwo.

Pod złym znakiem rozpoczął się listopad. Żar bił bez przerwy z rozpalonego nieba, a trawa stała się wkrótce na podobieństwo ścierniska; tak twarda była i sucha. Jak zmiłowania bożego oczekiwaliśmy jakiejś burzy, pragnęliśmy kilku chociażby kropel dżdżu. Dni jednak nasze płynęły bez zmiany. Nadszedł grudzień — zaciągnął się raczej, skwarem umęczony. Kurczyły się rzeki, pozostawiając po sobie tylko ślady w kształcie mętnych sadzawek. Milami całemi bładzili pasterze, by swe mdlejące trzody napoić u brzegu jakiejś rzeki, obficie zasilanej śniegiem z górskich szczytów.

Minął styczeń cały, lecz źródła wody w niebiosach nadal były zamknięte. Z północnej swej strony horyzont opasał się wstęgą pożarów leśnych, buchających słupami dymu w porze dziennej, ziejących snopami płomieni w czasie nocy.

Gdy zmrok zapadał, luna zdawała się bliższą; dzięki temu jeszcze bardziej przejmująca była w swojej grozie — jak wróg, który się podkrada pod obleżone miasto.

Aby się zabezpieczyć przeciw żywiołowi, nie omieszkaliśmy zastosować pewnych środków ostrożności; spaliliśmy doszczętnie wszystką trawę, która rosła na wygonach dookoła stadnin. Mimo to zdawałem sobie sprawę, że w razie silnego wiatru grozi nam nieuchronna zagłada; w takim wypadku — cud tylko jeden mógłby nas ocalić.

Narazie jednak atmosfera była spokojna, chociaż niewesoła. Smugi dymu snuły się i ścieliły naokół, przysłaniając pogodne oblicze słońca. Nastrój dusz utrudniał pracę. Czas upływał nam w cieniu werandy przy szklance wina z wodą, upływał na rozmowach o pogodzie, przerywanych co chwila skargą lub westchnieniem.

W trzecim dniu lutego upał dolegać zaczął silniej, niż kiedykolwiek przedtem. Nad horyzontem panowała nadal niczem niezmacona cisza. O zmierzchu, gdy słońce kłoniło swą czerwoną tarczę pomiędzy kłęby dymu, zdawało mi się, że dostrzegłem parę strzępiastych obłoków na północnym odcinku niebios.

Siedziałem z Dżimem do późnej nocy. Udaliśmy się wreszcie na spoczynek. Mimo trwożnego nastroju, mimo przykrego skwaru i nie mniej przykrego klucia moskitów, noc całą spędziłem pogrążony w głębokim śnie. Szary ranek zaświtał — ocknąłem się nagle pod wrażeniem przeciągłego, niesamowitego huku: w kominie miotał się rozpętany wiatr północny, a u ścian domu trzaskały gałęzie i padały na ziemię wyniosłe drzewa, korząc się przed siłą przemożną.

Wybiegłszy na werandę, natknąłem się na Dżima. «Źle z nami» — rzekłem. — «Kobiety wraz z dziećmi wyprowadź poza dom; niech się ustawią w korycie rzeki i czekają. Mężczyznom zaś każ wziąć laski, owinięte w skórę barania, i tłumić niemi płomienie, pełzające po trawie. Co do mnie samego, myślę dosiąść konia i wyjechać ku zagrodzie rodziny Morganów».

Koń ruszył z kopyta. Srogi, z przeciwnej strony wiejący wiatr ocierał się o me policzki. Przede mną rozpostarła się na przestrzeni dwóch mil szeroka równina, okryta niską trawą. Gęsty dławiający wał dymu nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, że zagroda Morgana padła już pastwą płomieni. Uważałem za swą świętą powinność pośpieszyć z pomocą i jemu, i rodzinie jego; spodziewałem się spotkać ich na drodze, szukających ratunku w ucieczce przed straszynym żywiołem.

Niejednokrotnie w życiu swoim byłem świadkiem pożaru leśnego; nigdy jednak w latach dawniejszych nie wyobrażałem go sobie w tak groźnej postaci. Bo też nie był to wiatr zwyczajny, lecz rozpętany, szalejący huragan. Gdy wjechałem na przestrzeń, okrytą zaroślami, w miarę jak koń mię niósł coraz to bliżej ku ogniu, ulegałem władzy niewypowiedzianego lęku. Traciłem nadzieję dopięcia celu, mimo to jednak trwałem nadal w swoim zamiarze. Skwar dławił mię coraz silniej; otuchy pewnej dodawała mi tylko myśl o tem, że przecież niejedyn już raz w życiu znajdowałem się oko w oko z pożarem leśnym — a jednak w ostatniej chwili, gdy poprzez dym zaczynały przedzierać się języki płomienia, udawało mi się zawrócić i lekkim, wolnym kłusem opuścić zagrożony teren.

Równocześnie roily się po mej głowie wspomnienia o niepoliczonych ofiarach pożarów leśnych, o zwęglonych zwłokach ludzi i bielejących na nagich polach szkieletach koni. Tok moich myśli przerwał się nagle — bo oto przed memi oczyma roztoczyła się scena, jakiej w swych wyobrażeniach nigdy przewidzieć nie mogłem. Znajdowałem się wśród drzew, dość wysoko wybujałych. W pewnej chwili dał się słyszeć gwałtowny trzask ognia, przelatującego z pnia na pień i z gałęzi na gałąź, a równocześnie rozstąpiły się u góry ciężkie wały dymu i buchnęły miljonem migocących języków płomiennych. Ogień ukazał się nie u dołu — tam, gdzieby się go spodziewać należało — nie pełzał on skrycie wśród pni i krzewów, lecz bujał na wysokości stóp stu pięćdziesięciu ponad moją głowę. Ogarnawszy żywiczne gałęzie wierzchnie, przelatywał po koronach drzew z szybkością błyskawicy. Wiatr, cichy i łagodny tuż nad samą ziemią, szalał i mknął w zawrotnym pędzie przez górny rejon powietrza. Jedno z drzew, ogarnięte ogniem, spłonęło w mych oczach niczem pakule strzelnicze — serce mi w piersiach zamarło... spałem konia i rzuciłem się do ucieczki.

Teraz jedynym mem marzeniem było znaleźć się poza obrębem lasu i wyjechać na wolną przestrzeń. Czekwały mię trzy mile drogi, strasznej drogi wśród żaru, oslepiającego dymu i śmiertelnego lęku. Pod wrażeniem dręczących koszmarów rozkoszna wydawała mi się śmierć, która grozi człowiekowi, tonącemu w chłodnych, przezroczystych falach!

Koń mknął pode mną jak strzała, unosząc mię ku strefie względnego bezpieczeństwa. Szybszym jednak od konia okazał się ogień; przeleciawszy z trzaskiem ponad moją głowę, harcował przed nami w odległości stu jardów, pożerając po drodze pierzaste korony drzew. Oczy me nagle zaszyły mgłą, straciłem świadomość tego, co się działo naokół — wtem poczułem, że koń mię niesie przez łąkę, po niskiej suchej trawie.

W chwili, gdy zatrzymałem się, by zaczerpnąć powietrza, uderzyło o mnie osłepione, w popłochu pędzące stado kangurów; w oszłomieniu swem biedne zwierzęta całkowicie straciły zmysł, który im każe unikać spotkania z człowiekiem.

Zkolei płomienie przerzuciły się na trawę. Wolnym krokiem jechałem po spiekłym, szerniałym terenie. Ogarniało mię coraz silniejsze uczucie bezwładu. Przyszła chwila, gdy całkowicie straciłem panowanie nad koniem — i runąłem na ziemię.

Leżałem nieruchomy jak głaz, z gardłem nabrzmiałem i suchem, jak ława piasku. Szum w uszach przypominał mi — w chorobliwym urojeniu — chłodne wodospady, huczące po skałach Devonu; ożywały w mej duszy wspomnienia o wszystkim, co mogło mię orzeźwić i wyprowadzić ze stanu odrętwienia.

Po pewnym czasie zauważyłem, że upragniony chłód zaczyna przenikać atmosferę. Przetarły się dymy i odsłoniły widok na horyzont. Dźwignąwszy się na konia, jechałem wolno w kierunku swego domostwa i badałem wzrokiem całą okolicę. Nie mogłem nigdzie dojrzeć najmniejszego śladu bogatej doniedawna szaty roślinnej; poza mną — tlejące ruiny lasu, w którym śmierć na mnie czyhała, przede mną zaś na południowej krawędzi nieboskłonu — mknący wdał orkan ognisty.

Znalazłem się wreszcie u progu domu. James wybiegł na me spotkanie. «Byłem o ciebie bardzo niespokojny, mój przyjacielu; obawiałem się, że cię gdzieś pożar zaskoczył. Niech Bóg nas ma w swej opiece — wyglądasz, jakgdyby w ciągu tych kilku godzin przybyło ci dziesięć lat życia».

Chciałem mu odpowiedzieć w kilku krótkich słowach, z wyschłego jednak gardła nie mogłem dobyć głosu. James skoczył do domu po szklanekę wina z wodą. Orzeźwiony płynem, stopniowo zacząłem odzyskiwać siły, a wieczorem, po wypiciu całego cesarskiego galonu, znalazłem się już w stanie mniej więcej normalnym.

## THOMAS ALEXANDER BROWNE (ROLF BOLDREWOOD)

(1826—1915)

### Z POWIEŚCI: «NIEZISZCZONE MARZENIA»

Stoki Kościuszki i Feathertopu zarysowały się w lazuruwej dali. Mimo przykrego upału, Lance zwinnym krokiem posuwał się naprzód, lecz co chwila spoglądał poza siebie, aby zmierzyć wzrokiem długość przebytej drogi. Jasno zdawał sobie sprawę z różnicy między swym chodem obecnym, wolnym i elastycznym, a skrępowaniami, ciężkimi ruchami z owych czasów, gdy pędził niewolniczy żywot wioślarsza w otoczeniu towarzyszy-galerników. Z każdą przebytą milą ożywiała go coraz większa otucha. Widoczne było, że wszystko zmienia się na jego korzyść; pewne było, że otrzyma przebaczenie i odzyska dawną dobrą sławę.

Marzył o Anglii i cieszył się myślą, że wybije godzina, gdy los mu pozwoli oprzeć utrudzoną stopę o ojczyste wybrzeże. Ziszczenie się tych rojeń było mu pewnikiem; pewnikiem — w oczywistości swej równym temu, że za chwilę znajdzie się na przeciwległej krawędzi jaru, który się właśnie przed nim rozwarł i w którego głąb przepastną swe kroki kierował; że, minawszy jar, ujrzy na nowo wolny horyzont i rozpięte namioty poszukiwaczy złota.

Wśród tych rozważań zstąpił na dno czeluści, pokryte osikową chaszczą. Od strony wschodniej z parowu wyłaniał się płaski szmat ziemi, usiany śladami wyzyskanych i opuszczonych szybów — niemych świadków onegdajszego bogactwa.

«Coby też to Kata powiedziała, widząc mię w dniu dzisiejszym na tem oto miejscu?» — pomyślał. Przypomniał sobie jej przestrożę; zamajaczyły mu w głowie twarze osobistych wrogów, czyhających na jego życie, i watahy wyrzuconych poza nawias społeczeństwa rozbójników leśnych. «Jeśli ci życie miłe....» — dźwięczały mu w uszach pożegnalne słowa Katy. «Po powrocie przysięgnę jej, że już nigdy więcej głowy narażać nie będę» — pomyślał.

Podążając ostrożnym krokiem, wśród wszelkiego rodzaju refleksyj, które przybiebrały od czasu do czasu formę nieartykułowanych dźwięków, dotarł do samej głębi parowu i zatrzymał się, oparłszy stopę o głąz przydrożny.

W tej samej prawie chwili rozległ się huk strzału; Lance Trevanion padł twarzą na ziemię. Dwóch ludzi, uzbrojonych w rusznice, wyskoczyło z pomiędzy zarośli, biegnąc z chichotem ku miejscu, gdzie leżało ciało ich ofiary; byli to Caleb Coke i Laurence Trevenna.

«A tośmy dostali ptaszka!» — rzekł jeden z nich i wybuchnął szatańskim śmiechem. Lance Trevanion poruszył się i jęknął, wijąc się z bólu. Zauważywszy, że strzał nie był śmiertelny, Caleb Coke pochwycił tomahawk z rąk swego towarzysza, aby dokończyć krwawego dzieła zbrodni. Dwa ciosy, wymierzone w głowę ofiary, położyły kres młodemu życiu — z roztrzaskanej czaszki uleciały wszelkie nadzieje i rachuby na przyszłość.

Zwracając się do współnika swego zbrodniczego czynu, Caleb Coke ukazał palcem punkt, otoczony kępą i niewysokim zagajnikiem; był to jeden z licznych w owej stronie opuszczonych szybów. Gest Coke'a został pojęty. Zniekształcone zwłoki, wleczone przez dwie pary krwawych rąk, znalazły się nad krawędzią przepastnej jamy, z której niegdyś dobywano cenny kruszec. Coke spojrzął w ciemną głąb, jakgdyby

chciał w nią wzrokiem swym zapuścić sondę. Po chwili odwrócił się, podniósł z ziemi kamień i wrzucił do szybu. Upłynęło parę sekund, zanim dał się słyszeć ciężki, głuchy stuk. Dźwigając wspólnym wysiłkiem ciało zabitego, złoczyńcy przerzucili je poprzez krawędź... i Lance Trevanion znikł z oblicza ziemi, pogąrzył się w jej wnętrze — tam, gdzie nie dotrze jasny promień słońca ani też nie sięgnie wzrok człowieka.

---

W Anglii panem włości na Wychwood został młodszy brat Lance'a Trevaniona, obejmując je w prawowite posiadanie z tą chwilą, gdy stwierdzono fakt śmierci pierwotnego dziedzica. Młoda latorośl szanownego rodu ucztuje i hula pod dachem swoich ojców. A o zabitym dziedzicu-tułaczu, o tym, który porzucił ognisko domowe i przyjaciół serdecznych, i ziemię ojczystą, który wybrał się na poszukiwanie złota i przysiągł sobie, że zdobędzie niewyśnione bogactwa, który marzył o odzyskaniu dawnej dobrej sławy i o triumfalnym powrocie — odwieczne dęby w druidzkim gaju Wychwoodu szemrzą w nocej ciszy: «Nie wróci, nie wróci».

---

*Wybór tekstów, układ i tłumaczenie Tadeusza Grzebieniowskiego.*

PIEŚŃ O HILDEBRANDZIE  
(pocz. w. IX)

Słyszałem, jak powiadano,  
 że się wyzwali pośród dwu wojsk  
 na pojedynek — Hildebrand i Hadubrand.  
 Syn i ojciec sposobili swój rynsztunek,  
 poprawili odzież, przypasali miecze  
 na pierścieniach pancerzy i konno ruszyli do walki.  
 Hildebrand przemówił — starszy, hartowny,  
 doświadczniejszy w życiu; jął się dopytywać  
 w słowach niewielu, między wojakami  
 kto jest jego ojcem...  
     «lub jaki jest ród twój?  
 Wymień mi jednego, będę wiedział o innych  
 w całym państwie: znam wojaków co lepszych».  
 Hadubrand odrzekł chrobry, syn Hildebranda:  
 «Przed laty mówili mi nasi ludzie,  
 starzy i mądrzy, którzy byli drzewiej,  
 że Hildebrand zwał się mój ojciec; jam jest Hadubrand.  
 Na wschód on uciekł przed Otakera gniewem  
 dawno z Dytrychem i wielu wojakami.  
 W domu swoim zostawił w niedoli  
 małżonkę i syna, malca wówczas, bez mienia  
 wszelkiego, gdy na wschód wyruszył.  
 Dytrych bowiem dręczył się tak i tęsknił  
 za moim ojcem — zupełnie wyklęty.  
 Był on ogromnie zły na Otakera,  
 a dla Dytrycha — z wojaków najdroższy.  
 Jeździł jeno na czele ludu, lubił jedynie szermierkę,  
 znali go dobrze... męża odważni...»  
 «Niech zaświadczy Najwyższy wysoko w niebie,  
 że nigdy przecie z tak bliskim krewnym  
 nie stawiałeś do boju...  
 Wówczas zdjął z ramienia skręcone sprzążki  
 z cesarskiego złota, otrzymane w darze od króla,  
 Hunnów władcy: «To składam ci w hołdzie!»  
 Ozwie się Hadubrand, syn Hildebranda:  
 «Dary oszczepem należy zdobywać,  
 ostrze przeciw ostrzu...  
 Starsz ty, Hunnie, a chytry bez miary,  
 nęcisz mnie swemi słowy, chcąc lancę na mnie cisnąć;  
 tak bardzoś stary mąż, a zawsze niewierny.  
 Powiedzieli mi to ci, co jeżdżą po morzu,  
 tam po zachodniem, że zabrała go wojna:

zmarł już Hildebrand, syn Heribranda.  
 Ale owszem widzę po twym pancerzu,  
 że masz tam w domu pana dobrego,  
 żeś nigdy z państwa nie musiał uciekać».  
 Zawoła Hildebrand, syn Heribranda:  
 «Biadaż mi, mocny Boże, nieszczęście jest bliskie.  
 Wiosen i zim sześćdziesiąt wędrowałem poza krajem,  
 odkąd mnie przygarnięto do ludu strzelców.  
 Przed żadnym grodem nikt nie zadał mi śmierci krwawej,  
 aż oto ma mnie przebić włócznia własnego syna,  
 ma mnie on mieczem powalić, albo ja mu śmierć zadam.  
 Możesz przecie poprosić, gdy zapału ci starczy,  
 pozyskać zbroję starca  
 i zdobyć zagarnąć, jeśli masz jakie prawo...»  
 «Byłby jednak największym tchórzem z ludzi wschodnich,  
 kto by ci odmówił walki, skoro masz chęć taką  
 do pojedynku. Niech walka rozstrzygnie,  
 kto ma dzisiaj postradać swą zbroję,  
 albo też osiąść pancerze obudwu».  
 A wtedy najpierw cisnęli lance jesionowe —  
 silnie wzruszeni; lecz wstrzymały je tarcze.  
 Następnie zderzyli się razem do walki na miecze,  
 cięli boleśnie w błyszczące tarcze,  
 aż drzewo lipowe rozbili na drzazgi,  
 zmiażdżyli orężem...

(Brak końca; prawdopodobnie zwyciężył Hildebrand i, stojąc nad zwłokami syna, opłakiwał zniszczenie własnego rodu.)

*Tłum. Alfred Tom.*

## Z «PIEŚNI O ANNONIE»

(II poł. w. XI)

Słuchamy o ludziach bitnych  
 Z dziejów starożytnych:  
 Jak rycerze walczą stałą,  
 Jak warowne zamki wałą,  
 Jak przyjaźń najstalsza ginie,  
 Z królestw bogatych — pustynie.  
 Już czas o tem myśleć sobie,  
 Jak skończymy wszyscy w grobie.  
 Boć Chrystus, Pan nasz sprawiedliwy,  
 Ciągłe czyni tak wielkie dziwy —  
 Jakich w Siegburg dokona  
 Przez mądrego męża Annona,  
 Co był biskupem oraz świętym,  
 Jego wzniosłą wolą tkniętym,  
 Byśmy baczyli wciąż na siebie,  
 Jeśli kiedyś chcemy być w niebie,  
 Gdzie po tych jękach i skowycie  
 Dane nam będzie wieczne życie!

Księżyc i słońce się wznoszą,  
 Rozsiewają blask z rozkoszą;  
 Gwiazdy w dawnym biegu grzącym  
 To sypią lodem, to palą gorącym;  
 Ogień w górę zwraca lot,  
 Huczy wiatr i ryczy grzmot;  
 W górze z deszczem obłok długi,  
 A na ziemi płyną strugi;  
 Kwiatami łąka się odziewa,  
 Bór rozciąga gęste drzewa;  
 Zwierz tam, gdzie puszcza straszliwa;  
 Ptaszek słodko się odzywa.  
 Wszystkie dzieła są w porządku,  
 Jaki Bóg dał od początku;  
 Tylko z dwóch stworzeń na ziemi,  
 Najlepszych między wszystkimi,  
 Każde się z głupstwa odmienia,  
 Stąd na świat spadły cierpienia.

Gdy Lucyfer, złem zajęty,  
 I Adam łamie zakaz święty,  
 Pan gniewem plonie; tem mocniej go boli,  
 Że inne dzieła szły po jego woli.

Któż jego dobroci nie zaznaje?  
 Spójrzcie na jego obyczaje!  
 Był szczery w każdym swoim słowie,  
 Wszędzie za prawdą się opowie;



Jako lew siedział przed księżęciem,  
Przy biednym stawał się jagnięciem;  
Dla złych okrutny był i srogi,  
Dla dobrych miał zawsze uśmiech błogi:  
To też wdowy i sieroty  
Stawiły jego wielkie cnoty.  
Rozgrzeszał mądrze, a kazanie

Wygłaszać umiał niezrównanie;  
Tyle roztaczał namaszczenia,  
Że był przedmiotem uwielbienia  
Dla tłumów, co tam przychodziły:  
Ale i Bogu Anno był miły.  
To też Kolonja czuła się szczęśliwa,  
Że biskupa tego swoim nazywa.

*Tłum. A. J. Szabrański i Alfred Tom.*

## PIEŚŃ O NIBELUNGACH

(ok. 1200)

### JAK ZABITO ZYGFRYDA

Krynica przejrzysta chłodna;  
Choć go widok ten zachwycił,  
Wstrzymuje się, pragnie, by król  
Pierwszy zdrojem się nasycił.

Przybiegł Gunter, padł na ziemię,  
Do zdroju usta przyłożył —  
Pije chciwie, potem powstał —  
Po omdleniu jakby ożył.

Zygfyrd schylił się do wody —  
Hagen krzyż na szacie zoczył,  
Usunął miecz i pociski,  
Porwał oszczep, nabok skoczył.

A kiedy Zygfyrd szlachetny  
Z czystego zdroju pił,  
Hagen w znak krzyża uderzył  
I oszczep żelazny wbił.

Z tej rany krew trysła zdrojem,  
Zalała Hageną szaty.  
Tak wielkiej, tak strasznej zbrodni  
Nie było nigdy przed laty.

Morderca w trwodze ucieka,  
Twarz zbladła, drżą mu kolana.  
Zygfyrd się silny porywa —  
Ogromna na piersiach rana.

Ryczy; głos się odbija  
Od zdroju przez góry, gaje.  
Oszczep żelazny pierś przeszył  
I z piersi długo wystaje.

On sięga po miecz, pociski,  
Choć się we krwi własnej tarza,  
Chce jeszcze ostatkiem siły  
Zmiażdżyć mordercę, zbrodniarza.

Lecz śmiertelnie ranionemu  
Kto miecza dostarczy?  
Nic już nie ma obok siebie,  
Prócz swej jednej tarczy.

Tarcz złoconą pochwycił,  
Trzyma w drżącej dłoni  
I zdrajcę, przeniewiercę,  
Krwia obłany, goni.

Choć śmierć bliska rwie mu siły,  
Zerwał się i cucił;  
Potem tarczą raz ostatni  
Za Hagenem rzucił.

Upadła na ziemię z hukiem,  
A z ozdoby złotej  
Rozsypały się wokoło  
Błyszczące klejnoty.

Tarcza tylko Hagenowi  
Ramię zboku ściera;  
Z piersi Zygfyda rozdartej  
Boleść się wydziera.

Jeszcze gdyby miecz miał w ręku,  
O! ścigałby dalej,  
Bo go tyle rana w piersiach,  
Co i zemsta pali.

Zbladła twarz, nogi się chwieją,  
Ostatek sił z ciała ginie —  
Gaśnie życie. Ileż po niem  
Z pięknych oczu łez popłynię!

Padł na kwiaty wśród zieleni  
Z ciężkiem przeciągłym westchnieniem;  
Krew z ran, żelazem zadanych,  
Wielkim się leje strumieniem.

On miota przekleństw tysiące  
Na tych, co, zmówieni skrycie,  
Tak zdradziecko, tak nikczemnie  
Młode wydarli mu życie.

Tak jęczy: «Zdrajcy! mordercy!  
Waszym byłem w każdej chwili!  
Cóż mi pomogły zasługi?  
Wyście mnie wreszcie zabili.

«Byłem tak wierny, że za was  
Sił poświęcałem ostatek;  
Teraz daliście krewnemu  
Pięknej przyjaźni zadatek!

«Pastwicie się nad bezbronnym,  
Zdradą nasycacie gniew!  
Hańba z takiego morderstwa  
Niech spada na waszą krew!

«Od dnia dokonanej zbrodni  
Niech wam serce ból wyjada,  
Niech was ściga bezustanku  
Wściekła nienawiść i zdrada!»

Wszyscy tam biegną rycerze,  
Gdzie Zygfyrd leży krwią zlany.  
Przeraża ich i oburza  
Wypadek tak niespodziany.

Każdy go ze czcią wspomina,  
W kim jeszcze cnota się budzi;  
Bo nieszczęśliwy bohater  
Posiadał miłość u ludzi.

Stoi król Burgundów we łzach,  
Z zgrzyotą w sercu tajemną;  
Rzekł mu umierający:  
«I tyś zapłakał nade mną?»

«Kto płacze nad morderstwem,  
Którego sam jest przyczyną,  
Godzien pogardy i hańby,  
Łzy zdradzieckie z oczu płyną».

Hagen przybiegł, z gniewem woła:  
«Poco te łzy? poco jęki?  
Raz się kończą na tej ziemi  
Nasze cierpienia i męki.

«Dla mnie chwała z mej dzielności!  
To mi zawsze będzie miłem,  
Że tę nadludzką potęgę  
Sam jeden tylko rozbiłem!»

«Chęć się z twych mordów zdradzieckich» –  
Zająknął Zygfyrd przy zgonie –  
«Jakżeby cię zgniół był snadnie  
W twych potężnych zdrajców gronie.

«Gdybym mniej w uczciwość wierzył,  
Znał zdradę, co mi tajono...  
A teraz żal serce ściska,  
O, ty biedna moja żono!

«Oby syn mój dorósł mężny,  
Oby w sercu mu została  
Ta myśl jedna, że mu ojca  
Rodzina zamordowała!

«Dosyć już zbrodni, Gunterze!  
Stało się, przestańmy na tem.  
Dla mej żony, dla twej siostry  
Bądź opieką, bądź raz bratem!

«Ojciec mój wróci ze swymi,  
A wy, zbrodniarze zuchwali,  
O tem tylko pamiętajcie,  
Żeście mnie zamordowali!»

Kwiateczki drobne i trawki  
Strumień krwi szkarłatnej broczy;  
On się rzuca, walczy z śmiercią,  
Ale zwolna gasną oczy.

Bo w głąb zapadłe żelazo  
Przecięło żywotne tchnienie.  
W gronie zebranych rycerzy  
Jedno głębokie milczenie.

Kiedy już wszyscy ujrzeni,  
Że serce bić w nim przestało,  
Na swoje złoczone tarcze  
Złożyli Zygfylda ciało.

I niosą w jednym orszaku,  
A myślą i radzą skrycie,  
Jak to utaić przed światem,  
Że Hagen wydał mu życie.

Na to się godzą, by głośić,  
Że Zygfyrd, łowów niesyty,  
Sam się w głąb puszczy zapędził  
I tam przez zbójców zabity.

Hagen rzekł: «Głoście, co chcecie,  
Mało dbam, jak się to wyda;  
Ciężko płakała Brunhilda,  
Niech płacze żona Zygfyda».

*Tłum. A. J. Szabrański.*

#### HAGEN Z VOLKEREM NA STRAŻY

Zgasało dnia światło, noc już naokoło mroczy,  
Gościom, drogą zmęczonym, senność klei oczy,  
Każdy myśli, gdzie spocznie, jakie znajdzie łoże.  
Hagen nalegał, dłużej nikt zwlekać nie może.

Więc Gunter rzekł do króla: «Niechaj Bóg was z nieba  
Ma w opiece! Żegnajcie! Już nam spać potrzeba;  
Jeżeli łaska wasza, jutro znów tu staniem».  
Król z wesołem odprawił gości pożegnaniem.

Tłoczyli się, cisnęli rycerze dokoła,  
Aż Volker gromkim głosem na Hunnów zawoła:  
«Jak śmiecie moim panom tak pod nogi łązić?  
Na ustęp! Albow gotów którego obrazić!

«I tego lub owego tak pokropię smykiem,  
z przyjaciele będą z lamentem i krzykiem  
Po nim płakać. Precz z drogi! Choć nam wspólne miano  
Rycerzy, lecz nam męstwo niejednakie dano!»

Gdy im Volker te gniewne słowa w oczy rzucił,  
Zuchwały Hagen także ku nim się odwrócił  
I rzekł: «Otóż nam radzi dzielny grajek szczerze.  
Idźcie spać do gospody, Krymhildy rycerze!

«Zaczepki szukać dzisiaj już za późno, ano,  
Jeżeli taka wola, przyjdźcie jutro rano.  
Dzisiaj dajcie nam spokój! Myślę, że w tej mierze  
Tak sobie poczynają zawsze cni rycerze».

Zaprowadzono gości do obszernej sali,  
Tam już dokoła łoża gotowe zastali,  
Wielkie, długie, wygodne, zaścielone suto.  
Tymczasem u królowej zgubę dla nich knuto.

Pościel była wspaniała: tkanina powabna  
Z Arras lub materyja arabska jedwabna  
Jak najprzedniejsza każde posłanie zalega,  
Świetnym galonem wkoło zdobiona u brzega;

Przykrycia z gronostajów lub z czarnych soboli.  
Więc rycerze wygodnie wyspać się dowoli  
Mogli noc całą, póki nie zbudzi ich zorza;  
Nigdy król z świtą nie miał wspanialszego łoża.

«Smutny to nocleg», młody Gizelher powiada,  
«I biada naszym wiernym towarzyszom, biada!  
Bo choć siostra nas mową witała łaskawą,  
Boję się, że zginiemy wszyscy za jej sprawą».

«Porzućcie troski!» śmiały Hagen mu odrzeczę,  
«Stanę tę noc na straży i będę miał pieczę.  
Myślę, że was ustrzegę, aż nie wzejdą zorze.  
Śpijcie, jutro niech każdy broni się, jak może».

Pokłonili się wdzięcznie, iż taką usługą  
Im wygodził; spać poszli, za chwilę niedługą  
Legli, by po podróży znojach odpoczywać,  
A Hagen jął się zbroją wojenną okrywać.

Ale wtém rzekł do niego skrzypek Volker śmiały:  
«Jeżeli nie wzgardzicie, to aż po dzień biały  
Z wami, Hagenie, nocnej straży się podejmę».   
Dziękował Hagen i te słowa rzekł uprzejme:

«Bóg ci zapłać, Volkerze, żeś pomagać gotów.  
Niczego bym nie pragnął wśród moich kłopotów,  
Jeno, abyś w niedoli zawsze pomógł szczerze.  
Odwdzięczę ja się, chyba że mnie śmierć zabierze!»

Ogarnęli się rażno, kryty jasną zbroją  
Każdy zuch bez namysłu tarcz pochwyił swoją,  
Stańeli u drzwi domu, gdzie królowie legli,  
I wiernie swoich druhów przez noc całą strzegli.

Po chwili śmiały Volker tarcz wypróbowaną  
Odejmuje z ramienia, opiera pod ścianą,  
Wraca nazad do sali i swe skrzypki bierze.  
On swoim towarzyszom lubił służyć szczerze.

Siadł sobie na kamiennej ławie pode drzwiami  
Ten grajek najdzielniejszy pomiędzy grajkami,  
A kiedy z skrzypek słodkie popłynęły dźwięki,  
Wszyscy mu towarzysze jęli składać dzięki.

Brzmiały struny, po domu rozległy się tony,  
Boć on w sile i w sztuce równie wyćwiczony;  
To znów druhom tak słodko, mile kwilić zacznie,  
Iż zapomniawszy troski, zasypiali smacznie.

A gdy spostrzegł, że wszyscy spoczęli w uśpieniu,  
Złożył skrzypki, tarcz znowu zwiesił na ramieniu,  
Wyszedł z domu, na straży stanął pode drzwiami,  
By gości przed Krymhildy bronić rycerzami.

O północy lub może nieco przed północą,  
Ujrzał Volker, jak przed nim szyszaki migocą  
Wdali pośród ciemności. Była to gromada  
Wojów Krymhildy, obcym gościom szkodzić rada.

Więc rzekł grajek: «Stuchajcie, druhu mój Hagenie!  
Wypada nam obydwom podzielić strapienie:  
Widzę, iż ku nam zbrojni mężowie nadchodzą;  
Jeżeli się nie mylę, na nas oni godzą».

«Niech bliżej przyjdą», Hagen na to mu odrzecze,  
«Nim nas spostrzegą, pierwszej zrąbią nasze miecze  
Hełm niejeden, gdy na nich spadniem niespodzianie.  
Odeśleń ich królowej w nieszczęólnym stanie».

Lecz jeden z napastników obaczył zawczasu,  
Że przy drzwiach straż, więc szybko rzecze bez hałasu:  
«Nic z tego! Jakoś nam się w zamiarach nie darzy,  
Bo spostrzegam, że grajek stoi tam na straży.

«Jasny szyszak na głowie ma on rycerz hardy  
Z lśniącej stali, niezgięty, hartowny i twardy,  
A po pancerzu niby ogień się przesuwa.  
Przy nim Hagen. Wyborna straż nad nimi czuwa».

Więc z niczem powrócili, nie czekając dłużej.  
Na ten widok w Volkerze krew się cała wzburzy.  
«Pozwólcie, pójdę ku nim, chcę jeszcze pogadać  
Z zuchami, aby jedno pytanie im zadać».

«Nie, gwoli mnie daj pokój!» Hagen mu odrzeczę,  
 «Gdy odejdziesz od domu, mogą cię ich miecze  
 W trudne przywieść opały; już cię dopomogę,  
 Lecz przez to mą rodzinę całą zgubić mogę.

«Bo kiedy z tą czeredą my się będziemy bili,  
 Może się dwóch lub czterech dobrać w jednej chwili  
 Do domu i tam takiej szkody nas nabawić  
 Wśród śpiących, że nikt tego nie zdoła naprawić».

Więc prosił Volker, aby mu pozwolić raczył  
 Choć na jedno: «Niech wiedzą, iżem ich obaczył,  
 Aby jutro nam w oczy wyprzeć się nie śmieli,  
 Iż nas dzisiejszej nocy zdradnie podejść chcieli».

I zaraz krzyknął na nich grajek z całej mocy:  
 «Przeź tak zbrojnie chodzicie, rycerze, po nocy?  
 Czyście wyszli na łupież? W wyprawie takowej  
 Pomożemy wam obaj, hej, zuchy królowej!»

Nikt mu nie odpowiedział, więc grajek zacięty:  
 «Tchórze, tchórze obrzydli!», wołał gniewem zdjęty,  
 «Chcieliście nas uspionych mordować jak zbóje?  
 Tego nie czyni rycerz, co swą godność czuje».

*Tłum. Ludomił German.*

### Z «GUDRUNY»

(ok. 1210)

#### PRZYBYCIE ORTWINA I HERWIGA

Czekały długo, długo; wzrok ich po morzu brodzi;  
 Wtem dwóch, nikogo więcej, spostrzegły w jednej łodzi,  
 I do królowny Gudrun tak wraz Hildburga powie:  
 «Dwaj, widzę, płyną ku nam; zapewne twoi będą to posłowie».

I rzecze boleściwa: «O, biedna ja dziewczyno!  
 Miłości oraz żalu pełna jest dusza moja!  
 Jeśli to posty Hildy i jeśli mnie zobaczą  
 Piorącą na tych żwirach, gdzie się podzięję z wstydem i rozpaczą!

«Sam Bóg mnie snąć opuścił, że nie wiem, co uczynię!  
 Hildburgo, druho moja, daj mi swą radę ninie:  
 Czy uciec precz, czy posłom ukazać swoją postać,  
 Okrytą takim wstydem? raczej na zawsze służebnicą zostać!»

Odrzeczę jej Hildburga: «Co czynić nam wypada,  
 Sama najlepiej wiecie, zbyt cenna moja rada!  
 Ja z wami zniosę wszystko, przecierpię wszystkie bole,  
 Nie rzucę was przenigdy, razem na dolę pójde i niedolę».

I w stronę ku domowi zwróciły się tej chwili.  
 Lecz obaj ci mężowie tak blisko miejsca byli,  
 Że oczy ich odrazu na brzegu je spostrzegły,  
 Poznali też niebawem, że swej odzieży radeby odbiegły.

Wnet z łodzi wyskoczyli i zawołali na nie:  
 «A naco, piękne praczki, to chyże uciekanie?  
 My obcy tutaj ludzie, odgadnąć łatwo przecie,  
 Że płótno swe odbiegłszy, przez nas na zawsze stracić je możecie».

Udały, że nie słyszą z tej rady ani słowa;  
 A przecież do ich uszu dotarła wszystka mowa,  
 Gdyż głos Herwiga-króla donośny był i gruby.  
 Hej! wcale on nie przeczuł, że był tak blisko swojej dziewczki lubej.

rzekł im pan na Sêven: «Czyjaż ta odzież, czyja?  
 Powiedzcież, gdy nam trochę wasze serce sprzyja,  
 Na honor wszystkich dziewic prosimy was to szczerze:  
 Niewiasty wy nadobne, i pocóż rzucać macie to wybrzeże!»

Szlachetna rzekła Gudrun: «O, wiem, że wstyd mnie spali,  
 Jeśli na honor dziewic, na któryście wezwali,  
 Sama dziewicą będąc, ukryję to przed wami.  
 Niedarmo prosiliście, choćbym się tutaj miała zalać łzami!»

W koszulach przyszły ku nim — koszule te zmoczone!  
 Czy zniosłyby to dawniej cne białogłowy one?  
 Od mrozu dzisiaj drżały te biedne służebnice —  
 Tak nędzny był ich żywot, a wiatr marcowy śniegiem dał im w lice!

Było to w onej porze, gdy zima już uchodzi,  
 Gdy ptactwo na wyścigi piosenki swe zawodzi,  
 Do chwil marcowych strojąc ten swój rozhovor słodki.  
 ak często spotykano w śniegu i lodzie te biedne sierotki!

Z włosami rozwianemi cne dziewczki się zbliżyły;  
 Jak te ich zwoje dawniej nadobne zawsze były!  
 A dzisiaj wiatr marcowy warkocze im rozrzucił  
 Na śniegu i na deszczu! O, jak ten ciężki los te biedne smucił!

Na morzu lód wokoło pokrywał jeszcze fale,  
 Zacząwszy ledwie topnieć. Wielkie ich były żale:  
 Prześwieca przez koszule, niby ten śnieg bielutki,  
 Ich ciało. Widok obcych sprawił ich sercu nazbyt gorzkie smutki.

«Dniem dobrym» je powitał król Herwig w ten poranek;  
 To słodkie pozdrowienie zbyt miłe dla wygnanek:  
 Na służbie u złej pani cierpienia znoszą mnogie —  
 «Dzieńdobry!» «Dobrywieczór!» nadzwyczaj były tym dziewczicom drogie.

«Powiedzcie nam», pan Ortwin odezwie się tej pory,  
 «Do kogo to należą kosztowne te ubiory  
 Lub komu je pierzeć? Wdzięk we was tak uroczy!  
 I któż to was tak męczy? Niech Bóg od niego swe odwróci oczy!

«Tak pięknieście, że obu w koronach tylko chodzić  
 Jeśliby to się mogło i z rodem waszym zgodzić,  
 To z każdej z was uczciwie byłaby cna królowa!  
 Czy ten, komu służycie, takich tam więcej ślicznych praczek chowa?»

I rzekła piękna dziewczka, tonąca w swej żalobie:  
 «Piękniejsze ma on jeszcze niżeli my tu obie.  
 Pytajcie, o co chcecie; gdy ujrzy pani z wieży,  
 Że z wami rozmawiamy, to nam niebawem pokutę wymierzyl!»

«Przyjmijcie bez urazy to złoto z naszej ręki,  
 Te cztery dobre spiny zabierzcie jako dzięki  
 I chciejcie — my je radzi dajemy, piękne panie —  
 Nie czując do nas żalu, wraz odpowiedzieć na nasze pytanie».

«Niech wyjdzie wam na szczęście ta każda wasza spina,  
Nagrody nie pragniemy», odpowie mu dziewczyna,  
«Pytajcie, o co chcenie, nam pora już do domu,  
Bo jeśli nas zobaczy, to bólu dozna me serce i srom!»

«Czyjeż to jest dziedzictwo i te bogate łany,  
I te wspaniałe grody? Jak jest ten nazwany,  
Co tak was bez odzieży tę służbę spełniać zmusza?  
Wiedziałyby, że to niecnie, jeśli by dbała o cześć jego dusza».

«Hartmut — to jeden książę», tak dziewczka odpowiada,  
«Ten ziemie ma rozległe i nad grodami włada,  
A drugi zwie się Ludwik, normandzkiej dziedzic ziemi,  
Dzielnego pan rycerstwa: ci dwaj panują tutaj berly cnemi».

Na to Ortewin rzecze: «Pragniemy ich zobaczyć;  
Uroczę wy dziewczę, umiecież nam oznaczyć,  
Gdzie obu spotkać można? Postyszeć myśmy radzi:  
Wysłano nas tu właśnie. I my z królewskiej jesteśmy czeladzi».

Odrzeknie wzniosła Gudrun: «Dzisiejszym rankiem, wcześniej,  
Gdym wyszła, obaj w zamku leżeli w łóżach we śnie;  
Rycerze — cały tysiąc i czterysta — pełnili  
Straż przy książętach śpiących. Nie wiem, czy w domu są jeszcze tej chwili».

Król Herwig na to rzecze: «Powiedzcież, dziewczki moje,  
Dlaczego taki ciężar te dzielne znoszą woje,  
Że tylu aż rycerzy trzymają w każdej porze?  
Jabym królestwo zdobył, gdybym ten hufiec miał na swoim dworze».

Odrzekną białogłowy: «Nieznane są nam sprawy,  
Nie wiemy, jak książęce rozsiadły się dierzawy.  
Jest tylko kraj — to wiemy — co Hegelingen zwie się:  
Boją się po wsze czasy, że on im wrogów okrutnych przyniesie».

Ze zimna wielce drżały nadobne te dziewczęta.  
Tak rzecze im król Herwig: «Nie będzież nam pojęta  
Ta prośba za urazę: Czybyście u wybrzeży  
Tych mroźnych nie raczyły przyjąć, panienki, coś z naszej odzieży?»

Odpowie córka Hildy: «Niech Bóg na szczęścia wiele  
Obróci wam te płaszcze, lecz u mnie na mem ciele  
Przenigdy męskiej sukni nie ujrzy ludzkie oko».  
Gdyby wiedziały wszystko, nie ważyłyby tego tak głęboko.

Herwig z nadobnej dziewczki nie spuszczał prawie wzroku,  
Tak pełną mu się zdała lubości i uroku,  
Że aż mu się westchnienia w bolesnem rodzą łonie:  
Do tej snąc jest podobna, o której nieraz w słodkich dumach tonie.

Wtem Ortwin, król Ortlandu, to do nich zwróci słowo:  
«Pytam was, dziewczki obie, nie znacie przypadkowo  
Drużyny, która niegdyś zjawiła się w tej ziemi?  
Śród niej tam była jedna, imieniem Gudrun zwana między swemi».

«Wiadomo mi», powiada na słowa te dziewczyna,  
«Że w dawne lata przyszła do ziemi tej drużyna;  
Do dierzaw tych przybyła po czasie wielkiej wojny:  
Bezdomne te niewiasty zbladły od bólu i od troski znojnnej».

Powiada: «W wielkim trudzie widziałam tę niebogę,  
O którą się pytacie, i wyznać wam to mogę.  
Toć ona była właśnie przygnana przez Hartmuta,  
Nieszczęsna, biedna Gudrun, ją to spotkała taka dola luta.

Tedy król Herwig rzecze: «Patrzajcie, Ortewinie!  
Jeżeli jeszcze w świecie, w jakiej tam bądź krainie,  
Od śmierci się Gudruna, siostrzyca wasza, broni,  
To ona jest nią właśnie, nigdzie nie widział tak podobnej do niej».

Odpowie król Ortewin: «Przeluby wzór dziewoi,  
Lecz wcale nie podobna do słodkiej siostry mojej;  
Z młodości nas obojga pamiętam jeszcze czasy,  
Że w krąg na całym świecie nie było dziewczki tak uroczej krasyl!»

Kiedy tak druha zdradził, że Ortwin jest z nazwiska,  
Tak w niego swe badawcze spojrzenie ciągle wciska  
Gudruna, biedna dziewczka. Dowiedziećby się rada,  
Azaliż on jej bratem: to jej męczarniom kres ostatni zada.

«Jakkolwiek się zowiecie, znać, że z was rycerz dobry,  
I mnie był znan bohater, podobny do was, chrobry,  
Ten Hartwig był imieniem, z Morskich-Ziem pochodził.  
O, gdyby żył jeszcze, z tychby nas ciężkich więzów wyswobodził.

«I mnie króla Hartmuta przywiodły wojsk szeregi,  
Ujawszy wraz z innemi, przez morze na te brzegi;  
Lecz jeśli wy Gudruny szukacie, to bez celu:  
Dziewica z Hegelingen zmarła po trudach i cierpieniach wielu!»

Łzy gorzkie Ortwinowi blask śmiły pod powieką,  
I Herwig-król nie ukrył tych łez, co z ócz mu cieką:  
Gdy wieść tę posłyszeli, że piękna Gudrun zmarła,  
To w piersi bohaterów ciężka się żalność odrazu rozparła.

Tak widząc ich przed sobą w tych łzach i w tej boleści,  
Bezdoma Gudrun zaraz te słowa im obwieści:  
«Z waszego zachowania dziś serce moje widzi,  
Że biednej tej Gudruny ród się wasz nigdy, nigdy nie powstydzi».

Król Herwig odpowiedział: «W mem łonie ból wyrasta  
I będzie rósł do końca: wszak moja to niewiasta!  
Mnie była zaręczona uroczystymi ślubyl  
Straciłem ją, niestety! a stary Ludwik sprawcą mojej zguby».

«Wy mnie oszukać chcecie», odpowie dziewczę rzewne,  
«O śmierci Herwigowej dostałam wieści pewne;  
Wszystkie rozkosze świata spłynęłyby mi w duszę,  
Jeśliby on żył jeszcze! Dałby swobodę i skończył katusze».

«Spojrzyjcie na mą rękę», szlachetny rycerz powie,  
«To złoto poznajecie? Herwigiem świat mnie zowie;  
To znak, abym pamiętał Gudrunę kochać szczerze:  
Jesteście li mą panią, a z tej niewoli Herwig was zabierze».

Odpowie mu dziewczica z radości uśmiechnięta:  
«To złoto było moje, Gudruna je pamięta;  
A teraz wam pokażę, co przysłał mi w te lata  
Mój luby, gdym nie znała, u ojca będąc, co jest szczęścia strata».



Spojrzawszy na jej rękę, spostrzegłszy złoto na niej,  
 Szlachetny Herwig rzecze radośnie do swej pani:  
 «Nie zrodził cię nikt inny, tyś z matki jest książęcej;  
 O, szczęście! o, słodyczy! nie znam już dzisiaj utrapienia więcej».

Nadobną on dziewicę w objęciu zamknął swoim;  
 Co sobie tam mówili, radością to i znojem.  
 Całował swą królowną, hej! nie wiem ile razy,  
 A także Hildeburge, bladą wygnankę, wierną i bez skazy,

*Tłum. Jan Kasprowicz.*

## HARTMANN VON AUE

(ok. 1170 — po 1210)

### Z «BIEDNEGO HENRYKA»

(Bogaty rycerz cierpi na straszny wrzód, od którego może go wybawić jedynie dobrowolna śmierć niewinnej dziewczicy. Zrozpaczony, rozdaje swe mienie, by zamieszkać u poddanej sobie rodziny chłopskiej. Pobożna dziewczyna posłyszała o warunku wyleczenia rycerza i pragnie krew swoją dla niego przelać.)

Tak podążyła do Salerna  
 razem z swym panem dz ewka wierna,  
 otuchę czując i wesele.  
 Cóż ma się jeszcze skarżyć wiele —  
 chyba na długość tej podróży  
 że jej życie jeszcze służy.  
 A gdy na miejsce już przybyli,  
 to on do mistrza tejże chwili,  
 jako ułożył w swojej głowie,  
 pójdzie i wszystko mu opowie  
 z radością w sercu, że na świecie  
 znalazł dziewczoję, lube dziecię,  
 co go wybawić ma w zamiarze;  
 przyczem mistrzowi ją pokaże.  
 Ten nie da wiary i tak spyta:  
 «Zastanowiłaś się dosyła  
 nad swoją wolą? czyś związana  
 chęcią lub groźbą swego pana?»  
 Na to mu dziewczka odpowiada,  
 że to, co czyni, czyni rada,  
 że gdy to spełnić jest gotową,  
 idzie za duszy swej namową.  
 «Dziw tu» — pomyśli on — «na dziwie»,  
 weźmie ją nabok i skwapliwie  
 rozpocznie badać, czy też ona  
 nie jest groźbami przymuszona,  
 azaż w tem pana niema woli.  
 «Dziecię» — tak powie — «do swej doli  
 trzeba-ć się lepiej przygotować;  
 wiesz, co masz spełnić, co sprawować;  
 umrzesz, lecz korzystać nie uświęci  
 twojego końca, jeśli z chęci  
 nie własnej dajesz młode życie;  
 postępuj jawnie, a nie skrycie,  
 otwórz przede mną swoją duszę,  
 słuchaj, co rzec ci tutaj muszę;

mam cię rozebrać, mam obnażyć,  
 czy to nie dosyć — zechciej zważyć —  
 by opuściła cię odwaga  
 z wstydu, gdy stać tak będziesz naga?  
 Zwiążę ci nogi, zwiążę ręce,  
 ulitujże się ciała męce,  
 rozważ, dziewczyno, te męczarnie!  
 Z żywego łona ci wygarnie  
 nóż mój twe serce śród boleści!  
 Powiedz, dziewojo, na te wieści  
 czy jeszcze czujesz męstwo w sobie?  
 Wszakże dotychczas w żadnej dobie  
 nie doznał tego nikt na ziemi.  
 Na myśl, że na to oczy swemi  
 będę spoglądał, czuję dreszcze.  
 A kiedy sobie wspomnę jeszcze,  
 że nadaremne wszystko będzie,  
 gdy żal w najmniejszym zdjął cię względzie,  
 wtedy stracone trudy, leki  
 i młode życie twe na wieki».  
 Tak jej to wszystko przypomina,  
 tak-ci ją prosi, tak zaklina,  
 by porzuciła taką śmiałość,  
 ale w niej silna woli stałość.

Dziewka, poznawszy, że co prędzej  
 może się wyrwać z ziemskiej nędzy —  
 nim jeszcze jeden dzień uciecze —  
 tak-ci do niego z śmiechem rzecze:  
 «Za twoją miłość zapłać Boże,  
 że nim na bólów pójdę łoże,  
 mówią mi prawdę usta twoje;  
 wierzaj, poniekąd ja się boję,  
 albowiem zdjęło mnie zwątpienie,  
 a ja ci wyznać się nie lenię,

w jakim rodzaju jest prawdziwie  
 ona wątpliwość, którą żywię:  
 twoje wahanie mnie przestrasza,  
 że wniwecz pójdzie służba nasza,  
 bo ty nie spełnisz jej, niestety!  
 Twe słowa godne są kobiety,  
 a duch jest w ciele twem zajęczy.  
 Zbyt wielki przestrach ciebie męczy,  
 że ja mam dzisiaj umrzeć, panie!  
 Żle ty wypełniasz swe zadanie,  
 chociaż mistrzostwa dierzysz sławę.  
 Jestem kobietą, lecz obawę  
 wygnałam z serca; odważę się  
 krajać, a duch mój ból już zniesie.  
 Słyszałam właśnie z twojej wargi  
 na śmierć straszliwą groźne skargi,  
 wypowiedziane bez osłony.  
 Ale czyż byłabym w te strony  
 przyszła tak zdala, gdybym w duszy  
 nie czuła męstwa, by katuszy  
 choćby najwięcej znieść, gdy trzeba?  
 Tyś na mnie ściągnął łaskę nieba:  
 sam mi tę błażość odebrałeś,  
 a jeszcze więcej męstwa wlałeś;  
 w takiej mnie tutaj widzisz trwodze,  
 jakbym do tańca była w drodze;  
 bo gdzież męczarni taka siła,  
 coby się w życie moje wpiła,

coby przez jeden dzień je żarła,  
 ażebym rada nie umarła,  
 abym nie miała mieć przyczyny  
 oddać ten jeden dzień jedyny  
 za wieczystego dni żywota!  
 Niech się już zacznie twa robota!  
 Dalej! bo strachu niema we mnie  
 Jeśli krew moja niedaremnie  
 popłynie dzisiaj; masz li w głowie,  
 że memu panu wrócisz zdrowie,  
 przyczem ja żywot zyskam wieczny,  
 na miłość Boga! bądź bezpieczny,  
 zacznij co prędzej, pokaż przecie,  
 że jesteś mistrzem na tym świecie!  
 Sam mnie pobudzasz w tej godzinie;  
 wiem-ci, dlaczego ja to czynię —  
 w imieniu Tego, co łaskawy  
 widzi tu nasze dobre sprawy  
 i swą nagrodę za nie łoży;  
 wiem, co powiedział nam Syn Boży:  
 Kto tu na ziemi odda siebie  
 na wielką służbę, w mojem niebie  
 weźmie największą ten zapłatę.  
 Dlatego życia mego stratę  
 bolesną — myśl mi słodzi,  
 że on mnie wynagrodzi.  
 Umysłbym miała wzdyc szalony,  
 niebios wyparłszy się korony».

*Tłum. Jan Kasłowicz.*

## GOTTFRIED VON STRASSBURG

(zm. po 1210)

### Z «TRYSTANA I IZOLDY»

(Izolda pod działaniem miłosnego napoju, który ma jej serce przykuć na zawsze do Trystana, po niejakej z sobą walce, nie może już słumić ognia, co ją przenika, i pierwsza wyznaje miłość kochankowi.)

«Ach! to, co wiem, mnie niepokoi,  
 i to, co widzę, ból mi sprawia,  
 niebo i morze mnie udręcza,  
 ciało i duszę mi przygniata».  
 Tutaj ku niemu się przechyli  
 i ręką się o niego wspiera.  
 To był jej pierwszy krok wyznania.  
 Jej jasne oczy zwierciadlane  
 zasły powłoką tajemniczą,  
 jej serce w piersiach się rozdyma,  
 jej piękne lica ogniem płoną,  
 bezwładna głowa wdół się zwiesza.  
 Kochanek do niej się przysuwa  
 i wpół ramieniem obejmuje,  
 lecz niezbyt śmiało, niezbyt zbliża,  
 nie więcej, jak to goście czynią,  
 i tak przemawia słodko, zcicha:  
 «O powiedz mi, ty piękna, miła,

co cię udręcza, skąd te skargi?»  
 Na to Izolda odpowiada:  
 «Lameir — to moje udręczenie,  
 lameir uciska duszę moją,  
 lameir to sprawia boleść mnie».  
 Gdy tak «lameir» wciąż powtarzała,  
 począł zamyślać się i badać  
 rozliczne znane sobie zwroty,  
 chcąc sens zrozumieć tego słowa.  
 Toć przecie dobrze miał w pamięci:  
 ameir oznaczać może kochać,  
 ameir — to gorzkie, la meir — morze:  
 aż tyle może być tłumaczeń.  
 Jedno pominąć chciał z tych trojga  
 i o dwa tylko się zapytał;  
 tak więc nie wspomniął o miłości,  
 co przecie była ich władczynią,  
 pociechą ich i upragnieniem,

jeno — o gorzkim i o morzu.  
I mówił: «Więc, Izoldo piękna,  
udręcza morze cię i gorzkie,  
przeciwne są ci wiatr i morze  
i napawają cię goryczą».

«Nie, nie, mój panie, co ty mówisz?  
Ni to, ni owo mnie nie trapi,  
ni wiatr, ni morze nie dokucza,  
l'ameir jedynie dręczy mnie».

Tu, gdy wyrazu myśl zrozumiał  
i poznał miłość w jego brzmieniu,  
stłumionym głosem tak przemówił:

«Zaprawdę, pani, tak i ze mną,  
l'ameir i ty — to męka moja,  
ty ukochana, ty Izoldo,  
jedynie ty i miłość twoja  
wyście mą duszę zakłóciły  
i podwróciły umysł mój.

Jam już nad sobą panowanie  
zupełnie stracił, tak iż odtąd  
spokoju nigdy nie odzyskam,

i na cokolwiek rzucę okiem,  
wszystko mnie męczy, niepokoi,  
wszystko mi nudne, wszystko wstrętne,  
i memu sercu na tym świecie  
jedynie droga jesteś ty!»

«Tak jak ty mnie» — Izolda rzekła.

Gdy tak oboje kochankowie  
odkryli w sobie jedną myśl  
i jedno serce, jedną wolę,  
uspokoili się oboje

i podzielili swe cierpienia.

Śmielej na siebie spoglądają

i rozmawiają teraz śmielej,  
zniknął już przymus między nimi;

on ją całuje, ona jego

nawzajem czule i miłośnie.

Taki rozkoszny był początek

ich miłosnego udręczenia.

Oboje razem sączą, piją

śłodczy zdrój, co z serca płynie.

*Tłum. Edward Grabowski.*

*Uzupełnił Alfred Tom.*

## WOLFRAM VON ESCHENBACH

(zm. ok. 1220)

### Z «PARSYWALA»

(Przybycie do grobu św. Grala)

Do pałacu się udali,  
sto pajaków napotkali,  
w wszystkich świec mnogo płonie,  
a prócz tego w każdej stronie  
pełno się mniejszych świeczek bieli.  
I miękkich łóżnic sto ujrzeli,  
a na nich sto poduszek leży;  
na każdej czterech wraz rycerzy  
wczasu zażywać może.  
Zosobna stoi każde łożo,  
kobierzec każde z nich przedziela.  
Wszystko to króla Frymutela  
mógł sobie sprawić syn, co z pieczy  
nie puścił także jednej rzeczy,  
wcale nie skąpiąc złota.  
Z marmuru była to robota  
te trzy kominki czworogranel  
A na nich ogień bezustanne  
z lignum aloë — tak się zwało  
kosztowne drzewo. — Nie widziało  
tu w Wildenburgu żadne oko  
ognisk, płonących tak szeroko.

Sam-ci gospodarz w tej godzinie  
tuż przy środkowym siadł kominie

na krześle miękko ślanem.

Rozkoszy nie był panem

żadnej na świecie — nie! — on nie żył,  
lecz wciąż się z śmiercią mierzył.

Gdy się Parsywał w zamku stawił,  
wnet się przyjaźnie z nim rozprawił

ten, co w gościnę go zaprosił;

odrazu słowo doń wygłosił,

aby się zbliżył, nie stał dłużej,

lecz usiadł obok: «Niech wam służy

to miejsce przy mnie; siadać zdala —  
na to gościnność nie pozwala».

To rzekł gospodarz nieszczęśliwy.

Był schorowany, więc nie dziwy,

że potrzebował, nawpół skrzepły,

wielkiego ognia, sukni ciepłej:

z wierzchu i spodu temu gwoli

dostatnią suknię miał z soboli

i płaszcz rzęsisty miał na sobie

czarny i szary: w tej ozdobie

najgorszy skrawek wart pochwały.

Takiż z soboli okazały

kolpak na głowie miał dwucięty,

górzą z arabska burtą spięty,

a w środku na nim spina

z przezroczyściego rubina.

I przed rycerskich szereg gości  
wniesiono oznaki żałości.  
Do środka giermek drzewiami wskoczył  
z oszczepem w rękę (gdyś go zoczył,  
to wraz do żalów byłę rączy).  
Krew z jego ostrza tak się sączy,  
że aż na dłoń po drzewcu spływa  
i gdzieś w rękawie się ukrywa.  
Jak tam jęczeli, jak płakali  
w onej rozległej sali!  
Nie umiałyby tej boleści  
podołać ludy z ziem trzydzieści!  
I tak naokół każdej ściany  
podniósł się oszczep krwią obłany,  
co uczyniwszy, wnet za progi  
skierował giermek swoje nogi.  
Potem się ludu żal ułożył,  
co z tego bólu się wytworzył,  
gdy owy giermek wniósł był w rękę  
oszczep do sali, sprawcę jęku.

A jeśli was nie znużę,  
to dalej wam posłużę  
i rad opowiem od początku  
o cnych sprawowań dalszym wątku.  
Przy samym końcu sali  
otworzyły się drzwi ze stali,  
a niemi weszły dwie dziewoje —  
słuchajcie, jakie na nich stroje!  
Wielkąby miłość temu dały,  
ktoby w ich służbę poszedł, śmiały.  
Przecudne to kochanki!  
Dwa na ich włosach wianki,  
uwite z kwiatów milej woni.  
Każda z nich niosła w dłoni  
świecznik złocisty; włos z ich głowy  
spływał, rozwiany, długi, płowy.  
I świece niosły zapalone.  
Nie trza zapomnieć, w jakiej one  
cudne dziewice lśniły szacie,  
gdy je ujrzalesz w tej komnacie.  
W sukni grafini z Tenabroku  
brunatny szkarłat błyszczał oku,  
w takimże stroju jej powierną.  
Fałdów i sprzączek moc niezmierna,  
a nad biodrami, w smukłym stanie,  
podwójne miały przepasanie.  
Zkolei weszła wraz z swą družką  
księżna, a każda z nich z sztaluzką,  
z słoniowej kości utoczoną.  
Kraśne ich wargi ogniem płoną.  
Wszystkie się pokłoniły,  
a dwie z nich ustawiły  
przed gospodarzem swe sztalugi.  
Tak się sprawiwszy, wierne sługi,  
mając przystojność cną na względzie,

stały wszystkie w jednym rzędzie.  
Na wszystkich czterech jednakowy  
błyszczał się strój od stóp do głowy.  
Co się nie stało, patrzcie, dalej  
Dwa razy cztery pań do sali  
weszło za niemi: w rękę świece  
dzierżyły cztery dziewice,  
a drugie cztery za te progi  
przyniosły kamień drogi.  
Wszystkim on znany jest z nazwiska —  
Granat-hiacynt — a tak błyska,  
jak słonecznego światła smugi.  
Kamień szeroki był i długi.  
rznięty w tak gładkie, cienkie płyty,  
że może być na stół użyty,  
przy którym do uczy nielada  
sam-ci gospodarz siada.  
Jakgdyby za rozkazem,  
przy gospodarzu wszystkie razem  
stanąwszy, głowy swe skłoniły.  
Cztery z nich płyty położyły  
na owe z słoniowej kości  
sztalugi takiej białości,  
że niczem jasność śniegu.  
Potem stały znów w szeregu.  
Od świeżej trawy zieleniej  
na wszystkich ośmiu się mieni  
aksamit z Agagugi,  
dobrze skrajany, suty, długi.  
A w samym środku strój był spięty —  
pas miał kosztowny, wąsko cięty.  
Każda z tych ośmiu niebianek  
miała na włosach wianek,  
uwity z kwiatów niewielu.  
Hrabia Iwain na Nonelu,  
a także Jernis, pan na Ryłu,  
pomimo mil dalekich tyłu,  
dali w tę służbę córy swoje:  
co za przedziwne stroje  
miały księżniczki te hoże!  
Od ości ostrzejsze dwa noże,  
godne podziwu okrzyku,  
przyniosły z sobą: na ręczniku  
każdy z nich leżał, srebrzysty.  
Mistrz je wykonał rzeczywisty,  
a takiej były ostrej siły,  
że nawet stalby przekroiły.  
Poprzed tem srebrem znowu inne  
cztery panienki szły niewinne,  
cztery wybrane, cne dziewice,  
niosące w rękę jasne świece.  
I tak ich weszło sześć do sali.  
Zważcie, co tu się stało dalej.

Pokłoniły się. Potem z koła  
dwie, przybliżywszy się do stoła,

złożyły noże swe na płycie,  
 a zasię przeszły należycie,  
 gdzie się postacie lśnią dziewicze  
 w liczbie dwunastu... Dobrze liczę,  
 jest osiemnaście ich w tej porze.  
 Lecz znowu idzie sześć — a hoże,  
 a w drogie suknie naodziane,  
 napoty z plialtu tkane,  
 napót z bisioru z Niniwy.  
 Te więc i pierwszych sześć — o, dziwy!  
 miały wzorzyste odzienie —  
 dwanaście sukien — po cenie  
 najdroższej zakupionych.  
 Wślad strojnych dziewic onych  
 weszła nakońcu królowa,  
 a tak jaśniała jej głowa,  
 że wszystkim się zdawało,  
 jakgdyby wokół zadniało.  
 Szła w sukni cudnego wzoru  
 z arabskiego bisioru,  
 a zaś w jej rękę się mieni  
 na achmardowej zieleni  
 ta «Rozkosz Raju» — z korzeniem  
 i z konarami: imieniem  
 Grała to rzecz nazwana,  
 nad wszystko w świecie wybrana.  
 A ta, co go dźwigała,  
 Repanse de Schoye się zwała.  
 Ta zaś właściwość Grała,  
 że trza od fałszu być zdala,

że trza niewinność swą zachować,  
 gdy jego służbę chcesz sprawować.

A zaś przed Gralem przyniesiono  
 sześć szklanych latarni, które pono  
 niemało stawy miały w sobie:  
 balsam się palił w nich w tej dobie.  
 Gdy przekroczyły próg dziewicę,  
 niosące w ręku te szklenice,  
 pełne balsamu, wraz z królową  
 skłoniły się przystojnie głową,  
 potem królowa, tak jak była  
 pełna godności, postawiła  
 przyniesionego z sobą Grała  
 przed gospodarzem. Parsywała  
 zaduma schwyci wnet głęboka,  
 tak że nie spuszczał długo oka  
 z onej królowej bogatej,  
 co wniosła Grała do komnaty,  
 a której płaszcz krył mu ramiona.  
 Do osiemnastu tamtych grona  
 te siedem w rychłym czasie  
 zwróciły kroki, w środek zasię  
 tę najprzedniejszą wzięty.  
 Tak wokół niej stanęły —  
 wzdyc po dwanaście z każdej strony,  
 a ona z blaskiem korony  
 na swem królewskim czole  
 lśniła urodą w tem kole.

*Tłum. Jan Kasproicz.*

### DIETMAR VON EIST

(1140—1170)

#### DO SOKOŁA

Stoi samotna dziewica  
 I spogląda w długie pola,  
 I czeka swego kochanka.  
 Wtem ujrzała sokoła wysoko:  
 «Szczęśliwy sokole! lecisz tam  
 Podług woli, gdzie chcesz sam,  
 I wybierasz sobie w lesie  
 Drzewo, jakieć się podoba.  
 I ja tak uczyniłam,  
 I jam wybrała jednego,  
 Już znalazły oczy moje —  
 Ale inne mi zazdroszczą,  
 Biada! one mi nie zostawią mojego kochanka,  
 Chociaż ja ich własności nie pragnęłam nigdy».

*Tłum. A. J. Szabrański.*

## DER VON KÜRENBERG

(2-a poł. XII w.)

## ZBIEG

Chowałam sokoła dłużej niż rok cały;  
 Gdym go oswoiła, jak sztuki kazały,  
 Kiedym mu skrzydełka owinęła złotem,  
 Wzleciał, w obce strony umknął chyżym lotem.  
 Obaczyłam później mojego sokoła,  
 Miał na nogach piękne sznury dookoła,  
 Skrzydła jasnym złotem w powietrzu migają:  
 Niechaj Bóg połączy tych, co się kochają!

—————  
*Tłum. Ludomił German.*

## [WIERNOŚĆ]

(Rękopis nieznanego autora z w. XII w. klasztorze Tegernsee)

Tys jest mój,  
 A jam twoja —  
 Niech to będzie twa ostoja.  
 Jesteś zamknięty  
 W moim sercu —  
 Ale kluczyk  
 Zginął nam:  
 Musisz na wieki  
 Pozostać tam.

—————  
*Tłum. Alfred Tom.*

## FRIEDRICH VON HAUSEN

(um. 1190)

## SERCE A CIAŁO

Serce chce rozstać się z ciałem, W którym spokojnie wzrastało: Ciało do walki się zrywa, Serce jedną ukochało.	Smutek teraz duszę toczy — Że się cel ich tak rozchodzi, Wina tego moje oczy — Bóg to jeden załagodzi,
---	---

—————  
*Tłum. Ludomił German.*

## HEINRICH VON VELDEKE

(2-a poł. w. XII)

## PIOSNKA

Kto mi szkodzi u mej pani, Temu życzę stryka — Losu, co łotrów spotyka; Lecz kto czyni mi zadość — Do Nieba wznoszę dłonie: Oby miał wieczną radość!	Ktokolwiek pyta o nią — Niech przyzna, że tak ładną Świat się nie szczyci żadną. — Za szczyptę dla mnie łaski Miej wszystkie słońca blaski! Księżycu — niech mnie przypadną.
---	---

—————  
*Tłum. Alfred Tom.*

## HEINRICH VON MORUNGEN

(um. 1221)

## PIOSNKA

Napiszcie te słowa  
 Tam, gdzie mnie pochowa  
 Już grobowy głąz:  
 Kochałem — nie dbała,  
 Jej serce jak skała —  
 I przeminął czas.  
 Niech wędrowiec tam wyczyta,  
 Jaka ciężka na niej wina,  
 Jak dręczyła ta kobieta  
 Wierną duszę — niech wspomina  
 I osądzi nas.

*Tłum. Ludomił German.*

## WALTHER VON DER VOGELWEIDE

(po 1160 — ok. 1230)

## ODDANIE SIĘ I ODPRAWA

Mego serca przenika głębinę	Piersi moje troska ciśnie głazem;
Jej niebiańskich oczu rajski blask;	By ją zrzucić, jest li we mnie moc?
Patrzeć na nią częściej, co godziny,	Potajemnie chciałbym z nią być razem
Być jej sługą — ach! to szczytem łask!	Za białego dnia i w późną noc.
Jej oddana dusza ma,	Lecz nadzieja — próżny szaf.
Ale ona czyliż o to dba!?	Zgody pani mej nie będę miał.

Jeśli moją wierność tak odpłaca,  
 To któż drugi da jej wiarę znów?  
 Snać od pochwał moich się odwraca,  
 Woli słuchać mych nagany słów.  
 Ach! dlaczegoż czyni tak,  
 Gdy w mem sercu nienawiści brak!?

## POTĘGA MIŁOŚCI

Miłości! któż tej mocy cud  
 Dał ci, żeś tak wszechmocna ty?  
 Pod twojem jarzmem wszelki lud —  
 Stary i młody wszakże drży.  
 Jać chwałę Boga, odkąd sam  
 Kajdany twoje noszę, odkąd pewnoś mam,  
 Że wiernej służby nadszedł dzień!  
 Nie rzucę tego jarzma: pozwól, bym ci, pani,  
 Aż do ostatnich służył tchnień.

*Tłum. Jan Kasprówicz.*

## POD LIPĄ

Kędy szeleszcze	Bo zmięte kwiaty pomną nas.
Lipa w kwiecie,	Z lasku płynął słodki śpiew
Gdzie z miłym swym siedziałam wraz,	Tan-da-ra-daj!
Miejsce to jeszcze odnajdziecie,	Słowik nucił pośród drzew.

Gdym porą nocną  
 W to ustronie  
 Przyszła, mój miły już tam był.  
 Tulił mnie mocno  
 Na swem łonie,  
 Dotąd mam słodycz w głębi żył.  
 Czy całował? Rozdział z chust?  
 Tan-da-ra-daj!  
 Patrz na czerwień moich ust!

I poszedł łożę  
 Popod lasem  
 Z przeróżnych kwiatów usłać nam.  
 Śmiały się może,  
 Ktoby czasem  
 Przechodził i przystanął tam.  
 Zarazby po różach zgadł  
 Tan-da-ra-daj!  
 Meį leżącej głowy ślad.

Gdyby obwieścił  
 Kto te śluby,  
 Broń Boże, gdzież przed wstydem schron?  
 Lecz jak mnie pieścił  
 Miły, luby,  
 Wiemy jedynie ja i on.  
 A słowiczek z pośród róż  
 Tan-da-ra-daj!  
 Pewnie milczeć będzie już.

*Tłum. Leopold Staff.*

#### DOBRY OBYCZAJ

Przymioty we mnie dwa, choć bez przymiotów jam;

Już je od dziecka połączyłem w sobie:

Cieszy się u mnie ktoś i ja uciechę mam,

Nierad się śmieję, jeśli kto w żalobie.

Razem z ludźmi dzielę śmiech,

Razem z ludźmi płakać pragnę:

Do łez nieraz — czyż to grzech? —

I do śmiechu ja się nagnę.

Jako oni, i ja tak,

Aby nie pójść ludziom wspak.

Kto, widząc boleść ludzi,

Uczuwa rozkosz w sercu, ten ku sobie

Wstręt u wszystkich budzi.

Dawniej to człowiek był milej miłości rad,

Radość też sobie moja pieśń wybrała;

Lecz dziś, gdy powiędł już miłości miły kwiat,

Z mej pieśni radość ubiegła też cała.

Zawsze tylko chwili służ,

Śpiewaj zawsze, jak kto może;

Gdy swawola minie już,

I ja dworską pieśń ułożę.

Przyjdzie jeszcze śpiewu czas:

Szczęśliw, kto go dożył z nas!

Niech każdy mi uwierzy,

Że sposób wynalazłem, jak i kiedy

Śpiewać mi należy.

Śpiewałem kobiet cześć dla ich pozdrowień słów,

W nich nagroda była mi gotowa;

Lecz, gdy daremnie dziś czekam nagrody znów,

Chwałą inni za pozdrowień słowa.

Nie uzyskam za mój śpiew

Pozdrowienia nawet w darze,

Nie postąpię dumie wbrew,

Twarz odwrócę, grzbiet pokażę.



Znaczy to: jak o mnie dbasz,  
 Takiego też we mnie masz.  
 Wystawiam te jedynie,  
 Co dzięki nieść umieją: dla zbyt pysznych  
 Pieśń ma nie popłynie.

Patrzcie, skąd tyle zła ponosim wszyscy my:  
 Rozróżniają nas mało kobiety.  
 Równy jest dla nich mąż, czy dobry on, czy zły;  
 Ta równość czci nam uwłacza, niestety!  
 Rozróżni nas kobiet ród,  
 I my je rozróżnim wtedy,  
 Nie wyniknie tyle szkód  
 Płci obojej, tyle biedy.  
 Gdy różnicy nie ma być,  
 Co jest dobrze, co źle żyć?  
 Zważcie, zacne panie:  
 Gdy, mszcząc się, my was wszystkie tak zrównamy,  
 Cóż się z wami stanie?

#### RÓWNOŚĆ WOBEC BOGA

Kto działa, Boże, twym sprawom wbrew,  
 Choć na swych ustach ma wciąż ich zew,  
 Szczerej miłości ten w sobie nie chowa.  
 Niejeden ciebie swym ojcem zwie:  
 Ale za brata kto nie ma mnie,  
 Dla tego słabą treścią wielkie słowa.  
 Jednego szczepu wszyscy my odnogi;  
 Ginie ta strawa, co nam pokarm błogi,  
 Spożyta przez nas, dała.  
 Pana od sługi któż odróżnić w stanie  
 (Choćby to jego byli przyjaciele),  
 Gdy spojrzy na ich piszczele,  
 Gdy robak niszczy ich ciała?  
 Temu, co wszystkich żywi, i poganie,  
 I żydzi służą, i brać chrześcijan cała.

#### WYZNANIE

Jak rzadko Ciebie, Boże chwalebny, ja tu sławię,  
 A przecież pieśń i słowo Ty dałeś mi łaskawie:  
 O, biada! że tak grzeszyć nie jestem dziś w obawie.  
 Źłe czynię i miłości nie mam do Twoich dzieci —  
 Współchrześcijan — ni do Ciebie, o wielki Ojczy mój!  
 Na siebie tylko zlewam swojej miłości zdroj:  
 Niech duch Wasz, Boże Ojczy i Synu, mnie oświeci!  
 Jak mogę kochać tego, co tu mi czyni źle?  
 Ten dla mnie zawsze miłszy, co jest życzliwy mnie,  
 Me inne przebacz winy, w tem się nie zmienię, nie!

#### BOGA ZGLĘBIĆ NIE MOŻNA

Któż, Boże, Twą szerokość i Twą wysokość zna?  
 Niech człek — by ich nie tracić — o czas i trud swój dba!  
 Potęga Twa i wieczność czyż miarę jaką ma?

Wiem o tem, gdy to zbadać zmysł innych się porywa,  
 Dla zmysłów niedościgła wszak jest istota Twa!?  
 Zbyt wielkiś i zbyt małyś, a zmysł nasz mrok okrywa.  
 Kto noc i dzień to zgłębia, ten zmysłów się pozbywa!  
 Czyż zbada to, co zbadać chcym trudem się nazywa!?

*Tłum. Jan Kasprówicz.*

### FREIDANK

(koniec w. XII — poł. XIII)

#### O NIEBIE I PIEKLE

O piekło w stokroć większym trudzie,  
 niżli o niebo, walczą ludzie,  
 większy ich mózół przygniata,  
 choć tak nierówna zapłata.

W piekielne, patrzenie, wiodą progi  
 w każdy otwarte czas trzy drogi:  
 pierwsza to droga jest rozpaczy,  
 ta duszy wieczną śmierć już znaczy;  
 druga, gdy spełnia człek złe czyny,  
 a przytem mieni się bez winy;  
 trzecia szeroka, potoczysta,  
 że z niej dziś cały świat korzysta:  
 bo świat najwięcej przez to grzeszy,  
 jeśli nadzieją się pocieszy,  
 że mu poprawa nie uciekła;  
 pociecha wiedzy wprost do piekła;  
 kto ma pociechę tę na względzie,  
 ten sobie szczęścia nie zdobędzie.

W niebo też można każdej doby  
 na te trzy różne wejść sposoby:  
 jeden przemocą siądzie w niebie,  
 jeśli wyrzeknie się sam siebie,  
 drugi w nie znowu się zakrada,  
 gdy o swej cnocie nic nie gada,  
 trzeci je targiem kupi jednym,  
 że swe dobytki rozda biednym.

Słowy bożemi, kto je umie,  
 nieraz władano w czartów tłumie,  
 że czart, pomimo swej ochoty,  
 wyznał swą hańbę, swe zgryzoty.

Zaklęciem człek przywabia węże,  
 gdzie je z rąk jego śmierć dosięże;  
 jeśli zaklęcie kto wyrzeczce,  
 tracą swe ostrze twarde miecze,  
 nawet żelazo cię nie sparzy,  
 chociaż przez cały dzień się jarzy;  
 tylko gdy na mszy jesteś święcie,  
 to ci nie robi nic zaklęcie.

Czarta i śmierci bać się muszę,  
 to mi napelnia strachem duszę:  
 nie widziało ich oko moje,  
 przecież, jak złego, ich się boję;  
 czem są, powiedzieć wszak nie mogę,  
 a przed obojgiem czuję trwogę.

Czart do tych chytrze nie przychodzi,  
 których na pasku swym już wodzi:  
 do tego chytrze się zabiera,  
 kto jego sprawom się opiera.

Czart zawsze wiernie się wypłaca:  
 jeśli mu służysz, to twa praca  
 w pamięci jego nie zaginie  
 o włos, choć tysiąc lat przeminie.

*Tłum. Jan Kasprówicz.*

### HUGO VON TRIMBERG

(ok. 1230 — ok. 1313)

#### Z «BIEGACZA»

(Jak mąż żonę swoją zamknął)

Gdzieś to czytałem przed laty:  
 mieszczuch pewien, pan bogaty,  
 przystojny i z miną godną,  
 miał żonkę bardzo urodną.  
 Lecz przez miłość, czy przez trwogę,  
 w dzień, w noc zamykał niebogę  
 i tak trzymał jakby w skrzyni,  
 jak to wielu głupców czyni.  
 Lecz dawne przysłowie niesie:  
 żona w straży — to wilk w lesie.

Niedość na tem, że raz w nocy  
 wrota zamknął z całej mocy,  
 klucz do siebie wziął w tej dobie;  
 lecz wtem biedak zasnął sobie.  
 Więc pocichu, pokryjomu  
 pani żona dalej z domu.  
 Przebudził się mąż niemiło:  
 bardzo go to zadziwiło.  
 Nic nie krzyczy, nie wyrzeka;  
 drzwi zamyka i sam czeka.

Niedługo małżonka wraca,  
 chce wejść cicho — próżna praca!  
 By otworzyć, męża zwywa.  
 On rzekł: «Ha, ty niegodziwa!  
 zapomniałaś już o Bogu!  
 Stój tam aż do jutra w progu,  
 na śmiech ludzki wystawiona,  
 kiedyś niegodziwa żona».  
 Ona rzekła: «Bądźmy szczerzi!  
 mgło mi było... duszno w piersi...  
 wybiegłam więc choć na chwilę  
 odetchnąć powietrzem mile —  
 a ty dla mnie tak surowy!»  
 On rzekł: «Znam ja twoje mowy!  
 próżno kłamiesz, czekaj rana —  
 ty musisz być ukarana».  
 Ona rzekła: «Chcesz mej kary  
 za miłość, za tyle wiary?  
 na mą hańbę nie pozwolę:  
 pójdę, utopić się wolę».  
 Wtem poskoczy w mgnieniu oka  
 przed dom, gdzie studnia głęboka,  
 chwyta wielki kamień, potem  
 rzuca go w wodę z łoskotem.  
 Ten wpadł z trzaskiem — tak się zdało,  
 że jej utonęło ciało.  
 Przywiązany mąż najczulej

na ten odgłos, choć w koszuli,  
 lecz nieszczęściem przerażony,  
 biegnie na ratunek żony.  
 Ona wpośród nocnych cieni,  
 ukryta przy progu w sieni,  
 wsunęła się w drzwi tą dobą  
 i te zamknęła za sobą.  
 «Zmij! zginiem tu oboje —  
 życie twoje albo moje!»  
 wołał mąż w gniewu zapale.  
 Żona na to: «Próżne żale!  
 zasłużyłeś — cierp, kochanku!  
 Ty to grzeszysz bezustanku,  
 po kątach się włóczysz wszędzie —  
 co to z ciebie dalej będzie!?
 Teraz przecie, chwała Bogu!  
 złapałam cię tu na progu.  
 Zaufana w słusznej sprawie,  
 na śmiech ludzki cię wystawię;  
 potem, dość mając powodu,  
 pójdę z tobą do rozvodu».  
 Patrzcie! tak mąż biedny leci  
 i sam wpada w własne sieci —  
 wstyd go czeka niespodzianie.  
 Cóż tu robić w takim stanie?  
 Więc przeprosił zręczną żonę —  
 i tak wszystko pogodzone.

*Tłum. A. J. Szabrański.*

## JOHANNES HADLAUB

(zm. ok. 1320)

### PIESZCZOSZEK

Ach, widziałem, jak z dzieckiem pieściła się miło;  
 A mnie tak było  
 Lubo, tajemnie...  
 Ona je wzięła lekko do swojego boku;  
 A z tego widoku  
 Drży serce we mnie.  
 Ona dłońmi śnieżnemi niemowlę trzymała,  
 I kiedy do ust jasnych z zapalem je tuli,  
 Ach! najczulej  
 Pocałowała.

I tak, jakbym sam życzył: dzieciątko ją zbliśka  
 Rączkami ścisła  
 Z równym zapalem.  
 O, dobrze, dobrze! tak rozkosz się dzieli.  
 I mnie weselej,  
 Że to widziałem.  
 Ach! ja na to z zazdrością zawsze patrzeć muszę!  
 Obym był dzieckiem z równą wzajemnością,  
 By tak miłością  
 Upieścić duszę.

I ja dziecię miluchne, wzięte z jej łona,  
 Biorę w ramiona,  
 Tkliwie podnoszę.  
 Ono do mnie, jak do niej, wyciąga rączęta...  
 Pierś tem przejęta  
 Czuje rozkosze.  
 Gdzie jej ręka spoczęła, tam moja dotyka,  
 I całuję to miejsce, gdzie jej usta były;  
 A ogień miły  
 Serce przenika.

Tłum. A. J. Szabrański.

## JOHANNES VON SAAZ

(ok. r. 1400)

### Z «ORACZA Z CZECH»

(Dialog ten rozważa kwestję śmierci w formie sporu prawnego. Oracz oskarża Śmierć, że porwała mu młodą żonę. Śmierć się broni. Wkońcu Bóg rozsądza ich spór.)

Oskarżyciel: Z biegiem czasu dostrzegam się prawdę, że dopóki się uczym — coś umiemy. Wasze sentencje są słodkie i pocieszne, z czego dosyć już czuję. Ale gdyby radość, miłość, przyjemność i rozrywka miały być wygnane ze świata, musiałoby mu się źle dziać. W tej sprawie powołałam się na Rzymian. Sami to oni stosowali i uczyli dzieci swoje, aby wysoko stawały radość, by w wolnych chwilach uprawiały turnieje, szermierkę, taniec, bieg na wyścigi i skakanie oraz wszelakie przystojne zabawy — w tym celu, aby przez ten czas były wolne od złych czynów. Albowiem myśli głowy ludzkiej nie mogą pozostać bezczynne: głowa musi w każdej chwili myśleć albo nad złem, albo nad dobrem. Nawet we śnie nie chce ona być bezczynna. Gdyby więc głowę pozbawiono dobrych myśli, złeby do niej weszły. Wyjdą dobre, to wejdą złe; wyjdą złe, to wejdą dobre; ta zamiana musi trwać aż do końca świata. Odkąd wygnane są radość, karność, wstyd oraz inne dobre obyczaje, odtąd świat stał się pełen złości, sromoty, niewierności, szyderstwa i zdrady — toć widzicie to co dnia. — Gdybym przeto miał usunąć z głowy mojej pamięć o najukochańszej mej żonie, wówczas wdartyby się tam złe myśli; tem bardziej więc pragnę w każdym czasie wspominać żonę moją najukochańszą. Kiedy wielka miłość serdeczna zmienia się na wielką udrękę serdeczną — któż zdoła o tem szybko zapomnieć? Potrafią to tylko źli ludzie. Dobrzy przyjaciele ciągle pamiętają o sobie; dalekie drogi, długie lata nie mogą rozłączyć dobrych przyjaciół. Chociaż żona moja już cieleśnie jest martwa, w myślach moich żyje ona przecież nadal bez przerwy. — Mości Śmierci, musicie wierniej rad udzielać, jeśli rada wasza ma przynieść jakiś pożytek; bo w przeciwnym razie wypadnie wam, jako nietoperzowi, i w przyszłości też znosić nienawiść ptaków!

Wyrok Boga: Wiosna, lato, jesień i zima — czwórka pokrzepiaczy i pomagaczy roku — nie zgadzały się z sobą w wielkim sporze. Każde z nich wychwalało swą dobrą wolę co do deszczu, wiatru, grzmotu, gradu, śniegu i wszelkiego rodzaju niepogody, a każde chciało w czynnościach swych być najlepsze... Zupełnie tak samo wy czynicie: Oskarżyciel skarży się na swą stratę, jakby tu szło o jego prawowite dziedzictwo; nie pamięta o tem, że wszystko zostało przez Nas użyzione. Śmierć znów przechwala się uprawnioną władzą, którą przecież otrzymała od Nas w lenno jedynie...

Tłum. Alfred Tom.

## Z POWIEŚCI O «DYLU SOWIŹRZALE»

(w. XV)

Jako Sowiźrzał, w Erforcie będąc, osia czytać uczył na starym psalterzu. Przyszedszy do Erfortu miasta... tam swoje listy rozbił<sup>1</sup>, a zwa-

<sup>1</sup> Poprzybijał odezwy.

szcza na Kollegijum<sup>1</sup>, aby o nim wiedzieli. Kollegijaci, słysząc dawno o jego przewrotnej chytrności, radzili, jakoby się z nim obchodzić mieli... I zmówili się wespół, że Sowizdrzałowi osła na naukę dać mieli, bo tam osłów starych i młodych było dosyć. Obesłali<sup>2</sup> Sowizdrzała, mówiąc mu: «Mistrzu! znamenite listy przybite świadczą, że wszelkie stworzenie czytać i pisać uczyć możecie w krótkim czasie; więc chcą wam dać panowie akademicy osła młodego na naukę; chcecie li go uczyć?» Rzekł Sowizdrzał: «Dobra, tylko że mi czasu długiego na to trzeba, z tej przyczyny, że niewymowne i nierozumne zwierzę jest». I dali mu czas do dwudziestu lat. Sowizdrzał pomyślał sobie: «Nas w to wchodzi troje; umrze li rektor, tom wolen; umrę li ja, kto mi sie będzie upominał? Zdechnie li mój dyscypuł<sup>3</sup>, tedy prace pozbędę». I na tem przystał, bo szło o pięćset kup starych groszy, a wprzód mu na to nieco pieniędzy zadali. Wziął tedy onego osła Sowizdrzał na swoje staranie, starał sie potem o gospodę; trafił na gospodarza jednego i najał sobie u niego stajnię, aby tam jego żak stał, i dostał starego psalterza, który mu do żłobu włożył, a między karty owsa nasuł<sup>4</sup>. Osieł, szukając owsa, przewracał karty tam i sam, aż wszystek owies wyjadł. A gdy już nie miał co jeść, zawołał: ia, ia. Obaczywszy to Sowizdrzał po osle, szedł do rektora, mówiąc tak: «Panie mistrzu! pójdźcie a obaczcie, co mój żak czyni». Rektor go spytał: «Miły mistrzu! ma li sie co do nauki?» Rzekł Sowizdrzał: «Jest barzo niedowcipnego zmysłu i zlej pamięci, trudno go bardzo uczyć; jednakem go wielką pilnością i pracą do tego przywiódł, że już niektóre słowa, a zwłaszcza vocales<sup>5</sup>, zna i wymawia; chcecie li doświadczyć, pójdźcież ze mną, a doznacie tego sami». Tak tedy ubogi żak przez ten czas pościć musiał aż do trzeciego dnia. Przyszedszy Sowizdrzał z rektorem i niektórymi mistrzami do stajnie, położył przed żaka swego nowe księgi. Obaczywszy je w żłobie, przewracał karty tam i sam, szukając owsa, którego nie było; tu głosem okrutnym ryknął: ia, ia. Wnet Sowizdrzał rzekł: «Widzicie, mili panowie, jako to dwie słowie umie wymawiać — ia; spodziewam się, że jeszcze więcej będzie umiał». Potem niedługo był żyw rektor, a Sowizdrzał swego ucznia, wypuściwszy, opuścił, potem sam poszedł w drogę z onemi pieniędzmi.

*Tłum. Jan z Koszyczek (w. XVI).*

## SEBASTIAN BRANT

(1457—1521)

### Z «OKRETU BŁAZNÓW»

#### O zbyt wielu troskach

Ten błaznem, komu dźwigać chce się  
To, co on ledwie że podniesie,  
I który pragnie zrobić sam,  
Z czem miałoby i troje kram.  
Kto na swe barki bierze świat,  
Po chwili — spójrz, a on już padł.  
O Aleksandrze się czytało,  
Że świata było dlań za mało;  
Aż pocił się, bo tak mu ciasno  
Zdawało się z osobą własną;  
Spokój mu dał nareszcie grób  
Długości kilku jeno stóp.  
Dopiero w śmierci widna skala,  
Czem to się człowiek zadawała.  
Diogenes czuł się pełen mocy,  
A w becze mieszkał w dzień i w nocy;  
Choć nie miał nic i tak był biedny,

To przecież pragnął rzeczy jednej:  
By Aleksander odszedł wkońcu  
I nie stał mu przed beczką w słońcu.  
Kto sobie wytknął wielkie cele,  
Na kartę stawić musi wiele.  
Co z tego, że kto świat zagarnie,  
Kiedy w nim potem zginie marnie?  
Co z tego, że masz dobrą tuszę,  
Skoroś na piekło skazał duszę?  
Kto gęsiom dać chce rękawiczki,  
Z zaułków zrobić wlot uliczki,  
Kto górę zrównać chce z doliną —  
Dla tego stąd frasunki płyną.  
Za wiele trosk nie płuży nic,  
A tylko zdrowie spędza z lic.  
Ten błaznem jest, kto tem się smuci,  
Czego sam przecie nie odwróci.

*Tłum. Alfred Tom.*

<sup>1</sup> Uniwersytet. <sup>2</sup> Posłali do... <sup>3</sup> Uczeń. <sup>4</sup> Nasypał. <sup>5</sup> Samogłoski.

## ULRICH VON HUTTEN

(1488—1523)

## Z DIALOGU p. t. «OGLĄDAJĄCY»

(Sol-bóg słońca i syn jego Faeton-woźnica przypatrują się z nieba życiu w Niemczech.)

Faeton: Spójrz, ojcze, jak tam jeden wyraża swe oburzenie i gorączkuje się ze złości; z procesji woła coś wgórze, i sędzę nawet, że gniewa się na nas, bo patrzy w naszą stronę.

Sol: Tak jest, na mnie się gniewa. Posłuchajno, co ten człeczek mówi, jak zuchwale grozi mi, nasrożywszy czoło!

Kajetan: Ty tam powinieś na pierwsze moje skinienie, nie mówiąc już o rozkazie, zaświecić czyściej i jaśniej, niż to jest w twoim zwyczaju!

Sol: Co mówisz, legacie? Co powiadasz? Czy do mnie zwracasz te słowa?

Kajetan: Do ciebie? Jakbyś to nie miał na sumieniu wielkiej zbrodni!

Sol: Zaprawdę, nic nie wiem, chyba więc od ciebie się dowiem, co popełniłem zdroźnego.

Kajetan: Powiadam: czy wyjdiesz raz wreszcie z ukrycia, złoczyńco jeden, i pokażesz się światu? Ty tam powinieś na pierwsze moje skinienie, nie mówiąc już o rozkazie, zaświecić czyściej i jaśniej, niż to jest u ciebie we zwyczaju!

Sol: Nie widzę jeszcze, com popełnił zdroźnego.

Kajetan: Nie widzisz tego ty, który przez całe dziesięć dni nie pokazałeś ani jednego promienia swego blasku, tylkoś owinął się swawolnie wszystkimi chmurami, jakbyś światu zazdrościł światła dziennego?

Sol: To wina astrologów i gwiazdarzy, jeśli to wogóle jest winą, bo ci tak ustanowili w swych kalendarzach, bym nie świecił w tym czasie.

Kajetan: Powinieś być jednak raczej baczyć na to, czego chce legat papieża, niż co się podoba gwiazdarzom! Czy nie wiesz, czem ci groziłem, gdy wyruszał z Włoch, o ilebyś Niemiec, które nie wporę są zimne, nie rozgrzał wielkim upałem, żebym się czuł zupełnie jak w lecie i nie miał potrzeby pragnąć powrotu do Włoch?

Sol: Wcale nie zwróciłem uwagi na to, coś mi nakazał; nie sądziłem też, że człowiek śmiertelny może rozporządzać słońcem.

Kajetan: Nie sądziłeś tak? A czy ci nie wiadomo, że papież rzymski (który teraz całą swoją moc wciela we mnie, swego legata) może w niebie i na ziemi wiązać oraz rozwiązywać wszystko, co mu się podoba?

Sol: Wprawdzie słyszałem, jak o tem mówiono, nie sędzę jednak, by tak było, jak on się przechwala; bo nigdy jeszcze nie widziałem, aby człowiek śmiertelny cokolwiek rozkazywał tu na górze.

Kajetan: Co takiego! nie sądzisz? O, zły chrześcijaninie, którego należałoby jako kacerza skazać na wygnanie i wydać djabłu!

Sol: Chcesz mnie strącić z nieba i wydać djabłu i, jak to się mówi, zabrać słońce ze świata?

Kajetan: Przysięgam na papieża, że to uczynię, jeżeli natychmiast nie wyświadcisz się jednemu z moich pisarzy i nie poprosisz mnie o absolucję.

Sol: A kiedy się już wyświadcisz, cóż wtedy zrobisz ze mną?

Kajetan: Zadam ci pokutę, żebyś, dajmy na to, pościł albo wykonał ciężką robotę, odbył pielgrzymkę, dał jałmużnę, przyłożył się do wojny tureckiej lub wykupił odpust, aby można odbudować kościół św. Piotra w Rzymie, jako że się zapadł. A może chcesz zaoszczędzić złote pieniądze i dać się schłostać różgami za swoje grzechy?

Sol: Surowa to jest kara. Ale co zamierzasz potem zrobić ze mną?

Kajetan: Potem cię uniewinnię i całkiem oczyszczę z grzechu.

Sol: Chcesz więc, wedle przysłowia, dać światło słońcu?

Kajetan: Tak jest, jeżeli mi się spodoba, na mocy kompetencji, których udzielił mi dziesiąty Leon.

Sol: Jakież słyszę tu kpiny! Czy myślisz, że nawet między najgłupszymi ludźmi ktoś jest tak w ciemię bity, by uwierzył, że to potrafisz, nie mówiąc już o słońcu, które widzi z góry wszystkie rzeczy? Każ sobie zadać na purgację z ciemierzycy czarnej, bo zdaje mi się, że dostajesz obłądu.

Kajetan: Obłądu! Jesteś de facto wyklęty, gdyż odezwałeś się bez należytej czci do legata papieskiego, wskutek czego podpadłeś wielkiemu i niewygasłemu potępieniu. Niebawem rzucę na ciebie publicznie na ogólnem zebraniu klątwę, ponieważ mnie rozgniewałeś.

Faeton: Ojciec, w odpowiedzi na te pogróżki powinienbym dmuchnąć mu w twarz mocnym jakimś wiatrem. Czegóż biedny taki człowieczek chce dokazać przeciw bogom nieśmiertelnym!

Sol: Nie, raczej gardźmy nim, choć godny jest litości, że wskutek choroby tak zidjociał.

Faeton: Jakiej choroby?

Sol: On jest chory na chciwość. Ponieważ nie udaje mu się w Niemczech jego sprawa, mianowicie by się nażłopać po szyję, wpadł on we wściekłość i przez to zmysły postradał.

#### JAM SIĘ ODWAŻYŁ!

Od prawdy nie odstąpię dumnie,  
I tego nikt nie wskóra u mnie;  
Nie zmuszą mnie też do milczenia  
Papieskich klątw złorzeczenia,  
Co mają we mnie budzić strach;  
Pobożna matka tonie w łzach,

Że tą się zaprzętnałem sprawą —  
Pociesz ją, Boże!.. Naprzód żwawo,  
Choć wciąż daleki będzie próg;  
Że nie wyboczy się, da Bóg —  
Użyję nato rąk i nóg.

Jam się odważył!

*Tłum. Alfred Tom.*

#### MARTIN LUTHER

(1483—1546)

#### WAROWNYM GRODEM...

Warownym grodem jest nasz Bóg,  
Obroną i schronieniem,  
Gdy Prawdy Bożej straszny wróg  
Zagraża jej zniszczeniem.  
I miota złości jad,  
Nie szczędzi grózb i zrad,  
Natęża swoją moc,  
By szerzyć błędu noc:  
Któż sprosta mu na ziemi?

Z sił naszych szatan szydzi wciąż,  
Wnet zniszczyłyby je zdołał,  
Lecz za nas walczy silny mąż,  
Którego Bóg powołał.  
Któż on jest? pyłasz się.  
Ten, który zbawił cię,  
Pan Jezus Chrystus sam,  
Zwycięstwo da On nam  
I zajmie pole boju.

Świat, choćby pełen czartów był,  
Pochłonać nas nie może,  
Bo Ty nam dodasz nowych sił  
Przez Ducha Twego, Boże!  
O, pewny triumf nasz,  
Bo przy nas Jego straż,  
I złości zdradny bóg  
Już bierze koniec swój,  
A Słowo Tve zwycięży!

To Słowo ma głoszone być,  
Bo w niem jest żywot wieczny:  
Kto według niego zechce żyć,  
Jest w życiu tem bezpieczny.  
Niech wezmą żywot sam,  
Dom lub dobytek nam,  
Rodzinę, mienie, cześć,  
Lecz nie zdołają znieść  
Królestwa Twego, Boże.

*Tłum. ks. J. Spieszński (zm. 1879).*

#### Z UWAG WSTĘPNYCH DO «KAZAŃ PASYJNYCH»

Nastala pora roku, w której w kościele śpiewają i miewają kazania o męce Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Zwyczaj ten pragniemy też zachować, bo nie jest to rzecz zła, aby ta pożyteczna i pełna pociechy historia miała w ciągu roku pewien ustano-

wiony czas, w którymby ludowi od początku do końca była opowiedziana z wykazaniem, jaki mamy z niej pożytek i jako jej na swój pożytek użyć winniśmy. Albowiem jawna jest wielka potęga djabła. Choćby codzienne miało się kazania, jednak djabeł tak wielki opór stawia kazanemu słowu, że serca stygną, ludzie kazań sobie nie ważą i pozostają dzisiaj takimi, jakimi byli dawniej, jeśli nawet nie stają się jeszcze gorszymi. Ta nędza duchowa zmusza nas tedy, abyśmy nie ustawiali w opowiadaniu słowa i właśnie także historję o męce Pańskiej pokolei, ile czasu starczy, przystępnie opowiedzieli prostaczkom. Bo niema tu co żartować. My, co bezustanku słowem Bożem się zajmujemy, sami doświadczamy tego, jaka stąd powstaje szkoda, gdy dzień albo dwa w słowie tem się nie ćwiczymy; czy nie musieliby daleko większej doznać szkody ci, którzyby w ciągu jednego roku albo dwóch lat żadnego nie usłyszeli kazania? Zdzieliliby, jak bydło. Trzeba tedy bezustanku kazać, rozniecać i rozdmuchiwać płomień. Bo djabeł także nie ustaje, ciągle dolewa on zimnej wody, inaczej nie byłoby kazanie tak bezowocne, i musieliby ludzie bardziej się poprawiać przez słowo, zwłaszcza gdy tak czysto i jasno opowiadane bywa.

Jest wielu, co lubią słyszeć, gdy się opowiada, że Chrystus za nas sprawił za-dośćuczynienie, że zbawienia nie dostąpimy przez nasze uczynki i zasługę, bo tylko Chrystus je uzyskał przez krew i śmierć swoją. Ale skoro poczniesz napominać i wołać: Jeśli chcesz mieć pożytek z męki Pańskiej, musisz przestać skąpić, za bogactwem gonić, cudzołożyć, obżerać się i opijać, nadymać się — to zaraz się oburzają, nie chcą, aby ich dla grzechów karcono albo za niechrześcijan uważano. Cóż tedy mamy począć? Szczególnie uczniom zdarza się, że djabeł przeszkadza, aby nauka zakorzeniła się w sercu. Przeto dla chwały Bożej i dla naszego zbawienia nie wolno nam ustawać w opowiadaniu słowa, aby przy przeważnej większości tych, co słowa przyjąć nie chcą, przecież reszta od niego nie odpadła i aby tym sposobem zachowała się w pamięci ofiara, którą Syn Boży za nas uczynił.

*(Przekład bezimienny w «Postyli domowej» Lutra, wyd. Tow. Ewang. Oświaty Ludowej w Cieszyńie 1883.)*

## HANS SACHS

(1494—1576)

### RÓŻNE DZIECI EWY (w skróceniu)

Gdy Bóg dał Ewie już niejedno dziecko  
— Czy rozumiecie? —  
Chciał ją razu pewnego odwiedzić na świecie;  
A więc też matka z konsolacji swojej  
Wybiera najpiękniejsze, myje, czesze, stroi  
I zdobi w kwiecie,  
By na nie patrzył łaskawiej.  
A inne dzieci, ubogie w urodę,  
Stare i młode,  
Między słomę i siano ukrywa w zagrodę;  
W piec także cząstkę chowa swej gromadki,  
Albowiem krwawi  
Lęk serce matki,  
Że, miast pozyskać nagrodę,  
Na śmiech je tylko wystawi.  
Gdy więc Ewa odwiedzin dostąpiła chwały,  
Przyjął Boga dzieciątek pięknych szereg cały;  
Przed Nim się popisywały,  
Jak je matka nauczyła...  
Podobała się Panu ta gromadka miła,  
I wszystkie je błogosławi:



Jednemu dał królestwo na ziemskim obszarze,  
 Drugiemu, co tuż stał w parze —  
 Księstwo; znów trzeci dostał hrabstwo w darze;  
 Czwartego mianem rycerza zaszczyca;  
 Piąty wziął godność szlachcica;  
 Szóstemu mieszczaninem każe  
 Zostać w podziale stanów.  
 Ewa, słysząc jak hojnie Boża łaska splywa,  
 Bieży szczęśliwa  
 I resztę swych dzieciątek z ukrycia dobywa —  
 I oto staje przed Panem  
 Plugawa zgraja, okryta łachmanem,  
 Brudna, płaczliwa,  
 Podobna do Cyganów.  
 A Pan się pocznie śmiać i każde darzy:  
 Wieśniaków, rzemieślników czyni z nich, kramarzy,  
 Młynarzy i piekarzy,  
 Szewców, tkaczy, drwali,  
 Garbarzy i leśników, zdunów i kowali,  
 Rybaków i furmanów.

«Czemu, o Panie» — ze strachu błada  
 Ewa powiada —  
 «Twoje błogosławieństwo tak nierówno pada?  
 Ode mnie i od męża mojego wszak przecie  
 Pochodzi bez różnicy żadnej każde dziecię,  
 A więc wypada, by każde równą część dostało!»  
 A Bóg odpowie: «Nato mam władzę,  
 Tak sobie radzę,  
 Każdy stan bowiem ludźmi obsadzę  
 I do każdego — przedni czy pośledni —  
 Czynię pomiędzy ludźmi wybór odpowiedni,  
 By w równowadze  
 Tworzyły całość zgodną, trwałą».

Miarkujcie zatem z tej baśni,  
 Że stan każdy ma ludzi znajdować bez waśni...  
 Z niej też widzicie najjaśniej,  
 Jak Bóg przedziwnie rozkazuje  
 I jak kieruje  
 Mądrze, przezornie ziemią całą.

*Tłum. Władysław Nawrocki.*

#### BRAT WĄTPISZ I CUDOWNE PIÓRO

W Westfalji mała jest miejscina,  
 Która Kortalu nosi miano.  
 Przy niej wzgórz szereg się zaczyna,  
 A te z obfitych pastwisk znano.  
 Pasa się bydła moc nielada,  
 Ale przeważnie świni stada.  
 Więc licznie szli tu — pewni swego —  
 Mnichy świętego Antoniego,  
 I każdy starał się w pokorze  
 Jałmużny zebrać, ile może.

Raz właśnie mnicha tam wysłano,  
 Który Wątpisza nosił miano;

Lis był, na cztery kuty nogi!  
 Gdy opowiadał, lud ubogi  
 Z podziwu usta niby wrota  
 Otwierał — takie łgarz-niecznota  
 Prawił im dziwy, cuda, baję.  
 Każdy mu jednak wiarę daje —  
 Ot, prości, głupi są ludziska.  
 Z mnichem szedł sługa Lizimiska,  
 Głupi i ciężki — istna kłoda.  
 Jedną przyjęła ich gospoda.  
 Nazajutrz — była to niedziela —  
 Mądry mnich ludziom rad udziela,

Z ambony woła, grozi, prosi:  
 Niech każdy jak najwięcej znosi  
 Darów dla księcia niebieskiego,  
 Dla przestawnego Antoniego;  
 Niech dają zboże, chleb, kielbasy,  
 Pieniądze, wino — po wsze czasy  
 Święty przez wdzięczność swiń strzec będzie  
 Od wilków. Skończył swe orędzie  
 I z nabożeństwem opowiada,  
 Jaki niezwykły skarb posiada  
 Ku utrapionych dusz radości.  
 Gdy dzwon na nieszpór ludzi zwoła,  
 Wszystkim pokaże z archaniola  
 Gabryjela skrzydeł jedno pióro.  
 Słyszą to młodzi dwaj zuchowie  
 I czują kłamstwo w każdym słowie.  
 Mnich za gościnnym zasiadł stołem.  
 Ci do gospody suną spodem  
 Cud-pióro mnicha wykraść żywo.  
 W gospodzie był nasz Lizimiska —  
 U kuchennego siadł ogniska,  
 Drzemie, do dziewczki się przymiła —  
 Słowem, wybrana była chwila!  
 Patrzą: komora pusta, cicha —  
 Otwarty leży worek mnicha,  
 W nim, ku uciesze i zabawie,  
 W szkatułce małej pióro pawie  
 Znalezli — w jedwab owinięte,  
 I pragnąc zgłębić mnicha zdradą,  
 Na miejsce piórka węgiel kładą:  
 Co też uczyni na nieszpórze,  
 Gdy zamiast pióra — węgiel w worze?  
 Na nieszpór śpieszy wszelka dusza,  
 I nasz brat Wątpisz już wyrusza.  
 Szkatułkę swoją bierze — ale  
 O dziwnej zmianie nie wie wcale.  
 Zaczął kazanie mądrze, czule  
 O skarbie, jaki ma w szkatule.  
 Więc z namaszczeniem ludziom prawił:

Gdy się w Nazaret Gabryjel zjawiał,  
 Niosąc anielskie pozdrowienie,  
 Utracił pióro. Niech skupienie  
 Pobożne w duszach waszych będzie.  
 Zapalcie światła! Na kolana!  
 Oglądać cud wam łaska dana. —  
 Dłoń już na skrzynki składa drzewie  
 (A co go czeka, jeszcze nie wie)  
 I szybkim ruchem ją otwiera —  
 Miast pióra, węgiel z niej wyziera!  
 Tu trwoga padła nań niemąta,  
 Aż piękna mowa się urwała.  
 Lecz wnet zrozumiał, czego trzeba,  
 Ręce i oczy wniósł do nieba  
 I woła: Patrzcie, cuda, dziwy!  
 Toż ja myślałem, przez Róg żywy,  
 Żem zabrał pióro Archaniola,  
 A mam tu inną świętość zgoła:  
 Węgiel — co na nim był pieczony  
 W Rzymie Wawrzyniec święty, czczony  
 Męczennik. Węgiel wyprosiłem,  
 Gdy w Jeruzalem świętem byłem —  
 Dał mi go ksiądz błogosławiony —  
 A jest on siłą obdarzony  
 Cudowną. Kogo, bracia moi,  
 Dotknie — pożaru się nie boi  
 Rok cały; a więc w dobrej chwili  
 Dajcie się dotknąć, bracia mili!  
 I do Wątpisza wraz ochoczo  
 Starzy i młodzi już się tłoczą,  
 I każdy składa grosz w ofierze.  
 On z namaszczeniem węgiel bierze,  
 Babom na czepcach krzyżyk stawia,  
 A grosz wylawia i wylawia.  
 Za czarny węgiel bierze białe  
 Srebro na większą boską chwałę.  
 Za nie napije się i naje,  
 A ludzie wierzą, co im baje.

*Thum. Marja Markowska.*

## JOHANN FISCHART

(1546—1590)

### Z «FILOZOFICZNEJ KSIĄŻECZKI O POŻYCIU MAŁEŃSKIM»

Duszę ludzką da się porównać do pszczoły, która nie może żyć samotnie, ale umiera z chwilą, gdy zostaje sama. Dlatego też szuka ona zawsze społeczności, w którejby działała, znosiła i pracowała oraz troszczyła się nie jedynie o siebie, ale i o innych. Z czegoż innego jednak składa się społeczność, jak nie z wielu pokoleń i gospodarstw? Początkiem wszelako pokoleń są małżeństwa: kto przeto człowieka pozbawia związku małżeńskiego, ten niszczy również pokolenia, a nawet miasto, gminę, cały ród ludzki, wszelkie przyjazne zamieszkiwanie pospólne, zgodne zjednoczenie, wolę sąsiedzką, pieczołowitość ojcowską, serdeczność macierzyńską, wdzięk dziecięcy, miłość między rodzeństwem, pokrewieństwo szwagierskie, wierność domową, porozumienie towarzyskie, lubą jedność i zgodne rządy tego świata. Gdzie bowiem jest życie porządne bez małżeństwa?

Podobnie jednak jak pszczoły nietylko wydają na świat młode, lecz i plastrów miodu dostarczają i rusztu oraz wosku, tak wielu małżonków nietylko wychowuje dzieci, lecz usiłuje też poznosić rzeczy dobre, służące do zachowania nietylko ich obcowania towarzyskiego, ale całej gminy. Jak młode pszczoły muszą odrazu przystąpić do społeczności i pracy, tak też porządni małżonkowie wciągają natychmiast dzieci swe do małżeńskiego gospodarstwa, iżby dzięki temu została utworzona gmina. Jak pszczoły niecierpią wśród siebie leniwych trutni, tak w gospodarstwie wszystko musi odbywać się poważnie.

Patrzcie tedy, jak cudnie też pszczoły przykładem swoim wskazują nam współżycie domowe i niejako wypominają nam naszą nieżyczliwość i karzą nas za nią. W szczególności jednak winien ród kobiecy przeglądać się, jak w zwierciadle, w powadze pszczoł, iżby niewiasta była niejako królową w ulu swego domostwa i pod względem urzędzenia wszelkiej pracy, troski o pożywienie oraz rozsyłania do zajęć czeladzi podobna była do królowej ula.

*Tłum. Alfred Tom.*

## GEORG ROLLENHAGEN

(1542—1609)

### Z «PRZYGÓD ŻAB I MYSZY»

#### Ukazanie się króla myszy

Dzieci wody gdy tak zgrają  
Skaczą sobie i igrają,  
Słońce w górę się pomyka,  
Cień na ziemi coraz znika,  
Upał grzeje, bo od słońca  
Leje się ogień bez końca:  
Wtem od lasku, od pagórka  
Wychodzi mała figurka;  
Białe futerko ją kryje,  
A korale zdobią szyję,  
Przepaska złota niewielka,  
Ogonek jakby szabelka,  
Sam jak konik stąpa śmiało.  
Grono króla otaczało,  
Nie tak śmiało i bogate,

Strojne w futra popielate.  
Gdzie pan biegnie, biegną sługi  
Gasić pragnienie u strugi.  
On do brzegu skoczył żwawy,  
Podparł się na łapce prawej,  
Schylił główkę; wraz u brody  
Lśnią jak perły — krople wody;  
W wodzie topi pyszczek mały,  
By się wargi nachleptały:  
Gdyby to miód, cukier był,  
Nie takby go smacznie pił.  
Potem języczkiem wesoło  
Nos, usta oblizał wkoło;  
Kłaska jeszcze, ssąc ostatki,  
Jak dziecko przy piersiach matki.

#### Śmierć króla myszy

W tem nieszczęściu, ach! niemiło  
Na biedaka patrzeć było.  
Przewrócony padł w jezioro  
I łapek wyciągnął czworo.  
Zębem zgrzyta i wyrzeka,  
Że od brzegu jest zdaleka.  
To raz na dno leci w pędzie,  
Znów się nawierzch wydobędzie.  
A gdy się tak w wodzie wije,  
To ją rzyga, to znów pije,  
Piana otoczyła usta,

Zbladł mu nosek, jakby chusta,  
Z rąk się śmierci nie wywinie;  
Włoski zmokły na głębinię;  
W rączkach, w nóżkach siły mało,  
Jasne słońce poczerniało,  
Dzień mu blasku już nie daje,  
I oddech w piersiach ustaje,  
Serce stanęło kamieniem.  
Nie pożegna już spojrzaniem  
Zorzy, co w tej chwili właśnie  
Za górami w chmurach gaśnie.

*Tłum. A. J. Szabrański.*

## MARTIN OPITZ

(1597—1639)

## Z «PIESNI»

Noc rzuciła swoje cienie,  
Wszędzie pokój i milczenie,  
A w tej ciszy, wiosną strojnej,  
Ja sam tylko niespokojny.

Gwiazdy sięją światło z siebie,  
Lecz dwóch braknie gwiazd na niebie,  
Braknie w te gwiazdziste wianki  
Dwojga oczu mej kochanki.

Pięknie świeci twarz księżycy,  
Gwiazdki mają złote lica,  
I wesołe wszystkie strony,  
A ja w smutku pograżony.

Światło niebios nieprzyjemne,  
Gwiazdy, księżyc dla mnie ciemne,  
Bo Astris moja tajemnie  
Niebo odwraca ode mnie.

Lecz gdy moje męki skróci  
I zaraz na mnie oczy zwróci —  
Oby w chwili tej nad nami  
Zagaśł księżyc wraz z gwiazdami.

*Tłum. A. J. Szabrański.*

Pójdźmy się przejść po niwie,  
Posłuchać w cieniu drzewa,  
Jak wszędzie pieszczotliwie  
Ptaszęcy śpiew rozbrzmiewa.

Szczęśliwszy len, co wolny  
Bez trosk, bez trwogi żywie,  
Jak ty, śpiewaku polny,  
Bezpiecznie, nietęskliwie.

Szczęśny — co wolny nuci,  
Jak my, pieśniarze leśni...  
Niech jego gędzba wróci  
Do tej, co źródłem pieśni.

Tyś człowiekowi miły...  
Więc też na ciebie czyha...  
Mnie pęta usidliły  
Tej, która mnie odpycha.

Choć śpiewam bez wytchnienia,  
Nikt pieśni nie wysłucha...  
Ta, co uczyła pienia,  
Sama jest na nie głucha.

By pierzchnąć na świat boży,  
Dla ciebie nie brak srodka;  
Mnie spętać musi srożej,  
Nim mnie zbawienie spotka.

*Tłum. Władysław Nawrocki.*

## Z POEMATU «ZLATNA CZYLI O SPOKOJNOŚCI UMYSŁU»

...Kocha zielone pola i te ceni godnie,  
Tam on czystym powietrzem oddycha swobodnie  
I odwagi nabiera. Gdzie rozciąga łąka,  
Wpółśród jagniąt jałówka za trawą się błąka,  
A pasterz ogorzały, co wśród lip tych stoi,  
Na swym kiju oparty, dla kochanki swojej  
Znane głoski na korze drzew wzniosłych wyrzyna  
Lub o niej sielską sobie piosenką wspomina.  
Blisko, żądzą zajęte, wśród chróstów i błoni  
Ze rżeniem i wesoło pędzi stado koni.  
On obchodzi daleko, zwiedza barcie swoje,  
Widzi, jakby dwa wojska, dwa przeciwne roje  
Tuż przy ulu bój toczą, powracając z niwy;  
Winne gałązki spadły, gospodarz troskliwy  
Tyczką wspiera latorośl. Przybywa i żona,  
Nie razi wonią piżma ani wystrojona

Jak ów fałszywy towar, co ma złudzić oczy,  
 Ale skromna i pełna prostoty ochoczej  
 Trzyma wianek z róż wity, wraz podnosi dłonie  
 I kwiatami swojemi zdobi męża skronie.  
 Wkrótce siedli przy lasku w zielonej gęstwinie,  
 Strumyk z szmerem wybiega i u stóp im płynie  
 Jaśniej nad kryształ...

*Tłum. A. J. Szabrański.*

FRIEDRICH VON LOGAU

(1604—1655)

Z «EPIGRAMÓW»

Kamień młyński, serce ludzkie w ciągłym ruchu zawsze trwają;  
 Gdy nie mają nic do mlenia, same w sobie się ścierają.

Jak sałata przyrządzona, być powinna wszelka kara:  
 Niech w nią mało wchodzi octu, a oliwy coniemiarą.

Prawda jest jako suknia, co, na siebie wzięta,  
 Stroi pięknie — ni słowa, ale tylko w święta.

Bóg dobrze tworzy — lecz my źle czynimy;  
 On nam wino daje — my piwo warzymy.

Luter, papież, Kalwin tworzą trzy religje, jak przystało;  
 Jedno tylko zaciekawia: gdzie chrześcijaństwo się podziało?

Rzeczą ludzką grzeszyć stale,  
 Djabłą — w grzechy brnąć wytrwale,  
 Chrześcijan — grzechów obrzydzenie,  
 Boską — grzechu odpuszczenie.

Matka dziecię swe nosi w łonie trzy kwartały,  
 Matka skarb ten swój dźwiga na ręku, gdy mały,  
 Matka dzieci swe w sercu nosi żywot cały.

*Tłum. Wł. Trąmpczyński.*

PAUL GERHARDT

(1607—1676)

DO OBLICZA

Patrz, głowa Zbawcy cierniem uwieńczona,  
 Boleści pełna, pełna cierpień srogich.  
 Ta święta głowa całą krwią zbroczona,  
 Wśród szyderstw wielu i urągania mnogich.  
 O, Chryste Jezu, pełen czci i chwały,  
 Ku tobie zwracam ja swój wzrok zdumiały.

Dlaczegoż, Panie! święte Twoje lice  
 W niegodny sposób było spotwarzzone?  
 I smutno patrzą Twoich ocz źrenice —  
 Boleści łzami one są zwilżone.  
 Dlaczegoż, Jezu! któryś był bez zmazy,  
 Znać na Twej twarzy i policzków razy?

Ach! za mnie, za mnie znosisz te cierpienia,  
 Za moje grzechy, za to, żem Twym wrogiem,  
 Ty bierzesz na Się moje przewinienia;  
 Ród ludzki grzeszny, Ty go jednasz z Bogiem.  
 Com ja zawinił, znosisz bez szemrania —  
 O, wielkie dzieło Twego pojednania!

Gdy tak spoglądam na Cię, Zbawicielu!  
 Spójrzij i na mnie wzrokiem Twej liłości,  
 Za swego uznaj, dusz Odkupicielu,  
 I obdarz łaską w Swej ku nam miłości.  
 O, Jezu Chryste, wierny dusz Pasterzu!  
 Ty mnie zachowaj w świętem Swem przymierzu.

Daj, abym zawsze w ciągu życia mego  
 Zalapał wzrok swój w Twoje święte rany,  
 Bym wierzył w Ciebie, Zbawiciela swego,  
 Bym żył cnotliwie, Tobie był oddany.  
 A gdy ostatnia nadejdzie godzina,  
 I ona niech mi śmierć Twą przypomina.

Gdy umrzeć przyjdzie, wtedy przy mym skonie  
 Raz jeszcze zechciej spojrzeć na mnie, Panie!  
 W cierniowej niechaj ujrzę Cię koronie,  
 A pełen wiary umrzeć będę w stanie.  
 Zbawienia pewien, przejdę do wieczności,  
 By Cię oglądać w wiecznej szczęśliwości.

*Tłum. ks. A. Diehl.*

#### PIEŚŃ WIECZORNA

Spoczęły pola, lasy,  
 Twór wszelki legł na wczasy,  
 Uspiony cały świat.  
 Lecz wy, uczucia moje,  
 Niech teraz was dostroję  
 Do pieśni, którym Stwórca rad.

Gdzieś się podziało, słońce?  
 Spłoszyły nocy gońce,  
 Co świat przykryły snem?  
 Zagaśnij!.. światłość inną,  
 Z słodczy swojej słynną,  
 Mój Jezus zażegł w sercu mem.

Dzień zapadł w nocnym cieniu,  
 Na niebios już sklepieniu  
 Zabłysnął gwiazdek rój;  
 Tak ja też jaśnieć będę,  
 Gdy w rzędzie świętych siędę,  
 Zrzuciwszy z siebie świata znój.

To ciało me strudzone  
 Wywczasu jest spragnione  
 I składa ubiór swój;  
 Ten ciała strój zniszczeje,  
 Lecz Chrystus mię odzieje  
 W odwiecznej czci i chwały strój.

I myśl, i członki moje  
 Szczęśliwe, że już znoje  
 Znalazły dzisiaj kres:  
 Pan odpocznienie sprawi,  
 Na zawsze mię wybawi  
 I wyrwie mię z padolu łez.

Znużone moje ciało,  
 Odpocząć ci się zdało,  
 Potrzebny tobie wczas;  
 Wnet może czas nastanie,  
 Że w ziemi ci posłanie  
 Uścielą już ostatni raz.

Gdy więc zamykam oczy  
 I sen już wnet mię zmroczy,  
 I minie dzienny znój,  
 Bądź wtedy mą ochroną  
 I pewną mą obroną,  
 O Panie, wierny stróżu mój!

Rozpostrzyj skrzydeł dwoje,  
 O Jezu, szczęście moje,  
 I przytul dziecię swe.  
 Gdy czart się na mnie rzuci,  
 Niech anioł Twój zanuci:  
 To dziecię przynależy mnie.

I wam też, moi mili,  
 Niech nic tej nocnej chwili  
 Nie mąci waszych snów:  
 Bóg niech wam dopomoże,  
 I niechaj wasze łoża  
 Otoczy świętych Jego huf.

(Przekład bezimienny w «Śpiewniku dla kościoła ewang.-augsb.», Warszawa.)

PAUL FLEMING

(1609—1640)

PIOSENKA

Śpij, Jutrzenko, w objęciach twojego kochanka!  
 I któż w nocy głębokiej wzdycha do poranka!  
 Gwiazdy płyną po niebiosach  
 Coraz wyżej w górę tam  
 I słuchają z zadumaniem,  
 To, co im powiedzieć mam.

Dziewięć godzin przepędzam samotnie najmilej,  
 Dziewięć godzin ja dumam o mojej Koryli,  
 O mej Koryli pięknej,  
 Ach, z odległych stron,  
 Do której brzmi z ust moich  
 Zawsze smutny ton.

Nad snem lubym Koryli czuwajcie, strażnicy,  
 Tem nagródźcie za stałość mej lubej dziewicy.  
 Ja jej wierny pozostanę  
 Wśród najcięższych prób,  
 Pokąd nieprzyjaciel ziemi  
 Nie wtrąci mnie w grób.

O CAŁUSACH

W same usta całuj składnie,  
 A całus do serca wpadnie:  
 Bez przymusu, bez rozpusty  
 Dotknij zręcznie swemi usty.

Ani wiele, ani mało,  
 Bo się to na nic nie zdało.  
 Gdy milczkiem lub z trzaskiem palnie,  
 To bardzo nienaturalnie.

Niezbyt zbliska lub zdaleka,  
 Bo każdy na to narzeka;  
 Żle gorąco, chłodno gorzej —  
 To rozkoszy nie przysporzy.

Bez gwałtu, w ciągłej nadziei,  
 Czasem razem lub z kolei,  
 Niezbyt wolno, nie z pośpiechem,  
 Żle z boleścią, źle ze śmiechem.

Wpół z przyciskiem, wpół z westchnieniem,  
 Usta w usta zatop w drżeniem,  
 A pamiętaj — w jakiej chwili,  
 Bo w samotności najmilej.

Każdy niech sobie pomoże,  
 Jak chce, umie lub jak może.  
 Ja i luba moja znamy,  
 Jak my się całować mamy.

*Tłum. A. J. Szabrański.*

NOWE POSTANOWIENIE

Świecie, dobranoc! Z jestestw twojemi miljony  
 Miałem ciebie aż nadto! Zło się tylko rodzi,  
 Gdzie ty jesteś! Więc gniew twój nic mnie nie obchodzi:  
 Jam szczęśliwy, bom przebrnął, bo mój byt skończony.

Bogu chwała i dzięki! Jestem uleczony,  
Pełno w sobie mam nieba! Ono nie zawodzi!  
Zaś ty czy dobro czynisz? Zmuszasz, że nadchodzi  
Szczotka z niebios, co zetrze proch twój na wsze strony.

Świecie! Ty paro! Odtąd wyższym ja się czuję,  
Odtąd wolny nad tobą i sobą szybuję  
I nad wszystkim, co wielkie, a co zwie się twoje!

Teraz dobro najwyższe nawskroś mnie przejmuję,  
Teraz wielkość, bogactwo przede mną się snuje!  
Nie jestem sobą! Wara zwracać życie moje!

*Tłum. W. Trąmpczyński.*

## ANDREAS GRYPHIUS

(1616—1664)

### Z «HORRIBILICRIBRIFAX'A»

(Rozmowa dwóch wojaków-samochwałów — Daradiridatumdarides'a i Horribilicribifax'a.)

**Horrib.:** A choćbyś umknął przede mną i siedział już na lewej nodze Wielkiej Niedźwiedzicy, jeszczebym cię schwytał i dwoma palcami wrzucił do góry Etny.

**Darad.:** Garde vous Follastreau! myślisz, że drapnąłbym przed tobą? Choćbyś był bratem wielkiego Karola, samym nawet wielkim Rolandem i więcej czynów dokonał, niż Scanderbeck, ba, choćbyś nawet wlał w skórę Tamerlana, nie napędziłbyś mi najmniejszego strachu.

**Horrib.:** Ja? nie chcę ci wcale napędzać strachu, tylko potrząsać cię na siedemdziesiąt i jeszcze parę setek tysięcy kawałków, tak żebyś się udusił w morzu własnej krwi. Jo ho vinto l'inferno e tutti i Diavoli.

**Darad.:** Ja cię rozdrobnię na więcej kawałków, niż teraz jest gwiazd na niebie, i tak cię urządzę, że będzie z ciebie ciekła krew, aż najwyższy szczyt wieży kościelnej w niej się zanurzy.

**Horrib.:** Per non lascias piu oltre passar qvesta superba arroganza, zagram z tobą całe obłężenie Troi.

**Darad.:** A ja z tobą — zburzenie Konstantynopola.

**Horrib.:** Jo spiro morte e turore, ale zostawiam ci jeszcze trochę czasu, żebyś mógł polecieć duszę Bogu i odmówić Ojczenasz! — Będiesz przynajmniej miał ten zaszczyt, umierając, że zginąłeś z niewyciężonej pięści tego, co zastrzelił króla Szwecji.

**Darad.:** Powiedz Zdrowaś Marja i natychmiast umieraj. — Miej tę pociechę, że padłeś z ręki tego, który doszczętnie zniszczył Tylliego i Pappenheima.

**Horrib.:** Tak właśnie dobyłem miecza w bitwie pod Lützen.

**Darad.:** Morbieu, me voyla en colere! mort de ma vie! je suis fasché per ma foy! Tak to się bronilem w potyczce pod Nerglingen.

**Horrib.:** Ha! ha! czyście nie qvesto capitano, co to się z nim strzelałem pod Gula?

**Darad.:** O! czyście nie ten pan, z którym zawarłem braterstwo pijackie w Schlichtigheimie?

**Horrib.:** Ha, mon Seigneur, mon Frere!

**Darad.:** Ha, Fradello mio illustrissimo!

**Horrib.:** Broń Boże, jakie nieszczęście mogło się stać niebawem!

**Darad.:** Co za rozlew krwi! massacre & strage, gdybyśmy się byli nie poznali!

**Horrib.:** Magnifici i Cortesi Heroi łatwo mogą bezwiednie natknąć się na siebie.

**Darad.:** Lerbeux Esprits poznają się wzajem dzięki tego rodzaju rencontre.

*Tłum. Alfred Tom.*



ANGELUS SILESIUS (JOHANN SCHEFFLER)  
(1624—1677)

Z «PĄTNIKA CHERUBIŃSKIEGO»

Sam człowiek jest wiecznością, kiedy na świat zdąży  
I Boga w sobie, a sam w Bogu się pograży.

Niebo samo nie spadnie, trzeba je osiągnąć;  
I Pan Bóg sam nie zstąpi, potrzeba Go ściągnąć.

Niepokój jest zegarem, on czas ludziom stwarza:  
Kto umorzył niepokój, wnet i czas umarza.

Zaiste miłe Bogu jest aniołów pienie;  
Ale daleko milsze człowieka milczenie.

Czy wiecie, żeśmy dłużej niżeli Bóg żyli?  
Bóg jest wieczny, a przecież nie żył ani chwili.

Bóg jest dobrem, więc wszystko, na co duch narzeka:  
Zło, śmierć i potępienie — pochodzą z człowieka.

Do nieba patrzysz w górę, a nie spojrzysz w siebie;  
Nie znajdziesz Boga, kto go szuka tylko w niebie.

Niech się twa dusza jako dolina położy,  
A wnet po niej jak rzeka popłynie duch boży.

*Tłum. Adam Mickiewicz.*

Bóg wręcz jest nieobjęty — omyli lada wizercę,  
A jednak go całego zamyka ludzkie serce.

Głupiec bogactwo roi i z worka złota rad —  
Mędrzec ubogim będzie, choć dasz mu cały świat.

Po Bogu skarb największy człowieka dobra wola:  
Strać wszystko, ona znowu wyzłoci twoje pola.

*Tłum. Józef Jankowski.*

Bracie! czuwaj i patrz wstecz — czyha bies wokole;  
A niech on cię tylko tknie znajdziesz się na dole.

Kto wewnątrz siebie, w głąb wparł zmysły swe przyziemne,  
Ten słyszy, choć milczenie, i widzi w nocie ciemne.

*Tłum. Alfred Tom.*

HANS JAKOB CHRISTOFFEL VON GRIMMELSHAUSEN  
(1625—1676)

Z «PRZYGÓD SIMPLICIUSA SIMPLICISSIMUSA»

(Bohater, pochodzący ze znakomitej rodziny, mieszka u wieśniaka jako jego syn; do 10-go roku życia jest pastuchem, aż w czasie napadu Szwedów ucieka do lasu, gdzie zaopiekował się nim pustelnik.)

... Kiedym się od biedy najadł dosyta, stary kazał mi pójść sobie. A wtedy wyszukiwałem najczulsze słowa, jakie mogło mi poddać moje chłopskie prostactwo, a wszystkie zmierzały do tego, by skłonić pustelnika do zatrzymania mnie przy sobie. Chociaż z trudem przychodziło mu znosić przykrą moją obecność, postanowił jednak to uczynić więcej poto, by nauczać mnie religji chrześcijańskiej, aniżeli — aby za-

pewnie sobie pomoc moją na stare lata. Największą jego troską było, że delikatna moja młodość nie zdoła może wytrzymać na dłużej tak twardego i bardzo surowego trybu życia.

Okres mniej więcej trzytygodniowy był moim próbnym rokiem. Był to czas roboty ogrodowej, przy której pilnie pomagałem dobremu pustelnikowi. Zachowywałem się tak grzecznie, że znajdował on we mnie szczególne upodobanie, wprawdzie nie z powodu pracy, lecz ponieważ widział, że z równą chęcią słuchałem jego wskazówek. Dlatego też coraz żarliwiej pouczał mnie we wszystkim dobrem. Opowiadał mi święte historie od upadku Lucypera aż do sądu ostatecznego i zapomocą dziesięciorga przykazań Bożych oraz ich wykładu uczył mnie odróżniać cnoty od występków, aby czynić dobro, unikać zaś zła. Tak oto w ciągu tych trzech tygodni nie tylko nauczyłem się wszystkiego, co chrześcijanin wiedzieć musi, lecz tak pokochałem mego nauczyciela i jego nauki, że nocą często nie mogłem spać z tego powodu. Jednakowoż w porównaniu z innymi ludźmi byłem jeszcze wciąż całkiem naiwny, to też pustelnik, nie znający, równie jak ja sam, właściwego mego imienia, nazywał mnie i nadal wyłącznie «Simplicjusz».

Od niego również nauczyłem się modlitwy, a kiedy przystał na mój mocny zamiar pozostania u niego, zbudowaliśmy dla mnie chatę, podobną do jego własnej, z drzewa, chróstu i ziemi, mającą prawie taki kształt, jak namioty muszkieterów albo raczej, jak chłopskie doły buraczane; bo tak była niska, że ledwie mogłem tam siedzieć wyprostowany. Łóżko moje składało się z suchych liści i trawy, a było tak wielkie, jak cała chata, tak iż nie wiem, czy mam nazwać mieszkanie swoje nakrytem miejscem noclegowym, czy też chatą.

Razu pewnego zobaczyłem, jak pustelnik czyta biblię. Nie mogłem sobie wyobrazić, z kim on prowadzi tak tajemną i poważną rozmowę. Widziałem naprawdę, jak się poruszały jego wargi, ale nie było nikogo, z kimby rozmawiał. Tylko z oczu jego zmiarkowałem, że miał do czynienia z czemś z tej książki. Nie spuszczałem z niej oka, a kiedy ją odłożył, zabrałem się do niej. Otworzyłem ją i natrafiłem akurat na rozdział pierwszy Księgi Hioba. Uderzył mnie natychmiast odbity na czele obraz, ładny, barwny drzeworyt. Zapytałem obrazu o przeróżne osobliwe rzeczy. Ponieważ jednak nie chciał mi odpowiedzieć ani razu, zniecierpliwiłem się i rzekłem — właśnie w chwili, gdy pustelnik cichutko stanął za mną: «Wy małe nicponie, nie macie już wcale ust? Czyście wprawdzie z moim ojcem (bo tak musiałem nazywać pustelnika) nie paplały dość długo? O, widzę ja, że wypędzacie także owce biednego taty i żeście dom podpaliły. Stójcie! Zaraz zgaszę ogień, żeby nie przyniósł większej szkody!» Równocześnie wstałem, chcąc przynieść wodę. «Dokądto, Simplicjuszu?», zapytał pustelnik. «Patrz, ojcze», powiedziałem, «to są też wojacy, mają owce, które chcą wypędzić; zabrali je biednemu człowiekowi, z którym poprzednio rozmawiałeś. Jego dom pali się już jasnym płomieniem, a jeżeli go zaraz nie zgaszę, spłonie zupełnie». Przy tych słowach wskazałem palcem na obraz.

Tłum. Alfred Tom.

## ABRAHAM A SANTA CLARA (ULRICH MEGERLE)

(1644—1709)

### Z «JUDASZA ARCYSZELMY»

Czy wiesz, człowieku, kto ty jesteś? Jeśli to dla ciebie i dla twej płochej pamięci już zanikło, spójrz na pierwszą kartę Pisma świętego — tam tobie, niewdzięcznej istocie, stworzenie świata i opis pierwszego twego szczepu stanie przed oczyma i wyjaśni, wykaże, dowiedzie, jak miłosierny Bóg przez swoją wszechmocność stworzył ciebie na własne podobieństwo. Jesteś dlatego, człowieku mój, prawdziwym podobieństwem Boskiem, któremu ani swej pracy, ani łask nie szczędził. Jesteś szlachetnym i pięknym obrazem. Masz wolę i ta jest wolna; masz pamięć i ta jest natężona; masz rozsądek i ten jest oświecony; masz duszę i ta jest nieśmiertelna. Żyjesz ze zwierzętami, rośniesz jak kwiatki, pojmujesz jak aniołowie, wznosisz się nad wszystkie stworzenia. Słońce i księżyc — niczem przy tobie. Złoto i srebro — niczem przy tobie. W tobie

jest cząstka ognia, w tobie jest cząstka powietrza, w tobie jest cząstka ziemi, w tobie jest cząstka zwierzęcia, w tobie jest cząstka anioła, w tobie jest cząstka Boga. Jesteś zbiorem wszystkich istot i arcydziełem ręki Boskiej. Rozpoznajesz dobro, rozróżniasz zło, unikasz niesprawiedliwości, a wypełniasz sprawiedliwość. Ty, jednym słowem, człowieku! ty jesteś najpiękniejszym i najszlachetniejszym obrazem i podobieństwem Boga. I ty się nie wstydzisz, utwórz taki, takie podobieństwo święte śmiesznym błazna kapturem pokrywać?

W istocie piękne są złote włosów kędziory, lecz nietrwałe: czasem głowa wylinieje, jak stara kokosz. W istocie piękne są czarne oczy, ale nie na długo: czasem zajmą łzami i szczerwienieją, jak u cypryjskich gołąbków. W istocie piękne są lica różane, lecz nie na długo: czasem się pomarszczą, jak wygniecione i przedęte dudy. W istocie piękny jest biały jak alabaster nosek, lecz nie na długo: czasem zmieni się na stary kalendarz z wieczną przepowiednią niepogody. W istocie piękne są koralowe usta, lecz nie na długo: czasem wyglądać będą jak oskubana sikora. W istocie piękne są srebrem bielejące zęby, lecz nie na długo: czasem wystawać będą, jak kołki przytępiłone w palisadzie.

Tłum. A. J. Szabrański.

## JOHANN CHRISTIAN GÜNTHER

(1695—1723)

### PIEŚŃ STUDENCKA

Bracia! do uciechy wraz,  
Póki wiosna woła  
I młodego słońca blask  
Nam obleka czoła:  
Grób i mary bliskie już;  
Kto dziś zerwie pęk róż  
Uzyskać wieniec zdoła.

Toć żywota szybki koń  
Nie chce znieść wędzidła,  
Losu mu zawistna dłoń  
Wciąż przyprawia skrzydła:  
Kres się zbliża lotem strzała,  
Może wnet już będzie chciał  
Uwikłać nas w swe sidła.

Kędyż przez ten krótki czas —  
Mówcie! — się podzieli  
Ci, co byli z nami wraz  
Młodzi i weseli?  
Ciała ich przygniata piach,  
Do innego kraju, ach,  
Wyruszyć stąd musieli.

Na cmentarzu, kto chce, dość  
Się o przodkach dowie:  
Ich zmurszała dawno kość  
Za nas mu odpowie,  
A niebawem może On —  
Nim zadzwięczy ranny dzwon —  
Da w grobie nam wezglowie.

Chciejmy z tego radzi być,  
Co dziś Niebo zdarzy!  
I do skutku piwo pić,  
Jak czynili starzy.  
Hej! na ustach ślinkę mam,  
Lenić się nie wolno wam —  
Tak będzie nam do twarzy.

Szklanekę tę wypiję rad  
Za twej lubej życie;  
Wnet otrzyma od nie świat  
Wierne twe odbicie!  
Teraz wszyscy — szklanki wzniesić,  
A gdy ich wypita treść,  
Szczep wzrośnie znakomicie!

### POCIECHA

W k o ń c u musi kiedyś przyjść:  
Wkońcu zjawia się pociecha,  
Wkońcu zielenieje liść,  
Wkońcu płaczu milkną echa,  
Wkońcu pryska czara łez,  
Wkońcu śmierć powiada: — Kres!

Tłum. Alfred Tom.

## CHRISTIAN F. GELLERT

(1715—1769)

## W OFIERZE...

W ofierze pierwsze myśli me  
Dziś składam Ci, o Boże!  
Dziękuję Ci za łaski Twe  
I wielbię cię w pokorze.

Błogosław, Panie! chęci mej  
I rządz nią w dniu dzisiejszym,  
Niech stanę się opieki Twej  
Godniejszym i pewniejszym.

W spokojnym gdym spoczywał śnie  
Bezbronny i bez mocy,  
Od nieszczęść któż uchronił mnie,  
Kto dał spoczynek w nocy?

Do łaski Twej uciekam się,  
Karc serca mego żądze,  
Gdy dotknie nędza, wspieraj mię,  
Bądź ojcem mym, gdy błędę!

Kto czuwał, kiedym we śnie był,  
Kto zdrowie me zachował?  
Lub kto mi nowych dodał sił,  
Bym pilnie znów pracował?

Miłością, wiarą natchnij mię  
I ducha daj mądrości,  
Bym wciąż usilnie starał się  
Me spełniać powinności.

Ty, Panie! bo w Twem ręku świat,  
W Twej mocy jest byt wszelki;  
Tys nieodmienny w zmianie lat,  
Cześć Tobie, Boże wielki!

Bym w pracy nie oszczędzał sił  
I pomoc niósł bliźniemu,  
A wolny od zazdrości był,  
Gdy szczęście sprzyja jemu.

W pokorze wielbię Twoją moc  
Z całego serca mego,  
Ześ dał mi przeżyć przeszłą noc  
Cieszyć się z dnia tego.

Bym łaski, którą dajesz mi,  
Mógł godnie wciąż używać  
I po ostatnie życia dni  
W ufności Ciebie wzywać.

*Tłum. ks. J. Splazyński.*

## ZIELONY OSIOŁ

Jakże często się w życiu taki przykład widzi,  
Że głupiec głupią sztuczką stu głupszych zawstydził  
Neran był sprytnym błaznem z głową rozwichrzoną;  
Pomalował raz osła swego na zielono,  
A nogi mu cynobrem wytarł aż do brzucha  
I takiego po mieście wodził długoucha.  
Za nim tłum gapiów snuł się z krzykiem i hałasem,  
«Co za dziwol!» wołając dyszkantem i basem.  
«Patrzajcie, cud natury!... Na osłów miliony  
Ten ma nogi czerwone, a tułów zielony!  
Przecież to dla przyszłości kronikarz wymowny  
Zapisać, że był u nas osioł tak cudowny!»  
Podziw nad kolorowym osłem z każdą chwilą wzrasta,  
Každy go chce zobaczyć; tłoczy się pół miasta  
Po ulicach i placach, drugie pół w rozmachu  
Lezie na drzewa, z okien spogląda i z dachu —  
Wszystkich szał ciekawości unosi, rozpala,  
By zielonego osła zobaczyć choć zdala —  
Choć kawałek ogona dojrzeć, choćby udo;  
O osle całe miasto mówi: «Cudo! cudo!»  
Młodzi pełni zachwytu, podziwienia starzy,  
Zielony osioł dzieciom w kołysce się marzy,  
Żaden temat nie zdołał nastroić tak wzniosłe  
Uczuć tłumy, jak wzmianka o zielonym osle.

Dwie doby wyczekano w tej osłej malignie;  
 Aliści dnia trzeciego zapal nagle stygnie,  
 Równie szybko upadła, jak i szybko wzrosła  
 Ciekawość dla biednego zielonego osła,  
 Poczęto nawet mówić o «głupiem osłątku»,  
 Co taki podziw, zachwyt budził na początku. —  
 Otóż tak to niestety bywa z każdym tłumem;  
 Niech się rzecz jaka klóci z sensem i rozumem,  
 Niech się w niej jawne głupstwo pod osłoną chowa,  
 Tłum ją przyjmie z podziwem dlatego, że nowa.  
 Nie pomogą przestrogi zdrowego rozsądku,  
 Tłum szaleć gotów nawet w zapale z początku,  
 Ale czas, mistrz nad mistrze i mędrszy od ludzi,  
 Zapal i zachwyt głupców powoli ostudzi;  
 Czy chcą, czy nie chcą, muszą rozumu nabywać,  
 Bo czas ma dar szczególny głupich przekonywać.

*Tłum. Marjan Gawalewicz.*

### JOH. WILH. LUDWIG GLEIM

(1719—1803)

#### NAUKA

Uczcie się, o przyjaciele:  
 Jest nauczycieli wiele.  
 Lew mocy, a lis obrotów,  
 Orzeł śmiałych uczy lotów,  
 Pszczółki, kędy szukać miodu,  
 Pająki, jak stawiać siatki,  
 Bobry, jak budować chatki.

Lecz wprzód uczcie się zamłodu  
 Ode mnie i od Karusi,  
 Jak brać i jak dawać busi.  
 Chodźcież uczyć się, chłopięta!  
 Już lekcja rozpoczęta.

*Tłum. Adam Mickiewicz.*

#### BACHUS I WENUS

Cóż ja? czy pić, czy ściskać mam?	Śpiąc się uśmiecha. Uśmiech ten
Tu Bachus wabi, Wenus tam!	Zdradza rozkoszny jakiś sen.
Bachus spojrzaniem uradowanem	Jak ona wdzięczna! Od jej widoku
I Wenus nęci, lecz rozkochanem.	Ani podobna ustąpić oku.

Na latorośli zewszec stron	Na pierś jej białą, wzburzoną w śnie,
Wskazuje Bachus pełno gron,	Aż czarne grono zwiesza się,
Lecz pod gronami w przyjemnym chłodzie	Przeciwnie kwiatki, jakby śnieg biały,
Spoczywa dziewczę w świeżej urodzie.	Jej krucze włosy poprzeplatały.

O, bożku wina! Prózna twa chęć,  
 Już mnie do siebie więcej nie nęć!  
 Bo bóstwa wdzięków milsza pokusa  
 Nad wszystkie grona z winnic Bachusa.

## SŁUDZY MIŁOŚCI

Wszystko na świecie nato powstało,  
 Aby miłości dzieciom dogodzić:  
 Bo słońce świeci, by ich rozgrzało,  
 A cienie wieją, by ich ochłodzić.  
 Śpiewają ptaki, by ich przywabiać,  
 By wzruszyć, jęczy synogarlica;  
 Różyczki kwitną, by ich ozdabiać,  
 By ich prowadzić, księżyc przyświeca;  
 I nawet same pochmurne noce  
 Miłe kochankom niosą pomoce.

Spraw więc, Miłości! gdy tobie służę,  
 Niech słońce, cienie, ptaki i róże,  
 I księżyc z nocą służą mi wzajem,  
 Aż moje życie uczynią rajem.

*Tłum. Bruno Kiciński.*

## IMMANUEL KANT

(1724—1804)

## Z «UZASADNIENIA METAFIZYKI MORALNOŚCI»

Nigdzie w świecie, ani nawet wogóle poza jego obrębem, niepodobna sobie żadnej rzeczy pomyśleć, którą bez ograniczenia możnaby uważać za dobrą, prócz jedynie dobrej woli. Rozsądek, dowcip, władza sądenia i wszystkie inne talenta umysłu, albo odwaga, stanowczość, stałość w postanowieniu, jako przymioty temperamentu, są bezwątpienia pod niejednym względem dobre i pożądane; mogą się jednakowoż stać także nader złe i szkodliwe, jeżeli wola, która ma z tych darów przyrody robić użytek i której właściwa istota zwie się przeto charakterem, nie jest dobra. Tak samo ma się rzecz z darami szczęścia. Władza, bogactwo, dobre imię, nawet zdrowie i cała pomyślność i zadowolenie ze swego stanu, pod nazwą szczęśliwości, wytwarzają śmiałość, a przez to często także zuchwałość, jeżeli niema dobrej woli, która ich wpływ na umysł, a stąd także na całą zasadę postępowania prostuje i czyni odpowiednią do ogólnego celu — pomijając tę okoliczność, że rozumny, bezstronny widz nawet w widoku ustawicznego dobrego powodzenia istoty, której nie zdobi żaden rys czystej i dobrej woli, przynigdy upodobania mieć nie może. Zdaje się więc, że dobra wola stanowi nieodzowny warunek samejże godności szczęścia.

*Tłum. Mścisław Wartenberg.*

## Z «KRYTYKI PRAKTYCZNEGO ROZUMU»

Dwie rzeczy napelniają umysł coraz to nowym i rosnącym podziwem i pełnym pokory szacunkiem, im częściej i trwalej zastanawiamy się nad nimi: gwiazdami okryte niebo nade mną i prawo moralne we mnie. Nie potrzebuję ich szukać i domyślać się tylko jako spowitych w ciemnościach lub leżących poza granicami mego widnokregu w nadzmysłowej sferze; widzę je przed sobą i łączę bezpośrednio z świadomością mego istnienia. Pierwsza zaczyna się od miejsca, które zajmuję w zewnętrznym świecie zmysłów, i rozszerza połączenie tego miejsca, na którym stoję, w niedosiężną dal z światami ponad światami i systemami systemów, a prócz tego jeszcze w nieskończone czasy ich perjodycznego ruchu, jego początku i ciąglego trwania. Druga zaczyna się od mego niewidzialnego ja, mej osobowości, i przedstawia mię w świecie, który jest prawdziwie nieskończony, którego jednak tylko rozsądek dociec może, i z którym (a przez to także z wszystkimi owemi widzialnymi światami) poznaję swój związek, nie jak tam tylko przypadkowy, lecz powszechny i konieczny. Ten pierwszy

widok niezliczonej mnogości światów niszczy niejako moją wartość, jako stworzenia natury z wierzącej, które materję, z jakiej się poczęło, musi zwrócić znów planecie (punktowi tylko we wszechświecie), będąc na krótki czas (w niewiadomy sposób) obdarzone siłą życiową. Drugi, przeciwnie, podnosi moją wartość, jako inteligencji, nieskończenie, dzięki mej osobowości, w której prawo moralne objawia mi życie, niezależnie od zwierzęcości, a nawet od całego świata zmysłów, przynajmniej o ile mogę wnieść z celowego przeznaczenia mego bytu mocą tego prawa, które nie ogranicza się do warunków i granic tego życia, lecz sięga w nieskończoność.

*Tłum. Feliks Kierski.*

### SALOMON GESSNER

(1730—1788)

#### AMINTAS

Ubogi Amintas, trzymając w rękę siekiere, powracał z pobliskiego lasu i ugiął się pod ciężarem świeżo ściętego drzewa, które dla ogrodzenia sadu swojego niósł na ramionach. Wtem nad brzegiem bystrego potoku postrzeżga młody dąb, którego korzenie szumiąca woda podmyła i ogołociła z ziemi. Nieszczęśliwe drzewo groziło przedkim wywrotem. Szkoła, rzekł sam do siebie, aby ten piękny dąb miał upaść w wodę. Nie, twój wierzch wspaniały nie będzie igrzyskiem zapienionych bałwanów. Ja mogę o inne postarać się drzewo. To rzekłszy, zdejmując ciężar swój z ramion, zabija od wody najgrubsze pale, grodzi płot i świeżą napelnia ziemią. Wkrótce zbudowana tama, podparte drzewo i pokarm wrócony korzeniom. Pasterz wziął na plecy siekiere, uśmiechnął się w cieniu uratowanego drzewa, patrząc na swą robotę, i chciał powrócić do lasu — kiedy opiekująca się tym dębem driada zawołała miłym głosem: Mamże cię odprawić bez nagrody, o dobry pasterzu, oświadczyć mi swoje żądania, wiem, że ubogi jesteś i że tylko pięć owiec na łąkę wypędzasz. «Nimfo, zawołał pasterz, jeżeli mi się prosić dozwalas, oto mój sąsiad Palemon od jesieni chory, powróć mu zdrowie!» Tak mówił cnotliwy Amintas, a Palemon ozdrowiał; ale od tego czasu błogosławieństwo przebywało z pasterzem, mnożyły mu się trzody, zaradzały sady i pola: gdyż bogowie nie zostawiają w ucisku człowieka cnotliwego.

*Tłum. Euzebjusz Słowacki.*

#### DO DAFNY

Nie srogich bohaterów miecze krwią zbroczone,  
 Nie stosami ciał martwych pola zarzucone  
 Sielska ma śpiewa muza. Cicha i trwożliwa,  
 Ucieka od scen krwawych dzikiego Gradywa;  
 I tam tylko swe fletnie w drżących niesie rękę,  
 Gdzie nie słyhać hałasów i przykrego szczęku.  
 Tam jej lubo przebywać, tam swe stawia kroki,  
 Kędy chłód miły czynią szemrzące potoki;  
 Lub gaj, bujną gałęzią i liściem okryty,  
 Zwraca groty słoneczne zielonemi szczyty.  
 Tu sobie po nadbrzeżnych czasem krzakach schadza,  
 Czasem się pod drzew gęstych cieniami ochładza,  
 Depcąc młode kwiateczki; czasem też na trawce  
 Uległszy, rymy wiąże tobie ku zabawce,  
 Tobie samej, ma Dafne. Twoja śliczna dusza  
 Blaskiem swej niewinności tak me serce wzrusza,  
 Jak najmiłszy raneczek, gdy w majowej chwili  
 O wschodzie słońca dawne słowik dumy kwili.  
 Oczy twe żywe uciech wydają krynice,  
 Przechodzą kwiat różany purpurowe lice;  
 A wdzięczne, około warg latając, uśmiechy  
 Nad miód słodsze z nich sercu wynoszą pociechy.

Dafne, kochana Dafne! gdyś mię ongiś swemi  
 Przyjacielem nazwała usta łagodnemi:  
 Już mi się wszystko zdaje, że swe kołowroty  
 Żywsem światłem ozdobił dawca godzin złoty...  
 O, gdyby muza moja, proste nucąc pieśni,  
 Jakiemi się przy trzodach pastuszkowie leśni  
 Bawią, smak ci przyniosła! Często w ciemnych ona  
 Bujnorosłej leszczyny krzakach utajona  
 Patrzy, w jakowe biega po łąkach zawody  
 Z driadami satyrów poczet koziobrody.  
 Często dybie na nimfy, gdzie która w jaskini  
 Z giętkich sobie gałązek miękkie wieńce czyni.  
 Czasem też chęć ją bierze oglądać, gdzie z chrostu  
 Uplół sobie domeczek rolnik i poprostu  
 Mchem borowym zasklepił; tam nawyka onych  
 Żadną zarazą świata piosnek nieskażonych;  
 Gdzie sama tylko z cnotą niewinność szczęśliwa,  
 Radość trwała i wielkość duszy się ożywa...

*Tłum. Adam Naruszewicz.*

## FRIEDRICH GOTTLIEB KLOPSTOCK

(1724—1803)

### Z «MESJADY»

(Archanioł Gabriel, który służył Chrystusowi na ziemi, wraca do nieba z Jego modłami, zanoszonymi na górze Oliwnej; wprowadza go do przybytku Boga Ojca największy z serafów — Eloa.)

Bóg go nazywa wybranem, niebo — Eloą. Nad innych,  
 Których Bóg stworzył, jest większy, najbliższy Niestworzonego.  
 Jakże jest piękna myśl Bożego wybrańca Eloi,  
 Piękna, jak cała człowieka dusza, Bogu stworzona,  
 Kiedy nieśmiertelności godna zatapia się w myślach.  
 Wkołogłębny wzrok jego piękniejszy nad ranek wiosenny,  
 Miłszy od gwiazd, gdy się przemknął przed Stworzyciela obliczem  
 W krasie młodzieńczej i światła pełności, z urokiem dni swoich.  
 Bóg go stworzył najpierwej. Ciało mu dał eteryczne  
 Z zorzy porannej. Gdy się stał, obłoczyste niebios  
 Oplęły go wkoło. Z otwartymi ramiony  
 Bóg go wychylił z obłoków i rzekł, błogostawiając: «Stworzeńcze,  
 Otom jest!» I ujrzał przed sobą Stwórcę Eloa,  
 Patrzył Nań z zachwyceniem i stał w natchnień wylewie,  
 Patrzył znowu i zachwiał się, ginąc w Boskiem spojrzeniu.  
 Wreszcie przemówił, powiedział Przedwiecznemu swe myśli;  
 Wszystkie myśli i wszystkie nowe, wzniosłe uczucia,  
 Co przenikały jego wielkie serce. Wprzód światy  
 Wszystkie przemina, wprzód z swego na nowo wyłonią się prochu,  
 Wprzód jeszcze mnogie stulecia w bezmierną zapadną się wieczność,  
 Nim najwznioślejszy z chrześcijan uczuć domierzy wielkości.  
 Na świeżowstałych promieniach, w całym piękności swej blasku  
 Spuścił się teraz Eloa do posłanniczego anioła,  
 Aby go zawieść przed ołtarz Jednawcy...

Rąco z otwarciem ramion strzelistem, z serdecznym spojrzeniem  
 Pośpieszyli do siebie. Drżenie ich zdjęło z radości,  
 Gdy uściśniły się oba. Takie ogarnia dwóch braci,



Co, cnotliwi, śmierci za ojczyznę pragnęli,  
Gdy, bohaterskiej krwi pełni, po czynach się ujrzą wieczystych  
I w objęcia się rzucają przed ojcem, większym od siebie...

Przed Gabrijela obliczem ołtarz Jednawcy, jak wzgórze,  
Stał bezobłocznie. Widzi go, idzie w uroczej piękności  
I z kapłana godnością, niesie dwie czary ze złota,  
Pełne świętego kadzidla, i przed nim stawa zdumiały.  
Przy nim stanął Eloa i boskich łaf dźwięków strumienie z arfy,  
By seraf ofiarnik do górnej się zagrzał modlitwy.  
On go słyszy, i arfa, pani serc wielowładna,  
Wznosi duch jego płomienniej. Rozgrzany wre jak wszechmorze,  
Kiedy w burzy zwieszczony po niem głos Pański przechodzi.  
W Boga patrząc, Gabrijel śpiewał głosem przemożnym.  
Teraz słyszy Ojciec Przedwieczny, słyszą niebios  
Twą, Pośredniku, modlitwę. Sam Bóg zapalił ofiarę  
W sposób cudowny; a święty dym z modlitwą pospołu  
Wzniósł się i coraz się wznosił, i w kłębach wił się do Boga,  
Jako kiedy z gór ziemnych całe niebo zakrywa.  
Dotąd zwrócone ku ziemi miał Jehowa oblicze;  
Bo aż dotąd jeszcze Syn z głębokości swej duszy  
Z Ojcem prowadził rozmowy rozkrywającej los treści,  
Święte, straszliwe, wzniosłe, niespodziewanych rozstrzygnięć,  
Samym bezśmiertnym ciemne, rozmowy o rzeczach, co miały  
W oczach wszystkich stworzonych Boży okup uwielbić.  
Teraz wzrok Przedwiecznego na nowo niebios nappełnił;  
Z uświęceniem, w cichości każdy ten Boży wzrok spotkał.

*Tłum. J. K. Jaślikowski.*

#### WCZESNE GROBY

O, witaj mi, srebrny księżycu,  
Piękny, cichy towarzyszu nocy!  
Już uciekasz? Nie śpiesz się, zostań, druhu myśli!  
Spójrzcie, zostaje, tylko obłok odplynął.

Zbudzenie się maja jest jedno  
Jeszcze piękniejsze, niż ta noc letnia,  
Gdy mu rosa świetlista splywa z kędziorów,  
I na wzgórze on czerwonawy się zjawi.

Wy szlachetni, ach, już porasta  
Wasze nagrobki mech sędziwy!  
O, jakżem szczęśliw był, gdym jeszcze z wami  
Widział, jak dzień rumieniał, jak lśniła się noc!

*Tłum. Alfred Tom.*

#### CHRISTOPH MARTIN WIELAND

(1733—1813)

#### Z «OBERONA»

Już na niebie wieczorne zapala się zorze,  
U nóg ich świat się mroczy, mgła doliny ciemi;  
Już księżyc się przegląda w niejednym jeziorze,  
Coraz ciszej i ciszej w powietrza przestworze;

Zaprzężne ptaki z wozem, skrzydły znużonemi  
 Zniżając się nieznacznie, usiadły na ziemi —  
 Wtem podróżni spostrzegą gmach, co aż pod chmury  
 Pnie się, błyskając wdali lśnjącemi się mury.

Pałac ten opasany ogrodem różanym,  
 Migocąc się, jakoby promieiami jutrzeńki,  
 Rubinowym odbłaskiem dokoła rozlanym  
 Nadawał okolicy czarodziejskie wdzięki.  
 «Pono tu niegdyś...» rzekł na widok dziwa  
 Paladyn, tonąc w myślach — lecz wnet głos urywa,  
 Gdy zarazem pałacu bramy otworzono  
 I zeń w dziesięciu parach wyszło dziewic grono.

W kwiatach, jak dni wiosniane, lekkich białych szatach,  
 Tocząc pług pełen miękkich, harmonijnych ruchów,  
 Sły dziewy na spotkanie tych, co czci król duchów,  
 Wielbiły cnót triumfy w niebiańskich zapłatach.  
 Z ich ust brzmiały piosenki, z ich rąk lutni brzęki;  
 Głosiły we czci ziemskiej serce wierne, stałe,  
 I tak do młodej pary śpiewały w jej chwałę:  
 «Czeka ciebie nagroda, czeka z boskiej ręki!»

Wezwanie nimf niewinnych wiedzie naszych gości,  
 Śród podwójnego rzędu dziewiczych piękności,  
 Aż pod zaklęty pałac. Idą wśród ogrodu...  
 Wtem król Elfów tak piękny, jak słońce u wschodu,  
 Wita ich — ale nie dał im w błędzie pozostać;  
 Zrzucając z siebie kłamną dziecka postać,  
 Stał się ślicznym młodzieńcem, z wieńcem gwiazd na skroni,  
 W nieskazitelnej krasie, z pierścieniem na dłoni.

W księżycowym zaś blasku, w swym mirtowym wianku,  
 Stoi Tytania przy boskim kochanku.  
 Każde ma w ręku koronę mirtową;  
 I tak się ozwą przyjazną już mową:  
 «Weźcie, weźcie z rąk naszych znamiona zwycięstwa,  
 Ten dar w nagrodę cnoty, wierności i męstwa;  
 Póki ten upominek szczerze czcić będziecie,  
 Nie odstąpi was szczęście na tym ziemskim świecie».

Zarazem z nieba ponad widzów głowy  
 Zbliżył się aż do ziemi obłoczek różowy,  
 A zeń wysiadły przy bardonów dźwięku  
 Trzy siostrzyczki Sylfidy z lilijami w ręku.  
 Jedna z nich, trzymająca chłopczyka w objęciu,  
 Uklękła przed Tytanią. Króla Elfów żona,  
 Dawszy serdeczny całunek dziecięciu,  
 Oddała synka Amandzie w ramiona.

Idąc między podwójnym panieńskim szeregiem,  
 Co, śpiewając, siał kwiaty pod przechodniów stopy,  
 Goście szczęśliwi pod złotemi stropy  
 Pałacu Oberona stanęli noclegiem.  
 Co widzieli, słyszeli — w tem miejscu, w tej chwili —  
 Nazajutrz kochankowie o tem nie mówili;  
 Ale wzrok we łzach szczęścia tęskniący do nieba  
 Żalił się, że na ziemi pozostać im trzeba!...

*Tłum. Wiktor z Baworowa (W. hr. Baworowski).*

## Z «HISTORJI ABDERYTÓW»

(Z powodu, że mulnik wzbrania dentyście, któremu osła wynajął, korzystać z cienia zwierzęcia, wszczyna się proces, który całe miasto dzieli na dwa obozy: partja «cieni» staje do walki słownej przeciw partji «osłów».)

...Sprawa sądowa o cień osła bezwątpienia wzbudziłaby sensację w każdym mieście, można więc wyobrazić sobie, co się działo w Abderze!

Zaledwie rozeszła się pogłoska o niej, w tej chwili stała się ona przedmiotem wszystkich rozmów, każdy interesował się nią, jakgdyby miał przez to wiele stracić lub zyskać. Jedni oświadczały się za dentystą, drudzy za mulnikiem. Nawet osioł miał swoich stronników, którzy utrzymywali, że ma on prawo *intervenendo* wystąpić, gdyż najwięcej on jest poszkodowany przez pretensję dentysty, bo aby ten w cieniu siedział, osioł zmuszony jest stać w słońcu. Słowem, wzmiankowany osioł cień swój rzucił na całe miasto Abderę, sprawa omawiana była z taką żywością, zapalem i zajęciem, jakgdyby dobro całego miasta, ba, całej Rzeczypospolitej w grę wchodziło...

Obywatele w Abderze (jak i w większości innych miast na świecie) podzieleni byli na cechy, i wedle dawno przyjętego zwyczajaju dentysta Struthion zaliczał się do cechu szewców, a to z bardzo subtelnie wymyślonej zasady; wszystkie zasady Abderytów były subtelne. W pierwszych czasach Rzeczypospolitej do cechu tego należeli tylko szewcy i łaciarze obuwia. Potem włączono do niego łaciarzy wszelkiego rodzaju, a wkońcu przyszło do tego, że (ob paritatem rationis) i chirurgów, i dentyków, jako łatających rodzaj ludzki, do tegoż cechu zaliczono. Struthion więc (z wyjątkiem lekarzy, z którymi był zawsze na naprężonej stopie) miał za sobą cały zacny cech szewski, a szczególnie łaciarzy obuwia, stanowiących znaczną część obywatelstwa Abdery. Naturalnie, że najprzód zwrócił się Struthion do swojego zwierzchnika, do starszego cechu, Pfriema, a mąż ten, którego patryjotyczne przywiązanie do swobód Rzeczypospolitej dobrze było znane, ze zwykłym sobie zapalem oświadczył, że raczej przebiłby się własną dratwą, niżby miał pozwolić, by w osobie członka cechu prawa i swobody miasta Abdery naruszone być miały.

«Stusznosc — rzekł on — jest najwyższem prawem. A cóż może być słusniejszego, jak że ten, kto drzewo zasadził, choć miał owoce na myśli, obok tego i z cienia drzewa korzysta? I dlaczego to, co odnosi się do drzewa, nie miałoby się i do osła odnosić? Gdzież, u kata, byłyby nasze swobody, gdyby cechowemu obywatelowi Abdery nie wolno było siedzieć w cieniu osła? Jakgdyby cień osła dostojniejszy był od cienia ratusza lub świątyni Jazona, w którym przecie leżeć i siedzieć może każdy, kto chce. Cień jest cieniem, czy pochodzi od drzewa, czy od kolumny sławy, od osła czy od Jego Wielmożności samego archonta! Krótko i węzłowato — dodał majster Pfriem — spuść się pan na mnie, panie Struthion, ten gbur odda panu nietylko cień osła, ale nawet samego osła jako należną satysfakcję, albo niema już swobód i własności w Abderze, a do tego, u wszystkich djabłów, nie przyjdzie, póki Pfriem się nazywam!»

Gdy dentysta zapewniał sobie łaskę tak znakomitego męża, mulnik Anthrax nie omieszkał również starać się o obrońcę, któryby tamtemu dorównał. Anthrax nie był właściwie obywatelem Abdery, lecz wyzwoleńcem, przebywającym w okręgu świątyni Jazona i tem samem pod jego opieką zostającym, to też stał on pod bezpośrednią jurysdykcją arcykapłana, tego herosa, któremu, jak wiadomo, oddawano w Abderze cześć boską. Pierwszą myślą mulnika było naturalnie dokazać tego, żeby arcykapłan Agathysus niedwuznacznie jął się jego sprawy.

*(Przekład bezimienny w «Humorze w lit. europ.», ułożonym przez Wandę Bruner.)*

## GOTTHOLD EPHRAIM LESSING

(1729–1781)

## Z «LAOKOONA»

Czy to jest bajką, czy prawdą, że pierwszy czyn w sztukach plastycznych podjęła miłość, to pewna, że ona wspierała niestrudzenie dawnych wielkich mistrzów. Je-

zeli bowiem obecnie malarstwo wogóle uchodzi za sztukę, przedstawiającą naśladowniczo ciała na płaszczyźnie, to mądry Grek zakreślił by mu daleko ciasniejsze granice, ścieśniając je tylko do naśladownictwa pięknych ciał. Artysta grecki przedstawiał tylko piękno; nawet zwyczajnem pięknem, pięknem niższego rzędu, zajmował się tylko przypadkowo, tylko ćwiczeniem, rozrywką. Doskonałość samego przedmiotu musiała zachwycać w jego dziele; on czuł się za wielkim, by żądać od widzów zadowalania się samą tylko zimną przyjemnością, wypływającą z utraconego podobieństwa, z rozważania jego indywidualnej zręczności; w sztuce nic mu milsze, nic szlachetniejsze nie było nad ostateczny cel samej sztuki.

«Ktoby cię chciał malować, gdy cię nikt nie chce oglądać!» — powiada starożytny epigramatyk o jakimś nader niekształtnym człowieku. Niejeden nowszy artysta powiedziałby: «Bądź najbardziej niekształtny, jak tylko być może: ja przecież będę cię malował, choćby nikt nie chciał ciebie oglądać; obraz mój wszakże każdy chętnie zobaczy, nie dlatego, że przedstawia ciebie, ale że uwydatnia mą sztukę, umiejacą taką brzydotę tak podobnie odtworzyć». Oczywiście, pociąg do takiego pustego przechwalania się niezgorszą istotnie zręcznością, której bynajmniej nie uszlachetnia treść przedmiotu, jest tak naturalny, że i Grecy mieli swego Pausona i Pyreika. Oni ich mieli, ale osądzali ich z surową sprawiedliwością.

Rozpatrując przyczyny, dla których twórca Laokoon w wyrazie bólu fizycznego musiał zachować pewną miarę, widzę, że wszystkie one wypływają z właściwości sztuki samej i z jej koniecznych granic i wymagań. Z trudnością zatem dałaby się którakolwiek z tych przyczyn zastosować do poezji. Nie badając, jak dalece może się udać poecie przedstawianie pięknych ciał, zauważyć muszę, że niezaprzeczenie ta widoczna osłona, pod którą doskonałość zamienia się w piękność, może być tylko jednym z najdrobniejszych środków, jakimi potrafi nas poeta dla swych kreacji zainteresować. Często nie korzysta on wcale z tego środka, przekonany, że gdy raz już jego bohater pozyskał naszą życzliwość, wtedy szlachetniejsze jego przymioty albo nas tak dalece zajmują, iż nie myślimy wcale o jego fizycznej postaci, albo gdy o niej myślimy, wówczas tamte nas tak ujmują, że przynajmniej mu dobrowolnie, choćby nie piękną, to przynajmniej obojętną postać.

A już jeżeli gdzie, to przy każdym poszczególnym rysie, nie przeznaczonym wyraźnie dla oka, nie będzie poeta właśnie zmysłowi wzroku hołdował. Jeżeli Laokoon Wergiljusza krzyczy, komu przyjdzie przy tem na myśl, że do krzyku potrzebne wielkie usta są szpetne? Dość, że «krzyki okropne zanosi ku gwiazdom», jest dla ucha rysem wzniosłym, choćby dla oka był jakimkolwiek bądź. Kto tutaj żąda pięknego obrazu, dla tego nie istnieje wrażenie, zamierzone przez poetę. Nic nie zmusza, prócz tego, poety do skoncentrowania obrazu w jednej, jedynej chwili. Każdą czynność, gdy zechce, przedstawia od początku i przeprowadza ją przez wszystkie możliwe odmiany aż do jej zakończenia, każda zaś z tych odmian, do której przedstawienia artysta potrzebowałby osobnego dzieła, wymaga od poety tylko jednego rysu, a gdyby ten rys sam przez się obrażał wyobraźnię słuchacza, to bądź przygotowały ją do niego poprzedzające ustępy, bądź też następujące go złagodziły, tak iż słuchacz zatracą poszczególne wrażenie, i rys ten w połączeniu z innymi wywiera jak najdoskonalszy skutek. Choćby zatem nie przystało mężowi przy gwałtownym bólu krzyczeć, ta mała przejściowa nieprzystojność nie może uwłaczać temu, którego inne zalety już nas ujęły.

Laokoon Wergiljusza krzyczy, ale ten krzyżący Laokoon jest tym samym, którego już znamy i cenimy jako wielce przewidującego patriotę, jako najbardziej przywiązanego ojca. Nie łączymy też jego krzyku z jego charakterem: wiążemy go jedynie z jego cierpieniem. Tylko to słyszymy w jego krzyku, poeta zaś mógł nam to cierpienie jedynie krzykiem uzmysłowić. Ktoby go zatem jeszcze ganił? Każdy musi raczej przyznać, że jeżeli artysta dobrze zrobił, iż nie kazał Laokoonowi krzyczeć, tak samo dobrze uczynił i poeta, że krzyczeć mu kazał.

*Tłum. Kazimierz Bronikowski.*

## Z «NATANA MĘDRCA»

(W czasie nieobecności swego przybranego ojca, Natana, Recha została wyniesiona z płonącego domu przez templarjusza.)

Recha:

Tyżeś, tyżeś to, mój ojcze?  
 Sądziłam, żeś tu naprzód wysłał tylko  
 Swój głos. Gdzież byłeś? Jakież to pustynie,  
 Góry i rzeki z tobą nas dzieliły?  
 Słyszałam prawie oddech twój, a przecież  
 Nie pośpieszyłeś Rechy twej uściskać;  
 Tej Rechy, która omal nie spłonęła!  
 Omal, o mało, ledwie! Nie drżysz, ojcze!  
 To brzydka bardzo śmierć — w płomieniach zginąć!  
 Oh!

Natan:

Moje dziecię, moje dziecię drogie!

Recha:

Ty tam musiałeś przez Eufrat i Tygrys,  
 Jordan i kto wie jakie jeszcze wody  
 Brodzić... Oh! jakże często ja o ciebie  
 Drżałam, dopóki sama się tak blisko  
 Ognia nie tknęłam. Ale odkąd płomień  
 Był mnie tak bliski, śmierć wśród fal zda mi się  
 Ochłoda, czarem, ocaleniem. Jednak  
 Tyś nie utonął, ja zaś nie zginęłam  
 Wśród ognia. Będziem się sobą cieszyli  
 I chwałę Bogu damy! On niósł ciebie  
 I czołno twoje na niewidzialnego  
 Anioła skrzydłach przez zdraдлиwe prądy,  
 On dał znak także aniołowi memu,  
 By mnie widzialny na swych skrzydłach białych  
 Przeniósł przez płomień.

Natan (*do siebie*):

Na swych skrzydłach białych!  
 Tak, tak! To biały płaszcz, co templarjusza  
 Okrywał.

Recha:

On to mnie widzialnie przeniósł  
 Przez płomień, skrzydłem swoim owiewany.  
 Zatem anioła mogłam oko w oko  
 Widzieć, anioła mego.

Natan:

Byłoby to  
 Godne mej Rechy, i nie znalazłaby  
 Piękności więcej w nim, niż on w niej samej.

Recha (*z uśmiechem*):

Komuż to schlebiasz, ojcze? aniołowi,  
 Czy sobie?

Natan:

Jednak, chociażby to tylko  
 Zwyczajny człowiek, człowiek, jakich codzien

Spotykasz, taką oddał ci usługę,  
Musiałby stać się w oczach twych aniołem  
I stałby się nim pewnie...

R e c h a:

Nie, nie takim.  
On był aniołem! nie! on rzeczywistym,  
On rzeczywistym był z pewnością!... Czyżes  
Mnie sam nie uczył, że są aniołowie?  
Czyś mnie nie uczył, że Bóg może czynić  
Cuda dla takich, którzy go kochają?  
A ja Go kocham przecież.

N a t a n:

I On ciebie  
Kocha i cuda czyni w każdej chwili  
Dla ciebie i dla bliźnich twoich. Tak jest,  
Przez całą wieczność wciąż je dla was czynił.

R e c h a:

Wierzę w to chętnie.

N a t a n:

Jakto? więc dlatego,  
Że to zwyczajnie brzmi i naturalnie,  
Iż cię templarjusz wyratował, ma to  
Już nie być cudem? Nie! Największym z cudów,  
Że powszedniemi tak się dla nas mogły  
Stać rzeczywiste i prawdziwe cuda!  
I gdyby nie ten cud ogólny, toby  
Człowiek myślący rzadko uznał cudem,  
Co nazwać cudem mogą tylko dzieci,  
Które się gapią na to, co niezwykle,  
I za nowością tylko gonią.

S a l a d y n:

Przystąp bliżej, Żydzie... bliżej...  
Tu... Bez obawy...

N a t a n:

Ta niech twoim wrogom  
Zostanie.

S a l a d y n:

Zatem Natan się nazywasz?

N a t a n:

Tak.

S a l a d y n:

Natan mędrzec?

N a t a n:

Nie.

S a l a d y n:

Sam siebie, prawda,  
Tak nie nazywasz, lecz cię lud tak zowie.

N a t a n :

Lud, może.

S a l a d y n :

Nie sądz, żebym miał w pogardzie  
Głos ludu. Dawnom pragnął poznać męża,  
Którego lud zwie mądrym.

N a t a n :

A jeżeli

Lud przez szyderstwo dał mu to nazwisko?  
Jeśli mądrością zwie roztropność zwykłą,  
A za roztropnych ma tych, co się znają  
Na tem, co korzyść niesie?

S a l a d y n :

Masz na myśli

Korzyść prawdziwą?

N a t a n :

Nie, ho w takim razie  
Najroztropniejszym byłby kto najchciwszy;  
Wtedy w istocie mądrość i roztropność  
Byłyby jednym.

S a l a d y n :

Składasz dowód tego,  
Czegoś się zaparł. Wiesz, co jest prawdziwą  
Korzyścią, której lud zazwyczaj nie zna.  
Pragniesz ją poznać, myślisz o niej — właśnie  
To czyni mędrzec.

N a t a n :

Takim każdy sądzi

Samego siebie.

S a l a d y n :

Dosyc tej skromności!  
Nie lubię słuchać jej, gdzie się spodziewał  
Usłyszeć zimny rozum. (*Wstaje*) Więc do rzeczy!  
Lecz bądź otwartym, Żydzie, bądź otwartym.

N a t a n :

Sułtanie! takbym pragnął ci usłużyć,  
Żebym był godny nadal twych poleceń.

S a l a d y n :

Usłużyć? jakto?

N a t a n :

Będziesz miał najlepsze  
Rzeczy i będziesz miał je za najtańszą  
Cenę.

S a l a d y n :

O czymże mówisz? O towarach?  
Szachrować z tobą będzie moja siostra.

(*do siebie*)

To dla tej, co tam podsłuchuje.

(*Głośno*)

Z kupcem

Nic do czynienia nie mam.

N a t a n :

Więc zapewne  
Chcesz się dowiedzieć, com w podróży mojej  
Mógł zauważyć względem nieprzyjaciół,  
Którzy się znów ruszają... Mówiąc szczerze...

S a l a d y n :

I tegom także nie ciekawy teraz.  
Wiem o tem tyle, ile mi potrzeba...  
Chcę tylko...

N a t a n :

Rozkaż, panie.

S a l a d y n :

Pragnę spytać  
O co innégo, co innego wcale.  
Ponieważ jesteś mądry, więc mi powiedz:  
Jaka religja, zakon, twojem zdaniem,  
Zawiera prawdę?

N a t a n :

Jestem żydem, panie.

S a l a d y n :

Ja muzułmanin jestem. Między nami  
Stoi chrześcijanin. Z tych trzech wiar prawdziwa  
Może być jedna tylko. Taki człowiek,  
Jak ty, pozostać tam nie może, gdzie go  
Los przypadkowy urodzenia rzucił,  
Lub gdy zostaje, czyni to z zasady,  
Z zastanowienia, z przekonania, z woli  
Swej wolnej. A więc objaw mi swe zdanie!  
Wskaż mi powody, których ja sam badać  
Czasu nie miałem. Wymień mi zasady,  
Które ten wybór twój spowodowały;  
Wymień poufnie, bym się przejął niemi...  
Jakto? ty milczysz?... mierzysz mnie spojrzeniem?...  
Zapewne pierwszym muszę być sultanem,  
Który objawia tę ciekawość, chociaż  
Sądzę, że godna ona jest sultana...  
Nieprawdaż?... Mów więc!... Powiedz... Może żądasz  
Chwili namysłu... Chętnie ci ją daję...  
Tak, pomyśl nad tem. Ja powrócę wkrótce.

N a t a n (sam):

Hm! hm! to dziwne! Co to znaczyć może?...  
Czego chce sultan? żądać miał pieniędzy,  
A żąda — prawdy! żąda jej tak zaraz...  
W gotówce, jakby była to moneta...  
Tak! chyba z owych starych monet, które  
Na wagę brano — taką to być może,  
Lecz nie monetą nową, której wartość  
Stempel nadaje, którąby wyliczyć  
Można na stole... taką prawda nie jest.  
Możnaż ją w głowę kłaść, jak pieniądz w worek?...  
Kto z nas dwóch tutaj — ja czy on — jest Żydem?...  
Tak... ale czemuż nie miałby istotnie



Wymagać prawdy?... Może chce jej użyć  
 Jako zasadzki na mnie? To byłoby  
 Nazbyt nikczemne; lecz cóż jest dla wielkich  
 Nazbyt nikczemne?... Tak ni stąd, ni zowąd  
 Wystąpił z takim zapytaniem. Prosto,  
 Bez żadnych wstępów. Muszę być ostrożny.  
 Lecz jak postąpić?... Żydem się okazać,  
 Wyłącznie żydem — źle... nie-żydem — gorzej!  
 Mógłby zapytać: czemu, gdy nie jestem  
 Żydem, nie chciałbym być muzułmaninem?...  
 Tak, tylko bajka może mnie ocalić.  
 Bajki nietylko są dla dzieci... Idzie...  
 Niech przyjdziel...

*Tłum. Kwiryn Anastazy.*

## GEORG CHRISTOPH LICHTENBERG

(1742—1799)

### Z «AFORYZMÓW»

To, co nazywają czystą znajomością ludzi, jest po większej części jedynie refleksją, odbijaniem się własnych słabostek od innych.

Najwyższym szczeblem, na który słaba głowa może się dostać nad poziom doświadczenia, jest sprawność w wynajdywaniu słabostek lepszych ludzi.

W ciągu całego mego życia przekonywałem się, że gdy brak nato innych środków, nic nie pozwala tak pewnie poznać charakter człowieka, jak żart, który się bierze za złe.

U większości ludzi niewiara w stosunku do jakiejś rzeczy opiera się na ślepej wierze w inną.

Stwierdzałem zawsze, że tak zwani źli ludzie zyskują na bliższym ich poznaniu, a dobrzy — tracą.

Osły zawdzięczają smutne położenie, w jakim żyją obecnie na świecie, może jedynie zabawnemu conceptowi jakiegoś figlarza. Na niego spada wina za to, że stały się one na zawsze zwierzętami najbardziej wzgardzonymi i że już nimi pozostaną; wielu bowiem poganiaczy osłów obchodzi się tak okropnie ze swymi wychowankami — dlatego, że to są osły, nie zaś z przyczyny, że są zwierzętami leniwymi i powolnymi.

Ten człowiek miał tyle rozsądku, że nie nadawał się już prawie do niczego na świecie.

Czem jestem? Co winienem czynić? W co mogę wierzyć i czego się spodziewać? Do tego sprowadza się wszystko w filozofji. Byłoby pożądane, aby się udało więcej rzeczy tak uprościć; przynajmniej należałoby spróbować, czy wszystko, co zamierzamy rozpatrzyć w danem piśmie, nie dałoby się ułożyć w ten sposób już od samego początku.

Niema chyba na świecie osobliwszego towaru, niż książki: drukowane są przez ludzi, którzy ich nie rozumieją, sprzedawane przez ludzi, którzy ich nie rozumieją, oprawiane, oceniane i czytane przez ludzi, którzy ich nie rozumieją, no i wreszcie pisane przez ludzi, którzy ich nie rozumieją.

*Tłum. Alfred Tom.*

## JOHANN GOTTFRIED HERDER

(1744—1803)

## Z «POMYSŁÓW DO FILOZOFJI DZIEJÓW RODZAJU LUDZKIEGO»

Jeśli rzecz jaka nie jest biernem, martwem narzędziem, to zamiar jej musi być w niej samej. Gdyby nas nato stworzono, żebyśmy, jak się zwraca magnes ku północy, dążyli zawsze nadaremnie do jakiegoś punktu doskonałości, któregośmy nigdy osiągnąć nie zdołali: mielibyśmy wówczas prawo, jak ślepe maszyny, ubolewać nie tylko nad sobą, lecz nawet nad jestestwem, któreby nas skazywało na los Tantalą, stwarzając jedynie dla swej szyderskiej, niegodnej takiego jestestwa zabawy. Gdyby się nam zechciało powiedzieć na jego usprawiedliwienie, że takie próżne usiłowania, nie osiągające żadnego celu, mogą jednak sprawiać coś dobrego i naturę naszą w ciągłej czynności utrzymywać: byłoby to wszelako zawsze niedoskonałe, okrutne jestestwo, na taką obronę zasługujące; w czynności bowiem, nie mającej żadnego zamiaru, niema nic dobrego, a zatem nęcenie się takim urojeniem przez słabość lub złośliwość oszukiwałoby nas niegodziwie. Na szczęście atoli natura rzeczy nie uczy nas tego urojenia. Rozważając człowieka, jak go znamy, tudzież ustawy w nim wyrte, nie postrzegamy w nim nic wyższego nad ludzkość; bo gdy nawet wyobrażamy sobie aniołów lub bogów, myślimy o nich zawsze, jak o ludziach wyższych, idealnych.

Do tego zamiaru oczywistego natura nasza organizowana; w tym celu dano nam delikatniejsze zmysły i popędy, rozum i wolność, niezbyt mocne, lecz trwałe zdrowie, mowę, sztuki i religję. We wszelkich stanach i społecznościach nie mógł człowiek o czem innem myśleć, jak o ludzkości, nie mógł czego innego nad nią w sobie wykształcać, lub ją sobie różnie wystawiać. Dla niej wprowadziła natura pewne stosunki między rodzinami i wiekami życia: dzieciństwo trwa dłużej, i tylko zapomocą wychowania uczymy się żyć po ludzku...

*Tłum. Józef Bychowicz (zm. 1845).*

## CZŁOWIEK I CIEN

Człowiek:

Toś ty za mną, to przede mną!  
Chcesz mię ciągle przesładować  
I twą postacią nikczemną  
Niby mój obraz malować.

Cień:

O! nie gardź twoim obrazem;  
On jest tobie napomnieniem:  
Gdybym nie szedł z światłem razem  
To ty wkoło byłbyś cieniem.  
Jeśli słońce jest przed tobą,  
Wtedy ja wtyle zostanę;  
Lecz zostaw słońce za sobą,  
Ja, twój cień, przed tobą stanę.

*Tłum. Kazimierz Brodziński.*

## MECHANIKA SERCA

O, mędrzy! których wszechwiednemu oku  
Tajne krążenie światów się nie skryło,  
Choć jedną iskrą z tyłu słońc potoku  
W wyziębłem sercu wskrzeście rozkosz miłą!  
Choć jedną kroplą żywotnego soku  
Sprawcie, by znowu jak w młodzieńcu biło  
Cóż wam stąd, mędrzy, że waszemu oku  
Tajne krążenie światów się nie skryło?

## NIEBO

Wyziewy się wznoszą, z nich powstają      Wyziewy się wznoszą, z nich powstają  
 W obłokach błysk lub grzmoty,              W umyśle gniew lub niechęć,  
     Albo kropla dżdżu.                              Albo kropla łzy.

Bracie, zachowaj twe niebo  
 Od wyziewów namiętności,  
 I niech twe czoło  
 Ma słoneczny blask.

## LILJA I RÓŻA

Liljo niewinności i miłości różo!  
 Jak dwie piękne siostrzyczki stoicie przy sobie;  
     Lecz w różnej waszej ozdobie  
     I różne przymioty służą.  
 Ty, kwiatku niewinności, samaś twą koroną,  
     Na twojej nagiej lodydze  
     Listka i kolca nie widzę;  
     Niewinność własną obroną.  
 Ale ty, krwią amorka wskroś nasiąkła różo,  
     Inaczej! Krzaczek twój cały  
     Strzeże ostrzem bożka strzały,  
     I aż ci kolce do obrony służą.

*Tłum. Bruno Kiciński.*

## KARL ARNOLD KORTUM

(1745—1824)

## Z «JOBSJADY»

(Jak Hieronimus na kandydata egzamin składał.)

Gdy zamiar stanął, jako mur forteczny,  
 Zaczęto listy pisać w gród stołeczny,  
 I wkrótce przybył cały kler,  
 Od wielkich figur aż do zer.

Pot zimny zrosił Hieronima czoło,  
 Gdy to fatalne objęło go koło,  
 Jako oblawa w puszczy ta,  
 Co zwierza dobyć z kniei ma.

... Któż, na szczęście mego Hieronima,  
 Młodości wspomnień na dnie duszy nie ma?  
 Komu nie pachnie luby kwiat  
 Akademickich pięknych lat?

Więc i wielebni, zwiesiwszy swe głowy,  
 Czynić musieli rachunek jakowy,  
 Gdy po milczeniu małem tem,  
 Chrząknawszy, przeszli wprost ad rem.

Pierwszy inspektor uczynił początek.  
 Kichnął — miał katar już lat coś dziesiątek —  
 Utaął donośnie chustką nos,  
 Kaszlnął i w ten sens zabrał głos:

— «Jako tutejszy dziekan i inspektor,  
I zebranego kolegjum dyrektor,  
Pytam: Quid episcopus sit?»  
A że chrząkano, dodał: — «Cyt!»

Na to Hieronim: — «Biszof — tak się zowie  
Przyjemny napój, wielebni panowie!  
Wino czerwone, cukier, no,  
I sok pomarańcz tworzy go».

Gdy Jobs kandydat wymówił te słowa,  
Jedna po drugiej zachwiała się głowa,  
Pierwszy inspektor chrząknął: — «Hem!»  
Insi — secundum ordinem.

Tu ksiądz asesor zabrał głos w tej sprawie:  
— «Pan Jobs kandydat powie mi łaskawie,  
Co to apostoł znaczy, i  
Wszystkich wyliczyć zechce mi!»

Rzecz Hieronim prędko: — «Apostolem  
Zwiemy dzban tęgi, stawiany za stołem,  
Z którego w mniejsze można lać.  
A wiele ich? — Jak kogo stać!»

Gdy Jobs kandydat przemówił te słowa,  
Jedna po drugiej zatrzęsa się głowa.  
Pierwszy inspektor chrząknął: — «Hem!»  
Insi — secundum ordinem.

...Ksiądz Beff głosem tak ciężkim, jak ołów,  
Spytał: — «Jakie są gatunki aniołów?  
I czym się różni każdy chór  
Pod względem godeł, skrzydeł, piór?»

Teraz Hieronim uczuł się w kłopotcie.  
«Trudno mi — rzecz — znać wszystkich w istocie.  
Ten wszakże, który mi jest znan,  
Na szyldzie stoi, trzyma dzban».

Gdy Jobs kandydat i t. d.

\_\_\_\_\_ *Tłum. Marja Konopnicka.*

## JOHANN HEINRICH PESTALOZZI

(1746—1827)

### Z «GODZINY WIECZORNEJ PUSTELNIKA»

Człowiek — jak on równy jest sobie na tronie i w cieniu szataś — człowiek w istocie swojej: czymże on jest? Dlaczegoż mędracy nam tego nie mówią? Czemu duchy podniosłe nie dostrzegają, czym jest ich ród? Czy tak samo wieśniak — ma oto wołu, a nie stara się go poznać? A pasterz — czy nie bada natury swych owiec?

A wy, którzy potrzebujecie człowieka i powiadacie, że strzeżecie go i życie — czy również ponosicie trud wieśniaka dla jego wołu? Czy i wy macie troskę pasterza o jego owce? Jestże mądrość wasza znajomością waszego pokolenia, a wasza dobroć czy jest dobrocią świątłych pasterzy ludu?

Czem człowiek jest, czego pragnie, co go podnosi i co go poniza, co go krzepi, a co go obezsila — o tem wiedzieć jest potrzebą pasterzy ludów, równie jak człowieka w najniższych chatach.

Powszedy ludzkość odczuwa tę potrzebę; wszędzie wśród trudu i pracy, i ucisku dąży ona wyżej a wyżej. Dlatego pokolenia jej wędną i giną — niezaspokojone, a kres dni większej części ludzi wola wielkim głosem, że nie zadowoliło ich zakończenie kolei żywota. Kres ich — to nie dojrzałość doskonałych owoców tej pory roku, która po spełnionem przeznaczeniu każe im opadać wdół na spokój zimowy.

Dlaczego człowiek bada prawdę bez porządku i bez celów ostatecznych? Dlaczego nie bada potrzeb swej natury, aby na nich zbudować uciechę i błogosławieństwo swego życia? Czemu nie poszukuje prawdy, która jest spokojem i używaniem życia, — prawdy, co zdolna do głębi go zadowolić, siły jego rozwinąć, dni jego rozpodzić i lata jego uczynić szczęśliwemi?

Człowiek, poganiany przez potrzeby swoje, drogę do tej prawdy odnajduje w samej głębinie swej natury.

Dziecię przy piersi — nakarmione — uczy się na tej drodze, czem jest dla niego matka, a wytwarza w niem ona miłość, istotę wdzięczności, zanim jeszcze niemowlę zdoła wydać z siebie głos obowiązku i podziękowania; a syn, co spożywa chleb ojca i wraz z nim grzeje się u jego ogniska, znajduje błogosławieństwo swej istoty w powinnościach dziecka — na tej właśnie drodze natury.

Podniosła drogo natury! prawda, do której wieszysz, to moc i czyn, źródło, uprawa, pełnia i nastrój całej istoty ludzkości.

*Tłum. Alfred Tom.*

#### Z «BAJEK»

##### Malarz

Stał otoczony przez tłum. Wtem odezwał się ktoś: «Zostałeś więc malarzem? Doprawdy, uczyniłbyś lepiej, gdybyś naprawiał nasze buciki». On zaś odrzekł na to: «Łatałbym wasze buciki, nosiłbym dla was kamienie, wodębym dla was czerpał, ponosiłbym za was śmierć: ale wyście mnie nie chcieli. Czulem pustkę wokół siebie i zostałem malarzem. Ludzi maluję, ludzi...»

##### Ryby i szczupak

W pewnej rzece ryby podały skargę na szczupaka, że szerzył między nimi wielkie spustoszenie. Sędzia, stary szczupak, oświadczył, że skarga ich jest słuszna i że odtąd, celem wynagrodzenia ich, co roku dwom zwyczajnym rybom wolno będzie zostać szczupakami.

##### Nieznana droga

«Jakie my jesteśmy nieszczęśliwe, że z naszej doliny nie prowadzi żadna droga» — biadały i skarżyły się owce i krowy na pastwisku, otoczonym wysokimi górami.

Słyszając te narzekania, sarna odezwała się w te słowa: «I z waszego pastwiska prowadzi droga na swobodę, ale nie wskaże jej wam ani pasterz, ani też rzeźnik, aby zaś samej ją odnaleźć, nie trzeba być ani owcą, ani krową.

Właściciel pastwiska i trzody, słyszając słowa sarny, zawołał: «Toż ta sarna ma wyraźny zamiar uświadomienia moich trzód, ale moje owce i moje krowy do mnie tylko należą i nie mają prawa szukać innych dróg prócz tych, któremi na mój rozkaz pasterz zagania je do obory lub do rzeźni».

### GOTTFRIED AUGUST BÜRGER

(1748—1794)

#### LENORA

Lenora po okropnym śnie

Zerwała się w poranku:

«Czyś zdradził mnie? czyś poległ gdzie?

Wilhelmie! mój kochanku.

Na bój pod Pragę ruszył on

Za Fryderyka walczyć tron

I odtąd nie dał mowy,

Czy zginął, czy jest zdrowy.

Już z cesarzową pruski król,  
 Znużeni długim bojem,  
 W narodów swoich wchodząc ból,  
 Skończyli go pokojem.  
 A każde z wojsk, zwycięski dźwięk  
 I szerząc kotłów szczęk i brzęk,  
 I wieńcząc się w choiny,  
 Wracało do rodziny.

Rozbiegł się lud i wszierz, i wzdłuż  
 Po drogach i po ścieżkach,  
 Z radością wojska witał już  
 Wrócone po zamieszkach;  
 I żony z dziećmi Bogu cześć,  
 I narzeczone śpieszą nieść,  
 I tylko nic nie może  
 Pocięchy dać Lenorze.

Każdego pułku pyta się,  
 Co serce jej chce wiedzieć;  
 Kto wrócił w kraj, kto poległ gdzie,  
 Nie może nic wysledzić.  
 Gdy przeszło wojsko, z żalu drze  
 Na głowie krucze włosy swe  
 I tarza się po ziemi,  
 I bluźni słowy ziemi. — — —

— «O, matko! matko! po mnie już!  
 Straciłam go, straciłam,  
 Ach, lepiej mnie do grobu złóż.  
 O, czemuż się zrodziłam!  
 Na wieki zgaśł dni moich blask,  
 Nicości chcę, nie bóstwa łask.  
 Bóg o mnie zapomina,  
 O, biednaż ja dziewczyna!»

«O, Boże! nie wchodź z grzeszną w sąd,  
 Twych dzieci nie karz w gniewie,  
 Na rozpacz jej miej, Ojczy, względ;  
 Co mówi, sama nie wie.  
 Zapomnij, córko, ziemskich strat,  
 Nie tu się dla nas kończy świat;  
 Zbawienia święty wieniec  
 Da Boski oblubieniec».

— «Ach, nie mów o zbawieniu tem,  
 Zbawienie me uciekło;  
 Zbawienie miałam tylko w nim,  
 A bez Wilhelma — piekło!  
 Na wieki zgaśł dni moich blask,  
 Nicości chcę, nie bóstwa łask;  
 Kochanku! ja bez ciebie  
 Zbawienia nie chcę w niebie!»

Tak zawrzał w niej rozpaczy szal  
 Po mózgu i po żyłach,  
 I proch, wbrew Opatrzności, śmiał  
 Zaufać w własnych siłach;

Rozwodzi wciąż przekleństwa swe  
 I, w pierś się tłukąc, włosy drze,  
 Aż kres słonecznej jazdy  
 Wskazały świetne gwiazdy.

Na dworze słyhać: tęt, tęt, tęt,  
 Jakby kopyta koni,  
 I jeździec z konia zsiada wpuć  
 I ostrogami dzwoni.  
 Przed drzwiami stanął tam, gdzie sień,  
 Pociągnął dzwonek: dzień, dzień, dzień,  
 I przez zamkniętą bramę  
 Rzekł słowa ot te same:

«Hej, hej, kochanko! otwórz drzwi!  
 To ja, to twój cię woła;  
 Śpiszże czy czuwasz, wierna mi,  
 Czy płaczesz, czyś wesola?»  
 — «Wilhelmie, tyżeś w późną noc!  
 Czuwałam długo i lez moc  
 Wylałam ja po tobie...  
 I skądżeś o tej dobie?»

«Zdaleka, z Czech przybywam dziś,  
 Jeździłiny nocną dołą;  
 Późnom się wybrał; z łóżka zleż,  
 Bo muszę wziąć cię z sobą».  
 — «Wilhelmie! wprzód uściśnij mnie,  
 Bo zimny wiatr po cierniach dmie;  
 Tyś zziął, niech twa kochanka  
 Rozgrzeje cię do ranka».

«Niech sobie wiatr po cierniach dmie,  
 Ty, dziewczę, porzuć trwoję;  
 Mój rumak rzy, czekają mnie,  
 Zabawić tu nie mogę.  
 Czem prędzej więc gotowa bądź  
 I na karego za mną siadź;  
 Sto mil mam jechać jeszcze,  
 Nim w domu cię popieszczę».

— «Co? dziś ujechać chcesz sto mil?  
 Ach! stój, jeśli ci miła.  
 Wszak już minęło kilka chwil,  
 Jak jedenasta biła».  
 «Patrz, patrz! jak świetnie księżyc wszedł,  
 My i umarli lecim wnet;  
 Zawierz mej obietnicy,  
 Dziś staniam u łożnicy».

— «Twa chatka i łożeczko twe  
 Są dobre i wygodne?»  
 «Sześć desek i deseczki dwie,  
 Spokojne, szczupłe, chłodne.  
 Dość nam. Gotowa prędko bądź  
 I na karego za mną siadź,  
 Bo już nas przy łożnicy  
 Czekają weselnicy».

Ubrała się i wnet na koń  
 Skoczyła, acz nieśmiało;  
 Lubego jeźdźca ściska dłoń  
 Swą ręką, jak śnieg, białą.  
 Z kopyta zaraz drał, drał, drał,  
 Jak szumny wichur, pędzą w cwał,  
 A z jeźdźcem koń się pieni  
 I lecą skry z kamieni.

Już obustronnie znika kraj,  
 A ich gościniec prosty,  
 Umyka rola, błonie, gaj  
 I wszędzie dudnią mosty.  
 «Czy strach ci, luba? Księżyc wszedł,  
 Hejż-ha! umarli lecą wnet,  
 Czyż strach ci jechać do nich?»  
 — «Nie, jednak zamilcz o nich».

I cóż tam brzmi za głos i dźwięk?  
 Co kruki tak krakają?  
 Czemu jest ten śpiew i dzwonoń brzęk?  
 To kogoś grzebać mają.  
 Karawan wiezie pyszny cug,  
 Przy trumnie w czerni mnóstwo sług.  
 Ich śpiew się równa prawie  
 Kwakaniu żab na stawie.

«Te zwłoki, bracia, złóżcie w grób,  
 Jak północ już uderzył  
 Dziś chcę z kochanką odbyć ślub,  
 Więc za mną śpiesz, młodzieży.  
 Kantorze! zabierz z sobą chór,  
 Do ślubnej pieśni zanuć wtór,  
 Błogosław nam, pastarze,  
 Nim wejdziem w ślubne łoża».

Zmilkł śpiew i dźwięk, karawan znikł,  
 Posłuszni, jakby dzieci,  
 Zbierają się w porządnny szyk  
 I tłum za jeźdźcem leci.  
 I dalej, dalej, drał, drał, drał,  
 Jak szumny wichur pędzą w cwał,  
 Pod jeźdźcem koń się pieni,  
 Pyskają skry z kamieni.

I z tej, i z tamtej, z obu stron  
 Mijają wzgórze, wody,  
 I z tamtej, i z tej, z obu stron  
 Wsie, miasta i zagrody.  
 «Nie bój się, luba, księżyc wszedł,  
 Hejż-ha! umarli lecą wnet,  
 Czy strach ci jechać do nich?»  
 — «Ej, nie! lecz nie mów o nich».

O! szubienica w oczach nam,  
 A z niej na wszystkie strony,  
 Jak wiatr powieje, tu i tam  
 Tańcuje powieszony.

«Hej, bratku! jak się kolwiek zwiesz,  
 Zstąp zaraz i za nami śpiesz,  
 Na ślub się okaż hożym,  
 Tańcz, nim się spać położym».

I zaraz lotr pośpiesza zniść  
 I leci w trop za niemi,  
 Jak wir, co suchy pędzi liść,  
 Porwany w gaju z ziemi.  
 I dalej, dalej, hop, hop, hop,  
 Jak wichur, pędzą wciąż w galop,  
 Pod jeźdźcem koń się pieni,  
 Pyskają skry z kamieni.

Tak wszystko mija obok nich  
 I wszystko ponad niemi.  
 Mijają gwiazdy, mija ich  
 I niebo, i krąg ziemi.  
 «Nie bój się, luba, księżyc wszedł,  
 Hejż-ha! umarli lecą wnet,  
 Czy strach ci jechać do nich?»  
 — «Ej, przestań, nie mów o nich!»

«Podobno pierwszy zapiał kur,  
 W klepsydrze spada piasek,  
 Już ranku technienie wietrzę z gór,  
 Hej, kary, suń przez laszek.  
 Kres naszej drogi już jest tam  
 I chatkę wnet otworzą nam.  
 Umarłych wichur niesie,  
 Stajemy już przy kresie».

Pod bramę, zbitą z lanych krat,  
 Zuchwały jeździec ruszy;  
 Gdy śmiało mieczem na nią wpadł,  
 Cios rygle z zamkiem kruszy.  
 Roztwariły się narozcież drzwi,  
 On śmiało po mogiłach grzmi,  
 A wkoło blask księżycy  
 Nagrobki im oświeca.

I stała się cudowna rzecz:  
 Okropne to widziadło,  
 Ubranie jeźdźcy, zbroja, miecz,  
 Jak próchno się rozpadło.  
 Gdzie była piękna jeźdźca twarz,  
 Tam trupią główkę tylko masz,  
 Szkielet z czapką bezwłosą  
 Klepsydrę trzyma z kosą.

I wspiał się koń, i dziko rzał,  
 I parskał skry ogniste.  
 Zapadło miejsce, kędy stał,  
 W otchłanie przepaściste.  
 W powietrzu wzniósł się płacz i krzyk,  
 W otchłaniach rozległ jęk i ryk,  
 Lenora z serca biciem  
 Bój śmierci czuje z życiem.

Księżycy blask rozganiał mrok,  
I błysnął obraz nowy,  
Bo wszczął się dziwny duchów skok,  
Wyjących temi słowy:

«Choć serce twoje pękać chce,  
Człowieku, w żalu nie bluźń, nie!  
Gdy ciało się rozprószy,  
Niech Bóg przebaczy duszy».

*Tłum. Bruno Kiciński.*

## JOHANN WOLFGANG GOETHE

(1749—1832)

### Z «LAT NAUKI WILHELMA MEISTRA»

Nic niema bardziej wzruszającego, jak kiedy miłość, która się rozwijała w ciichości, jak kiedy wierność, która się ugruntowała w ukryciu, objawia się wkońcu w godzinie stosownej temu, co jej dotyczą. Długo i ściśle zamknięty pączek dojrzał, serce zaś Wilhelma nie mogło być wrażliwsze.

Stała przed nim i widziała jego niepokój.

— Panie! — zawołała — jeżeli jesteś nieszczęśliwy, co się stanie z Mignoną?

— Kochane stworzenie — rzekł on, biorąc jej ręce — stanowisz także część moich cierpień. Ja muszę odjechać.

Spojrzała mu w oczy, błyszczące od łez powstrzymywanych, i uklękła przed nim gwałtownie. Zatrzymała jej ręce, ona położyła głowę na jego kolanach i nic nie mówiła. Bawił się jej włosami i był serdeczny. Długo zachowywała spokój. Wreszcie poczuł w niej jakieś drganie, które się zaczęło cicho i, rosnąc, szerzyło się po wszystkich członkach.

— Co ci, Mignon — zawołał — co ci?

Podniosła główkę i spojrzała nań, schwyciła się naraz za serce ruchem, okazującym tłumienie bólu. Podniósł ją, a ona padła mu na piersi; przycisnął ją i całował. Nie odpowiedziała ani uściskiem ręki, ani żadnym poruszeniem. Trzymała się za serce i naraz wydała krzyk, któremu towarzyszyły kurczowe ruchy ciała. Porwała się i zaraz padła przed nim na ziemię, jakby wszystkie stawy miała połamane. Był to okropny widok!

— Dziecię moje! — zawołał, podnosząc ją i mocno ściskając — dziecię moje, co ci?

Drganie trwało dalej, z serca udzielając się obwisłym członkom; wisiła tylko na jego ramionach. Przycisnął ją do serca i zwilżył swemi łzami. Wtem zdawało się, że znowu się przeży, jak ktoś, co cierpi największy ból cielesny; a niebawem z nową gwałtownością ożywiły się wszystkie jej członki i, jak sprężyna, co się zatraskuje, rzuciła mu się na szyję, gdy w jej wnętrzu jakby coś pękło nagle, a w tejże chwili z zamkniętych jej oczu popłynął strumień łez na jego łono. Trzymał ją mocno. Płakała, a żaden język nie wypowie potęgi tych łez. Długie jej włosy rozplotły się i zwiślały na płaczącej, a cała jej istota zdawała się niepowstrzymanie topnieć w potok łez. Stwardniała jej członki zwolniały, dusza jej się rozlała, a w zamieszaniu tej chwili lękał się Wilhelm, by się nie rozplynęła w jego objęciach i nie zniknęła bez śladu. Przyciskał ją coraz silniej.

— Dziecię moje — wołał — dziecię moje! Jesteś przecież moja, jeżeli cię to słowo pocieszyć może. Jesteś moja! Zatrzymam cię, nie opuszczę cię!

Łzy płynęły jej ciągle. Wkońcu wyprostowała się. Miękka wesołość błyszcziała w jej twarzy.

— Mój ojczel! — zawołała — więc mnie nie opuścisz! Chcesz być moim ojcem! Jestem twojem dzieckiem!

U drzwi zaczęła brzmieć łagodnie harfa; stary harfciarz przyniósł najserdeczniejsze swe pieśni w dani wieczornej przyjacielowi, który, ściskając dziecię swe coraz silniej w objęciach, poił się najczystschem nieopisanem szczęściem.

Znasz li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa,  
Pomarańcz blask majowe złoci drzewa,  
Łagodny wiatr z jasnego nieba wieje,  
Gdzie cichy mirt i laurów wzniosłe knieje?  
Znasz li ten kraj?

Tam, ach tam  
Niech cię, kochanku mój, przy sobie mam!



Znasz li ten gmach, gdzie wielkich sto podwoi,  
 Gdzie kolumn rząd i tłum posągów stoi?  
 A wszystkie mnie witają twarzą białą:  
 «O, dziecię biedne, co się z tobą stało?»  
 Znasz li ten gmach?

Tam, ach tam

Niech cię, obrońco mój, przy sobie mam!

Znasz li ten brzeg, gdzie po skalistych górach  
 Strudzony muł swej drogi szuka w chmurach?  
 Gdzie w głębi jam prastare drzemią smoki,  
 A zwierzchu skał w kaskadach grzmia potoki?  
 Znasz li ten brzeg?

Tam, ach tam

Czas, ojczy mój, wyruszyć nam!<sup>1</sup>

Gdy nazajutrz rano obejrzał się Wilhelm za Mignoną, nie znalazł jej i dowiedział się tylko, że wyszła wcześniej...

Po upływie kilku godzin usłyszał Wilhelm muzykę przed swymi drzwiami. Sądził z początku, że to znowu przybył harfiarz, wkrótce jednak wyróżnił dźwięki cytry, a głos, który zaczął śpiewać, był głosem Mignony. Otworzył drzwi, dziewczynka weszła i zaśpiewała pieśń, którąśmy dopiero co podali.

Melodja i wyrazistość podobały się bardzo Wilhelmowi, choć nie mógł zrozumieć wszystkich słów. Kazał sobie powtórzyć i objaśnić strofy, spisał je i przetłumaczył na niemiecki. Oryginalność zwrotów wszakże mógł naśladować tylko w przybliżeniu; dziecinna niewinność wyrazu znikła, gdy język połamany stał się jednolitym, a brak związku był usunięty. Wdzięk zaś melodji z niczem porównać się nie dawał.

Każdą strofę zaczynała uroczyście i wspaniale, jakby chciała zwrócić uwagę na coś nadzwyczajnego, jakby wypowiadała coś ważnego. Przy trzecim wierszu śpiew stawał się coraz bardziej przytłumiony i posepniejszy; słowa: *Znasz li ten kraj?* przy końcu zwrotki wypowiadała tajemniczo i z namysłem; w wyrazach: *Tam, ach tam* — tkwiła niepokonana tęsknota, a: *Wyruszyć nam* — umiała przy każdym powtórzeniu tak zmienić, że jużto prośba i naleganie, jużto znaganie obietnic pełne w nich się wypowiadało.

Ukończywszy pieśń po raz drugi, zatrzymała się chwilę, bystro spojrzała na Wilhelma i zapytała:

— Znasz li ten kraj?

— Mowa tu pewnie o Włoszech — odrzekł Wilhelm — skąd masz tę piosenkę?

— Włochy! — powiedziała Mignon znacząco — jeżeli pojedziesz do Włoch, weź mię z sobą, mnie tu zimno.

— Czyś już tam była, moja malutka? — spytał Wilhelm.

Dziewczynka milczała, nic więcej wydobyć z niej nie było można.

*Tłum. Piotr Chmielowski.*

*Poprawił Alfred Tom.*

#### Z «FAUSTA»

##### Z CZĘŚCI PIERWSZEJ

(Przed bramą miejską — z rozmowy Fausta z Wagnerem)

W a g n e r :

Człowiek poczciwy dość robi, ja myślę,

Jeśli naukę, tak jak ją posiada,

Zastosowyywa sumiennie i ściśle.

Więc próżny skrupuł: kunszt się doskonali;

<sup>1</sup> Przekład — według parafrazy Mickiewicza.

Jeżeli przeszłość błędy nam zostawia,  
To niechaj każdy — co może — poprawia:  
Nasi następcy pójda jeszcze dalej.

F a u s t :

Szczęśliwy ten, w kim nadzieja nie gaśnie  
Wybrnąć z chaosu, który nie ma granic!  
Czego nie wiemy, trzebaby nam właśnie,  
A to, co wiemy, nie zda nam się na nic...  
Lecz dosyć tego, bo to próżna strata  
Psuć sobie smutkiem widok tej natury:  
Patrz, od wieczornej jak pała purpury  
Ta zielonością okolona chata.  
Dzień już przeżyty; słońce po błękanie  
Śpieszy gdzie indziej nowe budzić życie.  
Gdybym, wzniesiony bystreml skrzydłami,  
Mógł lecieć za niem po nieba przestrzeni  
I w wiecznym blasku wieczornych promieni  
Widzieć świat cały pod memi stopami!  
Wzgórza złocistem światłem zapalone,  
Ciche doliny i rzek kręte biegi,  
I oceanu wody niezmierzone,  
I jego dzikie, malownicze brzegi!  
I niczem wtędy groźne gór gromady,  
Ciemne przepaście i grzbięty spadziste:  
Ja wciąż za słońcem, ja wciąż w jego ślady,  
Wciąż piję jego światło wiekuiste!  
Przede mną jasność, za mną nocy cienie,  
Nade mną niebo, a pode mną fale —  
O, śnie czarowny! o, boskie marzenie!...  
I czemuż ciało tak szczytnie, zuchwale  
Wzbić się nie może, jak się dusza wzbija?  
A przecież jest-ci coś w naszej naturze,  
Że nam się serce gdzieś w przestrzeń wyrwa —  
Kiedy nad nami, znikając w lazurze,  
Skowronek dźwięczną piosnkę swoją śpiewa,  
Gdy widzim orła wspaniałe krążenie  
Nad wierzchołkami sosen wyniosłemi,  
Gdy ponad równin i jezior przestrzenie  
Ciągną żórawie ku rodzinnej ziemi...

W a g n e r :

Ja często w dziwnym bywam też humorze,  
Lecz tak szczególnej nie znałem tęsknoty.  
Las, pole prędko przesycić mnie może,  
Ptaków mię nigdy nie zajmują loty.  
Nierównie miłsze umyśtu rozkosze,  
Gdy się od księgi do księgi przenoszę,  
Z karty na kartę oczyma przebiegam  
Albo szacowny pergamin rozwinę:  
Szczęśliwy, w późną za północ godzinę  
Długiej zimowej nocy nie spostrzegam.

F a u s t :

Jedno masz tylko pragnienie stateczne —  
Obyś się nigdy nie poznał z innemi!  
Lecz, ach, w mej piersi dwie jakoby sprzeczne  
Dusze mieszkają: jedna z nich do ziemi

Z całą się mocą miłości przyciska,  
 Uciechy życia żądzami pożera;  
 Druga gwałtownie z niego się wydziera  
 Do wielkich przodków wznosłego siedliska...  
 Jeśli w obszarach nadziemskiej krainy,  
 Światłe genjusze, wszechwładnie rządzą, cie,  
 O, zstąpcie z waszej promiennej dziedziny,  
 Dajcie mi nowe i świetniejsze życie!  
 Gdybym posiadał jaki płaszcz skrzydlaty,  
 Coby w dalekie nosił mię przestrzenie,  
 O! za najdroższe na świecie odzienie  
 I za królewskie nie dałbym go szaty.

W a g n e r :

Ach! nie wywołuj dobrze znanej zgrai  
 Duchów ciemności: ten tłum niebezpieczny,  
 Ludzkiego rodu nieprzyjaciel wieczny,  
 Pod złudną maską złość głęboką tai.  
 Duchy północy z ostremi zębami  
 Cisną się chciwie, pożrećby cię rade;  
 Tam wschód niszczącą wysyła gromadę,  
 Co się chce karmić twemi wnętrzościami;  
 I kiedy skwarne puszcze południowe  
 Buchają na cię płomiennemi ziewy,  
 Z zachodu pędzą gwałtowne wylewy,  
 Ciebie i wszystko zatopić gotowe.  
 Chętnie ta zgraja na wezwanie leci  
 I chętnie służy, aby zgubić snadniej;  
 Udaje niebian dobroczynne dzieci:  
 Pieścizota zwierzchu, a złośliwość na dnie.  
 Ależ wracajmy, bo się całkiem ściemni;  
 Powietrze chłodne, zimna mgła opada:  
 Teraz to w domu siedzieć najprzyjemniej.

(Pracownia Fausta — z rozmowy z Mefistofeilesem.)

F a u s t :

Któż tedy jesteś?

M e f i s t o f e l :

Jam — cząsteczka mała  
 Siły, co, złego pragnąc, zawsze dobro działa.

F a u s t :

Taka zagadka nie objaśnia rzeczy.

M e f i s t o f e l :

Jestem więc duchem, który wiecznie przeczy,  
 I słusznie, bo cokolwiek do życia przychodzi,  
 Najniezawodniej warte jest zniszczenia:  
 Niechże się lepiej nic wcale nie rodzi.  
 Stąd wszystko, co u waszego plemienia  
 Grzechem, zniszczeniem, złem się nazywa,  
 To moja sfera właściwa.

F a u s t :

Powiedziałeś, żeś cząstką, a stoisz tu cały.

Mefistofel:

Skromną ci tylko prawdę me usta wyznały.  
Gdy człowiek, będąc małą i głupią istotą,  
Ma się za coś całego — ale mniejsza o to: —  
Jam część części, co niegdyś przed chwilą stworzenia  
Była wszystkim; jam cząstka przedwiekowej nocy,  
Matki dumnego światła, które z całej mocy  
Chce jej dziś przestrzeń wydrzeć. Lecz te wysilenia  
Są próżne: bo to światło, do ciał przywiązane,  
Ciała zdobi i z ciał płynie,  
Przez ciała może w biegu być wstrzymane:  
Więc pewno wkrótce wraz z ciałami zginie.

Faust:

No, teraz już pojmuję twe zacne rzemiosło:  
Gdy się na wielką skalę niszczyć nie udaje,  
Więc dobrze i na małą!

Mefistofel:

To prawda, wyznaję,  
Ale mi ono dotąd niewiele przyniosło.  
Ten lichy świat, źdźbło takie — rzecz zadziwiająca,  
Jak się szczęśliwie zniszczeniu opiera!  
O to źdźbło cała moja sztuka się roztrąca;  
I fala je zalewa, i ogień pożera,  
I trzęsienia, i burze: cóż? kończy się na tem,  
Że wszystko jest, jak było, i świat zawsze światem.

*Tłum. Aleksander Krajewski.*

Z CZĘŚCI DRUGIEJ

(Północ. Ukazują się cztery siwe niewiasty.)

Pierwsza:

Ja zowię się Brakiem.

Druga:

Ja zowię się Wina.

Trzecia:

Ja zowię się Troską.

Czwarta:

Ja zowię się Nędzą.

We trzy:

Zamknięte — nie można — bo zamki tu strzegą;  
Snadź bogacz tu mieszka, nie trafim do niego.

Brak:

Ja cieniem się stanę.

Wina:

Ja w nicość przemienię.

Nędza:

Ode mnie świat dumne odwraca spojrzenie.

Troska:

O, siostry! niesposób: nie wpuści, nie zoczy,  
A Troska przez dziurkę od klucza się wtłoczy. (*Znika*)

Brak:

Ustąpcie więc, moje siostrunie kochane!

Wina:

Ja blisko w ukryciu przy boku twym stanę.

Nędza:

A tuż za stopami powlecze się Nędza.

We trzy:

Już chmura nadciąga, już gwiazdy rozpędza,

A ztyłu — zdaleka, zdaleka i On...

Już brodzi, nadchodzi braciszek nasz — Zgon.

Faust (*w pałacu*):

Weszły cztery, idą trzy białogłowy;

Pojąć nie mogłem znaczenia ich mowy.

Słyszałem, jakby dźwięk: «Nędza» — i «On»,

A rym posepny odjęknął mu: «Zgon»;

Były to puste, straszidłowe tony —

Więc ja nie jestem jeszcze wyzwolony.

O ty, naturo! gdybym oprzytomniał,

Magję odrzucił, o czarach zapomniał,

Jako mąż stanął przed tobą i wiekiem,

Godziłoby się jeszcze być człowiekiem.

A byłem! byłem, nim mroków się jąłem,

Hasłem zbrodniczem siebie, świat przekląłem.

Ach... dziś w powietrzu tak pełno straszyleł,

Że nikt już nie wie, jak ująć od ich sidel:

W dzień — błysnie jasność rozumu niezwykła;

Noc — znowu w senną przędzę nas uwikła.

Wracasz wesoło z młodzieńczego pola:

Ptak kraknął — co on tam kracze? «Niedola».

Ot i w przesady już wiara powszednia —

Wrózba — przestroga — zły znak — przepowiednia —

I mąż samotny po widmach już brodzi...

Baczność: skrzypnęły drzwi... nie — nikt nie wchodzi.

(*Wzdryga się*)

Czy jest tu kto?

Troska:

Pytanie to

Wymaga odpowiedzi: «tak».

Faust:

Kto jesteś?

Troska:

Jestem...

Faust:

Wyjdź, jak weszłaś pokryjomu.

Troska:

Jestem w swoim domu.

Faust (*zrazu rozgniewany, następnie łagodnie do siebie*):

Strzeż się wymówić czarnoksiężski znak.

Troska:

Choćbym nie sięgła do ucha,

Wdrażam ja grozę we wnętrze ducha;

Z kształtów w kształty się przebieram,  
 Gniewną potęgę wywieram  
 Wśród fal i łądów, wiecznie prześladowcza  
 Towarzyszka współwędrowcza,  
 Przez nikogo nie szukana,  
 Przez każdego odszukana,  
 Pieszczona i przeklinana. —  
 Troskę musiałeś znać przecie?

F a u s t :

O! jam się tylko przeszedł po świecie,  
 Każdą tam rozkosz za włosym chwycił,  
 Co nie bawiło, o tom nie spytał,  
 Znał tylko żądze i żądz spełnienie;  
 I tak, w potędze na świata scenie  
 Życie przebrzmiało hucznie, wielmożnie;  
 Dziś idzie mądrze, idzie ostrożnie.  
 Nasz ten ziemiokrąg znam ja dość ściśle,  
 O górnym świecie wcale nie myślę;  
 Głupiec tam patrzy przymrużonem okiem,  
 Marząc się przyszłym sobą za obłokiem!  
 Tu, tu się wpatrzmy w to, na czym stoimy,  
 Dla myślącego świat nie jest tak niemy.  
 Poco myśl puszczać w wiekiuste kraje!  
 Kres wiedzy łatwo oznaczyć się daje.  
 Tak niech wędruje przez doczesność naszą,  
 Z drogi nie schodzi, jeśli duchy straszą,  
 W biegu niech chwyta szczęście, ból, zaszczyty,  
 On, co jest wiecznie w dążeniach niesyty.

. . . . .

T r o s k a :

...Ludzie ślepcami są przez całe życie,  
 Teraz ty, Fauście, bądź ślepy przy zgonie (*Tchnie na niego*).

F a u s t (*już ociemniały*)

Głębokie, coraz głębsze wciskają się cienie,  
 Ale tam w duszy jasne światło błyska;  
 Temu, co pomyślałem, śpieszę dać wcielenie,  
 Bo tylko słowo pana wagę tu pozyska.  
 Hej, służba! wstańcie z łoża, a nakaz uważcie:  
 Com usnuł w śmiałej duszy, to czynem pokażcie!  
 Bierzcie rydel i wszelkie grabarskie narzędzie,  
 Niech natychmiast tamowy pas wytknięty będzie.  
 Jeśli robotnik różnych trudów nie poskąpi,  
 Po rozkazy prześwietna nagroda nastąpi;  
 Gdzie ma się spełnić dzieło, świat zdumiewające,  
 Jednego ducha dosyć tam na rąk tysiące.

F a u s t :

Dozorca!

M e f i s t o t e l :

Jestem!

F a u s t :

Robotę gnać kłusem,  
 Jak tylko można, tłum na tłum zgromadzać,

Słowy popędzać, częstunkiem, przymusem,  
 Płacić, napierać, dogadzać.  
 Codzień wiadomość przynosić mi stale,  
 Jak się grabarka posuwa w kanale.

Mefistofel (*półglosem*):

Jak z wiadomości przypominam sobie,  
 Nie o grabarce mówią, lecz o — grobie.

Faust:

Tam jakieś bagno powstało na górze,  
 Zarazą cały przestwór ozionęło;  
 Żeby to ściągnąć i stęchłą kałużę,  
 O! byłoby to istne arcydzieło.  
 Miljonom przestwór odkryłbym gościnny,  
 Pola żyzne, zielone, gdzie człowiek i trzody  
 Mile czarnoziem powitają młody,  
 Więc osadzony na wzgórznej podporze  
 Lud pracowity nawskroś go zaorze.  
 W środku — raj ziemski; na dole bezmierza,  
 Nurt wściekły wre tam po krawędź nadbrzeża;  
 Lecz kiedy postrach, że wciska się chyłkiem,  
 Lud tamy sypie z żywym współwysiłkiem.  
 Tak! tego zdania gorąco ja bronię,  
 To ostateczne mądrości wywody:  
 Ten tylko godzien życia i swobody,  
 Kto codzień musi gwałtem dobijać się o nie.  
 Tak to wśród niebezpieczeństw, stawiać czoło harcom,  
 Spłyną tu lata dzieciom, mężom, starcom.  
 Bogdajbym kiedy zgiełk taki mógł zoczyć,  
 Z wolnością wolnym ludem się otoczyć.  
 Rzekłbym do chwili z twarzą nieobludną:  
 «Wstrzymaj się — jesteś tak piękną, tak cudną!»  
 Ślad moich ziemskich dni w eonów pyle  
 Nie zatrze się — nie może zaginać w bezmiarze...  
 I gdy o owem szczęściu najwyższym dziś marzę,  
 Teraz czuję dla siebie najpiękniejszą chwilę.

(*Upada. Duchy zmarłych, Lemury, podtrzymują go i kładą na ziemię.*)

(*Górskie parowy, las, skały, pustynia. — Święci anachoreci rozsiedleni po wzgórzach i rozpadlinach skał. Mater gloriosa ukazuje się w przelocie.*)

Jedna z pokutnic (*niegdyś zwana Matgosią*):

Przed chwilą, duchów otoczony szlakiem,  
 Ledwie że nowy chór okiem rozmierzył,  
 A nowy żywot w myśl jego uderzył,  
 Oto już zrównał się z świętych orszakiem.  
 Oto zdarł z siebie brudne ziemskie szmaty,  
 Dawna osłonna łuska już rozbita;  
 Patrzcie: z pod jego eterycznej szaty  
 Siła pierwotnej młodości znów świta!  
 Pozwól go uczyć, spełnić zapał szczery;  
 Nowy dzień jeszcze zbyt lśniaco mu świeci.

Mater gloriosa:

Pójdź więc, pójdź! prowadź go w górniesze sfery,  
 On pozna ciebie i w ślady polecą.

Doctor Marianus (*upadając twarzą*):

Spójrzcie w oczy Zbawiciela  
Wszyscy, czulej zdolni skruchy,  
Do wiecznego wszechwesela  
Odradzajcie wdzięczne duchy.  
Wszelka myśl, poczęta zdrowo,  
Tobie niech posługę czyni;  
Matko, Dziewico, Królowo,  
Bądź miłościwa, Bogini!

Chorus mysticus:

Tak! — wszystko poziome  
Snem tylko jest, mitem;  
Co słabe, znikome,  
Tam stanie się bytem;  
I spełnia się wreszcie,  
Co tajnią jest nam;  
Co wiecznie niewieście,  
Tam wznosi nas — tam.

*Tłum. Feliks Jezierski.*

#### POWITANIE I ROZŁĄKA

Już do niej czas. Więc noga w strzemię —	Przy tobieś był. Z twych ócz lazuru
Poleciał koń mój lotem strzał.	Wszechzapomnienia piłem zdroj —
Wieczorny sen kołysał ziemię,	I wszystko w nas było do wtóru,
Zawisła noc na szczytach skał;	I każdym tchnieniem byłem twój.
Już, wypiętrzony w błękit siny,	Wiosennej jutrzni pierwsze groty
Stał obrzym-dąb w spowiciu mgły,	Różowe padły ci na twarz —
I patrzył czarno z pod gęstwiny	Od wymarzonej w snach pieścizoty
Tysiącem oczu pomrok zły.	Przecudowniejszy uścisk nasz!

Miesiąc, wyrzawszy z za pagórka,  
Przyświecał tęskno w wonnych mgłach,  
Wiatr, szeleszczący w lekkie piórka,  
Nawiewał w uszy dziwny strach;  
Noc wyłoniła swe bojaźnie,  
Przy drodze mej czyhają, tkwią —  
Lecz dobrze mi, wesoło, raźnie  
I w żyłach ogień płynie z krwią!

Lecz oto słońce już nas płoszy,  
Uciekać mi potrzeba wdal —  
W uścisku twym ile rozkoszy,  
W spojrzeniu twojem jaki żal!  
Nie żegnaj mnie tym wzrokiem szklanym,  
Odchodzącemu uśmiech daj —  
Co to za szczęście być kochanym  
I kochać, Boże, co za raj!

*Tłum. Józef Weyssenhoff.*

#### PIEŚŃ WIECZORNA WĘDROWCA

Ty, co w niebie masz swój tron,  
Koisz smutek i cierpienie  
I podwójnej męce łon  
Ślesz podwójne pokrzepienie,

Ach, me serce ledwo dyszy!  
Czem ten mąk i uciech kłęb?  
Słodka ciszy,  
Splyń, ach, spłyń w mej piersi głąb!

*Tłum. Leopold Staff.*



## MIŁOŚĆ BEZ SPOCZYNKU

Naprzekór śniegom,  
Dżdżom, wichrów biegom,  
Śród mgieł zalewu,  
Rozpadlin ziewu —  
To tam, to tu!  
Bez tchu, bez tchu

Wolę przez złości  
Splot się przebijając,  
Niż te radości  
Życia wypijać.

Gdy tak się skłania  
Serce do serca —  
Ach, bez nazwania  
Ból nas przewierca!

Jakoż wyżyję?  
W lasach się skryję?  
Płonna robota!  
Szczęście żywota,  
Zamęcie zły,  
Miłości ty!

## ŻEGLUGA

Długie dni stał i noce okręt mój ładowny;  
Nim wiatr pomyślny wionie, pośród druhów wiernych,  
Spokój i dobrą myśl czerpiąc z kielicha,  
Siedziałem w porcie.

Oni aż nadto się niecierpliwiłi:  
Z serca życzymy ci szybkiej podróży  
Na pełnym morzu; obfite bogactwa  
W dalekich światach czekają cię pewnie,  
A gdy powrócisz, uściśniemy ciebie  
Z czcią i miłością.

Aż wczesnym rankiem wszczął się zgiełk i rwetes,  
Majtek okrzykiem spłoszył nam sen z powiek,  
Rój ludzi tam i sam snuje się, krząta,  
Aby wraz z pierwszym powiewem odpłynąć.

A żagle kwitną, pęczniąc w podmuchach,  
A słońce nęci miłością ognistą;  
Migają żagle, górą mkną obłoki.  
Z brzegu druhowie spółem wykrzykują  
Pieśni nadziei, w uniesieniu rojąc  
Rozkosze jazdy — chwile odpływania  
O świcie czy też pierwsze noce gwiazdne.

Lecz zmienne wiatry, od bogów zesłane,  
Wbok go zwracają z wytkniętego szlaku,  
A on, co, zda się, ulega ich mocy,  
Zlekka się stara podejść je przebiegle,  
Wierny celowi i na krętej drodze.

Aliści z głuchej szarej dali oto  
Kroki cichemi już nadciąga burza,  
Przytłacza ptaki do powierzchni wody,  
Przytłoczyć chce wezbrane serce ludzkie;  
I przyszła. Przed jej groźnym rozłukaniem  
Szyper przezornie zwija wszystkie żagle,  
I z pełną lęku piłką tą igrają  
Wiatry i fale.

A tam na brzegu przeciwnym stoja  
 Cni przyjaciele, dygocac — na lądzie:  
 Ach, czemuż on tu nie pozostał z nami!  
 Ach, jaka burza! Rzucon precz od szczęścia!  
 Więc nasz najmilszy ma tak zginąć marnie?  
 Ach, winienby, ach, mógłby! Wielkie bogi!

Ale on mężnie stoi przy swym sterze:  
 Z okrętem jego igra wiatr i fala;  
 Ni wiatr, ni fala nie tknie jego serca.  
 Władczo spogląda na sierzystą głębię  
 I — czyli czeka go ład, czy rozbicie —  
 Ufa swym bogom.

## BOSKOŚĆ

Niech człowiek będzie zacny,  
 Uczynny i dobry!  
 Bo tem jedynie  
 Różni się on  
 Od wszelkich istot,  
 Które znamy.

Chwała nieznanym  
 Wyższym istotom,  
 Przez nas przecutym!  
 Niech dorówna im człowiek;  
 Niech nas jego przykład  
 Uczy w nie uwierzyć.

Natura bowiem  
 Nieczuła jest dla nas:  
 Toż słońce świeci  
 Nad złym i nad dobrym,  
 A dla zbrodniarza,  
 Jak dla najlepszych,  
 Księżyc łśni i gwiazdy.

Wiatr i strumienie,  
 Grzmoty i grady  
 Pędzą swą drogą  
 I porywają  
 W szybkim przelocie  
 Jednego po drugim.

Takoż i szczęście  
 Omackiem wśród tłumu  
 Raz chłopca uchwyci  
 Kędziory niewinne,  
 To znów — ciemię tyse  
 Grzesznika starego.

Podług odwiecznych  
 Niezlomnych praw  
 Musimy wszyscy  
 Naszego bytu  
 Obiegać koła.

Sam jeno człowiek  
 Może, co nad możność:  
 Różnice chwyta,  
 Wybiera, sądzi;  
 On chwilę przelotną  
 Obdarza trwaniem.

Li jemu wolno  
 Dobrych nagrodzić,  
 A złych ukarać,  
 Leczyć, ratować;  
 Co błędne, pierzchliwe —  
 Sprzęgać użytecznie.

I oddajemy  
 Cześć Nieśmiertelnym,  
 Jakby ludźmi byli,  
 Na wielką czyniąc miarę,  
 Co najlepszy z nas w drobnej  
 Czyni albo pragnie.

Niech zacny człowiek  
 Będzie uczynny i dobry!  
 A bez wytchnienia tworzy,  
 Co użyteczne, słuszne —  
 Za wzór niech służy owych  
 Istot przeczuwanych!

*Tłum. Alfred Tom.*

## Z «ELEGIJ RZYMSKICH»

Teraz radośnie się czuję na ziemi klasycznej natchniony,  
 Głośniejszy, czarowniej mi brzmi z dawnym współczesny mój świat.

Słucham tu danej mi rady, pisarzy świata starego  
 Skrzętnie przerzuca ma dłoń, nowy wciąż czerpię z nich czar.  
 Ale całemi nocami inaczej zatrudnia mnie Amor;  
 Choć więc uczony napół, szczęsny podwójnie jam jest.  
 Czyż się zresztą nie uczę, gdy badam łona miłego  
 Piękne kształty i wdół dłoń swą przesuwam wzdłuż biodr?  
 Wtedy dopiero rozumiem marmury; myśl porównywa,  
 Widzi czujący mój wzrok, czuje widząca ma dłoń.  
 Chociaż najmiłsza niejedną godzinę dnia mi zabuje,  
 Zato godziny swe w noc daje, by spłacić mi dług.  
 Wszak nie całuje się ciągle, gwarzy się również rozsądnie;  
 Gdy opadnie ją sen, leżę i myśli mam tłum.  
 Często już także w objęciach najmiłszej tworzyłem poezje  
 I heksametru jam rytm, znacząc palcami ich takt,  
 Na jej plecach wyliczał cichutko. W śnie słodkim oddycha,  
 A gorących jej tchnień ogień przepala mi pierś.  
 Amor lampę objaśnia tymczasem i myśli o czasach,  
 Gdy triumwirom swym on również usługę tę niósł.

Wam, o Gracje, nieliczne te kartki na ołtarz przeczysty  
 Kładzie poeta i wraz pączki dołącza wam róż.  
 Czyni to z całym spokojem. Bowiernie artystę raduje  
 Jego pracownia, gdy wciąż jakby Panteon w niej ma.  
 Jupiter boskie swe czoło pochyla, a Juno je wznosi;  
 Stawia przed siebie krok Feb, wstrząsa kędziorną swą skroni;  
 Sucho nadół spogląda Minerwa, a Hermes lekkoduch  
 Nabok odwraca swój wzrok, czuły zarazem i frant.  
 Lecz za Bakchusem, marzącym i miękkim, posyła Cytera  
 Oczy słodkie od żądz, wilgne i w głazie od lez.  
 Słodkie objęcia wspomina rozkosznie i zdaje się pytać:  
 Czyliżby nie miał być też przy nas wspaniały mój syn?

#### NATURA I SZTUKA

Natura z sztuką zdaje się być w sporze,  
 A nim pomyślisz, kojarzą się w czynie;  
 Również i we mnie wszelka niechęć ginie,  
 I obie wabią mnie w tej samej porze.  
 Trzeba być jeno rzetelnym w swym tworze!  
 I gdy dopiero w umiaru godzinie  
 Talent i pilność z sztuką wraz się spłynie,  
 Natura w sercu znów wolna żyć może.  
 To samo wszelkiej tyczy się dzielności:  
 Daremnie nęci skończoność najczystsza  
 Ducha, którego wędzidla nie wiodą.  
 Skupiać się musi, kto pragnie wielkości;  
 W ograniczeniu dopiero znać mistrza,  
 I tylko prawo darzy nas swobodą.

*Tłum. Leopold Staff.*

#### BŁOGA TĘSKNOTA

Jeno mędrcom mówcie o tem,	W noc miłosną, w której cieniu
Gdyż szyderstwem tłum was zbywa:	Życie wzięłeś, życieś dawał,
Sławię w żywych tę tęsknotę,	Przy spokojnem świec jaśnieniu
Co ogniowej śmierci cheiwa.	Dziwnych uczuć wzbiera nawał.

Już cię ciemność nie okrywa,  
Swoim mrokiem nie osłania,  
Nowa żądza cię porywa  
Szczytniejszego zapładniania.

Żadna oddal cię nie trwoży,  
Czar cię wabi, żenie czar,  
Szukasz światła coraz skorzej  
I ęmą lecisz w jęgo żar.

Umrzyj i się odróđź znów!  
Smętnym gościem będziesz  
Tu na ziemi, gdy tych słów  
Treści nie posiędziesz.

*Tłum. Stanisław Wyrzykowski.*

## FRIEDRICH SCHILLER

(1759—1805)

### O RADOŚCI

O, radości, iskro bogów,  
Elizejskich pól dziewico!  
Wchodzim do twych świętych progów  
Z pełną ogniów twych żrenicą.  
Co czas rozprzągł i zwyczaję,  
Czarodziejstwo twoje sprzęga;  
Braćmi cały świat się staje,  
Kędy błogi lot twój sięga.

Chór:

Uściśnijmy się, miljony!  
Pocałunek całej ziemi!  
Musi nad gwiazdami temi  
Ojciec mieszkać upragniony.

Kto otrzymał z losu ręki  
Skarb najdroższy, przyjaciela,  
Kto anioła posiadał wdzięki,  
Z nami radość niech podziela!  
Choćby tylko jedno łono,  
Jak świat wielki, nazwał swoim!  
Kto nie zdołał, nasze grono  
Niechaj łez pożegna zdrojem.

Chór:

Kto zamieszkał ziemskie łany,  
Niech przyjaźni hołdy głosi!  
Ona w gwiazdy nas wynosi,  
Gdzie króluje On — Nieznany.

U przyrody wisząc łona,  
Radość piją wszystkie twory;  
Złość i dobroć upojona  
W jej kwieciste pędzą tory.  
Pocałunki z winem dała  
I dozgonną wierność druha;  
Robak ma rozkosze ciała,  
A cherubin Boga słucha.

Chór:

Upadacie milijony?  
Świecie, k'Stwórcy rwiesz się lotem?  
Szukaj go nad gwiazd namiotem!  
Tam być muszą jęgo trony.

Radość dźwignią jest i duchem  
W przyrodzenia wiecznym szyku,  
Radość toczy koła ruchem  
W wielkim świata godzinniku.  
Wywołuje z ziarna kwiaty,  
W głębiach nieba słońca budzi,  
Po przestrzeniach pędzi światy,  
Niedościgłe szklami ludzi.

Chór:

Jak przez nieba pyszne koło  
Pędzą różne światów wiry,  
Jak do zwycięstw — bohatry:  
Bracia, duszą wlot wysoko!

Z płomiennego prawd ogniska  
Rzuca mędrcom uśmiech błogi  
I na strome cnot urwiska  
Cierpiącego wiedzie drogi.  
Na słonecznej górze wiary  
Święta jej chorągiew wionie,  
Przez rozpęktych grobów szpary  
Widać ją w aniołów gronie.

Chór:

Za świat lepszy cierpcie, młodzil!  
Znoście trudy, milijony!  
Tam nad gwiazdy wyniesiony  
Wielki Bóg nas wynagrodzi.

Czem ci się odwdzięczyć, bóstwo?  
Pięknie jest się równać z bogi.  
Pójdź więc, smutku i ubóstwo,  
Z wesołymi dziel czas błogi!  
Zawiść, zemsta niech przepadną,  
Wrogom mir i przebaczenie!  
Niech się łzą nie dręczą żadną,  
Z zgrzytot wytehnie ich sumienie.

Chór:

Bracia, księgę win zedrzyjcie,  
Z całym się jednajcie światem!  
Wgórze, nad gwiazd majestatem  
Bóg osądzi, jak sądziecie.

Radość perli się w kryształach;  
 Ze krwią złotą winogrona  
 Litość piją kanibale,  
 Bohaterstwo — pierś zwątpiona.  
 Bracia, duszą wlot do Pana,  
 Kiedy krąży nektar winny,  
 Niechaj w niebo tryska piana:  
 Cześć ci duchu dobroczynny!

C h ó r:

Ty, któremu grzmiały chórami  
 Gwiazdy i serafów pienia,  
 Przyjmij toast uwielbienia,  
 Dobry Boże nad gwiazdami!

W klęsk brzemieniu umysł tęgi,  
 Pomoc we łzach niewinnemu,  
 Wiekuistość dla przysięgi,  
 Druh czy wróg — to prawda jemu,  
 Godność przed mocarzów trony,  
 Choćby łożyć życie, mienie,  
 Dla zasługi wić korony,  
 Nieść podłości zatracenie!

C h ó r:

Silniej koło święte sprzęgaj!  
 I przy wina tego złocie  
 Wierność wieczną ślubom, cncocie  
 Przed gwiazd sędzią zaprzysięgaj.

*Tłum. Karol Brzozowski.  
 Poprawił Alfred Tom.*

#### POŻEGNANIE HEKTORA

A n d r o m a c h a:

Czyż, Hektorze, z objęć mych na zawsze  
 Isć chcesz, kędy żertwy coraz krwawsze  
 Słę Achilles za Patroklem w ślady?  
 Z kimże będzie odtąd syn twój mały  
 Bogi czcił i miotał grot i strzały —  
 Gdy mi ciebie Orkus wchłonie błady?

H e k t o r:

Droga żono — wstrzymaj łzy! W bój krwawy  
 Dusza moja pędzi! Ojców sławy  
 I ich prochów sam już tylko bronię!  
 Walcząc, z wzrokiem wrytym w moje bogi,  
 Jako zbawca ziemi mej, bez trwogi  
 Niechaj zstąpię w mętne Styksu tonie!

A n d r o m a c h a:

Z chrzęstem zbroi, z groźnem twem żelazem,  
 Któreś z sobą wziął, i z tobą razem:  
 Precz odejdzie wielki ród Priama!  
 Zstąpisz w kraje bezsłoneczne, kędy,  
 Jęcząc, Kocyt w czczościach toczy pędy —  
 Bez miłości twej zostanę sama!

H e k t o r:

Żądze moje, myśli wszelkie w zbladłej  
 Lcty głębiach oby precz przepadły —  
 Niech się tylko miłość moja świeci!  
 Słyszysz? Dicz już w bramy grzmi! Hej! zbroja!  
 Miecz mój! — Wierz mi — nie płacz — miłość moja  
 Nie utonie w rzece Niepamięci!

*Tłum. Felicjan Faleński.*

#### REZYGNACJA

I jam w Arkadji ujrzał światło dzienne,  
 I mnie także u spowicia  
 Natura szczęście przyrzekła niezmiennie;  
 I jam w Arkadji ujrzał światło dzienne,  
 Lecz łzy mi same dała wiosna życia.

Raz tylko jeden istnienie nam krasi,  
Raz tylko kwitnie maj cudny;  
Dla mnie on przekwitł. Nieme bóstwo gasi —  
Zapłaczcie, bracia! — pochodnię mą gasi,  
I objaw znika uludny.

Straszna wieczności, staję dziś znękany  
Przed twemi progi ciemnymi.  
Ten list — przywilej na szczęście mi dany —  
Odbierz napowrót! Nie był otwierany —  
Jam szczęścia nie znał na ziemi.

Do twego tronu zanoszę me żale.  
O, zasłonięta bogini!  
Ziemska wieść głosi, że tu w wiecznej chwale  
Dzierżysz ty sądów ostatecznych szale,  
Żeś odpłat słusznych mistrzyni.

Że tu czekają na złych udręczenia,  
A rozkosze na cnotliwych;  
Że ty obnażasz krzywizny sumienia,  
Żywotów rozwiązujesz zagadnienia  
I obliczasz nieszczęśliwych.

Że dla wygnańca wskrześnie tu rodzina,  
Tu męczennika kres drogi cierniowej...  
Raz P r a w d ą zwana niebiańska dziecina,  
Którą świat mija, mało kto wspomina,  
Temi spotkała mię słowy:

«W przyszłem cię życiu nagrodzę sowicie —  
Twą młodość poświęć mi!  
Nie mam do dania nic w doczesnym bycie».   
I wzięłem przekaz ten na przyszłe życie,  
I poświęciłem radość nowych dni.

«Wyrzecz się tej, co ci najdroższa w świecie —  
Poświęć mi Laureę twą!  
Za grobem z lichwą ból powetujecie».   
Wyrwałem z serca miłość ku kobiecie  
I, gorzko płacząc, poświęciłem ją.

«Na rzecz umarłych oblig ci wystawia»,  
Wrzało świata urąganie,  
«Ta zwodzicielka na żołdzie bezprawia  
W postaci prawdy uludę ci wmawia!  
W nic się obrócisz, gdy termin nastanie».

Krnąbrnych szyderców zasyczały roje:  
«Widma, co tylko przedawnieniem trwa,  
Ułakłeś się? I cóż te bogi twoje,  
Chorego świata zmyślone ostoje?  
Ludzki w nich dowcip ludzką biedę peha!

Cóż to jest przyszłość, grobem oddzielona?  
Co wieczność z twojem wierzeniem chełpliwym?  
Czcigodna — że ciemnością otoczona?  
Olbrzymia mara, przez strach wymarzona,  
Groźna w zwierciadle sumienia trwożliwym!

Kłamane cienie postaci życiowych,  
Szeregi mumij ze stuleci ciał,  
Balsamowane w podziemiach grobowych  
Nadziei technieniem dla rojeń jałowych,  
Nieśmiertelnością nazywa twój szal?

Istotneś dobra oddał za marzenie,  
Któremu prochy wciąż zadają kłam?  
Lat sześć tysięcy trwa śmierci milczenie:  
Żadne nie wstaje z mogił pokolenie  
I o bogini twej nie świadczy nam!» —

Szybko do bram twych czas pędził skrzydlaty,  
Widziałem smutny jego biegu ślad —  
Powiędłe, wyschłe życia tego kwiaty!  
Nikt z mogił nie wstał; jednak, jak przed laty,  
Wciąż wierzę w Prawdę i w odwet mych strat.

Wszystko, co w życiu uciechą się zwało,  
Zdeptawszy, ciskam przed twój wieczny tron.  
Szysterstwem tłumy pogardziłem śmiało,  
Pragnąłem zdobyć twą nagrodę całą:  
Odpłacicielko, gdzie ofiar mych plon?

«Zarówno dzieci me kocham!» — odpowie  
Głos niewidzialny na moje wołanie —  
«Dwa kwiaty — baczcie, o ziemscy synowie! —  
Dwa kwiaty zdobią wam życia pustkowie:  
Nadzieja i Używanie.

Kto sobie jeden z tych dwu kwiatów zrywa,  
Niechaj nie sięga po drugi.  
Ten, co nie wierzy, niech świata używa;  
Wierzący — niech się bez uciech obywa.  
Ludzkości dzieje — to ludzkości rugi.

Tyś żył nadzieją, więc dość masz zapłaty;  
Wiara za szczęście ci stała.  
Dawna to prawda tej, co i świat, daty,  
Że kto dar chwili odrzucił — tej straty  
Nie wróci mu wieczność cała».

*Tłum. Aleksander Krajewski.*

#### Z «WILHELMA TELLA»

(Wąwóz w pobliżu Küssnacht. — Ztyłu droga prowadzi wdół między skałami. Występ na edne z przednich skał porastają krzaki.)

*Tell (sam z łukiem w ręku):*

Tym wąwozem, tak, pewnie tą drogą pojedzie,  
Bo żadna inna tędy do Küssnacht nie wiedzie.  
Sposobność dobra, miejsce mi sprzyja, tu zginie.  
Za tym krzakiem jałowcu skryję się w gęstwinie.  
Stąd przed moim pociskiem nic go nie zasłoni,  
Wąska droga zatrzyma straż jego w pogoni.  
Uderz się w piersi! żałuj za grzechy, tyranie!  
Zegar twojego życia wkrótce bić przestanie.

Żyłem błogo... nie znałem trosk ani zgryzoty,  
W krwi tylko leśnych zwierząt broczyłem te grotty,  
Zabójstwo nigdy czystych myśli nie zmaćło.  
Ty, wydzierając z serca tę spokojność miłą,  
Zmieniłeś ją w jad wrzący zatrutej gadziny!  
Przez ciebie niczem dla mnie najgroźniejsze czyni!  
Kto miał głowę dziecięcia na cel wystawioną,  
Ten bezwątpienia trafi w swego wroga łono.

Niewinne nasze dzieci, nasze wierne żony  
Wyrwać muszę z twej paszczy, krwią nienasyconej!  
Wówczas, gdym łuk napinał, gdy mi drżały ręce,  
Kiedyś, czując szatańską rozkosz w mojej męce,  
Zmuszał mię w własne dziecię wymierzać pociski,  
Kiedym cię u nóg błagał, prawie skonu bliski,  
Wówczas Bóg, co nad nami czuwa w każdej dobie,  
Sam słyszał tę przysięgę, którą wyrzekł w sobie,  
Ze pierwsza moja strzała, którą łuk uzbroyę,  
Pierwsza, którą wypuszczę, pójdzie w serce twoje!  
Com poprzysiągł, piekielne ponosząc katusze,  
Jest dla mnie świętym długiem — wypłacić go muszę!

Jesteś moim nadwładnym, boś z cesarza ręki;  
Lecz tak okrutne komu wyszukiwać męki  
Cesarzby nawet nie śmiał — zesłał cię w te państwa,  
Byś nas uciskał jarzmem ciężącym poddaństwa,  
Gnębił ducha wolności, ubożył opłatą,  
Sądził ostro, bo on sam ostry — lecz nie nato,  
By ci bezkarnie uszedł każdy czyn złośliwy!  
Wiedz, że jest Bóg nad nami karzący i mściwy!

Pójdź tu, ty sprawco gorzkich bólów! w tym momencie  
Najkosztowniejszy skarbie! drogi dyjamentcie!  
Jedyna moja strzała!... o, będziesz cel miała,  
Którego żadna prośba przebić nie zdołała!  
Ty go przebijesz — a ty, łuku doświadczony,  
Coś mi w zabawach dawał liczne zwycięstw plony,  
Daj mi i tę wygraną — straszną, lecz prawdziwą!  
Trzymaj choć ten raz jeszcze, ty wierna cięciwo,  
Coś tylu moim strzałom lotu przyśpieszała!  
Bo jeśli ta szparkośći dość nie będzie miała,  
Ostatnia jest!... już drugiej nie mam do puszczenia...

*(Kilku podróżnych idzie przez scenę.)*

Tu zaczekam — to małe siedzenie z kamienia  
Na spoczynek idącym tędy przeznaczone.  
Tu niemasz domu, każdy idzie w swoją stronę.  
Tu wędrownik oziębłe wita wędrownika,  
Nie pyta, co go boli lub co go dotyka,  
Staranny kupiec — płochy gracz — pielgrzym ubogi —  
Mnich bogobojny — zbójca, nie znający drogi —  
Mulnik powolny, krajów dalekich mieszkańiec —  
(Bo każda ścieżka wiedzie aż na świata kraniec).  
Jedni skwapliwie śpieszą ku rodzinnej strzesze,  
Drudzy do swych zatrudnień — ja do mordu śpieszę...

*(Siada)*



Niegdyś, kiedy wasz ojciec szedł na polowanie,  
 Drogie dzieci! jak czule było przywitanie,  
 Kiedy z tej niebezpiecznej powrócił wyprawyl  
 Zawsze wam coś pięknego przyniósł do zabawy:  
 Czyto ptaka rzadkiego, czy kwiat polnej róży,  
 Co mu się wydarzyło znaleźć w tej podróży —  
 Dzisiaj go lada jaka zdobycz nie omami.  
 Czatuje na przesmyku z zbójczeni myślami,  
 Życie nieprzyjaciela chęć łowów w nim niecił  
 A przecież zawsze o was myśli, lube dzieci!  
 Dla waszej przeciw zemście tyrana obrony  
 Teraz do skrytobójstwa ma łuk naprężony...

*(Wstaje)*

Zwierz, co go dziś spoluje, będzie rzadki bardzo!  
 Kiedy myśliwi znojem i trudami gardzą  
 Dla dostania jelenia albo dzikiej kozy,  
 Nie zważając na burzę, na najtęższe mrozy,  
 Lecą bezwzględnie tam, gdzie ich namiętność ciska,  
 Broczą krwią swoją krzaki i ostre urwiska —  
 Moje trudy piękniejsza dziś zdobycz nagrodzi:  
 Serce wroga, co na mnie tak zawzięcie godzi.

*(Słychać zbliżającą się weselną muzykę.)*

Zabawą mą jedyną od małego dziecka  
 Było użycie łuku i sztuka strzelecka —  
 I w zapasach do celu trafny moim strzałem  
 Niejeden piękny zakład nieraz już wygrałem;  
 Lecz strzał mistrzowski będzie dopiero dzisiejszy!  
 Wygram i zakład w całych górach najpiękniejszy!

*Tłum. Jan Nep. Kamiński.*

#### Z «DYMITRA»

*(Walny sejm w Krakowie. Posiedzenie stanów Rzeczypospolitej w wielkiej sali senatu.)*

**Arcybiskup Gnieźnieński:**

Burzliwy sejm ten ma się ku końcowi,  
 Aby korzystnie swe sprawy załatwić;  
 Król oraz Stany rozchodzą się w zgodzie,  
 Szlachta przystaje, aby się rozbroić;  
 Oporny rokosz zgodnie się uśmierza.  
 Lecz Król poręcza swoim świętem słowem,  
 Że słusznym skargom da zadośćczynienie. —  
 Teraz więc, skoro mamy wewnątrz spokój,  
 Możemy rzucić okiem za granice. —  
 Pytam obecne tu wysokie Stany,  
 Zaliż się godzi wysłuchać z ich wola  
 Księcia Dymitra, który pretenduje —  
 Objąć koronę Rusi, jak prawdziwy  
 Syn cara Iwana;  
 Czy zgoda na to, aby u stóp tronu,  
 Na sejmie walnym, słuszności praw swoich  
 Dowodzić dana była mu sposobność?

**Kasztelan Krakowski:**

Honor i sprawiedliwość nakazują,  
 Żądaniu temu by się stało zadość.

Biskup Warmijski:

Wsze dokumenty, dotyczące sprawy,  
Badano i sprawdzono;  
Ustnych wywodów wysłuchać należy.

Wielu posłów:

Wysłuchać tego, co nam powie, trzeba.

Lew Sapieha:

Lecz go wysłuchać — to znaczy go uznać!

O d o w a l s k i:

Wysłuchaniu się oprzeć — to już znaczy,  
Nie znając sprawy, ryczałtem odrzucić.

Arcybiskup Gieźnieński:

Czy się zgadzacie, by był wysłuchany?  
Pytam ja panów po raz wtóry, trzeci.

Wielki Kanclerz Koronny:

Niechaj się stawi przed stopniami tronu.

Senatorowie:

I niechaj mówi.

Posłowie:

Słuchajmy go.

*(Wielki Marszałek Koronny daje znak łaską odźwiernemu, który wychodzi, aby drzwi otworzyć.)*

Lew Sapieha:

Proszę zapisać do akt protokołu,  
Mości Kanclerzu, że ja oponuję  
Tak przeciw sprawie, jak i jej następstvom;  
Sprawa ta bowiem grozi pokojowi  
Korony polskiej i Moskwy korony.

*(Dymitr wchodzi)*

Arcybiskup Gieźnieński:

Książę Dymitry, synu Iwanowy!  
Jeśliś zatrwożon świetnością zebrania  
Królewskich Stanów — lub jeżeli tobie  
Blask Majestatu język twój krępuje:  
Za zgodą Stanów masz pełną swobodę  
Dobrać obrońców według własnej woli,  
Iżbyś się obcą mógł posłużyć mową.

D y m i t r:

Arcybiskupie! Staję między wami,  
Aby zażądać tak państwa, jak berła;  
Kruczeby były mej pretensji prawa,  
Gdybym się wobec szlachetnego ludu,  
W obliczu Króla i senatu stojąc,  
Zaląkł. — — — Prawda,  
Zem dotąd nigdy nie oglądał jeszcze  
Tak prześwieczonego, jak to jest, zebrania,  
Którego widok pierś moją podnosi,  
Otuchę wlewa, wszelką płosząc trwozę.  
Im przeświecniejsi sprawy tej świadkowie

Mię otaczają — tem mi więcej w cenie;  
Zebranie bowiem, przed którym mam mówić,  
Świetniejsze nigdy, nigdzie być nie może.

Wielu posłów:

Wojna! Wojna z Moskwą!

Sapieha (*powstaje*):

— — — — — Wielki Kanclerzu,  
Nakaż milczenie — proszę o głos.

Wielu posłów:

Wojna! Wojna z Moskwą!

Sapieha:

— — — — — Ja żądam głosu!  
Marszałku! Władzy swojej użyj!

(*Wielki hałas w izbie i poza nią*)

Wielki Marszałek Koronny:

— — — — — Ty widzisz, panie:  
To daremne.

Sapieha:

Co!? I marszałek także przekupiony?  
Czy już wolności na tym sejmie niema?  
Rzuć swoją łaskę — i nakaż milczenie  
Ja o to proszę — Ja wymagam tego!

(*Marszałek rzuca łaskę na środek sali, zgietłk ustaje*)

Sapieha:

Co zamysławacie? Co chcecie stanowić?  
Czyż nie żyjemy w głębokim pokoju  
Z moskiewskim carem?  
W własnej osobie — ja — poseł królewski,  
Jam to utworzył sojusz lat dwudziestu;  
Moją prawicę jam w Kremlu podnosił —  
Wzywałem Boga na świadka przysięgi!  
A car nam wiernie dochował traktatu!  
Czyż uroczyste śluby, czyż traktaty  
Nato są, by je sejm rwał bez powodu!?

Dymitr:

Ha! Mości książę Sapieho! Ten pokój,  
Co to mówicie, żeście z carem Moskwy  
Zawarli, tego niema — bo ja carem;  
We mnie majestat Moskwy — bom Iwana  
Synem — Ruryków spadkobiercą tronu!  
Jeżeli Polska chce z Moskwą pokoju,  
Ze mną go zawrzeć winna, bo ten traktat  
Jest fałszem, iż go pisało bezprawie!

Odołalski:

A cóż nas wreszcie wasz traktat obchodzi!  
Wtedy chcieliśmy tak, dzisiaj inaczej.

Sapieha:

Więc aż do tego doszło? Więc nikogo  
Niema, coby w obronie stanął prawa?

Ja zatem przerwę tę fałszu tkaninę!  
Ja wam odkryję prawdę nagą — znaną!...

Wielki Marszałek Koronny (*do Sapiehy*):  
Plon głosowania wykazuje jedność;  
Ustąp — a rozważ także dobro drugie,  
Jakie zapewnia zgoda — — bądź z większością!

Biskup Krakowski:  
Po prawej stronie głoszą wszyscy: «Wojna!»

Sapieha:  
Chociażby wszyscy chcieli — ja tu przeczę!  
Ja wołam «veto»! I zrywam uchwałę:  
Ani mi krokiem naprzód! Wszystko niczem,  
Wszystko zerwane, co postanowili!

(*Ogólne poruszenie; Król schodzi z tronu; bajery połamano; chaotyczne zamieszanie. Posłowie dobywają szabel przeciw Sapieżę; biskupi bronią go, ostaniając sobą.*)

— — — — — Większość!  
Cóż znaczy większość? Większość — to głupota!  
Zawsze tak było, że rozum ma mniejszość.  
Ten, co nic nie ma, nie zna, co to — ogół;  
Żebrak — czy wie, co wolność — zna, co wybór?  
On musi możliwym, co za niego płacą,  
Za chleb, za buty — sumienie swe sprzedać;  
Głosów nie racja liczyć, trzeba — ważyć;  
To państwo musi runąć, prędzej, później,  
Gdzie górą większość, a głupi rozstrzyga.

Odoński:  
Słyszycie zdrajcę!?

Posłowie;  
Brać go na szable! Porąbać w kawały!

*Tłum. El. Wiktor Szrajber.*

JOHANN PETER HEBEL

(1760—1826)

KANNITVERSTAN

Człowiek ma już codziennie sposobność, zarówno w Koziegłowach czy Pacanowie, jak i w Amsterdamie, do zastanowienia się, jeśli ma chęć ku temu, nad znikomością wszelkich rzeczy ziemskich i do pogodzenia się z losem, choćby mu nieczęsto pieczone gołąbki same do gąbki leciały. Ale po zgoła osobliwym manowcu doszedł pewien czeladnik w Amsterdamie przez błąd do prawdy i jej poznania. Bo gdy przybył do onego miasta handlowego, które uderzało wielkością i bogactwem i gdzie widział mnóstwo domów wspaniałych i okrętów, kołysanych przez fale, i krzątających się ludzi — rzucił mu się zaraz w oczy gmach okazały i piękny i olśnił go tak, że czegoś podobnego przez całą swą wędrówkę z Moczydłowa aż do Amsterdamu jeszcze był nie doznał. Długo przyglądał się zdumiony tej kosztownej budowli, sześciu kominom na dachu, cudnym jakimś gzymsom i wysokim oknom, co większe były, niż drzwi tam u nich w domu rodzica. Wkońcu nie mógł się powstrzymać, by nie zagabnąć przechodnia. «Proszę łaski jegomości», przemówił do niego, «a można też wiedzieć, jak zwą tego pana, do którego ten przedcudny dom z oknami, pełnymi tulipanów, astrów i lewkonij, należy?» — Ale człek zapytany, mając pewnikiem rzeczy ważniejsze na głowie i nadomiar złego rozumiejąc z jego mowy tyle, co on z holen-

derskiej, mianowicie — zgoła nic, oburknął go krótkim: «Kannitverstan» i pośpieszył mimo. Był to wyraz holenderski, a raczej, ściśle rzecz biorąc, były to trzy wyrazy, które znaczą tyleż, co: nie rozumiem was. Ale poczciwy cudzoziomek sądził, że tak się nazywa człowiek, o którego pytał. Musi to być bogacz nielada ten pan Kannitverstan, pomyślał sobie i poszedł dalej. Z ulicy w ulicę, dostał się wreszcie do zatoki morskiej, która zowie się oto: Het Ey, co znaczy: Ipsilon. Stały ci tu okręt przy okręcie i maszt przy maszcie, a przybysz nie wiedział zrazu, jak on swą jedną tylko parą oczu podola wszystkim tym dziwom dość się napatrzeć i naogłądać się ich dosyta; gdy w końcu zwrócił jego uwagę wielki okręt, dopiero co przybyły z Indyj Wschodnich, który właśnie teraz wyladowywano. Już stały na lądzie całe szeregi skrzyń i pak, iedne na drugich i jedne obok drugich, i wciąż inne jeszcze wytaczano, a wśród nich beczki, pełne cukru i kawy, pełne ryżu i pieprzu, a wraz i łajna mysiego — z przeproszeniem. Po długim tedy gapieniu się na to wszystko zapytał wkońcu kogoś, co właśnie wynosił na ramieniu skrzynię, jak też nazywa się szczęśny ów człowiek, któremu morze dostarcza na ład wszelakich tych towarów. «Kannitverstan», brzmiała odpowiedź. A on pomyślał sobie: «Ha, ha, to takie buty? Ano nie dziwota. Komu morze te ogromne bogactwa na ład pławi, temu i łatwo takowe domy na świat okazywać i takie tulipany w skorupkach pozłacanych za okna wystawiać!» Teraz poszedł znów zpowrotem, zgoła smutnie rozpamiętując w głębi duszy, jaki to z niego jest mizerak wśród tak wielu na świecie ludzi bogatych. Ale właśnie w chwili, gdy pomyślał: «Żeby to kiedyś i ja miał się tak dobrze, jak ten pan Kannitverstan», skreślił w inną ulicę i ujrzał wielki kondukt pogrzebowy. Dwie pary koni w czarnych oponach ciągnęły czarno również obleczony karawan tak powoli i smutnie, jakgdyby wiedziały, że wiozą zmarłego na spokój wieczny. Długim orszakiem przyjaciele i znajomi nieboszczyka szli za trumną, parami, owinięci w czarne płaszcze i bez słów. Wdali dzwonił samotny dzwonek. Cudzoziomka naszego ogarnęła w tej chwili żalność, która chyba nie minie żadnego dobrego człowieka, gdy zdarzy mu się widzieć pogrzeb, to też zatrzymał się i z czapką w rękę stał pobożnie, aż wszystko przeszło. Zbliżył się jednak do ostatniego z orszaku, który właśnie obliczał ukradkiem, ileby to mógł zarobić na wełnie, gdyby centnar podskoczył w cenie o 10 złotych, tego więc uchwycił lekko za skraj płaszcza i prostodusznie przeprosić się ośmielił. «Musiał to chyba», rzekł, «być serdeczny wasz przyjaciel — ten, któremu dzwonek tam dzwoni, że idziecie zmartwieni i w takiej zadumie». «Kannitverstan!» — usłyszał w odpowiedzi. A wtedy poczciwemu naszemu moczydlakowi trysnęło z oczu parę wielkich łez, i zrobiło mu się naraz ciężko, to znów lekko na sercu. «Biedny Kannitverstanie», zawołał, «na cóż ci więc się zdało całe to twoje bogactwo? To samo z niego masz, co ja kiedyś od nędzy mojej też dostanę: suknię śmiertelną oraz całun, a ze wszystkich twoich kwiatów przecudnych — może rozmaryn na ostygłą pierś albo rutę». Takie snując myśli, szedł za trumną aż do samej mogiły, tak jakby do orszaku należał, i widział, jak rzeźkomego pana Kannitverstana spuszczone na miejsce wiecznego spoczynku, kazanie zaś nadgrobnie, z którego nie rozumiał ani słowa, wzruszyło go bardziej, niż niejedno ze słyszanych dotąd w języku ojczystym, na które nie zwrócił uwagi. Wreszcie poszedł sobie wraz z innymi — z uczuciem takim, jakby mu kamień spadł z serca; spożył w gospodzie, gdzie mógł się jakoś porozumieć, z najlepszym apetytem kawał sera limburskiego; a kiedy mu później znów chwilami trudno było z tem się pogodzić, że tyłu jest na świecie ludzi bogatych, a on taki biedny, stawał mu przed oczyma pan Kannitverstan z Amsterdamu i dom jego okazały, pełen bogactw okręt i ciasny jego grób.

*Tłum. S. Frycz i A. Tom.*

JEAN PAUL (J. P. FRIEDRICH RICHTER)  
(1763—1825)

Z «HESPERUSA»

...W pierwszych godzinach dzisiejszej podróży był Wiktor świeży, wesoly, szczęśliwy, ale nie upojony rozkoszą duchową; ssal w siebie wino przyrody, lecz nie był

jeszcze pijany. Ale kiedy kilka godzin między perlówemi sznurami zroszonych zagónów biegał, mijając rozbrzęczone doliny, rozśpiewane pola, kiedy się błękitne niebo rozłożyło nad dymiącemi pagórkami i lasami — przyrody ogrodami, kiedy rozbudzony dzionek stanął nareszcie do zwyczajnej służby, tysiącami rąk, milionem rur i kół pracując, a ponad tem wszystkim gorące paliło słońce — wtedy rozgrzał się Wiktor, a serce jego podniosło się, drżące i wzruszone.

Kwiaty, pola i lasy rozplynęły się teraz w niewyraźną niezmierną dal, pojedyncze barwy i części przyrody traciły odrębność, tonąc w jednym wielkim potoku, a ponad wszystkim stał symbol Nieskończonego — słońce, a wśród złocistego potoku — na ziemi — serce ludzkie — odzwierciedlone słońce.

Cały świat stał się jednością, wszystkie serca zwały się w jedno wielkie serce — tylko jedno złączone pulsowało życie: zielone krajobrazy, rosnące posągi, pył kuli ziemskiej, niezmierną dal błękitów zamieniły się w oblicze jednej wielkiej duszy...

Nic nie pomogło, że Wiktor powieki przymykał: w tajnikach piersi jego spoczywał obraz kwitnącej nieskończoności...

O, gdyby się mógł rzucić w chmury, aby na ich barkach przemknąć niebieskimi szlakami ponad daleką ziemię! O, gdyby z wonią kwiatów mógł powiać nad wiosny kobiercem precudnym, z wiatrem nad drzew wierzchołkami, mknąc z nimi w zawody przez lasów cienie! O, w tej chwili byłby się z rozkoszą na pierś wielkiego rzucił człowieka, aby wyszeptać: jakże szczęśliwy jest człowiek!

Zaczął płakać, nie znając powodu łez — śpiewał słowa bez myśli, ale głos, te słowa ubierający, do serca przemawiał — biegł, stawał — zanurzał płomienną twarz w kwiatach i pragnął się złączyć całym sobą z brzęczącym między liśćmi światkiem — chłodził głowę w świeżej trawie, padając w upojeniu na pierś nieśmiertelnej macierzy — na kwiatną pierś wiosny.

\*

...Nad sercem niektórych ludzi zapanowuje jakiś smutek, jakiś większy cień duchowy, i wtenczas właśnie, kiedy w przyrodzie najmniej jest cieniów, to jest latem około godziny pierwszej po południu. Kiedy po obiedzie łąki, pod ogniem najgorętszego słońca mocniej woniejąc, a lasy z opuszczonem liściem, łagodniej szumiąc, cichutko stawały, a i ptactwo zamilkło, wówczas nachodziła duszę Wiktora dziwna tęsknota za wiecznie kłękitnem niebem Wschodu, za palmami Indostanu — wówczas przenosił się w owe ciche krainy, gdzie niema palących potrzeb ani gwałtowniejszych namiętności, gdzie żyją rozmarzeni i bez pragnień spokojni bramini, gdzie dusza, podniósłszy się raz i nie drżąc już z drgającą ziemią, silnie stoi, jak gwiazdy stałe, których blask nie drży, gdy mu się człowiek z wyżyn gór przypatruje.

\*

...Jakież widok! Skoro się tylko brama otworzyła, odezwały się między gałęziami drzew harmonijne głosy, a wbiegające powietrze napilo się tych melodyj i popłynęło z nimi dalej, odpoczywając tylko na kwiatach — z każdym krokiem rozszerzał się smutny widok. Leżały tam odłamy marmuru, z których spoglądały sfinksy i ruiny — widać było głębokie otwory w ziemi — trzydzieści drzew trujących, różami splecionych, stało tam, jako symbol trzydziestu namiętnych lat człowieka — wierzchołki dwudziestu trzech wierzb płaczących nachylały się wieńcem nad niską krzewiną, w której ginęły wszystkie ścieżki wysepki; za krzewiną zakrywało dziewięć zasłon wolny widok na świątynię — przez zasłony wyglądało pięć piorunociągów, a tęcza, utworzona przez dwie fontanny, rozpryskujące się przy spotkaniu, błyszcziała wśród gałęzi. — —

Kiedy lord pociągnął swego syna, którego serce drżało, nieznaną pochwycione dłonią, pod niski dach, spleciony ze zwojów brzoź płaczących, rozpoczęły żalobne organki śmiertelne swe płacze, do serca człowieka westchnieniem przemawiając; niepewne, drgające głosy zaryły się głęboko w miękkie serce. Teraz stali obydwa nad grobem, ukrytym w krzewinach; na grobie leżał czarny marmur, a na kamieniu zasłonięte białe bezkrwawe serce z napisem: spoczywał

*Tłum. M. Bogdanowicz.*

## Z «KWIATÓW, OWOCÓW I CIERNI»

## Życzenia noworoczne samej sobie

«Nowy Rok otwiera swą bramę, los stoi na popielisku zgasłego roku pomiędzy płonącymi obłokami poranku a słońcem i wydziela dni — o cóż prosisz, Nataljo?»

«Nie o radość — ach, wszystkie, jakie były w mem sercu, nie pozostawiły tam nic prócz cierni czarnych, a woń ich różana uleciała szybko — chmura, burzą brzemienna, rośnie obok blasku słonecznego, a kiedy wokoło nas jasno, to tylko od ruchu miecza połyskującego, który jutro w pierś wesołą ugodzi. — Nie! nie proszę o chwile radosne; pozostawiają próżnię w spragnionem sercu — troska je tylko wypełnia».

«Los rozdaje przyszłość; czego życzysz sobie, Nataljo?»

«Nie miłości; o, kto przycisnie do serca kłującą białą różę miłości, temu się serce zakrwawi, a ciepła radości łza, jaka w kielich róży spada, prędko stygnie, wnet wysycha. W poranku życia kwitnąca, jaśniejąca miłość — to rozpostarta na niebie jutrzienka, wielka, różowa. Nie wstępuj w płonący obłok, on z mgły i łez złożony. Nie — nie, nie życz sobie miłości, giń od piękniejszych bólów, zamrzyj pod wspanialszym drzewem trującym, nie pod nikłym mirtem».

«Przed losem klęczysz, Nataljo. Powiedz mu, czego sobie życzysz?»

«Ani przyjaciół nawet — nie — my wszyscy stoimy na grobach pustych obok siebie. Kiedyśmy tak serdecznie razem za dłonie się ujęli i razem tak długo cierpieli, zapada się pusty wzgórek przyjaciela, martwy stacza się weń, a ja z wystygłym życiem stoję osamotniona obok napelnionego grobowca. — Nie! nie! ale wonczas, gdy serce stanie się nieśmiertelne, gdy duchy kiedyś skupią się w wiekuistym świecie, wtedy pierś silniejsza niech się ożywi gorętszym tętnem, oko nieśmiertelne niech weselej zapłacze, a usta, co już zblednąć nie będą mogły, niech wyszepcą: teraz przybądź, ukochana duszo, ninie kochajmy się, bo już nic nas nie rozdzieli».

«Nataljo osamotniona! o cóż tedy prosisz na ziemi?»

«O cierpliwość i o grób, o nic więcej. Ale lego nie odmawiaj, milczący losiel! Osusz powieki i zamknij je. Uśmierz serce i złam je. Tak, kiedyś gdy duch rozwinie swe skrzydła w piękniejszych niebiosach, kiedy Nowy Rok w czystszych się zacznie przestworzach i kiedy wszyscy napowrót się ujrzą, napowrót pokochają, wtedy wystąpię ja z życzeniem... Lecz nie dla siebie — ja nad miarę już byłabym szczęśliwa...»

*Tłum. Józef Kallenbach.*

## FRIEDRICH HÖLDERLIN

(1770—1843)

## Z «HYPERIONA»

...Stanowić jedność ze wszystkim, to życie bóstwa, to niebo człowieka. Jedno stanowić ze wszystkim, co żyje, w błogosławnym zapomnieniu o sobie powrócić znów na łono powszechnej przyrody!

...Jedno stanowić ze wszystkim, co żyje! Temi słowami cnota odrzuca pancierz gniewu, duch człowieka składa berło, i wszystkie myśli pierzchają wobec obrazu wiecznego jednego świata... Śpiżowy los wyrzeka się panowania, ze związku istot znika śmierć, a nierozłączalność i wieczna młodość uszczęśliwia i upiększa świat.

...Z dziecięcej harmonji wyszły niegdyś ludy — i harmonja duchów stanie się początkiem nowej historii świata. Od szczęścia roślinnego poczęli ludzie i wzrastali, dopóki nie dojrzeli; odtąd fermentowali bez przerwy od wewnątrz i od zewnątrz, aż oto teraz ludzkość w chaotycznym znajduje się stanie, tak iż wszyscy ci, co jeszcze czują i widzą, zawrotu głowy dostają. Ale piękność pierzcha z życia ludzi w sferę ducha; ideałem staje się to, co było naturą, i gdy drzewo od spodu uschło i spróchniało, wierzchołek czerstwo wzbija się jeszcze wgórę i zieleni się w blasku słonecznym, jak niegdyś sam pień za dni młodości. Ideałem jest to, co było naturą. Po nim, po tym ideale, po tem odmłodzonym bóstwie, rozpoznają się nieliczni wybrani i jed-

ność stanowią, gdyż ideał jest jeden w nich wszystkich, i od nich to, od nich rozpoczyna się nowa epoka w życiu świata.

...Dysonanse świata są jakby sprzeczką kochanków. Pojednanie tkwi już w samej sprzeczce, i wszystko, co jest rozdzielone, znów się z sobą łączy. Wybiegają z serca i wracają do niego żyły, krew roznoszące, i jedyne, wieczne, żarzące życie jest wszędzie.

*Tłum. S. K.*

### Hyperiona pieśń losu

Krocycie tam w górze w światłości  
 Po miękkim gruncie, szczęśni genjusze!  
 Błyszczący zefir boski  
 Dotyka was lekko,  
 Jak palec artystki  
 Muska struny święte.  
 Od losu wolni, niby śpiące  
 Niemowlę, dyszą niebianie;  
 Ukryty bezgrzesznie  
 W nieśmiałym pączku  
 Kwitnie dla nich  
 Wieczyście duch,  
 A oko szczęśliwe  
 W cichej spogląda  
 Wieczystej jasności.

Lecz nam jest dane  
 W żadnym miejscu nie spocząć,  
 Znikają, padają  
 Cierpiący ludzie  
 Naoślep z jednej  
 Godziny w drugą,  
 Jako wody, ze skały  
 Rzucane na skałę,  
 Latami w niewiadomą głąb.

*Tłum. Alfred Tom.*

### DO ETERU

Żaden z bogów i ludzi nie zajął się mem wychowaniem,  
 Tak jak ty, o, ojczyzno Eterze, przyjaźnie i wiernie.  
 Jeszcze nim matka mnie wzięła w objęcia i piersią poita,  
 Tyś delikatnie mnie objął i wlałeś swój trunek niebieski,  
 Święty oddech mi wlałeś do piersi, budzących się życiem.  
 Ziemskie li tylko pokarmy wyżywić stworzeń nie mogą,  
 Ale ty swym nektarem wykarmiasz je wszystkie, o, ojczyzno!  
 Prze i pędzi, i płynie z wieczystej twej obfitości  
 Duszą darzące powietrze przez wszystkie kanały żywota.  
 Przeto istoty kochają cię też i dążą do ciebie,  
 Ustawicznie w górę do ciebie w radosnym wzrastaniu.  
 O, niebiański! nie ciebież to szuka roślina swem okiem,  
 Nie ku tobież się wznosi nieśmiało krzewina najlichsza?  
 Aby cię znaleźć, ziarno rozrywa więzy lupiny;  
 Aby się w falach ożywczych wykapać rozkosznie,  
 Las otrząsa się z śniegu, jakgdyby z szaty ciężkiej.  
 Nawet ryba wypływa na lśniąca stawu powierzchnię,  
 Skacze z pluskiem ku górze, jakgdyby i ona pragnęła  
 Z fali wzniesić się ku tobie; i ziemi szlachetne zwierzęta  
 Krok zmieniają na lot, gdy czasem gwałtowna tęsknota,



Miłość tajemna ku tobie ogarnia je, ciągnie ku górze.  
 Rumak ziemią pogardza, a szyję, jak stal wygięta,  
 Wznosi wzwyż, podkową zaledwie piasku dotyka.  
 Jakby żartem jeleń swą stopą trawkę porusza,  
 Skacze, jak zefir, przez strumień, co z brzegów wyrwa się, pieni.  
 Tu i ówdzie się wiję, zaledwie widoczny wśród krzaków.  
 Lecz ulubieńcy Eteru, szczęśliwe ptaki, mieszkają  
 W wiecznym ojca schronieniu, gdzie zadowolone igrają!  
 Dość tam miejsca dla wszystkich. W granicach nikt nie zamknięty.  
 Wolno się więc porusza w przestrzeni i wielkie, i małe.  
 Nad mą głową się cieszą, i tęskni dziwnie me serce,  
 Do nich ku górze się zrywa; jakgdyby przyjazna ojczyzna,  
 Coś mnie przywabia zwysoka; po Alp wyniosłych wierzchołkach  
 Chciałbym błędzić i woiać orla, mknącego w powietrze,  
 Aby, jak niegdyś szczęsnego chłopca w Zeusa ramiona,  
 Tam do pałacu Eteru z tej ziemskiej mnie uniósł niewoli.  
 Głupio tutaj żyjemy; jak błędna winna gałązka,  
 Której złamał się pręt, co ku niebu jej wzrastać pozwalał,  
 Myśmy tak rozpostarci na ziemi, szukamy, błędzimy  
 Pośród ziemskich stref, o, ojczyzno Eterze! Naprawdę  
 Wiecznie pali nas żądza pobytu w twoich ogrodach.  
 W morskie rzucamy się fale, na swobodniejszych płaszczyznach  
 Chcąc się nasycić, a wkoło okrętu igrają bałwany:  
 Serce się nasze raduje z tej mocy boga morskiego.  
 Ale to nie wystarcza! bo głębszy nas wabi ocean,  
 Gdzie się lżejsze fale ruszają — o, kto by do tamtych  
 Złoty wybrzeży okrętem lotniejszym zdołał popłynąć!  
 Jednak, podczas gdy tęsknię do dali, we mgle tonącej,  
 Której obce pobraże błękitnąś falą opasał,  
 Ze szmerem spływasz ku mnie z wierzchołków drzew owocowych,  
 Ojczyzno Eterze! i serce tęskniące łagodzisz mi słodko;  
 Znowu żyję z ochotą, jak przedtem z kwiatami tej ziemi.

*Tłum. Leo Belmont.*

#### ŻRAŁE SĄ, W OGNIU NURZANE...

Żrałe są, w ogniu nurzane, warzone  
 Owoce i doświadczone na ziemi, a jest to prawem,  
 Iż wszystko przenika w głąb, podobne żmijom,  
 Proroczo, śniąc  
 Na wzgórzach niebios. A wiele,  
 Jak na barkach brzemię  
 Zatrąty, należy  
 Podźwignąć. Lecz ścieżki  
 Złe są. Omylnie bowiem,  
 Niby rumaki, kroczą usidlone  
 Żywioty i pradawne  
 Prawa ziemi. A zawsze  
 W niespełnieniu jedna z tęsknot przenika. Lecz wiele  
 Zdzierzeć należy. I trzeba wierności.  
 Naprzód wszelako ani za siebie nie  
 Wglądajmy. Kolyszmy się, jak  
 Na chybotającym czólnie jeziora.

*Tłum. Stefan Napierski.*

## NOVALIS (FRIEDRICH VON HARDENBERG)

(1772—1801)

## Z «HENRYKA OFTERDINGEN»

## Dedykacja

Tęsknotę wielką obudziłaś we mnie  
 Spojrzenia w bezdeń, w samo serce świata.  
 I pójdę, z dłonią w dloni ducha-brata  
 Od trosk daleki, w światłość poprzez ciemnię.  
     Dusza, co przeczuć piła czar tajemnie,  
     Kwiaty z niw rwała, kędy baśń polata,  
     Na szczyty pójdzie, skąd wichr orły zmiata  
     I w przedświtowym mroku nie zadrzemnie.  
 Bo już nie ciąży mi kajdany ziemi,  
 Tyś moim wzlotem jest i Jutrem ty!  
 Miłość mię skrzydły objęła jasnymi,  
     Idę za graniem, co mi w piersi drży...  
     Kochanko, drogi wiesz mię tajemni!  
     Tyś twórczy duch, co dzieło moje śni.

\*

...Opanował nim niby słodki sen, w którym roił o niepodobnym do prawdy zdarzeniu. Zbudził się do innego wtajemniczenia. Znalazł się u brzegu źródła na miękkiej murawie. Źródło biło kędyś wysoko w powietrze, a krople nie wracały, jakby je przestwór pożarł. Ciemnobłękitne skały, pocięte barwnymi żyłami, sterczały opodal. Poświata dzienna, rozlewająca się po tym zakątku — niewiadomo, ziemi czy nieba — jaśniejsza była i łagodniejsza zarazem, niż zwyczajna. Szafir niebios ściemniały, szerniały był prawie, przezysty jednak i przezroczy.

Z pośród wszystkiego oczy jego pociągał najbardziej, mocą nieprzepartą, jasnobłękitny kwiat, stojący na wysokiej łodydze ponad samem źródłem. Dotykał go szerokiemi połyskującymi liśćmi. Dokoła chwiały się kwiaty inne o rozlicznych barwach, a woń przedudna napelniała powietrze. Młodzieniec nie widział jednak nic prócz błękitnego kwiatu. Wpatrywał się weń długo z rozrzwiniem, na jakie niema słów. Wreszcie powstał, chcąc się doń zbliżyć jeszcze bardziej, ale w tej chwili kwiat począł się poruszać i zmieniać, liście nabrały jeszcze żywszego połysku i zwinęły się dokoła łodygi, kielich pochylał się ku niemu, płatki się rozchyliły, tworząc jakby szeroką kryzę, a pośrodku niej zjawiła się twarz. Wraz z przemianą dziwnego kwiatu śpiącym owładało coraz większe zdumienie... Ale tejsze chwili zbudził go głos matki i, otworzywszy oczy, ujrzał się w rodzicielskim domu. Pokój zalany był porannem światłem.

*Tłum. Franciszek Mirandola.*

## Z «HYMNÓW DO NOCY»

Kto z żyjących, czuciem udarowanych, ponad wszystkie cudowne zjawiska szerokiej dokoła przestrzeni nie kocha radującego światła, z barwami, promieniami i falami jego, z jego dobroczynną wszechobecnością w postaci budzącego dnia? Niby życia najistotniejszą treścią oddycha niem gwiazd niezmordowanych świat gigantyczny i krąży tańcem płynnym w błękitnym jego nurcie; wdycha je skrzący, wiecznie w spoczynku kamień, zmysłna ssąca roślina i zwierzę dzikie, pałające, o kształcie rozlicznym; nadewszystko jednak — wspaniały obcokrajowiec o pełnych myśli oczach, harmonijnym kroku i łagodnie zwartych, bogatych w dźwięk wargach. Światło, niby król natury ziemskiej, wzywa siły do zmian bez liczby, łączy i rozdziela wciąż nowe związki, istotę każdą ziemską wieńczy swym niebiańskim obrazem. Jego dopiero obecność objawia cudowną wspaniałość posad świata.

W inną zwracam się stronę ku świętej, niewysłowionej, tajemniczej Nocy. Daleko leży świat, który gdzieś w przepaść się pogрузił; pustynne i samotne jest miejsce jego. Struny serca potrąca żalność głęboka. Kroplami rosy chciałbym opaść i z popiołami się zjednoczyć. — Oddale wspomnień, życzenia młodości, sny dzieciństwa, długiego życia całego radości krótkie i nadaremne nadzieje w szarem odzieniu ciągną jak mgły po zachodzie słońca. Gdzie indziej rozbito światło radosne namioty swoje. Czyż nigdy nie powróci do dzieci swych, co go czekają z ufaniem niewinności?...

\*

Czyż ranek bez końca ma powracać? Czyż nigdy się nie skończy władza ziemskości? Nieszczęsna krzątanina unicestwienia niebiańskie tchnienie Nocy. Czyż nigdy nie będzie dane, by tajemna miłości ofiara płonęła w wieki wieczne? Odmierzony był światu czas jego; nie zna wszelako czasu i przestrzeni Nocy wielmożność. — Wieczne jest trwanie snu. Śnie święty, nie nazbyt rzadko Nocy wybrańców uszczęśliwiają czasu tej pracy ziemskiej. Nerozum tylko znać cię nie chce i nie wie o śnie, póki go cień nie ogarnie, jaki w zmierzch przed Nocą prawdziwą ty rzucasz na nas z dobrocią. Nie czują cię w złotym płynie macicy winnej, w migdałów oleju przedziwnym, w brunatnym soku makowym. Nie wiedzą, iżes ty jest, który owiewasz piersi dziewczęce i niebem je czynisz, nie marzy im się, że z powieści o dziejach zamierzchłych, niebo odmykając, idziesz ku nam i klucz niesiesz od szczęścia siedziby, milczący poseł bezdennych tajemnic.

*Tłum. Tad. Newlin-Wagner.*

## HEINRICH VON KLEIST

(1777—1811)

### Z LEGENDY p. t. «ŚWIĘTA CECYLJA CZYLI POTĘGA MUZYKI»

Przy końcu XVI stulecia, kiedy w Holandji szalało obrazoburstwo, trzech bracia, młodzi studenci wittenberscy, spotkali się w Akwizgranie z czwartym, który był w Antwerpji predykantem. Mieli tam podjąć spadek, który im przypadł po starym nieznanym wuju, a ponieważ narazie nie wiedzieli do kogo się zwrócić, stanęli w gospodzie. Po upływie kilku dni, podczas których predykant opowiadał im o niezwykłych zajęciach w Holandji, zdarzyło się, że mniszki klasztoru świętej Cecylji, stojącego wówczas przed bramami miasta, miały obchodzić uroczystość Bożego Ciała. Żarliwość religijna przeto i przykład Holendrów skłoniły zapalczywych młodzieńców do postanowienia, żeby także Akwizgranowi dać widowisko obrazoburstwa. — Predykant, który już nieraz przewodził takim awanturom, wieczorem, w przeddzień obchodu, zebrał garstkę młodych kupców i studentów, oddanych nowej nauce. Spędzili noc na uczcie, pijatyce i złorzeczeniu papieżowi, a gdy dzień zaświtał nad blankami miasta, zaopatrzyli się w topory i inne narzędzia zniszczenia. Z uciechą umówili między sobą znak, na który mieli zacząć od tłuczenia okien, pomalowanych scenami, a pewni, że znajdą wielkie poparcie u ludu, i zdecydowani nie zostawić kamienia na kamieniu, udali się do tumu, skoro tylko dzwony zabrzmiały. — Ksienię już o brzasku dnia powiadomił ktoś o niebezpieczeństwie. Ale nadaremnie posyłała kilka razy do cesarskiego oficera, komendanta miasta, z prośbą o straż do obrony klasztoru; oficer, sam wróg papieżstwa, mimowoli sprzyjał nowej nauce i pod pozorem, że ksieni się coś uroiło i że klasztorowi nie grozi, odmówił jej naleganiu. — Tymczasem nadeszła pora uroczystości. Drząc, modląc się, w przygnębieniu i oczekiwaniu nieuchronnych wydarzeń, przygotowywały mniszki mszę. Bronił ich tylko siedemdziesięcioletni wójt klasztorny, stanąwszy u progu kościoła z kilkoma uzbrojonymi pachotkami. — Jak wiadomo, w klasztorach żeńskich mniszki, ćwiczone w grze na wszelkich instrumentach, same wykonywają część muzyczną, i to nieraz z precyzją, zrozumieniem i uczuciem, jakich braknie w męskich orkiestrach (może dzięki kobiecej naturze tej tajemniczej sztuki). Otóż nadomiar utrapienia zdarzyło się, że kapelmistrzyni, siostra Antonja, która zwykle dyrygowała orkiestrą,

na kilka dni przedtem nagle zachorowała na gorączkę nerwową; przeto oprócz czterech braci błuźnierców, których widziano, jak, odziani w płaszcze, stali pod filarami kościoła, nieznośnej troski przysparzała klasztorowi konieczność wykonania stosownego dzieła muzycznego. Poprzedniego wieczora ksieni nakazała była wykonanie prastarej włoskiej mszy nieznanego mistrza, szczególnie uroczystej i wspaniałej, którą kapela klasztorna już kilka razy wywierała głębokie wrażenie. Trwając w swoim zamiarze, bardziej niż kiedykolwiek, posłała ksieni jeszcze raz nadół do siostry Antonji, aby się dowiedzieć, jak się miewa; ale wysłana mniszka wróciła z wiadomością, że siostra leży zupełnie bezprzytomna i że niema mowy o tem, żeby dziś dyrygowała. — Tymczasem powoli zebrano się w tunie ponad stu hultajów wszelkiego stanu i wieku, zapatrzonych w siekiery i łamulce, i już rozegrały się złowróźbne zajścia. Drażniono najsromotniej pacholków, stojących u wejść, a wobec mniszek, gdy która z powodu jakiego pobożnego zajęcia zjawiała się w halach, pozwalano sobie na najbezwyśydniejsze i najzuchwalsze urągania; wtędy wójt klasztorny udał się do zakrystji i na kolanach zaklinał ksienię, aby zaniechała uroczystości i schroniła się do miasta pod opiekę komendanta. Atoli ksieni niezłomnie nastawała na to, żeby uroczystość ku czci Pana nad Pany jednak się odbyła; przypomniła wójtowi jego obowiązek czuwania na śmierć i życie nad mszą i nad uroczystym obchodem, który ma się odbyć w kościele, a że właśnie uderzył dzwon, rozkazała mniszkom, trwożnie cisnącym się do niej, aby wzięły jakiegokolwiek oratorjum i natychmiast rozpoczęły je wykonywać.

Właśnie mniszki, zebrawszy się na chórze, rozdzieliły między siebie partyturę utworu, który już często dawano, stroiły skrzypce i basy, próbowały je, gdy wtem siostra Antonja, zdrowa zupełnie, nieco błada na twarzy, zjawiała się od strony schodów; pod ręką niosła partyturę owej prastarej mszy włoskiej, na której wykonanie ksieni tak gorąco nastawała. Na zdziwienia pełne zapytania mniszek, skąd przychodzi i w jaki sposób tak nagle wyzdrowiała, odrzekła: «Mniejsza o to, siostry, mniejsza o to!» Rozdzieliła przyniesioną partyturę i sama, pałając natchnieniem, siadła do organów, aby dyrygować znakomitym utworem. Niby cudowne ukojenie niebiańskie spłynęło w serca pobożnych niewiast; natychmiast stanęły z instrumentami przy pulpitaeh, a rozpacz, w jakiej się znajdowały, sama przyczyniła się do tego, że ich dusze, jak na skrzydłach, wzniosły się w niebiosa miłodźwięku. Oratorjum wykonano z najwyższą i najwspanialszą okazałością muzyczną; w halach i w ławach podczas produkcji panowała cisza zapartych oddechów; szczególnie podczas «Salve Regina», a jeszcze bardziej podczas «Gloria in excelsis» cały tłum w kościele zdawał się jakby tknięty ręką śmierci; przeto, wbrew czterem przeklętym przez Boga braciom i ich współnikom, nawet proszek z dywana nie został strącony, i klasztor przetrwał aż do końca trzydziestoletniej wojny, kiedy go zsekularyzowano na mocy jednego z artykułów pokoju westfalskiego.

(Przybyłej w sześć lat potem małce, która w znajdujących się w miejskim domu obłąkanych czterech młodzieńcach poznaje swych synów, opowiada o tem zdarzeniu sukiennik miejski.)

«...Gdy się zaczęła muzyka, twoi synowie równoczesnym ruchem, w sposób, który nas zdumiał, zdejmują nagle kapelusze; pomału, jakby w głębokiem niesłuchanem wzruszeniu pochylają oblicza, zakrywają je sobie dłońmi — upływa przerażająca pauza, a predykant nagle odwraca się do nas i straszliwym głosem woła do wszystkich, aby także głowy obnażyli! Napróžno kilku współników płochu tręca go łokciami i wzywa szeptem, aby dał umówiony znak do obrazoburstwa. Miał odpowiedzi, predykant, skrzyżowawszy ręce na piersiach, opuszcza się na kolana i wraz z braćmi, wciskając czoło żarliwie w proch, mruczy szereg dopiero co wyszydzanych modlitw. Stropiona tym widokiem, pozbawiona przywódców, stoi gromadka żalonych zapaleńców w niepewności i wahanii aż do końca oratorjum, rozbrzmiewającego cudownie z galerji; a ponieważ na rozkaz komendanta w tej właśnie chwili zarządzono wiele aresztowań, a kilku bezbożników, zakłócających porządek, straż już pochwyciła i wyprowadziła, nie pozostaje nędznej garstce nic, jak pod osłoną ciżby wychodzących ludzi czem prędzej oddalić się z domu Bożego.

W gospodzie napróżno zapytywałem kilkakrotnie o synów pani. Nie wrócili. Wieczorem, ogromnie zaniepokojony, idę znowu z kilkoma przyjaciółmi do klasztoru, aby dowiedzieć się czegoś u odźwiernych, którzy pomagali cesarskiej straży. Ale jak ci opisać moje przerażenie, dostojna pani, gdy widzę tych czterech mężów powalonych tak samo, jak wprzód, w gorącym ubóstwieniu przed ołtarzem kościoła, ze złożonymi rękami, pierś i czołem wcałowanych w ziemię, jakby skamienieli! W tej chwili nadchodzi wójt klasztorny, szarpie ich za płaszcze, trąca w plecy i napróżno wzywa, by opuścili tum, bo już zupełnie ciemno i niema już nikogo. Dźwigają się jakby w śnie i nierychlej dają posłuch wezwaniu wójta, aż na jego skinienie pacholcy biorą ich pod ramiona i wyprowadzają za bramę. Tam dopiero poszli za nami ku miastu, a rozpacz nas brata, gdyśmy widzieli, jak wzdychają i wciąż oglądają się ku katedrze, która zdala wspaniale świeciła w blaskach zachodu...

...Bije północ; czterej synowie waćpani nasłuchują chwilę głuchych dźwięków dzwonu, nagle razem podnoszą się z siedzeń — i gdy my, złożywszy serwety, spoglądamy ku nim, pełni trwożnego oczekiwania, co zapowiada ten ruch dziwaczny, oni straszonym i przeraźliwym głosem intonują: «Gloria in excelsis». Takie głosy wydają chyba leopardy i wilki, gdy w mroźną noc grudniową wyją w niebiosy; filary domu, powiadam waćpani, wstrząsnęły się, a okna, uderzone widzialnym tchem ich płuc, zadgotwały, jakby w nie kto garściami piasku rzucił, i omal nie pękły. Na widok tej okropnej sceny rozbiegamy się bez opamiętania, ze zjeżonymi włosami; zostawiwszy płaszcze i kapelusze, uciekamy przez najbliższe ulice, które wnet napelniły się setkami ludzi, wystraszonych ze snu; lud wysadza drzwi domu, schodami tłoczy się ku sali, aby znaleźć źródło tego potwornego i przejmującego do szpiku kości ryku, który niby z ust potępieńców, strąconych na dno piekieł, wzbijał się rozpacznie o zmiłowanie do Boga...»

(Matka, wstrząśnięta tą opowieścią, udaje się do klasztoru i słyszy z ust ksieni następujące słowa):

«Bóg sam owego cudownego dnia ustrzegł klasztor od zuchwałości wielce zbłąkanych synów pani. Jakich środków przytem użył, to pani, jako protestantce, może być obojętne, to też cokolwiekbym o tem powiedziała, będzie dla pani trudne do pojęcia. Niechże bowiem pani usłyszy, że poprostu nikt nie wie, kto właściwie wonczas pod ciężarem tej złowrogiej godziny, kiedy obrazoburstwo miało się nad nami rozpętać — dyrgował przed organami dziełem, które tam oto widzi pani otwarte. Aktem, spisany nazajutrz rano w obecności wójta klasztornego i wielu innych męczczyzn i złożonym w archiwum, stwierdzono, że siostra Antonja, jedyna, która mogła dyrgować dziełem, podczas całej produkcji leżała w kącie swej celi chora, bezprzytomna, poprostu niewładna członkami; inna siostra, jej krewna, która ją pielęgnowała przez całe przedpołudnie, kiedy w katedrze obchodzono Boże Ciało, nie odstępowała jej łoża. Ba, nawet siostra Antonja byłaby niechybnie potwierdziła okoliczność, że nie ona była tą, która w tak dziwny i osobliwy sposób pojawiła się na galerji organów, gdyby jej zupełnie bezprzytomny stan pozwalał na wypytywanie jej i gdyby była jeszcze wieczorem tego samego dnia nie skonała na gorączkę nerwową, która przedtem wcale nie zdawała się grozić jej życiu. Zresztą, arcybiskup Trewiru, otrzymawszy sprawozdanie o wypadku, wypowiedział już jedyne słowo, które go tłumaczy, mianowicie: święta Cecylja sama spełniła ów cud, zarówno straszny, jak wspaniały, i właśnie dostałam od papieża breve, które to potwierdza».

...Matka, której obecność w Akwizgranie była już zupełnie niepotrzebna, złożyła w sądzie mały kapitałik na rzecz swych biednych synów i wróciła do Hagi, gdzie w rok potem, głęboko wzruszona tym wypadkiem, wróciła na łono kościoła katolickiego; synowie zaś umarli w późnym wieku śmiercią pogodną i zadowoloną, odspiewawszy raz jeszcze wedle swego zwyczaju «Gloria in excelsis».

*Tłum. Karol Irzykowski.*

## Z «ROBERTA GUISKARDA»

(Guiskard, wódz Normanów — w. XI — przed Konstantynopolem. Epidemja pochłania wojsko, rycerze pragną powrotu do ojczyzny i zaczynają się buntować.)

Norman (*skinąwszy na starca*):

Arminie!

Starzec:

Bóg z tobą, Franciszku! Co słychać?

Norman (*skinąwszy na pierwszego wojaka*):  
Marjanie!

Pierwszy wojak:

Masz jaką nowinę?

Norman:

Pozdrowienie z domu.  
Z Kalabrii właśnie przybył tu wędrowiec.

Starzec:

Tak! z Neapolu?

Pierwszy wojak:

Czemu oglądasz się, jak pomieszany?

Norman (*chwytając obu mężów za ręce*):  
Ja — pomieszany? Chyba żartujecie!

Starzec:

Warga twa blada. Co się stało? Powiedz!

Norman (*znów się obejrawszy*):

Słuchajcie. Ale tego, co wam powiem,  
Nie zdradźcie mi, a tem bardziej słowy.

Starzec:

Człowieku, jesteś straszny. Co więc zaszło?

Norman (*głośno do ludu, który mu się przygląda*):

No, jak tam? księżę czy przyjdzie, druhowie?

Jeden (*z gromady*):

Tak, spodziewamy się.

Inny:

Tak, cesarzowa miała go poprosić.

Norman (*tajemniczo, prowadząc naprzód obu mężów*):

Gdym o północy dzisiaj stał na warcie,  
Tutaj na progu namiotu Guiskarda,  
Nagle ktoś stękać tam począł żałośnie  
I jęczeć, jakby lew chory wyzionąć  
Miał ducha. A wnet powstaje tam rwetes  
Jakiś okropny — sama księżna budzi  
Ze snu parobka, który więc po chwili  
Świece zapala, by potem jak strzała  
Wybiec z namiotu. Na jego wołanie  
Rodzina cała w pomieszaniu wpada.  
W nocnem odzieniu cesarzowa, obu  
Za ręce synów trzymając; bratanek  
Księżcia, w pośpiechu płaszczem otulony;

Syn, niemal w samej koszuli, a wkońcu —  
 Parobek z czemciś zasłoniętem szczelnie,  
 Co, zapytane, mówi: «Rycerz jestem.  
 Włóżcie kobiecy na mnie strój, a będę  
 Ja do dziewicy podobny tak samo»:  
 Bo wszystko — buty, płaszcz i pikielhauba —  
 Wisiało sobie na nim, jak na gwoździu.  
 Tedy go chwytam, już przeczuciem tknięty,  
 Za rękaw, twarzą zwracając na światło  
 Księżycy — i cóż? Poznaję w nim oto  
 Lekarza księcia, imię Hieronimusa.

Starzec:

Co! przybocznego?

Pierwszy wojak:

O rety!

Starzec:

Mówże!

Sądysz, że zasłabł, zachorował może? —

Pierwszy wojak:

Chory? zarażony!...

Starzec (*zatykając mu usta*):

Obyś oniemiał!

Norman (*po pauzie, przerażony*):

Nie mówię tego. Rozważcie to sami.

— — — — —  
 Tłum. Alfred Tom.

ERNST THEODOR AMADEUS HOFFMANN

(1776—1822)

ZE «ZŁOTEGO GARNKA»

W dzień Wniebowstąpienia o godzinie trzeciej po południu, w Dreźnie, pędzi pewien młodzieniec przez Czarną Bramę — i upadł prosto w koszyk z jabłkami i ciastkami które sprzedawała jakaś stara brzydka kobieta — tak że wszystko, co ocalało szczęśliwie od zgniecenia, rozsypało się, a ulicznicy wesoło dzielili się zdobyczą, jakby dla nich rozrzuconą przez śpieszącego się pana. Stara zaczęła krzyczeć gwałtu, a na to kumoszki porzuciły swoje stragany z ciastkami i wódką, otoczyły młodzieńca i lżyły go z taką prostacką gwałtownością, że ten, oniemiały ze zmartwienia i wstydu, wyciągnął tylko swój mały, niezbyt obficie napełniony woreczek z pieniędzmi, który stara łakomie chwyciła i szybko schowała. Na to rozluźniło się wprawdzie szczelnie zwarte koło, lecz zaledwie młodzieniec wyrwał się zeń co prędej, stara krzyknęła za nim: «Tak, pędźże — pędźże dalej, czarci synu — zginiesz w kryształach — już ci bliżej, niż dalej — tak! w kryształach!» — Przerażliwy, skrzeczący głos starej miał w sobie coś okropnego, tak że przechodnie zdumieni przystanęli cicho, a śmiech, który się wkoło przed chwilą rozlegał, nagle umilkł. Student Anzelmus (on właśnie był tym młodzieńcem), chociaż nie rozumiał szczególnych słów starej, uczył, że ogarnia go mimowolny strach, i uskrzydlił jeszcze bardziej swoje kroki, aby umknąć przed skierowanymi nań spojrzzeniami ciekawego tłumu. A kiedy tak się przeciskał przez zbitą gromadę postrojonych ludzi, słyszał, jak szemrano na wszystkie strony: «Biedny młody człowiek! — A niechże tę przekłętą kobietę!» — Tak tedy w najszczególniejszy sposób tajemnicze słowa starej nadały śmiesznej przygodzie pewien odcień tragizmu, i dzięki temu spoglądano teraz ze współczuciem na młodzieńca, którego przedtem nie zauważono nawet.

Kobiety, patrząc na jego krzepką postać i twarz urodziwą, której wyraz potęgował jeszcze płomień wewnętrznego wzburzenia, wybaczały mu całą jego niezręczność, jak również strój, który nic nie miał wspólnego z jakąkolwiek modą. Jego szczupaczo-szary frak był skrojony w ten sposób, jakgdyby twórca jego, krawiec, o krojn współczesnym wiedział tylko ze słyszenia, a czarny, atlasowy, starannie utrzymany strój dolny nadawał całości pewien styl magisterski, z którym znów było w zupełnej sprzeczności zachowanie się i szczególne położenie młodzieńca. Gdy wreszcie student nasz dobiegł do końca alei, prowadzącej do piwiarni Linka, był już tak wyczerpany, że oddech mu zapierało. Musiał zwolnić kroku; ale zaledwie śmiał wzrok odrywać od ziemi, gdyż wciąż jeszcze jabłka i ciastka tańczyły mu przed oczyma, a każde przyjazne spojrzenie spotykanych dziewcząt wydawało mu się tylko odbłaskiem złośliwego śmiechu przy Czarnej Bramie. Tak doszedł aż do wejścia piwiarni Linka. Wchodziły tam jedne za drugimi całe szeregi świątecznie ubranych ludzi. Z wnętrza gmachu dochodził odgłos muzyki orkiestrowej, a gwar wśród wesołych gości stawał się coraz głośniejszy.

Biednemu Anzelmusowi prawie że lzy stanęły w oczach; dla niego dzień Wniebowstąpienia był wyjątkowym świętem rodzinnym; i on miał czerpać ze źródeł szczęśliwości Linkowego raj; tak, on chciał się posunąć aż do pół porcji kawy z rumem i podwójnej butelki piwa i, aby tak wspaniale użyć, wziął więcej pieniędzy niż kiedykolwiek, więcej, niż to było dozwolone. I oto fatalny upadek w kosz z jabłkami pozbawił go wszystkiego, co miał przy sobie. O kawie, o piwie podwójnem, o muzyce, o widoku postrojonych dziewcząt — krótko mówiąc, o wszystkich wymarzonych rozkoszach nie było już co myśleć; przesunął się powoli obok nich — i wreszcie udał się drogą, prowadzącą ku Elbie; była zupełnie pusta. Pod jakimś krzakiem bzu, co wyrastał z muru, znalazł ciche, ustronne miejsce; tam siadł i naładował fajkę higienicznym tytoniem, który mu podarował jego przyjaciel konrektor Paulmann. Tuż przed nim pluwały i szumiały fale złotożółtej Elby; poza nią wspaniałe Dreźnie dumnie i śmiało strzelało lśnięciami wieżycami w woniejące sklepienie nieba, które sphywało na kwitnące łąki i świeżo zieleńjące lasy, a z głębi oddalenia wynurzały się łańcuch gór, przypominając daleki kraj Czechów. Ale student Anzelmus posępnie patrzył w tę dal, zawzięcie puszczał w powietrze kłęby dymu i wreszcie głośno dał wyraz swemu smutkowi.

Studentowi Anzelmusowi przerwały jego rozmowę z samym sobą jakieś szczególne szmery i szelesty, które powstały w trawie tuż obok niego, lecz wnet wśliznęły się między gałęzie i liście tuż ponad jego głową rozpostartego bzu. Raz było, jakgdyby wiatr wieczorny potrząsał liśćmi, to znów, jakgdyby plaszki igrały wśród gałęzi, goniąc się wesoło i trzepocąc skrzydełkami. A potem zaczęły się jakieś szepty i gwary, i było, jakgdyby zadźwięczały kwiaty, niby dzwoneczki z kryształu. Anzelmus słuchał i słuchał. I wtem — sam nie wiedział, jak to się stało — owe gwary, szeptania, dzwiczczenia zamieniły się w ciche, rozwiewne słowa:

«Wśród liści — między witkami — wśród gałęzi, wśród okiści kwiatów, wijmy się, przewijajmy, przeslizgujmy się z siostrzyczkami — przewijajmy się, błyszcząc — kołyszmy się w lśnieniach — szybko, szybko, w górę — nadół — słońce wieczorne ciśka strzały promienne, wietrzyk szeleści — rosa upada — śpiewają kwiaty — ruszajmy języczkami — śpiewajmy z kwiatami i gałęziami — wnet gwiazdy zabłyszcza — wracać nam trzeba — wśród kwiatów i liści, między witkami, wijmy się, przewijajmy, przeslizgujmy się z siostrzyczkami». —

I tak szło dalej — jakby przerywana mowa. Student Anzelmus myślał: — Toż to przecież tylko wiatr wieczorny, który szepce mi jednak dzisiaj zupełnie zrozumiałe słowa. — Ale w tej samej chwili zabrzmiał mu ponad głową jakby trójdźwięczny akord przeczystych dzwonów z kryształu. Spojrzał w górę — i zobaczył trzy lśniące zielonem złotem wężyki, co okręciły się o gałęzie i wysunęły główki na wieczorne słońce. I znowu powtórzyły się w tych samych słowach rozhowory i szeptania, a wężyki przemycakały się, przeslizgiwały wśród liści i gałęzi do góry i nadół; a kiedy poruszały się tak szybko, zdało się, że to krzak bzowy sypie tysiącem płomienistych szmaragdów po-



przez ciemne liście. — To słońce wieczorne tak igra i lśni na drzewie — myślał student Anzelmus; ale wtem znowu zadźwięczały dzwony z kryształu, i Anzelmus zobaczył, że jeden z węzów wyciągnął ku niemu główkę. Jakby prąd elektryczny przebiegł mu przez ciało, zadrżał aż do dna duszy, bo oto para ciemnobłękitnych oczu spojrzała nań z niewysłowioną tęsknotą, żeomal nie rozsądziło mu piersi jakieś nigdy niedoświadczane uczucie największej błogości i najostrejszego bólu. A kiedy on, pełen żaru pożądania, wciąż patrzył tak w te przesłodkie oczy, silniej zadźwięczały rozkoszne akordy kryształowych dzwonów, upadły nań płomieniste szmaragdy, otoczyły go, migając naokół tysiącem ogników, igrając błyszczącemi niemi ze złota. I poruszył się bżowy krzak i rzekł: «Leżałeś w cieniu moim, mój zapach owiewał cię, aleś nie pojął mnie: zapach jest mową moją, kiedy go miłość nieci». Wiatr wieczorny przeleciał i rzekł: «Owiewałem sny twoje, aleś nie pojął mnie: tchnienie jest mową moją, kiedy je miłość nieci». Poprzez chmury wyjrzały słoneczne promienie, a blask ich zdawał się gorzeć wyrazami: «Oblewałem cię żarem roztopionego złota, aleś nie pojął mnie: żar jest mową moją, kiedy go miłość nieci».

I coraz głębiej, coraz silniej zatapiał się wzrok w rozkoszny błękit dwojga oczu, coraz goręcej płonąła tęsknota, coraz potężniej paliło pożądanie. A wkoło zadrżało, poruszyło się wszystko, jakgdyby obudzone do wiosennego życia. Kwiaty zapachniały wszystkie razem, a woń ich była, jak cudny śpiew tysiąca lletni; a co one śpiewały, to niosły echem dalekiem chmury złociste, mknące gdzieś w kraje nieznane. Lecz skoro tylko zniknął ostatni promień słońca za górą, a jednocześnie zmierzch rzucił na ziemię swój cień, z odległej dali zabrzmiał nagle szorstki, głęboki głos: — Hej, hej! A cóż to tam za hałasy i gwary? — Hej, hej! kto mi tam szuka promienia za górą! Dostyc świecenia, dostyc śpiewania! — Hej, hej! przez krzaki, przez trawy — przez trawy, przez rzeki! — Hej — hej — do do-o-o-mu — do — do-o-o-mu!

*Tłum. Jan Kleczyński.*

## FRIEDRICH DE LA MOTTE-FOUQUÉ

(1777—1843)

### Z «ONDYNY»

#### Co się wydarzyło wieczoru weselnego

Cicho i układnie zachowywała się Ondyna w czasie zaślubin; ale teraz jakby zawrzały w niej wszystkie jej dziwaczne zachcianki i psoty i z tem żywszą przekorą podniosły głowę na powierzchnię. Pustotą dziecięcą wszelkiego rodzaju drażniła swego męża i opiekunów, a nawet tak czcigodnego dla niej przed chwilą kapłana, a kiedy gospodyni chciała jej zwrócić uwagę, rycerz skłonił ją do zamileczenia kilkoma poważnemi słowami. Ale jemu samemu dziecinne zachowanie się Ondyny nie podobało się również. Na to jednak ani znaki, ani chrząkanie, ani żadne nagany nie pomogły. Ilekroć młoda małżonka zauważyła niezadowolenie swego miłego — ucichała wprawdzie narazie, siadała przy nim, głaskała go, szeptała mu coś do ucha z uśmiechem i w ten sposób wygładzała tworzące się zmarszczki jego czoła. Ale po małej chwili znów jakiś pusty poryw wciągał ją w nowe igraszki, i znów szło gorzej niż przedtem. Na to kapłan odezwał się bardzo poważnie i bardzo przyjaźnie: «Moja miła młoda dziewczeczko, nie można na was coprawda patrzeć bez zachwyty, ale pomyślcie już o tem, aby duszę swoją zawczasu tak usposobić, żebyście mogli stworzyć harmonję z duszą waszego ślubnego małżonka». — «Duszę! — zaśmiała się Ondyna — pięknie to brzmi, i dla wielu, wielu ludzi może to być prawidłem bardzo budującym i pożytecznem. Ale jeżeli kto nie ma naprzykład duszy, to proszę, z czem tu się usposabiać do harmonji? A tak właśnie jest ze mną». Duchowny zamilkł, żywo dotknięty, i w gniewie zbożnym odwrócił twarz swą od dziewczęcia z wyrazem przykrości. Na to ona podeszła ku niemu z przymileniem i rzekła: «Wysłuchajcie wprzód dobrze, zanim się pogniewacie, bo wasz wygląd gniewny sprawia mi przykrość, a wyście nie powinni czynić przykrości żadnemu stworzeniu, które wam nie wyrządziło nic złego. Mieście tylko dla mnie cierpliwość, a powiem wam wszystko, jak ja o tem myślę».

Było widoczne, że gotowała się do dokładnego wywodu, ale nagle zacięła się, jakby grozą wewnętrzną wstrząśnięta, i wybuchnęła strumieniem bolesnych łez. Wszyscy obecni nie wiedzieli, co teraz mają z nią począć i patrzyli na nią milcząco z troskami. Osuszwszy łzy i z poważnym na księdza wejściem, rzekła wreszcie: «Musi to być coś bardzo kochanego i razem ogromnie strasznego — to, co jest duszą. Na Boga, zbożny panie, czy nie byłoby lepiej nie mieć jej wcale?» Zamilkła znowu, jakby czekając odpowiedzi; jej łzy ustały. Wszyscy w chacie podnieśli się z siedzeń i cofnęli przed nią ze zgrozą. Ona jednak miała oczy tylko dla księdza, w rysach jej malował się wyraz wylekłej ciekawości, który też przez to wydał się patrzącym tak straszliwy. «Ciężko musi przytłaczać dusza — mówiła dalej, gdy jej nikt nie odpowiadał — bardzo ciężko! Bo już sam jej nadchodzący obraz przyćmiewa mię całą lekkiem i żalobą. A mnie, ach, tak było zawsze lekko, tak wesoło!» I nowy łez strumień rzucił się z jej oczu, schwyciła szaty i zakryła niemi twarz. Na to przystąpił do niej kapłan z powagą w obliczu, przemówił do niej i zaklinał ją na wszystko, co święte, aby wyznała otwarcie, gdyby co złego było w niej. Ale ona padła przed nim na kolana, powtarzając za nim święte wyrazy, Boga chwając i zaprzysięgając, że życzy dobrze wszystkiemu na świecie. Wówczas ksiądz zwrócił się wkońcu do rycerza: «Panie małżonku — rzecze — zostawiam was samych z tą, którą wam poślubiłem. O ile mogę zbadać, niema w niej nic złego, ale przedziwnego bardzo wiele. Zalecam wam przeczność, miłość i wierność». — I wyszedł.

...Wyglądała tak niewymownie wdzięcznie i wzruszająco, że jej małżonek zapomniawszy o całej grozie i zagadkowości, pobiegł ku niej i podniósł ją w swych ramionach. Zaśmiała się przez łzy; było to jakby blask jutrzeńki, odbity w małych strumieniach. «Ty mię nie możesz opuścić!» — szeptała ufnie i pewnie i drobną rączką gładziła lica rycerza, a ten poniechał już zupełnie strasznych myśli, jakie czały się jeszcze w głębi duszy i chciały wmówić weń, że się związał ślubem z feą lub innym stworem złośliwym ze świata duchów.

*Tłum. Artur Górski.*

## ADELBERT VON CHAMISSO

(1781—1838)

### Z «DZIWNEJ HISTORJI PIOTRA SCHLEMIHLA»

...Minąłem gaj pełen róż, zeszedłem z pagórka i znalazłem się na łące, a obrwając się, by mnie kto idącego trawnikiem nie spostrzegł, obejrzałem się. Jakże się przeląknęłem, gdy tuż za sobą zobaczyłem człowieka w szarym surducie. Natychmiast zdjął kapelusze i uklonił mi się tak nisko, jak nikt nigdy przedtem. Nie ulegało wątpliwości, że chce ze mną pomówić, a ja bez niegrzeczności nie mogłem tego uniknąć. Uchyliłem również kapelusza i stałem jakby przykuty z odkrytą głową w promieniach słońca. Pełen obawy wlepiłem w niego oczy i byłem podobny do ptaka, zaczarowanego przez węża. On sam zdawał się być zmieszany, oczu wcale nie podnosił, kłaniał się kilkakrotnie, przystąpił bliżej i przemówił cichym, niepewnym głosem, mniej więcej w tonie zebrzącym:

«Daruj pan mej śmiałości trudzenia go, lecz mam prośbę do pana. Pozwól pan łaskawie...» — «Lecz na Boga», przerwałem mu z obawą, «cóż mogę ja uczynić dla pana, który...» Zamilkliśmy obadwa i myślę, żeśmy się obadwaj zarumienili.

Po chwili milczenia przemówił: «W tym krótkim czasie, gdy miałem to szczęście być w towarzystwie pana, zauważyłem kilka razy — daruj pan mej śmiałości — lecz rzeczywiście z podziwieniem patrzałem na piękny cień pana, na który wcale uwagi nie zwracałeś. Racz pan darować mej śmiałej propozycji; lecz czy nie zechciałby pan odstąpić mi swego cienia?»

Zamilkł, a mnie szumiło w głowie. Cóż miałem odpowiedzieć na dziwną propozycję sprzedania cienia? Musi cierpieć na pomieszanie zmysłów, pomyślałem sobie, i zmienionym głosem, który bardziej się nadawał do jego pokornego tonu, rzekłem: «Ależ, mój dobry przyjacielu, czyż ci nie starczy własny twój cień? byłby to handel dziwnego rodzaju». W tejże chwili odpowiedział: «Mam w mej kieszeni niejedną rzecz,

któraby miała wartość dla pana, a najwyższa cena za ten nieoceniony cień byłaby jeszcze za mała».

Dreszcz mnie przeszedł, gdy wspomniał o kieszeni, i nie rozumiałem, w jaki sposób mogłem go nazwać dobrym przyjacielem. Zacząłem mówić z nadzwyczajną grzecznością, chcąc poprawić swe poprzednie słowa.

«Daruj pan twemu najniższemu słudze, jednak nie rozumiem dokładnie pańskiej myśli, w jaki sposób mógłbym cień swój...» Przerwał mi: «Upraszam Waszą Wielmożność o pozwolenie wzięcia tu zaraz na miejscu cienia pańskiego; w jaki sposób to zrobię, to jest moja rzecz. Wzamięn ofiaruję panu wybór z przedmiotów, które mam w kieszeni: kwiat paproci, korzeń pokrzyku, niezmienny talar, obrus giermka Rolanda, djabełka we flaszcze za tanie pieniądze; lecz może pan tego nie chcesz, to mam odnowiony kapelus z Fortunata i sakiewkę szczęścia, taką jaką on posiadał». — «Sakiewkę szczęścia Fortunata», przerwałem mu, gdyż, mimo mej obawy, słowa te oczarowały mnie. Czuję zawrót głowy, a przed oczyma zdawały się błyszczeć dukaty.

«Zechciej pan obejrzyć i spróbować tę sakiewkę». I ręką sięgnął do kieszeni, i wyciągnął dość dużą sakiewkę ze skóry korduańskiej, przewieszoną na dwu rzemieniach, i wręczył mi ją. Wsunąłem rękę do woreczka i wyciągnąłem dziesięć dukatów i znów dziesięć i jeszcze raz dziesięć; podałem mu rękę: «Zgoda, za ten woreczek masz pan mój cień». Natychmiast klęknął i z zadziwiającą zręcznością — widziałem — cicho zaczął zwijać mój cień, począwszy od głowy aż do nóg, a potem ukrył go w kieszeni.

Powstał, uklonił się i wszedł do gaju pełnego róż. Zdawało mi się, że tam zaśmiał się cicho. A ja silnie trzymałem ten woreczek, wokoło słońce paliło, i sam nie przyszedłem jeszcze do przytomności.

*Tłum. Artur Gruszecki.*

#### BURZA

Na blankowaniu wysokiem  
Król osiwiaty stał  
I chmurnem patrzył okiem  
Na chmurnej krainy szał.

Grzmiał już pęd nawałnicy,  
Rżał wichru zhukany koń,  
Król na miecza głowicy  
Wspart ciężko prawą dłoń.

Lewicą, z której dawno  
Wypadło berło wprzód,  
Koronę ciężką, prasławną  
Na chmurne czoło swe gniotł.

Targnęła miłośnica  
Lękliwie płaszcza skraj:  
«Kochałeś niegdyś moje lica,  
Dziś pewnie szczeł ten raj?»

Cóż miłość, szał, kochanie?  
Poniechaj, słodki mój śnie!  
Wnet burza tutaj stanie,  
Orkanu wichur już dmie.

Na twierdzy tej wysokiej  
Nie król jam, nie miecz, nie czyn,  
Zwichrzonej dziko epoki  
Bezmocny, tęskliwy jam syn.

Cóż miłość, szał, kochanie?  
Poniechaj, słodki mój śnie!  
Wnet burza tutaj stanie,  
Orkanu wichur już dmie.

*Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).*

#### BRACIA GRIMMOWIE

#### JAKÓB I WILHELM

(1785—1863) (1786—1859)

#### Z «BAŚNI DOMOWYCH I DZIECINNYCH»

#### Krawiec w niebie

Było tak, że razu jednego, dnia pięknego, Pan Bóg wyszedł do swoich ogrodów niebieskich i zabrał z sobą wszystkich apostołów i wszystkich świętych. W niebie nie został nikt, oprócz Piotra świętego. Pan Bóg zakazał mu wpuszczać kogokolwiek

w czasie nieobecności swojej. Piotr stanął więc przy bramie na straży. Wtem puk, puk, ktoś puka. Piotr pyta: «Kto tam i czego chce?» — «Biedny uczciwy krawiec prosi, żeby go wpuszczono» — odpowiada cienki głosik. — «Tak, uczciwy, jak złodziej na szubienicy» — mówi święty Piotr. — «Miałeś długie ręce i kradłeś ludziom sukno. Nie wejdiesz do nieba. Pan zakazał mi wpuszczać kogokolwiek, dopóki nie wróci». — «Zlitujcie się — woła krawiec — nie kradłem nawet latek, które spadały same ze stołu, a o których i mówić nie warto. Patrzcie, kuleję i aż bąble porobiły mi się na nogach od tej drogi. Nie mogę iść dalej! Wpuście mnie tylko; będę robił jak najgorszą robotę. Będę nosił dzieci, prał pieluchy, czyścił i wycierał ławy, na których się bawia, będę latał sukienki podarte». Piotr święty, litością zdjęty, uchylił biednemu krawcowi kulawemu bram niebieskich, tak że ten mógł wsunąć wyschłe ciało swoje. Kazał mu usiąść w kącie za drzwiami, żeby go Pan Bóg, wróciwszy, nie spostrzegł i nie rozgniewał się. Krawiec usłuchał, ale skoro tylko Piotr święty wyszedł za drzwi, wstał i dalejże zaglądać do wszystkich zakątków nieba i oglądać się na wszystkie strony. Wreszcie doszedł do miejsca, gdzie stało dużo krzesel pięknych i wspaniałych, a pomiędzy nimi jedno całe złote, wysadzone błyszczącymi drogiemi kamieniami. Było wyższe od innych krzesel i podnózek złoty stał przed niem. Było to krzesło, na którym siadał Pan, gdy był u siebie, i z którego widział wszystko, co się działo na ziemi. Krawiec stanął. S o i a przygląda się, bo podobało się mu więcej od innych. Nie wytrzymał, poszedł i siadł na niem. I widział wszystko, co się działo na ziemi. Patrzy: kobieta stara i brzydka pierze chusty u rzeki i odkłada nabok dwie z nich potajemnie. Krawiec na ten widok tak się rozgniewał, że porwał podnózek i cisnął go przez niebo na ziemię ku starej złodziejce. Nie mógł zejść po niego, więc cichaczem zsunął się z krzesła i siadł skromnie za drzwiami, jakgdyby był nikomu wody nie zamącił.

Pan wrócił z dworem swoim niebieskim. Nie zauważył wprawdzie krawca za drzwiami, ale, gdy siadł na krzesle, podnóżka brakowało. Pyta Piotra świętego, gdzie podnózek, ale ten nie wiedział. Więc pyta Pan dalej, czy nie wpuścił kogo. «Nie wiem o nikim innym, prócz o krawcu kulawym, który siedzi jeszcze za drzwiami». Pan kazał krawcowi stanąć przed sobą i pyta, czy to on zabrał podnózek i gdzie go podział. «Panie! — zawołał krawiec wesolo — rzuciłem go w gniewie na ziemię, w starą babę. Piorąc, ukradła dwie chustki, sam widziałem». — «A ty, urwisie — powiada Pan — gdybym chciał sądzić, tak jak ty, to co myślisz? Jakby z tobą było? Już dawno nie miałbym ni krzesła, ni ławki, ani widelca nawet! Wszystkobym porzucił w grzeszników. Nie możesz zosłać w niebie! Idź za bramę, gdzie ci się podoba; tu nikt nie może karać, tylko ja jeden, Pan całego świata».

Piotr święty wyprowadził krawca znowu przed niebo; czlęczyna miał buty podarte i nogi całe w bąblach, więc wziął kij do ręki i ruszył do poczekalni, gdzie siedzą i weselą się pobożni żołnierze.

*Tłum. Z. A. Kowerska.*

## LUDWIG UHLAND

(1787—1862)

### KLĄTWA PIEŚNIARZA

Stał niegdyś wielki zamek, wspaniały, pyszny gród,  
Stem wież nad krajem świecił do sinych morza wód,  
A wkoło wonnych sadów barwisty wieniec kwitł,  
W kaskadach chłodnych zdrojów tęczyowy igrał świt.

Pan dumny w zamku siedział, zdobywca mnogich ziem,  
Lecz błady i posępny nad państwem władał swem,  
Bo jego myśl — to groza, spojrzenie — wściekły gniew,  
Rzekł słowo — bat już świszczce, podpisał — płynie krew.

Raz szło do zamku tego szlachetnych piewców dwóch,  
W kędziorach złotych jeden, a siwy — jego druh;  
Starzec miał harfę w rękę, ognisty niósł go koń,  
Kwitnący młodzian obok wesoło biegł przez błóń.

Rzekł starzec do młodzieńca: «Mój synu, gotów bądź!  
Najtkliwsze dobądź pieśni, najgłębsze tony trać,  
Zbierz wszystkie siły swoje, ból i wesela tan,  
By wzruszył się nareszcie twardego serca pan».

Już piewcy stoją w sali, gdzie kolumn rzędy mkną,  
Na złotym tronie zasiadł z małżonką rycerz swą;  
On — groźny, jako zorzy północnej krwawy żar,  
Ona znów — słodka, cicha, jak srebrnej pełni czar.

Uderzył starzec w struny, przedziwny dobył ton,  
Akordy dźwięków, zda się, ze wszystkich płyną stron.  
I rozbrzmiał głos młodzieńca, jak śpiew niebiańskich sfer,  
Głos starca wtórzył głucho, jak cichy elfów szmer.

Śpiewali o miłości, o wiosnie młodych dni,  
Wierności, dumie męskiej, za wolność lanej krwi,  
O wszystkim tem najśłodszym, co w sercu ludzkim drga,  
O wszystkim tem najwyższym, co wstrząsa pierś, jak skra.

W dworaków tłumie cichnie szyderczych echo słów  
Zuchwałych wojowników chyli się kornie huf,  
A pani zamku, rzewne a słodkie lejąc łzy,  
Śpiewakom wonną różę od piersi rzuca swej.

«Wieść lud mój na manowce, małżonkę nęcić mą?» —  
Wściekle się rycerz zrywa, zbladłe mu usta drżą.  
Miecz ciska, ten, jak piorun, już w piersi chłopca tkwi,  
I zamiast słodkich pieśni wzwyż tryska struga krwi!

W popłochu, zgrozą zdjęty, rozpierzchnął się dworzan rój,  
W objęciach mistrza młodzian ze śmiercią skończył bój.  
W płaszc starzec go owinął, na konia złożył grzbiet  
I precz z brzemieniem drogiem z krwawego zamku szedł.

Lecz, opuściwszy gród już, zatrzymał się u wrót,  
Pochwycił harfę swoją, wśród harf prawdziwy cud,  
O słup ją marmurowy roztrzaskał jeden cios,  
A w zamku jak grzmot rozbrzmiał pieśniarza groźny głos:

«Biada wam, dumne sale! Niech nigdy słodki dźwięk  
Nie zabrzmie tutaj pieśni ni strun harfianych brzęk,  
Niech jęki tylko, łkania, szczęk kajdan chwyta słuch,  
Aż w gruzów stos was zmieni wieczystej zemsty duch!

«Biada wam, wonne sady w majowych blasku zórz!  
Na tego trupa patrzcie — jak śmierć go zmienia już...  
O, zginie za to marnie! Niech każde źródło schnie,  
Niech was w skalistą puszcę przyszłości zmienia dzień!

«Biada ci, niecny zbójco, śpiewaczych kłatwo harf!  
Niech płonną będzie żądza twa krwawej sławy szarf;  
Twe imię — niepamięci niech wieczny schłonie cień,  
Rozwiej się, zgin bez śladu, nakształt powietrznych tchnień».

Tak wołał stary pieśniarz. Wysłuchał starca Bóg:  
W zwałiskach legły mury, chwast porósł zamku próg,  
Kolumna jedna świadczy o sławy dawnej dniach,  
Lecz i ta pękła — padnie... jak padł już cały gmach.

Gdzie wonne kwitły sady, pustynny dzisiaj step,  
Wysuszył drzewa, zdroje płomienny niebios sklep;  
Nieznane pana imię księgom ni wieszczym snom,  
Przepadło zapomniane! — pieśniarza kłątwy grom!

*Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).*

#### PRZEDŚMIERTNY ZAPIS

Średniowieczny trubadur i rycerz zarazem,  
Na błoniach Palestyny długo walcząc z chwałą,  
Gdy padł, nawskroś przeszły muzułmańską strzałą,  
Przed skonaniem do giernka rzekł takim wyrazem:

«Skoro biedne me serce martwym będzie głazem,  
Włóż je, o wierny giernku, w ową urnę białą,  
Którąm przywiózł z ojczyzny — i odnieś je cało  
Tej, z której ono żyło i zmarło obrazem».

Tak dziś ja, o najmiłsza! przebolały smutkiem,  
Gdy po długim rozdziale, a spotkaniu krótkim  
Srogi los mnie przymusza rzucać cię powtórnie,

Gdy zda mi się, że śmierci otacza mię chmura —  
Ślę ci to wierne serce twego trubadura,  
Zasklepione w sonetu kryształowej urnie!

*Tłum. Konstanty Gaszyński.*

#### DOBRY TOWARZYSZ

Miałem ja towarzysza:  
Lepszego nie znajdziesz, nie!  
Gdy bębny do boju grzmiąły,  
Krok w krok na polu chwały  
Szedł razem obok mnie.

Wybiegła na nas kula...  
Czy mnie, czy tobie zgon?  
Ach! jego mi wyrwała:  
Jak część mojego ciała,  
U nog mych pada on!

Wyciąga do mnie rękę,  
Gdy trzeba śpieszyć w bój:  
«Ręki ci dać nie mogę;  
Idź na wieczności drogę,  
O, towarzyszu mój!»

*Tłum. Adam Asnyk.*

#### ARTUR SCHOPENHAUER

(1788—1860)

#### Z «PARERGÓW I PARALIPOMENÓW»

Nie do wiary jest przecież nierozum i ta opaczność mózgow publiczności, która pozostawia nieczytane utwory przeróżnych najszlachetniejszych, najrzadszych duchów — ze wszech czasów i krajów — aby zato w ukazujących się codziennie piśmiadłach głów ladajakich, co to ich bezlik, jak muchy, rok każdy wylega, zaczytywać się — dlatego tylko, że dzisiaj je wydrukowano i jeszcze są mokre od prasy. Wytwory te powinnyby raczej już w dniu swych narodzin być w takim opuszczeniu i pogardzie, w jakiej okaza się po latach niewiele, i wtedy już na zawsze, jako zwykły przedmiot śmiechu nad minionymi czasami oraz ich bałamuctwem. Ponieważ ludzie, zamiast rzeczy najlepszych

ze wszystkich czasów, czytają wciąż tylko to, co najnowsze, przeto pisarze zamknięci są w ciasnym kole idei, będących właśnie w obiegu, a epoka cała zamula się coraz bardziej we własnym swym gnoju.

Po wszystkie czasy istnieją dwie literatury, które dosyć obco kroczą obok siebie: rzeczywista i tylko pozorna. Pierwsza rozwija się w literaturę trwałą. Uprawiana przez ludzi, którzy żyją dla nauki lub poezji, zdąża krokiem poważnym i spokojnym, lecz niezmiernie powolnym, wytwarza w Europie w ciągu stulecia zaledwie tuzin dzieł, które jednak pozostają. Druga, uprawiana przez ludzi, którzy żyją z nauki lub poezji, biegnie galopem wśród hałasu i krzyku swych adeptów i wyrzuca co roku tysiące dzieł na rynek. Ale po kilku latach pytamy: gdzie są te dzieła? Tę literaturę nazwać można przejściową, tamtą zaś — stałą,

Wymagać, aby ktoś zapamiętał wszystko, co przeczytał — to tak samo, jak żądać, aby zatrzymał wszystko, co jadł kiedykolwiek. Z tego pokarmu żył cielesnie, z lektury zaś żył umysłowo i stał się tem, czem jest. Ale podobnie jak ciało asymiluje tylko pierwiastki jednorodne, tak każdy zachowa jedynie to, co go zajmuje, t. j. co odpowiada jego systemowi pojęć lub jego celom. Cele posiada każdy; ale bardzo mało ludzi posiada coś, coby było podobne do systemu pojęć: to też nie przywiązują do niczego wagi obiektywnej, i oto dlaczego nie pozostaje im nic z ich lektury.

## JOSEPH VON EICHENDORFF

(1788—1857)

### «Z ŻYCIA NICPONIA» (początek)

Wesoło warczał i terkotał młyn mego ojca, śnieg tajał na dachu, kapiąc dużemi kroplami, wróble ćwierkały radośnie; siedziałem na progu przed domem i spędzałem sen z oczu; było mi rozkosznie w ciepłych promieniach słońca. Wtem wyszedł ojciec z domu; z przekrzywioną szlafmycą na głowie, od samego już rana hałasował w młynie; teraz odezwał się do mnie w te słowa: «Ty nicponiu, już znowu wygrzewasz się na słońcu i wyciągasz się, i przężysz leniwe swe kości, a pozwalasz mi samemu zamęczać się robotą. Nie będę cię dłużej żywił tutaj. Wiosna u progu, idź zatem w świat i zdobywaj sobie sam kawałek chleba». — «Dobrze więc» — powiedziałem — «kiedy jestem nicponiem, pójdę w świat na poszukiwanie szczęścia». Właściwie było mi to na rękę, bo niedawno temu przyszło mi na myśl, aby pójść w świat, zwłaszcza, gdy usłyszałem trznadla, który jesienią i zimą wyśpiewywał smutno: «Gospodarzu, zgódź mnie, gospodarzu, zgódź mnie!» A teraz, za nadejściem cudnej wiosny wołał z drzewa dumnie i wesoło: «Gospodarzu, pracuj sam!» — Wszedłem do domu i zdjąłem ze ściany skrzypce, na których grałem niezgorzej, ojciec dał mi na drogę kilka groszy, i tak oto powlokłem się przez długą wieś. Radowałem się w duszy, widząc starych znajomych i towarzyszy na prawo i na lewo, wychodzących jak wczoraj, przedwczoraj i zawsze do pracy, kopiających i orzących, gdy ja szedłem wolny w świat szeroki. Wołałem ku biedakom dumnie i zadowolony: «Żegnajcie», ale nie robiło to na nich wrażenia. Byłem usposobiony odświętnie. Gdy wyszedłem wreszcie na szczerę pole, chwyciłem za ukochane skrzypki i grałem a śpiewałem, idąc pełną drogą:

Na kogo Bóg łaskawie spojrzy,  
Ten dąży wdal, w szeroki świat,  
Ten cuda światów skryte dojrzy,  
Gór, lasów, rzek i łąków kwiat.

Leniwcy, co się w domu pierzą,  
Nie ujrzą słońca złotych zórz,  
W zaduchu chatup nędznie leżą,  
Nie znają śpiewu, wina, róż.

Ant. II.

Strumyki z gór wesoło skaczą,  
Skowronki z śpiewem lecą wzwyż;  
Precz troski, co żalobnie kraczą —  
Chcę śpiewać — smutki precz, a kysz!

Jedyny Bóg niech nami rządzi,  
Co stworzył ten uroczy świat,  
On sprawiedliwie mnie osądzi,  
Nie wzhroni mi swych łask — bom chwiał!

25

Gdym się rozejrzał na wsze strony, ujrzałem tuż za sobą wspaniały pojazd, który prawdopodobnie jechał za mną już czas dłuższy, a ja, mając serce przepelnione pieśnią, nie spostrzegłem tego wcale. Pojazd posuwał się wolniusienko, a dwie wytworne damy wychyliły z niego głowy i przysłuchiwały się uważnie. Jedna z nich, młodsza, była niezwykle piękna, ale właściwie podobały mi się obie. Gdym zamilkł, rozkazała starsza zatrzymać konie i zagadnęła mnie nader miło: «Ejże, wesoly młodzieńcze, umiesz śpiewać piękne piosenki». A ja, pochopny do tego, odparłem: «Gdyby mi wolno było, zaśpiewałbym jeszcze piękniejsze». Poczem dama pytała mnie dalej: «Dokąd wędrujesz, młodzieńcze, tak wczesnym rankiem?» Zawstydzilem się, że tego sam nie wiedział, jednak odparłem śmiało: «Do Wiednia!» Porozmawiały z sobą w obcym języku, którego nie rozumiałem. Młodsza potrząsnęła kilka razy głową, a druga śmiała się ciągle, wreszcie zawołała na mnie: «Wskocz, młodzieńcze, na tył powozu, i my jedziemy do Wiednia». Któż mógł być szczęśliwszy ode mnie! Ukłoniłem się pięknie i jednym susem znalazłem się na górze; stangret z bicza trzasnął, i pognaliśmy naprzód po błyszczącej drodze, aż wiatr mi szumiał nad głową.

Zostawały poza mną wsie, ogrody i wieże kościelne, przede mną wylaniały się nowe wsie, zamki i góry, pode mną przelatywały barwne pola, łąki i zarośla, nade mną uwijały się niezliczone skowronki w przeczystym lazurze — wstydzilem się krzyczeć głośno, ale wewnątrz szalałem z radości, wierzgałem nogami i skakałem na stopniu pojazdu; niewiele brakowało, a byłbym zgubił skrzypce, które trzymałem pod pachą.

*Tłum. W. Kędzierska.*

#### ŁAGODNYCH DNI JESIENI..

Łagodnych dni jesieni!  
Jak fantastyczny szlak,  
Państwo się twoje mieni,  
Tak barwna, blada tak!

Przedziwne takie cieką  
Pieśni z twych błądych ust,  
Jest mi, jakby się lekko  
Głęb otwierała bródz,

Tak puste łąki, gaje,  
Bez ludzi, zjęte snem!  
Ledwie je odpoznaję  
W osamotnieniu tem.

Jakbym już leżał w ziemi,  
Twój śpiew potężniał, rósł!  
I liśćmi mię złotemi  
Gaj zasypywał brzóz.

*Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam)*

#### FRIEDRICH RÜCKERT

(1788—1866)

#### Z «MĄDROŚCI BRAMINÓW»

Zlą dolę znoś, jak dobrą, mając to na względzie,  
Że gdy będziesz źle znośił, gorzej ci z tem będzie.

Gdy cię przyjaciel zrani, przebac, przekonany,  
Że sam cierpi: inaczej nie zadałby rany.

Gdy znajdziesz cierni w miłości, kochaj jeszcze wierniej:  
Że masz różę przy sobie, poznajesz to z cierni.

\*

Najszlachetniejszy kamień jest ten, który kraje  
Wszystkie inne, a siebie zrysować nie daje.

Najszlachetniejsze serce jest to, które właśnie  
Raczej da się skaleczyć, niż samo zadrasnie.

\*



Poezja będzie dzieci chorobą w przyszłości,  
A umiejętność tylko znakiem dojrzałości.

Chłopcem każdy odrobi melodram poety,  
Mężem bez wzruszeń serca będzie szedł do mety.

Wtenczas ludzkość w największą powagę się wzbije...  
Lecz mnie ucieszy, że owych czasów nie dożyję.

\*

Gdy gardzisz poprzedników myślami wszystkimi,  
Jak chcesz, by myśl twą potem ważono na ziemi?

Nawet nie możesz wiary mieć we własne zdania,  
Kiedy do myśli ludzkiej nie masz zaufania,

\*

Drzewo, gdy ptaszek siedzi, ciężaru nie czuje,  
Lecz zachwieje się gałąź, gdy on odlatuje:

Tak ty nie czujesz szczęścia, gdy w twych piersiach gości,  
Lecz gdy uleci, czujesz utratę radości;

Tak świat zacnych człowieka dążeń nie spostrzeże,  
Póki z świata powierzchni śmierć go nie zabierze.

\*

Doskonałych i świętych kochać mi najtrudniej:  
Byliby niewygodni i byliby nudni.

Tak jak są, kocham ludzi: słabych, zaślepionych,  
Jednostronnych, ułomnych i ograniczonych;

Tak się przedstawiających kocham ich na świecie,  
I tak ich przedstawionych chcę znaleźć w poecie.

Gdy innych mi ukaże świat, to ich w pokorze  
Znieść muszę; lecz gdy książka — nabok ją odłożę.

*Tłum. Adam Asnyk.*

#### ANTEUSZ

Tytan, rodzony syn ziemi,  
Co, skoro dotknie jej pól,  
Z siły powstaje nowemi —  
Ten straszny olbrzym: to ból!  
Chcesz, Herkulesie, go zmóc?  
Darmo o ziemię nim tłuc!

Od matki porwij go biodra  
Wgórę, gdzie niknie jej pył,  
Skąd siła sptywa ci szczodra,  
Gdzie on opada ze sił.  
Z tkwiącemi w niebo czyma  
W powietrzu zgnieciesz olbrzyma.

*Tłum. Adam Pajgert.*

#### ŻEGLUGA

Jako okręt z falą mórz,  
Życie z śmiercią toczy bój;  
Naokoło wichry burz,  
Niebezpieczeństw groźnych rój.

Okrętowych desek rząd  
Tylko grób zakrywa nam;  
Niestalego wiatru prąd  
Miota nami tam i sam.

Choć głębina w ciszy śni,  
Choć powietrzna czysta dal,  
O rozbicie wciąż się drży,  
Kto wśród życia płynie fal.

*Tłum. J. B. Kutylowski.*

## THEODOR KÖRNER

(1791—1813)

## PRZECZUCIE

Spędzając chwile w rodzinnem ukryciu,  
 Nieznany światu i nie znając świata,  
 Jeszczem na ciernie nie natrafił w życiu,  
 Z samych róż dotąd wianek się mój spleta.

A jednak, jednak, gdy sam na sam z sobą  
 Z sercem poufną zawiodę gawędę,  
 Wszystko mi smutkiem i wszystko żalobą,  
 Jakbym przeczuwał: nieszczęśliwy będę!

I stąd w me strofy gorzka czasem nuta  
 Płacze się, wciska, jak gość nieproszony,  
 Rzekłbyś, nie memi palcami wysnuta;

Kto wie, być może, lutni mej ze strony  
 Dotyka szatan końcem tego knuta,  
 Który nade mną czeka zawieszony!

*Tłum. J. S. Chamiec.*

## POŻEGNANIE ŻYCIA

(Gdy ciężko ranny leżałem w lesie, myśląc, że umieram.)

Rana tak pali; — zbielale drżą wargi. —  
 Czuję po słabem mego serca biciu,  
 Że tu ostatni kres mojemu życiu. —  
 Jak chcesz, o Panie! Poddam się bez skargi. —

Roje snów złotych krążyły nade mną —  
 Piękne marzenia dziś jękiem przy zgonie. —  
 Męstwa!... co wiernie tu noszę w mem łonie,  
 Toć i tam musi na wieki żyć ze mną! —

I co mi było świętością na ziemi,  
 Do czego gorzał młodzieńczym zapalem —  
 Czyto wolnością, czy miłością zwałem:

Już stoi przy mnie, jak seraf świetlany;  
 A gdy skon zmysły mroczy kiry swemi,  
 Technienie mnie jedno niesie w świt różany.

*Tłum. Iza (I. Mrozowicka).*

## FRANZ GRILLPARZER

(1791—1872)

## Z «GRY UCZUĆ I FAL MORSKICH»

(*Młoda kapłanka Hero sama w komnacie wewnątrz wieży; stawia lampę w oknie i staje obok.*)

Hero:

Jak ta noc cicha. Hellespont pozwala  
 Falom swobodnie jako dzieciom igrać,  
 Więc szemrzą ledwie w cichem upojeniu.  
 Głosu ni światła, tylko moja lampa

Blade promienie rzuca w przestwór nocy!  
 Postawię światło bliżej nocnych cieniów;  
 Niech się wędrowiec późny cieszy myślą,  
 Że ktoś prócz niego czuwa. Niechaj promień  
 Aż do przeciwnych sięga brzegów, jako  
 Gwiazda przewodnia wśród ciemności nocy.  
 Zbyt jasno świecisz; spostrzec cię gotowi.  
 Czas mnie i tobie do snu się ułożyć!

*(Odnosi lampę)*

A jak ten płomyk gaszę moją ręką,  
 Tak niech zagaśnie, co w sercu zatlilo —  
 Oby się nigdy, nigdy nie zbudziło!

*(Stawia lampę na stole; zdejmuje klejnoty z włosów, nucąc półgłosem)*

«I Leda głodzi  
 Po miękkim puchu...»

Ta wieczna piosnka tak mnie prześladowe!  
 Do pustej wieży nie schodzą bogowie,  
 Ani się łabędź, ni orzeł nie skusi  
 Zanieść pociechę biednej samotnicy! *(Siada)*  
 Tam leży harfa. Ach, jakże żałuję,  
 Żem się grać nigdy nie uczyła w życiu!  
 Dziś niema dla mnie być musi, a stokroć  
 Łatwiejby było wyrazić dźwiękami  
 Myśli, co w słowa ująć się nie dadzą.

Bywaj mi zdrowy, piękny ty młodzieńcze!  
 Pomimowoli myśl moją zajmujesz,  
 Choć to uczucie tak czyste i jasne,  
 Że się cień winy poza niem nie kryje.  
 Szczęścia ci życzę, szczęścia, żeś daleko...  
 A gdyby głos mój mógł sięgnąć do ciebie,  
 Zawołałabym: Dobranoc!

*(W ramie okna ukazuje się Leander)*

Leander:

Dobranoc!

Hero:

Ach, co to znaczy!? Czy w mej samotności  
 Echo mnie biedną pocieszać przychodzi?  
 Piękna niebianko! witam cię z radością!

Leander:

Niebiankę witam!

Hero:

To nie jest głos echa,  
 Lecz cóż ja widzę? Twarz ludzka, ramiona...  
 Człowiek się wznosi; już w oknie uklęknął...  
 Precz stąd, nieszczęsny! o pomoc zawołam!

Leander:

Ach, tylko chwilkę użycz prośbie mojej!  
 Patrz, te kamienie z pod stóp mi się suną;  
 Jeśli odmówisz, wpadnę w przepaść ciemną;  
 Ach, tylko chwilkę dozwól mi jedyną!

*(Wchodzi do komnaty oknem.)*

Hero:

Nie rusz się z miejsca! Co ciebie, szaleńcze,  
Sprowadza tutaj?

Leander (*stojąc w głębi*):

Światło twe ujrzałem —  
Gwiazdę przewodnią wśród ciemności nocy;  
Gwiazda ta, duszy rozjaśniając ciemnie,  
Tu mnie przywiodła...

. . . . .

Hero (*porywczo*):

Nieszczęsny, przeklęty!  
Pocoś tu przyszedł? By zakłócić spokój  
Jasných dni życia mojego? By zburzyć  
Pogodę serca i czystość mej duszy?  
O, gdyby morze ciebie pochłonęło,  
Kiedy się jego powierzałeś toni!  
O, gdyby kamień z pod twych stóp był runął,  
Kiedy się tutaj wdzierales na wieżę!  
O, gdyby — nieba mściwie! — O, Leandrze —

Leander:

Czemu nie kończysz?

Hero:

Leandrze, czy słyszysz?  
Nie wracaj drogą, którą tu przybyłeś,  
Bo niebezpieczna — aż pomyśleć straszno!  
Co jest w człowieku, co go tak zaślepia,  
Że bezpieczeństwo własne ma w pogardzie,  
Mysząc o innych?...  
Ach, nie dotykaj mnie! To nie jest cnota,  
Co ludzkie serca tak zmienia zupełnie,  
Przygasa światło, od bogów nam dane,  
By, jak sternikom gwiazda biegunowa,  
Drogęaczyło.

Leander:

ty to złem mienisz?  
Ludzie zaś wielbią, jak najwyższą rozkosz,  
(*Klękając przed nią*)  
Zowiąć miłością!

Hero:

Więc aż tak daleko  
Doszło to słowo o złudnych kolorach?  
Ty je powtarzasz i zwiesz się — szczęśliwym!  
(*Dotyka ręką włosów Leandra*)  
A musisz płynąć przez burzliwe morze,  
Gdzie każda fala śmiercią tobie grozi,  
A tu, u celu, inna śmierć cię czeka...  
(*Ogląda się z niepokojem.*)

Tłum. Helena Wiślańska.

## IDĘ SAM

Struna mej liry jak słodko brzmi!  
Z nią naprzód idę sam;  
Mało do życia potrzeba mi,  
Gdy moje to, co mam!

Miłość czatuje w gajku róż,  
Uśmiechem wabi tam;  
Baw się ty z dziećmi, znam ja cię już!  
Niech zcicha przejdę sam!

Szczęście mi z pełnych dobywa skrzyń  
Cały klejnotów kram;  
Tylu cię wzywa, na tamtych skiń!  
Leć ty — ja pójdę sam!

Sława cudowny rozściera blask  
Z przyszłości jasných bram;  
Niech drudzy czerpią z źródła twych łask  
Ja im przyklasnę sam!

Tych złud ponętnych potrzebaż mi?  
Dość, gdy sam siebie mam...  
Dopóki struna mej lutni brzmi —  
Z nią naprzód idę sam!

## C Z A S

Czas tak szybko naprzód bieży,  
A ja zcicha w miejscu śnię;  
Prąd się toczy coraz szerzej:  
On nie porwał przecież mnie!

Huk szalony wkoło słyszę,  
Czoła dębów wicher gnie;  
Walczą moi towarzysze:  
Głos ich próżno wzywa mnie!

Ja przeczekam gromy burzy,  
Niech z powodzi ziemia schnie;  
Gdy czas w locie skrzydła znuży,  
Snadniej mety dobiec mnie!

Niechaj przebrzmiać czeze tartasy,  
Rozum ludzki w błędach brnie:  
C z a s ma skrzydła, a l e c z a s y —  
Te nie mają skrzydeł, nie!

\_\_\_\_\_ *Tłum. Seweryna Duchńska.*

## AUGUST PLATEN-HALLERMÜNDE

(1796—1835)

## Z «SOFOKLESA»

Zbożny Sofoklu, okiem tyś przenikającym  
Dojrzał punkt, gdzie człowieka i boga rozstaje,  
A co w kwietne słów ziemskich przydziałeś maje,  
To ci wprzód prześpiewało niebo natchnień gońcem.

Do wnętrza świata dotarłeś sercem palającym  
I znasz też na powierzchni pasącą się zgrają:  
Wszystko, co w człecznej piersi ufa, w męce taje,  
Wypowiedziałeś swoich języków tysiącem.

Nigdyś nie ugrzązł w zimnym trzeźwości moczarze,  
Z szlachetną rozrzutnością buchało twe łono  
Wciąż skier jasnych wytryskiem w złotym ognia żarze.

Posłannictwo ci wielkie i święte zlecono,  
Wypiłeś szal kipiący w poezji puharze  
I świetną dziś jaśniejesz Dokonań koroną.

*Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).*

## GRÓB W BUSENTO

Nad Busento, przy Cosenzy, nocą ciche pieśni dzwonią;  
Z fal odpowiedź się rozlega, dookoła nad wód tonią.  
A w pomroku, brzegiem rzeki, mężnych Gotów cienie biega,  
Opłakując Alaryka, z pośród swoich najlepszego.

Zbyt go wcześniej w grób musieli złożyć, od ojczyzny zdala,  
 Lubo jeszcze mu spadała z bark kędziorów złotych fala.  
 I stanęli nad Busento zwartym rzędem, w nocnej porze;  
 Iżby rzeki prąd odwrócić, wykopali inne łożo.  
 W opróżnionem wód korycie grób wyryli mu głęboki;  
 W zbroi, na bojowym koniu, szły w mogiłę wodza zwłoki.  
 Potem — wraz z bogatym łupem — ziemią zasypali obu,  
 By wysokie wodne krzewy z bohatera wzrosły grobu.  
 Po raz wtóry odwrócony nurt Busenta w dzikim szale  
 Zalał dawne swe łożysko, wód spienione pędząc fale.  
 I śpiewały mężów chóry: «Śpij spokojnie, bohaterze!  
 Nędzna chciwość Rzymianina już ci grobu nie odbierze!»  
 Tak śpiewali... a tych gockich odgłos pieśni biegł w przestworza...  
 Nieś, Busento, je na fali, nieś od morza je do morza!

*Tłum. Władysław Nawrocki.*

Z «GAZEL»

Że bliźnim z rany płynie krew, nie szkodzi człowiekowi nic,  
 O nękający chorych ból nie dbają nigdy zdrowi nic!  
 I gdyby nie ta krótkość lat, co każdy z nas w dziedzictwie ma,  
 W ohydzie temu nigdzie w krąg nie równa się faktowi nic!  
 Jednakże życie tworzy się, lecz wielokształtny bywa zgon,  
 Świat celom nie współczuje mym ni twoich dni kresowi nic;  
 I kto się poddać nie chce rad tym losom, co czyhają nań,  
 Ten się, markotny, wpędzi w grób, ale i tam nie złowi nic;  
 To wszyscy wiedzą, łatwo zaś zapominają o tem wciąż,  
 I przeto odtąd w sprawie tej już wargę ma nie powie nic!  
 Zapomnij, że cię ludzi świat, że chęci rodzi jego chęć,  
 Niech nic miłości twej, a też nie ujdzie domysłowi nic!  
 Niech każdy liczy, że mu da, czego nikomu nie dał, czas —  
 Bo każdy chciałby wszystkim być, a w gruncie nie stanowi nic.

*Tłum. Alfred Tom.*

KARL IMMERMANN

(1796—1840)

Z «MERLINA»

Merlin:

Jeśli myśl o tem przejmuję cię grozą,  
 Że twa przyroda w nicość się pograży  
 Przez to, że w chwili, kiedyś ją utworzył,  
 On ją w ramiona, jak oblubienicę,  
 Ująwszy, złożył na jej ustach świętych  
 Całunek, który Chrystusem nazwano —  
 Wiedźże, wszechmocny, lecz ograniczony  
 Duchu: świat teraz dopiero żyć zaczął  
 I już nie umrze. Otwórzcie się, nieba!  
 Patrz!

*(Robi ruch ręką. Obłoki się rozsuwają. Widać wspaniałość niebios.)*

Szatan:

Coś uczynił? mnie i tobie biada!  
 Ślepnię...

Merlin:

Przyjdź do siebie!...

Szatan:

O, Adonaj!... ach!...

Merlin:

Co widzisz?

Szatan:

Mękil... Sam siebie tam widzę...

I wszystko, wszystko!... Prawdaż to, czy złuda?

Kto władcą rzeczy? kto cienia? — ja nie wiem...

On?... ja?... o, dosyć, przestań mnie już dręczyć!

Merlin:

Ty sam to jesteś wraz z legjony swemi!

Tyś wyszedł z niego, jego byłeś sługą;

On przybrał w tobie nienawiści formę,

Bo go wszechmilość wypełnia...

Patrz, patrz, ty boże natury potężny,

Patrz na naturę, tkwiącą w łonie Boga!

—  
*Tłum. Ignacy Matuszewski.*

HEINRICH HEINE

(1797—1856)

Z «PODRÓŻY PO HARCUCU»

Nie da się to opisać, z jaką swobodą, naiwnością i wdziękiem spada Ilza po awanturycznych skał odłamach, które spotyka w biegu; w jednym miejscu, rycząc dziko i pieniać się, przelewa swe wody wierzchem, w innym wszelkimi szparami wśród kamieni, jakby z pełnych dzbanów, leje się czystą wygiętą strugą, to znowu po drobnych kamyczkach biegnie, jak wesołe dziewczątka. Zaiste, podanie prawdę mówi, że Ilza jest księżniczką, która, uśmiechnięta i świeża, zbiega z góry. Jak połyska w słońcu jej biała perliska sukienka!... Jak z wiatrem powiewają srebrne wstęgi od jej łona! Jak połyskują i iskrzą się jej brylanty! Wysokie buki stoją nad nią, niby poważni ojcowie, którzy, uśmiechając się ukradkiem, patrzą na swawolę lubego dziecka; białe brzozy, jak ciotki, poruszają się zadowolone, ale i zaniepokojone zarazem z powodu jej zbyt ryzykownych skoków; dumny dąb, niby zgryźliwy wujaszek, spogląda z miną krewniaka, na którego koszt ta hulanka się odbywa; ptaszki w powietrzu ćwierkają pochwały, a kwiaty u brzegów szepczą czule: «O, weź, nas z sobą, weź nas z sobą, luba siostrzyczko!» Ale wesołe dziewczę pędzi dalej w podskokach i chwytą nagle rozmarzonego poetę, na którego spada kwiecisty deszcz dźwięczących promieni i promienistych dźwięków, który zmysły traci wobec takiej świetności i nic nie słyszy więcej, prócz fletniowych głosów, brząających mu w ucho:

Księżniczka jestem Ilza,  
Dom w Ilzensteinie mam;  
Pójdź ze mną do mego zamku,  
Szczęśliwi będziemy tam.

Ochłodzę głowę twoją  
Najczystsza z moich fal,  
Zapomnisz o swoich bólach,  
Ukoisz dawny żal.

W ramionach moich białych,  
Na białym łonie mem,  
Tam będziesz leżał i marzył  
Rozkoszy dawnej snem.

Upieszczę, ucałuję,  
Jak ongi dawnych lat,  
Miłego cesarza Henryka,  
Co już pożegnał świat.

Kto umarł, niech śpi w grobie;  
 Niech żyje, kto żyć ma...  
 Jam piękna i kwitnąca,  
 A w sercu śmiech mi drga.

A kiedy drga mi serce,  
 Dwór szklany dźwięczy mój,  
 I tańczą rycerze i damy,  
 I płasza paziów rój.

Jedwabiów słychać chrzęsty  
 I ostróg brzęk u nóg,  
 A karły bębnią i trąbią,  
 I grają, i dmą w róg.

A ciebie, jak Henryka,  
 W objęciu będę mieć,  
 Na uszach mu kładłam rączki,  
 Gdy trąba miała grzmieć.

*(Przekład Marji Konopnickiej.)*

Nieskończenie błogiego doznajemy uczucia gdy świat zjawisk zewnętrznych zjedzie się ze światem naszych uczuć i kiedy zielone drzewa, myśli, śpiew ptasząt, błękit nieba, wspomnienia i zapach róż w piękne splączą się arabeski. Kobiety najlepiej znają to uczucie i dlatego mają tak błogo sceptyczny uśmiech na ustach, gdy ze szkolarską dumą chwalimy czyny logiczne i opatrujemy głowę naszą, jak kram apteczny, tysiącem szufladek, w których mieści się rozum, rozsądek, dowcip, lichy dowcip, a w jednej szufladce nic, czyli mianowicie idea.

*Tłum. Marjan Gawalewicz.*

#### Z «KSIĘGI LE GRAND»

Przyjdzie dzień, w którym wygaszony jest żar w moich żyłach, w piersi mojej zima mieszka, białe jej płatki tu i ówdzie przyprószyły mi głowę, a jej mgła zasłania mi oko. Przyjaciele moi leżą po zapadłych grobach; zostałem sam, jako więź samotny, o którym drwał zapomniał w lesie. Nowe pokolenie zakwitło z nowymi pragnieniami i z myśli prądem nowym, i zadziwiony słucham nowych imion i nowych pieśni; przebrzmiały stare imiona, i ja sam przebrzmiałem, przez niewielu poważany, przez wielu nienawidzony, a nie kochany przez nikogo zgola! I biegną ku mnie chłopcy o różanem licu, i cisną mi w drżące dłonie harfę moją starą, i wołają ze śmiechem: «Długo coś milczysz, ty leniwy dziadu! śpiewaj no znów piosenki o snach swej młodości!»

Wtedy chwytam za harfę, dawne radości i dawne boleści w piersi mej się budzą, rozpraszają się mgły, w martwych moich oczach zakwitają lzy młode, wiośnieje mi w piersi, słodkie dźwięki tęsknoty drżą w strunach harfy, i znów oglądam modrą rzekę i marmurowe pałace, i cudne niewiast i dziewcząt postacie, i śpiewam pieśń o białych Brenty kwiatach.

To będzie ostatnia moja pieśń. Gwiazdy patrzą na mnie, jak patrzyły w nocie mej młodości, rozkochany promień księżycy znów całuje moje usta, echowe chóry umarłych słowików pieją gdzieś woddali, oczy moje zamykają się w sennem upojeniu, dusza moja milknie razem z dźwiękiem harfy — kwiaty Brenty pachną.

Grobowiec mój ocieni drzewo. Chciałbym, aby to była palma, ale palmy nie udają się na północy. Będzie to zapewne lipa, pod którą w letnie zmierzchy zakochani przyjdą pieścić się i gwarzyć; czyżyk, który, podpatrując ich, na gałązce się buja, umilkł, a moja lipa szumi przyjaźnie nad głowami szczęśliwych, tak szczęśliwych, że nie mają czasu odczytywać, co tam na białym kamieniu grobowym jest napisane. Ale później, później, kiedy kochanek utraci dziewczynę swoją, przyjdzie znów pod znajomą lipę i będzie wzdychał i płakał, i długo, i często patrzył na kamień grobowy i wtedy odczyta na nim napis: «Kochał kwiaty Brenty».

*Tłum. Marja Konopnicka.*

#### Z «KSIĘGI PIEŚNI»

Na skrzydłach pieśni niebiańskiej  
 Z tobą, o luba, popłyne  
 Tam — ponad brzegi Gangesu,  
 Gdzie znam ustronie jedyne...

Tam kwitnie ogród różowy  
 W srebrzystym blasku księżycy,  
 A cudne zwoje lotosów  
 W blasku tym myją swe lica...



Szepcze fiolek do braci,  
Do gwiazdek wznosi swą głowę,  
A róże wpośród milczenia  
Wonną prowadzą rozmowę...

Jakby zefirów podmuchy,  
Gazele biegną po skale,  
A wdali — szumią uroczo  
Świętego Gangesu fale...

Tam, na tych błoniach spoczniemy  
Pod bujnym drzewem palmowem,  
Poić się będziem miłością,  
Rozkosznych słów karmić słowem...

*Tłum. Aleksander Kraushar.*

Ludzie mię w życiu niemało  
Dręczyli w sposób przekłętą —  
Jedni miłością zbyt stałą,  
Drudzy zaś zbyt niemi wstręty.

Powszedni chleb mi mój truli,  
Truli codziennie mi picie —  
Jedni, że zbyt byli czuli,  
Drudzy, że dźgali mię skrycie.

I tylko ta, której siła  
W mem udręczeniu jest cała,  
Ani mię nienawidziła,  
Ani też choćby kochała.

*Tłum. Felicjan Faleński.*

Brylant się z perłą jednoczy,  
W przepych cię strojąc książęcy,  
I najpiękniejsze masz oczy —  
O, luba! czegoż chcesz więcej?

I wielbi piękne twe oczy  
Mych pieśni kilka tysięcy,  
Co się we wieczność potoczy —  
O, luba! czegoż chcesz więcej?

Mą zgubą piękne twe oczy!  
Na twój to triumf dziewczęcy  
Zniszczył mię blask ich uroczy —  
O, luba! czegoż chcesz więcej?

*Tłum. Adam Pajgert.*

Rad mi i przestrog cennych nie szczędzono,  
Nawet chwalebne dano mi uznanie;  
Mówiono: — Czekaj — ktoś cię komuś, pono,  
Kiedys zalecić raczy niesłuchanie.

Mimo tych jednak obiecanek z góry,  
Na dole z głodu zdechłbym, iż tak rzeke,  
Gdyby nie pewien zacny człowiek, który,  
Niewiele myśląc, wziął mię w swą opiekę.

Wyborny człowiek! Dał mi jeść po uszy!  
Kochać go będę aż do zwarcia powiek.  
Chciałbym go nawet móc uściskać z duszy —  
Cóż, gdym ja sam jest ten wyborny człowiek.

*Tłum. Felicjan Faleński.*

#### Do mojej matki

Przywykłem w życiu głowę nieść zwysoka,  
Myśl moja dumnem się korytem toczy;  
Choćby król nawet chciał mi spojrzeć w oczy,  
Złękiego przed nim nie spuściłbym oka.

A przecież, matko, choć aż do obłoka  
 Lot myśli dumnie wzbija mię ochoczy —  
 Gdy twoja postać błysnie mi w przezroczy,  
 Wnet mię zdejmuję pokora głęboka.

Twojegoż ducha tajna to potęga,  
 Co wszystko wokół w swoją służbę wprzęga,  
 I błyskawicznie aż do nieba sięga?

Czy też wspomnienie we mnie pozostało,  
 Że tyle win mych serce ci ścisnęło,  
 To drogie serce, co mnie tak kochało?

*Tłum. Józef Kościelski.*

### Do Krystjana S.

Próżno świat głupi wciąż się na mnie dąsa;  
 Nie będę tańczył dokoła bałwanów  
 Razem z tłumami, ni ścisnął tych panów,  
 Z których mnie każdy, jak pies, milczkiem kąsa.

I próżno bertem słomianem potrząsa  
 Zgraja nierządnic z chórem swych kapłanów;  
 Nie będę z cizbą ciągnął ich rydwanów,  
 Niech gawieźdź czi ich, niech w podskokach płąsa.

Wiem, że dąb runie — trzcina przetrwa burze,  
 Gdyż wpół ją zegnije chytrąś domorośla,  
 By potem, w ciszy, pięła się ku górze.

Lecz przyszłość trzciny?... Bo niech mi kto powie,  
 Co za karjera zostać laską osła,  
 Lub za trzepaczkę służyć lokajowi!

*Tłum. Andrzej Niemojewski.*

Ty jesteś, luba, jak kwiat, —  
 Tak piękną, czystą, powiewną;  
 Gdy patrzę na cię, pierś ma  
 Bolescią ścisną się rzewną.

Na głowę twą chciałbym dłoń  
 Położyć z modlitwą śpiewną:  
 Oby zachował cię Bóg  
 Tak piękną, czystą, powiewną.

Oboje czcili się bardzo,  
 Lecz wyznać tego nie śmieli;  
 Patrzyli na się zukosa,  
 Chociaż miłością płonęli.

A gdy się wreszcie rozstali  
 W najgrubszej serca żałobie,  
 Pomarli zdala od siebie,  
 Nie wiedząc nawet o sobie.

*Tłum. Aleksander Kraushar.*

Czego chce ta lza samotna?  
 Tylko wzrok mi mgłą owiała.  
 Z mej przeszłości, co niezrotna  
 Ona jedna mi została.

I jak mgła już się rozwiła  
 Górnych światła tych promienie,  
 Co w mem sercu oświecały  
 Każdą rozkosz i cierpienie.

Jej promiennych siostrzyc tyle  
 W błyskach burzy, w nocy cieniach  
 Przepłynęło w szczęścia chwile,  
 Przepłynęło w udręczeniach.

Ach, i miłość ma na wieki  
 Przeszła już, jak tchnienie lotna!  
 Spłynęła i ty z mej powieki,  
 Dawna moja lzo samotna!

*Tłum. Jan Prusinowski.*

## Z «NOWYCH POEZYJ»

Zlekka słodkie po mej duszy  
Przeciągają tony...  
Dźwięcz, wiosenna piosnko mała,  
Dźwięcz w dalekie strony.

Gdzie dom pełen świeżych kwiatów,  
Zdążaj potajemnie,  
A gdy różę tam zobaczysz,  
Pozdrów ją ode mnie!

*Tłum. Adam Asnyk.*

«Znowuś błakał się noc całą!  
Patrz, co się z kwiatami stało:  
Fiolki biedne w rozpaczcy,  
Róże dziwnie pomieszane,  
Lilje złękłe, zapłakane!  
Co też to wszystko znaczy?»

Mój księżycu, mówiąc szczerze,  
Ja niebardzo kwiatkom wierzę —  
Udają, że są... trusiami!  
Poco też podsłuchiwały,  
Gdy, z miłości płonąc cały,  
Jam rozmawiał z gwiazdami?

*Tłum. Czesław Jankowski.*

## Tragedja

## I

Chodź ze mną w świat i bądź mą żoną,  
Spokojnie śnij na sercu mojem;  
Ono ci będzie tem, co tutaj  
Jest twoim domem i spokojem.

Jeśli odmówisz mi, zmarnieję,  
O szczęściu nigdy się nie dowiem;  
Ale i tobie dom twój własny  
Będzie wygnaniem i pustkowiem.

## II

(Jest to prawdziwa pieśń ludowa, którą słyszałem nad Renem.)

Padł nagły szron w wiosenną noc,  
Na pierwsze młode kwiatki padł,  
Pąki ich zwarzył, uśmiercił.

Gdzieś dwoje młodych kochało się —  
I opuścili ojców dom  
Bez wiedzy ojca i matki.

Błądzili razem tu i tam,  
Aż niezabawem syte łez  
Powieki zwarli — pomarli.

## III

Na grobie ich lipa wyrosła już duża...  
Wiatr targnął nią nagły... i niebo się schmurza,  
Gdy zmierzchem pod drzewem, gdzie miękkość traw nęci,  
Czeladnik młynarski miłości swe święci.

Parobek i dziewczka coś gwarzą pochutnie,  
Wiatr świszczę tak dziko... ptak śpiewa tak smutnie...  
Niemieje kochanek, kochance łzy biegą —  
I żadne z nich nie wie, dlaczego.

*Tłum. Tad. Newlin-Wagner.*

## Z «MORZA PÓŁNOCNEGO»

## Cisza na morzu

Jaki spokój! W mgle słonecznej  
Jak zwierciadło błyszczę morze;  
Statek brózdą szmaragdową  
Wyłłacane fale porze.

Sternik usnął, zapomniawszy  
O mieliznach tego świata;  
Koło masztu siedzi chłopiec  
I, ziewając, żagiel łąta.

Krew rumieni mu policzki,  
Tlustą sadzą zasmolone;  
Jego oczy duże, modre  
W tę i ową błędą stronę.

Nagle zjawia się kapitan,  
Człek, co lubi głośne sprzeczkę;  
«A hultaju! — woła z gniewem —  
Znów mi śledzia skradłeś z beczki!»

Jaki spokój! Na powierzchni  
Wyłynęła rybka lśniącą  
I przy słońcu grzeje główkę,  
I ogonkiem fale trąca.

A pod niebem mewa krąży  
I przyczaja się zdaleka...  
O! już rybkę trzyma w szponach  
I w błękity z nią ucieka!

*Tłum. Wiktor Gomulicki.*

#### Z «WIERSZY WSPÓŁCZESNYCH»

##### Doktryna

Bij w bęben i nie lękaj się,  
Pieść markietankę bez mitręgi!  
W tem umiejętność cała tkwi,  
To treść najgłębsza każdej księgi.

Bębniem ludzi ze snu budź,  
Bacz, by pobudka młodo grzmiała...  
Bębniąc, maszeruj naprzód wciąż —  
Oto jest umiejętność cała.

To filozofja Hegla jest,  
To treść najgłębsza każdej księgi!  
Jam pojął ją, bo rozum mam,  
Ponieważ ze mnie dobosz tęgi.

##### Ostrzeżenie

Ty ogłaszasz takie książki?  
Wręcz przepadłeś, druhu luby!  
Musisz kark zgiąć należycie,  
Chcąc mieć sławę i pieniądze.

Nie radziłbym ci, zakaty,  
Tak przemawiać przed narodem,  
Tak przemawiać przed klechami  
I możnymi potentaty!

Druhu! Źle się tobie tuszy!  
Możni mają długie ręce,  
Klechy znów — języki długie,  
Ludek zaś ma długie uszy!

*Tłum. Władysław Nawrocki.*

##### Czekajcie tylko!

Że tak wspaniale umiem błyskać,  
Sądzicie, że nie zdołam grzmieć?  
Mylicie bardzo się — by ciskać  
Gromy — talent też mogę mieć.

Strasznie się kiedyś przeświadcycie,  
Kiedy ów dzień nadejdzie już,  
Wtedy to głos mój usłyszecie,  
Słowo, jak piorun, jak ryk burz.

Niejeden dąb tam pogruchocze  
Na owym dniu szalony grom,  
Niejeden pałac zadygoce,  
Runie niejeden boży dom!

*Tłum. Kazimierz Przerwa-Tetmajer.*

##### Szczury wędrowne

Dwóch są gatunków szczury:  
Syci panowie i głodne ciury.  
Syte są domatorami,  
Głodne wędrują światami.

Wędrują tysiące mil,  
Nie znają spoczynku chwil,  
Gdzie oczy niosą, tam im droga,  
Nie wstrzyma ich wichura sroga.

Pną się na góry wysokie,  
 Płyną przez morza szerokie —  
 Niejeden zginie wśród mórz, wśród niw,  
 Umarli zostają, idzie, kto żyw.  
 Mają ci te opryszki  
 Straszliwie zjadłe pyski  
 I głowy równo strzyżone pod sznur —  
 Tak radykalny nosi się szczur.  
 Ta radykalna gromada  
 Nie modli się, nie spowiada,  
 Ani chce ślubów, ani chrzcin,  
 Kobiety są własnością gmin.  
 Nie zna zmysłowa ta partja  
 Nic, oprócz picia i żarcia,  
 Nie myśli, gdy chce jeść i pić,  
 Że dusza nasza za grobem ma żyć.  
 Taka już dzika hołota!  
 Nie boi się piekła ni kota;  
 Kto ma, ten wróg, kto nie ma — brat,  
 I chcą na nowo dzielić świat.  
 O zgrozo! wędrownie szczury  
 Podchodzą pod nasze mury.  
 Słyszę ich pisk, jak grozi i trwa —  
 Idzie ich éma. —

Giniemy! biada nam, biada!  
 Do bram już zgraja dopada!...  
 Pan burmistrz i ławników wiec  
 Nie wie, co począć i co rzec.  
 Mieszczanństwo staje pod bronią,  
 Klechy na trwogę już dzwonią —  
 Własność, moralny państwa grunt,  
 Obalić chce bezbożny bunt.  
 Ani te dzwony, ni gesty,  
 Orędzia, ni manifesty,  
 Ani tysięczny armat park  
 Nie zwalczy tej biedy, co spada na kark.  
 I nanic też misterne szyki  
 Dawno przebrzmiałej retoryki;  
 Nie złapać szczura na słów kwiaty —  
 Skoczy przez wszystkie sofizmaty.  
 Pustym żołądkom dawać trzeba  
 Logikę zupy, dowód z chleba,  
 Argumentację nie bez okrasz,  
 Owszem z cytata frankfurckiej kielbasy.  
 Milczący szczupak po żydowsku  
 Łatwiej przekona ich do wniosku,  
 Niż taki mówca Mirabeau  
 Lub Marcus Tullius Cicero.  
 Tłum. Józef Weyssenhoff.

### CHRISTIAN DIETRICH GRARBE

(1801—1836)

#### Z «ŻARTU, SATYRY, IRONJI I GŁĘBSZEGO ZNACZENIA»

(*Wchodzi pan Wernthal, rozmawiając z samym sobą.*)

Wernthal: A więc niebawem wesele! Moja narzeczona jest dowcipna, wesola i szlachetna. — Ale ja mam 12.000 talarów długu, ona zaś jest zbyt mądra, aby mi tak wielki kapitał do rąk powierzyć. — Żebyż ona siedziała na Łysej górze, a jabym dźwigał na grzbiecie jej złote sakwy!

Djabeł (*występując z ukrycia, do siebie*): Również czcigodny człowiek. (*Głośno*)  
 Sluga, panie von Wernthal! Co u pana słychać?

Wernthal: Oj, źle, panie Kanoniku!

Djabeł: Ile pan chcesz za swoją narzeczoną?

Wernthal (*wybuchając gniewem*): Panie, pan —!

Djabeł: Jestem namiętym zbieraczem nieżonatych chrapaszczy, tłustych oberżystów i młodych narzeczonych; dobrej ceny nie poskapię.

Wernthal: Hm! Hm! A więc kolekcjonista! Nie poskapisz pan dobrej ceny! A więc ile dajesz za Liddy? Jest niezmiernie piękna.

Djabeł: Za piękność płacę 2.000 talarów w monecie konwencyjnej.

Wernthal: Jest rozumna!

Djabeł: Za to odciągam panu 5 groszy i 2 fenigi, ponieważ rozum jest wadą u dziewczyny.

Wernthal: Ma wykwintną, miękką rączkę.

Djabeł: Policzkuje, znaczy się, łagodnie. Za to płacę 7.000 talarów w złocie.

Wernthal: Jest jeszcze niewinna.

Djabeł (*z miną kwaśną*): Ach, niewinność tędy, niewinność owędy! — Za to nie dam więcej nad 3 grosze i 1 fenig w monecie miedzianej.

Wernthal: Ale Liddy posiada nadto uczucie, wyobraźnię.

Djabel: Uczucie psuje płeć, wyobraźnia wywołuje niebieskie podkowy pod oczyma i warzy piwo w dzbanie. Za ten cały kram daję z ironji tylko trojaka.

Wernthal: Pan masz dość wstrętny smaczek.

Djabel: Ostatecznie — abyś pan wreszcie zamilczał o możliwych moralnych właściwościach baronówny — rzeczy tych zdrowie moje nie znosi — zapłacę panu jeszcze 11.000 talarów w holenderskich karbowaniach. —

Wernthal: Ileż to wszystko czyni razem?

Djabel (*obliczając na palcach*):

Za piękność — 2.000 talarów w monecie konwencyjnej,

za niewinność — 3 gr. 1 fen. w miedzi,

za miękką rączkę — 7.000 talarów w złocie,

za uczucie i wyobraźnię — trojaka, z ironji,

za przemilczenie o właściwościach moralnych osoby — 11.000 talarów w karbowaniach holenderskich.

To czyni razem: 20.000 talarów, 3 grosze i 4 fenigi.

Z tego odchodzi: 5 groszy, 2 fenigi za rozum;

pozostaje saldo: 19.999 talarów, 22 grosze i 2 fenigi.

Wernthal: Dawaj rękę, panie zbieraczu narzeczonych i chrabąszczy!

*Tłum. Wacław Berent.*

## NIKOLAUS LENAU (VON STREHLENAU)

(1802—1850)

### PRIMULA VERIS

Już się rozwijasz,  
Pierwiosnku biały!  
Najlżej ze wszystkich  
Kwiatki twe spały:  
Więc się zbudziłeś  
Pierwszy na łące,  
Rozchyłasz listki  
I witasz słońce.  
Pierwszy ty słyszysz  
Poszepty wiosny,  
Primula veris,  
Kwiatku miłośny!

I mnie tak było  
W serca ogrodzie:  
Kwiat się rozwinął  
Jeszcze o chłodzie!  
Primula veris,  
Kwiecie wierzące!  
Wzrusza je pierwsze  
Tchnienie gorące.  
Wierzy, że wiosna  
Zstępuje z nieba,  
Że jej woń swoją  
Wydać potrzeba.

Więc pierś otwiera  
Na jej przyjęcie  
I marzy słodko  
O wielkim święcie.  
A może chmurne  
Będą niebiosa?...  
Przyjdzie wiatr mroźny  
I zimna rosa?...  
Lecz niech kwiat więdnie  
W chłodu godzinie:  
Wierząca jego  
Dusza nie zginiel!

*Tłum. Marja Ilnicka.*

### Z «PIEŚNI W SITOWIU»

Mętne niebo, chmury pędzą,  
Deszcz posępny, wdali grzmi,  
Zimne wiatry głośno zrzędzą:  
«Stawie, gdzie świt gwiazdy twej?»

I szukają zgasłych blasków  
Na jeziora ciemnym dnie...  
Twey miłości jasnych brzasków  
Nie zobaczy ból mój, nie!

Zaszedł słońca krąg,  
Ciagną pasy chmur:  
Jakie wonie z łąk,  
Jaki wietrzyk z gór!

Już błyskawic skry  
Rzucił chmur tych kłąb,  
Ich odbiciem lśni  
Ciemna stawu głąb.

Śród ognistych fal,  
Zda się, widzę cię  
I wiejące wdali  
Długie włosy twe.

## DO MELANCHOLJI

Towarzyszysz mi przez życie,  
Melancholjo, wczoraj, dziś!  
Czy ma gwiazda lśni w rozświcie,  
Czy w mrok pada — przy mnie tyś!

Na skał wodzisz mnie urwiska,  
Gdzie samotna orłów perć,  
Gdzie się potok z grzmotem ciska,  
W niebo sterczy jodeł śmierć.

Tam wspominam zmarłych koło,  
Z oczu dziko lzy się rwą,  
I zmroczone bólem czoło  
Na pierś chmurną składam twą.

*Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).*

## EDUARD MÖRIKE

(1804—1875)

## OPUSZCZONE DZIEWCZĘ

Rankiem, gdy zapał kur,  
Nim ostatnia gwiazdka się rozplynie,  
Wstaję, rozniecam już  
Ogień w kominie.

W oczach wciąż miły mój...  
Ileż razy nagle mi się zdało,  
Żem przemarzyła tak  
O nim noc całą!

Płomień w krąg rzuca skry,  
Błyśnie, buchnie, to zda się wnet skona,  
Ja stoję, w ognia blask  
Smutnie wpatrzona.

Znów wraca dawny żal,  
Cicho z oczu płyną znów łez strugi;  
Tak zwolna wschodzi dzień —  
Dzień jak wiek długi.

*Tłum. Czesław Jankowski.*

## PRZEDE DNIEM NA GODZINĘ

Gdym wkroczył w snu krainę,  
Przedem dniem na godzinę,  
Jaskółka ćwierka pod okienko —  
I taką budzi mię piosenką,  
Przedem dniem na godzinę:

Ty dziewczę masz jedyne...  
A znasz li jego winę?  
Gdy ci pieśń moja o tem wieści,  
Ona się z innym czule pieści,  
Przedem dniem na godzinę.

O, biada mi! Niech zginę!  
Niech we łzach się rozplynę!  
Precz! Więc jest szczęście jedną chwilką?  
Miłość i wierność snem li tylko  
Przedem dniem na godzinę?

## PACIERZ

Jasny czy pełen mąk  
Dasz byt — bądź Twoja wola!  
Mnie dość, że moja dola  
Snuje się z Twoich rąk!  
Nie snuj jej z łez motka,  
Ani przeszłość słodka  
Niech przede mną leży —  
Ale ją z rubieży  
Snuj — z lubego środka.

## WIERSZ NA GARNKU, ULEPIONYM WŁASNEMI RĘKOMA

Choć stary jestem, dla sztuki jeszcze  
 Jam nie stracony zgoła,  
 Gdyż — nie dopięły czego sny wieszczę —  
 Garncarz dokonać zdoła.

*Tłum. Władysław Nawrocki.*

## GEORG BÜCHNER

(1813—1837)

## Z «WOZZECKA»

*(Wozzeck goli kapitana, rozmawiając z nim.)*

Wozzeck: My, biedny naród! Widzi pan, panie kapitanie, grosz! grosz! Jak kto nie ma pieniędzy! — Niechno taki popróbuje w świecie radzić sobie na moralny sposób! A przecież ma się także ciało i krew! Ale naszemu bratu nie pójdzie ani na tym, ani na tamtym świecie! Myślę, że gdybyśmy się nawet do nieba dostali, toby nas i tam zapędzono do robienia grzmotów.

Kapitan: Wozzeck! on nie ma cnoty, on nie jest cnotliwy człowiek! Ciało i krew? Gdy leżę w oknie — a deszczyk dopiero co przeszedł — i przyglądam się białym pończoszkom, jak skaczą po ulicy — tam do djaska! Wozzeck, wtenczas na miłość mi się zbiera! Ja także mam ciało i krew. Ale cnota, Wozzeck, cnota! Bo inaczej, cóż z tym czasem zrobić? — Mówię sobie zawsze: Cnotliwy z ciebie człowiek (*wzruszony*), dobry człowiek, dobry człowiek!

Wozzeck: Tak, panie kapitanie, cnota — ale gdzie mi tam do tego! Widzi pan, my prosty naród — nie mamy cnoty; naszemu bratu zostaje tylko natura, Ale gdybym ja był panem i miał kapelusz, i zegarek, i monokl, i umiał ładnie gadać, wtedybym już na pewno był cnotliwy. Już tam musi być coś ładnego w tej cnocie, panie kapitanie, ale ja jestem biedny człowiek.

Kapitan: Cóż, Wozzeck, on jest dobry człowiek, dobry człowiek. Ale on za dużo myśli, a to szkodzi; on jest zawsze taki szusowaty. Zmęczył mnie ten dyskurs. Wozzeck, niech on sobie idzie, a niech tak nie pędzi, niech idzie powoli, powolutku ulicą, samym środkiem.

*(W gabinecie doktora.)*

Wozzeck: ...Widzi pan, panie doktor, czasem to się może mieć taki charakter, taką szturukturę. — Ale z naturą to inna rzecz, widzi pan z naturą (*strzela palcami*) to jest coś takiego, jakby to powiedzieć na ten przykład...

Doktor: Wozzeck, on znowu zaczyna filozofować.

Wozzeck: Tak, panie doktor, ale jak się natura kończy...

Doktor: Co robi natura?

Wozzeck: ...jak się natura kończy, gdy świat staje się taki ciemny, że się go trzeba domacywać rękami, że się myśli, iż rozwieje się jak pajęczyna. Ach, gdy coś jest, a przecież tego niema! Ach, Marjo! Gdy wszędzie jest ciemno, tylko zachód rzuca czerwony odbłask, jak kuźnia — czegoż się wtenczas trzymać? (*Zaczyna chodzić po pokoju tam i zpowrotem.*)

Doktor: Drabie! Cóż on tak stąpa ostrożnie, jakby miał pajęczne nogi?

Wozzeck (*poufale*): Gdy słońce stało wysoko i było tak, jakby świat pławił się w ogniu, przemówił do mnie jakiś głos straszliwy...

Doktor: Wozzeck, on ma zwykle aberratio.

Wozzeck (*kładąc palec na nosie*): Bedłki... czy pan widział kiedy na ziemi pierścienie bedłek? Linje koliste — figury — w tem coś jest, tak — gdyby to mógł ktoś odczytać!...

Doktor: Wozzeck, on skończy w domu warjatów. On ma dobrą idée fixe, cenne aberratio mentalis partialis, drugie species! bardzo pięknie rozwinięte! Wozzeck, on



dostanie podwyżkę! Drugie species: idée fixe przy stanie naogół normalnym! Czy on robi wszystko, jak zawsze? goli swego kapitana?

Wozzeck: Tak jest!

Doktór: Je groch?

Wozzeck: Dokumentnie, panie doktor! Pieniądze za strawne dostaje kobieta — dlatego robię to...

Doktór: I pełni służbę?

Wozzeck: Tak jest!

Doktór: Bardzo z niego interesujący okaz! On otrzyma jeszcze grosz dodatku na tydzień. Wozzeck, niechno się on tylko dzielnie trzyma. Niechmo on spojrzy na mnie: co on ma robić?

Wozzeck (z jękiem): Marja...

Doktór: Groch jeść, potem baraninę jeść, czyścić karabin, a między jednym a drugim dbać o swoją idée fixe! O, moja teorjo! O, moja sławo! Będę nieśmiertelny! Nieśmiertelny!

Wozzeck: Tak! Marja... i biedny pędrak.

Tłum. Jerzy Liebert.

## FRIEDRICH HEBBEL

(1813—1863)

### Z «JUDYTY»

Judyta (*wypada z rozpuszczonymi włosami, chwiejąc się. Odstania się druga kotara. Widać śpiącego Holofernesa. Nad głową jego wisi miecz*): Za jasno, za jasno tutaj! Zgas światła, Mirzo, są bezwstydne!

Mirza (*z radością*): Żyją, ona i on! (*do Judyty*) Jak ci jest, Judyto? Policzki masz gorące, jakby krew miała wyskoczyć! Oczy patrzą niepewnie!

Judyta: Nie patrz na mnie, dziewczyno! Nikt nie powinien na mnie patrzeć! (*chwieje się*).

Mirza: Ty się chwiejesz, oprzyj się na mnie!

Judyta: Jakto, bylażbym tak niedołączna? Precz ode mnie! Ja mogę stać — o, ja potrafię jeszcze coś więcej niż stać, nieskończenie więcej!

Mirza: Chodź, uciekajmy stąd!

Judyta: Co? Czyś ty na jego żoździe? On włókł mnie za sobą, porwał mnie do siebie na swoje plugawe łożo, a ty ścierpiałaś to wszystko? A teraz, gdy nareszcie chcę sobie powetować to unicestwienie, którego doznałam w jego objęciu, gdy chcę się pomścić za ten brutalny zamach na moje człowieczeństwo, teraz, gdy jego krwią serdeczną chcę zmyć te bezecne pocałunki, które mi jeszcze płoną na ustach, teraz ty chcesz mnie stąd wyrwać i nie rumienisz się?

Mirza: Nieszczęśliwa, co chcesz uczynić?

Judyta: Nędzna istoto, to ty nie wiesz? Serce ci tego nie mówi? Myślę o zabójstwie! (*Gdy Mirza się cofa*). Czyż mam tu jeszcze wybór? Mirzo, rozstrzygnij sama. Nie wybiorę zabójstwa, jeżeli — lecz cóż to ja mówię! Ani słowa, sługo! Świat kręci się naokoło mnie.

Mirza: Chodź!

Judyta: Nigdy! Nauczę cię twoich obowiązków! Patrz, Mirzo, ja jestem kobietą! O, tego nie powinnabym czuć w tej chwili! Posłuchaj mnie i uczyni, o co cię proszę. Jeśli mnie siły opuszczą, jeśli upadnę bez przytomności, wtedy nie skrapiaj mnie wodą. To nie pomoże. Ale krzyknij mi do ucha: wstań, nierządnicu! Wtedy zerwę się, może się rzucić na ciebie, aby cię udusić. Ale ty się nie bój, krzyknij tylko: Holofernes zrobił cię nierządnicą, a Holofernes żyje jeszcze! O, Mirzo, wtedy stanę się bohaterem, bohaterem takim, jak Holofernes!

Mirza: Twoje myśli wyrastają ponad ciebie.

Judyta: Ty mnie nie rozumiesz, ale musisz, powinnaś mnie zrozumieć. Mirzo, jesteś dziewczicą. Pozwól, niech rozjaśnię świętości twej dziewiczej duszy. Dziewica — to głupia istota, która drży przed własnymi snami, bo nawet sen może ją urazić

śmiertelnie. Dla dziewicy niema ważniejszej chwili nad tę, w której przestaje być dziewicą, a każdy zwalczony przedtem bunt krwi, każde stłumione przedtem westchnienie powiększa wartość ofiary, składanej przez nią w takiej chwili. Ona oddaje wszystko — czyż za dumne jest jej wymaganie, żeby przez to wszystko poić kogoś błogim zachwytem i szczęściem? Mirzo, czy słuchasz mnie?

Mirza: Jakże cię teraz nie słuchać!

Judyta: A teraz pomyśl sobie to w całej nagię ohydzie, wyobraź sobie to aż do tego kresu, gdzie wstyd podnosi ręce i rzuca się między ciebie a twoją wyobraźnię, i gdzie już przeklinasz świat, w którym możliwa jest największa potworność!

Mirza: Co? co mam sobie wyobrazić?

Judyta: Co masz sobie wyobrazić? Siebie samą w największym poniżeniu, tę chwilę, w której ktoś wyciska ci ciało i duszę, abyś mu zastąpiła nadużyte wino i jeden podły szal pomogła zakończyć drugim jeszcze podlejszym — chwilę, kiedy usypiająca żądza bierze z twych własnych ust jeszcze tyle ognia, ile jej potrzeba, aby zamordować twój skarb najświętszy — kiedy nawet twoje zmysły buntują się przeciwko tobie, jak rozpojone niewolniki, nie znające już swego pana — kiedy całe swoje poprzednie życie, wszystkie swoje myśli i uczucia zaczynasz uważać tylko za jakieś zarozumiałe marzenia, a hańbę za twe jedyne prawdziwe istnienie!

Mirza: Błogo mi taraz, że nie jestem piękna!

Judyta: Tego nie uwzględniłam, przychodząc tutaj. Ale rozjaśniło mi się to, gdym tam (*wskaazuje na sypialnię*) weszła, gdy zaraz na pierwszy rzut oka ujrzałam pościelone łożo. Rzuciłam się na kolana przed okrutnikiem i jęczałam: nie tykaj mnie! Gdyby był słuchał tego okrzyku trwogi, tobym go nigdy, nigdy — — lecz on za całą odpowiedź oderwał mi napierśnik i wychwalał me piersi. Ukąsiłam go w wargi, gdy mnie całował! «Poskrom twą pożądliwość! posuwasz się za daleko!» sztychł i — o, przytomność mnie już opuszczała, byłam tylko jednym kurczem, wtem coś lśniącego błysnęło mi w oczy. Był to jego miecz. Do tego miecza przyczepiły się moje oszalone myśli i, jeżeli dałam się zbezczęścić i utraciłam przez to prawo do istnienia, tym mieczem znów je sobie wywalczę! Módl się za mnie! Teraz to uczynię!

(*Wpada do sypialni i zdejmuje miecz.*)

Mirza (*na kolanach*): Boże, obudź go!

Judyta (*przykłęka*): O, Mirzo, taka twoja modlitwa?

Mirza (*wstaje znowu*): Chwała Bogu, ona nie potrafi tego wykonać!

Judyta: Nieprawdaż, Mirzo, sen — to Bóg sam, trzymający w uścisku zmęczonych ludzi; kto śpi, musi być bezpieczny! (*Wstaje i wpatruje się w Holofernesa.*) A on śpi spokojnie, nie przeczuwa, że mord własnego jego miecza przeciw niemu dobywa. Śpi spokojnie — ha, tchórzliwa kobieto, rozczuła cię to, coby cię powinno oburzyć? Ten spokojny sen po takiej godzinie czyż to nie zbrodnia najohydniejsza? Czyżem ja robak, że mnie można rozdeptać, a potem spać spokojnie, jakby się nic nie stało? Nie jestem robakiem (*wyjmuje miecz z pochwy*). Uśmiecha się. Znam ja ten uśmiech piekielny; tak się uśmiechał, gdy mnie ściągnął ku sobie, gdy — — Zabij go, Judyto, on we śnie bezczęści cię po raz drugi, jego sen jest tylko psiem przeżuwaniem twej hańby. Rusza się. Czy chcesz zwlekać, aż głodna żądza znów go zbudzi, aż on cię znowu pochwyti i — (*ścina głowę Holofernesa*). Patrz, Mirzo, oto spadła jego głowa! Ha, Holofernesie, szanujesz mnie teraz!?

*Tłum. Karol Irzykowski.*

#### CHŁOPIEC STEPOWY

Przyśnił się chłopcu upiorny sen,  
Że z sakwą talarów posłano go hen,  
I jak go ktoś napadł, ograbił,  
A potem — potem go zabił.

Pot zimny go zlewa, drży z lęku, jak liść...  
Wtem majster go budzi i każe mu iść:  
«Bierz sakwę talarów i — w drogę!  
Lecz czemu tak drżysz? Porzuć trwogę!»

«O, panie mój, panie! zabiją mnie! Ach,  
Spójrz: słońce krwią spływa, więc chyłł mnie strach!» —  
«Dla wszystkich to słońce tak świeci!  
Ej, wstawaj a ruszaj! czas leci!»

«O, panie mój, panie! te słowa już znam,  
Tę twarz i te oczy widziałem już — tam!  
Wnet chwycisz...» Chciał dodać: za kije...  
Lecz urwał, bo pan go już bije.

«O, panie mój, panie! Już przestań mnie bić!  
Już wstaje. Z pokłonem do matki mej idź!  
Idź, powiedz, że znajdzie mnie ona  
Nad źródłem, gdzie wierzba schylona!»

I w drogę daleką wyruszył wnet,  
I stepem, co mglił się jak widmo, szedł  
I wzdychał do wicheru co chwila:  
«O, gdybyż mój krok był jak mila!»

Jak okiem sięgnąć — bezkresny step,  
Tak cicho wokół pod pustką nieb,  
I tylko w ciszy bezbrzeżnej  
Żerują ptaki drapieżne.

Aż ujrzał chatkę malariką. Z niej  
Doglądał pastuch trzody swej.  
Stary był pastuch nieboga...  
(Wciąż rośnie w chłopczynie trwoga!)

«Pasterzu stary! Nie wiem, ktoś zacze,  
Lecz mam tu sześć groszy srebrnych, patrz,  
Daj mi parobka na drogę;  
Do wioski trafić nie mogę...

«Ja za to grosze mu swoje dam,  
Niech sobie palnie gorzałki tam...  
Patrz, tu mam sakwę ukrytą:  
Przez nią mnie we śnie zabiło!»

Ów na dragała skinął. Ten  
Kij nożem strugał. «Ach wiem już, wiem...»  
I drży chłopczyna, jak łania,  
I twarz rękoma zastania.

«O, mój pasterzu! ach, nie! ach, nie!  
Sam pójdę raczej! Zostawcie mnie!»  
A ciura tak się odzywa:  
«Ej, żal mu, widać, grosiwał!»

«Ach, weźcie grosze!» I rzuca je,  
I szybko stepem przed siebie mknie.  
Już prawie do wierzby dobiegł,  
Gdy go przytapał parobek.

«Ej, malcze! Czekał! Nie pędźże tak!  
Śpiesz się pomatu! Już sił ci brak!  
Pewno też ciężą ci grosze!  
Odpocznij, odpocznij, proszę!

«Siądźmy pod wierzbą, gdzie szemrze zdrój,  
 Tam mi opowiesz sen brzydki swój:  
 Śniłem — niech Pan Bóg mnie skara,  
 Czy nie ta sama nam śniła się mara!»

Za rękę go chytya parobczak zły,  
 Chłopczyzna się ślania i roni lzy...  
 Szepcą cichutko listeczki,  
 Szmer płynie smętny od rzeczki.

«Co śniłeś?...» — «Przyszedł człowiek...» — «I co?  
 Czy ja to byłem? Gadajże, no!  
 Wszak widzisz mnie! A co dalej?  
 No, mów! Ciekawość mnie pali!»

«I nóż wyciągnął...» — «Czy taki? No?» —  
 «Ten sam...» — «A potem?» — «A potem... pchnął!» —  
 «Tak? Ostrze w gardło zanurzył?...  
 Hej, chłopczel! Nie męcz się dłużej!»

Co dalej było — nie powiem wam,  
 Spytajcie ptaków, co były tam:  
 Kruk czarny krakał z radości,  
 Gołąb omdlewał z żalości.

O zbrodni kracze kruk, czarny jak kir,  
 I o tem, jak zemścił się kat, krwawy zbir.  
 A gołąb światu rozgłosił,  
 Jak chłopczyk się modlił i prosił.

*Tłum. Juljan Tuwim.*

#### DWA ŁABĘDZIE

Na ciemnej topieli  
 Lśnią w krasie swej bieli  
 Dwa błędne łabędzie, krążące wśród fal:  
 Mgła tonie powleka,  
 Co w wichrze drżą zlekka,  
 W posępne tumany zasnuwa się dal.  
 I zrazu się stara  
 Unikać ta para  
 Tęskniących łabędzi, lecz próżny ich trud,  
 Daremna męczarnia,  
 Już szal je ogarnia:  
 Niech mgła je spowije, uniesie pęd wód!  
 Namiętej pieszczoty  
 Nie przerwą wód grzmoty;  
 Złączyły odmęty biel dwojga ich łon.  
 Acz sroży się fala,  
 Je miłość zespala  
 rozkosz upaja, nie trwoży ich zgon.  
 Żądź gasną płomienie,  
 Owłada znużenie — —  
 Wtem dzika odmętu rozdziela je moc:  
 Już nigdy ich chyży  
 Prąd fali nie zbliży,  
 Przeminał dzień jasny, zamierzcha w krąg noc.

*Tłum. Stanisław Wyrzykowski.*

## DZIECKO

Umarła matka w trumnie leżała,  
Nakryta śnieżnym welonem,  
Wtem staje przy niej dziecina mała  
I patrzy okiem zdumionem.

Wian kwiecia, w jasne włosy wpleciony,  
Bardzo się dziecku podoba,  
A jeszcze bardziej bukiet czerwony,  
Umarłych piersi ozdoba.

Słodko do mamy wdzięczy się dziecie  
I prosi w czułym zachwycie:  
«Mamusiu, daj mi to cudne kwiecie,  
Ja ciebie kocham nad życie!»

A kiedy matka leży bez ruchu,  
Głucha na jego błaganie:  
«Mama śpi — dzieciak pomyśli w duchu —  
Lecz da mi pewnie, jak wstanie...»

Idzie, cichutko stąpa nóżkami,  
Drzwi przymknie dziecina mała —  
Potem co chwila słucha pod drzwiami,  
Czy mama jeszcze nie wstała...

*Tłum. Józef Jedlicz.*

## EMANUEL GEIBEL

(1815—1884)

## PRZEZ NIEBIOS, ZIEM...

Przez niebios, ziem przestrzenie  
Przebiega ciche brzmienie,  
Jak słodki harfy ton,  
I każdej rzeczy wieści,  
Gdzie źródło jest jej treści,  
Jaki jej będzie skon.  
Do orła mówi: «W złoty  
Blask słońca leć, aż loty  
Burza ci strzaska zła!» —

Chmurze: «Spuść deszczu rosy;  
Zwilżywszy kwiaty, kłosa,  
Giń w jasnych zorzach dnia!» —  
Łabędziom: «Wdal po fali,  
Aż pośród śpiewnych żali  
Zstąpicie w grobu mgły!» —  
Gwoździom w barw koronie:  
«Schnijcie, lecz szerzcie wonie!» —  
Kobiecie: «Kochaj, mrzyj!»

## W LESIE

Najgłębszy lasu kąt to był;  
U twoich nóg na mchu jam śnił;  
Na ziemię spokój z niebios padł:  
Tak cicho w krąg, daleko świat!

A wtędy z cudnej twarzy twej  
Świt niebios trysł w zwątpienia mgły;  
W twych oczu toni zaśnieł blask  
Miłości świętej, pełnej łask.

Błogosławiłem niebios dar,  
I ziemskich mąk ściśł we mnie war,  
Wysłuchany w uczuć pieśń bez słów,  
Znów młody byłem, czysty znów.

Pieczęć na usta legła me,  
Byłaś mi świętą w niebios tle;  
Co najwyższego człowiek ma,  
Poznała wówczas dusza twa.

Przecucie w łonie drgnęło mi  
Wieczności nieskończonych dni,  
W których godzina trwa ciąg lat,  
A w mgnieniu życie masz i świat.

Długośmy byli? — nie wiem sam,  
Lecz duch stał u światłości bram;  
Ty — mnie, ja tobie byłem dan,  
Z dobrocią na nas patrzył Pan.

*Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).*

GEORG HERWEGH

(1817—1875)

## ŚMIERĆ TRĘBACZA

Do stu piorunów! śmiertelny cios!  
Ha! jakże lance już nasze,  
Jak innej trąbki powiedzie głos  
W bojowy taniec pałasze?

Często ja stałem, stałem jak głaz  
Na słońcu, burzy i wietrze,  
Bom się spodziewał, że przecie raz  
We wolne zagrzmie powietrze.

Jam się spodziewał, kiedy bój wrzał,  
Kul gradem hufce wytłukał,  
Spodziewał, hukiem ogrzmiany dział,  
Alem się wkońcu oszukał.

Teraz, by ciała rzucając cieśń,  
Dusza ma lżejszy lot wzięła,  
Na mojej trąbce grajcie mi pieśń:  
«Jeszcze wolność nie zginęła!»

Grajcież mi pieśń tę! nie prócz tych brzmień!  
Z niemi niech wzlecę do nieba,  
A trąbkę zwróćcie mi w sądu dzień,  
Znow będzie trąbki potrzeba.

Bo kiedy zechce Bóg przed swój tron  
Wymarłe zawezwać ludy,  
Toż przecie z grobów obudzić On  
Musi trębaczów najprzód.

Hej! co za radość będzie w tym dniu:  
Z cieśni się grobu wyrąbę,  
Wszystkim narodom, co starczy tchu,  
Przeciwno wrogom zatrąbę.

*Tłum. Adam Pajgert.*

THEODOR STORM

(1817—1888)

## ZMARŁEJ

## I

Już nie wierzyłaś w przyszłe jasne dni,  
Ból dawny już ci nie dawał ozdrowieć;  
Zbyt ciężkie-ć były macierzyństwa sny,  
Życie zbyt twardą dawało odpowiedź.

Siedział przy tobie, drogi płacąc dług,  
Noc jeszcze jedna, ostatnia płynęła;  
I ona zbiegła; rozbrzasł ranka smug.  
«Mój dobry mężu, takbym żyć pragnęła!»

W ucho mu padał rzewnych słów twych zdrój,  
 W pauzach trwoźnych, przerywanych szlochem:  
 «Mrę — dbaj o dziecko — o, słodki ty mój...»  
 Potem — już szeptem: «Teraz usnę trochę...»

Potem — nic; jawa nie wróciła już,  
 Wzrok zgasł, śmiła się rzeczywistość cała:  
 Wielki dech Boga przewiał izbę wzdłuż —  
 Krzyk pierwszy dziecka — tyś istnieć przestała.

## II

Lecz tego dusza znieść nie zdoła,  
 Że nie ubyło słońca lśnień,  
 Że jak za dni twych, wiąż dokola  
 Zegary idą i dzwon woła,  
 Noc po dniu zbiega, po niej dzień;

Że, gdy mrok światłość gasi białą,  
 Jak wprzód nas zbiera zmierzchu znak,  
 Że, gdzie twe krzesło ongi stało,  
 Inni dziś tłoczą się nawałą,  
 I nie znać już, że ciebie brak;

A tam, skróś krat grobowca, blada,  
 Wątła, miesięczna, srebrna nić  
 W podziemiu twoje się zakrada  
 I na twej trumnie cicho siada,  
 I widziadłanie zda się żyć.

*Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).*

## DLA MOICH SYNÓW

Nie chciej prawdy kryć pod korcem:  
 Ból z niej, lecz nie skrucha płynie;  
 A że prawda ma być perłą,  
 Więc nie rzucaj jej przed świnię.

Gdzie o rękę córy wdzięcznej  
 Prosić nie miałbyś śmiałości —  
 Bądź za dumny, by w tym domu  
 Bywać jednym z miłych gości.

Kwieciem serca szlachetnego  
 Jest pobłażliwości cnota;  
 Lecz orzeźwia nas, jak burza,  
 Nieraz też bezwzględność złota.

Nie szczędź trudów, gdy przyświeca  
 Tobie cel zasługi szczerzej,  
 Lecz uchwaj duszę swoją  
 Przed zrobieniem wlot karjery.

Rubaszości i grubiaństwu  
 Nie omieszkaj stawić czoła;  
 Uprzejmostek i ugrzecznień  
 Nie racz zauważyć zgoła.

Kiedy wokół złotych cielców  
 Czerń wszelaka się kolebie,  
 Zapamiętaj, że masz z życia  
 Koniec końców — tylko siebie.

*Tłum. Alfred Tom.*

## GOTTFRIED KELLER

(1819—1890)

## Z «ZIELONEGO HENRYKA»

...Natychmiast zauważyłem, że w naszym pokoju zaszła drobna zmiana. Przy ścianie stała kanapka, kupiona przez matkę za tanie pieniądze od pewnego znajomego, który nie miał gdzie podziąć tego sprzętu; był to przedmiot jak najzwyczajniejszy, o lekkiej budowie, przepleciony jedynie białą i zieloną słomą, a przecież wcale porządny mebel. Ale na kanapce tej leżał okazały stos książek, coś koło pięćdziesięciu tomików, a wszystkie były jednakowo sprawne i zaopatrzone na grzbiecie w czerwone szyl-dziki ze złotymi tytułami oraz wielokrotnie związane mocnym sznurem. Były to dzieła zbiorowe Goethego, przyniesione mi z propozycją obejrzenia ich i kupna przez pewnego tandeciarza, który zapomocą starych książek i pożółkłych kart miedziorytniczych zwykł był wciągać mnie w przedwczesne lekkie zadłużenie. Przed kilku laty niemiecki

czeladnik stolarski, naprawiający coś młotkiem w naszej izbie, podczas roboty rzekł przypadkiem: «Wielki Goethe umarł», a słowa te coraz to jeszcze brzmiały w mych uszach. Nieznajomy zmarły kroczył przez wszystkie niemal zajęcia i podniety, a wsząd ciągnął ku sobie zadzierzgnięte nici, których końce ginęły w jego dłoni niewidzialnej. Jakgdybym teraz wszystkie te nici miał razem w niezgrabnym węźle sznura, okręcającego książki, rzuciłem się nań i zacząłem go śpiesznie rozwiązywać, a gdy się wreszcie rozluźnił, wówczas złote owoce osiemdziesięcioletniego żywota rozleciały się jak najcudniej, pokrywając kanapę i spadając poza jej brzeg na podłogę, tak iż pełno miałem pracy dla obu rąk, by przytrzymać całe to bogactwo. Od tej chwili nie oddaliłem się już od kanapki i czytałem w ciągu czterdziestu dni, gdy tymczasem raz jeszcze nadeszła zima, a po niej znów wiosna; lecz biały śnieg minął dla mnie jak sen, którego blaski widziałem zboku, bez zwrócenia nań uwagi. Sięgnąłem najpierw po wszystkie, co w druku odznaczało się jako dramatyczne, potem czytałem kilka rzeczy rymowanych, później — powieści, dalej «Podróż do Włoch», a gdy następnie prąd zabłąkał się w prozaiczne obszary codziennej pilności poszczególnych trudów, zostawiłem ciąg dalszy i zacząłem od początku, a tym razem odkryłem całe te gwiazdozbiory w ich pięknych położeniach względem siebie, w pośrodku zaś samotne błyszczące osobliwie gwiazdy, jak Reineke-Lisa lub Benvenuta Celliniego. Tak oto raz jeszcze przebiegłem to niebo i wiele rzeczy czytałem znów dwukrotnie, a naostatek odkryłem jeszcze całkiem nową jasną gwiazdę: Zmyslenie i Prawdę. Skończyłem to właśnie, gdy wszedł do pokoju przekupień, by się dowiedzieć, czy zatrzymam książki, bo nadarzył się jakiś inny nabywca. W tych warunkach za skarb ten trzeba było zapłacić gotówką, co narazie przechodziło moją możność. Matka widziała wprawdzie, że był on dla mnie czemś ważnym, ale czterdziestodniowe moje leżenie i czytanie uczyniło ją niezdecydowaną, wobec czego człowiek ów wziął swój sznur, związał książki, zarzucił pakę na plecy — pożegnał mnie i wyszedł.

Cały, rzekłbyś, zastęp błyszczących i śpiewających duchów opuścił pokój, który też nagle wydał się cichy i pusty; zerwałem się, spojrziałem za siebie — i mniemałbym, żem w grobie, gdyby nie miły szmer, spowodowany szydełkami matki. Wyszędłem z domu; stare miasto górskie, skały, las, rzeka i jezioro, i wzgórze wielokształtne leżały w łagodnym świetle marcowego słońca, a kiedy wzrok mój ogarniał to wszystko, odczuwałem czyste i trwałe zadowolenie, jakiegom nie zaznał nigdy przedtem. Była to pełna oddania miłość wszystkiego, co powstało i trwa, miłość, która cześci prawo i znaczenie każdej rzeczy i odczuwa związek i głębię świata. Miłość taka stoi wyżej niż owo — w celu interesownym — artystyczne wykradanie szczegółów, prowadzące koniec końców zawsze do małostkowości i kaprysów, wyżej też stoi od używania i wyodrębniania według nastrojów i romantycznego miłośnictwa, ona też jedna tylko potrafi użyzyć równomiernego i trwałego żaru. I otóż wszystko a zawsze zdawało mi się nowe, piękne i pamiętne, i zacząłem dostrzegać i kochać nietylko formę, lecz również treść, istotę i historję wszelkich rzeczy.

*Tłum. Alfred Tom.*

#### Z «LEGENDKI O TAŃCU»

...W niebie był właśnie dzień wielce uroczysty; w uroczystości zasię, czemu wprawdzie przeczy święty Grzegorz z Nyssy, czego zato broni ów z Nazjanzu, było we zwyczaju — zapraszać dziewięć muz, siedzących zwykle w piekle, i do nieba je wpuszczać, żeby tutaj były w czemś pomocne. Otrzymywały dobrą strawę, po załatwieniu jednak rzeczy musiały wracać na dawne miejsce.

Gdy więc tańce oraz śpiewy i wszystkie ceremonje się skończyły, a zastępy niebieskie do stołu zasiadły, Muzę usadowiono tam, gdzie obsługiwano też dziewięć muz. Siedziały niemal że nieośmielone, a ciasno do siebie przysunięte, spozierając wokół siebie ogniem swych czarnych lub ciemnoniebieskich oczu. Zabiegliwa Marta z Ewangelji we własnej osobie krzątała się koło nich; opasana była najładniejszym swym fartuszkim kuchennym i miała na podbródku drobną śliczniutką plamkę sadzy, a wciąż uprzyjmie częstowała muzy dobrimi rzeczami. Lecz dopiero, gdy podeszły święta tan-



cerka Muza, jako też święta Cecylja i inne jeszcze biegle w sztukach pięknych niewiasty i, wesóło pozdrowiwszy trwożliwe Pierydy, przysiadły się do nich, muzy odtajały, nabrały zaufania, i rozwinęła się w tem kółku niewieścim jakaś wdzięku pełna radość. Muza siedziała obok Terpsychory i Cecylji między Polihymnją a Euterpe, wszystkie zaś trzymały się za ręce. Aż oto pokazały się też małe chłopiątka-muzykanci i zaczęły przymilać się i przypochlebiać pięknym paniom, iżby otrzymać coś z błyszczących tych owoców, które promieniały na stole ambrozyjnym. Przyszedł nawet sam król Dawid i przyniósł puhar złoty, z którego dał pić wszystkim, aż błoga radość rozgrzała ich serca; z upodobaniem przeszedł się dokoła stołu, przyczem nie omieszkał milutkiej Erato przez chwilę mimochodem głasnąć po twarzy. Kiedy więc w tym sposobie górnie się działo za stołem muz, zjawiała się nasza Miłościwa Pani w całej swej piękności i dobroci, usiadła na godzinkę kolo muz — i wzniosła Uranję pod wieńcem jej gwiazdzistym czule w usta pocałowała, gdy ta szeptem rzekła jej na pozegnanie, że spokoju nie zazna, dopóki muzy nie będą mogły na zawsze pozostać w raju.

Stało się jużci inaczej. Aby odwdziżyć się za okazaną dobroć i łaskawość, a również ujawnić dobre swoje chęci, muzy, uradziwszy to między sobą, w odległym zakątku podziemnego świata nauczyły się jakiegoś hymnu pochwalnego, któremu usiłowały nadać formę przyjętych w niebie uroczystych chorałów. Podzieliły się na dwie połowy po cztery głosy w każdej, nad wszystkimi zaś Uranja niejako prym trzymała, a w ten sposób przygotowały osobliwą muzykę wokalną.

Gdy więc obchodzono w niebie następną uroczystość, a muzy znów służbę swoją pełniły — upatrzwszy chwilę, która wydawała im się dla ich zamierzenia pomyślną, ustawiły się razem i zaczęły łagodnie śpiew swój, co niebawem wezbrał z całą mocą. Wszelako w tych przestworach brzmiał on tak posępnie, a nawet niemal ostro i zuchwale, przytem zaś tak był pełen tęsknot i skarg, że najpierw zapanowała trwoźna cisza, potem jednak ogarnęły wszystkich cierpienia ziemskie i tęskność jakać serdeczna, aż wszyscy społem płaczem wybuchnęli.

Nieskończone westchnienia z szumem powiały skroś niebios; zatrwożeni pośpieszyli tu gromadką starszyzna i prorocy, a tymczasem muzy w zaślepieniu swoim śpiewały coraz głośniejsz i melancholijniejsz, cały zaś raj ze wszystkimi patryjarchami, starszyzną i prorokami, ktokolwiek na łące zielonej szedł sobie albo leżał — wszyscy potracili głowy. Wkońcu jednak nadeszła sama Trójca Przenajświętsza, aby tu ład zaprowadzić i gorliwe muzy długo toczącym się grzmotem siarczystem zmusić do milczenia.

Wówczas spokój i stateczność powróciły do nieba; ale biedne dziewięć siostr musiały je opuścić, i nie wolno im było odtąd progę jego przestąpić.

*Tłum. Alfred Tom.*

#### NOC LETNIA

Chwieją się wkoło łany zboża,  
Zda się, wiatr toczy morskie fale;  
W głębi cichego tego morza  
Potworów, dziwów niema wcale;  
Tam tylko kwiaty senne stoją,  
Lekko je do snu wiatr kołysze...  
Jak chciwie chwytam w duszę moją  
Tej nocy letniej czar i ciszę!

Jest tam w rodzinnej mojej stronie  
Zwyczaj, uświęcon już wiekami:  
Gdy blask łagodny gwiazd zapłonie  
W cichą, pogodną noc nad nami,  
Wtedy po całym złotym łanie  
Budzą się nagle szmery, głosy,  
Migają, brzęczą sierpy, kosy,  
Noc blaski swoje rzuca na nie.

To poszli chłopcy z wioski całej  
W pole do nocnej tej roboty,  
Zebrać gromadnie plon dośpiąły  
Ubogiej wdowy i sieroty.  
Tym, którym w pracy nie pomoże  
Dłoń silna ojca ani brata,  
Ci dobrzy ludzie zezną zboże —  
W pięknym uczynku ich zapłata.

Już ustawili snopów koło,  
Gromadka żeńców z pola wraca;  
Jak chwila zbiegła noc wesóło,  
Zabawa była to, nie praca!  
Już zorza wschód czerwieni zlekka,  
Już śpieszy każdy z nich do domu —  
Nie wolno spocząć w dzień nikomu,  
Bo zwykły, ciężki trud nań czeka.

*Tłum. Czesław Jankowski.*

## W POSEPNEM, BEZNADZIEJNEM TĘTNIE...

W posepnem, beznadziejnem tętnie  
Zimowych, mroźnych, mrocznych dni  
Z myśli wygnałem was doszczętnie,  
Nieśmiertelności złudne sny.

Dziś, kiedy pała, gore lato,  
Widzę, żem słuszność wówczas miał;  
Zwieńczyłem serce znów bogato,  
Lecz w grobie legł urojen szal.

Jasnej mię rzeki niosą fale,  
Dłoń mi chłodząco muska prąd;  
Okiem w lazurów tkwią kryształe —  
Gdzież ojczyzn lepszych szukać stąd?

Dopiero dziś pojmuję ciche  
Twe pozdrowienie, liljo wód!  
Wiem, mimo ogni wewnętrznych pychę  
Żem, tak jak ty, znikomy płód.  
*Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).*

## CICHA CHWILA

Roku ty, w wonnych mknący szatach  
Po wieczornych wód szkarłatach. —  
Drogi swej dobiegasz już;  
Ot, widzisz mnie nad leśnym stawem,  
Gdzie między zwiędłym liściem rdzawem  
Milczący łabędź ciągnie wzdłuż.

Samotny, cichy skrzydła rozwija —  
Zanurza się pod wodę szyja —  
Wznosi ją, słucha pełen dum;  
Raz jeszcze nurza się, prostuje,  
A potem znowu się wsluchuje  
W sitowia szepczącego szum.

Patrzę na jego obyczaje —  
I, jak w śnie, mi się wydaje,  
Że to własna dusza ma,  
Co — zdziwiona bytowaniem,  
Zanikaniem, powracaniem —  
Patrząc i słuchając, trwa.

Spokój ten, ten dosyt błogi —  
Sam wśród cichej tej rozłogi —  
Żwawo pełnym haustem chłoń!  
A gdyś siebie odczuł jasno,  
Niech godziny twoje zgasną,  
Jak — spójrz: łabędź zapadł w toni!

## PIEŚŃ WIECZORNA

Oczy, lube okieneczka moje,  
Tak się dawno waszem światłem poję,  
Przepuszczacie miłych zjawisk roje —  
Kiedyś skryją was ciemności zwoje.

Gdy powieki ciężkie mi opadną,  
Dusza, troską nie nękana żadną,  
Już zakończy tę wędrówkę ładną,  
Do swej trumny ciemnej zstąpi na dno.

Jeszcze skierka jedna — druga płonie,  
Jak dwie gwiazdki, tam po wewnętrznej stronie;  
Aż rozchwianą wkońcu mrok pochłonie,  
Jak gdy motyl skrzydełkami wionie.

Lecz w wieczornem polu mnie, jak brata,  
Jeszcze zorza żegna dziś bogata:  
Pijcie, oczy, co na rzęsę włata —  
Z całej złotej obfitości świata!

*Tłum. Alfred Tom.*

## THEODOR FONTANE

(1819—1898)

## NA RIBBEKU IMĆ RIBBEK, DOBRY PAN

Na Ribbeku imć Ribbek, dobry pan,  
 Z wielkiej w ogrodzie swym gruszy był znan.  
 A jak nadszedł złotej jesieni czas,  
 I w krąg łśniły się gruszki pełne kras:  
 Gdy na wieży południe wybił dzwon,  
 Pan kładł w obie kieszenie słodki plon  
 I, gdy chłopiec przechodził, «Śpiesz się, śpiesz»,  
 Wołał, «chłopczyku, pewno gruszkę chcesz?»  
 A jak dziewczynka, wołał: «Spójrz, co mam!  
 Chodź tutaj, maleńka, gruszkę ci dam».

Tak trwało lat wiele; aż syty chwał  
 Na Ribbeku imć Ribbek umierać miał.  
 Czuł bliskość zgonu. Jesieni był czas,  
 Znów gruszki wdał śmiały się pełnią kras.  
 Wtedy rzecze pan Ribbek: «Konam już,  
 Synu mój, gruszkę do grobu mi włoż».  
 I pan na Ribbeku po trzech już dniach  
 Wyniesion był z domu pod inny dach.  
 Kmiotkom jaśniała uroczyście twarz  
 Przy śpiewie: «Dobry Jezu, Panie nasz...»  
 A malec każdy w rozrzewnieniu łka:  
 «Już umarł! Kto teraz gruszek nam da?»

Tak dziatki biadały — niesłusznie snadź:  
 Winny były Ribbeka lepiej znać.  
 Ten nowy jużci jest powodem skarg:  
 W zamknięciu trzyma i gruszę, i park;  
 Lecz stary, z mroźnych uśmieszków i drwin  
 Już przeczuwając, jaki będzie syn,  
 Wiedział, co czyni, gdy — śród skonu prób —  
 Rozkazał gruszkę włożyć sobie w grób,  
 Skąd po upływie trzech bezmała lat  
 Latarośl świeża gruszy wyjrzy w świat.

I lata-ci płyną, za rokiem rok —  
 Nad mogiłą grusza już nęci wzrok.  
 I znów w jesieni dobry, złoty czas  
 Błyszczą się gruszki pełnią swoich kras;  
 I chłopię, mknące śród cmentarnych ścież,  
 Słyszcy szepł w drzewie: «Pewno gruszkę chcesz?»  
 A dziewczynka szepł słyszcy: «Spójrz, co mam!  
 Chodź tutaj, maleńka, gruszkę ci dam».

Tak z szcudrej swej dłoni ciągle jest znan  
 Na Ribbeku imć Ribbek, dobry pan.

*Thum. Alfred Tom.*

## BARBARA ALLEN

Jesień to była w zmienności kras,  
 Gdy liście krwawią się, złocą...  
 Wtedy John Graham z miłości był  
 Ciężką złożony niemocą.

Do lady Allen więc laufer biegł  
 I przybiegł do niej, i powie:  
 «Mój pan, John Graham, z miłości mrze —  
 Pójdź, lady, powróć mu zdrowie».

Barbara Allen do zamku szła,  
Aż przed chorego posłanie;  
Spojrzy na niego i rzecze mu:  
«Kazałeś wołać mnie, panie...»

«O, lady, jesień nasza mnie więc —  
Liście czerwienią się, złocą...  
Nic mi nie powiesz, widząc, żem tak  
Śmiertelną chory niemocą?»

«Johnie Grahamie, to mam ci rzec,  
A słuchaj dobrze, co powiem:  
Pamiętasz? hojnie darzył cię los  
Weselem, szczęściem i zdrowiem.

«Chociaż dziś miłość oznajmiasz mi,  
I może mówisz niekłamnie —  
Ja cię kochałam bardziej — w on czas,  
Kiedy ją miałaś — nie dla mnie.

«Lecz w ruchu życia kołowrót jest;  
Więc komu smutek, a komu —  
Odplątą gorzkich nocy i dni —  
Radość i szczęście dziś w domu».

Odeszła. Nagle słyży: śród pól  
Żałobnie spiż się rozdzwięczy;  
Rzekła: «To po nim — i po mnie też  
Ten dzwon zawodzi i jęczy.

«Kochana matko, łże mi sciel —  
A niech jesiony go strzegą;  
John Graham umarł, a jutro ja  
Umrę z miłości dla niego».

*Tłum. Tad. Newlin-Wagner.*

#### TAK, CHCIAŁBYM TEGO JESZCZE DOŻYĆ

Właściwie to mi wszystko jedno —  
Ten stał się bogaczem, tamta biedną...  
No, ale Bismark — co ten może stworzyć?  
Czegoś z Bismarkiem — chciałbym jeszcze dożyć.

Właściwie wszystko kręci się wkoło,  
Dzisiaj smutno, jutro wesoło,  
Wiosna i lato, jesień i zima —  
Ach, dużo to w tem sensu niema.  
Ale mój wnuczek — śnać Boża wola —  
Pierwszego ma iść do przedszkola  
I za jakieś dwa tygodnie  
Przed się z teczką ruszy godnie,  
Bibułę muszę mu w zeszyt włożyć —  
Tak, chciałbym tego jeszcze dożyć.

Właściwie wszystko niczem jest na dnie,  
Dzisiaj się trzyma, a jutro padnie,  
Wszystko zamiera, któż zaprzeczy:  
Maleje wartość ziemskich rzeczy;  
Ale choć, spuszczając z tonu,  
Pragniemy coraz mniej — do zgonu  
Coś nie przestaje w nas gaworzyć:  
Tak, chciałbym tego jeszcze dożyć.

*Tłum. Alfred Tom.*

#### KONRAD FERDYNAND MEYER

(1825—1898)

#### STOPY W OGNIU

Dreszcz błyskawicy. W płowem świetle — wieża.  
Grzmi. Jakiś jeździec walczy z swym rumakiem.  
Zeskoczył, w bramę tłucze. Płaszcz mu szumi  
W wichurze. Trzyma za uzdę gniadosza.

Wąskie za kratą okno lśni złościście.  
 Z chrzestem otwiera wrota sam wielmoża.  
 — «Królowi służę, wystanym za gońca  
 Do Nîmes. Przyjmcie mnie! Znan wam strój królewski!»  
 — «Burzał Tyś gość mój. Suknia — co mi do niej.  
 Wejdz, proszę, ogrzej się! Koniem się zajmę!»  
 Do ciemnej wchodzi antenatów sali;  
 Słabo oświetla ją ogień kominka,  
 A przy kapryśnem jego migotaniu  
 Tu hugonot w pancerzu grozi, tam twarz  
 Magnatki dumnej — z mroku malowideł...  
 Jeździec na fotel pada przed ogniskiem  
 I w żar spogląda. Duma, przypomina...  
 Lekko jeży się włos. Zna żar, tę sałę  
 Zna. Syczy płomień. Dwie stopy drżą w ogniu.

Stół śnieżno-białym szafarka sędziwa  
 Obлека płótnem. Panienka pomaga.  
 Chłopczyk dzban wina przynosi. Wzrok dzieci  
 W grozie na gościa, to na komin pada...  
 Znow syczy płomień. Dwie stopy drżą w ogniu.

— Do licha! Ten sam herb! Ta sama sala!  
 Przed laty trzema... Połów hugonotów...  
 Wytworna, harda pani... «Gdzie skrył się? Mów!»  
 Milczy. Ja: «Wyznaj!» Toż. «Wydaj go!» Milczy.  
 Wściekam się. Co za duma! Szarpie biedną...  
 Bose jej stopy chwytam i w sam środek  
 Żaru je wlokę... «Wydaj go więc!»... Milczy...  
 Wije się — — Herbu nie widzieć na bramie!  
 Któż ci tu w gości kazał przybyć, głupcze?  
 Udusi ciebie, gdy ma krwi choć kroplę. —  
 Wchodzi wielmoża. «Śnisz? Do stołu, gościu»...

Usiedli. Troje w czarnych szatach — i on.  
 Lecz z dzieci żadne modlitw nie odmawia.  
 Na niego patrzą wytrzeszczonem okiem —  
 Napelnia puhar, przelewa, wychyla,  
 Zrywa się: «Panie, łóżka mi użyczcie,  
 Zmęczonym, jak pies!» Służący mu świeci;  
 Lecz on na progu odwraca się — widzi,  
 Jak chłopczyk ojcu szepce coś do ucha...  
 Słania się, wiedzion do izby więzowej.

Drzwi zarygłował. Bada miecz, pistolet.  
 Groźnie wiatr świszczce. Jęk pod nim i nad nim.  
 Coś trzeszczą schody... Jakieś kroki?... Kto tu?...  
 Ucho go ludzi. Tak północ przemija.  
 Ołowiem ciężą mu powieki, pada,  
 Śpiąc, na postanie. Za oknem deszcz pluszcze.

Śni. «Wyznaj!» Milczy. «Wydaj mi go!» Milczy.  
 Szarpie niewiastę. Dwie stopy drżą w ogniu.  
 Bucha i syczy żar, aż go pochłania...  
 — «Ocknij się! Dawnoś miał odjechać. Dnieje!»  
 Dzwiami tajnemi wszedłszy do komnaty,  
 Przed łóżem stoi zamku pan — lecz siwy,  
 Choć wczoraj kruczy włos po czole spływał.

Konno wśród lasu jadą. Wiatr nie wieje.  
 Zdarte gałęzie leżą wpoprzek ścieżki.  
 Ptaszęta wczesne ćwierkają wpółsenie.  
 Ciche obłoczki płyną skroś powietrze,  
 Jakby anieli z czat wracali do dom.  
 Ciemne zagony tchną zapachem ziemnym.  
 Równia otwiera się. Pług sunie polem.  
 Jeździec czatuje ócz kącikiem: «Panie,  
 Roztropnym mężem-ście, pełnym rozwagi,  
 Wiecie, zem króla największego własność.  
 Żegnam. Już nigdy nie ujrzę was!» Ów rzekł:  
 «Prawdęś powiedział! Własność króla! Ciężką  
 Służbę dziś miałem! Zabieś mi żonę —  
 A żyjesz!... Zemsta, mówi Bóg, jest moja».

#### ŻAGWIE GÓR

Jakież tętnienie w sercum czuł,  
 Choć rześko wędrowałem wdół —  
 Gdy, odwrócony, śnieżne te  
 Ujrzałem góry w sinej mgle —  
 Jaśnienie wielkie, ciche!

Nie pysznię się ojczyzną swą,  
 A całym sercem kocham ją!  
 Toż każdy wiersz mój, cały byt  
 Przepaja ten wyżynny świt —  
 Jaśnienie wielkie, ciche!

Jak wśród rozboju, śpieszniem żył,  
 Wdychając ulic miejskich pył  
 I rynków ziew. Widziałem bój.  
 Co mówisz na to, blasku mój —  
 Jaśnienie wielkie, ciche?

Cóż mogę ja ojczyźnie dać,  
 Nim pójde stąd, by w ziemi spać?  
 Co przetrwa mej mogiły cieśń?  
 Być może — słowo, może — pieśń:  
 Jaśnienie małe, ciche!

#### PODRÓŻNY KUBEK

Wczoraj, w szafie porządkując, wśród starzyznym znalazł różnej  
 Przekazany mi od ojca — pierwszy kubek mój podróżny.  
 Kiedym, nucąc sobie zcicha, kurz zeń ścierał dookoła,  
 Zdało mi się, że wiatr górski siwy włos mój wznosi z czoła,  
 Zdało się, że pachną niwy, kędym drzemał w letnie znoje,  
 Że te wszystkie, z których piłem na wędrowkach, szumią zdroje.

#### STUDNIA RZYMSKA

Wytryska i opada zdrój  
 Do marmurowej misy wbród,  
 Która, wzbierając, nadmiar swój  
 Na drugiej misy sączy spód;

A druga zbytek wodnych mas  
 Do trzeciej, wrąc, przelewa dna:  
 I każda bierze, dając wraz,  
 I mknie a trwa.

*Tłum. Alfred Tom.*

#### CHÓR ZMARŁYCH

My zmarli, my zmarli — nas więcej w przestworzu,  
 Niż was tam na ziemi, niż was tam na morzu!  
 My pola orali i sieli cierpliwie,  
 Wam sierpy i kosy wystarczą przy żniwie,  
 Co my dokonali, co my ongi wszczęli,  
 To kipi wciąż jeszcze w życiowej topieli;  
 Wsze nasze miłości i waśnie, i zwady  
 Wrą wciąż jeszcze w żyłach śmiertelnej gromady,

A cośmy odkryli spraw, zasad, wartości,  
 To całej ludzkości wciąż tor ziemski mości,  
 A nasze poezje, obrazy i dźwięki  
 Wciąż laury odnoszą w skrach każdej jutrzeźki.  
 Szukamy wciąż jeszcze, gdzie ludzkie są cele —  
 Więc czcicie, pomnijcie! Bo nas tu jest wiele!

*Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).*

JOSEPH VICTOR SCHEFFEL

(1826—1886)

Z «TRĘBACZA Z SÄKKINGEN»

Pieśń Wenera

Tak to już w życiu składa się szkaradnie,  
 Że się wśród róże zawsze cierń dostanie;  
 Co bądź się zdarzy, co i jak wypadnie,  
 A wkońcu zawsze musi przyjść — rozstanie.  
 W twych oczach niegdyś, oczarowan niemi,  
 Miłość i szczęście jam wyczytać śmiał:  
 Bóg z tobą! raj to, raj byłby na ziemi...  
 Bóg z tobą, dziewczę, los inaczej chciał!

Cierpień, goryczy zaznałem dowoli,  
 Z życia burzliwej wędrówki przychodzę —  
 O cichej, błogiej już marzyłem doli,  
 Gdy o ciebie spotkał na swej drodze.  
 I uzdrowiony pieszczotami twemi,  
 Życiebym swoje w ofierze ci dał...  
 Bóg z tobą! raj to, raj byłby na ziemi...  
 Bóg z tobą, dziewczę, los inaczej chciał!

Chmur pędzą stada, wicher drzewa schyla,  
 Deszcz smaga liście, straszno w krąg i ciemno;  
 Dla pożegnania właśnie dobra chwila,  
 Szary — jak niebo — cały świat przede mną.  
 Lecz gdzie bądź pójdę, drogami jakimi,  
 Zewsząd ku tobie będę myśli ślał!  
 Bóg z tobą! raj to, raj byłby na ziemi...  
 Bóg z tobą, dziewczę, los inaczej chciał!

*Tłum. Czesław Jankowski.*

HISTORJA PROROKA JONASZA

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!  
 (Z biblji tę powieść wzięłam)  
 Pił pewien prorok przez dni trzy,  
 Aż strąbion legł pod stołem.

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!  
 Rzekł szynkarz: «Niech go kaci!  
 Ten prorok pije, tak jak szewc,  
 A kto wie, czy zapłaci?»

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!  
 Rzekł szynkarz do kelnerek:  
 «Azaliż jaki ma ten mąż  
 Pakunek lub kuferek?»

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!  
 Starsza kelnerka powie:  
 «Zaprawdę, mąż ten goły jest,  
 Jak wszysej prorokowie!»

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!  
Rzekł szynkarz do rzezańca:  
«Hej, spisać mi rachunek dla  
Bożego pomazańca!»

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!  
Rzezańiec, w rzeczach biegły,  
Włot kliny rylcem żłobić jął —  
Cztery zapisał cegły.

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!  
Śle szynkarz dwa murzyny:  
«Nieście do wieszczą cegły te,  
Niech włot te czyta kliny!»

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!  
Skoro wieszcz cegły zoczy,  
Klinem mu kliny włoży w łeb,  
Zawstydzon, spuścił oczy.

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!  
Tak wyznał prorok z żalem:  
«Wzdy jam ostatni przepił sykl  
U Mortka w Jeruzalem».

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!  
Wpadł szynkarz w gniew w tej chwili  
I rozkaz dał murzynom, by  
Proroka wyrzucili.

«Pod Wielorybem» w Joppie — hen!  
Nic wieszczów nie szanują,  
I płacić musi, kto chce pić —  
Nikomiu nie borgują!

*Tłum. Włodzimierz Zagórski.*

## ROBERT HAMERLING

(1830—1889)

### Z «AHASVERUSA»

(Postać Żyda wiecznego tułacza, za czasów Nerona, zjawia się wśród chrześcijan i wyjaśnia swe posłannictwo.)

...Pierworodnym synem

Ja — niezrodzonych, stworzonych; jam pierwszą  
Jest latoroślą pierwszej pary w świecie.  
Pierwsze na ziemi ludzkie jestem dziecię  
I pierwszym byłem tu rokoszaninem.  
Mną dzieje świata zostały otwarte,  
Krwawo ich pierwszą zapisałem kartę.  
Mnie to wprowadzić na świat było dano  
Śmierć w nim nieznaną ani przeczuwaną;  
Wybiłem bramę jej przez serce brata...  
Wpadła — i odtąd grasuje, jak jędza;  
Jej niewolnikiem, co żywe wśród świata,  
Mnie tylko — zem ją wwiódł na świat — oszczędza,  
Na dank, na karę...

Jak długo jeszcze tlić będzie wśród cienia  
Ludzkiego ducha to nieugaszone,  
Ciche, w tajemnic spowite zasłonę  
Pragnienie śmierci — będące tem isticie,  
Co i najwyższe życia upragnienie;  
Przebijające się nawskróś wieczyście  
Przez wszystkie bytu ludzkości przemiany,  
Nie znajdujące tu zadowolenia,  
Wiecznie do mety ostatniej, nieznaney  
Dążące? O tak, każdemu stworzeniu  
W wiecznej tęsknocie tutaj żyć kazano  
Do ukojenia, — jakiegokolwiek miano  
Nadaje mu w swem gorącym westchnieniu:



Doskonałością czy je zwie, czy Bogiem,  
 Niebem czy szczęściem! I do celu tego,  
 Do ukojenia celu ostatniego,  
 Duch ludzki dąży z ciągłym niepokojem.  
 Jednostka może znaleźć ostatecznie  
 To ukojenie — w łonie śmierci błogiem,  
 Lecz ludzkość musi żyć i dążyć wiecznie,  
 I walczyć! — Tej zaś męczarni ludzkości —  
 Która wśród wszystkich zmian swego istnienia  
 Wiecznej tęsknoty nie może uciszyć,  
 Znaleźć spoczynku ni zadowolenia —  
 Przez lat tysiące długich towarzyszyć:  
 To jest okropnem przeznaczeniem mojem!

*Tłum. Władysław Ordon.*

Z «ŁABĘDZIEGO ŚPIEWU ROMANTYZMU»

Raz mi jeszcze otwórzcie, o, poezji zdroje,  
 Z głośnym szumem i pluskiem złote źródło swoje!  
 Raz jeszcze rozwiń skrzydła, o, pieśni omdlała,  
 Raz jeszcze zadźwięż, lutni, pod ręką, co pała!

Cicho wskrósź duszy mojej wieje śpiew łabędzi...  
 Pragnieniem drży powietrze, tęsknota mnie pędzi  
 Z ciasnej i dusznej izby swą dłonią liljową  
 Tam wdał, gdzie sny czarowne wschodzą mi nad głową.

Z wieży świętego Marka dzień zsuwa się złoty.  
 A jak nad lagunami mewy trwożnej loty,  
 Tak nade mną twe pióra, melancholjo, wieją...  
 O, Wenecjo! Ty jesteś morza Loreleją!

Pijany bóstwem, klęczę przed lotosu kwiatem,  
 Ja sam kwiat nieśmiertelny, i nad sennym światem  
 Z fal Gangesu mój kielich podnoszę w noc jasną,  
 I z wonią Indostanu mieszam duszę własną...

Nad Nilem czytam księgi granitowej głoski,  
 Wpisane w skał odłamy, i dźwięk chwytam boski,  
 Co porusza Memnona harfę jutrenkową,  
 A prochy Sezostrysów wieją mi nad głową...

Na Etryjskiem pomorzu w rej wpadam, co wiedzie  
 Młodzieńczego Bachusa, z muzyką naprzędzie,  
 Z czarą wina i z kwieciami pasanemi biodry,  
 Ku brzegom Grecji prując archipelag modry...

Zaś jak rycerz błyszczący za Okrągłym Stołem  
 Artusa, siadam w zbroi i w hełmie nad czołem  
 I w szrankach turniejowych nów miesięczny łamię,  
 I ciągnę w Ziemię Świętą pod Gotfryda znamię.

Miłością upojony, w trubadurów kole,  
 Słucham, jak Wolfram pieśni wypuszcza sokole,  
 I widzę, jak się tummy podnoszą w błękity,  
 I niebo mi rozbłyska, zakłęte w ich szczyty.

*Tłum. Marja Konopnicka.*

PAUL HEYSE

(1830—1914)

## Z «L'ARRABBIATY»

...Znajdowali się na pełnym morzu, a wokół, jak wzrok sięgał, nie było widać żagla. Wyspę zostawili daleko za sobą, wybrzeże skąpane w słońcu majaczyło wod-dali; w pustce, jaka ich otaczała, nie jawiła się nawet mewa. Antonino obejrzał się wokolo. Myśl jakaś opanowała go widocznie, bo zbladł nagle i opuścił wiosła. Mimi-woli spojrzęła nań Laurella z zaciekawieniem, ale bez śladu trwogi.

— Muszę z tem wszystkiem raz skończyć — wybuchnął chłopak. — Trwa to za długo i dziwię się, że dotąd wytrzymał i nie szczeł marnie. Powiadasz, że mnie nie znasz! Czyżes mi się niedość jeszcze napatrzyła, gdy krążył wkoło ciebie, pragnąc wypowiedzieć, co mam w sercu. Zawsześ jednak robiła odpychające miny i obra-całaś się do mnie plecami.

— Cóż miałam z tobą do gadania? — odparła. — Widziałam wprawdzie, że chcesz się ze mną zapoznać, ale nie miałam nigdy ochoty dostać się na języki ludzkie, i to bez żadnej podstawy. Nie chcę zostać żoną twoją i wogóle nie chcę wcale zamaż wychodzić.

— Nie chcesz? Tak sądzisz teraz może, ale to nie potrwa długo! Cóż stąd, żeś odesłała z kwitkiem malarza? Byłaś dzieckiem jeszcze. Samotność da ci się jeszcze we znaki, a że jesteś szalona, weźmiesz pierwszego lepszego.

— Nikt nie zna przyszłości swojej — odparła — przeto, być może, zmienię za-patrywanie. Cóż to jednak może obchodzić ciebie?

— Co mn'e to obchodzi? — krzyknął i zerwał się z ławki sterniczej, tak że łódź zachwiała się gwałtownie. — Czyż możesz tak mówić, wiedząc, co się ze mną dzieje? Zabilbym każdego, kto by uzyskał od ciebie więcej, niż ja!

— Skądże to prawo? Czym ci się przyobiegała? Czyżem winna, że ci się prze-wróciło w głowie?

— O — zawołał — nie spisał tych praw coprawda po łacinie żaden adwokat i nie opatrzył ich pieczęcią, wiem jednak, że mam do ciebie tyle prawa, co do nieba, gdzie się dostanę, jeśli będę wiódł żywot uczciwy. Czy sądzisz, że będę patrzył spokojnie, jak pójdiesz z innym do ołtarza, że pozwolę, by dziewczęta, mijając mnie, wzruszały ramionami? Czy sądzisz, że zniosę tę hańbę?

— Czyni co chcesz! Nie dam się zastraszyć i uczynię również, co zechcę.

— Niedługo tak będziesz mówiła! — zawołał, drżąc na całym ciele. — Jestem o tyle mężczyzną, by nie pozwolić sobie psuć życia przez upartą jak ty dziewczuchę. Czy wiesz, że jesteś tu w mojej mocy i uczynić musisz, co zechcę?

Drgnęła lekko i błysnęła ku niemu oczyma.

— Zabij mnie, jeśli śmiesz! — powiedziała z wolna.

— Nie należy niczego czynić połowicznie! — odparł chrapliwym głosem. — Dość miejsca w morzu dla nas obojga! Niema rady, dziecko — powiedział tonem litosnym niemal i jakby przez sen — musimy się tam znaleźć oboje razem, i to natychmiast! — krzyknął przeraźliwie i chwycił ją oburącz. Ale w tejże chwili cofnął prawą rękę, gdyż uczył straszliwe ukąszenie.

— Okaże się, czy muszę uczynić, co chcesz! — zawołała, odtrącając go od siebie. — Okaże się, czy jestem w mocy twojej! — To rzekłszy, skoczyła z łodzi i znikła momentalnie w głębinie.

Wyplnęła zaraz na powierzchnię. Spódnica owinęła się koło jej ciała; włosy, rozplecione przez fale, spływały po karku. Silnie pracowała ramionami, kierując się w stronę wybrzeża. Nagły strach obezwładnił go i odebrał mu zmysły. Stał w barce, pochylony naprzód, ze wzrokiem tępo w nią utkwionym, jakby patrzył na cud. Potem wstrząsnął się, pochwycił wiosła i pchnął łódź z całą siłą w jej kierunku, nie bacząc, że krew spływa ze skaleczonej ręki, barwiąc dno statku.

Mimo że płynęła szparko, za chwilę znalazł się przy jej boku.

— Na Madonnę błagam cię — zawołał — wróć do łodzi! Byłem szaleńcem. Bóg

wie, co mi omroczyło zmysły. Piorun spadł z nieba, mózg mi poraził i nie wiedziałem, co czynię i mówię. Nie chcę nawet, byś mi przebaczyła, Laurello, pragnę jeno ocalić życie twoje. Wracaj do łodzi!

Płynęła, jakby nie słyszała słów jego.

— Nie dopłyniesz, bo jeszcze dwie mile do brzegu! — zawołał znowu. — Wspomnij matkę swoją. Umarłbym z przerażenia, gdyby ci się zdarzyło nieszczęście.

Zmierzyła spojrzeniem odległość wybrzeża, potem, nie odpowiadając wcale, skierowała się ku barce i chwyciła się jej rękoma. Wstał, by jej pomóc. Kaftan jego, leżący na ławce, zesunął się w wodę w chwili, gdy łódź, obciążona jednostronnie ciężarem wsiadającej dziewczyny, pochyliła się na bok. Laurella wspięła się zręcznie i po chwili zajęła poprzednie swe miejsce. Widząc, że jest bezpieczna, chwycił za wiosła, ona zaś wyciskała wodę z odzieży i włosów. Spojrzenie jej padło na dno łodzi i zobaczyła krew. Rzuciła szybko oczyma na jego rękę, władającą wiosłem, jakby wcale nie była skałeczona.

— Masz! — rzekła, podając mu chustkę.

Potrząsnął jeno głową i wiosłował dalej. Wstała, przystąpiła do niego i przywiązała mu rękę, w której była głęboka rana. Potem wzięła, mimo oporu z jego strony jedno wiosło, siadła naprzeciw i, nie patrząc nań, ale jeno na okrwawione wiosło dopomagała silnymi pchnięciami pędzić barcę. Oboje byli bladzi i niemi.

*Tłum. Franciszek Mirandola.*

## FRIEDRICH NIETZSCHE

(1844—1900)

### Z «TAKO RZECZE ZARATUSTRA»

#### O drogach twórcy

Chcesz, bracie mój, w osamotnieniu iść? Chcesz drogi ku samemu sobie szukać? Uczyni zwłokę krótką i posłuchaj mnie.

«Kto szuka, łatwo sam się gubi. Każde osamotnienie jest przewinieniem»: tak oto mawia trzoda. A tyś długo należał do trzody.

Głos trzody długo jeszcze odzywać się w tobie będzie. I gdy nawet mówić poczniesz: «nie mam już z wami wspólnego sumienia», będzie to głosem skargi i bólem twym.

Bo zważ, ten ból nawet porodziło owo wspólne sumienie: tego sumienia ostatnie przebliski żarzą się jeszcze w twym smętku.

Chcesz więc drogą tego smętku pójść, jako iż jest to droga do ciebie samego? Pokażże swe prawo i swe siły ku temu!

Czyś jest nową siłą i nowym prawem? Czyś jest nowym ruchem? Z siebie oczącam się kołem? Czy możesz zmusić gwiazdy, aby wokół ciebie krążyły?

Ach, tyle jest pochutliwości ku wyżynom! Bywa tyle pokurczy próżności! Pokaż mi, żeś nie jest z pożądlivych a próżnych!

Ach, jest tyle wielkich myśli, co są jako miechy tylko: nadymają i jeszcze bardziej pustymi czynią.

Zwiesz się wolny? Myśl, co tobą włada, usłyszeć pragnę, nie zaś — z jarzma jakiego umknąć się zdołałeś.

Czyś jest z tych, którym z jarzma umykać się wolno? Niejeden ostatnią swą wartość zaprzepaszczał, gdy odrzucał swą służebność.

Wolny od czego? Lecz cóż to Zaratustrę obchodzić może! Jasno niech mi twe oczy zwiastają: ku czemu wolny?

Zali zdołasz nadać sobie swe zło i dobro i zawiesić wolę swą nad sobą, jako zakon? Zali potrafisz sędzią być sobie i mścicielem własnego zakonu?

Strasne jest to sam na sam z sędzią i mścicielem własnego zakonu. Tak zostaje wyrzucona gwiazda w przestrzeń pustą i w lodowate tchnienie osamotnienia.

Dziś jeszcze cierpisz z powodu wielu, ty jeden: dziś jeszcze masz całkowitą otuchę i nadzieje wszystkie.

Lecz przyjdzie czas, gdy cię umęczy samotność, gdy się twa duma nagnie, a otucha trzeszczeć pocznie. Wówczas krzyczeń poczniesz: «jestem sam!»

Przyjdzie czas, gdy nie dojrzysz swej wybujałości, zaś na swą niskość zbyt bliższym okiem patrzeć poczniesz; nawet twa wzniosłość straszyć cię będzie, niby upiór. I krzyczeń będziesz kiedyś: «wszystko jest fałszem!»

Są uczucia, które samotnika zamordować pragną; gdy im się to nie udaje, wówczas same zamrzeć muszą! Zali zdobędziesz się na to, zdołasz być mordercą?

Zali poznałeś już, bracie mój, słowo «wzgarda»? Oraz męczarnię swego poczucia słuszności, gdy zechcesz być sprawiedliwym dla tych, co tobą gardzą?

Zmuszasz wielu, aby, zbywszy dawnych o tobie mniemań, uczyli się ponownie sądzić ciebie: ciężko ci to policzą.

Zbliżyłeś się do nich i minąłeś ich: tego ci nigdy nie wybaczą.

Wschodzisz ponad nich: lecz im wyżej się wspinasz, tem mniejszym widzi cię oko zawiści. Najbardziej jednak zniechędzeni bywają polotni.

«Jakżebyście wy zdołali oddać mi sprawiedliwość! — tak mawiać winienes — obieram sobie waszą niesprawiedliwość, jako mnie przypadający udział».

Niesprawiedliwość i brud miotają za samotnikiem: jednakże, bracie mój, jeśli gwiazdą chcesz być, musisz im mimo to świecić.

A strzeż się dobrych i sprawiedliwych! Oni zawsze radzi ukrzyżować tych, co własną sobie wynajdują cnotę — nienawidzą samotnika.

Miej się na bacności przed świętą prostodusznością! Wszystko, co nie prostoduszne, jest dla niej nieświęte; chętnie przytem ogniem ona igra, ogniem — stosu.

Wystrzegaj się porywów swej miłości! Zbyt szybko wyciąga samotnik rękę ku temu, kogo napotyka.

Niektórym ludziom nie wolno ci podawać dłoni, lecz łapę: chcę przytem, aby twa łapa i pazury miała.

Lecz najgorszym wrogiem, jakiego napotkać możesz, będziesz zawsze sam dla siebie; sam czyhasz na siebie po jaskiniach i lasach.

Idziesz, samotniku, drogą ku samemu sobie! Tuż obok ciebie droga twa wiedzie i tuż obok twych siedmiu djabłów!

Kaczerzem będziesz dla siebie i czarownicą, będziesz i wróżbiarzem, i błaznem, i wątpicielem, i nieświętym, i zloczynią.

Winienes pragnąć, abys się spalił we własnym ogniu: jak bowiem odnowić się chcesz, jeśliś się wprzód w popiół nie zamienił!

Idziesz, samotniku, drogą tworzącego: boga chcesz sobie stworzyć z siedmiu djabłów swoich!

Idziesz, samotniku, drogą miłującego: samegoś siebie umiłował i gardzisz przeto sobą, jak gardzą, którzy kochają.

Tworzyć pragnie kochający, jako że wzgardził! Cóż ten wie o miłości, który nie musiał gardzić tem właśnie, co ukochał!

Z miłością swą idź do samotni i z twórczością swą, o bracie mój; — późno powlecze się wreszcie za tobą kulawa sprawiedliwość.

I ze łzami memi idź do samotni, o bracie mój! Kocham tego, co ponad siebie samego tworzyć pragnie, i tak oto zanika. —

Tako rzecze Zaratustra.

*Tłum. Wacław Berent.*

## Z «DYTYRAMBÓW DIONIZYJSKICH»

### Znak ognisty

Tu, gdzie pośród mórz ostrów stromo wzrósł,  
napiętrzony, jak osiarny głaz,  
tu pod czarnem nieci sobie niebem  
Zaratustra górne ognie swoje —  
dla rozbitków znaki płomieniste,  
wici dla tych, co odpowiedź mają.

Płomień ono o podbrzuszu szarem  
 — w zimne dale pała żądzą swą,  
 w coraz czystsze wyżnie szyję swoją gnę —  
 nakształt węża niecierpliwie wspięte:  
 znak ten oto stawilem przed sobą.

Moja dusza jest płomieniem owym:  
 nowych dali wciąż niesyta,  
 wgórze pała, wgórze, cichy ogień jej.  
 Czemuż uszedł Zaratustra od ludzi i zwierza?  
 Czemuż odbiegł wszystkim stały ląd?

Poznał on już samotności sześć —  
 lecz mu nawet morze niedość jest samotne,  
 wszedł na ostrów i płomieniem na górze się stal.  
 Po siódmą samotność  
 zapuszcza teraz sieć nad głową swą.

Rozbitki błędne! Szczęty dawnych gwiazd!  
 Morza przyszłości! Niezbadane nieba!  
 po wszechsamotność rzucam oto sieć:  
 niecierpliwości ognia odpowiedzcie  
 i mnie, rybitwie na wysokich górach,  
 samotność siódmą, ostatnią pojmacie! — —

*Thum. Stanisław Wyrzykowski.*

## DETLEV VON LILIENCRON

(1844—1909)

### KAMRAT HULTAJ

Na czapce mej pióro, wśród zabaw mknie życie,  
 Halli!

Post ani oszczędność nieznanę w mym bycie,  
 Hallo!

Dać dziewczce przejść drogą? Porywa mnie śmiech!  
 Gdzie bójka, w to graj mi! To przecie nie grzech!  
 A jeśli pić trzeba, to piję za trzech!  
 Halli i hallo!

Do diabła! dziewczyna mi przeszła przez drogę,  
 Halli!

I z serca się teraz jej wyzbyć nie mogę,  
 Hallo!

A miała niespełna szesnaście lat,  
 W włos czarny wplatała czerwony kwiat,  
 Gdy szczebiotą, to śmiał mi się świat.  
 Halli i hallo!

A miała jagody tak świeże, różowe,  
 Halli!

Zębami gryźć mogła orzechy laskowe,  
 Hallo!

Stroiła mi pokój w mak, jaskier i glóg,  
 Co pośród tajemnych zbieraliśmy dróg.  
 Jak za to do piersim ją cisnął, wie Bóg!  
 Halli i hallo!

Z żółtego jedwabiu jej dałem sukienkę,  
 Halli!  
 Wyznała, że strasznie mnie kocha w podziękę,  
 Hallo!  
 A kiedym kieszenie napelnił jej w mig  
 Stosami cukierków, owoców i fig,  
 To jadła dzień cały, nie dbając o szyk.  
 Halli i hallo!

Cudownie nam razem czas cały upłynął,  
 Halli!  
 Pranałem, by nigdy, przenigdy nie minął,  
 Hallo!  
 Lecz rzecz ta ciążyła mi. Rzekłem więc stąd:  
 Dla kupna wielbłądów polecił mi rząd  
 Do Samarkand jechać — daleki to ład!  
 Halli i hallo!

A gdym na rozstanie dał rękę mej małej,  
 Halli!  
 Hej: oczy jej lzy się gorzkiemi zalały,  
 Hallo!  
 I odtąd wciąż myślę przez cały ten czas,  
 Że szorstko, okrutnie rozdzieliłem nas...  
 Hej wina! do kata! a tu atut as!  
 Halli i hallo!

*Tłum. Leopold Staff.*

#### ŚMIERĆ W KŁOSACH

W pszenicy, maku — w kłosach zbóż	Pragnienia męka, febry szat
Spoczywa żołnierz zapomniany;	Podnoszą mu w agonji szyję;
Dwa dni go już, dwie noce już	Ostatni obraz senny wstał —
Nieprzewiązane palą rany.	Zamglone oko wgórę bije.

Hen — w polu kłośnem kosa brzmi,  
 Swą widzi wieś — jej trud i ciszę.  
 Rodzinny świecie, żegnaj mi! —  
 I głowę zwiesił — i nie dysze.

#### ŚWIĘTO ZWYCIĘSTWA

Trzepot sztandarów	Groby milczące,
I tłumy wciąż inne.	Zniszczenie, szkielety.
Wieńce rzucane	Wianki powiędłe,
I śpiewy dziękczynne.	Samolne kobiety.

Uścisk gorący  
 Po srogiej tęsknocie.  
 Serca rozdarte —  
 Przelanych łez krocie.

*Tłum. Alfred Tom.*

## KARL SPITTELER

(1845—1924)

## PIOSNKA O DZWONIE

Dzwonie, dzwonie srebrnousty,  
 Zagadkowe są twe gusty:  
 Z nietoperzem i puszczykiem  
 Kryjesz się w ustroniu dzikiem;  
 Skąd świąteczność ta w twym tonie?  
 Kto cię śpiewać uczył, dzwonie?

«Kiedy szyb mnie krył głęboki,  
 Spoglądałem w piekiel mroki;  
 Tu z wysokiej jasnej wieży  
 Widzę skroś ten powiew świeży:  
 Ból, spowity w ducha tęczę —  
 Cóż dziwnego, że lak dźwięczę?»

## AURORA

Kiedy rosa z niebios mży,  
 Mknie Aurora, sypiąc skry.  
 Czyni w rannem lśnieniu gwiazd  
 Na ponurą ziemię wjazd.  
 Listki z trzech na piersi róż  
 Sieje w krąg przy szumie zbóż.  
 Czterokroć swe białe dłonie  
 Ku nieb każdej zwraca stronie:  
 «Wiatry, przyjdźcie w lokach płasać!  
 Wszelkiem życiem trzeba wstrząsać!  
 Korzeń winien zyskać chlubę,  
 Dzielność każda ma zdać próbę!»

Lecą, pędzą głośną zgrają,  
 Szturmem róże porywają,  
 Ze zdobyczą kędyś bieżą  
 Przez tę jasność ranną, świeżą;

Trąca korzeń, pień i mury —  
 Czy też nie wytrzyma który;  
 To wywróca zgnile próchno,  
 Moc młodości w soki dmuchną.

Lecz Aurora, wzniosłszy dłoń,  
 Błogosławi całą bloń:  
 «Co minęło, nie istnieje,  
 Będzie żyw, kto ma nadzieję.  
 Musi paść, kto gnuśny, kruchy —  
 Bóg pozdrawia mężne duchy!»

## TYLKO KRÓLEM

Konsul Cornelius Clemens rzecze: «Chcę,  
 By z niewolników moich każdy pracę  
 Dostawał wedle chęci i uzdolnień.  
 Co robim chętnie, to i dobrze robim.  
 Kto nie na miejscu swem, jest napół sobą.  
 Najlepszy garniarz — ogrodnikiem lichym».

Lecz, gdy raz czynił przegląd swoich włości,  
Widzi: niewolnik, pośmiewisko tłuszczy,  
Pracuje nade drogą tak niezręcznie,  
Jak i bezradnie, uderzeniem młota  
Niepewnem raz wraz raniąc sobie palce.

Niechętnie zwrócił się do majordoma  
Konsul, a okiem bacznie wciąż spoglądał.  
«Darujcie», tamten rzekł, «wszelkie rzemiosło  
Już, od wałkarza począwszy do tkacza,  
Z nim próbowałem: lecz jest do niczego».

Tu niecierpliwie zagabnął partacza  
Cornelius Clemens: «Czemże byłeś tedy  
W ojczyźnie swej — z urzędu i rzemiosła?»  
Markotną wgórę podniósł twarz niewolnik  
Z posepną dumą: «Panie, tylko królem».

Milczał, litością szczerą zdjęty, konsul,  
A w myśli ważył dziwny los człowieka.  
Aż pełen łaski rzekł do sług: «Uśmierć!»

*Tłum. Alfred Tom.*

#### Z «IMAGO»

...Po rozmowie ze swym rozumem przesiedział Wiktor kilka godzin bez ruchu, bez myśli, ogłuszony druzgoczącą rewelacją. Potem opanował się nagle i rozkazał, zwracając się w głąb swej duszy: «Niech się zjawi dzielny rycerz!»

Ukazał się zaraz rycerz, okryty lśniącą pobrzękliwą zbroją, a za nim kroczył lew. «Jestem — zameldował — proszę o rozkazy».

«Zagraża wielkie niebezpieczeństwo!» — rzekł mu Wiktor. — «W szeregi nasze wcisnął się nikczemnik, który pozwala sobie, zdradzając świętą służbę boskiej Imago, podkochiwać się w niegodnej, zwyczajnej, ziemskiej kobiecie. Przeprowadź surowe śledztwo i tego, który się ośmiela oczkować z niejaką Pseudą, alias panią dyrektorową Wyss, schwytaj na uczynku i staw niezwłocznie przed mojem obliczem».

«Rozkaz!» — zawołał dzielny rycerz i z brzękiem i szczękiem odszedł, a lew za nim. Niedługo potem stanął przed Wiktorem lew, niosąc w paszczy zemdląłego królika. «Oto winowajca!» — zaryczał, rzucił królika na ziemię, pokłonił się i wyszedł.

«Byłem tego pewny» — zachnął się gniewnie Wiktor. — «Oczywiście, znowu to głupie serce, ten marny królik, wszystko przewraca do góry nogami». Podniósł za uszy królika i powiedział mu długie kazanie: «Czyż nie widzisz, głupie naiwne stworzenie, że sam sobie robisz piekło na ziemi? Słuchaj pilnie i zapamiętaj sobie pięć paragrafów, dotyczących miłości; są tak proste i łatwe, że zrozumiałaby je nawet glista ziemna.

Paragraf pierwszy: Niema na świecie kobiety, któraby zniosła, by ją pierwszy pokochał mężczyzna; musi cię pokochać sama, a o miłość twą błagać, niby o wielką łaskę. Inaczej nie zrozumie miłości. Inaczej będzie cię dręczyła. Trudno i darmo, chcą być dręczone; przeto, jeśli ty nie będziesz jej dręczył, ona zacznie cię dręczyć. Mimo to kobieta nie jest wcale zła, nie może tylko być inna, albowiem takie jest prawo natury! A wiesz co to: prawo natury? To coś, czego nie można zmienić ani zapomocą zębów, ani pazurów. Czyś zrozumiał? Odpowiedz».

«Kwik» — wrzasnął królik.

«Tak, kwik. Zapamiętaj to sobie i postępuj wedle tej maksymy. A teraz paragraf drugi: Serce kobiety zamężnej zdobywa się od dołu, to znaczy przez cudzołóstwo. Ale tego nie chcemy, ani ja, ani ty. A więc cóż z tego wynika? Odpowiadaj zaraz».

«Kwik» — odparł królik.



«Dobrze! Teraz paragraf trzeci: Jeśli mogłeś poślubić jakąś istotę płci żeńskiej, a zaniedbałeś to uczynić, bez względu na powód, choćby najszczytniejszy nawet, to wiedz, że nienawidzić cię będzie po wszystkie dni żywota swego. — Paragraf czwarty: Nie możesz pobudzić do miłości serca zaspokojonej w swych potrzebach małżonki i szczęśliwej matki, podobnie jak nie możesz w pełnym żołądku wywołać uczucia głodu. Powiedz: kwik».

«Kwik».

«Paragraf piąty: Jeśli jaka dama nie może cię znieść...»

«Kwik».

«Czekajże ze swoim głupim kwikiem, aż skończę zdanie».

W tej chwili wysliznął mu się z ręki królik, spadł na ziemię, wrzasnął przeraźliwie i umknął, jak oparzony. «Głupcze jeden! — krzyknął za nim — strzeżno się, bo jeśli mi raz jeszcze tkniesz liść sentymentalnej salaty, to wówczas!...»

«Dałem mu nauczkę! — roześmiał się wesoło — ani piśnie w przyszłości».

Aby się zupełnie upewnić, uczynił, co należało, to znaczy odbył przegląd całej arki Noego duszy swojej, lustrując wszystko od strychów do piwnic, gdzie spoczywała podświadomość, i obszedł wszystkie kąty, nie szczędząc przestróg i nakazów. Przemawiał do bydlatek szlachetniejszej rasy, apelując do ich ambicji, wystawiając niedaleką świetność, honory i triumfy, a także przywodząc im przed oczy nikczemną rolę wzgardzonego konkurenta jakiejś pani dyrektorowej Wyss Drobniejszą zwierzyne brał na przynętę użycia i rozkoszy miłosnych, już zaznanych, i przedstawiał im słodycze i rozkosze, jakie je czekają w przyszłości, byle chciały przez krótki jeszcze czas żyć wstrzemięźliwie. Potem kazał na zakończenie zaryczeć lwu w głąb piwnic. «Czyście przekonane wszystkie?»

«Tak, jesteście przekonane».

«Tedy sprawiajcie się dobrze i pilnujcie się wzajem!» — rozkazał Wiktor.

*Tłum. Franciszek Mirandola.*

## GERHART HAUPTMANN

(ur. 1862)

### Z «TKACZY»

*(W izbie tkackiej starego Hilsego, który rozmawia z synem i synową.)*

Gottlieb (*wpada zdyszany*): Widziałem ich, widziałem. (*Do starej jeszcze w sieni*) Są tu, kumo, są tu! Mają widły, motyki i dragi! Stanęli tam pod górą koło Dietricha i robią gwałt. Pewnie tam wypłata. O Boże, co tu jeszcze będzie? Ja tam nie pójde! Tyle narodu, tyle narodu! No, jak się zawezmą i zaczną, źle będzie z fabrykantami.

Stary Hilse: Czegoś tak gonil, będziesz znowu krzyczał, aż spadnie na cię dawne choróbsko, legniesz na krzyże i będzie cię rzucało.

Gottlieb (*podniecony, uradowany*): Musiałem gnać, nie chcieli mnie już puścić. Już tak nalegali, żebym z nimi został. Stary Baumert mówił nawet: Powiedz tam ojcu... miałem powiedzieć, niechno tato też tam idzie i pomoże odpłacić fabrykantom za wszystkie męki. (*Namiętnie*) Teraz inaczej będzie — gadał — całkiem inaczej będzie z tkaczami. Musimy wszyscy pójść pomagać, ażeby tak się stało, wszyscy chcemy mieć w niedzielę kawał mięsa w garnku, a we wszystkie święta kielbasę z kapustą. Inaczej będziemy wyglądali! — gadał.

Stary Hilse (*z tłumionem oburzeniem*): I to ma być twój ojciec chrzestny? I powiada, że masz razem z nimi brać udział w takich kryminalnych sprawkach? Nie mieszaj się do tego, Gottliebie. Tam czart się wmieszał; to djabelska robota!

Ludwika (*opanowana namiętnem wzburzeniem*): Tak, Gottliebie, tak, siedź za piecem, weź łyżkę w garść, a miskę mleka na kolana, wdziej surdut i zmów pacierz — to się ojcu spodoba. I taki człek chce się zwać mężczyzną!... (*Śmiech w sieni.*)

Stary Hilse (*z tłumioną wściekłością*): A ty chcesz być porządną żoną! Co? Ja cię już raz nauczę! Chcesz być matką — a masz taki paskudny język! Taki przykład dajesz dziewczynie, namawiasz męża do buntu, do rozboju!

Ludwika (*gwaltownie*): Eh, waszemi pobożnymi gadaniami ani razu dziecka się jeszcze nie nakarmiło. Wszystko czworo leżało na ziemi w gnoju i łachach. Ani jedna pielucha nie wyszła. Ja, żebyście wiedzieli, chcę być matką — i dlatego życzę sobie, niech wszystkich fabrykantów dzuma porwie i piekło pochłonie! Tak, ja właśnie jestem matką. Jak mam żywić takiego robaczka? Jak tylko się narodziło — wciąż płakałam, aż się śmierć zlitowała. A wy co? Obchodziło to was? Modliliście się, godzinki śpiewali, a ja zdzierałam nogi do krwi za kropelką mleka. Ile nocy nie spałam! Zachodziłam w głowę, jakby jedno bodaj od śmierci uchronić. Co taki robaczek winien, że musi tak z głodu konać! A tam naprzeciwno u Dietricha, tam kąpią się w winie i myją mlekiem. No, niech tu się tylko zacznie — i dziesięć koni mnie nie zatrzyma. Ja to wam powiadam, jak tylko zaczną burzyć Dietricha, ja tam będę pierwsza. Biada temu, co zechce mnie powstrzymać. Już mam dość tego i koniec!

Stary Hilse: Jesteś zgubiona, niema ratunku dla ciebie.

Ludwika (*wpada we wściekłość*): Dla was niema ratunku, wy mazgaje! Tchórze, nie mężczyźni! Niezdary, tylko pluć na was! Kaleki, co nawet przed dziećmi macie strach. Hołota, co jak ją biją, jeszcze dziękuje uniżeniu! — Całą krew wyszali wam z żył, że nawet się już nie potraficie zarumienić. Tylko wziąć na was bat i walić, dopóki szpik w waszych leniwych kościach się nie ruszy!

*(Odchodzi szybko. — Chwila kłopotliwego milczenia.)*

Stary Hilse (*zostawia robotę, podnosi się i mówi uroczysto*): Gottlieb, twoja żona gadała tu takie rzeczy... Gottlieb, przypatrz się! (*Odstania pierś*) Tu siedziała kula — jak naparstek. Gdzim rękę zostawił, to wie król. Myszy mi jej nie odgryzły. (*Chodzi po izbie*) Twoja żona... jeszcze się o niej nikomu nie śniło, kiedy moja krew kwartami się już lała za ojczyznę. Niech sobie plecie, co jej tam ślina do ust przyniesie, niech gada ile chce. Co mi to — ot, puste patrony. Bać się? Ja mam się bać? Czego mam się bać, powiedzno mi wreszcie. Może tych kilku żołnierzy, co tam idą za buntownikami? Gdyby tylko to! To jeszcze nie byłoby źle. Choć mi tam coś w krzyżach łamie — jakby trzeba było, tobym miał kość jak żelazo. Dałbym sobie radę z kilkoma głupimi bagnetami. No, a co by się stało, jakby poszło źle? Jakże chętnie, jak chętnie poszedłbym na odpoczynek. Nie trzeba mnie prosić do trumny, lepiej dziś, niż jutro. No, a jak przyjdzie skonać, to co? Czego mam żałować? Może płakać za tem starem połamanem cielskiem, za tym strachem i mizerją, co to się życiem nazywa?... Ale potem, Gottlieb, może przyjdzie coś — no, jak to stracisz, toś przepadł na zawsze.

Gottlieb: E, kto wie, co tam będzie po śmierci, nikt jeszcze tego nie widział.

Stary Hilse: Powiadam ci, Gottlieb, wierz w to jedno, co nam, biedakom, zostało! Pocóżbym tak siedział i harował, jak w kryminale, więcej niż czterdzieści lat? Czybym wytrzymał to spokojnie, jak tam naprzeciwno panoszą się, żyją w rozpuście i zbijają złoto z moich trosk, głodu i krwawej pracy! No, a dlaczegom wytrzymał? Bo mam nadzieję, mam jakąś pociechę w mojej biedzie. (*Pokazuje przez okno*) Ty masz tu swoje, a ja mam na tamtym świecie — takem myślał. Niech mnie porąbią, ale wiem na pewno, że tak; mamy obiecane, będzie sąd ostateczny! My nie jesteśmy sędziami, bo «Ja sam sądzić i karać będę» — mówi Bóg nasz, Pan miłosierny.

Głosy (*przez okno*): Tkacze, wychodzić!

Stary Hilse: Aha, pewnie, — bawcie się, jak wam dobrze! (*Idzie do warsztatu*) Mnie będziecie musieli już tu zostawić.

*Tłum. Edmund Libański.*

### Z «WNIEBOWZIECIA HANUSI»

(Hanusia Maltern, sierota, dręczona przez pijaka-ojczyma, szuka śmierci w stawie. Wyratowana z wody, po kilku godzinach umiera w domu ubogich.)

Nieznamomy (*podchodzi do trumny Hanusi i mówi, zwrócony do obecnych; ci wszakże cofają się ze czią od tej wyniosłej i przemawiającej uroczysto postaci*): Nie lekajcie się! (*Pochyliła się i ujmuje rękę Hanusi, jakby próbując życia, poczem mówi łagodnie*): Nie umarła dziewczeczka, ale śpi! (*Z najgłębszą, wewnętrzną, świadomą siebie siłą*): Hanusiu Maltern, ja ci mówię: wstań!

*(Jasne złoto-zielone światło napętnia izbę. Hanusia otwiera oczy i zwraca się do ręki Nieznajomego, nie śmiejąc mu spojrzeć w oblicze. Zstępuje z trumny i odrazu pada przed Wskrzesicielem na kolana. Obecnych ogarnia lęk. Uciekają. Z Hanusią zostaje Nieznajomy sam. Ciemny płaszcz spadł z jego ramion; odziewa go teraz biała, złotem lita szata.)*

Nieznajomy *(łagodnym, miękkim głosem)*: Hanusiu!

Hanusia *(w zachwyceniu, głowę pochyla jak może najniżej)*: Oto — On!

Nieznajomy: Kto ja jestem?

Hanusia: Ty!...

Nieznajomy: Nazwij imię moje!

Hanusia *(szepce ze czcią)*: Święty... święty...

Nieznajomy: Ja znam wszystkie cierpienia i dolegliwości twoje!

Hanusia: Ty drogi... drogi...

Nieznajomy: Podnieś się!

Hanusia: Szata twoja bez zmazy, a jam pełna winy!

Nieznajomy *(kładzie prawą rękę na głowie Hanusi)*: Oto odejmuję od ciebie wszelką niskosć ziemi. *(Dotyka jej oczu, z łagodną przemocą podniósłszy jej głowę)*. Oto źrenicom twoim daję wieczne światło. Przyjmijcie w siebie słońca słońc i zwróćcie się ku słońcu. Przyjmijcie w siebie dzień wieczności, od zórz porannych aż do zórz zachodnich, i od zórz zachodnich aż do zórz porannych. Przyjmijcie w siebie wszelkie światło światła, błękit morza, błękit niebios i zieleń łąk — na wieki. *(Dotyka jej uszu)*. Oto daję uszom twoim moc słyszenia milionów anielskich chórów i milionów sfer brzmiących — na wieki. *(Dotyka ust jej)*. Oto rozwiązuję twój język z mowy, co była jako niemowlęca, a kładę ci w usta ducha mego i ducha ojca mego i ducha świętego — na wieki!

*(Hanusia, drżąc na całym ciele, usiłuje się podnieść, ale jest jakby przygnieciona nadmiarem rozkoszy. Wstrząsana tkaniem płacze cicho i tuli głowę na piersiach Nieznajomego.)*

Nieznajomy: Łzami twymi obmywam duszę twoją z prochu i ran ziemi. A stopy twoje wywyższam ponad gwiazdy niebios!

*(Przesuwa rękę po schylonej główce Hanusi i mówi w takt słodkiej rozbrzmiewającej muzyki. — We drzewach ukazują się anielskie postacie: duże i małe, chłopięce i dziewczęce, zatrzymują się zrazu nieśmiało u progu, potem wchodzą, wstrząsają kadzielnice, zdobią izbę w kobierce i kwiaty.)*

Nieznajomy: Królestwo Boże — przedziwny, cudny gród!  
Nieznane tzy tam ni wojny, ani głód.

*(Harfy zrazu zcicha — potem pełnemi tonami)*

Z marmurów ściany, a złotem kryty dach,  
Wino tam rzeką w rubinu płynie skrach!  
W ulicach kwiecie wiosenną roni woń,  
Na wieżach w dzwony anielska bije dłoń!  
Majowa zieleń oplata domów szczyt,  
Powój je wieńczy i róż jutrzennych świt!  
Łabędzi białych szeroki płynny ruch,  
Z szumem się strzępi ich srebrno-dźwięczny puch,  
W powietrzu modre niesie je bystry prąd,  
W lazurach grają ich duchy stąd i stąd  
I wiążą w zorzach girlandy białych szart,  
Trzymając pióra, jak struny złotych harf,  
Na Syjon patrzą, na ziemię, na toń mórz,  
A ziemia płonie purpurą młodych róż,  
A w zieleń leśną śnieżysty kryje kwiat,  
Tam święci chodzą w białości swoich szat.  
W ogromnym morzu szum wina zamiast wód,  
A święci idą wśród szumu tego wbród,

A lazur morza i piany srebrnej blask  
 Obmywa pierś ich chryzmatem bożych łask,  
 A święci idą wskroś morza, aż na brzeg,  
 A krew Chrystusa wybiela ich nad śnieg!...

*Tłum. Marja Konopnicka.*

## RICHARD DEHMEL

(1863—1920)

### PIEŚŃ ROBOTNIKA

Mamy łóżko i dziecię mamy — tak!  
 O, żono!

I pracy aż nadto dla dwojga nas!  
 A czyż słońca nam, deszczu, wiatru brak?  
 Ot, i drobiazg zdałby się w sam raz,  
 Byśmy mogli wolni być, jak ptak:  
 Tylko czas!

Gdy w niedzielę chodzimy wśród pól i łąk,  
 O, dziecię!

A nad kłosami wprzód i wspak  
 Jaskótek szparkich lśni się krąg —  
 Nie strój potrzebny, pełen kras,  
 Byśmy piękni stali się, jak ptak:  
 Tylko czas!

Tylko czas! Wietrzymy burzy znak,  
 My — lud!  
 Już bliski kresu ten znój a głód;  
 Toć nam — żono, dziecię! — li tego brak,  
 Co własny nasz wytwarza trud,  
 Byśmy radość czuli tę, co ptak!...  
 ...Tylko czas!

### KOŁYSANKA

Śpij, krzykaczu! śpij, cacany!  
 Spójrz: w lusterku — dwa barany;  
 Jak ten beknie, tamten wrzaśnie,  
 A ten mniejszy — to mój właśnie!  
 Bębnie jeden, cicho leż,  
 Nie drzyj się, jak dziki zwierz!

Śpij, najmędrsza z oslich główek:  
 Jutro spadnie śnieg miętówek,  
 A trojaków grad w sobotę,  
 A za tydzień jajka złote;  
 Pan Bóg tak się będzie śmiać,  
 Aż się niebo zacznie chwiać.

A ty przyjdiesz, weźmiesz dary  
 I rozsiejesz w krąg ofiary;  
 Strasznie się ucieszą chłopcy  
 I bogactwo zwiążą w snopy — —  
 Drze się wciąż, nie będzie spał,  
 Choćbym jak najęty łąał!

Co za paszcza! — bez uroku...  
 Wczoraj w nocy, mały smoku,  
 Przez czerwone wrota piekła  
 Taka wielka ćma uciekła;  
 Tu ci teraz w nosek dmie  
 I przymyka oczki twe —

A przy jej skrzydełek drgnieniach  
 O łagodnych śnisz płomieniach,  
 Co się polubiły wzajem  
 I złączyły piekło z rajem —  
 Śpi już wreszcie, umilkł wrzask,  
 Wielki Boże, pełnyś łask!

*Tłum. Alfred Tom.*

### GNIAZDO RODZINNE

Więc nawet w chacie rodzicielskiej starej,  
 Nawet wieczorem nie znajduję ciszy...  
 Na dworze starej topoli rozgwały  
 Wśród głuchych tęsknot dusza moja słyszy.

I słyszę: cicho ktoś otwiera wrota  
 I z lampką matka ma chodzi w pokoje...  
 Cała się moja rozwiła tęsknota  
 I wsiąkła, matko, w jasne światło twoje...

*Tłum. Leopold Staff.*

## ALEŻ NIE!

Pójdź, dziewczeczko... pochyl skroń...  
 Spokój daj pończosze...  
 Proszę...  
 Starym zostaw te rozkosze...  
 Dla nas młodych kwitnie błoń.  
 Przestań już:  
 Pójdź, pójdź, pieścizotko!  
 Z ostromlecza kwieciem tuż  
 Wiatr wieczorny igra słodko.

Zasepioną minkę masz...  
 Ja to wszystkim znoszę...  
 Proszę...  
 Starym zostaw te rozkosze...  
 Młodzi patrzą sobie w twarz!  
 Pójdźże już:  
 Patrz, pieścizotko!  
 Z ostromlecza kwieciem tuż  
 Wiatr wieczorny igra słodko.

Źle nie było ci tu spać?  
 Gniewasz się potrosze...  
 Proszę...  
 To dla młodych są rozkosze...  
 Starzy chodzą sami spać!  
 Znowu cóż?  
 Łzy, pieścizotko?  
 Z ostromlecza kwieciem tuż  
 Wiatr wieczorny igra słodko.

—————  
*Źum. Władysław Nawrocki.*

## FRANK WEDEKIND

(1864—1918)

## Z «PRZEBUDZENIA SIĘ WIOSNY»

*(Strych w stodole. Melchjor leży nawznak na świeżem sianie. Wendla wchodzi na strych po drabinie.)*

Wendla: To ty tu jesteś? Wszyscy cię szukają. Pojechali znowu po siano. Musisz pomóc. Burza nadchodzi.

Melchjor: Precz ode mnie! — Precz ode mnie!

Wendla: Co ci się stało? Czemu twarz ukrywasz?

Melchjor: Precz! precz! bo cię zrzucę nadół!

Wendla: Nie! teraz właśnie nie pójdę! *(Kłęka przy nim)* Dlaczego nie chcesz iść z nami, Melchjorze? Tutaj tak duszno i ponuro, a choćbyśmy nawet i zmokli, cóż to szkodzi?

Melchjor: Siano tak pachnie. — Jakie tam niebo musi być czarne — jak całun. Nic nie widać. Widzę tylko ten świecący mak na twojej piersi... i słyszę bicie twego serca...

Wendla: ...Nie całuj mnie, Melchjorze!... nie całuj mnie!

Melchjor: Słyszę... bicie... twego serca...

Wendla: Kto całuje... ten kocha... Nie!... nie!...

Melchjor: O, wierź mi, niema żadnej miłości! Wszystko tylko egoizm... wszystko samolubstwo... Ani ja ciebie nie Kocham... ani ty mnie...

Wendla: Nie!... Nie... Melchjorze!... nie!...

Melchjor: Wendlo!...

Wendla: O, Melchjorze!... nie!... nie...

—————  
*(Jasna noc listopadowa. Na krzakach i drzewach szumią żółtkle liście. Melchjor włazi na cmentarz przez mur.)*

Melchjor *(zeskakuje z muru na cmentarz)*: No! tutaj mnie już nie dosięgnie ta sfora. Przeszukują domy publiczne — a ja tymczasem mogę tu odetchnąć i poracho-

wać się z sobą. Surdut podarty, kieszenie puste — — cały świat moim wrogiem. Jak się dzień zrobi, będę musiał przekraść się do lasu i dalej...

*(Maurycy Stiefel, z głową pod pachą, przeskakuje przez groby.)*

Maurycy: Czekał no, Melchjorze! Taka sposobność prędko się nie zdarzy! Ani wiesz, jaka to dobra chwila!

Melchjor: Ty tutaj!? skąd?

Maurycy: Stamtąd — z pod muru. Przewróciłeś mój krzyż. Leżę pod samym murem. Podaj mi rękę, Melchjorze...

Melchjor: Ty nie jesteś Maurycy Stiefell...

Maurycy: Podaj mi rękę. Pewien jestem, że mi będziesz wdzięczny. Lżej ci będzie. Jakież to szczęśliwe spotkanie! Przyszedłem naumyślnie.

Melchjor: Więc ty nie śpisz?

Maurycy: Nie — to nie to, co wy spaniem nazywacie. Siedzimy sobie na wierzchołkach kościelnych, na wysokich dachach, gdzie tylko chcemy...

Melchjor: A umiecie zapominać?

Maurycy: Wszystko umiemy. Podaj mi rękę! Umiemy żałować młodości, że taką cześć żywi dla idealizmu, i starości, której serce pęka z mądrości stoickiej. Widzimy, jak cesarz drży przed rębaczem, a żebrak uliczny przed trąbą sądu ostatecznego. Widzimy aktora poza jego maską i poetę, jak maskę nakłada w ciemności. Widzimy zadowolonego z siebie w całym jego żebractwie szczęściu, a w strudzonym i obciążonym widzimy kapitalistę. Patrzymy na zakochanych i widzimy, jak się rumienia przed sobą pokrywając, przeczuwając, że są oszukany i oszustami. Widzimy, jak rodzice wyprowadzają na świat dzieci, aby im móc powiedzieć: Jakież szczęśliwe jesteście, mając takich rodziców! I widzimy dzieci, robiące to samo. Widzimy, jak niewinność ginie z samotnej żądzy, a dziewczka uliczna zachwyca się Schillerem. Widzimy, jak Bóg i djabeł kompromitują się nawzajem przed sobą i wpajają w nas coraz silniejsze przekonanie, że chyba obaj muszą być pijani.. Spokój, zadowolenie... Melchjorze!...

Melchjor: ...Jestem wygnany. To, co mi dodawało odwagi, leży w grobie. Wątpię czy byłbym zdolny do jakichkolwiek szlachetniejszych porywów — nie widzę nic, nic, coby stało na przeszkodzie mojej zagładzie. Jestem najbardziej godnym pogardy stworzeniem na świecie...

*Tłum. Z. Wojcicka-Chylewska.*

#### PIEŚŃ O POSŁUSZNEJ PANIENCE

Mówiła mi mateczka: «Zważ,  
Że już szesnaście latek masz...  
Więc dybie na cię pokus moc,

A osobliwie w noc!

Chcesz sobie życie zmienić w raj,  
Pamiętaj, dalibóg!  
O złoty środek zawsze dbaj,  
Bo to najprostsza z dróg!»

Jak na złość, Jaś przez okno chlust  
Najprostszą drogą do mych ust  
I kradł całusy — ach, jak kradł!

A mnie z ocz ginął świat.

Gdy nie chciał mi spokoju dać,  
Mówiłam: «Dalibóg!  
O złoty środek trzeba dbać,  
Bo to najprostsza z dróg».

Padając w szale do mych stóp,  
Rzeki: «Pójdź! weźmiemy zaraz ślub».  
Ja na to: «Ani mi się waży!

Za kogo ty mnie masz?»

Widząc, że próżny ze mną bój,  
Sam rzece, dalibóg:  
«Więc złoty środek, skarbie mój,  
Bo to najprostsza z dróg!»

Wciąż nocą, gdy mię zmorzy sen,  
Śni mi się złoty środek ten —

I nie poza nim nie chcę znać  
Ni o cokolwiek dbać!

Co bądź mi, losie, oddać każ,  
Dam wszystko, dalibóg!  
Za złoty środek... za ten... nasz —  
Za tę... najprostszą z dróg.

*Tłum. Władysław Nawrocki.*

## OTTO JULIUS BIERBAUM

(1865—1910)

## CZASAMI W CICHĄ NOC...

Czasami w cichą noc,  
Gdy pierś oddycha szerzej,  
Kiedy księżycą sierp  
Na czarnem niebie leży;

Gdy świat spokojem tchnie,  
I grzeszna chuć ustaje —  
Mnie wtedy dusza ma  
W dzieciństwa wiedzie kraje.

I widzę: słabo tak  
Stąpają nóżki małe,  
I widzę oczy me  
I me rączęta białe;

I słyszę usta me —  
Jak szczerą ich wymowa!  
I wraz o życiu mem  
Zwieszona duma głowa:

Czy zawsze czysto tak  
Po drogach szedłeś świata,  
Jak drobne nóżki twe  
W dziecięce biegly lata?

Czy zawsze usta twe  
Przezroczo tak mówiły,  
Jak niegdyś dziecka głos  
Donośny, choć bez sity?

Czyś zawsze w niebo stał  
Wzrok jasny i ochoczy,  
Jak ongi w słońca twarz  
Patrzyły dziecka oczy?...

Spoglądam, sierpie, wzwyż  
Na białe twe przepychy;  
Mnie często wielki żal  
Przejmuje w nocy cichej.

*Tłum. Alfred Tom.*

## MUZYKA SZCZĘŚLIWEGO LATA

O, czasie żniwa złotych zbóż!  
O, dźwięku sierpów skroś dościgłych plonów!  
Błogosławiąca pieśni zamaszystej kosy!

Słońce gra na ciężkich, sytych  
Barwach świetlne mocy pienia.  
Złotym snopem zbóż przykryty  
Siedzi wielki Pan wśród cienia.

Żółty jest pieśni ton głęboki... Płynie  
Szeroką strugą pod dźwięku nawałem;  
Fanfary krwawią. Błękit w huk się winie;  
Zieleń wezbrała jasnym fletu szalem.

Głową uwieńczoną w rogi  
Wielki Pan do taktu kiwa:  
«Zwolna zbliża się szczęśliwa  
Chwila, gdy znów wrócą bogi».

O, czasie żniwa złotych zbóż!  
O, dźwięku sierpów skroś dościgłych plonów!  
Błogosławiąca pieśni zamaszystej kosy!

*Tłum. Leopold Staff.*

## STEFAN GEORGE

(ur. 1868)

## Z «ROKU DUSZY»

Park, mówisz, zamarł? Patrz, obłoków cień  
Jaśnią błękitnej prześwieca pogody,  
Promienny uśmiech oddalonych lśnień  
Ubarwia ścieżki i rozwidnia wody.

Z szarych bukszpanów, z złotych brzozy skrzeń  
 Wić będziem wieniec: ciepły dzisiaj dzień,  
 Niecałkiem zwiędłe kwiecie późnych róż  
 Zerwij, ucałuj i pospołu złóż.

Gasnące astry, czerwień, co się tli  
 Na winnej łożu, ostatek zieleni  
 Spłec lekko w wieniec, a końca jesieni  
 Bładawą wizję razem stworzą ci.

\*

Szukamy ławek niezakrytych cieniem —  
 Poim się długiem, pogodnem jaśnieniem,  
 Jesteśmy wdzięczni, gdy się w drzewach zerwie  
 I spłynie na nas promieni ulewa,  
 Lub zasluchani patrzymy, kiedy w przerwie  
 Żrzałe owoce opadają z drzewa.

\*

Pomnisz ty jeszcze piękny obraz tego,  
 Co zrywał róże z nad przepaści wrót  
 I zapominał, że godziny biegną,  
 Pijąc w przelocie z kwietnej czary miód?

Gdy zaś daleką znużył się pogonią  
 Żłoty motyli na rozłogach niw,  
 Siadywał w parku nad sadzawki tonią,  
 W głębokiej tajni zasluchany dziw...

A od wysepki, gdzie w głązów koronie  
 Szemrze kaskada, na mchu znacząc ślad,  
 Nadpływał łabędź i w dziecięce dłonie,  
 W pieściwe, szyję smukłą kładł.

\*

Wzgórze, gdzie stoim, już się nurza w mroku,  
 Zaś tamto jeszcze w świetle dziennem lśni,  
 Księżyce w rozwiewnym poświaty otoku  
 Zrazu się jeno białą chmurką mgli.

Bledziej majączy smuga dróg daleka;  
 — Powiedz, wędrowcze, co szmer znaczy ten:  
 Czy to z gór woda niewidzialnie ścieka,  
 Czy szczebiot ptaka, co zapada w sen?

*Tłum. Stanisław Wyrzykowski.*

#### Z «WOJNY» (1917)

Nie czas na radość; triumfu nie będzie,  
 Jeno moc zgonów, lecz bez dostojenstwa...  
 Dłoń twórcy cofa się przed potwornością  
 Blach i ołowiu, rusztowań i luł.  
 Śmieje się wściekle z małpujących przeszłość  
 Mów bohaterских ten, co w miazgach, strzępach  
 Brać padającą widział, co w haniebnie  
 Rozrytej ziemi z robactwem się gnieździł...  
 Kędyż dziś wielki dawny bojów Bóg?  
 Schorzałe światy dogorączkowują  
 W szaleństwie zbestwień. Świętą tylko krew,  
 Która bez zmazy trysła — cały nurt!



Gdzież Mąż, co dzisiaj przewodzi? gdzież Słowo  
 Jedynie ważne przed późniejszy sąd?  
 Śmieszne — w koronach teatralnych — króle,  
 Rady, handlarze, skryby — nie a tłum.  
 I ułożonych trybów kres: zachwianie,  
 Groźba zamętu... wtem z szarego domku  
 Najwypłowialszej z naszych miast mieściny,  
 Wsparty na lasce, powstał zapomniany  
 Starzec bez odznak... znalazł na czas radę  
 I uratował, co gromkie pyszałki  
 Nad brzeg przepaści przywiodły już: państwo..  
 Przed gorszym wrogiem i on nie zasłoni.

*Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).*

## HUGO VON HOFMANNSTHAL

(1874—1929)

### Z «ROZMOWY O PISMACH GOTFRYDA KELLERA»

Pomiędzy młodymi, choć nie młodzieńczymi, przyjaciółmi, którzy siedzieli w drewnianej przewiewnej altanie, skleconej w kącie ogrodu — tam, gdzie stykały się winem porośnięte mury, rozmowa zesłała niepostrzeżenie na ten piękny, świetlany temat.

Bo z początku nie rozmawiali zgoła o książkach, lecz o uroczystościach, i nikt z nich nie przypominał sobie, aby kiedyś w życiu — w domu lub na obczyźnie — uczestniczył w jakiejś szczególnie pięknej, chyba że z czasów dzieciństwa rozpalili się w pamięci kule ogniste i sypiące się iskry wspaniałej rakiety. Jako ziomkowie Austriacy, wyłączali jedynie stare a czarowne Boże Ciało, natomiast o napotykanym kiedykolwiek świeckich, a nawet artystycznych zabawach i obchodach, o rzymskich, monachijskich lub paryskich karnawalach wyrażali się, że nie były warte trudu... Aż oto napomknął jeden z nich o książkach Gotfryda Kellera, pełnych uroczystości tego rodzaju. «Zielonego Henryka» — odezwał się sekretarz poselstwa — «obrzydzyły mi też istotnie owe nieskończone monachijskie święta artystyczne. Jak piękna byłaby ta książka, gdyby zawierała sam początek, a reszta zaginęła! Początku tego nie przypominasz sobie doprawdy, jak rzeczy czytanej, lecz jakby coś przeżytego. Jakież to piękne, jakże tam jedna dobra rzecz i przeżycie mieści się obok innych, jedno na drugim się skupia; niby śliczne, wyborowe owoce, leżą tutaj jedno na drugich szczęsne dni młodości». — «Szczęsne dni?» — wtrącił muzyk — «ależ przecie wcale mu się tak dobrze nie wiedzie». — «Czy mu dobrze, czy źle — nie pamiętam już dzisiaj. Lecz blask jakiś spoczywa na tem wszystkim, blask młodości, blask życia». — «Blask mądrości — wymów to śmiało, bo widzę, że jąłeś się stopniowania». Powiedział to trzeci z czterech przyjaciół, skromny obywatel ziemski i wcale dzielny literat, choć na tę ostatnią nazwę zżymałby się pewnie. «Siła mądrości igra tutaj z dziką gmatwaniną życia i urabia ją i połsniewa blaskiem swym na wszystkim, co stworzyła, podobnie jak przyroda, cokolwiek jako twór swój z rąk wypuszcza, blaskiem takim powleka. To właśnie podziwiam najbardziej w dziełach tego męża: moc, która wszystkim, nawet rzeczy najgłupszej, najpowikławszej, nada jeszcze formę, dzięki której przez chwilę żyje i świeci». — — —

*Tłum. Alfred Tom.*

### WIELU JUŻCI...

Wielu jużci musi zemrzeć wdole,  
 Kędy statków ciężkie zgrzytają wiosła,  
 Inni żyją wgórze tam, u steru,  
 Znają ptasi lot i gwiazd odległe kraje.

Wielu leży ciągle, z ołowiem w członkach,  
 U korzeni zgmatwanego żywota,

Innym krzesła, trony wzniesiono  
W jaskiniach Sybill, w salach królowych,  
I siedzą tam oto, jak u siebie,  
Z lekką głową, lekkimi rękoma.

Lecz cień pada od żywotów tamtych  
Na te inne, na górne żywoty,  
I te lekkie tak są z ciężkimi  
Jak z powietrzem i ziemią związane:

Prazapomnianych ludów omdłałości  
Otrząść nie mogę z mych ciężkich powiek,  
Ani stłumić w przerażonej duszy  
Głuchych waleń się gwiazd oddalonych.

Wiele losów z moim wraz się przędzie,  
Byt je wszystkie płacze, jakby w igraszce,  
I mym działem więcej coś, niż życia  
Gibki płomień albo szczupła lira.

*Tłum. Zenon Przesmycki (Miriam).*

#### ICH DWOJE

Trzymała puhar w ręce wątłej, białej.  
Jej usta jego brzegom się równały.  
Krok lekki, pewny, jak krok stóp anielich:  
Kropelki nawet nie uronił kielich.

Tak dzielna, silna była jego dłoń.  
Siedział na koniu dzikim, okazałym  
I ruchem ręki dokazał niedbałym,  
Że, drżąc, stał pod nim poskromiony koń.

Jednakże, kiedy jej dłonie dziewczęce  
Ten puhar oddać miały w jego ręce,  
Było to dla nich zbyt ciężkie, zbyt trudne,

Każde z nich bowiem tak ogromnie drżało:  
Dłoń dłoni znaleźć nie mogła, a cudne  
Ciemne się wino na ziemię polało.

*Tłum. Leopold Staff.*

#### RAINER MARIA RILKE

(1875—1926)

#### Z «KSIĘGI OBRAZÓW»

#### Rycerz

Rycerz wyrusza, odziany w stal,  
na koniu w szumiący świat;  
a w świecie jest wszystko:  
jest dzień i jest dal,  
jest wróg i jest druh, i jest bal wśród sal,  
i jest maj, i dziewczyna, jest las i jest Gral,  
i Boga pelen jest każdy cal,  
i wszędy Jego jest ślad.

Ale pośrodku zbroi rycerza,  
za najciemniejszym pierścieniem,  
czyha i myśli Śmierć z za pancerza:  
«Kiedyż przejasnem mignieniem  
na stal tę runie klinga, co mści,  
klinga, niosąca zaranie,  
co mnie dobędzie stąd jak lew,  
gdzie sromotnego gnicia  
tyle spędziłam dni —  
bym się podniosła z ukrycia  
na granie,  
na śpiew».

#### Pont du Carrousel

Szaro na moście stoi ślepiec stary,  
jak słup graniczny królestw bez imienia.  
On może jądrem jest, środkiem istnienia,  
wkoło którego krążą gwiazd zegary,  
i konstelacyj jasnych centrum cichem.  
Bo wszystko przy nim pędzi, błyszczy szychem.

On jest ten święty, który się nie zmienia,  
wstawiony w chaos wielu błędnych dróg;  
on jest podziemnych pieczar ciemny próg,  
stojący pośród płytkiego plemienia.

*Tłum. Witold Hulewicz.*

#### Z «WIERSZY NOWYCH»

##### Pantera

##### Paryż, Jardin des Plantes

Wzrok jej, o sztaby twarde bijąc siłą,  
zmęczył się. Oko nie widzi nic więcej:  
zda się sztab było paręset tysięcy —  
za sztab tysiącem świata zaś — nie było.

Miękki krok zwierza, co się pręży, mien  
w więzieniu klatki łukac się bez końca,  
to taniec siły, w którym wola mrąca  
zastyga w środku maleńkiej przestrzeni.

Czasem zasłona wznosi się pupili,  
i jakiś obraz wpływa poprzez ciszę  
napiętych nerwów — zlekka się kotysze  
i w głębi serca umiera po chwili.

*Tłum. Zuzanna Rabska.*

#### Święty Sebastjan

Stoi, jakgdyby leżał rozciągnięty,  
trzymany jedną niezmożoną wolą  
i, jak karmiące matki, z aureolą,  
i w sobie samym jak wieniec zwinięty,

Jedne po drugich upierzone pręty  
idą — i jakby z bioder mu tryskały  
żelaznym dźwiękiem drżą śpiczaste strzały.  
Lecz on ma uśmiech ciemny i nietknięty.

Po raz ostatni wielki żal nabrzmiewa,  
oczy odkryte boleśnie zalewa,  
raz się buntuje, jakby ciska precz,  
i pogardliwie na katów się gniewa  
za to, że niszczą taką piękną rzecz.

*Tłum. Witold Hulewicz.*

## Z «ELEGIJ DUINEZYJSKICH»

Od jak już dawna, figowcze, jest mi to wiele znaczące,  
 że kwitnienie swe omal zupełnie pomijasz  
 i w głąb rychło zawiązanego owocu,  
 nierozsławiony, tłoczysz czysty swój sekret.  
 Jak wodotrysku próżnia, twe wykręcone gałęzie  
 sok nadół pchają i wzwyż: a on skacze ze snu,  
 prawie nieobudzony, w błogość najstodszych dokonań.  
 Spójrz: jak bóg ów w łabędzia.

...Ale my zwlekamy,  
 Ach, my się pysznim kwitnieniem i w zapóźnione wnętrze  
 końcowego owocu naszego przenikamy zdradzeni.  
 W nielicznych tak mocno wznosi się pasja działania,  
 że wtedy już stoją jak wryci i w serca pełni płoną,  
 kiedy pokusa kwitnienia, jak nocne skożone powietrze,  
 dotyka młodości ich warg, dotyka ich powiek:  
 w bohaterach być może i w zaświat wczas przeznaczonych,  
 którym śmierć, jak ogrodnik, inaczej żyły wygina.  
 Ci to się walą o ziem: własny swój uśmiech  
 wyprzedzają, jak ów zaprzęg rumaków na wklęsłych  
 łagodnych obrazach z Karnaku przed królem, który zwycięża.

Dziwnie bliski jest przecie bohater młodo umartym. Trwanie  
 nie ma do niego przystępu. Wznoszenie jest jego bytem; bez przerwy  
 ujmuje siebie i wkracza w konstelację zmienioną  
 swego trwałego niebezpieczeństwa. Niewieluby go tam znalazło. Natomiast  
 los, co nas mrocznie przemilcza, nagłym zachwytem porwany,  
 w burzę śpiewa go wprost jego rozszumiącego świata.  
 Żadnego nie słyszę, jak jego. Przenika mnie raptem  
 z prądem płynnym powietrza ton jego przyciemniony.  
 Wtedy, jakżeż chętnie skryłbym się przed tęsknotą: o, gdybym,  
 gdybym był chłopcem i jeszcze mógł nim zostać, i siedział  
 na przyszłych ramionach wsparty, i czytałbym o Samsonie,  
 jak matka jego nic zrazu, a potem wszystko zrodziła.

Nie byłże w tobie już bohaterem, o matko, czyż nie tam  
 w tobie rozpoczął się już wybór jego wszechwładny?  
 Tysiące burzyły się w łonie i nim być pragnęły,  
 lecz spójrz: on opuszczał i chwycił, wybierał i zdołał.  
 A gdy kolumny kruszył, to wówczas, gdy się wydarł  
 ze świata twojego ciała w ciaśniejszy świat, gdzie nadal  
 wybierał i zdołał. O, bohaterów matki,  
 o, źródło rwących potoków! O, jary, w które  
 zwysoka, z serca krawędzi, ze skargą  
 już dziewczęta runęły, w przyszłości ofiary dla syna.  
 Bo, jeśli gnał bohater poprzez przystanki miłości,  
 każdy wynosił go ponad, każdy za nim drgający puls serca,  
 on, odwrócony już stał, na końcu uśmiechu, odmienion.

*Tłum. Stefan Napierski.*

## Z «SONETÓW DO ORFEUSZA»

## Jednorożec

O, to jest zwierzę, które nie istnieje.  
 A oni tego nie wiedzieli wcale;  
 kochali postać, kroczącą wspaniale,  
 i blask, co cicho w oczach błękitnieje.

Nie było go. Lecz z ich miłości czyste  
wzrosło. I miejsca ustąpili zjawie;  
a w tej przestrzeni jasne, oczywiste  
podniosło łeb, nie potrzebując prawie

być. I nie dali mu ziarna drobiny,  
lecz tylko tę możliwość jego bytu,  
a to moc taką dało mu, że z czoła

wyrwał się wielki jeden róg. Jedyny.  
I do dziewicy szło białe z błękitu,  
i było w lustrze i w niej, i dokoła.

*Tłum. Witold Hulewicz.*

## THOMAS MANN

(ur. 1875)

### Z «TRYSTANA»

(List poety Detleva Spinnella do hurtownika, p. Kloeterjahna.)

Pan Spineli siedział w swoim pokoju i «pracował».

Był to pokój, jak wszystkie w «Zaciszu»: staroświecki, prosty i wytworny. Ciężka komoda obita była lwiami łbami, wysokie lustro ściennie nie było z jednolitej płyty, lecz składało się z wielu małych, czworokątnych, w ołów oprawnych kawałków, żaden dywan nie pokrywał sino lakierowanej podłogi, w której sztywne nogi sprzętów przedłużały się jasnymi cieniami. Przestronne biurko stało w pobliżu okna, które romansopisarz zastonił żółtą firanką, prawdopodobnie, aby się bardziej «uwewnętrznić».

W żółtawym półmroku siedział pochylony nad swym sekretarzykiem i pisał — pisał jeden z tych licznych listów, które co tydzień wyprawiał na pocztę i na które zabawnym sposobem nie otrzymywał przeważnie wcale odpowiedzi. Leżał przed nim duży gruby arkusz, w którego lewym, górnym rogu pod zwężle narysowanym krajobrazem widniało w najnowomodniejszych czcionkach nazwisko Detlev Spinnell, i który pokrywał on starannie malowaniem i jak najwyraźniejszym pismem.

«Mój Panie! — pisał — zwracam do Pana te kilka wierszy, bo nie mogę inaczej, bo to, co mam Panu do powiedzenia, przepelnia mnie, dręczy i wprawia w drżenie; bo słowa napływają mi z taką gwałtownością, że udusiłbym się niemi, gdybym się nie mógł w tym liście do Pana ich pozbyć...»

By oddać prawdzie sprawiedliwość, to nie było wcale mowy o «napływaniu» i Bóg wie, skąd się panu Spinellowi to wzięło. Słowa zdawały się wcale nie napływać, jak na kogoś, którego obywatelskim zawodem było pisanie, ruszał żalośliwie pomalą z miejsca, i kto go widział, musiał dojść do przekonania, że literat to człowiek, któremu pisać jest trudniej, niż innym ludziom...

«Jest to — tak brzmiał list dalej — nieodparta potrzeba, by to, co widzę, co od tygodni, niby niezatarta wizja, stoi mi przed oczyma, unaooczyć też Panu, dozwolić Panu ujrzeć mojemu oczyma w tem słownem oświeceniu, w którym to widzę wewnętrzne spojrzeniem. Jestem zwykły ustępować temu naporowi, który mnie zmusza w niezapomnianych i promiennych, właściwie umiejscowionych słowach czynić przeżycia moje przeżyciami świata. I przeto posłuchaj mnie pan!

Chcę tylko i jedynie rzec, co było i jest, opowiadam jedynie historję, zupełnie krótką, niewymownie oburzającą historję, opowiem ją bez komentarza, bez skargi i wyroku, tylko swojemi słowami. Jest to historja Gabrjeli Eckhof, mój Panie, kobiety, którą Pan nazywa swoją żoną... i zważ Pan! Dla Pana była ona przeżyciem; a jednak dopiero moje słowo naprawdę podniesie ją Panu do znaczenia przeżycia.

Przypomni Pan sobie ogród, mój Panie, stary zachwaszczony ogród za szarym domem patrycjuszowskim? Zielony mech rósł w szczelinach zwietrzałych murów, które zamykały jego w śnie pogrążoną dzikość. Przypomina też Pan sobie na środku jego

wodotrysk? Lilje koloru lila kłoniły się nad jego zmurszałą krawędzią, i jego biały strumień opadał z tajemniczym gwarem na popękane kamienie. Dzień letni miał się ku końcowi.

Siedem dziewięć siedziało wokół wodotrysku; jednak we włosach siódmej, pierwszej z nich, jedynej, zachodzące słońce zdawało się tkać tajemnie lśniąca oznakę wyższości i pierwszeństwa. Oczy jej były niby trwożliwe sny, a jednak uśmiechały się jej jasne wargi...

Śpiewały. Zwracały swe wąskie twarze ku górze, ku szczytowi promienia wodotrysku, tam, gdzie w znużonym i szlachetnym zaokrągleniu skłaniał się do upadku, a ich ciche czyste głosy opląsywały jego smutny taniec. Może splatały swe wąte ręce wokół kolan, śpiewając...

Czy pamięta Pan ten obraz, mój Panie? Czy widział go Pan? Nie widział Pan. Ani Pańskie oczy, ani Pańskie uszy nie były stworzone, by zauważyć czystą słodycz jego melodji. Widział to Pan? — Powinien Pan był wstrzymać oddech, winien Pan był zabronić bić sercu własnemu. Winien Pan był powrócić w życie, w Pańskie życie, i po koniec swego istnienia ziemskiego zachować to, co Pan widział, jako nienaruszone i święte w swej duszy. Lecz cóż, Pan uczynił?

Ten obraz był kresem, mój Panie; czyż musiał Pan przyjść i zniszczyć go, by dać mu dalszy ciąg popolitości i szpetnego cierpienia? Była to wzruszająca i pełna ciszy apoteoza, zanurzona w wieczorne przejaśnienie ruiny, rozkładu i gaśnięcia. Stary ród, zbyt znużony i zbyt szlachetny dla czynu i dla życia, stoi u kresu swych dni, a ostatnimi objawami jego są głosy sztuki, kilka dźwięków skrzypcowych, pełnych świadomej melancholji dojrzałości do śmierci... Czy widział Pan te oczy, z których te dźwięki lży wyciskały? Może dusze sześciu towarzyszek należały do życia; dusza jednak ich siostrzanej władczyni przynależała pięknu i śmierci.

Pan widział tę piękność śmiertelną: patrzył pan na nią, by jej pożądać. Ślad czci, ślad trwogi nie dotknął serca Pańskiego wobec jej wzruszającej piękności. Niedosyć było Panu patrzeć, musiał Pan pojąć, wyzyskać, zbezczęścić... Jakże świetny był Pański wybór! Jest Pan smakoszem, mój Panie, plebejskim smakoszem, chamem ze smakiem.

Proszę Pana wziąć pod uwagę, że nie pragnę zgoła Pana dotknąć. To, co mówię, nie jest zgoła obelgą, tylko formułą, prostą psychologiczną formułą dla Pańskiej prostej, literacko wcale niezajmującej osobistości, i wypowiadam ją tylko dlatego, że coś prze mię, by wyjaśnić Panu nieco jego postępowanie i istotę, gdyż mojem nieuniknionem powołaniem na ziemi jest nazywać rzeczy po imieniu, dopuszczać je do głosu i prześwieślać to, co nieświadome. Świat jest pełen tego, co nazywam «nieświadomym typem», a niecierpię nieświadomych typów. Niecierpię tego całego głuchego, bezwiednego i nieświadomego życia i działania, tego świata drażniącej naiwności wkół siebie. Gna mnie coś nieodparcie, aby — o ile sił mi starczy — wyjaśnić, wypowiedzieć i uświadomić wszelkie dokoła istnienie — bez względu na to, czy wywoła to skutek dodatni lub ujemny, czy przyniesie pociechę i ulgę lub cierpienie.

Jest Pan, mój Panie, jak rzekłem, plebejskim smakoszem, chamem ze smakiem. Jako człek gruboskórny, stojący na bardzo niskim stopniu rozwoju, doszedł Pan przez bogactwo i siedzący tryb życia do nagłego, niehistorycznego i barbarzyńskiego zepsucia systemu nerwowego, które pociąga za sobą pewne lubieżne wyrafinowanie uciech. Być może, że mięśnie Pańskiego przełyku zostały wprawione w ruch mlaskania, jak wobec wybornej zupy lub rzadkiej potrawy, gdy Pan postanowił przywłaszczyć sobie Gabrjele Eckhof...

W rzeczywistości wprowadza Pan w błąd jej rozmarzoną wolę, wywodzi ją Pan z jej zachwaszczonego ogrodu w życie i brzydotę, nadaje jej Pan swe ordynarne nazwisko, czyni ją Pan małżonką, gospodynią, czyni ją Pan matką. Zniża Pan znużoną, trwożną i w bezużyteczności swej kwitnącą piękność śmierci w służbę popolitej codzienności i owego niedorzecznego, niezdarnego i godnego pogardy bożyszcza, które zowie się naturą, i nawet przecucie głębokiej nikczemności tego poczynania nie budzi się w Pańskim chamskim sumieniu.

Raz jeszcze: cóż się dzieje? Ona, z oczyma, które są jak sny trwożne, obdarza Pana dzieckiem i nadaje temu stworzeniu, które jest dalszym ciągiem niskiej egzy-

stencji swego rodzica, całą swą krew i zdolność do życia, i umiera. Umiera, mój Panie! I jeśli nie ginie w pospolitości, jeśli się jednak wreszcie dźwiga z głębi swego poniżenia i dumnie, i błogo zanika pod śmiertelnym pocałunkiem piękna, to moja była w tem troska. Pańską troską natomiast było to, aby w dyskretnych kurytarzach skrać sobie chwilę z pokojówkami.

Jej dziecko jednak, syn Gabrijeli Eckhof, kwitnie, żyje i triumfuje. Może będzie wiódł żywot swego ojca, zostanie handlującym, podatki płacącym i dobrze jedzącym obywatelem; może żołnierzem lub urzędnikiem, bezwiedną i tęgą podporą państwa; w każdym razie bezmuzycznym, normalnie funkcjonującym stworzeniem, bezwzględnie i zadufanem, silnym i głupim.

Niech pan przyjmie do wiadomości, mój Panie, że Pana nienawidzę, Pana i Pańskiego dziecka, jak nienawidzę samo życie, pospolite, śmieszne, a jednak triumfujące życie, które Pan przedstawia, wieczyste przeciwne i śmiertelnie wrogie piękności. Nie śmiem powiedzieć, że Panem pogardzam. Nie mogę tego. Jestem rzetelny. Pan jest silniejszy, ja mogę w walce przeciwstawić Panu tylko jedno: ducha i słowo. Dziś posłużyłem się tem. Bo list ten — gdyż i co do tego jestem rzetelny — jest tylko aktem zemsty, i jeśli znajdzie się w nim choć jedno słowo ostre, świetne i zdolne Pana skonfundować, dać mu poczuć moc obcą, zachwiać na chwilę Pańskim niewzruszonym spokojem, to rad będę.

Detlev Spinell».

I pismo to pan Spinell włożył w kopertę, opatrzył znaczkami, zadresował pięknie i oddał na pocztę.

*Tłum. Leopold Staff.*

### THODOR DÄUBLER

(ur. 1876)

#### Z «ZORZY PÓLNOCNEJ»

Ja jestem wiara w słońce majestat święty,  
I moja żądza karmi ich promienie.  
Własna mnie siła w liczb niezmierność żenie,  
I przedzą jestem wieczności objęty.

Niewyczerpany jest ów zdrój zakłęty  
Mej jaźni — bowiem bolesne krążenie  
Wędrownych światów dało mi istnienie;  
Więc staję się, choć nigdy nie poczęty.

Jam jest! a iżem jest, pragnę żywota;  
A iż żywota pragnę — istnieć będę  
Na wieki jako dążność i istota.

Ja jestem sobą — z mocy woli wolnej,  
I stanę się, gdy lotu moc zdobędę,  
Bom tylko z siebie sam zmartwychwstać zdolny.

#### Przebudzenie

Czemuś tak blade, o, ty śliczne ranka złoto?  
Oto się las przecuciem południa weseli.  
Bez jednej zmarszczki woda gładkim szkli migotem,  
I życie snuje się, jak nitka u kądzieli.

Łąka pełna radości i porannej rosy.  
Coś śpiewa w ciemnym gąszczu, po chaszczach i sękach.  
Skoś ptasi świr świegocą mych siostrzyczek głosy —  
I moje ukojenie gra w blaskach i dźwiękach.

Wkoło wielkich cyprysów piosnka się owiła.  
 Jak wątle dzieci, blade są oliwne drzewa.  
 Na każdym liściu noc lży kroplę zostawiła,  
 A we mnie wnętrznym głosem: Powiedz: «tak» — coś śpiewa.

Więc tak! Wstrząsnąłem jedną maleńką krzewiną;  
 Czuję wilgotną świeżość, lży po liściach płyną;  
 Poranna radość pała i skrzy się srebrzyście —  
 I tęsknię, jak te gęśle, co dźwięczą przeczyście.

#### I s t o t a

Tej nocy w boru duch obalił pień dębowy.  
 Podpełzłem: mocarz-dąb legł w trawach, zdruzgotany;  
 Skroś karczów wileczy głód zaszczekał, żądzą gnany,  
 Strach wyjrzał z poza drzew i wabił do dąbrowy.

Puszczyk po dziuplach olch bezgłośnie sprawiał łowy;  
 Z jękiem się wschodni wiatr o kniej rozbijał ściany;  
 Bezpióry upiór mknął i w pola gnał zziajany,  
 Zadrzała woda w takt przeznaczeń zegarowy.

Coś się poczęło gdzieś, czy coś się gdzieś skończyło.  
 W tajemny świata gąszcz pogrążam się struchlały,  
 I mój paniczny zmysł poi się swym żywiołem.

Potęgą jest mi szal, a obłąd jest mi siła.  
 Zawrotnym lękiem tym, jak wichrem oszalały,  
 Rozskrzydła się mój duch, objęty czarów kołem.

*Tum. Wacław Husarski.*

#### GEORG HEYM

(1887—1912)

#### UMBRA VITAE

Naprzód podani w ulicach ludzie stoją  
 I patrzą na ogromne nieba znaki,  
 Gdzie się kometów groźne ognie roją  
 Wokół zębatych czarnych wież zygzaki.

I wszystkie dachy pełne są znachorów,  
 Którzy wtłaczają w niebo wielkie rury  
 Magów, wyrosłych z dziur dachów-potworów,  
 Co czary czynią, stercząc ponad mury.

W noc samobójcy ciągną wielką zgrają,  
 Swej zagubionej szukając istoty,  
 W prochu swe miotły ramion zanurzają,  
 Na świata strony gnani przez Golgoty.

Są jako pył, co trzyma się przez chwilę.  
 Już na ich drogi opadają włosy.  
 Skaczą pośpiesznie, byle umrzeć, byle  
 Gdzieś w polu złożyć głów nieżywych kłosa.



Złożyli martwe głowy, jeszcze drgają.  
 A trzody leśne głupio, ślepo, wiernie  
 Stoją i w brzuch im rogi pogrążają.  
 Grób im stworzyły balsamy i ciernie.

Morza stanęły. Na falach okręty  
 Wiszą gnijące, zbiedzone, stroskane,  
 I żaden wietrzyk nie powieje święty,  
 Dziedzińce wszystkich nieb pozamykane.

Już drzewa w porach się nie odmieniają  
 I wiecznie martwe w zakończonej walce  
 Ponad zapadłe drogi szapierają  
 Drewniane, długie, wysuszone palce.

Kto umarł, ten się wznosi w nowym bycie.  
 Jeszcze brzmią słowa przezeń wymawiane,  
 Nagle go niema. Gdzie jest jego życie?  
 A oczy jego jak szkło są złamane.

Cienie są liczne. Schowane, zmacone.  
 I sny, co szumią pod niememi drzwiami.  
 Gdy oczy przejrzą, blaskiem dnia olśnione,  
 Strząść muszą szary sen, który je mami.

*Tłum. Witold Hulewicz.*

## FRANZ WERFEL

(ur. 1890)

### PIEŚŃ PIJACKA

Jak pijacy jesteśmy  
 nad własnym pochyleni mordem.  
 Chwiejni w delfickim  
 zamgleniu dwuznacznem.  
 Jakaż tajemnica?  
 Któż stuka tam?  
 Tajemnicy żadnej.  
 Nie stuka nikt.  
 Pozwól nam żyć!  
 Ostateczną się upić próżnością —  
 niech nas upoi, ogłuszy.  
 Kłamstwa miłą pozostaw  
 ojczyznę karmiącą!  
 Skąd żyjemy,  
 nie wiemy...  
 Gwarzymy tu i tam  
 przypadkowe słowa lub inne.  
 Nocą z czarnej wody rąk wyciągniętych  
 widzieć nie chcemy.  
 Las ciemny dokoła?  
 Dzwonnica ponad wierzchołki?  
 Precz! Precz,  
 żyjemy tu, tam.  
 Podaj czarnego snu nam. kruż!  
 Pozwól żyć tylko  
 i pić, i pozwól pić!

*Tłum. Stanisław Kubicki.*

## HEKUBA

Nieraz idzie ona przez noc ziemi —  
Z biednych najbiedniejsze serce ziemi.  
Zwolna wieje pod gwiazdami, liśćmi  
I skroś drogę, drzwi i tchu wędrówki —  
Stara matka, najędzniejsza z matek.

Tyle mleka miała niegdy w piersiach,  
Tylu synów trzeba było karmić.  
Niemasz ich! — Dziś wieje w noc na ziemi,  
Stara matka — świata rdzeń — wygasła,  
Jak się toczy dalej zmarzła gwiazda.

Pod gwiazdami, liśćmi tak powiewa,  
Nocą przez tysiące zgasłych komnat,  
Pośród śpiących matek, kobiet młodych,  
Wieje mimo łóżek z siateczkami,  
Mija krągły, jasny sen dzieciątek.

Czasem staje u wezglowia łóżka  
I spogląda wkoło tak cierpiąca —  
Ona, nikły wiew, przez ból stworzony —  
Że dopiero w niej się ból stał ciałem,  
I światełka w martwych lampach płaczą.

A kobiety schodzą ze swych łóżek —  
Gdy powiała hen — nagiemi kroki...  
Długo siedzą nad śpiącymi dziećmi  
I powoli patrzą w izby mętność,  
W oczach — łyzy nierozumianych cierpień.

*Tłum. Alfred Tom.*

*Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.*

# L I T E R A T U R A I S L A N D Z K A

---

Z «EDDY»

(w. IX–XII)

## ŚPIEW O THRYMIE

W szat wpadł bóg Thor,      gdy powstał ze snu  
I zoczył, że Mjólnir —      młot szczeł mu potężny;  
I brodą wściekły trząst,      i z głowy rwąc włos,  
Syn ziemi jął      szukać wokół.

Pierwsze ze słów,      co je wyrzekł, brzmi tak:  
«Słysz ty mnie, Loki,      a o tem, coć zwierzę,  
Nikt nie śni jeszcze      na ziem padole  
Ni ówdzie w niebiosach —      młot zagrabiono Azowy!»

Więc poszli w sienį dworu jej,      Frei bogini;  
Pierwsze ze słów,      co je wyrzekł, brzmi tak:  
«Racz ty mi, Frejo,      twych piór dziś użyczyć,  
Bym młot ukradziony      mógł posiadać znowu».

«Rada je dam ci,      choćby złote być miały  
Albo z szczerzego srebra,      dam ci je przecie».  
Gna precz Loki,      szat pióra łopocą,  
Rzuca za sobą,      wzwyż prac się, dwór Azów  
I dopada wlot      olbrzymów dziedzin.

Na pagórze tam Thrym,      sam Thursów władyka,  
Plótl smycz dla swej psiarni,      czerwono-złotą,  
I gładził rumaki      po włosiu grzyw.

Thrym.

«Prawże mi o Azach,      prawże mi o Elbach,  
Przecz dążysz samotny      w olbrzymów gród?»

Loki.

«Złe czasy na Azy,      złe czasy na Elby,  
Tyś to Hlorridów      Mjólnir młot schował?»

Thrym.

«Jam to Hlorridów      Mjólnir młot schował,  
Na osiem staj w ziemi      zaryt jest głąb,  
I nikt go wpierw      posiadać nie zdoła,  
Nim Frei żoną      nie nazwie Thrym».

Gna precz Loki,            szat pióra łopocą,  
 Rzuca za sobą        olbrzymów wyżyny,  
 Do dom wdół        ku dworzyszczu rwie Azów.  
 Do wrót aż wyszedł        Thor mu naprzeciw,  
 Pierwsze ze słów,        co je wyrzekł, brzmi tak:

Th o r.

«Niesiesz wieść dobrą,        co twe znoje opłaci?  
 Rzuć mi ją z powietrza,        powiadaj, co wiesz!  
 Kto siadł, zapomni        niejedno, co rzec miał,  
 A kto lega wczas, rad łże        prawdzie w żywe oczy».

L o k i.

«Dobrą mam wieść,        co me znoje opłaci:  
 Thrym młot twój dzierży,        sam Thursów władyka,  
 I nikt go wpierw        posiąść nie zdoła,  
 Nim Frei żoną        nie nazwie Thrym».

Więc poszli w sień dworu jej,        Frei bogini;  
 Pierwsze ze słów,        co je wyrzekł, brzmi tak:  
 «Strój mi się, Frejo,        w ślubny zawój się skryj,  
 Mus śle nas samowtór        w olbrzymów kraj».

Ją sroga tknie złość,        parsknie Freja,  
 Aż Azów grodu        wstrząśniony drży tyn,  
 Aż kanak z niej spada,        Brissingów cud-dzieło:  
 «Szaloną iście        zwaćby mnie trzeba,  
 Gdybym szła z tobą        w olbrzymów kraj».

Na thingu błonie        śpieszy lud Azów,  
 Niewiasty szły też,        obok mężów, na wiec.  
 Tać jest rada        dostojnych bożyców,  
 Jako Hlorridów Mjólnir        dostać znowu.

Zabrał głos Heimdall,        najmędrszy wśród Azów,  
 Wróż Wanom podobien,        co przyszłość znał:  
 «Niech bierze Thor        ślubny zawój na skroń  
 I kanak szeroki,        Brissingów cud-dzieło.

Pierścień mu dać,        na nim klucze brzęczące  
 I szaty do stóp        niewieście ma wziąć,  
 Pierś niech się skrzy        od zapon blasku,  
 Włosy w kunsztowny        utrefić mu zwój».

Thor tak rzecze,        najtęższy z Azów:  
 «Babą będą mnie lżyli        dostojni bożyce,  
 Gdybym wdział na się        dziewczki zawój i strój».

Rzekł na to Loki,        z rusałki zrodzon:  
 «Milcz raczej już,        nie marudź darmo!  
 Dziś, jutro a Thursy        owładną Azgard,  
 Rychłóż po młot        będzie sięgać wtedy?»

Więc zdobi się Thor        w ślubny zawój i strój  
 I w kanak szeroki,        Brissingów cud-dzieło.  
 Podali mu pierścień,        na nim klucze brzęczące

I w szaty do stóp niewieście się skrył,  
 Pierś mu się skrzy od zapon blasku,  
 Włosy w kunsztowny upletli mu zwój.

Rzekł wówczas Loki, z rusalki zrodzon:  
 «Mnie też weź z sobą, twą służkę udam,  
 Mus śle nas samowtór w olbrzymów kraj».

Wnet wiodą w zaprząg dwa brodate reny  
 I wiążą u dyszla lotne rogacze;  
 Drżą góry wokół, w krąg ziemia się pali,  
 W kraj Thursów gna Thor, Odyna syn.

Rzekł wówczas rad Thrym, Thursów władcyka:  
 «Czuj duch, druhowie, poznosić mi lawy;  
 Za żonę Freję mam pojąć dziś,  
 Njorda córkę, hen z Noatun.

Pod topór byki czarnolśniacej maści  
 I jałowice złotorogie gnać mi,  
 Mam skarbów aż nadto i dobra mam dość  
 I Frei tylko, jej było mi brak».

Mrok zapadł dziś wcześniej, noc nadchodzi,  
 We łbach się Thursom zakręcił już chmiel;  
 Wołu zeszczętem zjadł Thor i ryb osiem,  
 Wszystkie ciasta też, co dla niewiast podane,  
 Potem wypił miodu trzy tęgie beczki, jak nic.

Rzekł na to wgłos Thrym, Thursów władcyka:  
 «Czy widział kto gdzie, by dziewczyna tak żarła?  
 By takie kęsy łykała, jak ona,  
 I z chłopy miód piła beczkami?»

Zacępki grot odstrzeli co tchu  
 Przebiegła służebna, tuż przy Frei siedząca:  
 «Ósmy Freja dzień się głodzi,  
 Tak wielka w niej tęskność i chęć ku wam gore!»

Zastony tknie Thrym, chciw Młodej całunku,  
 Lecz się wstecz zachnie, odskoczy i w krzyk:  
 «Przez-że błyszczą tak strasznie Frei oczy?  
 Zda się w nich płonąć ogień na dzień!»

Zacępki grot odstrzeli co tchu  
 Przebiegła służebna, tuż przy Frei siedząca:  
 «Od ośmiu dni Freja snu nie znała,  
 Tak wielka w niej tęskność i chęć ku wam gore!»

W próg weszła Thursowa sędziwa siostra,  
 Co o dań ślubną przymawiać się waży:  
 «Daj, niech z rąk ci te złote koła zsunę,  
 Chcesz łaskę staruchy zaskarbić sobie,  
 Łaskę staruchy, całą dobrą wolę».

Rzekł wówczas tak Thrym, Thursów władcyka:  
 «Młot mi tu nieście, bym dziewę nim święcił;  
 W dłoń Mjólnir młot pannie młodej dać,  
 A ty, Waro, uświęć nasz ślub!»

W piersi Thora serce      rozśmiało się w głos,  
 Gdy wzrok ocz zajadłych      młot ujrzał stracony;  
 Wpierw zabity padł Thrym,      sam Thursów władyka,  
 I zgruchotan leął w krwi      wszystek ród olbrzymów.

Thor zabił też Thursową      sędziwą siostrę,  
 Razy dostała      miast złota, co lśni,  
 I młota ciosy      wzięła miast obręczy.  
 Tak się to stało, że Thor      posiadał młot swój znowu.

*Tłum. Maryla Wojska.*

## SNORRE STURLUSON

(1179—1241)

### Z «EDDY MŁODSZEJ»

(Bragi, bóg sztuki poetyckiej, w czasie uczyt opowiada Ägiriowi, bogu morza, różne mity.)

...Ägir zapytał: «Jakie jest pochodzenie sztuki poetyckiej?» Bragi odpowiedział: «Bogowie mieli zatarg z Wanami, wkońcu jednak zebrali się razem, by zawrzeć pokój. Podeszli do naczynia jakiegoś i puścili tam swą ślinę, a z niej utworzyli męża, który zwie się Kwasir. Ten znał się na wszystkich rzeczach. Gdy wszelako razu pewnego przybył do karłów Fjalara i Galara, ci zwabili go na potajemną rozmowę, aby go uśmiercić. Poczem dali krwi jego spłynąć do dwóch dzbanów oraz jednego kotła: kocioł ten zwie się Odrerir, oba zaś dzbany — Son i Bodn. Następnie krew tę zmieszali z patoką, i płyn ten nazywa się odtąd miodem, a każdy, co zeń pije, staje się poetą lub mędrce. O Kwasirze zaś karły puścili pogłoskę, że udusił się własną mądrością (bo nikt nie był tak roztropny, iżby mógł go wypytać się o nią).

Razu pewnego karły zaprosiły do siebie olbrzyna, imieniem Gilling, i wezwały go, by z nimi powiosłował na morze. Ale tam karły przewróciły łódź (i on utonął). Gdy syn jego Suttung dowiedział się o tem, pochwycił karłów i zaniósł ich na rafę, którą woda optókiwała w czasie dopływu; wtedy ofiarowali mu oni miód, jako okup za ojca. Suttung ukrył go we wzgórzu Hnithjorg i powierzył dozorowi swej córki, imieniem Gunnlod. Dlatego też poezja zwie się krwią Kwasira albo płynem Odrerira, lub Sona, lub Bodna, albo też statkiem karłów, jako że miód ten zabrał ich z rafy i życie im uratował, albo wreszcie miodem Suttunga, lub ciecżą z Hnithjorgu.

*Tłum. Alfred Tom.*

### Z «SAGI O SKALDZIE EGILLU»

(w. XIII)

#### Jak Egill zestarzał się i umarł

Egill Skallagrimsson stał się starym człowiekiem. A w wieku tym sędziwym osłabł słuch jego i wzrok, a także nogi zesztyniały. Mieszkał on na «Borowińcu» w majątku pasierbicy swojej Thordis i jej męża, jak już było opowiedziane.

Dnia pewnego Egill chciał wyjść z domu. Szedł koło ściany, lecz potknął się i upadł. Widziało to kilka kobiet; zaśmiały się i rzekły: «Zużyty jesteś już, Egillu, całkowicie, skoro padasz, chociaż nikt cię nie popchnął». Na to odrzekł gospodarz: «Mniej z nas drwiły kobiety, kiedyśmy byli młodzi!»

Egill oślepl zupełnie. Pewnego dnia zimą, kiedy mróz był wielki, Egill podszedł do ognia, aby się rozgrzać. Gospodyni wtrąciła coś o tem, jaka to przecież dziwna jest sprawa. Mąż taki, jakim był Egill, leży oto w drodze dziewczkom służebnym, iż nie mogą dostać się do pracy! «Bądź dobra», powiedział na to Egill, «mimo że kładę się przy ogniu; pogodzimy się już co do miejsca!» — «Wstań!» rzekła ona, «idź na swoje miejsce i daj się zabrać do roboty!»

Egill wstał i poszedł na swoje miejsce. Wypowiedział wtedy następującą strofę:

«Ślepy, błąkam się wkoło ognia,  
u dziewczek zebrzę dobroci,  
ja, którego słowa bali się książęta,  
którego cześć wadała wojskami!»

I znów dnia pewnego, gdy Egill zbliżał się do ognia, aby się ogrzać, zapytał go ktoś, czy marzną mu nogi, i ostrzegał, by nie trzymał ich za blisko ognia. «Przyrzekam to», odpowiedział mu Egill, «niezbyt mi łatwo teraz sterować nogami jak się należy, ponieważ nie widzę. Żle to jest i całkiem nędznie być ślepcem!» Wypowiedział wtedy tę strofę:

«Dłuży mi się czas,  
gdy leżę samotny,  
mąż ja stary, wiekowy,  
zdala od ochrony książęcej.  
Dygocące wdowy  
dwie zimniuteńkie —  
obie nogi moje  
o ciepło się trapią».

Było to w początkach czasów Jarla Hakona Mocnego, gdy Egill Skallagrímsson wkroczył już w lat swych dziewięty dziesiątek. Ślepy był, ale jeszcze krzepki...

Na «Borowińcu» urządzono jazdę pasterską, i Thordis była tam w czasie thingu. Pewnego wieczora, gdy ludzie na «Borowińcu» już spać się kładli, Egill przywołał dwu parobków. Kazał im przyprowadzić konia. «Pojadę do kąpielii!» — powiedział.

I gdy Egill był gotów, wyszedł, a miał z sobą obie skrzynie ze srebrem angielskim. Siadł na konia, i udali się wdół za okopisko i przed wzgórze, które tam się wznosi; tam ich widziano po raz ostatni.

Nazajutrz, kiedy ludzie wstali, ujrzeni Egilla, zataczającego się na skraju lasu na wschód od okopiska. Konia prowadził za sobą. Poszli po niego i sprowadzili go do domu. Nigdy wszelako nie widziano już obu parobków ani też skrzyń owych. Sam Egill opowiedział, że parobków zabił, a skrzynie gdzieś ukrył; gdzie jednak — tego nie powiedział nikomu z ludzi.

Następnej jesieni Egill zachorował i umarł. Na jego pogrzeb zięć kazał odziać go we wspaniałe szaty i zanieść nadół do Tjaldanes. Tam przygotowano dlań kopiec i umieszczono w nim Egilla wraz ze zbroją jego i sukniami.

*Tłum. (według «Iständerbuch» Bonus'a) Alfred Tom.*

## Z «SAGI O GUNNLAUGU ŻĄDŁO WĘŻOWE»

(w. XIII)

(Poeta Gunnlaug Żądło Wężowe — ur. ok. r. 980, zm. 1009 — kochał miłością wierną i odwzajemnioną piękną Helgę, którą zabrał mu podstępnie Hrafn, poczem obadwaj zginęli w pojedynku.)

### Gunnlaug pomszczony

W lecie, zanim jeszcze wieść o śmierci Gunnlauga i Hrafna dotarła do Islandji, śniło się Illugi Czarnemu, kiedy przebywał w domu w Gilsbaki, że Gunnlaug przychodzi do niego we śnie, jest cały zakrwawiony i mówi do niego wiersz następujący (Illugi przypomniał go sobie mianowicie, gdy się zbudził, i powtórzył go później innym):

Wiadomem stało się, że Hrafn mię ciał  
Mieczem, co skórą rybią na rękojeści ozdobion,  
Z hukiem potworów morskich w pancerz mój.  
I choć mój ostry miecz przeszedł przez udo Hrafna,

To jednak orzeł, ścierwa pochłaniacz,  
Rozkoszny znalazł łup w mej wrzącej krwi,  
Co biła z ran. Walkiryj pręt bitewny, miecz,  
Rozplatał Gunnlaugowi głowę.

Tej samej nocy przydarzyło się na południu w Mosfell zupełnie to samo: Oenund snił, że Hrafn przychodzi do niego, cały zły krwią, i mówi taki wiersz:

Już krwawił się mój miecz, gdy mię dosięgnął  
Z Gunnlauga ręki cios, mieczów witezia.  
Na tarczach spróbowano tam, na Szwecji skałach,  
Koncerzy, co gruchoczą tarcz okrywy.  
Niesyte pastwy orły, gęsi krwi,  
Wzbijają się nad głową mą, zbroczone.  
Łupieskim sępom ran krwawiących, orłom  
Brodzić udało się we krwi mych żył.

Najbliższego lata potem na wiecu powszechnym przemówił Illugi Czarny do Oenunda na Opoce Praw:

— W jaki sposób zapłacisz mi grzywnę za mego syna, skoro syn twój Hrafn oszukał go przyrzeczeniem swoim?

— Nie czuję się wcale zobowiązany płacić grzywny; wszakże mnie samego boleśnie dotknęło ich spotkanie. I ja również za mego syna grzywny od ciebie nie zażadam.

Na to zagroził Illugi:

— W takim razie pójdzie to w pięty któremu z twych krewnych lub rodowych. I był przez ciąg lata po wiecu zawsze głęboko zasmęcony.

W jesieni, jak opowiadają, wyjechał Illugi z domu na Gilsbaki z poczem trzydziestu ludzi i przybył wczas rano na Mosfell. Oenund pojechał ze swymi synami do kościoła, ale Illugi schwycił jednak dwóch z jego krewnych. Jeden zwał się Bjoern a drugi Torgrim. Bjoerna kazał zabić, a Torgrimowi odrąbać nogę. Poczem Illugi odjechał, a Oenundowi nie przypadło za to żadne odszkodowanie. Drugi syn tegoż Illugi, Hermund, gryzł się bardzo z powodu śmierci brata swego Gunnlauga i nie uważał go jeszcze za należycie pomszczonego, mimo tego, co zaszło. Oenund miał bratanka, imieniem Hrafn na Mosfell. Był to wielki żeglarz, posiadał statek, który leżał na brzegu w fiordzie Hruta. Na wiosnę wyjechał Hermund, syn Illugi, sam z domu do Holta-woertuheitr, stąd do fiordu Hruta, a stamtąd dalej do Bortheyrr do okrętu kupców. Ci byli natenczas całkiem gotowi do drogi. Sternik Hrafn był na lądzie, i wielu ludzi z nim. Hermund najechał prosto nań, przeszył go włócznią i odjechał stamtąd natychmiast. Wszyscy towarzysze Hrafna osłupieli z przerażenia wobec Hermunda. I za ten mord nie zapłacono grzywny. I na tem skończyły się zatargi między Illugim Czarnym a Oenundem na Mosfell.

### Śmierć Helgi

Kiedy przeminał czas jakiś, wydał Torstein Egilson córkę swoją Helgę za męża, imieniem Torkell Hallkellson. Mieszkał on tam w Hraundal i wziął Helgę z sobą do swej siedziby. Nie umiała jednak dać mu wiele serca, nie mogła bowiem pozbyć się Gunnlauga z myśli swoich, jakkolwiek ten już nie żył. Niemniej Torkell był to mąż dzielny, a prócz tego zasobny w majątności i dobry piewca. Mieli z sobą niemało dzieci.

Było to osobliwą dla Helgi radością rozkładać płaszcz, jaki od Gunnlauga otrzymała, i długo wpatrywać się weń.

Raz nawiedziła ciężka niemoc dwór Torkella i Helgi, i wielu było dotkniętych nią. Helga zaniemogła również, mimo to nie położyła się. Jednej soboty wieczorem siedziała w izbie, złożyła głowę na kolanach swego męża Torkella i posłała po płaszcz, jaki miała od Gunnlauga. Kiedy go jej przyniesiono, usiadła prosto, rozłożyła płaszcz przed sobą i przez chwilę wpatrywała się weń. Poczem opuściła głowę na piersi swego męża i zgąsła. Torkell zaś poświęcił jej ten wiersz:



Niewiastę mą wspaniałą, złolych  
 Węzy ramiennych nosicielkę,  
 Usniętą dzierzę w mych ramionach.  
 Odjął jej życie Pan, mej milej, w płóćiankę śnieżną strojnej.

Boleśniej jeszcze dla męża,  
 Co świetności szuka, przeżyć ją.

Helgę pochowano w kościele. Torkell mieszkał tam dalej, i żal był powszechny po zgonie Helgi, jak się tego spodziewać należało.

*Tłum. Artur Górski.*

### HALLGRIMUR PJETURSSON

(1614—1674)

#### O NIEPEWNEJ GODZINIE ŚMIERCI

Jak kwiat wiosenny z gleby  
 Swej ciemnej się wyrzyna,  
 Zrodzony w czystym świetle,  
 Gdy ranna lśni godzina —  
 A w jednej chwili spada  
 Na ziemię, co nań czeka,  
 Z kielichem, liściem zwiędłym:  
 Takież jest los człowieka.

A tak więc w imię Boże,  
 Kiedy zdam sprawę sobie —  
 Czym nie jest jako zmarli,  
 Co dawno leżą w grobie?  
 Bo gdy wołanie zabrzmie,  
 Nie będzie innej drogi:  
 To niech noc sobie przyjdzie,  
 Nie czuję przed nią trwogi.

W pomroku błądzą ludzie,  
 I nikt z nich nie wybada,  
 Kiedy, w godzinie której  
 I gdzie śmierć przyjdzie błada.  
 Tą samą drogą wszyscy  
 W ten weszli dom przestrony,  
 Lecz zeń przeróżne ścieżki  
 We wszystkie wiodą strony.

W Jezusie myśli moje,  
 Spoczywam w Jego mocy,  
 Czym zewnątrz jest, czy wewnątrz,  
 Czy we dnie, czy też w nocy.  
 On stałą mą ochroną,  
 Jego jest moje życie;  
 I w śmierci będzie ze mną —  
 Ja o tem wiem niezbitcie.

W Jezusa imię żyję,  
 I zgon mój w Jego dłoni.  
 Gdy wszyscy mnie opuszczają,  
 Nadzieja w Nim się chroni.  
 Śmierci! Potężny władco!  
 Do boju jam gotowy;  
 W Chrystusie moc — przed tobą  
 Nie schylę nigdy głowy!

*Tłum. Alfred Tom.*

### GRIMUR THOMSEN

(1820—1896)

#### NIMFY LEŚNEJ CZAROWNA PIEŚŃ

Na koniu nad krawędzią skał  
 Biegł Henning. Nagle staniel!  
 Wiatr cudnej pieśni echa siał:  
 Nimf leśnych słyszy granie,  
 A wielki jest ten czar!

Gdy pierwszy się odezwał dźwięk,  
 Jak pieśń organów głucha,  
 Na łące stado schwycił lęk,  
 Nie pomni jeść, lecz słucha,  
 Bo wielki jest ten czar!

Uderza nimfa w drugi ton,  
 Wabiący jakby w sidła,  
 Pogodny, jak kościelny dzwon,  
 Aż sokół zwiesił skrzydła,  
 Tak wielki jest ten czar!

I z trzeciej struny ton znów biegł,  
 Jękliwie skały muska;  
 Rój rybek w wodzie smutny legł,  
 Nie płynie już, nie pluska,  
 Tak wielki jest ten czar!

Z zielonych pączków strzela kwiat  
 W czerwonych gór ozdobie.  
 Przynagła konia jeźdźca bat:  
 Nie wolno spocząć tobie,  
 Bo wielki jest ten czar!

W parowy połysk bije z gór,  
 Jak z drogich kruszców w sali,  
 Że nawet elfów małych chór  
 Oślepty stanął wdali,  
 Tak wielki jest ten czar!

Ostrogę rycerz w konia wpił,  
 Koń wspiął się — w przepaść niesie!  
 Po skałach nimfy śmiech się wił,  
 Chochliki szydzą w lesie.  
 Tak wielki był ten czar!

\_\_\_\_\_ *Tłum. Wł. Trąmpczyński.*

### STEINGRIMUR THORSTEINSSON

(1831—1913)

#### ŻYCZENIE

O n:

O! gdybyśmy się mogli w gwiazdek zmienić dwoje —  
 Ty i ja. Blaskby wtedy jasny bił ku ziemi  
 Z nieba, po którym ty, o luba, krokami srebrnymi  
 Obok mnie szlabys w tłoku, gdzie gwiazd całe roje.

O n a:

I szczęśliwabym była mieć cię obok siebie,  
 Lecz i to mi wystarcza, że za tobą chodzę,  
 Jako gwiazda za gwiazdą, po tej życia drodze,  
 Co się tutaj zaczyna, a kończy na niebie.

\_\_\_\_\_ *Tłum. Wł. Trąmpczyński.*

*Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.*

# L I T E R A T U R A   N O R W E S K A

---

JOHAN NORDAHL BRUN  
(1745—1816)

## GÓRĄ NORWEGJA

Ten pierwszy puhar spełniam za kraj, Za bohaterskich Normanów!	Za przyjaźń drugą szklanicę staw, Za krasę dziewic północy!
Sen o wolności słodki mi daj, Sen miły wśród pełnych dzbanów.	Gdyś posiadał taką, swe szczęście sław, Pij zdrowie jej z całej mocy!
Gdy sen ten zniknie, to silna dłoń Zerwie łańcuchy, schwyci za broń!	Tego niechybnie dotknie mój gniew, Komu wróg wino, dziewa i śpiew!
Więc pierwszy puhar spełniam za kraj, Za bohaterskich Normanów!	Więc tę szklanicę za przyjaźń staw, Za krasę dziewic północy!

Za jodłę smukłą, za śnieg, skał mur  
Kielichy ujmijmy w ręce!  
Słyszysz! Śle echo z Doore nam wtór  
I śle życzenia w podzięce!  
Trzykrotnie dzięki wszecz brzmią i wzduż  
Z tych skał, co groźnie sterczą wśród mórz!  
Więc za tę jodłę, za skał naszych mur  
Kielichy ujmijmy w ręce!

—  
*Tłum. Wł. Trąmpczyński.*

HENRIK IBSEN  
(1828—1906)

## Z «PEER GYNTA»

*(Wilja Zielonych Świątek. Las górski. W pewnem oddaleniu na kawałku karczowiska mała chata.)*

Peer (*przedziera się przez gąszcze*):

Oto stanowisko! Lecz cóż będzie dalej?  
To, co jest najlepszego. Takiej ja się prawdy  
Trzymałem do końca i wszędy, i zawdy.  
Od samego, mówię, rzymskiego Cezara  
Aż do trawożercy Nebukadnezara.  
Zaczem się na biblji kończy moja praca,  
Na łono macierzy cny staruszek wraca.  
«Ze ziemi powstałeś!» — mówi Pan... Człek słucha.  
Trzeba też pochodzić koło swego brzucha!  
Lecz czem go tu napchać? Tym korzonkiem z ziemi,  
Cebulą? Nie syci! Wolę ja swojemi  
Nastawić rękami sidelka... To cenię!  
Woda jest w potoku. A więc mnie pragnienie  
Nie zmoże. Dalibóg, jak na zwierza w lesie,

Żyję po królewsku! A gdy wiatr przyniesie  
 I oną śmierć ku mnie — kiedy?... nikt to nie wie —  
 Ulokuję kości swe w dziurawem drzewie.  
 Jak niedźwiedź zagrzebię liśćmi i na korze  
 Wielkimi zgłoskami napis ten położę:  
 «Zwierzę czworonożne, Peer Gynt, tutaj leży,  
 Cesarz znamienity wszystkich innych zwierzy».  
 Cesarz?

*(śmieje się w duchu)*

Stare brednie! Jeszcze-ć myśl ta hula  
 Po głowie! — Tyś — cesarz? Nie, tyś jest cebula!  
 Teraz cię, mój Pietrze, oblupię. Daremnie  
 Wrzeszcz i krzycz, nie znajdziesz miłosierdzia we mnie!

*(bierze cebulę i zdejmuje z niej łupinę po łupinie)*

Ta wierzchnia łupinka w strzępach — o to chodzi —  
 To biedny rozbitek na strzaskanej łodzi.  
 Ta druga tak wąła skórka pasażera —  
 Z niej ci już wyraźnie Pieter Gynt wyziera.  
 W tej w swem «ja» zamieszkał poszukiwacz złota;  
 Chcesz z niej się wycisnąć? Daremna robota!  
 Już go dawno niema, jeżeli był kiedy.  
 Tą twardą, odgiętą może być od biedy  
 Łowca fok w zatoce Hudsonskiej... Ta znowu  
 Podobna koronie — dziadowskiego chowu.  
 Precz z nią! W tej tu silnej a krótkiej znajdziecie  
 Badacza, po dawnym chodzącego świecie;  
 Ta świeża soczysta to prorok nielada,  
 Cuchnący od kłamstwa, jak Pismo powiada...  
 Aż ci gryzie oczy, taki zapach krzepki!  
 A ten zasie listek wilgotny i lepki  
 To ów pan bogaty, co życia używa!  
 Ta, jakby wrzodami osiana, pokrzywa  
 Może za murzyna uchodzić i księdza.

*(odrywa kilka naraz)*

Co, łupa za łupą? A cóż to za nędza!  
 Do jądra nie dotrzesz?...

*(rozbiera całą cebulę)*

Nie! Mocy najświętsza!  
 Do ostatecznego choćbyś dotarł wnętrza,  
 Nic prócz łup nie znajdziesz! Pracy twojej szkoda!  
 Coraz to niklejsze!... Ma dowcip przyroda.

*(odrzuca resztę)*

Niech czart to przeżuwa... Nie dla nas te myśli!  
 Niejedni bez zmysłów z tych dociekań wyszli!  
 Coprawda, nic z tego mnie się stać nie może:  
 Dobrze mnie podpiera moje czworonożę!

*(drapie się w kark)*

Osobliwym łowem zda mi się to życie!  
 Polujesz na lisa, wiesz, gdzie ma ukrycie,  
 Snać go już schwyciłeś, a on zęby szczerzy  
 I znika do innych, nieznanym ci leży —  
 Ot, hultajska dusza!...

*(przeciera sobie oczy)*

Ten las? Ta chacina?

Coś mi się tej chwili jakoś przypomina —  
 Jakbym znał ten domek — te rogi jelenie,  
 Przybite nad drzwiami... Dziwne przypomnienie...  
 A ta panna morską o rybim ogonie  
 Od pępka... Nie! Nigdy! Pałą mi się skronie!  
 To nie panna morską!... Te gwoździe... zawory...  
 Zamki przeciw chochłom, przeciw myśli chorej!

Solwejga (*śpiewa w chacie*):

Co żyje, świąteczny przywdziewa dziś strój —  
 Powrócisz z swej drogi, powrócisz,  
 Ty chłopcze mój?  
 Zbyt jest daleki  
 Kres dla twych stóp;  
 Ja czekam wieki,  
 Czekam po sam grób!...

Peer (*podnosi się milcząco i śmiertelnie błądy*):

Ktoś, co zapomniał — i ktoś, co w wierze trwa!  
 Ktoś, co się stracił — i ktoś, kogo nie zgubił szal!  
 O, grozo! To nigdy nie zmieni się, ach!  
 O, trwogo!... Tu mego cesarstwa był gmach!...

(*znika w lesie*)

—

Peer (*rzuca się na próg*):

Osądź go! Sądź go! Grzesznik w tym progu!

Solwejga: Powrócił do domu! O, dzięki Bogu!

(*szuka go omackiem*)

Peer: Oskarżaj! Wyjaw wszystkie me przewiny!

Solwejga: Nic nie zawiniłeś, synku mój jedyny.

(*szuka go znowu omackiem i znajduje*)

Przez ciebie me życie nie przeszło bezpłodnie,  
 Tyś je w pieśń zamienił! Bądź błogosławiony!  
 Przyrzekłeś i wracasz w dom z dalekiej strony!  
 A błogosławione niech będzie i rano  
 Zielone — świąteczne, w którym mi jest dano  
 Witac cię w tym domu! —

. . . . .

*Tłum. Jan Kasprówicz.*

#### Z «DZIKIEJ KACZKI»

Grzegorz: Mógłby mi pan określić proces duchowy, który zachodzi teraz u Hjalmara?

Relling: Na honor, nie zauważyłem, aby tam się odbywał jakiś proces duchowy.

Grzegorz: Co! W takiej przełomowej chwili, kiedy całe jego życie otrzymało nową podstawę? — Jak pan może przypuścić, że indywidualność taka, jak Hjalmar? —

Relling: Ach, on indywidualność! Jeżeli miał kiedy jakie dane do tego rodzaju anormalności, którą pan lubi nazywać indywidualnością, to wszystkie te korzonki i pędy wyrwano mu z gruntu już zamłodu; może pan być tego pewny.

Grzegorz: To byłoby nie do pojęcia — przy tym ciepłym wychowaniu, jakie otrzymał.

Relling: Od znarowionych histerycznych starych panien, jego ciotek — tak pan sądzi?

Grzegorz: Powiem panu tylko, że były to kobiety, które nigdy nie zapominały o idealnych postulatach; no — pan oczywiście znowu zakpi sobie ze mnie.

Relling: Nie, nie jestem do tego usposobiony. Zresztą, dobrze mnie poinformowano; on sam wygadał wiele z retorycznym rozmachem o tych dwóch swoich «duchowych matkach». Ale ja nie sądzę, aby miał jaką słuszną przyczynę być im za to wdzięczny. Całem nieszczęściem Hjalmara jest to, że uchodzi on zawsze wpośród swoich za jakieś wielkie lumen...

Grzegorz: Czyż nie tak jest w istocie? Mianowicie co do głębi uczuć?

Relling: Nigdy czegoś podobnego nie zauważył. Że tak utrzymywał jego ojciec — nie racja; ten stary porucznik był przez całe swoje życie durniem.

Grzegorz: Był przez całe swoje życie człowiekiem o sercu dziecka; ale pan tego nie pojmujesz.

Relling: Przecież jednak! Kiedy kochany miły Hjalmar został studentem, i to z niemałym trudem, uchodził także i wśród kolegów za wielką gwiazdę przyszłości. Był przecież ładny — to pociągało — różowy i biały — tak jak to podlotkom najczęściej przypadają do gustu młodzi mężczyźni; a że miał przytem usposobienie uczuciowe, lekkie i sympatyczny ton w głosie i umiał świetnie deklamować cudze wiersze i myśli...

Grzegorz (*rozgorączony*): Mówi pan rzeczywiście o Hjalmarze Ekdal?

Relling: Tak, jeżeli pan pozwoli; bo tak wygląda od wewnątrz to bożyszcze, przed którym pan leży w prochu.

Grzegorz: Nie widzę, abym był tak zupełnie zaślepiony.

Relling: A jednak niedaleko do tego. Bo pan jesteś człowiekiem chorym; i pan także, widzisz pan.

Grzegorz: W tem ma pan słusność.

Relling: A tak. Pan cierpisz na skomplikowaną chorobę. Najpierw ta ostra gorączka prawości; a potem, co gorsza, popada pan, jako fantasta, w delirium bałwochwalstwa; zawsze chcesz pan coś uwielbiać poza zakresem własnego toku życia.

Grzegorz: W każdym razie muszę tego szukać poza samym sobą.

Relling: Ale pan się ludzi haniebnie, kiedy pan widzi i słyszy kolo siebie jakieś cudowne zjawiska. Ze swemi idealnemi postulatami zaszedł pan znowu do prostej chaty; w tym domu mieszkają ludzie niewyplacalni.

Grzegorz: Jeżeli pan nie ma o Hjalmarze lepszego wyobrażenia, to jak może pan znajdować w tem przyjemność, by z nim ciągle i nieustannie obcować?

Relling: Mój Boże, przecież mam być, z przeproszeniem, rodzajem doktora; no to muszę się oczywiście umieć obchodzić z chorymi biedakami, z którymi mieszkam w tym samym domu.

*Tłum. Artur Górski.*

#### PTAK I PTASZNIK

Gdym był dzieckiem, jam z jedliny  
Strugał potrzask na ptaszyny  
I radośnie w głos wykrzykał,  
Gdy się ptaszek weń zamykał.

Bez litości łup skrzydlaty  
Do ojcowskiej niosłem chaty;  
Śmiechem, krzykiem wśród swawoli  
Zagrażałem ptaszka doli.

Gdym igraszek przebrał miarę,  
Gdym wymęczył swą ofiarę,  
Podnosiłem klatki zwory  
Ku swobodzie na przestwory.

Ha! jak ptaszek stał się rączy,  
Gdy niewoli czas się kończy!  
Jak do światła lot rozwija!  
Lecz — o szybę się rozbija...

Ptaszku! jesteś dziś pomszczony:  
Chłopiec, w klatce uwięziony,  
Wie już dawno, jak to boli  
O przestworach śnić w niewoli.

Tu na niego też się czają,  
Srogie oczy wytrzeszczają,  
Przejmującym widmem stoją  
I morderczym strachem poją.

Kiedy okno chcę otworzyć  
I wolności światłem ożyć,  
Okiem pobiec aż za świąty —  
Piers roztrąca się o kraty.

*Tłum. Wawrzyniec Engeström.*

BJÖRNSTJERNE RJÖRNSON  
(1832—1910)

Z «PONAD SIŁY»

Nieznajomy (*otworzył drzwi od werandy, nie zamykając ich za sobą, wchodzi nieśmiało, zatrzymując się*): Czy wolno mi powiedzieć kilka słów?

(*Wszyscy oglądają się, niektórzy wstają.*)

Superintendent: Czyżes to ty? Czyś pastor Bratt?

Inni: Pastor Bratt!...

Inni jeszcze: To jest Bratt!?

Superintendent: Tyś z nami nie przyjechał. Którędy tu przybyłeś?

Bratt: Poprzez góry.

Superintendent: Poprzez góry? Więc nie chcesz być na misyjnym zgromadzeniu?

Bratt: Nie. Chciałem tu być.

Superintendent: Rozumiem ciebie.

Bratt: Chciałem dotrzeć do cudu. — I tak przybyłem wczoraj właśnie, gdy lawina sunęła wdół. Stałem na szczycie opodal i słyszałem głos dzwonu. I później znów tam byłem. A dziś przed południem widziałem, jak chorego niesiono do kościoła; widziałem, jak ten chory powstał podczas śpiewu pastora, złożył dzięki Bogu i odszedł. Czy wolno mi dalej mówić?

Superintendent: Mów!

Bratt: Jam jest w wielkim uciśnieniu, bracia moi, i przyszedłem u was szukać pomocy.

Superintendent: Mów, kochany!

Bratt: Mówię sam do siebie: oto wreszcie stoję wobec cudu, a za chwilę pytam sam siebie: a jednak czy to jest cud rzeczywiście? — Z nadprzyrodzoną mocą porwało mnie to, com tu ujrzał. Tu wiara jest głęboka i prosta, a ten człowiek jest wielki. Ale znów zjawilo się wątplenie. I to jest przekleństwem mojem. — Przez lat siedem głosiłem to, w com sam nie wierzył. W tych siedmiu latach pytałem zawsze, gdy przyszły na mnie dni ciężkie — a przychodziły one często, tak jak i bezsenne noce — pytałem wśród modłów gorących: Gdzież jest ta moc czynienia cudów, którąś przyrzekł, Panie, twym wiernym! (Wybucho płaczem.) Gdyby cud zjawił się między nami, tak wielki cud, iżby «wszyscy, którzy widzieli, uwierzyli!»... Najpierw przyszłyby miliony w biegu szalonym — wszyscy ci, co żyją w nędzy i tęsknocie — ci wydziedziczeni, bezdomni, uciśnieni, cierpiący; wszyscy, którzy pożądamy sprawiedliwości. Gdyby ci usłyszeli, iż Królestwo Boże, w starym tego słowa znaczeniu, znów zeszło na ziemię, gdziekolwiek bądź — w łzach radości, w szale, wiedząc nawet, iż w drodze ku niemu grozi im niebezpieczeństwo śmierci... Lepiej umrzeć na tej drodze, niż żyć na innej!... Oni wszyscyby przyszli, każdy ze swej wioski, swej chaty, swego łoża — chorzy byłiby pierwsi — wszyscyby dążyli ku objawieniu Bożemu!... Ale nietylko ciby przyszli. Za nimi przyszliby wszyscy, którzy szukają na ziemi prawdy. Najpierw ci, u których popęd ku prawdzie jest najsilniejszy! Ci głębocy i szczerzy badacze, te wielkie duchy! Ich ogień byłby najwspanialszy, ich wiara najpotężniejsza. Bo nie brak im popędu ku prawdzie, nie brak im zdolności wierzenia. Nie. Im brak tylko cudu! Oni wszyscy chcą pewności i spokoju — odpowiedzi na to największe pytanie świata. Nawet ci lekkomyślni, którzy wiarę odrzucili od siebie, jako coś zupełnie im niepotrzebne i niemożliwe, wszyscy bez wyjątku tęsknią silniej, niż sami o tem wiedzą — tęsknią za wiarą. Ale dajcie im pewność! Dajcie im pewność, że przyrzeczenie się spełni. Gdy ujrzą, uwierzą i w to, czego widzieć nie będą... Panie mój! Boże! Stoję tu wobec ostatniej próby!

Superintendent: Pastorze!

Bratt: Wobec tej ostatniej próby mojej. Bo ta walka jest ponad moje siły! (Wybucho płaczem.)

Superintendent: Synu mój kochany!

Bratt: Nie! Nie mówcie do mnie! — Proszę was! — Tylko módlcie się ze mną gorąco. Bo jeśli i tu cudu niema, to niema go nigdzie na świecie. — Ten człowiek jest wyższy nad wszystkich, najszlachetniejszy na ziemi! — Nikt nie widział wiary tak potężnej, któraby się mogła równać z jego wiarą. I nikt nie ma takiej wiary w swą wiarę.

Wszyscy: Tak, to prawda!

Bratt: Czyż to nie jest jasne? Przybył tu, będąc bardzo majątny, i rozdał wszystko. Niezliczone razy narażał swe życie, by innym nieść pomoc. I zliczyć się nie da ilość cudów, których on — jak lud wierzy — dokonał. I właśnie dlatego, że tyle ich było, nie wierzyłem w nie.

Pastorowie (*półgłosem*): I ja tak samo.

Bratt: Ale właśnie możemy powinni byli myśleć przeciwnie, że w nim istnieje to, co winno się rozumieć przez słowo «wiara». Ta wiara przejawia się nazewnątr jako cud. Ona musi czynić cuda!... Gdy patrzę na ten nagi ciasny krajobraz, w którym nic nie słycać, prócz okrzyku mewy, przychodzi mi myśl jedna: Królestwo Boże początek swój miało w kraju bogatym, pełnym słońca. Jak ogromne byłoby świadectwo, gdyby owo Królestwo znów w całej swej pełni zeszło na ziemię wśród tej krainy odległej, biednej, bliskiej wieczystego lotu!... I zdaje mi się, że to wszystko razem się łączy i cud przyjsć musi! (*Wszyscy powstali.*)

Superintendent: Oby przyszedł i obym ja, starzec, mógł go obaczyć!...

Bratt: Całe pokolenie potrzebuje wiary! A każde, które przychodzi, coraz bardziej... Stać się tu musi, jeśli jest! (*Kłęka.*) Jego wiara to zdobędzie. Gdyby on nie mógł, w takim razie wszystko jest niemożliwe!... W takim razie we wszystkim jest coś, czego osiągnąć nie można?... Coś, co jest ponad siły?

*Tłum. Adolf Strzelecki.*

#### OJCIEC

Człowiek, o którym tutaj chcę opowiedzieć, był najpotężniejszy w całej parafji, a nazywał się Thord Oeveraas. Pewnego dnia stał on w pracowni pastora, wyprostowany i z wyrazem twarzy poważnym. «Urodził mi się syn», powiedział, «i chciałbym go dać ochrzcić». — «Jakież mu nadasz imię?» — «Finn, tak nazywał się mój ojciec». «A kto będzie trzymał syna do chrztu?» — Oeveraas wymienił kilka osób — byli to najznamienitsi mężowie i kobiety z Bygde, z rodu Thorda. «Czy jeszcze czego sobie życzysz?» — zapytał pastor i spojrzał na niego. Wieśniak wahał się przez chwilę. «Chciałbym bardzo dać go ochrzcić oddzielnie» — powiedział. — «A więc w dzień powszedni?» — «Tak, w najbliższą sobotę o dwunastej w południe». — «I nic już więcej?» — zapytał pastor. — «Chyba już nic więcej». Wieśniak miał w ręku czapkę, jakby chciał odejść. Wówczas pastor powstał z krzesła. «Jeszcze tylko to jedno», rzekł, podszedł do Thorda, ujął jego rękę i spojrzał mu w oczy: «Daj Boże, aby syn przyniósł ci błogostawieństwo!»

Upłynęło od tego dnia lat szesnaście. Thord Oeveraas stał znów w pokoju pastora. «Jak ty świetnie wyglądasz, Thordzie!» — zawołał pastor, który po tylu latach nie dostrzegł w nim żadnej zmiany. «Bo też nie mam kłopotów», odpowiedział Thord. Przez chwilę trwało milczenie, poczem pastor zapytał: «A czego dzisiaj sobie życzysz?» — «Przyszedłem dzisiaj względem mego chłopca, który jutro ma być konfirmowany». — «Pilnego masz chłopaka». — «Chciałbym zapłacić panu pastorowi, ale wpierw pragnę wiedzieć, jakie miejsce otrzyma on jutro w kościele». — «Będzie miał numer pierwszy». — «Dobrze, słyszałem o tem — tutaj proszę dziesięć talarów dla pana pastora!» — «Jakie masz jeszcze życzenie?» — zapytał pastor, patrząc na Thorda. — «Żadnego już więcej». — Thord poszedł sobie.

Minęło znów osiem lat, i oto pewnego dnia przed pokojem pastora usłyszano tupot nóg oraz donośne głosy; przyszła bowiem gromadka mężczyzn z Thordem na czele. Pastor spojrzał i poznał go natychmiast. «I pocóż przyszedłeś do mnie w tak



licznem towarzystwie?» — «Chcę ogłosić zapowiedzi; mój syn żeni się z Karen Storliden, córką obecnego tutaj oto Gudmunda». — «To przecież najbogatsza dziewczyna w Bygde». — «Tak mówią», odparł Thord i dłonią odgarnął włosy z czoła. Pastor siedział chwilę, jakby coś rozpamiętując; bez słowa zanotował w księdze nazwiska obecnych, oni zaś się podpisali. Poczem Thord położył na stole trzy talary. — «Należy mi się przecież tylko jeden talar», rzekł pastor. — «Wiem o tem, ale to mój jedynak — chciałbym zrobić jak najlepiej». Pastor przyjął pieniądze: «Już po raz trzeci zjawiasz się u mnie, Thordzie, i zawsze w sprawie swego syna». — «Istotnie, ale teraz uczyniłem już wszystko i nie będę się więcej fatygował dla niego», odrzekł Thord, złożył torebkę, pożegnał pastora i poszedł, a mężowie wolnym krokiem za nim.

W dwa tygodnie potem ojciec i syn przy cichej pogodzie wybierali się wodną drogą do Storliden celem omówienia uroczystości weselnej. — «Ławka źle jest ustawiona», powiedział syn i powstał, aby ją poprawić. W mgnieniu oka deska mu się z pod nóg wysunęła; wyciągnął gwałtownym ruchem ręce, krzyknął głośno o ratunek i wpadł do wody. — «Trzymaj się mocno wiosła!» — zawołał ojciec, podskoczył i podał mu je. Lecz syn, usiłując napróżno go się uchwycić, nagle znieruchomiał. «Czekaj, czekaj!» — wołał ojciec i jał szybko wiosłować, by znaleźć się obok tonącego. Wtem syn dostał się na powierzchnię, objął ojca długiem spojrzeniem — i znikł pod wodą.

Thord nie wierzył własnym oczom; przestał wiosłować i utkwiał stężony wzrok w miejscu, gdzie syn się zapadł, jakby się miał znów wynurzyć. Wyskoczyło parę baniek wodnych, i jeszcze parę, a potem jedyna tylko duża, która przysła — i morze stało się znów błyszczące i gładkie jak lustro.

W ciągu trzech dni i trzech nocy ojciec wiosłował wokoło tego miejsca, nie jedząc nic i nie kładąc się spać; chciał wyłowić swego syna. I rankiem trzeciego dnia znalazł go i zaniósł sam przez wzgórze do swego domostwa.

Od owego dnia upłynął chyba rok cały. Aż oto pewnego wieczora jesiennego o późnej godzinie usłyszał pastor jakiś szmer przy drzwiach wejściowych i ostrożne szukanie omackiem klamki. Pastor otworzył drzwi, i do pokoju wszedł wysoki, lecz nieco pochylony mężczyzna, szczupły o siwych włosach. Pastor długo mu się przyglądał, zanim go poznał; był to Thord. «Cóż to, Thordzie, tak późno?» — rzekł pastor i stanął przed nim. — «Ach tak, jużci że późno», powiedział Thord, siadając. Pastor również usiadł; długi czas było cicho. Wkońcu rzekł Thord: «Przyniosłem tutaj coś, co chciałbym bardzo oddać biednym; pragnąłbym z tego utworzyć fundację, która będzie miała imię mego syna». — Powstał, położył pieniądze na stole i znów usiadł. Pastor policzył pieniądze. «To duża kwota», rzekł. — «Połowa to za mój dwór, który dzisiaj sprzedałem». — Pastor siedział długo w milczeniu; wkońcu zapytał łagodnie: «Co będziesz teraz robił, Thordzie?» — «Coś lepszego!» — Znow siedzieli czas jakiś, Thord z opuszczonemi wdół oczyma, pastor z wzrokiem zwróconym na Thorda. I oto powiedział pastor powoli i cicho: «Teraz sądzę, że syn twój wkońcu stał się dla ciebie błogosławieństwem». — «Tak, teraz i ja tak myślę», rzekł Thord; spojrział w górę, i dwie łzy stoczyły mu się ciężko po twarzy.

*Tłum. Emilia Rabicka.*

#### NILS FINN

Wyruszyć miał w drogę Nils Finn mały,  
Ale ciężkie buciska ledwo unieść się dały.

«A to źle!» głos ozwie się wdole.

I Nils Finn na śniegu stawia nogi:

Nie wadzę ci — precz! koboldzie złowrogil!

«Hi! ho! ha!» głos ozwie się wdole.

Nils Finn mierzy kijem to w lewo, to w prawo:

Widziałeś gór ducha nad śnieżną kurzawą?

«Hitlihu!» głos ozwie się wdole.

Aż jeden z butów utknął mu w śniegu —  
 Nils chce go pochwycić, lecz pada śród biegu.  
 «Oto masz!» głos ozwie się wdole.

Już po pas się pograżył — tupie, miota się, klnie:  
 Coraz głębiej go ciągną jakieś czary złe.  
 «Będiesz nasz!» głos ozwie się wdole.  
 I skała zeń szydzi, śnieg dławi jak kleszcze,  
 Lecz Nils ściska pięść: «Nie poddamę się jeszcze!»  
 «Ale wnet!» głos ozwie się wdole.

I otchłani mu śnieżna już zieje u stóp,  
 A Nils Finn pomyślał: Ot, patrzę w swój grób!  
 «Mamy go?» głos ozwie się wdole. — —  
 W śniegu sterczą dwa buty, Nilsa skarb pacholecy...  
 Spoglądają naokół, lecz nie było nic więcej.  
 «Gdzie jest Nils?» głos ozwie się wdole.

*Tłum. Alfred Tom.*

JONAS LIE  
 (1833—1908)

#### TROLD ŻŁUD CZAROWNYCH

Trold żłud czarownych igrał swawolnie na dalekich przestrzeniach morza.

A mieszkańcy wybrzeża, na którym rozpostarła się niewielka osada rybacka, patrzyli wciąż ku krańcom horyzontu, kędy ukazywało im się tyle rzeczy, które mogły istnieć, lecz w rzeczywistości nie istniały z pewnością nigdzie. Czasem snuł się w powietrzu obraz wspaniałego miasta o niezliczonych domostwach i porcie, pełnym okrętów o strzelających w niebo masztach. Najdziwniej wszelako wyglądały góry, doliny i przylądki, tworząc tło zakątka, całkowicie podobnego do tego, w którym gnieździła się osada. Lecz ludzie doświadczeni wiedzieli, że wszystko to było złudą, którą wywotywał trold swywolny, i poczynali wiosłować szybciej, by oddalić się od owych zjaw niepokojących i nie zbłądzić z drogi.

Jeden tylko młody robotnik okrętowy, żaglownik z zawodu, odrywał się od swej pracy, ilekroć poczynano mówić o pięknym mieście, ukazującym się wdali. Biegł wnet, by patrzeć na nie, na wybrzeże, i wpatrywał się w zdumiewające zjawisko z takim przejęciem, że zapominał o godzinach posiłku i ostrych napomnieniach chlebowodawcy. I myślał wówczas, że jest to jednak zbyt piękne, by miało być tylko złudą.

Pewnego dnia, gdy cudne blaski zajaśniały znów wdali na niebie, kontury miasta zarysowały się tak wyraźnie, że widać było nawet wszystkie załamy ulic. W porcie zaś zajaśniała tym razem latarnia morska, która zdawała się wskazywać drogę statkom.

Młody robotnik nie mógł zapanować dłużej nad sobą i, wskoczywszy do łodzi swego pracodawcy, począł wiosłować szybko w kierunku miasta. Musi wreszcie zdać sobie naocznie sprawę z rzeczy. I istotnie dotarł niemal do samego portu. Lecz, gdy dzieliło go od wybrzeża kilka już jeno uderzeń wiosła, zjawisko rozpięchło się nagle jak mara senna. Łódka znajdowała się wówczas w miejscu, gdzie chłopak widział był latarnię morską. Rozmyślał już nad tem przez chwilę, gdy nagle przyszło mu do głowy, by zarzucić tam właśnie wędkę. Po krótkiej bardzo chwili sznur przestał się rozkręcać, sięgnąwszy dna widocznie. A nigdy wszelako nie mówiono o tem, by istniały w tem miejscu skały podwodne. Chłopak począł wyciągać wędkę, szło mu to jednak z trudem. Wydało mu się jednocześnie, iż słyszy drwiący szept trolda, płynący z toni wodnej. Gdy wydobył wreszcie wędkę na powierzchnię, ujrzał zawisłą u jej haczyka niewielką muszlę; koncha jej mieniła się dziwnymi barwami, które olśniły źrenice chłopca, przenikając niemal do głębi jego istoty. A z ciemnych przepaści morza płynął wciąż szept cichy: «Zabrałeś mi — mówił — światło, co promieniało w mej latarni

morskiej, i będziesz widział odtąd wszystko w życiu w tajemniczych blaskach zwycięskiej jasności».

Powieki, przymknięte przez chwilę, rozwarły się znowu. I oto powróciła znów zjawą cudowną: latarnia morska rzucała promienie na całą powierzchnię wodną. Chłopak zwrócił oczy w stronę osady — widniała przed nim, jak gród rozległy o niezliczonych domostwach, których okna płonęły czerwoną luną w blaskach zachodu. Przy mieście — port, jeżący się lasem masztów okrętowych.

Gdy powrócił do osady i szedł pośpiesznie wzdłuż wybrzeża, poczęto oglądać się za nim ciekawie, jakgdyby istotnie niósł w fałdach swego odzienia tajemnicę morza. A on, minawszy zakład, w którym pracował, biegł wprost ku jednemu z warsztatów ciesielskich.

«Każda rzecz istotnej doniosłości musi raz się zacząć» — odpowiedział właścicielowi warsztatu, pytającemu go o przyczynę nagłego jego przybycia. Dlatego też postanowił poprosić przedsiębiorcę o rękę jego córki. Kochał ją oddawna, znajdując w niej wzajemność, nie posiadał dotąd jednak nic zgoła, czem mógłby się z nią podzielić. Teraz wszelako rzeczy mają się inaczej: odkrył nieznanne dotąd nikomu rafy podwodne, które w godzinach odpływu znajdują się na kilka zaledwie stóp pod powierzchnią wody. Okręty, krążące po tych morzach, wynagrodzą z pewnością hojnie tego, kto wskaże im dokładnie miejsce, gdzie grozi im rozbitcie. Rafy znajdują się nawprost zatoki; wznosząc więc w tem miejscu latarnię morską, możemy być pewni, że chronić się do niej będą wszystkie statki, które zaskoczyłaby w tej okolicy burza; zdołędziemy więc w taki sposób prawdziwą kopalnię złota dla nas i naszej osady... Chłopak mówił gorączkowo, a cieśla widział już w wyobraźni latarnię, ślącą wszędy swe promienie, i statki zawijające do portu. Przed oczyma córki jego widniały jednocześnie rozległe warsztaty, kędy tłumy robotników pracować będą pod ich kierownictwem. Nic istotnie nie stało na zawadzie ku pobraniu się dwojga młodych: przy wspólnym wysiłku wszystko pójdzie szybciej i lepiej.

Gdy w osadzie dowiedziano się o zamierzonym małżeństwie, poczęto przypuszczać, że jakiś poważny spadek dostał się jednej czy drugiej stronie. Kiedy jednak rozeszła się wieść, że spadek polegał na rafie podwodnej, poradzono przyszej parze, by osiedliła się na niej niezwłocznie, ale twarze starego cieśli i jego córki jaśniały taką radością, jak oblicze młodego narzeczonego. Doszło też wkońcu do wiadomości ogółu, że pomysłowy chłopak zamierzał wejść w stosunki z właścicielami czy też kapitanami okrętów, by wzamian za pewne wynagrodzenie ostrzegać ich o istnieniu rafy podwodnej, jemu tylko znanej. Projekt ten zyskał mu uznanie wielu mieszkańców osady.

Pewnego wieczora sobotniego, gdy większość rybaków i marynarzy zebrała się, jak zazwyczaj, w oberży, by zażyć wypoczynku po tygodniowej pracy, nadszedł tam również i młody odkrywca i, wskoczywszy na stół, począł wywódzić, jakim dobrodziejstwem stałoby się dla osady wzniesienie latarni morskiej w miejscu, gdzie sterczą rafy. Wszyscy słuchali go w skupieniu, patrząc w daleką przestrzeń za ruchem wyciągniętych rąk jego; nigdy dotąd nie myśleli o niczem podobnym. Chłopak mówił, a oczy, utkwione wdali, dostrzegały już latarnię morską i okręty, przybijające do zatoki.

Mijały dni, a pomysł chłopca znajdował coraz więcej zwolenników. Urzeczywistnienie jego przedstawiało im się jako jedyny środek wyjścia z nędzy, na jaką skazywało ich życie, i zdobycia zamożności, a kto wie nawet, czy nie bogactwa. Ale poczucie bezsilności przygłuszało jeszcze poniekąd te marzenia. Lecz ten, który rozbudził je w tych mózgach, powtarzał wciąż, że nikt nie jest tak bezsilny i ubogi, by nie mógł zbudować swego szczęścia. Niechaj każdy z mieszkańców osady — rybak, cieśla, powroźnik — oddaje przez czas pewien piątą część zarobku na zbudowanie latarni morskiej, a suma niezbędna zbierze się w prędkim czasie. Zacznijmy tylko — mówił — budować podwaliny, i nie spostrzeżecie się nawet, gdy dotrzemy szczytu, na którym zabłyszczą promienie latarni. A w słowach jego było tyle zapału, że każdy widział już oczyma wyobraźni latarnię, siejącą na przestrzeń morza cudowne blaski, i dostrzegał w tych blaskach, poprzez łyż nadziei, biedną osadę, przetworzoną we wspaniałe i potężne miasto.

Od dnia tego wszyscy poczeli istotnie oddawać część swego zarobku na wzniesienie latarni. I gdy rybak pozostawiał żonie i dzieciom zbyt mało na zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb, gdy cieśla, powroźnik, żaglownik, malarz borykali się z kłopotami i trudnościami — zachęcali się wówczas wzajemnie spojrzeniem i zdobywali na żarty z powodu swego głodnego żołądka. Mijały dni i miesiące, płynąc niewesoło pośród trudu i znoju, opromienionego nadzieją. Każdy ułożył już był sobie plan przyszłego istnienia i kierunku, jaki nada swemu przedsiębiorstwu. Kobiety również znosiły pogodnie ciężkie chwile życia i marzyły, przyspiewując zcicha, o pięknych sukniach i szalach, o złotych zegarkach, które przyrzekali im mężowie.

Nadeszła wreszcie godzina, gdy robotnicy, zebrani na dwóch tratwach wpobliżu raf podwodnych, poczeli zatapiać w morzu wielkie złomy kamienia. A w miarę, jak te podwaliny umacniały się i rosły, wzrastała również wiara w bliskie i niezawodne bogactwo. Budowano więc pośpiesznie, zbierając wciąż dobrowolny podatek. Obcując stale z sobą, mieszkańcy osady nie dostrzegali już u siebie wzajem wychudzenia twarzy i wyczerpania, ujawniającego się w całej postaci. W oczach błyszczały ognie, świadczący o gorącej woli i nadziei urzeczywistnienia wreszcie celu pożądań. Gdy zaś ten czy ów ulegał zniechęceniu, biegł wówczas do młodego żaglownika, którego zapal wskrzeszał znów przed jego oczyma wizję wielkiego i potężnego miasta, powstającego na wybrzeżu dzięki złotodajnej latarni.

I przyszła wkońcu chwila, gdy latarnia owa zabłysła czarodziejskim światłem, śląc je na wszystkie strony horyzontu. Tego wieczora jesiennego cała osada wyległa na wybrzeże, a każda pierś ścisnęła jednakże wzruszenie. Bo wraz z tym momentem otwierała się dla ubogiego zakątka era szczęśliwości!

I istotnie praca zawrzała w nim żywo i składnie. Zarobki żaglowników, cieśłów okrętowych, powroźników powiększyły się znacznie. Główna ulica osady stała się prawdziwą niemal ulicą — powstał rynek. Wielkie nadzieje nie ziszczwały się jednak całkowicie; białe żagle sunących ku zatoce okrętów nie wypełniały horyzontu swym zwartym murem. Jednego roku zawinęły do niej dwa statki, następnego pięć, później siedem czy osiem, bądźto dla zaopatrzenia się w zapasy, bądź dla dokonania jakichś napraw. Młodzi i starzy, pełni rozczarowania, spoglądali teraz z pogardą w stronę latarni, spluwając z irytacją. Wzrastająca powoli osada rybacka nie była w niczem podobna do wspaniałego miasta, które młody żaglownik wywoływał przed oczyma ich wyobraźni. I gdy przypominali sobie długie dni ciężkiego trudu i nędzy, wysiłków i poświęceń, całą swą wiarę w przyszłość, przynoszącą spokój i bogactwo — rozczarowanie ich i zawód stawały się jeszcze bolesniejsze. I drwili wówczas z samych siebie, ze swych rojeń o olbrzymich składach i warsztatach, o wielkich domach kamiennych. Wylewali przed sobą wzajem żółć, nagromadzoną w sercach, lub wybuchali gniewem. Niektórzy chodzili nawet grozić młodemu żaglownikowi, pytając go, gdzie jest ów gród potężny, którego powstanie im przyrzekał. Kto, poza nim, zaznał dotąd z urzeczywistnienia jego projektów — dobrobytu i chwały?

On zaś wyciągał wówczas dłoni w kierunku latarni, która rzuciła na przestrzenie wodne swe jasne blaski, i poczynał mówić o warsztatach, któremi wypełni się wybrzeże z chwilą, gdy z powiększeniem się ogólnego ruchu okrętowego, wyrosnie przemysł miejscowy. Nadciągną też wówczas ze stron różnych przedsiębiorcy i rzemieślnicy różnych kategorii, powstaną okazałe sklepy i wielkie gmachy, zjawi się bank i ratusz, przybędzie niejeden kościół, zdobny w wieżę i smukłe dzwonnice. I gdy tylko miasto nawiąże stosunki z handlem obcokrajowym, zaleje, niby morze, całą dolinę.

Słowa jego budziły znów w duszach zamarłą nadzieję. Gdy jednak z nadejściem zimy mieszkańcy osady opowiadali o swych ambitnych planach właścicielom statków, przystających w porcie — ci wzruszali tylko ramionami, uważając je za próżne żłudy i rojenia. I zwątpienie powracało znowu, a wraz z tem wzrastał gniew przeciw żaglownikowi.

Któż bowiem wzniecił w duszach śmieszne rojenia i któż, jak nie ów obłąkaniec, umiał pociągnąć wszystkich za sobą, rozsnuwając im przed oczyma obrazy czarownej przyszłości. Teraz drwiono zeń coraz więcej. Gdy tylko zaczynał mówić o wymarzonem grodzie, rozlegały się wnet krzyki i śmiechy, zagłuszające głos jego. Chłopcy

uliczni gwizdali za nim szyderczo i nazywali go pogardliwie «miljonerem». Wyraz «żagłownik» stał się terminem, podkreślającym przesadę i kłamliwe mamienie bliźnich. Najstateczniejsi i najrozważniejsi z mieszkańców miasteczka radowali się tej zmianie w stosunku ogółu do tego narwańca, którego zgodzono się wreszcie uznać za warjata. Dwa razy dwa będzie znów znaczyło cztery, a nie sześć czy siedem, jak działo się w okresie jego wpływów. Wszystko cenione będzie według właściwej miary i sądzone według właściwego znaczenia.

I do miasteczka powrócił duch spokoju i chłodnego zastanowienia. Dbając wyłącznie o własny, bezpośredni interes, ludzie pracowali na chleb codzienny. Spokojne i znudzone kobiety szyły lub krzątały się około zajęć domowych. Spokój i cisza zaległy ulice. Tylko młody żagłownik trwał nadal w swych marzeniach, to też zdecydowano się w końcu zamknąć go w szpitalu warjatów.

I gdy wzrok czyjś padał na latarnię, człowiek ów wyglądał wówczas, jak ktoś, co ostrzega innych przeciw rojeniom i wyuzdaniu fantazji, prowadzącym na szczególnie drogi. Że zaś przedsiębiorczość i pomysłowość uważane były za zły owoc dawnych marzeń o wielkości — więc wykreślono je z całą stanowczością z życia, jak wykreślono z niego wszelkie porywy ku rzeczom nowym, nieznanym jeszcze i niepewnym. Miasteczko usypiało powoli w ciasnej sferze swych codziennych interesów. Ludzie pracowali mechanicznie, jak ci, którym nie przyświeca żadne słońce. Nigdy już na wybrzeżu nie było słychać wesołych pieśni, które towarzyszyły pracy w okresie wielkich nadziei i wielkich pomysłów.

Tylko żagłownik, zamknięty w swej celi, wpatrywał się długo wieczorami w światło latarni. I na jego ustach wykwitał uśmiech, bo w głębi źrenic przechował był na zawsze światłość zwycięską. Więc uśmiechał się, jakgdyby latarnia rzuciła istotnie blaski na gród wspaniały i zwycięski.

*Przekład bezimienny w «Literaturze i Sztuce» (1912).*

ARNE GARBORG

(1851—1924)

STARZY I MŁODZI

Spytałem raz pewnego starca: «Czego nauczyło cię życie?»

Spojrzał na mnie wzrokiem, nawykłym do patrzenia w dal, i odparł: «Młody byłem i wiedziałem wszystko. I nie skąpiłem swojej wiedzy innym: dzieliłem się tem, com wiedział i czego nie wiedziałem, i dziwiło mnie, że moje wielkie słowa nie zdobyły świata. Żal mi było starych ludzi, którzy już nie mają na co czekać. Ale gdy mówili o życiu i chcieli mnie pouczyć, czem ono jest, śmiałem się. Mrugałem oczyma do swych rówieśników, mówiąc: — Biedaki ci starcy, co oni wiedzą o życiu, którego zapomnieli!

«Dojrzywałem czasem, przechodziłem dobrą szkołę. A była to szkoła, o której istnieniu nie wie, kto jej sam nie przechodził. Nauczycielem w niej był ogień pożądania, a nauką — rozczarowanie. A szkoła trwa długo, bo złud jest dużo i coraz to nowych, w miarę nowych pragnień. Nie dostanie ci się to, czegoś pragnął; albo otrzymasz, ale właśnie nie to, czego chciałeś, lub wreszcie uzyskasz, czegoś pożałował nato tylko, aby utracić natychmiast. Prace twoje mało ci przyniosły pociechy. To, na czem najbardziej polegałeś, stało się twoim upadkiem i zgubą. Ci, od których spodziewałeś się pomocy, byli kamieniem na drodze twojej i siwym włosem na twojej głowie. — Do tej to szkoły chodziłem. I uczyłem się a uczyłem. A im więcej się uczyłem, tem mniej umiałem.

«Dziwne cię ogarnia uczucie, gdy znajdziesz się po drugiej stronie widnokregu: widzisz, że wszystko jest inne, tak zupełnie odmienne; wtedy powtarzasz raz wraz: — Życie jest kłamstwem. — I bardziej, coraz bardziej przerażony stajesz i wpatrujesz się w ten świat niebieski, wyglądający tak uczciwie — zda się w końcu, że nic nie rozumiesz. I pytasz sam siebie: Będęż jak głupiec chodził po tym świecie?»

«Ale to jeszcze nie wszystko. Nie skończyłeś nauki, jeżeli poprzez fałsz i kłamstwo nie dojrzałeś prawdy. A do tego daleko. — Pewnego razu stanąłem bezradny i upadły na duchu i spojrzałem w przeszłość — wtedy to zapewne posiwiąłem. Gdyż strach mnie zdjął i trzymał mnie długo. Poznałem i głośno przyznałem się do tego: Zaprawdę, teraz jesteś stary, a życie twoje skończyło się, przepadło marnie; powiedz mi, mój pocziwczu, coś z niem uczynił? — Niema odpowiedzi.

«Jałem tedy uspokajać się, jak umiałem najlepiej — i pocieszyłem się, jak zwykle bywa. A mężowi, który żył w błędzie, a potem wejrzał w siebie i ocknął się pełen lęku i męki, pociechą są słowa: Będę świadectwem dla innych, dla młodszych mych braci, aby nie popadli w tę samą nędzę. Wtedy powie sobie: Przynajmniej nie żyłem napróżno. Przeznaczeniem życia mego było, aby gorące moje pragnienia uczyniły mnie nauczycielem, kierownikiem innych. I braciom swoim młodszym, tym, którzy jeszcze mieli swobodę i mogli pójść drogą, którą sami obiorą, dowodziłem: — Bądźcie rozumni! Nie wiercie życiu! Ono wydaje się tem, czem nie jest. Wszystko, za czem my, szaleńcy, ubiegamy się, to mrzonka, to głupstwo, to błędny ogień, który wabi nas na manowce, a gdy, znalazłszy się na nich, nie możemy znaleźć wyjścia, on zabłyśnie i zniknie nam z przed oczu. — Wtedy śmiali się młodzi. Mrugali do siebie oczyma i mówili: — Biedni ci starzy, co oni wiedzą o życiu, o którym zapomnieli! —

«To była także lekcja. I mnie ona wystarczyła. Młodzi nie mogą nauczyć się od starych, inaczej byliby sami starzy i nie posiadaliby odwagi życia. A tylko ten może coś zyskać, kto ma odwagę. Dlatego istnieje rozdział między starym a młodym, i nie mogą się oni zrozumieć. Każdy z nich, stojąc po swojej stronie ulicy, przemawia swoim językiem. Każdy musi sam poznać niebezpieczeństwa życia i jego niedolę. — I nie ty, lecz ja — powiada ogień pożądania — jestem przeznaczony, aby stać się nauczycielem młodych. Ty bądź zadowolony, gdyś przyszedł do przekonania, że możesz być sam sobie nauczycielem.

«Umilkłem. Ogarnęło mnie wielkie zwątpienie, ale był i spokój w tem zwątpieniu. I przyszły mi nowe myśli, spokojniejsze niż dawne: może to rzecz najważniejsza dojść do tego, aby sobie samemu być nauczycielem? Zbudziła się we mnie wielka pobłażliwość i z uśmiechem patrzyłem na gorączkowe usiłowania młodych, aby świat zawojuować. Właściwie żał mi ich — tak daleko mają, a czeka ich tak dużo przejść!

«Kiedy mówią mi o życiu i chcą mnie pouczyć, czem ono jest, śmieję się, mrużam okiem na swych rówieśników i powiadam: Biedni ci młodzi, co oni wiedzą o życiu, którego nie poznali! — I z głębi serca wyrażam życzenie: oby posiadali w sobie jak najwięcej tej młodości! Bo tylko przez prawdziwą młodość wiedzie droga do mądrości.»

*Tłum. Józefa Klemensiewiczowa.*

## KNUT HAMSUN

(ur. 1859)

Z «PANA»

...Jedynym mym powiernikiem był las i samotność. Nigdy równie chciwie nie szukałem samotności, jak podówczas. Wiosna była w pełnym rozkwicie; błyszczały pierwiosnki i śniegułki. Roilo się od zięb, szczygłów i sikorek; wszystkie ptaki rozpoznawałem. Czasem dobywałem z kieszeni dwie monety dwudziestocztoszylingowe i pobrzękiwałem niemi, aby przerwać ciszę i samotność. Myślałem nawet: a gdyby tak przede mną wyrosli z pod ziemi Dyderyk i Iselina<sup>1</sup>?

Noce ustały zupełnie; słońce zapadało tylko w morze i wschodziło znowu czerwone, odmlodniałe, wypitą wodą głębin pokrzepione. Nikt nie uwierzy, o czem mi się nie troiło podczas tych nocy. Pewno kozłonogi Pan siedzi sobie w dziupli — myślałem — i podpatruje mnie, hultaj. O, jak się to skurczył, jak się zwinął w kłębek, jakby chciał z własnego brzucha złopać. Chytra sztuka! A to wszystko poto, aby mię zpedelba lepiej obserwować. Ja zaś, jakby nigdy nic, idę własnymi zajęty myślami

<sup>1</sup> Postacie z legendy norweskiej.

i czuję, jak on tam w dziupli śmieje się do rozpuku, że aż pień spróchniał się trzęsie!

Wszędzie wokół tętniło w borze nieustanne życie. Zwierz bobrował w gęstwinie, a ptaki wabiły się, napelniając powietrze swym krzykiem. W roku tym właśnie przypadła różka chrząszcza majowego. Bzyk tysiąca skrzydeł mieszał się z trzepotem nocnych ciem; rzekłbyś: z końca w koniec idą dziwne szepty po borze. Toż to było nad czem głowę sobie łamać! Trzy noce zrzędu nie spałem, myśląc o Dyderyku i Iselinie.

A gdyby się tak zjawili? Jakbym ich widział: Iselina wabi pod drzewo Dyderyka i szepcze mu:

— Nie odchodź, luby. Bacz dobrze, pilnuj Iseliny. Ten strzelec, tam, musi mi związać rzemień u moich ciżemek.

Iselina patrzy na mnie znacząco, bo ja jestem tym strzelcem, który ją rozumie. Na jej widok serce moje rozumie wszystko i już nie bije, ale wali w piersiach.

— Zawiąż mi ciżemki — mówi mi, rumieniąc się cała, a potem szepcze tuż przy mojej twarzy, prawie na moich ustach: — Nie, tobie nie śpieszno obuć moją nóżkę, nie śpieszno ci, nie, ty mnie nie obujesz...

Krąg słońca zapada w morze, po chwili wraca czerwone, odmłodniałe, wypita wodą głębin pokrzepione. Powietrze rozbrzmiewa od szeptów.

Odchodząc, żegna mię ruchem ręki, twarzyczka jej pali się, delikatna jej twarzyczka. I znowu odwraca się i żegna gestem. W tej samej chwili Dyderyk wysuwa się z za drzewa i woła: Coś ty zrobiła, Iselino? Widziałem wszystko. A ona odpowiada: — Cóż mogłeś widzieć? Nic nie robiłam. — Ależ tak, ależ tak — mówi znów on — widziałem, Iselino.

Wtem ona nagle wybucha głośnym wesółym śmiechem i odchodzi z nim rozradłowana. A wiecie dokąd? Do następnego strzelca w lesie...

Liście żółkną coraz bardziej, jesień za progiem. Coraz więcej gwiazd wysiewa się o zmierzchu, miesiąc majaczyć zaczyna jak cień, utkany ze złota i srebra. Niema mrozu, tylko zimna cisza drzemie w lesie. Drzewa stoją nieme i dumają. Tu i owdzie spadnie w trawę dojrzała jagoda... — Tak nadszedł dzień 22 sierpnia, a z nim trzy «noce żelazne»<sup>1</sup>.

Pierwsza «żelazna noc». O godzinie dziewiątej chowa się słońce. Matowy mrok powleka ziemię, kilka gwiazd błyska, wreszcie i księżyc się wylania. Ze strzelbą na plecach i z Ezopem chodzę po lesie i zbieram chróst. Błask mojej watry oświetla pnie sosen. Mrozu jednak niema.

Pierwsza «żelazna noc» — mówię do siebie — i na myśl tę wstrząsa mną oszalałająca radość...

Hej ludzie, zwierzęta i ptaki! Hosanna samotnym nocom w lesie! Hosanna zmierzchom i szepotom Boga w liścia łopocie! Hosanna słodkim jednostajnym szmerom ciszy w mem uchu, liściom poźółkłym i liściom zielonym jeszcze! Hosanna życiu, które słyszę w wężeniu psa w trawie, które tkwi w gotowym do skoku żbiku, zaczajonym w ciemności na lichego wróbla! Hosanna litosnej ciszy, która objęła ziemię, gwiazdom i sierpowi księżycy, hosanna wszystkim oraz wszystkiemu...

Podnoszę się i nasłuchuję. Nikogo nigdzie. — Nikt mnie nie mógł słyszeć. Znów siadam.

Dzięki, o, dzięki za noce samotne, za mrok, za wycie morza, które rozbrzmiewa wskroś mego serca! Dzięki za życie, za oddech mój, za łaskę, że żyję w takie ciche noce, dzięki, o, dzięki serdeczne! Nasłuchuj ku wschodowi, nasłuchuj w zachód, o, słuchaj! W płomieniach mego ogniska drżą misterne pajęczyny ze złota, gdzieś wdali na morzu łódź się chwije i pluska, sklep nieba błyska zorzą północną. Na nieśmiertelną duszę moją! Dzięki, o, dzięki, żem to ja jest, który tu siedzę i patrzę...

Cisza. Oblamana gałąź jodły spada głucho na trawę. Gałąź jodłowa upadła — myślę

<sup>1</sup> Podczas «żelaznych nocy», między dniem 22 a 28 sierpnia, pojawiają się w tamtych okolicach pierwsze przymrozki (*Przyp. autora*).

w duszy. Miesiąc wybiegł wysoko na niebo, watra dogasa, polana jej wnet się dotła. Bardzo późną nocą wracam do domu.

Znów druga «żelazna noc». Taż sama cisza, toż samo ciepłe powietrze. Dusza moja odprawia ciche medytacje. Machinalnie zbliżam się do jakiegoś drzewa, naciskam czapkę aż po uszy i z przechyloną wstecz głową opieram się plecami o omszały pień, zapłótszy ręce wtył. Patrzę w próżnię i myślę; płomień mej watry razi mię w oczy, jednak nie czuję tego. Długo stoję tak z utkwionem w ogień okiem. Wreszcie nogi odmawiają mi służby. Gdy już zupełnie zdrętwiały, siadam na murawie; teraz dopiero na myśl mi przychodzi, że niepotrzebnie patrzyłem tak długo w płomień.

Ezop podnosi łeb i nasłuchuje. Czyjeś kroki...

Trzecia «żelazna noc». Gdyby choć trochę chłodu, trochę mrozu! Zamiast zimna — powietrze rozgrzane spiekotą dnia; poprostu ciepłe bagnisko, parne i duszne. Nałożyłem kupę chróstu...

Przysuwam się bliżej do ogniska i wpatruję w żar. Sucha gałąź jodłowa spadła z wierzchołka. Noc głucha i ciemna. Zamykam oczy.

Po godzinie takiego odrętwienia poczynają moje zmysły kołysać się w pewien rytm — rytm tej niezmiernej ciszy nocy i lasu. Podnoszę oczy na księżyc, który tkwi w niebie, jak biała muszla, i uczuwam coś jakby miłość dla niego i rumienię się. To księżyc! — szepczę namiętnie — tak, to jest księżyc! Serce moje uderza dla niego. Trwa to kilka minut. Nagle podmucha jakiś mnie muska, jakiś zupełnie obcy powiew. Co to może być? Oglądam się i nie widzę nikogo. To wiatr woła mnie. Dusza moja lgnie do tego cichego wezwania, czuję, że wypadam z równowagi, że tulę się do jakiejś piersi. Oczy moje zachodzą łzami... Drżę na całym cielem... Trwa to kilka minut. Za chwilę nie czuję już tego dziwnego ucisku powietrza, odwracam głowę i widzę jakby plecy jakiegoś ducha, który niknie w gęstwinie...

Chwilę jeszcze walczę z ciężkim oszołomieniem, wreszcie, zupełnie wyczerpany i śmiertelnie znudzony, zasypiam.

*Tłum. M. Szukiewicz.*

### Z «BŁOGOSŁAWIENSTWA ZIEMI»

(Osadnik leśny Izak mieszka na pustkowiu z żoną Inger i dziećmi; od pewnego czasu robotnicy przeprowadzają nad traktem wpobliżu linję telegraficzną i znajdują pomieszczenie w osadzie.)

...Przywędrował ze wsi jakiś człowiek z dużym tornistrem na plecach. Wręczył robotnikom kilka butelek, poczem zaraz się oddalił. Lecz po jego odejściu zniknął jakoś dotychczasowy spokój na Sellanro; zabrzmiała harmonika, rozmawiano głośno, śpiewano i tańczono na podwórze. Jeden z robotników zaprosił Inger do tańca, a Inger — tak, kto ją przeniknąć zdoła? Chicholala i tańczyła kilka razy wkółko. Potem przyszli inni, którzy także chcieli z nią tańczyć, no i tańczyła żwawo i wesoło jak się patrzy.

Kto zdoła przeniknąć Inger! Tańczyła tu może pierwszy swój błogi taniec. Ubiegali się o nią; — trzydziestu chłopów, a ona sama jedna, jedyna, bez rywalki! A jakże mocno o nią się dobijali, dziarskie chłopcy owi robotnicy przy telegrafach! Czemuż więc nie potańcować? Mimo hałasu na dworze Elizeusz i Sywert spali w izbie jak zarżnięci; Poldynka jednak była jeszcze na nogach, przy zabawie, i zadziwionem oczyma przyglądała się skokom matki.

Izak tymczasem cały czas po wieczery bawił w polu. Gdy wrócił na spoczynek, jeden z robotników poczęstował go z butelki, więc pociągnął łyk jeden, nie więcej. Usiadł, wziął na kolana Poldynkę i przyglądał się tańcom.

— Przynajmniej raz możesz się porządnie wytańcować i swoje nogi rozruszać! — rzekł dobrodusznie do Inger...

Izak zbudził się nad ranem, ale Inger nie było. — Może jest w stajni? — pomyślał. Wstał i poszedł do stajni. — Inger! — zawołał. Milczenie. Krowy obróciły lby



i przyglądały mu się. Cisza zupełna. Z przyzwyczajenia przeliczył bydło, kozy i owce. — Inger! — zawołał ponownie. Ale i teraz milczenie. — «Czyżby poszła z nimi do wsi?» — zastanawiał się.

Noc była ciepła i jasna. Izak zatrzymał się przed chatą, potem poszedł do lasu, żeby odszukać maciorkę. Odnalazł Inger. Ona tu? Tak, Inger i jeszcze ktoś. Siedzieli we wrzosowisku, Inger zabawiała się czapką z daszkiem, rozmawiali ze sobą wesoło. Ho, ho, wesoło... Izak podszedł ku nim pocichu. Inger obróciła się i ujrzała go. Wtedy pobladła, głowa opadła jej na piersi, wypuściła z rąk czapkę, była zdruzgotana.

— Hm! Czy wiesz, że maciorka znowu się gdzieś zapodziała? — przemówił Izak. — Tak, ale tego ty na pewno nie wiesz!

Młody robotnik telegraficzny podniósł swą czapkę i zniknął w bocznym zarośnięciu. — Muszę pogonić za towarzyszymi — rzekł. — Ano, dobrej nocy! — powiedział i zniknął. Na pożegnanie jego nikt nie odpowiedział.

— Tak, ty więc tu siedzisz? — spytał Izak. — Czy musisz tu siedzieć?

Odwrócił się i poszedł ku domowi, Inger podniosła się z trudem i szła za nim. Tak tedy wracali, mąż naprzędzie, żona w tyle. Wrócili do chaty...

Następnego dnia, w niedzielę, Izak wciąż jeszcze był nieprzejednany. Krążył poza domem, chodził do tartaku i do młyna, obchodził swe pola, już z dziećmi, już też sam. Gdy Inger spróbowała raz przyłączyć się do niego, Izak zawrócił w inną stronę i rzekł: — Muszę teraz iść wgórę rzeki, muszę tam coś zobaczyć. — Było coś, co go widocznie gryzło, ale dusił to w sobie w skrytości, w milczeniu i nie wybuchał piorunami. O, zaiste, wielki był Izak.

W poniedziałek panowała już atmosfera znacznie lżejsza, i w miarę mijania dni zacierało się powoli nieznosne onej nocy wrażenie. Czas kalczy i czas leczy. Izak wyszedł na tem jeszcze nienajgorzej, nie miał nawet pewności, czy go istotnie skrzywdzono, nadto inne sprawy zaprzętały jego myśl, wszakże zaczynały się żniwa. A zresztą niedługo przecie linję telegraficzną wykończą, a wtedy znowu zapanuje na osiedlu spokój. Poprzez las wiódł teraz szeroki jasny gościniec, a po jego obu stronach sterczały drągi z drutami.

Następnej soboty, gdy miała nastąpić ostatnia wypłata, urządził się Izak tak, żeby być poza osiedlem. Powędrował do wsi z masłem i serem i wrócił dopiero w nocy z niedzieli na poniedziałek. Robotnicy opuścili już stodołę; czy wszyscy? Prawie wszyscy; ostatni wylazł właśnie z podwórza z wielkim worem na plecach. Po koszyku do wiktuałów, stojącym w stodole, Izak jednak poznał, że powietrze niecałkiem jeszcze czyste; gdzie właściciel, nie wiedział i wiedzieć nie chciał — ale czapka z daszkiem spoczywała na koszyku jako dowód gorszący.

Izak wyrzucił na podwórze koszyk i czapkę, potem stodołę na klucz zamknął, poszedł do stajni i przez okno spozierał. — Kosz i czapka! niech leżą! — powtarzał sobie w myśli; nic mnie to nie obchodzi, czyje to. Lichy to koszyk, pluję na niego! — myślał zapewne. Ale gdy po niego przyjdzie, wtedy Izak wyjdzie mu naprzeciw i schwyty go trochę za kark, że aż pozielenieje. I pokaże mu, kędy droga z obejścia.

Po chwili Izak opuścił swój posterunek przy okienku i udał się do krów. Nie miał spokoju. Koszyk związany był sznurkiem; sznur pękł — czyżby Izak za mocno go był schwytył? mniejsza z tem, dosyć, że w Izaku odezwały się nagle jakieś wątpliwości, czy aby naprawdę dobrze postąpił... We wsi będąc, wypytywał się o swój nowy pług, szczególnie masywny, bo przeznaczony do karczowania ugorów na Pustkowiu. Zamówił go swego czasu, i teraz właśnie nadszedł; o, wspaniała to maszyna, ósmy cud świata! I zdało mu się, że wraz z nią splywa na dom jego błogosławieństwo Boże. Moc wyższa, która kieruje każdym krokiem człowieka, znajdowała się może teraz w pobliżu i śledziła go, czy na ono błogosławieństwo zastępuje lub nie. Izak mózgownicę swoją zaprzętał stale myślą o wyższych mocach, ba, pewnej nocy jesiennej widział w lesie na własne oczy samego Boga; a był to widok niezwykle...

Izak wyszedł na podwórze i zatrzymał się przy obcym koszyku. Namyslał się jeszcze, zsunął nawet kapelusz z czoła i drapał się po głowie, przyczem wyglądał zadzierzyscie i zuchowato, niby hidalgo. Ale wtedy zapewne myślał mniej więcej tak: Oto stoję tu, daleki od tego, żeby być człowiekiem wspaniałomyślnym i doskona-

łym; pies ze mnie! — Poczem związał koszyk sznurkiem jak należy, podniósł czapkę i zaniósł wszystko zpowrotem do stodoły na dawne miejsce. Oto stało się.

Ze stodoły wyszedłszy, zwrócił swe kroki w stronę młyna, precz od swej chaty, precz od wszystkiego. Inger nie stała przy oknie, nie, nie. Niech tam, niechże sobie stoi, gdzie jej się żywnie podoba, zresztą leży niezawodnie w swem wyrku, bo gdzieżby indziej być miała? Ale dawniej, onych pierwszych lat na osiedlu, przecie inaczej bywało; wtedy Inger niepokoiła się, gdy jego nie było, i oczekiwała przy oknie jego powrotu ze wsi. Teraz dzieje się inaczej, zmieniło się wszystko...

Lecz siedzenie w młynie i przysłuchiwanie się przez całą noc pluskowi przewalającej się wody, to rzecz naprawdę bardzo głupia. Izak nie popełnił przecie nic złego, dlatego opuścił młyn i udał się zpowrotem do chaty...

I teraz dopiero Izak się zawstydził, wstydził się sam przed sobą, a jednocześnie rozradował się. W izbie siedział Brede Olsen, sąsiad, nikt inny, siedział i popijał kawę.

— Otóż i Izak! — rzekła Inger wesoło, wstając od stołu i nalewając kawę dla Izaka.

— Dobry wieczór! — rzekł Brede.

Izak domyślał się, że Brede uczestniczył również w festynie pożegnalnym robotników telegraficznych.

*Tłum. Czesław Kędzierski.*

## SIGBJÖRN OBSTFELDER

(1866–1900)

EWA

Ołowiano-siwe jest niebo, ołowiano-siwe jest morze,  
ołowiano-siwe są twe oczy, Ewo.

Długo siedziałaś milcząca,  
ściskałaś me dłonie.

Twoje oczy —  
niebieskie, gdy śmiało się słońce, śpiewało morze!  
Ty jesteś jak natura, Ewo.

Twoje wargi spoczywają na mem czole,  
takie zimne.

Twoje ręce spoczywają w mych rękach,  
takie zimne.

Twoja pierś oddycha tak ciężko,  
— ziemi oddech, lecący ku mej duszy!

Tak, ty jesteś jak ziemia.  
Kiedy lśnią się blaski słoneczne,  
w twojem oku zjawia się połysk;  
kiedy mgły gonią za mgłami,  
twe oko jest mętne i zwilgłe.

Nie. Nie chcę mówić nic więcej.  
Siedzmy niemi i słuchajmy  
morza długich tych ssących westchnień,  
w mgieł się wpatrzmy trwożną tę noc.

Ewo!..

SIEJE

I dzień przechodzi ze śmiechem i śpiewem,  
i śmierć w noc długą zaprzęta się siewem.  
Śmierć — sieje.

Idzie i sieje,  
 sieje i sieje —  
 tęskne róże, blade tulipany,  
 czarne fiołki i chore hiacynty,  
 mimozy.

Idzie i sieje,  
 sieje i sieje —  
 trwożną tęskność, uśmiech błady,  
 czarne męki i chore zwątpienia,  
 i lzy.

Dzień przechodzi ze śmiechem i śpiewem.  
 Śmierć w noc długą zaprzęta się siewem.  
 Śmierć — sieje.

#### UMIEŻ LUSTRO MÓWIĆ

Umieź lustro mówić?  
 Lustro umie mówić.

Lustro winno patrzeć na cię co rano  
 badawczo,  
 patrzeć na cię głębokiem mądrym okiem  
 — twojem własnem!  
 przywitać cię tem ciepłem, ciemnoblękitnem okiem:  
 Jest-żeś czysty?  
 Jest-żeś wierny?

*Tłum. Alfred Tom.*

#### JOHAN BOJER

(ur. 1872)

#### Z «WIELKIEGO GŁODU»

...Od kowadła, z ciemności kuźni, wychodził niekiedy za próg, by zaczerpnąć świeżego powietrza, i tam witał go dzień, wielki, szeroki, beztreściwy dzień. — Mężczyzna z młotem kowalskim w ręce spogląda mimowoli w niebo. Odziedziczył to zapewne od swego wielkiego praszczura, który darował ludziom ogień i myśl i nauczył ich powstawać przeciw Bogu. Per przyglądał się niebu i chmurom, które przeciągały w bezmyślnych wirach. Bunt przeciw komuś tam wgórze? Wszak niebo jest puste. Niema tam nikogo, przeciw komu możnaby powstać. — A cała krzywda, która się dzieje na ziemi? Kto będzie kiedyś sprawował sąd? Kto? Nikt. Jakto? A te miliony męczenników, którzy zmarli w krwawych torturach, niewinni jak niemowlęta? Czy niema nikogo, kto wymierzy im kiedyś sprawiedliwość? Nie. — Ale istnieje przecie cały świat ucisnionych, których dusze błądzą bezwolnie, gdyż umarli w hańbie, której nie zasłużyli; gdyż przegrali w walce, w której prawo było po ich stronie; gdyż cierpieli i walczyli za prawdę, ale ulegli, gdyż kłamstwo było najsilniejsze. Prawda? Prawo? Czyż niema nikogo, kto kiedyś zmarłym da spokój w ich grobie i postawi rzeczy na ich właściwem miejscu? Czyż niema nikogo? Nikogo. Świat idzie swoją drogą, przeznaczenie jest ślepe, a Bóg uśmiecha się, gdy szatan rzuca się na Hioba. — Milcz i imaj się młota swego, głupcze. W dniu, gdy posiądziesz sumienie uniwersalne, umrzesz z przerażenia. Pamiętaj, jesteś kregowcem, który tylko przez pomyłkę otrzymał duszę. — Dzień, dzień, czerwony ogień pryska od kowadła. Znoś życie, jakie jest.

W nim jednak zaczęło tlić osobliwe pragnienie, by złączyć się z wszystkimi nieszczęśliwcami, których zmiażdżył ślepy los, skupić ich dokoła siebie, nie dla wspólnego jęczenia, lecz dla wspólnego zwycięstwa. Nie dla zemsty, lecz dla pieśni nad

pieśniami. Spójrz, wszechmocy wieczysta, jak odplącamy ci twoje okrucieństwo, sławimy życie — czyśmy nie bardziej boscy niż ty? — Świątyni, świątyni dla dzisiejszego, wieczności głodnego człowieka, nie dla jęku modlitewnego, lecz dla hymnu, który człowiek marnotrawnie ciska ku niebu. Czy powstanie on kiedy?

Tłum. Leopold Staff.

## SIGRID UNDSET

(ur. 1882)

### Z «KRYSTYNY, CÓRKI LAWRAUSA»

... Usłyszała powolne stąpanie konia w górze drogi, jakieś głosy męskie mówiły jednostajnie i cicho. Tu, gdzie знаła każdego człowieka, nie obawiała się nikogo; poczuła się pewniejsza.

Psy ojca pognały ku niej, zawróciły i pobiegły zpowrotem między drzewa, potem znów popędziły w jej stronę, a ojciec powitał Krystynę głośnym pozdrowieniem, gdy wyszedł z pomiędzy brzóz. Prowadził za uzdę Guldsvejna; do siodła przytroczony był pęk ubitych ptaków, a na lewej ręce niósł Lawrans sokoła w kapturze na głowie. Z nim szedł wysoki pochyłony człowiek w mniszłej sutannie, i zanim jeszcze Krystyna ujrzała jego twarz, wiedziała, że to brat Edwin. Poszła tedy na jego spotkanie zgoła niezdziwiona, jakby się jej to wyśniło; uśmiechała się tylko, kiedy Lawrans spytał, czy poznaje gościa.

Lawrans spotkał go w górze przy moście na Rost i nakłonił go, by z nim powrócił i przenocował we dworze. Lecz brat Edwin chciał koniecznie nocować w stajni. «Jestem taki zawszony», powiedział, «nie możecie mnie położyć w wasze czyste łóżko». I jakkolwiek Lawrans prosił i nalegał, mnich nie odstąpił od swego; naprzód chciał nawet, by mu podano jedzenie na dziedziniec. Wreszcie udał się jednak z nimi do izby; Krystyna przyłożyła dREW na ognisko w kącie i postawiła na stole świecę, gdy tymczasem jedna ze sług wniosła jedzenie i picie.

Mnich zasiadł na żebraczej ławie koło drzwi i jadł tylko zimną kaszę, i pił wodę po wieczerzy. Także, gdy Lawrans zaofiarował się, że mu każe przygotować kąpiel i wyprać odzież, nie chciał tego przyjąć. Brat Edwin tarł się i drapał, a cała jego chuda stara twarz była roześmiana. «Nie, nie», rzekł, «to lepiej kąsa moją dumną skórę, niż bicowania i słowa gwardjana. To lato spędziłem w górach pod jakąś skałą — pozwolono mi wyjść na pustynię, by modlić się i pościć, siedziałem tedy tam w górze i zdawało mi się, że jestem jakimś świętym pustelnikiem. Biedacy z doliny Setny przynosili mi na górę żywność i sądzili, że mają przed sobą prawdziwie pobożnego i czystego mnicha; bracie Edwinie, mawiali, gdyby wielu było takich mnichów jak ty, wnet byłibyśmy lepsi, ale gdy widzimy, jak się księża i biskupi, i mnisi żrą i kłócą między sobą, jak prosiaki nad korytem!... Mówiłem ja im wprawdzie, że jest nie po chrześcijańsku tak gadać, ale słuchałem tego chętnie i śpiewałem, i modliłem się, aż echa brzmiały w górach. Będzie teraz dla mnie wielką korzyścią czuć, jak wszy żrą i tarmoszą moją skórę, i słyszeć, jak dobre gospodynie, chcące zachować ład i czystość w swych izbach, krzyczą, że ten parszywy mnich może przespać się latem w stodole. Teraz idę na północ do Nidaros na uroczystość świętego Olafa, i dobra to będzie dla mnie nauka, gdy obaczę, że ludziom wcale tak bardzo na tem nie zależy, aby się ze mną stykać».

Ulwhilda zbudziła się, Lawrans podszedł ku niej, wyjął ją z łóżka i osłonił swoim okryciem:

«Oto dziecko, o którym wam opowiadałem, drogi ojczu. Połóżcie na nie swe ręce i módlcie się do Boga za tę małą dziewczynkę, tak jakoście się modlili za chłopca z doliny Mel, o którym nam mówiono, że wrócił do zdrowia».

Mnich delikatnie ujął Ulwhildę pod brodę i spojrział jej w twarz. Potem podniósł jej rączkę i ucałował ją.

«Raczej wy się módlcie, ty i twoja żona, Lawransie, synu Björgulfa, byście się oparli pokusie i nie usiłowali ugiąć zamysłu Boga z tem dzieckiem. Nasz Pan Jezus

sam postawił te nóżki na ową ścieżkę, po której krocząc, dziecko może najpewniej wejść w dom pokoju — widzę to po twych oczach, szczęśliwa Ulwhildo, że orędownicy twoi nie z tego są świata».

«Chłopiec z doliny Mel ozdrowiał, jak słyszałem», szepnął Lawrans.

«Był on jedynym synem ubogiej wdowy i niktby go nie odziewał i nie żywił, gdyby stracił matkę, chyba gmina. A przecież kobieta modliła się tylko o nieustraszoną wiarę, że Bóg tak uczyni z chłopcem, jak będzie uważał za słusze. I nic innego tam nie działałem, jeno o to samo modliłem się wraz z matką».

«Nielatwo jest dla Ragnfrydy i dla mnie tem się zadowolić», rzekł ciężko Lawrans. «Zwłaszcza, że jest taka piękna i miła».

«A widziałeś owo dziecko wdole na Sidstad», spytał mnich. «Czy chciałbyś raczej, by twoja córka tak wyglądała?»

Lawrans wzdrygnął się i przytulił dziecko do siebie.

«Czy nie sądzisz», ozwał się znowu brat Edwin, «że w oczach Boga jesteśmy wszyscy jak dzieci, których On musi żałować, tak bardzo zniekształceni jesteśmy grzechami. A przecież nie wydaje nam się, by nam najgorzej było na świecie».

Zbliżył się do obrazu Matki Boskiej na ścianie, i wszyscy uklękli, gdy odmawiał pacierz wieczorny. Uważali, że dobrze ich brat Edwin pocieszył.

Ale kiedy wyszedł z izby, by wyszukać sobie jakieś legowisko do spania, Astryda, najstarsza ze sług, wymiotła starannie izbę w każdym miejscu, w którym mnich stał, i prędko wrzuciła zmieciony kurz do ognia.

Nazajutrz wstała Krystyna raniutko, zaczerpnęła kaszy, gotowanej na mleku, do czary z pięknie wyciętej karpiny, wzięła placek pszenny — wiedziała bowiem, że mnich nie tyka nigdy mięsa — i sama wyniosła mu jedzenie. Nikt jeszcze prawie nie był na nogach.

Brat Edwin stał gotów do drogi z kijem i sakwą, koło stajni; z uśmiechem podziękował Krystynie za jej trud, usiadł na trawie i spożywał kaszę, podczas gdy Krystyna siedziała u jego nóg. Jej mały biały piesek w podskokach przybiegł do niej, aż zadzwoniły dzwoneczki na jego obroży. Wzięła go na kolana, a mnich przytkał palcami przed jego mordką, rzucał mu małe kęsy placka i chwalił go bardzo.

... Brat Edwin chwycił kij i sakwę i prosił Krystynę, by pozdrowiła ludzi, śpiących jeszcze w izbie — nie chciał czekać aż wstaną, tylko iść póki dzień był chłodny. Odprowadziła go aż poza kościół i kawałek w las.

Pożegnał ją pokojem Bożym i błogosławieństwem.

«Ostawcie mi jakieś słowo, tak jakeście zostawili Ulwhildzie, drogi ojcze» — prosiła Krystyna. Stała i trzymała jego rękę.

Mnich przesunął swą nagą pokrzywioną przez dnę stopę po trawie.

«Chcę ci tedy rzec, córko, byś dobrze baczyła, jak Bóg wszystko tu w dolinie obróci dla dobra ludzi. Niewielkie tu padają deszcze, ale dał On wam wodę z gór, byście ją kierowali na wasze pola, a rosa co noc odświeża łąki i role. Dziękuj Bogu za dobre dary, które ci dał, i nie skarż się, jeżeli sądzisz, że ci czegoś innego brak. Masz piękne jasne włosy, nie martw się tem, że nie są kędzierzawe. Czyś nie słyszała o owej kobiecie, która płakała, bo miała tylko mały kawałek słoniny dla swych siedmiorga głodnych dzieci na ucztę wigilijną? Święty Olaf przejeżdżał właśnie tamtędy; położył tedy rękę na misie i prosił Boga, by nakarmił małe biedne robaki. Ale gdy wdowa ujrzała, że na stole leży ubity wieprzak, zaczęła płakać, bo nie posiadała dość garnków i mis».

Krystyna pobiegła do domu, a Kortelin plątał się koło jej nóg, chwycił, poszczekując, za rąbek jej sukni i dzwonił wszystkimi srebrnymi dzwoneczkami.

*Thum. Wanda Kragen.*

*Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.*

OLOV VON DALIN

(1708—1763)

KIEDY JUŻ WSZYSTKO UTONIE W CISZY...

Kiedy już wszystko utonie w ciszy,  
Dążę, gdzie strumyk srebrny się żłobi,  
Rozmawiam z sobą — nikt mnie nie słyszy  
Ani użytku z mych słów nie robi.  
Promienie rzuca w krąg księżyc błady,  
Modrzą się wzgórze, pola, rozłogi,  
Mnie w woni lasów wiodą dróg ślady  
Nie tam, gdzie dworskie wspaniałe progi.

Zdała od zgiełku, od ulud świata,  
Który w swem wnętrzu nienawiść chowa,  
Błądzą, gdzie ludzka złość nie dolata,  
Gdzie szum drzew szepce przyjaźni słowa.  
Więc moją radość cóż może psować  
I co zatruwać jeszcze me serce?  
Ach! jedno tylko. Wciąż tak wędrować  
Chciałbym ja przy niej, przy mej pasterce!

—————  
*Tłum. Wł. Trajpczyński.*

CARL MIKAEL BELLMAN

(1740—1795)

PORTUG... HISZPANJA...

Portug... Hiszpanja,  
Wielka Brytanja —  
Hej, w blasku koron zanika mi, ot,  
Pamięć z kretešem!  
Cudną pryncesę  
Trzymam w objęciach — ach, co tu psot!  
Teraz z pięszoszka  
Zdrzemnę się troszkę —  
Kpię z wierzycieli natrętnych rot!  
Rakiety, bomby,  
Bębny i trąby  
Z hukiem i trzaskiem niech zbudzą nas,  
Nasi trabanci —  
Ci tu i tamci —  
Dzbanem z kryształu uderzą już wczas —  
Wtedy wypiję,  
Wiem, zdrowie czyje!  
Brzęk nie ustanie, choć dzień będzie gasł!

Ostrygi, wino  
Całą lawiną  
Chłonać pragniemy przelykiem swym!  
Pudding obfity  
I smakowity  
W uczcie porannej ma trzymać prym.  
Najdroższe knastry —  
Setne pijastry  
W jednej ja chwili zamienię w dym!  
Skol, stany walne  
I generalne,  
Sam Ojcie święty, do uczty siadź! — —  
Prysty karesy,  
Niema pryncesy,  
A i korony pierzchły gdzie bądź.  
Cicho jest wreszcie —  
Ach, na przedmieście  
Pójdę, gdzieś kotlet na kredę wziąć.

—————  
*Tłum. Alfred Tom.*

## ESAIAS TEGNÉR

(1782—1846)

## Z «FRYTJOFA»

## Zakon Wikingów

Płynie — płynie przez morze,  
 Buja w pustym przestworze,  
 Jako sokół zgłodzony;  
 Dla karności i ładu  
 Te ogłasza z pokładu  
 Swym Wikingom zakony:

«Precz w okręcie z namiotem,  
 Nie spać w domu pokotem;  
 Wróg się kryje za drzwiami.  
 Wiking sypia na tarczy,  
 Miecz za druha mu starczy,  
 Namiot — niebo z gwiazdami.

«Krótkie drzewce topora,  
 Którym grzmoci dłoń Tora,  
 Miecz też Freja łokciowy;  
 Taki oręż nie zwodzi,  
 Niechno zbliska ugodzi,  
 A wróg legnie gotowy.

«Gdy zahuczą głębiny,  
 Silnie z masztem wiąż liny,  
 Burtuj okręt warkoczem;  
 Tchórze żagle zwijają,  
 Mężni z burzą igrają,  
 Ginąc z sercem ochoczem.

«Chroń dziewice na lądzie,  
 Lecz precz z niemi na prądzie,  
 Bo i Freja cię zdradzi;  
 Każda kłamię wdziękami,  
 Włosów jasnych splećkami  
 Sidła na cię zasadzi.

«Wian to piękny Wikinga,  
 Gdy poorze go klinga,  
 Byle w piersi lub skronie; —  
 Póki doba nie minie,  
 Niech dowoli krew płynie,  
 A okrzyknem cię w gronie».

*Tłum. Józef Grajner.*

## GWIAZDY

Na pustyni mej drogi gwiazd liczne orszaki  
 Srebrzystym swym uśmiechem witają me oczy;  
 Czemuż ja nie mam skrzydeł, jako lotne ptaki,  
 Żeby swobodnie wznieść się aż w ten świat uroczy!  
 Na obłoku złocistym, co przepływa w cieniu,  
 Anioł mi się ukazał: trzyma arfę w dłoni,  
 Nachyla się, już spływa do ziemskich przestrzeni;  
 Boskie jego spojrzenie, a święty blask skroni.

Ujął arfę i śpiewa, i w jej struny trąca.  
 Szmer wiatru pienia jego cudnie rozprzestrzenia;  
 Ach! teraz cię poznaję, pieśni czarująca,  
 Nieraz słyszałem ciebie w krainie marzenia.  
 Pamiętam, kiedyś tego widziałem anioła,  
 I z gwiazd tych bracia jego do mnie się ozwali,  
 A dzisiaj jam samotny, tęsknota dokoła  
 Ściga mię w tłumie ludzi i od niego wdali.  
 A te anielskie śpiewy, te stropy gwiazdziste  
 Obudzają w mej duszy przeszłości pamiętki.  
 Ach, w te kraje harmonji i w te sfery czyste  
 Pozwólcie mi, anieli, unieść ducha szczątki!

*Tłum. Stanisław Budziński.*

#### RZECZY WIECZNE

Dość czyni na świecie zbryzgany krwią miecz,  
 Jak orły lśnią skry jego w chwale,  
 Lecz nieraz się łamie i cofa się wstecz,  
 I orły padają w mórz fale.  
 Nietrwale jest wszystko, co przemoc uczyni,  
 Umiera wśród burzy, usycha w pustyni.  
 Lecz mądrość jest wieczna. Przez ogień i krew  
 Promiennem jaśnieje swem czołem —  
 I światu wskazuje wśród mroku i plew,  
 Jak iść za słonecznym aniołem.  
 Lecz mądrość jest wieczna. Na niebie i ziemi  
 Jej słowo wśród ludów brzmi dźwięki bożemi.  
 Lecz prawda jest wieczna. Liljowy jej kwiat,  
 Zdeptany, odrasta na nowo.  
 I wciąż triumfalniej zdobywa ten świat,  
 Jak słońce — lśni wieczne jej słowo.  
 Gdy przemoc i podstęp chcą zgasić jej świty,  
 Jej głos w twojej piersi spoczywa ukryty.  
 A wola, zamknięta wśród żaru i mąk,  
 Do czynu pobudza człowieka —  
 Bo myśli ust trzeba, a prawdzie trza rąk,  
 A słowa oddawna lud czeka.  
 Ofiary i klęski, nim dojdiesz do mety,  
 Zabłysznią jak gwiazda, wschodząca z wód Lety.  
 A pieśni moc nie jest jak kwiatów woń mdła,  
 Jak tęcza barwista w obłoku.  
 Bo w pieśni przeszłości czarowny świat drga,  
 Naddziadów twarz błyszczy w jej oku.  
 Poezja jest wieczna. A w złotym jej piasku  
 Niejeden tkwi dla nas wzór chwały i blasku.  
 Ta moc u Mądrości i Prawdy tkwi wrót,  
 A dobro i piękno wytwarza —  
 I wieczne, dopóki człowieczy trwa ród,  
 Ideal nam w sercu rozżarza.  
 Co losy ci dają — jak mara przemienie;  
 Co bije w twem sercu — to nigdy nie zginie.

*Tłum. Antoni Lange.*



## JOHAN LUDVIG RONEBERG

(1804—1877)

## SPOTKANIE

Siedzi dziewczę w wieczór letni  
 I w krynicy patrzy lustro:  
 «Boże drogi, jakżem ładna!  
 Ale co mi po piękności,  
 Gdy młodzieniec ukochany  
 Widzieć nie chce mnie ni słyszeć?  
 Rózo, co tu kwitniesz obok,  
 Zabierz czerwien moich warg!  
 Purpurowy hen obłoku,  
 Mych policzków weź purpurę!  
 Gwiazdo, co tam migasz blade,  
 Zabierz jasność moich oczu!  
 Wszystko inne — twoje, grobie!»  
 Lecz swawolny to podsłuchał

Chłopiec, tuż ukryty w krzaku,  
 I pośpieszył do niej wskok,  
 Upragniony, znaleziony.  
 Pocałował-ci ją w usta:  
 «Czerwien warg zabrała róża!»  
 I przycisnął twarz do twarzy:  
 «Lic purpurę zabrał obłok!»  
 Potem spojrzął w głąb jej oczu:  
 «Jasność oczu wzięła gwiazda!»  
 I opasał ją ramieniem:  
 «Wszystko inne w grób zapadło —  
 Bo tu grób twój, ma dziewczyno,  
 Skąd już nigdy wyjść nie zdołasz».

## DZIEWCZĘ NAD POTOKIEM

Dziewczę nad potokiem raz  
 Siadło — stopy nurza w nim;  
 I zaśpiewa wgórze ptak:  
 «Dziewczę, nie mąc wody tej,  
 Co odbijać nieba ma!»  
 A dziewczyna wzniesie wzrok,  
 Mówi, z okiem pełnym łez:  
 «Nie troszcz się o potok ten,

Co się wnet rozjaśni znów!  
 Kiedyś tego widział, co  
 Ongi przy mym boku stał —  
 Gdybyś to ty wtedy rzekł:  
 Nie mąc duszy dziewczę tej! —  
 Już się nie rozjaśni znów,  
 Nie odbije nieba już».

## MŁODZIENIEC

Wietrze, co targasz mi włosy,  
 Dokąd to gnają cię losy?  
 Latasz po szlakach tak wielu —  
 Kiedy już będziesz u celu?

Falo, tak żwawa w swym trudzie!  
 Gdybym się porwać dał złudzie,  
 Gdybym pochwycił za wiosła —  
 Dokądbyś też mnie zaniosiła?

Myśli łańcuchu ty długi,  
 Gdzie twojej postój żeglugi?  
 Wędrowcy z innego świata,  
 Ciągleż wam cel tak odlata?

Tłum. Alfred Tom.

## AUGUST STRINDBERG

(1849—1912)

## Z «OJCA»

*(Rotmistrz — w kaftanie bezpieczeństwa, włożonym nań przez starą jego mamkę Małgorzatę, pod wpływem żony Laury.)*

Rotmistrz: Omfalol! Omfalol! Posadziwszy Herkulesa przy kołowrotku, bawisz się teraz jego maczugą.

Laura (*przystępuje do niego*): Adolfe, spójrz mi w oczy, czy widzisz we mnie wroga?

Rotmistrz: Tak jest. W was wszystkich widzę swych wrogów! Matka moja, z niechęcią na świat mnie wydając, była moim wrogiem, że cierpiała przeze mnie

i, pozbawiwszy mnie najpierwszych uciech życia, zrobiła ze mnie napół kalekę. Siostra moja była mi wrogiem, gdy mnie ugiąć chciała przed sobą. Pierwsza kobieta, którą obdarzyłem uściskiem, była moim wrogiem, bo za uścisk miłosny zatrula mi dziesięć lat życia chorobą. Ty wreszcie, żona moja, śmiertelnym byłaś mi wrogiem, bo nie pierwszej spoczęłaś, aż padłem ugodzony śmiertelnie.

Laura: Nigdy nie miałam podobnej myśli ani podobnego zamiaru. Być może, że czułam bezwiedną chęć, konieczność usunięcia ciebie z mojej drogi, na której mi stanęłaś zaporą, ale wierząc mi, jeśli w tem był pewien system — nie ja go stworzyłam. Nie sprowadzałam wypadków, nasuwały mi się one same, wzrastały na gruncie przez ciebie przygotowanym, i czysta się czuję przed Bogiem i własnym sumieniem! Byłeś kamieniem dla mnie, głazem, który mi pierś uciskał i oddech tamował — pragnienie tchu, potrzeba życia zmusiła mnie do zrzucenia z siebie tego ciężaru. Tak też się stało — a jeżeli mimowoli w czem ci dokuczylam, błagam cię o przebaczenie!

Rotmistrz: Tak, brzmi to dość prawdopodobnie — ale cóż mi to pomóc zdoła? Czyjaż więc w tem wina? Czy «związku dusz?» Dawniej łączono się z kobietą, pojmując ją za żonę, dziś zawiera się z nią spółkę przemysłową albo żyje jako z «przyjaciółką». W pierwszym wypadku oszukuje ona swego współnika, w drugim znieśławia przyjaciela. Miłość prawdziwa, jędrna, zmysłowa miłość znikła na zawsze. I co za latorośle tej miłości akcyjnej, opiewającej na imię właściciela, bez solidarnego zobowiązania! Gdzie właściciela szukać, gdy rozprzęga się spółka? Kto ma być cieleśnym rodzicem duchowego potomka?

Laura: Wątpliwości twoje, o ile dziecka dotyczą, nie mają żadnej podstawy.

Rotmistrz: To właśnie najgorsze! Gdybyż przynajmniej były uzasadnione, wówczas miałyby się przynajmniej coś pewnego, czegoby się trzymać można. Tymczasem są to widziadła, cienie, przemykające się w leśnej gęstwinie, których uchwycić niepodobna, choć zda się, że w twarz ci śmiechem parskną. Rzeczywistość, choć jeszcze tak smutna, musiałaby wywołać opór, podniecić, pobudzić do czynnego działania, a tak — myśl rozwiewa się jak dym, a mózg wysila się na różne mary. Dajcie mi co pod głowę! Okryjcie mnie, drzę z chłodu.

*(Laura zdejmując z siebie szal i okrywa go. Małgorzata przynosi poduszkę.)*

Laura: Podaj mi rękę, przyjacielu!

Rotmistrz: Rękę — którą mi kazałaś skrępować na grzbiecie. Omfalo! Omfalo! Miękki szal twój twarz mą łaskocze; ciepły on i gładki, i miękki, jak twoje ramię, wonny, jak niegdyś twoje włosy! Lauro, czy pamiętasz te czasy, kiedy młodzi błądziliśmy po lesie, zasianym liljowemi dzwoneczkami i pełnym drożdów? Jakże cudnie, jak pięknie zapowiadało się to życie, a co się z niego zrobiło!... Tyś tej zmiany sobie nie życzyła i ja jej nie pragnąłem, a jednak przyszła. Któż więc rządzi naszym życiem?

Laura: Jeden Bóg!

Rotmistrz: Więc chyba bóg, a raczej bogini niezgody! — Zdejm ze mnie to włosie.

*(Małgorzata podaje poduszkę i zdejmując szal.)*

Rotmistrz: Podaj mi mundur, przykryj mnie nim.

*(Małgorzata zdejmując mundur z wieszadła i okrywa go nim.)*

Rotmistrz: Lwia moja szata, której mnie pozbawić chciałaś — Omfalo! Omfalo! Chytra zwolenniczko pokoju, któraś wymyśliła rozbrojenie! Herkulesie, zbudź się, zanim utracisz kulawę! I ty chciałaś zabrać mi zbroję i wmówić we mnie, że to stróż tylko. Dawniej kuto go ze stali, dziś szyją krawcy. Omfalo! Omfalo! Dzika moc uległa podstępnej niemocy. Tfy! Przekleństwo na twoją głowę, szatański rodzie! *(Podnosi się, ażeby splunąć, opada jednak napowrót na kanapę.)* Twarde i zimne dałaś mi wezglowie, Małgorzato! Pójdź, usiądź tu przy mnie! Daj mi na łonie twojem złożyć skroń znękaną. Tak! — Jakże miękko i ciepło tak spoczywać! Pochyl się nade mną, niech czuję dotknięcie piersi twojej; rozkosznie i słodko jest spoczywać na łonie kobiety, matki czy kochanki, ale przede wszystkim matki!

Laura: Czy nie chciałbyś widzieć swego dziecka, Adolfie?

Rotmistrz: Mojego dziecka? Mąż przecież dziecka mieć nie może, tylko kobiecie dane jest posiadać je, a w niem przyszłość i życie, gdy nasz byt ze śmiercią skończyć się musi. Boże, któryś umiłował dziatki...

Małgorzata: Słuchajcie, modli się do Boga.

Rotmistrz: Nie, modlę się do ciebie, ażebyś mnie utuliła do snu, gdyż znużony jestem i z sił opadły. Dobranoc. Małgorzato, błogosławiona jesteś między niewiastami! (*Zrywa się i pada z okrzykiem na łono Małgorzaty.*)

*Tłum. Ignacy Suesser.*

#### Z «MINJATUR HISTORYCZNYCH»

#### Siedem lat urodzajnych (wyjętek)

...Upłynęło nowych lat wiele, a prastary Voltaire wciąż jeszcze przebywał w Ferney, które przemianował na Sans-Souci i którego był królem. Równie czynny jak dawniej, pozostał też równie próżny i zachował równie niespokojnego ducha.

Jego mały zameczek był skromną dwupiętrową budowlą, poprzedzoną przez podwórze, zdobne w okrągły kwietnik i wysadzone drzewami. Na lewo od wejścia znajdowała się niewielka kaplica z kamienia. Tablica, umieszczona nad jej drzwiami, nosiła napis: «Deo erexit Voltaire»; ściągnął on na niego szyderstwo przyjaciół literackich i nienawiść osób duchownych. Na dole w ogrodzie urządził filozof szpaler altanowy z krzewów grabiny, prowadzący do takiejże sali, w której wycięto okna, spoglądające na jezioro. Widział stamtąd Mont-Blanc, który ukazywał się w całym swym przepychu w godzinach zachodu słońca, i siny kobierzec wodny, rozścielający się daleko ku Clarens i dolinie Rodanu, gdzie nieszczęsny Rousseau tyle błędził, kochał i cierpiał.

Dzień zbliżał się ku schyłkowi; zasiadłszy w altanie, starzec grał w bezika z miejscowym proboszczem, gdy wręczono mu nadeszłe z poczty listy. Było ich wiele, lśniących okazałymi pieczęciami.

— Czy pozwolił mi, opacie, zabrać się do odczytania mej korespondencji?

— Proszę uprzejmie — odrzekł duchowny i wstał z miejsca, rozpoczynając przechadzkę wzdłuż szpaleru. Trwała niedługo, po chwili już bowiem rozległ się głos Voltaire'a:

— Opacie, zbliż się z łaski swojej; musisz posłuchać, co ci przeczytam. Opat utrzymywał stosunki z filozofem ze względu na swą gminę i stosował się do jego fantazyj i zachcianek; nie ustępował mu jednak, gdy dyskusja wkraczała na grunt wiary. Teraz zwrócił się ku niemu na wołanie.

— Musisz wysłuchać listu od Fryderyka Wielkiego, człowieka jedyne, nierównanego. Wybaczył mi; przejmuję mię to wstydem! Ostatniego wieczoru w Sans-Souci postąpiłem pod wpływem silnego rozdrażnienia okrutnie, nisko nawet, i przypomniałem mu o — kiju ojcowskim. Zaledwie jednak wybiegło mi z ust to słowo, poczułem wnet, jaka będzie jego odpowiedź. Lecz Fryderyk umiał zamilczeć. A przecież mógł być odeprzeć mój cios — kijem również, który odegrał w mej młodości tak znamioną rolę. Zachował milczenie ze względu może na mój wiek, a może też z innych powodów. (Rzecz szczególna, że kij wywarł pewien wpływ na drogi rozwojowe wielkiego Szekspira i innych wielkich ludzi.) Wybacz mi, opacie, moją garrulitas senilis — on mi przebaczył i oto co pisze:

«Drogi przyjacielu! Mijają lata; po siedmiu urodzajnych, które dzieliłeś ze mną, przyszło siedem jałowych, a z nimi siedmioletnia wojna i wszystkie jej następstwa. Przyjaciele odbiegli mnie; wielka samotność poczyna mnie ogarniać u progu starości; wraz z nią dawny krótkowidz zamienia się stopniowo w dalekowidza. Życie przedstawia mu się w perspektywie, w której najkrótsze napozór linje są najdłuższe. Wie to z doświadczenia i nie ulega żadnym złudzeniom. Z wysokości, na której stanął, spogląda chętnie na drogę przebytą, lecz może już sięgać z niej również w przyszłość.

Co czeka nas obecnie? Trudno przewidzieć. Stulecie nasze, które oglądało wszystkich monarchów na czele rewolucji, jest najciekawsze ze wszystkich. My despoci, na-

rzucający narodom oświatę i swobody obywatelskie, byliśmy istnymi demagogami, którym narody te odplacili niewdzięcznością. Wszystko działo się naopak zwyktemu ladowi rzeczy! Ja ucierpiałem za swe czyny i nauki, lecz losy Józefa II-go są wprost tragiczne. Jego wiernopoddani zamordują go wkońcu wolno, ale skutecznie.

Nie lubieś wojny; ja również, zmusiła mnie jednak do niej wola Opatrzności i troska o dobro mego państwa. Spytasz, co z niej osiągnąłem? Oto dokonałem zestawienia gruntów, jak powiedziałby jakiś mierniczy, i ze wszystkich rozpieczętych szmatów ziemi zbudowałem jedne Prusy. Możemy ślapać obecnie po własnej glebie, nie wkraczając w pola sąsiada. Nie potrzebujecie lękać się nas; obawy powinna budzić w was jedynie Rosja, której car Piotr uzyskał głos i miejsce w syndykacie mocarstw. Ganiłeś mój udział w rozbiórce Polski, zmuszony jednak byłem przystąpić do niego. W przeciwnym razie Rosja zagarnęłaby wszystko. Działalem pod naporem konieczności. Polska utraciła swe znaczenie w geograficznej ekonomji Europy; była zruuszczona, a jej rolę przejął sarmata... Śląsk był nasz, dziękujecie więc Bogu, że nie otrzymał go Szwed, jak tego żądał, przy zawieraniu pokoju westfalskiego. Zresztą, udało nam się odesłać Gotów zpowrotem do ich własnych kątów: chodzimy sami koło swych interesów...»

— No i dalej w tym sensiel! A teraz posłuchaj o Rousseau:

«Nazywasz Rousseau'a szalbierzem! Sąd to nazbyt ostry. Jeśli nawet Rousseau przywłaszczył sobie kawalek wstążki i srebrną łyżkę, to nie warto zgola mówić o tem... Podzielałam w zupełności jego umiłowanie natury i nienawiść dla rodu ludzkiego. Któregoś wieczora, patrząc na zachód słońca, mówiłem sobie w duszy: Boże, jak piękna jest twa przyroda i jak brzydzący twoi ludzie! — Miałem na myśli nas, wszystkich ludzi, nie wyłączam bowiem bynajmniej siebie ani ciebie również!... Wszak ta przeklęta rasa (*cette race maudite*) jest wprost z wieku żelaza, jak odmalował go Hezjod! I takie człowieczeństwo ma być stworzone na obraz Boga! Na podobieństwo djabła raczej!... Rousseau ma rację, wierząc w okres Saturna...»

— Ale co proboszcz myśli o tem?

— Jest to powtórzenie nauki kościoła o grzechu i raju utraconym, która zresztą spotyka się z greckim mitem o Prometeuszu, próbującym owoców z drzewa poznania i sprowadzającym przez to nieszczęścia na ludzkość.

— Nie, tego już zanadto! Więc i proboszcz stał się wolnomyślicielem! Ne sutor... Jeśliś duchownym, pozostań duchownym, a nie partol mi w moim zawodzie! I nie uważaj się za obojętanego do pochlebstwa względem mnie dla uzyskania lepszych warunków materialnych. — Ale powróćmy do Fryderyka!

«Bieg dziejów toczy się jak lawina; polepsza się gatunek, warunki życia stają się dogodniejsze, lecz ludzie nie ulegają zmianie: zawsze tak samo niewdzięczni, występni i wiarołomni; prawi i nieprawi dążą jednak do piekiel. Nie chcę wywodzić na papierze konsekwencji z tego doświadczenia; równałoby się to ponownemu krzyżowaniu Chrystusa i oswobodzeniu Barabasza... Wielcy ludzie i małe słabości, a właściwiej — wielkie słabości. My, panie filozofie, nie byliśmy aniołami, lecz Opatrzność uczyniła z nas narzędzia wielkich rzeczy. Czy jednak obojętna jest na to, nad kim rozciąga pieczę? Czy obojętna jest na to, jak żyjemy, byleśmy nieśli wysoko sztandar ducha? *Sursum corda!*»

— Co proboszcz na to mówi?

— Prawo Boskie nie może być wypełnione, mówi święty Paweł, lecz rozwija w nas poczucie winy, a istnieje dlatego tylko, by pobudzać nas ku dążeniu do łaski.

— W słowach Pawła jest dużo słuszności. Dodałbym do nich jedynie, że w więzieniu ciała wzrasta pragnienie wolności. Kto wyzwoli mnie, biednego człowieka, z tego grzesznego ciała? — Tak, opacie, *vanitas vanitatum vanitas!* Jesteś młody, lecz nie powinieś szydzić ze starego, gdy, zwracając się ku dniom minionym, plwa na wszystkie nikczemności, wśród których upłynęło mu istnienie. Gdybyż raz choć wyrósł na tej ziemi ród, który wiedziałby od początku, co warte jest życie! Może jednak nurzanie się w błocie stanowi nieodzowny warunek naszej kuracji duchowej!...

Gdy mówił tak, na ścieżce ogrodowej ukazał się szczupły czarny mężczyzna, sunący naprzód wężowatemi ruchami.

— A, ot i mój jezuita! — odezwał się Voltaire.

Starzec utrzymywał stosunki z tym jezuitą poczęści dlatego, że papież wyrugował zakon z Rzymu, poczęści ze względu, iż Fryderyk Wielki udzielił mu przytułku, głównie jednak — by mieć z kim dyskutować. Może również pragnął jednocześnie zaznaczyć swój brak uprzedzeń, nie lubił bowiem właściwie tej niesympatycznej postaci.

— Powiedz mi, synu szatana — ozwał się do gościa — co knujesz nowego? Zło czai się w twój twarzy.

— Przybywam z Genewy — odparł jezuita ze zjadliwym uśmiechem.

— I cóż się tam dzieje?

— Przypatrywałem się, jak kat palił «Emila» Rousseau'a.

— Nie mam nic przeciw temu; byłbym nawet zdania, aby wraz z dziełem rzucono do ognia i tego półgłówka.

— Ależ, panie Voltaire!

— Nie można tolerować obłąkańców! Wszystko ma swoje granice!

— Jakże?

— Określa je zdrowy rozsądek.

— No tak... Byłem dziś również świadkiem spalenia nowego wydania «Candide'a» pana Voltaire'a.

— Wstydzicie się tego! Ależ to stek hultajów ta cała Genewa!

— Hullajstwo protestanckie — za pozwoleniem!

— Nie krępuj się, proszę; żywię dla protestantów nie mniejszą nienawiść, niż dla katolików. Ten okropny Kalwin spalił wszak w Genewie swego przyjaciela Serwet'a dlatego tylko, iż Serwet nie wierzył w trójosobowość Boga... Nie krępuj się! I powiem ci, że gdyby Jan Calas z Tuluzy był katolikiem, a syn jego protestantem, tak samo zupełnie zaatakowałbym sędziów, jakkolwiek sam przez się nic nie waży. Nic zupełnie — istnieje tylko to, com napisał!

— Wzniesiemy tedy czasem pomnik dziełom pana Voltaire'a, a nie jemu samemu.

— Uwiecznienie mej postaci jest zbyt cenne; postawiłem sam sobie pomnik w stu tomach moich dzieł zbiorowych. A jak wyglądał stary osioł, to już nie znaczy nic zgoła i nie powinno nikogo obchodzić!... Moje słabości znane są wszystkim: kłamałem i kradłem, byłem niewdzięcznikiem; potrosze chłystkiem i potrosze bydlakiem! To jest kał i błoto mego żywota! To przekazuję w spadku jezuitom i mieszczuchom, zbieraczom anegdot, grzebiącym się w dokumentach. Ale ducha mego oddaję Bogu, od którego go otrzymałem. W ludziach zaś pragnąłbym wzbudzić dobrą wolę zrozumienia pana Voltaire'a.

Wstał z krzesła, gdyż słońce zaszło już było za góry.

— Dobranoc, Mont-Blanc! Masz białą, jak ja, głowę i, jak ja, kapiesz podnóża w zimnej toni!... Idę spocząć teraz, a jutro wyjeżdżam do Paryża, gdzie chcę umrzeć!

*Przekład bezim. w «Literaturze i Sztuce» (1910).*

*Poprawił Alfred Tom.*

## GUSTAV AF GEIJERSTAM

(1858—1909)

### STARA BIBLIJA

Dwaj duchowni — stary i młody — siedzieli w pracowni starszego. Z okien widać było morze, pełne blasków słonecznych, bijące o bezleśne skaliste wybrzeża. Młody duchowny był gościem starszego, przybył prosić o radę i poskarżyć się. Uczynił to, bo bardzo niedawno opuścił uniwersytet, by wejść w życie, zaś rzeczywistość, z którą się stykał, przerażała go tem bardziej, im silniej odczuwał obowiązek zabierania głosu i nakłaniania do poprawy.

Stary i młody usiedli naprzeciw siebie. Mówili o kraju i o ludziach, o ich zwyczajach złych i dobrych. Póki trwała rozmowa, słyszeli wzajemnie głosy swoje i słowa,

które każdy z nich wypowiadał. Ale gdy milkli na chwilę, w uszach ich brzmiał tylko huk morza i szum gwałtownej wichury, wstrząsającej starą plebanją. Aż zdało im się wreszcie, że obadwaj znaleźli się na dworze wśród szalejącej zawieruchy, że starają się huk wzmóc wiarą swą, by jej potęgą zmusić do milczenia moce przyrody. A każdy z nich odczuwał to zupełnie inaczej. Jeden bowiem był już stary i prawie zapominał o tem, co mówiły książki. Natomiast rozumiał dobrze głosy i wymowę tych fal, które wzbierały dokoła niego tam na morzu i tu w życiu ludzkim. Uśmiechał się, myśląc o tych czasach, gdy i on porywał się na niemożliwości. — Towarzysz jego zaś był młody, a to, co w książkach wyczytał, taką moc miało nad nim, że i w to nawet wierzyć nie chciał, by przyroda była właśnie taka, jaką swemi własnymi oczyma oglądał. Rozgoryczało go wszystko, a najbardziej ów spokój, z którym stary pastor przyjmował wybuchy jego duchownego gniewu.

Siedzieli teraz w milczeniu, pogrążeni w myślach. Młody starał się odgadnąć, jaką odpowiedź da mu stary, a stary zastanawiał się nad tem, czy mówić dalej, czy też pozostawić życiu, by nowemu duchownemu, z trudem i powoli, zrozumiała czyniło swoją naukę. Siedzieli tak z różnem zupełnie uczuciem, wsłuchani w głosy morza. W zatoce ukazała się łódź, śpiesząca do brzegu, zwinięto żagiel i wnet łódź ukryła się za skałą.

— Będziemy mieli gości — powiedział pastor. — Sądząc po łodzi, ktoś zdaleka. Zdaje mi się, że łódź z Norrösund.

Młody powstał, chciał odejść. Ale pastor powstrzymał go skinieniem.

— Sam przecież jesteś duchownym, więc chyba chętnie będziesz obecny.

Zajęli dawne miejsca nawprost siebie, przy dużem czarnem biurku. Wikarjusz poglądał ku skałom, o które biło pociemniałe morze, a pastor milczał, pogrążony w siebie. Myślał o parafjanach swoich, do których przywiązał się prawdziwie, bo ich rozumiał: nie mógł się oprzeć uczuciu, że powinien ich bronić przed wszelką napaścią i szyderstwem. Młody pastor miał bowiem w sposobie sądzenia ludzi właśnie coś takiego, co wywoływało w starym owo uczucie. A obadwaj — i stary, i młody — oczekiwali przybyśwów z tem wrażeniem, jakby odwiedziły owe łączyły się bezpośrednio z ich rozmową. Chciwie łowili uchem każdy szmer, jakby taki codzienny fakt — przybycie kogoś z za skał — miał udzielić odpowiedzi na wszystkie wypowiedziane i niewypowiedziane pytania. Westchnienie ulgi wyrwało im się z piersi, gdy usłyszeli szmer nóg w przedpokoju, a potem ciche stukanie do drzwi pracowni.

— Proszę! — powiedział stary pastor.

Za drzwiami wciąż słyhać było szelest sukien i szmer przytłumionych głosów, nikt jednak nie wchodził. Wreszcie stary pastor wstał i otworzył drzwi, młody natomiast siedział na swoim krześle i skierował przenikliwe spojrzenie na wchodzących.

Na progu ukazał się najprzód młody mężczyzna. Twarz miał śmiałą, wyrazistą i ogorzałą, z pod szerokich brwi poglądały bystre pogodne oczy, usta były pełne, brodę okrywał krótki jasny zarost. Ukłonił się i stanął tuż przy drzwiach. Na nogach miał tylko pończochy, bo wielkie nieprzemakalne buty zdjął był i ulokował przy schodach.

Wszedłszy do pokoju, rozejrzał się swobodnie, znać w nim przecież było jakby zakłopotanie. Usiłował nawet uśmiechnąć się, jednak uśmiech przepadł gdzieś w kącikach ust, a z oczu znowu patrzyła powaga. Za nim stała kobieta. Twarz jej ościanała chusteczka, zawiązana na głowie i zachodząca nisko na czoło, cała zaś postać kryła się w wielkiej, długiej chuście, którą kobieta przytrzymywała z przodu obiema rękami. Cisnęła się, jak mogła najbliżej, do mężczyzny i wcale nie podnosiła oczu.

Pastor powitał ich podaniem ręki. Poczem siadł na swoim miejscu przy biurku i skinął, by podeszli bliżej.

Nie usłuchali go przecież, zostali przy drzwiach, a kobieta kryła się wciąż za plecami mężczyzny. — I kilka razy musiał pastor powtórzyć pytanie, w jakiej sprawie przybyli, nim wreszcie usłyszał odpowiedź.

— Chodzi o to — powiedział nareszcie mężczyzna — że chcielibyśmy się pobrać.

Pastor utworzył księgę i szukał ich nazwisk.

— Zbliź się, Janie Ersson — powiedział.

Mężczyzna usłuchał.

— I ty także — zwrócił się do kobiety, stojącej wciąż przy drzwiach.

Wówczas poruszyła się i ona. Podchodząc do stołu, zsunęła chustkę z głowy, ukazując twarz młodą o czystych pięknych rysach i głębokich oczach. Skoro jednak poczuła na sobie wzrok obu obcych panów, spuściła oczy i poczerwieniała. Wiedziała przecież, że nie może ukryć swej tajemnicy i że ją postać jej zdradza. Ale i młody duchowny zaczerwienił się gwałtownie. Uczynił ruch nagły i potępiający, jakby ujrzał przed sobą coś odpychającego, i podniósł się z krzesła. Stary pastor spojrzął mu w oczy: «Siedź spokojnie — rzekł tonem rozkazującym i pełnym powagi — daj mi mówić lub milczeć, jak zechcę». Poczem zwrócił się do mężczyzny, który spoważniał bardzo i zakłopotany poglądał na stojącą przy nim kobietę, jakby chciał jej dopomóc, a nie umiał czy nie śmiał tego uczynić.

— Czy masz dość nato, by się ożenić? — zapytał go pastor.

— Mam dom, łódź i sieci — odpowiedział mężczyzna — a winien jestem bardzo mało.

— Dobrze — rzekł pastor. — Ale słuchaj, zdaje się, żeście powinni byli przyjść wcześniej. Toć teraz chrzciny wypadną wkrótce po ślubie.

Cień uśmiechu rozjaśnił surową twarz mężczyzny. Szybkim spojrzeniem ogarnął kobietę, otulającą się w swoją chustkę z taką miną, jakby właściwie ani słyszeć, ani rozumieć nie chciała. Poczem wzrok jego szczerzy i poważny zwrócił się ku pastorowi.

— Prawda, trzeba było wcześniej. Ale nie mieliśmy czasu.

— Nie mieliście czasu?

— A tak! Bo to właśnie był czas największego połowu, zaś droga bardzo daleka. — Milczał chwilę, jakby zbierając myśli. — Bo żeby nie to, byłibyśmy napewno wcześniej przyszli — dodał z powagą.

— Czy ona u ciebie mieszka? — zapytał pastor.

— U mnie — odpowiedział Ersson. — Toć trzeba mi było kogoś do pomocy przy sieciach i w domu. Matka, wiecie, nie żyje.

— A przedtem nie pomyśleliście o tem, żeby się pobrać?

— A nie.

Pastor nic już nie mówił. Wypełnił formularz, zawołał służącego swego, jako drugiego świadka, i kazał podpisać się Janowi Erssonowi oraz jego narzeczonej. Młoda kobieta wykaligrowała starannem pismem pilnej uczennicy imię i nazwisko — Anna Olsdotter — oddała głęboki ukłon pastorowi i chciała odejść. Pastor jednak zatrzymał ją i podał pióro wikarjuszowi, by ten podpisał, jako pierwszy świadek.

— Czy nie mógłby kto inny? — szepnął młody. Głęboki wstręt odbił się na jego wąskiej, gładko wygolonej twarzy.

— Podpisz! — rzekł pastor spokojnie.

Wikarjusz podpisał. Skoro jednak odłożył pióro, nie zdołał już dłużej milczeć. Zwracając się do stojącej przed nim pary, wybuchnął:

— A gdyby... gdybyście i teraz nie mieli czasu, cóż wtedy?

— A no, musielibyśmy jeszcze z miesiąc poczekać — odpowiedział mężczyzna. — Ale wtedy Anna jużby pewnie nie chciała mi towarzyszyć tutaj.

— Tak mówicie... — zakrzyknął młody, a głos jego drżał tak, że mu nagle odmówił posłuszeństwa.

— Toć musiałem ją gwałtem namawiać, żeby się ze mną wybrała — ciągnął Ersson dalej, i znów przelotny uśmiech rozjaśnił mu twarz.

— Wstydziła się stanąć tak przed panem pastorem... to zupełnie zrozumiałe.

Młody duchowny chwycił się za głowę i chciał jeszcze coś powiedzieć. Ale stary pastor nakazał mu gestem milczenie, odprawił służącego, który już był podpisał, i zwrócił się do narzeczonych:

— Słusznie uczyniłeś, Janie Ersson, zmuszając Annę, by przyszła z tobą. A teraz, w imię Boże, życzę szczęścia wam obojgu! A postarajcie się, żeby mieć po trzech tygodniach czas na ślub.

I stary pastor pożegnał się z nimi, podając rękę naprzód kobiecie, potem mężczyźnie, po ojcowsku poklepał każde po ramieniu, odprowadził oboje do progu i sam

zamknął drzwi za nimi. Poczem stanął przy oknie i patrzył, jak szli, opierając się wicherze, mężczyzna kroczył pierwszy, za nim podążała kobieta, stąpając ciężko w jego ślady. I nie powiedzieli ani słowa do siebie, walcząc wciąż z gwałtownymi porywami wichru.

Gdy już znikli za skałami, stary pastor odwrócił się i spojrzął na młodego. Ten siedział jeszcze tak samo, lokciami oparty na stole, ściskając czoło obiema rękami. Nagle podniósł głowę, ręka jego ciężko na stół opadła.

— Jak mogłeś z nimi mówić, tak jak mówiłeś! — wybuchnął. — Ani słowa o grzechu! Ani słowa o karze za ten grzech, o... — głos uwiązł mu w gardle; zamilkł nagle, zdjęty trwogą, że zapomniał się wobec starszego wiekiem.

A stary duchowny stał ciągle przy oknie, pogrążony w zadumie. Pozwolił młodemu uspokoić się. Po chwili wziął fajkę, nałożył ją, zapalił i usiadł na swem krześle przy biurku.

— Grzech! — powiedział. — A tak, grzeszniśmy wszyscy. Ale słuchaj. Znam ja niejednego z tak zwanej «inteligencji», co z zachowaniem wszelkiego decorum poślubia żonę wobec prawa; rok nie minie, a on już za innemi biega, ani się zatroszczy o żonę. Nie uczyni tego człowiek, którego tu widziałeś. Znam też kobiety, co zamąż idą poto, by z założonemi rękami żyć z pracy męża, harującego za dwoje, a raczej za wszystkich, za całą, choćby największą, rodzinę! Nie uczyni tego kobieta, która tu była. Do ostatniej chwili wytrwa w łodzi przy mężu, a gdy urodzi dziecko, nie będzie odpoczywała długo i znów z mężem na morze wyruszy. Takie to życie tych ludzi i takie będzie ono aż do śmierci. Pracować będą przez cały ciąg żywota swego i dzieci nauczać, by pracowały, jak oni. Podstawą zaś, na której życie swe budują, jest wiara, iż rozkosz miłości uświęca dziecko. Nie tykaj onej wiary! bowiem na podstawie tej, zaprawdę, wiele dobrego zbudować można!

Wikarjusz śmiał się. — Powiedział ci to kto? — zapytał szydyczko.

— Nie — odrzekł pastor. — Ludzie ci powiedziec tego nie potrafią. Ale czują to głęboko. Gdym przybył tu, i ja zrozumieć nie mogłem... Dało mi to zrozumienie życie. Przemogłem serce moje, by stało się bliskie ich sercu tak, żem każde uderzenie jego rozumiał. Przeto i ty żyj z nimi, i ty przemóż swe serce! A wtedy sądzić nie będziesz. Kto bowiem ciska kamieniem wzgardy na oną podstawę, dźwigającą taką ogromną część życia naszego ludu, ten sądzi nasz lud lichy i poniżająco. I nazbyt wiele w nim pychy, by go mógł zrozumieć.

Wikarjusz zmilczał, ale potrzęsął głową; bo zamknął się w deptaku myśli tego, co «kształcił się, studjował» i miał w sobie «pobożność», a zbyt był pyszny, by się uczyć. — A stary pastor poglądał w milczeniu na młodego. Żal mu go było, bo przypominał sobie dobrze, jak i on niegdyś surowy był dla ludzi tam, gdzie potrzebne było pobłażanie, a pobłażliwy — gdzie konieczna była surowość. Wreszcie uśmiech rozjaśnił mu twarz. Odłożył fajkę i stanął przed wielką, zakrywającą całą ścianę policą z książkami. Wyjął jeden z tomów i podał wikarjuszowi. Ten wziął i otworzył zdziwiony. Była to wielka księga, pełna obrazków, okładkę miała wyciskaną złotem, a zamykały ją szerokie brązowe klamry.

— Toż to biblja — powiedział.

— Biblja — potwierdził stary pastor. Proszę, weź ją sobie. A gdy po raz pierwszy będziesz tu dawał ślub dwojgu, którzy do świętego związku dążyli drogą, jakiej ty wymagasz, tedy na pamiątkę od siebie i ode mnie ofiaruj im tę księgę.

Młody duchowny opierał się gorąco; czuł, że dar ten jest zarazem nauką, której przecież przyjąć nie chciał. Ale gospodarz nalegał tak, że wreszcie biblję wziąć musiał. Poczem rozstali się. — Wąską ścieżyną pomiędzy skałami dążył wikarjusz do domu, ciążyła mu wielka biblja, a gwałtowny wicher utrudniał drogę.

Minęły lata. Stary duchowny legł w trumnie, młody objął po nim pastorat. Piętnaście lat miał u siebie biblję, a nigdy nie mógł ofiarować jej nowożeńcom. Aż wreszcie żenić się miał służący z plebanji, syn rybaka, ze służącą, która od najmłodszych lat była w rodzinie pastora uważana prawie za własne dziecko. Młody zaś ongi pastor już postarzał i żonaty był oddawna, ale bezdzietny. Pastor i żona jego wiedli dziwnie samotne życie wśród licznej parafji — tak bardzo obcy czuli się tam oboje.



Jednakże dla tej młodej pary pastorowa sama urządziła wesele, a pastor ofiarował im po ślubie wspaniałą bibliję ze złocistą okładką i brązowymi klamrami: bo tych dwoje znał dobrze i on, i żona jego, i wiedzieli, że mogą być ich pewni. Aliści już w trzy miesiące później pastor chrzczył pierwsze dziecko młodej pary. Odtąd nikt już nie wspominał o starej bibliji... Pastora zmogło wrażenie, że stary jego poprzednik snuje się dokoła, jak duch pokutujący... Do końca życia nie odjęto mu nazwy «ten nowy». Tak odróżniano go od poprzednika, zmarłego dawno, dawno, ale żyjącego wciąż w pamięci. «Ten nowy» zszedł do grobu, nie przebywszy owej przepaści, która go od paratjan dzieliła.

*Tłum. Marja Markowska.*

## SELMA LAGERLÖF

(ur. 1858)

### KRÓLOWA NA WYSPIE

Już skończyło się lato.

Niebo było szaro-olowiane, a powietrze wilgotne, jak zwykle ku jesieni. Ścieżką, wijącą się wśród olszyny, jechał młody król. Tu i ówdzie zaszeleściły lekko wierzchołki drzew, niektóre, zda się, schylały swe korony, składając hołd królowi. Wszędzie widniały ślady wygasającego życia. Z niebios i z gór padał mrok posepny, zewsząd wydobywała się woń przykra, wilgotna. Na ziemi leżały rozpostarte liście, napół rdzawe, a wpół zwiędłe, a pod nimi gnieździły się pająki i ślimaki. Beznadziejna szarość i mglistość rozlana była dokoła. Król, oglądając się, szepnął sam do siebie: «Zaprawdę, zebraczą muszę jeździć drogą».

Na szczęście po upływie kilkunastu minut młody król wydostał się na drogę, z której już można było ujrzeć piękną wyniosłą górę. U jej podnóża złociło się morze lśniącego piasku, po prawej stronie ciągnął się długi rząd szarawo-zielonawych sosen, a po stronie lewej, gdzie się wznosiły wzgórza, spływała głośno woda z licznych strumyków. Nieco wyżej znów stał cały szereg brzoź o białych łodygach i czerwono-brunatnych gałęziach. Bardzo wysoko rosły jodły rozłożyste, które szerokim ramieniem obejmowały górzyste wierzchołek. Król, który miał wzniesione oczy, widział jeno kłębiące się na szczytach gór chmury i lasy ciemne, dumające na pagórach.

Z trudem torował on sobie drogę wśród gęstych drzew, z których kapaty krople na jego głowę, twarz i ręce. «Gdziekolwiek zwrócę swe kroki — biadał — wszędzie spotykam łzy i rozpacz. Kiedy płynąłem po morzu, wznosiła się przede mną gęsta mgła, zakrywająca mi własne ręce. A gdym się nocą na rumaku swoim puścił w świat, księżyc się skrył i czarne chmury były mojem światłem. Gdybym się usiłował przybliżyć do gwiazd, oneby się wnet skryły przede mną. Jeno tęsknota i smutek towarzyszą mi zawsze nieodłącznie».

Zacisnął pięść i podniósł ją wgórę. Walczył z sobą samym... Zatrzymał konia i wsłuchiwał się w martwą ciszę. — «Gdybyż mi przynajmniej jakiś ptak zaświergotał!»

Lecz ptaki uciekły daleko od szarego nieba i od góry, we mgle ukrytej. Jedyne dźwięki wydawały monotennie spadające krople deszczu.

Król, zwiesiwszy nisko głowę, jechał dalej, dalej...

«Daj mi Boże — jał się modlić — oglądać rzeczy, płonące szkarłatnym olśniewającym blaskiem. Niechaj popłyną strugi rubinów i złota. Niech usłyszę słodką pieśń i radosny śmiech».

Rozglądał się dokoła... W zamyśleniu spoglądał na swoje dobra i mienie... Ból tęskny ścisnął mu serce. «Kiedyż tęsknota ma dozna ukojenia?» — szepnął zcicha.

Myśli jego stały się jeszcze posepniejsze, gdy pomyślał o królowej, z którą się dawno już był zaręczył, gdy ona była jeszcze dziecięciem. Od wczesnych już lat wychowywano młodą księżniczkę, jako przyszłą królowę, z obawy zaś, aby tej możnej pani nie porwał ktoś — zaślubił ją wcześniej młody król. Po ślubie królowa przewieziona została do wieży, zbudowanej na wyspie, i tu miała zostać aż do wieku dojrzałego. Teraz właśnie — zgodnie z zawartą umową — król miał już zaprowadzić małżonkę swą do zamku królewskiego.

«Gdybyż mi przynajmniej było dane walczyć o moją żonę, gdybym miał ją wyrwać z zaczarowanego zamku, gdzie na straży stoją potwory i olbrzymy, wówczas biegłbym z radością zdobywać mój skarb. Lecz i tego okrutny los mi odmówił!»

Tak straszny poczuł ból, że szybko się oddalił od ciągnącej za nim w milczeniu świty, aby nikt nie zauważył jego cierpienia.

Sam nie wiedząc o tem, król zajechał w te strony, gdzie na wyspie stała wzniesiona wieża, w której pod opieką dwóch starszych kobiet mieszkała królowa.

Król smutnie patrzył na wieżę, co, niby groźna burza, chmurzyła się na ponurej wyspie, patrzył na toczące się w rzece wody szerniałe, na skaliska urwiste, na pagórki, roślinności pozbawione. Wsłuchiwał się w żalosne powiewy, idące z samotni leśnej. Ogarnął go strach... W beznadziejnym smutku, zwiesiwszy głowę, król stał się bardzo blady...

«Żaden kwiatek nie wita mię uśmiechem, żadna zieleń nie wabi mego oka zbolełego — skarżył się cicho. — Ani jednej niema rośliny w tej rozpadlinie chmurnych skał. Ani jednego głosu, coby mi mówił o nadziei i o szczęściu. I pewnie ta, co w warownem znajduje się zamczysku, też jest taka straszna w swej ponurości i piersi ma płaskie, a ręce wyschłe, poźółkłe... A mnie potrzeba strugi jaśniejących pereł, potrzeba mi szmaragdów i rubinów... I ciebie, zjawo przecudna...»

Wartownik, ujrzawszy króla, zadął w róg, obwieszczając jego nadejście. Spuszczono wnet most zwodzony i rozwarto wrota.

Król wzdrygnął się cały... Dech w piersi wstrzymał... Znieruchomiał w bolesnem pochyleniu ciała. Nagle zacisnął ręce konwulsyjnie, a lica jego zapłonęły gniewem. Podniósłszy głowę wysoko, szepnął: «Czyż nie jestem królem? I gdzież ma siła mocarza!?»

Wnet wskoczył na rumaka i popędził w cwał. Jechał coraz szybciej, jakby go gonił piekielny strach. Wymachiwał rękoma, jakby odrzucał więzy... I nie zatrzymał się król nigdzie, tylko pędził w dal pustą...

A w groźnej wieży, wśród chmurnych murów, rozkwitała cicho królowa, jak przepyszny kwiat. I głos jej brzmiał, niby pieśń słowicza. Teraz, gdy czekała na przybycie małżonka, gładkie jej lica zaróżowiły się pięknie, a w jej oczach, pełnych jakiejś gwiazdnej światłości, widniała tęsknica bolesna...

*Tłum. Emilia Rabicka.*

#### Z «CESARZA PORTUGALJI»

#### E g z a m i n

... Skończył się egzamin starszych, i nauczyciel wziął się do małych, które za ledwo posiadały sztukę czytania. Zaczęto od stworzenia świata. Przedewszystkiem spytano je, kto świat stworzył, i okazało się, że wiedzą to doskonale. Ale na nieszczęście zdarzyło się, że nauczyciel spytał, czy ktoś nie zna jeszcze innego miana, jakim oznaczamy Boga. Dzieci zamilkły odrazu. Twarzyczki ich poczerwieniały, czoła pokryły się fałdami, widać było wysilek myśli tych małych główek, ale żadne nie mogło znaleźć odpowiedzi na tak niemądre pytanie...

«Jest pewna modlitwa, którą odmawiamy codziennie» — pomagał nauczyciel — «jakże w niej zwiemy Boga?»

Klara Gulla doznała olśnienia. Zrozumiała, że nauczyciel chce, by powiedziano, iż Boga zwiemy także ojcem, i podniosła w górę palce.

«Powiedz tedy, Klarcu, jak zwiemy jeszcze Boga» — rzekł nauczyciel. — Zaczzerwieniła się mocno, wstała w ławce, a spleciony sztywno warkoczyk wyprostował się z tyłu głowy, niby ogonek.

«Boga nazywamy także Janem!» — powiedziała donośnie i wyraźnie.

Śmiech rozległ się w całej szkole. Wysocy dostojnicy, radni szkolni i rodzice uśmiechnęli się także, a nauczyciel miał minę wzruszoną. — Klara Gulla sponsowała, a łzy napłynęły jej do oczu. Ale nauczyciel stuknął mocno w podłogę kijem, służącym do pokazywania na mapie, i zawołał: «Cicho!». A potem wyrzekł kilka słów wyjaśnienia:

«Klara Gulla chciała powiedzieć: ojcem! Powiedziała zamiast tego: Janem, bo ojciec jej ma na imię Jan. Ale nie powinniśmy się tak bardzo dziwować odpowiedzi małej dziewczynki, bo doprawdy nie wiem, czy jest w całej szkole dziecko, któreby miało tak dobrego ojca, jak ona. Widziałem nieraz, jak czekał na nią przed szkołą w zawiei i deszczu i jak ją niósł do szkoły na ręku, kiedy śnieg zawał wszystkie ścieżki. Dlatego to nic dziwnego, że mówi: Jan, gdy chce wyrazić to, co jest najlepsze i najwyższe z pośród wszystkiego, co zna.

Pogładził dziewczynkę czule po włosach, a wszyscy uśmiechali się życzliwie i byli mocno wzruszeni.

Klara Gulla siedziała na swoim miejscu, nie wiedząc, co począć, ale Jan ze Skrołyki czuł się szczęśliwy, jak król, bo stało mu się jasne, że mała dziewczynka w pierwszej ławce na prawo -- to jego własne, naprawdę własne dziecko.

### Storsnipa

Jan ze Skrołyki szedł tą samą drożyną leśną, którą przed kilku zaledwie godzinami wracał z kościoła wesoly i szczęśliwy wraz z Katarzyną i Klarą.

Długo się naradzał z żoną i nakoniec postanowili zaczekać z wysłaniem córki do miasta oraz nie czynić żadnych innych kroków. Przedewszystkiem musiał się Jan udać do posła parlamentarnego Karola Karlsona w Storwiku i spytać go, czy Lars Gunnarson jest w prawie zabrać im grunt i dom. W całym obwodzie swartsjoeńskim nikt tak dobrze nie znał się na prawie i różnych rozporządzeniach, jak poseł do parlamentu ze Storwiku. Kto był o tyle mądry, że zasięgnął jego porady w sprawie podziału, spadku, sprzedaży, inwentaryzacji, aukcji czy spisania testamentu, mógł być pewny, że wszystko będzie załatwione wedle prawa i sprawiedliwie i że nie będzie później pola do żadnych procesów i zatargów. Ale poseł był to człowiek surowy, nieublagany, opryskliwy i z wyglądu onieśmielający. Głos jego był lak twardy, że Jan drżał na samą myśl, iż ma stanąć przed nim...

Jan ruszył z domu bardzo pośpiesznie, to też nie miał czasu zastanowić się nad tem, że ma stanąć do oczu przeraźliwemu posłowi. Teraz dopiero, idąc przez lasy askadalarneńskie ku szczytom gór, doznawał takiego strachu, że drżał i wyrzucał sobie głupotę swoją. Powinien był zabrać Klarę Gullę.

Wychodząc z domu, nie widział nigdzie dziewczyny. Pewnie pobiegła gdzieś do lasu, siadła na samotnem miejscu i płacze, by ulżyć smutkowi, jaki ją przejmuje. Zawsze kryła się w podobnych chwilach, nie chcąc nikogo widzieć na oczy.

Kiedy miał skręcić w wysokopienny bór, posłyszał od prawej strony, wysoko ponad sobą, jakiś śpiew i pohukiwanie radosne. Przystanął i nadstawił ucha. Na górze śpiewała jakaś kobieta. Ale dziwne! Głos ten wydał mu się znany... dobrze znany... A przecież nie mogło to być, w żaden sposób!

Postanowił, zanim pójdzie dalej, dowiedzieć się, co to znaczy. Śpiew dolatywał wyraźny, dźwięczny, radosny, ale drzewa nie pozwalały zobaczyć śpiewaczki. Jan zбочzył z drogi i zaczął się przedzierać przez gęstwą poszycia lasu, by jej przeciąć drogę. Znajdowała się dalej, niż mniemał, przeto śpieszył naprzód rażno coraz to dalej, mając ją ciągle przed sobą. Szła ciągle w górę i czasem wydawało się Janowi, że znajduje się wprost ponad nim. Po pewnym czasie nie miał żadnej wątpliwości -- śpiewaczka szła prosto na szczyt Storsnipy. Szła niemal prostopadłą percią po skałach, najtrudniejszą ze wszystkich dróg, ocienioną gęsto brzozami i wijącą się zygzakiem. Dlatego nie mógł jej dojrzeć. Ale, mimo bardzo trudnej drogi, szła szybko, jakby niesiona na skrzydłach, i przez cały czas nie przestawała śpiewać. Jan chciał jej znowu zejść ukosem, ale przez zbyt ni rozmach zbił się ze ścieżki, wszedł w gęstwinę i został znowu wtyle. Poza wszystkim, w miarę jak słuchał śpiewu, kładł mu się coraz to straszniejszy ciężar na piersi, tak że oddychał z trudnością i często musiał przystawać.

Kroczył teraz całkiem powoli, włókł się ledwo noga za nogą. Nielatwa to rzecz rozpoznać głos, a w lesie sprawa jest jeszcze o wiele trudniejsza, gdyż wszystko niemal szemrze tam, gwarzy i śpiewa do wtóru. -- Zaszedłszy już tak daleko, powiedział

sobie, że musi zobaczyć tę dziewczynę, która w wielkim rozradowaniu płynie niejako po tantem stromem zboczu góry — gdyż inaczej wątpliwości i pytania trapiłyby go do samego końca życia. Wiedział też na pewno, że się przekonać musi, gdy dojdzie do szczytu, ten bowiem był zupełnie łysy, pusty i nic nie mogło mu tam zasłonić widoku. Dawniej szczyt Storsnipy był porośły gęstym lasem, ale przed dwudziestu kilku laty szalał tam straszliwy ogień, i od tego czasu świecił sam wirch góry szeroką łysiną, widną zdaleka. Dotarły tam wrzosa, krzaki borówczane i jałowce, pokrywając zwolna skały, ale dotąd nie stało ani jedno wyższe drzewo, mogące kryć widok. Od pożaru lasu otworzyła się stamtąd przepiękna panorama. Widać było wszystkie roztoki, położystą dolinę z jeziorem pośrodku i strome góry, stojące wokół na straży. Młodzież askadalarneńska, dostawszy się z ciasnej doliny na ten szczyt, nie mogła się mimowoli oprzeć przypomnieniu owej góry, z której wierzchołka kusiciel ukazał Chrystusowi Panu cuda świata, by go niemi oczarować.

Wyszedłszy z lasu na wolną przestrzeń, zobaczył Jan tuż przed sobą śpiewaczkę. Na najwyższej grani skalnej, tam, skąd roztaczał się najpiękniejszy widok, zbudowano z kamieni rodzaj estrady — a na ostatnim jej bloku stała Klara Fina Gulleborga w swej czerwonej sukience. Jasno odcinała się jej sylwetka od pobladłego firmamentu, a gdyby ktoś spojrział z roztek i lasów wgórę, musiałby ją niewątpliwie zobaczyć.

Patrzyła na krajobraz, ścielący się milami wokół. Widziała nad brzegiem jeziora białe kościoły na wzgórzach, huty o wysokich kominach, dworce pańskie, zapadłe w ogrody i parki, dworki chłopskie, zagrody i obejścia wzdłuż lasów, długie pasma łąnów i pól uprawnych, wijące się drogi i znowu lasy bez końca i kresu.

Zrazu śpiewała jeszcze, potem umilkła i zatopiła się zupełnie w kontemplacji szerokiego świata, leżącego przed nią, niby otwarty atlas.

Nakoniec wyciągnęła oba ramiona, i zdawało się, że chce wszystko to, co było wokół, objąć uściskiem, że chce przytulić do piersi cały ten wielki, potężny, uroczy świat, z którego wyłączona była do tej pory.

Późną dopiero nocą wrócił Jan do domu, a gdy się tu znalazł, nie mógł sobie jakoś nic dobrze przypomnieć. Twierdził, że był u Karola Karlsona i że z nim rozmawiał, ale nie pamiętał ani słowa z tego, co mu poseł powiedział.

«Niema celu czynić żadnych kroków!» — powtarzał raz po raz. I to była jedyna wiadomość, jaką Katarzyna zdołała zeń wydobyć.

Stał pochylony, i śmiertelne znużenie malowało się na jego twarzy, a kaftan nosił ślady zetknięcia z mchem i ziemią.

Katarzyna spytała, czy upadł i potłukł się.

Odpowiedział, że nie, tylko położył się na chwilę na ziemi, by spocząć.

Spytała, czy się czuje chory?

«Nie, nie» — powiedział. — «Tylko zdaje mi się, że coś przestało iść... coś stało... i już nie tętni!»

Ale nie chciał powiedzieć, co stało w chwili, gdy się przekonał, że córka jego chce iść w świat szeroki dla ratowania ojcowizny — nie z miłości do rodziców, ale dlatego, że tęskni do onego wielkiego, szerokiego świata.

*Tłum. Franciszek Mirandola.*

## VERNER VON HEIDENSTAM

(ur. 1859)

### Z «KAROLIŃCZYKÓW»

#### Gunnela klucznica

W jednej ze sklepionych izb warownej Rygi osmdziesięcioletnia Gunnela, klucznica, przędła na kołowrotku. Jej długie żylaste ręce nie ustawały ani na chwilę w pracy, chuda zapadła pierś podnosiła się i opadała z regularnością zegarowego wahadła, a z pod chustki, wkoło na głowie zawiązanej, spadały na czoło kosmyki rzadkich siwych włosów. Nieopodal niej nieduży chłopak, trębacz pułkowy, wyciągnięty na ceglanej podłodze, wygrzewał się przed kominem.

«Babciu — rzekł — czemu nigdy nie zaśpiewasz przy kołowrotku? Ciągłe tylko zrzędzisz i gniewasz się».

Spoglądała na niego przez chwilę swoim zmęczonym, złośliwie-zimnym wzrokiem.

«Śpiewać? Może o twojej matce, porwanej przez Moskali? Może o twoim ojcu, którego oni powiesili w kominie browaru? Przeklinam noc, w której się urodziłam, przeklinam siebie i każdego napotykanego człowieka. Wymień mi choć jednego, któryby nie był lotrem».

«Jeżeli zaśpiewasz, babciu, będzie ci weselej, a ja takbym chciał widzieć cię dziś wesołą».

«Każdy, kto żartuje i śmieje się, jest tylko mistrzem w sztuce udawania. Wszędzie tylko nędzota i bezwstyd, i za nasze to grzechy, za naszą podłość Sasi oblegają teraz miasto. Słyszysz huk dział? Niech sobie strzelają do kroćset tysięcy! A ty czemu nie jesteś na wałach, jak zwykle, tylko wylegujesz się tu?»

«Babciu, czy nie powiesz mi jednego dobrego słowa, zanim pójdę?»

«Dałabym ja ci, gdybym nie była tak niedołęzna, że nie mogę podnieść głowy ku niebu! Chcesz może, żebym ci wróżyła? Niedarmo zowią mnie Sybillą! Powiem ci więc, że ten ukośny fałd nad brwiami twojem! oznacza wczesną śmierć. Czytam w dalekiej przyszłości, lecz im dalej sięgam wzrokiem, tem więcej widzę złości i łajdactwa. Tyś gorszy ode mnie, ja gorsza od mojej matki, wszystko, co się rodzi, jest gorsze od tego, co było».

Chłopak podniósł się z podłogi i poprawił na kominie głownie.

«Powiem ci, babciu, dlaczego przesiedziałem dziś u ciebie tak długo i czemu prosiłem cię o jedno serdeczne słowo. Stary komendant wydał rozkaz, aby wszystkie kobiety, stare i młode, zdrowe i zgrzybiałe, w ciągu dwudziestu czterech godzin wyniosły się z miasta, by starczyło żywności dla mężczyzn. Opornym grozi kara śmierci».

Stara zaśmiała się, a kołowrotek zawarczał w jeszcze szybszym tempie.

«Ha! ha! Spodziewałam się tego, ja, co tak długo miałam na pieczy pańską spóźnioną i pilnie strzegłam jego dobra. A ty, Jasiu! Żal ci, że teraz nie będziesz miał przyrządzonej strawy i posłanego tapczanu? Naturalnie, jakież inne uczucie może żywić dziecko? Błogostawiony niech będzie Bóg, który nareszcie zaczyna nas wszystkich smagać biczem swego gniewu!»

Jaś złapał się za kędzierzawą jasną głowę.

«Babciu, babciu!»

«Ruszaj, powiadam ci, i daj mi w spokoju praść, aż wyjdę stąd sama i raz zakończę z tem życiem».

Chłopak chciał rzucić się ku niej, lecz zawrócił i wyszedł z izby. — Kołowrotek wciąż warczał, aż dopaliło się na kominie. Nazajutrz rano, kiedy Jaś-trębacz powrócił, izba była pusta.

Oblężenie było długie i uporczywe. Wśród śnieżycy zimowego dnia po odprawionem nabożeństwie wyruszyły wszystkie kobiety z miasta. Słabe i chore umieszczono na wozach. W Rydze pozostali tylko mężczyźni, którzy nie mogli dopomóc w niczem niebezpiecznym kobietom, skradającym się czasami pod okopy. Im samym brakowało chleba. W stajniach wygłodniałe konie rwały zębami żłoby i wygryzały dziury w belkach.

A jednak Jaś-trębacz, powracając wieczorami do kazamaty, która jemu i jego babce służyła za mieszkanie, zastawał zawsze posłany tapczan, a obok na stolku miseczkę nędznej strawy. Nie mówił nikomu o tej niewidzialnej opiece, która przejmowała go zabobonnym strachem. Był przekonany, że babka zginęła w zaspach śnieżnych, a teraz pokutowała za swą dawniejszą nieugiętość i, drżąc z przerażenia, wolał niejedną noc przepędzić o chłodzie i głodzie na wałach, niż w tej izbie, nawiedzanej przez pokutującego ducha. Wkrótce atoli, pokrzepiony modlitwą, przyzwyczaił się do niewytłumaczonego zjawiska, aż w końcu dziwił się, jeżeli czasem tapczan był nieposłany, a na stolku brakowało miski. Wtenczas siadał do kołowrotka i puszczał powoli kółko w ruch, wsłuchując się w dobrze znany warkot, który słyszał codziennie od swego przyjaciela na świat.

Pewnego poranku komendant twierdzy, sławny siedemdziesięcioletni Erik Dahlberg, usłyszał silną kanonadę. Zły i zniecierpliwiony podniósł się z za stołu, po-

krytego planami i woskowemi modelami różnych budowli. Na ścianach komnaty wisiały przepyszne miedzioryty pomników Rzymu — pamiątki młodego wieku, jasne wspomnienia wycieczek w krainę piękną. Dziś jednak pogodną niegdyś twarz sędziego wodza wykrzywiły ciężkie doświadczenia życiowe. Wokoło cienkich, zaciśniętych, prawie białych ust osiadł rys nieubłaganej surowości. Poprawił sobie na głowie wielką perukę i drżącymi palcami przyglądał wąsy, a wyszedłszy na schody, uderzał mocno laską o podłogę i wzdychał:

«Ach, my Szwedzi, krewni królów Wazów, którzy na swoje stare lata umieli tylko kląć i oskarżać innych, a wkońcu lękali się ciemności we własnych komnatkach — nam w duszę rzucono czarne ziarno, z którego po latach wyrasta szeroko rozgałęzione drzewo, pełne gorzkich jak żółt orzeszków galasowych!»

Im dalej szedł, tem stawał się surowszy i bardziej rozgoryczony, a gdy wkońcu był już na wałach twierdzy, nie przemówił do nikogo ani słowa.

Kilka bataljonów z rozwiniętymi chorągwiami stało tu w szyku bojowym, ale tymczasem odgłos strzałów ucichł, a w bramie ukazały się pomęczone, obryzane krwią oddziały, które przed chwilą odparły nieprzyjaciela. Na samym ostatku, dobywając resztek sił, włókł się małego wzrostu starzec, który, pomimo rany w piersi od pałasza, dźwigał na rękę ciało zabitego chłopca.

Erik Dahlberg rzucił na niego okiem. Czy poległy nie jest czasami trębaczem, chłopcem z twierdzy? Poznał go po kędzierzawej jasnej głowie.

Kiedy pod sklepieniem bramy śmiertelnie znudzony starzec opadł na kamienną ławę, nie wypuszczając z rąk trupa, jeden z żołnierzy, chcąc opatrzeć ranę, pochylił się nad nim i rozerwał na piersiach skrwawioną koszulę.

«Co!» — zawołał, cofając się. — «To kobieta!»

Na to nadbiegli inni, przyglądając się twarzy konającej. Głowa jej opadła nabok, skórzana czapka zsunęła się, a z pod niej ukazały się kosmyki białych włosów.

«To Gunnela, klucznica!»

Oddychała ciężko, starając się otworzyć gasnące już oczy.

«Nie chciałam zostawić malca samego na tym niegodziwym świecie; ponieważ jednak w męskim przebraniu razem z innymi dniami i nocą pełniłam służbę na wałach, sądziłam, że mam prawo do chleba, przeznaczonego dla mężczyzn».

Żołnierze i oficerowie spoglądali na Dahlberga, którego rozkazu nie usłuchała kobieta. Stał milczący i niewzruszony, tylko laska drżała mu w rękę, kiedy uderzał nią w bruk.

Nareszcie obrócił się do wyciągniętych w linję bataljonów i cienkie jego usta poruszyły się.

«Pochylić sztandary!» — zakomenderował zcicha.

*Tłum. F. Szukiewicz.*

#### U KRESU DROGI

Dopiero kiedy w trudzie wdrzesz się na szczyty  
I o zmroku świat ujrzysz, dotąd w mgły spowity,  
Osiągniesz wielkich mędrców wiedzę upragnioną.  
Tam zatrzymaj swe kroki i rzuć okiem w stronę,  
Gdzie kres długiej twej drogi woddali się znaczył  
Wszystko jasne ci będzie, o, królu-tułaczu,  
I młodości swej ujrzysz raz jeszcze ogrody,  
Tak słoneczne, jak rośnym rankiem, gdyś był młody!

#### ZA TYSIĄC LAT

Drganie wielkich przestrzeni. Widzę w mem marzeniu  
Ogród. Światła migocą w drzew wysokich cieniu.  
Kim byłem? I dlaczego lkałem tak boleśnie?  
Wszystko już zapomniane. Razem z pieśnią burzy  
Kłębią się światy, gasną, znikają jak we śnie...

## MRUGANIE GWIAZD

Czekaj. Oto zaślubin godzina już bliska,  
 Ponad nami pył gwiazdny, mrugając, rozbłyska,  
 I zbierać można z nieba czary kryształowej  
 Te gwiazdy, by kochanków postroić w nie głowy.  
 Czas spoczął. I pod jego chronią się opiekę  
 Ci, co przyszli lub idą w przestrzenie dalekie. —  
 Dzieci Nocy! Wnet Życie otworzy nam wrota,  
 A w górze gwiazd wciąż czuwa nieskończoność złota!

*Tłum. Zuzanna Rabska.*

## ERIK AXEL KARLFELDT

(1864—1931)

## Z «PIEŚNI O PUSZCZY I MIŁOŚCI»

Gdy czasem w wierszach moich zadrzy burzy echo,  
 Kiedy strumień zaszemrze, który z gór się toczy,  
 Gdy dzwonią skowronki, krążąc ponad strzechą,  
 A z wiosną bujna łąka swą zielenią roztoczy,  
 I drzewa westchną w lesie, gdzie czają się cienie —  
 To wszystko wasze pieśni od wieków przenika  
 I płynie, z pokolenia dążąc w pokolenie,  
 Z zgrzytem siekier, z saniami, za pługiem rolnika...

## GŁOSEM JESTEM ŚPIEWAKA

Głosem jestem śpiewaka wśród pustych przestworzy,  
 Gdzie ginie każde echo i nikt mnie nie słyszy,  
 Błędnym ogniem nad wodą, pośród leśnej ciszy,  
 Ogniem, zgaszonym w mroku, gdzie ujrzał świat Boży.  
 Jestem jak liść jesieni, zeschnięty i blady,  
 Życiem mojem miotają wichry szalejące.  
 Czy mam spocząć na szczytach, czy w dołach na łące,  
 Nie dbam o to. Nic nie wiem. Niema na to rady!

## OCZY TWE TO PŁOMIENIE

Oczy twe to płomienie — tak jak żywica płonę,  
 Odwróć się, nim jak węgle zapalę się czerwone;  
 Jestem skrzcypcami — wszystkie melodje w sobie mieszczę,  
 Możesz grać mi rozkazać, co tylko sama zechcesz.

Odwróć się, zwróć się do mnie! Niech stygnę, mrę wśród płomieni,  
 Tęsknię, pragnę — mieszkańcem wiosny jam i jesieni,  
 Struny me naciągnięte — ostatnia pieśń niech wzłata  
 I wszystkie mej miłości szalone śpiewa lata!

Zwróć się do mnie, ach, odwróć! W jesienną płońmy ciszę,  
 Chorągiew z krwi i złota szal burzy niech kołysze,  
 Aż wróci spokój — wtedy ujrzę, jak nikną w cieniu  
 Kroki twe, ty ostatni młodości mej promieniu!

*Tłum. Zuzanna Rabska.*

*Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.*

LUDVIG HOLBERG

(1684—1754)

## Z «KONWISARZA POLITYKA»

(Herman, z profesji konwisarz, ulega modzie politykomanji, co nastęrcza złośliwym sposobność do mistyfikacji: kilku mieszczan przybywa do niego w roli rajców i oznajmia mu, że został wybrany na burmistrza. Herman niebawem się przekonywa, że stanowisko burmistrza ma swoje przykre strony; stają np. przed nim dwaj adwokaci.)

Pierwszy adwokat: Nasi klienci są sąsiadami, a ich posiadłości rozgranicza płynąca woda. Otóż przed trzema laty tak się zdarzyło, że owa woda zabrała spory szmat gruntu mojemu klientowi i przyłączyła go do posiadłości przeciwnika. Maż on go zatrzymać? Gdzież więc zasada: *Nemo alterius damno debet locupletari*? A tu właśnie jego klient chce się z bogacić kosztem mojego klienta, co *aperte* sprzeciwia się *aequitati naturalis*; czyż nie tak, panie burmistrzu?

Herman: Tak, jest to niesprawiedliwość, której nikt nie może żądać. Masz słusność, monsieur.

Drugi adwokat: Jednakże Justynjan powiada wyraźnie — *libro secundo Institutionum, titulo primo, de alluvione*...

Herman: A cóż tam do kata może mnie obchodzić, co mówi Justynjan albo Aleksander Wielki? Żyli oni może na parę tysięcy lat przed założeniem Hamburga, jakże więc mogli wyrokować o rzeczach, które za ich czasów nie istniały?

Drugi adwokat: Miałżebym przypuszczać, że Wasza Miłość odrzuca prawa, które całe Niemcy uznają?

Herman: Nie, ja tak nie myślałem, pan mnie źle zrozumiał; chciałem tylko powiedzieć... (*kaszle*). Ale bądź pan łaskaw ciągnąć dalej swoją sprawę.

Drugi adwokat: Justynjan pisze wyraźnie: *Quod per alluvionem agro tuo flumen adjecit, jure gentium tibi adquiretur*.

Herman: Panie adwokacie, mówisz nieznośnie prędko; powiedz mi to wyraźniej. (*Drugi adwokat powtarza to samo powoli.*)

Herman: Ech! mój panie, masz w łacinie jakąś piekielnie złą wymowę; zwróć się do swego języka ojczystego, to ci będzie łatwiej. Mówię to nie dlatego, żebym miał zostawać w nieporozumieniu z łaciną; rozmawiam w niej niekiedy całymi godzinami ze swym służącym...

Drugi adwokat: Justynjan, wielmożny panie burmistrzu, powiada temi słowy: Co rzeka oderwała od czyjego pola i przyłączyła do twojego, to należy do ciebie.

Herman: Tak, w tem ma rację. Był to dzielny maż i zbyt wiele mam dla niego poważania, iżbym chciał jego zdanie obalać.

Pierwszy adwokat: Ale, panie burmistrzu, mój przeciwnik czyta prawo, jak djabeł biblję; zapomina on, że zaraz potem następuje: *per alluvionem autem videtur id adjici, quod ita paulatim adjicitur, ut intelligi non possit, quantum quoque temporis momento adjicitur*.

Herman: Messieurs, wybaczcie, ale śpieszę do ratusza, bo zaraz bije wpół do piątej...



Pierwszy adwokat: Ach! panie burmistrzu, proszę nam powiedzieć swoje zdanie przynajmniej w jednym słowie.

Herman: Messieurs, obadwaj macie słuszość, każdy na swój sposób.

Drugi adwokat: Ależ jak to być może, abyśmy obadwaj mieli słuszość? Sądziłbym, że jeżeli ja mam słuszość, to mój przeciwnik jej nie ma. Orzeczenie Justynjana przemawia stanowczo za mną.

Herman: Proszę wybaczyć, muszę biec do ratusza.

Pierwszy adwokat (*zatrzymując Hermana*): Dowiodłem przecież, że orzeczenie Justynjana jest za mną.

Herman: Tak jest, w istocie, Justynjan przemawia za panem i za panem także; czemuż więc, u djabła, nie porozumiecie się w tej sprawie? Znam Justynjana lepiej od was; jeżeli nosi on płaszcz na obu ramionach, to znaczy tyle, jakgdyby chciał powiedzieć: Wynoście się, hultaje, na złamanie karku i załagodźcie sprawę.

Drugi adwokat: Panie burmistrzu, ażeby myśl prawodawcy dokładnie zrozumieć, trzeba jeden artykuł porównać z drugim; czyż w następnym paragrafie nie jest powiedziane: *Quod si vis fluminis de tuo praedio*.

Herman: Ech! dajcież mi pokój, panowie kauzyperdy! Słyszycie przecież, że muszę do ratusza.

Pierwszy adwokat: Chwileczkę, panie burmistrzu! Proszę tylko wysłuchać, co mówi Hugo Grotius.

Herman: Niech was obu szatan porwie razem z waszym Hugonem Grotiusem. Cóż mnie obchodzi Hugo Grotius? To był Arminjanin<sup>1</sup>, a cóż nam do praw, które tworzy ktoś, djabeł wie gdzie, w Armenji?

*Tłum. Edward Grabowski.*

## JOHANNES EWALD

(1743—1781)

### KRÓL CHRISTIAN

Gdzie maszt się pnie, król Christian stał  
Wśród walki znoju  
I siekł swą szpadą w wrogów wał,  
Na czaszki Gotów razy siał;  
Więc wrogów rój, choć dzielnie stał,  
Padł w walki znoju!  
«Uciekać! — krzykną. — Kto z was chce  
Z Christianem duńskim zmierzyć się  
W tym boju?»

Niels Juel szturm przenika wlot:  
«Uderzyć pora!»  
Wieje chorągiew — on, jak młot,  
Spadł — i uderzeń słyhać grzmot,  
Aż wróg zdeptany krzyczy wlot:  
«Uciekać pora!»  
Uciekać, choć do piekieł bram!  
Walczyć, gdy Juel przeciw nam,  
Nie pora!»

O, morze me! Dziedzinę twą  
W błyskawic biegu  
Tordenskjold pruł. Ze strachu mrą  
Twe wrog! Ty nasiąkasz krwią!  
By piorun, mąci głębie twą  
W błyskawic biegu!  
Jak chmura, tak on z Danji gnał.  
Gdzie mąż, coby się ostać śmiał  
W szeregu!

Dla sławy Danji perłą mórz  
Północne morze.  
Do snu wiecznego głowę złóż  
Tego, co z trudów drwił i burz,  
Hardy, jak ty, o perło mórz,  
Północne morze.  
I mnie ściel grób za trud, za bój,  
Za śpiew, za grę, za życia znój,  
O, morze!

*Tłum. Wł. Trąmpczyński.*

<sup>1</sup> Arminjanie — sekta kalwińska, prześladowana w Holandji; Herman miesza jej nazwę z nazwą kraju Armenji.

## ADAM OEHLENSCHLÄGER

(1779—1850)

## Z «OLAFI SAMOZWAŃCA»

## Ragnilda

Tak, stać się musi! Dobędą spełnienia  
 Mnogich niespanych nocy mych marzenia,  
 Gdy przed mej chaty rozwartemi wroty  
 Gwiazd tajemnicze śledziłam obroty.  
 Gdy zórz północnych blaski, niby rój  
 Widm, dziki taniec zawodziły swój,  
 To jako miotły rozczochrane, krwiste,  
 To jako mieczów głównie płomieniste.

Wśród wycia wichrów głos duchów brzmiał mi:  
 Do dzieła! pomścij znieważonej czci  
 Dawnych rycerzy!... Nie daj tym zuchwałym,  
 We srebrnych blachach, karłom zniewieściałym  
 Zatrzeć i pogrześć w niepamięci mocnych  
 Postaci dawnych mocarzy północnych.  
 Zdeptaj próżności południowy kwiat!  
 Na skałach naszych nie dla niego świat!...

Precz z rycerzami na toczonych koniach!...  
 W łodzi, na burzę rozhlukanych toniach  
 Jaśnieć mężowil!... Precz włócznie, rapiery!  
 Dość bohaterskiej — trzaskać łby — siekiery!...  
 Precz jedwab, szkarłat, drogie złotogłowy!...  
 Dość zgrzebna szata i pancerz stalowy!...

Groźny, jak niegdyś z stromego urwiska  
 Skał, dotąd strasznym młotem swym Thor błyska...  
 Tak, w gnuśnym grobie nie zaginać nam!  
 Z gruzów nowego zmartwychwstanie chram  
 Czci dawnej!... Dłonią niewiasty zuchwałą  
 Co legło — wznieść znów niewieście zostało.

*Tłum. Roman Zmorski.*

## MELANCHOLJA

Znam ja dziewicę na północnej ziemi:  
 Czoło jej blade, słodycz płynie z twarzy;  
 Wieczór rozmawiać lubi z umarłymi,  
 Buja nad borem, na wybrzeżu marzy.

Nawet, gdy wiosna nadziei się śmieje,  
 Marząco idzie z głową pochyloną;  
 Lecz tak pięknoscą i wdziękiem jaśnieje,  
 Że za nią idziesz, jak za narzeczoną.

I wszędzie biegłem za blaskiem jej czoła,  
 Czy w głębi borów, czy na brzegu fali;  
 Dotąd co chwila do siebie mnie woła —  
 W zamęcie świata lub od niego wdali.

Strzeż się jej, jeśli chcesz mieć spokój duszy,  
 Bo tą dziewicą jest melancholija;  
 Jej wzrok marzący kogóż nie poruszy?  
 Uścisk miłosny czyż zwalczy moc czyja?

*Tłum. Stanisław Budziński.**Poprawił Alfred Tom.*

## HANS CHRISTIAN ANDERSEN

(1805—1875)

## KSIĘŻNICZKA NA GROCHU

Był sobie pewnego razu książę, który chciał się ożenić z księżniczką; chodziło tylko o to, żeby to była prawdziwa księżniczka. Objechał więc świat cały, aby taką właśnie znaleźć, ale zawsze coś temu stało na przeszkodzie. Księżniczek wprawdzie

było dość, ale czy to były prawdziwe księżniczki, tego w żaden sposób nie mógł stwierdzić. Zawsze znalazło się coś, co nie było w porządku. Wkońcu powrócił do domu bardzo zmartwiony, bo tak gorąco pragnął mieć prawdziwą księżniczkę.

Pewnego wieczoru zerwała się straszna burza; błyskało i grzmiało, deszcz lał jak z cebra, słowem — czas był okropny! Wtem ktoś zapukał do bramy miasta, i stary król sam poszedł otworzyć.

Była to księżniczka — stała właśnie przed bramą. Ale, o Boże! jakżeż ona wyglądała na tym deszczu i niepogodzie. Woda spływała z jej włosów i z sukni; ściekała aż do nosków jej pantofli i wyciekała znów koło pięt. A przecież oświadczyła ona, że jest prawdziwą księżniczką.

«No, no, to się wkrótce okaże!» pomyślała stara królowa. Nie rzekła jednak nic, tylko poszła do sypialni, zdjęła wszystką pościel i położyła ziarnko grochu na spodzie łóżka, następnie wzięła dwadzieścia materaców i ułożyła je na grochu, a potem na materacach jeszcze dwadzieścia pierzyn edredonowych.

Na takim więc posłaniu miała księżniczka leżeć całą noc. Nazajutrz rano zapytano ją, jak jej się spało.

«O, strasznie źle!» rzekła księżniczka. «Przez całą prawie noc nie mogłam zmrzyć oka, i Bóg raczy wiedzieć, co tam było w moim łóżku! Leżałam na czemś tak twardem, że całe ciało mam poznaczone sińcami! To coś okropnego!»

Tak oto przekonano się, że to była prawdziwa księżniczka, skoro przez dwadzieścia materaców i dwadzieścia pierzyn edredonowych jednak groch poczuła. Tak wrażliwa mogła być tylko prawdziwa księżniczka.

To też pojął ją książę za żonę, bo teraz wiedział, że posiada prawdziwą księżniczkę; a ziarnko grochu posłano na wystawę, gdzie jeszcze do dziś dnia można je oglądać, jeśli go nikt stamtąd nie wykradł.

Widzisz, to jest prawdziwa historia.

*Tłum. Alfred Tom.*

#### Z «KSIĄŻKI Z OBRAZKAMI BEZ OBRAZKÓW»

To rzeczywiście dziwne! Wtedy, gdy czuję najgoręcej i najgłębiej, mam wrażenie, że ręce i język są jakby spętane i ani nie mogę barwą oddać, ani wypowiedzieć tego, co we mnie żyje. A przecież jestem malarzem.

Jestem zresztą biednym drapichrostem, mieszkam w jednej z najciaśniejszych uliczek, ale światła mam wbród, bo mieszkam podniebnie z widokiem na wszystkie dachy. W pierwszych dniach, gdym przybył do miasta, uczułem się nad wyraz skrępowany i osamotniony; zamiast lasów i zielonych pagórków, za cały widnokrąg miałem jedynie stare kominy. Nie miałem przytem żadnego przyjaciela, nie witała mnie żadna znajoma twarz.

Jednego dnia stałem bardzo przygnębiony przy oknie, otworzyłem je i wychyliłem się z niego. Nie umiem powiedzieć, jaka radość ogarnęła mnie nagle! Ujrzałem znaną mi twarz, okrągłą serdeczną twarz mego najlepszego przyjaciela z odległych rodzinnych stron: był to księżyc, stary kochany księżyc, niezmiennie ten sam, taki samiuteńki, jak ten, który zaglądał do mnie poprzez gałęzie wierzb nad moczarami. Posłałem mu rękoma całusy, właśnie świecił całą pełnią do mego poddasza i przyrzekł mi zaglądać do mnie na chwilę co wieczór, gdy wyjdzie na przechadzkę. Tego swego przyrzeczenia dotychczas sumiennie dotrzymywał, szkoda jeno, że może tylko przez tak krótki czas u mnie pozostawać. A ile razy mnie odwiedza, opowiada mi to i owo, co widział przeszłej nocy albo i tego samego wieczora. «Namaluj teraz to, co ci opowiadam — mówił mi, gdy mnie pierwszy raz odwiedził. — Z pewnością będzie z tego wcale piękna książka z obrazkami». Według tej rady postępowalem przez dużo wieczorów i mógłbym dać na swój sposób nową rzecz z tysiąca i jednej nocy w obrazach, ale byłoby tego za wiele; te, które daję, nie są wyborem, następują po sobie, tak jak je słyszałem. Jakiś wielki, genialny malarz, poeta albo muzyk mógłby z tego więcej zrobić, gdyby chciał; to, co ja daję, są to tylko lekko narzucone kontury, a w międzyaktach moje własne myśli, bo nie każdego wieczora odwiedzał mnie księżyc, przeciwnie, niejednokrotnie zasłaniał go jeden obłok, a czasami i dwa.

## Pierwszy wieczór

«Ubiegłej nocy» — są to własne słowa księżycy — «szybowałem poprzez czyste powietrze Indyj; przeglądałem się w Gangesie, promienie moje próbowały się przedrzeć poprzez gęste sploty starych platanów, które tworzą sklepienia nakształt żółwich pancerzy. Nagle wyszło z gęstwiny dziewczę hinduskie, lekkie jak gazela, piękne jak Ewa; było w niej coś powiewnego, a przecież równocześnie gibkiego i silnego cór Hindostanu. Mogłem widzieć jej myśli poprzez delikatną skórę; cierniste liany rozdzierały jej sandały, ale szybko kroczyła naprzód. Drapieżny zwierz, co wracał od rzeki, gdzie ugasił swe pragnienie, odskoczył z lękiem, bo dziewczę trzymało w ręku palący się kaganek; widziałem młodą krew, przeświecającą poprzez delikatne palce, którymi osłaniała płomień. Zbliżyła się do rzeki, opuściła kaganek na powierzchnię strumienia, tak iż popłynął z prądem. Płomień migotał i ślaniał się, jakby miał lada chwila zgasnąć, ale przecież się palił, a czarne błyszczące oczy dziewczęcia śledziły go poprzez długie jedwabiste rzęsy z głęboką miłością. Wiedziała przecież, że jeżeli płomień tak długo palić się będzie, jak długo go swym wzrokiem dosięgnie, ukochany jej żyje jeszcze, jeżeli zaś prędzej zgaśnie, to umarł. I kaganek płonął i drżał, i jej serce płonęło i drżało. Padła na kolana i poczęła się modlić, a obok w trawie leżał oślizgły wąż, ale ona myślała tylko o Bramie i o swym ukochanym. «Żyje!» krzyknęła radośnie, a szczyty gór odpowiedziały jej echem: «Żyje!»

## Dwudziesty ósmy wieczór

«Była cisza morska» — mówił księżyc — «woda przejrzysta, jak najczystsze powietrze, które przenikałem; mogłem głęboko pod powierzchnią morza widzieć dziwne rośliny, które, jak olbrzymie drzewa w lesie, wyciągały ku mnie długie łodygi, a ponad ich wierzchołkami przemykały ryby. Wysoko w powietrzu ciągnął sznur dzikich łabędzi; jeden z nich, znużonym lotem, opadał coraz niżej i niżej, ale oczy jego szły za nadpowietrzną karawaną, która się oddalała coraz więcej i więcej. Osamotniony, z rozwartemi skrzydłami, opadł w cichem powietrzu, jak bańka mydlana, dotknął powierzchni wody, włożył głowę między skrzydła i leżał cichy, jak biały lotos na spokojnem jeziorze. Wtem podniósł się wiatr i zmarszczył błyszczącą powierzchnię, która, jak promieniejący eter, potoczyła się w szerokich wielkich falach. Łabędź podniósł głowę, a błyszcząca woda nakształt niebieskich płomyków obryzgiwała jego piersi i grzbiet. Obłoki zaróżowiły się od zorzy porannej, a łabędź wzmocniony wznosił się i poleciał ku wschodzącemu słońcu i sinym wybrzeżom, ku którym ciągnęła nadpowietrzna karawana, ale leciał samotny, z tęsknotą w sercu, samotny ponad błękitnem, falującym morzem».

*Tłum. Jadwiga Przybyszewska.*

## DZIECIĘ UMIERAJĄCE

O, matko! jam zmęczony, a dzień już przy skonie,  
Pozwól mi teraz zasnąć na twem drogiem łonie.  
Lecz ukryj te łzy rzewne i te niepokoje,  
Bo smutne twe spojrzenie, palące łzy twoje.  
Jakże zimno! o, patrzaj, jak czarno wokoło!  
A gdy zasypiam, anioł staje przed mym wzrokiem,  
Co nade mną świetliste wznosi swoje czoło,  
I widzę, jak promienie złote mkną potokiem.

Matko! słyszysz tych śpiewów harmonijne tony?  
Ach, takim pieniem w niebo będę uniesiony.  
On już przy nas; czy słyszysz? Do siebie mię woła  
I uśmiecha się do mnie. Patrz na ten blask czoła!  
Patrz! wokoło z cudownych barw tęcza się plecie,  
Anioł z złotemi skrzydły rzuca na mnie kwiaty;  
Mamo! czy takie skrzydła będę miał w tym świecie?  
Lub umrzeć, by jak anioł ten stać się skrzydlaty?

Co tak mnie obejmujesz smutnie w swe ramiona?  
 Powiedz, czemu jęk cichy rwie się z twego łona?  
 I czemu ta łza rzewna po twem licu płynie?  
 Nie opuszczę cię nigdy, twój jestem jedynie.  
 Zaprastań, mamó, płakać i nie smuć się dłużej,  
 Bo gdy cierpisz i płaczesz, ja cierpię tak samo;  
 Słabną, a ból ciężarem me powieki mruży,  
 Żegnaj! anioł mnie objął, żegnaj, biedna mamó!

*Tłum. Stanisław Budziński.*

*Uzupełnił Alfred Tom.*

## SÖREN KIERKEGAARD

(1813—1855)

Z «TRWOGI I DRŻENIA»

N a s t r ó j

Żył raz człowiek, który, dzieckiem będąc, słyszał ową piękną opowieść, jak to Bóg doświadczał Abrahama, jak ten wytrzymał próbę, zachował wiarę i po raz drugi wbrew oczekiwaniu dostał syna.

W późniejszym wieku czytał tę samą opowieść z większym jeszcze podziwem; życie bowiem rozłączyło to, co w pobożnej prostocie dziecka było jeszcze złączone. Im starszy się stawał, tem częściej myśli jego zatrzymywały się przy tej opowieści, entuzjazm jego rósł coraz bardziej i bardziej, a jednak zrozumienie jej stawało się dlań coraz trudniejsze i trudniejsze. Wkońcu zapomniał dla tej opowieści o wszystkim innym; dusza jego jedno tylko miała życzenie, aby ujrzeć Abrahama, jedną tylko żywiła tęsknotę: ach, gdybym też była świadkiem owego zdarzenia! Nie pragnął on piękności Wschodu ni wspaniałości ziemskiej Obiecanego Kraju, ni bogobojnej pary, której starość Bóg pobłogosławił, ni czcigodnej postaci podeszłego patriarchy, ni kwitnącej młodości używanego mu przez Boga Izaka — co do niego, mogła się cała ta historia rozegrać na pustym stepie. Jedyłą jego tęsknotą było towarzyszyć Abrahamowi w owej trzydniowej podróży, którą odbywał, przed sobą mając troskę, koło siebie syna swego Izaka. Jego życzeniem było być obecnym w owej chwili, gdy Abraham wznosił oczy swe i ujrzął wdali górę Moriah, w owej godzinie, gdy zostawił osły i sam na sam z Izakiem wstępował na górę. Tem bowiem, co go zajmowało, nie była kunsztowna tkanina fantazji, lecz groza myśli.

Ów człowiek nie był myślicielem; nie odczuwał potrzeby wyjścia poza wiarę; zdawało mu się, że najwspanialszą musi być rzeczą żyć jako ojciec wiary we wspomnieniu ludzi, że zaszłości godny jest los posiadania wiary, choćby nikt o tem nie wiedział. Ów człowiek nie był uczonym egzegetą, nie rozumiał po hebrajsku. Gdyby był rozumiał po hebrajsku, rozumiałby może z łatwością opowieść ową i Abrahama.

### I.

Bóg tedy doświadczał Abrahama i rzekł do niego: «Weź Izaka syna swego jedyńego, którego kochasz, idź do kraju Moriah i ofiaruj go tam na całopalenie na górze, którą ci wskażę».

Był wczesny ranek. Abraham wstał do dnia; kazał osiodłać osły i opuścił chatę. Izak był z nim. Sara spoglądała za nimi z okna w dolinę, aż znikli jej z oczu. Trzy dni jechali, milcząc. Jeszcze czwartego dnia rano nie wyrzekł Abraham ni słowa, lecz wznosił oczy i ujrzął woddali górę. Zostawił chłopców, a sam szedł pod górę, Izaka mając przy boku. I rzekł Abraham do siebie: «Przecież nie będę ukrywał przed Izakiem, dokąd prowadzi ta droga». Stał i położył rękę na głowie Izaka, błogosławiąc go, a Izak pochylił się, aby odebrać błogosławieństwo ojca. Miłość ojcowska przemawiała z twarzy Abrahama, wzrok jego był łagodny i słodki, słowa pełne powagi i upomnienia. Lecz Izak nie mógł go zrozumieć, dusza jego nie umiała się wznieść. Objął kolana Abrahama, błagając u stóp jego. Prosił o młode swe życie, o cudne swe na-

dzieje. Wspominał radość w domu Abrahama; wspominał smutek i samotność. Wtedy Abraham podniósł chłopca i szedł z nim ręką w rękę. Słowa jego były pełne pociechy i upomnienia. Ale Izak nie mógł go zrozumieć. Wstąpili na górę Moriah, a Izak nie pojął go jeszcze. Wtedy odwrócił się Abraham na chwilę od niego — a gdy Izak ujrzał znowu oblicze ojcowskie, było zmienione. Wzrok jego był dziki, postać groźna. Pochwycił Izaka za pierś, rzucił nim o ziemię i rzekł: «Chłopcze głupi, czy sądzisz, że to jest rozkaz Boży? Nie, to moja przyjemność!» Wtedy Izak zadrżał i zawołał w trwodze: «Boże w niebiesiech, zlituj się nade mną! Boże Abrahama, zlituj się nade mną! Gdy nie mam ojca na ziemi, Ty mi bądź ojcem!» Abraham zaś rzekł cicho do siebie: «Panie niebios, dziękuję cił wolę, aby uwierzył, że jestem nieludzki, niż gdyby miał utracić wiarę w Ciebie». —

Gdy się ma dziecko od piersi odłączyć, poczernia matka pierś swoją — byłoby przecież okrucieństwem zostawić piersi powab, gdy dziecko nie ma jej więcej dostać. A tak wierzy dziecko, że pierś się zmienia, lecz matka — została ta sama; wzrok jej miłości pełen i pieszczoty, jak zwykle. Chwała matce, która straszniejszych nie potrzebuje środków, aby odłączyć dziecko od piersi.

## II.

Był wczesny ranek. Abraham wstał dodnia. Uścisnął Sarę, oblubienicę starości swej, a Sara ucałowała Izaka, który uwolnił ją od wstydu — swoją dumę, swą nadzieję po wsze pokolenia.

Jechali, milcząc, wzdłuż drogi. Aż do czwartego dnia wzrok Abrahama utkwiony był w ziemię, wtedy wznosił oczy i ujrzał wdali górę Moriah. Znowu spuścił wzrok. Milcząc, ułożył barana, którego Bóg wybrał. Ofiarował go i wrócił do domu. — O d tego dnia zestarzał się Abraham; nie mógł zapomnieć, że Bóg żądał czegoś takiego odeń. Izak rósł jak przedtem. Abrahama wzrok pociemniał; nie widział więcej swej pociechy. —

Gdy dziecko dorosło i ma być odłączone, wtedy matka zakrywa jak dziewica pierś swoją — dziecko nie ma już matki. Chwała dziecku, które w inny sposób nie straciło matki.

## III.

Był ranek. Abraham wstał wczas, ucałował Sarę, młodą matkę, a Sara ucałowała Izaka, swoją rozkosz, swą radość po wsze czasy. I Abraham jechał drogą zamysłony. Myślał o Hagarze i synu jej, których niegdyś wypędził na pustynię. Wstąpił na górę; wyciągnął nóż.

Był cichy wieczór. Abraham wyjechał samotnie, dążył ku górze Moriah. Padł na twarz i prosił Boga, aby mu przebaczył grzech, że chciał ofiarować Izaka, że ojciec zapomniał o obowiązku wobec syna. Częściej jeździł samotną drogą, lecz nie miał spokoju. Nie mógł pojąć, jak może być grzechem, iż chciał ofiarować Bogu najlepsze, co posiadał, to, co po tysiąc razy wyżej cenił, niż własne życie. A jednak — jeżeli to było grzechem, jeżeli Izaka tak nie kochał, jak był powinien — to nie mógł pojąć, jak grzech może być darowany. Bo czyż istnieje straszniejszy grzech? —

Gdy dziecko ma być odłączone, smuci się i matka, że ma się rozłączyć z dzieckiem; że dziecko, które spoczywało najpierw pod sercem jej, a potem leżało przy jej piersi, teraz nie ma jej być już bliskie. I tak smuca się razem przez krótki czas żaloby. Chwała matce, która dziecko zachowała tak blisko i nie potrzebowała się troszczyć o więcej!

## IV.

Był wczesny ranek. W domu Abrahama przygotowano wszystko do podróży. Pożegnał się z Sarą. Eliezar, wierny sługa, towarzyszył mu kawał drogi, a potem powrócił. Jechali obok siebie, Abraham i Izak, aż przybyli na górę Moriah. Abraham przygotował wszystko do ofiary, spokojnie i łagodnie. Lecz, kiedy się odwrócił i wyciągnął nóż, widział Izak, jak lewica Abrahama ścisnęła się w rozpacz, a drzenie wstrząsnęło jego ciałem — lecz Abraham dobył noża.

Wtedy powrócili do domu, a Sara wybiegła im naprzeciw. Lecz Izak stracił wiarę. Nigdy nie mówiono o tem ni słowa. Izak do nikogo nie mówił o tem, co widział, a Abraham nie przeczuwał, że ktoś to widział. —

Gdy dziecko ma być odłączone, przygotowuje matka silniejszy pokarm, aby dziecko nie zginęło. Chwała temu, kto silniejszy przygotował pokarm!

W ten i w temu podobne sposoby rozmyślał o tem zdarzeniu ów człowiek, o którym mówimy. Ilekroć wracał z wędrowki do góry Moriah, upadał ze znużenia i składał ręce, mówiąc: «Nikt przecież nie był tak wielki, jak Abraham, któż go zrozumieć zdoła?»

*Tłum. M. Bienenstock.*

## GEORG BRANDES

(1842—1927)

### Z «WRAŻEŃ Z POLSKI»

...Rozmachem skrzydeł i siłą lotu orzeł góruje nad wszystkimi ptakami. Niedarmo jest on ich królem. Pod względem nieskalanej białości i szlachetnej godności ruchów żaden ptak nie może iść w zawody z łabędziem. Nie napróżno jest on symbolem szlachetnej czystości. Paw nie może ani bujać jak orzeł, ani jak łabędź pływać, lecz bogactwem i świetnością piór wyróżnia się wśród wszystkich innych ptaków.

Pomiędzy skrzydlatymi duchami Polski Mickiewicz jest orłem, Krasiński łabędziem, a Słowacki pawiem.

Wśród wszystkich utworów tych poetów jeden poemat od razu jednomyślnie uznany został przez znawców za największe arcydzieło poezji polskiej. Jest to jedyne dzieło, w którym jeden z trzech wielkich wieszczów usiłował dać różnostronny obraz narodowy ruchliwej epoki, której sam był świadkiem; — jedyne, w którym znajdujemy szeroki i bogaty opis przyrody polskiej; — jedyne, w którym poeta opisu zwyczajnych ludzi w ich życiu codziennem nie uważał za rzecz dla siebie zbyt błahą; — jedyne wreszcie w swym zasadniczym tonie nastrojone nie na nutę lirycznej albo tragicznej egzaltacji, ale tego spokojnego humoru, z którego tak łatwo przejść do satyry, czułości, smutku i natchnienia.

Liczba poematów epickich trwałej wartości jest, jak wiadomo, bardzo szczupła. Ale niektóre z utworów tego rodzaju zdobyły sobie w literaturze powszechnej stanowisko tak wysokie, że stały się jakby drogowskazami, bibljami, stały się tworam literatury prawdziwie ludowej, w których pewien naród albo cały szereg znajduję swój obraz, całe swoje życie, przedstawione wiernie i w formie nieśmiertelnej. Do utworów tego rodzaju zaliczamy: patryjarchalne księgi Starego Testamentu, epepeje Homera, Firdusiego, Ramayanę, pieśń Nibelungów. Wszystkie one pochodzą z czasów bardzo odległych. A dzieje się tak dlatego, że we właściwym eposie zazwyczaj dany lud po raz pierwszy daje naiwny wyraz swej narodowej świadomości.

Jedyną udatną epepeję naszego wieku ma Polska w *Panu Tadeuszu*. Szczęśliwa gwiazda powstrzymała tym razem Mickiewicza od szukania tematu do tego epickiego utworu w zamierzchłej przeszłości. Autor «Pana Tadeusza» potrafił odnaleźć pierwiastek heroiczny w epoce, w której sam żył...

...Mickiewicz jest wielkim epikiem już dlatego, że tak doskonale potrafił oddać w swym poemacie całą oryginalność zwyczajów swego kraju rodzinnego i całą wielkość i poezję epoki roku 1812-go. Poeta odważył się tu oprzeć całe epos na własnych spostrzeżeniach...

Dwojakie było źródło tej rzadkiej i drogocennej epickiej naiwności, której, prócz Adama, nie posiadał żaden z poetów ani w Polsce, ani gdzie indziej. Płynęła ona, po pierwsze, z osobliwego stosunku poety do obranego przezeń tematu i, po wtóre, ze szczególnych właściwości tego ostatniego.

Innym poetom zbywało na naiwności. Ale Mickiewicz patrzył na swój kraj rodzinny tylko oczyma dziecka i nigdy już nie miał go ujrzeć jako mąż dojrzały, i dla-

tego nic w pamięci jego nie mogło zatrzeć ani wyrugować owych obrazów z lat dzieciństwa... Ale okazało się jeszcze, że i sam przedmiot, obrany przez poetę, miał właśnie wszystkie właściwości starodawnych epickich tematów. Stosunki i życie na Litwie około roku 1812-go mają charakter cywilizowany, choć jest to cywilizacja *sui generis* i całkiem odmienna od jednostajnej cywilizacji reszty świata europejskiego...

Dziś pojąć prawie niepodobna, jak można było w roku 1840-ym przypisywać wrażenie, wywołane tym nieporównanym poematem, owym starym cechem, zaczerpniętym z przeszłości i przypominającym Waltera Scotta. Teraz trzeba być ślepym, aby nie widzieć, iż z trójcy wielkich poetów jeden tylko Mickiewicz stworzył dzieło popularne i nieśmiertelne przede wszystkim dlatego, że w tym jedynym wypadku spróbował dać obraz rzeczywistości, zupełnie wolny od spirytyzmu i fantastyczności, historyczny obraz świata, nie przesłoniętego do połowy mgłą przeszłości, lecz takiego, na który, zanim zniknął, wieszcz sam spoglądał jasnymi i rozumnymi oczyma dziecka...

Opis gry Wojskiego daje nam dobre pojęcie o artyzmie samego Mickiewicza. Oto dość było pocie-tulaczowi przenieść się myślą w lata dzieciństwa, spojrzeć znowu okiem dziecka na owoczesne zdarzenia narodowe i życie najbliższego otoczenia, na tę krainę drogą, z jej spokojną i naiwną, ale zarazem jaskrawą kulturą, bez przemysłu, a z pełnym oryginalności rzemiosłem, bez państwa policyjnego, a z uświęconą tradycyjnie anarchją, i już w pieśni jego przemówiły puszcze litewskie, już ukazał nam wesole i dzikie w jej kniejach łowy, już ucho nasze słyszy głosy zwierząt, świergot ptactwa, ryk niedźwiedzia, beczenie żubra i cały chór głosów ludzkich. Zrazu cicha, jak szept liści, idzie ta pieśń jego pomiędzy buki i dęby, coraz potężniejsza, aż w końcu zda się, że w rogu jego grają setne rogi, że brzmia w nim głosy wszystkich dawno już zmarłych pokoleń narodu. — I rozlewają się one w poemacie falą coraz to szerszą, coraz to dźwięczniej płyną, jak najgłębsza tęsknica kraju. Słyszymy ją w obrazach miłości i cierpień, nadziei i gniewu, dzikości i szaleństwa, żartu i natchnienia i narzeczcie zda się, że tą pieśnią i muzyką tą brzmi całe niebo polskie... Mickiewiczowi również dało echo jego pieśni życie nieśmiertelne w sercach rodaków.

Tłum. Zygmunt Poznański.

## JENS PEDER JACOBSEN

(1847—1885)

### ARABESKA

Czyś błdził kiedy w mrocznych lasach?  
Znasz ty Pana?  
Ja go przeczulem,  
Ale nie w mrocznych lasach,  
Gdy mówi wszelkie milczenie.  
Nie! Tego Pana nie znałem ja nigdy,  
Ale przeczulem miłości Pana —  
I wtedy milkło, co zazwyczaj mówi.

Na słonecznych łągach  
Rośnie dziwne ziele.  
Tylko w najgłębszej ciszy,  
Gdy słońce żarów tysiącami sieje,  
Rozchyła swe kwiecie.  
Jak obłąkane majaczy się oko  
I jak ceglaste lico trupa:  
Widziałem je  
W miłości mojej.



Wonną mi była, jak jaśminu biel,  
 Makowe soki krążyły w jej krwi,  
 Jej ręce chłodne i jak marmur białe  
 Śniły na jej tonie,  
 Jak wodne lilje na jeziornej głębi.  
 Miętko padały jej słowa,  
 Jak jabłoni kwiecie  
 Na rośne pada trawy.  
 Ale bywały chwile,  
 Kiedy wzwyż biły, jasne i zimne,  
 Jak tryskające wgórę wody.  
 Westchnienie drgało w jej śmiechu,  
 A radość w jej łkaniu:  
 Korzyć się przed nią musiało wszystko —  
 Tylko ócz dwoje śmiało się sprzeciwić,  
 Jej własnych oczu dwoje.

Z trującej lilji  
 Lśniącego kielicha  
 Piła do mnie,  
 Do tego, co już nie żyje,  
 I tego, który teraz przed nią klęczy.  
 Piła do nas wszystkich  
 — A wtedy oczy korzyły się przed nią —  
 Czarę ślubowań niezmiennego stałości  
 Z trującej lilji  
 Lśniącego kielicha.

Wszystko minęło!  
 Na śnieżnej równinie  
 W ciemnym lesie  
 Samotnie rośnie cierniowy kierz,  
 Wśród jego liści targają się wichry.  
 Grono po gronie,  
 Grono po gronie  
 Strząsa jagody czerwone jak krew,  
 W biały je sieje śnieg —  
 Płonące jagody  
 W zimny śnieg. —

Znasz ty Pana?

*Tłum. Stanisław Wyrzykowski.*

#### Z «MOGENSA»

Lato było; w południe; na skrócie żywopłotu. Tuż przed nim rósł dąb-staruszek, o którego pniu można było jużci powiedzieć, że wije się w rozpacz z powodu braku harmonji pomiędzy swem młodziutkiem żółtawem listowiem a czarną i grubą sękatością konarów, co podobne były najbardziej do grubo zarysowanych arabesek wczesnego gotyku. Za dębem rosła bujna leszczyna o ciemnych bez połysku liściach, tak gęstych, że nie można było przez nie dojrzeć ni pni, ni gałęzi. Ponad leszczynę wystrzelały dwa smukłe wesołe klony z uciesznie wyzębionemi liśćmi, czerwonymi szypułkami i dyndającemi wisiorami zielonego owocu. Za klonami — las: zielona, równo zaokrąglona pochyłość, w której, świergocąc, fruwały tu i tam ptaki, niby elfiki, kręcące się wokół darnionego kopca.

Wszystko to można było widzieć, idąc w tę stronę ścieżką poza żywopłotem. Jeżeli zaś leżało się w cieniu dębu, z grzbietem opartym o jego pień, i patrzyło w prze-

ciwnym kierunku — a był tam ktoś, co tak właśnie czynił — to najprzód widziało się swoje własne nogi, potem skrawek ziemi, porośnięty krótką twardą trawą, i wielką kępę ciemnych pokrzyw; dalej cierniaki i pnące się po nich białe powoje, ścieżkę, trochę pola żytniego, wreszcie na wzniesieniu żerdź z flagą radcy sprawiedliwości, a potem — niebo.

Upał był duszący; powietrze migotało z żaru, a przytem było tak cicho: omdlałe liście zwisnęły, jakby uśpione na drzewach; nic się nie ruszało — jeno chrząszcze z tamtej strony na pokrzywach i ta trocha zwiędłego listowia, co leżało w trawie i zwiąjało się nagłemi drobnymi ruchy, jakby w kurczach pod palącemi promieniami słońca.

A jeszcze ten człowiek pod dębem: leżał i chwycił powietrze, i żałośnie, bezradnie spoglądał ku niebu. Zanucił trochę i przestał, zagwizdał i tego też poniechał, obrócił się i znów się obrócił, i utkwiał wzrok w starem kretowisku, które wskutek suszy stało się jasno-szare. Nagle na jasno-szarej kretowinie pojawiła się mała, okrągła, ciemna plamka, potem druga, trzecia i wiele, wiele innych za nią, cały kopczyk był wnet ciemno-szary. Powietrze przeszywały długie ciemne smugi, liście chyliły się i zginały; i nagle zaszumiało i zawrzało: lunął deszcz.

Wszystko lśniło się, iskrzyło, tryskało. Liście, gałęzie, pnie, wszystko połyskiwało z wilgoci. Każda kropla, spadająca na ziemię, na trawę czy na ścięzynkę przy płocie, rozpryskiwała się w tysiące pereł, miotanych hen dalej. Małe krople zawisały tam zdziebko i stawały się wielkimi kroplami, opadały tu na ziemię, zbierały się z innymi, rosły w strumyki, znikwały w małych bródzjach, wpadały w duże wyboje, wypływały z małych, unosiły z sobą kurz, żdźbła i strzępki liści, osadzały je na twardym gruncie i znów porywały, wirowały z nimi i znowu na ziemi osadzały. Liście, które nie były obok siebie, odkąd wyszły z pączków, zetknęły się w wilgoci; mech, co kruszył się od skwaru, rozpęczniał i zmiękł, skędzierzawiał, zazieleniał i stał się soczysty, a szare porosty, zeschłe prawie na tabakę, rozpościerały się niby delikatne koronki i, nabrzmiałe jak brokat, polśniewały nito jedwab. Powoje wypełniły aż po brzegi swoje białe kiełichy, trącały się nimi wzajemnie i wylewały wodę na głowy pokrzyw. Grube czarne ślimaki leśne powypinały naprzód wesoło brzuchy i z wdzięcznością spoglądały ku niebu. A człowiek? Człowiek stał z gołą głową na deszczu i pozwalał kroplom spadać z szumem na włosy, brwi, oczy, nos, usta, przytknął raz i drugi w powietrze, podnosił niekiedy trochę to jedną, to drugą nogę, jakgdyby chciał zatańczyć, potrząsnął głową, gdy mu się za wiele wody zebrało we włosach, i zaśpiewał na całe gardło, nie wiedząc sam, co śpiewa, tak bardzo deszcz go zaprzętał:

Gdybym to ja, gdybym ja wnuczka miał, o tak!  
I piątek pełne skrzynie w każdy czas,  
Tobym przecie kiedyś też dziecię miał, o tak!  
Dom i dwór, i łączkę, i pole, i las.

Gdybym to ja, gdybym ja córuś miał, o tak!  
Dom i dwór, i łączkę, i pole, i las,  
Tobym przecie kiedyś też lubą miał, o tak!  
I piątek pełne skrzynie w każdy czas.

Nastał raz piękny dzień jesienny; opadanie liści trwało w całej pełni, a drogę, wiodącą wdół ku zatoce, zaścieniały grubym kobiercem cytrynowożółte liście klonów i wiązów, a tu i owdzie widziałeś też plamy ciemniejszego listowia. Tak mile było iść po tym czystym tygrysim kobiercu i patrzeć, jak liście spadały nito śnieg, a brzoza wyglądała jeszcze wiotczej i delikatniej z gałązkami, ogołoconemi już prawie zupełnie, a jarzębina pyszniła się, pełna ciężkich jagód kraśnych. Niebo zaś było tak błękitne, tak błękitne, a las wydawał się o wiele większy; możnaby spojrzeć tak daleko w głąb pomiędzy pnie. A było w tem jeszcze i to, że rychło nic z tego nie zostanie. Las, pole, niebo, wolne powietrze i ta całość, wszystko wraz ustąpi miejsca porze lamp, kobierców

i hiacyntów. Dlatego to pan radca sprawiedliwości i jego córka z «Przyłądka Trafalgaru» schodzili nad zatokę, zostawiwszy powóz u wójta.

Pan radca był wielbicielem natury; jego zdaniem, natura była czemś zgoła osobliwym — natura była jedną z największych okras życia. Pan radca protegował naturę, bronił jej przed sztucznością; ogród, według niego, był jeno spaczeniem natury, a dopiero stylizowane w niej ogrody — to już była natura w dzikim obłędzie. W naturze niema stylu; dobry Bóg, w swej wszechmądrości, stworzył ją naturalną i tylko naturalną. Natura była czemś zgoła nieskażonym, nieskrępowanym; ale przez grzech pierwotny spadła na ludzkość cywilizacja; odtąd cywilizacja ta stała się koniecznością, lecz, ach! o ileż działoby się lepiej, gdyby nią nie była; stan natury — to całkiem coś innego, o! całkiem innego. Pan radca nie miałby nic przeciw temu, żeby, chodząc odziany w baranią skórę, mógł żyć z upolowanych przez siebie zajęcy, bekasów, siewek, pardw, rogaczy i dzików. Tak, bez zaprzeczenia, stan natury był perłą, istną perłą.

Radca sprawiedliwości i jego córka zbliżali się do zatoki. Połsniewała ona już dawno między gałęziami, ale teraz, kiedy zбочyli na skrócie, gdzie rosła wielka topola, ukazała się im w całej pełni. Leżała przed nimi w wielkich taflach zwierciadlanej toni, z pozębionymi kresami szaroniebieskiej pomarszczonej wody, ze smugami gładkimi i smugami w zmarszczkach, a promienie słońca spoczywały na gładkiej powierzchni, migotały zaś na zmarszczonej. Przeciągnęła wzrok patrzących po swej płaszczyźnie, wiodła go wzdłuż brzegów zaokrąglonych łagodnie, po liniach zagnętych, pobujała nim mimo zielonych wysmyków ładu, potem wzrok porzuciła i utonęła w wielkich zakrętach, ale myśli wzięła z sobą. — Żeglować! Możliwe tu gdzie wynająć czółno?...

*Tłum. Stefan Frycz i Alfred Tom.*

HOLGER DRACHMANN  
(1846—1908)

#### SPOKÓJ OPADAJĄCEGO LIŚCIA

Spokój. Spokój opadającego liścia.

Bo niema przecież wcale spokoju, gdy liść się rozwija.

Wtedy pąki rozsadza tęsknota, a serce smutek. Wtedy niepokój ludzki nie zna chwili ciszy ani za dnia, ani w nocy. Za dnia Duńczycy marzą — zdają się całe życie to robić — a w nocy marzą również, we śnie.

Słońce opala wszystko, a ptaki wszystko zamieniają w melodję. Między niebem a ziemią roi się cały wszechświat. I nadchodzi lato, życie zamienia się w jedną podróż koleją, świat staje się jednym miejscem kąpielowem.

Gdy brunatny październik nadszedł, umknąłem ze Skagen do Säby. Tu zastało mnie opadanie liści.

A opadanie liści w lesie w Säby jest jedyne w całym Starym Świecie. Jest tylko jedno podobne do niego w Nowym Świecie — nad rzeką Hudson w stanie Nowy Jork. Ale podróż w tamte strony jest daleka. I nie z tamtej ziemi wyrosłem, tam nie odczuwam słodczy przebywania w ojczyźnie i gorzko-słodkiej powagi wspomnień, która sprawia, że czuję się bogatym. Bo przecież bogaty jesteś tam, gdzie ojczyzna twoja; tylko na obcej ziemi można się czuć biednym.

Złoto, miedź, mosiądz, bronz-szkarłat, szmaragdowy aksamit, niebieskawo-fioletowy jedwab, jaskrawa żółtość, krwawa czerwień, to znów przejrzysty bursztyn — powoli miesza się to wszystko w zlewający się obraz niby barwnej bibułki, powiewającej lekko nad rzeką, płynącą wolno, w której zwierciadło znowu spotykasz ten sam bursztyn, złoto, krew, purpurę i szmaragd, ale jaśniejsze, spokojniejsze, przytłumione, a jednak tak wyrazistej formy; i zdaje ci się, że słyszysz słodką muzykę, wołającą na cię ze świata nadprzyrodzonej piękności, wolnego od wszelkich więzów materji.

Co za bogactwo, co za przepych w lesie, jaki spokój nad głębokim strumieniem! Dziwnie przejmują ta natura. Była ci znana, a przecież zdajesz się ją poznać dopiero.

Często bywałem tu na krótko w towarzystwie przyjaciół... a natura nie znosi przyjaciół. To też Sāby nadaje się przede wszystkim dla tego, kto szuka samotności. Ucieka się tu, aby umknąć swojemu stuleciu. Tu niema żadnego wieku, a zwłaszcza ostatniego.

Brunatny październik może mieć dwa tysiące lat. Woda w strumieniu uśmiecha się swoim brązowym uśmiechem. Stare dęby na brzegu lasu poruszają koronami ruchem łagodnym, pobłażliwym.

Woda płynie ciągle. Stary dąb poprawia złotą koronę na swojej dostojnej głowie. Za kilka dni straci ją, ale następnej wiosny odzyska znowu.

Rok w rok ta sama historia. A to, co z dębem, dzieje się i ze starymi bukami, pochylonemi nad strumieniem. Cały las w brązowo-złotym spokoju umysłu pochyla się nad rzeką, która wolno, przesycona miękkimi barwami, niesie swą piękność w darze oczekującemu jej morzu.

Taka cisza w spadającym liściu!

Czyż można sobie wyobrazić kogoś, przerywającego spokój obrazu? Byłbyś to chyba ty sam. Lecz natura nauczyła cię, że czekać, używać w spokoju — to rozkosz prawdziwa.

Oto jest stan, w którym masz chwile, kiedy używać możesz na obu światach: otaczającym, żywym, z liściem, pniem, koroną i gałązkami, których możesz dotknąć, i na tym na dole, w złotej wodzie, odwróconym, zwierciadlanym obrazie; który może zniszczyć kilka kropel deszczu, który lży chmur mogą rozwiać i który w chwilę później przemówi ci do duszy jak piękny sen. I zda ci się, że to dusza lasu — ten obraz w wodzie, płynącej niepostrzeżenie. — Doszedłszy do tego stanu, wstajesz przed słońcem, a w duszy twej brzmi modliwa oczekiwania.

Ostatniego dnia mego pobytu wyszło słońce zbyt jaskrawo z poza brudno-czerwonych obłoków. Nieco za gwałtowne, o zbyt magicznym blasku. Niepodobna było, aby przetrwało południe.

I nie przetrwało.

Ale nie uląłem się. Chodziłem, siadałem, marząc, i znów chodziłem — wpatrując się, wdychając ten gorący przepych lasu — wchłaniając jego wilgotny, mocny i świeży zapach, działający jak wino. Słyszałem — widziałem — czułem wszystkimi zmysłami. Odmłodziłem w tym brunatnym lesie, gdzie praucucie przepychu i potęgi natury nadaje umysłowi siłę wieczną, niespożytą.

Wtem gałęzie zachwiały się od pierwszego podmuchu wiatru, który zdał się pochodzić z jakiegoś lochu zamkowego. Słońce mroźnym ruchem cofnęło się z pni i liści, roztopione złoto zwierciadła wody pokryło się jakby gęsią skórą... i spadł deszcz, a różnobarwne liście jęły się uginać — puściły się w tan, jakgdyby przyzwoite, w jedwabne szaty strojne driady nagle zamieniły się w rój dzikich czerwonowłosych dziewcząt, gnających daleko w pola i dzikie bezludne blonia.

Stałem pod potężnym drzewem, w obrębie starego czerwono-szarego pałacu, szkicując. A deszcz siekł, a czerwonowłose dziewczęta szalały w tanecznym wirze. — Coby też mógł opowiedzieć ten stary pałac o czasach, w krew bogatych, w przeciwstawieniu do naszego, w krew ubogiego! O czasach, w których nie pisało się książek, lecz się je przeżywało, kiedy umiano się cieszyć, jak dziecko... a umierało się z psalterzem na piersi... i kiedy w niebie spotkać się było można z pierwszą miłością...

Cyt! cyt! stary zuchu... Oto słońce znowu świeci, przeglądając się w spokojnie płynącej wodzie, gdzie rozpogodzony świat śle w powietrzne regiony hymn, w którym, zda nam się, rozróżniamy słowa: Jak piękny jest spokój opadającego liścia!

*Tłum. Józefa Klemensiewiczowa.*

#### PIEŚŃ FAL

Wiecznie dalej,  
Przez morze — hen,  
Aż do tych krańców,  
Co wciąż pierzchają,

Tam — do niknących  
Baśniowych krajów,  
Gdzie słońce nigdy  
Nie zaszło.

Tam siedzi mąż na białym brzegu —  
 Co nie znał kłamu, żył bez maski,  
 Twarz ma promienną, oczu blaski  
 Nigdy przed nikim wdół nie biega.  
 Nie zwiódł nikogo, przestał na małym,  
 Dla siebie szczęścia on nie żądał,  
 Miękł wobec złości, głuchł na pochwałę,  
 Obca mu starość z jarzmem jej dni,  
 Piął się i naprzód wciąż spoglądał —  
 Czujemy w sobie krew z tej krwi.

Powiedz, rybaku  
 W pędzącem czólnie:  
 Jak nam się dostać  
 W tamtejsze strony?  
 Rybak ociera  
 Lica spienione:  
 Nie wiem, nie byłem  
 W tej dali!

*Tłum. Alfred Tom.*

## MARTIN ANDERSEN NEXØ

(ur. 1869)

### POJEDNANY

Był człowiek, którego życie już, już miało zgasnąć.

Miotał się po postaniu, jęczał, złorzeczył i zaciskał pięści, tak że paznogie wpijały się głęboko w wychudłe dłonie.

— Ileż to mam lat? Ile lat? — pytał co chwila tych, którzy otaczali jego łoże.

— Dwadzieścia — odpowiadano za każdym razem, i na myśl, że umiera tak młodo, dreszcz grozy wstrząsał nimi: udzieliło im się jego przerażenie.

Zaczęli więc mówić do niego łagodnie i czule. Ojciec, uosobienie zdrowia, chłop jak dąb, stał przy nim i prosił, by zniósł «to», jak mężczyzna. «Możebyś zechciał zamienić się ze mną?» — zapytał syn i śmiał się szyderczo, patrząc na pomieszanie rodzica. Matka zaś błagała, by zapomniał o marności ziemskiego żywota i podążył myślą do lepszego świata; niech z pokorą pochyli głowę i czyni dzięki Panu, iż okazał mu tę wielką łaskę i powołuje go do siebie w zaraniu życia. Wtedy porwał się na nią w przystępie szału, groził, machał bezsilnymi rękoma, głośny krzyk rwał się z jego ust, a rodzice klękli przy łóżku i modlili się. Jemu zaś piana wystąpiła na usta.

Stopniowo jednak uspokajał się, gdy oni wciąż odmawiali modlitwy. Leżał teraz cichy z zamkniętymi oczyma i uśmiechem na ustach, zdawał się nastuchiwać. I czuł, że nagle siły jego zaczęły się zwiększać, rosnąć z szalonym, zawrotnym pośpiechem. Przypływ mocy do ramion, do rąk... zerwane więzy koszuli... nowa potężna fala płynie ku piersiom, szyi... inna daje nogom taką moc, że ziemia zaczyna się uchylać, ustępować pod ich naporem. On zaś czuje, że rośnie, olbrzymieje nad wszelką miarę, cień jego mroczy widnokrąg, przemożna postać dotyka firmamentu pochylonemi barkami. Nisko, u jego kolana, ziemia — rojne mrowisko życia. — Zaśmiał się głośno. Bo niech mu tylko przyjdzie ochota wyprostować zgięty grzbiet, a spęka się i runie owo niebo — ostatnia ucieczka ludzi; i nie będą wówczas mieli na pociechę nic, nic — tak jak on sam nic nie posiada!

A wtem oczy jego padły na ziemię — świadomość własnej mocy wybuchnęła w nim dziką, oszalałą radością. Chwilę jeszcze pał wzrok widowiskiem rojnego życia, potem ostrożnie wyciągnął ręce, zbliżał je ku sobie, aż objął dłońmi ziemię z takim głośnień kłaśnięciem, że oboje rodzice porwali się przerażeni z klęczek. On zaś coraz mocniej zaciskał dłonie, splótł palce i zaciskał, zaciskał... Niespokojna, pełna ruchu ziemia martwiła w jego uścisku, poddawała się, kruszyła, a wszelkie życie, wszelki zarodek życia obumierał pod jego mocarnymi palcami. Aż i w nim pękło coś, załamało się; zapadał w otchłań, ginął i zgasł z uśmiechem na ustach — radosny, iż wszystko zabrał z sobą, odchodząc.

Rodzice pochylili się nad umarłym. «Jeszcze uśmiecha się — rzekła z płaczem matka — odszedł w weselu do Boga». I troskiwie układała ciało.

«Patrz, patrz! tak mocno splótł dłonie w pogodnej modlitwie, że ich rozłożyć nie można!» — powiedziała do męża, a uśmiech radosny wybiegł jej na usta.

*Tłum. M. M.*

## Z «PASAŻERÓW MIEJSC PUSTYCH»

## Prolog

Czy dlatego nasz wiek nazywa się wiekiem żelaza, że większość z nas przychodzi na świat z kajdanami na nogach? Ja sam należałem do tych niewinnie wzgardzonych, którzy, ledwie począwszy pelzać, od razu stają się ogniwami nieskończonego łańcucha niewolników życia, których los przeklęty polega na tem, aby ze wszech sił uprzyjemniać ziemskie istnienie nielicznym wybrańcom życia. Od czasu do czasu — to tu, to tam — któregoś z nas zwalniano, odsyłając w krainę wieczności — bez wielkich wydatków i ceremonij; poczem nasze szeregi znowu zwierzały się automatycznie. My zaś wlekliśmy brzemię dalej, nisko schyleni ku ziemi; nasze wygłodniałe dusze napęły powietrze swym krzykiem; niby stada zbłąkanych ptaków, krążyły one bezustanku w górze, poszukując ustronia. Było ich tak wiele, że zamraczały niebo i rzucały cień nawet tam, gdzie było najjaśniejsze.

Nastał dzień, kiedy i mnie, wskutek choroby i niezdatności do pracy, również dano wolność: ciśnięto mnie dla śmierci w otwartem polu. Lekarza do mnie nie zawezwano, aczkolwiek chciałem jeszcze pożyć trochę na świecie; ale zato ksiądz krążył koło mnie niepokojąco blisko. Czekał na chwilę, kiedy wyzionę ducha, i można będzie odmówić modlitwę. Na jego usprawiedliwienie muszę zresztą powiedzieć, że trudnił on się tem rzemiosłem z polecenia państwa.

Ale tym razem zdobycz wyszła mi z rąk: pewna dobrotliwa niewiasta zaopiekowała się mną i zaprowadziła mnie do lekarza. «Gruźlica!» — oświadczył. — «A poza tem ogólne wyczerpanie, przepracowanie, niedożywianie od urodzenia. Jak długo już pracujecie?» — «Dwadzieścia lat». — «A ileż macie lat?» — «Dwadzieścia cztery». — «No, w takim razie odbyliście już termin swej pracy». — «Czy niczem mu już nie można pomóc?» — spytała miłosierna niewiasta. — «Zima na południu zdoła go może uratować. W przeciwnym razie zdechnie».

Słowo «zdechnie» dotknęło mnie boleśnie — właściwie zupełnie niepotrzebnie. Poco czepiać się słów, kiedy sens ich wszakże pozostaje ten sam? A pod tym względem nie było najmniejszych wątpliwości. Przecież w społeczeństwie dzisiejszem niema takiej instancji, do której mógłby się odwołać niewinnie skazany na śmierć z prośbą o zmiłowanie. Policja opiekuje się naderwanemi i męczonemi koźmi, ale ginący z wyczerpania robotnik może wzywać tylko nieba. Przeto, nie myśląc wiele, pogodziłem się z koniecznością napelnienia swych zgnitych płuc szczęśliwością wiekuistą.

Lecz oto pewnego pięknego poranku znalazła się w mej kieszeni niespodzianie ogromna suma pieniędzy — kilkaset koron, któremi zaopatrzyła mnie wspomniana miłosierna niewiasta; postanowiłem wyruszyć do Włoch. Niepodobna opisać mego nastroju; przeciełem wyszła z uścisku śmierci i, co jeszcze ważniejsze, wyrwałem się z jarzma niewoli! Jak wróbel, który cudownym sposobem wydarł się z pazurów kota, pomknąłem w świat napół nieżywy, ale z radością i nadzieją w sercu.

Przez kilka dni musiałem jednak zatrzymać się w Kopenhadze, aby doprowadzić do porządku sprawy, niecierpiące zwłoki. Zamieszkałem tedy w mansardzie pewnego domu przy ulicy Nöreebro. Sąsiadką moją była mała, wyschła starowinka, niewiedomo jak i z czego żyjąca na świecie. Nie miała ani krewnych, ani przyjaciół, sama zaś zbyt była stara i zmęczona życiem, aby móc zająć się jakąś pracą. Mieszkała w zupełnej samotności i miała opinię kobiety niespełna rozumu. Nie wiem, czy czułem wtedy potrzebę ludzi, czy może moja szczęśliwa twarz znużyła ku mnie staruszkę, dość, że wdała się ze mną w rozmowę i opowiedziała mi swą smutną historję.

Jako zupełnie jeszcze młoda dziewczyna, lekko i ubogo odziana, ale pełna gorącej krwi i niewyczerpanej energii, przybyła z Jutlandji do stolicy, aby stanąć w niezliczonym szeregu skromnych istot, nie wymagających od życia niczego, prócz jako tako znośnej egzystencji. Wkrótce też zesłała się z pewnym człowiekiem ze swej sfery — robotnikiem, pragnącym, jak i ona, wyjść na szerszą drogę. Z tem wspólnem im obojgu dążeniem, zamiast wiana, zawarli ślub i poczęli wydawać na świat potomstwo; zaledwie matka odjęła od piersi jedno dziecko, już drugie oczekiwało swej kolei. Tak mijał czas, we dnie trzeba było troszczyć się o chmarę dzieci, a w nocy, kiedy wszystko spało,

musiała doprowadzać do porządku ich odzież, aby zrana miała wygląd przyzwoity. Nigdy nie było ani minuty, by zająć się czym innym. Potem dzieci zaczęły umierać, jedne bardzo wcześnie, a inne dopiero wtedy, gdy podrosły i mogłyby też pomagać rodzicom. Raz w czasie roboty mąż doznał poważnych okaleczeń, tak że odtąd przez kilka lat zrzędu chorował. W ten sposób przemęczyli się oboje aż prawie do srebrnego wesela, przed którym zmarło się jej staremu. Kiedy go pochowano, wdowa Jensen (było to jej nazwisko) pomyślała, że teraz będzie mogła wreszcie odpocząć, ale oto zauważyła, że stała się starą samotną kobietą, i zaczęła tęsknić do kraju swej młodości. Poczęła zbierać pieniądze na drogę, ale w żaden sposób nie mogła złożyć koniecznej kwoty. Za każdym razem, gdy już myślała, że ma dość, przychodziła konieczność płacenia komornego albo zjawiał się jakiś inny wydatek, który pochłaniał wszystkie oszczędności. Pragnienie ujrzenia miejsc rodzinnych doszło u niej dwukrotnie do tak ostrej fazy, że sprowadziło ją na stację kolejową; ale za pierwszym razem zatrzymał ją kontroler przed odejściem pociągu, a za drugim dojechała aż do Korsör, gdzie ją wysadzono z pociągu i skierowano zpowrotem. «O mało że nie dostałam się wtedy pod sąd, chociaż nie zabrałam w wagonie niczyjego miejsca», powiedziała staruszka; drżała na samo wspomnienie o tem zajściu.

A potem wyrzekła się swego marzenia. «Teraz wszystko, czego pragnę, to móc złożyć swą zmęczoną głowę tam, gdzie nie będą już nad nią turkotać koła wozów. O, jak pięknieby to było, gdyby ciało moje przewieziono przez morze i pochowano na cmentarzu ojczystym! Jak myślisz, czy kosztowałoby to strasznie drogo?» Obrzuciła wzrokiem swą ubogą norę, jakby obliczając, czy starczyłoby jej mienia na pokrycie takiego wydatku. Tam, w kraju rodzinnym, umarłych chowają na wysokiem zboczcu nadbrzeżnem, skąd otwiera się widok na staw wioskowy; po tych miejscach biegła ona w owym czasie, gdy jeszcze pasala stado — i tam też bardzo pragnęła być pochowana.

Spotkanie się z tą starą kobietą otworzyło mi oczy na świat, w którym żyłem, na to wszystko, dzięki czemu tak ciężko cierpiałem, nie zdając sobie z tego sprawy — na okrutną niesprawiedliwość bytu. Było już tak dlatego, że inaczej być nie mogło; ale jeśli na ziemi nic zmienić nie można, to pocóż myśleć o tem? Bez tego fatalizmu życie stałoby się dla biedaków ciężarem nie do zniesienia; albo musieliby kończyć samobójstwem, albo wszystko zniszczyć z kretesem. Teraz jednak zrozumiałem coś nowego — może z powodu, że stałem obecnie po drugiej, pozytywnej, stronie życia i mogłem robić porównania. Mogło być inaczej, a w każdym razie w stosunku do staruszki — ujrzałem puste miejsca!

Jeszcze bardziej otworzyły mi się oczy podczas mej podróży na południe — do Włoch. Nasz pociąg pośpieszny zatrzymał się nagle koło jakiegoś małego miasteczka w górach, i wyszliśmy z wagonu nieco rozruszać nogi. Według rozkładu jazdy, nie było tu przystanku, to też zastanawialiśmy się nad tem, co też mogło się wydarzyć. Czekaliśmy już z pół godziny, gdy naraz koło stacji przemknął ekspres; jak we mgle, widzieliśmy trzy wagony sypialne ze spuszczoneymi firankami i tak zwany błyskawiczny parowóz. Nie zauważyliśmy ani jednej żywej istoty w tym potworze, który, bucząc i trzęsąc się, wpadł z djabelskim wyciem do tunelu i zniknął w jego czarnej paszczy. Jak się okazało, jakiś milioner berliński, udając się do Egiptu, zamówił na swój przejazd całą linję kolejową aż do Brindisi; oprócz niego byli tylko jego lokaj i kucharz.

Dopiero po tej przerwie my — kilkuset pasażerów — mogliśmy pojechać dalej: droga była wolna. To nieduże, ale interesujące zdarzenie dało nam obfity materiał do rozmów: za dawnych czasów na podróżników napadali zbrojcy, dziś odbywają się napady na inną modłę. Ten i ów był niezadowolony z tego, że osoba prywatna miała możność wstrzymania ruchu na jednej z głównych linii europejskich — tylko poto, by mogła sama przejechać; nie doszło jednak do jakiegoś szczerego oburzenia. Pieniądze okazały swą wszechmoc, i wszyscy przed niemi kornie schylili głowy. — Dla mnie ten pociąg, wiozący z hałasem przez Europę zblazowanego milionera, człowieka, który nie zwracał nawet uwagi na wspaniały krajobraz i podróżował jedynie dlatego, że miał pieniądze, dla mnie więc pociąg ten posiadał specjalne znaczenie. Pomyślałem o sobie samym i o tem, z jakim trudem wyrwałem się ze swego kieratu; od siebie zaś przeniósłem się myślą ku tym wszystkim, którzy ginęli tam w domu z braku to tego, to

owego — z braku wszystkiego. Iluż wzgardzonych, iluż bezmyślnie zgnębionych było wśród tych, których znałem! A iluż takich jeszcze jest — na całej ziemi!

Dawniej już odkryłem miejsca puste; teraz zaś ożyły one przed memi oczyma. Ujrzałem tych wszystkich, którzy na nich nie siedzieli: — p a s a ż e r ó w m i e j s c p u s t y c h.

Odtąd chadzali oni za mną z tą wiernością, jaka cechuje biedaków. Otaczali mnie we dnie, a w nocy ożywiali moje sny.

Powiadają, że są ludzie jasnowidzący: mnie się wydaje, że każda istota ludzka przebywa pośród istot niewidzialnych, a dopiero chodzi o to, by je ujrzeć. Jest to pełen dar, lecz niezawsze bywa on dobrodziejstwem. Nawet w śpiewie Orfeusza można było dosłyszeć to, że grał on i śpiewał przed cieniami świata podziemnego — i że tam serce swe pozostawił.

Biada temu, dla czyich oczu otwarły się miejsca puste — serce jego nigdy już nie zazna spokoju. Dreczy się i choruje, bo wszędzie je zobaczy: toć świat jest usiany miejscami pustemi. Ziemia wydaje mu się pociągiem, który prowadzi szatan; z piekielną szybkością pędzi on tam, dokąd wyrывa się tęsknota ludzka — ale z miejscami pustemi. I swawolnie djabeł wykrzykuje nazwy stacyj, ponad ziejącemi miejscami — miejscami dla nieuchronnie opuszczonych!

*Przekład bezimienny w «Opowieściach pis. skandynaw.»  
Poprawił Alfred Tom.*

JOHANNES V. JENSEN

(ur. 1873)

FUDŻIJAMA

Najszcześniejsze przeżycie, jakie miałem kiedykolwiek, przypadło mi w udziale na morzu przed Japonją; odtąd nie utkwilo mi w pamięci żadne istotne wydarzenie. — Obudziłem się wczesnym rankiem przed wschodem słońca, ponieważ wiatr zawiewał do mej kajuty i we śnie tak byłem pełen radości, że nie mogłem leżeć dłużej; a kiedy wyrzuciłem przez otwarty iluminator, jakiś wysoki, wspaniały obłok stał właśnie przed memi oczyma... lecz nie był to obłok, to była — Fudżijama.

Cudowna ta góra wznosiła się z pośród wszechświata i, rzekłbyś, nie stała wcale na ziemi, była bowiem tak bardzo oddalona, że podnoże jej spływało się z mgłą błękitną, z której się składa niebo ponad Japonją. Nad niebem zaś biały stożek śnieżny przedzierał się skroś powietrze tak lekko, tak zwiewnie, że w jednej chwili pojąłem zarówno niezmierną masę i ciężar ziemi, jak i nieważki jej lot w przestworze.

Takie miałem wrażenie, jakby ziemia zjawiała się przede mną w swej świeżości kosmicznej, jako młoda planeta, wywijająca się z ciemności, ukoronowana zorzą północną, ze swą cudną sferą lazurową i wielobarwnemi mchami stałego lądu w świetle słonecznym.

To, co wtedy odczułem, było tem samym pierwotnem doświadczeniem, jakiego, dzieckiem będąc, nabywamy na widok pierwszego przedmiotu, zdźbła słomy czy kropli na szybie. Później, kiedy wdrożone pojęcia uczyniły z dzieciństwa kraj utracony, budząc wiarę w rzeczywistość inną, szlachetniejszą niż ta, którą widzimy — potrzeba nam oddalenia i obcości, wzniosłego zaskoczenia, aby przywrócić ziemi jej świeżość.

Gdy ujrzałem Fudżijamę, przepadł ostatni ślad mej wiary w byt inny, niż ten obecny. Zrozumiałem, że wyższym światem, do którego dążymy, nie może być żaden inny poza tym, który jest, że wszelako nigdy nie dosiegamy go w chwili decydującej, że w stosunku do niego codziennie okazujemy się ślepcami. Niema myśli bardziej, niż ta, owocnej. Jest to właściwie jedyna myśl, którą człowiek przeżyć zdoła.

Dlatego też Fudżijama jest górą świętą, przedmiotem kultu dla całego narodu.

Kolumbie! Jedna jest tylko radość trwała: móc ujrzeć znowu tę błogostawioną ziemię!

*Tłum. Alfred Tom.*

*Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.*



# LITERATURA HOLENDERSKA I FLAMANDZKA

---

---

JACOB VAN MAERLANT  
(1235—1300)

Z «ŻYWOTU ŚWIĘTEGO FRANCISZKA»

...Iżę Flamandem jestem sam,  
serdeczną prośbę do tego mam,  
co tę mą niemczyznę czytać będzie;  
niech zechce baczyć wszędzie,  
że słowa tu ładne się zdarzają,  
których nie słyhać w jego kraju...

---

JOHANNES VAN RUUSBROEC  
(1294—1381)

Z «KSIĘGI DWUNASTU BEGINEK»

Widzenie jest wiedzą zdala od świata,  
Co poza wszelki rozum wylata;  
Nie może bowiem do rozumu się zniżyć,  
A rozum nie zdoła aż tam się zbliżyć.  
Promienna niewiedza to czyste zwierciadło,  
Na które Bóg zsyła wieczne Swe światło.  
Nie zawiera ni bytu, ani postaci,  
Co kształt posiadało, oparcie w niem traci.  
Niewiedza wprawdzie to nie sam Bóg,  
Lecz światło, abyś Go widzieć mógł.  
Kto, pełen niewiedzy, w Bożem świetle brodzi —  
Co wiecznie-niepoczęte jest, znachodzi.  
Niewiedza, acz rozumna, jarzma rozumu nie wlecze:  
Dla niewiedzy wszystkie wyjaśnione są rzeczy.  
Dziwienie się jest stałym na ziemi zwyczajem,  
Przez życie widzące niezdziwieni się stajem.  
Niewiedza widzi więcej, niż sama przeczująca,  
Pokrewna jest wszystkiemu i nad wszystkim fruwa.

*Tłum. Alfred Tom.*

---

ERAZM Z ROTERDAMU  
(1467—1536)

Z «POCHWAŁY GŁUPOTY»

...Gdyby śmiertelni stale unikali wszelkiego obcowania z mądrością i żyli jedynie wedle moich przepisów, nie znalazby wieku starczego i byłiby szczęśliwi, używając wiecznej młodości. Przyjrzyjcie się jeno mrocznym minom tych, co zagłębili się w stu-

djum filozofji lub jakich innych trudnych a poważnych zagadnień. Ludzie tacy zdają się już być starcami, zanim jeszcze wogóle byli młodzieńcami, jako że właśnie troski i bezustanna uciążliwa praca duchowa stopniowo uśmiercają siły żywotne i soki z nich wysysają. Moi zaś wierni poddani wyglądają krzepko, zdrowo i dobrze są odżywieni; możnaby ich wziąć, jak się to mówi, za dobrze utuczone wieprze akarnańskie. Z pewnością nie czuliby nigdy ułomności wieku starczego, gdyby od czasu do czasu nie zarażali się trochę od mądrych. Ale trudno! człowiek nie urodził się poto, aby na tym padole zaznać doskonałego szczęścia. Następnie mogę i dla siebie powołać się na znaczące świadectwo przysłowia, które orzeka, że jedynie głupota potrafi zatrzymać tak skądiną niestałą młodość oraz czarami osadzić w miejscu szkaradny wiek starczy. To też jest najzupełniej uzasadnione to, co się zazwyczaj mówi o mieszkańcach Brabancji. Zamiast, jak inni ludzie, z biegiem lat nabierać rozsądku, okazują się jeno tem głupszi, im bardziej się zbliżają do starości; można też śmiało utrzymywać, że z żadnym innym narodem nie da się obcować równie przyjemnie, a także, że żaden inny naród nie cierpi mniej pod brzemieniem lat. Do tych przyłączają się moi kochani Holendrzy, którzy żyją w tej samej strefie i mają prawie te same obyczaje. Dlaczegożbym miała nie nazywać ich swoimi, kiedy są tak do mnie — Głupoty — przywiązani, że dzięki temu zasłużyli sobie nawet na przymiotnik, wysnuty z mego imienia? Nietylko nie myślą wstydzić się tego, ale poczytują to sobie za szczególny zaszczyt i tytuł do sławy. Mogą sobie arcygłupi śmiertelnicy wzywać Medei, Circe, Wenery i Aurory i szukać jakowegoś źródła, by znów stać się młodymi: dobra tego użyzczyć mogą tylko ja jedna, i użyzczam go też codziennie...

*Tłum. Alfred Tom.*

### JOOST VAN DEN VONDEL

(1587—1679)

#### Z «NURTÓW RENU»

Renie czcigodny! w mój sen upowity,  
 Jakąż cię pieśnią wielbić się ośmielę?  
 Renie! twe źródła Alp widziały szczyty,  
 Rodzinne miasto u twych stóp się ściele.  
 Europy sercem tobie być sądzono!  
 Brata straciłeś u progu istnienia,  
 Bo ledwo matki wydało was łono,  
 Już Dunaj bieg swój ku wschodowi zmienia —  
 I tak z lodowej wyrwanych pościeli  
 Los was rozerwał i ziemia was dzieli!

Germanów ziemię mrok nocy pokrywa,  
 A duch ciemności ponad nimi krąży.  
 Nagle Germanja do lotu się zrywa,  
 W karnych zastępach już do światła dąży.  
 Tyś wtedy, Renie, odważył się szczerze  
 Potężnym ciosem aż na Rzym uderzyć,  
 Kiedy Konstantyn i dzielni rycerze  
 Tybru potęgę i twą chcieli zmierzyć,  
 Wtedy też wydarł odwiecznemu państwu  
 Odwieczną sławę, wydarł ją pogaństwu.

Radości wtedy brzmiały pieśni wkóło,  
 Gdy odbierały wody tve chrzest święty,  
 A nawet Jordan chylił swoje czoło,  
 Gdy pod Chrystusa jarzmem stałeś zgięty.  
 Lecz nie tak twardy był krzyż Chrystusowy,  
 Jako ten ciężar, któryś wtedy dźwiگاł,

Gdy wielki Cezar swój zastęp bojowy  
Rzucił na ciebie, wszędy śmiercią ścigał.  
Pięćdziesiąt zamków, co Druzus budował,  
Twój brzeg pochwycił, twój piasek pochował.

Jak swojej wiary ty dotrzymasz! Oto  
Los cię miał wkrótce wystawić na próbę;  
Lecz ty wyszedłeś tak czysty, jak złoto,  
Kiedy Attyla dziki szerzył zgubę,  
Gdy krwią przelaną wezbrały twe fale,  
Gdy w twym łożysku z trupów wał wyrasta,  
Gdy pychą pjany on stąpa zuchwale,  
Łupi i grabi popalone miasta,  
Z pochodnią w ręku gdy toruje drogę,  
Siejąc wokół mordy i pożogę.

Zdławiony tylko krzyk twa pierś wydała,  
Na pomoc wzywasz niebo płomieniste,  
A nie napróżno prośba twa wzlatała,  
Bo nadszedł Karol — i znów brzegi czyste.  
On wygnał dzikie, obce szumowiny,  
Wznowił, co niegdyś Konstantyn utworzył,  
Wolne już teraz twoje są głębiny,  
Zakwitło wszystko i kraj cały ożył,  
A w reńskiej twojej okolicy możnej  
Obrał stolicę ten rycerz pobożny.

Renie! przez ciebie młyńskie koła warczą,  
Tyś budowniczym, spławu gospodarzem,  
Państwa granicą i obronną tarczą,  
Miłego wina ty jesteś szafarzem!  
Spraw, niechaj młyny dadzą mi papiery,  
Bym mógł twą sławę opiewać na wieki!  
Wody twe budzą taki zapał szczery,  
Tak moje zmysły pędzą w kraj daleki,  
Że na twej fali jestem jak łabędzie,  
Które liść winny nęci k'sobie wszędzie.

*Tłum. Wł. Trąpczyński.*

#### Z «LUCYFERA»

Lucyfer:

...I ponad wszystkich niebios blask promienny,  
Nad wszystkie sfery, ponad wszystkie szczyty  
Tron mój wyniosę! Niebo niebios będzie  
Pałacem moim; płaszczem strop gwiazdzisty,  
Łuk tęczy — krzesłem, a podnóżkiem — ziemia!...  
Ha, nim ustąpię, wprzód ten firmament,  
To mocne, dumne, wyniosłe sklepienie  
Runie spękane i w proch się rozprysnie...  
Wprzód cudowna wszechświata harmonja,  
Zwiczrzona, mętna, w chaos się pograży...

Zwycięstwo nie jest pewne, zmusić ich do odwrotu  
Nielatwa rzecz; czyż mogę rozpocząć bój nierówny?...

Czyż stanąć mam na czele rokoszan i fałszywe  
 Prawo przeciwko niebios świętemu głosić prawu?..  
 Ha, z prostej obowiązku dalekom zboczył ścieżki!  
 I Stwórcy się wyrzekłem! Lecz czyż przed światłem Jego  
 Ukryję hańbę moją i czyny me występne?  
 Nadzieja już stracona — otóż i wojsko Boże...

\_\_\_\_\_ *Tłum. Ignacy Matuszewski.*

## WILLEM BILDERDIJK

(1756—1831)

### W SAMOTNOŚCI WIECZOREM

Oto już mi zniknąłeś, dniu pełen radości,  
 Próżnobyć cię przywołać chciał tęsknoty siłą!  
 Z tobą zniknęło razem szczęście mej miłości,  
 Jak słońce twoje jasne, co w morzu się skryło.  
 W ciemności teraz oko pola nie dostrzega.  
 Zimowej, smutnej nocy surowa bogini  
 Sprawia, że ból miłości bardziej ci dolega  
 I że serce cierpiące nieszczęśliwszem czyni.  
 O, straszliwa ty nocy! Gwiazdy to mamidła!  
 A wzrok mój tylko z gniewem wielkim ku nim bieży.  
 Czemuż ty, nocy, wieszasz fałszywe świecidła  
 Przy ponurej tej swojej żalobnej odzieży?  
 Ja ich nie pragnę wcale, tych gwiazd, co wysoko  
 Puste i czcze, i zimne błyszczą na twem niebie,  
 Bo życia mego gwiazda — to Melindy oko:  
 Jesteś błogosławiony, gdy spojrzysz na ciebie!  
 Tak! szczęśny, komu gwiazdy miłosnych promieni  
 Ani chmura nie zaćmi, ani mgła nie skryje,  
 Komu blask jej męczarnie w rozkosze zamieni  
 I komu w bólach nocy jeszcze luną bije.  
 O, serce gorejące! Czemuś ty lękliwe,  
 Kiedy noc swoim kirem tę ziemię powleka?  
 Dlaczegoż ty się żalisz później, nieszczęśliwe,  
 Że dzień jest taki krótki, tak szybko ucieka?  
 A jednak to był słodki dzień, gdy w swojej dłoni  
 Dłoń jej lubą trzymałeś i gdyś tulił drogą,  
 Gdy tak słodkich całusów ona ci nie broni,  
 Że aż sam nie wiedziałeś, iż tak palić mogą.  
 Blask, co jej oczy siały, był ci życia treścią,  
 Widzisz w nich los swój cały, w nich szukasz zbawienia;  
 Wtedy tyś ją nakłonił zmiękczoną boleścią  
 Do współczucia wielkiego dla twego cierpienia.  
 Więc raczej teraz hamuj nad rozłąką zale,  
 Nad tą długą rozłąką, co trwa aż do zorzy,  
 Długie nocy godziny przebolej wytrwale,  
 A nowe światło wkrótce radość ci otworzy.  
 Zmiłowanie ci niesie ten dzień, który świta  
 I który twe cierpienia z serca ci wypłoszy,  
 Poranek cię znów w lubej objęciach powita  
 I męczarnię twą zmieni na morze rozkoszy,

\_\_\_\_\_ *Tłum. Wł. Trąpczyński.*

## HENDRIK CONSCIENCE

(1812—1883)

Z «PAMIĘTNEGO ROKU 1556»

...Chłopak odprowadził konie, i obaj Gezowie weszli do oberży. Wychylili kilka szklanek wybornego napoju i wśród żywej rozmowy rozważali wypadki dnia. Wtem spostrzegli, że przy pobliskim stole siedział człowiek w średnim wieku, choć zupełnie siwy, i przypatrywał im się smutnymi oczyma. Ubrany był ubogo, a zmarszczki na czole i przygnębiony wyraz twarzy zdradzały, że życie przedwcześnie zestarzałego nie słało się różami. Chwilami pochylał głowę, by ukradkiem otrzeć łzy. Schuermans był dobry z natury i żal mu się zrobiło nieznajomego, więc podszedł ku niemu i zapytał uprzejmie o powód smutku. «Szlachetni panowie», odrzekł tamten, «słowa wasze wbiły mi sztylet w serce». — «Kto jesteście?» — «Nazywam się Louis van Horst». Gezowie ze czcią uchyliili kapeluszy: «Pozdrawiamy was, szlachetny mistrzu! Cześć wam, van Horst, sławny nasz współobywatelu!» — Smutny nieznajomy, który był znanym malarzem, uśmiechnął się na te oznaki szacunku. «Co wam zrobiono, panie, jaki jest powód waszego zmartwienia?» powtórzył pytanie Schuermans. — «Nie wiecie», rzekł mistrz, «jak bardzo artysta kocha własne dzieło. Każdy ojciec wylewa łzy, gdy widzi nieszczęście, grożące jego dzieciom, a i ja oplakuję los mych obrazów, które sławą opromieniły ukochaną naszą Antwerpję!» Gezowie zamienili szybko spojrzenia. «Życie spędziłem jak w gorączce, choć jestem młody, już osiawiałem i twarz mi się pomarszczyła. A to dlatego, że całą duszę kładłem w to, com malował, by powołać do życia martwe płótno». — «Zaiste, obawy wasze nie są płonne, niestety», rzekł Schuermans. «Myślę, że obrazy wiele ucierpią w dniach wojny i niepokoju». — «Zapewne», zaczął znowu malarz, «obrazy moje powyrzucają ze świątyn, jak wściekle psy rozszarpiają moje nadzieje, na zawsze wymażą me imię wraz z imionami innych, których kraj nasz wydał... cudzoziemcy pozbierają strzępy mych płócien i zabiorą do obcych krajów». — Ludwik nie mógł oderwać oczu od malarza. Nigdy nie widział podobnie szlachetnego płomienia w oczach ludzkich. Stał wzruszony przed mistrzem i szukał słów serdecznej pociechy — lecz van Horst wiedział na pewno, że za dni kilka sekta obrazoburców rozpocznie bezbożne dzieło. «W kościele Najświętszej Marji Panny wisi mój obraz — pracowałem nad nim dziesięć miesięcy... żyłem zdala od świata, sam ze swoją sztuką... gorączkowa praca i zmęczenie skróciły mi życie... Lękam się najwięcej o ten obraz — prosiłem, by go umieszczono w miejscu bezpiecznym, ale nie chcieli słuchać — powiedzieli, że nie mam prawa rozporządzać się tem, com dobrowolnie sprzedał. Zmusiła mnie bieda, inaczej mój «Cierpiący Chrystus» nie opuściłby mej pracowni». — Schuermans i jego towarzyszy zapewnili, że zrobią wszystko, co będzie w ich mocy, by uratować owo dzieło od zguby. — «Mam dość siły i odwagi, by bronić mego obrazu. Wszystko obmyśliłem. Gdy nadejdzie dzień grabieży, będę bronił mego «Chrystusa» z mieczem w ręku, gdyby jaka zbrodnicza dłoń nań się targnęła. Nie cofnę się przed rozlewem krwi. Nie, nie przeżyję mego obrazu ukochanego...»

Wstał dzień mglisty i chłodny. Na wschodzie kłębiły się chmury, zasłaniając niebo, słońce skryło się, jakby nie chciało oświetać krwawych scen, które miały nastąpić... Nikt nie przeczuwał wypadków dnia. Około siódmej zaczęły napływać masy ludu. Niby fale wzburzonego morza, zbierały się tłumy z miasta i okolicy. Rybacy rzucili sieci, rzemieślnicy warsztaty, niejeden spokojny obywatel wyszedł przez ciekawość na ulicę i nie wracał, pociągnięty rzeką ludzką. Wszędzie widać było zbrojnych. Od czasu do czasu ktoś wołał: Niech żyją Gezowie! — A motłoch podchwytował okrzyk i powtarzał bez końca. Największy ścisk panował na rynku. Magistrat, przewidując plany Gezów, poobstawił ratusz łucznikami... Nadchodziła ósma. Morze głów płynęło w kierunku kościoła Panny Marji. Partja Godmarta stanęła w środku głównej nawy, gotowa przelać krew w obronie świątyni. Dom Boży przykry przedstawiał widok. Broń dzwoniła o filary, tłuszcza głośno kłęła i wyła okrzyki na cześć Gezów...

W bocznej nawie wisiał cudnej roboty obraz konającego Chrystusa. Wielu rzucało nań złe spojrzenia, lecz nikt nie śmiał podejść bliżej: przed obrazem stał wysoki mężczyzna, siwe włosy spadały mu na ramiona, w ręku miał rusznicę, w oczach płynęła taka determinacja, iż łatwo było zgadnąć, że bez wahania strzeli w tęb każdemu, co się ośmieli podnieść bezbożne ręce na to dzieło sztuki.

Obrazoburcy otoczyli go kołem i rzucali nań kawałkami drzewa, by go wypędzić z tego miejsca, lecz on nie ustępował, i zdawało się, że jest nieczuły na uderzenia, jak i na słowa. Nagle ktoś zaszedł go z tyłu i przewrócił nawznak — rusznica wypaliła — jeden z napastników dostał cały ładunek w piersi.

«Na śmierć!» rozległo się, «zabijcie go!»

«Mój obraz!» zawołał malarz, «o! mój Chrystus ukrzyżowany!»

Podniósł ręce błagalnie do góry. Widział jeszcze, jak bezbożne dłonie dziurawiły płótno — w tejże chwili sztylet Geza przebił mu serce. Ostatnim wysiłkiem podniósł się artysta, ale wnet padł martwy na strzępy swego obrazu.

*(Przekład bezimienny, wyd. w Poznaniu, r. 1914).*

## NICOLAAS BEETS (HILDEBRAND)

(1814—1903)

### GDY DZIECI PODROSNĄ

Gdy dzieci już podrosną, o! drogi przyjacielu,  
Ty będziesz miał spoczynek po troskach życia wielu.  
I chociaż włos zbieleje, twarz zmarszczką się pokryje,  
To i cóż w tem jest złego, gdy młode serce bije!

Trzech chłopców, cztery dziewczyn — to ładna jest gromadka,  
Najstarszy lat piętnaście, najmłodsze karmi matka,  
A nieustanna piecza jesienią czyto wiosną  
Jest stale twym udziałem. Lecz dzieci te podrosną!

Zamknięty dla przyjaciół, bo czas twój ci pożera  
Ten kłopot o twe dzieci i o nie troska szczerą;  
Paleta w kącie i książka, ni czytasz, ni malujesz,  
Niech tylko dzieci wzrosną, to wszystko powetujesz!

Posłubna moja podróż nie była długa zgoła,  
O! z domu do parafji, a potem do kościoła,  
I po dziś dzień nie znamy, co są te w świat podróże,  
Lecz kiedyś... Bóg dozwoli — gdy dzieci będą duże.

Do obcych dążąc krajów, pół szczęścia doznawałem,  
Bo myślą mą i sercem przy żonie zostawałem.  
Wróciłem wnet do ciebie i do tej małej rzeszy;  
Gdy dzieci nam podrosną — wycieczką Bóg pocieszy!

Com znalazł w świecie, wskażę — piękności tych szeregi,  
Nad Ren cię poprowadzę i nad Mozeli brzegi,  
Zobaczysz Szkocję, Francję, wszystko, co dusza marzy,  
Przepychy świata ujrzysz, gdy już będziemy starzy.

Gdy dzieci będą duże! Nie, nie patrz tak się zbliśka,  
Masz taki uśmiech, droga, że z niego iza przebłyśka.  
Gdy dzieci będą duże!... Toć kres nastąpi przecie,  
A wtedy, ukochana, zakwitnie raj na świecie!

I większa, coraz większa ta dziatwa wyrastała,  
Lecz zanim jedna wzrosła, już druga przybywała.  
Witam cię, czwarty synku, przybywasz wporę w gości,  
I ty urosniesz duży w spokoju, szczęśliwości.

Z radością matka wita, więc bądźże ty bez lęku,  
Wszak tyłu wychowała już ona na swych rękach.  
O, Boże! Nagle życia przerwały się ogniwa!  
Dzieci wzrosły, lecz matka już w grobie spoczywa.

*Tłum. Wł. Trąmpczyński.*

MULTATULI (EDUARD DOUWES DEKKER)  
(1820—1887)

Z «LISTÓW MIŁOSNYCH»

Do Fancy

Ktoś ty, drogie dziecko, kto? Jak się zwiesz? Kędy przebywasz?  
Mam-że przyzywać cię imieniem z «Pieśni nad pieśniami»? — Byłażbyś Sulamitą  
ciemną? Jest-żeś lilją Saronu, czyli narcyzem doliny?

Objąć-że mam szyję twoją lewem ramieniem, a pieścić — prawem?

Mam-że ze spojrzenia twego czerpać poezję? Pieśń śpiewać na cześć twoich  
włosów?

Czyliż zobaczę cię dziś, jutro, kiedykolwiek? Czyliż dopiero po śmierci ujrzą cię  
moje oczy?

Jest-żeś przepychem, czyli też cnotą, rozkoszą, czyli genjuszem? Jest-żeś nie-  
śmiertelnością? Pokojem? Przeszłością? Przyszłością? Aniołem, demonem, czyli też  
widmem?

Wieszczko, westalko, wyrocznio, Sybillo, Eperjo! Rafaela siostró, gdzie jesteś, kędy  
przebywasz?

Mam-że szukać cię w obłokach, czy też wśród ulic miasta?

Mam-że pytać strażę, bram strzegącą: — Azali nie widzieliście onej, którą mi-  
luje dusza moja?

Mam-że wyrzec zaklęcie, abyś spłynęła z wyżyn? Czarę użyć, byś się z głębin  
uniosła?

Czyliż przebywasz na planecie, ziemi podobnej? Wirujeż ojczyzna twoja, jak  
biegnie i wiruje moja ojczyzna, nie mając ni podstawy, ni szczytu?

Widzisz-że ty słońce, Fancy?

Byłażbyś ty sama słońcem, Fancy?

Jest-żeś owem centrum ziemi, centrum, które wszystko przyciąga?

Natenczas, Fancy, każda kropla dżdżu jest mojem do ciebie postanieniem! Naten-  
czas każda błyskawica, po przestrzeni leżąca, ku tobie, Fancy, ku tobie moją poniesie  
miłość! Tak, tak, wyrzucę ten list na ulicę: pierwszy lepszy podejmie go z myślą, że  
kupi go za cenę miedziaka — lecz oto błyskawica wywiedzie go w pole!

Pisz mi, czy list doszedł! I przyslij mi pukiel włosów, Fancy, jeśli masz włosy,  
jak inne... Nie sądzę...

Szósta historia o autorytecie

Oto urodziło się po raz pierwszy dziecko! Matka była w zachwycie, a i ojciec  
spoglądał na nie z serdeczną miłością.

— Lecz powiedz mi, Genjusz, czy zawsze pozostanie takie małe — pytała  
matka; po chwili zaś dodała: — Sama nie wiem, mam li tego pragnąć? Chciałabym  
oglądać w niem człowieka, a jednak żalby mi było, gdybym go ani nosić, ani pierśią  
własną karmić nie miała!

— Dziecko twoje wyrośnie na człowieka — rzekł Genjusz. — Pierś twoja nie-  
zawsze żywić je będzie. I niezawsze nosić je będziesz na rękach.

— O, Genjusz! — zawołała przerażona matka — czyliż odejdzie mnie dziecko  
moje? Czy oddali się, gdy chodzić potrafi? Co mam czynić, aby nie odeszło mnie  
dziecko moje, gdy już chodzić potrafi.

— Kochaj twoje dziecko — odparł Genjusz — a nie odejdzie cię.

I stało się tak. I było tak przez jakiś czas. Aliści dużo na świat przyszło dzieci. ciężyła wielu rodzicom miłość dla wszystkich dzieci.

Tak tedy wymyślono przykazanie, które miało zastąpić miłość — jak wiele innych przykazań. Łatwiej bowiem jest dać nakaz, niż miłość.

Czcij ojca twego i matkę swoją!

Dzieci opuszczały rodziców, skoro tylko umiały chodzić. Do nakazu dodano obietnicę:

Aby ci się dobrze działo na ziemi!

I natenczas kilkoro dzieci pozostało przy rodzicach.

Lecz nie pozostały w myśl słów pierwszej matki i w myśl pytania, jakie zwróciła do Genjusza: «Co mam czynić, aby nie odeszło mnie dziecko moje, gdy już chodzić potrafi?»

I tak jest aż po dzień dzisiejszy.

#### Z «IDEJ»

#### Pigmeusz

Opowiem wam, w jaki sposób przyszła na świat pokora.

Pigmeusz był bardzo małego wzrostu. Zależało mu wszakże wielce na tem, aby patrzeć z góry na innych. Lecz udawało mu się to nader rzadko, ponieważ taki był, niestety, mały.

Wybrał się w podróż, aby poszukać ludzi, mniejszych od siebie: nie znalazł. Żądza zaś patrzenia z góry na innych rosła w nim i stawała się coraz gwałtowniejsza.

Przybył do Patagonji; tu ludzie są tak wielcy, że noworodki patrzą z góry na rodziców.

Nie podobało się to Pigmeuszowi... u innych. Lecz, zwątpiwszy już o możliwości znalezienia mniejszych od siebie ludzi, wziął się na sposób. Wymyślił cnotę i ustanowił jako jej «pierwszy warunek: ktokolwiek jest większy od Pigmeusza, będzie się schylał aż pod poziom Pigmeuszowej twarzy». Nowość przyjęła się. Wszyscy Patagonce stali się cnotliwi. Jeśli znalazł się ktoś, kto, prosto chodząc, wykroczył przeciwko «pierwszemu warunkowi» Pigmeuszowej cnoty, karany był w osobliwy sposób. Rzucali się na niego wszyscy skrzywieni i cnotliwi i póty opornemu zginali szyję, póki twarz jego nie pochyliła się do punktu patagońskiej cnotliwości. Tego zaś, co całą Patagonję dźwigał na swych barkach, a nie chciał być cnotliwy, stawiano pod pręgierz z tablicą, na której było wypisane jedno patagońskie słowo: człowiek ten zaważał Pigmeuszowi.

Przetłumaczywszy ten wyraz patagoński na nasz język, otrzymamy — pychę.

*Tłum. Marja Zabojecka.*

#### DEFINICJA SPECJALNOŚCI

«Niechże nam pan, ale bez żartów, powie, co to jest specjalność».

«Nie żartuję nigdy. A i teraz nie będę żartował. Temat jest zbyt poważny.

«Specjalność to taki osobnik, który w ciągu całego życia zaniedbywał rzeczy coniemiarą, by wzamian osiągnąć stopień przeciętności przy wykonywaniu jakiegoś rzemiosła, uprawianego także przez innych. Specjalność to ktoś, co sam siebie oslepia przez uparte wpatrywanie się w jeden jakiś punkt... co sobie wyobraża, że ma prawo być lub co najmniej wydawać się krótkowzrocznym — wobec wszelkich innych rzeczy. Specjalność to...

«Ale w inny jeszcze sposób wytłumaczę państwu, co to jest specjalność... Czyście kiedy widzieli, jak zamiatają ulice?»

«Niedość często, jak należałoby tego pragnąć w interesie higieny. Ale bądź co bądź czasami!»

«Czyście wówczas, państwo, nigdy nie poczuli w sobie chęci wyrwania zmiataczowi miotły z rąk, by mu pokazać, jak to zmiatać należy?»



«Istotnie, często!»

«Otóż, wedle pojęcia, jakie macie, państwo, o zmiataniu — czy ludzie ci zmiatali dobrze?»

«Z ręką na sercu, klnę się na zbawienie duszy, na swoje szczęście i na spokój sumienia, wobec Boga i ludzi — nie!»

«Doskonale! Skorośmy to ustalili, pozwolę sobie zapytać państwa, czy sądzą, że podobny zmiatacz byłby zdolny udzielić wam porady prawnej, dzieci wasze wyleczyć z krupu, znieść długi państwowe, wynaleźć druk, odkryć Amerykę i t. d., i t. d.?»

«Z ręką na sercu, na zbawienie duszy i t. d. — nie!»

«Otóż więc! Ten zmiatacz ulic, który zmiatać nie umie, a który nie zna się na żadnym innym rzemiośle poza nie-umiejętnością zmiatania — to jest właśnie specjalność!»

#### DOBROTLIWY STWÓRCA

— Widzisz, synku, jak mądrze Opatrzność wszystko urządziła. Ptak składa jajeczka do gniazdka. Młode wyleżą akurat w tym czasie, kiedy dość będzie robaków i much, któremi mogą się żywić. A wtedy śpiewają pieśń pochwalną na cześć Stwórcy, który tyloma dobrodziejstwami obsypał twory swoje...

— Tato, a czy robaki też wtedy śpiewają?

#### PLATON I TERSYTES

Platon był kiedyś silnie przeziębiony i kaszlał też odpowiednio. Tersytes nasładował to jego kaszlanie, a potem zapytał:

— Nie jestem-że teraz podobny do Platona?

Nie było to jeszcze najgorsze ze wszystkiego, pytać bowiem wolno każdemu.

Najgorsze było to, że tysiące odpowiedziały:

— Co do joty! Niech żyje Tersytes, nowy filozof!

Jegomość ten stworzył szkołę.

A przeto: cave, caveto, caveto: cavete, cavetote, caveunto!

*Tłum. Alfred Tom.*

#### CHARLES DE COSTER

(1827—1879)

#### Z «DYLA SOWIZDRZAŁA»

#### O dniu urodzenia Dyla

Pewnego dnia wywoływano z okien ratusza w mieście Brugji, ażeby mieszkańcy miasta ślali modły do Pana zastępów na intencję dostojnej pani, małżonki Karola-cesarza, w brzemiennym będącej stanie, iżby rychło a szczęśliwie powiła.

Drżąc na całym ciele, wstąpiła akuszerka Katarzyna do domu Klasów. «Cóż ci to, akuszerko?» spytał Klas. «Biada!» odrzekła owa w przerywanych słowach, «niniejszej nocy duchy, co koszą ród człowieczy, jakoby kosiarz trawę, pogrzebały żywcem dziewczynę pewną; na jej ciele tańczył kat! Kamień, który pocił się krwawym potem przez dziewięć księżyców, rozpękł tej nocy!»

«Panie, zmiłuj się nad nami! Panie, zmiłuj się nad nami!» wdychała Klasowa, «oto zły omen dla ziemi flandryjskiej». — «Aza widziałas to na własne oczy, czy we śnie?» zapytał Klas. — «Na własne widziałam oczy», odrzekła Katarzyna. I bledsza od śmierci, ze łzami w oczach ciągnęła: «Oto dwoje urodziło się ninie niemowląt; jedno w hiszpańskiej ziemi, któremu na imię dano Filip, drugie w ziemi flandryjskiej, syn Klasa, zwanego «węglarzem», ten-ci zwan kiedyś będzie Dylem Sowizdrzałem. Filip stanie się katem ludu, bowiem spłodził go Karol-cesarz, morderca Flandrii. — Sowizdrzał ów

zase będzie wielkim mistrzem wesołości i krotochwilnych figlów, lecz serca będzie statecznego i zacnego, bowiem Klas był mu rodzicem, dzielny robotnik, co w poczciwości i serca czystości na swój chleb powszedni pracuje. — Karol-cesarz i Filip-król przejadą konno przez życie i ludziom wiele złego przez wojny, ucisk i wszelaki występki wyrządzą. Klas, co przez tydzień cały pracuje uczciwie i w zgodzie z prawem żyje i śmieje się, miasto lzy ronić nad ciężkim swym trudem, będzie wzorem dzielnego robotnika flandryjskiego.

«Sowizdrzał nie będzie widział swej śmierci i zawsze młody pozostanie; cały świat przewędruje, a nigdzie na trwałe się nie osiedli. Będzie chłopem i szlachcicem, malarzem i rzeźbiarzem, wszystkim równocześnie. Świat przewędruje, chwając rzeczy dobre i piękne, a kpiąc wesoło z ludzkiej głupoty.

«Klas oto jest twą siłą, szlachetny ludu flamandzki, jego żona jest twą dzielną macierzą. Dyl Sowizdrzał jest twym dowcipem, gładka i miła dziewczka, towarzyszka Sowizdrzała i, jako on, nieśmiertelna, będzie sercem twojem, a gruby kałdun, Maciek Brzuchacz, twym żołądkiem.

«Na górze oto będą oprawcy ludu, wdole ofiary; na górze złodziejskie trutnie, wdole zasia pszczołki skrzętne; a hen w niebie krwawić będą Pana Chrystusowe rany».

Po tych słowach zniknęła Katarzyna, dobra wróżka.

### Dyl zdziera maskę wrogom Flandrji

W dniu piętnastym sierpnia, w którym, jako w dniu Najświętszej Marji Panny Zielnej, święci się ziola i plody ziemi i w którym kwoczki, syte ziarn, głuche są na pianie miłosne zawsze pożądającego koguta, w dniu tym połamał pewien Włoch, pozostający na żołdzie kardynała Granvelli, krzyż kamienny, stojący w bliskości jednej z bram miasta Antwerpji. Z kościoła Marji Panny wyszła w dniu tym procesja, poprzedzana przez gromadę w zieloną, żółtą i czerwoną barwę przyodzianych błaznów. W czasie procesji jakowś nieznanymi łotrzykowie zbeczcęścili figurę Najświętszej Marji Panny, którą wniesiono z pośpiechem znów na chór kościelny, poczem zamknięto kratę chóru.

Sowizdrzał wraz z Mackiem weszli za innymi do kościoła. Gromada młodych oberwańców, których nikt nie znał, stała przed chórem, porozumiewając się między sobą minami i sobie wiadomymi znakami. Wszyscy oni tupali nogami i wrzeszczeli, czyniąc w kościele tumult wielki. Jako ich nikt nie znał ani w mieście przedtem nie widział, tako i potem nikt ich już więcej nie obaczył. Jeden z nich, z gębą jakoby spalona cebula, pytał się tłumu, zali ona figura Marji tak się wielce przeraziła, iż do kościoła co prędzej powróciła?

«Ciebie się wierę nie bała, ty szpetny pysku afrykański!» krzyknął nań Sowizdrzał. A kiedy ów szedł z pięściami na Sowizdrzała, ułapił go tenże za kark, grożąc: «Dotknij mnie jeno, a padnie ci wypluć wnet z gęby twój ózór nikczemny!»

Poczem zwrócił się Sowizdrzał do poniekórych znanych sobie mężów antwepskich, przytomnych w kościele, i rzekł, na onych łotrzyków czeredę pokazując: «Strzeżcie się, waszmościowie, onych judaszów. Kłamni to wierę Flamandowie, zdrajce, których wrogowie Flandrji kupili za grosze, by nam przez nich wszelkie zgotować kłęski i niedole».

I zaraz krzyknął do nieznanym drabów:

«Ejże, wy włóczyki, powsinogi wszawe, wyschle docna z biedy, skądże to dzwonią dziś w waszych dziurawych mieszkach talary? Zaliście wasze skóry już wprzęd na bębny przedali?»

«Patrzcie ino, jakowy kaznodzieja!» wołali obwiesie.

I znów pokrzykiwali, Najświętszej Pannie urągając:

«Spójrzcie, jak grzeczne szatki ma Marysia! I nie byle jaką koronę! W sam raz przystoiłaby się na głowę mojej dziewczuchy!»

Poczem wyszli przed kościół, jeden z nich wylazł na kazalnicę i mówił do ludu kazanie, pełne słów nieprzystojnych. I znów powrócili do kościoła, krzycząc:

«Marysiu, zleż-no sama nadół z chóru, zanim cię strącimy! Uczyni cud, byśmy naocznie widzieli, iż umiesz snadnie sama chodzić po ziemi, jako nosić się ninie każesz, próżniaczko!»

Sowizdrzał zasie wołał z całej mocy: «O, wy puszczyki obmierze, poniechajcie waszych mów bluźnierczych, bowiem będą one nam za zbrodnie policzone!» Aliści owi nie ustawali w bluźnierstwach, owszem poniektórzy radzili jeszcze nad tem, jakby to chór rozburzyć a zniewolić figurę, by nadół zesła.

Starucha niejaka, która sprzedawała pod kościołem świece, posłyszawszy te ich bluźniercze mowy, cisnęła im w gęby garnek gorącego popiołu, przy którym stopy grzała. Owi, mszcząc się, grzmotnęli babinę o ziem, pobiwszy i poturbowawszy niebogę srodze. I ninie rozzłoszczona gromada poczęła na dobre gospodarzyć w kościele.

Pewnej chwili pojawił się sam pan markgraf z pacholkami. Obaczywszy tłum owej gołoty, wyjść im przykazał z kościoła, aliści słowy tak łagodnymi, że jeno kilku nakazu posłuchało; inksi zasie wołali: «Wasza Miłość, chcielibyśmy owo wysłuchać wprzód niesporu, odprawianego przez kanoników ku czci Marysi».

Na to pan markgraf: «Niesporu dziś nie będzie».

«Sami go odprawimy», odpowiedzieli łotrzykowie. I wyśpiewywać poczęli swywolne wielce pieśni w nawach bocznych i w przedsionku kościelnym. Poniektórzy grali w kości, pokrzykując zuchwale: «Maryś, godzi się, byś sobie z nami w kości zagrała, jako że tam w niebie gra taka ci się nie przydarza, i bez ochyby nudno ci tam być musi». I lżyli tak bez nijakiego upamiętania wizerunek Najświętszej Marji Panny, wrzeszczeli, śpiewali i gwizdali.

Pan markgraf udał, iż się przeraził, i wyszedł z pacholkami swymi z kościoła. Na rozkaz jego zamknięto wszystkie bramy kościoła, nie pomijając ni jednej.

Łotrzykowie zasie poczynali sobie tem zuchwalej i krzyczeli coraz to głośniej, aż drżały mury kościelne, i wrzask, od sklepu odbity, huczał, jakby łoskot stu harmat.

Jeden z drapichróstów wstąpił na kazalnicę, właśnie ów, co miał gębę barwy spalonej cebuli, i skinawszy na kamratów ręką, tako mówić począł: «W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, którzy są trójcą w jedności i jednością w trójcy, Panie Boże, ochroń nas w twym raju przed sztuką liczenia! Oto dnia dzisiejszego, sierpnia piętnastego, wyszła z kościoła ta oto Maryska w paradnej szacie i okazała swe drewniane liczko ichmościom szlachetnie urodzonym i mieszczanom miasta Antwerpji. Aliści podczas procesji napotkała imć pana szatana, któren, dworując z niej, tako rzekł: — Oto przystroiłaś się, niewiasto, dumnie, jakoby jej miłość sama pani królowa; czterej panowie niosą cię na ramionach, i ani spojrzeć ci ochota na biednego kusonogiego, któren jechać musi na szewckim zydłu. — Niewiasta odpowiedziała: — Z drogi, szatanie, jeżeli nie chcesz, bym ci łeb docna rozdeptała, zmiju, pełen złości! — Niewiasto, rzekł jej na to kusonogi, wszak ci to już piętnaście wieków na tem zajęciu zbiegło, wszelako duch pański wyzwolił mnie ninie. Silniejszy jam dziś wierę od ciebie, a przeto nie będziesz już deptać po mej głowie, jeno zatańczysz, jako ja ci każę. — I wziął kusonogi w rękę długi i giętki pręt i chłostać począł nim Marysię. Ona zasie ani pisnęła ze strachu, by nie okazać swej słabości, jeno tańczyć poczęła tak szybko, iż ichmoście, co ją na ramionach dźwigali, biec byli zniewoleni w obawie, by im wśród tłumu z ramion nie spadła i nie zginęła wraz ze złotą koroną i inkszemi klejnotami. A ninie stoi sobie w swej wnące cichutko i ogląda ze strachem na szatana, któren oto tam w górze na kolumnie pod małą kopułą siedzi, dzierżąc w rękę pręt, i natrzasa się z niebogi: — Zapłacę ci ja za krew i lży one, co płyną w twojem imieniu! Ejże, jakoż to się ma rzecz z twojem dziewictwem? Oto bliska już godzina końca twego panowania. Jeden udar toporem, a będziesz na dwie części przerabana, ty szkaradna drewniana kukło. Zginiesz za śmierć tych wszystkich kukiel z krwie i kości, co giną co dnia w twojem imieniu na stosie, na szubienicach, ano żywcem pogrzebione. — Tako rzecze kusonogi, a mówi słusznie. — Musisz przeto zleż z twej wnąki, ty krwie chciwa, okrutna maro, która nic zgoła nie masz w sobie podobnego do syna twego Chrysta».

I zgraja łotrzyków chórem wrzeszczeć poczęła: «Kukło, kukło, koniec twoich rządów! Precz z drewnianemi bałwanami!»

A lud słuchał bluźnierstw w milczeniu.

Wtem na kazalnicy wstąpił Sowizdrzał, zrzuciwszy z niej za kark krzyczącego łotrzyka.

«Szaleni!» wołał do ludu, «głupcy, o tyle naiwni, że niezdolni widzieć ni o cal dalej od końca swego nosa! Aza nie pojmujecie, że wszystko to dzieje się za sprawą zdrajców naszej ziemi? Oni to chcą uczynić was świętokradcami, bluźniercami i rabusiami, ażeby wam jako buntownikom wypróżnić docna kieszenie, a potem brać was na tortury i na stosach żywcem palić. Nie dajcie żadnej wiary słowom tych puszczyków! Pozostawcie wizerunek Najświętszej Panny we wnęce, odejdźcie stąd w pokoju, żyjcie dalej przystojnie i pożywajcie wasz chleb w czystości i pogodzie ducha. Szatan zguby już zwrócił na was swe chytre oko. Z okazji zbeczeszczenia i rabunku kościoła chce on przywołać przeciwko wam wojska nieprzyjacielskie i rzucić się na was, jako na buntowników. A wtedy obejmie rządy nad tą ziemią krwawy książę Alba i nękać was będzie inkwizycją, konfiskatą waszych majątności i śmiercią w ogniu»...

Łotrzykowie rzucili się na niego i usiłowali go strącić z kazalnicy, przyczem podarli na nim w strzępy odzienie i poturbowali go niemało. On zaś, choć twarz miał krwią zalaną, nie przestawał krzyczeć: «Nie ważcie się plądrować i niszczyć!» Lecz krzyk jego był głosem wołającego na puszczy. Łotrzykowie, a za ich przykładem wszelaka miejska gołota, rzucili się na kratę i połamali ją, wrzeszcząc przytem: «Niech żyją Gezowie! Górą zebrać!»

I cały ten tłum począł łamać i niszczyć wszystko, co mu w ręce wpadło. I zanim północ wybiła, wyglądał kościół, w którym było siedemdziesiąt ołtarzy i wiele pięknych malowideł, i ozdób kunsztownych, jakoby pole bitwy, zasłane li szczątkami i gruzami.

*Tłum. Przetłum. Smolik.*

## GUIDO GEZELLE

(1830—1899)

### Z «DROBNYCH WIERSZY»

Pszczoła robi miód, pajak przedzie pajęczynę, kwiat wylania swą woń, a gwiazda błyszczy. Słońce miota dobroczynne swe promienie, księżyc sieje błogi blask. A ja, Stwórco mój, daję me serce i mą pieśń.

#### MOJE SERCE...

Moje serce jest jak kwiat. Otwarte — chłonie promienie słońca. Stulone — dręczy się, kruszy i schnie. Moje serce jest jak zieleni, którą orzeźwia rosa poranna... Jak zieleni, która pod wieczór chyli się, znużona życiem, pełna pyłu — troski. Moje serce — jak owoc, którzy dojrzewa w cieniu, nim go strąci ostra ręka jesieni. Jak gwiazda spadająca, co iskrą pruje wysokie sklepienia niebiosów i gaśnie w mgnieniu oka. Moje serce... jest chore! Jego radości są znikome. Lecz niech bodaj przez jedną chwilę poczuje się lepiej — i oto znów dniami całemi gotowe cierpieć głód.

### Z «WIEŃCA ROKU»

#### Miesiąc wielkanocny

Czy jeszcze śpicie, białe cierniste gałęzie twardego plotu? Czy nie wiecie, że po-ziera już na was rozbudzone słońce? Czas witać dzień. Wschód rozblyska... Niechże się ockną ze snu wszyscy, którzy chcą złożyć hołd słońcu lata. Rozewrzyjcie, ciernie, swoje ściśnięte kielki, rozchylcie srebrne kadzielnice kielichów. Niedosć, że rubinowe igły wyblęły tu i tam na końcu splełanych waszych włosów! Mało mi, że członki wasze, nabrzmiałe wzrostem, czerpią sok ziemi. Winnyście, krzaki cierniste, puścić

liście i kwiaty, ulać woni kielichów, rozkwiatać! Czy jeszcze śpicie? Przebudzenie ogłoszą śpiewacy chwałbą radosną, już słysząc ich pieśń przenajśodszą... Woda wzdycha, rozśpiewały się niebo i ziemia, tętnią równiny miłosne! Wszystko wszystkiego pragnie, och! płoty cierniste, czy jeszcze śpicie?

### Słuchajcie...

Słuchajcie, jak śpiewa zboże. Niemasz harfy tak dźwięcznej. Cichy szept życia bieży na pól powierzchni. Płyńcie hen, płyńcie, wiotkie kłosa, wy, karm wieśniaka. Nagle. Nagle — Rycerze!!! Ich tłum ponury sunie po ziemi, niczem okręt, fale prują. Lecz oto znikają rozpędzone fale nawałnicy. We mnie i wkoło mnie rozjaśnia się wszystko długim słodkim uśmiechem za wszystkie cuda, które ogląda słońce — przy Niej zwycięstwo — nie oddałbym mej Flandri!

### WYKLĘTY

Patrzcież, jak skromną swą zielenią zasłania oset kamienie i niedogryzki, którymi mieszcuchy bezczeszczą wieś. Patrzcie, jak wkoło każdego kwiatu rozbłyska niepokalana kryza, skąpana w świeżej rosie. Szorstkie kielichy ostu, powleczone pajęczyną koronek, drząc w żarach słonecznych, za każdym powiewem łyskają brylantowym pyłem. — Wyklęty przez prawo, królewskimi dekrety wyświecony — przecież żyjesz! Naprawdę od wieków niszczyć chcą powszędę twój siew! Ach, wyklęty — nigdy tobą nie pogardzi moje flamandzkie serce...

### EGO VIGILABO

Słońce, radość ziemi i ludzi, radość skrzydlatego tłumu harfiarzy niebieskich — odeszło. Głębokie ciemności panują wszędy. Oto stłumiły już śpiew i dzień. Lecz we mnie żyje wciąż świetlisty glos. Lecz we mnie ktoś słucha, mówi, ktoś, kogo nic nie zatrzyma, ni dzień, ni śmierć, ni mrok... Ktoś, co idzie ku mnie przez kamień i żelazo i mówi do mnie w czasie mego snu: Czuwam...

*Tłum. prozą Juljusz Kaden-Bandrowski.*

HERMAN J. A. M. SCHAEPMAN  
(1844—1903)

### VONDEL

Dumny, piękny Amsterdamie,  
Przesuń się przed okiem mem  
Ty, coś niegdyś w siebie chłonał  
Wszystkie skarby wszystkich ziem!  
Wstań, północy ty Wenecjo,  
Zmierchłych wieków odchyl grób,  
Mgłę przeszłości w dziennym blasku  
Zerwij, ułóż u twych stóp.

Ukaż nam się pełna sily,  
Dawnych wieków przepych wdziej,  
Niechaj wstaną twe mieszczyzny,  
Dumni tak z potęgi swej;  
Bo choć życie wre dziś w tobie  
I nieprędko zimny wjazd,  
Przecież nad młodości dniami  
Najpiękniejsza świeci z gwiazd.

Twe drzemiące obudź syny,  
Niderlandów dumę, skarb,  
Tych, co Rembrandt ich uwiecznił  
Czarodziejstwem swoich farb.  
Wszystkim, którzy ci koroną,  
Wdzięczna uchyl twoich bram  
I przywołaj twego piewę —  
Jeszcze Vondla zwołaj nam.

Vondel! Wieszcz to niezrównany,  
Dusza pełna pieśni, barw,  
Jakby echo dziękczynienia,  
Co z eolskich płynie harf;  
Wieszcz, co zakuł w ziemskie kształty  
Ideału wieczny szczyt  
I pobożnie uznał niebo  
Za jedyny prawdy świt.

Tylko wieszczom prawdę badać,  
 Ideały mędrców znać,  
 Bez mgieł wszelkich, bez obłony  
 Najjaśniejszy promień brać!  
 Tylko wieszczę mierzą ziemię;  
 Co nam skryte — widne im!  
 I szybują na przestworza,  
 Gdzie nie kazi ziemski dym.

Prawdę poznać, wiecznie piękną,  
 Jej koroną zdobić skroń,  
 Płomieniami ją otoczyć,  
 Jakie niebios chowa toń;  
 Prawdę poznać i rozbudzić  
 Zagrobowy życia brzask —  
 To genjusza dar jest wzniosły,  
 Najpiękniejsza z boskich łask.

Dumny, piękny Amsterdamie,  
 Przesuń się przed okiem mem,  
 Wstań ty, perło, zdobna w laury  
 Niderlandów sławy ziem!  
 Ukaż mi się — niech powiewa  
 Mgła przeszłości u twych stóp,  
 Ukaż dawne twe mieszczany!  
 Otwórz Vondla zimny grób!

Wtedy zabrzmią wokół dźwięki  
 Tego wieszcza, niby dzwon,  
 I uderzą ci z przeszłości  
 Z obecnymi w jeden ton;  
 Bo choć śmierć nad światy rządzi  
 I nad wszystkim władzę ma,  
 Jeden genjusz nie umiera —  
 Wieszcz prawdziwy wiecznie trwa!

*Tłum. Wł. Trąmpczyński.*

### JUSTUS VAN MAURIK

(1846—1904)

#### Z «POPIERSIA MULLERA»

Nie stało Mullera; poeta, natchniony wieszcz porzucił ziemską łez dolinę. Gazety, obwiedzione czarną ramką, obwieściły, że Jan Fryderyk Adalbert Muller umarł. Niemcy i Niderlandy spierały się o zaszczyt, że były mu kolebką, ale Niderlandy zwyciężyły, gdyż Muller nie miał dwóch kropek nad swoim «u», nadto dowiedziono, że przed tym Mullerem żył inny, który gdzieś w Holandji bułki wypiekał i był zapisany w księgach stanu cywilnego, jako ojciec naszego wieszcza. Jęk żalu rozległ się po całym kraju i ozwał się echem w sercach tych, co znali jego i jego dzieła. Za życia wielu miał wielbicieli, inni wrzuszali ramionami, by okazać, że nie widzą w jego dziełach nic nadzwyczajnego, inni jeszcze z żartobliwym uśmiechem milczeli, tym wymowniej wyrażając przez to, że autor niewiele, a dzieła jego mniej jeszcze warte. Nagle po jego śmierci wszyscy ze wrzuszającym smutkiem godzili się na to, że jeszcze się nigdy w Niderlandach nie urodził taki Muller i pewnie taki nigdy nie umrze. Nikt nie śmiał już nic zmarłemu zarzucić, gdyż krytyk pierwszego dziennika literackiego nazwał Mullera jedynym prawdziwym wieszczem Niderlandów, a krytyk był niezwykle zdolny, jak mówiono — wiadomo przecie, że opinia ma zawsze rację. Nakładcy poezji Mullera robili świetne interesa przez dodanie na nierozprzedanych egzemplarzach: «wydanie drugie», a publiczność przez cześć dla wieszcza skwapliwie to «drugie» wydanie rozchwytała. We wszystkich księgarniach wisiły fotografie gabinetowe zmarłego... Utworzył się komitet, by na grobie Mullera wznieść pomnik «skromny, jak sam poeta», bliżsi zaś przyjaciele zmarłego dla uczczenia jego pamięci przesadzali wysokość jego długów: Muller pod każdym względem był poetą i pozostawił tyleż przynajmniej niezapłaconych rachunków, ile wierszy. Nigdy tyle nie zajmowano się poetą, jak odkąd chłodna ziemia garnęła jego gorące serce. Modą się stało okazywać żal po zmarłym; zdawało się, że publiczność jest rada ze śmierci Mullera, która przecie dawała sposobność do objawów czci dla popiołów znakomitego męża. — Nic zatem dziwnego, że pan Giovanni Capelli, włoski fabrykant popiersi i posążków, wpadł na myśl, by kazać zrobić popiersie nieodżałowanego mistrza i puścić je w handel. Pan Giovanni Capelli był duchem przedsiębiorczym, człowiekiem genjalnym, jak się sam o sobie wyrażał. Właściwie nazywał się on Jan Haar, ale gdy przejmował swój handel figur gipsowych od prawdziwego Piemontczyka, błysła mu genjalna myśl, aby nazwisko swoje przetłumaczyć na język włoski. Giovanni Capelli brzmiało przecie o wiele lepiej, niż Jan Haar, i podnosiło wartość towaru przynajmniej o trzydzieści procent...

Szkic popiersia stał w pracowni; właściwie był to więcej niż szkic, tak dokładnie był obrobiony. Capelli miał przyjść tego dnia z kilku przyjaciółmi celem osądzenia, jak wypadło podobieństwo. — Bruin zdjął był płachtę z popiersia i uważnie przyglądał się swej pracy, tu i ówdzie dodając lub odejmując kawałek gliny i wygładzając szpatelką. Sam zadowolony był ze swego dzieła, nie mógł jednak wiedzieć, czy podobieństwo jest zupełne. Obok niego stała matka z kotem na rękę i mruczała coś pod nosem...

Na schodach rozległ się odgłos ciężkiego stąpania i sapania, i w towarzystwie Giovanniego Capelli weszło czterech panów do pracowni. «Pff, pff, co za wieża! Wejdzcie, panowie». — «Strasznie wysoko». — «He, he». — «Panowie pozwolą, że ich przedstawię. Mój przyjaciel Juljusz Bruin, rzeźbiarz, wielce obiecujący talent — pan Droggers, literat, pan Coquenard, obywatel, pan Assman, krytyk «Gwiazdy Porannej», dr. Operling, recenzent «Zwiastuna Sztuki», sam ceniony poeta»...

«A jakaż pańska opinja, panie Assman?» — spokojnie i skromnie zapytał Bruin. — Wielki krytyk siedział ciągle w tej samej pozycji i na oko wydawał się pograżony w rozpatrywaniu popiersia. Nie dał on żadnego znaku nagany lub pochwały w czasie, gdy przemawiał pan Droggers; teraz wolno zwrócił głowę w stronę Bruina i z westchnieniem, jakby budząc się z głębokiego zamyślenia, rzekł wolno, na każde słowo kładąc potrzebny nacisk: «Pozwól mi pan przedewszystkiem powiedzieć, że co się tyczy wykonania modelu (l'oeuvre), dzieła, pojmuje mnie pan, uważam je za pełne zalet; widzi pan, że nie postępuję, jak wielu z moich kolegów, cenię pańską umiejętność». Assman wyciągnął wskazujący palec prawej ręki. «Widzi pan, w tem jest coś — pan to sam wie dobrze — to coś, co hm! to coś, co, gdyby było w większej ilości, każałoby nam zapomnieć, że mamy przed sobą tylko bryłę gliny; ale co się tyczy podobieństwa, to ja, który często widywałem nieboszczyka, powiedzieć muszę: to nie on!» — Doktor Operling, posępnie patrząc przed siebie, pokiwał głową i nie rzekł ani słowa. — «Ach!» rzekł Giovanni. — «To zupełnie nie on!» — «To kategorycznie powiedziane, panie Assman». — «Właśnie, panie Bruin, taki mój zwyczaj; nie owijam swej opinji w bawełnę — sądu nie wydaję, póki nie jestem najmocniej przekonany, że mogę sądzić obiektywnie, bez oglądania się na osobę, bez stosowania się do jakiegokolwiek rodzaju względów, i dlatego mówię teraz: to nie Muller». — «A czegoż mu brak, panie Assman?» — «Czy pan, jako artysta, nie czuje, co mam na myśli?» — «Nie, jeszcze nie». — «Niech mi pan pozwoli powiedzieć, czego — dla mnie — brak w tem popiersiu». — «Bardzo proszę». — «Widzę przed sobą portret w rzeźbie; może on i podobny co się tyczy nosa, uszu, ust, czoła, enfin, zewnętrznych form, te w tej chwili zupełnie zostawiam na boku...» — «Ale, proszę pana, to właśnie forma, która...» — «Nie, daj mi pan skończyć, panie Bruin, musisz mnie dobrze zrozumieć — ja wnikałem głębiej od innych — ja szukam psychy — a tej nie znajduję w tem popiersiu — brak mi w niem duszy!» — «Duszy?» — «Tak jest! Wysoce utalentowanego wieszca znam lepiej może, niż go znało wielu innych, poezjami jego delectowałem się, panie Bruin; gdy inni sztychali z niego, ja zawsze wysoko podnosiłem jego zasługi, bo znałem i ceniłem piękną jego duszę. Wyprowadził on swoją epokę, był poetą śmiałym, który radykalnie zerwał z rymem i rytmem, dusza jego przebijająca się w jego sonetach, odach, balladach... enfin, we wszystkim, co pisał... i gdy się nań patrzyło, oblicze jego było uduchowione. Forma była dlań niczem, o treść nie dbał — piękne myśli swe wypowiadał obrazami, tak jak powstawały w jego potężnym umyśle. A tego nie widzę w bryle szarej gliny, stojącej przede mną; tak jak ja go tu widzę, nie jest to jego wielka niezależna dusza; wygląda, jak każdy inny, jak człowiek zwykły!» — «Bo też oblicze jego jest bardzo banalne!» — «Pardon! tak jak to widzi pan i wielu może innych, jest zwyczajne, na to się zgadzam, ale wy też patrzycie zwyczajnie. Enfin, jeśli pan nie rozumie, nie czuje, co przez to myślę, to ja panu tego wytłumaczyć nie mogę; ale to nie Muller. Nie może pan więcej duszy w to włożyć?» — «Nie mogę go zrobić innym, niż był». — «Ależ on takim nie był, panie Bruin, czy nie masz pan sposobu, aby uwydatnić w nim więcej wielkiego poetę?» — «To będzie trudno! Mogę jedynie oddać formę...» — «Aha! tum pana złapał! Właśnie o to idzie; forma! forma! co mnie obchodzi forma, jeśli chcę nabyć biust wieszca na pamiątkę — a przecie

w tym celu puszcza się go w handel, nieprawdaż, panie Capelli? — Nie chcę wtedy widzieć człowieka z krwi i kości, lecz poetę — a poetą z Bożej łaski był Muller — wielkim geniuszem». — Doktor Operling ze skrzyżowanymi rękami patrzył posępnie na popiersie i milczał. — «Oh, sans doute, un génie!» przerwał monsieur Coquenard, nagle zatrzymując się w swej eksploracyjnej podróży po pracowni. «On była wielki génie, un homme admirable, zawsze zamysłona, bardzo distrait... Jak przychodził do mon magasin, ja zaraz mówił: Bonjour, monsieur Mullera, znów parapluie zapomniał — zgubił, oh!» — «Co to znaczy?» — «Eh, monsieur Bruin! simplement, że Mullera zawsze przychodził kupować nowy parapluie. Monsieur le poète Mullera zawsze zgubił swój parapluie — ja le pauvre homme przedał wiele set parapluie». — «No to go pan musiał dobrze znać». — «Ależ, panie Coquenard», przerwał ostro pan Assman, «jaki możesz pan upatrywać związek między parasolem a jego genialnością?» — «Hommes de génie zawsze mają krótką pamięć, zawsze zapomina to to, to tamto...» — «Ale to przecie nie ma nic wspólnego z podobieństwem tego popiersia; to nonsens! — «A dusza, o której pan mówi? Jeśli mam juger, czy podobny do swego biusta, czy nie, ja nie musi patrzeć na jego dusza, a na nos, usta, oczy, en un mot, ja musi inspecter la matière, nie l'imponderabilité, nie la qualité psychique; wybacz pan, ale to, co mówisz o dusza, większy nonsens, niż mój parapluie». — «Co pan mówi?» Oczy Assmana błysnęły gniewem. — «Nic nie mówię! Pan jest może plus savant, jak ja, ale a miał więcej bon sens!...» — «Panie Bruin», rzekł Capelli, «wdzięczni jesteśmy za przyjęcie, żałuję bardzo, że rezultat naszych odwiedzin nie wypadł pomyślniej. Musi pan coś zmienić w nosie Mullera, bo chociaż ci panowie bardzo różnili się w opinjach, w tym punkcie wszyscy na jedno się zgodzili: nos poety nic nie wart, w tem tkwi kardynalny błąd». — «Oui, ja myślę, że on miał więcej taki nos...» pan Coquenard wskazującym palcem uniósł koniec swego organu powonienia. — «Zadarty nos? Niema mowy o tem!» rzekł Bruin, uważnie porównując popiersie z fotografią. — «Nie, nie! raczej grubszy, większy. To dobrze sobie przypominam, Muller miał coś szczególnego w swym nosie — ale co to było?» — Uczony pan Drogers wzruszył ramionami, naciągając rękawiczki. Dr. Operling rozłożył ręce, zmarszczył czoło, jeszcze raz z westchnieniem spojrze na popiersie i uściśnął rękę Bruina na pożegnanie. — «Pardon», rzekł Bruin, «pan jeszcze nie wypowiedział swej opinji. Czy uważa pan, że Muller podobny?» — Wtedy dopiero, zwolna cedząc wyrazy, dr. Operling przemówił: «Nie znałem go wcale», rzekł, «wprawdzie znam jego utwory, i jeśli po nich mam sądzić, mógł on tak banalnie wyglądać. Bonjour!...» — «Uf!» odetchnął Bruin, gdy panowie pracownię opuścili. — «Fiu, fiu! co za uczoność, nic z tego nie rozumiesz — ten chce w tem widzieć, czego widzieć nie można, nie widzieć tego, co odczuć można — djabeł coś z tego rozumie...» — usiadł w fotelu i ponownie porównywał fotografię z glinianym modelem.

«Och, Puckie», skarżyła się stara Bruinowa przed malarzem, który przyszedł po swą codzienną kawę, «Zjul chodzi jak oszalały, mówić z nim nie można — ładne się tu rzeczy dzieją; ten obrzydliwy zmarły wierszorób — wskazała głową w kierunku otwartych drzwi pracowni — cały humor mu psuje!...» — «Szs! co to jest? Czy Julek w pracowni?» — «Nie! ale ja też coś słyszę — coś tam pada, tam ktoś jest... pójde zobaczyć». — Powłokła się do pracowni. «O, Puckie! chodź tu prędko!» — «Co się stało?» — Stara stała w pracowni i wielkimi, wystraszonemi oczyma patrzyła na popiersie; kot skoczył był za myszką i w tym skoku przewrócił długi kij, który, padając, uderzył o głowę Mullera i w miękkiej jeszcze glinie wyłobił dołek... — «Ładna sprawa!» mruczał młody malarz, doprowadzając, o ile mógł, glinę do pierwotnej formy, «i to jeszcze było potrzebne!» — «Prędko! prędko! wyjdźmy stąd, słyszę Zjula na schodach... Masz, złap, rzuć tymczasem tę szmatę na niego, prędko! Co kramu z tem szkaradziństwem!» — W okamgnieniu siedzieli oboje z kotem w kuchni, jakgdyby nic nie zaszło. Z bojaźnią przytłuchiwali się, gdyż Bruin nie był sam, słyszeli, że z kims rozmawiał... Stara Bruinowa nasłuchiwała, trzymając drzwi uchylone. «O!» rzekła wkońcu, «to nasz gospodarz domu...» Bruin stał w pracowni i mówił dość głośno: «Mój drogi panie Apels, ma pan zupełną rację — to bardzo przykro, że pana zawsze zawód spotyka, ale doprawdy nie jestem winien — tak obecnie trudno o robotę... Za jakie parę dni spodziewam się znów dostać pieniędzy, jak tę robotę...» spojrział na



popiersie, «któż, u diabła, zarzucił na to tę szmatę?» Zdjął płachtę i chwilę stał zdumiony na widok popiersia Mullera. Lecz zanim jeszcze słowo zdołał wymówić, gospodarz domu, wzgardliwym ruchem wskazując na figurę w glinie, rzekł: «To także był miły osobnik, ten Muller!» — «Hę, co? Pan mówi: Muller, czy mnie słuch nie myli?» — «Tak, Muller, czyż to nie on? Ja myślę, że to ten poeta, czy nie tak?» — «Tak, tak! ale...» — «Jak do przemówienia podobny». «No? no?» — «Uderzająco podobny...» — Bruin stał, patrząc to na popiersie, to na gospodarza, i nic nie mówił; miał uczucie, jakby mu kto balsam wlewał do uszu. Słuchał, a twarz jego rozjaśniała się coraz bardziej. — «Dobrze trafiony stary niedołęga, winien mi jeszcze komorne za pół roku; nigdy grosza od niego nie można było wydostać, zato plotkami szafował bez ładu, krzywonośy». — «Hę, co? O, hum! tak! tak! Krzywonośy, pan mówi!» — «No tak. Nos krzywy mu siedział na twarzy, zupełnie tak, jakżeś pan zrobił — djabelnie trafnie oddany, wygląda jak żywy. Bardzo pięknie!» — «O! tak! Dziękuję panu!» Bruin miał uczucie, jakby mu naraz wyrosły skrzydła...

Gdy pan Apels wyszedł, rzeźbiarz wszedł do sąsiedniego pokoju i zapytał ze śmiechem: «Powiedźcie mi, co się stało z mojem popiersiem podczas mej nieobecności?» — A matka odrzekła z wahaniem — zawsze lękała się jeszcze trochę o bezpieczeństwo kota: «Nieme stworzenie nie jest temu winne, Zjul; pewnie mysz tam siedziała...» i opowiedziała, jak się to stało; ale gdy zakończyła słowami: «Co za wypadek, hę, teraz jest nagle podobny!...» Puckie przemówił z wielką powagą: «Nie, moja pani kochana! To nie prosty wypadek, tu wmieszał się duch Mullera, który nie mógł znieść tego, by jego ziemski podobizna była wyobrażona tak fałszywie. Wierzy pani przecie w metempsychozę?» — «W co, Puckie?» — «W przejście dusz. Nie słyszała pani, jak dziwnie kot miauczał od kilku dni, a zwłaszcza dziś z rana?» — «Tak, zwierzątko było jakieś dziwne, ale myślałam, że to z gorąca». — «Nie, to były słodkie pieśni poety, które przez kota przepływały niedobrze, na skok jednak duch Mullera miał jeszcze dość siły». — «Zamilknij już, łobuzie kochany, już dobrze, dobrze», śmiał się artysta i, przyniósłszy z pracowni fotografię, rzekł: «Patrz, przyjrzyj się dobrze, tego na tem się nie widzi, to przekłete rembrandtowskie światło zwodzi zawsze, żaden kot z tegoby nie zmądrzał!» — «Nie? A mój Tommy?» triumfalnie zawołała stara Bruinowa, pobiegła po kota, miauczącego za kuchennymi drzwiami, i trzymając go w rękach przed synem, rzekła: «Zjul, możesz niememu stworzeniu podziękować. Tak, moje kociątko, moje miłe! Ty jedno masz więcej rozumu, niż wszyscy ci mądrale razem».

*(Przekład bezimienny w «Humorze w lit. europ.», ułożonym przez Wandę Bruner.)*

## ALBRECHT RODENBACH

(1856—1880)

### ŁABĘDŹ

Świeżością lustro niebios tchnie,  
Powietrze zdrowiem dyszy,  
Dziewiczo-piękny leży staw  
W wieczornej letniej ciszy.

Gdy taki wokół spokój trwa,  
Przez wodne sunie łany,  
Na których słodko księżyc łśni,  
Ptak — łabędź zadumany.

Pokochał poetyczny ptak  
Tę świeżość wód dziewczęcą,  
To kąpie, to przegląda się,  
Plusków go dźwięki nęcą.

I kocha go bezwiednie staw,  
Głaszcze mu białe pierze,  
To chluśnie nań, to jego kształt  
Odbity w siebie bierze.

Z wyrzeczeń i skromności — mić  
Zachwytu snując w duszy,  
Ten czysto miłujący ptak  
Dziewictwa nie naruszy.

*Tłum. Alfred Tom.*

## POL DE MONT

(ur. 1857)

## DOPÓKIŻ

Panie!  
 Czy przymusu długie trwanie?  
 Długoż jeszcze ludzkość cała  
 Będzie ducha ugiwała  
 Niewolniczo?  
 Zewsząd krzyczą  
 Wgłos strumienie krwi ohydne,  
 Wszystkim widne,  
 I po nocy nas dolata  
 Krzyk rozpaczy Abła brata!  
 Zemstą wionie świat w wsze strony,  
 Rozpacz dławi matki, żony,  
 Łzą sierocie, starcom nędzą

Głosy zemsty przez las pędzą;  
 Z wschodu aż ku zachodowi  
 Ucho zemsty okrzyk łowi.  
 Grody spalone,  
 Siola zburzone.  
 Każdy gotów kapać chciwie  
 Ręce swoje w zemsty żniwie!  
 W tej wielkiej męce  
 Ku Tobie ręce  
 Wnoszą się z bólem, skargą płaczem  
 A głos zamiera, tylko cichaczem  
 Z tej marnej ziemi płynie wołanie:  
 Daj sprawiedliwość, da zmiłowan  
*Tłum. Wł. Trąpczyński.*

## DRZEWA

Drzewa nie stoją nieruchome, drętwe,  
 Jak pał, głęboko w ziemię zapuszczony...  
 Nie są ciche, bez ruchu...! Nie, one idą,  
 Idą — gdy dzień, idą — gdy wieczór zapada,  
 Idą — w najgęstszym mroku naszych nocy,  
 Idą — wiosną i latem, jesienią i w zimie.  
 Idą wszystkie... Zdała, tam — z morskich wybrzeży,  
 Wzdłuż jezdni i ścieżek, dróg piaszczystych, szosy  
 Idą tu, długim podwójnym szeregiem,  
 Jak pątnik znużony, z pochyloną głową,  
 I na wschód zawsze: krzywe, spalone, sękaty,  
 O twardym tyku, z trochą chudych gałęzi,  
 Co wdół zwisają, chorowite, słabe...

I jak pątnicy, co jęcząc, śpiewając,  
 Głosem gęgliwym mrużąc litanije,  
 Ciagną — tak one idą, nie milcząc nigdy,  
 Śpiewając wiosną, gdy w ich zieleniejących  
 Liściach znów ptaki budują swe gniazdko;  
 Wzdychając, kiedy żar letni ciężko jak olów  
 Na osmalonych ich leży koronach;  
 Płacząc jesienią, kiedy pierwsze burze  
 Daleko w pole sypią ich gałęzie;  
 Jęcząc w kaśliwie mroźne dni zimowe,  
 Drżąc w swej zupełnej nagości, dygocąc,  
 Tak jak zebrzący w lachmanach nędzarze...  
 I — jak pątnicy, którzy gromadami  
 W miesiącu maju idą męki drogą,  
 W dłoniach sztandarki niosiąc papierowe,  
 Tak one wnoszą w dni wiosny i lata,  
 Jak palmy, świeżą zielen swych gałęzi...  
 Jesienią podobne są zastępom rycerzy,  
 Którzy w czerwonych i złocistych płaszczach  
 Na polowanie ciagną. Jak ogień rubinów,

Płoną czerwone liście w żółtych i brunatnych  
Koronach; krople złociste strząsają  
Z włosów, co wkoło nich fruwać i szumią,  
I liśćmi swemi czarują, gdzie przejdą,  
Na nagich drogach — kobierce ze Smyrny...

Lecz zimą często w ich szeregach miejsce  
Niejedno puścieje... Patrz, oto śmierć rzuca,  
Szturchając, pchając szorstko, jakiegoś pątnika  
O ziemię, którą on mierzy, gdy pada...  
Ale bez troski kroczą, niewzruszeni,  
Dalej pątnicy — jeden po drugim,  
Dalej i dalej przez niwy i puszcze —  
Dokąd? Kto wie! Jak długo? Kto wie! Lecz zawsze  
Wiernie ku stronie, kędy wschodzi słońce...

#### WETERAN Z POD WÖRTH

Wciąż mam to w myśli:

Pod Wörth dnia szóstego  
Miesiąca sierpnia w owym roku krwawym.  
Godzina szósta wieczór. Przebiegałim  
Pole bitewne, sprawdzając, czy może  
Życie drga jeszcze wśród tylu nieżywych.  
Nic — chłodne, nieme było wszystko wokół  
I nieruchome, i jak w krwi skapane.

Oto w chmielowem dostrześliśmy polu  
Obraz okropny: w istnem morzu krwi  
— To pospolite są słowa, wiem o tem,  
Lecz żadne inne nie wyrażą prawdy —  
Leżał, przy człeku człek, cały bataljon  
Sinych wojaków z krainy bawarskiej,  
Nawznak, każdego twarz zwrócona w górę — — — —  
— — — — A tuż obok zmarłych,  
Tuż obok krwi tej, nie — w samym jej środku  
Leżał nietknięty, lśniąć świeżą zielenią,  
Smat łąki, długi ledwo na dwie stopy;  
Nad nim kotłował się niepokalany  
Kwiat maku — kielich jasnopurpurowy,  
Z którego pszczoła, miodem upojona,  
Wzniosła się, brzęcząc, i do dom frunęła. —  
Pszczola i kwietny kielich ten tak wąły  
Na wielkiem polu było to jedyne  
Życie, przez dziką walkę oszczędzone.

*Tłum. Alfred Tom.*

#### HÉLÈNE SWARTH

(ur. 1859)

#### RADA

Nie całuj wargi, która ci się broni,  
I nie ucz serca, gdzie żądze śpią zcicha,  
Bić w takt nadziei; nie obudzaj licha  
Ni wzrokiem sięgaj do modrych ocz toni.

Nie przyciskaj tak ciepło tej dziewczęcej dłoni,  
 Nie otulaj ramieniem, kiedy ona wzdycha,  
 Choć oko jej powabne na spojrzenia czyha.  
 Życie daje — gdy myśl twa za zabawką goni.

Więc nie wzbudzaj miłości, gdy jej w tobie niema;  
 Ręka jej drży, ucieka, choć ją w twojej trzyma.  
 Podobna jest do ptaków, co w strachu przysiadły.

Nie wywołuj rumieńca, gdy usta poblady.  
 Weź inne drzewo, z niego zerwij sobie liście,  
 Jej pozwól białość lilij donosić wieczyscie.

*Tłum. Wł. Trąmpczyński.*

#### ZABAWA W CHOWANKĘ

Obrazy dzieciństwa, choć już odległego,  
 Wstają na wspomnienie starodawnej strzechy,  
 Gdy zwykli się byli bawić w chowanego,  
 Rozlewając wokół swe srebrzyste śmiechy.

Ulubionem ich miejscem były ciemne sienie  
 Lub głąb korytarzowa, piwnica, śpichlerze,  
 I snuli się wśród murów, jak przedzmcrocne cienie,  
 I długo ich szukano, choć szukano szczerze.

O, zabawo w chowanke, śmiechu szczerooki!  
 Któż nam dziś te dni zwróci, spędzone zamłodu?  
 Najstarsza miała długie, jasne, miękkie loki,  
 Takie, jak niegdyś króle z Merowingów rodu.

Jeden z dwu młodych chłopców bez przerwy był przy niej,  
 I mówiono, widując te promienne twarze,  
 Że nie żalby Pawłowi było i Wirginji  
 Swą miłość i zakłęcia odstąpić tej parze.

Gdy, wzięwszy się za ręce, ta dwójka wesola,  
 By skryć się przed tropiącym, umilkła nagle,  
 Ona, w czystej prostocie, na schylone czoła  
 Kładła złote swe włosy, jak rozpięte żagle.

#### POGARDA

Tak wysoko wzniosę duszę,  
 Że nie stąd jej tknąć nie zdoła.  
 Nie, złorzeczyć się nie skuszę:  
 Z wzgardą patrzę się dokoła.

Męstwa! Chociaż gad się szasta,  
 W cieniu się niegodnym skryje,  
 A ja będę, jak niewiasta,  
 Co stopami depce zmiję.

Żmijo! Z błotem zejdz ze świata!  
 Złość, nienawiść niech nie pała!  
 Niż gniew, więcej wzgarda działa:  
 Ta nie kasa, lecz przygniata.

*Tłum. Zdzisław Witmir.*

## FREDERIK WILLEM VAN EEDEN

(ur. 1860)

## Z «MAŁEGO JANKA»

...Janek ze ściśniętym sercem spojrzął w stronę łóżka konającego ojca.

Kot Simon zeskoczył z okna, przeciągnął się — i położył do łóżka umierającego. Biedna, znużona głowa nie poruszała się już — leżała nisko, wciśnięta w poduszki — ale z półotwartych ust dobywały się jeszcze krótkie, urywane dźwięki. Stawały się coraz cichsze i coraz mniej dostyszalne.

Śmierć oderwała wzrok od zegara i zwróciła go na zapadniętą w poduszki głowę. Podniosła rękę — i zapanowała cisza. Szary cień padł na sztywne oblicze. Cisza, głucha, ponura cisza!

Janek czekał i czekał. Miarowy dźwięk nie powrócił. Była cisza — wielka, straszna cisza. Napięcie ostatnich godzin przeszło. Jankowi się zdawało, że dusza jego oderwała się i zapadła w bezdenną pustkę. Zapadał coraz głębiej. Cicho i ciemno było dokoła niego...

Długo wpatrywała się ponura postać w Janka. Wzrok jej nie budził już przerażenia — był łagodny i poważny; pociągał Janka, jak wielka głębia.

«Weź mnie z sobą», mówił Janek, płacząc, «teraz, gdy nie mam nikogo, zabierz mnie z sobą tak samo, jak innych; niczego tak nie pragnę...»

Śmierć potrząsnęła głową: «Nie, mój Janku. Nie wiedziałeś, że kochasz ludzi, ale ich kochasz i kochałeś zawsze. Zostać dobrym człowiekiem jest rzeczą bardzo piękną».

«Nie chcę. Nic nie chcę, prócz tego, byś mnie wzięła z sobą...» — «To być nie może i musi być inaczej wbrew twojej woli...» I długa ciemna postać rozplynęła się przed oczyma Janka w nieokreślone kształty, a lekka szara mgła przesunęła się przez pokój i popłynęła ku słońcu. Janek wsparł głowę na łóżku, na którym leżał zmarły, i płakał.

Po długim czasie podniósł głowę. Promienie słońca, jak równe złote pręty, wpadały do pokoju skośnie i miały czerwony odblask.

«Ojczel! Ojczel!» — szeptał Janek.

Na dworze tonęło wszystko w błyszczącej złotej fali słonecznego żaru. Listki zwisały bezwładnie, i wszystko milczało, opanowane mocą słońca. A ze światłem wpadał do pokoju łagodny szmer. «Synu słońca! Synu słońca!» śpiewały Jankowi promienie słoneczne.

Podniósł głowę i słuchał. A w uszach brzmiało mu ciągle: «Synu słońca! Synu słońca!» Powojek go wzywa! Tak, to Powojek! Nikt inny przecież, oprócz Powojka, nie mówił mu, że jest synem słońca!

Lecz w tej chwili wzrok jego padł na martwe oblicze — i nie chciał już nic słyszeć. «Drogi biedny ojczel!» wyszeptał.

Śpiew zabrzmiał silniej. Dochodził go ze wszystkich stron. Zaczął go przenikać i przenikał coraz bardziej. «Synu słońca! Synu słońca!» Janek drżał z silnego wzruszenia.

Podniósł się i wyrzał. Co za światło! Jakie wspaniałe światło! Oblewało bujne wierzchołki drzew, błyszczało w trawach, tryskało z ciemnych cieni i przepętniało powietrze po niebo samo, gdzie pierwsze wieczorne chmurki zaczęły się gromadzić. Po drugiej stronie miękkiej murawy, z za zielonych drzew i krzewów wyglądały wierzchołki wydm. Na ich szczytach błyszczało złoto, a ciemny błękit leżał w ich cieniach. Rozpościerały się spokojnie, pokryte szatą najdelikatniejszych barw. Kontury ich zdawały się zlekka falować i, jak modlitwa, niosły mu ukojenie. I Janek doznał tego uczucia, co niegdyś — jak w owej chwili, gdy go Powojek uczył, jak trzeba się modlić.

Co to za postać błyszczy w mgle złotej? Czy to nie on, Powojek, w swej błękitnej szatce wzywa go do siebie? Janek wybiegł na słońce. Światło przenikało wszystko, i wielki był spokój.

Postać Powojka rysowała się wyraźnie. Tak, to był on! Ku Jankowi zwracał swą promienną złotowłosą główkę, usta miał nawpół otwarte, bo go wolał, i wyciągnął prawą rękę, bo go przyzywał. W smukłych palcach lewej ręki podnosił wysoko coś błyszczącego i mieniącego się w świetle.

Z radosnym okrzykiem porwał się Janek w stronę ukochanego zjawiska, które unosiło się przed nim z uśmiechniętem obliczem i zwywającym ruchem ręki. Dotykało chwilami ziemi, pochylając się naprzód powoli, to unosiło się nad nią zlekka, jak nasienie, wiatrem powiane.

I Janek chciałby się tak unieść, jak dawniej za tamtych szczęśliwych czasów i jak w snach swoich się unosił. Lecz ziemia przyciągała jego stopy, a krok jego ciężki lgnął do murawy. Z trudnością torował sobie drogę przez zarośla, których szleszczące liście muskały jego odzienie, a gałęzie biczowały go po twarzy. Zadyszany dosięgnął pochyłości wydmy. Szedł niezmordowanie, nie spuszczać z oka promiennej postaci i przedmiotu, który błyszczał w jej ręku.

Już był na środku wydmy. W rozżarzonych dolinach kwitły róże i patrzyły w słońce tysiącem swych białych kielichów. Kwitły także jasnyniebieskie, żółte, purpurowe i inne jeszcze kwiaty. Parne gorąco leżało w małych dolinkach i pobudzało zioła, by pachniały, a mocne balsamiczne wonie unosiły się w powietrzu. Janek wchłaniał zapach macierzanki i suchego mchu, który ugiął się pod jego stopami, i szedł dalej. Było odurzająco pięknie.

Przed ukochaną postacią Powojka latały wilżynki o jasnyniebieskich jedwabistych skrzydełkach i całe roje małych, czarnych i czerwonych, motylków. Dokoła jasnej główki brzęczały złociste żuki, które żyją na róży wydymowej, a grube trzmiele tańczyły wśród spalonej żarem trawy.

Cudownie było. Jakżeby był szczęśliwy, gdyby mógł być razem z Powojkiem! Ale jasna postać oddalała się. Biegł za nią bez tchu. Duże krzewy róż kłuty go swymi cierniami; płowe wełniste dziewanny pochylały długie głowy, gdy je w biegu nabok odsuwał; ostre trawy obrażały jego ręce, kiedy się wdrapywał na piaszczyste urwiska. Janek dążył i dążył. Przeciskał się przez niskie, gęste laski brzozy, w których trawa dochodziła mu do kolan, a wodne ptaki wlatywały nad małymi stawami, które lśniły wśród zielonych zarośli. Gęsty, blade kwitnący głóg mieszał woń swoją z zapachem liści brzozy i mięty, która bujnie rośnie na torfiastym gruncie.

Wreszcie zniknęły lasy, zieleń i barwne kwiaty. Tylko dziwny oset morski rósł w drobnej płowej trawie. Na szczycie ostatniego rzędu wydmy zobaczył Janek postać Powojka. W podniesionej prawej ręce trzymał coś oślepiająco błyszczącego. Z drugiej strony, od morza dochodził zimnym wiatrem niesiony tajemniczy i nęcący szum. Janek czuł, że się zbliża, i powoli wstępował na ostatni pagórek. Spojrzał na morze i padł na kolana.

Podniósł się, obłany czerwonym żarem wieczornym. Chmury zebrały się już na pożegnanie światła. Nakształt ogromnych odłamów skał, obłanych czerwienią, otoczyły szerokim kręgiem zanikające słońce. Na morzu stała się promienna droga żywej purpury, wiodąca do dalekiego nieba. Poza słońcem, w głębi świetlanej groty, mieszał się delikatny błękit z czerwienią. Po całym dalekiem niebie jaśniały czerwone, płomienne smugi i jasne plamki krwawego puchu gasnącego ognia.

Janek czekał, aż tarcza słoneczna dotknie ostatniego krańca wiodącej do niej drogi. Na początku tej purpurowej drogi zobaczył jasny obraz, za którym podążał. Na jednym brzegu przezroczystej, jak kryształ, łodzi widniała smukła postać Powojka ze złotym, błyszczącym przedmiotem w ręku; na drugim stała ciemna śmierć.

«Powojku!» zawołał i, zbliżając się do cudownego zjawiska, rzucił spojrzenie na drogę. Zatrzymał się. Od oddalonego jej krańca, ze środka świetlanego wnętrza, szła mała czarna postać. Rosła coraz bardziej, i Janek ujrzał człowieka, kroczącego spokojnie po burzliwej, ognistej wodzie. Czerwone, rozżarzone fale podnosiły się i opadały pod jego stopami, a on zbliżał się poważnie i cicho. Człowiek ten miał blade oblicze i oko bardzo głębokie, tak głębokie jak u Powojka. Lecz było w nim zarazem tyle nieskończonej łagodnej żałości, że Janek nigdy takiego wyrazu oczu nie widział.

«Kto ty jesteś?» — zapytał Janek — «czy jesteś człowiekiem?» — «Jestem więcej, niż człowiekiem!» odrzekł on. — «Czyś ty Jezus, czyś ty Bóg?» zapytał Janek. — «Nie wymawiaj owych imion», rzekł ten człowiek, «niegdyś były one czyste i święte, jak szaty kapłańskie, i słodkie, jak ziarno żywiące, lecz stały się błazeńskimi strojami dla głupców. Nie wymawiaj tych imion, albowiem sens ich stał się błędem, ich świętość stała się drwiną. Kto pragnie mnie znać, niech odrzuci od siebie owe imiona i wsłucha się w samego siebie». — «Znam cię, znam cię», odezwał się Janek.

«To ja byłem tym, który ci płakać kazał nad ludźmi, jakkolwiek nie rozumiałeś łez swoich. Ja to pierś twoją napełniałem miłością, której nie pojmowałaś. Byłem z tobą, choć nie widziałeś mnie, i ja to wzruszałem duszę twoją, pomimo że mnie nie znałaś». — «Dlaczego widzę cię teraz dopiero?» — «Bo wiele łez muszę wylać oczy, które mnie chcą zobaczyć. I nietylko nad sobą samym, lecz i w imię moje płakać powinienes, a ukazywać ci się będę i poznawać mnie będziesz, jak starego przyjaciela».

«Znam cię! — Poznają cię. Chcę być z tobą!» I Janek wyciągnął ku niemu rękę. Człowiek wskazał na błyszczący statek, który zwolna płynął dalej po ognistej drodze. «Patrz!», mówił, «tamta droga prowadzi do upragnionego przez ciebie celu. Innej niema, i bez tamtych obydwu osiągnąćbyś go nie mógł. Wybieraj zatem! Wielkie światło jest tam, i tam staniesz się tem, co poznać pragniesz. Tamtędy zaś», i wskazał ręką na ciemny wschód, «gdzie są ludzie i ich niedola, wiedzie moja droga. Nie błędny ognik, który zgasileś, lecz ja po niej prowadzić cię będę. A teraz, gdy wiesz wszystko, wybieraj!»

I Janek odwrócił oczy od wzywającej go postaci Powojka i wyciągnął rękę ku poważnemu człowiekowi. I poszedł za swym przewodnikiem w noc ostrą i wietrzną po trudnej drodze do dużego ponurego miasta, gdzie była ludzkość i jej bóle.

Być może, iż opowiem wam kiedyś dalszy ciąg historii o Janku, ale nie będzie już wtedy podobna do baśni.

*Thum. F. L. Lubodziecka.*

## LOUIS COUPERUS

(1863—1923)

### KLEOPATRA

Niema, głęboka cisza panuje wokoło.  
 Niby gwiazda srebrzysta, drży światło  
 W lampy kielichu białym z alabastru,  
 Oliwa w woń się spala oszalamiąjąca.  
 Połysk tak słabo srebrzy się, iż lekkich  
 Nie płoszy cieni, tylko je niebieszczy...  
 Z poduszek łoża, zdobionego złotem,  
 Podnosi oto się królowa, pierś swą naga  
 Prostując, i o rękę, smukle zokrągloną,  
 Opiera ją — znużona... Jej migdałokształtne,  
 Czarne, jedwabne oczy ślą w rozmarzeniu  
 Słabe promyki poprzez rzęs zasłonę.

Czarny jej włos, skroś przepojony mirrą,  
 Stargawszy ucisk sznurów pereł, faluje,  
 Nito płynny ebonit, po brunatnozłotym  
 Bujnym jej biuście, i leją się perty,  
 Kropla po kropli, z głębi jej kędziorów,  
 Nieruchomiejąc w krwawych rubinach  
 Łańcucha, co okala szyję jej wysmukłą.  
 Kwef purpurowy, jak przetkany szychem,

Oslania, niby mgła przejrzysta, jej członki,  
Złoto ich cieniuąc połyskiem różowym,  
A przytrzymuje go pas, obciążony  
Kamieniami drogiemi...

Śniąc o śmierci bliskiej,  
Na swoim Kleopatra podnosi się łożu  
I wzrokiem, idącym już z dali, spoziera —  
W koszyczek kwiatów, co u stóp jej kwitnie.  
I nagle gładkie wyciąga swe ręce,  
I nurza w kwiatach (a z jasnych jej palców,  
Zda się, kroplami woń na woń się sączy),  
Aż wkońcu blednie, ale się nie wzdryga...

Wtem zwinnie wstaje z swej wonnej pościeli —  
Z błyskiem roztronym w oczach i jęczyzkiem,  
Tak cienkim i spiczastym, jak igła ze złota —  
W ślicznych zakrętach szmaragdowa żmija  
I, pełznąć wolno, z syczeniem cichutkiem,  
Na chłodnym, zwilgłym brzuchu sunąc coraz dalej,  
Okręca się wokół ramienia jej, jak klamra...  
I sznur szmaragdów ciągnie się niebawem  
Pośrodku pereł i krwawych rubinów,  
O jeden klejnot więcej, którym, ot, królowa  
Się przystroiła...

A owa pieśń woni  
Na wątych się skrzydłach wznosi, jak marzenie rajskie,  
I odorza, i wizje śle czarowne  
W światło gwiazdziste, co tu z lampy płynie...

*Tłum. Alfred Tom.*

## HERMAN HEYERMANS

(1864—1924)

### Z «NADZIEI»

(W ubogiej holenderskiej izbie rybackiej u wdowy Kniertje; Geert — jej syn, Klemens Bos — szyper, właściciel statku «Nadzieja».)

Bos: Jeden twój syn nie chce jachać, a drugi — jeszcze gorzy...

Geert: Panie Bos! na pokładzie jezdem marynorzem, ale tutaj robie, co my sie podobo. Takigo szypra, któremu to abo owo nie jest recht, który węzy pod oknamy i podsluchuje piesneczek, co mu sie nie widzom — wi pon, panie Bos — — —

Bos: Rób, jak chcesz — ale to ino ci powiadom, że marynorz, który mo sie zenić — ten powinien być rod, że mo pryncypola, który mu jest życzliwy. Twój ojciec godny był człowiek i nigdyby sie nie odwożył, żeby jaż grozić szyprowi. Wy mokro mota pod nosem, ale siwych włosów to nie uszanujeta.

Geert: Rychtusinek! Znowu kozanie. Nie szanuje siwych włosów? szanuje, ino nie waszych. A chociaż pon zaczon od malygo, to teraz mosz pon dostatki — jezdes pon tyran — rozomisz pon, panie tego — — ? (*Bos chce coś odpowiedzieć*) A jagze — pon, panie Bos, juści ta może nie jezdes gorszy pon, panie Bos, od innych — a mój ociec, pewnie, że inakszy był człowiek. Ale my som teraz inne ludzie. Myślisz pon, panie Bos, że jo sie przemienił bez te gazyty i książki, którem potajemnie czytywoł przy marynie? Niel pon, panie Bos, someś my oczy otworzył — od maleńkości. Bedzie temu dwanoście lot. Przyszedem do kantoru dowiedzić sie, co sie stało z ojcem. Pon, panie Bos, siedzioles przy groku, przy piecu, przy kasie z pieniądzamy — a jeszcze odniedowna byles szyprem — pon, panie Bos — — przeklinoles mnie, że niby wszysej przychodzili sie dopytywać o to samo. A pon wiedzioles to, panie Bos, od



kilku dni, że mój ojciec się utopił, że się moi bracia potopili — aleś nom, panie, tego nie powiedział — inoś jeszcze pyskował, panie Bos...

Bos: Kłamiesz! tegom nie zrobił.

Geert: Pon to zrobisz — jo to powiadom! Zapamiętałem to sobie — — — Tak, mój ojciec miał siwe włosy — a moja matka mo siwe włosy — —

Bos: To, co godoś — nimo ani ręki, ani nogi. A teraz ci coś powiem: mosz matkę — chcesz się żenić — i owszem! Siedzioleś sześć miesięcy — — — (*Poruszenie u Geerta*) Jo o tem nie mówie! Obrazileś mnie w swoim własnym domu — możesz na to patrzeć, jak ci się widzi — a to ci powiadom — żeli bedziesz my takie żarty stroił na «Nadziei», to wiesz, jakie som przepisy — —

Geert: Wi to każdy dzieciok przy pypce.

Bos: A jak bedziesz starszy, to się bedziesz wstydzil swoich bezczelności! Szyper przy groku, przy piecu — —

Geert (*szyszac*): — — i przy kasie z pieniądzamy — —

(W tej samej izbie; na stole pali się lampa; za sceną wicher i huk morza. Obecne: Marjetje, córka cieśli okrętowego, narzeczona Meesa, Jo, narzeczona Geerta, Klementyna, córka szypra Bosa, na którego zmurszałym statku «Nadziei» znajdują się wśród wielu innych obadwaj ci młodzieńcy, Saartowa, wdowa po rybaku.)

Saartowa (*do płaczącej Marjetje*): Lepi wej naliż kawy... Co jeszcze ryczysz? Ona ino jednem ciągiem myśli o swoim Miesiu.

Marjetje: Nie — teraz myślałam o moim nieboszczyku bracie, że ón tyż — — —

Jo (*nerwowo*): Widać, że wam to robi przyjemność — —

Klementyna: Czy to nie było także przy połowie śledzi?

Marjetje (*robiąc pończochę*): To była jego drugo jazda. Jedno uderzenie rejom — i po nim. Trzy razy podował mu kapiton szufle od śledzi, trzy razy jom łapoł — trzy razy puszczoł — Pon Bóg chcioł go zabrać do siebie — i tak zginął.

Klementyna: Strasznie! Trzy razy chwytać i trzy puszczać.

Marjetje: I ón to przeczuwoł. Kapiton powiado, że całom noc płakoł, bo matka była choro, a ón go chcioł pocieszać. A ón powiedział: «Nie, panie kapiton, choć matka wyzdrowieje — to jo dzisiaj jem swojigo ostatnigo śledzia». — — Wtedy ojciec zaczon pić.

Klementyna: Ach, nie!

Marjetje: Tak, panienko! Jak ojciec, który był przy tem, przynioś zarobek brata do domu — osiemnoście złotych i trzydzieści pięć groszy — tak był, mówie wam, jak pomieszany! Piniądze cisnuł na zimie i przeklinoł na czem świat stoi. — Jo piniądze pozbiarałam, bo nom się hardzo przydały — choroba matki — pogrzyb — to wszystko okropnie kosztowało — no a osiemnoście złotych to je bardzo wielgi piniądz — —

Jo: Osiemnoście złotych za dziecko — — osiemnoście — — — (*Silne uderzenie wiatru*.) Cichol...

Saartowa: Nic się nie stało... Co się tak lękosz dzisiaj?

Jo: Lękom?... Jo się lękom? Niel... hahaha!... Jo się lękom, wicie!...

Kniertje (*do Klementyny*): Jo, jo! jakby tak woda umiała godać... Ach, panienko — życie na wodzie, to nie żodne rozkosze. Człowiek oddzielony je od wieczności o jeden włos... Ciężko je chłopom, ciężko je i kobitom. Wczoraj przechodziłam kole ogrodu wójta — siedzieli przy stole i jedli ryby — gorące, że ino tak parowało — a wątróbka leżała osobno — a dzieci siedziały ze złożonemy rączkami i modliły się. Takem sobie pomyślała w swoi prostocie, że to nieładnie — Boże my odpuść grzech — żeby wójt albo inni — takem sobie myślała — bo straszno była wichura — a przecie ryby pochodzom z tego samygo morzo, gdzie są nasze nieboszczyki — — (*Cisza*) Pewnie, że to je głupstwo tak myśleć — to je przecie los wszystkich kobit ryboków — a przeciw losowi powstować nimożno. — Jo! Jo! Te ryby drogo kosztujom... Panienska płacze?

Klementyna (*wybuchając płaczem*): Ach, Boże! — żeby tylko dzisiaj jaki statek nie zginął!...

Kniertje: My wszyscy jezdema w ręku Boga... Bóg je wielgi i dobry.

Jo (*oburzona*): Statek mo zginać? Jedno beczy, drugo beczy — — — byłyby my lepi, żebym była została dzisiaj wieczór sama! (*Bijąc się pięściami po głowie*) A dy wy możeta człowieka doprowadzić do warjacyi — do warjacyi — — —

Klementyna: Co ci się stało?

Jo: Ta ze swoim chłopem — — — ta ze swoim bratem — — — ta za moim bidnym pociotkiem — — a przekłete historje! — — Miasto człowiekowi dodać otuchy — — czemu się nie spytocie i mnie? Mój ojciec także utónuł — — — utónuł — — — utónuł — — — i inni potónyli — — Jezdešta suje — — — Jezdešta — — — (*Zatrząskuje drzwi za sobą*).

(Kantor staroświecki; na przodzie biurko z telefonem, w głębi kasa wertheimowska, na ścianach plakaty, mapy etc.)

Bos: Nimożesz to pukać?...

Kniertje: Chciała...

Bos (*opryskliwie*): Przychodzisz pięć minut za późno. Ta dzieucha, co u ciebie mieszko, takiego narobiła tutej hałasu, że o mało co nie telefonowałem do żandar-mów. (*Grubjańsko*) Właz...

Kniertje: Czy to prawda — — — czy to prawda... pon pastor powiada — — — (*Bos potakuje*) O! o!... (*Patrzy przed siebie ostupałym wzrokiem, rękę jej opadają ku ziemi.*)

Bos: Ciebie — ciebie my żol. Twójigo męża tyż, jezdeś porządno kobita, ale twoje dzieci — — przykro my, że teroz ci to musze powiedzieć — — twoje dzieci i ta twoja krewniczka — óne nigdy nic nie były worte. Ile to lot chodziłaś do mnie na robote — jaż dopiro przyszło do tego, że mnie twój syn Geert zaczon grozić... no a twój drugi syn — — (*Kniertje pada omdlała na krzesło przy piecu*) Knier... Kniertje!... (*podchodząc do niej*) Wody! (*nacierając jej skronie*) A niech to wszystko — djabli!...

Kniertje (*tkając*): Ón nie — — — chciół... nie chciół iść... i jo go mojemy własnemy rękamy — — — własnemy rękamy oderwałam od drzwi — — —

Bos: Nie potrzebujesz sobie robić wyrzutów.

Kniertje: Jeszczem mu kolczyki ojca... założyła... niby temu jagniątku, co idzie na ochfiare — — A z moim najstarszym — — tom sie nawet nie pożegnała... «Jak przydziecie za późno, to już wos, matko, nie zobacze nigdy — — nigdy» — po-wiedziół.

Bos (*wzruszony do głębi*): Przestoń — przestoń — — wolo Bożo...

Tłum. Jan Kasprowicz.

## ALBERT VERWEY

(ur. 1865)

### MISTERJA GWIAZD

Niezrozumiałą, cudną pieśń  
Śpiewają gwiazd miljony,  
Lecz jakiś magik, w polu śpiąc,  
Uchwycił raz te tony.

Kołysek on nad Tybrem miał  
I, śniąc swe sny urocze,  
Widział, jak gwiazdy płyną doń  
I chyła swe warkocze.

Samotny ujrzał w cichą noc  
Mruganie gwiazd w eterze,  
Więc spał pieśni cudny ton  
Znakami na papierze.

Gdy rankiem ciemność złamał świt  
I weszło słońce rano,  
Przed sobą prózny spostrzegł trud,  
Zagadkę niezbadaną.

I odtąd szukał magik wciąż  
Tych znaków, ach! zakłęcia,  
I szukał nocą, szukał w dzień —  
Ha! prózne przedsięwzięcia!

A gdy umierał, cicho rzekł  
Słów kilka gwiazdom w niebie;  
Wtedy to on czarowną pieśń  
Usłyszał wokół siebie.

Lecz odtąd wiecznie ludzka myśl,  
 Gdy gwiazdy ciągną blade,  
 Chce poznać dziwną znaków treść  
 I śpiew ów, tę szaradę.

Płynący z góry lekki wiatr  
 Ma cudne tony w szumie,  
 Słyszy je każdy, ale nikt  
 Ich treści nie rozumie.

*Tłum. Wł. Trąpczyński.*

#### ZIEMIA

Gdybym nie kochał ciebie tak, ma ziemio,  
 Czyżby się we mnie zrodziło marzenie,  
 By ujrzeć w jednym obrazie strumienie,  
 Góry, doliny z stawami, co drzemią!

Dzieckiem już ciebie szukałem, ma ziemio,  
 Chcąc znać cię całą: jak mgła rzuca cienie,  
 Chmury — noc czarną, a słońce — promienie;  
 Znać twe lianosy, gdzie trzody się plemią,

Jedynie lassem kielzane, i kraje,  
 Gdzie wśród zieleni mkną potoki srebrne,  
 I las szumiący, i góry podniebne,

I morze, co się za brzegi dostaje:  
 Dzieckiem całąm cię widział — aż oniemia  
 Mroki mnie grobu, czcic będę cię, ziemio!

*Tłum. Alfred Tom.*

*Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.*

ZE ZBIORU PIEŚNI LUDOWYCH «KANTELETAR»

O, ŻŁOTY DOMU RODZINNY!

Ciepłem darzy giezło lniane,  
gdy przez matkę jest utkane;  
chłodem — i wełniana szata,  
gdy ją obce wytką ręce.  
Gorąca jest łaźnia matczyna,  
choć chłodna będzie w niej woda,  
zimna łaźnia jest wioskowa,  
choćby kąpiel w niej gotowa.

Chleb ojcowski smakowity,  
choćby z plewy był napoły;  
goryczą żywi obcych chleb,  
nawet masłem smarowany.

Łagodna jest różdżka matczyna;  
niby trzcina, ojca różga,

nawet gdyby dłonią twardą  
karał nią co godzina.  
Krwawa jest różga obcego,  
cierniowa — obcej wsi,  
gdy choć raz uderzy ona,  
nawet, gdy napoły dotknie.

Ojczyzno, kochana serdecznie,  
dobre czasy w rodzinnym domu!  
Choć chleb skapo wymierzany,  
nie mąciło nic spokoju,  
ze snu słodkiego po znoju  
nie budziły kłopoty ni troski.

ŚPIEW — POCIECHA

Wszyscy się dziwiają we wsi,  
każdy się dziwi i o tem gada,  
że ja — dziecię biedne — wciąż wyśpiewuję  
i w śpiewie radość znajduję,  
że z wieczora i co ranka  
po wsi brzmi moja piosenka.

Może ktoś w skrytości serca  
złemi myślami mnie darzy,  
o chęć do trunków mnie podejrzewa,  
że w podchmieleniu wciąż śpiewam.

Lecz ja śpiewam me piosneczki,  
półgłosem nucę me pieśni

nie na wesolej hulance,  
w podchmieleniu i przy szklance —  
o niedoli swojej śpiewam,  
z sercem, smutkiem przytłoczonym,  
i koję w dnie przygnębienia  
przez śpiew gorzkie swe cierpienia.

Niech ptaszyna trzeпоce radosna,  
niech pjanice hałasują,  
a smutni — niech pieśni śpiewają,  
w śpiewie pociechy szukają.

LIPPO I TAPIO<sup>1</sup>

Opowieść ludowa z Karelii

Myśliwy Lippo, żwawy człek, udał się pewnego razu z dwoma towarzyszami na polowanie na reny. Przez cały dzień wędrowali po lesie, aż zapadła noc i musieli szukać schronienia przed ciemnością i chłodem w szałasie z chróstu. Spędzili w nim noc, a gdy zaczęło świtać, powędrowali dalej na swych nartach. Zanim opuścili szałas, Lippo

<sup>1</sup> Bóg lasów.

uderzył swe narty jedną o drugą i rzekł: «Dzień dzisiejszy musi mi przynieść zdobycz: jedną sztukę dla jednej narty, drugą dla drugiej, a trzecią dla mego kija». Gdy tylko trzej myśliwi ruszyli z miejsca, znaleźli trzy ślady renów; posuwali się naprzód, kierując się temi śladami, i ujrzeni wkrótce trzy reny: dwa obok siebie, a trzeci nieco zdala od innych. Rzekł tedy Lippo do swych towarzyszy: «Możecie ścigać te dwa; ja zaś chcę upolować tego pojedynczego». Z temi słowy pomknął za nim po śniegu, ścigał przez cały dzień, aż go noc zaskoczyła. Jednak rena nie dogonił, aczkolwiek był najzwawszym narciarzem. Dotarł wreszcie do jakiejś zagrody w lesie; ren schronił się tam do stajni na podwórze, a Lippo pośpieszył za nim. Na podwórze stał gospodarz domu, czcigodny starzec, o głowie i brodzie, porośniętej jodłowym mchem. «Ohol — rzekł on — cóżto za ropuszy syn ścigał dziś aż do potu mego żrebca?». Lippo się zbliżył, powitał starca i powiedział: «Ja to uczyniłem, nie mogłem go jednak pochwycić i tak oto zabłądziłem na to podwórze». Starzec, który był samym Tapio, odrzekł: «Skoroś mego żrebca aż do zmroku ścigał, zostaniesz w mej izbie na noc». Lippo wszedł do izby i ze zdumieniem rozglądał się dokoła: tu były reny i jelenie, tam znowu niedźwiedzie i lisy, wilki i najróżnorodniejsze leśne zwierzęta, jakie tylko sobie można było wyobrazić. Tapio postawił przed nim wieczerzę i ugościł go należycie. Nazajutrz rano Lippo chciał w dalszą wyruszyć drogę, lecz nie mógł znaleźć swych nart. Spytał więc o nie Tapia, który mu odrzekł: «Czy nie chciałbyś pozostać u mnie jako zięć? Mam tylko jedyną córkę». A Lippo na to: «Pozostanę chętnie, lecz jestem ubogim człowiekiem». — «Nie troszcz się o to — zawołał Tapio — ubóstwo nie jest wadą, a u nas będziesz miał wszystko, o czem zamarzy twoja myśl». Tak oto otrzymał Lippo jego córkę za żonę, i żwawy narciarz i myśliwy pozostał jako zięć w leśnej chałupie Tapia.

Trzy lata minęły od chwili, gdy przybył do Tapia, i oto córka Tapia powiła syna. Zamyslił wówczas Lippo odwiedzić swą ojczyznę i poprosił Tapia, aby go tam zaprowadził. Tapio rzekł: «Gdy mi zrobisz narty po mojej myśli, puszcę cię w tę drogę». Lippo udał się do lasu i zaczął wycinać nartę. Nad nim na gałęzi drzewa siedziała sikora i śpiewała:

«Tii, tii, ja, sikorka mała,  
doradzę, jak zrobić, by ci się udała:  
pod spodem zrób rowek i włóż weń gałązkę,  
na wierzchu umocuj dla nogi przewiązkę».

Lippo cisnął w ptaka kawałkiem drzewa i rzekł: «Co tam wygwizdujesz, ty głupie stworzenie?» Wykończył narty, ozdobił je tak pięknie, jak tylko potrafił, i odniósł je Tapiowi. Tapio spróbował je, lecz rzekł odrazu: «To nie dla mnie narty!» Nazajutrz musiał Lippo znów iść do lasu do roboty. Znowu siedziała tam sikora i śpiewała:

«Tii, tii, ja, sikorka mała,  
doradzę, jak zrobić, by ci się udała:  
pod spodem zrób rowek i włóż weń gałązkę,  
na wierzchu umocuj dla nogi przewiązkę».

«Znów tu jesteś ze swą paplaniną?» — zawołał Lippo gniewnie i rzucił kawałkiem drzewa w ptaka. Ani myślał usłuchać jego rady, wyciął narty na starą modłę i przyniósł je Tapiowi. «To nie są moje narty» — rzekł znów Tapio: Gdy więc Lippo na trzeci dzień poszedł do lasu i sikora znów zaśpiewała mu swą piosenkę:

«Tii, tii, ja, sikorka mała,  
doradzę, jak zrobić, by ci się udała:  
pod spodem zrób rowek i włóż weń gałązkę,  
na wierzchu umocuj dla nogi przewiązkę» —

pomyślał sobie Lippo: «Dobrze, zrobię, jak mi nakazujesz, nie będziesz chyba śpiewać napróżno!» Wziął mocno rosochatą gałązkę, umieścił ją w wąskim wyłobieniu pod nartą, a na wierzchu w jednym końcu przyczepił ramię, poczem pokazał Tapiowi narty. «Oto są moje narty — powiedział Tapio, gdy je przymierzył — teraz możesz

wyruszyć w podróż do domu». Wyprowadził Lippo i rzekł: «Ja będę was wiódł naprzędzie, a wy kierujcie się memi śladami: gdzie znajdziecie odcisk mego kija, zostaniecie tam na noc. Buduj jednak twój szałas gęsto z gałązek jodłowych, by gwiazdy z nieba nie mogły przezeń przeświecać». Z temi słowy pomknął Tapio naprzód przed nimi; gałązki pod nartami znaczyły jego ślady, dzięki czemu Lippo z żoną i dzieckiem mógł podążać za nim. Dopiero na odwieczersz zobaczyli odcisk kija i obok upieczonego na wieczerzę jelenia. Wybudowali szałas z gęsto uplecionych gałązek jodłowych, pokryli go bardzo mocnym dachem i wciągnęli do jego wnętrza małe saneczki z dzieckiem, poczem udali się na spoczynek. Nazajutrz rano wyruszyli w dalszą podróż, biorąc sobie na drogę kawałek jeleniej pieczeni. Ku wieczorowi znaleźli znów ślad kija i obok tego śladu upieczonego rena. Znów z gęsto uplecionych gałązek jodłowych wybudowali szałas i wciągnęli do jego wnętrza saneczki z dzieckiem. Po nocnym wypoczynku rano udali się znów w drogę i wędrowali tak, dopóki wieczorem nie ujrzeli trzeciego śladu kija. Tym razem na wieczerzę znaleźli upieczonego głuszca. «Patrz no! Teraz ojczyzna nasza już blisko, skoro dostaliśmy głuszca!» — wykrzyknął Lippo. Wybudowali więc szałas zupełnie nieszczelnie i wciągnęli do jego wnętrza saneczki z dzieckiem, poczem ułożyli się do spoczynku. W nocy rozeszły się chmury i gwiazdy z nieba przez chróst spoglądały jasno na śpiących, gdyż szałas był niedość gęsto sklecony. Gdy Lippo obudził się rano, nie mógł nigdzie znaleźć swej żony, wyszedł z szałasu, rozglądał się wokoło, lecz śladów nart Tapia nie mógł już dojrzeć. Lippo nie mógł się ruszyć ani tu, ani tam, gdyż żadnych śladów nie odnalazł. Usiadł ze swem dzieckiem przed wejściem do szałasu i patrzył przed siebie; przebiegł przed nimi jeleni i zabeczał. Poza tem, jak świat długi i szeroki, nie było nic widać. Zapadł wieczór i Lippowi nie pozostawało nic innego do zrobienia, jak spędzić tam noc. Nazajutrz znów leżał u wejścia upieczony głuszek, i jeleni, becząc, przebiegł mimo.

Wiele lat spędził Lippo ze swem dzieckiem w tym samym szałasie z gałęzi jodłowych. Co rano przed drzwiami leżał dla nich upieczony głuszek i co dnia przebiegał tamtędy jeleni. Chłopiec wyrósł tymczasem na mądrego, roztropnego młodzieńca. Pewnego dnia poprosił ojca, by mu sporządził długą rurę, przez którą mogliby dojrzeć, czy ojczyzna jeszcze jest daleko. W wolnych chwilach przygotował Lippo taką rurę i dał ją synowi. Ten spojrział i wnet zawołał: «Ojczyzna jest już niedaleko, jesteśmy blisko własnej ziemi!»

I tak było w istocie: gdy obaj wyruszyli w drogę, rychło przybyli do ojczyzny. Młodzieniec ten był praojcem Lapończyków.

Oto koniec tej opowieści.

## ELIAS LÖNNROT

(1802—1884)

### Z «KALEVALI»

(Pieśń XXXIV, wiersz 77—196)

...Mija lasek Wäinämöinen<sup>1</sup>,  
Skrajem gaju już przechodzi;  
Słysz: kędyś brzoza płacze,  
W sęczkach cała lamentuje.  
Tedy zbliża się doń chyżo,  
Tuż do drzewa wnet podchodzi  
I zagadnie je w te słowa:  
«Czegóż płaczesz, brzózko miła?  
Czegóż smęcisz się, zielona,  
Białym pasem przepasana?

Ani cię na bitwę wiodą,  
Ani k' wojnie nie przymuszają».  
Mądrze mu odrzeczcie brzoza  
Zielonolista w te słowa:  
«Wielu mówi o mnie snadnie,  
Wielu ponoć tak powiada,  
Że w radości jeno żyję,  
Wesoło gałęzmi szeleszczę.  
Jam — nieszczęsna, jam — strapiona,  
Męka jeno mym udziałem.

<sup>1</sup> Wäinämöinen — najpotężniejszy z bohaterów «Kalevali», boski pieśniarz, największy mędrzec i czarodziej wieczysty.

Nad czasy się żalę ciężkimi,  
Nad troskami jęczę swemi.

Nad swoją płacę bezsiłą,  
Nad ubóstwem lamentuję.  
Gdy, nieszczęsna, w swej niedoli,  
W nędzy nijakiej nie mając podpory,  
Na złym stoję tu ugorze,  
Na wygonie pustym stoję.

Inni szczęścia czekają wiernie,  
Nadzieją się krzepią błogą,  
Że lato piękne nadejdzie  
I ciepła nadejdzie pora.  
Alem ja — wątła brzezina,  
Na inny, biedna, czekam los:  
Korę moją potną w pasy,  
Gałązki odrąbią moje.

Często ku mnie nieszczęśliwej,  
Ku mnie słabutkiej brzezinie  
Dzieci przychodzą o wczesnej wiosnie,  
Do mego przychodzą pnia  
I ostremi nożykami  
Z wnętrza mego sok puszczają.  
A w lecie pasterze źli  
Mój biały pas mi zedną  
I pochwy do noży zeń splecą,  
Kubki, do jagód kobiałki.

Często koło mnie słabutkiej,  
Koło mnie wiotkiej brzeziny  
Dziewczęta u stóp mych siadają  
I wokół mnie otaczają,  
Koronę ścinają zieloną  
I wieńce z gałązek plotą.

Często też mnie słabuteńką,  
Często słabutką brzezinę  
Zetną przy lasu trzebieniu,  
Na szczapy drobne porąbią.  
Trzykrotnie już tego lata,  
O tej ciepłej porze,  
Przy pniu mym chłopci radzili,  
Topory swoje ostrzyli

Na moją koronę nieszczęsną,  
Abym się z życiem rozstała.

Oto moja radość w lecie  
I wesele w pięknej porze,  
Lecz i zima nie jest lepsza,  
Nie jest miłsza pora śniegu.  
Zdawna już, dawnymi czasy  
Smutek zmieniał me oblicze,  
Ku ziemi kłonił głowę,  
I bladły moje lica,  
Gdy myśl nawiedzała mię sroga  
O czasach złych, o moim czarnym dniu.

Bóle wtedy wiatr przynosi,  
A szron — gorzkie zatroskanie,  
Wichry rwą mój kożuch z liści,  
A szron — wszystką moją odzież,  
Aż nieszczęsna, wiotka brzoza,  
Nieszczęśliwa ja brzezina  
Bez odzieży stoję zgoła,  
Z szat wszelakich obnażona,  
I dygoczę w srogim chłodzie,  
Na tym mrozie lamentuję.

Rzecz stary Wäinämöinen:  
«Nie płacz, o, zielonolistna,  
Nie żal się, o, brzózko miła,  
Białym pasem przepasana!  
Los twój szczęśny będzie teraz  
I wesela pełne życie,  
Poznasz, co radości tży,  
I zadźwiczysz w zachwyceniu».

Zrobił stary Wäinämöinen  
Z brzózki tej gęśle dla siebie.  
Dzień długi letni przepracował,  
Aż kantele<sup>1</sup> wykonać zdołał,  
Na mglistem to było wybrzeżu,  
Na wyspie, mgłą otoczonej.  
Wycina on swą kantele,  
Jej kadłub, ku nowej radości,  
Z mocnego drzewa kształt jej tnie,  
Z sęczkowatego robi ją drzewa.

## JUHAN LUDVIG RUNEBERG

(1804—1877)

### Z CYKLU: IDYLLE I EPIGRAMY

Wielki Ojan Paavo był — z Karelji rodem —  
wielki i potężny wśród Suomi synów,  
silny, mocny, jako granitowa skała,  
śmiały, żwawy, jako wicher na morzu.  
Wrywał sosny razem z korzeniami,  
dłońmi niedźwiedzie uśmiercał bez trudu,  
rumaka dźwigał na barach potężnych,  
przeciwnika o ziem kładł, jak drzazgę.

<sup>1</sup> Kantele — pięciostrunna harfa.

Stanął raz potężny Ojan Paavo  
 dumnie, władczo na rozległym rynku.  
 Stał pośrodku między mnogim ludem,  
 jak olbrzymia sosna wśród olszyny.  
 I donośnym głosem tak zawoła:  
 «Kto, z niewiasty zrodzon, mnie pokona,  
 aby choć na jedno mgnienie oka  
 na tem samym miejscu mnie zatrzymać?  
 Niech zabierze ten dziedzictwo me dostatnie,  
 skarby moje w jego przejdą ręce,  
 stada moje temu podaruję,  
 z duszą, z ciałem sam się oddam aż do grobu!»  
 Tak rzekł Ojan Paavo wobec ludu.

W przerażeniu trwa gromada mężów  
 i w milczeniu słucha hardych słów,  
 aleć nie chce nikt spróbować swoich sił.  
 Zasię dziewcząt oczy zadziwione  
 spozierały nań w zdumieniu i zachwycie.  
 Stoi tak mocarny Ojan Paavo,  
 jak olbrzymia sosna wśród olszyny.  
 Niby gwiazdy oczy jego rozgorzały,  
 jasność bije z jego czoła,  
 włosy płowe z ramion mu spłynęły,  
 jak złocisty strumień w blasku słońca.

Znagła wyszła z dziewczęcej gromady  
 Anna, najpiękniejsza z całej wsi,  
 nadobna, jak wiosenne rano,  
 i do Paava szybkim zmierza krokiem,  
 szyję mu ciepłymi ogarnia ramiony,  
 sercem swem do jego się przytula serca,  
 głową ku jego skłania się licu,  
 pyta, czy z ramion jej wyzwolić się zdoła.

Pokonany stał mocarny Paavo,  
 z miejsca ruszyć się niezdolen,  
 i wruszony rzekł do pięknej Anny:  
 «Anno! Zakład mój przegrany tedy!  
 Na własność weź dziedzictwo me dostatnie,  
 skarby moje do ciebie należą,  
 stada me chętnie tobie darowuję,  
 z duszą i ciałem jam twój jest na wieki!»

#### NASZ KRAJ<sup>1</sup>

Ojczyzno nasza, kraju drogi,  
 W swej chwale czystej trwaj!  
 Kochamy twoich łąk rozłogi  
 I granitowych brzegów progi,  
 Bo ten północny ziemi skraj  
 To nasz ojczysty kraj!

Niech ci, co mają zysk na względzie,  
 Odwróć od cię twarz...  
 Dla nas te nagie skał krawędzie

I ten ubogi plon na grzędzie  
 To drogie skarby, które masz,  
 O, złoty kraju nasz!

Kochamy szumne tve potoki  
 I chłodny wichrów twoich wiew,  
 I letnich nocy twych uroki,  
 I starych borów ciche mroki;  
 Tu promień każdy, każdy śpiew  
 Splotnienia w sercach krew.

<sup>1</sup> Hymn narodowy fiński.



Tu myśli, miecze i lemiesz  
 Poznały krwawy trud,  
 Tu przeszły ojców naszych rzesze,  
 Tu w zatroskaniu czy uciesze  
 Stulecia długie żył ich ród,  
 Mocarny Finnów lud.

Kto zliczy bitwy, tu stoczone,  
 Przelaną zbierze krew  
 I kto wytrwałość zmierzy onę,  
 Co brać umiała w swą obronę,  
 Łagodząc zim północnych gniew,  
 Rzucony w ziemię siew?

Na glebę tutaj krew się lała,  
 Co dotąd płynie w nas.  
 Tu błysło szczęście, kwitła chwała,  
 I lza niejedna z ócz spływała  
 Praszczurom, którzy tu raz wraz  
 Walczyli w zmierzchły czas.

Tu jest nam dobrze, tutaj spłynie  
 Naszego życia bieg,  
 I choć nas gorzki los nie minie,  
 Wiemy, że dla nas w tej krainie,  
 Jak ostateczna przystań, legł  
 Najdroższy w świecie brzeg.

Oto przed nami ziemia leży,  
 Kapiąca w morzu szat swych skraj,  
 I od rubieży do rubieży  
 Dumnie ją oko nasze mierzy...  
 Spójrzycie wszyscy! od tych staj  
 To nasz ojczysty kraj!

I gdyby przyszło nam żyć w niebie,  
 W lazurach, pośród gwiazd,  
 Nie zapomnielibyśmy ciebie,  
 Kraino o ubogiej glebie,  
 I nie przestali z jasných gwiazd  
 Do twoich tęsknić gniazd!

Wśród granitowych twych mierzei  
 Tysiąc twych jezior śni,  
 Przystani nasza w burz kolei,  
 Skarbnico wspomnień i nadziei,  
 Kolebko skromna naszych dni,  
 Niech pieśń twa głośno brzmi!

Bo piękność twoja, w paku sniąca,  
 Rozwinie się jak kwiat,  
 Bo nasza miłość gorejąca  
 W purpurę zórz i blaski słońca  
 Ustroi bieg twych przyszłych lat,  
 Pieśń ta przejdzie świat!

*Tłum. Bh. K.*

*Uzupełnił (strofą 6-a) A. T.*

## Z. TOPELIUS

(1818—1898)

### BRZOZA I GWIAZDA

(Wyjątek)

...Mniej więcej przed dwustu laty Finlandja znajdowała się w okropnem położeniu. Wszędzie panowało spustoszenie wojenne, wsie i miasta leżały w zgliszczach, pola były stratowane, a ludzie ginęli setkami tysięcy pod ciosami mieczów, z głodu i strasznej zarazy. Wokół słyhać było tylko jęki i skargi, widać było tylko lzy, cierpienia, zgłiszczka i krew, a ci, którzy zdołali zachować jeszcze nadzieję, nie wiedzieli nawet, czego mogą się spodziewać. Tak srogie klęski spadły wówczas na kraj, że wspomnienie tego okresu nigdy nie zaginie. W tych czasach ciężkich doświadczeń niejedna rodzina została rozproszona: niektórych jej członków uprowadzono do wrogiego kraju, inni uciekali w lasy i odludne miejsca lub dalej jeszcze, aż do Szwecji. Żona nie wiedziała, jaki los spotkał jej męża, brat nie wiedział nic o siostrze, ojcowie i matki — dokąd poszły ich dzieci i czy żyją, czy umarły. Więc też, gdy zapanował znów spokój i pozostali przy życiu mogli powrócić do siebie, niewielu znalazło się takich, którzy nie mieli kogo oplakiwać.

W historii o Sinobrodym czytamy, że młoda jego małżonka posyłała swą siostrę na wieżę, skąd daleko można było widzieć drogę, i zapytywała ją nieustannie: «Anno, siostrzo moja Anno, czy nie widzisz nikogo nadchodzącego?» Tak też w okresie, o którym mowa, gdy dom był osamotniony i nie było wieści o kimś zaginionym a drogim, zapytywano się wzajem: «Czy nikt nie nadchodzi?» I zazwyczaj była odpowiedź: «Niema nikogo, nikogo!» Zdarzało się jednak czasem, jak w historii o Sinobrodym, że zdala na drodze zjawiał się mały obłok kurzu; obłok zbliżał się i rozpoznawano wreszcie gromadę tułaczy, którzy usiłowali odnaleźć swe rodziny. Wówczas ojciec

i matka szukali wzrokiem tego, co było dla nich najdroższe na świecie, i gdy wśród przybyszów rozpoznawali po wielu latach swe dziecko, radość ich była tak wielka, że smutek był wymazany z ich serc, że chata wznosiła się z pośpiechem, pola znów przynosiły plony i era szczęścia następowała po troskach przeszłości...

## A. OKSANEN (A. E. AHLQUIST)

(1826—1889)

## ISKRY

Mroczny, jesienny, zimny wieczór  
na miastach i polach leży.  
W cichym poszumie sosen  
fale jęczą u wybrzeży.

Mała chatynka przeziera  
śród sosen ciemnych pni,  
z komina tryskają wesolo  
ruchliwe, ogniste skry.

Wirują i na wietrze tańczą  
w przestworzu iskry jasno,  
zabłysną przez krótką chwilę,  
tlą się i wnet zagasną.

Ni ciepłem od nich nie wieje,  
ni noc się ponura rozżłaca,  
a przecie głoszą, że w kuźni  
skrzętna wre zawsze praca.

Wciąż kuje kowal żelazo,  
dźwięk młota brzmi nieskończenie,  
a gdy naciśnie miechy,  
wysoko buchają płomienie.

Ponad strzechę poprzez mroki  
iskry lecą w tym płomieniu,  
a dzieci wiejskich gromada  
przygląda się temu w milczeniu.

Niedługi jest iskier szlak,  
gdy z wichrem w przestworza lecą,  
a gdzie podatny znajdą grunt,  
tam jednak ogień rozniecą.

Tak ty wzlatuj, pieśni moja,  
jak skry jasne, gorej, leć!  
Rozżaraj ogień i rozpłomieniał,  
w młodych sercach radość nieć!

Może tedy rozniecić zdołasz  
nowym płomieniem pieśni ukochanie  
w sercach ludu Suomi,  
w kraju całym — nieprzerwanie.

## ALEKSIS KIVI

(1834—1872)

## Z «SIEDMIU BRACI»

(Wyjątek)

...W niedzielny wieczór letni, gdy słońce chyliło się ku północo-zachodowi, a powietrze i las były ciche, Anna siedziała sama na ławce koło stołu. Eero poszedł obejrzeć swe łąki i pola, wszystkie służące wyruszyły na wieś. Wielki spokój panuje dokoła i w obszernej odświętnej izbie, której podłoga, usłana gałązkami, uśmiecha się mile. Spokój i cisza panują wszędzie, od czasu do czasu ze wzgóрка, pokrytego brzoźami, dochodzą dźwięki dzwonek trzód. Młoda matka siedzi na ławce i gwarzy z leżącym na jej kolanach dzieckiem, które wygląda niby promienna zorza. «Powiedz mi, mój maleńki — nuci ona piosenkę naprzemian z rozmową — powiedz mi, jak znalazłeś drogę do twego domu? — Tu, tu przybyłem z Turku drożyną, hen, hen dreptałem Häme ścieżyną. — Lecz po czem rozpoznałeś twój dom, mój maleńki? — Poznałem go po szarym psie u wrót, po źródle złocistem na podwórzu, widziałem również konie pasterzy przed szopą na siano i w stodole beczulkę piwa. — A jak poznałeś twą drogą matkę i twego ojczulka? — Matka czerpała młode piwo koło gorejącego ognia,

czerpała i śpiewała, śpiewała głosem czystym, wokół szyi miała szal wełniany, szal jak śnieg i tęcza. A po czym poznałeś ojczulka? Ciosał on ręką topora, ciosał ją koło złotego okna. — Tak oto znalazłeś drogę, tak rozpoznałeś twój dom, tak poznałeś w izbie twoją matkę i ojczulka. Ale gdzie jest ojczulek, dokąd poszedł, czy myśli o nas? Na pewno myśli, a jeżeli nie myśli o tobie, ja cię nie zapomnę przenigdy, nawet w godzinę śmierci, ty świecie promienny i zmiernychu smętny mojej duszy, radości moja i moja piękna trosko! A dlaczego jesteś moją troską? Ach! świat jest przewrotny i burzliwy i niejedyn żeglarz pograżył się w otchłani jego mórz. Powiedz mi, moje dziecko, mój kwiatuśku, powiedz, czy nie zechciałbyś dopłynąć do zacisznej przystani, póki biała chorągiewka twego dzieciństwa trzepocze jeszcze w całej swej czystości? Na brzegu zamglonego i cichego jeziora wznosi się ciemny przybytek zmarłych. W mroku liści pośrodku gaju, pokrytego rosą, przygotowano już kołyskę, pieluszki i kołderki na przybycie mego dziecka. Posłuchaj mej kołysanki, ona towarzyszyć ci będzie do krainy Tuoni<sup>1</sup>. O, słuchaj pieśni mego serca!

Gaju w Tuoni mrocznej krainie!  
Tam mojej dadzą dziecinie  
kołyskę w miękkim piachu.

O zmroku, w wieczorną ciszę,  
sen błogi cię ukoiysze  
na łonie córki Tuoni.

I tam wśród podziemnych błoni  
będziesz pasał trzody Tuoni,  
pełen radości, wesela.

Świergoty nocnej ptaszyny  
kołyszą skarb mój jedyny  
do snu w kolebce złotistej.

Tuoni gaju, pełen ciszy!  
Wasni tu nikt nie usłyszy,  
od złego zdala świata».

Tak oto śpiewa dla swego dziecka i melodyjna harfa nie brzmi chyba tak czysto, jak jej głos w odświętnej izbie. Gdy skończyła swą pieśń, spojrzenie jej wybiega w otaczającej ciszy za okno; spojrzenie, które się gubi w zawrotnych wyżynach niebios. Niebo jest przezroczyste i jasne, żaden obłoczek nie ślizga się po jego sklepieniu, tylko ledwie widoczna jaskółka wlatuje i unosi się w powietrzu lekka i żwawa, jak myśl szczęśliwego człowieka.

Anna siedzi cicho, jej policzek, ogorzwały od słońca, opiera się o skroń uspiętego dziecka, niebieskie oczy wpatrują się w niezmierzone przestworza błękitu i czoło jej jaśniejnie spokojem.

Wracając z lasu, Eero słyszy z podwórza śpiew swej żony, który mu się nigdy nie wydawał tak piękny. Wchodzi, idzie w głąb izby i siada koło niej: jest to przyjazna zażyłość, którą jej dawniej zrzadka okazywał. Ona zaś odwraca się doń żywo i, kładąc dzieciątko na jego kolanach, przytula swe czoło do piersi męża, wybuchając niepowstrzymanym płaczem. Eero otacza ramieniem jej szyję i pieści pukiel jej jasnych włosów za uchem. W ciszy tego niedzielnego wieczora siedzą tak oto na ławeczce białej koło białego stołu...

JUHANI AHO

(1861—1921)

#### MÓJ LUD JAŁOWCOWI PODOBNY

Nie jest to rzeczą przypadku, że właśnie my, Finnowie, zatrzymaliśmy się na tym fińskim półwyspie i pozostaliśmy tu do dziś.

Przybywali tu wszak i inni w poszukiwaniu ziemi. Lecz albo mijali nasz podwórzec, albo zawracali u naszych plecionych wrót. Pazury Lapończyków ze skorupy ziemskiej Finlandji nie wydobuły należytych zysków, więc na saniach swych, zaprzę-

<sup>1</sup> Kraina śmierci.

zonych w reny, przynosili się z wolna tam, gdzie ich egzystencja sama przez się była łatwiejsza. Szwedzi zagarnęli nadbrzeżne obszary o najżyźniejszej glebie, lecz już o dwie mile od wybrzeża zatrzymali się, gdyż mokradła i bory zagroziły im drogę. Co się tyczy naszych wschodnich przyjaciół, to przecie ich pług przeorał li tylko ogrody warzywne. A gdyby tu zamieszkiwać miały kiedyś wielkoludy, zadowolilyby się zabawą w rzucanie kośćcami, ale znużyłyby się tem.

Wszak i Finnowie również znaleźliby bogatsze ziemie, mlekiem i miodem płynące. Ale, zda się, pragnęli zawsze najmniej żyznych obszarów. Jakby naprzekór szukali suchych pustaci, mokrych trzęsawisk, ponurych ostępów leśnych, gdzie ziemia nigdy wyzwolić się nie może z zimowego zamarznięcia.

Są ludzie, którzy się w tem dopatrywali przymusowego cofnięcia się przed innymi, potężniejszymi. Ja zaś mniemam, że była to ich najrozsądniejsza, królewska myśl. Poznali wytrwałość własnych łądźwi i tam, gdzieby się kregosłup innych przełamał, ich kregosłup stawał się mocniejszy. Mieczem ich była motyka i podbili nią sobie ziemię, którą nawet zwycięzca musiał uznać za należącą do nich. Jakikolwiek w różnych czasach mogło być jego imię, czy brzmiało ono po szwedzku, duńsku lub rosyjsku, w wyniku końcowym walk pole bitwy pozostawało wyłącznie dla Finnow. Dla nowych osiedleńców, przybyłych z zewnątrz, było ono bowiem zbyt twardym orzechem do zgryzienia. I tak jest jeszcze dotychczas. Gdybyśmy to nawet obcemu oddać chcieli i mówili: «Oto jest... przyjdź i weź!» — to jednak wzięćby nie zdołał.

Dlatego, «cokolwiek się zdarzy», możemy tu trwać bez troski i bez żadnej obawy. Jak jałowiec na skalnem wzgórzu, możemy się spokojnie wsłuchiwać w świst wichrów z niebios. Piorun, bijący z przestworzy, rozłupuje sosny w borze na drzazgi, a wobec jałowcu jest bezsilny. Rumaki wojenne pędzą nad nim i koła armat pochylają go ku ziemi. Lecz jałowiec nie łamie się. Nie ukazuje się na nim rana krwawa i żadna gałąź nie jest uszkodzona. Gdy zawierucha mija, prostuje swój krótki, giętki pień i jedna gałązka szepcze do drugiej: «Rośnij tam, ja rosnę tu». I niewiele czasu upłynie, a ślady stóp i wyżłobione koleiny zostaną wyrównane. Gdy najeżdźca szuka nazajutrz swych wczorajszych śladów, już ich nie znajduje. Droga zarosła, a krzaczki jałowcu zdają się nienaruszone.

Lecz wyżłobione brózdy wcisnęły się głębiej i zaważyły na losie tych naszych braci, którzy wybrali na swe osiedla bardziej miękkie gleby. I właśnie to, żeśmy wybrali przewagę skał, gdzie jeno podobny nam jałowiec rosnąć może, było naszą największą mądrością. Mojżesz, który nas tu przywiódł, pojął tę wrodzoną moc, jaka tkwiła w jałowcowej naturze jego ludu.

## J. LINNANKOSKI (VIHTORI PELTONEN)

(1869—1913)

### ZBIEGOWIE

(Wyjętek)

...W świeży poranek majowy młoda gospodyni wybierała się na dworzec. Keskitalo miał powozić, a stara gospodyni miała jej towarzyszyć w podróży do miasta. Wszyscy byli obecni przy odjeździe, z wyjątkiem Unteli, który, jak zwykle, pracował w polu.

Bronował on pole owsa na stoku wzgórza, zwróconym ku jezioru. Konie ciągnęły żwawo lekkie narzędzie, grudki ziemi wirowały i rozpadały się między zębami brony. Ten wir zachwycał wzrok Unteli. Wdychał on pełnemi nozdrzami przyjemny zapach świeżej ziemi.

Na grzbiecie wzgórza, w miejscu, gdzie obniżało się ono ku jezioru, zatrzymał konie. Nie mógł się oprzeć tej pokusie, gdyż budząca się wiosna przepelniała mu serce. Wzgórze jakby drżało z radości pod pieczącota słońca, które migotało na jego szarej pochyłości. Wzrok Unteli zatrzymał się na srebrzystem zwierciadle jeziora. Jakże piękne było to długie czyste jezioro ze swemi chybotliwemi falami. Wzrok błędził dalej jeszcze po stromej pochyłości przeciwległego brzegu, gdzie brzozy, oto-

czone ciemnym i poważnym lasem jodłowym, odcinały się swem młodem, jasnozielonym listowiem.

«Piękny zakątek — stwierdził z przekonaniem Untela — nie widziałem podobnego w Häme!»

Potem wzrok jego minął jezioro i od północy ogarnął rozległe pola dóbr, pieścił Hovi, ukrytą pomiędzy zieleniejącymi brzoźami, dalej wzgórze ze stodołą o nowych, olśniewająco białych ścianach, potem pola i olszynę, która je otaczała, a jej złocisto lśniące bałki nawet stąd były widoczne.

«To jest naprawdę piękna posiadłość — zamruczał — tu możnaby...»

Lecz wówczas zdało mu się, jakby niewidzialna dłoń rozdarła ten obraz: Untela poczuł, że oczy jego się zamglily i nagle ogarnął go niewypowiedziany smutek.

Usłyszał oto turkot wózka. Obejrzał się. Keskitalo, stara gospodyni i Manta jechali wolno na dworzec.

Odwrócił się nagle, by nie patrzeć więcej. Schwycił mocno lejce i zmusił konie niemal do galopu. Pędził nadół, ku górze, przez coraz nowy szmat pola to nadół, to znów wgórze, zawsze popędzając konie, które już zaczęły dymić i parskać. Jakby mu śpieszno było zagrzebać w wilgotnej matce-ziemi nieskończony smutek, który go przytłoczył. Lecz musiał się zatrzymać, gdyż nie mógłby już zrobić ani kroku.

Pod wpływem myśli, która przeszła mu mózg, niemal zadrżał: «Ileż trosk było pogrzebanych w ziemiach fińskich!» Już dawniej odczuwał niekiedy, że ziemia, wykupywana z takim trudem i znojem, była jakby święta. Teraz uświadomił sobie coś zupełnie nowego. Praca nie była wszystkim. Iluż ludzi pogrzebało w tem właśnie polu wielkie, ciche troski, jak on w tej chwili, jak Keskitalo z dziećmi. Nikt nie myśli o tem: zboża się kołyszają, a ludzie depczą pola z lekkim sercem. Sprzedają je i zamieniają, jak skłapy jarmarczne, choć ziemia drży, przesiąknięta całą cierpieniami przodków, chlebem żywiąc ich dzieci.

Długo trwał pogrążony w tych poważnych i głębokich myślach. A gdy się zabrał znów do pracy, wolniutko wiódł konie i szedł niemal na palcach przez te odwieczne pola, skąpane w cierpieniach, uświęcone przez troski...

## EINO LEINO

(1878—1926)

### CHLEB BOŻY

Zbawiciel Jezus, Bóg Karelji,  
u poganina, imieniem Ruotus,  
w służbie był ongiś, jako pasterz.

Ruoją żona zwała się Ruotusa.  
I pasterzowi jadło wymierzała:  
w kobiałkę chleba kromek pięć  
i ryb solonych sześć.  
Chleb zasię szary był od pleśni,  
a ryby były zeszłoroczne.

Któż mu posiłek odniesie tedy?  
Ruoi córka! Róża Złotolica!<sup>1</sup>

«I pocóż mi przynosisz to?» —  
pyta Zbawiciel, na kamieniu siadłszy.

Odrzeczce Jemu Róża Złotolica:  
«Posiłek matka Ci przysyła,  
ja zasię — łzy przynoszę Tobie!»

Więc Bóg Karelji spyta ją w te słowa:  
«I czemuż płaczesz, ty, mężów radości?»

W łzach cała cicho skarży się dziewczyna:  
«Niedolę ludzką oplakuję,  
nad ludzką się żalę udręką».

Przelał Stwórca szary chleb  
i podał jej połowę:  
«Podziel więc ze mną strawę moją!»

A na to skrzywi się dziewczyna,  
lecz prośbie jego posłuch daje:  
ze smakiem zjada kasek jeden,  
z lubością sięga wnet po drugi:  
chleb ten najlepszym jest kołaczem,  
i ryby świeże jej się zdają.  
Wielce tem wszystkim zadziwiona,  
zapyta o to Zbawiciela.

<sup>1</sup> Dosłownie: «złota róża», tu użyte jako imię.

Z uśmiechem rzecze Bóg laskawy:  
 «Boży chleb ten jest, dziewczyno, —  
 kto nad niedolą płacze człowieczą,  
 temu jadło słodkiem będzie;  
 kto nad męką ciężką życia —  
 każdy kąsek mu smakuje

na uczcie u Boga milego  
 pod nieba jasnym błękitem».

Biegiem dziewczę do dom śpieszy,  
 głodu odtąd nie zaznało.

---

### LARIN KYÖSTI

(ur. 1873)

#### Z KOŚCIOŁA

We dwoje idą drogą z kościoła  
 krokiem lekkim, niby w tańca pędzie,  
 niby płynące przez fale jeziora  
 wśród pieśni tonów łabędzie.

Kroczą rodzinnego ogniska spragnieni  
 wśród dzwonów, bijących rozgłośnie,  
 rumieńcem najczystszym splanieni,  
 jak niebo o zorzy — radośnie.

Na wsze strony dzwon wzywa na wesele,  
 wiatr dźwięk jego daleko goni.  
 Drzewo każde cień łagodny sściele,  
 gałąź każda ptaków śpiewem dzwoni.

Wokół jasnością niedziela się mieni. —  
 Przez kwietne ścieżyny i drogi  
 kroczą razem, blisko przytuleni,  
 w szczęścia tajemne progi.

---

### V. A. KOSKENNIEMI

(ur. 1885)

#### PYL

Ujrzeliśmy cię po raz pierwszy jako dzieci.  
 Podziwialiśmy w milczeniu i zdumieniu,  
 jak się twój rój złocisty migotliwie mieni,  
 gdy z okna ze świetlistą strugą wleci.

A w życia naszego południe  
 tyś zasnuwał dążeń twórczych drogę,  
 pracę, udrękę, każdej myśli trwogę,  
 walki bezpłodne i nadzieje złudne.

Kiedy zaś zmierzch szary życie nam ocienia,  
 całuny twe posępne wszystko w krąg spowily:  
 świat wspomnień dawnych drogi nam i miły,  
 gdzieśmy szukali tęsknie pokrzepienia.

Otoś zawsze w losy nasze był wpleciony —  
 towarzyszył stały u naszego boku, —  
 przy nas kroczył wiernie w każdym życia kroku,  
 aż człek sam wreszcie w pył jest zamieniony.

---

### ARVID JÄRNEFELT

(1861—1933)

#### W PUŁAPCE

(Wyjątek)

...Po posiłku Kinturi wziął pułapkę na myszy, napełnił wodą jej mały zbiornik,  
 kazał dzieciom kłaść się spać, poczem zamknął się w sąsiedniej izbie. Zbudował tę

izbę przed dwoma laty i od tego czasu sypiał sam. Marja spędzała noc z dziećmi w dużej izbie.

Kinturi postawił pułapkę w kącie swej izdebki między piecem i ścianą, w miejscu, skąd wyłaziły myszy, potem rzucił się na łóżko i leżał bez ruchu.

Po krótkiej chwili usłyszał lekki szmer w kącie. To z pewnością mysz, która się kręci dokoła przyrządu, by go zbadać. Lekko go dotyka, co wywołuje szelest jego ruchomych części... Potem nie było nic słychać przez czas dłuższy. Lecz poco słuchać?

Myśli Kinturi'ego odrywają się od pułapki, by wędrować dobrze znanymi ścieżynami. Jak zwykle, zatrzymują się one najpierw na tej rewizji, która zburzyła jego istnienie i wywróciła wszystkie jego sprawy, zmierzają potem ku niesprawiedliwemu gospodarzowi, a wyobraźnia odtworzyć usiłuje ostrą wymianę zdań z nim, a nawet bójki, w których Kinturi zawsze jest górą, wreszcie myśl sięga w dalszą przeszłość, w czasy, gdy zaślubił Marję i osiadł na ojcowskiej zagrodzie.

Lecz oto znów słychać cichy szmer.

To ta djabelska bestja hałasuje, lecz nie wchodzi do pułapki. Pewnie wydają się jej podejrzanymi odbłyски blachy. Kinturi wyskakuje z łóżka, bierze popiół z pieca, pluje węń i tą mieszaniną smaruje zbiornik. Potem wyciąga się znów na łóżku i oczekuje snu. Lecz myśli jego pędzą długimi szeregami naprzód, niby konie z dziesięciu wsi, zaprzężone do jednego pługą śnieżnego. Oto się zaczyna noc bezsenna...

Księżyc świecił w obramowanie okienne, z czego Kinturi wnosił, że minęła już połowa nocy. Słyszał wyraźnie chrapanie Marji w sąsiedniej izbie. To była jego Marja, z którą przeżył tak dobre lata, najlepsze w życiu. Dawniej sypiali razem w tej samej izbie i w tem samym łóżku i, gdy wówczas myśli jego zaczynały wirować — aby usnąć — wystarczyło położyć głowę na ramieniu Marji: czuł się spokojny i bezpieczny.

Już od dwóch lat jednak sypiali oddzielnie. Oboje rozumieli, jakie trudności pociąga za sobą zbyt liczna rodzina, przed czem sklepikarz już ostrzegał Kinturi'ego, lecz nie potrafili znaleźć innych środków obrony, prócz rozłąki podczas nocy. Słusznie, wszystkie te małe dzieci dowodziły wszak, że Kinturi nie miał dostatecznej siły woli, ale gdy tylko nowa izba została wybudowana, małżonkowie nie odkładali chwili rozłąki. Zastosowanie się do nowego porządku było ułatwione przez to, że Kinturi stał się szorstki i mrukliwy w stosunku do swej żony, by łatwiej uniknąć nierozsądnych objawów miłości małżeńskiej. Lecz Marja zrozumiała to rozdrażnienie na swój sposób i, utwierdzając się w przekonaniu, że Kinturi nie troszczy się już o nią, cały swój czas poświęcała dzieciom. Nie przypuszczała nawet, po jakich świetlistych łakach prowadzał ją jej małżonek w swej wyobraźni, jaką błyszczącą srebrną uprząż wkładał na konia, ciągnącego ich sanie, jakie złociste pałace dawał jej na mieszkanie, podczas gdy się przewracał bezsennie z boku na bok...

I Kinturi jeszcze raz przeżywał w myśli całe dzieje swego życia małżeńskiego od początku aż do chwili obecnej...

---

*Wybór tekstów, układ i tłumaczenie Kazimierzy Zawistowicz.*

KÄSU HANS (ANTS)

(Początek w. XVIII)

O ZNISZCZENIU TARTU<sup>1</sup> PIEŚŃ ŻAŁOŚLIWA

1.

O, nieszczęsny grodzie Tardo,  
cóż się teraz ze mną stało,  
opuszczony jestem wielce:  
któż na mnie spożreć zechce?  
Sprawiła to grzechów mych nawała,  
że mię tak wielka niedola spotkała.  
Jakoż z tego wyjdę żywy.  
O, Tardo, grodzie nieszczęśliwy!

2.

Cóż mi dawniej brakowało,  
kiedy mi się dobrze działo:  
piękne pałace, domy ozdobne,  
piękne śpichrze, w zboże zasobne,  
pięknie budowane szkoły  
i drogocenne kościoły.  
I wszystkiego miałem wbród  
Ja, Tardo, nieszczęsny dziś gród.

10.

Aż dumą ogarnion srogą,  
żem tu jest zamieszkały,  
bez troski, bogaty, wspaniały,  
rozstałem się z lękiem i trwogą.  
Anim pomyślał o tem, co teraz mnie nęka:  
ta nędza, boleść i męka.  
Czyż przeczuć mogłem niedolę tak twardą?  
O, nieszczęsny grodzie Tardo!

13.

Gdy ogień podłożył pode mnie  
Moskał zły i potężny,  
bronić się było daremnie —  
nie zbawił opór mężny.  
Zły był ten wróg okrutny,  
kulami miotał do wrót.  
Los mój był ciężki i smutny.  
O, Tardo, nieszczęsny gród!

14.

Palono mnie ogniem i smołą.  
Huk armat, kul świst wokoło.  
Śmierć i zniszczenie pochłaniały  
pospołu domostwa i lud cały.  
A gdy się nawet kto do grodu schronił,  
i tam go wrogi los dogonił.  
Oto była męka i ból straszliwy.  
O, Tarto, grodzie nieszczęśliwy!

19.

Choć okup otrzymał wedle żądania,  
dla mężów i niewiast nie miał zmiłowania,  
ogniem prażył i smalił,  
batami walił,  
z pleców darł pasy.  
Ciężkie nastały czasy,  
gdy dręczył cię tyran prawdziwy,  
o, Tardo, grodzie nieszczęśliwy!

28.

Zapiszcie dzień roku i miesiąca  
mojego żalosego końca,  
by z pyłu zapomnienia  
odczytać mogły przyszłe pokolenia:  
Anno 1700  
i jeszcze lat 8  
zniszczono mię w samo Małgorzaty święto.  
O, nieszczęsny grodzie Tarto!

29.

Kto mój smutny koniec widzi,  
niech nie szczędzi nad sobą czuwania,  
niech wszelakiem złem się brzydzi,  
z tej nauki mądrość wchłania:  
wydźwignąć się z grzechu trzeba,  
aby cię z wyroków nieba  
nie spotkał taki los żałośliwy,  
jako mnie, Tardo, gród nieszczęśliwy.

<sup>1</sup> Tartu (Dorpat) w utworze tym nosi czasem nadto miano Tardo lub Tarto.



## KRISTIAN JAAK PETERSON

(1801—1832)

## POETA

Niby burzliwej rzeki  
szumiące fale,  
które po skale  
spadają w dolinę,  
niby grom z nieba,  
groźnie grmiący  
pod czarną chmurą:  
tak płynie  
piękna pieśń ognistą strugą.

Jako światłości krynica,  
śród braci stoi swej  
czcigodny piewca.

Pioruny grmią  
i milczą bory:  
wzbija się piewcy głos w niebiosa,  
i z duszy jego głębin  
pieśń spływa, niby rosa.  
A zasię wokół niego  
cicho, jak nadmorskie skały,  
lud trwa, weń zasluchany.

## FR. R. KREUTZWALD

(1803—1882)

## KALEVIPOEG

(Pieśń III, wiersz 816—851)

...Rozkołysane igrające fale  
i chybotliwa tafla wód,  
jednak zawsze radosne,  
nie pytają nigdy o to,  
kto dziś na ich mokrem łonie  
wpadł w śmierci wilgłe ramiona.

Ani rozigrane fale,  
ni rozkołysana tafla wód,  
ani oczy gwiazd z niebiosów  
o radość naszą nie spytają,  
nie pytają o nasz ból.

Toczy się za falą fala  
przez potężny nurtów wir,  
czołga się na złom nadbrzeżny,  
pianą bryzga piersi skał,  
rozperloną mgłą wytryska,  
wilgłym tchem ogarnia brzeg, —  
ale wieści nie przyniesie,  
pytającemu by odpowiedź dać.

Toczy się za falą fala  
przez potężny nurtów wir,  
czołga się na złom nadbrzeżny,  
pianą bryzga piersi skał!  
Życia naszego drobne fale  
w wieczornym płyną dreszczu,  
mogilne wzgórze kołyszac  
pod darni nadgrobniej kobiercem.

Oko gwiazd spogląda z nieba,  
księżyc patrzy z wysokości,  
jaśnieje słońca pogodne lice  
na konających i na zmarłych.

Jeno mowy nie zna grób,  
słów nie znają gwiazdne usta,  
nie przemówi miesiąc jasny,  
nie zagwarzy słońce złote,  
żadnemu prawdy by odpowiedź dać.

## JOHANN WOLDEMAR JANNSEN

(1819—1890)

## O, KRAJU MÓJ...

O, kraju mój, o, szczęście i radości moja, jakżeś piękny!	Tyś mię ze swego wydała łona i tyś mię wychowała;
Na szerokim świecie dokoła nie znajduję nic zgoła,	dzięki ci za to składam bezmierne i aż do śmierci ślubowanie wierne,
Ojczyźnie miła!	żeś mi nad wszystko jest ukochana, Ojczyźnie umiłowana!

Niech cię Bóg strzeże,  
Ojczyźnie droga moja!  
Niech cię ochrania  
i wszystkie twe poczynania  
niech błogosławi hojnie,  
Ojczyźnie ukochana!

## KOIDULA (LYDIA JANNSEN)

(1843—1886)

SŁOWIK<sup>1</sup>

Dlaczego twych pieśni fala radośnie, słowiku, słowiku,	Westchnienia płyną z pól, lasów i ziemi, słowiku, słowiku,
niby ze złotych strun przez serce płynie, słowiku, słowiku!	obłoki żeglują wysoko nad niemi, słowiku, słowiku!
Zagrody, drzewa i krzewy w ciszy pogrążone. Cóżto za dźwięki srebrnie rozperlone, słowiku, słowiku,	I do Koita się kłoni Amarik <sup>3</sup> wstydliwie. Słowiku, słowiku,
mądry ptaszku Taary! <sup>2</sup>	mądry ptaszku Taary!
Kto na królewską wiosnę, słowiku, słowiku,	Hej! wołanie jedyne, słowiku, słowiku,
nadzieje przyniósł radosne, słowiku, słowiku!	przez całą naturę płynie, słowiku, słowiku!
Co w naszych serc żyło głębi, twojej pieśni dziś głoszą czary, słowiku, słowiku,	I ofiarne zarzewie rozpłomienia serce. Słowiku, słowiku,
mądry ptaszku Taary!	mądry ptaszku Taary!

Tłum. K. Z.

## Z JAKIEGO PŁACZESZ POWODU?...

Z jakiego płaczesz powodu? Twoje paki pełne łez szklanych. Zali doznałeś zawodu, Smutku? O, kwiatku kochany!	Może ci ziemia szeptała O słodkiem szczęściu minionem — Może przed tobą rozplatała Warkocze tęsknot skrwawione?
---	--

<sup>1</sup> Słowik — po estońsku ööpik, przyczem wyraz ten ma naśladować śpiew słowika, wołającego «öö pikk!», co znaczy «noc długa» (öö — noc, pikk — długa).

<sup>2</sup> Taara, Toara, Tooru, Toru — główny bóg mitologii estońskiej.

<sup>3</sup> Koit — świt, Amarik, Hämarik — zorza wieczorna. Wedle wierzeń ludowych Koit i Amarik, jako wieczyści narzeczeni, spotykają się raz do roku w okresie «białych nocy».

Podnieś swą główkę zsmętniały:  
Już słońce z za chmur się wynurza —  
Ono zawsze łyzy białe  
Na rzęsach zmęczonych osusza.

A gdy godzin dosięgnie południa,  
Tak mocno promieniuje,  
Że cały świat wycudnia,  
A z oczu łyzy scałowuje.

Tłum. J. W.

MIHKEL VESKE  
(1843—1890)

ZNASZ LI TĘ ZIEMIĘ?

Ziemię od Pejpsi gór skalistych  
Do brzegów morza Zachodniego,  
Śród fińskich zatok przezroczyстых —  
Munamäe spadu zielonego —  
Znasz li tę ziemię? To koleba  
Twych białych ojców i mogiła.  
— Śpiewajcie radość morza, nieba:  
To wszak ojczyzna nasza miła!

Tu wzrasta silne Estów plemię  
I twardo kroczy ku wolności,  
Tu krasa dziew upalna drzemie  
Dla mocnych ramion i miłości.  
Znasz li tę ziemię? To koleba  
Twych białych ojców i mogiła.  
— Śpiewajcie radość morza, nieba:  
To wszak ojczyzna nasza miła!

Witają nas zielone szczyty  
Jodłowych lasów, wód spojrzenie,  
Kędziory miękkich traw obfite,  
Rozłogi pól i deszcz promieni.  
Znasz li tę ziemię? To koleba  
Twych białych ojców i mogiła.  
— Śpiewajcie radość morza, nieba:  
To wszak ojczyzna nasza miła!

Tu złoty plon brunatna niwa  
Stokrotni, grzebiąc nędzę świata,  
A lud kajdany mroku zrywa,  
Jak ptak zwycięski wzwyż polata.  
— O, przysięgajmy z całej duszy  
Ukochać kraj, ojczystą ziemię:  
W nawałach burzy, zawierusze  
Trwać przy niej, stać, jak twarde plemię!

Tłum. J. W.

AUGUST KITZBERG  
(ur. 1856)

WILKOŁAK

Akt pierwszy

*(Scena przedstawia wnętrze kurnej chaty estońskiej z początku wieku XIX, z czasów pańszczyźnianych. Gospodyni domu przedzie. Ośmioletnia jej wychowanica Mann, siedząc przy niej, sylabizuje i uczy się katechizmu. W izbie jest nadto 14-letni syn gospodyni Margus. Nadchodzi babka i zwraca się do gospodyni.)*

B a b k a:

Dlaczego przedziesz w wieczór niedzielny?

G o s p o d y n i:

Toć już nie niedziela, już gwiazdy na niebie. Frasuję się, bo nasi na dworze. Czy aby w tej zadymce znajdą drogę! Może jeszcze zabłądzą gdzie w lesie.

B a b k a:

Kto tam wie, gdzie oni dziś wieczorem tak długo siedzą!

*(Milczenie. Słychać tylko szalejącą wicherę i turkot kołowrotka. Mann sylabizuje dalej. Nagle słychać na dworze wycie wilków. Wszyscy przerażeni.)*

M a n n (przerażona):

Wilk, matulu — wilk!

B a b k a:

Nie wywołuj, dzieciно, nie nazywaj po imieniu. Piesek leśny będzie zły!

Gospodyni (*przerazona*):

Uchowaj nas, Pani! Broń ode złego! One się stają naprawdę bezwstydne od czasu, gdy porwały psa Suli. Wdzierają się na podwórze! Kto wie, co jeszcze zrobić mogą!

Babka:

Czy wrota stajni podparte?

Gospodyni:

Och, czemuż nie wracają Jaan i Jaanus!

Margus:

Toć ojciec ma na saniach strzelbę pod słomą.

Gospodyni (*skłopotana*):

Strzelba została w domu! A gdyby nawet zabrali ją ze sobą, to czy w taką zawzięcie krzesiwo da ognia! Śniegby wszystko zmoczył!

Mann (*po chwili*):

Huu! Zimno! Dlaczego ojciec w taką pogodę musiał jechać do kościoła!

Margus:

Tak przecie kazali!

Gospodyni:

A no, kazali: z każdej zagrody mężczyzna i kobieta, żeby się przyglądali, jak ukarzą czarownicę i wilkołaka! — Ja nie miałam odwagi, to pojechał z parobkiem, boć nie można nie usłuchać rozkazu!

Mann:

Ach, matulu, matulu, a co to czarownica?

Gospodyni:

Jak urośniesz, to się dowiesz!

Mann:

Tak — ale... co to wilkołak? Też nie wiem!

Gospodyni:

Poco się tak wiele dopytujesz, naco ci to wiedzieć!? Wilkołak — to zły człowiek, który się czasem zamienia w wilka. Gdy chce, jest wilkiem, a gdy chce — człowiekiem.

Mann (*prytula się do matki*):

Matulu! Boję się

Gospodyni:

To poco pytać o takie rzeczy! Weź lepiej książkę, idź na ławę i ucz się! (*A gdy Mann się ociąga, mówi do niej*) Idź, idź!

(*Mann odchodzi, a babka, siedząc na brzegu łóżka, mówi.*)

Babka:

Myślę o tem, że na świecie jest pełno różnych dziwów, których nasza myśl i nasz rozum nie pojmą. Patrzysz i patrzysz wokół, ale nic nie widzisz! W dawnej wierze była różnica między dobrem i złem: byli czarownicy, byli i mędrcy, co więcej wiedzieli od innych. Nowa wiara różnicy nie robi: wszystkich jednako ma za czarowników! A przecie wśród nich są i dobrzy, i źli, jak woda, ukryta w głębi ziemi. Dobro i zło, którego rozum ogarnąć nie zdoła!

(*Mroczny nastrój. Słychać tylko wycie wiatru, a w izbie turkot kołowrotka. Wchodzi gospodarz, 50-letni mężczyzna siwobrody i siwowłosy, a z nim 35-letni parobek Jaanus.*)

Gospodarz:

Dobry wieczór! Już jesteśmy!

Gospodyni (z wielką radością):

Jesteście! Bogu dzięki! Prędej, prędzej, nie wpuszczajcie chłodu, bo nigdzie nie będziecie mieli ciepłego kąta.

Margus (zrywa się i z pośpiechem się ubiera):

Idę wyprząc konia.

Gospodarz:

Zrób to, mój dobry chłopczel! Połóż też nań derkę i uwiąż go!

Margus:

Dobrze! (wychodzi)

Gospodyni:

Wróciliście więc żywi do domu! Czy wilki was pożreć nie chciały?

Gospodarz:

Nic nas nie spotkało. Nie widzieliśmy ich wcale.

Jaanus:

Ale wycie ich szło przez Pähnipalu do Soonite. Na szczęście nasz stary wążach miał prędkie nogi!

Gospodyni:

U nas chciały wleźć do izby.

Gospodarz:

Tak, w taką pogodę są głodne!

Babka (z przekonaniem):

Złe są, że jedna z ich sióstr dostała cięgi przy pręgierzu!

Gospodarz (zdejmuje zwierchnią odzież i mówi z ciężkiem westchnieniem):

Tak, to było straszne, a jeszcze w taki mróz! Nie podszedłem tam, by na to pa-trzeć, ale inni podchodzili!

Jaanus:

Pierścień żelazny wokół szyi, a drugi — w pasie; a kat bił...

Mann (obejmuje matkę):

Matulu! Boję się!

Gospodyni:

Tak, bój się, dziecko, bój się grzechu!

Jaanus:

...aż dopóki w ich rękach nie zgasła, głowa jej zwisła, a usta zamilkły. Zdjęto ją z pręgierza, ale co skończone, to skończone!

(Ponure milczenie. Margus wrócił do izby.)

Gospodyni:

Skąd się ona wzięła taka?

Gospodarz:

Kto ją tam wie! W naszych księgach kościelnych nie było jej. Jakoby mieszkała na tamtym końcu parafji, gdzieś w dużym lesie, w jakiejś jaskini. Ponoć przychodzili do niej ludzie zdaleka, szukając pomocy. I otrzymywali ją. Jeden człek wiekowy sam opowiadał, że gdy ugryzła go żmija i jad dochodził do serca... Mówiono o niej i do-brze, i źle... Kto wie, skąd przyszła, a prawdy to nikt nie wiedział.

Jaanus (po chwili):

Miała też dziecko. Sprowadzili i tę małą, aby widziała, jak chłoszczą matkę. Kto wie, gdzie ją schwyтали. Obdarta i biała, zgłodniała i zziębnięta! Pewnie błąkała się

z miejsca na miejsce od czasu, gdy porwali matkę. Bo któż dopuści dziecko czarownicy do swego ogniska!... Gdy kat wymierzył pierwszy cios, dziecko zaczęło uciekać do lasu. Ścigali — ale złapże ją! —

*(Ponure milczenie. Gospodarz chce zapalić fajkę, ale zaczyna nasłuchiwać: poprzez odgłosy szalejącej wichury słychać coraz wyraźniej i wyraźniej zbliżające się wycie wilków.)*

Gospodyni (podnosząc głowę):

Słyszysz, znów podchodzą!

*(Nikt nie odpowiada. Wszyscy trwają w bezruchu. Nagle słychać drapanie we drzwi wejściowe. Wszyscy się zrywają. Mann biegnie na ławę.)*

Gospodyni:

O, Boże! Teraz wtargną tu one!

Babka (zaczyna mamrotać, potem słychać wyraźnie słowa):

Przez najświętszą Twoją krew  
Chroń nas ode złego, o, dobry Boże!  
O, Piotrze, ty sługo święty,  
Uwiąż psy,  
Charty włóż w obroże,  
Pazury w pętlice!

*(Gospodarz w tym samym czasie zrywa się, chwytając strzelbę i otwiera nagłe drzwi. Zawierucha i zamięć wtargnęły do izby, a przez próg przeskakuje dziecko, takie, jak Jaanus je opisał. Wślad jego stóp idzie straszne wycie wilków.)*

Gospodarz:

Co to jest?

*(Odruchowo zamyka drzwi za dzieckiem, i wycie wilków stopniowo cichnie.)*

Mann (biegnie do komory, krzycząc):

Wilki! Wilki!

*(Przerażone oczy wszystkich skierowane są na dziecko, które, również przerażone i oślepięte blaskiem ognia, stoi pośrodku izby.)*

Jaanus (pierwszy odzyskuje równowagę):

To jej dziecko!

Gospodyni:

Święty Boże! Toć ono też stworzenie boskie! I ono ma duszę!

*(Wszyscy gromadzą się dookoła dziecka, a ono zdumionym wzrokiem przygląda im się po kolei. Mann zagląda lękliwie przez drzwi, a babka zbliża się, drepcząc.)*

Gospodarz (odkłada strzelbę i podchodzi do dziecka):

Czy wilki chciały cię pożreć i w samą porę zostałaś ocalona?

*(Dziecko przygląda mu się, ale nic nie mówi.)*

Gospodarz (czule):

Czy wcale mówić nie umiesz?

*(Dziecko j. w.)*

Gospodyni:

Jak ci na imię?

*(Dziecko patrzy kolejno na gospodynię i na gospodarza, ale nie odpowiada.)*

Babka (nachyla się, by się przyjrzeć dziecku):

Ona jest załęczniona i przerażona. Języczek ze strachu w ustach skotowaciał! Któż wie, czy z nią po ludzku ktoś rozmawiał, czy nie!

Gospodarz (*popycha dziecko łagodnie do paleniska pieca*):

Chodź i zagrzej się! Zesztywniałaś z zimna. A potem opowiesz, jak do nas przysłaś.

*(Dziecko jest jak uprzednio. Spogląda na wszystkich. Ciepło z pieca zaczyna na nią oddziaływać. Jakby nic innego nie miała do zrobienia, wyciąga ręce do ognia i, grzejąc je, zapomina całkowicie o wszystkim.)*

Gospodyni (*pochyliła się ze współczuciem nad dzieckiem*):

Pewnie pustki w żołądku?

Gospodarz:

Poco pytasz? Jeśli masz coś — daj!

Gospodyni:

Mam dla was gorącą zupę w kotle.

Gospodarz:

Nam nic nie potrzeba. Zajechaliśmy do szwagra i tam nas poczęstowali.

Gospodyni (*bierze kocioł z łańcucha, przynosi chleb, nalewa zupy do miski i stawia ją na ławie koło pieca*):

Chodź, gościu maleńki!

*(Dziecko patrzy z wdzięcznością, bierze pożądliwie kawałek chleba i łyżkę i zaczyna jeść. Od czasu do czasu patrzy rozpromienionym wzrokiem dookoła.)*

Gospodarz:

Jak jej to smakuje!

Gospodyni:

Któż wie, kiedy po raz ostatni miała w ustach chleb boży!

*(Mała pauza. Wszyscy spoglądają z zadowoleniem na jedzące żartocznie dziecko.)*

Margus (*siedzi z wyciągniętymi nogami, patrząc na ojca*):

Czy to u nas zostać musi, czy nie?

Gospodyni (*przecząco*):

Dlaczego zaraz u nas?

Gospodarz (*z uśmiechem do Margusa*):

Może tu zostać, jeżeli ty — zechcesz ją za młoduchę.

Margus (*śmiejąc się*):

Za młoduchę? Ja? Tę?

*(Wszyscy śmieją się. Dziecko spojrzało na Margusa i je dalej.)*

Gospodarz (*j. w.*):

Nie mów nic tymczasem, zobaczysz, gdy ją zaprowadzimy do łaźni i wykapiemy!

Mann (*łękliwie*):

Matulu, czy to jest wilkołak?

Gospodyni:

Głupiaś! Takie samo ludzkie dziecko, jak i ty.

*(Dziecko zjadło pełną miskę, kładzie łyżkę z boku i na chwilę składa rączki, jak do modlitwy, potem patrzy dookoła wzrokiem pełnym wdzięczności.)*

Gospodyni (*trącając gospodarza*):

Widziałeś, co ona nawet potrafi?

Gospodarz:

Tak! (*idąc do dziecka, mówi przyjaźnie*): No, żołądek twój już napelniony?

(*Dziecko patrzy nań, ale nic nie mówi.*)

Gospodarz:

Jutro będziesz już mówić. Właż teraz nagórę na piec, będzie ci tam ciepło spać.  
(*Dziecko jeszcze nic nie odpowiada, włazi po drabinie na piec, gdzie zapanowuje zupełna cisza.*)

Gospodarz:

No, Margus, Mann, idźcie na słomę!

Mann:

Boję się!

Gospodyni:

Głupiaś! Margus też pójdzie i my przyjdziemy.

(*Dzieci znikają w komorze. Jaanus rozbiera się, aby się położyć na ławie; babka też przygotowuje się do spania.*)

Gospodarz (*uchyla na chwilę drzwi wejściowe i wygląda na dwór*):  
Zawierucha i zadymka ucichły... Gwiazdy migocą na niebie...

Babka:

Bo sierota znalazła dach nad głową.

(*Gospodarz i gospodyni pogrążeni są w myślach i spoglądają na siebie tajemniczo.*)

Gospodyni (*w zakłopotaniu*):

I co z tego wyjdzie, Jaan?

Gospodarz (*patrząc w bok*):

Tak, co teraz będzie? I ja nie wiem. Czy mielibyśmy serce wypędzić ją znów jutro na zawieję i chłód?

Gospodyni (*po chwili*):

Gdybyż chleba było poddostatkim! Już! teraz mamy dość gęb do wyżywienia!

Gospodarz:

Tak, mamy dość! Ale gdy na wiosnę będziemy karczowali i nowy kawałek ziemi uprawimy?

Gospodyni:

Tak, jeżeli to zrobimy, ale kto wie, co na to powie dziedzic!

Gospodarz:

Co tam dziedzic! Dusza pańszczyzniana mu przybędzie! Ale możemy się nad tem jeszcze naradzić, gdy się prześpimy. Może na wiosnę pošlemy ją z Mann paść bydło na pastwisko? Margusa chciałbym już mieć do bronowania i lekkich robót w polu.

Gospodyni (*wzdychając*):

Jakże weźmiemy dziecko czarownicy do swych dzieci!

Gospodarz:

Czarownicy albo i nie czarownicy. Któż nam powie, jak wielką czarownicą była ona, a może nie była nią wcale. Usta jej nic już nie powiedzą. I czy dziecko ma zginąć za grzechy matki!?

Jaanus (*na brzegu łóżka*):

Tak, matka leży w cmentarnym dole na krzyżakach. Widziałem, jak ją tam zaniesli. Nie było trumny napoczekaniu. Rzucono ją tylko do dołu!



Gospodyni:

I poco o takich rzeczach mówić przed nocą! Przez to sen może nie przyjść.

Jaanus (z ciężkiem westchnieniem):

Tak! Pewnie nie przyjdzie!

(Przerwa. Gospodyni i gospodarz chcą iść do komory.)

Dziecko (wstaje na piecu i zaczyna płakać. Pierwsze słowo wydobywa się z jego ust: rozdzierający okrzyk z głębi serca):

Matko!

(Śmiertelna cisza. Gospodarz i gospodyni trwają w osłupieniu.)

JUHAN LIIV

(1869—1913)

CZARNA POWAŁA

Czarną powalę ma izba nasza,  
czarną i zakopconą;  
są tam gniazda pajęczce i sadza,  
świerszcze i karaluchy...

Co widziała, co zasłyszała,  
powiedzieć nie zdołam, nie zliczę, —  
jak bóle zasnuwają ją cieniem,  
jak zmienia się oblicze!

Widziała łez wiele i lkania,  
i spory widziała, i waśnie,  
tak wiele, wiele szlochania,  
zmiłuj się, Boże i Panie!

Czarną powalę ma izba nasza,  
czarną do dziś pozostała:  
szarpie się, niby w kajdanach,  
gdybyż przemówić zdołała!

GEORG EDUARD LUIGA

(ur. 1866)

GDY POCHOWALI TWĄ MATULĘ...

Gdy pochowali twą matulę,  
Już nie odpoczniesz na jej kolanach.  
Nikt cię do piersi nie przytuli,  
Jak twoja mama.

Wtedy wybiegnij w zielone łąki,  
Rzuć się na trawę w jaskrawe kwiatki,  
A ziemia będzie w czas rozłąki  
Łonem twej matki.

Spoglądaj w górę na nieb sklepienie:  
Jakże jest czyste w głębokiej nocy —  
Jakby twej matki wzrok-spojrzenie,  
Jej słodkie oczy.

Tu miękkie wiatry twe włosy kręcą,  
Twe zgrzane skronie powiew ociera —  
Tak samo matka w białe ręce  
Łzy twoje zbiera.

Tu ciche kwiaty kłonią kielichy  
I słą dla nozdrzy słodczye blade —  
Tak matka ciebie w wieczór cichy  
Do snu układa.

A śród gałęzi słyhać szeptania —  
Żegnają w noc cię wysokie jodły:  
To matka we śnie cię osłania  
I niesie modły.

Jakże ci dobrze na piersi matki,  
O, jakże lekko ci przy niej szlochać  
I lzy polykać jak opłatki,  
I tylko kochać.

Tyś mi jak matka, ojczyzno miła,  
I dumny stoję, zem twoim synem.  
Dla ciebie dusza ma i siła —  
I wielbię-ć czynem!

Tłum. J. W.

## EDUARD WILDE

(ur. 1865)

## OSADNIK WOLTERSHAUSEN

Osadnik Woltershausen był uśmiechniętym filozofem i wyznawcą dewizy: «Byle tylko nie stracić humoru! Stracić humor — to stracić wszystko!» Gdy pocieszał zmęczzonego, uspokajał wyrzekających lub sprzeczał się z filozofem, doprowadzonym do łez — osadnik Woltershausen nie zapominał nigdy powtarzać tej swojej dewizy. Nie było to oryginalne — broń Boże — ale na czasie, wyraźnie na czasie. Chodzi tu bowiem o sprawę p r z e m i j a j ą c ą. Musiała to być logika przemijająca, usprawiedliwiona przez żelazną wolę, aczkolwiek było to nienaturalne, perwersyjne, absurdałne. Dlaczego jednak należałoby tracić humor, gdy skrajnie złe zjawiska są przemijające?

Bezwątpienia: wszak tylko nieuleczalny idjota mógłby mniemać, że osadnik Woltershausen pozostanie tylko osadnikiem Woltershausenem na prastarej ziemi barona Woltershausena i dzielić będzie swój los z dawnymi swymi parobkami, jakimiś «wojakami» i innymi ciemnymi osobistościami; że będzie mieszkać nadal w zbutwiałym byłym domu ogrodnika, w dwóch izdebkach wraz ze swymi trzema córkami, podczas gdy na górze, we dworze, panoszyć się będą różni ludzie, mianujący się urzędnikami; że jego trzy córki zawsze będą doić krowy i furką wozic mleko do mleczarni miasteczkowej, a nadto spełniać w domu wszelkie obowiązki służącej, i że on sam, niezdolny do ciężkiej pracy dzięki swym latom 60-ciu, będzie i w przyszłości sprzedawać chłopom w swoim domowym sklepiku dziegieć, skórę na kierzce, druty do robót włóczkowych i guziki do portek. Nie! Zmiana musi nadejść, rewolucja musi nastąpić, choć niewiadomo kiedy.

Ów czas, datę historyczną tej rewolucji, osadnik Woltershausen usiłował kilkakrotnie przepowiedzieć, nawet z imponującą pewnością, obiecując raz wypić litr atramentu, innym znów razem w ciągu trzech dni jeść tłuszcz foki, gdyby się omylił. Mylił się, oczywiście, wedle zwyczaju proroków, wszak tylko ci się nie mylą, którzy nic nie przepowiadają, a cóż osadnik Woltershausen mógł poradzić, gdy wszystkie wysiłki Kappa i Hitlera były bezskuteczne, gdy z Jugosławji Wrangel nie śpieszył z odtworzeniem caratu; a tymczasem zdołał wydzwignąć się ze wszystkich trudności ten komiczny, pokraczny twór, który nazwano państwem Estońskim.

Ono bowiem wydzwignęło się i trwało. Z roku na rok. To był rzeczywiście problem. Problem o pewnej mistyce. Osadnik Woltershausen musiał stwierdzić, że rozwiązanie tego problemu nasuwało trudności nawet jego filozoficznej głowie, a tem bardziej było nie do osiągnięcia dla przeciętnej głowy damy dworu, jaką miała siostra Bella. Siostra Bella w Tallinnie była właśnie tą, która osadnikowi Woltershausenowi narzuciła ten problem. Pewnego razu zaczęła mu się przyglądać wielkimi oczyma przez lornetkę i rzekła:

«Kochany bracie, są rzeczy, których pojąć nie mogę. Może ty je rozumiesz? Powiedz mi, na czym się opiera tak zwana Rzeczpospolita Estońska? Dlaczego nie zabijają się wzajem po ulicach? Dlaczego nie rabują w sklepach i mieszkaniach? Dlaczego podporządkowują się policji i sądowi, całej władzy i rządowi? Dlaczego szli na wojnę i dlaczego pozwalają się brać z poboru? Dlaczego płacą podatki i daniny? — Uważaj, drogi Alarichu: gromady synów Maćków i Marcinów jednoczą się i powiadają: My jesteśmy p a ń s t w e m, my jesteśmy r z ą d e m! I wierzą w to! I są szanowani i uznawani! Nawet przez inne państwa — z wielkimi państwami na czele, a nawet przez Niemcy! — Alarichu! Pytam cię, jakie imię ma ta moc, która to wszystko dźwiga? Może wiesz? Ja — nie!»

Brat Alarich nie chciał wyjaśniać, iż są rzeczy, których i on nie pojmuje, dlatego rzekł w odpowiedzi:

«Droga siostrze, jest to problem, nad którego wyjaśnieniem pracuję już długo. Bezwątpienia dojdę do jego rozwiązania. Moje metody badania są nieomyłne. Mam nadzieję, że już wkrótce będę mógł zapoznać cię z wynikami».

I gdy znów był w domu — dom ten, Boże zmiłuj się, zwal się teraz «kolonją»

Kukevere — oddał się namiętnie swemu zadaniu, by zbadać, jak zwie się ta tajemnicza moc, która zlepiła państwo synów Maćków i Marcinów. Jego indukcyjny i dedukcyjny mózg pracował nawet wtedy z całym natężeniem, gdy z wiejskimi babami w swym dobrze urządzonym sklepiku handlował niemi i igłami, bielidłem i majerankiem. Siostra Bella więc nie potrzebowała czekać na rezultat dociekań przez cały rok. Zagadka została rozwiązana.

I brat Alarich, osadnik Woltershausen z Kukevere, tłumaczył swej siostrze w mieście:

«Prawda, droga siostrze, jest zawsze bardzo prosta. Zarówno jak i to, czego się poszukuje długo i z trudem. I ta prawda, którą jam znalazł, jest prosta. Czynnikiem, który nasze operetkowe państwo trzyma na nogach, jest głupota».

«Tak przypuszczałam» — zawołała siostra Bella i uderzyła w stół swą wąską białą dłonią damy dworu.

«Głupota!» — podkreślił jeszcze raz brat Alarich i zrobił sztuczną pauzę.

«Na czym ona polega, ta głupota, drogi bracie?»

«Na tem, że nie rozumieją podstawowych i elementarnych nauk historii. Historia uczy nas, że tylko taki ustrój państwowy może trwać wiecznie, przy którym na czele stoją możliwe rody. Historycznie i tradycyjnie taką warstwą panującą dla Estonji byliśmy my, oczywiście. Nas jednak nie chciano. Nas wyrzucono za drzwi. Zostaliśmy wydziedziczeni z majątku i stanowiska, zostaliśmy zdegradowani do zwykłych poddanych. W tem ujawnia się dosadnie polityczna niedojrzałość tego narodu, jego państwowa głupota. Nie patrzy w przyszłość. Nie przewiduje nadejścia dnia, gdy, zmuszony potrzebą, będzie musiał przyjść do nas i ze łzami błagać: Pomóżcie nam, toniemy w błocie, dokąd zaprowadziły nas rządy synów Maćków i Marcinów, których my w naszej głupocie uznawaliśmy i szanowaliśmy. Weźcie swoje dobra i swoje tytuły i panujcie nad nami!»

«Dzień taki nadejdzie, Alarichu?»

«Musi nadejść na zasadzie logiki historycznej nie do obalenia. Gotów jestem trzy godziny siedzieć nago na mrowisku czerwonych mrówek, jeśli ów dzień nie nadejdzie w ciągu roku!»

Siostra Bella myślała o jego dawnych nieosiągniętych celach i dawnych przepowiedniach, dodała więc smutno:

«Powiedzmy lepiej za półtora roku!»

Tak oto osadnik Woltershausen nie stracił humoru, pocieszał zmęczonych, uspokajał wyrzekających i każdego uczył wiecznych podstawowych i elementarnych nauk historii.

W Kukevere mieszkał pewien człowiek, którego udziałem stało się wywołanie w córkach osadnika Woltershausena pewnych logicznych postanowień, mających odmienić ich życie materialne i duchowe. Oceniał on właśnie ich pracowitość, dobre zdrowie i zawsze dobry humor, lecz także i ogólny ich stan majątkowy. Znany był ojcu i córkom jako zamożny sąsiad, siedzący oddawna na swej zagrodzie i, jak prawdziwy dobry sąsiad, wspierający ich czynem i radą. Ten uczciwy i chytry człowiek, który od paru lat był wdowcem, pewnego pięknego dnia zapalał afektem ku starszej córce dawnego barona. Stało się to na jarmarku w jednym z sąsiednich miasteczek. Obserwował uważnie, z jaką umiejętnością ta zręczna dziewczyna kupowała mleczną krowę i z jakim sprytem zamieniała swego starego, niedołężnego, felerowatego konia na wyraźnie lepszego, otrzymując nadto dopłatę. Gospodarz z Lemsi był zachwycony! Nie mógł postąpić inaczej, tylko podszedł do dziewczyny i rzekł:

«Do diabła, taka dziewczucha zdałaby mi się na żonę! — Powiedz mi teraz, zaraz, chcesz przybyć do Lemsi jako gospodyni, czy nie? Nie gadam na żarty, to rzeczwiśta prawda!»

Jukunda Woltershausen stała przy swoim wozie, z batem w rękę i rękawicami za pasem, a pod pachą trzymała bochen białego chleba, z którego od czasu do czasu skubała po kawalku i kładła sobie do ust. I nie Jukunda Woltershausen, lecz nowo-

nabyta krowa, uwiązana do wozu, patrzyła zdumiona na kandydata. Krowa zarzyczała jeszcze raz muuuk! — Jukunda Woltershausen milczała spokojnie. Ale gdy w milczeniu zastanawiała się nad tą propozycją, zając się swój chleb — nozdrza jej zaczęły powoli drżeć i odrzekła wreszcie gospodarzowi z Lemsi, któremu było na imię Tõnu Varvas, dosłownie w ten sposób:

«No, dlaczegożby nie, miły Varvasie, przybyłabym chętnie do Lemsi jako gospodyni. Czyż biedna córka osadnika wiele ma do wyboru. Lat trzydzieści mam już na karku. Gdy przyjdiesz do nas jutro po dziegieć, pomów z ojcem. Zrobimy to, co on powie. Nie chcę pozbawiać starego ostatnich honorów, jakie jeszcze posiada: jest on przecież głową rodziny. A więc do jutra, kochany Varvasiel!»

Gospodarz z Lemsi nie mógł w żaden sposób okazać swej radości narzeczonego, gdyż młodsza siostra narzeczonej nadeszła właśnie z zakupami ze sklepiku i zaraz się pożegnali. Ale gdy panna Kunda przy pożegnaniu zaśmiała mu się prosto w twarz wielkodusznie i promiennie, gospodarz z Lemsi odpowiedział jej śmiechem jeszcze bardziej wielkoduszny i promienny.

Średnia siostra Feliitsitas strzygła właśnie osadnikowi Woltershausenowi brodę i włosy, gruba warstwa kłaków i kędziarów pokrywała podłogę dookoła ławy, a strzyżony miał jeszcze ręcznik na ramionach, gdy wszedł gospodarz z Lemsi.

Temu ostatniemu wydawało się czemś naturalnym, że panna Kunda nie powiedziała jeszcze staremu o ich delikatnej sprawie i że wszelkie wyjaśnienia złożyła na barki narzeczonego, a to mniemanie znajdowało potwierdzenie w obojętnej minie ojca rodziny i w jego pierwszych słowach: zaczął chwalić przed gościem nadeszły właśnie dziegieć. Stwierdziwszy to, narzeczonego, który nie zapomniał, że przyszedł do dawnego barona zaofiarować się jako zięć, ujawnienie swych zamiarów musiał poprzedzić pewnymi dyplomatycznymi omówieniami, aby go zmiękczyć w odpowiednim kierunku.

Gospodarz z Lemsi rozpoczął od polityki. Że więc baron był z tej warstwy, która myślała, że świat nie może istnieć bez królów i panów, że musi być ktoś, kogoby się obawiano i przed kimby drżano, że skąd się mają wziąć te wszystkie mądre i fachowe głowy do rządzenia i utrzymywania porządku, że wreszcie w miastach poumierają z głodu, gdy nie będzie majątków, które im dostarczą mięsa, chleba i mleka. A tu patrz — idą jednak naprzód! Klóca się coprawda w sejmie i jedno ministerjum grzebie drugie, ale poza tem jest przecie wszystko, jakgdyby siedział na tronie sam cesarz albo król, a baronowie byli jego ministrami; o głodzie już teraz ani słychać, a produkty spożywcze wywożone są nawet do obcych krajów. Mówią teraz w najbardziej zapadłych kątach: co własne, to własne! Własna mowa, własne szkoły, własny sąd! No, i co zrobić z takimi ludźmi!

Gospodarz z Lemsi czekał, czy osadnik z Kukevere wtrąci swoje słówko, ale zapewne nie zrozumiał on jeszcze, dokąd gość zmierzał, i dlatego milczał uparcie. A gospodarz z Lemsi mówił dalej.

Pewnie, że dawni właściciele ziemscy — Boże zmiłuj się — muszą się pożegnać ze swymi nadziejami. Za zabrane majątki chcą im zapłacić, ale częściowo i w ciągu lat dziesiątków — jedni mogą osiwieć, inni zejść do grobu. Ale w każdym razie pozostaną bez zaszczytów stanowych. Jak byle Kuusik i Kaasik<sup>1</sup>. Co najsmutniejsze jednak: córki wczorajszych baronów pozostaną chyba staremi pannami. Boć równi im stanem kandydaci nie mogą teraz wyżywić rodziny, to i nie warto oddać córek osadnikom-biedakom. Pozostaną do wyboru tylko «szaraczkowi» baronowie<sup>2</sup>, tak jak Tõnu z Lemsi. Który rodzic chce być rozumny, nie powinien ich pomijać. Tu jest na ten przykład w Kukevere taki Woltsnoos<sup>3</sup> z trzema córkami. A coby to było, gdyby on dał za żonę baronowi z Lemsi swą najstarszą córkę? Baron z Lemsi nie gada na żarty, to jest najprawdziwsza prawda...

Osadnik Woltershausen trwał, milcząc, w bezruchu. Głowa i szyja stały się purpurowe od przyływu krwi. Ramiona uniosły się sztywno. Lecz oto jego oczy zaczęły

<sup>1</sup> Najpospolitsze nazwiska chłopskie.

<sup>2</sup> Dosłownie «szary baron», co znaczy bogaty chłop estoński.

<sup>3</sup> Nazwisko Woltershausen przekreślone «z chłopska».

się rozglądać dookoła, a jego dziesięć palców błędziło poomacku, jakby w poszukiwaniu ciężkiego przedmiotu, by nim cisnąć. Że jednak nic odpowiedniego nie znalazł pod ręką, pierwszym odruchem osadnika Woltershausena było zerwać się, wrzeszczeć na całe gardło i schwycić za kołnierz «szaraczkowego» barona.

Ale nagle uprzytomnił sobie, że takie stracenie równowagi jest niegodne filozofa, że tego gburą należy potraktować z humorem, że należy go wyrzucić za drzwi nie siłą fizyczną, lecz wzrokiem wytwornym, groźnym i wyniosłym.

I naprawdę miał zamiar to uczynić, szukał tylko odpowiednich słów. Lecz nagle — coś się stało.

Wbrew i mimo jego woli.

Podbródek osadnika Woltershausena zaczął drżeć, kąty ust zadygotały, a oczy się przymknęły. Próbował się uśmiechnąć, lecz było za późno — łzy już popłynęły. I ikając z głębi gorącego serca, opadł powoli twarzą na brzeg stołu.

Osadnik Woltershausen stracił po raz pierwszy humor.

Z uśmiechniętego filozofa stał się płaczącym.

Przynajmniej na dzisiaj.

«Szaraczkowy» baron zaś — patrzył zrazu w milczeniu na jego drgające ramiona, potem pokiwał wolno głową i zamruczał, wyciągając rękę do klamki:

«Szkoda dzielnej dziewczuchy! Byłaby z niej żona, jak się patrzy!»

---

## GUSTAV SUITS

(ur. 1883)

### UPIORY

Głowa zbolała po dniu.  
Noc nie przynosi snu  
w ojczyźnie mej.  
Znikł czar młodzieńczych wiar.  
W sercu tęsknoty żar,  
ból mocy zlej.

Jesiennej nocy drzwi  
zawarły pracę naszych dni  
w zaczarowany krąg.  
W mrocznej ciemnicy jest kraj.  
Duch nie wyzwoli się z pęt  
upiornych mąk.

W mrocznej ciemnicy jest kraj,  
bezksiężycowych płaszczyzn dal.  
«Na pomoc!»  
Niby głosy czyjeś w górze  
wołają kędyś w wichurze:  
«Na pomoc!»

Zda się, dłoń wznosi morderca  
i niewidzialnie uśmierca  
piekielny ród.  
Zda się, brat ku mnia woła,  
myśl moja ulgi przynieść mu nie zdoła —  
daremnny trud.

---

## MARIE UNDER

(ur. 1883)

### BŁĘKITNY TARAS

Błękitny taras pełen wieczornianych cieni,  
w oknach się ścięle szkarłatna zasłona,  
purpurą moje otula ramiona, —  
słoneczna tarcza dogasa w czerwieni.

Niby róż kraśnych naręcze, sponioną  
zorza — kwiatów siostrzyca, co miłością chora.  
Na starych schodach wśród ciszy wieczora  
spoczywam, woni upojnych spragniona.

Tu ze szpar spękanego szarego kamienia  
wątły rumianek z łękiem się wynurza,  
nasturcja się w wilgotnej traw brózdzie rozplenia,  
oplatają mi stopy jej kwiecica płomienie.  
Z krzewów i grządek deszcz woni odurza  
i myśl ogarnia zbożne rozmarzenie.

OSKAR LUTS

(ur. 1887)

STARE ŚCIEŻKI

...«Jeżeli nigdzie się nie śpieszysz — powiedział z uśmiechem — moglibyśmy pójść nad jezioro».

Nigdzie się nie śpieszę.

Szliśmy wydeptaną mocno ścieżyną łąkową. I oto znów z pod naszych stóp podrywa się ta sama para ptaków, lecz tym razem — niby strzała na stado — spada z góry drapiezca i porywa ze sobą jedną ofiarę tam, skąd przyszedł. Inne kryją się przerażone w sitowiu, i znów w całej okolicy zapanowuje niczem niezmacona cisza. Tylko wuj Viir mruczy zły:

«A to zbój! Mógłby się przynajmniej ludzi wstydzić!»

Z nad jeziora płynie już chłodniejszy powiew; do nozdrzy się wdziera zapach sitowia, mchu i szlamu. Dwie dzikie kaczki latają nad niebieskawo-białą wodą. Przy brzegu, koło sitowia, pluskają się małe rybki, aż dopóki ich nie spłoszy i nie rozpędzi wielki drapiezca wód, pokazując swą żarłoczną paszczę i szerokie ramiona. Zdała na piaszczystym wybrzeżu białe mewy siedzą na szarych kamieniach, pogrążone w filozoficznym spokoju. Słychać kędyś krzyk bekasa — rzadkiego dziś przedstawiciela ptasiego rodu.

Jakże mi jest znane od najwcześniejszego dzieciństwa to życie, ten ruch i ta cisza na jeziorze!

Siadamy na brzegu i milczymy. Przesuwają mi się w pamięci dawne czasy, niby jeden obraz po drugim.

Wuj Viir spogląda na mnie parę chwil z uśmiechem, potrząsa siwą brodą, potem wyjmuje z kieszeni podartego surduta instrument, podobny do fujarki, i wygrywa na nim stare i miłe sercu piosenki. Kładę się na sianie, patrzę w błękit nieba i wsłuchuję się w dźwięki tej fujarki. Miasto wraz ze swymi mieszkańcami pozostało gdzieś w niezmiernym oddaleniu — może wogóle nie istnieje w tej chwili, gdy tu leżę, jakby na innym krańcu świata, lecz jednak w ojczystym moim kraju.

Ta pełna prostoty melodia i upajająca woń jeziora usypiają mnie. Gdy się budzę, słońce jest już nisko. W pierwszej chwili nie wiem, gdzie jestem, zdaje mi się, że słyszę jeszcze dźwięki fujarki, ale wuj Viir znikł — jestem sam. I, o dziwo! Wydaje mi się, że zdrzemnąłem się tylko na chwilę, lecz przypominam sobie naraz, że we śnie gawędziłem z drogą mi staruszką z dawnych lat. Ta starowinka — to moja babka, spoczywająca już oddawna w ziemi, zarówno jak inni drodzy mi ludzie, których tak wielu już na zawsze odeszło z biegiem lat.

Babka prowadziła mię często do spiżarni w tej samej zagrodzie, gdzie unosił się zapach chleba, ryb, soli i mleka, i mówiła: «Zjedz teraz, synku, co ci się podoba, a potem opowiem ci kilka bajeczek!» Ja zaś rzadko zmuszałem ją do powtórzenia tych słów.

Wuj Viir tymczasem jest już oddawna przy pracy. Do późnego wieczora wodą, przynoszoną z jeziora, nawadniamy jego pola doświadczalne. Zgodniały byłem potem tak bardzo, jak Bóg wie od kiedy już nie byłem. O, gdybyż teraz przyszła ta sama starowinka, zaprosiła mię do spiżarni i rzekła...

Ale właśnie, gdy ukończyliśmy żmudną pracę, na sklepieniu niebios zjawiała się węglowo-czarna chmura burzy wraz z głuchym hukiem.

«Patrz, wuju Viir'ze — wskazuję na chmurę — stamtąd nadchodzi drugi wielki «podlewacz». Czyż warto było tak się męczyć?».

«Tak, skądże można było wiedzieć — podrapał się stary w brodę — takie rzeczy zdarzają się często».

I oto deszcz pada i pada przez całą noc, a w mojej małej izdebce chwilami widniej jest od błyskawic, niż w dzień. «Patrz — mówię do mego sąsiada, który bał się nieco błyskawic — i na wsi mają światło elektryczne, a co najważniejsze: to nic nie kosztuje».

Otwieram okno, by chłonąć orzeźwiające powietrze. I odrazu do mych uszu dochodzą te same znane dźwięki fujarki. Jeno nie są to już owe radosne piosenki z nad brzegu jeziora, lecz tony uroczyste, niemal święte. Tam, kędyś, na strychu obory lub stajni gra stary Viir... Któż wie, czy poto, aby Boga chwalić, czy aby siebie rozweselić...

---

*Wybór tekstów, układ i tłumaczenie Kazimiery Zawistowicz.*

## Z PIEŚNI LUDOWYCH

Księżyc pojął Słońce  
Za żonę pierwszej wiosny.  
Słońce wstało rano,  
Księżyc się oddalił.

Księżyc chodził samotny,  
Zakochał się w rannej gwieździe,  
Wtedy Perkun w srogim gniewie  
Mieczem go rozrąbał.

Czemużeś Słońce opuścił,  
Pocoś się w gwieździe zakochał,  
Samotny chodził po nocy?  
— Serce jest pełne smutku.

Księżyc liczy wszystkie gwiazdy  
Złote na całym niebie;  
Wszystkie wystąpiły jasno,  
Braknie jeno gwiazdy rannej.

Gwiazda ranna pojechała  
Na słoneczną drogę,  
Stara się o córkę Słońca,  
Perkun zaś prowadzi pochód.

Poprzed bramą jabłoń - drzewo  
Tnie on w szybkim biegu,  
I trzy lata płacze Słońce,  
Gałązki zbierając złote!

Cwałem pędzę ciebie, gniady,  
Tam wzdłuż boru, brzegiem jego,  
By dziś ujrzeć mą bogdankę  
I ją zastać, zanim zaśnie.

Pędź, rumaku, pędź co siły  
Do karczemki białej w borze!  
Ciebie czeka owsa żłobek,  
Mnie zaś młoda luba czeka!

Ciemna groźna noc w podróży,  
Ale dbałem o nią mało,  
Gdyż pokrycie mego konia  
Z gwiazd utkane przyświecało.

O kamienie bystronogi,  
Dotykając ledwie ziemi,  
Krzesał ogień pośród drogi  
Podkowami stalowemi.

Dopierom w drodze żal srogi uczuła,  
Żem matce czulej rąk nie uściśnieła!  
Niegdyś, gdym jeszcze leżała w kolebce,  
Do niej to jednej wyciągałam ręce.

Rzucam mój pierścień w gąszcz płaczącej łozy,  
Wianek na trzcinie zielonej zawieszam,  
A sama, nurząc się w głębiach jeziora,  
Przyłączyć się pragnę do dzikich kacząt.

Stokroć mi lepiej być dziką  
Kaczką, niżli lubą brata.

*Tłum. Gustaw Manteuffel.*



W poranne mgły otulony  
Róg Słupi<sup>1</sup> jęczy żałością,  
Słońko wyjrzy z niebios łona,  
A Słup odżyje radością.

Róg, zdobny w koronki, słyszy,  
Jak mówią o nim książęta:  
«Prządka tam przędzie w tej ciszy  
Jedwab na chusty od święta».

Powiedz, dziewczę, skąd tak cienkie  
Są koronki te skaliste?  
— Słupi Róg przadł jedwab miękki,  
Skręcał nici zdroj przejrzysty! —

Mateczka Rogu Słupiego  
Tęczowe nici związała,  
Niemi jedwabiu lśniącego  
Chustkę sobie haftowała.

Daj mi jedwabną chusteczkę,  
Mateczko Rogu Słupiego,  
Dałaś nadobną córeczkę,  
Daj pokrycie łoża mego.

Czemuż wy, dziewczęta skały,  
Jasnych barw nie macie w stroju?  
— Nasze stroje mgły utkały,  
A opięty wody zdroju. —

Latem było żyto, dzisiaj jęczmień wszędzie,  
Na rok przyszły ugór świecić się tu będzie.  
Latem była dziewą, dziś jest w niewiast rzędzie,  
Na rok przyszły pewnie matulą już będzie.

*Tłum. Emma Benisławska.*

## ANDREJS PUMPURS

(1841—1902)

### GŁOWA NA TRZECH MIECZACH

Pod Kekawą, wzdłuż polany  
Wzgórza, sosny w ciżbie mrocznej;  
Wśród nich wznoszą się kurhany:  
Miejsce bitwy to wyroczej.

Na kurhanie tam ukryta  
Na trzech mieczach była głowa,  
Nad nią głosił dziad-wróżbita  
Swych posepnych zaklęć słowa:

«Ty ostatnia z nas, coś wroga  
Biła w ogniu walk orężnych!  
Serce moje dręczy trwoga,  
Że dziś wodza brak wśród mężnych.

«Pozbawieni przewodnika,  
Błądzą mego ludu syny,  
I twa sława już zanika  
Nad ojczystej brzegiem Dźwiny.

«Śpij, mój druhu, w tym kurhanie  
Na trzech mieczach czas tak długi,  
Póki lud twój nie powstanie,  
By na oręż przekuć pługi!

«Przyjdzie z Rygi łódź, w niej woje  
Dzielnej Łotwy; tu na krwawych  
Polach białe prochy twoje  
Znajdą na trzech mieczach rdzawych.

<sup>1</sup> Słynna skała naddźwińska — «Stabbu Rags».

«Wspomną owej bitwy lata,  
Sławę przodków i dni chwały,  
Wtedy w nowe miecze świata  
Naród się uzbroi cały!»

*Tłum. Tadeusz Radoński.*

IMANTA

Imanta nie zmarł — żyje  
Pod Siną górą, hen!  
Spoczął po bojów pracy,  
Zakłęty w cichy sen...

A gdy postaniec ujrzy,  
Że mgły się kłębią wciąż —  
Powraca do rycerza,  
I znów lat sto spi mąż.

Choć śpi pod złotem sklepień  
W podziemnym zamku, lecz  
W swych mocnych dłoniach dzierży  
Nierdzawy, ostry miecz.

Lecz przyjdzie dzień... Pioruny  
Uderzą z hukiem w szczyt —  
Złośliwe czary prysną,  
Zalśni nad górą świt.

Raz jeden na wiek cały  
Wychodzi z ziemi gnom,  
By spojrzeć, czy na szczycie  
Jeszcze nie koniec mgłom.

Słońca boginek tłumy  
Rozpędzą chmury mgieł,  
Potężny głos obudzi  
Wodza do nowych dzieł.

*Tłum. Brunon Nowicki.*

AUSEKLIS (MIKUS KROGZEMS)  
(1850—1879)

TRIMPULA <sup>1</sup>

Łzy Stabbu Rags sączy, grzmi Dźwina we wtór  
i wicher w wąwozie się zмага.  
Jak jęczą w krąg dęby! Nie przodków li chór  
tak brzmi, nie pogrobna ich saga?

Czyż nato, Perkunie, tyś Dźwinę nam dał,  
by witeż, za swoją odwagę  
lub bogom wojennym w ofierze, z niej miał  
płyn trzeźwy nabierać w bakłagę?

Umieli przodkowie swym bogom nieść dar —  
warzyli im piwo i brahę!  
Gdy dnia świątecznego na Łotwę padł czar,  
któż widział niepjaną watahę?

Korowód dziewczęcy z wiankami na brzeg  
pośpiesza; na brzegu — wesele:  
podczaszych z czarami tłum liczny się zbiegł,  
a barwne porporce na czele!

Niech Dźwina w łożysku wysycha do dna,  
i w morzu niech wody nie mamy —  
gdy czasa chmiel toczy, gdy Trimpus nas zna,  
gdy jemu przysięgę składamy!

<sup>1</sup> Trimpus — łotewski Bachus; Trimpula — oda do Trimpusa; Stabbu Rags — malownicza skała stalaktytowa na lewym brzegu Dźwiny; Perkun — łotewski (i litewski) Zeus.

Pląsajcież, śpiewajcie z bogami, jak wprzód,  
ku czci Trimpusowej, ku chwale!  
Praszczury pić z wami u Dźwiny chcą wód,  
na sławnej zebrawszy się skale.

Niech zmarłych obyczaj synowski czci chór  
uczta, cnotami lub bojem! —  
Praszczury u Dźwiny podadzą wam wtór  
Trimpusa wstawionym napojem.

*Tłum. Antoni Bogustawski.*

## RUDOLFS BLAUMANIS

(1861—1903)

### W CIENIU ŚMIERCI

(Wyjątki)

(Wicher oderwał od brzegu ogromną płytę lodu wraz ze znajdującymi się na niej czter-nastoma rybakami, którzy, zajęci połowem, za późno dostrzegli niebezpieczeństwo. Kra niosła nieszczęśliwych na pełne morze, grożąc im w każdej chwili śmiercią. Rybacy utworzyli kilka grup, skupiających się dokoła wozu z rybami. Nagle kra pękła, i czterech rybaków: Sturis, Skapan i dwaj Cubukowie, oddalając się na kawałku lodu, zniknęli z oczu towarzyszym. Pozostali rybacy pod wieczór rozpalili ogień, aby przyrzadzić posiłek, i usiłowali jeść ryby w stanie nawpół surowym, gdyż należało oszczędzać dREW.)

Z nadejściem zmroku Grintal kazał odwrócić puste sanie tak, aby wiatr wiał na nie z boku. Wtedy wszyscy rybacy usiedli pod saniami, opierając się plecami o siebie, i w ten sposób postanowili spędzić noc.

Ściemniło się. Na niebie nie było widać ani jednej gwiazdy. Wiał ostry wiatr; dokoła szumiało morze. Nikt nie zmrzył oczu. Wszyscy wpatrywali się w gęsty mrok, który, niby ołów, przygniatał głowy i ramiona.

— Ach, jak mi się chce jeść! — szeptał Karolek do Birkenbauma. A ryba taka wstrętna!

— Cóż robić? — odrzekł robotnik.

Po długim milczeniu znowu usłyszał westchnienie chłopca.

— Co ci jest? — zapytał obojętnie.

— Jeść mi się chce — szeptem odpowiedział chłopiec.

Birkenbaum posiedział chwilę, potem, uderzywszy się niecierpliwie ręką w kolano, wstał, odprowadził chłopca na dwa kroki od sań, wyciągnął coś z za pazuchy i to mu wręczył.

— Pij! — rozkazał.

Chłopiec odkorkował butelkę i wypił.

— Tylko nikomu nie mów! — ostrzegł go Birkenbaum, odbierając butelkę. — A teraz spróbuj zagryźć!

Powróciwszy do sań, Karolek zjadł nie bez wstrętu swoją rybę.

Potem znowu dosyć długo nikt się nie poruszał. Noc stawała się coraz głębsza, morze szumiało, lód trzeszczał, a wiatr niósł na kry słony zapach morskiej wody.

— Birkenbaum, śpisz?

— Nie.

— Położę się trochę na twych kolanach.

— Kładź się.

Karolek położył ręce na kolanach Birkenbauma i spoczął na nich. Robotnik poczuł, jak bardzo zimne były ręce chłopca. Zdjął rękawiczki i zaczął ogrzewać w swoich ciepłych dłoniach zdrętwiałe, chude palce. Ogrzał je, i wtedy ciepło od palców chłopca z kolei zaczęło udzielać się robotnikowi.

Karolek zasnął. Jego spokojny, równy oddech, uwidoczny jedynie przez równomierne ruchy piersi i ciepło rąk, przypominał Birkenbaumowi inne noce, chociaż nie miały one napozór nic wspólnego z tym snem chłopca.

Na trzeci dzień rano zabrakło drew. Nikt zresztą nawet nie myślał o gotowaniu ryby. Wszyscy lokomie śledzili podział, bacząc, czy kto nie dostaje więcej...

— Czyż w twej butelce nic już niema? — zapytał Karolek, odwołując Birkenbauma nabok.

— Nie!

— A przecież było tak wiele!

— Wczoraj wieczór wypilem.

— A mnie nie dałeś?

— Czy to mój obowiązek? Obiecałem ci albo co?

— Nie obiecałeś, ale przecież widzisz, że mnie trudniej, niż tobie!...

— Ale przecie butelka była moja! I mnie też niełatwo. Podziękuj i za to, że wogóle dostałeś. Inny na mojem miejscu...

— Ach, toś ty taki!

— Jaki?

— Idź... było tak dużo, dosyć dla nas obu na jutro i pojutrze! — z niezadowoleniem zauważył chłopiec. — A teraz tyś sam wszystko połknął!

— Patrzcie go! — gniewnie burknął na niego Birkenbaum. — Będzie mi tu jeszcze wymówki robił! Smarkacz! Dostaniesz po pysku!

— Ty sam dostaniesz! — zawołał chłopiec, ledwie powstrzymując łzy i z gniewem poglądając na Birkenbauma. — Pijak!

Birkenbaum, podszedłszy do chłopca, ostro spojrział na niego i mocno uderzył go w twarz, mówiąc:

— Teraz zamilknie!

Twarcz chłopca wykrzywiła się ze złości. Schwycił robotnika za rękę, usiłując go ugryźć, ale Birkenbaum wyrwał ją i z kolei, jakby żelaznymi kleszczami, ścisnął rękę chłopca powyżej dłoni... Nagle spostrzegł, że chłopiec słabnie... Przez chwilę jego głowa, jak martwa, leżała na piersiach Birkenbauma.

— Karolku, Karolku, co ci jest? — budził go robotnik.

— Pić — szeptał chłopiec — dajcie pić!

Birkenbaum odprowadził go do sań, a następnie, podszedłszy do Grintala, zapytał:

— Czy nie czas puścić krew jednemu z koni, gdyż chłopiec zupełnie osłabł?

— Nad tem należy naradzić się ze wszystkimi pozostałymi. Dla napojenia jednego nie można zabijać konia.

Zwołał rybaków i postanowiono jeszcze czekać.

Birkenbaum obszedł niemal całą krę dokoła i wrócił znowu do sań. Chłopiec wciąż jeszcze leżał na tem samem miejscu. Wargi mu zsiniały, z pod czapki, zsuniętej na tył głowy, błyszczalo blado-żółte czoło.

Birkenbaum znowu przysiadł się do niego.

— Karolku!

Chłopiec jakby go nie słyszał.

— Niema nic do picia — mówił dalej robotnik. — Jest tylko lód. Jeśli chcesz, rozpuszczę kawalek w rękę i naleję ci wody w usta. Ale jeżeli nie możesz wytrzymać... słuchaj... jeżeli nie możesz wytrzymać... ja... puszczę sobie krew z ręki.

Karolek drgnął, ocknął się i rzucił łokome spojrzenie na ręce Birkenbauma.

W chwilę potem robotnik przystawił swą lewą rękę do warg chłopca.

Ten, schwyciwszy podsuniętą dłoń, zrazu chciał ją odepchnąć, ale uspokoił się i zaczął ssać...

Wieczorem (czwartego dnia) wszyscy usiedli na saniach, milczący i osłabli, z zapadniętymi policzkami i oczami. Fale szumiały coraz bliżej, i kołysanie się kryło było coraz wyraźniejsze.

Karolek przycisnął się do Birkenbauma.

— Teraz wszystko przepadło, nieprawdaż?

— Pewnie — odpowiedział robotnik.

— Ty wytrzymasz dłużej, niż ja.

— Pewnie.

— Ach, gdybyż to wszystko nie wlokło się tak długo... Tych, co umrą, pewnie wrzucą do wody?

— Pewnie.

— Mnie wrzucić ty, Birkenbaum... Ach, żeby już jak najprędzej!

Chłopiec objął łokieć robotnika i, przycisnąwszy głowę do jego ramienia, szlochał. Birkenbaum milczał.

Piątego dnia rankiem Grintal zauważył daleko na północy dym. Wszyscy patrzyli w tamtą stronę z największą uwagą. Pasma dymu wydłużało się, i wkrótce już nie wątpiono o tem, że ono ciągnie się od przechodzącego obok okrętu.

— Podnieście wyżej flagę, wymachujcie nią! — krzyczeli wszyscy, tłocząc się obok tyki.

Chmurka dymu rosła, a blade oblicza rybaków ożywiły się i oczy poczęły błyszczeć. Nawet Gurlum z radości przemówił. Stary Dalda, odszedłszy nabok, płakał i modlił się...

Ale potem spojrzenia ich stawały się coraz bardziej nieruchome, coraz straszniejsze. Chmurka dymu malała! Okręt nie przybliżał się — nie widział ich albo nie chciał widzieć.

Twarze wszystkich ludzi powlekła noc. Flaga upadła. Załga deptał czerwoną koszulę i gryzł swój kożuszek. Biedny Skrastin, padłszy na sianie, wykrzykiwał niezrozumiałe słowa i chichotał. Karolek mocno objął Birkenbauma, a Grintal stał i wciąż jeszcze patrzył w tę stronę, gdzie zniknął dym.

Nagle Jan zawołał:

— Łódka! Łódka!

Wszyscy obrócili się ku Janowi, który wskazywał ręką na południe. Tam płynęła niewielka łódka, i to tak blisko, że można było policzyć siedzących w niej ludzi. Dwóch wiosłowało, jeden był u steru, a czterech siedziało beczynnje.

Stary Dalda złożył ręce i podniósł je ku niebu.

— Birkenbaum! Birkenbaum! — szlochał chłopiec.

Kiedy łódka zbliżyła się o tyle, że można było rozróżnić twarze, rybacy dostrzegli w niej, prócz obcych, jeszcze swoich: Sturisa, Skapana i obydwu Cubuków, bardziej podobnych do trupów, niż do żywych ludzi.

Rybaczy pośpieszyli naprzeciwko łódki. Po pewnych wysiłkach jeden z wiosłarzy wstąpił na krę.

Zaczął coś mówić, czego nikt nie zrozumiał, bo przemawiał nie po łotewsku. Nareszcie Grintal zapomocą znaków wyjaśnił, że łódka może jeszcze przyjąć siedmiu ludzi.

Tylko siedmiu! A ich było dziesięciu! Któż się wyratuje? Kto pozostanie? Długą chwilę stali w osłupieniu. Pierwszy Załga ruszył w stronę łódki.

— Trzeba wsiadać. Kto zostanie, ten zostanie!

Ale Grintal schwycił go za rękę i odciągnął zpowrotem.

— Stój! Niech decyduje los. Zgadźcie się wszyscy?

— Spróbujmy wsiąść razem — powiedział Skrastin. — Gdy zobaczymy, że wszyscy nie zmieszczą się, wtedy niech rozstrzyga los.

Ale obcy człowiek nie zgodził się na to. Objął zapomocą znaków, że w ten sposób mogłaby wyniknąć bójka, i łódkaby się przewróciła.

— No, to niech decyduje los! — powiedział Grintal. — Ustawcie się według lat, według starszeństwa...

Następnie wyrwał dwie kartki z notesu, podarł je na równe kawałki i trzy z nich oznaczył krzyżykami.

— Kto je wyciągnie, ten się zostanie! — Zwinął karteczki, włożył w czapkę i podszedł ku Daldzie. Starzec rozwinął kartkę. Była biała. Drżącą ręką schwycił Załga swój los. Wziął jeden, drugi, nareszcie otworzył trzeci. Czysty! Gurlum miał także szczęście. Skrastin przeżegnał się uroczyście i wyciągnął los. Pusty! Grintal podszedł do Sylisa. Teraz przecież powinien być krzyż! Ręce Sylisa drżały tak silnie, że ledwie mógł rozwinąć papierek. Ocalony! Śmiałą ręką wziął Jan papierek i wyjął pierwszy

krzyżyk. W czapce pozostały dwa krzyżyki i jedna biała kartka. Zacisnąwszy wargi, Grintal podsunął czapkę Birkenbaumowi. Ten z powstrzymanym tchem popatrzył na kartki i, schwyciwszy jedną, szybko ją rozwinął. Okazało się że wyciągnął ostatni pusty bilet.

Grintal odwrócił czapkę i wysypał dwa ostatnie bilety na lód.

— My, Karolku, nie mamy poco ciągnąć! — powiedział. — Idźcie!

Zalga i Gurlum szybko wsiedli do łódki. Po nich uczynili to samo Gulbis i Sylis. Skrastin podszedł do Grintala i uściśnął mu rękę.

— Zawieź pozdrowienie mojej żonie — rzekł Grintal.

Następnie pożegnał się z nim oraz z Birkenbaumem i zwrócił się w stronę Karolka. Ten stał bez ruchu i patrzył na łódkę.

Twarz Birkenbauma boleśnie się skurczyła. Schwycił rękę chłopca i uściśnął jego chude i zimne palce. Ale ten nie odpowiedział na uścisk, i kiedy robotnik puścił jego rękę, ta opadła na bok Karolka, jak martwa. Birkenbaum, odszedłszy dwa kroki, odwrócił się jeszcze raz, popatrzył na chłopca dziwnym wzrokiem i powoli, jakby wbrew chęci, i walcząc z samym sobą, wszedł wreszcie do łódki.

Dalda z Janem odeszli nabok; starzec widocznie nie mógł rozstać się z synem.

— Już czas! — przynaglał Grintal.

— Ja zostanę! — powiedział Dalda.

— Ja nie pójdę! Za nic w świecie! — rzekł Jan.

— Pójdiesz! Idź! Ty prędzej przyjedziesz po mnie, niż ja po ciebie. Będę cię oczekiwał. Idź!

— Ojczel!

— Idź, idź! Pokłoń się matce od starego. I przyjeżdżaj po mnie! Idź, siadaj do łódki.

— Za nic w świecie! Ja nie mogę! Nie pójdę!

Ale stary Dalda nie przestawał popychać Jana w stronę łódki, dopóki ten nie wszedł do niej.

— Żegnaj, synu! Żegnaj, synu! — wołał za nim starzec i, kiedy łódka oddaliła się, powtórzył jeszcze kilka razy: — Żegnaj, mój synu! Żegnaj, mój synu!

Grintal na pożegnanie machnął trzy razy czapką, położył rękę na ramieniu Karolka i tak pozostał.

Podobnie nieruchomo, pochylony naprzód, stał Dalda.

W ten sposób byli oni przez długi jeszcze czas widoczni dla Jana i Birkenbauma, którzy nie spuszczały z nich wzroku. Potem ich sylwetki stały się niewyraźne, zwały się — i wreszcie cała kra widniała na horyzoncie zaledwie w postaci malej szarawej kropki.

Wreszcie i ona znikła.

*Tłum. Tadeusz Radoński.*

## EDUARDS VEIDENBAUMS.

(1867—1892)

### Z PÓL NADPŁYNAŁ POWIEW WIOSNY...

Z pól nadpłynął powiew wiosny,

Dość kłopotów — zmartwień — łez!

Ciesz się — znowu bądź radosny,

Nim nadejdzie życia kres!

Świat się w barwne stroi kwiecie,

Upił go miłości żar.

Ciesz się — znowu bądź jak dziecko,

Niech cię zbudzi wiosny czar!

Nie patrz w przyszłość — w tem się kryje

Jeno ciągłych zgryzot cios.

Ten, kto kocha — wesół żyje,

Nigdy go nie zwiedzie los.

## DESZCZ NA ULICACH...

Deszcz na ulicach, błoto; nie milkną wiatrów wycia.  
W pokoju zimno, ciemno i stół mój bez nakrycia...

W zadumie, w samotności wspominam dawne chwile,  
Wokół mnie krążą mary tych, co już są w mogile.

Daleki kraj rodzinny z przeszłości wstaje cienia...  
Lecz tylko gorycz budzą czarowne te widzenia.

Przeminął bezpowrotnie czas szczęścia i radości —  
I śnieg wypełnił serce, i zimny chłód w niem gości.

*Tłum. Tadeusz Radoński.*

## ZE ŚWIATA, NIBY SEN, ZNIKAJĄ POKOLENIA...

Ze świata, niby sen, znikają pokolenia,  
I błędnie krasa lic w oddechu dni i lat,  
Umarłych ciała tlą się w chłodzie zapomnienia —  
A u wieczności bram niezgłębny milczy świat.

Tu wiosna ciepłem tchnie lub wiatr północny wionie,  
Kolący objął cierń łądzki wątych róż!  
Po stokroć lepiej lec w zacisznym ziemi łonie,  
Kędy umarli są bez pragnień — wolni już.

Mknie życie lotem strzał — zaprawdę, niema celu  
Tropić radości tu, do szczęścia szukać dróg!  
Jedynie tam, gdzie mir znalazło zmarłych wielu,  
Niech spokój — módl się, proś! — i tobie ześle Bóg!

*Tłum. Alfred Tom.*

## JANIS RAINIS (PLIEKSZANS)

(1869—1920)

## ZŁAMANE SOSNY

Sosny wysokie, co stały na górze,  
Złamały kiedyś gwałtowne burze.  
Nad brzegiem stały wdal zapatrzone —  
Kryć się nie chciały ni ugiąć korony.

«Chociaż nas łamiesz, złośliwa wichuro,  
Lecz nie zwycięży twa siła ponura —  
Jeszcze w tęsknocie wznosimy ramiona,  
Każda się gałąź sprzeciwia, choć kona!»

I sosny wielkie te, przez burzę ścięte,  
Na wody wyszły jako okręty —  
Piers swoją dumnie na szal wichrów dały,  
Od nowa pieśnią wojenną rozbrzmiały:

«Pień się i wyj, o złośliwa wichuro,  
W tej nowej walce będziemy górą  
I dopłyniemy do tych szczęścia dali,  
Kędy purpurą wschód słońca się pali!»

## HEJ, NAPRZÓD!

Zniszczyłeś poza sobą przęsła mostu,  
Przez który mógłbyś jeszcze wrócić do swych stron,  
Gdzie znalazłbyś pociechę w chatach ludzi prostych  
I zebrał serdeczności bratniej piękny plon.

Złamany most. W odmętach giną łodzie,  
Na drodze twojej burze tworzą zwał.  
Dokoła nagi brzeg i mewy krzyk przy wodzie.

Dłonie pocięte, pod nogą ostrza skał...  
Hej, naprzód! Wdali jasny świt już wstał!

*Tłum. Brunon Nowicki.*

#### PYTANIE

Nad ludzi kochałem ludzkość,  
Ludzkość całego wszechświata...  
Myślałem zawsze — to ona  
Najwyższą wagę posiada!...

Ludzie mi wzajem płacili:  
Przejdą, nie bacząc, i miną...  
Zwąc moje dzieła — owocem,  
Mnie zaś — odpadłą łupiną...

Zaliż nie byliśmy w błędzie?...  
(Zwątpienie w sercu się budzi.)  
— Wszak człowiek tworzy i dźwiga,  
A ludzkość składa się z ludzi!...

#### W KRAINĘ SNÓW

W powietrzu parnem jaskółki się gonią...  
Dzieci na polu... Słońce wdał zachodzi...  
Oczy wieczora kojące łyzy ronią  
Na kwiaty, zmięte od pieśczoł powodzi...

Leżę na sianie i w niebo ślę oczy:  
Ziemia przygasa, a słońce cień wodzi...  
Czekam, aż gwiazdny rydwan się wytoczy  
W niebo... O, gwiazdy! Na skargę błagalnych mych słów —  
Porwijcie mą duszę w gwiazdną krainę snów!...

*Tłum. J. W.*

#### PYTANIA DZIEWCZĘCIA

O, przyjacielu mój,  
Powiedz, skąd wzięłeś tak tęczowe słowa?  
«Patrzyłem długo w potok ludzi zmienny».

Skąd wynalazłeś tak ogniste słowa?  
«Patrzyłem długo w blask słońca promienny».

Skąd wynalazłeś tak ogromne słowa?  
«Patrzyłem długo w dal bezbrzeżną morza».

O, przyjacielu mój,  
Powiedz, skąd wzięłeś tak spokojne słowa?  
«Patrzyłem długo w duszy mej bezdroża».

Skąd wynalazłeś takie miłe słowa?  
«Patrzyłem długo w twe oczy łagodne».

Skąd wynalazłeś tak głębokie słowa?  
«Patrzyłem długo w łono śmierci chłodne».

O, przyjacielu, przyjacielu mój!

*Tłum. Mieczysław Giergielewicz.*



JÓZEF I JEGO BRACIA  
(Wyjątek)

Józef:  
Kto są ci ludzie?

Strażnik:  
To pasterze, panie.

Józef:  
Czy to nie zbóje z pokolenia Set?  
Niech pojedynczo przejdą tu raz jeszcze!  
(Strażnik wychodzi)

Asnata:  
Co ci, kochany? Drżysz tak!

Józef (z okrzykiem):  
Co za jedni?

Nie oni-ż to — — —  
(Strażnik wraca)

Strażnik:  
To są pasterze, panie.

Józef (skinieniem odsyła strażnika):  
Więc oni? Oto: lew — czy kat? — A tamci  
(Bracia przechodzą pojedynczo, najpierw Juda)  
Czają się, niby szakale?

Asnata (chce odejść od okna):  
Och, wstrętni!

Józef (zatrzymuje ją):  
Spójrz — oto sędzia, nie znający łaski!

Asnata:  
Strach mnie przechodzi!

Józef:  
Widzisz — to zawistnik!  
A ów uciekał, gdy trzeba ratować!  
Tam — pełen złości szpieg, co nie przebacza!  
Och!...

Asnata:  
Co to?

Józef:  
Oczy! To ostre spojrzenie!

Asnata:  
To nie wzrok ludzki! — I mnie też mróz chwycił!

Józef:  
Oni! — Świat tylko ma jeden wzrok taki,  
— A wzrok ten właśnie mnie przekłuł swem ostrzem.

Asnata:  
Ach, kto ci ludzie, powiedz!

Józef (z okrzykiem):

Ha! To oni!  
Ożyły-z cienie? Więc mścić się wypadnie?  
Dosyła napić się, tak — o, rozkoszy!

Asnata:

Co? Co?

Józef:

Mordercy!

Asnata:

Kto?

Józef:

Tam — moi bracia!

Asnata:

Co mówisz? Czy sny ci się roją?

Józef (*patrzy za oddalającymi się braćmi, a widząc ich ubogą odzież i całą nędzę, wpada w rozpacz*):

Biada!

Gdzie krok ten dumny? Miecz, budzący grozę?  
W łachmanach, nadół pochyleni! — Biada!  
Niebo, przeklinam cię, czemu mnie ludzisz!  
Na tych się zemścić? Napić się z kałuży? —

Asnata:

Co? — Bracia? Nigdy nie mówiłeś o tem!

Józef:

O, hańbo!

Asnata:

Twoi to mają być bracia?  
Niepodobienstwo! Kto tak zły być może?

Józef:

Ha! Tak zły! Ha! ha! — Dobrze powiedziałaś:  
Więc przecie zemścić się trzeba! — Kto tak zły jest?  
Ha! — moi bracia — ha! Czy kto uwierzy?  
Ja sam uwierzyć nie mogę, chcę widzieć,  
Niech o swym czynie sromotnym powiedzą  
Tutaj przed nami.

(*Klasnął w dłonie, wchodzi strażnik*)

Wprowadzić pasterzy!

Muszę wybadać, kto są owi ludzie.

*Thum. Alfred Tom.*

ASPAZJA (ELZA PLIEKSZANS)

(ur. 1868)

GDZIE?

Nie życzę sobie środka —  
Lecz pełni życia chcę!  
Nie znoszę zła czy dobra,  
Gdy szranki wchodzą w grę!

Lecz do rozkoszy czary  
Nie przylgnę ja śród róż:  
Wyciągnę tylko rękę  
I wstrętu pełnam już.

A na wyżyny życia  
Gdy śmiałam wspiąć się raz —  
Tam w szatach białosnieżnych  
Jak drzewy stoję głaz.

Gdzie znajdę schron dla duszy?  
Jak kielzać uczuć szaf?  
Falują, płoną, tają:  
I zmienność — to ich dział!

Duch jutro to podepcze,  
Co dzisiaj święcie czcił!  
Gdzie tedy stałość ducha,  
Gdzie cel duchowych sił?

*Tłum. Alfred Tom.*

#### WIOSENNE RANO

Na białym łabędziu  
Wiosna  
Z krainy baśni  
Przybywa...  
We włosach jej motyl  
Złocisty,  
Biel kwietna ramiona  
Okrywa...  
Strumieni się wietrzyk  
I mdleje,  
Kwiat pachnie dla kwiatów,  
Fala z falami szaleje!...  
A na niebieskiem wezgłowi  
Obłocznem,  
W wonnej purpurze —  
Słońce

Pogląda senne  
Ku ziemi,  
Unosząc obłoków  
Robrońce..  
I głaszczę dłonią  
Złocistą  
Warkocze brzeziny  
Zielonej... —  
W płaszczu pochmurnym  
Deszcz schodzi  
Po stopniach tęczy  
Schylonej...  
— Bez tchu milczenie  
Chwili wysokopiennej...  
— Ziemia rozkwita nadzieją  
Na piersi młodej wiosennej!...

*Tłum. J. W.*

#### JANIS PORUKS

(1871—1911)

#### GOETHE W DRODZE DO SESENHEIMU

Do gościnnego domu on  
O zmierzchu konno przed się jedzie;  
Jakgdyby wiedząc o tem skądś,  
Tam Fryderyka obrus kładzie.

Do gościnnego domu on  
O zmierzchu konno przed się jedzie;  
Kiwnięciem mu zwiastuje los,  
Że do zwycięstwa go powiedzie.

On przyjdzie — serce mówi jej —  
I szczęście tu przyniesie z sobą;  
Tak, uśmiech jego ciszą tchnie,  
Wysokie czoło pukle zdobią.

I srebrzy już gwiazdzisty zmrok  
Ochładzające się doliny;  
Noc siwa w las kieruje krok,  
Wąwozy kryjąc i niziny.

Przyjdzie — ten serca słyszy szept —  
Majestatycznym krokiem wiersza  
I duszę jej podbije wnet  
Cudownie mówą swą najszczęszą.

Radosne okien światło w mgle  
Migotu pełne baśniowego;  
Gdy biały koń zobaczy je,  
Przyśpiesza mimowoli biegu.

#### W ZIMOWĄ NOC PRZY OKNIE

Brak strun w mej harfie,  
Brak szczęścia w życiu,  
Lecz dawna pieśń odzywa się!  
Mój dom — bez lubej,  
Mój krok — bez celu,  
Lecz żyć, lecz żyć ja jeszcze chcę!

Na nieboskłonie,  
Jak w skalach śnieżnych,  
Z obłoków blady księżyc wstał.  
Z nagiego gaju  
Biel śnieżna płynie —  
Do piersi dziwny ból się wdarł.

O, któż to dał wam  
To światło wieczne —  
Skry gwiazd, błękitny skłonie nieb?  
Pochodnia gaśnie,  
A w nocy ciemniej  
Czyż serce moje znajdzie lek...

Jeziora błyszczą  
Lód, mrozem skuty,  
I dzwoni dal, lód kurczy się;  
A przecież serce  
Zastygnąć nie śmie —  
I żyć, i żyć ja jeszcze chcę!

*Tłum. Alfred Tom.*

#### JESIEŃ

Białe łabędzie  
Wdał odleciały;  
Oczy przesmutne  
W ślad ich patrzyły.

Kruki żałobne  
W klonów purpurze.  
Gołębie białe  
Na dachów górze.

Czemu nie leci  
Gołąb do boru?  
Czy może żal mu  
Odrzucić z dworu?

Więdnie w ogrodzie  
Kwiat szczęścia drogi.  
Zgina jabłonie  
Wicher złowrogi.

*Tłum. Mieczysław Giergielewicz.*

#### VILIS PLUDONIS

(ur. 1874)

#### RÓŻE

Róże, ach, róże,  
Ciemnoczerwone, namiętne!  
Gdy wiosna młodem ciepłem tchnie,  
O, jakże drżą  
I mówić chcą  
Te róże!

Róże, ach, róże,  
Ciemnoczerwone, namiętne!  
Czy nie wasz purpurowy kwiat —  
To miłość ta  
I żądzy skra,  
Co płonie tak?

Róże, ach, róże,  
Ciemnoczerwone, namiętne!  
Kto waszą czuł upojną woń —  
Już spokój nie powróci doń,  
I bliski jest mu zgon.

#### PIOSNKA TRZCIN

Wietrzykaśmy pośpiemy,  
Szepniemy — i już w śnie wy;  
Niech tylko zadrży jedna z nas,  
A drzeć poczniemy wszystkie wraz;  
Jesteśmy — wodne dziewy.

Wietrzykaśmy pośpiemy,  
Szepniemy — i już w śnie wy;  
W nas gwiezdna jakaś tęskność drga,  
I ziemi ból w nas zlekka lka —  
Skarg cichych myśmy dziewy.

Wietrzykaśmy pośpiemy,  
Szepniemy — i już w śnie wy;  
A gdy się tułasz z sobą sam,  
Daj z duszą twą zanucić nam, —  
Śnień mglistych myśmy dziewy.

Wietrzykaśmy pośpiemy,  
Szepniemy — i już w śnie wy;  
Gdy myśl twą gniecie smutku głąz,  
Wytchnienie znajdziesz tu wśród nas, —  
My czułych strapien dziewy.

#### W ZIMOWĄ NOC

W zimową noc otwieram okno:  
Widmowo patrzy księżyc we mgłę;  
Z chłodem zimowym płyną do serca  
Świata ochłody, przestwory, głębiny.

Gwiazdy tam błędzą wysoko, daleko.  
 Bez końca jest noc nad górami, dolami.  
 Bezdeń wieczności pochłania światy,  
 Wieczność ciężarem się kładzie na duszy.

*Tłum. Alfred Tom.*

### JANIS AKURATERS

(ur. 1875)

#### BOSKOŚĆ

Zakrywa słońce mgła jesiennych żali,  
 I tylko ptasząt raduje nas droga,  
 Rozgrzewa usta sok chmielnego boga,  
 Jakbyśmy znowu kochać zaczęli.

Gdy dzień zagaśnie — księżyc jaśń rozlewa  
 I smętki nocne w srebrną szatę stroi;  
 Nie zapomina się miłości swojej —  
 W duszy rój złotych widziadeł polśniewa.

Gra i to życie — wśród płasów uchodzi,  
 Dnie przed bogami pierzchają w zaświaty;  
 W duszach, co stały się jak słodkie kwiaty,  
 Amorki krążą w żwawym korowodzie.

#### POD WŁADZĄ SERCA

Na dobro, jak i zło nieczuły,  
 Pod władzą serca żyję ja.  
 W godzinie każdej czary złote  
 Nade mną leje mara ta.

Że mnie, wiem o tem, gdzieś kochają;  
 Wiem: kwitnie łąka hen — wśród gór,  
 I życia tam śpiewają chwile,  
 Niby kapłanek cudnych chór.

Drogami memi serce rządzi,  
 Na ustach wiosny płoną mi...  
 Jam w tłumie głazem, ale serce  
 Mam dziecka, co o bajkach śni.

Żem wszystkim obcy, widzę jasno,  
 Podległy sercu — zwiewny cień,  
 Jak widmo nocne, tak trwożliwy,  
 Milczący — jako zeszcły pień.

*Tłum. Alfred Tom.*

### KARLIS SKALBE

(ur. 1879)

#### Z «BAŚNI ZIMOWYCH»

#### O l b r z y m

Olbrzym rzekł do swego młodszego brata: «Potrzymaj ty teraz górę, a ja pójde przyjrzeć się światu». Tak się też stało. Młodszy brat wziął górę na barki, a starszy wyruszył w świat.

Przez całe swe życie leżał on na brzuchu i dźwigał górę na plecach, podobnie jak ojciec jego i dziad. Oto wreszcie był na wolności, ogromny, garbaty i niezgrabny. Z trudem stał na nogach i rozglądał się zdziwiony dokoła. Wszystko rzucało mu się w oczy i zdało się jakieś pstre i pasiaste — a przedmiot każdy był jakby spowity w tęczę. Olbrzym nasz przypominał kurczę, wykluwające się z jaja, gdy świat ze wszystkimi swymi barwami i tonami ogarnia jego upojoną duszę. Z dłonią przed oczyma patrzył wdał: lasy, góry i obłoki... Wiatr uginał drzewa i pędził chmury przed siebie. Miał-że on, olbrzym, stać beczynnienie? Ryczał aż z radości i wędrował wciąż

dalej — wolny, szczęśliwy i bogaty. Pod pachą niósł bryłę złota — wielkości głowy ludzkiej. Dobre karły podarowały mu ją za to, że tak cierpliwie dźwigał był na sobie górę, w której mieściły się ich kuźnie i skarbnice.

Olbrzym szedł, szedł, aż napotkał górę. Wspiął się na nią, a zszedłszy znów w dolinę, ujrzał chłopca, pasącego owce. «A to przecie chrząszczyk!» — rzekł olbrzym i uśmiechnął się.

W świetle słonecznym wznosiło się wzgórze, całe pokryte białą koniczyną. Nisko, tuż nad widnokregiem leżały białe obłoki. Ani złoto, ani srebro, kryjące się w głębi gór, nie błyszczało tak, jak to wzgórze ze swą koniczyną. Olbrzym miał ochotę poleżeć tu na murawie i rozejrzeć się wokoło — tutaj zapewne był początek owego pięknego świata, o którym opowiadały mu wieszczki leśne; latały one na skrzydłach wietrznych daleko po świecie, wiodły na bezdroża pastuchów i myśliwych i miały dużo do opowiedzenia.

«Hej ty, dragalu!» — zawołał chłopiec, «nie rób mi znów dołu na mojem pastwisku. Gdzie wy, olbrzymy, się kładziecie, tam przez trzy lata trawa nie rośnie». Nie był on tchórzem i nie po raz pierwszy miał do czynienia z olbrzymami i djabłami.

«Posłuchaj, chłopcze, chciałbym coś przekąsić. Daj mi owoc!»

«Ach, ty obżartuchu! Całą owcę! Ale pobiegnijmy najpierw w zawody. Jeżeli zwyciężysz, dostaniesz owoc, jeśli nie — to bryła złota będzie moja».

Olbrzym spoglądał na chłopca, jak pies na mrówkę, chodzącą między jego łapami. «Jakiż to chrząszczyk!» — myślał zdumiony. — I nasby to chyba zdziwiło, gdybyśmy, leżąc na trawie, usłyszeli śmiało do nas przemawiającego — zielonego chrząszczyka.

«No dobrze, biegajmy o zakład», powiedział olbrzym.

«Ale gdzieżtam! Czy to mi się chce biegać w zawody z takim kolosem, jak ty! Tam za krzakiem młodszy mój brat odprawia drzemkę poobiednią, on mnie zastąpi».

Chłopiec gwizdnął. Z krzaku wyskoczył zajaczek, i olbrzym nie zdążył jeszcze się ruszyć, gdy zajac już był daleko.

Wówczas olbrzym, podniósłszy z ziemi kamień, zgniół go na placek.

«No, a to potrafiysz?»

«To dla mnie głupstwo. Ale czy umiesz tak ścisnąć kamień, żeby z niego woda pociekła?»

I chłopiec wyjął z torby pastuszej kawał sera i ścisnął go tak mocno, że aż mu woda kapiała z pod palców.

Olbrzymą wprawiło to w najwyższe zdumienie.

«Ach, co z ciebie za słabizna! Masz tylko duże kości», śmiał się chłopiec. «Jeszcze raz spróbuję się z tobą, a potem idź z Bogiem».

Olbrzym wziął gniewnie kamień i rzucił go w powietrze. Z przechylonemi wtył głowami patrzyli obaj, jak kamień zginął w niebie. Dopiero po długim czasie spadł on zpowrotem na ziemię.

Ale chłopiec wyjął z zanadru ukrytego tam ptaszka i puścił go na wolność. «Widzisz, rzuciłem kamień wprost na tamten świat. Nigdy go już nie zobaczysz» — tak się przechwalał.

Olbrzym czekał na to, by «kamień» chłopca spadł zpowrotem na ziemię, aż szyja mu zdrętwiała z tego patrzenia. Czekał napróżno.

Przegrał zakład.

Oddał chłopcu bryłę złota i poszedł dalej. Szedł szybkim i mocnym krokiem, zostawiając w ziemi głębokie ślady. Biedny olbrzym był całkiem odurzony, a strach chodził za nim krok w krok. Zataczał wielki luk, gdy widział oracza za pługiem lub pasterza przy trzodzie. Te chrząszcze miały siłę zdumiewającą. Taki pędrak zabrał mu bryłę złota i pobił go z kretelem. Podobny był teraz do ogromnego drzewa bez rdzenia i nie mógł już ufać ani rękóm swym, ani nogom. Szedł, nie wiedząc, dokąd go własne kroki zaprowadzą — gdyby tylko znowu gdzieś nie wyszedł z ziemi taki chrząszczyk, aby uwikłać go w nowy zakład. Zdartoby mu jeszcze trzy pasy z pleców, a gdzieżby wtedy mógł się pokazać!...

Skończyły się lasy i wzgórza — przed olbrzymem leżała kwitnąca równina kur-

landzka. Niebo było tutaj tak jasne, a ziemia tak rozległa, że aż nogi chwiać mu się zaczęły, a cień jego tańczył pociesznie na czerwonych kwiatkach koniczyny, gęsto rosnącej na urodzajnej glebie. Niby fale, kołysały się obok siebie czerwone i zielone kwiaty i liście.

Olbrzym nie wiedział już, co począć z wielkimi swemi rękoma. Były tak silne i potężne, stworzone do wielkiej i ciężkiej pracy, a tutaj wszystko jest tak łatwe i jasne, że niema miejsca dla niego. Mógł tylko wtedy żyć, gdy miał co dźwigać. Bo tacy już są oni — olbrzymy. Jak inny nie może unieść ciężaru, tak olbrzym nie mógł nieść nic lekkiego. Rzucił się na pole z kwitnącą koniczyną i wyciągnął niezgrabne swoje ręce i nogi, podobny do upiornego straszdyła. Słodki zapach miodowy nappełniał mu nos i usta. Zębami gryzł ziemię i płakał, ale kwitnąca ziemia śmiała się z jego gniewu i rozlewała woń swą wokóło.

Gniewny i markotny, podniósł się olbrzym i pociągnął, jak chmura, ku zachodowi, gdzie na widnokręgu leżały dąbrowy ciemnobłękitne. Stare, stuletnie dęby wyciągały tutaj potężne swe konary. A gdy znalazł się w lesie, czuł się jakby wśród mężów, gdyż dęby były równego mu wzrostu. Zły i rozjątrzony, zgrzytał zębami i parsknął, że aż liście spadały z gałęzi. Potem rzucił się na dęby, wyrwał je wraz z korzeniami i ciskał w powietrze. Najgrubsze drzewa chwycił w pól. Borykał się z nimi, jakby z ludźmi, i był rad, że mu się przeciwstawiała jakaś prawdziwa siła. Albowiem w dziecięcej jego duszy zrodziło się już przecucie ludzkiego fałszu. Tak to szalał on czas jakiś, aż wokół niego legło, niby morze, zielone karczowisko, gdzie z ponad potłamanych gałęzi i wyrwanych korzeni z krzykiem uciekały wystraszone ptaki i zwierzęta. I oto poczuł się znów zmęczony a szczęśliwy i ruszył naprzód, zadowolony z siebie.

Lecz z nadejściem wieczora, gdy z dworskich kominów wznosiły się słupy dymu, olbrzym znów posmutniał. Zateśknił do głębokiego mroku wnętrza ziemi, słyszał, jak skroś ten mrok dźwięczały kowadła karłów i sapały miechy, i widział, jak dym owija brody i twarze pocziwych karzelków, co w sinych i czerwonych płomieniach roztopiali srebro i złoto. Przez noc całą nie dawały mu spokoju te obłoki dymu, które mu się wydawały słodsze, niż wszelkie zapachy kwietne.

Jak długo jeszcze olbrzym wędrował po świecie, o tem najstarsi nawet ludzie nie opowiedzieć nie mogą. Ale któreż dziecko nie słyszało przecie o silaczu Wyrwidębie, który błąka się tu i tam, szukając pracy? Niejeden bór on wykarczował, wyracając z nadmiaru sił drzewa olbrzymie, niejedno pole pokrył on ziemią, wyrwawszy drzewa wraz z korzeniami. Ale czynił to z nudy, bo nie mógł znaleźć dla siebie miejsca odpowiedniego. Tak więc zbliżał się do kresu. Siły jego niknąć zaczęły. A gdy pewnego razu przybył na pustynną polanę, coś go pociągnęło nieprzeparcie ku ziemi, która tam pod piaskiem kryła w swem urodzajnem łonie przysze lasy i kwiaty. Położył się na ziemi i począł żarliwie sypać piasek na szyję swą i ramiona. I stał się dziw — ziemia zwróciła mu utracone siły. Im głębiej się zakopywał, tem stawał się silniejszy.

Koło wieczora nie było już widać olbrzyma. Wznosiła się tam jedynie góra, która, niby wielkie kretowisko, poruszała się i rosła. Powiększała się coraz bardziej, aż wkońcu stała się nieruchoma.

Niebawem na wierzchołku zaczęły kiełkować przyniesione tam przez wiatr nasiona. A po latach wyrósł las na górze. Ptaki siedziały na gałęziach i śpiewały, lisy wykopywały sobie ciepłe nory; a olbrzym leżał głęboko pod ziemią i znów słyszał, jak dźwięczały kowadła karłów i jak sapały miechy kowalskie. I było mu tak dobrze, że bał się oddychać, by nie poruszać jaj ptasich i nie przstraszyć parok miłosnych, siedzących tam na górze pod gęstymi drzewami. Olbrzym wstrzymywał oddech i słodką falą wzbierało szczęście w jego piersi. Na nim spoczywał cały ciężar góry.

Olbrzym miał znów coś do dźwigania, żył znów pełnem życiem i był szczęśliwy.

Lecz ani drzewa, ani kwiaty, ani ptaki nie wiedziały, że kołyszą się na grzbiecie olbrzyma. Leżał on bowiem tam nadole tak cichy i spokojny, jakim jedynie mogło go uczynić wielkie szczęście.

*Tłum. Alfred Tom.*

## EDVARDS VIRZA

(ur. 1883)

## ZIELONE BRZOZY

Tam, gdzie orał plug przed laty,  
 Kędy swój złocisty kłos  
 Chylił w słońcu łan bogaty,  
 Mrąc pod ostrzem lśniących kos,

Dzisiaj, skoro tylko z wiosną  
 Znikną lody, śniegi, mróz,  
 Pieśnią ufną i radosną  
 Szumi gaj zielonych brzóz.

Skryta w nim kukułka kuka,  
 Zapowiada rychły deszcz;  
 Zając tu schronienia szuka,  
 Tłumiąc w piersiach lęku dreszcz.

Szumią brzozy przy powiewie  
 Wiatru, niby fale mórz...  
 Błądząc w cieniu, człowiek nie wie,  
 Że tu rosły lany zbóż.

Lecz przechodzień, jeśli w ciszy  
 Na mchu leśnym spocznie rad,  
 Wtedy w błogim śnie usłyszy  
 Dźwięki plugów z dawnych lat.

Człowiek w pocie czoła orze,  
 Sieje, kosi — przejdzie czas  
 I tam, kędy rosło zboże,  
 Wstanie znowu bujny las.

*Tłum. Tadeusz Radoński.*

## W GODZINIE, KIEDYM ROZSTAŁ SIĘ ZE ŚWIATEM...

W godzinie, kiedym rozstał się ze światem,  
 Hen, na zamarych ruin zieloność,  
 Duch mój uleciał w lubą Kurzemę<sup>1</sup>  
 Między mogiły i w nieskończoność...

Nad mogiłami zawisł jak zwiastun,  
 Wonny, by kwiatów umarłych wiązka.  
 Nad własnym grobem kloni się drżący,  
 Jak nadłamana, zwiędła gałązka...

O, matko! Wówczas przyjdź ku mnie słodka,  
 Obejmij cień mój dłońmi dobremi,  
 Przytul do piersi, zabierz ze sobą,  
 Prowadź do domu, wiedz mnie ku ziemi!...

Życie to straszny sen bez przebudzeń,  
 Błądzenie pośród ścieżek omylnych!...  
 A potem przetwórz cichy, powolny  
 W wilgotny piasek dolów mogilnych...

## TYŚ PIESZCZOTLIWA, UŚMIECHNIONA...

Tyś pieszczotliwa, uśmiechniona,  
 Podobna fali pierwszej wiosny!  
 Choć mi otwierasz swe ramiona,  
 Jestem wciąż smutny i zazdrosny.

Bo kres przeczuwa serce moje...  
 Oczy twe żądne niespodzianki...  
 Pochwyć cię wiatru zwoje,  
 Jak puch odkwietny, w szal zachcianki...

<sup>1</sup> Kurlandję.



Chciałabyś rozwiać me zwątpienia,  
Lecz fałsz w twych słowach dziś już dźwięczy!...  
Ty nie wiesz!... — Krew ma w lód się zmienia  
Na myśl, co nęka mnie i męczy!...

Nienawiść zewsząd na nas czyha,  
Więc się kryjemy z swą żalobą...  
Ty — ziemia w mgłę upalnie cicha,  
Ja — krwawy wieczór ponad tobą...

#### W WIĘZIENIU

W więziennych lochach zarzuceni —  
Dzieli nas ostry krwawy drut...  
Po ścianach błędą widma cieni —  
Z okiennych krat słoneczny rzut...

W rano li, w wieczór, gdy dogasa,  
Czyli w południa skwarny czas —  
Tężym ramiona, rwąc żelaza,  
Które na wieki dzielą nas...

Przychodzi noc i mgły natrętne,  
A ona leży u mych krat —  
I wpija we mnie oczy błędne,  
Jak smagający, krwawy bat!...

Nad nami mary się obłoczą,  
Czyniąc tajemny losu krąg...  
Z oddali dusze się jednoczą,  
Ręce szukają drogich rąk...

*Tłum. J. W.*

*Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.*

Z PIEŚNI LUDOWYCH

(«DAJNOS»)

Leciał tędy kruk czarny,  
W dziobie białą niósł rękę,  
A na ręku pierścionek.  
A ja wołam do ptaka:  
«O ty, czarny mój kuku,  
Skąd-to białą masz rękę,  
Skąd ten złoty pierścionek?»  
— Byłem w polu wojennem,  
Gdzie widziałem bój srogi,

Gdzie płot grodzą z pałaszów,  
Groby kopią bagnetem,  
A krew płynie strumieniem.  
Wielu synów tam leży,  
Wielu ojców tam płacze...  
«Biada! mój to pierścionek!  
Już mój miły nie wróci!  
Płyńcie teraz, łzy moje».

Wiatry z wieczora łagodnie wieją,  
Lilje zwolna się chwieją,  
A tam od boru córkę kochaną  
Wiozą przez ciemne dąbrowy.  
Dalej, synowie, dalej, bratowie,  
W pogoń za siostrą porwaną!  
Tętnią podkowy, siostrę dognali,  
Dognali w zielonym lesie,  
A pobrzęk stali, tętent podkowy  
Echo zbudzone precz niesie.  
O, powróć z nami! niech się ukoi  
Matka, co płacze cię w chatce.

O, bracia moi! nie wrócę z wami,  
Lecz wianek odeślę matce.  
Siostrę zwiedziona, o, czarnobrewa!  
Gdzie twoje będzie posłanie?  
Oto zielona lipa powiewa,  
To nocne moje posłanie.  
Listki zwiędnięte, wiatrem strącone  
Będą poduszką pod głowę.  
Mnie się lipowe gałązki skłonią,  
To matki ręce nie będą;  
Jej kwiaty z wonią spadną na głowę,  
To matki słowa nie będą.

Siałam ja rutę w ogródku,  
Au kuku!  
I wianeczek witałam w smutku;  
Kwitną jagódki.  
Na moście powstała burza,  
Au kuku!  
w wodzie wianek się nurza;  
Kwitną jagódki.  
Wtedy trzech bracia bieżeli,  
Au kuku!  
Czyście wianka nie widzieli?  
Kwitną jagódki.

Jeden mówił: nie widziałem,  
Au kuku!  
Drugi mówił: nie zważałam,  
Jagódki kwitną.  
Dam jednemu pas jedwabny,  
Au kuku!  
Dam drugiemu wstążkę złotą,  
Jagódki kwitną.  
A trzeciemu to ja sama,  
Au kuku!  
Podam z palca pierścień złoty,  
Jagódki kwitną!

*Tłum. Kazimierz Brodziński.*

Posłali mnie do lasu,  
Do lasu za jagodami,  
Do lasu za czernicami.

Jagód ja nie zbierałam,  
Czernic ja nie szukałam,  
Weszłam ja na pagórek,

Na matczyną mogiłę,  
Gorzkimi łzy płakałam  
Za matką ukochaną.  
«Kto tam w górze po mnie płacze?  
Kto wszedł na moją mogiłę?»  
— Ja to, ja, matko kochana,  
Ja, opuszczona sierota.  
Kto mi włos mój rozczesze?

Kto mi twarz obmyje?  
Kto słodkie powie słowo?  
«Idź do domu, o córko!  
Tam tobie matka druga  
Rozczesze włos na głowie  
I twarz ci obmyje.  
Tam ci miły młodzieniec  
Słodkie powie słowa».

Nad morzem, nad przystanią  
Biała góra się wznosi.  
Na górze, na pagórku  
Stoi dąb zielony.  
Popłynąłem tam, biedny,  
Objąłem go rękoma.  
O, dębie mój kochany,  
Czy mi się w ojca nie zmienisz?  
Czy się zielone gałęzie  
W białe ręce nie zmieniają?

A zielone twe liście  
Na przyjazne słowa?  
A odszedłem stąd biedny,  
Płacząc łzy gorzkimi,  
Ro się dąb nie zmienił  
W ojca kochanego!  
Ni zielone gałęzie  
W białe ręce jego,  
Ni zielone liście  
Na przyjazne słowa.

Śpiesz, łódko, śpiesz  
Po szybkim Niemenku!  
Śpiesz do wzgórza tam,  
Gdzie zielony stoi dąb.  
Tam śpi w zielonym grobie  
Ojciec mój kochany,  
Poskarżę się ojcu memu,  
Jak mnie ojczym męczy.  
Dręczy mnie, biednego,  
I wypędza z domu.  
Śpiesz, łódko, śpiesz,  
Po szybkim Niemenku!  
Przystań w podwórku zielonem.  
W zielonem podwórku  
Dziewcząt ładnych troje:  
Jedna krosna rozstawia,  
Druga cienką nić przędzie,  
Trzecia szyje jedwabiem.  
Ta, co jedwabiem szyje,  
Moją lubą będzie.  
A jak mi jej nie dadzą,  
Umrę z żalu pewnie.

A gdzież mnie pochowacie,  
Gdy mnie żal umorzysz?  
Tu w liljowym ogródku  
Pod różanym krzakiem.  
Przyjdą młode dziewczęta  
Co niedziela rano  
Zrywać sobie kwiatki.  
Wijcie wianki, dziewczęta,  
Ile sobie chcecie.  
Tylko ot z tego krzaczka  
Róży nie zrywajcie.  
Przyjdzie młoda siostra  
W niedzielny poranek,  
Ona urwie pączek  
Z różanego krzaku.  
A! pięknie pachnie kwiatek,  
Milej róży pączek.  
Matka, płacząc, jej powie:  
Nie kwiatek to różany,  
Ale duch to młodzieńca,  
Który umarł z żalu.

Przyszedł meška<sup>1</sup>  
Z beczką alus<sup>2</sup>  
Wilczkowi  
Niebożęciu  
Sprawić wesele.  
Jeż jest družbą,  
Lis tam swatəm,  
A zajączek

Nieboraczek  
Musi ciągnąć wóz.  
Tehórz alus gotuje,  
Wróbel miesza sól,  
A kukawka  
Nieboraczka  
Chmiel do niego nosi.  
Byk drwa rąbie,

<sup>1</sup> Niedźwiedź.    <sup>2</sup> Piwo.

Pies myje garnki,  
 A maciuś  
 Niebożatko  
 Mięso w kupę zbiera.  
 Żóraw struny szczypał,  
 Niedźwiedź grał na dudzie.  
 A wilczek  
 Z wesołości  
 Kozę w taniec prosił:

Jeśli dobrej woli,  
 Potańcuję z kumą,  
 A będziesz się spierać  
 To rozszarpię ciebie.  
 Będzie z twojej skóry  
 Kozuch dla pastuszka,  
 Który mnie się strzeże  
 Na łące,  
 Na polu.

Wróbel warzył gościom piwo,  
 Dam, dam, dali dam,  
 Wróbelek piwo.  
 Prosił wszystkie ptaki w gości,  
 Dam, dam, dali dam,  
 Wszystkie ptaki.

Wróbel wiódł w taniec sowę,  
 Dam, dam, dali dam,  
 W taniec sowę.  
 Nastąpił wróbel sowie na palec,  
 Dam, dam, dali dam,  
 Sowie na palec.

Sowa do sądu, wróbel do plotu,  
 Dam, dam, dali dam,  
 Wróbel do plotu.

*Tłum. Józef Ignacy Kraszewski.*

## CHRYSTJAN DONALITIUS

(1714—1780)

### CZTERY PORY ROKU

(Wyjątek)

#### Z «Wiosny»

Już się słończeczko na nowo podniosło i świat przebudziło,  
 I niweczy z uśmiechem, co mroźna zima stworzyła;  
 Mrozów robota porówno z lodami znikać poczęła,  
 I pieniaący się śnieg nareszcie się wniwecz obrócił;  
 Mile i życiodajne wietrzyki łany muskają,  
 Z śmiertelnego uśpiania budzą ziółka przeróżne;  
 Knieje i wszystkie zarośla zbudzone znów się podnoszą,  
 Wzgórza i płaskie doliny zimowe składają kozuchy.  
 Wszystko, co w smutnej jesieni na śmierć się, płacząc, pokładło,  
 Wszystko, co się w jeziorze, pod lodem żyjąc, trzymało  
 Albo pod pniem swym przez zimę leżało uśpione,  
 Wszystko to gromadnie wychodzi, by wiosnę powitać.  
 Szczury zarówno z tchórzami rzucają zimowe swe nory,  
 Kruki a z nimi i wrony, jak niemniej sroki i sowy,  
 Myszki ze swemi młodem i kret nawet ciepło wychwala.  
 Muchy i różne owady, komary i pcheł cale chmary  
 Już nas męczą i trapią, hurmami wszędzie zebrane,  
 Równie na panów, jak na chłopów, by kąsać, chciwie wpadając.  
 Ale i pszczoł królowa czeladkę już swoją zbudziła,  
 Wszystkich do pracy wysyła i o zarobku pamięta.  
 Ot, te gromady ze szpar przeróżnych sobie wychodzą,  
 A furgając dokoła i brzęcząc, wesoło igrają.  
 Również pająki po kątach pracują nad swoją tkaniną,  
 Sieć ku łowom splatają, cichutko pnąc się do góry.  
 Lecz i niedźwiedź, i wilki ot podskakują radośnie  
 I, by coś sobie ułović, cichaczem w podlesie się czają.

Ale jakże to dziwnie, wszak żadne z wielkiej czeredy,  
 Płacząc ni wyrzekając, do nas nie przyszło.  
 Nie, nie z płaczem, lecz owszem, z radością się wszyscy zebrali,  
 Ziemi bowiem mozoły już pokończyły się wszędzie,  
 I po wszystkich łąkach wiosna na nowo zabłysła.  
 Bocian porówno z innemi sąsiady nadleciał wesoło  
 I na dachu, niby gospodarz, zaczął klekotać.  
 Kiedy on tak się raduje, patrz — oto już jego gospoia,  
 Ze zimowej wróciwszy gospody, przy nim się znalazła  
 I, klekocąc, czule miłego wita małżonka.  
 Ale stary swój dach zastają bardzo podarty,  
 Niemniej dom nowy, w zaprzeszłym roku zbudowan,  
 Ze wszech stron nad miarę poszarpanym znaleźli.  
 Szczyt i ściany, i bardzo wiele z żerdzi nowiutkich  
 Wiatry swemi skrzydłami precz z dachu były uniosły,  
 Drzwi i okna, i progi doreszty powypadały,  
 Zgoła całą budowlę zastali w stanie najgorszym.  
 Więc tedy oba, jak gospodarzom dobrym przystoi,  
 By sporządzić i wszystko naprawić, zabrali się żwawo.  
 Mąż na budowę co prędzej gałązki znosi naręczą,  
 A gospoia szkody starannie wszystkie naprawia.  
 Potem wespół oboje, po wielkiej pracy i znoju,  
 By sobie strawy poszukać, nad stawek szybko zlatują  
 I, po kilka żab i ropuszek sobie złowiwszy,  
 Bogu z serca całego pokorne dzięki składają.  
 Ty, człowiecze nicwarty, stąd naucz się przestać na swoim,  
 A nasyciwszy się smacznie, o Bogu swym nie zapomnij!  
 Wszystkie zarośla i krzewy brzmią pieśni różnych odgłosem,  
 Również pola i łąki gwar głosów ptasich napełnia.  
 Już kukułki i drozdy ochoczo wespół śpiewają,  
 Swemu Stwórcy na chwałę radosne hymny zawodząc;  
 Jaskółeczki lekkimi do góry się wznoszą skrzydełki  
 I, swawoląc, nibyto kule, nad ziemią migają;  
 Potem proste swe strawy bez wszelkich zjadają przypraw  
 I, nasyciwszy ciało, bajki sobie szczebiocą.  
 Żóraw aż pod niebo błękitne dziwnie się wznosi  
 I, niby płacząc i jęcząc, krzykami powietrze napełnia.

.....  
 Tłum. Juljusz Ossowski.

## SZYMON DOWKONT

(1793—1864)

### Z DZIEŁA «ZWYCZAJE STAROŻYTNYCH LITWINÓW»

Ani klimat, ani przestronne domy nie rozpieszczały mieszkańców litewskiej ziemi,  
 lecz, przeciwnie, orzeźwiały, krzepiły i hartowały im ducha, tak że cierpiąc biedę, Li-  
 twini nie pozostali bierni ani w domostwie, ani na roli, ani w lesie. Albowiem ani po-  
 wietrze surowe, ani zwierzęta drapieżne nie odstraszały ich od zakładania siedzib w le-  
 śnych gęstwinach, ani też krwawy trud im się nie uprzykrzył. I dzisiaj jeszcze dla do-  
 dania otuchy człowiekowi zafrasowanemu powiadają: «Gdzie się podziejiesz? — Żywcem  
 do ziemi nie wlejesz, dopóki żyjesz na świecie, trzeba znosić trudy».

Wszyscy Litwini byli średniego wzrostu, nietyle rośli, ile silni mężczyźni, o krę-  
 pych barkach. I dzisiaj jeszcze się mówi: «wiadomo mąż — jaki położony, taki posta-  
 wiony». Jak bowiem widzieli w lesie drzewa niskie i mocne, na wichury i burze  
 wytrzymałe, podobnie twierdzili, że i ludzie mniej rośli i drobni łatwiej mogą znosić

trudy i niepowodzenia, aniżeli słuszni i tędzy. Wszyscy byli nietyle dorodni, ile urodziwi, postawy prostej i składnej, wzrostu silnego, mowy śmiałej i zwięzłej, o oczach jasnoniebieskich i białej płci, twarzy więcej podługowatej niż okrągłej z rysami bardziej wyrazistymi niż wydatnymi. Mężczyźni do czterdziestu lat się golili poto, by później gęsta broda, zwichrzona wiatrem, sterczała na szczękach; włosy ciemne, od uszu zgarnięte, kędziory, na karku zwieszzone, wiatrem targane, rozwiewały się jak końska grzywa. Na głowach przedziały włosów wyglądały jak brzozy na roli, krzaczące wąsy jak kłaki sterczały z pod nosa, z których, gdy się piło lub jadło, jakby ze snopów ściekało.

Wygląd mieli odważny i ujmujący, na twarzy każdego widniała waleczność i cierpliwość, a miłość bliźniego gościła w każdym sercu. Postawa, krok śmiały i mowa wskazywały, że jest to naród wolny, a biada temu, kto niesłusznie kogokolwiek z nich ukrzywdził czynem lub słowem znieważył: ten na miejscu został ukarany, bo z drogi niegodziwcom nie ustępowali. Wszyscy znosili głód i chłód, mieli w poniewierce słotę i srogie mrozy, tak że się zwykle mówiło: «cierpliwy przecierpi». W mowie i postępowaniu przestrzegali prawdy, którą miłowali, bo, jak przysłowie ich mówi: «kłamca świat przejdzie, ale nie wróci» — albo inne: «łgarzowi nie wierzą, gdy później nawet i prawdę twierdzi».

W swoich zamiarach i uczynkach, gdy cokolwiek przedsięwzięli, nie ociągali się, nie mitrężyli, lecz spełniali i odrabiali wytrwale. To też w wykonaniu każdego czynu doznawali powodzenia, bo wszyscy pracowali dla swojej ziemi; w postępowaniu okazywali zapobiegliwość, w zamiarach wytrwałość, albowiem żaden nie chciał być poświadczonym o niesumienność; co rozpoczął, to i ukończył, każdy przestawał na tem, co sam spełnił lub zapracował, cudzego nie żądał, pamiętając, że «nie wiek słońca każdy żyć będzie».

W sprawach gospodarstwa pomiędzy wszystkimi panowały zgoda i ufność, każdy wspierał bliźniego w potrzebie i ratował w upadku. Zbytków i długów nie znali, bo wszystkiego mieli poddostatkim, i obcych wymysłów nie pożąдали. W ubraniu i jedzeniu byli umiarkowani, a wybrednego uważali za niedołągę. W cierpieniach wykazywali cierpliwość i nieugiętość, w nadziei nie gnuśnieli, w ostatniej chwili nie rozpaczali, grożącego nie obawiali się, w szczęściu nie chełpili się. To też na wojnie waleczność, w pożyciu domowym uczciwość, prawość i gościnność kwitły między nimi wiekami, chociaż drzwi ich domu skrzypiały na drewnianych zawiasach. Nie pochodzenie, nie dostatek, lecz przedewszystkiem roztropność i moralność, wszystkim znane, każdego wynosiły na zwierzchnictwo, bo wszyscy byli sobie równi, a więc, kto waleczniejszy w boju, ten i starszy, kto uczciwszy i mędrszy, ten zasiadał jako sędzia.

Tłum. *Juljanna Kajruksztisowa*<sup>1</sup>.

## ANTONI BARANOWSKI

(1835—1902)

### Z POEMATU «BOREK ONIKSZTAŃSKI»

Las nietylko dźwiękami czaruje i wonią,  
 Kiedy huczy wesoło i rozgłośnie dzwoni...  
 O północy — tak cicho, że słyszysz, jak wzbiera  
 Liść młody lub pąkowie kwiatem się otwiera,  
 Jak szemrze drzew gałęźmi lasu święta mowa,  
 Jak lśnią gwiazdy i spada rosa brylantowa:  
 Więc i w sercu, co ziemskie, gaśnie ci już w ciszy,  
 Duch w modlitwie ulata i spokojem dyszy;  
 A gdy jutrznia rozbrzaskiem już ranek zasili  
 I kwiat, brzemienno rosą, główkę swą pochyli,  
 Natenczas bór się budzi, co był w ciszę wklęty,

<sup>1</sup> Tegoż pióra są dalsze przekłady tekstów litewskich, o ile nie podano tłumacza.

Praca się rozpoczyna — trud dnia zbożny, święty.  
 I cóż tam tak szeleści? To liść załopotał  
 I w gniazdku obudzony ptak się zatrzepotał.  
 Co tam trzaśło? Wilk może w obawie świtania,  
 Skradając się, z nocnego wraca polowania.  
 Tam znów w zębach do nory lis gąsiątko niesie,  
 I borsuk co najdalej z swej kryjówki rwie się,  
 Tam sarenka w podskokach mignęła z pagórka,  
 Tutaj z sosny na sosnę wciąż skacze wiewiórka,  
 Tam zoczysz, jak łasica i kuna śmigają,  
 Jak przeróżne zwierzątka po lesie hulają.  
 Kto tam stuka? To dzięcioł kuje korę drzewa.  
 Kto się jąka? To bekas, jęcząc, się odzywa.  
 A kto syczy? Patrz! Zoczysz i gadziny skręty,  
 Tam znów szemrzą i szumią fale rzeki Świętej.  
 Kto tam gada? To gęsi gęgają ochoczo,  
 To bociany w podlesiu na gnieździe klekocą;  
 Tam znów kaczki: pry, pry, pry! przyleciały z trzciny,  
 Tam dudek pyta żonkę, pyta swoje syny:  
 Co, co mamy wam przynieść? Jakie to przysmaki?  
 Co, co?... Co, co?... Czy ziarna, muchy, czy ślimaki?  
 Tam widzisz, jak kukulka spogląda, trzepocze,  
 To, kukając, zapłacze, to znów zachichocze.

Dzwoni las... wciąż las dzwoni... Wilga głosem drżącym  
 Przedrzeźnia: «Ewo, Ewo, nie paś-że po łące!»  
 Tam nad rzeką: ri-u! ri-u! ri-u! kulik się odzywa.  
 I rozmaitych głosów sypie się ulewa,  
 Coraz to inne sprawy i inne głosiki:  
 Szczygły, gile i drozdy, pliszki i czyżyki,  
 Sójki, sroki i inne swoją pieśń śpiewają,  
 To się śmieją, to jęczą, to fraszki gadają.  
 Ale głos tam słowika — ten najwydatniejszy,  
 Silny, rzewny i tkliwy, pełny, najwdzięczniejszy —  
 Dzwoni, huczy, przelewa, co chwila się zmienia,  
 Wnika w duszę, jak dajny<sup>1</sup> litewskiej nam pienia.

## ŽEMAITĖ (JULJA ŽYMONTOWA)

(1845—1921)

### Z «JANA WINGISA»

Na podwórku Wingisów błoto obeschło, ścieżka do świrna i do progu izby usypana żółtym piaskiem; kosze jeszcze w piasku porzucone pod płotem. Dach na chacie mocno porośnięty, gdzie nigdzie widać zeszłoroczną trawę; mech sterczy na dachu, jak bochny chleba; cały dach wygląda, jak grzęzawisko. Sam wierzch dachu pośrodku głęboko zakłął się, jak grzbiet koński, w środku wystaje gardło z desek, w postaci komina, pochylonego na jeden bok. Wyglądało tak, jakgdyby izba ruszała głową, dziwiąc się nigdy niewidzianym posypanym piaskiem ścieżkom. Ściany pochyliły się i zapadły pod ciężarem dachu. Róg dachu już oparł się o ziemię, jakgdyby podtrzymał koniec izby, żeby okna całkiem nie zagrzęzły. Wejście krzywe, wskutek czego drzwi zawsze stoją otworem. Pośrodku sieni wysoko white poprzeczne pale, odymione i świecące, na nich zawieszono dwa haki, nadole zmieciono popiół i zasypiano ogień.

<sup>1</sup> Dajna — litewska pieśń ludowa.

Naczynia poustawiane w kącie; podłoga trochę wysuszona. W izbie również więcej porządku: łóżko zasłane, okna niedawno wymyte i jeszcze wilgotne, a gdzie brak szyb, zaciągnięto błony i upięksono gałazkami ruty; koło pieca i ogniska zamieciono. W izbie ciepło; w piecu niedawno palono, ale żadnych zapachów nie czuć.

Katarzyna, w koszuli, z gołą głową, bosa, magluje na stole bieliznę; gniewna, wściekła, z rumieńcem na twarzy, trochę czerwona od wiatru, a więcej ze złości, czarne jej oczy błyszczą gniewem, miotają iskry, a pralniki szybko latają w rękach. Ojciec stał w izbie blisko drzwi, matka przy ognisku. Jan leżał na ławie przy piecu; ławka za krótka dla niego, więc nogi zgiął w kolanach i oparł o ścianę; głowa w drugim końcu ławki wystaje, zadarta do góry, w zębach fajka, którą smokcze.

Katarzyna mówiła wyraźnie trochę drżącym, ale doniosłym głosem:

— O żadne wygody nie proszę. Nie jestem przyzwyczajona żyć po szańsku i nie chcę... u moich rodziców psy i świnię lepiej się żywią. Śmietana oto pełna robaków; kto to jeść może!? Mięso jak rzemień... ani kawałka ciasta niema na święta! Czy wam nie wstyd? Nawet dziady na święta lepiej mają, niż wy!

Matce już widocznie zabrakło słów, więc wciąż to samo wykrzykiwała, wymachując rękoma:

— Gaduła! gaduła! leniuch! czarnuszka!

Ojciec syczał złowrogo:

— Ma u c z i, zaraz dostaniesz w zęby! Jak ja każę, tak ma być!

Jan dodał grubjańsko, spluwając:

— Tak, tak, a jakże! Wrzeszczcie. Kto tu was się boi?

Katarzyna wciąż maglowała, tak mocno stukając o stół, że aż szyby w oknach brzęczały, i bez przerwy wołała:

— Czy mnie z chlewu tu przywieźliście? Czy ja wam się napraszałam? Roboty się nie boję, a tem bardziej waszego języka!... Wolno mi pracować albo nic nie robić; swemi pieniędzmi spłaciłam wasze długi, a teraz przez wasze skąpstwo nie mam co jeść! wstyd ludziom powiedzieć. Przez całą zimę, jak niewolnica jaka, sama jedna pracuję, sama bydlą doglądam, a wy tylko zęby na mnie wyszczerzacie i warczycie, jak te psy. Bodaj was licho porwało!

Tak wygadywała Katarzyna głosem podniesionym, a pralnikami tak zawzięcie walała, że aż stół trzeszczał. Dlatego to rodzice zdaleka stali. Ojciec tak się darł, że aż ochrypl, a przekrzykując Katarzyny w żaden sposób nie mógł. Rżnie i rżnie rodzicom słowa prawdy i do większej jeszcze pobudza ich złości. Ojciec, zgrzytając zębami z gniewu, wyleciał na podwórze, trzasnął drzwiami, aż ściany się zatrzęsły, a matka za nim, piszcząc:

— Przyprawdź mężczyzn, idź do wsi! Widzisz, że niema innej rady, trzeba ją s l i e d o w a t i e l o w i oddać, żeby taką panią nauczyć.

— Gadasz jak głupia! Naco mnie mężczyźni? Ja sam poradzę; byłbym i teraz schwycił ztyłu za włosy, żeby nie te pralniki; Panie Boże uchwaj, jeszcze łeb rozwalić może! No, na drugi raz ja jej pokażę! Jak ja każę, tak ma być! — Poszedł, groźnie wymachując zaciśniętymi pięściami.

Nogi i ręce Katarzyny trzęsły się, serce gwałtownie biło, twarz pałała. Gdy rodzice wyszli, oparła się o stół, wytarła fartuchem czoło i oczy i westchnęła głęboko, głęboko. Potem odwróciła się, spojrziała na męża i znów łzy popłynęły.

Jan zasnął, fajka wypadła, ślina z ust ciekła.

— To mój wymarzony mąż, wybrany przez ojca; takiej to miłości pragnęło moje serce! — Iżej już teraz maglując, myślała Katarzyna — tak to spełniają się słowa ojczulka: «młody jeszcze, pokocha i będzie ciebie słuchał»... Gdybym to jemu pokazać mogła!... Co więcej warte miłości: piec czy ten człowiek? Matulu, moja matulu! w jakież ręce mnie oddałaś!? Ojczulku mój drogi! w czym ja ci tak zawiniłam, żeś mnie w takie piekło wepchnął? lepiej mię było dzieckiem umorzyć!... Wydaliście mnie za mąż, obdarowaliście, a jakie moje szczęście? Codzień nożami serce mi krają, codzień goryczą poją. Serce pęka, w głowie się kręci, nikt nie utuli, nikt nie pożałuje!... Łzy, wielkie jak groch, płynęły po twarzy Katarzyny. — Bolało moje serce, oj, bolało! czuło



ono, tylko nie mówiło, co usłyszę, co wycierpieć będę musiała! Matulu moja kochana serdecznie wmawiałaś we mnie: rodzicom dogadzać, słuchać, być grzeczną i pokorną, męża kochać. Przynależałam, a jak to spełniam? Boże drogi! nie mogę, w żaden sposób nie mogę, brak cierpliwości. Do czego ja podobna? zlekliby się Użkulniszkisowie, gdyby teraz mnie ujrzeli. Nie moja wina, nie moja! oni sami doprowadzili mnie do tego. Co tu robić, jak tu wytrzymać! Dopiero pół roku przeszło, a zdaje się cała wieczność!...

*Tłum. Kazimierz Puida.*

## ŁAZDYNU PELÉDA (ZOFJA PRZYBYŁOWSKA)

(1867—1926)

### DEWOTKA

Przed laty żyła na świecie dziewczyna. Doczekała się w stanie panieńskim latek Jezusowych i doszła do smutnego przeświadczenia, że nikt nie czyha na jej wianek, wskutek czego postanowiła ofiarować go Panu Bogu. Rozpoczęła więc bardzo bogobojne życie i strzegła się nawet myśli niewłaściwych i złych.

Pokoik jej przypominał bardzo kościół lub kaplicę, cały bowiem jaśniał od wizerunków świętych, cały pachniał święconymi ziołami. Na niewinnem dziewiczym swem ciele, wysuszonym postami i modłami, nosiła tyle przeróżnych krzyżów, różańców, szkaplerzy i innych widomych znaków miłości Boga, ile tylko udźwignąć mogła.

I co rok rosła liczba owych znaków widomych świętobliwości życia dziewicy, i co rok bardziej nikła w jej sercu miłość bliźniego.

Świat cały uznała za wstrętny i gorszący, musiała więc zupełnie się od niego odgrodzić murem świętości. Mimo to jednak nie przestawała się zajmować swymi bliźnimi i cierpieć za nich.

Pewnego razu świętobliwa ta niewiasta zapalała ogniem świętego oburzenia na coś gorszącego; żółć się we wnętrzu rozlała i powaliła dewotkę na łożo cierpień. Wieść o jej chorobie błyskawicznie obleciała okolice i wkrótce do łoża ściągnęła całe tłumy bab, spragnionych widoku «dobrej śmierci». Zgromadzone niewiasty śpiewały święte pieśni przy zapalanej gromnicy, tęsknie wyczekując rozstania się jasnej duszy z ciałem.

O północy, gdy wybiła godzina dwunasta, straszny hałas w kominie przeraził wszystkich; po chwili oczom trupio-błędnych bab ukazał się na rozżarzonych węglach — spadły z komina djabeł we własnej skórze. Zamarły na ustach bab słowa świętych psalmów, i zanim odważniejsze wzięły się do kropienia kusego święconą wodą, ten rzucił się, jak jastrząb na kurczę, na chorą dziewicę, wycisnął z niej duszę i z przeraźliwym rżeniem wyleciał tą samą drogą.

Gorzko się jednak kusy zawiódł: sądził, że tak lekko zanieśie duszę dziewicy do piekła, jak wilk jagnię do lasu. — O, nie, biedaku, poczekaj!

Zaledwie się wymknął przez komin, dewotka wpakowała się na grzbiet djabli i, rozsiadłszy się na nim wygodnie, tak jak zwykła była rozsiadać się na chórze kościelnym obok organisty, rozpoczęła swym cienkim, piskliwym głosikiem śpiewać «Salve Regina». «Żebyś ty zmarniała!» — mruknął z niechęcią czart, słowa bowiem pieśni niebardzo mu lgnęły do serca. Po chwili zaś zauważył: «Brzydki masz głos, przestań już wyć!» — Dewotka jednak, nie zważając na brzydkie uwagi, ciągnęła dalej swą pieśń cięszym jeszcze głosem. Djabeł już nie mógł wytrzymać i wrzasnął wściekle: «Stul, babo, pysk! bo jak cię trzasnę, to się tylko obliżesz!»

Lecz ona z większą jeszcze siłą piszczała, a krzyk jej rozlegał się już nietylko na ziemi, lecz maćcił spokój i w niebie. Czart zapienił się ze złości i już zamierzył się pięścią na swą ofiarę, gdy nagle poczuł palący ból między rogami i na karku; błyskawicznie sięgnął ręką i poczuł w garści rzecz wielce niemłą. Był to szkaplerz dewotki. A toć wszystkim wiadomo, że nic tak skutecznie nie zwalcza czarnej mocy, jak szkaplerz; boi się go nawet sam lucyfer, a cóż dopiero mówić o zwyczajnym, ordynarnym djable! Więc aczkolwiek wielce łasy bywał na duszyczki niewinnych dziewic, jednak teraz o wszystkim zapomniał: wstrząsnął się cały i, jak rozbrykany żredek, zrzucił z karku

niewygodny ciężar, w trzy węzły się skręcił i z oczyma nawierzch wylazłemi z prze-  
rażenia czmychnął do piekła.

Dusza zaś dewotki «klapnęła» na ziemię, wskutek jednak braku ciała — zupełnie  
nieszkodliwie. Usiadła sobie, poprawiła szatki niewinności i zaczęła się zastanawiać,  
co ma z sobą zrobić. «Zpowrotem wrócić do ciała jakoś nie wypada. Lecz dokąd?...  
Gdzie się podzieję?... Eł, poradzę sobie! Ruszę prosto do nieba — wszak rzetelnie na  
nie zasłużyłam!...» — Klasnęła w dłonie i zaczęła się wznosić wgórę; wkrótce natrafiła  
na szlak mleczny i pomknęła prościuteńko Drogą Mleczną, gdyż, na ziemi jeszcze bę-  
dąc, słyszała, że na końcu tej drogi są wrota do Królestwa niebieskiego. Trzy dni  
i trzy noce trwała ta podróż do nieba, zaledwie na czwarty dzień, już osłabiona i wy-  
czerpana, oparła się o ogrodzenie niebieskie. Sunęła opłotkami, próżno szukając jakiegoś  
otworu, by dostać się do nieba. — — —

Otworzyło się okienko, i wyjrzała z niego siwa głowa stróża niebieskiego. «Kto  
tam? Czego tu chcesz?» — zapytał święty Piotr, trochę skrzywiony. — «Jakto czego?  
Przyszedłam po zapłatę za bogobojne życie, w niewinności pędząc dni swoje, dręcząc  
ciało postami i modłami, chyba zasłużyłam na koronę niebieską?...» — — — Stary  
klucznik niebieski wcale się nie śpieszył z otwieraniem wrót. «Niema co się na-  
myślać!» — z niecierpliwością krzyknęła dewotka, widząc wahanie świętego, «tak, tak,  
niema co zwlekać — trzeba wrota otworzyć!...» — «Tak, to tak, lecz...» — «Czegoż  
jeszcze brak?» — zapiszczała zupełnie już rozszuszczona, «zdaje się, kochałam Boga?...» —  
«A bliźniego swego?» — odparł święty Piotr — «czy cierpiącym, płaczącym otarłaś kiedy  
łzy?... Czy pocieszyłaś kiedy biedaka choć słowem nadziei?... Czy oświeciłaś błądzą-  
cych w mrokach?... Słowem, zapytuję ciebie: czy kochałaś bliźniego swego?...»

Dewotka milczała. Po długiej chwili namysłu wreszcie odrzekła: «Oni nie warci  
miłości! żadnego takiego nie było, jak ja!...»

W odpowiedzi na te słowa z trzaskiem zamknęło się okienko, zagrzmiąło, ude-  
rzył piorun, i dusza dewotki strącona została z wysokości niebieskich na ziemię i zgi-  
nęła w powietrzu: wiatry ją rozniosły i rozwiały po świecie... — — —

*Tłum. B. Szczęsny Herbaczewski.*

## MAIRONIS (KS. JAN MAĆIULIS)

(ur. 1862)

### JURATA I KASTITIS

(Legenda bałtycka)

Wieczór. Słońce już zachodzi...

Hej! Kastitis, śpiesz do domu,

Matka czeka, smutna chodzi,

Że pracować niema komu.

Uspokoić się nie może

I spoziera wciąż na morze.

Hej! Kastitis!

Zachód gorze. —

Widać zdobycz nęci ciebie,

Że ci czas tak prędko leci,

Mysł twa buja jakby w niebie,

Gdy na rybki rzucasz sieci.

Fala cicho śpi leniwa...

Drży na niebie gwiazd poświata...

Z morskiej toni któż wypływa?

Achl to boska jest Jurata...

Biała, jak wód morskich piana,

Wodorostem opasana.

«Ej! Kastitis!» —

Tak zawoła —

«Poco ty mnie rybki nęcisz,

Wód królestwo moje męcisz?

Władza moja niepodzielna —

Jam Jurata nieśmiertelna!»

Kastitisa strach nie ima:

Ogniem jego oko błyska,

Siłą, męstwem pierś się wzdyma,

Cała postać mocą tryska,

Tylko zachwyt w sercu czuje,

Prosto ku niej łódź kieruje...

Perkun, który włada światy,

Pierś swą gniewem złym rozżarzył,

Boską czystość że Juraty

Syn człowieczy tknąć się ważył,

Skry piorunne rzucił, grzmoty,

Strzaskał cud bursztynów złoty...

Za te winy  
 Ziemi syna  
 Falom kazał umiłować —  
 I w Połudze, gdzie sośniaki,  
 Żółty piasek kryją krzaki,  
 Aż do śmierci zacałować...  
 Posłuchajcie wieczorami,  
 Jak się burzą mórz głębiny,  
 Gdy z odmętów, jak garściami,  
 Wyrzucają nam bursztyny,  
 Przytem słyhać jęk, rozpacze,  
 Ktoś zawodzi i ktoś płacze.  
 Wiesz, kto jęczy,  
 Łzy wylewa?  
 To Jurata nieszczęśliwa,  
 Swoją miłość przypomina...

O! pałace, co z bursztynów,  
 Nie dla ziemi nędznych synów.  
 — — — — —  
 Litwinka, gdy nad morzem błądzi,  
 Dar jej niosą mórz głębiny,  
 Czyjeś serce znajdzie, sądzi,  
 Gdy ustroi się w bursztyny.  
 A więc je na szyi nosi,  
 Śpiew żaloszny, smutny głosi.  
 Choć i milczy —  
 Kochać umie  
 I Juraty ból rozumie,  
 Bo jej pierś, jak morskie tonie,  
 Jak otchłannych wód głębiny:  
 Śpią tam skarby nieprzebrane,  
 Tak jak w morzu śpią bursztyny

### VAIŽGANTAS (KS. JÓZEF TUMAS)

(ur. 1867)

#### MATECZKA

(Z «Przebtysków»)

Mateczka była zupełnie inna niż ojczulek. Los jakby umyślnie połączył te dwie istoty, ażeby dopełniały jedna drugą.

Ojczulek był małowimny, mateczki przeznaczeniem było wygadać się za obydwójce, Widziała ją milczącą — kiedy spała. Nie... i wtedy sen jej był niespokojny, bo ustawicznie kaszlała. Zaledwie się obudziła, już cały dom był jej pełen: budziła drugich, wysyłała każdego do roboty, którą ojczulek jeszcze z wieczora spokojnie naznaczył, nawoływała do pośpiechu, gniewała się, że jej nie słuchają, skarżyła się, jak ciężko żyć ze zbyt powolnym mężem; głośno wyliczała, co zaraz i co później ma czynić; jeżeli kto w izbie był obecny, opowiadała o zdarzeniach minionych lat; jeżeli nikogo nie było, sama jedna nucila pobożne pieśni, najczęściej «Suplikacje», «Koronkę» albo «Padnijmy na twarz». Tak spędzała dzień cały. Gdy, będąc chora, musiała leżeć w łóżku, ustawicznie gadała, zrządziła albo się sprzeczała z którąkolwiek z domowniczek. Robotą, której ani na chwilę nie wypuszczała z rąk, nie przeszkadzała jej w rozmowie. Przeciwnie, im więcej robiła — tem więcej i głośniejsze gadała, mowa nadażała za robotą, jak trzask za kręcącym się kołem kołowrotka. Rozmawiając bez przerwy, wybiegała z izby, sporządzała dla nierogacizny jadło, dla cieląt picie, rozmawiając, biła masło, porządkowała mleko, mięso, kielbasy, kindziuchy<sup>1</sup>.

Większa część obfitej mowy mateczki była zwrócona do synka, a jeżeli dorośli porozchodzili się, to nawet i cała jej mowa była skierowana do niego. O ile tylko mógł ovladnąć pamięcią, znał całą kronikę krewnych i powinowatych ojczulka i mateczki, znał ich wszystkie nieszczęścia i radości, troski i kłopoty, uczucia i nadzieje.

I zaczął synek już od zarania życia mniemać, że wszystek porządek domowy mateczka jedynie podtrzymuje swoją mową. Jemu się zdawało, że gdyby ona przestała mówić, porządkować i wołać, to w tę samą godzinę wszystkoby runęło, rozpadło się i Bogu jednemu wiadomo, dokąd wszyscy zmuszeni byłiby powędrować. To też błagał Boga, aby mateczkę najtroskliwszą, najpracowitszą zachować raczył najdłuższe lata.

Poświęcenie się mateczki dla swego domu, dla swych dzieci, jej ustawiczne troski, aby wszystkim co najmniej było dobrze, rzeczywiście były bez granic. A najmłodsze jej dziecko było prawdziwym męczennikiem jej miłości. Ze wszystkich ostatnie, dziejące z kolei, zdawało się jej, że jest dzieckiem nadzwyczajnym, niby zabawką staro-

<sup>1</sup> Kindziuch — wędzony żołądek wieprzowy, nadziany kawałkami solonego mięsa.

ści. Noszeniu na rękach, pieczętom nie było końca; dzieciak zmuszony był codzień wielokrotnie wystłuchiwać długiej litanji najpiękniejszych, najczulszych słówek. Czyżby mogła być gdziekolwiek na świecie jeszcze lepsza, jeszcze miłsza mateczka niż jego?

Modliła się mateczka tak samo gorąco, jak żarliwie gospodarowała i zarządzała domem; często nagłos płakała, korząc się przed Opatrznością Boską. Wieczorami dziękowała Bogu za wszystkie laski, w ciągu dnia doznane, padała krzyżem na ziemię, obejmując ją jak żywą, miłościwie całując i wszystkie słowa prosto kierując ku tej ziemi: «Czarna ziemi, święta ziemi! ja ciebie kornie całuję, ty mnie karmisz, ty dajesz wesele». Taki to był początek jej każdej wieczornej modlitwy.

We wszystkim widząc jak najwyraźniej zrządzenie Opatrzności Boskiej i palec Boży, nawet i siły przyrody mateczka uważała za część Boskości. Nie pozwalała o ziemi wyrzec złego słowa; zdawało się, iż cierpi, że na ziemi czasami potrzeba coś nieczystego popełnić. Nie pozwalała zalewać ognia inną wodą, jak tylko czystą, ze studni przyniesioną.

Ani w mowie, ani w robocie, ani modlitwie nie dopuszczając niedokładności, ustawicznie śpiesząc, biegając, frasując się, mateczka zdawała się być cała utworzoną jedynie z nerwów. Mały wzrost czynił ją jeszcze bardziej żwąwą. Ciemna twarz i bardzo ciemne włosy świadczyły o jej temperamencie.

Czy była ona piękna? Raczej — nie. Co najmniej pięćdziesięcioletnia, twarz miała zbyt pomarszczoną, nos nieco wklęsły, tak iż koniec jego zdawał się nieco grubszy, oczy przyćmione, ciało chude, pierś wyschłą — wszystko to nietyle ze starości, ile z umęczenia i braku zdrowia.

Mateczka codzień nosiła dosyć krótką wełnianą spódnicę, tkaną w kraty, taką samą bluzę, białą płócienną koszulę, tkaną z włóczki, o długich męskich rękawach i z zapinanym kołnierzem. Fartuch także wełniany. Nogi prawie zawsze bose, bo obutej, powiadała, ciężko biegać i przasć. Na szyi dużo różnych dewocjonaljów, z pomiędzy których zwieszał się wielki krzyż św. Dominika i nie mniejszy mosiężny z relikwjami męczenników świętych.

## VINCAS KRĖVĖ (MICKEVIČIUS)

(ur. 1884)

### KRAINA DAJNOWY

(Z «Podañ o Dajnowie»)

W naszej ojczyźnie jest wiele pięknych malowniczych miejscowości, sławnych czynami naszych ojców, lecz między nimi najpiękniejsza i najslynniejsza — to kraina Dajnowy, znana ze swych wysokich wzgórz i szerokich dolin, cienistych lasów i gęstw. Tamtędy ani człowiek nie przejdzie, ani zwierz nie przelezie, tylko małe ptaszki-świergotki przelecają, tylko kukułki jarzębate i słowiki, co wczesnym porankiem i późnym wieczorem śpiewają, ożywiając swoim świergotem posępność lasu.

Lecz głośniej od małych ptasząt i słowików śpiewają młode siostrzyce, wesołe dziewczęta krainy Dajnowy. I wczesnym porankiem, i późnym wieczorem dźwięczą ich dajny; dźwięczą i w ciemnych lasach, i na łąkach zielonych, gdzie siano grabią, i na polach szerokich, gdzie młode żną żytko, i w wiśniowym sadzie, gdzie tęsknią za młodym chłopcem.

O! bo dźwięczna dajna o wszystkim głośi, o wszystkim wspomina: i o jasnej wiosnie, i o mglistej jesieni, i o cierpieniach młodego chłopca, wyruszającego na wojnę, i o tęsknotach młodej dziewczyny, co pokochała niewiernego chłopca.

Dźwięczna dajna dziewczyny-lilijki wszystko pamięta, wszystko wyśpiewa, o wszystkim opowie: o wielkiej przeszłości, o sławnych czynach starych ojców i o powszednich biedach, które nękały ziemię litewską. Wszystkie te dajny są piękne i dźwięczne, i tklive, i nie nasłuchasz się ich dowoli, choćbyś słuchał dzień i noc całą.

## PUTINAS (KS. VINCAS MYKOLAITIS)

(ur. 1892)

## ZE ZŁOCONEJ RAMY...

Ze złoconej ramy smutnie  
Hrabia się uśmiecha,  
I rozbitych szkieł witraże  
Mgłami zmierzch zawleka.

Pałacowa sala pustką  
Smutna, jak świątynie,  
Kryjąc się w objęcia nocy,  
Tajemniczo ginie.

— — — — —  
Rozpościera czarne skrzydło  
Tu głucha martwica...  
Z złotej ramy się uśmiecha  
Hrabia tajemniczo...

Noc już... cisza... ani dźwięku...  
Tajemniczy mrok ponury,  
Tylko w oknach witrażowych  
W szklach rozbitych świecą dziury.

Tylko słyhać w tej ciemności  
Głodnej myszki gdzieś skrobanie.  
I ostrożne, i lękliwe  
Świerszcza nudne skądś cykanie.

Nie... nie wszystko śpi w pałacu  
W tajemniczej mroku toni —  
Patrzą czyjeś smutne oczy,  
Czyjś krok głucho, krótko dzwoni...

Jakieś echo szepcze zcicha:  
To ktoś płacze, ktoś się śmieje...  
Lecz tajemnic tych północy  
Któż zrozumie treść i dzieje?

Ze złoconej ramy smutnie  
Wciąż uśmiecha się twarz błada,  
I zdaleka jakieś echo,  
Przez rozbity witraż wpada.

I tchnie grozą w mrokach sali,  
Brzmień dwanaście się roznosi,  
I z ostatniem uderzeniem  
Kurz z obrazów się podnosi...

I wnet ożył stary hrabia,  
Ze złoconej ramy schodzi,  
I bezgłosy w księżycowych  
Blasków kroczy on powodzi.

— — — — —  
Hrabia idzie na podwórzec  
Po zepsutych schodach sieni,  
Przy kolumnie marmurowej  
W cichy posąg się zamieni.

Zastygł gmach w miesięcznym blasku —  
Jakby duża trumna biała,  
Co bogactwa całych wieków  
Kurzem, pleśnią pogrzebała.

Obszarpane z tynków ściany  
I kopuły się zwały,  
I w żałobie chyląc głowę,  
W głębie ziemi się zaryły.

Ni trawników, ni kwietników —  
Wokół wszędzie błoto szare,  
Pod resztkami oranżerji  
Szczątki palm uschnięte, stare...

W stawie, tam, gdzie kiedyś pływał  
Biały łabędź uroczyście,  
Z mułu sterczą gardła chimer,  
Co zatkały zgnite liście.

Szpaler drzew omszonych tuli  
W swych objęciach most bagniska,  
Rząd powojów tam się gwałtem  
Do zarostych alej wciska.

A tam dalej w pustem polu  
Mdłą poświatą wybielone  
Sterczą chatki nędzne, nagie,  
Jakby biedą zawstyżone.

Sterczą gołe te chatynki  
I jasnego dnia czekają...  
Na uparty księżyc wgorrze  
Wiecznie głodne psy szczekają.

Westchnął ciężko stary hrabia...  
Liście lipy zaszumiwały...  
Z opuszczoną siwą głową  
Wszedł w aleje chwiejny cały...

Jak bezdomny błędny tułacz,  
Przez złe losy osądzony,  
Długo włóczył się po parku  
On, ku ziemi pochylony.

Pierwsze złote ranku świty  
Już na chatkach się odbiły,  
Jeszcze w starym dworskim parku  
Widma nocy się włóczyły.

Cień to?... Mara?... i nie dojrzysz,  
Kto przy rzece klękł skulony?...  
Czyto lilja obejmuje  
Tam łoziny krzak zielony?...

W wielkiej sali pałacowej  
 Myszka skrobać znów próbuje,  
 Świerszczyk tylko w kącie cyka,  
 Pająk tylko sieci snuje...

Ze złoconej ramy smutnie  
 Stary hrabia się uśmiecha...  
 Na rozbite szkła witraży  
 Pająk pilnie sieć zawleka...

## KAZYS BINKIS

(ur. 1893)

## WIETRZNIK

Hej! zaprzęgnę wiatr ja chyży,  
 Wichr obejmę wiecznie młody —  
 Przez nadchmurne niebne szlaki  
 Z wiosną puszczyć się w zawody.

Hej! łabędzie!... z drogi... z drogi!

Hej! żółwie! drogę nam!...

Ponadchmurne niebne szlaki

Wszystkie znam!...

Miga wstęgą płaszcz mój z mgły,  
 Wichr szaleje wściekły, zły,

Gasną w strachu gwiazd mirjady,

Twarz swą chowa księżyc błądy.

Kto ode mnie zwabi wicher?

Wiatr okiełzać komu dam?

Wielką drogą ponadchmurną

Jeżdżę ja, i tylko sam!

Hejże, wiosno! Ty pozostań,

Łap swe żaby i ślimaki...

Hej! wy ptaki, bądźcie zdrowe!

Pozostawiam ziemię wam —

Ponadchmurne niebne szlaki

Jeden ja tu tylko znam!...

*Wybór tekstów i układ Wincentego Zajęzkowskiego.*

BÁLINT BALASSA

(1551—1594)

PIEŚŃ NA CHWAŁĘ RYCERZY KRESOWYCH

Cóż piękniejszego, rycerze,  
 Na ziemi tej, mówcie szczerze,  
 Niżeli służba kresowa?  
 Tam na kresach w ciepłą wiosnę  
 Śpiewają ptaki radosne,  
 A z niemi ciżba wioskowa.  
 Pole tam cudną ma woń,  
 Niebo srebrzy rosą błoń —  
 I wszystko czarem się snowa.  
 A gdy bojowy grzmi róg,  
 Że oto zbliża się wróg:  
 Duch się w rycerzach wnet pali.  
 Lecz nawet bez rogu wrzawy,  
 Dla rozkoszy, dla zabawy  
 Rycerz sam do boju wali!  
 Łamią wroga nasze miecze,  
 Choć nieraz i nam krew ciecze  
 Z ran — od twardej wroga stali.  
 Drżą chorągwiane szkartaty,  
 Dzwonią kopije, bułaty:  
 Serce uderza w junakach.  
 Szereg za szeregiem płynie,  
 Hen po dalekiej równinie  
 Pędzą na dzielnych rumakach,  
 W deljach, na lamparcich siodłach,  
 W lśniących hełmach, barwnych godłach,  
 Z pióropuszem na szyszakach.  
 Saraceńskie dzielne konie  
 Skaczą pod nimi przez błonie,  
 Skoro dźwięk trąby zazgrzyta.  
 Jeden rycerz trwa na straży —  
 Drugi z konia szsedł i marzy  
 We śnie, ległszy aż zaświta —  
 Tam, gdzie z losu bitwy mrok  
 Każe mu zatrzymać krok:  
 Wszyscy walczyli dosyta!  
 Ci zaś dla sławy, honoru —  
 Rzucą wszystkie błaski dworu,  
 Zaniechają wszystkich rzeczy.  
 Przykładem są dla ludzkości,  
 Prawdziwy wzór rycerskości

Dają wszystkim: któż zaprzeczy,  
 Gdy — niby lotne sokoły —  
 Mkną przez bojowe rozdoły  
 W grzmocie surm i szczęku mieczy?  
 Gdy ujrzą nieprzyjaciela,  
 Krzykiem pierś ich w niebo strzela —  
 Włóćni wzniesieniem się cieszą;  
 A im trudniejsza jest sprawa,  
 Tem miłsza dla nich zabawa —  
 Że i niewzewani śpieszą.  
 Strumień krwi nieraz się toczy,  
 Gdy tak walczą oczy w oczy  
 Z wrogów zaciekłych złą rzeszą.  
 Szerokich stepów przestwory  
 I ciemne zielone bory —  
 To ich wędrowne namioty.  
 Popasy na obcych drogach,  
 Ogniska w krwawych rozłogach:  
 To junakom szkoła cnoty.  
 W czasie bitwy ostre głody,  
 Znużenie, skwary, brak wody:  
 To ich zabawy, pustoty!  
 Szable ich ostre i dzielne  
 Lśnią jak pochodnie weselne,  
 Gdy ścinają wraży łeb;  
 A gdzie się toczył na łanach  
 Bój, tam dziś we krwi i w ranach —  
 W cmentarz zamienił się step.  
 Trupom wicher śpiewa szumny;  
 Sępów jelita — to trumny  
 Zmarłych, bo ptakom to lep.  
 Kresów obrońcy szlachetni,  
 Młodzi wojownicy świetni,  
 O, wici ty, chwały godna!  
 Wszystkim wam wśród ludzkich gminów  
 Cześć za męstwo waszych czynów —  
 Cześć zakwitnie niezawodna.  
 Niech na bitew waszych pola  
 Złota splywa dla was dola,  
 Którą dłoń Boga śle płodna!

*Tłum. Antoni Lange.*

## PIOTR PÁZMÁNY

(1570—1637)

## WYJĄTEK Z KAZANIA

...Bóg otacza nas troskliwością iście ojcowską, postępuje miłosiernie z nami, chce nam bowiem obrzydzić znikome dobra ziemskie, abyśmy przez te pokusy nie stracili szczęścia wiekuistego. Nie dopuszcza więc, abyśmy zanadto używali szczęścia doczesnego, ale miesza je nam z goryczą, by tym sposobem oddalić od nas pokusy. Prawdę bowiem pisze Seneka: «Gdybyśmy żyli tylko dla rozkoszy i nicby nam nie uprzytomniało naszego zepsucia, upijalibyśmy się szczęściem ziemskim».

Czy przypatrywaliście się kiedy, co czyni troskliwa matka z niemowlęciem — ukochanym swym dzieckiem? Uważa, że o ile karmi dziecko samym mlekiem i nie odżywia go stałymi pokarmami, to dziecko stanie się słabe, bezsilne, do energicznej pracy niezdolne i prędko zmarnieje. I dlatego też, pomimo iż dziecko lubi tylko słodkie mleko, by uczynić je zdrowym i by miało chęć do życia, używa takich pełnych miłości oszukaństw, iż piersi swoje smaruje gorzkim piołunem lub aloesem. I gdy dziecko weźmie je do ust, by ssać słodkie mleko, gorycz straszliwa je odzwyczaja rychło od ssania i zmuszone będzie nawykąć do pokarmów stałych, od których wciąż wzmacniać się będzie.

I Bóg nie chce, by jego dzieci wychowywały się w rozkoszach świata, znikome i słabe, gdyż nie jest to odpowiedni pokarm do pracy ku zdobyciu doskonałości duchowej — lecz je przyzwyczajają do twardych, siłę i moc dających pokarmów, aby potem na stare lata pożywiać się mogły niebiańską szczęśliwością, to jest: duchowemi, niebiańskimi i boskimi cnotami.

I dlatego to zaprawia nam Bóg to życie na ziemi gorzką żółcią, niedostatkiem, stratami; nędzą i wielu chorobami doświadcza i przez takie gorycze zapoznaje nas z dobrem doczesnym i obrzydza je nam.

W okresie niemowlęcym długo nie pozostajemy, a i na ziemi niedługo żyjemy: i trzeba nam iść do nieba. Dlatego też powinniśmy przyzwyczajać się do tego, czem się tam odżywiać będziemy, by móc rozkoszować się szczęściem wiecznym. Żłudne bowiem są dobra doczesne, jako przynęta na haczyku, na który łapie się wesołe rybki, i dopóki rybak nie szarpnie wędką, dobrze im jest, a później dopiero przychodzi rozczarowanie.

Mądrzy ojcowie, pomimo iż na psoty obcych dzieci patrzą z uśmiechem pobłażania i słuchają wesoło ich swawolnego szczebiotu, swoich własnych synów trzymają w karności i zwracają uwagę na ich błąd, choćby najmniejszy. I czy miałby raczej syn tak wychowany skarżyć się, iż jego ojciec mniej go kocha od najemnego? Więcej powiem: gdy jakiś ojciec odda w ręce marnotrawnego syna spadek i pozwoli mu, by swobodnie i wedle woli używał wszelakiego dobra, czy drugi syn ma prawo narzekać, że nie ma takiej swobody, a dobra jego pozostały pod opieką ojca?

W obozie podczas najstraszniejszej burzy żołnierz ranny z obwiązaną głową stoi na warcie i czuwa — on, bohaterski rycerz! — a trutnie pasibrzuchy odpoczywają wtedy, śpią spokojnie po miastach. Panowie radni trudzą się, pracują w pocie czoła, gdy tyczasem hulaki i oczajdusze piją po karczmach i bawią się rozpustnie...

Tłum. Z. Nanassy-Grużewska.

## MIKOŁAJ ZRINYI

(1620—1664)

Z «NIEBEZPIECZEŃSTWA SZIGETSKIEGO»  
(«Zrinyiady»)

Deli Vid nieraz walczył z bisurmany,  
Lecz go śmiertelne nie trafiaty rany.  
Śmierć niejednego wkoło w cień swój pędzi,  
Jego nie może znaleźć, mija, szcędzi.



Tak krąży między Turczynów tysiącem.  
Wielu go znało, wzdry jakimś rażącym  
Światłem źrenice Pan Bóg im zamroczył,  
Że obcy sądzą go oslepte oczy.

Lecz mu wyroczna też bije godzina.  
Ha, czy się przedza jego dni przecina?  
Chce teraz, pełen rycerskiej ochoty,  
Pomiędzy Turków dostać się namioty.

Taką drga żądzą to nieustraszone  
Serce. — Lecz Deli Vid ma piękną żonę.  
Rzadko się iście zdarzy tak niezmierna  
Piękność — a przytem niewiasta tak wierna.

Turczynką była z rodu. Vid przemocą  
Z tun bitwy porwał ją gdzieś kiedyś nocą.  
Haissą była za tureckiej wiary,  
A po chrzcie świętym imię ma Barbary.

O drogim mężu ciągle myśli trwoźnie,  
Łzami zalewa swej pościeli próżnię.  
Lecz duch rycerski jej serce rozpała:  
Niedługo w skargach i łzach się użala!

Wielka do męża tęskność ją rozpiera:  
Więc kruche ciało w twarde spiż ubiera;  
Toż miecz u boku przypasze mężowski,  
Zastoną główkę okrywa i włoski.

Ramię oparłszy na mocnym oszczepie,  
Dziarsko na tęgim zasiądzie parepie.  
Mknie w obóz. Szata na niej jest turecka,  
Mowę zaś Turków dobrze zna od dziecka.

Obiega wkoło. Czujny wzrok wyteżę  
I w każdym kącie szuka swego męża.  
Aż w innej stronie, opodal od środka,  
Maura-olbrzyma na koniu napotka.

Próżno koń cwałem chciałby nieść olbrzyma,  
Gdyż jego ciężar ledwo że wytrzyma.  
Widząc ten pośpiech, żona Deli Vida  
Myśli: Wybadać go może się przyda!

Rzeczę do niego: «Wstrzymaj klusy ręce —  
Dokąd i jaką wieść ty niesiesz, gończe?»  
«Nie chciej mię swoją ciekawością dręczyć.  
Cesarz mi pewnie zechce się odwdzięczyć,

Bowiem mu wielką nowinę przynoszę.  
Więc nie zatrzymuj mię na drodze, proszę».  
«Wierz mi, żałować ty nie będziesz. Dary  
Zyskasz, a żadnej nie lękaj się kary».

I zwolna wszystko rzeczę Maur zdradziecki:  
«Vid tu w pobliżu śpi w szacie tureckiej».  
Ledwie poganin imię Vida powie,  
Myśli w kobiecej zakotłują głowie.

Trwoźna, że Maur swoją wieść wygada,  
Rzuci się, w trzech go podskokach dopada,  
Oszczepem z siodła strąci go daleko,  
Głowę odrąbie, aż krew płynie rzeką —

I znowu skoczy na dzielnego konia.  
Lecz już ją ściga turecka pogonia,  
Słyszcy za sobą krzyk dziki i srogi.  
Ach, niedosć szybkie są jej konia nogi.

Jakiś potężny cios pogańskiej ręki  
Z konia na piasek ją obali miętki.  
«Kto jesteś?» — krzyczą do niej całą zgrają —  
«Czemu zabiłaś Maura?» — tak pytają.  
W jakimż ma biedna rzecz wyjaśnić słowie?  
«Jest z Alkairu — tak im wreszcie powie; —  
Ten Maur niegdyś brata mego zabił.  
Zemstę przysięgłam. Dziś mi los go zwabił».  
Szybko znalazła wśród tłumu obrońce,  
Wszystkich zwycięża jej piękności słońce.  
Ten mówi: Stusznie. Ów przed sędzię wzywa.  
Vid był w pobliżu zgielku. Z snu się zrywa.  
Na Karabula szybkobiega wsiada  
I wprost tam jedzie, gdzie wrzeszczy gromada.  
Gdy bliżej stanie, widzi: żona droga!  
Słysz: żałośnie skarży się nieboga.  
Mało mu serce od grozy nie pęknie,  
Lecz zdala woła już mądrze i pięknie:  
«Stójcie! niewolnik to mój, dzielne męże,  
Który mi konia ukradł i orężel!  
Szukam go wszędy w obozowym gwarze,  
Dajcie mi w ręce go — ja go ukarzę!»  
Tymczasem przybył na to jeden kady.  
«Dowody na to muszą być i zwiady.  
Niechaj przed sędzią zjawi się, człowiecze,  
A ten istotę twoich praw orzeczel!»  
Deli Vid krzyknie, gniewem zapalony:  
«Ha, psy pogańskie! cóż mi sąd wasz plony?  
W szabli me prawo. Jej niechaj świat słucha!»  
To rzekłszy, wali przez szyję Malkucha.  
Ginie Izmael, z nim razem Ahuba.  
Głowa każdego odpada z kadłuba.  
Piersią Abazy ulatuje dusza,  
Padł Jankul martwy i okiem nie rusza.  
Ale Ejuza jeszcze dłoń zuchwała  
Trzyma kobietę. Vid go tnie wpół ciała.  
Chwyta kochankę — sadza na deresza —  
Pościg rwie za nim — on jak wiatr pośpiesza.  
A jak na wodzie nie znać śladu ptaka,  
Jak miga w oku grot, rzucon z sajdaka, —  
Tak-ci Karabul przejdzie morskie fale,  
Kropki zaś na nim nie obaczysz cale.  
Gdy widzą Turcy, jak z piękną kobietą  
Rycerz galopem pędzi do Szigetetu,  
Poznali Vida. Ten — ów za nim gna,  
Ale im zniknął jako senna mgła.  
Radośnie przyjął rycerza w Szigecie  
Zrinyi, bo sądził go na tamtym świecie.  
Co zaś w obozie u Turków się czyni,  
Vid wszystko prawi — i słucha go Zrinyi.

*Tłum. Antoni Lange.*

## ALEKSANDER KISFALUDY

(1772—1844)

## Z «PIEŚNI HIMFYEGO»

## Nieszczęśliwa miłość

Jako jelenń chyży, rączy,  
 Ugodzony z strzelca ręki,  
 Chce uciekać — rana sący,  
 I nie widzi końca męki:  
 Tak ja przed nią uciec chciałem,  
 Gdy mnie ócz swych rani strzała,  
 Lecz już czarów jej doznałem,  
 Już ból szarpał pierś mą całą.  
 Chęć uciezki była szczerą,  
 Lecz żar pali, jad się wżera;  
 Biadaż tobie, serce chore,  
 Nie uniknąć mąk ci wporę!

Barwny ptaku! Zazdrość bierze,  
 Jak twój cudny śpiew zachwyca.  
 Bezrozumny! Nucisz szczerze,  
 I wtóruje ci samica.  
 W moich żyłach krew wiruje,  
 Gdy Amora moc opiewam,

Lecz tych pieśni nie odczuje  
 Nikt, choć myśl prócz uczucia wlewam!  
 W twym się śpiewie rozkosz mieści,  
 Gdy ja tylko znam boleści.  
 Chętnie dam ci, ptaku mały,  
 Za twe szczęście rozum cały!

Sarna pędzi przelekniona,  
 Gdy ją ruszą złe ogary,  
 I trwożliwie sunie ona,  
 Gdzie parowy i gdzie jary.  
 Przed Amorem skryć się siłę,  
 Lecz on dziki, ach! i srogi,  
 Nie chce puścić mnie na chwilę,  
 Wszystkie mi zabiera drogi!  
 Czyż ofiary swej nie zmienia?  
 On jak ryś jest, bez wytchnienia  
 Gryzie zdobycz nieszczęśliwą,  
 Gdy ją puści — to nieżywą!

## Szczęśliwa miłość

W inne barwy świat się zmienia,  
 Inny pieśni mojej wtór,  
 Inne losu są zrzádenia,  
 Gdyż me niebo jest bez chmur;  
 Inne życie dziś się snuje,  
 Obcy dla mnie trosk jest zgrzyt,  
 Siły bogów w sobie czuję,  
 Cenię teraz ziemski byt!  
 Nowy wokół świat rozslany,  
 Ach! bo kocham ja — kochany,  
 I czas inne ma godziny,  
 Gdym już posiadał skarb jedyny.

Wszystko teraz ku niej dąży,  
 Co myśl moją wprawia w ruch,  
 I krew w żyłach żwawiej krąży,  
 Ku niej wznosi się mój duch.  
 Myślę, jak i ona myśli,  
 Z czem jej dobrze, dobrze mnie,  
 Czy los szczęście nam zakreśli,  
 Czy nieszczęście na nas śle.  
 Więc czy radość pierś rozpiera,  
 Czy boleści czara wzbiera,  
 Wśród wywczasu i wśród znoju  
 Czerpię w sercu jej, jak w zdroju.

Tłum. M. D.

## FRANCISZEK KÖLCSEY

(1790—1838)

## PIEŚŃ ZRINYIEGO

Gdzie jest owa ojczyzna, w której krew Arpada,  
 Śród wiecznych bojów wrząc, zwycięsko mieczem włada?  
 A której imię taki żar miłości pali,  
 Że za błądzącym synem swym idzie w pogonie —  
 I nawet go przebudzi na Kalipsy łonie,  
 Aż-ci ku tobie ramię wyciąga z oddali.

Tu jest owa ojczyzna — inna niżli dawna.  
 Pustynią zda się teraz owa ziemia sławna —  
 Zardzewiał porzucony krwawy miecz zwycięski,  
 Ogień wielkiej miłości zgasł w duszy jej synów,  
 Zamarła w nich żądza bohaterskich czynów:  
 Serca zlodowaciały w jakiś sen niemęski.  
 Gdzie jest wzgórze, na którym stał gród niezdojbyty,  
 Którego szańców bronił Szondi znamienity,  
 Rozrzutnie ofiarując życie swe niezłomne:  
 Sława jego wciąż rośnie — rzekłbyś, w jego twarzy  
 Ogień wciąż potężniejszym płomieniem się żarzy  
 I rzuca swoje blaski na wieki potomne.  
 Tu jest wzgórze, gdzie dzisiaj jeno masz ruiny,  
 Gdzie pogrzebion bohater oraz jego czyny.  
 Zapomniany grób jego — popioły — i sława...  
 A wokół pokolenie nędzne — biada, biada!  
 Czasem, gdy widzi orle gniazdo swego dziada,  
 Zawrotu głowy jeno na ten zwid dostawa.  
 Gdzie ów naród, co niegdyś umiał krwią i potem  
 Wyorać bohaterstwa łup — i orlim lotem  
 Kroczyć w ślady praojców przez ciąg lat tysiąca?  
 A choć cierpiał, uparcie szedł w bój nieustanny!  
 Pięknie mu lśniła młodość, jak w zorzy porannej,  
 Młodość dzisiaj i wczoraj, i jutro kwitnąca.  
 Stój, wędrowcze! Ten naród dzisiaj — to bastardy.  
 Niemasz wymarłej rasy — niezwalczonej, hardej!  
 Słaba głowa, mdłe serce i bezsilne ręce —  
 Oto liche dzisiejsze pokolenie młode.  
 Naród, co krwią swą umiał zdobywać nagrodę,  
 Jest dziś jeno z imienia — i niemasz go więcej!

*Tłum. Antoni Lange.*

Z «HYMNU»

Ubłogosław, Panie nasz,  
 Pełnią łask Madziara,  
 Broń, gdy nieprzyjaciół złość  
 Zgubić go się stara!  
 Obdarz go za tyle klęsk  
 Jasnych dni promieniem —  
 Przyszłe szczęście spłacił już  
 Długich lat cierpieniem.

Ojców naszych w zmierzchły czas  
 Wiodłeś przez Karpaty,  
 I ojczyzną stał się nam  
 Wielki kraj bogaty.  
 Gdzie Dunaju, Cisy nurt  
 Toczy się błękitnie,  
 Wszędzie nad brzegami szczerp  
 Arpadowy kwitnie. — — —

*Tłum. Alfred Tom.*

KAROL KISFAIUDY

(1788—1830)

PERŁA

Jest jedna perła na ziemi —  
 Skarb wielki naszej istoty:  
 Barwami zdobi cudnemi  
 Ziemskiego szczęścia blask złoty.

W zwierciadle perły tej drżącym  
 Odbicie swe widzą dusze:  
 Ono radości nas słońcem  
 Darzy za wzięte katusze.

Lecz wśród salonów złożonych  
 Nie załśni perła ta rzewna:  
 W bogaczów sercach skażonych  
 Nie tkwi ta niebios królowna.

Ci tylko, którzy boleją,  
 Znają to słodkie zjawisko;  
 Tym, co się z uczuć nie śmieją,  
 Tęskliwa bladeść jej błyska.

Nieraz mym druhom, gdy cierpię,  
 Prawię cierpien swych powieści —  
 I łza mi z oka się czerpie...  
 Ach! w niej ta perła się mieści.

#### POSTANOWIENIE

Dokonaj, losie, twoich ciosów miary  
 I w życie moje wszystkie zlej trucizny,  
 Odbierz, czemś łudził, odbierz wszystkie mary  
 Z dni mej młodości, w sny złożone żywej.  
 Com tylko kochał, wszystko weź co prędzej,  
 Prowadź na nową, pełną cierni drogę,  
 Drogę najwyższej na tej ziemi nędzy —  
 Złam mię doreszty: więcej wziąć nie mogę!

Ja się nie lękam, że mi los co zdarzy,  
 Siłę mą tylko podnoszą katusze,  
 Niech nad mem sercem ciężki ból zaważy  
 I spotęguje moją słabą duszę.  
 Choć twoje ciągle krwawe uderzenia  
 Tak mi wydarły wszystko bezlitośnie,  
 Choć wszystko dotąd we łzy mi się zmienia:  
 Moc mego ducha przez tve ciosy rośnie.

Jedną kochałem precudną istotę,  
 W jej sercu wszystkie złożyłem nadzieje,  
 I nieraz duszy jej promienie złote  
 Niosły mnie w niebo, gdzie słońce jaśnieje.  
 Błogosławiona! w tę słodką godzinę  
 Tyś rozrywała moich cierpien pęta,  
 Wskazując w róże usłaną ścieżynę...  
 A dziś! usnęłaś, kosą śmierci ścięta.

I coż mi przyszłość dać, co mi wziąć może?  
 Ku jakiejż losy popchną mię krainie?  
 Z serca, dartego przez cierpienia noże,  
 Postanowienie, boży ogień płynie.  
 Od ciebie tylko czekam ja spokoju;  
 Gdy wszystko wicher mi porywa lotny.  
 Nie znam, choć lękam się żywota boju...  
 Cóż pocznę? pójdę w świat zawsze samotny!

*Thum. Antoni Lange.*

#### MICHAŁ VÖRÖSMARTY

(1800—1855)

#### Z «UCIECZKI ZALÁNA»

Chwała nasza pradawna, w jakim ukryłaś się mroku?  
 Przeminięły stulecia — i w głębi tej nocy zagasty  
 Błaski twe. Idziesz samotna. Mroczne obłoki nad tobą.  
 Zapomniana, zwiotczała, chwiejąc się, idziesz bez wieńca.  
 Gdzież ten, co ci wojennym śpiewem przywróciłby chobrá  
 Postać, w słowach potężnych wybuchłszy nad twoim upadkiem,  
 I po wielu stuleciach ukazałby znów ci przywódcę  
 W skórze lamparciej Arpada — i groźną potęgę narodu?

Gdzie on? Nieme tysiące błędzą dokoła jak senne,  
 Serce ich tętnić przestało — i drzemie sława odwieczna.  
 Nadszedł niemocy wiek, a zniewieściale potomstwo  
 Światem dziś rządzi i cnoty pobożnych wyszydza pradziadów.  
 Mnie też w dniach ciszy sennej roily się miękkie rozkosze:  
 Wnuk zapóźniony rycerzy — przemijające ścigałem  
 Wdzięki niewieście, ich mocą oczarowany bezmyślnie.  
 Ku nim ma pieśń kierowała swoje radości i skargi,  
 Próżno-m chciał niebo ubłagać o łaskę tych czarów zwodniczych.  
 Przecie, gdy dni hałaśliwe młodości szalonej minęły,  
 Nową siłę odczułem: jęły orzeźwiać mi duszę  
 Piękne widziadła, pojawy rycerskie minionych stuleci:  
 Źgo i piękny Almosz, i dumny ów syn Almoszowy,  
 Arpad w skórze lamparciej. Czy ty mnie słyszysz, ojczyzno?  
 Wy, co się rwiecie ku szczytom, wy, zdolni do czynu i czynu  
 Żadni, synowie tej ziemi — czy wy słyszycie me słowa?  
 Noc nadchodzi — czernieją szczyty pochmurne — ucihła  
 Wrzawa życia — świat cały na sennej spoczywa pościeli.  
 Lecz ja nie śpię: w mej duszy czarowne wirują obrazy  
 Wieków zamierzchłych: kopije błyszczące i miecze stalowe  
 Rozcinają powietrze; wojna dokoła grzmi, błyska —  
 Widzę, jak suną przez stopy burkami okryci rycerze —  
 Mkną na koniach galopem, aby zwyciężyć lub zginąć.  
 Widzę chorągiew twą, Bulcsu, — i lza mi z żrenicy wytryska.

*Tłum. Antoni Lange.*

#### WYGNANIEC

Któż jesteś, powiedz, nieszczęśliwy,  
 Co smutny ciągniesz w obce niwy,  
 Gdzie nie brzmi szczęścia głos?  
 W żalobną szatę przyodziany  
 I biczem przekleństw osmagany,  
 Przecz nęka ciebie los?

«O! pozwól wlec wędrowkę dalej,  
 Niech nawałnica we mnie wali  
 Na polach tych, gdzie noc!  
 Bo w mojem sercu większe ciemnie  
 I większą burza huczy we mnie,  
 Mój ból ma większą moc!»

Może więc losu chce zrządzenie,  
 Żeś stracił całe swoje mienie  
 I bieda ciebie gniewa?  
 «Byłem zamożny ja przed laty,  
 Dziś większej nad majątek straty  
 Ból moje serce żre!»

Może cię serca piecze rana,  
 Zdradził przyjaciel? Ukochana  
 Zerwała dawny ślub?  
 «Nie znam ja zdrady z piekieł łona,  
 Ani mię zdradził on, ni ona,  
 Wierni mi poszli w grób!»

Umarli! — Może lza więc płynie  
 Po żonie, dziecku lub rodzinie,  
 Co w cichym grobie śpi?  
 «Ci, których ja kochałem szczerze,  
 Poszli już dawno w śmierci leże  
 I po nich zaschły izy!»

O, przemów, bracie, przemów, zali  
 Piętno cię hańby może pali,  
 Twe imię kryje srom?  
 «Tak! co najbliższe, to w niestawie,  
 I na wspomnienie serce krwawię,  
 W hańbie mój kraj, mój dom!»

Tyś zniesławiony, tyś wygnany,  
 Tyś walczył za swój kraj kochany  
 I trosk zaznałeś wbród?  
 «Mnie, wygnanemu, jeszcze świeci  
 Nadzieja, co się w blask roznieci,  
 Bo jeszcze żyw mój lud;

«Kraj mój, ukochan duszą całą,  
 Umarł — i nic już nie zostało,  
 Wesela niema tam;  
 Końca boleści nie dożyję,  
 Ja grób narodu w sercu kryję,  
 Za miljon cierpię — sam!»

*Tłum. M. D.*

## WEZWANIE

O, Węgrze! niech na wierność twą  
Ojczyzna zda się miła!  
Twój pierwszy i ostatni druh —  
Kołyśka i mogiła.

Zresztą na świecie niemasz tym  
Innego miejsca pono...  
Życ i umierać musisz tu,  
Cokolwiek ci sądzono!

To ziemia, którą nieraz krew  
Twych ojców zlała wrząca;  
To ziemia, co potężna jest  
Dziejami lat tysiąca.

Arpad-bohater walczył cny  
Tu za ojczyznę miłą,  
Hunjada krzepkie ramię tu  
Niewoli moc skruszyło!

Podobnaż, by duchowych sił  
Aż tyle szło na marne,  
Jako że wiecznem skrzydła ich  
Przekleństwem są ciężarne?

Więc przyjdzie... a więc musi przyjść  
Świetlany dzień, o który  
W modłach tysiące mnogie serc  
Unoszą się w lazury.

A jeśli nie, to musi przyjść  
Wyniosły zgon i prawy,  
I w ziemi głąb ojczyzny trup  
W powodzi runie krwawej!

Wolności! święty sztandar twój  
Ta dłoń dźwignęła męska...  
Pod nim najlepszych synów twych  
Tu krwawa zmoęła kłęska.

Po zwianiu snów, przez losów złych  
Burzliwe mknąc odmetry,  
Żyw jeszcze naród w kraju tym,  
Znękany, lecz nie zgięty.

Grzmi kraju i narodu wraz  
W niedoli skarga wrząca...  
Błaga o życie lub o śmierć  
Katusza lat tysiąca.

Toż z męskich piersi nie na żart  
Krwi tyle toczy męka!  
Tyle węgierskich wiernych serc  
Toż nie napróżno pęka!

Narody wieńcem stają w krąg  
Tu przy wolności grobie!  
Z ludzkości oczu gorzka łza  
W serdecznej łśni żalobie!

W wiernej miłości. Węgrze, miej  
Ojczyznę twą jedyną,  
Co żywi cię — a gdybyś legł,  
Pokryje cię darniną.

Zresztą na świecie niemasz tym  
Innego miejsca pono...  
Życ i umierać musisz tu,  
Cokolwiek ci sądzono!

*Tłum. Władysław Nawrocki.*

## ALEKSANDER PETÖFI

(1823—1849)

## MÓJ PEGAZ

Pegazem moim nie angielski koń,  
Wysmukły, wiotki, z szcudłowemi nogi;  
Nie moim stępak meklemburskich błoń,  
Niezdarny, wielki i ciężki do drogi.

Pegazem moim, kary jako mrok,  
Węgierski rumak, krwi madziarskiej czyste;  
Z rozkoszą słońce swój zatapia wzrok  
W zwierciadle jego szerści jedwabistej.

Nie w stajni zrodzon, nie przechodził szkół,  
Jak konie stadnin i zawodów pańskich;  
Wzrósł bez wędzidla, karmią stepnych ziół,  
Jam go na piaskach schwytał kiszkuzańskich.

I nie włożyłem siodła mu na grzbiet,  
 Lecz tylko prostą okrył go derzycą;  
 A gdym go dosiadł, wlot się puścił wnet,  
 O! bo mój kary — krewny z błyskawicą!  
 Najchętniej zwykł on pędzić ze mną w step,  
 Bo tam wzrósł dzielny, bo tam był zrodzony;  
 Gdy w pusztę zmierzam, w górę wznosi łeb,  
 Rży, kopie, parska, wietrząc łan zielony.  
 Gdy dom napotkam wpośród pól i łąk,  
 A przed nim dziewcząt jako pszczołek roje,  
 To biorę kwiatek z najpiękniejszych rąk  
 I jako wichur pędzę w stepy moje.  
 A w tym polocie na rumaku mym,  
 Coby w świat inny na mój głos mknął cwałem,  
 Lśni piana, para bucha zeń jak dym,  
 Lecz nie znużeniem kipi on: — zapalem!  
 O! nie tak prędko trud go zwali z nóg,  
 I nie tak prędko zechce on wytchnienia;  
 Bo wiele jeszcze przebyć musi dróg,  
 Nim dotrę granic mojego życzenia,  
 Więc pędź, Pegazie, koniu drogi, pędź!  
 Przez skały, rowy, naprzód! dalej, dłużej!  
 Aż tam, gdzie wszelka kończy się już chęć,  
 Pędź, mój Pegazie, pędź na skrzydłach burzy!

*Tłum. Władysław Sabowski.*

#### Z ODDALI

Nad Dunajem wielkim chatka stała —  
 Och, jak droga mi ta chatka mała!  
 Łzy zachodzą oczu mych powieki,  
 Kiedy wspomnę obraz jej daleki.

Lecz nadziei zorza w sercu młodem  
 Przyszłość rajskim maluje ogrodem;  
 Dopiero, gdy się błąkania zaczną,  
 Postrzegamy omyłkę rozpaczną.

Obym był w niej został wszystkie lata!  
 Ale ludzi wiedzie chęć skrzydlata;  
 Chęć się moja podniosła sokołem,  
 I rzuciłem dom i matkę połem.

Opowiadać byłoby daremnie,  
 Że nadzieja zadrwiła i ze mnie,  
 I że odkąd wędruję po ziemi,  
 Ciernie depcę stopami błędnymi.

Ból żegł ogniem matkę zrozpaczoną,  
 Gdy, odchodząc, padłem na jej łono,  
 I nie zgasły bolesne płomienie,  
 Choć ie złały zimnych też strumienie.

...Idzie ziomek mój w ojczyste progi,  
 Mam i wieści przestać matce drogiej?  
 A zajdźcie też, łaskawy sąsiedzie,  
 Jeśli droga pod jej dom powiedzie.

Przycisnęły mię ramiona drżące,  
 Wstrzymywały słowa błagające —  
 Och, gdybym był mógł świat przejrzeć cały,  
 Możeby niedarmo wstrzymywały...

Powiadajcie, niechaj też poniecha,  
 Bo synowi szczęście się uśmiecha...  
 Ach, nie mówcie, w jakiej żyję trwodze,  
 Serce z żalu pękłoby niebodze.

*Tłum. Andrzej Gawroński.*

#### SZLACHCIC WĘGIERSKI

Spuścizna przodków, świadek chwały,  
 Oto miecz wisi zardzewiały.  
 Blask jego rdza wnet całkiem zmiecie —  
 Węgierski szlachcic jestem przecie.

Spoczynek życie nam ozłaca;  
 Żyję, bo nie wiem, co to praca.  
 Robota niechaj chłopstwo gniece! —  
 Węgierski szlachcic jestem przecie.



Czy mam się wiedzy oddać może  
I biedę klepać, jak niebożę?  
Bym czytał, pisał, żądać śmiecie? —  
Węgierski szlachcic jestem przecie.

Szczęście, zem wolny od podatku;  
Za skąpe dobra me po dziadku,  
A długi w całym mam powiecie —  
Węgierski szlachcic jestem przecie.

Istnieje wiedzy gałąź główna,  
W której snadź nikt mi nie dorówna:  
Jem, piję, jak nikt drugi w świecie —  
Węgierski szlachcic jestem przecie.

Nic nie obchodzi mnie ojczyzna...  
No, i mam rację, każdy przyzna.  
Nie lubię, gdy kto o niej plecie —  
Węgierski szlachcic jestem przecie.

A kiedy wkońcu, jak me przodki,  
Przebirbantuję żywot słodki:  
Z pewnością w niebie mnie znajdziecie —  
Węgierski szlachcic jestem przecie.

*Tłum. Stanisław Rossowski.*

#### NA DUNAJU

O, rzeko, jakże często tve spokojne lica  
Rozdziera dno okrętu, wichrów nawałnica!  
I żłobi takie długie i głębokie rany,  
Jak nigdy w sercu ludzkim lasów huragany.  
A przecież kiedy burza albo okręt minie,  
Wnet się rana zabliznia na wód twych głębinie.  
O! czemuż, gdy tve serce zrani ból, człowieku,  
Na rany zagojenie nie posiadasz leku?

*Tłum. Erazm Krzyszkowski.*

#### WĘDROWNY PTAK ODLATA...

Wędrowny ptak odlata  
Z końcem lata,  
Jesienią  
(Wróci, gdy się grudnie w maj odmienia).  
Wdal... wdal... wdal... skrzydła niosą:  
Już go oczyma oddałeś niebiosom,  
Już się zanurzył w błękitcie,  
Już zniknął w przestworze.  
Przecierasz oczy — śnił się może?  
Niż to ptaszę,  
Odlataż co jeszcze prędzej?... Życie nasze!  
Ale ptak wróci, nigdy nie wróci życie.

*Tłum. Andrzej Gawroński.*

#### LEDWO BYŁ RANEK...

Ledwo był ranek, a już jest wieczór,  
Ledwo była wiosna, już zimowy czas;  
Ledwom cię ujrzał, słodką dziewczeczkę,  
Już — żono luba! — jesteś ze mną wraz.

Ledwo na ojca siadalim kolanach,  
Już z praszczurami leżymy na dnie, —  
Życie podobne jest cieniom obłocznym,  
Jest jako tchnienie na zwierciadła szkle.

#### OGIEŃ

Ja nie chcę, jak lodyga wierzby,  
Zgnić nędznie gdzieś w cuchnącem bagnie.  
Jak dąb, w zesłanym mi od Boga  
Błyskawic ogniu spłonąć pragnę!

Potrzeba ognia mi! Niech w wodzie  
Ród żab i ryb się dobrze czuje —  
I poeciątek cech, co żwawo  
Na żabią modłę muzykuje.

Tyś dla mnie jest — i ciebie, ogniu,  
Za żywioł swój ja wybrać muszę!  
Obficie marzłem w krótkim życiu,  
Lecz ciepłą zachowałem duszę.

Namiętnie kocham cię, dziewczyno!  
Daj patrzeć w ócz twych gwiazdy obie!  
Lecz bądź ognista! Bo inaczej —  
Dalibóg, możesz odejść sobie.

Hej, gospodarzu, daj mi wina,  
Lecz z prawdziwego winogrodu!  
Bo jeśli trunek dasz wodnisty,  
Źle będzie z twym czerepem, dziadu!

Ogniste wino i dziewoja  
Na ziemi jeno żyć są warte.  
I jeszcze trzecia rzecz — to pieśni  
Nie mogą z życia być wydarte!

Pieśń zaśpiewajcie, lecz ognistą!  
Niech w krtani ton bezsilnie skona  
Każdemu, kto nie zdoła śpiewać  
Tak, iżby się zatrzęsły łona!

Ja nie chcę, jak łodyga wierzby,  
Zgnieć nędznie gdzieś w cuchnącem bagnie.  
Jak dąb, w zesłanym mi od Boga  
Błyskawic ogniu splotnąc pragnę!

*Tłum. Alfred Tom.*

### PIEŚŃ JUNAKA

Mój duch śni wciąż o krwawych dniach,  
Gdy stary świat zapadnie w zgliszcza,  
A na tych gruzach nowy gmach  
I nowych staną dni bożyszcza.

Niech zabrzmia już, niech zabrzmia już  
Bojowych trąb rozgłośnie tony:  
Wojennych burz, wojennych burz  
Pożąda duch mój, krwi spragniony.

Z radością skoczyłbym na grzbiet,  
Na grzbiet bystrego mego konia —  
W szeregu mężnych byłbym szedł,  
Jak wichur, przez skrwawione błonia.

Gdyby w pierś moją trafił strzał,  
Znajdzie się ktoś, co ją otuli,  
Znajdzie się ktoś, co będzie miał  
Całunków balsam przeciw kuli.

W kajdany wraże gdybym wpadł,  
Odwiedzi ktoś mej celi ciemnie,  
Ponurych snów mych czarny świat  
Rozproszy jego wzrok tajemnie.

A gdybym zmarł, a gdybym zmarł  
Pod mieczem kata czy wśród bitwy,  
Znajdzie się ktoś, co wnetby starł  
Krew bladych zwłok mych — łąką modlitwy.

*Tłum. Antoni Lange.*

### MIŁOŚĆ I WOLNOŚĆ

Miłość! wolność!... W dni moich rozkwicie  
Duch mój z niemi w ścisłą wszedł zażyłość:  
Za mą miłość dam w zamianie  
Życie,  
Za wolności odzyskanie —  
Miłość!

*Tłum. Władysław Sabowski.*

### DREŹCZY MIĘ TA MYŚL JEDYNA...

Dreżczy mię ta myśl jedyna:  
Umrzeć w łóżu, na pierzynach!  
Uschnąć powoli, jak kwiat usycha,  
Zatrutym czerwem toczony zcicha;  
Powoli zgorzeć w sobie do końca,  
Jak świeca, w pustej izbie stojąca.  
Nie o śmierć taką, o Boże w niebie,  
Nie o śmierć taką chcę błagać Ciebie!  
Drzewem chcę być, które piorun przeszywa  
Albo huragan z korzenia wyrывa;

Skalał chcę być, która ze szczytów spada,  
 Gdy niebo z ziemią od burz drżą w posadach...  
 W czas, gdy każdy niewolny lud,  
 Jarzmu niewierny, ruszy w bój,  
 Płoną oblicza i płoną sztandary,  
 A na sztandarach hasło świętej wiary:  
 «Wolność powszechna!»  
 I grzmiące echa  
 Odegrzmia, niosąc święte hasło w krąg,  
 I wezwiem tyranę na krwawy sąd:  
 Tam, na bitwy polu,  
 Niechaj padnę w boju,  
 Tam niechaj pierś moja krwią spłynie młodzieńczą,  
 Z ust słowa ostatnie radośnie zadźwięczą,  
 I wraz białej broni niech zdławi je szczęk,  
 I trąby zahuczą, i dział głuchy jęk,  
 A nad mem ciałem  
 Niech stadem całem  
 Rwą z kopyta rumaki, po zwycięstwo pędzące,  
 Niech tam zatratowany leżą na łące.  
 Tam niech me szczątki zbiorą rozsypane,  
 Kiedy pogrzebu wielki dzień nastanie,  
 Pienia żałobne zabrzmią zwolna wkoło,  
 Chorągwie schylą w kir spowite czoło,  
 Wspólny grób przyjmie bohaterów kości  
 Poległych dla cię, o święta wolności!

*Tłum. Andrzej Gawroński.*

JAN ARANY

(1817—1882)

Z «TOLDIEGO»

(Toldi — półbajeczny bohater węgierski — wywalczył na turnieju Różankę dla innego, Wawrzyńca Tara, ale sam ją pokochał, jak i ona jego; Wawrzyniec o tem nie wie i zaprasza Toldiego do siebie na ucztę.)

. . . . .  
 Raz tylko jeden ujrzeć (choć co to nada?)  
 Różankę swoją — dziś już cudzą — biada, biada!  
 Chłodno się z nią pożegnać? — i tego nie mogę.  
 Nie iść tam? (niemo westchnął) — ruszyć w inną drogę!  
 Krew zagasić — jak gołąb stać się — jako jagnię!  
 Tej jednej chwili ceną — wieczne pożegnanie!  
 Gorzko będzie — lecz niech tak będzie — tego pragnie.  
 Tak wahał się bohater — lecz nęcą otchłanie.  
 Różanki serce także dręczyły w tym względzie  
 Przechwałki męża: co za gość u nich dziś będzie!  
 Wybladłe usta przeczyć chciałyby, lecz mowa  
 Zamiera; trudno ująć Różance rzecz w słowa.  
 Cały dzień Boga o to prosiła jedynie,  
 Żeby Toldi nie przyszedł (dałże obietnicę),  
 Cały dzień w sercu tajnie jedna myśl się winie:  
 Że gdy nie przyjdzie, w sercu pękną jej tętnice.  
 To jedyne spojrzenie — owo pierwsze słodkie —  
 Przenikające, smutne, lecz rozkosznie wiotkie —  
 Wymówkami żalose, rzęsą łopocące,  
 Milczące, pytające, odpowiadające —

Wzbronione! Lecz w niem boskie prawo dumą wzrusza.  
Przekleństwo w niem i niebo oraz piekieł cienie  
I rozpacz, gdzie ztraca się ciało i dusza:  
Całą uczucia głębię stwierdza to spojrzenie.

Mieli czas, by odzyskać zwolna równowagę.  
Rozmowa: wszystkie słowa obwiną w rozwagę.  
«Pogoda — urodzaje — bitwy — lowy — konie...»  
Maska twarzy ostania, co wre pod tem w łonie.  
Lecz serce Mikołaja wicherzy się otchłanią.  
Przy uczcie od gorącej krwi — miłości — wina —  
Pije za młodą parę, jak może pić za nią,  
I cóż mu, że Wawrzyniec rozumieć zaczyna!

Gdy zaś piękna niewiasta wzięła w ręce kielich  
I zwilży w ogniu wina czar ustek anielich —  
Zapomniał niemal o tem, co bezdennie boli,  
Oddając się rozkoszom chwili mimowoli.  
Biesiadnicy wciąż raźniej unoszą się duchem —  
Aż leśne przyniesiono warchlę na półmisku.  
Jak żywe, zda się: leży wdół oparte brzuchem;  
Skóra — czerwony pancierz; jabłko trzyma w pysku.  
Tar, zbrojny wielkim nożem, gospodarczą bronią,  
Rzuca się na warchlaka, kraje lewą dłonią.  
«Daj» — woła Toldi, nóż mu ze śmiechem wydziera.  
Puścił go Wawrzon, zezem na niego spojiera.  
Wówczas — nie wiem — podszepty jakiegoś demona,  
A może temu winna ta tokaju szklanka  
Lub pamięć jakich uczuć dawno pogrzebiona —  
Sprawiły, że tak naraz powiada Różanka:

«Wawrzonie! jakąż dziwną bawisz nas zabawą?

Kosztem lewej oszczędzasz swoją rękę prawą.  
Widziałam, jak prawica twa dzielnie wywija —  
Jak to w czasie turnieju ostatnia kopija...»  
Zachnął się Tar gwałtownie — i naprzemian błednie,  
Aż bardziej poczerwieniał, niż warchlaka ciało;  
Lewa ręka cisnęła się, by mimowiednie  
Odeprzeć słowo w miejscu tem, skąd mu zabrzmiało.

Krew, co z ust niemal trysnąć chce w wzruszeniu żywym,  
Zabarwiła kobietę swym nagłym dopływem,  
On zaś stał w osłupieniu, na Różę patrząc,  
I na Toldiego spojrział, nóż w ręku trzymając.  
Ale wnet, jak kozica trwożna w lasu głębi,  
Co widzi, jakie grożą jej niebezpieczeństwa,  
Całem ciałem się pręży, do skoku się kłębi,  
Wszystko jej zda się dobre — cieśnia, trzcina, gęstwa:

Tak on mknie ku najbliższym drzwiom (coś go wystrasza) —  
Ku drzwiom, które nie wiodą nigdzie, prócz poddasza;  
Nie było stąd sposobu uciec ani rady —  
Oknem skoczył w ulicę — czerwony i błądy.  
Jak dziki zwierz zatrzyma na swym łupie wzroki,  
Chwilę czeka, a nozdrze mu drga, dyszą płuca,  
Lecz gdy łup znów chce uciec, ten wnet za nim w skoki:  
Tak za Tarem okrutny Toldi wskok się rzuca.

Lecz oto przed nim Róża staje wylekniiona.  
Za mężem swoim prosi jak najpiękniej żona.  
Z miłością ciemnym okiem w Toldiego spogląda —  
Złoży rączki i łaski dla Wawrzona żąda.

Miklosz na swoim łonie widzi gorejącem  
 Jej twarz — i gniew mu z serca niby mgła gdzieś pryska —  
 Jako czarna chmura zachodowem słońcem  
 Promienna, nagle w oku sam promieniami błyska.

Do serca to oblicze przyciska różane —  
 Przyciska swe rozkoszne niebo zakazane.  
 I tak ją pocałunków okrywa tysiącem  
 Bezpamiętnych i słowem wybucha gorącym.  
 «Pójdź» — szepce, ledwie dysząc. «Uchodźmy» — tak woła.  
 «Uchodźmy. Koń mój czeka. Siądziem na bachmata.  
 Wiatr ni słońce mojego nie znajdzie aniola.  
 Bronić się będę wobec wszystkich mocy świata».

Tak ocknie się Różanka z rozkoszy głębokiej,  
 Jak żuczek, co w miodowej upadł kadź patoki.  
 Cofa się lekko — patrzy w niego — błaga szczerze:  
 «Nad honorem kobiety czuwaj, bohaterze!»  
 I drży piękna niewiasta. Ach, krzyknąć nie może —  
 Nie lamentuje — znikąd pomocy nie woła,  
 Drży tylko, jako lilji kielich na jeziorze,  
 Zgadując, że oporu stawić mu nie zdoła.

Ale i w Toldim gorzka przemaga powinność.  
 Oto bezsilna przed nim szlachetna niewinność  
 Wzywa jego — rycerza — przeciw samej sobie,  
 By słabości jej nie chciał wyzyskać w tej dobie.  
 Teraz dopiero widzi rycerz ów zawzięty,  
 Nad jaką czarną grzechu przepaść szedł — niestety!  
 Że pomyśleć ohyda — bo to wstręt nad wstręty,  
 By fałszem złamać serce przezyczystej kobiety.

Niech jego złamie los, niech strąci go w otchłanie,  
 Za życia niech go dręczą wszystkie piekiel szranki!  
 Niby zgrzyt — takie było jego pożegnanie:  
 Odszedł, by nigdy więcej nie widzieć Różanki.

.....

## PO TRZYDZIESTU LATACH

(Pamięci Petőfiego)

Często, i dzisiaj nawet, nawiedzasz sny moje —  
 Ty, w śmierci osiwały, a obcy w spoczynieniu:  
 Nie mógł cię naród osnuć w całunów zawoje,  
 Niepogrzebiony — zawsze obecny mi cieniu!

Gdybyśmy dziś wierzyli, jak Rzym albo Greci —  
 Tam, gdzieś padł, dziśby płonął ołtarz nieśmiertelny,  
 I oddawna na błękit wstąpiłbyś daleki,  
 Sam bóg — piłbyś śród bogów nektar ich weselny.

Lecz pod nawałą czasu, co mija i rośnie,  
 A który nas osłabia — krzepnie twa potęga;  
 Z tego, coś dał nam, wszystko kwitnie w wiecznej wiosnie,  
 Z pokoleń w pokolenia duch twej pieśni sięga!

A ja, co żyłem długo duchem twym i ciałem,  
 Smutny jestem i gniewne nieraz rzucam słowa:  
 Czy serce twe moskiewskim przebite kindzałem —  
 Czy siekierą wołoską skrwawiona twa głowa?

## SĄD BOŻY

Ciemny radwański bór glucho drży —  
 Tam Benō Barczy umarty leży:  
 Ostry puginał w sercu mu tkwi.  
 Na Boga! Iście któż nie uwierzy,  
 Toż to zabójstwa ślad jawny, świeży!  
     Ojciec na zamek każe go nieść...  
     W samotnej, wielkiej kładą go sali —  
     I pokrwawiony leży dni sześć;  
     Ani go myli, ni przebierali,  
     Proste mu, twarde łoże ustali.  
 Halabardników poczwórna straż  
 Zamyka wszystkim wchód do komnaty.  
 Matka czy siostra, choć we łzach twarz,  
 Niechaj gdzie indziej płacze — zakaty!  
 Biada, kto chciałby przełamać czaty!  
     Kobiety w cichy skryły się kąt  
     I głuszą żalność, co pierś im łzawi.  
     Ojciec pieczęcią na Boży sąd  
     Wzywa: zabójca niech się objawi!  
     Winny, przy którym rana się krwawi.  
 Zamek, kirami żaloby drżąc,  
 Zaslania złote południa słońce;  
 Nad ciałem stoi sędzia i ksiądz,  
 I czarne krzyże, i świece drżące,  
 Żółtawym blaskiem migotające...  
     — Niech przyjdą wrogi, gdy miał ich zmarły! —  
     I przyjdą, których ojciec pokaże.  
     Lecz żyły rany się nie otwarły,  
     Nad Benōm wrogów mignęły twarze,  
     Żaden zabójcą się nie okaże.  
 — Któż więc morderca? Mówcie, przekłęci!  
 Czyżby z mojego był pokolenia?  
 On tu — i póki znak mej pieczęci  
 Nie napiętnuje zbójcy ramienia:  
 Na wszystkich żywych mam podejrzenia!  
     — Niech przyjdzie druhów gromada szczerą! —  
     Młodych rycerzy szereg wnet stawa,  
     Smutni widokiem krwi bohatera,  
     Co go nie bitwy porwała sława;  
     I przeszli: rana ciągle niekrwawa.  
 — Niechaj dwór cały i wiejski lud  
 Stanie nad trupem! — Idą ochoczo;  
 Przejdą kolejno — lecz próżny trud —  
 Na bohatera smutne łzy toczą —  
 Łzy żałośliwe krwi nie wytłoczą!  
     — Niech przyjdzie matka, siostra jedyna! —  
     Siostra ma w oku połysk cmentarny  
     Matka przypada z jękiem do syna,  
     Ale trup milczy na ten krzyk gwarny,  
     A w ranie krople suchej krwi czarnej.  
 — Niech jego luba wreszcie tu stanie,  
 Niech Abigiela zjawi się tkliwa! —  
 Zbliża się. Oko utkwiała w ranie —  
 Idzie bez ruchu, rzekłbyś, nieżywa...  
 I nagle — z rany krew mu wypływa!

Ona nie płacze, ona nie wzdycha —  
 Ale rękami skronie ugina.  
 Nastaje chwila straszliwie cicha,  
 I krew we wszystkich żyłach się ścina.  
 — Dziewczyno, tyś mi zabiła syna!  
 Ona, zaklęta niby przez czar,  
 Milczy i słucha — belkoce: «Ha!  
 Jam nie zabiła, choć dla mnie zmarł.  
 Bóg mi i niebo świadectwo da,  
 Lecz jam ten sztylet dała mu — ja!  
 «Miał moje serce, dowody miał,  
 Że między nami raj zakwitł już,  
 Czemuż przysięgi ode mnie chciał?  
 — Gdy mi odmówisz, to śmierć mi wróż.  
 — Idź! i ze śmiechem dałam mu nóż». —  
 I sztylet z rany dziko wyciska,  
 I ogniem płoną jej dwie źrenice,  
 Śmieje się, płacze, skrą noża błyska —  
 W szalonym skoku biegnie w ulice:  
 W zdumieniu widzi tłum latawicę.  
 I na gościniec biegnie, i w las —  
 Tańczy wesoło i śpiewa wlot:  
 «Była dziewczyna, hej, była raz,  
 Robiła chłopcom tysiące psot,  
 Igrała z nimi, jak z myszą kot!»

*Tłum. Antoni Lange.*

EMERYK MADÁCH  
 (1823—1864)

Z «TRAGEDJI CZŁOWIEKA»

(Londyn. Pomiędzy Towerem a Tamizą odbywa się jarmark. Adam, jako mąż w podeszłym wieku, stoi z Lucyferem na jednej z baszt zamczyska. Ma się ku wieczorowi.)

C h ó r:

*(rozptywający się we wrzawie tłumu; wtóruje mu zcicha muzyka)*

Szumia ciągle życia nurty,	Co fantazji, myśli głosem.
Fala każda — nowym światem.	Możesz, możesz dumać, roić;
Cóż ci szkodzi, jeśli jedna	Co wydumasz, zbiegnie w pianę...
W przepaść spada, druga zatem	Wiecznie morze z szumem pędzi
Wgórę idzie? To się trwożysz,	Twe prawidła mu nieznane.
Że przepadnie jedność w tłumie,	Niechaj szumi: w fal rozterce
To znów mniemasz: na miliony	Sam wykreślisz granic cieśni;
Śmiało natrzeć jedność umie.	Nic stracone nie jest w życiu,
Dzisiaj trwożysz się nauki,	Stare ciągle jest w powiciu —
Jutro znów poezji losem,	Tylko niech się wstucha serce
A w systemów ciskasz ramy,	W życia cudną, wieszczą pieśnię!

A d a m:

Tak, oto cel mój — to mych pragnień meta!  
 Dotąd pustynnem szło życie bezdrożem,  
 A teraz w całej pełni wre przede mną.  
 Pieśń jego słyszę... jak piękna, rzeźwiąca!

L u c y f e r:

Piękna stąd — z góry... Jak kościelne hymny,  
 Których ton każdy źle wzięty, chrapliwy,

Każde westchnienie, każdy jęk boleści —  
 Nim uszu dojdzie, w zgodny akord spłynie.  
 I tak je słyszy Bóg, i mniema przeto,  
 Że dobrze świat ten stworzony — lecz wdole,  
 Tam, gdzie serc tętno do pieśni się łączy,  
 Słyszecyby można całe inne tony.

A d a m:

Ach, sam-że powiedz, szyderco wąpiący,  
 Czy świat ten nie jest piękniejszy od owych,  
 Przez które w mękach aż tu mię przywiodłeś?  
 Już się omszałe zwaliły zapory  
 I znikły groźne, straszliwe widziadła,  
 Co przez ponurą przeszłość, jak przekleństwo,  
 Przyszłości zwykle pozostają w spadku,  
 Z glorią świętości nad trupiami czoły.  
 Już pierś ma każda wolne walki pole,  
 Już niewolnicy piramid nie wznoszą.

L u c y f e r:

I tam, w Egipcie, jęku niewolników  
 Tak bardzo słyhać nie było, a zato  
 Jego pomniki jak bosko wspaniałe!  
 Czyż lud ateński, ów lud wszechpotężny,  
 Nie miał słuszności, nie pięknie postąpił,  
 Gdy chlubę kraju, ludu ulubienca,  
 Dla ocalenia ojczyzny poświęcił?  
 Na wszystko patrzeć trzeba z tej wyżyny,  
 Gdzie płacz kobiecy ani żadne inne  
 Brednie i głupstwa nie mącą spokoju.

A d a m:

Przestań już, przestań, ty wieczny sofisto!

L u c y f e r:

A jeśli, dajmy na to, znikł ból z ziemi,  
 To miejsce jego płaskość dziś zajmuje.  
 Gdzież owe szczyty, co ciągną ku sobie?  
 Gdzie głąb bezdenna, co trwogą przejmuje?  
 Gdzie dawna barwna różnorodność życia,  
 Gdzie zmienność jego, tak nęcąca mile?  
 Miast szalejących fal, wirów i piany,  
 Równia bagnista, wzdętych ropuch pełna.

A d a m:

Niezamącony dobrobyt powszechny  
 Wynagrodzeniem dostatecznym chyba?

L u c y f e r:

Ze szczytu patrząc, sądzisz o tem życiu,  
 Co u stóp twoich gwarną szumi falą;  
 Tak jak o przeszłych zwykły sądzić wiekach  
 Dziejopisarskie bezwzględne wyroki.  
 Jęków nie słysząc ni schrypłego krzyku,  
 Na wiecznotrwalej ksiąg swoich stronicy  
 Pieśń tylko przeszłych zapiszą stuleci.



A d a m:

Teraz i szatan jest już romantykiem  
Lub doktrynerem — a jedno, jak drugie,  
Dość osobliwy, zaprawdę, nabytek.

L u c y f e r (*wskazując na mury zamczyska*):

Nic w tem dziwnego, skoro na świat nowy  
Patrzemy z miejsca, które dzisiaj straszy  
Dawno już znikłej przeszłości upiorem.

A d a m:

Nie w smak mi zgniła, zmurszała podstawa;  
Ona powodem, że w świat zstąpię nowy —  
Niema obawy, abym w nurtach jego  
Nie mógł odnaleźć poezji i wielkich  
Czystych idei. Dzisiaj się już może  
Nie rwą nazewnątrz z tą pierwotną siłą,  
Na bój tytanów, w niebo szturmujący;  
Ale w szczuplejszym czynne wciąż zakresie  
Świat nowy tworzą, od dawnego miłszy  
I szczęściem hojniej ubłogosławiony.

L u c y f e r:

O to ci wcale troszczyć się nie trzeba.  
Póki istnieje na świecie materja,  
Twa i moc moja — mistrzem jam negacji,  
A ta z materji wątek sporu snuje.  
Dopóki jedno ludzkie bije serce,  
Myśli mózg jeden, a porządku prawa  
Tamą się kładą dzikich żądz zamachom,  
Dopóty w świecie ducha trwa poezja,  
I myśl podniosła miejsce znajdzie sobie.  
Lecz powiedz, jaką postać przybrać mamy,  
W to gwarne ludu zstępując mrowisko?  
Bo w tej pozostać możemy tu tylko,  
Gdzie nas romantyzm przeszłości ocienia.

A d a m:

A której, dzięki losom, nie nie wskrzesi!  
By się przekonać, co lud myśli, czuje,  
Trzeba nam zstąpić do warstwy najniższej,  
Pomiędzy gminu niezliczone tłumy.

(Obydwaj wchodzą do wnętrza zamczyska i, przebrani za robotników, wychodzą jedną z bram, i giną w snującym się tłumie.)

*Thum. Teresa Prażmowska.*

MAURYCY JÓKAI

(1825—1904)

Z «DZIWNYCH HISTORYJ»

S z a c h y

Za panowania Maurów żył w Kordowie pobożny mąż, z uczoności i miłosierdzia znany dobrze zarówno Hiszpanom, jak i Arabom. Nazwisko jego brzmiało: Don Hurtado Garcias Ecequias Eleazaro de Estalinena el Senordo Beneficentissimo albo, jak go powszechnie zwano: Alabadas Sea Dios (Bóg zapłać). To nazwisko słyszał najczęściej, nie było bowiem dnia, w którymby komuś potrzebującemu nie udzielił pomocy.

Ale nie wyrzucił pieniędzy przez okno; przy udzielaniu wsparć postępował z wielką roztropnością. W Kordowie na dwieście tysięcy mieszkańców było dwadzieścia tysięcy żebraków ulicznych. Don Hurtado wyszukiwał takich, którzy wsparcia rzeczywiście potrzebowali; a jeżeli w ten sposób jednemu prawdziwie biednemu pomógł na czas dłuższy, to uczynił roztropniej, niż gdyby setce pomógł na dzień jeden.

Ponieważ jednak własne jego dochody na owe miłosierne uczynki nie wystarczały, przeto wyszukiwał rozproszonych po kraju bogaczy. Miał on katalog, w którym figurowali wszyscy okoliczni grandowie, hidalgowie i caballerowie wraz z sumą przypuszczalnych dochodów. Panów tych Don Hurtado kolejno od czasu do czasu odwiedzał i domagał się regularnie rocznego haraczu. Bano się go też więcej niż Maurów.

«Don Esteban, słyszałem, żeś dostał dziesięć tysięcy realów. Wspomnij o tych, którzy nic nie mają!»

«Tak, to prawda; dostałem dziesięć tysięcy realów, ale z tych przegrałem dwa w walce byków».

«Któż je wygrał?»

«Don Gedonio i Don Cristobal».

«Jeśli w walce byków możesz przegrać dwa tysiące realów, to dwieście dać na biednych nie będzie ci żadną ofiarą».

Don Esteban płacił z kwaśną miną.

Teraz przyszła kolej na Don Gedonia i Don Cristobala.

«Panowie, wygraliście dwa tysiące realów; Don Esteban, który je przegrał, dał już dwieście realów; jest więc rzeczą słuszną i godziwą, aby ci, którzy je wygrali, dali dwa razy tyle».

Don Gedonio i Don Cristobal płacili, drapiąc się w głowę.

Don Ambrosio słynie ze skąpstwa. Właśnie spożywa wieczerzę: czarną rzepę z chlebem, gdy zjawia się Don Hurtado i żąda podatku dla ubogich.

«Widzisz, Wasza Signoria, że ja sam jem na wieczerzę czarną rzepę z chlebem».

«Właśnie dlatego, że na nic więcej pieniędzy nie wydajesz, zostaje ci wiele. Możesz najlepiej zrozumieć, jak smutną jest rzeczą jeść na wieczerzę czarną rzepę z chlebem, chociaż się ma pieniądze; o ileż więc musi być smutniejszą rzeczą, jeśli się musi tak czynić. Zresztą jest w tem twój własny interes, abyś dał na ubogich. Bo jeżeli to uczynisz, to oni będą mogli zostać uczciwymi ludźmi, a jeżeli nie, to zrobią się z nich złodzieje i mordercy. A na kogoż najpierw napadną? Na ciebie! A więc daj tu szybko pięćdziesiąt pesos, a potem jedz sobie przez miesiąc chleb bez rzepy».

Od czasu do czasu urządzał Don Hurtado podróże po Hiszpanji, po znaczniejszych miastach, i zawsze wracał z obfitym plonem. Raz rozpoczął na nowo swą podróż. Spokojnie jadąc sobie na mule lasem nad brzegiem rzeki Guadalquivir, spotrzął Araba, który siedział na środku drogi i grał z samym sobą w szachy.

Jak wiadomo, nic się tak bardzo nie sprzeciwia zdrowemu rozsądkowi, jak grać w szachy z samym sobą. Don Hurtado, zdziwiony, wstrzymał swego wierzchowca i dłuższy czas przypatrywał się zajęciu Araba. Ten zatopiony był w grze, namyślał się długo, zanim zrobił jedno posunięcie, i wogóle zdawał się być partją niezmiernie zajęty. Wreszcie Don Hurtado nie mógł już dłużej wytrzymać i zapytał:

«Kto jest twym ojcem, wyznawco proroka?»

Arab zrobił posunięcie i odpowiedział z powagą:

«Ojcem moim Ben-Mutassem, a ja nazywam się Abu Rizlan, jeżeli chcesz to wiedzieć, poczciwy giaurze».

«Co tu robisz, dobry Abu Rizlanie, synu Ben-Mutassem?»

«Gram w szachy, jak widzisz».

«Tak sam jeden?»

«Ja nie jestem sam».

«Któż więc drugi?»

«Ten, który jest wszędzie, jedyny Pan, wielki Allah».

«To wcale potężnego masz przeciwnika».

«W każdym razie sprawiedliwego».

«A któż teraz wygra?»

«Prawdopodobnie ja przegram. Wszak mam słuszność? Jeszcze jeden ruch i mat. Dziś już grać nie mogę».

«Czemu?»

«Przegrałem wszystkie pieniądze».

«Więc grasz z Allahem o pieniądze?»

«Nieinaczej. W tej partji przegrałem pięćdziesiąt sztuk złota».

«Jakże je Allahowi zapłacisz?»

«Zwykle, gdy przegrywam, zsyła mi Allah jakiego poczciwego, pobożnego męża, który przegraną sumę ode mnie bierze i rozdaje ubogim. To tyle znaczy, jakgdybym je dał Allahowi. Dziś wierzę, żeś ty zesłany przez Allaha; weź więc te pięćdziesiąt sztuk złota i rozdziel między ubogich».

Niezmiernie ucieszony Don Hurtado pomyślał sobie, że przecież taka gra w szachy to wcale budująca przyjemność. To też, kiedy po wielu długich podróżach wzdłuż i wszerz Hiszpanji wracał tą samą drogą do Kordowy, nie zapomniał odwiedzić pobożnego Araba i zapytać się, czy od tego czasu nie przegrał znowu.

Rzeczywiście spotkał go, jak siedział na środku drogi i z największą uwagą grał w szachy.

Stanął przy nim i czekał, aż się partja skończy.

«Czy i dzisiaj przegrałeś, Abu Rizlanie?»

«Dziś nie; dziś uśmiecha mi się szczęście. Jeszcze jedno posunięcie i Allah ma mata».

«Bardzo dobrze. Dzisiaj więc wygrałeś?»

«Tak; wygrałem od Allaha pięćset sztuk złota».

«Któż ci tę sumę teraz zapłaci?»

«Zwykle, gdy Allah przegra, zsyła mi jakiego poczciwego, pobożnego męża, który mi wygraną sumę płaci. Dziś wierzę, żeś ty zesłany przez Allaha, aby mi zapłacić pięćset sztuk złota».

Przy tych słowach poczciwy Arab skierował pistolet ku pierśom przerażonego Don Hurtada, który mu z kwaśną miną podał swój worek.

«Alabadasie Sea Dios», rzekł Arab, odliczywszy pieniądze i oddawszy mu worek.

«Abu Rizlanie, synu Ben-Mutasseina, mnie Allah do ciebie już nigdy po odbiór wygranej nie przysłał».

*Tłum. S. D.*

## KOLOMAN TÓTH

(1831—1881)

### MATKA POLKA

Czterech pięknych synów miała matka Polka,  
A wszyscy byli wyborowymi rycerzami,  
Śród ptaków — sokoły, w lesie gałęzie sosny:  
Z dumą patrzała na nich dobra matka;  
Ale pewnego dnia wypuściła ich wszystkich czterech,  
A gdy ich żegnała, kropla łzy nie trysła z jej oka.

Średniego syna rychło otrzymała zpowrotem —  
Ach, być może i nie on to: tyle na nim było ran.  
Kulą postrzelony gołąb nie bardziej od niego skrwawiony.  
Układają go w białe miękkie łoże.  
Dziś na miękkim łożu, jutro na cmentarzu —  
I droga matka nie płacze, dumnie za nim kroczy.

Most zwodzony dudni, pochodnia płonie —  
Otóż i drugi: włosy krwią mu spływają.  
Temu łoża już nie trzeba, ten już umarły —  
Towarzyszy mu też, milcząc, szlachetna matka.  
Tylko w oku tłumiona, drżąca łza błyska —  
Toć ten był najmłodszy i najukochańszy.

A oto którejs nocy wnoszą trzeciego —  
 Och, tylko z twarzy nie zdejmujcie całuna,  
 By nie ujrzeć okropności, co się z nim zdarzyła:  
 Nie kula go trafiła, ale ręka kata!  
 Przecież i temu towarzyszy dobra matka,  
 Dumna, zacięta, zdrętwiała: nic jej nie porusza.

Alisci czwarty przybywa nie nocą; ten się nie lęka.  
 Na ramieniu złota frendzła, gwiazda na piersi!  
 Gdzież on to zdobył? Nie tam, gdzie znaleźć można śmierć!  
 «Zdrajcą jesteś ojczyźnie, braciom i samemu sobie!  
 Do synów mych chcę iść! Zabija mnie ta gwiazda na piersi!»  
 I ponieśli ją, złożyli obok tamtych synów.

*Tłum. Bolesława Jaroszevska.*

JÓZEF KISS  
 (1843—1921)

JUDYTA

Nieszczęsny był żyd Szymon — przez wiele, wiele lat  
 Trumienkę małą czarną rok w rok na mary kładł...  
 Trumienkę taką małą — trzy piędzi ledwo wzdłuż —  
 Dziś rodził się robaczek... nazajutrz konał już.

Nad złoto był cenniejszy Judyty kruczy włos:  
 Rozplata go ze łkaniem, zawodząc na swój los,  
 Nożyce ostre chwyta i bez namysłu tnie —  
 I przed rabinem siwym w noc późną zjawia się.

«Mój kruczy włos sławiono... oto go masz u stóp!  
 Wielbiono moją piękność — czyż ją poniosę w grób?  
 O, rabi! wszak Jehowa dał wieszczy tobie wzrok...  
 Kiedyż rozjaśni dziecię mojego życia mrok?»

Uczony mąż źrenice od świętych wznosi ksiąg  
 I topi w twarz Judyty. Ta wiję się śród mąk...  
 «Dziś pragniesz mieć dziecinę — czyż zawsze było tak?  
 Toż twego niewiniątka pierworodnego brak!»

Judyta lica, bledsze nad górskich szczytów śnieg,  
 Przysłania drżącą ręką i kryje w szaty brzeg.  
 I szłocha, i bełkoce, a łkanie pierś jej rwie —  
 Zdlawionym szepce głosem: «Jam zadusiła je!

«Mnie uwiódł jego ojciec, na pastwę nędzy dał...  
 Jam była słabem dzieckiem... Noc... wrzący uścisk... szal...  
 Szyderstwa, hańby bojaźń... o, maro strasznych dni!  
 Ach, czemuż wtedy serce z bólu nie pękło mi!»

Starzec przewraca karty odwiecznych świętych ksiąg,  
 W milczeniu kary szuka za czyn zbrodniczych rąk.

«Powstań, Judyto, powstań! Pokutne szaty złoś!  
 Czyzy pozór nie oczyści skalanych zbrodnią dusz.  
 Judyto! cięższa kara za twój przystoi czyn.  
 Czy zniesiesz ty pokutę dla odkupienia win?  
 Judyto! zaród śmierci w twym pocałunku tkwi...  
 Gdy będziesz matką — dziecię całować wzbraniam ci!

Idź — i samotny żywot z cierpienia snuj i łez...  
W weselnym dniu dziecięcia twej kary będzie kres!» —

Żyd Szymon znów jest ojcem. Łśni mnogich światel żar...  
W domu, jak w dniu weselnym, uciecha wre i gwar;  
Dziękczynne psalmy ojciec ku czci Jehowie śle,  
Matka rzewnymi łzami raz wraz zalewa się.  
Do piersi tuli dziecko, nie wypuszczając z rąk,  
I pragnie pocałunku — i wije się wśród mąk.

Ponad Szymona domem znów wrogi cięży los:  
Poostaniane okna — płacz — przyciszony głos.  
Judyta ręce łamie — łzy wyplakała już...  
«Znów dziecko mi odbierasz, o Panie! wzrusz się... wzrusz!»

«O matko, droga matko, ach! jakież rwie mnie ból!  
Ucałuj mnie, o matko! do ust mych usta tu!»

«Ucisź się, moje dziecko, nie wolno mi... ach... nie!»  
(«O, Panie miłosierny, czemu tak nękasz mnie?»)

«O matko, droga matko!... o, wiem ja dobrze, wiem,  
Że lękasz się gorączki, płonącej w łonie mem!»

Zbladł Szymon, z błędnych źrenic błysnęły gniewu skry...  
«Judyto! niegodziwą nędznicą jesteś ty!  
Tak! nieraz zadawałem językom ludzkim kłam —  
Błądziłem, nie chcąc wierzyć... dziś — oto widzę sam!  
Zła matka dobrą żoną nie może nigdy być!  
Judyto! precz mi z oczu!... precz z mego domu idź!»

Za rokiem rok upływa... szeregi biegną lat.  
Na smutny dom Szymona znów uśmiech szczęścia padł.  
Baldachim na podwórzu — w krąg ciżba gości... gmin...  
Szymona córę bierze Natan, sąsiadów syn.  
Wmieszana w tłum żebraczka, w osłonie nędznych szmat,  
Podąża, potrącana, w oblubienicy ślad.  
Wskroś ciżbę się przedziera, błaganie pierś jej rwie:  
«Pozwólcieź mi ją ujrzeć, o ludzie! puście mnie!»  
Już przysięgają. Wkoło błagalny toczy wzrok...  
Już chazen pieśń zawodzi... «O ludzie!... jeszcze krok!  
Wszak to moje dziecko! O córko! dziś twój ślub!»  
Całuje ją — i martwa upada jej do stóp. —

Weselny dzień dla matki był kresem ciężkich prób.

\_\_\_\_\_ *Tłum. Władysław Nawrocki.*

## MICHAŁ SZABOLCSKA

(ur. 1862)

### W GRAND CAFÉ

...Muzyka węgierska zawodzi —  
Gra o północnej godzinie,  
W obcej, dalekiej krainie —  
W przepychu i światłach powodzi  
Modnej kawiarni Paryża —  
Paryża!

Smutku, tęsknoty w grze — tyle!  
Muzyko, ty serce masz pewnie,  
Że opowiadasz tak rzewnie  
Naiwne rozrywek chwile,  
Co cieszą w Kondorosz juhasów —  
Juhasów!

I, zda się, światła tej sali  
 To raczej pastusze ogniska —  
 Tłum strojny się z trudem przeciska,  
 Przypływa, odpływa w kształt fali,  
 Nie słysząc tej sielskiej melodji —  
 Melodji.

Tłum strojny bawi się, burzy,  
 Szaleje, muzykę zagłusza,  
 A grajkom z strun zrywa się dusza —  
 Wdal płynąc, gdzie pośród wzgórz  
 Pasą się owce z csardy —  
 Z csardy.

*Tłum. Marjan Tatarkiewicz.*

### ANDRZEJ ADY

(1877—1919)

#### BIAŁA PANI

Jest zamkiem starym moja dusza —  
 Pańska i głucha, i ciemna tak.  
 (Nieprawdaż, wielkie są me oczy?  
 Lecz blasku im, lecz światła brak!)

Tu wiecznie się błakają duchy,  
 Czuć tchnienie krypt, stęchlizny woń,  
 Skroś mgłę skowyczą potępieńcy,  
 Omackiem grobu szuka dłoń.

Tętnią tu sale opuszczone,  
 Z posępnych murów w zieleń łąk  
 Wpatrują się dwa ciemne okna —  
 (Znużone oczy są od mąk.)

(I czasem tylko w nocie tajne  
 W tem mętne oku płonie blask.)  
 Po zamku chodzi biała pani,  
 I z okna brzmi jej śmiechu trzask.

#### JESIENIĄ

W południe jesienią trudno tak  
 Ze śmiechem dziewczętom skinąć;

Tak trudno jest w jesienną noc  
 Ku gwiazd błyskotom popłynąć;

Tak łatwo w ten jesienny czas  
 Ze łkaniem wdół się chynąć.

*Tłum. Alfred Tom.*

*Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.*

Z «TESTAMENTU WŁODZIMIERZA MONOMACHA»

(w. XII)

Wy, dzieci moje, i każdy, komu słuchać przyjdzie tego pisma mego — nie śmiećcie się z niego; a komu z dzieci moich przypadnie ono do duszy, niech przyjmie je w serce swoje i zacznie wieść nieleniwe a uczynne życie; a nadewszystko, dla miłości Boga i dla duszy swojej, niech ma w sercu lęk Boga i dawa szczodre jałmużny — to jest początek wszystkiego dobra. A jeśli-żে komu nie spodoba się moje pisanie, niech się nie sierzdi, a szczerze wypowie: «oto jadący w daleką drogę mówił nie do rzeczy». Na Włodze napotkali mnie posłowie od braci z temi słowy: «Sprzymierz się z nami i pójdziemy na Rościslawiczów odbierać im ziemię; a jeśli nie pójdiesz z nami — na zawsze się od ciebie odwrócimy». Odpowiedziałem im: «Mimo gniewu waszego — nie mogę iść z wami i naruszyć przysięgi». Odprawiwszy z tem posłów, w smutku będąc, wziąłem psalterz, otwarłem go i oto, co ujrzałem: «Czemuś smutna, duszo moja, i czemu się trwożysz?» i t. d. Tedy wybrałem z tych słów słowa, które przypadły mi do serca, złączyłem je razem i napisałem: «jeśli się wam nie spodoba to, co dodam od siebie — przyjmijcie to, co stoi na czele»...

*Thum. A. Maryńska.*

ZE «SŁOWA O WYPRAWIE IGORA»

(w. XII)

Nie zdałoby się, bracia mili,  
 Starodawnemi zacząć słowy  
 Smętną opowieść o mozołach  
 Onej wyprawy Igorowej?  
 Przystoi zasię pieśń tę zacząć  
 Nie jako Bojan zwykły przesławny,  
 Lecz wedle podań tego wieku.  
 Bo on, ów wieszcz gęślarz dawny,  
 Gdy komu pieśń zamierzył śpiewać,  
 Myślą rozpywał się po drzewie,  
 Po ziemi skakał wilkiem szarym,  
 Szybował orłem siwym w niebie.  
 Wspominał-ci on stare klechdy,  
 Niezgody, co bywały niegdy,  
 Zaczem sokołów bystrych dziesięć  
 Poigrać puszczał na łabędzie,  
 A który sokół pierwszy spadnie,  
 Ten łabędź pierwszy dumę gędzie:  
 Urodziwemu Romanowi,  
 Synowi Światosławowemu,  
 Jarosławowi sędziwemu  
 Lub odważnemu Mścisławowi,

Który przed pułki kasożskiem  
 Rededję ubił w krwawej walce...  
 Lecz nie sokoły na łabędzie:  
 Na żywe struny wieszczę palce  
 Opuszczał, bracia, stary Bojan  
 I struny same gędły sławę  
 Kniaziowych dni, kniaziowych wojen!  
 Niechaj więc powieść nasza, bracia,  
 Z zamierzchłych czasów Włodzimierza  
 Ku Igorowym dziejom zmierza.  
 Umocnił Igor ducha męstwem,  
 Pogonił myślą za zwycięstwem,  
 Wyostrzył serce swe w krzepkości,  
 Z pułkami ruszył w bój mężnemi  
 Z rodzimej ziemi, ruskiej ziemi,  
 Do wrażeń połowieckich włości.

Niewesoła nam, bracia, godzina,  
 Niewesoła godzina nastała!  
 Siłę naszą pokryła pustynia,  
 Dziewa Krzywda w ruskiej ziemi wstała.

Wstała Krzywda z Dadźbożych zastępów,  
 Po twej ziemi idzie, Trojanie,  
 Łabędziami skrzydłami pluszcze  
 W rzece Donie, w sinem morzu-oceanie.  
 Stare dzieje, tłuste łąta przypomina,  
 Jaka sława była ongi, jaka chwała.  
 Niewesoła nam, bracia, godzina,  
 Niewesoła godzina nastąpi!  
 Rzekł brat bratu: «To moje i to moje».  
 I o ziemię się brat z bratem swarzy,  
 I o małym powiada, że wielkie,  
 A tu czyha pohaniec wraży.  
 Sami sobie naraili niedolę:  
 Owoż przyszli Połowcy, Igorze.  
 Oj, daleko pofrunąłeś, sokole,  
 Goniąc ptaki, zaleciałeś nad morze.  
 A nie wskresić już wojska dziarskiego!  
 Słychać Żeli, Kariny płacz rzewny,  
 Idą Rusią z rogiem gorejącym  
 I żar-popiół roznoszą pogrzebny.  
 Żony ruskie szlochają, zawodzą:  
 Niema mężów naszych miłych, niema,  
 Ani dumą nam o nich podumać,  
 Ni pomyśleć, ni ujrzeć oczyma!  
 Złota-srebra nie uzbierać wdowie,  
 Niema mężów! pomarli ładowie! —  
 Jęknął Kijów z żaloby, bracia,  
 A Czernihów z napaści srogiej,  
 Płynię bołość tłusta ziemią ruską,  
 Połoniły ją tupieżce-wrogi.  
 Teraz kuną dań od dymu płac im!  
 Oj, źle, bracia, gdy są gniewy wśród braci.  
 Obudzili Igor z Wsewołodem  
 Tę niezgodę, co ją uspił rodzic.  
 Groźny był ów Światosław włodyka,  
 Książ kijowski, wielki Olegowic!  
 Burzą był! Runął gromem w Połowce,  
 Góry, lasy, jarugi przydeptał,  
 Zmiażdżył wrogów, w pień swym mieczem  
 wyciął,  
 Rzeki zmacił, potoki wychłptał.  
 A Kobjaka z nad zatoki — wichurą  
 Wyrwał z pułków żelaznych uścisku,  
 Śmignął chanem, jak kamieniem z procy,  
 I spadł Kobjak w kijowskim zamczysku.  
 Więc śpiewają Niemcowie, Grekowie,  
 Pieje pieśni Wenecja, Morawa,

Sławią kniazia obcy językowie,  
 Śpiewem sławią kniazia Światosława.  
 A synowi nie będzie pieśni  
 I nie dadzą mu czci i chwały,  
 Bo zasypał ruskiem złotem i skarbem  
 Wody rzeki połowieckiej Kajaty.  
 Zstąpił Igor ze złotego łęku,  
 W koszczejowy siadł, książę-pojmaniec!  
 O, lutości! O, nędzo! O, jęku!  
 Rozpanoszył się mściwy pohaniec!  
 Pod brzemieniem się ziemia ugina;  
 W grodach smętek, radość uleciała,  
 Niewesoła nam, bracia, godzina,  
 Niewesoła godzina nastąpi!

Śpiewał Bojan, pieśniarz dziejów dawnych.  
 Słuchał Oleg, Jarosław, Światosław.  
 Śpiewał gęślarz o książętach sławnych,  
 I w zamierzchłe czasy pieśń go niosła.  
 Książów gadką on nieraz zagadnie:  
 «Książę! Głowie bez karku niesporo,  
 Lecz i ciału bez łba nieporadnie!»  
 Tak też Rusi było bez Igora.  
 Słońce wyszło na spotkanie twoje,  
 Lado! Łado! Witaj nam, Igorze!  
 Na dunaju śpiewają dziewoje,  
 Do Kijowa płynię pieśń przez morze.  
 Przez Boryczew jedzie książę dzielne  
 Czołem bić Przenajświętszej Dziewicy,  
 Pirogoszczej Bogarodzicy.  
 Radość w grodach. Brzmia pieśni weselne.  
 Chrobrym wojom cześć już oddaliśmy,  
 Starym kniaziom pieśń wyśpiewaliśmy,  
 A należy się i dla młodszych cześć,  
 I junakom też trzeba okrzyk wznieść.  
 Ej, Igorze cny, żyj szczęśliwie nam!  
 I Włodzimierz syn niechaj żywie nam!  
 Niechaj żywie nam buj-tur Wsewołod!  
 A i wszyscy ci, com im śpiewał ot!  
 Niech raduje się chrześcijański lud,  
 Że książ wojsko wiódł na pogański ród.  
 Będziem chmielny miód z roztruhanów pić  
 Za tych, którzy szli bisurmanów bić!  
 Kniaziom i drużynie  
 sława, sława, sława!  
 Amen.

*Tłum. Julian Tuwim.*

### Z BYLIN O ŚWIATOGORZE

Wybrał się raz Światogor w szerokie pole pohulać,  
 Osiodłał swojego dobrego konia  
 i jedzie w szerokie pole.  
 Nie ma się z kim Światogor na siłę mierzyć



a siła - krzepkość po żyłach  
 naporliwie moce żywe przelewa.  
 Ciężko od siły-mocy, jak od wielkiego brzemienia.  
 I tak powiedział Światogor:  
 «Jakbym ja dobry uchwyt znalazł,  
 tobym tę całą ziemię dźwignął!»  
 I napotkał Światogor w stepie  
 małe-a-małe sakwy-dwojaki:  
 wziął bat, trąca sakwy — nie drgnęły;  
 dźwignął palcem — nie poruszyły się;  
 uchwycił z konia ręką — nie uniosły się.  
 «Wiele ja lat po świecie jeździłem,  
 a na taki dziw nie natrafiłem,  
 takiego cudu nie oglądałem:  
 małe-a-małe sakwy-dwojaki  
 nie drgną, nie poruszają się, nie podniosą się.  
 Zeskoczył Światogor z chybkiego konia,  
 uchwycił dziwy-sakwy obiema rękoma  
 i podniósł powyższy kolan —  
 i po kolana Światogor w ziemię ugrzązł,  
 a po zbladłem licu nie łzy, ale krew ciecze.  
 Jak Światogor ugrzązł, tak i wstać nie mógł —  
 tam też był jego skon.

*Tłum. A. Maryńska.*

## Z PIEŚNI LUDOWYCH

### PIEŚŃ O NAJŚCIU BATYJA

Z pod tej białej brzozy szeroko-gałęzistej,  
 z pod tego cud-krzyża Lewanidowego  
 szły i biegały cztery tury szczerozłotorogie,  
 chybkim krokiem wymijały ten sławny Kijów-gród.  
 I widziały nad Kijowem cud-nad-cudy,  
 i widziały nad Kijowem dziw-nad-dziwy:  
 jak po mur-ścianie Kijowa-grodu  
 chodzi-przechadza się żywa, piękna dziewczica,  
 w rękach trzyma księgę Bożą, Ewangelję,  
 mało w niej czyta — płacze nad nią wiele.  
 Uciekały tury precz od Kijowa.  
 I spotkały w drodze turę, rodzoną matkę,  
 dobieżały, zatrzymały i pozdrowiły:  
 «Witaj nam, turo, rodzona matko!»  
 «Witam was, tury, kochane dziatki!  
 Gdzieście chodziły? coście widziały?»  
 «Krokiem-skokiem biegaliśmy przez Kijów, sławny-gród,  
 mimo tego, matko, muru grodowego,  
 mimo tych baszt kamiennych-brzemiennych.  
 I widzieliśmy nad Kijowem cud-nad-cudo,  
 i widzieliśmy nad Kijowem dziw-nad-dziwo:  
 tam po mur-ścianie, po tej grodowej,  
 chodzi-przechadza się żywa, piękna dziewczica,  
 w rękach trzyma księgę Bożą, Ewangelję,  
 i czyta w niej mało — a płacze wiele».  
 I odrzekła tak im tura, rodzona matka:  
 «Oj, wy moje drogie tury złotorogie —

o niczem wy, małe dziatki, nie wiecie:  
to nie piękna, żywa dziewa chodziła tam po murze,  
a chodziła Przenajświętsza Matka-Bogurodzica,  
a płakała mur-ściana, matka grodowa.  
Przepowiada przepowiednia-wiara chrześcijańska:  
na Kijów-gród przyjdzie zguba...

## MIMO LASU, MIMO CIEMNEGO...

Mimo lasu, mimo ciemnego,  
mimo ogrodu zieleniutkiego,  
dróżka-drożenka przebiegała,  
szerokim pasem las opasała.  
Oj, po tej dróżce, po drożenie,  
idą tam, idą żołnierzyki,  
żołnierzyki prowadzą śmiałego młodziana,  
udałego młodziana-rozbójniczka:  
chyże nóżki w żelazo skowane,  
wtył rączki związane,  
a jasne oczki zaplakane.  
Oj, wiedą go, wiedą w tę kamienną Moskwę,  
grodowi złotemu, carowi Groźnemu.  
I zaczął młodziana car wypytywać:

«Wyznaj mi zaraz, udaly młodzianie,  
z kim rabowałeś, z kim rozbój trzymałeś  
i kto są twoi towarzysze?»

«Odpowiem tobie, prawosławny carze,  
z kim rabowałem, z kim rozbój trzymałem  
i kto są moi towarzysze:  
Najpierwszy mój towarzysz —  
to ta ciemna noc,  
a ten drugi mój towarzysz —  
to mój wrony koń,  
a ten trzeci mój towarzysz —  
to mój ostry nóż».

*Tłum. A. Maryńska.*

## ANTJOCH KANTEMIR

(1709—1744)

## NA GANICIELI NAUKI albo DO SWEGO ROZUMU

(wyjątek)

(Autor wprowadza typy zacofañców z ich poglądami na naukę; energiczny szlachcic, który kieszeń nadewszystko ceni, tak rozprawia:)

Rozum stracił, kto duszy granice i moce  
Bada, kto w czoła pocie męczy się dni, noce,  
Aby porządek świata i rzeczy przemianę  
Wysledzić — toć on głupio rzuca groch na ścianę.  
Czyż mi z tego choć jeden dzień przyrośnie w życiu  
Lub grosz w kabzie, czy zbadam, ile mi w ukryciu  
Kradnie włodarz, ekonom, jakby dodać w stawie  
Wody, albo czyż więcej beczek wódki sprawię?  
I to głupio, gdy człowiek z troską przy ognisku  
Bada kruszców własności, cóż ma z tego w zysku?  
Czyż abecadło od dziś dopiero umiemy?  
Różnicę złota, srebra, miedzi znać możemy.  
A traw, chorób znajomość? — Głupstwo, mówiąc szczerze;  
Kiedy głowa cię boli, lekarz rękę bierze;  
Wszystkiemu krew jest winna, jeśli dasz mu wiarę.  
Kiedy słabniemy, to w nas płynie krew nad miarę  
Powoli; jeśli śpiesznie, gorączka — wnet śmiało  
Powie, choć kto tam przejrzał wewnątrz żywe ciało!  
I kiedy brednie takie, tracąc czas, wywodzi,  
Sok najlepszy nam z worka do niego uchodzi.  
Poco gwiazd biegi liczyć, naco się to zdało?  
Poco dla jednej plamy nie spać przez noc całą?

Spokój za ciekawości tracić czczym nakazem,  
 Czy się słońce obraca, czy my z ziemią razem?  
 W kalendarzu przeczytasz bez wszego zachodu  
 Dzień miesiąca, godzinę słonecznego wschodu,  
 Bez Euklida ziemię podzielim w kawały,  
 Bez algebry wyliczym, ile rubel cały  
 Ma kopiejek. — Tak Sylwan tę wiedzę wychwala,  
 Co uczy zmniejszać rozchód, a dochód ustala.  
 Pracować nad tem, z czego kieszeń nie grubieje,  
 Szkodliwy to nierozum! On się z niego śmieje.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

MICHAŁ ŁOMONOSOW  
 (1712—1765)

Z «ODY NA DZIEŃ WSTĄPIENIA NA TRON CESARZOWEJ ELŻBIETY»

Ty carstw i carów ulubiona  
 Uciecho, ciszo ty bezpieczna,  
 Tyś szczęście wsi i miast obrona,  
 Jakżeś ty piękna, użyteczna!  
 Dokoła ciebie kwiat się śmieje  
 I kłos na polu ci żółcieje;  
 Okręty skarb już niosą swój,  
 Na morze idąc nietrwożliwie,  
 A ty swą ręką szcudrobliwie  
 Na ziemię sypiesz bogactw rój.

Ty wielkie światło, które z góry,  
 Z wyżyny wiecznej rzucasz blaski  
 Na perły, złoto i purpury,  
 Na wszystko ziemi piękno, łaski,  
 Na wszystkie strony okiem wodzisz,

Nic piękniejszego nie znachodzisz  
 Nad pokój i Elżbiety czar.  
 Ty się nad nasze wznosisz głowy:  
 Jej dusza powiew zefirowy,  
 A wzrok jej niby raję dar.

.....  
 Nauki młodzież żywią sobą,  
 Pociechą starcom też bywają,  
 W szczęśliweim życiu są ozdoba,  
 W nieszczęściu znów ochronę dają.  
 Pociecha w trosce to domowej,  
 W podróży lekkie brzemię głowy,  
 Nauki wszędzie cieszą lud:  
 Wśród narodów, w pustyni czczości,  
 We wrzawie miast i w samotności,  
 W pokoju słodki niosą trud.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

ODA  
 (początek)

Ty, co próżne lejąc żale,  
 Sarkasz na Nieba, człowiecze,  
 Słuchaj, co groźny w zapale  
 Z chmury Bóg do Hioba rzecze.  
 Przez grad, wichry, deszcz, płomienie,  
 Głosem On gromy przerywał.  
 Trzęsło się nieba sklepienie,  
 Gdy go tak na spór wyzywał:

Powstań w męstwie i rozsądku!  
 Powiedz mi, gdzieś był przed laty,  
 Kiedym ja w pięknym porządku  
 Stwarzał ten i drugie światy;  
 Kiedym twierdze ziemi stawał,  
 Wielkość i władzę Jehowy,  
 Poczet Anielski wystawiał —  
 Jakaż mądrość twojej głowy?

Gdzieś był, kiedym gwiazd tysiące  
 Zasiał w bezdennej przestrzeni,  
 Kiedym ich światła iskrzące  
 Zażęł ogniem twórczej dłoni,  
 Gdy ze słonecznego czoła  
 Potok promieni wytrysnął,  
 Świat ożywiając dokoła,  
 Gdy wśród nocy księżyc błysnął.

Kto dał morzom brzeg ze skały,  
 Nurtoim ich kresy położył,  
 Czyjeż-to więzy nie dały,  
 By się wściekły gniew ich srożył?  
 Czy nie mojej ręki siła,  
 Mrok rozegnawszy zadęty,  
 Ciemne przepaści odkryła,  
 Pchnęła z ładu słone męty?

Czy posłuszna twojej woli Zorza od wschodu przyśpieje?	Lub gdzie morskie wrą topiele, Czyli się krok twój zakradnie?
Czy się na spiekłe dno roli Drogi z nieba deszcz poleje?	Może policzysz, jak wiele Dziwotworów mieszka na dnie?
Czyli zdołasz łódź natchnieniem Wiatrów unosić polotnych?	Kędy wieczna noc przesiada I niepowrotne są drogi,
Wstrząśniesz ty ziemi brzemieniem, Byś wyrzucił z niej przewrotnych?	Śmierć li cię ujrzała błada — Czyś piekielne zdeptał progi?

Tłum. Jan Kruszyński (1825).

## ALEKSANDER SUMAROKOW

(1718—1777)

### Z «TRESSOTINIUSA»

(Autor ośmiesza tutaj współczesnego literata — Tredjakowskiego.)

Tressotinius (*do Klaryssy*): Piękna piękności, przyjemna przyjemności, kłaniam się pani bardzo wiele.

Klaryssa: I ja panu bardzo wiele się odkłaniam, wielce uczona uczoności.

Tr. (*wyjmując pieśń z kieszeni*): Ten papier jaśniej pani powie, jaką zarazę w sercu mojem przyjemność pani, to jest piękność pani, mnie uczyniła, to jest zrobiła.

Kl.: Wierzę panu.

Tr.: Jednakże czy pani nie raczy nudzić się i posłuchać, a piosnka moja napisana bardzo, bardzo, właściwie mówiąc, za bardzo dobrze; a nadto jeszcze, szanowna pani, miarą choreiczną.

Kl.: Bardzo dobrze, panie, ja panu wierzę, że to dobra pieśń.

Tr.: Napisana jest na melodję: O, miejsca, miejsca drogie; racz, pani, posłuchać; ależ posłuchaj, pani!

Kl. (*na stronie*): Boże miłosierny!

Tr. (*czyta*):

Patrząc na twą piękność, palę się, jej, jej!  
Racz mię ty wyzwolić od boleści mej!  
Brew twa mię przebiła, głos mi krew zapalił.  
Męczysz mię, Klimeno, grot twój z nóg mię zwałił.  
Widzieć ciebie jest mi lubo,  
O, bogi mej miłości!  
Tylko dla mnie to jest zgubą,  
Żeś mi weszła w krew i kości.  
Albo ty mną, słodka pycho, światło miłe moje,  
Gardzisz ciągle, ach, niestety! jak się tego boję!  
Choć pocichu mi, Klimeno, okaż wzrok nęcący,  
Nie rób więcej sercu memu krzywdy zbyt krzywdzącej.  
Nie psuj twojej tem młodości  
I skłoń siebie ku mnie,  
Dozna umysł mój słodkości,  
Będę żyć nie w trumnie.

Kl.: Bardzo dobra pieśń.

Tr.: Racz, pani, posłuchać dalej.

Kl.: Nie, mam już dosyć.

Tr.: Jak pani się to słowo wydaje: «Nie rób więcej sercu memu krzywdy zbyt krzywdzącej»? Czyż to nie jest silnie powiedziane? Racz, pani, posłuchać dalej.

Kl.: Proszę nie trudzić się dla mnie więcej, mam już dosyć.

Tr.: Choć jeden jeszcze kuplet pozwól mi przeczytać.

Kl.: Proszę mi dać, ja sama przeczytam potem.

Tr.: Proszę, piękności moja, ale tylko racz przeczytać ze zrozumieniem: to przecież nie O, miejsca, miejsca drogie; tę pieśń i treść jej niekażdy zrozumie; tu są takie subtelności, iż one nawet przed wielu uczonymi są zakryte. Wprawdzie niejednemu się wyda, że to fraszka; jednakże, pani moja, pozwól mi powiedzieć, że w tej fraszce jest wiele treści, czego ja argumentalnie dowieść mogę.

Kl.: Ja dowodów pańskich nie potrzebuję, a sporów nie lubię.

### DWIE CÓRKI PODJACZYCH

(Bajka)

Był sobie podpisarz, człowiek dobry wcale,  
 A co się nie słyszy w świecie:  
 Miał rozum rzeźwy,  
 Chłop to był trzeźwy,  
 W dodatku umiał pisać doskonale.  
 Wy, czytelnicy, pewno wierzyć nie będziecie,  
 Mówiąc, że oto autor udaje;  
 Na to wam prawię, że to nie ambaje,  
 Lecz prawda, wiercie lub nie wiercie sobie;  
 Że to jest chamskie plemię,  
 Że to pokrzywy siemię  
 I że to duszą do niebios nie wzlata,  
 Że ci panowie mają w djable swata —  
 Z tego sekretu ja nie robię.  
 Więc tak w ubóstwie przeszedł żywot podpisarza,  
 Choć pracował, co się rzadko zdarza,  
 I dni i noce, wcale się nie bawił,  
 Umarł i córkę po sobie zostawił.  
 I przy zgonie nadzieją tą cieszył się przecie,  
 Że córka zawsze znajdzie przytułek na świecie.  
 Był też drugi podpisarz — ręka jego kradła,  
 Był pijakiem i głupcem, nie znał abecadła;  
 Zostawił córkę, grosza moc, kiedy umierał;  
 Córka brała dostatki, czart duszę zabierał.  
 Pierwsza z torbą dziadowską włóczy się po świecie,  
 A druga pyszni się w karecie.  
 O, Boże, Boże miłościwy!  
 Jakże źle wynagrodzon taki, co uczciwy!

\_\_\_\_\_ *Tłum. Bronisław Grabowski.*

### DENIS FONWIZIN

(1745—1792)

#### Z «NIEDOROSTKA»

Eremejwna: Mitrofanku, poucz się trochę.

Mitrofan: No, jeszcze słowo powiedz, ty stare babsko, a już ja cię urządzę!  
 Znów się poskarzę mateczce: zrobi mi tę laskę i starmosi ci łeb po wczorajszemu.

Skotinin: Chodź-no tu, braciszku.

Eremejwna: Raczej podejść do wujaszka.

Mitrofan: Witam wujaszka! Czemu się wujaszek tak najeżył nietaskawie?

Skotinin: Mitrofan! Patrz prosto na mnie!

Eremejwna: Popatrz, rodzony.

Mitrofan (*dó Emerejewny*): A wujaszek co za dziwo? Co ja na nim zobaczę?

Skotinin: Mówię jeszcze raz: patrz prosto na mnie!

Eremejewna: No, nie gniewaj wujaszka. A to spojrzysz, rodzony, jak on oczy wybałuszył, i ty swoje oczki tak samo wybałuszaj.

*(Skotinin i Mitrofan, wytrzeszczywszy oczy, patrzą jeden na drugiego.)*

Milon: A to niezwykle wyjaśnienie!

Prawdin: Jak się to wszystko skończy?

Skotinin: Mitrofan! Ty teraz na włosku wisisz. Mów całą prawdę. Gdybym się grzechu nie bał, tobym cię, i słowa nie mówiąc, za nogi wziął i o ścianę, ale nie chcę gubić duszy, póki nie wykryję winowajcy.

Eremejewna: Oj, ubije go na śmierć! Gdzie się moja głowa podzieje?

Mitrofan: Ale co wujaszek — blekotu się objadł? Ja nic nie wiem, skąd wujaszki ochota tak się na mnie rzucać?

Skotinin: Słuchaj-no, nie zapieraj się, żebym z ciebie w złości odrazu ducha nie wytrząsł. Teraz się już nie obronisz. Mój grzech: winien jestem przed Bogiem i Najjaśniejszym Panem. Uważaj, oskarż że siebie, żebys próżno bicia nie dostał.

Eremejewna: Chron, Panie Boże, napróżno!

Skotinin: Chcesz się ty żenić?

Mitrofan *(wdzięcząc się)*: Już dawno, wujaszku, bierze ochota...

Skotinin *(rzucając się na Mitrofana)*: Ach, ty, świnię przekłeta!...

Prawdin *(nie dopuszczając Skotinina)*: Mości Skotinin! ręką woli nie dawaj!

Mitrofan: Niania! broń mnie!

Eremejewna *(zastania Mitrofana, zaczerwieniwszy się i podniósłszy kutki)*: Zdechnę na miejscu, a dziecka nie dam. Przystąp, mości panie! chciej tylko przystąpić! Ja ci te ślepia wydrapię!

Skotinin *(zatrząsł się i, grożąc, odchodzi)*: Dam ja wam!

Eremejewna *(trzęsąc się, woła za nim)*: Pazury mam ostre!

Mitrofan *(za Skotininem)*: Idź sobie, wujaszku, wynoś się!

*Tłum. A. Maryńska.*

## GABRJEŁ DIERŻAWIN

(1743—1816)

B Ó G

(Wyjątki)

O Ty, którego przestrzeń nieskończona,  
Co żyjesz w ruchu różnych stworzeń mnóstwa,  
Coś był, nim wieki wyszły z Twego łona,  
Próżen postaci, w trzech osobach Bóstwa:  
Duchu obecny wszędzie i jedyny,  
Któremu nie masz miejsca ni przyczyny,  
Niedościgniony dociekaniem mnogiem;  
Co wszystko w sobie samym obejmujesz,  
Napelniasz sobą, tworzysz, zachowujesz,  
Którego, ludzie, nazywamy Bogiem!

Zgruntować, zmierzyć ocean głęboki,  
Policzyć piaski, promienie gwiazd, słońca  
Chociażby rozum potrafił wysoki:  
Tobie ni miary nie masz, ani końca.  
Jasnością Twoją doskonale błoga,  
Twór światła, duchy pojmować nie mogą,  
Jakie gotujesz rzeczom przeznaczenie:  
Ledwo się waży umysł śmiertelnika  
Podnieść ku Tobie, w Twym ogromie znika,  
Niby w wieczności jedno okamgnienie.

Zamętu bytność, czasem określoną,  
 Z głębin bezdennej wieczności wezwałeś;  
 A przed wiekami wieczność urodzoną,  
 Jej Twórca, w sobie samym osnowałeś;  
 Własne jestestwo sam nadawszy sobie,  
 Przez się w niezgasłej jaśniejąc ozdobie,  
 Ty jesteś światłem, skąd źródło światła płynie,  
 Wydałeś wszystko jednym tylko słowem,  
 A rozpostarłszy się w stworzeniu nowem,  
 Tyś był, jest, nigdy Twój byt nie przeminie.

O, niepojęty! O, niedocieczony!..  
 Znam duszy mojej płonne wysilenia,  
 Obrazem Twoim cały zaprzątiniony,  
 Nie zdołam wydać rysów Twego cienia!  
 Lecz jeśli winien głosić Twe pochwały,  
 Jakże je wyda ród śmiertelnych cały?  
 Z jaką czcią stanie przed Twojem Imieniem?  
 Ledwo mu wolno wznieść się od poziomu,  
 Gubić się wpośród Twojego ogromu  
 I lzy wdzięczności wylewać strumieniem.

*Tłum. Ignacy Szydtowski.*

WYJĄTEK Z «ODY NA ŚMIERĆ KSIĘCIA MIESZCZERSKIEGO»

W rozkoszy twój upływał wiek.  
 Mieszczerski, gdzieś się skrył przed nami?  
 Ty opuściłeś życia brzeg,  
 Poszedłeś żyć między cieniami;  
 Tu popiół twój, a duch już tam.  
 Gdzież on? — On tam. — Gdzie tam? — Nie wiemy.  
 My tylko tutaj lzy lejemy:  
 Zrodzonym na świat biada nam!

Gdzie radość, miłość, uciech śpiew  
 Ze zdrowia pełnią wraz kipiwały,  
 Tam się we wszystkich ścina krew  
 I duch zamiera ostłupały.  
 Gdzie stał wprzód stół, tam leży trup;  
 Gdzie brzmiała wrzawa wśród biesiady,  
 Tam żałobników orszak błądny,  
 A śmierć na nowy czyha łup..

Na wszystkich patrzy: czyto król,  
 Któremu w całym świecie ciasno,  
 Czy pan, bogaty władca pól,  
 We złoto strojny, w szatę jasną;  
 Na piękno patrzy, krasny kwiat,  
 Na rozum patrzy wielki, wzniosły,  
 Na siły, co zuchwale wzrosły —  
 I ostrzem kosy straszy świat.

Śmierć ciągnie nas w grobowy loch!  
 My pycha, która wnet blednieje:  
 Dziś jeszcze Bóg, a jutro proch;  
 Schlebają dzisiaj nam nadzieje,

A jutro — gdzie ty, nędzny człek!  
 Godziny ledwie przejść zdążyły,  
 A już się w otchłań zatoczyły,  
 I jako sen twój przeszedł wiek.

.....  
*Tłum. Bronisław Grabowski.*

[NIEPOWSTRZYMANA CZASU RZEKA...]

Niepowstrzymana czasu rzeka  
 Zabiera wszelki ludzki trud,  
 I przepaść zapomnienia czeka  
 Każde mocarstwo, króla, lud.

A jeśli szczątki ocaleją  
 W dźwięcznej harmonji trąb i lir,  
 Nie ujdą losu — i kolejną  
 W czarnej wieczności wpadną wir.

—————  
*Tłum. Mieczysław Giergielewicz.*

MIKOŁAJ KARAMZIN

(1765—1826)

Z «LISTÓW PODRÓŻNIKA ROSYJSKIEGO»

(Paryż, 2 kwietnia 1790 r.)

«Ja — w Paryżu!» Myśl ta sprawia w mojej duszy jakieś nadzwyczajne, przemijające, nieokreślone, przyjemne wrażenie... «Ja w Paryżu!» — mówię sam do siebie i lecę z ulicy w ulicę, od Tuileries do Pól Elizejskich; raptem się zatrzymuję, patrzę na wszystko z nadzwyczajną ciekawością: na domy, na karety, na ludzi. Wszystko, o czym wiedziałem z opisów, widzę na własne oczy — jestem wesoly i radosny, widząc żywy obraz największego, najslawniejszego miasta na świecie, cudnego, jedyne go w swoim rodzaju dzięki różnaitości swego wyglądu.

Pięć dni minęło, jak pięć godzin, w hałasie, w tłoku, na przedstawieniach, w bajkowym pałacu Palais-Royal. Moja dusza jest przepelniona żywymi wrażeniami, lecz nie mogę zdać sobie z nich sprawy; nie jestem w stanie powiedzieć wam czegoś zwięzłego o Paryżu. Niech ciekawości mojej stanie się zadość, a potem będę miał czas do reasumowania, do opisywania, do pochwały, do krytyki. Teraz wskażę tylko na jedno, co, mojem zdaniem, jest główną cechą charakterystyczną Paryża — nadzwyczajna ruchliwość ludności, godna podziwu prędkość w słowach i czynach. System wichrów Kartezjusza mógł powstać jedynie w głowie Francuza — mieszkańca Paryża. Wszyscy tu się śpieszą, niewiadomo dokąd; wszyscy jakby chcą wyprzedzić jeden drugiego; łapią, chwytają pomysły; zgadują, czego kto pragnie, aby jak najprędzej załatwić sprawę. Jakież to rażące przeciwieństwo — naprzykład w porównaniu z poważnymi Szwajcarami, którzy zawsze kroczą spokojnie, przysłuchują się z nadzwyczajnem skupieniem, wywołującem rumieniec wstydu na twarzy skromnego człowieka; przysłuchują się nawet wtedy, gdy przestano już do nich mówić; obmyślają, co usłyszeli, odpowiadają nadzwyczaj powoli, nadzwyczaj ostrożnie, kępując się, że nie zrozumieli dobrze wszystkiego. A mieszkani c Paryża zawsze pragnie odgadywać; nie skończysz o coś pytać — on już odpowiedział, ukłonił się i poszedł sobie!

—————  
*Tłum. Sergiusz Kutakowski.*

JAN KRYŁOW

(1768—1844)

Z «BAJEK»

Świnia

Raz świnia dostała nielada honoru:

Aż na dziedziniec pańskiego dworu  
 Weszła i ku śmietnikom wprost powędrowała,  
 W gnoju się wytarzała,  
 W pomyjach się wykapała,



I zachwycona niezwykłą gością —  
 Jaką tam przyszła, taką stamtąd wyszła świnia.  
 «Toś się, świnko, we dworze dziwów napatrzyła?»  
 Spytał pastuch, «prawdaż to, co tu wieść głosiła,  
 Że tam piękność tak cudna, że bogactw tak wiele,  
 Iż, nie równając, jak w jakim kościele?  
 A pereł drogich ma być takie mnóstwo,  
 Że mogłyby z bogactw naszej wsi ubóstwo!»  
 Świnia na to odpowie: «To kłamstwo szkaradne!  
 Ni tam skarby, ni perły, ni piękności żadne;  
 Same pomyje, śmietniki, gnojarnie;  
 A wiesz przecie, że ryjka nie używam marnie:  
 Zryłam tam wzdłuż i w poprzek, i w dole, i w górze,  
 Całe tylne podwórze!»

—  
 Nie chciałbym, lecz każdy snadnie  
 W świni tej bajki krytyka odgadnie,  
 Który w życiu i w dziełach nie piękność, nie cnotę,  
 Lecz ma dar wynajdywać zdrożność i szpetotę.

#### Ciekaw y

«Czyś zdrow, gdzieś był, coś widział?» — «Żem zdrow, widzisz przecie;  
 Że zaś w zoologicznym byłem gabinecie,  
 W tej wszelkich cudów arce Noego,  
 Więc nie: com widział, ale pytaj: czego  
 Tam nie widziałem raczej,  
 Bo inaczej  
 Choćby na krótkie nawet opisanie  
 Tego, com widział, pewno słów nie stanie.  
 Czy dasz wiarę, gdy powiem, że od obejrzenia  
 Tych arcydziwów wszystkich królestw przyrodzenia  
 Jaśniej mi teraz przejrzał się świat Boży!  
 Człeka odtąd lada co ni zdziwi, ni strwoży.  
 Co bo tam za zwierzęta, płazy, ptaki, gady!  
 A nadewszystko dziwny świat maluczki —  
 Owe owady!  
 Co to za ładne chrząszcze, muszki, żuczki!  
 Jedne jak szmaragd, rubin, jak korale — inne!  
 A te tak cudne motylki!  
 A owe drobne, niewinne  
 Boże krówki,  
 Mniejsze od główki  
 Malutkiej szpilki!» —  
 «Jakże ci się słoń wydał z swą trąbą, jak rurą?» —  
 «Czyż słoń tam jest?» — «Jakże, jest! cóż, zdał ci się górą?» —  
 «Przyznam się, że gabinet po trzykroć przebiegłem,  
 Słonia jednak nie spostrzegłem».

#### Szkatułka

Często przytrafia się nam  
 Arcymądrość widzieć tam,  
 Gdzie prosty umysł, co jasno pojmuje,  
 Nadzwyczajnego nic nie znajduje.

Na stole szkatułka stała  
 I pięknocią roboty gości zadziwiła.  
 Wtem wchodzi mędrzec, spojrzął i rzecze:  
 «Robota, jak robota — piękności nie przeczę,  
 O nią mniejsza; lecz zamek jest sztucznie ukryty!  
 Napozór niema, a jest! o, nie w ciemnym bity!  
 Jest, i skrytkę wnet znajdę». — Zaczął wyszukiwać,  
 Przewracać, to pociskać, macać, rozpatrywać...  
 Wszyscy się w duchu śmieją, ściskają ramiony:  
 «Nie tu, nie tam, gdzie indziej!» — Tak ciągle zwodzony,  
 Bada, śledzi, rozgląda, pot z czoła ociera:  
 A szkatułka zwyczajnie się otwiera.

*Tłum. A. J. Gliński.*

### O siel i słowik

Spostrzegł osiel słowika i woła: «Hej, stary!  
 Mówią, żeś ty najlepszy śpiewak w naszym lesie.  
 Rzecz, na oko, nie do wiary!  
 Ano, popisz-że się.  
 Żem krytyk, znać po uszach. Sąd zaraz wydamy,  
 Czy nie za wiele w tych głosach reklamy».

Zabolało pieśniarza podejrzenie osła, —  
 Więc dotkniętego w artystycznej dumie  
 Chęć nieodzowna uniosła  
 Pokazać wszystko, co umie.

Jak wirtuoz, co, zanim grę właściwą zacznie,  
 Różnemi pasażami sprawdza lutni dźwięki,  
 Tak słowik, nim uderzył w melodię piosenki,  
 Zaklaskał, zaszczebiotał, zaszlochał nieznacznie,  
 Wziął ton niski, wysoki, jeden, drugi, trzeci...  
 Poleciała pieśń w niebo. Ton za tonem leci:  
 To się strugą przelewa, to kroplami pluska,  
 To ciszę trylem pieści, to ją rwie okrzykiem...

Słucha las — wiatr zaprzestał gonitwy z wietrzykiem,  
 Zadumał się dąb stary, zapłakała brzoźka,  
 I ptasząt zmlkło ćwierkanie,  
 I stad głosy na polanie;  
 A pastuszek, słowiczą pieśnią kojąc serce,  
 Dech zaparł i wzrok tęskny zwraca ku pasterce.

Skończył słowik. Kłapouch w ziemię zapatrzony:  
 «Owszem» — powiada — «owszem, wcale niezłe tony.  
 Można słuchać. Jest medjum, jest wysoka nuta...  
 Ot, szkoda, że naszego waść nie znasz koguta.  
 Jużby ci pewno nie brakło niczego,  
 Gdybyś się jeszcze poduczył u niego».

Tu ptak zerwał się, frunął hen, hen, bez pamięci.  
 Odtąd nie dba, co mówią o nim recenzenci.

*Tłum. Benedykt Hertz.*

## BAZYLI ŻUKOWSKI

(1783—1852)

## SWIETŁANA

(początek)

Raz, ciekawe przyszłej doli,  
Różnemi kabaty  
Dziewice wilją Trzech Króli  
Przyszłość zgadywały.  
To policzonem ziarenkiem  
Gołąbki karmiły —  
Biegły słuchać pod okienkiem,  
Biały воск topiły.  
To w kielich, wodą nalany,  
Kładły pierścień pozłacany,  
Kaźda z prawej ręki:  
Nad nim dzierżąc obrus biały,  
Wszystkie razem w takt śpiewały  
Godowe piosenki.

Noc już była — księżyc bladej  
Świeci przez tumany.  
Wtem najweselsza z gromady  
Rzeczy do Swietłany:  
«Siostro! masz li wiecznemi łzami  
Zlewać twarz rumianą?  
Tańcuj z nami, śpiewaj z nami,  
Kochana Swietłano!  
Wróci wkrótce twój młodzieniec,  
Wij mu z róży, z ruty wieniec,  
Złoty pierścień z ręki  
Rzuć do czary, potem wkoło  
Skacząc z nami, nuć wesoło  
Godowe piosenki!»

«Lube siostry! nie zmuszajcie  
Śpiewać mię ni skakać;  
Wy szczęśliwe, wy śpiewajcie —  
Mnie pozwólcie płakać!  
Rok już minął, żadnej wieści  
O miłego bycie;  
We łzach gorzkich i boleści  
Młode włokę życie.  
Zginął li? czy mię niepomny,  
W obcej ziemi, wiarołomny,  
Z łez mych czyni śmiechy?  
Ja się modłę, ja łzy leję;  
Utul boleść, wróć nadzieję,  
Aniele pociechy!»

Wtem, patrz! za starszych poradą,  
Niosą stół dziewice;  
Na nim dwa talerze kładą,  
Pałą cztery świece.  
Stawia zwierciadło na stole  
Biało podestane,

Piszą koło i w tem kole  
Sadzają Swietłanę.  
«Siedz i nic się nie bój wcale:  
W czystym zwierciadła kryształe  
Obaczysz kochanka.  
Gdy z wieży północ uderzy,  
Siądzie z tobą do wieczery —  
Zabawi do ranka».

Już w izbie niema nikogo.  
Naprzeciw zwierciadła,  
Drżąca, blade, z tajną trwożą,  
Dziewica usiadła.  
Na najmniejszy szelest trzyma  
Wyteżone ucho;  
Nie śmie wtył rzucić oczyma —  
Wkoło ciemno, głucho.  
Płomyk tylko świec niejaśnie  
To wybuchnie, to przygaśnie,  
Zwęża się, to szerzy.  
Wtem wiatr świsnął po dolinie,  
Smutnie ćwierknął świerszcz w kominie,  
Północ bije z wieży.

Północ! Nagle w martwej ciszy  
Strwożona dziewczica  
Lekki kłamki brzęk usłyszysz.  
Pot wybił na lica,  
Srogie zimno ją przepadło,  
Pierś się trwożą wzdyma —  
Któż to patrzy we zwierciadło  
Bystremi oczyma?  
W zbladłych ustach mdleje mowa;  
A wtem ciche, miłe słowa  
Głos wymówił znany:  
«Poco bojaźń? Poco trwoża?  
Tom ja z tobą, moja droga!  
Płacz twój wysłuchany!»

Obejrzy się — ku niej miły,  
Wyciągając ręce:  
«Łzy twe Niebo umodliły,  
Koniec wspólnej męce!  
Śpiesz Swietłano! już w kościele  
Kapłan na nas czeka;  
Śpiesz, kochanko, na wesele,  
Droga niedaleka!»  
Za odpowiedź wzrok wzajemny.  
Idą przez dziedziniec ciemny,  
Na szeroki ganek,  
Gdzie dwa konie niecierpliwe,

Brzęcząc cugłem, jeźąc grzywę,  
Czekają u sanek.

Siedli — konie w szybkim biegu,  
Zda się, nie tkną ziemi;  
A z pod kopyt chmura śniegu  
Wzniosła się nad niemi.  
Ciemno wkoło, pusto wkoło;  
Step w oczach Swietlany

I księżycą blade czoło  
Omgliły tumany.  
Zimny strach jej serce chwyta —  
Z trwogą dziewica zapyta:  
«Bliskiz koniec jazdy?»  
Ni pól słowa odpowiedzi:  
Miły cichy, smutny siedzi,  
Wzrok wlepiony w gwiazdy.

— — — — —  
*Tłum. A. E. Odyniec.*

MORZE

O, ty morze milczące, lazurowe morze!  
Oczarowany, nad twą przepaścią tu stoję.  
Ty żyjesz i oddychasz, łono twoje porze  
I miłość, i tęsknota, trwogi niepokoje.  
O, lazurowe morze, o, przestrzeni cicha!  
Odkryj mi tajemnice głębi twego łona:  
Czem się jego powierzchnia wstrząsa niezmierzona,  
Powiedz, czem wysilona twoja pierś oddycha?  
Czy cię ciągnie ku sobie z tej ziemskiej niewoli  
Daleki nieba błękit, jasny i uroczy?  
O! ty błogiem tchniesz życiem i nic cię nie boli;  
Tyś czyste, gdy cię blaskiem ono swym otoczy;  
Jasnym jego lazurem twoje fale płyną  
I światła gorejące rozlewasz potoki,  
Pieścisz miłośnię nieba złociste obłoki,  
Radujesz się, gdy w głębiach twoich gwiazdy giną.  
A gdy się nagromadzą groźne, czarne chmury,  
Jakby odebrać chciały jasne niebo tobie,  
Ty się burzysz i ryczysz, a mgły kir ponury,  
Falą bijąc, pogrążyć chcesz w przepaści grobie.  
I mgły znikną, i chmury tobie nie dostoją;  
Lecz trwogą dawną obszar twój opanowany  
Długo jeszcze ulękle wznosi swe bałwany,  
I długi czas przeminie, nim cię uspokoją  
Powróconego nieba pogoda, blask błogi!  
Zwodnicza jest powierzchni twej spokojność miła,  
Bo głębina wód twoich pełna wtedy trwogi:  
Pieszcząc niebo, drżysz jeszcze, by go nie straciła.

— — — — —  
*Tłum. Stanisław Budziński.*

KONDRAT RYLEJEW

(1795—1826)

STANCE

Nie ziściły się, druhu kochany,  
Młode me sny prorocze:  
Na gorzką samotność skazany,  
Choć w tłumie ludzi kroczył  
Za wcześniej w groźnym tchu doświadczenia  
Mrok tajemniczy zniknął,  
Za wcześniej, druhu mój, aż do rdzenia  
Jam ludzkie serca przeniknął.

W ciężkiej zgryzocie, z myślą zawilą  
Przez ziemskie błąkam się kraje —  
Jakaś ponurą mogiłą  
Ten smutny świat mi się zdaje.  
Wszystko tak nikłe, bezpłodne:  
Ludzi mój wzrok szukać leci,  
A trupy spotyka chłodne  
Lub nierozumne dzieci!..

.....

## OBYWATEL

Czyżbym ja w czas wyroczny — godność  
 Obywatela splamić miał  
 I za wzór Słowian uznać twą wyrodność,  
 O, plemię wątych dusz i ciał?  
 Nie! nie mogę w objęciach mdłej rozkoszy bractwa,  
 W sromotnej bezczynności trawić młodych dni  
 Ni pozwolić, by dusza wygasła mi  
 Pod ciężkiem jarzmem samowładztwa...  
 Niech młodzienaszek, los mijając swój,  
 Przeznaczeń wieku nie zna ni docieka  
 I nie gotuje się na przyszły bój  
 Za uciśnioną wolność społecznika;  
 Niech tacy obojętnie wodzą chłodny wzrok,  
 Gdzie w męce trwa ojczyzna boleściwa,  
 Niech nie czują, że hańby już jest bliski krok  
 I że skarżący głos potomków się odzywa.  
 Odpokutują to!...

## ZE «SPOWIEDZI NALIWAJKI»

Marzenie jedno w noc i w dzień  
 Nie odstępuje mnie, jak cień:  
 Nie daje chwili mi spokoju  
 Ani w taborze, w wichrze bitwy,  
 Ani w rodzinnych stepów ciszy,  
 Ani w kościele wśród modlitwy.  
 «Już czas!» tajemny głos ten słyszę...  
 .....  
 «Wiem o tem, wiem, że kończy źle  
 Ten, co się pierwszy zwrócić śmie  
 Przeciw ciemności swego ludu;  
 I los mój przesądzony już...  
 Lecz powiedz, wolność miałby tchórz  
 Bez ofiar zdobyć i bez trudu?  
 Że zginę za rodzinny kraj,  
 Przeczuję, pewnym tego prawie,  
 I, ojcze święty, wyznać daj,  
 Że rad ten los swój błogosławię!»

*Tłum. Alfred Tom.*

## ALEKSANDER GRIBOJEDOW

(1795—1829)

## BIADA TEMU, KTO MA ROZUM

(wyjątek)

Z o f j a (do Czackiego):

Cóż tak gniewa pana?...

C z a c k i:

W tamtym pokoju scena niespodziana!  
 Francuzik z *Bordo* z miną napuszoną  
 Zebrał wokoło siebie liczne gości grono  
 I rozpowiadał, jak się w podróż zbierał  
 Do *barbarzyńskiej Rosyi*, jak z strachu umierał!...

Ile łez wylewał rzewnych...  
 Przyjechał, aż tu każdy współczuciem go darzy,  
 Ani głosu ruskiego, ani ruskiej twarzy  
 Nie znalazł, jak w ojczyźnie wśród przyjaciół, krewnych!  
 Takież zdania u kobiet, takie same stroje,  
 I kontent znalazł u nas wszystko, tak jak swoje!  
 Ledwie zamilkł, powstały zewsząd uniesienia,  
 Żalotne jęki, westchnienia...  
 Ach! Francya!! niema w świecie cudniejszego kraju!  
 Krzyknęły dwie księżniczki, pewno ze zwyczaj  
 Powtarzając nauki swoich przewodniczek,  
 Gdzież się nam schować od takich księżniczek!!  
 A ja, w nadziei, że mię Bóg wysłucha,  
 Niosłem z pokorą modły w myśli tajemniczej,  
 Ażeby w nas wytepił nikczemnego ducha  
 Chęci naśladownictwa ślepej, niewolniczej!!  
 Aby iskrę swoją świętą  
 W jedną z naszych dusz uronił!  
 By ten mógł słowem, czynem być dla nas zachętą,  
 I jakby silną wodzą wstrzymał nas, obronił  
 Od nieszczęśliwej ślepoty,  
 Śmiesznej za obcym narodem tęsknoty!  
 Niech mię nazwą dziwakiem! zniosę bez urazy,  
 Lecz powtarzam, nasz naród gorszy o sto razy  
 Odtąd, jak za nowości wszystko wzamian daje:  
 Świętą prawdę swych ojców, język i zwyczaj.  
 Odtąd, kiedy się wyrzekł wspaniałego stroju,  
 A wdział na siebie ubiór błazeńskiego kroju!  
 Ztyłu ogon, a przodu jakiś wykrój wgórze;  
 Naprzekór rozsądkowi i na złość naturze,  
 Czyż to pięknie?... Czy szlachetnie?...  
 I ruchy skrepowane, i dla twarzy szpetnie!  
 Śmieszne i wygolone błyszczą się podbródki:  
 Jak suknie, włosy, tak i rozum krótki!!  
 Kiedyśmy już stworzeni, by wciąż naśladować,  
 Choć od Chińczyków wartoby spróbować  
 Przyjąć ich mądry zwyczaj, nie znać cudzoziemców!  
 Kiedyż zrzucimy z siebie ten fanatyzm modny?...  
 Żeby nasz naród dobry, rozumny i godny  
 Choć przynajmniej z mowy nie miał nas za Niemców!!  
 «Jak można to, co obce, z narodowem mierzyć?  
 Niesposób temu uwierzyć?»  
 Wyrzekł ktoś do mnie z pośpiechem,  
 «Jak naprzykład: *Mademoiselle*, *Madame* wytłumaczyć?  
 Może pani i panna! cóż to będzie znaczyć?»  
 I tu wszyscy parsknęli na me słowa śmiechem!  
 «Pani! panna! — jak to ładnie!  
 Pani, panna, pfe! szkaradnie!»  
 Rozgniewany taką mową,  
 Już byłem gotów dać im odpowiedź surową,  
 Ale prawie w jednej chwili,  
 Wszyscy nagle odstąpili!  
 Oto zdarzenie rzadkie! Ale to nie dziwy!  
 Moskwa, Petersburg w Rossyi, to obraz prawdziwy  
 Tego Francuza z *Bordo* i podobnych ludzi:  
 Niechaj usta otworzy, niechaj się zaśmieje,

Już we wszystkich księżniczках współczucie obudził...  
 W Moskwie i Petersburgu to samo się dzieje...  
 Kto jest nieprzyjacielem frantów zagranicznych,  
 Frazesów wyszukanych i wybryków licznych?  
 W czyjej głowie, nieszczęściem, znajdzie się gotowych  
 Pięć albo sześć myśli zdrowych,  
 A ten je głośno wyrzec się ośmieli...  
 Patrzaj...

*(ogląda się, wszyscy walczą, a starsi usiedli do kart)*  
*(do siebie)*

Wszyscy już tańczą... i do kart się wzięli...

\_\_\_\_\_  
*Tłum. Józef Lewart-Lewiński.*

## ALEKSANDER PUSZKIN

(1799—1837)

### PRZYPOMNIENIE

Kiedy dla śmiertelników ucichną dnia gwary  
 I noc, wółprzejrystą szatę  
 Rozciągając nad głuchej stolicy obszary,  
 Spuszcza sen, trudów zapłatę:

Wtenczas mnie samotnemu rozmyślań godziny  
 W ciszy leniwo się wleką,  
 Wtenczas mnie ukąszenia serdecznej gadziny  
 Bezcynnemu srożej pieką.

Mary wrą w myśli, którą tęsknota przytłacza,  
 I trosk oblegają roje,  
 Wtedy i Przypomnienie w milczeniu roztacza  
 Przede mną swe długie zwoje.

Ze wstrętem i przestraczem czytam własne dzieje,  
 Sam na siebie pomsty wzywam  
 I serdecznie żałuję, i gorzkie łyżę leję —  
 Lecz smutnych rysów nie zmywam.

*Tłum. Adam Mickiewicz.*

### SZATAN

Gdy w one czasy był mi nowy  
 Młodości świeżej wrażeń świat,  
 Wejrzenia dziewic, szum dąbrowy,  
 Słowika głos i każdy kwiat;  
 Gdy uczuć szczytnych los podniosły,  
 Wolności, sławy dźwięczny śpiew  
 Wysoko serce moje niosły  
 I falowała w żyłach krew:  
 Zły jakiś genjusz, potajemnie  
 Rzucając w duszę chmurny cień,  
 Zdradliwie zaczął mącić we mnie  
 Rozkoszy i upojen dzień.

Z nim smutne były mi biesiady,  
 Bo jego uśmiech, oka cud  
 I słów szyderczych zimne jady  
 Zatruty niosły w pierś mą chłód.  
 Potoki oszczerstw usta lały,  
 Nie widział opatrności sił  
 Dlań mrzonką były ideały,  
 Z piękności, z natchnień jasnych drwił;  
 Miłości nie znał ni swobody,  
 Z skrzywionych zaś uśmiechem lic  
 Nie błogostawił on przyrody,  
 Dobrego w niej nie widząc nic.

*Tłum. M. Korway-Metelicki.*

## WIEZIEN

Siedzę za kratą, w wilgotnej celi...  
 Orzeł, którego żywcem tu wzięli,  
 Druh mój, co wolność postradał wpierw,  
 Targa za oknem skrwawiony ścierw.

Targa i rzuca, w okno spoziera;  
 Przenówić do mnie chęćka go zbiera;  
 Wzrokiem i krzykiem daje mi znak:  
 «Hej! na powietrzny wzbijmy się szlak!

«My wolne ptaki; lecieć nam trzeba  
 Tam, na szczyt góry, tam, na kraj nieba,  
 Gdzie morską otchłań nakrywa mgła,  
 Gdzie hula tylko wicher — i ja!»

*Tłum. Wiktor Gomulicki.*

## POMNIK

Dźwignąłem pomnik swój, nie trudem rąk ciosany,  
 Wydepcą ścieżkę doń miliony ludzkich stóp,  
 Łeb buntowniczy wzniosł i wyżej w chwale stanął,  
 Niż Aleksandra pyszny słup.

Nie wszystkim umrę. Nie! Duch, w lutnię wklęty, przecie  
 Znikomy przetrwa proch, nie będzie w ziemi gnął,  
 I w sławę będę rósł, póki w podgwiezdnym świecie  
 Choć jeden pieśniarz będzie żył.

Słuch o mnie pójdzie wdał przez całą Ruś w języki,  
 I nazwie imię me jej każdy lud: i Finn,  
 I dumny Słowian wnuk, i Tunguz, jeszcze dziki,  
 I Kałmuk, wolny stepów syn.

I naród w sercu mnie po wieczny czas utwierdzi  
 Za to, żem lutnią w swój nielitościwy wiek  
 Wysławiać wolność śmiał i wzywał miłosierdzia,  
 I szlachetności uczuć strzegł.

Postusznie, muzo, czyń, co boży duch rozkaże,  
 Niech cię nie nęci laur, nie straszy obelg chór,  
 Jednaką miarą mierz pochwały i potwarze,  
 A z głupcem się nie wdawaj w spór.

## GORZKIE ŻALE

Długoż bujać mi po świecie,  
 Raz na siodle, raz na wozie,  
 Tu w kibitce, tam w karecie,  
 I na piechtę, i w powozie?

Nie w barłogu rodowitym  
 Śród ojczystych mogił skonom,  
 Lecz mi snąć na trakcie bitym  
 Śmierć od Boga przeznaczona.

Na kamieniach, pod kopytem,  
 Pod kołami skrzypiącemi,  
 Pod dziurawym mostem zmytym  
 Albo w rowie, w mokrej ziemi.

Nuż się dzuma mnie uczepi  
 Lub skostnieję w mróz siarczysty,  
 Albo w łeb mi szlaban wlepi  
 Inwalida zadzierzysty.

Albo w głuchym lesie nożem  
 Zbój mi zada śmierć morderczą,  
 Albo z nudy zdechnę może,  
 W kwarantannie jakiejś stercząc.

Długoż mi tak łykać ślinkę,  
 Z musu pościć, gdy los skarał,  
 I żuć zimną cielećcinę,  
 Wspominając trufle Jara?

Inna rzecz na własnych śmieciach,  
 Po Miasnickiej trójką sypać,  
 O żeniaczce i o dzieciach,  
 O wsi marzyć — i zasypiać.

Inna rzecz herbata z rumem,  
 Jedną wypij, drugą nalej,  
 W domu, bracia, to rozumiem!  
 Ale co tam! Jazda dalej!



## BIESY

Pędzą chmury, wałą chmury,  
 Niewidomie księżyc mży,  
 Na śnieg lotny prosząc z góry;  
 Mętne niebo, mętne mgły.  
 Jadę, jadę w dal bezbrzeżną,  
 Dzyń-dzyń-dzyń dzwoneczka dźwięk,  
 Strasznie, strasznie w tę noc śnieżną!  
 Rośnie pustka, rośnie lęk.

Jazda, stary! — «Dobrodzieju,  
 Konie ledwo zipią już,  
 Zamieć mi powieki skleja,  
 Drogi zmiotło, ani rusz.  
 Wokół mrok, choć wykol oczy;  
 Co tu robić? Będzie źle!  
 Bies nas, widać, w polu toczy  
 I kołuje nami w mgle.

Widzisz? Widzisz? W pustce białej  
 Wyje, wije się i płwa,  
 Teraz konie oszalałe  
 Prosto w otchłań jaru pcha.  
 Tutaj słupem niebywałym  
 Śmignął mi na jeden mig,  
 Tam świetlikiem błysnął małym  
 I we ćmie przepastnej znikł».

Pędzą chmury, wałą chmury,  
 Niewidomie księżyc mży,  
 Na śnieg lotny prosząc z góry;  
 Mętne niebo, mętne mgły.

Znów od rowu do parowu,  
 Sił już braknie; dzwonek zmilkł...  
 Konie stoją... — Cóż tam znowu?  
 «Kto ich wie: czy pień, czy wilk?»

Zamieć wyje, zamieć płacze,  
 Czujne konie chrapią, rzą,  
 Teraz już daleko skacze,  
 Tylko ślepią błyskiem drzą.  
 Konie znowu się zerwały,  
 Dzyń-dzyń-dzyń wśród śnieżnych wydm;  
 Widzę — na równinie białej  
 Zebrał się korowód widm.

Niezliczone, uprzykrzone,  
 W blasku mdłym miesięcznych mzeń,  
 Biesy kręcą się szalone,  
 Jako liście w słotny dzień.  
 Skąd ich tyle? Dokąd pędzą  
 Zawodzący straszną pieśń?  
 Czyto czart się żeni z jędzą?  
 Czy ubożę zmarło gdzieś?

Pędzą chmury, wałą chmury,  
 Niewidomie księżyc mży,  
 Na śnieg lotny prosząc z góry;  
 Mętne niebo, mętne mgły.  
 Pędzą biesy rój za rojem  
 W nieprzejrzany śnieżny dym,  
 Rozdzierając serce moje  
 Rozpaczliwym iękiem swym.

## ECHO

Czy w głuchym lesie ryczy tur,  
 Czy grzmot, czy trąbka gra przez bór,  
 Czy pieśń dziewczyny brzmi z za gór,  
 Na każdy dźwięk  
 W powietrzu pustem budzisz wtór,  
 Odgłosu jęk.

Piorunów słuchasz, huku wód,  
 I jak na rzece pęka lód,  
 I krzyku z łąk pasterzy trzód,  
 Odpowiedź ślesz na każdy głos,  
 Samo — bez echa. Twój to trud  
 I twój, poeto, los.

## OSTATNI RAZ...

Ostatni raz twą postać miłą  
 Ważę się myślać tulić dziś  
 I wskrzeszać sny serdeczną siłą,  
 Z żałością tkliwą i wstydliwą  
 O twej miłości budzić myśl.

Mijają lata — i, niestety,  
 Zmieniają świat, zmieniają nas!  
 W mogiłnym mroku, w głębi Lety  
 Widzi cię dzisiaj wzrok poety,  
 Lecz i poeta tobie zgaśł.

Więc mego serca pożegnanie  
 Przyjmij, daleka! Czoło skłoń,  
 Jak żona, gdy się wdową stanie,  
 Jak wierny druh, co przed wygnaniem  
 Bez słowa ściska bratnią dłoń.

## W JAŁOWEJ NUDZIE...

W jałowej nudzie, wśród rozpusty,  
Nieraz na lutnim swej wydzwaniał  
Czarowne dźwięki, dźwięki puste  
Porywów, szału, próżnowania.

I płynął strumień łez rzęśisty,  
Płacz słodki i niespodziewany,  
Gdy słów twych wonnych olej czysty  
Sumienia mego kołł rany.

Ale i wtędym płochą strunę  
Pokornie do milczenia zmuszał,  
Gdy głos twój groźny, jak piorunem,  
Raził mnie nagle i ogłuszał.

I dzisiaj do mnie rękę wierną  
Wyciągasz z wysokości ducha,  
I mocą swoją miłosierną  
Snów bujnych cichnie zawierucha.

Gorejącego w twym płomieniu  
Mrok uciech ziemskich zmóc nie zdoła  
I drży w najświętszym przerażeniu,  
Wsluchany w harfę archaniola.

## Z «EPIGRAMATÓW»

## O, m u z o g n i e w u

O, muzo gniewu i satyry,  
Przyjdź na mój zew — i tnij i ćwicz!  
Nie trzeba mi dźwięczącej liry,  
Juwenalowy daj mi bicz!  
Nie na tłumaczów z głodu skisłych,  
Na naśladowców zimnokrwistych,  
Nie na wytwornych piewców dam  
Przygotowane żądło mam.  
Pokój wam, durnie nieszczęśliwi,

Pokój, pokorne pisarczyki!  
Lecz w a s zamęcze, lotry z kliki,  
Wezmę na wstyd, jak na tortury,  
Gdybym zapomniał zaś o którym,  
To przypomnijcie mi, panowie!  
Ile bezwstydnych czoł miedzianych,  
Ile pobladył twarzą znanych  
Piętnem niestartej hańby, szuje,  
Na wieki dziś przypieczętuje!

## R a d a

Wierz mi: gdy trutni i komarów  
Rój gazeciarski wokół bzyka,  
Słów nie trać, szkoda i języka,  
Milczeniem zbądź bezczelny narów.

Racją ni smakiem nie przelamiesz  
Uporu złego ich, a zatem  
Gniew byłby grzechem. Lecz się zamierz  
I celnym — klaps! — epigramatem.

## K o p c i, k o p c i ł o j ó w k a !

— Co? kopci wciąż łojówka dziennikarska?  
— A żyje pismak! głupi, nudny, ciemny,  
W zawiści wiję się i śliną wokół parska,  
Co może, pcha do szmaty swej nikczemnej:  
Bzdurne nowiny albo bzdury stare.  
Tfu! zbrzydła mi łojówka dziennikarska!  
Jak ten cuchnący zgasić mam ogarek?  
Jak go wykończyć? bo mam zamiar właśnie.  
Poradź mi! — Cóż, poprostu pluń, to zgaśnie.

## E x u n g u e l e o n e m

Niedawnom sobie w wierszu użył zdrowo  
I bez podpisu go puściłem w piśmie.  
Aż tu mi błazen dziennikarski świśnie  
Feljeton o nim — też anonimowo.

Lecz cóż? Ni ja, ni ten jarmarczny błazen,  
Nikt z nas nie ukrył, żeśmy nabroili:  
On po pazurach poznał mnie odrazu,  
Ja jego zaś po uszach w jednej chwili.

## Zbiór owadów

Proszę popatrzeć — oto śliczna  
 Kolekcja entomologiczna.  
 Jaka pstrokata to kompanja!  
 Ilem się za tem nauganiał!  
 A jaki dobór! ani słówka!  
 Oto X, proszę, boża krówka,  
 Tu Y — pajak jadowity,  
 Z — żuk krajowy znakomity,  
 Tu N — maluśka czarna muszka,  
 A tutaj znowu M — stonóżka.  
 O, jakie mnóstwo preparatów!  
 W ramkach, pod szkłem, równiutko, schludnie  
 Sterczą, nawskroś przebite cudnie,  
 Na szpilkach mych epigramatów.

*Tłum. Julian Tuwim.*

## Z «EUGENJUSZA ONIEGINA»

«Stryjaszek mój, pocziwić sobie,  
 Gdy nie na żarty opadł z sił,  
 Szanować kazał się w chorobie;  
 To wcale niezły pomysł był!  
 Niejeden w ślady te się uda...  
 Lecz, Boże drogi, jakaż nuda  
 Przy chorym siedzieć noc i dzień,  
 Nie odstępować go jak cień!  
 Jakież nikczemne to kuglarstwo  
 Półtrupa bawić garścią słów,  
 Poprawiać mu poduszki znów,  
 Smutnie podawać mu lekarstwo,  
 Wzdychać i myśleć w duchu wraz  
 Kiedyż cię djabli wezmą raz!»

Mknąc śród zielonych niw kobierca,  
 Hulaka młody dumał tak,  
 Krewniaków wszystkich spadkobierca, —  
 W czym widać woli Zeusa znak.  
 W kim miłość dla mnie żyje szczerza,  
 Mego romansu bohatera  
 Temu bez wstępów, przedmów, fraz  
 Przedstawić jestem gotów wraz:  
 Oniegin, mój przyjaciel dawny,  
 Na brzegach Newy ujrzał świat,  
 Gdzie może snuleś pasmo lat,  
 Mój czytelniku, w świecie sławny!  
 Jam też tam lubił bawić wprzód,  
 Lecz szkodzi mi północny chłód!

Służąc chwalebnie i wytrwale,  
 Długami ojciec jego żył;  
 Co roku dawać zwykł trzy bale,  
 I zrujnowany wreszcie był.  
 O Eugenjusza dbały losy:  
 Madame trelifa dziecka włosy,  
 Później Monsieur, z chłopcicą rad,

Był stróżem jego młodych lat.  
 Monsieur l'Abbé chłopczyka uczył,  
 Trud obracając w miły żart,  
 Nie dał mu czerpać z suchych kart  
 I morałami nie dokuczył.  
 Na figle — lekkie groźby miał  
 I do ogrodu z sobą brał.

A gdy w młodzieńczej burzy porę  
 Uciekły sny naiwne wstecz,  
 W czasie, gdy serce mocniej gore, —  
 Monsieur wygnano z domu precz.  
 Oniegin pojął dar swobody,  
 Zaraz się ostrzygł według mody,  
 Jak dandy błysnął krojem szat,  
 I po raz pierwszy wstąpił w świat.  
 Językiem Gallów mówił zręcznie  
 I łatwo listy pisał... Ba!  
 W mazurze robił lekkie pas,  
 Umiał się kłaniać nader wdzięcznie.  
 Czyż więcej trzeba?... Orzekł świat:  
 «Jest miły, mądry» — i był rad.

My wszyscy uczym się potrosze.  
 I to, i owo pomnim z klas,  
 Więc wykształceniem — bardzo proszę! —  
 Potrafi błysnąć każdy z nas.  
 Oniegin — pedant (tak surowy  
 Rzekł areopag salonowy),  
 Prym uczonością swoją brał.  
 Jednak szczęśliwy talent miał:  
 Umiał w dyspucie, pijąc wino,  
 Trącić splełanych kwestyj sznur,  
 A gdy poważny zawrzał spór,  
 Milczeć z uczoną znawcy miną  
 Lub dam przychylny zyskać sąd  
 Przez niespodzianych żartów prąd.

*Tłum. Leo Belmont.*

## Z «JEŹDŹCA MIEDZIANEGO»

Nad zasepionym Piotrogradem  
 Listopad mrocznym dyszał chłodem.  
 W kształtne krawędzie swe z uporem  
 Falami pluszcząc, prac ku morzu,  
 Nawa rzucała się jak chory  
 Na niespokojnem swoim łożu.  
 Już późny ciemny wieczór był,  
 Deszcz w okna gniewnie siekł i bił,  
 I wicher z ulewą się użerał.  
 W tę psią pogodę Eugenjusz  
 Do domu wrócił. Otóż wiem już,  
 Jak nazwać swego bohatera.  
 Imię przyjemne. Dźwięcznie brzmi,  
 I pióro me od wielu dni  
 Już się z niem jakoś zżyło blisko:  
 Eugenjusz... Na nic nam nazwisko,  
 Choć za minionych dawno lat  
 Może i nieraz błysło chwala  
 I z Karamzina świetnych kart  
 W rodzinnych dziejach rozbrzmiewało.  
 Lecz dziś zapomniał o niem świat.  
 Mieszka bohater nasz w Kołomnie,  
 Ma swą posiadkę — rad nie rad —  
 Unika możnych, żyje skromnie,  
 O przeszłość nie dba ani nie wie,  
 Czem ród nieboszczyk sływał drzewiej.

Eugenjusz drgnął. Odkrywczę światło  
 Błysnęło. Znów przed sobą miał  
 To miejsce, kędy potok grzmiał,  
 Gdzie tłukł się fal drapieżnych natłok,  
 Pieniąc i pnąc się wokół niego.  
 I poznał lwy, i plac, i Tego,  
 Co głową wznosił się miedzianą  
 I w mroku nieruchomo trwał.  
 Fatalną wolą rozkaz dał,  
 By tutaj miasto zbudowano...  
 Straszliwy jest, wpatrzony w mrok!  
 Jaka zaduma! Co za wzrok!  
 Jaka potęga w nim ukryta,  
 A w dumnym koniu jaki pęd!

Dokąd ty, koniu, gnasz bez pęt  
 I gdzie opuścisz swe kopyta?  
 O, władco losów wszechmogący!  
 Czyż nie tak samo twoja dłoń,  
 Wzniesiona nad otchłanią pustą,  
 Szarpnęła Rosję twardą uzdą,  
 Że dęba wspięła się jak koń?

Biedny szaleniec obszedł wokół  
 Pomnika ogrodzony cokół,  
 Czoło do chłodnych przywarł krat  
 I wbił zuchwale wzrok szyderyczy  
 W oblicze groźne Światodzierzcy,  
 I ciężar mu na piersi padł.  
 Mgłą zasłyły oczy. Strach się zmrowił.  
 Zawrzała ogniem w sercu krew,  
 I oto wzbiera głuchy gniew  
 Przeciw dumnemu kolosowi.  
 Ścisnąwszy pięści, tłumiacz ży,  
 Jak czarną mocą opętany:  
 «Cóż, budowniku mój miedziany?  
 Cóż, cudotwórco?» — syknął zły.  
 «Już ja cię»... I jak oszalały  
 Przed siebie pobiegł lotem strzały,  
 I zdało się, że Groźny Car  
 Zapłonął gniewem, wzrok weń wparł,  
 I oczy, miotające żar,  
 Wolniutko za nim spoglądały.  
 Eugenjusz biegnie, dudni bruk,  
 Słyszy za sobą ciężki stuk,  
 Jak grzechot gromu groźnie grzmiący:  
 Galopem dźwięcznym cwałujący  
 Stalowy tętent końskich nóg.  
 I w bładym blasku ukąpany,  
 Wysoko wyciągając dłoń,  
 ON — Jeździec goni go Miedziany,  
 I dźwięcznie w bruk łomocze koń.  
 I wszędzie, dokąd, obłąkany,  
 Uciekał, gnany zmorą trwóg,  
 Tam Jeździec ścigał go Miedziany,  
 I ciężko dudnił kopyt stuk.

*Tłum. Julian Tuwim.*

## EUGENJUSZ BORATYNSKI

(1800—1844)

## WIOSNA

Wiosna, wiosna! Jak czyste powietrze,  
 Dzwoniące ptaków chórem!  
 Znów niebo olśniewa mnie jasne  
 Przejrzystym swym lazurem.  
 Wiosna, wiosna! O jakże wysoko  
 Na skrzydłach wietrzyka wysokich,

Słonecznymi promieniami pieszczone,  
 Lecą lekkie obłoki.  
 Szumią strumienie, biegną strumienie!  
 Rycząca rzeka niesie  
 Pęknięte srebrzyste zwały lodu  
 Na triumfalnym grzbiecie.

Jeszcze nagie bezlistne są drzewa,  
Lecz w gaju liście drżące,  
Jak dawniej, pod twardą mą stopą  
Są szumne i pachnące.  
Pod słońce wzbil się skowronek,  
Niewidzialny, śpiewa radośnie.  
I poświęca hymn swój wiosenny  
Tej słonecznej pachnącej wiosnie.  
Co dzieje się z duszą moją!  
Ze strumieniem dziś jest strumieniem,

Z ptakiem jest ptakiem i płynie,  
I leci ku nieba promieniom.  
Czemu tak cieszy ją, raduje  
Ta wiosna, jasna, zielona?  
Bo jest córką żywiołów bujnych  
I z niemi cieszy się ona.  
Cóż więcej!? Każdy jest szczęśliwy,  
Kto zapomnienie pije, —  
Kto wchłania w płuca młodą wiosnę  
I cieszy się, że żyje.

Tłum. Włodzimierz Stobodnik.

### MIKOŁAJ JAZYKOW

(1803—1846)

#### ŻEGLARZ

Nasze morze — martwe dale.  
Tylko szumi w noc i dzień,  
I fatalne kryją fale  
Wiele nieszczęść, wiele snień.

Śmielej, bracia! Wiatru pełnym  
Żagle będę wody pruć:  
Wyfrunie na śliskie węłny  
Chyżoskrzydła moja łódź.

Wgórce chmury jak olbrzymy  
Rośnie wichur, tryska il,  
Będzie burza: zatańczymy,  
Sprobujemy z burzą sił.

Śmielej, bracia! Piorun gruchnie,  
Zagotuje morski mul,  
Wyżej bałwan gniewny buchnie,  
Nizej głębia spadnie wdół.

Hen, za burzą, za zawieją  
Jest błogosławiony ląd;  
Tu niebiosa nie ciemnieją,  
Wolna cisza płynie stąd.

Tylko dla tych kraj ten, którzy  
Więść potrafią ciągly bój!..  
Śmielej, bracia, pełen burzy,  
Ale prosty żagiel mój!

Tłum. K. I. Gałczyński.

### TEODOR TIUTCZEW

(1803—1873)

#### [JEST ŚPIEWNOSĆ...]

*Est in arundineis modulatio musica ripis.*

Jest śpiewność w morskich falach siwych,  
W żywiołach jest harmonji wiele.  
I piękny, i muzyczny szelest  
Sączy się w wiotko-gibkich trzcinach.

We wszystkim tok harmonji płynny  
I jasny współdźwięk jest w naturze,  
I tylko nasze życie w chmurze,  
Z naturą my nie współdźwięczymy.

Skąd wziął się rozdzwięk ten szarpiący?  
Czemu w ogólnym rozhovorze  
Dusza nie śpiewa, tak jak morze  
I skarga w trzcinie brzmi myślącej?

I wielki ból, i żal wciąż jest tam,  
I wciąż bez odpowiedzi płynie  
Głos wołający na pustyni,  
Który bolesnym jest protestem.

#### [SZEROKA, JASNA I OTWARTA...]

Szaroka, jasna i otwarta  
Na mokry błękit nieb wspaniale  
Powietrzna zajaśniała arka  
W całej chwilowej swojej chwale.

Jeden swój koniec w bór wetknęła,  
Drugim odeszła za obłoki,  
Pół nieba blaskiem swym objęła,  
Mrąc na podstawie swej wysokiej.

O, w tem widnieniu piękna ile!  
 Jakie dla oczu barwne przedze!  
 Ach, ono dane nam na chwilę,  
 Chwytaj je, chwytaj! Prędejj, prędejj!

O, patrz! Już zbladło to zjawisko.  
 Ostatnie blaski okiem pijesz.  
 Za chwilę zniknie, jak to wszystko,  
 Czemu ty oddychasz i czemu żyjesz.

*Tłum. Włodzimierz Słobodnik.*

#### DZIEŃ I NOC

Na tajemniczy duchów świat,  
 Nad bezdnią głuchą i bez miana  
 Zasłona zwisa złotem tkana:  
 Ten wola bóstw nadała ład.  
 Zasłoną tą jest jaśń i ruch —  
 Dzień, co orzeźwia ziemskie twory,  
 Dzień — uzdrowienie duszy chorej,  
 Ludzi i bogów wierny druż!

Lecz mierzchnie dzień, zapadła noc —  
 I wnet z powierzchni świata płynnej  
 Gazę zastony dobroczynnej  
 Odrzuca precz jej wroga moc...  
 I otchłań się obnaża wraz,  
 A strachów, mgieł nastaje władza,  
 I nic już od niej nie odgradza:  
 Dlatego noc tak trwoży nas!

#### [ZA MYŚLĄ MYŚL GONI...]

Za myślą myśl goni, za falą fala —  
 Przejawy te dwa jeden żywioł zespała!  
 W serc cieśni czy na bezbrzeżnej wodzie,  
 Tutaj — w zamknięciu, tam — na swobodzie:  
 Wiecznie te same przyplawy, odpływy,  
 Ten sam bez sedna omam straszliwy!

*Tłum. Alfred Tom.*

#### [NIEOSTYGŁA Z DZIENNEJ SPIEKI...]

Nieostygła z dziennej spieki  
 Noc lipcowa lśniła biało,  
 I nad ciszą ziemi sennej  
 Niebo, ogniem burz brzemienne,  
 Całe od błyskawic drżało.

Nito zwarte snem powieki  
 Rozwierały się czasami,  
 I skroś lotne błyskawice  
 Czyjeś groźne tam źrenice  
 Zapalały się nad nami.

#### [SYPKIEGO PIACHU...]

Sypkiego piachu zatrzesienie...  
 Jedziemy... Późno... Gaśnie dzień —  
 Na drodze długie sosen cienie  
 Splynęły w jeden gęsty cień.

Ach, jakież smutek tu głęboki...  
 Coraz czarniejszy wkoło las!...  
 Pochmurna noc, jak zwierz stuoki,  
 Z każdego krzaku śledzi nas.

#### [JAK NA POPIELE...]

Jak na popiele, dymiąc się,  
 Papieru zwitek gore lichy,  
 A słowa na nim zwolna zre  
 Ogień ukryty, niemy, cichy, —

Tak smutnie życie me się tli  
 I z dymem dzień po dniu uchodzi;  
 I tak sądzono gasnąć mi  
 Wśród jednostajnych dni powodzi...

O, gdyby płomień ten choć raz  
 Swobodniej błysnął i goręcej!  
 Nie dręcząc się, nie męcząc więcej,  
 Blaskiem zajaśniałbym — i zgasł!

*Tłum. Tadeusz Stepiński.*

## MIKOŁAJ GOGOL

(1809—1852)

## MARTWE DUSZE

(Wyjątek)

Kiedyś, dawniej, w latach mej młodości, w latach mego bezpowrotnie minionego dzieciństwa wesoło mi było przybywać po raz pierwszy do nieznaney miejscowości; bez względu na to, czyto była wioska, biedne miasteczko powiatowe, sióło, czy futor — dziecinne spojrzenie odnajdywało dużo ciekawych rzeczy. Każda budowla, wszystko, co nosiło na sobie ślady czegoś osobliwego, wszystko zatrzymywało mnie i uderzało. Czyto mурowany dom skarbowy w znanym stylu, w połową okien fałszywych, sam, samiuteńki, sterczący pośród drewnianej, ciosanej kupy jednopiętrowych mieszczkańskich domków; czyto okrągła regularna kopuła, cała obita arkuszowem białem żelazem, wzniesiona nad wybieloną, jak śnieg, nową cerkwią; rynek czy frant powiatowy, spotkany na mieście — nic nie umykało mojej świeżej, subtelnej uwadze, i wysunąwszy nos z mego wozu podróżnego, patrzyłem na niespotykany dotychczas krój jakiegoś surduta, na drewniane skrzynie z gwoździami, ukazujące się we drzwiach sklepu warzywnego, w szarem żółknącym oddaleniu, wraz z rodzynkami i mydłem, ze stojem wyschniętych cukierków moskiewskich; patrzyłem na przechodzącego obok oficera piechoty, przeniesionego z Bóg wie jakiej gubernji, na powiatową nudę i na kupca w burce syberyjskiej, jadącego dorożką — i podążałem w myśli za nimi, do ich biednego życia. Niech przejdzie urzędnik powiatowy — już się zamysłam, dokąd on idzie, czy na wieczór do jakiegoś swego brata, czy poprostu do siebie do domu, aby, posiedziawszy z pół godziny na ganku, póki zmierzch całkiem nie zgęstnieje, zasiąść do wczesnej kolacji z matką, żoną, siostrą żony i całą rodziną; i o czem będą rozmawiali wtedy, gdy dziewczyna do posług w paciorkach lub chłopiec w grubej kurtce przyniesie, już po zupie, świecę łojową w odwiecznym lichtarzu domowym. Podjeżdżając do wsi jakiegoś obywatela ziemskiego, spoglądałem ciekawie na wysoką wąską dzwonnice lub też na szeroką, ciemną, starą cerkiew drewnianą. Zachęcająco migotały zdaleka poprzez zielen drzew czerwony dach i białe kominy dworu, i oczekiwałem niecierpliwie, kiedy zastaniające go ogrody rozstąpią się na obie strony i dwór ukaże się cały, w swym, wtedy jeszcze, ach! niespospolitowanym wyglądzie, i starałem się z niego odgadnąć, kto to taki ten obywatel, czy gruby, czy ma synów, czy też aż sześć córek, z dzwicznym śmiechem dziewczęcym, zabawami i zawsze najpiękniejszą najmłodszą córką, i czy one są czarnookie, a on sam czy jest jowjalny, czy też nachmurzony, jak wrzesień ku końcowi, patrzy na kalendarz i mówi o nudnej dla młodości pszenicy i życie.

Teraz obojętnie podjeżdżam do każdej nieznaney wsi i obojętnie patrzę na jej spospolitowany wygląd; mój oziębiony wzrok czuje się nieswojo, nie chce mi się śmiać, i to, co w dawnych latach wywołałoby na twarzy wyraz ożywienia, śmiech i nieskończone rozmowy, przeslizga się teraz obok mnie i obojętne milczenie zachowują moje nieruchome wargi. O, młodości moja! moja świeżości!

Podczas gdy Czyczykow rozmyślał i śmiał się w duchu z przezwiska, jakim chłopci obdarzyli Pliuszkinę, nie zauważył, iż wjechali do środka obszernej wsi z mnóstwem chat i ulic. Wkrótce jednak dało mu to zauważyć porządne uderzenie, spowodowane przez drewnianą jezdnię, wobec której miejska, kamienna, była niczem. Bale te, niby klawisze fortepianu, wznosiły się to dogóry, to nadół, i nieostrożny jeździec zdobywał albo guza na ciemieniu, albo siną plamę na czole, lub też zdarzało się własnymi zębami odgryźć w sposób arcybolesny koniuszek własnego języka. We wszystkich budynkach wiejskich Czyczykow zauważył jakąś osobliwą zgrzybiałość, belki chat były czarne i stare; wiele dachów przeświecało jak sita; na niektórych pozostał tylko grzbiet na górze oraz żerdki po obu stronach, podobne do żeber. Zdaje się, że sami gospodarze zdjęli z nich poszycie i tarcice, rozumując i, rzecz prosta, słusznie, że chaty nie chronią przed deszczem, a w pogodę nawet kropla nie spadnie, więc pocóż się kwasić w chałupie, gdy jest tyle przestrzeni i w karczmie, i na wszelakiej drodze —

słowem, gdzie dusza zapagnie. Okna w chatkach były bez szyb, niektóre były zatkanie szmatą lub siermięgą; ganeczki z daszkami i balustradkami, niewiadomo z jakiego powodu dorabiane do niektórych chat rosyjskich, pokrzywiły się, szerniały, nawet nie malowniczo. Z poza chat ciągnęły się w wielu miejscach ogromne stogi zboża, stojące widocznie oddawna; kolor ich przypominał starą, źle wypaloną cegłę, na ich czubku rosło przeróżne świństwo, a nawet z boku uczepiły się krzaki. Zboże, jak widać, było pańskie. Z poza złóż zboża i zniszczonych dachów, w czystym powietrzu wznosiły się i migotały, to z prawej, to z lewej strony, w miarę zwrotów, robionych przez bryczkę, dwie cerkwie wiejskie, jedna obok drugiej — opustoszała drewniana i murowana z żółciutkimi ścianami, poplamiona, popękana. Częściowo zaczął się ukazywać dwór i wreszcie wyrzał cały w tem miejscu, gdzie przerwał się łańcuch chat, a zamiast nich ukazał się opuszczony ogród warzywny, obwiedziony niskim ogrodzeniem, miejscami wylamanem. Ten dziwny zamek, długi, niezmiernie długi, wyglądał jak jakiś zgrzybiały inwalida. Miejscami był parterowy, miejscami zaś jednopiętrowy; na ciemnym dachu, niezawsze pewnie chroniącym jego starość, sterczały dwie werandy, jedna naprzeciw drugiej, obie już nieco zachwiane, pozbawione farby, niegdyś je pokrywającej. Ściany domostwa miejscami ukazywały nagą siatkę tynkową i, jak widać, ucierpiały sporo od różnych niepogód, dżdżów i przemian jesiennych. Z okien otwarte były tylko dwa, inne były zastawione okiennicami lub nawet zabite deskami. Dwa owe okna, ze swej strony, również niedowidziały; na jednym z nich widniał naklejony trójkąt z niebieskiego papieru od cukru.

Stary, obszerny, ciągnący się za domem ogród, wychodzący za wieś i przepadający w polu, zarośnięty i opustoszały, jak się zdawało, sam jeden tylko urozmaicał tę obszerną wieś i sam jeden tylko był w zupełności malowniczy w swem zapuszczeniu. Zielonemi chmurami i nieregularnemi drzącolistnemi kopułami leżały na horyzoncie niebieskim złęczone wierzchołki swobodnie rozrosłych drzew. Biały kolosalny pień brzozy, pozbawiony czubka, odłamane przez burzę lub piorun, wznosił się z tego zielonego gąszczy i zaokrąglął w powietrzu, jak regularna, marmurowa, lśniąca kolumna; krzywe, ostro zakończone złamanie, którem się kończył ku górze, zamiast kapitelu, ciemniało na jego śnieżnej białości, jak czapka albo czarny ptak. Chmiel, obrastający wdole krzaki bzu, jarzębiny i laskowych orzechów i przebiegający później po wierzchu całego parkanu, wybiegał wkońcu w górę i oplatał do połowy złamaną brzozę. Dosięgnąwszy jej połowy, zwieszał się stamtąd wdół i zaczynał już zaczepiać wierzchołki innych drzew albo też wisiał w powietrzu, wiążąc w pierścienie swe cienkie chwytnie haczyki, lekko kołyszące się w powietrzu. Miejscami zielone haszcze rozstępowały się i odsłaniały w swem wnętrzu nieoświetlone wgłębienie, zięjące, jak ciemna paszcza; było ono całkowicie ocienione i ledwie-ledwie migotały w ciemnej głębi: biegnąca wąska dróżka, obruszone słupki, wałająca się altanka, wydrążony zgrzybiały pień wierzby, siwy krzew akacji, gęstą szczecina wysuwający z poza wierzby zeschnięte w tej strasznej głuszy, poplątane i pokrzyżowane liście i sęki, i wreszcie młoda gałąź klonu, wyciągająca z boku swe ręce-liście, pod jednym z których słońce, Bóg wie jak się tam dostawszy, czyniło go nagle przezroczym i ognistym, cudownie jaśniejącym w tej gęstej ciemności. Z boku, w samym końcu ogrodu, kilka wysokich, wyższych od innych osin wznosiło ogromne wronie gniazda na swych drżących wierzchołkach. U niektórych odłamane, a niezupełnie oddzielone gałęzie wisiały wraz z zeschniętymi liśćmi. Słowem, wszystko było ładne, jak nie wymyśli ani natura, ani sztuka, ale jak bywa tylko wtedy, gdy nagromadzoną, częstokroć bez sensu, pracę ludzką przyroda uzupełni ostatniem dotknięciem dłuta, ciężkie masy uczyni lżejszemi, zniszczy brutalną regularność i nędzne szwy, poprzez które przegląda nieosłonięty nagi plan, i da cudne ciepło temu wszystkiemu, co stworzone zostało w chłodzie wymierzonej czystości i schludności.

Zrobiwszy jeszcze jeden czy dwa zakręty, bohater nasz znalazł się wreszcie przed samym domem, który wydał mu się teraz jeszcze smutniejszy. Zielona pleśń już pokryła zbutwiałe drzewo w ogrodzeniu i we wrotach. Szereg budynków — czworaków, stodół, śpichrzów — widocznie butwiejących, napęlniał podwórze; koło nich na prawo na lewo widać było wrota do innych podwórz. Wszystko mówiło, że niegdyś pro-



wadzono tu gospodarstwo na wielką skalę, a teraz wszystko wyglądało ponuro. Nie było widać nic ożywiającego obraz — ani otwierających się drzwi, ani ludzi wychodzących skądś, żadnych żywych trosk i kłopotów domowych! Tylko główna brama była otwarta, i to dlatego, że wjechał chłop z naładowanym wozem, pokrytym rogożą, który jakgdyby umyślnie pokazał się poto, aby ożywić tę zamartłą miejscowość; w innym czasie i ona była zamknięta na glucho, ponieważ w żelaznym skoblu wisiała kłódka-olbrzym.

Przy jednym z budynków Czyczykow wkrótce zauważył jakąś postać, która zaczęła się klócić z chłopem, przybyłym na wozie. Długo nie mógł rozpoznać do jakiej płci należała ta postać — baba czy chłop. Odzież jej była zupełnie nieokreślona, bardzo podobna do kobiecego okrycia; na głowie rodzaj czapki, jakie noszą wiejskie kobiety dworskie; głos tylko wydawał się za ochryply jak na kobietę. «Oj, baba!» pomyślał sobie Czyczykow i zaraz dodał: «Oj, nie!» — «Naturalnie, że baba!» rzekł wreszcie, popatrzawszy uważniej. Postać ze swej strony patrzyła nań równie uważnie. Zdaje się, że gość był dla niej osobliwością, bo obejrzała nietylko jego, lecz i Selifana oraz konie, poczynając od ogonów aż do pysków. Z wiszących u jej pasa kluczy i dlatego, że wymyślała chłopu słowami dość sromotnemi, Czyczykow wywnioskował, że jest to zapewne klucznica.

— Słuchajcie-no, matko — rzekł, wychodząc z bryczki — czy pan?...

— Niema w domu — przerwała klucznica, nie czekając końca pytania, i po chwili dodała: — Czego pan potrzebuje?

— Mam interes...

— Niech pan idzie do pokojów! — rzekła klucznica, odwróciwszy się i pokazawszy mu plecy, zawalane mąką, z wielką dziurą nieco niżej.

Wszedł do szerokiej ciemnej sieni, z której powiało chłodem, jak z piwnicy. Z sieni dostał się do pokoju również ciemnego, zaledwie rozjaśnionego światłem, pochodzącym z szerokiej szczeliny, znajdującej się u dołu drzwi. Otworzywszy te drzwi, znalazł się wreszcie w pełnym świetle i był uderzony nieporządkiem, jaki zastał. Zdało się, że w domu odbywa się mycie podłóg i tutaj na pewien czas zgromadzono całe umeblowanie. Na jednym ze stołów stało nawet złamane krzesło i obok niego zegar z zatrzymanem wahadłem, do którego pajak dorobił już pajęczynę. Tutaj również stała przysunięta bokiem do ściany szafa ze starem srebrem, karafkami i chińską porcelaną. Na biurku, wyłożonem mozaiką z masy perłowej, która miejscami już powypadała i pozostawiła po sobie tylko złotki kanaliki, wypełnione klejem, leżało mnóstwo różnych różności; kupa drobno zapisanych papierków, pokryta pozieleniałym przyciskiem marmurowym z jajeczkiem na wierzchu, jakaś starożytna książka w skórzanym oprawie, z czerwonymi brzegami, zupełnie wyschnięta cytryna, wielkości orzecha laskowego, złamana poręcz od fotelu, kieliszek z jakimś płynem i trzema muchami, nakryty listem, kawałek laku, kawałek podniesionej gdzieś szmatki, dwa pióra, zawalane atramentem, wyschnięte jak od suchot, zupełnie pożółkła wykałaczką, którą gospodarz dłubał sobie w zębach może jeszcze przed najściem Francuzów na Moskwę.

Na ścianach ponawieszano bardzo ciasno i bez sensu kilku obrazów, długą pożółkłą litografię jakiejś bitwy, z ogromnemi bębniami, krzyżującymi żołnierzami w trójkątnych kapeluszach i tonącemi końmi, bez szkła, wstawioną w ramę z czerwonego drzewa z cieniutkimi pasemkami brązowymi i również brązowymi krążkami po rogach. Obok połowę ściany zajmował ogromny poczerniały obraz, malowany olejno, wyobrażający kwiaty, owoce, rozcięty arbuzy, pysk dzika i kaczkę, wiszącą głową nadół. Ze środka sufitu zwisał żyrandol w płóciennym worku, który z powodu kurzu stał się podobny do jedwabnego kokonu, w którym siedzi gąsienica. W kącie pokoju była zwalona na podłodze kupa tego, co podlejsze i niegodne leżenia na stołach. Co mianowicie znajdowało się na kupie — trudno było zdecydować, ponieważ pokrywał ją kurz w takiej obfitości, że ręce każdego, kto jej dotknął, stawały się podobne do rękawiczek; najbardziej rzucał się w oczy odłamany kawałek drewnianej łopaty i stara podeszwa od buta.

Nie możnaby w żaden sposób powiedzieć, że w tym pokoju mieszka żywa istota, gdyby nie obwieszczała jej pobytu stara znoszona szlafmyca, leżąca na stole.

*Tłum. Władysław Broniewski.*

REWIZOR  
(Urywek)

Chlestakow: Bez rang, proszę, niech panowie siądają... Nie lubię ceremonji... Przeciwnie — staram się zawsze prześlizgnąć niepostrzeżenie... Ale trudno się ukryć, bardzo trudno!... Gdziekolwiek się pokażę, zaraz słyszę: «O, Iwan Aleksandrowicz idź!»... A kiedyś wzięto mnie nawet za wodza naczelnego: żołnierze wybiegli z kordegardy i sprezentowali broń... Znajomy oficer powiedział mi potem: «No, wiesz, bracie, byliśmy pewni, że to naczelną wódz!»

Anna: To zadziwiająca!

Chlestakow: Znam dobrze kilka przystojnych aktorek... Ja sam przecież także... różne wodewile... z literatami często się widuję. Z Puszkinem za pan brat! Często, przy spotkaniu, mówię mu: «Puszkine, bracie, no, jak tam?» — «Ano tak, bracie, odpowiada, jakos tak wogole!»... Wielki oryginał!

Anna: Więc pan pisze?... Jakże to musi być przyjemnie — tworzyć! Pan zapewne i w prasie umieszcza?

Chlestakow: Naturalnie, w różnych pismach!... Jestem poza tem autorem wielu dzieł: Wesele Figara, Robert Djabel, Norma... Nawet tytułów nie pamiętam... Bo ja piszę raczej odniechcenia, przypadkowo... Dyrektor teatru powiedział mi naprzykład: «Proszę cię, bracie, napisz coś»... Myślę sobie: owszem, bracie, czemu nie?... I z miejsca, nieomal przez jeden wieczór, wszystko napisałem, wywołałem powszechne zdumienie! Posiadam niezwykłą lekkość w myślach... Wszystko, co się ukazało pod nazwiskiem barona Brambeusa, dalej «Fregata Nadzieja» i «Telegraf Moskiewski» — wszystko to są moje utwory.

Anna: Więc to pan był Brambeus?

Chlestakow: Któżby inny? Ja im wszystkim poprawiam artykuły... Smirdin płaci mi za to 40 tysięcy.

Anna: Więc i «Jury Miłosławski» jest zapewne pańskiego pióra?

Chlestakow: Tak, to też moje.

Anna: Zaraz się domyśliłam...

Marja: Mamuńciu, tam napisane, że to pana Zagoskina utwór...

Anna: Wiedziałam, wiedziałam, że i tu będziesz się sprzeczać!

Chlestakow: Ależ tak, słusznie! To doprawdy Zagoskina! Ale istnieje inny «Miłosławski», a ten jest mój.

Anna: Ja właśnie pańskiego czytałam. Jakże to świetnie napisane!

Chlestakow: Właściwie literatura wypełnia mi życie. Prowadzę pierwszy dom w Petersburgu. Każdy wie, dom Iwana Aleksandrowicza! (*zwraca się do obecnych*) Panowie, jeżeli kto będzie w Petersburgu, bardzo proszę do mnie! Ja i bale wydaję!

Anna: Wyobrażam sobie, jak wspaniały musi być taki bal!

Chlestakow: Niewypowiedziane cuda, łaskawa pani! Na stole naprzykład — arbuz — za 700 rubli! Zupa przyjeżdża okrętem wprost z Paryża! Podnosi się pokrywę od wazy — para, że podobnej niema w całej naturze. Ja codziennie bywam na balach... Mamy tam swoją stałą partję w wista: minister spraw zagranicznych, poseł francuski, angielski, niemiecki — i ja... i tak się człowiek zmęczy, grając, że poprostu coś straszego!... Jak wbiegnę do siebie na czwarte piętro, krzyknę tylko kucharce: «Mawrusza, płaszcz!» Cóż ja gadam!? Zapomniałem, że mieszkam na pierwszym piętrze, z frontu! Oddzielne wejście! Ciekawy widok przedstawia poczekalnia moich apartamentów rano, gdy jeszcze śpię: pełno hrabiów i książąt, tłoczą się i... jak trzmiele, tylko słychać: ż... ż... ż... Czasem i minister... (*Urzednicy w strachu wstajają.*) Nawet na pakietach piszą do mnie: jego ekscelencja... Kiedyś zarządzałem nawet departamentem. I dziwna rzecz: dyrektor wyjechał, a dokąd — niewiadomo... No i oczywiście zaczęły się rozważania: co, jak, kto ma go zastąpić?... Wielu generałów miało chrapkę, ten i ów zaczynał, ale nanić! nie takie to proste! Napozór — nic trudnego, lecz kiedy się włączyć — djabelskie przeszkody... Wiedzą potem, że nic nie poradzą — i do mnie... I w tej samej chwili po wszystkich ulicach kurjerzy, kurjerzy, kurjerzy! Czy panowie potrafią sobie uprzytomnić? — 35 tysięcy samych kurjerów! Ładna sytuacja — co?

Proszą: «Panie Chlestakow, niech pan rządzi departamentem!» Przyznam się, że byłem zaskoczony, wyszedłem w szlafroku, chciałem odmówić, ale myślę sobie, najjaśniejszy pan się dowie — poza tem przy awansie dużo znaczy... «Owszem, proszę panów, przyjmuję stanowisko, przyjmuję, powiadam, niech już będzie, powiadam, przyjmuję, ale żeby mi ani, ani! już ja wam pokażę! już ja!... I w samej rzeczy: kiedy przechodzę przez departament — poprostu trzęsienie ziemi!... Wszystko drży i dygocze, jak liść! (Gorodniczy i urzędnicy trzęsą się ze strachu — Chlestakow rozpala się.) O! ja żartować nie lubię! Ja im wszystkim pokażę, dałem szkołę! Nawet rada ministrów drży przede mną! Bo niby co!? Taki jestem! Ja z nikim się nie liczę! Wszystkim mówię: «Ja siebie znam! Ja sam!» Ja jestem wszędzie, wszędzie! Codzień jeżdżę do carskiego pałacu... Jutro będę mianowany na feldmarsz... (potoczył się i ledwo nie rymnął na ziemię — urzędnicy podtrzymują go).

Gorodniczy (podchodzi, trzęsie się ze strachu): A, wa — wa — wa...

Chlestakow (szybkim, urywanym głosem): Że co?...

Gorodniczy: A, wa — wa — wa...

Chlestakow (szybkim, urywanym głosem): Nic nie rozumiem... Bujda wszystko!

Gorodniczy: Wa — wa waszencja ekscelencja... może raczy odpocząć?... Jest pokój i wszystko...

Chlestakow: Bujda odpocząć! Owszem mogę odpocząć... Śniadanie, panowie, było świetne... Jestem zadowolony, bardzo zadowolony... (z patosem) Labardan! Labardan!

(Wchodzi do bocznego pokoju, za nim Gorodniczy.)

Tłum. Juljan Tuwim.

## MICHAŁ LERMONTOW

(1814—1841)

### PROROK

Odkąd jam z mocy Nieśmiertelnej  
Wszewchwidzy posiadł dar proroczy,  
Odtąd już były mi czytelne  
Grzechami lśniące ludzkie oczy.

Głosić począłem był wyrazy  
I prawdy czystej i miłości:  
Ciskali bliźni na mnie głązy,  
Szaleni gniewem do wściekłości.

Popiołem osypawszy włosy,  
Uszedłem z miast z żebraczą łaską;  
W pustyni mieszkam pod niebiosy,  
Jak ptaki, karmion bożą łaską.

Tam, przestrzegając Wiecznej Woli,  
Słucha mię wszelki żywioł ziemi,  
I gwiazdy w świetnej aureoli  
Za rozkazami idą memi.

Lecz kiedy muszę grodem szumnym  
Przez jego mury iść z pośpiechem,  
To starcy dzieciom nierozumnym  
Z zadowolenia mówią śmiechem:

«Patrzcie nań: wzorem niech wam będzie!  
Był dumny, z nami się nie godził;  
Głupiec! — przez jego ust narzędzie  
Głos boży — twierdził — ku nam schodził.

Patrzcie więc nań uważnie, dzieci,  
Jak wasi gardzą nim rodzice;  
Jak ma wychudłe, chmurne lice;  
Jaką nagością, nędzą świeci!»

Tłum. M. Korowaj-Metelicki.

### [GDY FALE ZBÓŻ...]

Gdy fale zbóż kołyszają się na niwie,  
Gdy szumią lasy od wietrzyka tchnień,  
Kiedy się owoc tuli pieszczotliwie  
Pod zielonego listka słodki cień;

Kiedy, kroplami rosy operlona,  
 Konwalja chyli ku mnie biały kwiat  
 W chwilę, gdy słońce tryska z roków lona  
 Lub gdy się do snu kłoni cały świat;  
 Gdy zdrój, co wody swe z oddali toczy,  
 Pograża myśl mą w jakimś słodkim śnie,  
 O swej ojczyźnie szczęsnej i uroczej  
 Wciąż szemrząc baśnie na przepaści dnie; —  
 O, wtedy z duszy pierzcha ból i trwoga,  
 Wracają znowu roje dawnych złud,  
 Poczynam wierzyć w mego szczęścia wschód  
 I śród błękitów widzę Boga.

*Tłum. Władysław Nawrocki.*

#### OBŁOCZKI

Obłoczki na niebie! Szlakami złotemi,  
 Jak pereł różaniec, snujecie się cudnie!  
 I mkniecie z wygnańcem, jak wieczni pielgrzymi,  
 Z ojczyznej północy na jasne południe...

O, jakież to wyrok was stamtąd wypędza?  
 Czy losy za jakieś przestępstwo was karczą?  
 Czy zazdrość was ściga, czy gniewu zła jędza?  
 Czy kryć się musicie przed zradnym potwarcą?

O, nie! Wam się znudził nasz ugór nieżyzny,  
 Wam obca tęsknota i bóle najkrwawsze!  
 Obłoczki! Tak zimne i płocze-ście zawsze!  
 Nie znacie wygnania — nie macie ojczyzny!

*Tłum. Józef Birkenmajer.*

#### PRAGNIENIE

Czemum ja nie ptakiem, nie krukiem stepowym,  
 Co leci tu w górze, nad głową?  
 Dlaczego nie mogę z obłokiem zimowym  
 Ulecieć w mą stronę rodową?

Na zachód, na zachód poleciałbym lotem,  
 Gdzie przodków mych kwitną rozłogi,  
 Gdzie zamek ich pusty, błyszczący jak złotem,  
 Gdzie popiół mych ojców spi drogi!

Na ścianie wiekowej ich puklerz herbowy  
 I miecz zardzewiały nad drzwiami...  
 Ja zacząłbym latać i z tarczy rodowej —  
 Kurz zmiotłbym mojami skrzydłami!  
 I arfy ich szkockiej nawiązałbym struny...  
 I dźwiękby poleciał sklepieniem...  
 I tak, jako powstał — tak cichy, stłumiony,  
 Skończyłyby się cicho — marzeniem!

Lecz nanie me prośby, lecz nanie me żale...  
 Co począć z srogimi losami?  
 Ten kraj i mój zamek, sterczący na skale,  
 Wielkimi rozdarte morzami.

Ostatni potomek zwycięskich szeregów,  
 Tu wędnę w tym kraju zimowym,  
 Choć tutaj zrodzony — do innych drzę brzegów...  
 Ach! czemu nie krukiem stepowym!?

*Tłum. Stefan Żeromski (1882).*

### ŻAGIEL

Samotny żagiel nad morskie tonie  
 Między tumany miga sinemi...  
 Czegoż mu szukać w dalekiej stronie?  
 Co go wyгнаło z rodzinnej ziemi?  
 Dziko wiatr świszczce, burzą się fale,  
 Maszt się pochyla, skrzypi i ślania...  
 Biedny! on szczęścia nie szuka wcale,  
 Ani go szczęście z domu wygania...

Pod nim, jak lazur, śpi fala cicha,  
 Ponad nim złote słońca promienie;  
 A on, niebaczny, do burzy wzdycha,  
 Jakgdyby w burzach było wytchnienie.

*Tłum. Wincenty Korotyński.*

### [IDĘ SAM — PRZEDE MNĄ BIAŁA DROGA]

Idę sam — przede mną biała droga.  
 Poprzez mgłę krzemieni płynie blask.  
 Cicha noc, pustynia słucha Boga,  
 I chór gwiazd rozmawia z chórem gwiazd.

Już nie czekam na nic i przeszłości  
 Nie żałuję, jedno tylko wiem:  
 Szukam tylko ciszy i wolności,  
 Pragnę zasnąć wiekuistym snem.

W jasnym niebie uroczyscie, pięknie,  
 Ziemia śpi, błękitna drzemie dal —  
 Czemuż mi tak ciężko i tak smętnie?  
 Na cóż czekam, czegoż mi tak żal?

Lecz nie zimnym, twardym snem mogiły —  
 Pragnę zasnąć mocno, ale tak,  
 Aby w piersi wrzały życia siły,  
 Abym czuł się wolny jako ptak,

By mi słodki, młody głos natchniony  
 O miłości śpiewał cały dzień,  
 By nade mną dąb wiecznie zielony  
 Chylił się i rzucał na mnie cień.

*Tłum. Włodzimierz Słobodnik.*

### Z «DEMONA»

Posępny demon, duch wygnania,  
 Nad grzeszną ziemią błędził w krąg;  
 W dni lepszych mary, w głąb dumania  
 Biegł wspomnień jego długi ciąg —  
 Tych dni, gdy w światła tam namiocie  
 On, cherub czysty, blaskiem lśnił,  
 Gdy w swych woalów zwiewnych złocie  
 Komety bratnie mu w przelocie  
 Uśmiechy z złotych słały brył;  
 Gdy przez wieczystych mgieł tumany,  
 Poznania głodny, szukał dróg,  
 Na które błędne karawany  
 Gwiazd w otchłań ciemną zepchnął Bóg;  
 Gdy jeszcze wierzyć, kochać mógł

On, pierworodny syn stworzenia,  
 Ni złości nie znał, ni zwątpienia  
 I nie znał tego, co dziś zna —  
 Jałowych wieków szereg chmurny...  
 I jeszcze, jeszcze... i do dna  
 Wyczerpać nie mógł wspomnień urny.

Stracony, błędził tyle lat  
 Sam przez pustynię świata lują.  
 Wiek nowy mknął za wiekiem wślad,  
 Jak mknie minuta za minutą,  
 Jednakże wiecznie tańcząc tan.  
 On, nędznej ziemi władny pan,  
 Zła rzucał ziarna bez rozkoszy

I kruszył wszystko, tak jak szkło,  
Jak wichur wiał, gdy bór pustoszy —  
Aż nudę tchnęło weń i zło.

I leciał raz ów duch wyklęty  
Nad skrzepłym snem Kaukazu skał.  
Tam, wdołę, niby diament rżnięty  
W pałaniu śniegów Kazbek stał;  
tak głęboko, jak wzrok sięgnie,  
Jak wąż, co się w szczelinie lęgnie,  
Swe brzegi Darjal kręty rwał;  
I niczem tygrys rozjuszony,  
Kosmaty Terek ryczał tam;  
I dziki zwierz, i ptak spłoszony,  
Gdzieś aż u niebios krążąc bram,  
Słuchały pilnie jego mowy;  
I rozłożone strzępy chmur  
Z dalekich stron, z za rzek, z za gór,  
Jak orszak za nim szły godowy;  
I skał nadbrzeżnych zwarty huł,  
Zakłęty w sen, zaczarowany,  
Schylonym tłumem swoich głów  
W migotów pełne patrzył piany;  
I jak wydarte z baśni kart,  
Patrzyły groźnie przez mgieł dymy  
U wrót Kaukazu, nakształt wart,  
Zamkowych czujne baszł obrzymy!  
I pieścił wzrok, i koit słuch  
Ten boski świat; lecz hardy duch  
Z pogardą oczy swe sokole  
Wbił w Stwórcy twór, jak w nędzny szkic,  
I na wysokiem jego czole  
Nie odbłysnęło — zgoła nic.

—  
Na firmamencie gwiezdny gmach,  
Na zmierzch i brzask we mgieł przezroczu —  
Złocistej Persji żaden szach  
Ni żaden król w tęsknoty snach  
Ustami nie tknął takich oczu;  
Haremu żaden srebrny zdroj  
W wód szepcie swych się nie poszczyci,  
Że kształt, podobny jej kibici,  
W południa skwarny zraszał znój;  
I nigdy, nigdzie nikt nie powie,

Że, po kochanej błędząc głowie,  
Rozplatał jedwab takich kos.  
Odkąd przekłęto ludzkie mrowie,  
Piękniejszy nad nią ku Jehowie  
Nie błysnął kwiat z porannych ros.

Ostatni już to był jej taniec...  
Już jutro losu ją wybraniec  
Za widnokręgu siny kraniec  
Nieznany szlakiem obcych dróg  
Miał zawieść w obcy kraj daleki,  
I niewolnicą już na wieki  
Przestąpić miała obcy próg.  
I często trwożne jakieś cienie  
Przez oczu jej płynęły żar;  
Lecz każde bioder poruszenie  
I każde lekkich szat jej drgnienie  
Tak dziwny niosły w sobie czar,  
Że gdyby demon w jej postaci  
Zatopił źrenic swoich stał,  
To, wspominając dawnych braci,  
W westchnieniu rozwiąłby swój żal...

I demon spojrział... I w tej chwili,  
Jak gdy łan zboża wiatr pochyli,  
Przez serce biegł mu dziwny blask.  
W głębinach niemej duszy chramu  
Zadźwięczał dzwon zwiastunem łask,  
I stanął znów u wrót sezamu:  
Mógł miłość, dobro, piękno czuć...  
I w słodki obraz długo, długo  
Spoglądał; marzeń biała łódź  
Niosła go szczęścia modrą strugą,  
I sny, jak gwiazdy gwiazdom wślad,  
Z przeszłości w tęsknot biegly świat.  
Tajemnych pęt związany siłą,  
On w nowy smutek zapadł znów,  
Bo w nim uczucie przemówiło  
Językiem obcych dziś mu słów.  
I byłże znak to odrodzenia?  
Daremnie myśl szyderczą z cienia  
Pod brwi ściągniętych garnął łuk.  
Zapomnieć? — Tego nie dał Bóg,  
I nie wzięłyby on zapomnienia...

*Tłum. M. M. Bożawola-Poznański.*

Z «PIEŚNI O CARZE IWANIE, SYNU WASYLOWYM, O MŁODYM OPRYCZNIKU  
I ŚMIAŁYM KUPCU KAŁASZNIKOWIE»

Hejże, nasz Groźny carze, carze nasz Iwanie!  
O tobie układamy dziś nasze śpiewanie,  
O twoim opryczniku, wojaku udałym,  
I o Kałasznikowie, kupcu bardzo śmiałym.  
A pieśń tę na prastarą nutę układamy  
I do taktu dzwoniących gęśli ją śpiewamy.  
Śpiewamy pieśń, a ona, carze, cię rozślawia

I prawosławny naród cieszy i zabawia.  
 A dobry bojar Maciej wysokiego rodu  
 Podaje nam za pieśń tę czarę, pełną miodu,  
 A białolica gładka bojarzynie jego  
 Podaje nam laskawie z talerza srebrnego  
 Nowy ręcznik jedwabny od serca szczerego.  
 Częstują nas trzy noce i trzy dni, i dalej  
 Słuchają, i dotychczas się nie nasłuchali.

To nie słońce na niebie jarzy się czerwone,  
 To nie patrzą na słońce chmurki zachwycone,  
 To ucztuje przy suto zastawionym stole  
 Car Iwan Groźny w złotej koronie na czole.  
 Za nim stoją stolnicy, przed nim bojarowie  
 I wielmożni książęta — głowa tuż przy głowie;  
 A po bokach — udałych opryczników morze.  
 I ucztuje car Iwan Groźny w imię boże  
 Obecny ku zabawie i sobie na zdrowie.  
 Uśmiejąc się wtedy słońcem do narodu,  
 Kazał car zamorskiego najśłodsze miody  
 Nalać sobie do dzbana, ślicznie złoczonego,  
 I podać opryczników spragnionych szeregom.  
 I pili oprycznicy, i hulaszczą wiara  
 Wlewała miód do gardła i sławiła cara.  
 Tylko jeden oprycznik, rycerz nad rycerze,  
 Udziału w tem wspólnem weselu nie bierze  
 I w dzbanie pozłocistym wąsów swych nie moczy,  
 Lecz posępnie opuszcza ciemne swoje oczy  
 I głowę swą opuszcza nad piersią szeroką,  
 A w piersi zła zaduma czai się głęboko.  
 Oto car zmarszczył brwi swe czarne, nastroszone  
 I ostre swoje oczy zwrócił w jego stronę.  
 Rzekłbyś, że jastrząb spojrział z niebios wysokości  
 Na młodego gołębia, pełnego cichości.  
 Lecz wojak stał bez ruchu z opuszczoną głową.  
 Oto car grzmotnął pałką w podłogę dębową,  
 I dębowa podłoga, szorowana, myta,  
 Na pół ćwierci została żelazem przebita.  
 Lecz i tu nie drgnął wojak, nie poruszył głową.  
 Wtedy car rozgniewany groźne wyrzekł słowo —  
 I oprzytomniał wojak o chmurnem obliczu.  
 «Hej ty, nasz wierny sługo Kiribiejewiczu!  
 Czyś zataił myśl jaką w sobie nieuczciwą?  
 Czy na sławę ty naszą, zuchu, patrzysz krzywo?  
 Czy ci służba szlachetna więcej nie smakuje?  
 Gwiazdom radość, gdy miesiąc w niebie spaceruje,  
 Bo oświetla im drogę, a która nieładnie  
 Za chmurką się ukrywa, ta na ziemię spadnie...  
 Więc i tobie, mój wierny sługo, nie przystoi  
 Uchylać się od carskiej wesołości mojej,  
 Tem bardziej, że w twym rodzie świetnych mężów siła  
 I rodzina Malutów ciebie wykarmiła!...»  
 Na to wojak carowi nisko wpas się skłonił  
 I schylony w ukłonie takie słowa ronił:  
 «Carze ty nasz, Iwanie, synu Wasyłowy,  
 Nie rań swego pacholka okrutnemi słowy,

Bo gorącego serca winem nie zalejesz,  
Ani też czarnej myśli ucztą nie rozwiejesz.  
Jeżelim cię rozgniewał, twój niewolnik lichy,  
Każ mi odrąbać głowę, pełną grzesznej pychy,  
Bo cięży mi zanadto już od dawnej chwili  
I sama ku wilgotnej ziemi już się chyli».

I na to mu car Iwan Groźny tak odrzeczę:  
«Jakaż to troska czarna ciebie, zuchu, piecze?  
Czy wytarł się twój kaftan aksamitny nowy?  
Czy zgniółł się twój junacki kołpak sobolowy?  
Lub może w mieszku nie masz już ani dukata?  
Może rdzą się powlekła szabla twa bogata?  
Lub źle podkuty rumak w polu ci okulał?  
Alboś w walce na pięści źle sobie pohulał,  
I syn kupiecki pobił cię na Moskwie-rzece?»

Na to Kiribiejewicz tak carowi rzecze,  
Podniósłszy wtem do góry głowę kędzierzawą:  
«Nie zrodziła się jeszcze ręka z taką sławą  
Ani w kupieckim, ani też w bojarów rodzie.  
Stepowy koń mój rażno, jako wicher, chodzi;  
Jak szkło błyszczący ma szabla i ostre jej cięcie,  
I nie gorzej od innych z łaski twej przy święcie  
Mogę ludziom pokazać się w najlepszej szacie.  
Jak popędzę, pojedę na swoim bachmacie,  
Za Moskwę-rzekę, jak ci na nim tam polhasam,  
Jak jedwabnym najdroższym pasem się przepasam,  
Jak załamię ci nabok kołpak z aksamitu,  
Który czarnym sobolem puszy się u szczytu —  
W drewnianych wrotach wtedy stają dziewczki młode  
I podziwiają moją junacką urodę;  
Tylko jedna, najbardziej gładka, urodziwa,  
Nie patrzy i w pstrokatej chuście twarz ukrywa...  
Na całej, jak szeroka, Rusi naszej matce  
Nie widziałem dziewczyny od tej dziewczki gładziej:  
Gdy chodzi — płynie łabędź i skrzydłem powiewa,  
Gdy rzeknie jakie słowo — mały słowik śpiewa;  
Rumiane jej policzki, jak te zorze, świecą,  
Pożłociste warkoczki po ramionach lecą  
I wiją się, związane barwnymi wstążkami,  
I całują się w biegu z białymi piersiami.  
Urodziła się ona w kupieckiej rodzinie  
I Alena na imię tej pięknej dziewczynie.  
Gdy widzę ją, nie jestem sobą, serce płonie;  
Opuszczają się wtedy silne moje dłonie,  
Posepniję me oczy, cały mdleję w żarze.  
Smutno, ciężko mi teraz, prawosławny carze,  
Samemu żyć na świecie! Ciężkie życie moje! — — —»

I odparł mu car Iwan na to tak ze śmiechem:  
«Jeśli tak, wierny sługo mój, to z całą mocą  
Postaram ci się służyć radą i pomocą.  
Oto weź z mojej ręki pierścień brylantowy  
I na dodatek daję tobie sznur perłowy.  
Przedtem pokłoń się jakiej co sprytniejszej swatce  
I te drogocności pošlij swej dzierlatce,  
Alenie Dymitrownie. Jeśli przyjmie dary,  
Szykuj ślub, a jeżeli nie — wtedy daruj!»



— Hejże, nasz Groźny carze, carze nasz Iwanie!  
 Oszukał ci niewolnik twój, łaskawy panie!  
 Nie powiedział ci prawdy, że piękna jak zorze  
 Już dawno ślub Alena wzięła w cerkwi bożej  
 Z młodym kupcem i według prawa chrześcijańskiego  
 Należy już nadobna dziewczka do innego...

Hej, chłopcy, śpiewajcie — gęśli nastrajajcie!  
 Hej, śpiewacy, pijcie — dłonią w struny bijcie!  
 I pocieszcie dobrego bojara  
 I bojarznię jego białolicą!

\_\_\_\_\_  
*Tłum. Włodzimierz Słobodnik.*

## ALEKSY KOLCOW

(1809—1842)

### PIEŚŃ RATAJA

Dalej, koniu siwy!  
 Idź po ornem polu!  
 Wrzynaj się żelazem  
 W ziemię urodzajną.

Piękna młódka-zorza  
 W niebie już się jarzy  
 I z wielkiego lasu  
 Słoneczko wychodzi.

Jakże tu radośnie!  
 Dalej, koniu siwy!  
 Ja za tobą idę,  
 Sługa i gospodarz.

Wesoło szykuję  
 Bronę swą i sochę  
 I wóz oporządzam,  
 I ziarno już sieję.

Wesoło spoglądam  
 Na szerokie pole,  
 Młóćę jak należy...  
 Dalej, koniu siwy!

Z tobą, koniu siwy,  
 Będziem orać pole,  
 Zgotujemy ziarnu  
 Kolebeczkę świętą.

Przepoi je sobą  
 Mokra matka-ziemia  
 I wyrosnie trawka...  
 Dalej, koniu siwy!

I wyrosnie trawka,  
 I wyrosną kłosa,  
 Zaczną się przystrajać  
 W złotem szyte szaty.

I zabłyszczą sierp nasz,  
 I zadzwonią kosy,  
 I na ciężkich snopach  
 Odpoczniemy potem.

Dalej, koniu siwy!  
 Nakarmię dosyta  
 I napoję wodą,  
 Rzeźwiącą, kryniczną.

Z modlitwą na ustach  
 Będę orał glebę;  
 Urodź mi, o Boże,  
 Chleb — bogactwo moje.

\_\_\_\_\_  
*Tłum. Włodzimierz Słobodnik.*

## IWAN GONCZAROW

(1812—1891)

### Z «OBŁOMOWA»

(Sen w Obłomówce)

...Popołudnie upalne; na niebie nie widać jednego obłoczka. Słońce nieruchomo wisi nad głową i pali trawę. Powietrze jest bez ruchu. Ani woda, ani żaden listek nie drgnie na drzewie; nad wsią i nad polem panuje niezmacona cisza — zdaje się,

że wszystko wymarło. Słysząc o dwadzieścia sążni, jak żuk przeleci i brzęczy. Do-  
nośnie i daleko płynie głos ludzki. Z gęstej trawy dolatuje tylko odgłos chrapania,  
jakgdyby ktoś spał tam słodkim snem.

W całym domu panuje niezmacona cisza. Nadszedł czas zwykłego poobiedniego  
spoczynku.

Dziecko widzi, że ojciec, matka, stara ciotka, cały akompanjament codziennych  
pieczeniarzy — rozeszli się po kątach. Kto go nie miał, to jeden szedł na siano,  
drugi do sadu, trzeci szukał chłodu w sieniach, a inny, przykrywszy twarz chustką,  
od much, zasypiał tam, gdzie go żar zmorzył i do snu pochylił obfity obiad. Ogro-  
dnik rozciągnął się w ogrodzie pod wiśnią, furman spał w stajni. Ilja Iljicz zajrzał do  
izby czeladnej — wszyscy spali pokotem: na ławkach, na podłodze, w sieniach. Tylko  
dzieci, pozostawione same sobie, pełzały po dworze i bawiły się w piasku. Pies głę-  
boko schował się do swojej budy, rad, że nie ma na kogo szczekać.

Można było zabrać wszystkie sprzęty i wywieźć ze dworu — nikt nie przeszkodziłby  
z pewnością. Tylko złodziei w tym kraju nie było.

Był to jakiś sen niezwyczęzony, pochłaniający wszystkich — jakies podobieństwo  
do śmierci. Wszystko martwe, tylko z różnych kątów słychać było chrapanie na różne  
tony. Czasem ktoś przez sen podniesie głowę, bezmyślnem i zdziwionem okiem spoj-  
rzy na wszystkie strony, przewróci się na drugi bok i, nie otwierając oczu, plunie, po-  
ruszy ustami, coś mruknie pod nosem — i zasypia. Ktoś inny szybko, bez żadnego  
namysłu, nagle skoczy na równe nogi i, nie tracąc chwili drogocennej, pochwyti  
dzbanek z kwasem, dmuchnie, aby odpłynęły do drugiego brzegu pływające po wier-  
chu muchy, które, nieruchome dotychczas, poczynają się ruszać, jakby się pragnęły  
wydobyć z dzbanka, pociągnie kwasu i znowu, jak nieżywy, pada i śpi.

A chłopczyk na wszystko patrzył i zapamiętywał.

On z nianią po obiedzie wychodził na powietrze. Ale i niania, bez względu na  
całą surowość rozkazu baryni i wbrew swojej własnej woli, nie mogła się sprzeci-  
wić opanowaniu jej przez sen. Ulegała także chorobie senności, panującej powszechnie  
w Oblomówce. Z początku pilnie uważała na chłopczyka, nie pozwalała daleko odejść  
od siebie, ostro karciała za swawole, ale potem, czując zbliżające się oznaki zarazy,  
poczęła go prosić, aby nie wychodził za bramę, nie drażnił kozła, nie laził do go-  
łębnika.

Sama zaś siadała gdziekolwiek w cieniu — na ganku, na progu piwnicy lub  
wprost na trawie, jakby się zdawało, w tym zamiarze, aby robić pończochę i pilno-  
wać dziecka. Wkrótce coraz leniwiej, kiwając głową, starała się powstrzymać swa-  
wolę chłopaka. — Ach, jeszcze wlezie ten swawolnik na galerję — myślała jak przez  
sen — albo, co gorsza, do parowu... — Głowa staruchy chyliła się do kolan, poń-  
czocho z rąk wypadła. Chłopiec zginął jej z przed oczu. Otworzywszy usta, poczęła  
lekkko chrapać.

A on z niecierpliwością oczekiwał tej chwili, gdyż wtedy dopiero rozpoczynało  
się jego samodzielne życie. Był wtedy sam na całym świecie. Na palcach, cichutko  
uciekał od niani i oglądał wszystkich, gdzie tylko kto spał. Zatrzymał się. Popatrzył  
ciekawie na tego, który się budzi, plunie lub coś przez sen zamamroce, potem z drżą-  
cem sercem wskoczył na galerję, obiegił ją dokoła po trzęsących się deskach, wła-  
ził do gołębnika, uciekał w głąb sadu, słuchał, jak brzęczą żuki, i daleko śledził  
oczyma ich lot; przysłuchiwał się, jak coś strzyka w trawie; szukał i łapał to stwo-  
rzonko, które mąciło ciszę. Złapie konika polnego, urwie mu skrzydełka i patrzy,  
co on będzie robił, lub przewlecze przez jego ciało słomkę i przypatruje się, jak lata.  
Z ciekawością, bojąc się oddechać, przygląda się pajakowi, ssącemu krew z muchy,  
przysłuchuje się, jak biedna ofiara brzęczy w jego łapkach, a kończy tem, że zabija  
i dręczyciela, i ofiarę.

Potem złazi do rowu, ryje ziemię i szuka jakichś korzonków, które oczyszcza  
z kory i zjada ze smakiem większym, niż jabłka i konfitury, które dostaje od matki.

Biegnie za wrota. Chciałby dobiec koniecznie do brzoźowego lasku, w pięć mi-  
nut już byłby tam, nie drogą, krążąc daleko, ale przez płoty, jamy i rowy, lecz boi

się — mówią, że tam djabeł leśny i straszą jakieś potwory. Chciałby się i do parowu dostać — niedaleko, zaledwie pięćdziesiąt sążni od ogrodu. Już przybiegł prawie do samego brzegu, przymknął oczy, chciał spojrzeć w głąb, jak w głąb krateru... gdy nagle w wyobraźni jego rozbudziły się wszystkie podania i gadania, i strach go ogarnął. Napół żywy popędził zpowrotem i, drżąc ze strachu, rzucił się do niańki i zbudził staruszkę.

Ona otrząsnęła się ze snu, poprawiła chustkę na głowie, palcem wetknęła pod chustkę kosmyki siwych włosów i, udając, że nie spała wcale, podejrzliwym spojrzeniem spogląda na Iljuszę, potem na okna dworu i poczyną drżącymi palcami przetykać druty, robiąc dalej pończochę, którą z kolan podniosła.

Tymczasem upał powoli zmniejszał się. Przyroda poczynąła się ożywiać. Słońce posunęło się bliżej lasu. I w domu powoli poczęła się przerywać cisza. W jednym końcu domu gdzieś drzwi skrzypnęły, na dworze dały się słyszeć czyjeś kroki, na sianie ktoś począł kichać. — — —

*Thum, Franciszek Rawita-Gawroński.*

## JAN TURGENIEW

(1818—1883)

### Z «ZAPISKÓW MYŚLIWEGO»

#### Jermołaj i młynarka

Wieczorem z myśliwym Jermołajem poszliśmy na «ciąg». Ale zapewne nie wszyscy moi czytelnicy wiedzą, co to jest «ciąg», Przeto posłuchajcie. Na kwadrans przed zachodem słońca, na wiosnę — wchodźcie do gaju, z bronią, bez psa. Obieracie sobie miejsce gdzieś blisko brzegu gaju wśród krzaków, oglądacie się, opatrujecie piston, porozumiewacie się z towarzyszem. Przechodzi kwadrans; słońce zaszło, lecz w lesie jeszcze jasno, powietrze czyste i przeźrocze, ptaki śpiewają, młoda trawa jaśnieje blaskiem szmaragdu... czekacie.

Wnętrze lasu stopniowo ciemnieje; czerwone światło zorzy wieczornej powoli ślizga się po korzeniach i pniach drzew, podnosi się coraz wyżej i wyżej, przechodzi do niższych, prawie jeszcze gołych gałązek, do nieruchomych, zasypiających wierchołków...

Wreszcie i same wierchołki pociemniały; niebo zaróżowione staje się niebieskie, wzmaga się zapach w lesie coraz bardziej, pociąga ciepły wilgotny wietrzyk. Ptaki zasypiają. Nie wszystkie razem, według gatunków; i oto ucichły zięby, po kilku minutach czyżyki, za nimi poświerki.

W lesie ciemniej i ciemniej. Drzewa zlewają się w wielkie czerniejące masy. Na niebie wstępują pierwsze gwiazdki. Wszystkie ptaki śpią. Czarne pliszki, małeńkie dzięcioły jeszcze się odzywają sennie, lecz i one umilkły. Jeszcze gdzieś smutnie zakrzyczała wilga, słowik odezwał się po raz pierwszy.

Serce wasze męczy oczekiwanie... i nagle, lecz tylko myśliwi mogą mnie zrozumieć, nagle w głębokiej ciszy rozlega się szczególniejsze chrapanie i świst, słychać miarowe uderzenia skrzydeł i słonka, pięknie nachyliwszy swój dziób, wyptywa z za ciemnej brzozy na strzał.

Oto, co znaczy stać na «ciągu».

Tak więc, udaliśmy się z Jermołajem na ciąg, lecz, przepraszam, pierwszej muszę was zapoznać z Jermołajem.

Wyobraźcie sobie człowieka czterdziestopięcioletniego z długim i cienkim nosem, czarnymi oczkami, roztarganymi włosami i szerokiemi, śmiejącymi się ustami. Człowiek ten zimą czy latem chodził w nankinowym kaftanie, niemieckiego kroju, lecz podpasywał się pasem, nosił niebieskie szarawary i czapkę futrzaną, darowaną mu niegdyś przez podupadłego obywatela.

Do pasa przywiązywał dwa worki; jeden z przodu, przekręcony na dwie połowy, na proch i na śrut; drugi z tyłu na zwierzynę, przybitki zaś Jermołaj wyciągał z własnej, nigdy niewyczerpanej czapki. Mógłby on bardzo łatwo, za pieniądze, jakie miał

za sprzedaną zwierzynę, kupić sobie ładownicę i torbę myśliwską, lecz ani razu nie pomyślał nawet o podobnym sprawunku i nabijał swoją strzelbę, jak dawniej, wzbudzając podziw widzów zręcznością, z jaką unikał zmieszania prochu ze śrutem.

Broni miał pojedynczą, ze skałką, «bijącą mocno», na skutek czego prawa szczeka Jermołaja zawsze była pełniejsza od lewej. Jak on trafiał z tej broni, nawet bardzo mądry człowiek nie odgadłby, lecz trafiał...

Miał on i wyżła, który się wabił Waletka; zadziwiające stworzenie! Jermołaj nigdy jeść mu nie dawał.

— Będę ja psa past — mówił — pies, mądre zwierzę, sam sobie pożywienie znajdzie.

I rzeczywiście, chociaż Waletka najobojętniejszego przechodnia raził swą chudością nadmierną, lecz żył i długo żył; nawet, bez względu na swe mizerne położenie, nie zdradzał chęci opuszczania swego pana.

Raz, jakoś za młodych lat, uciekł na dwa dni, ale to głupstwo prędko od niego odeszło.

Najbardziej godną uwagi właściwością Waletki była jego szczególna obojętność na wszystko na świecie. Gdyby tu była mowa nie o psie, użyłbym wyrazu — rozczarowanie. Zazwyczaj siadywał, podwinąwszy pod siebie kusy ogon, był jakby nachmurzony, od czasu do czasu wstrząsał się i nie uśmiechał się nigdy (wiadomo, że psy umieją się uśmiechać, i to bardzo przyjemnie).

Był on strasznie brzydki i ani jeden próżnujący dworski człowiek nie opuścił okazji, aby się nie naśmiać z jego powierzchowności, ale wszystkie te żarty, a nawet uderzenia, Waletka znosił z zadziwiająco zimną krwią.

Szczególną przyjemność robił kucharzom, którzy natychmiast odrywali się od roboty i z krzykiem puszczali się za nim w pogoń, gdy on wskutek słabości, nie tylko psom właściwej, wsuwał swój głodny pysk w półotwarte drzwi ciepłej i pełnej kuszących zapachów kuchni.

Na polowaniu był niezmordowany, węch miał dobry, lecz jeżeli przypadkiem dopędził ranionego zająca, to pożerał go z rozkoszą całego, do ostatniej kostki, gdziekolwiek w chłodnym cieniu, pod zielonym krzakiem, w przyzwoitem oddaleniu od Jermołaja, klnącego wszystkimi znanymi i nieznanymi dialektami.

Jermołaj należał do jednego z moich sąsiadów, obywatela starej daty...

...miał nakazane raz na miesiąc dostarczać do kuchni pańskiej dwie pary cietrzewi i kuropatew, a z resztą pozwalano mu robić, co chce, i żyć, czem chce.

*Tłum. Klemens Junosza (Szaniawski).*

#### Z «POEZYJ PROZĄ»

(Senilia)

W r ó b e l

Wracałem z polowania i szedłem aleją ogrodu.

Pies biegł przede mną. Raptem zwołnit kroku i zaczął się skradać, jakby poczuł przed sobą zwierzynę.

Spojrzałem wdół alei i ujrzałem młodego wróbla z żółtym jeszcze dziobem i puchem na głowie. Wypadł z gniazda (wiatr silnie kotłował brzożami alei) i siedział nieruchomo, napróżno rozczapierzając ledwie zarastające skrzydełka.

Mój pies wolno zbliżał się ku niemu, a wtem, zerwawszy się z bliskiego drzewa, stary czarnopiersny wróbel, jak kamień, spadł przed samym jego pyskiem — i cały najeżony, straszny z rozpaczliwym i żalonym piskiem skoczył dwa razy w kierunku zębatej rozwartej paszczy.

Rzucił się ratować, zastonił sobą swoje pisklątko... ale całe jego maleńkie ciało dygotało z trwogi, głosik dziczał i chrypl, wróbel zamierał, poświęcał życie!

Jak wielkim potworem musiał mu się wydać pies! Mimo to wróbel nie mógł usiedzieć na swojej wysokiej, bezpiecznej gałązce... Siła, mocniejsza od jego woli, zrzuciła go wdół.

Mój Trezor przystanął, cofnął się... Widocznie i on uznał tę siłę. Pośpieszyłem odwołać zmieszanego psa — i oddaliłem się, pełen pokory.

Tak; nie śmieście się. Korzyłem się przed tym małym bohaterem, przed miłosnym jego porywem. Miłość — myślałem — silniejsza jest niż śmierć i groza śmierci. Tylko nią, tylko miłością utrzymuje się i rozwija życie.

*Tłum. A. Maryńska.*

### Podróż morską

Płynąłem na niewielkim parowcu z Hamburga do Londynu. Było nas dwoje pasażerów: ja i drobna małpka, samiczka z gatunku jedwabistych, którą jakiś kupiec hamburski przesyłał w podarunku współnikowi angielskiemu.

Była ona przymocowana cienkim łańcuszkiem do jednej z ławek na pokładzie i szarpała się a piszczala żałośnie, niby ptak. Za każdym razem, gdy przechodził koło niej, wyciągała ku mnie czarną chłodną rączkę — i spoglądała na mnie smutnymi, ludzkimi prawie oczkami. — Brałem ją za rękę — a wtedy przestawała szarpać się i piszczuć.

Panowała niezmacona cisza morską. Dokoła rozpościerało się morze, jakby nieruchome, barwy ołowianej, gładki obrus. Wydawało się ono niewielkie; mgła nad niem leżała — tak gęsta, iż powlekała najwyższe szczyty masztów, a miękkim swym oparem oslepiła wzrok i nużyła. Słońce wisiało w tym oparze, niby mętna plama czerwona; a pod wieczór całe zapalało się i żarzyło czerwienią tajemniczą i przedziwną.

Długie proste fałdy, podobne do fałd ciężkich tkanin jedwabnych, biegnęły jedna za drugą od dzioba statku i, wciąż się rozszerzając, marszcząc się i rozszerzając, wygładzały się wkońcu, chygotały się i znikały. Wzbita piana kłębiła się pod kołami, które tupały jednostajnie; mleczno-biała i zlekka sycząca, rozplywała się w strugi węzowate, a tam łączyła się, znikając również, przez mgłę pochłonięta.

Bezustanku i podobnie żałosny, jak kwilenie małpki, dzwięczał u steru niewielki dzwonek okrętowy.

Co jakiś czas wynurzała się foka — i, zagnęła skoczywszy na głowę, znikła znów pod ledwie wzruszoną gładzinną wodną.

A kapitan, człowiek milczący, o twarzy ogorzałej i mrocznej, pykał krótką fajkę i gniewnie splotał w toń zneruchomiłą.

Na wszystkie moje pytania odpowiadał krótkim pomrukiem; mimowoli musiałem zwracać się do jedyne go towarzysza podróży — do małpki.

Siadałem obok niej; przestawała piszczuć — i znów ku mnie wyciągała rączki.

Mgła nieruchoma ogarnęła nas oboje wilgocią jakąś usypiającą; i pograżeni w jednakię beświadomej zadumie, trwaliśmy jedno obok drugiego, niby dwoje krewnych.

Teraz uśmiecham się na to wspomnienie... lecz wówczas inne miałem uczucie.

Wszycyśmy dziećmi jednej matki — i było mi z tem dobrze, że biedne zwierzątko tak ufnie przycichało i tuliło się do mnie, jak do krewnego.

### Uczta u Najwyższej Istoty

Pewnego razu Najwyższa Istota postanowiła wyprawić wielką ucztę w swym pałacu lazurowym.

Wszystkie cnoty zostały zaproszone. Same cnoty... panów nie proszono... same tylko panie.

Zebrało się bardzo wiele cnót — wielkich i małych. Małe cnoty były uprzejmiejsze i miłsze, niż wielkie; ale wszystkie zdawały się zadowolone — i rozmawiały z sobą uprzejmie, jak przystoi bliskim krewnym i znajomym.

Lecz oto Najwyższa Istota zauważyła dwie piękne panie, które najwidoczniej wcale nie znały się z sobą.

Gospodarz wziął za rękę jedną z tych pań i podprowadził ją do drugiej.

— Dobroczynność — powiedział, wskazując na pierwszą.

— Wdzięczność — dodał, wskazując na drugą.

Obie cnoty były niewymownie zdziwione: od czasu, jak świat stał na zrębie — a stał już dawno — one spotkały się po raz pierwszy.

*Tłum. Alfred Tom.*

«Ustyszysz sąd głupca...» (Puszkina)

«Ustyszysz sąd głupca...» Tyś zawsze prawdę mówił, wielki nasz poeta; powie-  
działeś ją i tym razem.

«Sąd głupca i śmiech tłumu...» Kto ich nie doznał?

Wszystko to można i należy znieść; kogo stać na to — niech sobie szydzi!

Są jednak ciosy, sprawiające ból, ciosy, co ranią samo serce... Człowiek uczynił  
wszystko, co mógł; pracował bez wytchnienia, z ukochaniem, pracował uczciwie... I oto  
uczciwe dusze obelżywie odwracają się od niego; uczciwe twarze płomienieją odrazą na  
samo jego imię. «Precz stąd! precz!» — wołają do niego uczciwe młode głosy. «Ani ty sam,  
ani twa praca nie jest nam potrzebna, nie znasz nas i nie rozumiesz... Jesteś wrogiem!»

Co wtedy począć ma człowiek? Pracować dalej, nie próbować się usprawiedli-  
wić — i nawet nie czekać na sąd sprawiedliwy.

Ongiś rolnicy przeklinali wędrowca, który, zamiast chleba, przyniósł im ziem-  
niaki, codzienne pożywienie ubogich. Wytrącali z wyciągniętych ku nim rąk ten dar  
drogocenny, rzucali go w błoto, deptali nogami. Teraz żywią się nim i nawet nie  
znają imienia swego dobroczyńcy.

Nic to! Naco im znać jego imię? On, bezimienny, wybawia ich z głodu.

Będziemy tylko baczyli, by to, co przynosimy, istotnie było dobre.

Gorzki jest niezastudzony zarzut z ust ludzi, których Kochamy... I to jednak znieść  
można...

«Bij mnie, ale wysłuchaj!» — powiedział ateński wódz do spartańskiego.

«Bij mnie — ale bądź zdrowy i syty!» — mamy mówić my.

*Tłum. Sydir Twerdochlib.*

## ALEKSY HR. TOŁSTOJ

(1817—1875)

WASILIJ SZYBANOW

(Ballada)

Przed carskim to gniewem książę Kurbskij wzdry zbiegł,

Powierny z nim, Waśka Szybanow.

A książę był dorodny. Zdrożony koń legł —

Co począć wśród nocy tumanów?

Lecz rabską swą wierność dla pana wzdry chronił —

I swój wojewodzie podaje on koń:

«Do wrogów obozu jedź, książę,

A nuże ja pieszo nadążę».

Książę pomknął. W litewskim namiocie wraz sam

Wojewoda zbiegły zasiada;

W zdumieniu, z respektem otacza go tam

Litewskich wielmożów gromada.

Od wszech ruski witeź odbiera tu cześć,

Acz dziwi Litwinów niedarmo ta wieść;

Męt w głowach wre, jak pod obuchem:

Książę Kurbskij nam staje się druhem!

Lecz kniazia nie cieszą oznaki czci; wre

W nim duch od goryczy i męki

I Kurbskij carowi wyliczyć tu chce

Znieważonej duszy udręki:

«Co noszę i kryję od mnogich już lat,

Obszernie carowi wypiszę ja rad

I powiem otwarcie, bez maski,

«Bóg zapłać!» — za jego wsze łaski!»

I całą noc pisze bojarzyn list ów,  
 A pióro msty żąda mu dysze;  
 Uśmiecha się, czyta, uśmiecha się znów  
 I bez wypoczynku znów pisze,  
 I cara dźga słowy ostremi, jak nóż,  
 Aż wreszcie, już kiedy rozgorzał blask zórz,  
 Pośpiało mu pismo, na radość,  
 A jadłem ciekące aż zadość.

Lecz zali po dobrej kto woli chęć ma  
 Zuchwałę carowi wieść słowa?  
 I czyjeż to serce, co w piersi ni drga?  
 Na karku nie miła li głowa?  
 I owo zwątpienie na kniazia szło już;  
 Wtem w pocie i w pyłe Szybanow wszedł tuż:  
 «Przychodzę, by służyć Ci dalej!  
 Patrz: nasi dyc mię nie dognali!»

Raduje się książę, że gotów iść rab  
 I jeszcze przynagła go srodze:  
 «Tyś krzepki na ciele, ni duchem tyś słab,  
 A owo-ć rublami nagrodzę!»  
 I księciu Szybanow odpowie wraz tak:  
 «Wždy srebra twojego tu będzie Ci brak,  
 Twe pismo zaś ja i za męki  
 Rad oddam carowi do ręki!»

Miedziany nad Moskwą rozlega się dzwon,  
 W pokutnem gźle car go kolebie.  
 Czy dawny swój spokój znów k'sobie zwie on?  
 Sumienie na zawsze li grzebie?  
 I w dzwon grzmi miarowo i często dzień w dzień,  
 A naród moskiewski wstuchuje się weń  
 I modli się, pełen bojaźni,  
 Ażeby dzień zeszedł bez kaźni.

I władcy z teremów wraz odzew dzwon da:  
 Książ Wiazemskij dzwoni z nim luty —  
 I wszech opryczników z nim dzwoni wraz óma:  
 I Waśka Griaźnoj i Maliuta,  
 I tuż, dziwną krasą pyszniący się wraz,  
 Z dziewiczym uśmiechem, a w duszy zły płaz,  
 Polubieniec dzwoni Iwanow,  
 Prze Boga odrzucon Basmanow.

Dzwon zmilkł. Na nadzieaku oparty przez gród  
 Car kroczy z okolnych orszakiem —  
 Wtem goniec gna w cwał, rozstępuje się lud:  
 Pismo dzierży on nad kołpakiem.  
 I z konia piorunem zeskoczył on już,  
 Nie błędąc, k'carowi podchodzi i tuż  
 Rzecz: «Pismo to oddać chcę ja  
 Od kniazia Kurbskiego Andrzej!»

I w oczach carowych rozgorzał wraz żar:  
 «Co znowu złoczyńca ów knowa?  
 Czytajcie w głos djaki! Czytajcie! — grzmi car —  
 To pismo od słowa do słowa.

Tu, gończe zuchwały, daj pismo!» — I wbił  
Mu w stopę nadziei szpic ostry z wszech sił —  
I na głowicy się uklądszy,  
Badawczo w źrenice mu patrzy:

«Carowi, co zdawna jest sławion od wszech,  
Acz w złościach okwitych się zgubił —  
Odpowiedz, szaleńcze, prze jaki to grzech,  
Cnotliwe i krzepkie Tyś ubił?  
Odpowiedz! Nie oniz, gdy straszny bój wrzał,  
Warownie Ci mnogie dobyli naschwał?  
Nie z ich że dzielności Twa sława?  
W wierności kto równy im stawą?

«Azali śmiertelne li widzisz śród nas,  
Zagrzązłszy w herezji plugawej?  
Zważ przeto! Zapłaty już bliski jest czas  
I każdy odzyszcze plon prawy!  
I w bojach ustawnych przy Tobiem ja stał  
I za Cię, jak wodę, jam krew lał i lał.  
I z Tobą mi iść przed sąd Pana!» —  
— Książ Kurbskij do Cara Iwana.

Rab milczał. Ze stopy przebitej krwi war  
Purpurowym ściekał potokiem,  
A w jasne źrenice Szybanowa car  
Dochodzącem spozierał okiem.  
Bez ruchu stał tłum opryczników. Ział mrok  
Wzrok cara posepny, zagadkowy wzrok,  
Jakoby w boleści tonący —  
I wszyscy czekali milczący.

«I słusznie — car prawi — bojaryn twój rzekł:  
— Nie dla mnie już żywot szczęśliwy!  
Cnotliwych i krzepkich krew broczy mój śnieg:  
Niegodny jam pies i smrodliwy!  
Tyś, gończe, nie rab! Tyś towarzysz i kum!  
I Kurbskij sług wiernych posiada śnać tłum,  
Skoroć za nic wydal, kamrata!  
— Z Maliutą iść tobie do kata!»

Oprawcy badają i męczą go tam  
Na zmianę, druhowi druh kraczą:  
«Kompanów Kurbskiego wyspiewaj ty nam,  
Ich zdradę nam wydaj sobaczą!»  
I car dopytuje: «Ow goniec — i cóż?  
Przyjaciół złoczyńcy wymienił li już?»  
— «Jego mowa, carze, jedyna:  
Swego sławi on bojaryna!»

Dzień mierzchnie i owo nadchodzi już noc:  
Katowni zaś skrzypią znów wrota,  
I znowu oprawców gromadzi się moc,  
I znów się poczyna robota.  
«Wymienił li goniec złoczyńców? — I cóż?»  
«Śnać, carze, kres bliski nadchodzi mu już,  
Lecz wždy jego mowa jedyna:  
Swego sławi on bojaryna!»



«O, kniaziu! Ty, któryś zaprzedać mię mógł  
 Za tę chwilę msty na zagładę,  
 Ja modłę się, kniaziu! I oby Ci Bóg  
 Chciał darować Ojczyzny zdradę.  
 O, usłysz mię, Boże! w przedśmiertnych mąk czas!  
 Mój język niemieje i wzrok mój już zgasł,  
 Lecz w sercu mam li miłowanie —  
 Moje winy odpuść mi, Panie!

«O, usłysz mię, Boże! w przedśmiertnych mąk czas!  
 Mego oczyść z win bojaryna!  
 Mój język niemieje i wzrok mój już zgasł,  
 Lecz wždy moja mowa jedyna:  
 Za Cara Groźnego i sławę, i cześć!  
 Za naszą Ruś Świętą modlitwę zwól wznieść:  
 Śmierć jeno mi daj, Miłosierny!»  
 — Tak umarł Szybanow powierny.

*Tłum. Władystaw Nawrocki.*

OCH, ŻEBY TAK WOŁGA-MATKA...

Och, żeby tak Wołga-matka wstecz popłynęła!  
 Żeby się tak, bracia, młodość odnowa zaczęła!  
 Och, żeby tak zimą kwiaty kwitły dalej!  
 Żebyśmy wciąż kochali, a nie przestawali!  
 Żeby tak dna morskiego dosięgnąć a zmierzyć!  
 Żeby tak można było hożym dziewczkom wierzyć!  
 Och, żeby tak wszystkie baby były młódk!  
 Żeby w sztofie mniej wody, a więcej wódki!  
 Żeby tak od picia głowa nie słała!  
 I żeby tak czynowników pod żebra i do djabła!  
 Żeby kieszenie były od złota za ciasne!  
 I żeby nam, bracia, kaftany mieć własne!  
 Żeby tak głodny codzień przy obiedzie siedział!  
 A nasz car-batiuszka całą prawdę wiedział.

*Tłum. Julian Tuwim.*

ATANAZY FET (SZENSZIN)

(1820—1892)

[DZIŚ PRZYSZEDŁEM CI POWIEDZIEĆ...]

Dziś przyszedłem ci powiedzieć,  
 Że już jasne słońce wstało,  
 Że gorącym, mocnym światłem  
 Już po liściach się rozlało,

Że już zbudził się las szumny  
 Każdym listkiem i konarem,  
 Każdym ptakiem i gałązką  
 I wiosennym dyszy żarem.

Dziś przyszedłem ci powiedzieć,  
 To, co dawno już mnie wzrusza,  
 Że jedynie tylko tobie  
 Służy cała moja dusza,

Że świat cały dzisiaj w słońcu  
 Świeci mocno i radośnie  
 I że nie wiem, co zaśpiewam,  
 Ale wiem, że pieśń wyrośnie.

*Tłum. Włodzimierz Słobodnik.*

[JAK UBOGI NASZ JĘZYK...]

Jak ubogi nasz język: pragnę — gdybym mógł!  
 Nie pojmie tego nigdy przyjaciel ni wróg,  
 Co rozszalało w piersiach falą niewidzialną:

Darmo w udręce wiecznej kipi serca toń! —  
 Oto pochyla mędrzec swą dostojną skroń  
 Przed fałszu tego potęgą fatalną.

Lecz u ciebie, poeto, słów skrzydlaty splot  
 Chwyta niespodziewanie i utrwała wlot  
 I dusz marzenia ciemne, i traw nikły zapach.  
 Tak dla bezkresu orzeł, Jowiszowy ptak,  
 Rzuca padół i leci w podobłoczny szlak,  
 Snop błyskawic przelotny niosąc w wiernych łapach.

*Tłum. Mieczysław Giergielewicz.*

## MIKOŁAJ NIEKRASOW

(1821—1877)

### Z «KOLEI ŻELAZNEJ»

*Jaś (w futerku):*  
 Proszę tatki, kto wybudował tę koleją?  
*Tatko (w paltoście z czerwoną podszewką):*  
 Inżynierowie, moje dziecko!  
*Dialog w wagonie.*

#### I.

Śliczna jesień! Wietrzyk dmucha  
 Zimny, ale świeży,  
 Plecom ciepło bez kożucha,  
 Śnieg jak cukier leży;

Nowe liście nim urosną,  
 Z dawnych jest posłanie,  
 Można w lesie spać pod sosną,  
 Niby na dywanie.

Śliczna jesień! W nocy mróz,  
 W dzień cisza, pogoda...  
 W blaskach: pola, kępy brzóz  
 I cała przyroda...

Księżyc włożył czapkę ryżą,  
 Mizdrzy się do ziemi —  
 Ja po relsach pędzę chyżo  
 Z myślami mojemu...

#### II.

Dobry tato! poco dziecku  
 Rozповідаć baśnie?  
 Pozwól, ja mu w krótkiej chwili  
 Całą rzecz wyjaśnię:

Te nasypy, widzisz, Jasiu,  
 Robił mnogi lud;  
 A strasznego miał on wodza,  
 Który zwał się: Głód.

Wódz ten sprawił, że mu życie  
 Stało się niemiłe,  
 Więc z niem walczył — i to miejsce  
 Wybrał na mogiłę.

Hej! po relsach, po żelaznych  
 Pędzimy najprościej...  
 A wiesz, Jasiu, co pod nami?  
 Cmentarz ludzkich kości!

Słyszysz w mroku rzewne jęki?  
 Słyszysz wichru szum?  
 Za szybami coś się miga...  
 To upiorów tłum.

I przed nami, i za nami  
 Lecą, pędzą w cwał,  
 I śpiewają: «Jakże piękny  
 Z kości naszych wał!

Myśmy długo się porali  
 Z głodem i chorobą.  
 Deszcz nas moczył, mróz odrętwiał,  
 Czart wodził za sobą;

Knutem budził nas dziesiętnik,  
 Zanim błysła zorza,  
 Bito nas i okradano —  
 Taka wola Boża!

Zato dzisiaj dobre słowo  
 Rzuć nam, siostrzo, bracie!  
 Wszak wy pracy naszej krwawej  
 Owoc pożywacie!...»

Czumu Jasio tej piosenki  
 Tak bardzo się boi?  
 Spójrzyj, dziecię, ci nędzarze —  
 To rodacy twoi!

Próżno skrywać rękawiczką  
Przestraszone oczy,  
Oto stoi chłop przy drodze,  
Wzrokiem wkoło toczy...

Chłop pleczysty, ale blady,  
Twarz ma wpadłą, dziką,  
Obie nogi ma spuchnięte,  
Włos skręcony pliką.

Zamiast piersi — wklęsła jama,  
W niej pusto, jak w grobie...  
Ucz się, Jasiu: ten chłop pracą  
Chleb zdobywał sobie!

A do trudów tak nawyknął,  
Że zgięty ku ziemi,  
I dziś kopie zmarzłą grudę  
Rękami drżącemi.

Ucz się, Jasiu: wszelka praca  
Ród swój wiedzie z nieba,  
Więc i krwawe trudy chłopca  
Uszanować trzeba!

Kto wie zresztą, co Bóg chowa  
Dla tych synów siola!...  
Lud, co pracę umiłował,  
Wszystkiemu podola;

Może kiedyś, kraj wspierając,  
Stanie w pierwszym rządzie...  
Szkoda tylko, że już wówczas  
Obu nas nie będzie!

*Tłum. Wiktor Gomulicki.*

TEODOR DOSTOJEWSKIJ  
(1821—1881)

SKRZYWDZENI I PONIŻENI  
(wyjątek)

Lecz on już trzymał ją w objęciach.

Pochwycił ją i, wzięwszy jak dziecko na ręce, zaniósł na swój fotel, posadził ją i upadł przed nią na kolana. Całował jej ręce, nogi: śpiesznie całował ją, chciał jak najprędzej się na nią napatrzeć, jakgdyby jeszcze niedowierzając, że jest znów z nim razem, że ją znowu widzi i słyszy — ją, córkę, swą Nacię. Anna Andrejewna, łkając, objęła ją, przycisnęła jej głowę do piersi i zamarła w tem objęciu, nie będąc w stanie wymówić słowa.

— Moja droga!... Moje życie... radość moja... wykrzykiwał starzec bez związku, chwyciwszy ręce Naci i jak zakochany patrząc na jej bladą, chudziutką, lecz przesłaniczną twarzyczkę, w jej oczy, w których błyszczały łzy. — Moja radość, moje dziecko! — powtarzał, znów umilkł i w kornem upojeniu patrzył na nią. — Cóż, co mi tam powiedziano, że schudła! — powiedział z pośpiesznym, jakby dziecinnym uśmiechem, zwracając się do nas, i ciągle jeszcze na klęczkach. — Chudziutka, to prawda, bladziuchna, ale popatrz na nią, jaka ładniutka! Jeszcze ładniejsza niż dawniej, ładniejsza naprawdę, dodał, milknąc mimowoli na skutek jakiegoś bólu, bólu radosnego, który duszę jakgdyby łamie napół.

— Wstań, tatusiu! Proszę wstać, mówiła Nacia — przecież ja też chcę ciebie pocałować.

— Najdroższa! Słyszysz, słyszysz, Anusiu, jak ona to ładnie powiedziała, i uściśnął ją kurczowo. — Nie, Naci, ja, ja powinienem leżeć u twoich nóg póty, póki serce me nie poczuje, żeś mi przebaczyła, dlatego, że nigdy, nigdy nie będę mógł teraz zasłużyć na twoje przebaczenie! Odrzuciłem cię, przeklinałem cię, słyszysz, Naci, tak, przeklinałem, ja mogłem to zrobić!... A ty, a ty, Naci, czy mogłaś wierzyć, że ja cię przekląłem! Uwierzyłaś — prawda, uwierzyłaś? Nie trzeba było wierzyć. Poprostu nie trzeba było wierzyć. Okrutne serduszek! Dlaczegoś nie przyszła do mnie? Przecież wiedziałaś, jak cię przyjmę! O, Naci, pamiętasz przecież, jak cię dawniej kochałem, no, a teraz i przez ten cały czas ja cię dwa razy, tysiąc razy więcej kochałem niż dawniej! Kochałem cię z całego serca! Wydobyłbym z siebie duszę razem z krwią, rozprużyłbym własne serce i u stóp twych położył!... O, moja radości!

— Ależ pocałuj mnie, ojcze, okrutny człowieku, w twarz, w usta, jak mama całuje! — wykrzyknęła Nacia chorym, osłabionym, pełnym radosnych łez głosem.

— W oczęta również! I w oczęta! Pamiętasz, jak dawniej? — powtórzył starzec po długim, słodkim uścisku z córką. — O, Naci! Czy ci się śniło kiedy o nas? A tyś mi się śniła prawie co noc i co noc do mnie przychodziłaś, a ja płakałem nad tobą, raz przyszłaś jako malutka, pamiętasz, kiedy miałaś dziesięć lat i dopiero co zaczęłaś się uczyć grać na fortepianie — przyszłaś w króciutkiej sukience, ładniutkich trzewiczkach, z czerwonymi rączkami... miała wtedy ręce takie czerwoniutkie, pamiętasz, Anusiu? Przyszłaś do mnie, siadłaś na kolana i objęłaś mnie... Jesteś niedobra, niedobra dziewczynka! I ty mogłaś myśleć, że cię przekląłem, że cię nie przyjmę, gdy przyjdiesz!... Przecież ja, słuchaj, słuchaj, Naci, chodziłem często do ciebie, matka nie wiedziała, nikt nie wiedział: to stoję pod twojemi oknami, to znów czekam, nieraz pół dnia czekałem przed twoją bramą, czy nie wyjdiesz, żeby choć zdaleka na ciebie popatrzeć! Wieczorami u ciebie często paliła się świeca; ileż razy, Naci, chodziłem do ciebie wieczorem, by chociaż świecę twoją w oknie zobaczyć, ujrzeć chociaż twój cień, pobłogosławić cię na noc. A ty, czyś mnie na noc błogosławiła? Czy twoje serduszko słyszało, że jestem tu pod oknem? O, ileż razy w zimie wejść na twoje schody nocą i stoję w ciemnej sieni, słucham, czy przez drzwi nie usłyszę twego głosiku? Czy się nie roześmiejesz? Przekląłem? Przecież ja tego wieczora do ciebie szedłem, chciałem ci przebaczyć, tyłko wróciłem od samych drzwi... O, Naci!

Wstał, uniósł ją z fotelu i mocno, mocno przycisnął do serca.

— Ona znów tutaj, przy mem sercu! — zawołał — o, dzięki ci, Boże, za wszystko, i za Twój gniew, i za Twą łaskę!... I za słońce Twe, które zajaśniało teraz po tej burzy nad nami. Dziękuję Ci za tę chwilę! O, bądźmyż poniżeni, bądźmyż skrzywdzeni, lecz jesteśmy znowu razem i niech teraz triumfują ci dumni i pyszni, którzy nas skrzywdzili i poniżyli... Niech oni rzucą w nas kamieniem. Nie bój się, Naci! Pójdziemy razem, ręka w rękę, i ja im powiem: to jest moja droga, moja ukochana córka, to moja niewinna córka, którą wyście skrzywdzili i poniżyli, lecz którą ja kocham, którą błogosławię na wieki wieków!...

— Janku, Janku!... powiedziała Nacia słabym głosem, wyciągając do mnie rękę z objęć ojca.

O, nie zapomnę tego nigdy, że w tej chwili przypomniała sobie o mnie i że mnie przywołała.

— A gdzie Nelly? — zapytał starzec, oglądając się.

— Ach, gdzie ona? — zawołała staruszka — kochanie moje. Opuściliśmy ją tak nagle.

Lecz w pokoju jej nie było. Nieznacznie prześlizgnęła się do sypialni. Wszycyśmy tam poszli. Nelly stała w kącie za drzwiami i trwożnie przed nami się chowała.

— Nelly, co się z tobą dzieje, moje dziecko! — wykrzyknął starzec, chcąc ją wziąć w objęcia. Lecz ona jakoś dziwnie popatrzyła na niego...

— Mamusia, gdzie mamusia? — powiedziała nieprzytomnie — gdzie moja mamusia? — krzyknęła raz jeszcze, wyciągając ku nam swe drżące ręce, i nagle straszny, przerażający krzyk wydobył się z jej piersi, dreszcz przebiegł po jej twarzy i upadła na podłogę w strasznym ataku...

*Tłum. Władysław Broniewski.*

#### IDJOTA (wyjątek)

— ...W Petersburgu o sądownictwie teraz dużo mówią.

— Hm... Sądy! Sądy, to tam prawda, że sądy. A co, jak tam, sprawiedliwiej w sądach, czy nie?

— Nie wiem. O naszych dużo dobrego słyszałem. U nas znów kara śmierci zniesiona.

— A tam jest?

— Jest. We Francji widziałem, w Lyonie. Schneider mnie tam z sobą wziął.

— Wieszają?

— Nie, we Francji zawsze głowy ścinają.

— I co, krzyczą?

— Gdzie! Jedna chwila. Człowieka kładą, i spada taki szeroki nóż z maszyny gilotynej się nazywa, ciężko, silnie... Głowa odskoczy, tak że i okiem nie zdążysz mrugnąć. Przygotowania ciężkie. Kiedy czytają wyrok, przebierają, wiążą, na szafot wprowadzają, to właśnie straszne! Narodu się zbierają, kobiety też, choć tam nie lubią, żeby kobiety patrzyły.

— Nie ich rzecz.

— Pewnie! Pewnie! Taką mękę... Przestępca był to człowiek rozumny, silny, dojrzały, Legro się nazywał. No i mówię wam, wierzcie nie wierzcie, na szafot wchodził — płakał, biały, jak papier. Czy tak wolno? Czy nie straszne? Któż ze strachu płacze? Nie przyszło mi na myśl, żeby ze strachu mógł płakać, jak dziecko, człowiek, który nigdy nie płakał, człowiek czterdziestopięcioletni. Cóż się z duszą w takiej chwili dzieje, do jakich konwulsyj ją doprowadzają? Gwałt nad duszą, nic więcej! Powiedziano: «nie zabijaj», a dlaczego za to, że on zabił, i jego zabijają? Nie, tak nie wolno. Przecież już miesiąc minął, jak to widziałem, a dotąd stoi mi przed oczyma. Pięć razy się śniło.

Książę się ożywił, mówiąc, lekki rumieniec wystąpił na jego bladą twarz, chociaż głos był cichy, jak poprzednio. Kamerdyner z przyjaznym zainteresowaniem śledził za nim, tak jakgdyby oderwać się nie chciał, być może był też człowiekiem z wyobraźnią i chciwy myśli.

— Dobrze jeszcze, że męki niewiele — zauważył — jak głowa odpada.

— Wiecie co? — gorąco podchwycił książę — wy tak myślicie i wszyscy tak samo myślą, jak wy, i maszyna dlatego zbudowana, gilotynej. A mnie zaraz przyszła do głowy jedna myśl: a co, jeżeli to jeszcze gorzej? Dla was to śmieszne, wam się to dzikie wydaje, a przy pewnej wyobraźni taka myśl przychodzi do głowy. Pomyślcie: jeżeli, na przykład, tortury; przytem cierpienie i rany, męka cielesna i tym sposobem wszystko to od duchowego cierpienia odrywa, tak że tylko ranami się męczysz, póki nie umrzesz. A przecież główne, najsilniejsze cierpienie może nie w ranach, a w tem, że to wiesz z pewnością, że za godzinę, potem za dziesięć minut, potem za pół minuty, potem zaraz, już — dusza z ciała uleci i że człowiekiem już dłużej nie będziesz, i że to już bezwątpienia; główne to, że bezwątpienia. I kiedy głowę kładziesz pod sam nóż i słyszysz, jak on się zsuwa nad głową, wtedy ta jedna czwarta sekundy najstraszniejsza ze wszystkiego. Wiecie wy, że to nie moja fantazja, a że tak wielu mówiło? Ja do tego stopnia w to wierzę, że otwarcie wam powiem moje zdanie: zabijać za zabójstwo, to bezporównania większa wina, niż samo przestępstwo. Zabójstwo podług wyroku wstrętniejsze, niż zabójstwo rozbójnicze. Ten, kogo mordują rozbójnicy, zakluwają nocą, w lesie, czy gdzie bądź, z pewnością jeszcze się spodziewa ratunku do ostatniej chwili. Przykłady bywały, że już gardło podejrnięte, a człowiek jeszcze ma nadzieję uciec albo się wyprosić. A tam całą tę ostatnią nadzieję, z którą umierać dziesięć razy łżej, odbierają całkowicie; tam wyrok i w tem, że z pewnością nie ujdiesz, cała najstraszliwsza męka się mieści i większej od niej niema na świecie. Sprowadźcie i postawcie żołnierza nawprost armaty w czasie bitwy i strzelajcie do niego, a jeszcze ciągle będzie miał nadzieję; a przeczytajcie temu samemu żołnierzowi wyrok pewny, a rozum straci albo zapłacze. Kto powiedział, że ludzka natura może to znieść bez obłąkania? POCO taka przemoc bezużyteczna, nadaremna? Być może, że jest taki człowiek, któremu przeczytali wyrok, kazali się pomęczyć, a potem powiedzieli: «idź — ułaskawiono cię». O takiej męce i o takiej trwodze i Chrystus mówił. Nie, z człowiekiem tak nie wolno postępować!

*Tłum. A. Maryńska.*

MICHAŁ SAŁTYKOW (N. SZCZEDRIN)

(1826—1889)

BIEDNY WILK

(Wyjątek)

...Powiadają, że wilk chłopą krzywdzi, ale przecie i chłop, jak się rozzłości, bywa bardzo srogim! Dębczakiem wilka bije, ze strzelby do niego pali, wilcze doły rozkopuje,

żelaza na niego zastawia i urządza obławy. «Morderca! Rozbójnik!» — słycać tylko po wsiach o wilku — «ostatnią krowinę zadusił! Ostatnią owcę porwał!» A cóż on temu winien, że nie może inaczej wyżyć na świecie?

Zabijesz go, to i tak żadnej korzyści z niego nie masz. Mięso nieprzydatne, skóra twarda — nie grzeje. Tyle tylko pociechy, że się nad nim, przeklętym, napomstujesz i żywcem go na widłach wgóre podniesiesz: niech, gadzina, kropla po kropli posokę traci i zdechnie!

Nie może wilk, nie pozbawiając żywota, wyżyć na świecie — ot, w czym jego nieszczęście! A on przecie tego nie rozumie. Nazywają go złoczyńcą, to i on nazywa złoczyńcami tych, co go ścigają, kaleczą, zabijają. Pojął kiedy, że swoim życiem innym życiom szkodzi? Wie, że żyje — i na tem koniec. Koń — wozi ciężary, krowa — mleko daje, owca — wełnę, a on — trudni się rozbojem, morduje. Koń, krowa, owca i wilk — wszystkie żyją, każde po swojemu! Znalazł się raz wśród wilków jeden, co przez długie lata zabijał i rozbijał, a nagle na starość zaczął myśleć, że z jego życiem coś niedobrze. Żył ten wilk zamłodu bardzo hucznie i był jednym z tych niewielu drapieżców, któremu głód prawie nigdy nie dokuczał. Rozbijał we dnie i w nocy, a wszystko mu uchodziło bezkarnie. Pastuchom porywał barany z przed nosa; zakradał się na podwórka po wsiach; krowy dusił; raz nawet gajowego na śmierć zagryzł; chłopaka małego, w oczach wszystkich, z drogi do lasu zaniósł. Słyszał wilk, że go wszyscy za to nienawidzą i przeklinają, i był coraz okrutniejszy.

— Niechby posłuchali, co się w lesie dzieje — mówił — minuta nie przedzie, żeby jakie zwierzę nie skrzczało, rozstając się z życiem, czy podobna baczyc na to?

W ten sposób, wśród rozbojów, dożył on takiego wieku, w którym wilk zwie się już «gnuśnym». Ociężał trochę, ale rozboju się nie wyrzekł, przeciwnie — stał się może nawet okrutniejszy. Aż tu, niespodzianie jakoś, dostał się w łapy niedźwiedzia. Niedźwiedzie wilków nie lubią, bo i na nie wilki gromadnie napadają; często chodzą po lesie wieści, że tam a tam Michajło Iwanycz<sup>1</sup> się nie dopilnował: szare wrogi podarły mu futro na strzępy.

Trzyma tedy niedźwiedź wilka w łapach i myśli: «Cóż ja mam z nim, łajdakiem, począc? Jakbym go zjadł — dusza moja go nie zniesie i odrzuci; uduszę go i tak zostawię — to cały las padliną zakazi. Ano, zobaczą: może on też ma sumienie...

— Wilku, hej, wilku! — mówi Topygin<sup>1</sup> — czy podobna, żebyś ty nie miał sumienia?

— Ach, co też wasza stateczność mówi! — odpowiada wilk. Można to przeżyć na świecie choć jeden dzień bez sumienia!?

— Widać można, kiedy ty żyjesz. Zastanów się: codziennie przecie tylko takie wieści o tobie chodzą, żeś albo z kogo skórę zdarł, albo kogo zarznął — gdzie tu sumienie?

— Wasza stateczność! Pozwól sobie przedstawić! Mam ja jeść i pić, żywić moją wilczycę i chować wilczęta? Jakąż rezolucję wydać raczysz?

Pomyślał — pomyślał Michajło Iwanycz — zrozumiał: skoro wilkowi przeznaczono żyć na świecie, ma prawo się żywić.

— Tak jest — powiada.

— A ja, prócz mięsnych pokarmów — ani rusz! Ot, choćby waszą stateczność wziąć za przykład: malinki ci smakują, miodku sobie od pszczoł pożyczysz, owsa pocmokasz, a dla mnie to wszystko nie istnieje! Ma też wasza stateczność prócz tego jeszcze jedną ulgę; w zimie, jak się ułożysz w barłogu, nic ci, prócz własnej łapy, nie trzeba. Dla mnie w zimie i w lecie niema chwili bez myśli o pożywieniu! I wciąż o mięsku! A w jaki sposób zdobędę to pożywienie, jak nie zarzną i nie uduszę?

Zadumał się niedźwiedź nad temi wilczemi słowami, ale jeszcze chciał poprobować.

— Ale mógłbyś — powiada — trochę delikatniej jakoś...

— Ja, wasza stateczność, o ile mogę, staram się delikatnie. Lis — ten się znęca;

<sup>1</sup> Michajło Iwanycz i Topygin — ludowe przezwiska niedźwiedzia.

szarpnie raz — i odskoczy, znowu skubnie — i znowu odskoczy... Ja tam odrazu za gardło łapię — i kwita!

— Najnieszcześniejszy z ciebie zwierz — ot, co ci powiem! — przemówił niedźwiedź do wilka. — Nie mogę ja cię sądzić, choć wiem, że wielki grzech na duszę biorę, wracając ci wolność. Jedno dodać mogę; na twojem miejscu nie tylko życiabyłbym nie cenil, lecz uważałbym śmierć dla siebie za dobrodziejstwo! Rozważ moje słowa.

I puścił wilka na cztery wiatry.

*Tłum. G. W.*

LEW HR. TOŁSTOJ

(1828—1910)

KOZACY — OPOWIEŚĆ KAUKASKA

(Wyjątek)

Piszą do mnie z Rosji listy z wyrazami współczucia, gdyż, zdaniem moich moskiewskich znajomych, ginę na tem pustkowiu. Mówią o mnie: on tam schamieje, rozpije się i ostatecznie ożeni się z kozaczką. Nie napróżno mawiał Jermolow: kto służy dziesięć lat na Kaukazie, ten albo rozpije się, albo ożeni się z rozpustną kobietą. Okropność! Istotnie trzeba się mieć na baczności, abym nie zgubił się, kiedy mogło mi przypaść w udziale wielkie szczęście w ożenku z hrabiną W. i mogłem zostać kamerherem lub przewodniczącym szlachty. Jacy jesteście wszyscy wstrętni i godni litości! Nie wiecie, co to szczęście i co to życie! Trzeba raz doświadczyć życia w całym jego prostym pięknie. Trzeba widzieć i rozumieć, że codziennie widzę wiecznie niedostępne śniegi górskie i majestatyczną kobietę w jej pierwotnym pięknie, w blasku którego przyszła na świat z rąk Stwórcy pierwsza kobieta. Wtedy dopiero zrozumiecie, kto ginie, a kto żyje naprawdę — ja czy wy. Gdybyście wiedzieli, jakim wstrętem przejmują mnie wasze pokusy! Zaledwie tylko wyobrażę sobie, zamiast mej chaty, mego lasu i mej miłości, wasze salony, wasze kobiety z upomadowanymi włosami, te nienaturalnie poruszające się usteczka, te ukryte i zniekształcone słabe ciała — natychmiast ogarnia mnie wstręt. Wyobrażam sobie te tępe twarze, te bogate narzeczone z wyrazem twarzy, mówiącym: «Chociaż jestem bogatą narzeczoną, jednak możesz podejść!» to wieczne stręczenie par i te wieczne plotki i kłamstwa; te kanony — temu rękę, temu ukłon i t. d., i wreszcie tę wieczną nudę, krążącą we krwi i przechodzącą z pokolenia na pokolenie. Zrozumcie jedno i uwierzcie w jedno: trzeba widzieć i zrozumieć, co to prawda i piękno, wtedy wszystkie wasze pseudoprawdy rozlecają się w proch. Szczęście — to obcować z naturą, widzieć ją i mówić z nią. «Broń Boże, ożeni się jeszcze ze zwyczajną kozaczką i zginie zupełnie dla świata», tak na pewno mówią o mnie ze szczerem politowaniem moi znajomi. Ja zaś tylko jednego pragnę: zginąć zupełnie, według waszych pojęć, i ożenić się ze zwyczajną kozaczką, lecz nie śmiem tego uczynić, gdyż byłoby to dla mnie szczytem szczęścia, na które nie zasłużyłem.

*Tłum. Włodzimierz Słobodnik.*

WOJNA I POKÓJ

(Wyjątki)

Pierre wysiadł z powozu i, idąc mimo pracujących zaciężnych, wszedł na kurhan, z którego widać było pole bitwy.

Była godzina 11 rano. Słońce stało na niebie cokolwiek w lewo i ztyłu jaskrawo oświecało przez czyste, przeźrocze powietrze ogromny, amfiteatralnie wznoszący się teren odkrywającej się przed nim panoramy.

Wgórce i na lewo tego amfiteatru, rozcinając go, widać było dużą Smoleńską

droga, prowadząc przez wioskę z białą cerkwią, leżącą o 500 kroków przed kurhanem, u jego podnóża (było to Borodino).

Droga przechodziła za wsią przez most, przez doliny i wzgórza, wijąc się coraz wyżej i wyżej ku widniejącej w odległości sześciu wiorst osadzie Wałujewo (stał w niej teraz Napoleon). Za Wałujewem kryła się droga w żółknącym lesie na linii horyzontu. W lesie tym, brzozowo-świerkowym, w prawo od kierunku drogi błyszczał w słońcu daleki krzyż i dzwonnica Kołockiego monasteru. Po tej całej sonej dali, w prawo i w lewo od lasu i drogi, w różnych miejscach widniały dymiące ogniska i niezliczone gromady wojsk naszych i nieprzyjacielskich. Na prawo wzdłuż biegu rzeki Kałoczy i Moskwy teren był pełen rozpadlin i wzgórz. Między wąwozami, wdali, widniały wsie Bezubowo, Zacharewo. Na lewo miejscowość była równiejsza, leżały pola żytne i widniała dymiąca, spalona wioska — Siemieniowskaja.

Wszystko, co widział Pierre, było tak nieokreślone, że ani lewa, ani prawa strona pola nie wyrażała wcale jego przeznaczenia. Wszędzie widniało nie pole bitwy, które spodziewał się ujrzeć, lecz niwy, polany, wojska, lasy, dymy ognisk, wsie, kurhany, potoki; i jakkolwiek wypatrywał Pierre, na tej żywej przestrzeni nie mógł odnaleźć pozycyji i nie mógł odróżnić naszych wojsk od nieprzyjacielskich.

— To oni! Niosą, idą... Matka Boża... Już nadchodzą... rozległy się nagle głosy, i oficerowie, żołnierze i zaciężni pobiegli przed siebie drogą.

Z pod góry, od Borodina, wspinająca się procesja.

Na czele, po zapyłonej drodze, szeregiem szła piechota bez hełmów i z karabinami, opuszczonemi wdół. Za piechotą słychać było cerkiewne pieśni.

Wyprzedzając Pierra, bez czapek biegli naprzeciw idących żołnierze i zaciężni.

— Matkę Bożą niosą! Obronicielkę... Iwerska!...

— Smoleńska — poprawił drugi.

Zaciężni i ci, którzy byli we wsi, i ci, którzy pracowali przy baterji, rzuciwszy łopaty, pobiegli na spotkanie procesji.

Za bataljonem, idącym po białej drodze, szli w ornatach kapłani: jeden starszek w kapturze z duchowieństwem i śpiewakami. Za nimi żołnierze i oficerowie nieśli dużą, o ciemnem licu, strojną ikonę. Była to ikona, wywieziona ze Smoleńska i odtąd wożona za armją. Za ikoną, wkoło niej, przed nią, ze wszystkich stron szły, biegly i były pokłony obnażonemi głowami tłumy wojska.

Wszedłszy na górę, procesja się zatrzymała. Ludzie, niosący ikonę na drewnianej podstawie, zmienili się, diaczki rozpalily na nowo kadzidla i zaczęła się litanja. Gorące promienie słońca padały pionowo z góry; słaby świeży wiaterek igrał włosami odkrytych głów i wstęgami, zdobiącemi ikonę, śpiew niezbyt głośno rozlegał się pod odkrytym niebem.

Za popem i diaczkiem na wolnem miejscu stali dowódcy. Jeden łysy generał z orderem Jerzego na szyi stał tuż za plecami popa i, nie żegnając się (oczywiście Niemiec), cierpliwie czekał końca nabożeństwa, które uważał za stosowne wysłuchać, prawdopodobnie dla rozbudzenia patryjotyzmu rosyjskiego narodu. Drugi generał stał w wojskowej pozycji i potrząsał ręką na piersiach, rozglądając się wokół siebie. W tem oficerskiem kole Pierre, stojący w tłumie chłopów, poznał niektórych znajomych, lecz nie patrzył na nich: cała jego uwaga była pochłonięta surowym wyrazem twarzy żołnierzy i pospolitaków, jednakowo gorąco wpatrzonych w ikonę. Jak tylko zmęczone diaczki zaczynały leniwo i przewlekłe śpiewać: «Chroń od nieszczęść niewolników twych, Bogarodzico», a pop i diakon podchwytywali: «jako wszyscy po Bogu ku Tobie przybiegamy, jako ku ścianie niezłomnej i Orędowniczce», na wszystkich twarzach występował wyraz poznania nadchodzących uroczystych chwil.

Nad Kałoczą, w Borodynie i po obu jego stronach, a głównie z lewej, tam, gdzie o błotnistych brzegach Wojna wpada do Kałoczy, stała mgła, która, rzednąc, rozplywa się i prześwieca przy wschodzie jarzącego słońca, cudownie malując i zacierając wszystko, widniejące skrós niej. Z tą mgłą łączył się dym wystrzałów, przez mgłę i dym wszędzie lśniły błyski rannego słońca, to po wodzie, to po rosie, to po bagnie-



tach wojsk, gromadzących się wzdłuż brzegów i w Borodinie. Przez mgłę widniała biała cerkiew, tu i tam dachy Borodina, gdzie niegdzie zbite masy żołnierstwa, a jeszcze dalej zielone wozy amunicyjne, armaty. A wszystko to poruszało się czy zdawało się poruszać wskutek tego, że mgła i dym rozciągały się nad całą tą przestrzenią. Jak tam, na nizinie około Borodina, pokrytej mgłą, tak i poza nią, wyżej, a zwłaszcza zlewa po całej linii, po lasach, po polach, w dolinach, na szczytach wzniesień, rozdziły się bezustannie same z siebie, z niczego, to pojedyncze, to gromadne, to rzadkie, to częste kłęby dymów, które, rozszerzając się, rozrastając, kłębiąc, łącząc, widniały na całym terenie.

Te dymy wystrzałów i, dziwnie to mówić, dźwięki ich stanowiły główne piękno widoku.

«Puff!» — nagle ukazywał się okrągły, gęsty, łyskający liljowym, szarym i mleczno-białym kolorem dym i «bum!» — rozlegał się po sekundzie głos tego dymu.

«Puf-puf» — wzniosły się dwa dymy, potrącając się i łącząc, i «bum-bum» — potwierdziły dźwięki to, na co patrzyły oczy.

Pierre spojrzął na pierwszy dym, który pamiętał jako okrągłą — ścisłą piłkę, i już na jego miejscu ujrzał dymy kuliste, rozciągające się w strony; puf... (z przestankiem) puf-puf, powstały jeszcze trzy, jeszcze cztery, i każdemu z temiż przestankami: bum... bum-bum — odpowiadały piękne, twarde, wierne dźwięki. Zdawało się, to — że dymy te biegną, to — że stoją, a mimo nich biegną pola, lasy i lśniące bagnety. Z lewej strony z pól i krzewów bezustannie wybuchały te wielkie dymy ze swemi zwycięskimi dźwiękami, a bliżej jeszcze z nizin i lasów wyskakiwały maleńkie, nie zdążające zaokrąglić się dymki karabinów i tak samo szły za nimi słabe oddźwięki. Trach-ta-tach trzaskały karabiny, choć często, jednak nierówno i biednie w porównaniu z armatnimi strzałami.

Pierre zapragnął być tam, gdzie były te dymy, te łyskające bagnety, ten ruch, te dźwięki. Spojrzął na Kutuzowa i jego świtę, chcąc porównać swoje wrażenia z innemi. Na wszystkich twarzach świeciło to skryte ciepło uczucia.

— Jedź, mój drogi, niech cię Bóg strzeże! — mówił Kutuzow, nie odrywając oczu od pola bitwy, stojącemu obok niego generałowi.

Wysłuchawszy rozkazu, generał ten przeszedł mimo Pierra ku zejściu z kurhanu.

— Do przeprawy! — chłodno i surowo wyrzekł w odpowiedzi na pytanie jednego z oficerów sztabu, dokąd jedzie.

«I ja, i ja» — pomyślał Pierre i poszedł w kierunku, obranym przez generała. Generał wsiadł na konia, którego podał mu kozak.

Pierre podszedł do swego berajtera, trzymającego konie. Zapytawszy, który spokojny, wlaź na siodło, chwytając się grzywy, przycisnął ostrogi wykrzywionych nóg do brzucha konia i, czując, że binokle mu spadają i że nie ma sił odjąć rąk od grzywy i lejc, pogalopował za generałem, pobudzając do uśmiechów sztab, spoglądający za nim z kurhanu.

*Tłum. A. Maryńska.*

#### Z «WIATRONOGIEGO»

...Ranek był jasny i cichy. Tabun poszedł na paszę, a Wiatronogi pozostał w stajni. Wkrótce zjawił się jakiś dziwny człowiek, chudy, czarny, brudny, w zbrzydzanym krwią kaftanie. Był to hycel. Ujął kantar i wyprowadził srokacza. Wałach szedł spokojnie, bez oporu, jak zwykle, włócząc po słomie nogami. Za wrotami zawrócił w kierunku stadniny, ale hycel szarpnął uzdę, wrzeszcząc: — Nie trzeba!

Hycel wraz z Wasylem, który szedł z tyłu, skierowali się do dolinki, znajdującej się za szopą z cegłą, jakby owo miejsce posiadało jakąś szczególną własność. Zatrzymali się nagle.

Hycel oddał Wasylowi uzdę, zdjął kaftan i, zawinawszy rękawy, wydobyl z za cholewy nóż i osetkę.

Wałach próbował dla zabicia czasu uszczypnąć trochę trawy, ale była za daleko — westchnął więc i zmrużył oczy. Po chwili obwisła mu dolna warga, ukazując

spiłowane żółte zęby; watach zaczął zasypiać przy dźwiękach ostrzonego noża — tylko mu chora noga drgała odruchowo.

Raptem poczuł, że go biorą za szczękę i podnoszą mu głowę do góry. Otworzył oczy i ujrzał przed sobą dwa psy. Jeden weszyl w kierunku hycła, drugi siedział i wpatrywał się w watacha, jakby czegoś oczekiwał od niego właśnie; srokacz popatrzał na nich i zaczął trzeć szczękę o trzymające go ręce.

— Pewno chcą mnie leczyć — pomyślał — a niech leczą; i rzeczywiście poczuł, że mu coś robią z gardłem. Uczuł ból. Drgnął, ruszył nogą, ale się pohamował, czekając, co będzie dalej...

Potem poczuł, że ciepła ciecz polała się szeroką strugą po szyi i piersiach. Watach westchnął obydwoma bokami i poczuł znaczną ulgę; zrobiło mu się lżej o cały ciężar życia. Zamknął oczy, opuścił głowę, nikt go nie trzymał. Zadrzały pod nim nogi, począł się chwiać całym ciałem. Nietyle się przeraził, ile zdziwił. Wszystko wydawało mu się tak nowe i niezwykle, rzucił się naprzód, wgórę. Ale zamiast skoku, splątały mu się nogi i upadł na kolana, a później zwałił się na lewy bok. Hycel czekał, aż się skończą drgawki, poczem odpędził zbliżające się psy, wziął watacha za nogi i przewrócił go na grzbiet. Wasylowi polecił trzymać nogi, a sam zaczął zdzierać skórę.

— I to był koń — rzekł Wasyl.

— Żeby był bardziej tłusty, lepsza byłaby skóra — odparł hycel.

Wieczorem wracający tabun dostrzegł z góry w dolinie, z lewej strony drogi, jakąś czerwoną plamę, wokoło której kręciły się psy, latały wrony i jastrzębie.

Jeden z psów, opierając się łapami o ścierwo, trzęsąc pyskiem, odrywał kawały mięsa.

Bura kłaczka zatrzymała się i, wyciągnawszy szyję, wciągała w chrapy powietrze — ledwo ją zdołano z tego miejsca odpędzić.

O świcie w gęstwinie starego lasu wyły radośnie wilczęta. Było ich pięć. Cztery prawie jednakowe, a piąte maleńkie z głową większą od tułowia.

Chuda wyliniała wilczyca, włóząc po ziemi pełny brzuch i obwisłe wymiona, wyszła z krzaków i siadła naprzeciwko swego potomstwa.

Wilczęta skupiły się wokoło matki, ona zaś, zbliżywszy się do najmniejszego i opuściwszy głowę i ogon, zrobiła kilka kurczowych ruchów i wyrzuciła z paszczy wielki kawał koniny. Większe wilczęta zbliżyły się do wilczątko, ale matka odpędziła je groźbą, oddając wszystko małemu. Malec, jakby rozgniewany, wyjął, zagarnął pod siebie ścierwo i jął je szarpać. W ten sposób matka wyrzuciła po kawałku mięsa każdemu z pięciorga swych dzieci, poczem położyła się i jęła odpoczywać.

Po tygodniu około szopy widniał tylko czerep i dwa piszczele; reszta się ulotniła.

W lecie kościarka zabrała i te resztki i zużytkowała je w odpowiedni sposób.

Błąkające się po świecie, żadne jadała i napoju martwe cielsko Sierpińskiego znalazło się w ziemi znacznie później.

Ani jego mięso, ani kości, ani skóra nie przydały się na nic nikomu. Od dwudziestu lat to włózące się po świecie ciało było dla wszystkich jedynie zawadą. Pogrzeb jego również nabawił ludzi zbytecznego kłopotu, bo pomimo to, że oddawna nie było nikomu potrzebne, jako bezużyteczny ciężar, żalobnicy, chowając zmarłego, uważali za niezbędne ubrać rozkładającego się trupa w nowy mundur, piękne buty, włożyć go w nową ładną trumnę z sutemi kutasami po czterech rogach, umieścić pierwszą trumnę w drugiej metalowej, zawieźć do stolicy, poruszyć stare kości umarłych i koniecznie w tym właśnie miejscu pogrzebać to zgniłe, pełne robaków ciało w nowym mundurze i wyczyszczonych butach i — wszystko ziemią zasypać.

*Tłum. Gustaw Daniłowski.*

## WSIEWOŁOD GARSZIN

(1855—1888)

## ATTALEA PRINCEPS

(W skróceniu)

W pewnym wielkiem mieście był ogród botaniczny, a w nim olbrzymia oranżerja z żelaza i szkła. Była ona bardzo piękna: wysmukłe wijące się kolumny stanowiły podstawę gmachu, na nich wspierały się lekkie wzorzyste łuki, posplatane z sobą siatką pajęczą ram żelaznych ze wstawionymi szybami. Zwłaszcza ślicznie wyglądała oranżerja w chwili, gdy zachodzące słońce oblewało ją światłem różowem. Wtedy bowiem cała płonęła, a czerwone błyski iskrzyły się i mieniły, niby w jakimś ogromnym, drobno szlifowanym brylancie.

Poprzez grube przezroczyste szkła widać było uwięzione rośliny. Pomimo ogromu cieplarni, ciasno im w niej było. Poplątane korzenie odkradały sobie wzajemnie wilgoć i pokarm. Gałęzie drzew, zmieszane z ogromnemi liśćmi palm, gięły je i łamały, a i same również gięły się i łamały, cisnąc się do ram żelaznych. Ogrodnicy bezustannie obcinali gałęzie, podwiązywali drutem liście, ażeby nie mogły rosnąć, tak jak chcieli; ale to wszystko nie na wiele się zdało. Roślinom brakowało szerokiej przestrzeni, kraju rodzinnego i swobody. — — —

Była pomiędzy roślinami jedna palma, wyższa i piękniejsza nad inne. Dyrektor, siedzący w budce, nazwał ją po łacinie Attalea. Lecz nazwa ta nie była jej mianem rodzinnem — wymyślili ją botanicy. Rodzinnego zaś jej imienia nie znali botanicy i nie wypisali go sadzami na białej deszczulce, przybitej do pnia palmy. — — —

Attalea rosła wciąż, poświęcając wszystkie soki na wznoszenie się w górę, z krzywdą korzeni i liści. Chwilami wydawało się jej, że odległość do sklepienia wcale się nie zmniejsza. Wtedy wyęczała wszystkie siły. Do ram było coraz bliżej i bliżej, aż wreszcie młody listek dotknął się zimnego szkła i żelaza.

— Patrzcie-no, patrzcie — zaczęły mówić rośliny — gdzie się to wgramoliła! Miałażby się odważyć?

— Jakże strasznie wyrosła! — rzekła paproć drzewiasta.

— I cóż, że wyrosła? Wielkie rzeczy! Niechby spróbowała zgrubieć, tak jak ja — rzekła pękata cykada o pniu, podobnym do beczki. — I czego się to pnie? Czy tak, czy owak, nic nie zrobi: ramy są mocne, a szkła grube.

Znowu miesiąc upłynął. Attalea wzrastała bez przerwy, aż wreszcie szczerlnie już oparła się o ramę. Nie było gdzie rosnąć dalej. Wtedy pień począł się garbić, korona z liści się zmięła; zimne pręty ramy, wpijając się w delikatne młode pędy, pokaleczyły je i wykoszowały, ale drzewo było uparte, litość nad liśćmi nie miało i, na nic nie zważając, parło na ramy, które, choć z twardego zrobione żelaza, zaczęły już się uginać.

Mała trawka śledziła walkę, omdlewając ze wzruszenia.

— Powiedz mi, czyż to ciebie nie boli? Skoro ramy są tak mocne, czy nie lepiej byłoby dać pokój? — zapytała.

— Czy mnie to boli? A cóż znaczy ból, jeżeli pragnę wydostać się na wolność? Wszakże ty sama zachęcałaś mnie do tego — odpowiedziała palma.

— Tak, zachęcałam, ponieważ nie wiedziałam, że to tak trudno. Żal mi ciebie. Tak strasznie cierpisz.

— Zamilknij, słaba roślino! Nie lituj się nade mną! Umrę lub zdobędę wolność!

— I w tej samej chwili rozległ się huk silny. To pękła gruba listwa żelazna. Kawalki stłuczonych szyb z brzękiem posypały się na ziemię. Jeden z nich trafił w kapelusz wychodzącego z oranżerji dyrektora.

— Co to ma znaczyć? — krzyknął, wzdrygnąwszy się, gdy ujrzał kawałki szkła, lecące w powietrzu. Odbiegł od oranżerji i spojrzął na dach. Tam nad sklepieniem szklanem dumnie wznosiła się wyprostowana zielona korona palmy.

— Więc to tylko to? — myślała. — Więc to poto przez tak długi czas męczyłam się i cierpiałam? Więc to jest ów cel najwyższy moich usiłowań?

Była jesień późna, gdy Attalea wyprostowała swój wierzchołek przez wybity otwór w dachu. Mżył drobny deszcz nawpół ze śniegiem; wichur pędził nisko szare kłębiaste chmury, i palmie się zdało, że one ją zewsząd obejmują. Drzewa potraciły już liście i stały na podobieństwo potwornych jakichś upiorów. Tylko na sosnach i jodłach zieleniły się ciemne igły. Ponuro spoglądały drzewa na palmę; zdawało się, że przemawiają do niej: «Zmarzniesz! Ty nie wiesz, co to mróz, nie umiesz cierpieć. Pocoś ty wyszła ze swej cieplarni?»

I Attalea rozumiała, że dla niej wszystko stracone. Zaczynała drętwieć. Wrócić znowu pod dach? Ale nie mogła już wrócić. Musiała stać na zimnym wichrze, znosić jego szarpanie i szorstkie dotknięcia płatków śniegu, patrzeć na chmurne niebo, na nędzną przyrodę, na brudny dziedziniec ogrodu botanicznego, na posępne wielkie miasto, widniejące wśród mgieł, i oczekiwać, aż tam nadole w cieplarni ludzie postanowią o jej losie.

Dyrektor rozkazał ściąć drzewo. — — —

Palmę skrępowano powrozami, ażeby, padając, nie zrujnowała ścian oranżerji, i przepiłowano ją nisko, przy samych korzeniach. Mała trawka, wijąca się dokoła pnia drzewa, nie chciała opuścić przyjaciółki i również dostała się pod piłę. Gy palmę wyciągnięto z oranżerji, na ściętym pniu leżały zmiażdżone piła i poszarpane łożyska i liście.

— Wyrwać to brzydactwo i wyrzucić! — rzekł dyrektor. — Zżółkła już, a przytem piła bardzo ją popsula. Posadzić na tem miejscu co innego! — Jeden z ogrodników zręcznym ruchem rydla wykopał całą kępkę trawy. Cisnął ją do kosza, wyniósł i wyrzucił na dziedziniec: prosto na martwą palmę, która leżała w błocie już nawpół zasypiana śniegiem.

*Tłum. Józef Czekalski.*

## SZYMON NADSON

(1862—1887)

### ŻYCIE

Mieniając z biegiem chwil swą postać nieujętą,  
 Kapryśny jako cień i złudny jako mgła,  
 Mknie wszędzie życia prąd nadziei falą wzdętą,  
 Zmieszawszy wzniosłe lzy z szyderczym śmiechem zła.

Co za niezgodny dźwięk! jak chaos przypomina!  
 Tu drżał miłości szept — tam nagle błysnął nóż;  
 Tu chryply wydał brzęk dzwoneczek arlekina,  
 A tam — proroka głos wśród wichru słychać burz.

Gdzie słońce — tam i cień! Gdzie płyną lzy modlitwy,  
 Tam głodu słychać jęk, i żebrak wznosi dłoń;  
 Tu wczoraj huczał grom roznamiętnionej bitwy,  
 A jutro z łańców tych powieje kwiatów woń.

O! perła ciepłych mórz przez tłum zdeptana w błocie;  
 A tu owoc rdzeń przegryza nędzny gad;  
 Ty wczoraj mogłeś sam podeptać wrogów krocie,  
 A dziś ty blade tchórz, dziś wstydu żre cię jad!

To — życie, to — ów sfinks! A prawo jego — chwila,  
 I nie powstanie z ciżb wielkiego mędrca duch,  
 Co mógłby ludziom rzec, gdzie bieg się życia schyla  
 I dokąd wszystko rwie pośpieszny jego ruch.

To ono burzy grom, to cichy szept poranka,  
 To wszystko w niem jest blask, to wszystko — hańby szczyt;  
 Życie — to anioł-stróż i w orgiji bachantka,  
 To — oceanu szmer i głuchy kajdan zgrzyt!

## NAD ŚWIEŻĄ MOGIŁĄ

Znowu sam jestem — i znów wokół	Naco mi życie z walką i trwogą?
Noc, owinięta ponurą mgłą...	Naco mi praca? świat naco mnie? —
Oto w zadumie pochylam czoło	Ja nie mam dzisiaj już kochać kogo,
Nad świeżym grobem — nadzieją mą:	Nie mam do kogo już modlić się!...

*Tłum. Marjusz Zaruski.*

## [JUŻ CZAS! PROROKU, PRZYJDŹ!]

Już czas! proroku, przyjdź! Na ból mej duszy smutnej,  
 Na całą miłość mą zaklinam cię, przyjdź już!  
 Patrz, jaka niemoc w nas, a jaki szal okrutny,  
 Jaka swawola ciał obok niedoli dusz.

Ach, przyjdź, proroku, wraz! Potem za późno będzie,  
 Gdyż prawdy coraz mniej, a fałszu wzrasta kłos;  
 Gdyż z sumień znika wstyd, i ciemno, ciemno wszędzie,  
 I tylko dzwoni wciąż samej miernoty głos...

*Tłum. Ad. Pog.*

## [MÓJ BRACIE ZNUŻONY...]

Mój bracie znużony, cierpiący mój bracie,  
 Nie padaj na duchu bezsilnie!  
 Niech kłamstwo ohydne w odświętnej swej szacie  
 Króluje nad światem omylnie,  
 Niech złość przenaświetsze ołtarze obala,  
 Niech szczęście rozpaczają się króci:  
 Wierz — w gruzy upadnie świątynia Baala,  
 miłość na ziemię powróci!  
 Nie w cierni koronie, nie w pocie i pyle,  
 Nie z krzyżem na plecach zgarbionych, —  
 W świat ona przyjdzie w potędze i sile,  
 Z pochodnią w swych dłoniach wzniesionych.  
 Nie będzie na świecie już kajdan niewoli  
 Ni mogił bezkrzyżnych przekleństwa,  
 Ni nędzy potwornej, ni jęków niedoli,  
 Ni miecza, ni łez, ni męczeństwa.

O, bracie! To przyjdzie — nie czcze to marzenie,  
 Nie płonna nadzieja to marna;  
 Spójrz tylko naokół: rozterka, cierpienie,  
 I noc ta — bezbrzeżna i czarna!  
 Świat cały osłabnie od walki i złości,  
 Krwią bratnią w szaleństwie się zboczy, —  
 I wtedy, ach, wtedy do świętej miłości  
 Błagalnie podniesie swe oczy!...

## NIE MÓWCIE MI...

O, nie!... nie mówcie mi: on umarł — żyje on!  
 Choć ołtarz w gruzy padł, lecz płomień jeszcze tli,  
 Choć różę zerwał wiatr — lśni jeszcze na niej szron,  
 Choć struna pękła już, lecz akord jeszcze brzmiał...

*Tłum. Marjusz Zaruski.*

## WŁODZIMIERZ SOŁOWJOW

(1853—1900)

## POLSKI KOŚCIÓŁ NARODOWY

(Wyjątek)

Dziś Kościół prawosławny świętuje objawienie cudownego obrazu Najświętszej Bogarodzicy Częstochowskiej. Ten prastary obraz w stylu bizantyńskim, czczony pobożnie przez Rosjan, jest jednocześnie świątynią narodową Polski, Królową Niebieską kraju polskiego, uosobieniem jego przyszłości dla wierzących patriotów, z których największy idealista, hrabia Krasiński, poświęcił Bogarodzicy Częstochowskiej przepiękne wiersze swego «Przedświtu». Niema wątpliwości, że wynalazcy «polskiego kościoła narodowego» zapomnieli o drobnostce: o Bogarodzicy Częstochowskiej. Jest to zrozumiałe: bo jakież stanowisko wobec Najświętszej Panny może zająć apoteoza żonatych księży? Pozostaje jednak zagadnienie praktyczne: co zrobić z Częstochową? Czy pod przymusem oddać ją nowej sekcji, która odpadła od Kościoła katolickiego? Propozycja takiego posunięcia z powodu nieuniknionych następstw byłaby równoznaczna ze zdradą państwa; nie można więc o tem mówić na serjo. Jeżeli zaś Częstochowę bądź cò bądź należy zostawić w spokoju, nowa sekta żonatych księży, która nie może być uważana za kościół zgodnie ze swem pochodzeniem i swą podstawą, nie będzie miała znaczenia narodowego, jako pozbawiona głównej świątyni narodowej. Cóż pozostanie wtenczas z tej sekty oprócz bezsensownej pretensji — w słowach i jeszcze jednego narzędzia rokoszu i rozkładu wiary narodowej — w rzeczywistości?... —

Wśród różnorodnych poglądów na stosunki rosyjsko-polskie całkowicie się zatracił pogląd, który, zdaje się, jest jedynie właściwy dla patriotów «Świętej Rusi» — pogląd, baczący na wiarę i pobożność. Dla takiego poglądu główne znaczenie ma ten oto czynnik: jak widzi stosunki rosyjsko-polskie Ta, Czyj prastary obraz na Jasnej Górze z roku na rok przyciąga do Siebie i jednoczy w jednym uczuciu niezliczone tłumy prawosławnych Rosjan i katolików Polaków? To pytanie jest śmieszne dla niewierzącego i gorszące dla obłudnika, ale każdy, dla kogo świątynia religijna jest żywą rzeczywistością, wie, że to właśnie śmieszne i gorszące pytanie jest jedynie poważne w tej sprawie. Postawienie tego pytania jest zarazem jego rozstrzygnięciem; gdyby nawet w całym społeczeństwie rosyjskim nie znalazł się ani jeden człowiek, któryby stał na stanowisku Jasnej Góry, nie straci ona przez to swego własnego znaczenia; wszakże zagadnienie o stosunkach rosyjsko-polskich zostanie rozstrzygnięte ostatecznie przez historję tylko z tego jedynie słusznego punktu widzenia. Jeśli wspomnimy o tem, że dziewicza lilja chrześcijaństwa ma ziemskie swe korzenie w narodzie, który woła (Opatrzności jest skupiony przeważnie na sąsiadujących ze sobą obszarach narodowości rosyjskiej i polskiej, zrodzi się w nas nadzieja, że i drugie, głębsze zagadnienie — dotyczące stosunków chrześcijańsko-żydowskich — rozstrzygnie się nie na niskim poziomie nienawiści, lecz na tej samej Jasnej Górze odwieczne — dziewiczego Bogoczłowieczeństwa — i jeszcze raz się powtórzy cud, który trwa przez całą historję: kamień, którym pogardzali budowniczowie, jest właśnie kamieniem węgielnym. (6 marca r. 1897).

*Tłum. Sergiusz Kulakowski.*

## WŁODZIMIERZ KOROLENKO

(1853—1921)

## Z «DZIWNEJ WYGNANKI»

— Prędko tam stacja, człowieku?

— Gdzieżby zaś! wątpliwe, czy przed śnieżycą dojdziem; patrz-no tylko, jaka kurzawa idzie, i to z północy.

Istotnie, gdzież tu dojechać przed burzą! Ku wieczorowi zaczyna być coraz chłodniej. Słychać, jak skrzypi śnieg pod płozami; ziąb staje się coraz to większy i wiatr północny coraz to bardziej huczy w boru ciemnym, a gałęzie jedlin wyciągają

się ku wąskiej leśnej ścieżynie, groźnie kołyszając się w zapadającym mroku wczesnego wieczora.

Zimno i niewygodnie. Kibitka, zbyt wąska, bokami ciśnie, a jeszcze do tego przeszkadzają nam szable i rewolwery konwojowych żandarmów. Dzwonek zawodzi jakąś pieśń długą i monotonna, zlewającą się z jękiem rozplakanej zawiei.

Na szczęście — widać już samotny ogień stacji, położonej na skraju huczącego boru.

Moi «przewodnicy», pobrzękując całym arsenałem broni, otrząsają śnieg w izbie parnej i gorącej, chociaż ciemnej i pełnej kopcii. Ubogo tu i niegościnnie. Gospodyni rozpala nad knotem dymiące się łuczywo. — — —

W izbie wszystko umilkło. Nawet gospodyni porzuciła kądziel i przędzę i, zagaśnięty łuczywo, ułożyła się do snu. Zapanował mrok i milczenie, niekiedy tylko przerywane hukami nadbiegającej fali gwałtownego wiatru. Nie spałem. W głowie mojej, wśród szumu burzy, powstawały ciężkie myśli i biegły jedna za drugą.

— Jak widzę, nie śpi się panu — odezwał się jeden z przewodników, «starszy», człeczyna dość sympatyczny, roztropny, o twarzy milej, rzekłbyś, niemal inteligentnej, tęgo znający swe funkcje, przeto nie pedant. Nie zwykł on w drodze krepować się lub też stosować do niepotrzebnych formalności.

— Rzeczywiście, jakoś się nie śpi.

Czas pewien mija w milczeniu, ale słyszę, że i mój sąsiad również nie śpi — widocznie i w jego głowie kotłują się myśli przykre. Drugi przewodnik śpi snem zdrowego, lecz mocno utrudzonego człowieka; tylko od czasu do czasu niewyraźnie jakos mamrocze.

— Dziwię się panom — rozlega się znowu płynący z pełnej piersi głos «starszego» — ludzie wy młodzi, dobrze wychowani, wykształceni, rzecz można, a ot jak wy swoje życie marnujecie.

— Jakże to?

— Ech, panie. Czyżbyśmy już i tego nawet nie pojmowali?... Dobrze my rozumiemy, że nie do takiego życia wyście stworzeni i nie do takiego z małańkości przyzwyczajali się...

— Naprawdę wy tak myślicie; otóż nie na tem rzecz polega, do czego się z małańkości nawykło, mieliśmy już czas odzwyczaić się...

— Czyżby wam, panie, doprawdy wesoło było? — przemówił tonem zwątpienia.

— Niekoniecznie, to pewna. A wam to wesoło?

Milczenie. Gawryłow (takie było jego nazwisko), jak się zdaje, o czemś rozmyśla.

— Nie, panie, muszę ci coś powiedzieć... Wierz mi na słowo, czasem przyjdzie taka chwila, że ot wprost nie chciałbyś na świat patrzeć... Z czego to przychodzi, nie wiem, tylko jak czasem nadejdzie, no wprost niby nóż ostry w serce, ot i wszystko.

— Czyżby służba ciężka?

— Służba służbą... Zapewne nie spacer, władze też, powiedzmy, ostre, a jednak nie z tego.

— Z czegoż więc?

— Kto to wie?...

Znowu milczenie.

— Jeszcze teraz, przecierpiawszy już tyle, zżyłem się. No i władze też mię nie pominęły, na podoficera awansowałem, nijakich kar nie zdarzało się i nawet wkrótce do domu pójdę — w dymisję...

— Cóż więc takiego?...

— A ot ja ci, panie, opowiem, jaki wypadek był ze mną... Wstąpiłem do służby w r. 1874 do szwadronu, wprost z rekrutów wyszedłszy. Obowiązki spełniałem, że tak powiem, dobrze, wszystko z niezwykłą gorliwością, przeważnie wedle nakazu: czyto gdzie naród rozpędzać, czyto pod teatr, ot jak sami wiecie. Piśmienności nieźle wyuczony, więc i władze miały na oku. Nasz major był mi rodakiem, a widząc moje zachowanie, wzywa mię pewnego razu do siebie i tak powiada: «Ciebie, Gawryłow, przedstawię jako kandydata na podoficera; czy w poruczeniach nigdy jeszcze nie byłeś?» — «Nie byłem — mówię — wasze wysokorodje». «Otóż — powiada — na przy-

szły raz przeznacę cię do podręcznych; rozejrzysz się: nie święci garnki lepia». — A w ekspedycjach w samej rzeczy jeszcze nigdy nie byłem, to jest, nie przymierzając, jakby z wami, panowie. Aczkolwiek, powiedzmy, nie filozofja to żadna, a przecież instrukcje trzeba sobie przyswoić i roztropność też pożądana. No, dobrze... Po tygodniu, żeby nie skłamać, wzywa mię dyżurny do naczelnika i podoficera też przywołuje. Przyszliśmy. «Wam — zwraca się do niego naczelnik — w ekspedycję trzeba wyruszyć. To jest twój — wskazuje na mnie — podręczny. Ten jeszcze ani razu nie był. Pamiętajcie — powiada — nie gapić się, pokażcie, dzieci, żeście zuchy; trafia się wam panienkę z pałacu wywozić. Masz tu — mówi — instrukcje i z Bogiem». Podoficer Iwanow za «starszego» ze mną jechał, ja zaś jako «podręczny» — ot, jak ze mną drugi żandarm. — — — Przyszliśmy do tego «pałacu» i, jak należy, papier doręczyli, stoimy, czekamy...

Ciekawość mnie bierze, jaką to też panienkę wywozić wypadnie, a podług marszruty wieść mamy bardzo daleko, gdyż nie do miasta przeznaczona była, ale do włości. To też niezmiernie byłem ciekawy przy pierwszym razie, ledwo wystoję, ledwo wyczekam... Przechekaliśmy w ten sposób prawie godzinę, dopóki jej rzeczy nie pozbięrano, a wszystkich rzeczy był jeno węzełek małej — sukienka jakaś i jeszcze coś, razem nic, sami wiecie. Książki tylko jakoweś były i więcej nic już nie miała... Aż naraz wyprowadzają; spojrzę na nią, taka młoda, dzieckiem prawie wydała mi się, blond włosy w długi warkocz miała splecione, na policzkach rumieńce jak ogień wtedy pałały, a później, widziałem — blada niezmiernie przez całą drogę siedziała. To taka żalność mię wzięta, tak mi się żal jej zrobiło, wprost myślę no... — Poczęła palto nakładać, kalosze... Rozkazano nam rzeczy obejrzeć; taka zasada przyjęta. «Są jakie przy was pieniądze?» — pytamy. — Rubel i dwadzieścia kopiejek znalazły się. — Starszy do siebie zabrał. «Ciebie — mówi — panienko, obrewidować muszę». Jak nie wybuchnie tu ona! Oczy jej rozgorzały, rumieniec jeszcze większy wystąpił, a usta cienkie, gniewne. Jak nie spojrzę na nas — uwierzysz, panie, kroku postąpić nie mogłem. No, a starszy, wiadomo, wstawiony, wprost do niej lezie. «Obowiązany jestem — powiada — instrukcję — mówi — mam». Jak tu ona nie krzyknie, nawet Iwanow, i ten od niej się cofnął. Patrzę na nią, na twarzy blada cała, ani kropelki krwi, a oczy całkiem stały się czarne, a zła taka, okrutecznie zła... Nóżką tupie, mówi tak prędko, tylko że ja, przyznam się, nie słuchałem bardzo, co mówiła. Nadzorca też przeląkł się, wody jej przyniósł w szklaneczce. «Uspokójcie się — prosi — bądźcie — mówi — łaskawi, sami nad sobą ulitujcie się». A ona jak nie napadnie na niego! «Mongol — woła — draby jesteście». No i wiele jeszcze zuchwałych mu słów nagadała. Jak chcecie — wszelako przeciw władzy zawsze to niedobrze. — — — Przejżdżamy przez miasto, ona wciąż z okna karety wygląda, powiedziałbyś: żegna się czy też znajomych chce ujrzeć. A Iwanow wziął i firankę opuścił, okno zastonił. Ukryła się w kącie, przytuliła do ściany, patrzy na nas. A ja, przyznam się, jednak nie wytrzymałem: wziąłem firankę, nibyto sam chcę popatrzeć, odsłoniłem... Tylko, że ona już więcej nie patrzyła przez okno, a wciąż taka gniewna w kącie siedzi, wargi zagryza, do krwi, myślę, pokąsa. — — —

Wiele ja od niej, wiele wtedy udręczeń zaznałem. W drodze, jak wiecie, w nocy wciąż deszcz pada, pogoda zła... Jedziemy lasem, las jękiem rozlega. Jadę, z nie widzę jej, bo noc była ciemna, nie widać nic a nic, a dacie wiarę, teraz to ciągle przed oczyma mi stoi, do tego stopnia, że i w dzień, i w nocy zawsze ją widzę i oczy jej widzę, i twarz jej bladą i pełną gniewu, i widzę, jak zziębnięta siedzi i cała kędyś wdał zapatrzona, jakby jej jakaś myśl w głowie utkwiała. Gdyśmy odjeżdżali ze stacji, chciałem ją nakryć kożuchem. «Włóżcie — mówię — ten kożuch, zawsze to cieplej». Cisnęła kożuch od siebie. «Wasz — mówi — kożuch, to sobie możecie nakładać». — Trzy doby tak jechaliśmy, nigdzie nie nocując. Pierwszą rzeczą, powiedziano w instrukcji, na noclegi nie zatrzymywać się, a w razie wielkiego znużenia, nie inaczej, jak w miastach, gdzie warta stoi. No, a przecież wiecie, jakie tu miasta. I sama też wciąż nagli, prędzej chce się na miejsce dostać. Przyjechaliśmy jednak do celu; niby ciężar spadł mi z ramion, jakeśmy zdała miasto dojrzeli. Także i to muszę powiedzieć: przy końcu to już prawie na moich rękach dojechała. Widzę, leży na wozie



bez czucia — trząśnie wozem na wyboju, to ona głową o poręcz uderzy. — — — Gdyśmy do miasta dojeżdżali, przyszła do siebie, uniosła się. Pogoda piękna nastąpiła, słońce wyjrzało, więc i ona rozweseliła się. — Ale wkrótce dalej ją wyprawiono, niedługi był jej tu pobyt, i znów mnie ją wieźć wypadło... Gdy przyszła pora odjazdu — patrzę: do policji naród zewsząd napływa, młode panny i panowie studenci, wszyscy pewno zesłańcy. I wszyscy, niby znajomi, z nią rozmawiają, za rękę się witają, rozpytują. Pieniędzy jej też coś przynieśli, chusteczkę na drogę. Odprowadzili. — Wesóło jechała, jeno często pokaszliwała i nie patrzyła na nas, jakby nas wcale nie było. Zajechaliśmy do powiatowej mieściny, gdzie jej mieszkać przeznaczono. Gdy ją notowano w urzędzie, zaraz o jakieś nazwisko pyta. «Mieszka tu — mówi — taki a taki?» «Jest» — odpowiadają. Przyjechał naczelnik. «Gdzie — powiada — mieszkać będziecie?» «Nie wiem — rzecze — ale narazie do Rozanowa pójdę». Pokiwał głową, a ona zebrała się i poszła, nie pożegnawszy się z nami...

— I cóż, więc nie widzieliście jej już nigdy?

— Widziałem, ale już lepiej mi było nie widzieć więcej... I nawet wkrótce ją zobaczyłem. Jakaśmy z ekspedycji wrócili, przyszedł nowy rozkaz i znów nas w tę drogę wysłano. Teraz już studenta wieźliśmy. Wesóły był, pieśni tego śpiewał i nieźle tyknąć umiał. Tego jeszcze dalej zesłano. Ot, przejeżdżamy przez to samo miasto, gdzieśmy ją zostawili i ciekawość mię wzięta dowiedzieć się, jak się jej żyje. — — — Poszedłem, dobrzy ludzie drogę wskazali; a mieszkali oni na krańcu miasta. Stoi domek niewielki, drzwi niziutkie. Wszedłem do tego zesłańca, patrzę: czysto u niego, pokoik jasny, w kącie łóżko stoi i parawanem ką odgradzony. A obok pracownia, warsztat tam stoi małeńki, a na ławeczce druga pościel złożona... Kiedy wszedłem, ona siedziała na postaniu, w szal zawinięta, nóżki pod siebie skuliła, szyje coś. A zesłaniec przy niej na ławeczce siedzi, z książki jej coś wyczytuje. Szyje ona i słucha. Gdy mię ujrzała, chwyciła go za rękę i aż zamarła ze strachu. Oczy jej rozszerzyły się, pociemniały, takie straszne... «Co wam jest? — mówi on — uspokójcie się». A nie widzi mię wcale. Potem wypuściła jego rękę, chce się z pościeli podnieść. «Żegnaj! — mówi — żal im widać mojej śmierci spokojnej. Bądź zdrów!» Tu i on się obrócił, dojrzał mię — jak nie skoczy na nogi... Myślałem, że mię zabije, doprawdy. Wiecie, oni myśleli, że znowu przyjechałem ją brać; ale widzi on, że stoję nito żywy, ni martwy, wylekniiony i sam jeden... Obrócił się do niej, za rękę ją wziął i zaśmiał się. «Ależ uspokójcie się! — mówi — a wam — zwraca się do mnie — czego potrzeba?» Bardzo mi gorzko się zrobiło, żem ich przestraszył. Mówię mu, że odwiedzić ją przyszedłem, i ona też mię poznała. Widzę zagniewana, jak dawniej. Gniewa się i wszystko w niej się burzy. A zdaje się, ot z całej duszy chciałbyś usłyszeć, a tu patrzy na ciebie, jakbyś ty podłym gadem był dla niej. Wreszcie zrozumiał on, o co chodzi, uśmiechnął się i począł mówić coś do niej. Nie wszystko mogłem zrozumieć, przecież wy, panowie, przedziwnie z sobą gadacie. On tak spokojnie mówi, tak cicho, a ona gniewnie i szorsko. Zesłaniec powiada: «Zastanówcie się, wszakże to człowiek do was przyszedł, a nie żandarm...» A ona do niego: «A czemu służy?» — Jezul myślę sobie, azaliż nie człowiek ja dla niej? Czyliż z własnej woli jej co złego zrobiłem? Taka mię gorycz naszła! — — —

...Umarła wkrótce. Kiedy chowano ją, nie widziałem, bo naczelnik mię wezwał. Ale na drugi dzień zesłańca spotkałem. Podchodzę do niego, patrzę: Boże, jakże zmienił się!... Wzrostu był wysokiego, rysy twarzy poważne i dawniej tak jakoś życzliwie patrzył, a teraz prawie jak zwierz na mnie spojrział. Podał mi rękę, a potem naraz moją rękę wypuścił i sam się odwrócił. «Nie mogę — mówi — widzieć cię teraz. Oddal się, bracie... na litość, oddal się!... Później, jeżeli zostaniesz w mieście, zajdź sobie, proszę». Opuścił głowę i poszedł, a ja skierowałem się na kwaterę i tak mię wszystko znękało, żem przez dwa dni prawie jadła do ust nie przyjmował. Żal!... — — —

...Ot, jak się rzecz miała!... A dozorca widocznie zawiadomił władze, że do zesłańców chodziłem, i jarosławski pułkownik również doniósł — jedno z drugiem — przebrała się miarka. Nie chciał mię już naczelnik do awansu przedstawić. «Jaki z ciebie podoficer? — powiada. — Baba jesteś! Do karceru cię, durniu, wsadzić!» Ale ja wtedy w zobojeźnieniu znajdował się i niczego bynajmniej nie żalowałem!... Tylko

tej zagniewanej panienki zapomnieć nie mogłem, a i teraz to samo: wciąż stoi mi przed oczyma. Coby to mogło znaczyć? Ktoby mi to wyjaśnił? A nie śpisz ty, panie?...

Nie mogłem zasnąć... Tajemny zmrok porzuconej w lesie chałupki dręczył mi duszę, a żaloszna postać zmarłej dziewczyny zrywała się w niej wśród głuchych szlochań wichury...

*Przekł. bezim. w t. V «Czytelnia robotniczej».*

## ANTONI CZECHOW

(1860—1904)

### PODOFICER PRISZIBIEJEW

— Podoficer Priszibiejew! Pan jest oskarżony o obrazę słowną i czynną uradnika Żygina, wójta Alapowa, sołtysa Jefimowa, świadków Iwanowa i Gawriłowa oraz sześciu włościan, przyczem pierwszych trzech znieważył pan przy spełnianiu obowiązków służbowych. Czy oskarżony przyznaje się do winy?

Priszibiejew, zmarszczony podoficer z kłującą twarzą, staje na baczność i odpowiada ochryplym, przyduszonym głosem, wybijając każde słowo, jak w komendzie:

— Wasze wysokorodje, panie sędzio! Znaczy się, według wszystkich artykułów prawa istnieje przyczyna atestować każdą okoliczność wzajemnie. Ja nie jestem winien, lecz wszyscy inni. Cała sprawa powstała z powodu martwego trupa, Panie świeć nad jego duszą. Idę ja sobie trzeciego września z żoną Anfizą powoli, godnie, patrzę — stoi na brzegu kupa ludzi rozmaitego narodu. Według jakiego prawa ludzie zgromadzili się tutaj? — pytam. — Dlaczego? Czy w prawach powiedziano, żeby naród stadem chodził? Krzyczę: — Rozejść się! Zacząłem rozpychać chłopstwo, żeby rozchodziło się do domu, kazałem sołtysowi walić po karku...

— Przepraszam, oskarżony nie jest przecież uradnikiem ani sołtysiem, przecież to nie wasza sprawa rozpraszać tłum.

— Nie jego! Nie jego! — słyhać głosy z różnych kątów sali. — Spokoju przez niego nie mamy, wasze wysokorodje! Piętnaście lat już przez niego cierpimy. Jak przyszedł z wojska, tak od tej pory choć ze wsi uciekaj. Zameczył wszystkich!

— Właśnie tak, panie sędzio — mówi świadek-sołtys. — Całą gromadą skarżymy się. Życ ludziom nie daje. Czy procesja idzie, wesele czy coś innego, on zawsze krzyczy, hałasuje, ciągle porządki wprowadza. Dzieci drze za uszy, baby podgląda, żeby czego nie było, jakby teść jaki... Niedawno chodził po izbach, przykazywał, żeby nie śpiewać i światel nie zapalać. Prawa, mówi, takiego niema, żeby pieśni śpiewać.

— Proszę poczekać, świadek jeszcze zdąży złożyć zeznanie — mówi sędzia — a teraz niech oskarżony mówi.

— Rozkaz! — chrypie Priszibiejew. — Pan sędzia raczy mówić, że nie moja sprawa ludzi rozganiać. Dobrze! A jeżeli są nieporządki? Czyż można pozwolić, aby chłopstwo rozhułało się? Gdzie w prawach napisane, żeby chłopstwu swobodę dawać? Ja nie mogę pozwolić. Jeżeli ja nie będę ich rozpędzał i karał, to kto będzie? Nikt porządków prawdziwych nie zna, w całej wsi tylko ja jeden, można powiedzieć, panie sędzio, wiem, jak postępować z prostym narodem i ja wszystko rozumiem, wasze wysokorodje! Ja nie chłop, ja byłem podoficerem, w Warszawie służyłem w sztabie, a potem, jak do cywila poszedłem, byłem strażakiem, a potem ze względu na słabe zdrowie rzuciłem straż i przez dwa lata w męskim klasycznym progimnazjum woźnym byłem. Wszystkie porządki znam. A chłop — prosty człowiek, nic nie rozumie i powinien mnie słuchać, bo ja dla jego dobra przecież. Wziąłby chociaż tę sprawę na ten przykład. Rozganiem ja chłopstwo, a na brzegu na piaseczku leży utonięty trup martwego człowieka. Na jakiej podstawie on tutaj leży? — pytam. — Czy to porządek? Dlaczego uradnik nie patrzy? Dlaczego ty — mówię — uradniku, nie dasz znać władzom? Może ten topielec sam utonął, a może to Sybirem pachnie. Może tutaj zbrodnia zabójstwa... A uradnik Żygin nic, żadnej uwagi, tylko papierosa pali. «Co to za jeden — mówi — od rozkazów, skąd się u was taki znalazł? Cóż to, albo to my

bez niego — mówi — nie wiemy, co robić?» Znaczą się — mówię — ty nie wiesz, durniu jeden, jeżeli tu stoisz i uwagi nie zwracasz. «Ja — mówi — dałem już wczoraj znać komisarzowi policji». Dlaczego — pytam — komisarzowi? Z jakiego artykułu prawa? Czyż w takich sprawach, jak utonięci albo powieszni i inni temu podobni, czyż w takich sprawach komisarz da radę? Tutaj — mówię — sprawa karna, publiczna. Tutaj trzeba dać znać czem prędzej sędziemu śledczemu i sądowi. A przede wszystkim — mówię — tyś powinien napisać akt i posłać panu sędziemu pokoju. A on, uriadnik, słucha i śmieje się wciąż. I chłopci też. Wszyscy się śmieją, panie sędzio! Pod przysięgą mogę zeznać. I ten się śmiał, i ten, i Żygin. Czego — mówię — zęby szczerzysz? Uriadnik zaś odpowiada: «Takie sprawy nie podlegają sędziemu pokoju». Krew mnie zalała na te słowa. Uriadniku, przecież ty to mówiłeś? — zwraca się Priszibiejew do Żygina.

— Mówiłem.

— Wszyscy słyszeli, kiedyś ty to samo przy prostym narodzie mówił: «Takie sprawy nie podlegają sędziemu pokoju». Wszyscy słyszeli, jakże to mówił. Pot zimny na mnie wystąpił, osłupiałem. Powtórz — mówię — powtórz, ty taki owaki, coś powiedział! On znowu te same słowa... Ja do niego. Jakżesz ty możesz tak mówić o panu sędzim pokoju? Tyś uriadnik, a przeciwko władzy? Co? A czy ty wiesz, mówię, dokąd za takie polityczne słowa może cię wysłać pan sędzia pokoju? Wójt zaś mówi: «Sędzia pokoju poza granicami swej władzy nic nie może robić. Tylko małe sprawy do niego należą». Tak powiedział, wszyscy słyszeli... Jakże, krzyczę, ty śmiesz władzę poniewierać? Ty ze mną nie igray, bo będzie źle. Bywało w Warszawie albo kiedy byłem woźnym w męskim klasycznym progimnazjum, jak tylko usłyszę jakie nieodpowiednie słowa, to patrzę na ulicę, czy nie widać żandarma; pójdź tutaj, kochanku — mówię — i wszystko mu opowiadam. A tu na wsi komu powiedzieć?... Zgniewało mnie to. Przykro było, że terazniejszy naród tonie w swawoli i nieposłuszeństwie, zamierzyłem się i... ma się rozumieć, nie mocno, ale tak sprawiedliwie, pomalutku, żeby nie śmiał o waszem wysokorodji tak mówić... Uriadnik ujął się za wójttem. Więc ja i uriadnika... Zakotłowało się... Rozgorączkowałem się, wasze wysokorodje, no ale przecież bez tego nie można, żeby nie pobić. Jeśli głupiego człowieka nie bijesz, to wzięłeś grzech na swoją duszę. Osobliwie, jeżeli za sprawę... jeżeli nieporządek...

— Przepraszam! Porządku jest komu pilnować. Nato są uriadnik, wójt, sołtys.

— Uriadnik wszystkiego nie upilnuje, przytem i uriadnik nie rozumie tego, co ja rozumiam...

— Lecz proszę zrozumieć, że to nie wasza sprawa!

— Co? Jakże nie moja? Dziwne... Ludzie swawolą, a nie moja sprawa! Cóż ja mam chwalić ich, czy co? Oto oni skarżą się, że ja im śpiewać zabraniam... A cóż dobrego w tych pieśniach? Zamiast tego, by pracą się zająć, im się pieśni zachciało... Teraz zaś znowu modę zaprowadzili, żeby wieczorami przy świetle siedzieć. Spać trzeba się kłaść, a u nich rozmowy i śmiechy. Ja mam zapisane!

— Co oskarżony ma zapisane?

— Kto światło pali.

Priszibiejew wyjmując z kieszeni zatłuszczoną kartkę, nakłada okulary i czyta:

— Którzy włościanie siedzą przy świetle: Iwan Prohorow, Sawwa Nikoforow, Piotr Pietrow, żołdatka Szustrowa, wdowa, żyje w rozpustnym bezprawiu z Siemionem Kisłowem. Ignat Swierczkow zajmuje się czarami, a żona jego Mawra jest wiedźmą, po nocach chodzi doić cudze krowy.

— Dosić! — mówi sędzia i zaczyna badać świadków.

Były podoficer Priszibiejew zsuwa okulary na czoło i ze zdumieniem patrzy na sędziego, który jakoś nie jest po jego stronie. Wytrzeszczone oczy jego błyszczą, nos staje się szkarłatny. Patrzy na sędziego, na świadków i w żaden sposób nie może zrozumieć, dlaczego sędzia jest wzburzony i dlaczego ze wszystkich kątów sali słychać bądź pomruki, bądź też przyduszony śmiech. Niezrozumiały jest dla niego i wyrok: miesiąc aresztu!

— Za co!? — mówi, rozkładając ze zdziwieniem ręce. — Jakiem prawem?

Jasne jest dla niego, że świat się zmienił i że żyć na świecie niepodobna. Czarne, ciężkie myśli owładnęły nim. Lecz wychodząc z izby i zobaczywszy tłoczących się i rozmawiających głośno chłopów, Priszibiejew z przyzwyczajenia, którego już opanować nie może, staje na baczność i krzyczy głosem ochrypłym i gniewnym:

— Ludzie, rozejść się! Nie gromadzić się! Do domu!

*Tłum. S. L.*

## MAKSYM GORKIJ (ALEKSY PIESZKOW)

(ur. 1868)

FOMA GORDIEJEW

(Wyjątek)

Tomasz, piękny i kształtny, stał w krótkiej marynarce i w długich butach, oparty plecami o maszt i, skubiąc bródkę drżącą ręką, przyglądał się radośnie różnej pracy chłopów. Rozlegający się dokoła hałas budził w nim pragnienie krzyczenia, mozolenia się wraz z chłopami, rąbania drzewa, dzwigania ciężarów, rozkazywania — zwrócenia w ten sposób na siebie uwagi wszystkich i pokazania swej siły i zręczności. Hamował się jednak i nieruchomo stał w milczeniu: obawiał się i wstydził czegoś. Krępowało go to, że jest panem, że gdy weźmie się sam do pracy, to nikt chyba nie uwierzy, iż robi to wprost z ochoty, a nie dlatego, żeby ich zachęcić, dać im przykład. I możliwe, że chlopi śmiać się zeń będą jeszcze...

Rudy, kędzierzawy parobek, z rozpiętym kołnierzem u koszuli, przebiegał raz wraz koło niego, to z deską na plecach, to z siekierą w rękę; podskakiwał w biegu, jak rozbawiony kozioł, śmiał się dzwicznie, wesoło, żartował na wszystkie strony, nie-miłosiernie łajał i pracował niezmordowanie, pomagając bądź jednemu, bądź drugiemu i biegając szybko i zręcznie po pokładzie, zawalonym trzaskami i drzewem. Tomasz nie spuszczał go z oczu i zazdrościł temu wesołemu chłopakowi, od którego biło zdrowie, energia i siła.

«Szczęśliwy pewnie»... — myślał Tomasz, i myśl ta wywołała w nim ostrą, palącą żądę dokuczenia mu w jakikolwiek sposób, zdetonowania go. Wszystkich naokół ogarniał zapal gorączkowej pracy, wszyscy zgodnie i śpiesznie umacniali rusztowanie, urządzali bloki, przygotowując się do wyciągania barki, zatopionej na dnie rzeki, i wszyscy byli rześcy, weseli i — znać było, że żyli. A on stał zdala od nich, nie wiedząc, co ma robić, nic nie umiejąc, czując się zbytecznym w tem wiekiem mrowisku pracy. Doznawał uczucia krzywdy, widząc, jak jest odosobniony, im dłużej przyglądał się tym ludziom, tem silniej wzmagало się w nim to poczucie krzywdy. Najwięcej bolała go myśl, że przecież to wszystko — robi się dla niego, a jednak on w tem nie bierze udziału...

«Gdzież jest moje miejsce? — myślał z goryczą. — Gdzież moja praca?... Czy jestem wyrodkiem? Nie mniej mam siły, niż pierwszy lepszy... A naco mi ona?»

Dzwoniły łańcuchy, jęczały bloki, nad rzeką rozlegał się huk siekier, a barki kołysały się pod naciskiem fal... Tomaszowi zdawało się jednak, że buja się nie wskutek kołysania się pokładu pod jego nogami, lecz dlatego, że nie umie na niczem oprzeć się mocno...

Przedsiębiorca, niski chłop ze śpiczastą siwą bródką, waziutkiemi oczyma i szarą pomarszczoną twarzą, podszedł do niego i powiedział zcicha, ale jakimś szczególnym, uroczyстым tonem:

— Wszystko gotowe, Tomaszu Ignatjewiczu, teraz już wszystko w porządku... Zaczniemy z Boską pomocą...

— A zaczynaj... — odrzekł łagodnie Tomasz, odwracając się od przenikliwego spojrzenia wąskich oczu chłopca.

— Ot i chwala Bogu! — rzekł przedsiębiorca, zapinając bez pośpiechu kurtkę i przybierając poważną minę. Potem, powoli obracając głowę, obejrzał rusztowania na barkach i krzyknął donośnym głosem:

— Na swoje miejsca, dziatki!

Chłopi rozbiegli się po barkach, w zwartych gromadkach stanęli przy kołowrotach i zaprzestali rozmowy. Niektórzy powdrapywali się zrećnie na rusztowanie, skąd spoglądali w milczeniu, trzymając się za liny.

— Bacność, bracia! — rozlegał się dźwięczny i spokojny głos przedsiębiorcy. — Czy wszystko w porządku? Gdy przyjdzie na babę pora rodzić — nie czas jej wtedy koszule szyć... A teraz... pomódlmy się do Boga!

I cisnąwszy czapkę na pokład, przedsiębiorca wznosił twarz ku niebu i jął żegnać się siarczyscie. Za nim wszyscy chłopi, podniósłszy głowy ku chmurom, zaczęli również szeroko wymachiwać rękami, kładąc znak krzyża na piersi. Inni modlili się głośno, i głuchy, przytłumiony szept zlewał się z szumem fal:

— Boże pobłogosław!... Przenajświętsza Bogarodzico... Święty Mikołaju, patronie...

Tomasz słuchał tych okrzyków, i padały one kamieniem na jego duszę. Wszyscy stali z obnażonymi głowami, on tylko jeden zapomniał był zdjąć czapkę. Przedsiębiorca po skończeniu modlitwy rzekł doń z wyrzutem:

— Należało i panu westchnąć do Pana Boga...

— Pilnuj swego nosa... a mnie nie ucz! — odrzekł Tomasz, rzucając nań gniewne spojrzenie. — Im dalej postępowała praca, tem ciężej i boleśniej odczuwał, że jest zbyt ciężki wśród tych spokojnych i ufnych w swoje siły ludzi, gotowych do podniesienia z dna rzeki na jego rozkaz kilkudziesięciu pudów. Pragnął, żeby doznali niepowodzenia, żeby skompromitowali się wszyscy wobec niego — i w głowie jego zabłyśła zła myśl: «Może łańcuchy się zerwą»...

— Bacność, chłopcy! — krzyczał przedsiębiorca. — Zaczynajcie wszyscy jednocześnie... W imię Boże! — I nagle, klasnąwszy w dłonie, wrzasnął przeraźliwie:

— Za-czy-naj!

Robotnicy podchwycili jego okrzyk i wszyscy w jeden głos krzyknęli:

— Za-czy-naj!

Zazgrzytały i skrzypnęły bloki, zabrzęczały łańcuchy, wyprężając się od zawieszonoego na nich ciężaru; robotnicy, oparłszy się piersiami o ramiona kołowrotu, ryczeli i ciężko tupali po pokładzie. Fale z szumem pluskały między barkami, jakby nie chcąc ludziom dać wydrzeć swej zdobyczy. Wszędzie dokoła Tomasza wyciągały się łańcuchy i liny drżały od napięcia, jak ogromne szare robaki pełzały po pokładzie, mimo jego nóg, niewiadomo dokąd, podnosiły się do góry, ogniwo za ogniwo, potem spadały z loskotem — wszystkie jednak dźwięki tłumił ogłuszający ryk robotników.

— Wszy-scy razem, razem, razem... — śpiewali zgodnie triumfująco. A w potężną falę ich głosów wbijał się, jak ostrze noża, dźwięczny głos przedsiębiorcy.

— Starajcie się, dziatki!... — razem... razem...

Dziwne wzruszenie opanowało Tomasza: porywała go nieprzewyciężona chęć w mieszania się w ten gwar podnieconych głosów, szeroki i potężny, jak rzeka, w ten denerwujący hałas, zgrzyt i szcęk żelaza i głuchy szum fal. Walcząc z tem pragnieniem, drżał cały, a pot oblewał mu czoło; nagle oderwał się od masztu i jednym skokiem dopadł do kołowrotu, błądząc ze wzruszenia.

— Ra-zem! ra-zem... — wołał dzikim głosem. Z impetem uderzył piersią o ramię kołowrotu i, nie czując bólu, jął z rykiem chodzić dokoła, opierając się silnie nogami o pokład. Coś potężnego, gorącego wlewało mu się do piersi, zastępując te siły, które zużywał na obracanie dźwigni. Opanowała go radość niewysłowiona, która wylewała się na zewnątrz w formie podniesionego krzyku. Doznawał wrażenia, jakgdyby sam jeden, własną siłą obracał dźwignię, podnosił ciężar i jakgdyby siła ta wciąż wzrastała. Pochylony naprzód, z głową spuszczoną, szedł jak byk na spotkanie siły ciężenia, odpychającej go w tył, a jednak mu ustępującej. Każdy krok naprzód podniecał go jeszcze więcej, każdy zużyty wysiłek wnet zastępowało palące uczucie dumy, w głowie mu się kręciło, oczy krwią nabiegły, nie widział nic, czuł tylko, że wszystko mu ustępuje, że on zwycięży, że zaraz oto obali własną siłą coś ogromnego, coś zastępującego mu drogę — obali, zwalczy, a wtedy odetchnie lekko, swobodnie, pełen dumnej radości. Po raz pierwszy w życiu doznał tak podniosłego, potężnego uczucia, i całą mocą swej chciwej, zgłodniałej duszy wchłaniał je, upajał się niem i głośniami, pełnemi radości okrzykami wyrażał swą radość, wołając wraz z robotnikami:

— No, ra-zem, no, razem, razem...

— Stój! Trzymać! Stój!

Coś trąciło Tomasza w piersi i odrzuciło wtył...

— Winszuję pomyślnego ukończenia, Tomaszu Ignatjewiczu! — mówił doń przedsiębiorca, i zmarszczki na jego twarzy drżały radośnie. — Chwała Bogu! Ale zmęczył się pan, co?

Chłodny wiatr dął w twarz Tomaszowi. Szmer zadowolenia rozlegał się dokoła niego; przekomarzając się żartobliwie, rozweseleni chłopci zbliżali się do niego z uśmiechem na spoconych twarzach i otaczali go zwartem kołem. W roztargnieniu uśmiechał się: podniecenie, z którego jeszcze nie ochłonął, nie pozwalało mu zrozumieć, co się stało i czemu wszyscy naokół tak są uradowani i zadowoleni.

— Sto siedemdziesiąt tysięcy pudów niby rzodkiew z grędy wyrwaliśmy — odezwał się ktoś.

— Powinienby właściciel za to przynajmniej wiaderko wódki wystawić...

Stojąc na zwojach lin, Tomasz patrzył przez głowy robotników i oto ujrzał, że między barkami, tuż przy nich, wynurzyła się z wody trzecia barka, czarna, śliska, rozbita, łańcuchami oplątana. Pognieciona cała, jakgdyby spuchnięta wskutek jakiejś strasznej choroby, bezradna i niedołączna, zawisała nad wodą między towarzyszkami swemi, opierając się o nie. Pośrodku niej sterczał rozpaczliwie złamany maszt: po okrytym plamami rdzy pokładzie sączyły się czerwone strugi wody, do krwi podobne. Tu i ówdzie na pokładzie leżały rozrzucone kupy żelastwa, czarne, mokre odłamki drzewa, sznury...

*Tłum. Edward Chwałewik.*

#### O SZARYM

Na ziemi — tak rozpoczyna się powiastka — spór toczą ze sobą Czerwony i Czarny. Nienasycona żądza władzy nad ludźmi stanowi siłę Czarnego.

Czerwony zaś gorąco pragnie widzieć życie wolnem, rozumnem i pięknem. W tem życzeniu jego siła.

Jego myśl, zawsze drżąca od wzruszenia, oświetla ciemność życia gorącym płomieniem piękna, groźną luną prawdy, cichem światłem miłości. Jego myśl zapalała wszędzie potężny płomień wolności i ten ogień radośnie i gorąco obejmuje naszą ciemną, ślepą ziemię wielkiem marzeniem o szczęściu dla wszystkich.

Powiada on:

«Wszystko — dla wszystkich! Wszyscy są równi, w sercu każdego jest ukryty cały świat piękna, nie można kaleczyć istoty ludzkiej, zamieniając ją na tępe narzędzie bezmyślnej siły. Nikt nie powinien ulegać, nikt nie ma prawa zmuszać do uległości, władza dla władzy jest występkiem».

Pomiędzy Czarnym a Czerwonym nieśmiało i przedziutko szwęda się malutki jednostajny Szary. On lubi tylko ciepło syte, wygod pełne życie i dla swego zamiłowania strzepi swą duszę, jak zgłodniała kobieta uliczna swe znikome ciało. Gotów jest on służyć niewolniczo wszelkiej sile, aby tylko zapewniła mu dostatek i spokój. Całe życie jest dla niego lustrem, w którym widzi on tylko siebie. Jest bardzo żywotny, gdyż posiada wszystkie talenta pasorzyta, wszystko mu jedno, od kogo otrzymuje jado — od człowieka czy zwierzęcia, geniusza lub idjoty. Jego dusza jest tronem śliskiej żaby, która zwie się podłością, jego serce jest rezerwuarem tchórzliwej ostrożności. On chce używać rozkoszy, i zarazem niepokoi go obawa — to go robi fałszywym i podwójnym.

Jeżeli w walce o władzę zwycięża Czarny, Szary ostrożnie podjudza Czerwonego: «Patrz, jak rośnie reakcja». Jeżeli zwycięstwo odnosi rycerz wolności i prawdy, Szary donosi Czarnemu: «Strzeż się — rozwija się anarchja!» Jego cielcem jest zawsze jedno: spokój i porządek — dla siebie. I bodaj za cenę duchowej śmierci całego kraju. Gdy czuje on, że Czarny zmęczył się walką, miesza się do sporu, który toczą pomiędzy sobą Czarny i Czerwony, i zawsze oszukuje obydwu. Z uszanowaniem, ostrożnie powiada on Czarnemu: «Ma się rozumieć, ludzie — to bydło, i pastuch jest dla nich niezbędny, ale zdaje mi się, już pora zwiększyć obszar pastwiska. Jeśli do tego, co mają,

dodać jeszcze troszeczkę, to chociaż mniej będą mieli, aniżeli to, czego sobie życzą, ale zawsze więcej, niż teraz. To ich uspokoi, i Czerwony przestanie być niebezpiecznym — przecież cała siła jego polega na tem ich niezadowoleniu. Proszę mi pozwolić, ja pomogę to urządzić».

Pozwalają mu, i on urządza dla siebie życie dostatnie, ciepłe, pełne zadowolenia.

Czarny, zlewając się z Szarym, staje się jakgdyby mniej okrutny, ale bardziej głupi i podły. Czerwony rozpala się goręcej.

Wówczas Szary przemawia pouczająco do Czerwonego: «Naturalnie, już czas życie zastosować do ideału, ale odrazu nie można przecież zadowolić wszystkich! Troszeczkę dziś, troszkę jutro, koniec końców ludzie będą mieli wszystko. Rachunek — to entuzjazm mędrca... Czarny ustąpi, jeżeli będziemy działać ostrożnie... pozwólcie, ja pomówię z nim szczerze...»

I pozwalają mu czy też odmawiają — on urządza dla siebie życie ciepłe, wygodne, zaciszne...

Czerwony staje się coraz bledszy. Czarny szerzej rozciąga skrzydła swej władzy, życie staje się ciemniejsze, oddech życia wolniej... Szary napawa się szczęściem spokoju. Może on zdradzić i sprzedać, zdolny jest do wszystkiego, ale nigdy nie działa uczciwie i nigdy piękny nie jest.

Ta mała, dwudusznna gadzina zajmuje zawsze środek pomiędzy ostatecznościami, przeszkadzając im swoją samolubną krzątaniną — rozwinąć się do końca, do absurdu, do ideału. Rozpływając się pośrodku, bezkarnie miesza on dwa zasadnicze kolory życia w jeden kolor bezbarwny, nudny, brudny...

Szary zatrzymuje śmierć tego, co już żyć przestało, utrudnia rośnięcie tego, co żywotne; on to jest wiecznym wrogiem wszystkiego, co jaskrawe i śmiałe.

*Przekł. bezim. w t. V «Czytelni robotniczej» (Kraków 1906).*

## LEONID ANDREJEW

(1871—1919)

### OPOWIEŚĆ O SIEDMIU POWIESZONYCH

(Wyjątek)

#### Straszliwa samotność

Przy tym samym dźwięku zegara, oddzielony od Sergjusza i Musi kilkoma pustymi celami, lecz tak straszliwie samotny, jakgdyby na całym świecie istniał tylko on jeden, w trwodze i udręce kończył swe życie nieszczęsny Wasyl Kaszyrin.

Spocony, w przyklepionej do ciała mokrej koszuli, z pomierzwionemi, dawniej kędzierzawemi włosami, kurczowo i beznadziejnie rzucał się po celi, jak człowiek, cierpiący na nieznośny ból zębów. Przysiadął, to znowu biegał, przyciskał czoło do ściany, zatrzymywał się i szukał czegoś oczyma — jakgdyby szukał lekarstwa. Tak się zmienił, jakby posiadał dwie twarze — i ta dawna, młoda, gdzieś odeszła, a zamiast niej zjawiała się nowa, straszna, wyłoniła z ciemności.

Obawa śmierci zjawiała się u niego odrazu i owładnęła nim niepodzielnie. Jeszcze rano, idąc na pewną śmierć, spoufalął się z nią, a już pod wieczór, zamknięty w pojedynczej celi, został porwany i zachłysł się falą wściekłego strachu. Dopóki sam, z własnej woli szedł na niebezpieczeństwo i śmierć, dopóki swą śmierć, choćby najstraszniejszą, trzymał we własnych rękach, było mu lekko, a nawet wesoło: w poczuciu bezgranicznej swobody, śmiało i twardego opanowania swej zuchwałej i nieustraszonej woli tonął bez śladu małeńki, pomarszczony, jakgdyby starczy straszek. Opasany maszyną piekielną, sam jakgdyby zamienił się w maszynę piekielną, wchłonał w siebie okrutną mądrość dynamitu, przyswoił sobie jego ogniową, śmiercionośną moc. I idąc ulicami, pełnemi śpieszących się, zwyczajnych, zajętych swemi sprawami ludzi, uciekających przed końmi dorożkarskimi i tramwajami, sam sobie wydawał się przybyszem z innego, nieznanego świata, gdzie nie znają ani śmierci, ani strachu.

I nagle, odrazu, ostra, dzika, oszalamiająca zmiana. Już nie idzie, dokąd sam chce, lecz wiozą go — dokąd chcą. Już nie wybiera sobie miejsca, lecz wsadzają go do kamiennej klatki i zamykają na klucz, jak rzecz. Nie może już wybierać swobodnie życia lub śmierci, jak wszyscy ludzie, lecz na pewno i niechybnie go usmiercą. Przed chwilą jeszcze będąc wcieleniem woli, życia i siły, staje się żalonym przykładem jedynej na świecie bezsilności, zamienia się w zwierzę, oczekujące rzezi, w głuchą i niemą rzecz, którą można przestawiać, palić, łamać. Cokolwiekby mówił, słów jego słuchać nie będą, a jeżeli zacznie krzyczeć, zatkną mu usta szmatą i, czy będzie sam poruszał nogami, czy nie, pociągną go i powieszają; i choćby się opierał, choćby się położył na ziemi — przełamają jego opór, podniosą go, zwiążą i związanego zaniosą pod szubienicę. I to, że tę mechaniczną pracę nad nim spełnią tacy sami ludzie, jak on, nadaje tym ludziom nowy, niezwykły i złowieszczy wygląd: jakby jakichś widm, czegoś zamaskowanego, co się tylko tak umyślnie zjawilo, albo mechanicznych lalek na sprężynie: biorą, chwytają, prowadzą, wieszają, ciągną za nogi. Odcinają powróż, kładą, wiozą, zakopują.

I od pierwszego dnia więzienia ludzie i życie zamieniły się dla niego w niezrozumiałe okropny świat widm i lalek mechanicznych. Prawie oszalały z przerażenia, starał się sobie wyobrazić, że ludzie posiadają język i mówią, i nie mógł — ludzie wydawali mu się niemi; starał się przypomnieć sobie ich mowę, znaczenie słów, których używają w stosunkach ze sobą — i nie mógł. Usta się otwierają, coś dźwięczy, potem się rozchodzą, przebierając nogami, i nic niema.

Tak samo czułby się człowiek, gdyby w nocy, kiedy jest sam jeden w domu, wszystkie przedmioty ożyły, zaczęły się poruszać i zdobyły nad nim, człowiekiem, nieograniczoną władzę. Nagle zaczęłyby go sądzić: szafa, krzesło, biurko i kanapa. Krzyczałby i rzucał się, błagał, wzywał na pomoc, a oneby coś do siebie mówiły, a potem poprowadziłyby na powieszenie: szafa, krzesło, biurko i kanapa. I reszta rzeczy patrzyłaby na to.

I wszystko zaczęło się wydawać zabawkowem Wasylowi Kaszyrinowi, skazanemu na śmierć przez powieszenie: jego cela, drzwi z okienkiem, dźwięk nakręconego zegara, sumiennie otynkowana korytarza, a w szczególności ta mechaniczna lalka z karabinem, która stuka nogami na korytarzu, i te inne, które, strasząc go, zaglądają przez okienko i w milczeniu podają jadło. I to, czego doznawał, nie było strachem przed śmiercią; on raczej pragnął śmierci: ta, przy całej swej odwiecznej zagadkowości i tajemniczości, była bardziej dostępna dla rozumu, niż ten tak dziko i fantastycznie odmieniony świat. Co więcej, śmierć jakby zupełnie zniknęła w tym obłądnym świecie widm i lalek, traciła swą wielką i zagadkową treść, stawała się tak samo czemś mechanicznym i tylko dlatego straszna. Biorą, chwytają, prowadzą, wieszają, ciągną za nogi. Odcinają powróż, kładą, wiozą, zakopują.

Człowiek zniknął ze świata.

Na sądzie obecność towarzyszy wróciła Kaszyrinowi władzę nad sobą i znowu, na chwilę, zobaczył ludzi: siedzą i sądzą go, i mówią coś w ludzkim języku, słuchają i jakgdyby rozumieją. Ale już podczas widzenia się z matką poczuł wyraźnie, z przerażeniem człowieka, który zaczyna dostawać pomieszania zmysłów i zdaje sobie z tego sprawę, że ta stara kobieta w czarnej chustce — jest poprostu sztucznie zrobioną lalką mechaniczną z rodzaju tych, które mówią: — «pa-pa», «ma-ma» — tylko lepiej zrobioną. Starał się z nią mówić, a równocześnie, wzdrygając się, myślał:

«Boże! Przecież to lalka. Lalka-matka. A ta oto lalka-żołnierz, a tam w domu lalka-ojciec, a to — to lalka-Wasył Kaszyrin».

Zdawało mu się, że jeszcze trochę, a usłyszy trzask mechanizmu, skrzyp nieposmarowanych kółek. Kiedy matka zaczęła płakać, na chwilę znów dojrzał coś ludzkiego, lecz znikło to po pierwszych jej słowach i zaczęło być ciekawe i straszne, iż z oczu lalki płynie woda.

Potem, w swej celi, kiedy przerażenie stało się nieznośne, Wasyl Kaszyrin spróbował się modlić. Ze wszystkiego tego, co jako religia otaczało jego młodzieńcze życie w ojcowskim kupieckim domu, pozostał tylko wstrętny, gorzki i drażniący osad — i wiary nie było. Ale kiedyś — być może, jeszcze we wczesnym dzieciństwie — usłyszał



dwa słowa i te napęłniły go drżącym wzruszeniem, a potem na całe życie pozostały owiane cichą poezją. Były to słowa:

— Pocięszycielko strapionych.

Zdarzało się, że w ciężkich chwilach szepnie do siebie, bez modlitwy, nie zdając sobie dokładnie sprawy: «Pocięszycielko strapionych» — i nagle zrobi mu się lżej i przyjdzie ochota pójść do kogoś miłego i skarżyć mu się cicho:

— Nasze życie... czyż to życie!? Ech, moja miła, czyż to życie?

A potem nagle i na śmiech mu się zbierze, i zechce mu się targać włosy, wyrzucać kolanami, podstawić pierś pod czyjeś uderzenia: — «Masz, bij!»

Nikom, nawet najbliższemu towarzyszącemu, nie mówił o swojej «Pocięszycielce strapionych», i nawet sam jakgdyby o niej nie wiedział — tak głęboko była ukryta w jego duszy. I wspominał o niej rzadko, ostrożnie.

I teraz, gdy strach wobec nierozwiązanej, stojącej przed nim tajemnicy pokrył go wraz z głową, jak podczas powodzi fala pokrywa nadbrzeżną łąkę — zapragnął się pomodlić. Chciał uklęknąć, ale zawstydził się żołnierza i, skrzyżowawszy ręce na piersiach, szepnął cicho:

— Pocięszycielko strapionych!

I z udręką, wymawiając błagalnie, powtórzył:

— Pocięszycielko strapionych, przyjdź do mnie, dopomóż Waście Kaszyrinowi.

Dawno już, jeszcze kiedy był na pierwszym kursie uniwersytetu i hulał, przed poznaniem Wernera i wstąpieniem do organizacji, nazywał sam siebie z odcieniem dumy i politowania: «Wąską Kaszyrinem» — teraz, niewiedomo dlaczego, zachciało mu się tak samo się nazwać. Lecz martwo i bez echa zabrzmiały słowa:

— Pocięszycielko strapionych!

Coś się zakolysało. Jakgdyby przepłynęło w oddaleniu czyjeś ciche i bolesne oblicze i cicho zagasło, nie rozjaśniewszy przedśmiertnego mroku. Na dzwonnicy szedł zegar. Zastukał czymś, szabłą czy też karabinem, żołnierz na korytarzu i przeciągle, z przestankami ziewnął.

— Pocięszycielko strapionych! Milczysz! Nic nie chcesz powiedzieć Waście Kaszyrinowi?

Uśmiechał się błagalnie i czekał. Lecz pusto było i w duszy, i wokół. I nie ukazało się ciche i bolesne oblicze. Niepotrzebnie i męcząco przypominały się woskowe, gorejące świece, pop w sutannie, obraz, namalowany na ścianie, i jak ojciec, schylając się i podnosząc, modli się i bije pokłony, patrząc z podoba, czy Wąska też się modli i czy czasem nie zajmuje się figlami. I zrobiło mu się jeszcze straszniej, niż przed modlitwą.

Wszystko znikło.

Zwolna nadpełzało szaleństwo. Świadomość gasła, jak wypalone i rozrzucone ognisko, oziębiała się, jak trup dopiero co zmarłego człowieka, który ma jeszcze ciepło w sercu, choć ręce i nogi skostniały. Raz jeszcze, błysnąwszy krwawo, powiedziała gasnąca myśl, że on, Wasyl Kaszyrin, może lu zwarzować, doznać męczarni, dla których niema nazwy, dojsć do takiego bólu i cierpień, do jakich nie dochodziła żadna żywa istota; że może bić głową o ścianę, wylupić sobie palcem oczy, mówić i krzyczeć, co mu się podoba, przekonywać ze łzami, że więcej nie może wytrzymać — i nic. Będzie nic.

I to nic nastąpiło. Nogi, które posiadają swą własną świadomość i własne życie, w dalszym ciągu chodziły i nosiły drżące, mokre ciało. Ręce, które posiadają swą własną świadomość, nadaremnie starały się zapiąć odchylający się na piersi kaftan i ogrzać drżące, mokre ciało. Ciało trzęsło się i ziębło. Oczy patrzyły. Był to już prawie spokój.

Jednakże była jeszcze jedna chwila dzikiego przerażenia. To, kiedy weszli ludzie. Nawet nie pomyślał, że to znaczy — czas jechać na egzekucję, lecz poprostu zobaczył ludzi i przestraszył się prawie po dziecinnemu.

— Już nie będę! Nie będę! — szeptał niedosłyszalnie zmartwiałymi wargami i cicho odsuwał się w głąb celi, jak w dzieciństwie, kiedy ojciec podnosił rękę.

— Trzeba jechać.

Mówią, chodzą wkoło, coś podają. Zamknął oczy, zachwiał się — i z trudem zaczął się zbierać. Widocznie świadomość poczęła wracać: nagle poprosił urzędnika o papierosa. I ten uprzejmie otworzył srebrną papierośnicę z dekadentckim rysunkiem.

*Tłum. Władysław Broniewski.*

#### BEN-TOWIT

Tego strasznego dnia, kiedy się stała największa niesprawiedliwość świata, kiedy na Golgocie pomiędzy zbójcami ukrzyżowany został Jezus Chrystus — tego dnia od rana szalenie rozboleły zęby jerozolimskiego kupca Ben-Towita. Zaczęło się to jeszcze w przeddzień wieczorem: lekkie rwanie w prawej szczęce i ząb — ten ostatni przed zębem mądrości, jakgdyby podniósł się trochę, a kiedy dotknął go język, dawał lekkie wrażenie bólu. Po jedzeniu jednak ból ustał zupełnie, i Ben-Towit zapomniał o nim — tego dnia korzystnie zamienił swego starego osła na młodego i silnego, więc był wesoły i nie przywiązywał wielkiej wagi do złych przepowiedni.

Spał dobrze i mocno, ale przed wschodem słońca uczuł jakąś dziwną trwozę, jakgdyby ktoś wzywał go w jakiejś bardzo ważnej sprawie, i gdy się obudził zagniewany — boleły go zęby, boleły już wyraźnie i zawzięcie, całą pełnią ostrego, świdrującego bólu. I już nie można było zrozumieć, czy boli tylko wczorajszy ząb, czy też dołączyły się do niego inne; całe usta i głowa pełne były okropnego bólu, jakgdyby Ben-Towitowi kazali żuć tysiące rozpalonych do czerwoności, ostrych gwoździ. Wziął do ust wody z glinianego dzbanka — na chwilę siła bólu zmniejszyła się, zęby drgnęły, niby rozkołysane, i to wrażenie było wprost przyjemne w porównaniu z poprzednim. Ben-Towit położył się znowu, przypomniał sobie nowego osła, pomyślał, jak bardzo czułby się szczęśliwy, gdyby nie te zęby, i chciał zasnąć. Ale woda była ciepła — w przeciągu pięciu minut ból wrócił z większym jeszcze okrucieństwem niż dotąd, i Ben-Towit znowu siedział na łóżku, kiwając się jak wahadło. Cała skóra na twarzy zmarszczyła się i zebrała koło dużego nosa, a na nosie, bladym z bólu, zastygła kropelka zimnego potu. Tak kotysząc się i jęcząc z bólu, powitał pierwsze promienie słońca, któremu było przeznaczone widzieć Golgotę z trzema krzyżami i zagasnąć z przerażenia i smutku.

Ben-Towit był dobrym człowiekiem, nie lubiącym niesprawiedliwości, ale, kiedy się obudziła żona jego, on, z wysiłkiem otwierając usta, nagadał jej dużo nieprzyjemnych rzeczy i uskarżał się, że go zostawili samego, jak szakala, wyjącego i zżymającego się w okropnej męce. Żona cierpliwie przyjęła niezastuzone zarzuty, bo wiedziała, że nie ze złego serca idą, i przyniosła dużo dobrych lekarstw: czystego pomiotu mysiego, którym należy okładać twarz, ostrej esencji skorpionowej i autentyczny kawałek kamienia z rozbitej przez Mojżesza tablicy przykazań. Mysi pomiot pomógł trochę, ale nie na długo, tak samo esencja i kamyk, ale za każdym razem, po krótkim polepszeniu, ból wracał z nową siłą. I w krótkich chwilach wytchnienia Ben-Towit pocieszał się myślą o osiołku i marzył o nim, a gdy znowu robiło się gorzej, jęczał, gniewał się na żonę i groził, że rozbije sobie głowę o kamień, jeśli ból nie ustanie. I przez cały czas chodził z kąta w kąt po płaskim dachu swego domu, wstydząc się podejść blisko do zewnętrznego brzegu, bo całą głowę miał obwiązaną chustką, jak kobieta. Kilka razy przybiegały doń dzieci i opowiadały coś przerywanymi głosami o Jezusie z Nazaretu. Ben-Towit zatrzymywał się na chwilę, słuchał ich, ściągawszy skórę na twarzy, ale potem gniewnie tupał nogą i przepędzał: był dobrym człowiekiem i kochał dzieci, ale teraz gniewał się, że przychodzą do niego z takim gupstwem.

Przykre było i to, że na ulicy i na pobliskich dachach zebrało się dużo ludzi, którzy nic nie robili i ciekawie patrzyli na Ben-Towita, okręconego chustką, jak kobieta. I chciał już zejść nadół, kiedy żona powiedziała mu:

— Spójrzyj, oto prowadzą zbójców. Może cię to rozerwie.

— Daj spokój, na Boga. Czyż nie widzisz, jak bardzo cierpię? — odpowiedział podrażniony Ben-Towit. Ale w słowach żony brzmiała niepewna obietnica, że ból może ustać, więc mimowoli podszedł do poręczy. Pochylając głowę nabok i przymykając jedno oko, podparł ręką chory policzek i z pogardliwie płaczącym wyrazem twarzy patrzył nadół.

W wąskiej uliczce, podnoszącej się wgórę, w nieładzie posuwał się ogromny tłum, owiany kurzem i niemilknącym krzykiem. Wpośrodku, pochyleni pod ciężarem krzyżów, szli przestępcy, a nad nimi zwijały się, jak czarne węże, bicz rzymskich żołnierzy. Jeden z nich — ten z długimi jasnymi włosami, w rozdartym skrwawionym chitonie, potknął się o rzucony pod nogi kamień i upadł. Krzyki stały się głośniejsze, i tłum, niby różnokolorowa woda morską, zwał się nad padającym. Ben-Towit drgnął nagle z bólu — zdawało się, że w ząb wetknął ktoś rozpaloną igłę i pokręcił ją; Ben-Towit jęknął: u-u-u — i odszedł od poręczy, pogardliwie obojętny i zły.

— Jak oni krzyczą! — powiedział z zazdrością, wyobrażając sobie szeroko rozwarte usta z mocnymi niebolącymi zębami, i to, jak krzyczałby sam, gdyby był zdrow. I od tej myśli ból wzmógł się tak bardzo, że począł prędko kręcić owiniętą głową i ryczeć m-u-u.

— Opowiadają, że On uzdrawia ślepych — powiedziała żona, stając na samym brzegu dachu i rzucając kamyczek w tym kierunku, skąd powoli dźwigał się podniesiony biczami Jezus.

— Naturalnie! Niechno uzdrowi mój ból zębów — ironicznie odpowiedział Ben-Towit i, podrażniony, dodał z goryczą: Jaki kurz robią! zupełnie jak stado? Należałoby ich wszystkich rozpędzić kijami! Odprowadź mię nadół, Saro!

Żona miała rację: widowisko rozerwało trochę Ben-Towita albo może to pomógł wreszcie pomiot myśli, bo udało mu się nareszcie usnąć. A gdy się przebudził, ból zniknął prawie zupełnie, i tylko na prawej szczęce zjawiał się mały guzik fluksji, tak mały, że go ledwie można było zauważyć. Żona mówiła, że zupełnie nie znać, ale Ben-Towit uśmiechał się znacząco: wiedział jaką dobrą ma żonę, lubiącą zawsze powiedzieć coś przyjemnego.

Przyszedł sąsiad, garbarz Samuel, i Ben-Towit poprowadził go do nowego osiołka i z dumą wysłuchał pochwały dla siebie i zwierzęcia.

Potem, stosując się do próśb ciekawej Sary, wszyscy troje poszli na Golgotę popatrzeć na ukrzyżowanych. Po drodze Ben-Towit opowiadał Samuelowi od samego początku, jak wczoraj poczuł darcie w prawej szczęce i jak potem w nocy obudził go straszny ból. Żeby było dokładnie i obrazowo, robił cierpiącą twarz, zamykał oczy, kręcił głową i jęczał, a siwobrody Samuel współczująco kiwał głową i mówił:

— Aj-aj-aj! Jak boli!

Ben-Towitowi podobała się zachęta, więc powtórzył opowiadanie, a potem sięgnął wspomnieniem tych czasów, kiedy mu się zepsuł tylko jeden pierwszy ząb — wdole, z lewej strony. W tak ożywionej rozmowie przyszli na Golgotę. Słońce, skazane na to, by przyświecało ziemi w ten straszny dzień, zaszło już za dalekie wzgórza i na zachodzie paliło się, jak krwawy ślad, wąskim purpurowym pasem.

Na tem tle niewyraźnie ciemniały krzyże, i u stóp środkowego niejasno białaty jakieś klęczące postacie.

Tłumy rozeszły się dawno; robiło się zimno, i przelotnie spojrzawszy na ukrzyżowanych, Ben-Towit wziął Samuela pod rękę i ostrożnie zawrócił go do domu. Poczł się bardzo wymownym i chciał dokończyć opowiadania o bólu zębów. Tak wracali, i Ben-Towit przy współczujących skinieniach i wykrzyknieniach Samuela robił cierpiącą twarz, kręcił głową i jęczał sztucznie, a z głębokich wąwozów, z dalekich opalonych równin podnosiła się czarna noc: jakgdyby chciała ukryć od spojrzeń nieba wielką zbrodnię ziemi.

*Tłum. Idalja Badowska.*

## TEODOR SOŁOGUB (TIETIERNIKOW)

(1863—1927)

### CZARCIA HUŚTAWA

Nad rzeką gdzieś kołlawe  
Chojary w cieniu drzą,  
Rozhuśtał czart huśtawę  
Kosmatą łapą swą.

Hej, czarci śmiech ją niesie,  
To wprost, to wspak,  
To wprost, to wspak,  
A deska skrzypi, gnie się,

Sznur naprężony trze się  
O twardy sęk, o hak.

Przeciągle skrzypi, stęka  
Rozchwianej deski ruch,  
A czart ze śmiechu pęka,  
Trzymając się za brzuch.

Ja huśtam się i zmagam,  
To wprost, to wstecz,  
To wprost, to wstecz,  
Podnoszę się, opadam,  
Omdlałym wzrokiem błagam:  
O, czarcie! idź-że precz!

Błękitny bies nad jodłą  
Chichocze, stroi żart:  
— Gdy tu cię lichy zwiódło,  
To hulaj, pal cię czart!

Pod jodłą piszczą żwawe  
Czeredy czarcich wart:  
— Gdy wpadłeś na huśtawę,  
To hulaj, pal cię czart!

Wiem, czart tak długo będzie  
Huśtawę huścić, nieść,  
Aż skusi mnie w rozpędzie  
Zamachem groźna pięść.

Aż pęknie sznur z konopi,  
Podnosząc mnie pod strop,  
Aż mi pod chwiejne stopy  
Podwinie się mój glob.

Przez jodłę fiknę nagle  
I łbem o ziemię trach!  
Więc huśtaj, huśtaj, djable,  
Wciąż wyżej, wyżej... ach!

#### ANIOŁOWE LICA

Aniołowe lica,  
Jasnej chwały pienie,  
Kadzidlane dymy,  
U Stwórcy-Rodzica  
Wieczne ukojenie  
Mąk, które cierpimy.

Anioł tak zaczyna:  
— Chłopcze błady, czemu tobie  
Ziemskie zbrzydły już granice?  
Mówi mu chłopczyzna:  
— Ach, źle było mi, chudobie,  
Zamęczyli mnie rodzice.

A u Stwórcy-Rodzica  
Wieczne ukojenie  
Mąk, które cierpimy,  
Aniołowe lica,  
Jasnej chwały pienie,  
Kadzidlane dymy.

Cały dzień mnie klęli,  
Nocą mi związali ręce,  
Tłukli mnie po nagiem ciele,  
Potem na strych wzięli,  
Różgami ćwiczyli w męce,  
Więc umarłem, mój aniele!

Aniołowe lica,  
Jasnej chwały pienie,  
Kadzidlane dymy,  
U Stwórcy-Rodzica  
Wieczne ukojenie  
Mąk, które cierpimy.

#### [WYJDŹ PRZED DOM...]

Wyjdź przed dom jeszcze raz  
I zagrodeń swą obejdziesz dokoła,  
Niespokojny jest czas:  
Może ktoś cię zdaleka zawoła.

Czekaj, nie kładź się... Wiedz,  
Że ktoś może cię wzywać dziś nocą,  
Wtedy wdał trzeba bieć!  
Czyż nie pójdziesz natychmiast z pomocą?

Czyżbyś mógł zresztą spać?  
Pomyśl jeno, że z mroku z za ściany  
Zacznie wołać ktoś, lkać,  
Może chory, samotny, znękanany.

Wyjdź przed wrota — i tam  
Stań z latarką, słuch wyteż wśród nocy,  
Choćbyś zginąć miał sam,  
Ratuj tego, kto wzywa pomocy.

*Tłum. Julian Tuwim.*

## DYMISTR MEREŻKOWSKI

(ur. 1865)

## MICHAŁ ANIOŁ

(Wyjątek)

Michał Anioł wszedł do obszernej, półmrocznej sali, która służyła papieżowi za salę jadalną. Na sklepieniu freski Giotta błyszczały starem złotem. Ściany były obwieszane drogocennymi tkaninami z Flandrii, o tonach nikłych, wybladłych, przedstawiającymi mity pogańskie, porwanie Europy, śmierć Adonisa i inne. Niżej, wzdłuż ścian, ustawiono ławy z ciemnego drzewa, o wysokich rzeźbionych oparciach. Papież skończył śniadanie i zajmował się interesami. Sekretarz czytał mu depesze, otrzymane z Bolonji. Żadnego szmeru — kardynałowie i kilku dworzan, siedzących przy stole, rozmawiali przyciszonymi głosami. W dusznym powietrzu unosił się jeszcze delikatny aromat korzeni. Służba, wchodząc i wychodząc na znak mistrza ceremonji, sunęła cicho, niby cienie. Pierwszy lekarz dworu wlewał do szklanki wina, przygotowanej dla papieża, krople, które liczył starannie. U stóp Jego Świątobliwości na jedwabnej, haftowanej złotem poduszce siedział dziwny młodzieniec niezwykle piękności, ni błazen, ni pan, w szatach pół dziecińczych, pół niewieściach. Miał długie jasne kędziory i piękne złośliwe oczy. Pocichutku, by nie przeszkadzać czytaniu, dotykał niedbale strun lutni. Był to wszechmocny faworyt straszego Juljusza II., Ganimed tego Jowisza, serenissime camerier Accorsio. I to dziecko siedemnastoletnie posiadało klucze do papieskiego serca, jak papież posiadał klucze do nieba.

Na stole promień słońca pelzał i rozszczepiał się w kryształowym kubku z niedopitem winem, igrał na majolikowych misach, czepiał się białej brody papieża, odcinającej się ostro na karmazynie szerokiej aksamitnej stuy, połyskiwał w wielkim rubinie pierścienia na szczupłej i białej ręce starca.

On — siedział trochę zgarbiony, oba łokcie oparłszy o poręczę fotelu, odsuniętego od stołu. Aksamitna czapeczka (scufia), również karmazynowej barwy, nasunięta na czoło, pokrywała nagą czaszkę.

Choroby zostawiły ślady na tej znużonej twarzy o zapadniętych policzkach. Ale jego wąskie zaciśnięte wargi wyrażały jeszcze niepokromiony upór i pewność władzy; pod krzaczastymi brwiami, w głębokich oczach błyszczał płomień woli, niepokonanej chorobą. — A kiedy oczy te zapalały się gniewem, spojrzenie ich — przerażało. Michał Anioł wchodził do sali jadalnej, gdy sekretarz skończył odczytywanie depesz. Juliusz II spostrzegł Buonarottiego i rzucił nań szybkie niezadowolone spojrzenie.

Artysta zrozumiał, że przybył nie wporę. Nic do nikogo nie mówiąc, zatrzymał się samotnie pod oknem, oczekując swej kolei.

Jakiś starzec o brudnych rękach, rozgadany, ruchliwy, tłusty, okrągły, jak kula, zbliżył się do papieża; był to jubiler dworu. Mówił o zakupie drogich kamieni, przeznaczonych do ozdoby krzyża, zamówionego przez Juljusza II, do kaplicy Sykstyńskiej.

Papież, nie słuchając go, przymknął znużone powieki. Jubiler, sądząc, że śpi, przestał gadać. Lecz Juliusz II otworzył oczy i rzucił gniewnie: Pieniądze zostały?

— Nie, Wasza Świątobliwość, wydałem wszystko, co mi było przeznaczone. Pozwalam sobie upraszać Waszą Świątobliwość o dodatek. Ormianin Dżem proponuje mi za bezcen dwa karbunkuły i szmaragd. Jeżeli Wasza Świątobliwość...

— Dość — rzekł papież z gestem zniecierpliwienia — mówię ci, dość, odejdz!

Jubiler chciał coś odrzec, ale Juliusz II krzyknął:

— Idź do djabła i pamiętaj, że nie dam ci więcej ani solda ni na duże, ni na małe kamienie...

Michał Anioł pojął, co znaczy przymówka o «dużych kamieniach» i zrozumiał zwróconą do niego aluzję. — Skoro przyszła jego kolej, zbliżył się do Juljusza II ze swemi szkicami, planami i rachunkami. Papież rzucił nań pogardliwe spojrzenie.

— Nie mam czasu — rzekł i niecierpliwie poruszył się na fotelu. Przyjdz w poniedziałek.

— Ojciec Święty — odrzekł Michał Anioł głosem spokojnym, lecz stanowczym —

proszę, racz przejrzeć te rachunki. Robotnicy żądają słusznej zapłaty i nie można dłużej zwlekać. Zechciej rozkazać skarbnikowi, by wydał mi należną sumę; w przeciwnym razie będę zmuszony zapłacić z własnych funduszów za marmur na Wasze mauzoleum.

Juljusz II uważnie, jakby zdziwiony, spojrział na Michała Anioła. Artysta wytrzymał to spojrzenie bez spuszczenia oczu.—Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Accorsio, poniechawszy mandoliny, podniósł głowę z wesołą, przebiegłą ciekawością.

Juljusz nie odpowiedział nic, lecz odsunął od siebie papiery i rachunki, tak iż upadły na podłogę. Potem, nie zwracając na Buonarottiego najmniejszej uwagi, jakby o nim zapomniał, podniósł się z fotelu. Dwóch młodych prałatów podbiegło ku niemu i podtrzymało pod ramiona, trzeci podał mu laskę i papież, opierając się na niej, krokiem szybkim i jeszcze rażym zwrócił się ku drzwiom, prowadzącym do dalszych apartamentów, by wypocząć po śniadaniu.

Buonarotti zbladł, skurcz wściekłości skrzywił jego wargi. Czując na sobie szydercze spojrzenia paziów, lokajów i giermków, musiał jeszcze schylić się, aby pozbiierać spadłe na ziemię papiery.

Wrócił do siebie i natychmiast napisał do swego starego druha, messer Baltazara Balducci, który prowadził rzymski bank messera Galli, prosząc go o pożyczanie dwustu dukatów. Poczem oczekiwał z niepokojem odpowiedzi.

Pelen goryczy, rozmyślał o możliwości odmowy i o nowych upokorzeniach. Gdyby nawet Balducci zgodził się na pożyczkę, Michał Anioł był zrujnowany — będzie musiał na zapłacenie długów sprzedać swój dom we Florencji, dom, w którym mieszkał stary ojciec i bracia. Naraz uprzytomnił sobie długie lata niedostatku, znoszonego dobrowolnie z jedynym celem zapewnienia dobrobytu swoim; przypomniał sobie osiem ostatnich miesięcy, spędzonych w kopalniach marmuru w Carrarze. Gorączka i wyczerpująca praca, bądź na palącym słońcu, to znów wśród lodowatych deszczów, cudem tylko nie zniszczyły mu zdrowia. Mając dwóch służących i konia, w ciągu tego czasu otrzymywał od papieża płacę, zaledwie wystarczającą na kawałek chleba. Michał Anioł nie był skąpy, lecz, jak każdy Florentyńczyk, oszczędny, pieniądze szanował, odmawiając sobie niejednego, by tylko wywalczyć sobie w przyszłości pewną niezależność. Wychowany był w dobrej i prawej rodzinie, szanującej, niby świętość, cudze i własne mienie.

Wreszcie przybył postaniec z odpowiedzią. Baltazar Balducci w krótkich i uprzejmych słowach przyrzekał pieniądze na jutro rano.

Michał Anioł, uspokojony, wszedł na rusztowanie i ujął dłóto. Powoli dał się porwać pracy. Rzeźbił jednego z «jeńców spętanych», mających wznosić się na czterech występach grobowca.

Rzeźbą swą chciał artysta wyrazić, iż śmierć, zabierając Juljusza II, spętała rozwój sztuki, odbierając nadzieję, by miała kiedyś podobnego opiekuna. Obecnie artysta nie mógł bez goryczy myśleć o tej alegorii. Czyż to jednak nie wszystko jedno? Przeczując, że mauzoleum nie zostanie nigdy skończone, pracował dla siebie, bez celu, nie myśląc o papieżu. Zapomniał o wszystkim. Uderzenia młota dzwoniły tak gwałtownie, iż zdawało się, że posąg rozleci się w drzazgi. Odłamki marmuru padały, jak deszcz. Weszła służąca, prosząc go na wieczerzę. Nie poszedł; w pośpiechu zjadł kawałek chleba, nie schodząc nawet z rusztowania, i znów podjął swą pracę.

Twardy marmur stawał się coraz większy i topniał, jak wosk. Rzeźbiarz oswobreadzał kształt, ukryty pod kamienną powłoką. Młody niewolnik przechylał rozpozczliwie głowę; wszystkie jego mięskuly, wszystkie członki naciągały się w najwyższym wysiłku, aby zerwać więzy, krępujące ciało.

Gdy nastał zmrok, artysta, zmuszony opuścić pracę, zapalił światło i dopóżna w noc przesiedział nad swą uwielbianą księgą «Boskiej Komedji», która nie opuszczała go nigdy — narówni z biblją. Tej właśnie nocy napisał owe wzniosłe strofy ku czci Dantego:

Dal mondo scese ai ciechi abissi...

Z niebiosów zstąpił i w śmiertelnem cielesie  
Zszedł, gdzie przez piekło i przez czyściec droga.  
Skąd wrócił żywy, by oglądać Boga,  
W prawdy nam światło ukazując cele<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Tłum. L. Staff.

Noc zaczynała blednąć, gdy Michał Anioł legł na swe twarde i ubogie postanie dla krótkiego spoczynku, nie rozbierając się ani nie zdejmując obuwia, jak to często zwykł czynić.

Zrana Buonarotti wezwał wszystkich przewoźników, cieślów i kamieniarzy i wszystko, co im był winien, wypłacił do ostatniego solda.

*Tłum. H. W.*

## WIACZESŁAW IWANOW

(ur. 1866)

### Z DALEKICH DALI

Pustynnie i słodko wśród leśnych tych wnętrz  
Fujarka samotna zawodzi i łka —  
Płynie w dalach dalekich... Spowiadaj się, dźwięcz,  
Fujarko, ty głosie ciemnego dna!

Czy noc to się męczy, czy szepcze to krew?  
(O, serce, ty źródło bezsennych wód!)  
Ach, woła mnie, woła fujarki tej śpiew  
Sybilińskim swym czarem, jak dawniej, jak wprzód.

I smutny chwytałem na śpiewu jej dnie  
Jej jęk, i owiał prastary mnie las,  
I duch, jak lunatyk, mój błakał się w śnie  
Poomacku, i lichtarz mój konał i gasł.

Teraz morze przede mną, i morze, i dal,  
Cyt, syrena mnie woła: «O, przyjdź tu, o, patrz!  
I pamiętaj, pamiętaj niepokój tych fal,  
Brzegi dni tych minionych i cieniów tych płacz!»

*Tłum. Włodzimierz Słobodnik.*

## KONSTANTY BALMONT

(ur. 1867)

### [W SŁOWACH MOICH...]

W słowach moich powolna mowa Rosjan się kwieci,  
Zwiastunami mojemu byli dawni poeci,  
Jam przedziwne w niej odkrył uchylecia i dźwięki,  
Ton rozśpiewny i gniewny, przeczulony i miękki.  
Jam grający jest grom,  
Nagły zygzak lub złom,  
Jam przejrzysty jest źródło,  
Wszystkich, niczyj i swój.

Jednolite pluskania, wielopienne i zmienne,  
Czystej wody kamienie i klejnoty bezcenne,  
Echa wołań majowych, leśnych zabaw gęstwiny,  
Zbierać będę, posiędę, co dostrzegę u innych.

Jak sen, młody, jak kwiat,  
Kocham siebie i świat,  
Kochający, kochany,  
Jam jest wiersz wyszukany!

## SZTYLETOWE SŁOWA

Już mam dość tych zwiewnych snień,  
 Dość tych godów harmonijnych,  
 Dość zachwyków wzniosłych, drzeń,  
 Kołysanek melodyjnych!  
 Chcę rozedrzeć blaski zórz  
 I błękity snów gasnących!  
 Teraz — gmachów chcę płonących,  
 Teraz — chcę ryczących burz!

Upojenie, sen głęboki,  
 Myśl przytępia złudą mar,  
 Niech więc drgną w mem sercu mroki,  
 Niechaj z mórz wybuchnie żar!  
 Dziś chcę nowych strun rozdzwonych  
 Dla mych nowych uczt i snów!  
 Sztyletowych pragnę słów  
 I okrzyków chcę przedzgonnych!

## [W OGRODZIE MYM...]

W ogrodzie mym zakwitły róże białe,  
 Zakwitły róże białe i czerwone,  
 W mej duszy drżą namiętne sny nieśmiałe,  
 Nieśmiałe, zawstydzone.

Lica twe widzę cudne i pobladle  
 I włosów splot, jak tkanie marzeń jasne,  
 I w oczach twych — wyznanie nieodgadłe,  
 I usta, usta krasne.

Raz tylko cię widziałem, moja miła,  
 Lecz tylko raz się sen ze snem spotyka.  
 Miłość się we mnie słodka obudziła  
 I płonie, i nie znika.

Raz tylko poznaj z tobą szał bezkresny,  
 Jaskrawy cud — to szczęście przeogromne!  
 O, cieniu mój, o cieniu bezcielesny!  
 Miłości — nie zapomnę!...

Sen mój pijany jest, jak grona żrzące,  
 W mej duszy brzmią okrzyki żądź zmysłowe!  
 W ogrodzie mym lśnią róże śnieżno-białe  
 I krwawo - purpurowe!

## ZŁOTA RYBKA

W zamku był wesół bal  
 I muzyka brzmiąca,  
 Kołysaniem lekkich fal  
 Wiatr huśtawki trącał.

I choć nikt nie widział jej,  
 Goście ani grajki,  
 Lecz przez rybkę, wierzyć chciej,  
 Brzmiała nuta z bajki.

Drżała, niby senny cud,  
 Rzewna nuta skrzypka,  
 A w głębinie srebrnych wód  
 Była złota rybka.

Ledwo zmilknie wokół szmer,  
 Mała złota rybka  
 Błyśnie w stawie lśnieniem skier  
 I znów słyhać skrzypka.

Zwiewny płas taneczny swój,  
 Wiosną upojony,  
 Wiódl motyli nocnych rój,  
 Księżycem omgłony.

Znów brzmi piosnką śpiewność słów,  
 Uśmiech znów widnieje,  
 W sercach miłość szmerze znów  
 I wiosna się śmieje.

Wietrzyk giał lodygi traw  
 I kołysał gibko,  
 Tulił gwiazdę srebrny staw  
 Z małą złotą rybką.

«Czekam»... «Przyjdź»... I wszystko śni,  
 Ogień w oczach pała,  
 Bo tam w głębi stawu lśni  
 Złota rybka mała.

*Tłum. Julian Tuwim.*

## ZAMEK

Z płomieni blasku i płatków czerwonych,  
 Z iskier od skoku prężnych końskich nóg,  
 Z bojów, na których bije róg o róg,  
 Z ryku wichury — i odgłosów dzwonych —



Z błękitnych dymów od kadzideł wonnych,  
Z słów, które Twórca jeden rzechy mógł,  
Wieść otrzymałem — i dźwignąłem próg  
Zamku z tych wszystkich wieści rozżarzonych.

W zamku, gdzie moje marzenie nić przedzie,  
Splata się komnat niezliczona moc.  
W aluzje się w nim krzyżują krawędzie.

Ogniami błyska jego wieczna noc.  
W kątach naczynia, gdzie kipią bezgłośnie  
Fermenty bajki i aloes roślinie.

— Tłum. Mieczysław Giergielewicz.

## ALEKSANDER KUPRIN

(ur. 1870)

### Z «PODKAPITANA RYBNIKOWA»

Tego dnia, w którym zbliżał się do końca straszliwy pogrom floty rosyjskiej pod Cuszimą i ledwie zaczęły przelatywać nad Europą pierwsze głuche, niepokojące wieści o krwawym triumfie Japończyków — tego właśnie dnia podkapitan Rybnikow, zamieszkały w zaułku bez nazwy na Piaskach, otrzymał z Irkucka taką depeszę:

«Arkusze wysłać natychmiast uważać na chorego wydatki zaptacić».

Podkapitan Rybnikow uprzedził natychmiast swą gospodynię, żeby nieobecność jego nie sprawiła jej niepokoju, gdyż interesy zmuszają go do wyjazdu z Petersburga na jeden lub dwa dni. Potem ubrał się, wyszedł z domu i nigdy już tam nie wrócił.

I dopiero po pięciu dniach policja zawezwała gospodynię w celu przesłuchania jej w sprawie zaginionego lokatora. Uczciwa, otyła, czterdziestopięcioletnia kobieta, wdowa po urzędniku konsystorza, opowiedziała najrzetelniej wszystko, co wiedziała: lokator jej był człowiekiem cichym, biednym, nieco głupawym, umiarkowanym w jedzeniu, uprzejmym; nie pił, nie palił, rzadko wychodził z domu i nikogo u siebie nie przyjmował.

Nic więcej powiedzieć nie mogła, pomimo całego należytego respektu, jaki w niej wzbudzał rotmistrz żandarmerji, poruszający w sposób straszliwy wspaniałemi bokobrodami i sypiący najbrzydszemi wyrazami jak z rękawa.

W ciągu tych pięciu dni podkapitan Rybnikow biegał i jeździł po całym Petersburgu. Był wszędzie: na ulicach, w restauracjach, w teatrach, w wagonach tramwajów, na dworcach; wszędzie zjawiał się ten mały, czarniawy, ułomny oficer, dziwnie gadatliwy, roztargniony i nienazbyt trzeźwy, ubrany w mundur wojskowy z czerwonym kołnierzem — najidealniejszy typ szczura szpitalnego, kancelaryjnego lub intendenckiego. Zjawiał się również kilkakrotnie w sztabie generalnym, w Komitecie pomocy dla rannych, w policyjnych cyrkulach, w komendanturze, w dowództwie wojsk kozackich i we wszelkich możliwych urzędach i zarządach, denerwując urzędników swemi bezsensownemi skargami i pretensjami, swemi uniżonemi prośbami, wojskowem chamstwem i krzykliwym patryjotyzmem. Wszyscy wiedzieli już napamięć, że pełnił służbę w taborze korpusu, że pod Laojanem został kontuzjonowany w głowę, a w czasie odwrotu z pod Mukdenu był ranny w nogę...

Szczawinskij — zarówno ze względu na swój rodzaj pracy, jak i na wrodzone zamiłowanie — był zbieraczem ludzkich dokumentów, kolekcjonalistą rzadkich i dziwnych przejawów ducha ludzkiego. Często w ciągu tygodni, czasem miesięcy całych obserwował jakiegoś interesującego osobnika, śledząc go z uporem namiętnego myśliciela lub dobrowolnego detektywa. Zdarzało się, że taką zdobyczą był, według jego słów własnych, jakiś «rycerz z pod ciemnej gwiazdy» — szuler, znany plagjator, stręczyciel, alfons, grafoman — udręka wszystkich redakcyj, kasjer lub członek artieli po popełnieniu nadużycia, trwoniący pieniądze skarbowe po restauracjach, wyścigach i salach gry z szaleństwem człowieka, dążącego ku przepaści; jednakże przedmiotem jego

namiętności sportowej bywały również znakomitości sezonu — pianiści, śpiewacy, literaci, nazbyt już szczęśliwi gracze, dżokeje, atleci, modne kokoty. Nawiązawszy za wszelką cenę znajomość, Szczawinskij miękko i miłośnie, w jakiś osnuwająco-pajęczy sposób opanowywał swą ofiarę. Tu gotów był już na wszystko: przepędzał noce bezsenne w towarzystwie matych, ograniczonych ludzi, których cały bagaż umysłowy polegał — jak u buszmenów — na dziesięciu czy dwudziestu zoologicznych pojęciach i szablonowych powiedzeniach; upajał po restauracjach zdeklarowanych bałwanów i łotrów, cierpliwie oczekując, aż po pijanemu ukażą się w całej okazałości swej wewnętrznej ohydry, pochlebiał najbezczelniej ludziom, wierząc mocno, że pochlebstwo stanowi klucz do wszystkich zamków; hojnie rozpożyczał pieniądze, wiedząc zgóry, że nigdy ich zpowrotem nie otrzyma. Na usprawiedliwienie tego śliskiego sportu mógłby powiedzieć, że wewnętrzne zainteresowanie psychologiczne przewyższało niepomiernie te sukcesy, które odnosił w następstwie jako pisarz obyczajowy. Dziwną, niejasną dla niego samego rozkosz dawało mu spojrzenie w tajemne, niedostępne labirynty duszy ludzkiej, przejrzenie skrytych, czasem błahych, niekiedy haniebnych, częściej śmiesznych, niż wzruszających, sprężyn działań zewnętrznych — takie jakoby trzymanie w rękach ludzkiego serca i czucie jego żywego tętna...

Nigdy jednak jeszcze nikt go nie zainteresował tak głęboko, tak przejmująco, jak ten niezrównoważony, ochrypnięty, nietrzeźwy podkapitan. Szczawinskij nie puszczał go cały dzień. Niekiedy, siedząc koło niego w dorożce i obserwując go niepostrzeżenie, Szczawinskij myślał kategorycznie:

«Niemożliwe, abym się mylił — ta twarz żółta, kosooka, o wystających kościach policzkowych, te ustawiczne krótkie ukłony i zacieranie rąk, a jednocześnie naprężona, nerwowa, trwożna beczelność... Ale jeśli to wszystko jest prawdą i podkapitan Rybnikow jest naprawdę szpiegiem japońskim, to jaką nieskończoną przytomność umysłu musi posiadać ten człowiek, robiący ze wspaniałem zuchwalstwem w biały dzień taką złośliwą i podobną karykaturę rosyjskiego oficera! Jakie wstrząsające wrażenia musi przeżywać, balansując codziennie, co chwila nad prawie nieuniknioną śmiercią».

Tu kryła się zupełnie dla Szczawinskiego niezrozumiała, czarująca, szalona a jednocześnie zimna odwaga, może najwyższa postać patriotycznego heroizmu. I ostra ciekawość łącznie z pełnem czci przerwaniem coraz mocniej przyciągały myśl feljtonisty do duszy tego przedziwnego podkapitana. Czasem jednak powściągał się w myśli:

«A jeśli sam sobie narzuciłem myśl śmieszna, powzięta zgóry? Jeśli ja sam, uparty badacz serc ludzkich, głupio przejąłem się zwyczajnym pijanicą, kapitanem Kopiejkinem z Gogola? Przecież na Uralu i wśród kozaków orenburskich jest wiele takich właśnie mongolskich twarzy koloru szafranu». — I wtedy baczniej przyglądał się każdemu gestowi i wyrazowi twarzy podkapitana, uważniej wsłuchiwał się w dźwięk jego głosu. Rybnikow nie przepuszczał żadnego salutującego mu żołnierza i podnosił rękę do daszka czapki ze szczególnie długą, afektowaną starannością. Gdy przejeżdżali koło cerkwi, zawsze zdejmował czapkę i żegnał się szeroko i dokładnie, a przytem ledwie dostrzegalnie zezował ku sąsiadowi, badając, czy ten zauważył. Raz Szczawinskij nie wytrzymał i powiedział:

— Ależ pan jest pobożny, kapitanie!

Rybnikow rozpostarł ręce, komicznie wtulił głowę w podniesione ramiona i zaskrzeczał:

— Niema rady, braciszku. W bitwach przywykłem. Kto nie był na wojnie, ten się prawdziwie nie modlił. Wie pan? cudowne rosyjskie przysłowie. Tam, bracie, chcesz czy nie chcesz, nauczysz się modlić. Naprzykład, idzie się na pozycję — kule świszczą, szrapnele, granaty... te przekłete szimozoy... trudna rada — obowiązek, przysięga — człowiek idzie! Ale szepcze: «Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź woła Twoja, jako w niebie...» — I dokończył całą modlitwę, starannie wymawiając każdy wyraz.

— Szpieg! — zdecydował Szczawinskij.

Pragnął jednak doprowadzić do końca swe spostrzeżenia. Przez kilka godzin badał i męczył w dalszym ciągu podkapitana. W oddzielnym gabinecie, w czasie obiadu, mówił, przechylając się przez stół ze szklanką wina i patrząc w źrenice Rybnikowa:

— Niechno pan posłucha, kapitanie, nikt nas teraz nie słyszy i... nie wiem, jak panu zaręczyć, że nikt w całym świecie nie dowie się o naszej rozmowie. Jestem bezwzględnie, głęboko przekonany, że jest pan Japończykiem.

Rybnikow uderzył się w pierś pięścią.

— Jestem pod..

— Nie, nie, dajmy temu pokój. Mimo cały pański rozum, twarzy swej pan nie schowa. Zarys policzków, kolor skóry, rzadki i ostry zarost na twarzy, wszystko, wszystko wskazuje bez żadnej wątpliwości na pańską przynależność do rasy żółtej. Ale niech pan będzie spokojny. Nie wydam pana, choćby mi za to Bóg wie co obiecano, choćby mi nie wiem czem grożono za milczenie. I choćby dlatego nie zrobię panu krzywdy, że jestem pełen najgłębszego szacunku dla pańskiej zdumiewającej odwagi — więcej powiem: pełen czci — przerażenia, jeśli pan chce. Jestem przecie pisarzem, a więc człowiekiem z rozwiniętą wyobraźnią — a przecież nie mogę sobie wyobrazić, jak można się na to zdecydować: o dziesiątki tysięcy wiorst od ojczyzny, w mieście, pełnem nienawistnych wrogów, w każdej chwili ryzykując życie — przecież powiesz panu bez żadnego sądu, jeśli się pan zdradzi, czyż nie prawda? — i nagle paradować w mundurze oficera, wchodzić bez wyboru do wszelkich możliwych towarzystw, prowadzić najbardziej ryzykowne rozmowy! Przecież najmniejszy błąd, omyłka może pana zgubić każdej chwili. — — Czego nie mogę zrozumieć, to tego nieustannego naprężenia myśli i woli, tego djabelskiego wydatkowania sił duchowych. Oduczyć się myśleć po japońsku, zapomnieć najzupełniej o swem nazwisku, utożsamić się z inną osobowością! Nie — to stanowczo jest wyższe od wszystkich bohaterstw, o których nam mówiono w szkołach. Mój drogi panie, niech pan nie udaje przede mną. Słowo honoru, nie jestem pańskim wrogiem.

Mówił to zupełnie szczerze, rozpalony i wzruszony heronicznym obrazem, jaki mu rysowała fantazja. Ale podkapitan nie dał się złapać na pochlebstwo. Słuchał — patrząc zlekka przymrużonemi oczyma w kieliszek, którym powoli poruszał po obrusie, i kąciki jego niebieskawych warg kurczyły się nerwowo. A w twarzy jego Szczawinskij poznawał wciąż tę samą skrytą ironję, tę samą upartą, głęboką, nieugaszoną nienawiść, szczególniejszą, być może, niezrozumiałą dla Europejczyka, nienawiść mądrego, uczłowieczonego, kulturalnego, uprzejmego zwierza do istoty innego gatunku.

— E, daj pan temu pokój, drogi panie! — odrzekł lekceważąco Rybnikow. — Tam do djabła! Już w pułku przezywano mnie Japończykiem. Co tam! Jestem podkapitan Rybnikow. Wie pan, jest rosyjskie przysłowie: pysk barani, a dusza ludzka. — —

*Tłum. Janusz Jędrzejewicz.*

## JAN BUNIN

(ur. 1870)

### POŻEGNANIE

Pagórki pereł kipią, wrą na wodzie  
Pod ciężkim sterem. Słychać ryk syreny,  
Ziemia płynie. Oddziela się, odchodzi  
Wysoka burta. My nazad płyniemy.

Na brzegu pusto. Tam na resztkach żyła  
Siadły gołębie i gruchają. Tutaj  
Drży mocny statek, wiatr go wolny wita  
I dal w niebiesko-szarą mgłę osnuta.

Oto się okrył żaglem i kominem  
I coraz dalej, coraz dalej płynie.  
Już widzi morze. Nad bezdrożem płynnem  
Kotwicę podniósł całą w rudej glinie.

O, żegnaj, żegnaj! Obcy i znajomi  
Tam na pokładzie stoją zamyśleni,  
Codziennie za żywiołem będą gonić,  
Codziennie będą patrzeć w twarz przestrzeni,

A ja?... Jest marzec, wieczór i niezmiernie  
Jest smutno mi, jam wiosną jest wezbrany.  
W perełe dzwonią. Tam ognik lśni w tawernie,  
Lecz nie! Do domu, bom i tak pijany.

*Tłum. Włodzimierz Słobodnik.*

WALERY BRIUSOW  
(1873—1924)

HUNNY PRZYSZŁOŚCI

Gdzie jesteście, o Hunny przyszłości,  
Co nad światem, jak chmura, ciążyście?  
Słyszę, słyszę, jak w dzikiej wściekłości  
Po nieznanym Pamirach tętnicie!

Hejże, hordy pijane, potężne,  
Z stannic na nas ponurych wdół ruńcie!  
Ciała nasze, co mrą niedoleżne,  
Skapcie w krwi gorejącej i buncie!

Raby własnej wolności! Na miasta!  
Przy pałacach szalały rozłóćcie!  
Niechaj zboże wesole zarasta  
Złote sale! Hej, niszczycie je, burczycie!

Niech stos książek zapłonie olbrzymi,  
Niechaj ogień do tańca wam świeci!  
Cudzołóćcie, zbrodniarze, w świątyni!  
Wyście przecie niewinni jak dzieci!

Tedy, patrząc na gwałty i zbrodnie,  
My, piastuny mądrości tajemnych,  
Zaniesiemy płonące pochodnie  
Do katakumb i jaskiń podziemnych.

I cóż z świętej zdobyczy los zbawi?  
Czego ręka zbrodnicza nie zniszczy?  
Cóż nam ślepy przypadek zostawi  
Pośród gruzów, pogromu i zgłiszczy?

Wszystko, trudem zdobyte wiekowym,  
Zniknie może bez śladu na świecie?  
Jednak — hymnem was sławię surmowym,  
Niszczyciele, co mnie stratujecie!

PÓLNOCA

- «Tys mój, jak niegdyś?» — «Twój, jak niegdyś!»  
— «Szczęśliwy?» — «Tak». — «Wszystko, jak niegdyś».  
    Północ puka w okna chat,  
    Noc obchodzi senny świat.  
— «Całuj mnie! Całuj, tak jak niegdyś!»  
— «Całuję ciebie, tak jak niegdyś!»  
    Słychać rydla głuchy stuk,  
    Chodzi noc wśród ciemnych dróg.  
— «Samiśmy w świecie, tak jak niegdyś?»  
— «Tak, sami, sami, tak jak niegdyś...»  
    Trumnę niosą? Ktoś dał znak...  
    Zegar szepce: tik-tak-tak...  
— «A szczęście gdzie, co było niegdyś?»  
— «Ach, szczęście było niegdyś, niegdyś!»  
    Cicho!... Słychać szelest grud.  
    Noc zastygła gdzieś u wrót.  
— «Czyśmy w mogile znów, jak niegdyś?»  
— «Tak, znów w mogile-śmy, jak niegdyś».  
    Suche trawy pomiął wiatr.  
    Noc obchodzi senny świat.

ZADUMA DZIEWCZYNY

Tak bezwstydnie dotknął mego ciała...  
Było to o zmroku ciemnej porze.  
Tak bezwstydnie dotknął mego ciała...  
Serce łatwiej wierzy o wieczorze.

Śniłam nocą słodycz pieścizot męskich  
Na niewinnej swej pościeli białej...  
Śniłam nocą słodycz pieścizot męskich  
I kolana mi z rozkoszy mdlały.

Obudziłam się zmęczona, słaba	Prosił, bym wieczorem przyszła znowu
Od tych słodkich spotkań przeczuwanych...	(Wszędzie, wszędzie głos ten dzisiaj słyszę!)
Obudziłam się zmęczona, słaba	Prosił, bym wieczorem przyszła znowu
Z mgłą na oczach cicho zadumanych.	Tam, nad strumień, w lip kwitnących ciszę...

Może znów tak dziwnie, jak i wczoraj,  
 Będzie się twarz jego do mnie śmiała?  
 Może znów tak dziwnie, jak i wczoraj,  
 Dotknie się bezwstydnie mego ciała?

*Tłum. Julian Tuwim.*

#### MURARZ

— Hej ty, murarzu, w fartuchu swym białym,  
 Poco, dla kogo murujesz ten gmach? —  
 — Idź sobie z Bogiem, my z trudem niemałym  
 Mocne więzienie wznosimy pod dach... —

— Hola, murarzu, któż pójdzie za kraty  
 W celach tych mrocznych umierać i gnąć? —  
 — Pewnie nie ty i nie brat twój bogaty:  
 I bez kradzieży wszak dobrze wam żyć! —

— Hejże, murarzu, któż będzie tam głodny  
 Robił po nocach rachunek swych win? —  
 — A może nawet mój syn pierworodny,  
 Takież, jak ojciec, robotnik, mój syn... —

— Ale, murarzu, w te noce widmowe  
 On wspomni tego, co cegły te kładł... —  
 — Patrz, by ci która nie spadła na głowę,  
 I milcz... ja wszystko wiem sam... jam to zgadł!...

*Tłum. Edward Słoiński.*

#### ALEKSANDER BŁOK

(1880—1921)

#### WYSOKO GDZIEŚ...

Wysoko gdzieś z ciemnością zlewają się ściany.  
 Tam — okno oświetlone promieniem milczenia,  
 Nie słyhać żadnych dźwięków, wciąż ciemność bez zmiany,  
 I błąka się po kątach nieustanne drżenie.

W drzwiach światła drżące blaski, mroczny sen bezruchu.  
 Zgiekliwa miasta pieśń tej ciszy nie poruszy,  
 Milczę i czekam cię, mój biedny, późny druhu,  
 Ostatni śnie spóźniony gasnącej mojej duszy.

*Tłum. Salomea Galewska.*

#### JESIENNA MIŁOŚĆ

Gdy w gąszczu mokrych rdzawych liści	Gdy nad ołowiem wód płaszczyzny,
Jarzębin owoc już zapłonie, —	W wilgotnym, szaro-mglistym wyżu,
Ostatni kat rękoma nienawiści	W obliczu srogiej swej ojczyzny
Ostatni gwóźdź mi wbije w dłonie, —	Znów zakotłyszę się na krzyżu, —

A wtedy — patrzę w krąg, daleko      W spojrzeniu Jego — też nadzieja,  
Przez łyzy, w przedśmiertnej tej godzinie,      Na ciele wiszą też lachmany,  
I widzę: hen szeroką rzeką      I tak żałośnie z nich bieje  
W swem czólnie Chrystus do mnie płynie.      Dłoń Jego z krwawym kwiatem rany.

O, Chryste! Smutno w mej krainie,  
Na krzyżu konam ze słabości,  
I czólnie Twoje czyż zawinie  
Do mej męczeńskiej wysokości.

*Tłum. Leonard Podhorski-Okotów.*

#### WENECJA

Cisza, chłodny wiatr i laguny,  
Gondole, jak trumienne dna,  
Wśród nocy leżą w blasku tony  
U stóp tajemniczego lwa.

Na baszcie północ mi nad głową  
Giganty biją, jakby w śnie,  
Marek widmową swą ikonę  
Utopił w księżycowej mgle.

Poprzez galerje w pół widome,  
Łęklwie spozierając w krąg,  
Przechodzi, kryjąc się, Salome  
Z mą krwawą głową w splocie rąk.

I wszystko śpi — noc bezcelowa,  
Tylko widziadła chwiejny krok,  
Tylko upiorna moja głowa  
Z tęsknotą patrzy z nudy w zmrok.

*Tłum. Kazimierz Wierzyński.*

#### POETA

Siedzę z tatusiem przy oknie.  
Krzyczą mewy. A wdali lśni morze.

Przyjdź, deszczyku! Ziemia zmoknie,  
A ja parasolkę otworzę...

Hen — gdzieś jest wiosna. A tyś w jasyrze u zimy,  
Biedna dziewczynko w kapturku różowym...  
— Chcesz, córuchno, za morze z tobą polecimy,  
Pieni się morze mętem bursztynowym...

A za morzem jest mama?

— Nie, dziecię...

A gdzie jest?

— Umarła...

A co to znaczy?

— To znaczy, że się chce płakać głupiemu poecie,  
Co tam przechodzi...

A czemu on płacze?

— Chce mieć kapturek różowy...

A czy on nie ma mamy?

— Ma. Lecz go to nic nie obchodzi.  
Chce jechać za morze — w świat nowy,  
Do swojej Cudownej Damy...

A czy ta Dama jest dobra?

— Tak, dziecię... Nikomu nie robi krzywdy...

To dlaczego tu nie przychodzi?

— Ta Dama nie przyjdzie nigdy,  
Bowiem nie jeździ na statku ni na łodzi...

Nocka nastąpi.

Rozmowa ojca z córką się urwała.

*Tłum. Juljan Tuwim.*

## DWUNASTU

(Wyjątek)

<p>Czarny wieczór. Biały śnieg. Wicher, wicher! Z trudem na nogach trzyma się człek. Wicher, wicher — Na całym bożym świecie. Kręci wichura śniegiem I miecie. Pod śniegiem — lód. Ślisko, mordęga — Ślizga się wszelki łązega, Biedaczek! Od domu do domu Rozpięta lina Plakat na wietrze rozpina: «Cała władza Konstytuanciel!» Staruszka trapi się i płacze — Mój Boże! Ani rusz zrozumieć nie może, Co to takiego, Te słowa rozciągnięte, Taka płachta olbrzymia? Ileżby dzieci porciąt miały z tego, A każde bose, zziębnięte. Staruszka, niby kwoka, Jakos tam przebrnęła przez zaspy ulicy, — Oh, Matko-Opiekunko z wysoka! — Oh, do grobu zapędzą bolszewicy! Wicher smagający! Stróż nieustający! Burzuj na ulic skrzyżowaniu Nos siny chowa w ubraniu. A to kto? — z długim włosom Mruczy półgłosem: — Zdrajcy! Rosję sprzedali! — Chyba literat — Skryba! A oto długopoły, Boczkciem, ledwie go zauważysz, Niebardo jakoś wesoly Pop-towarzysz. Pamiętasz, jak bywało — Brzuch nosiłeś z trudem,</p>	<p>A brzucha grzeszne ciało Krzyż nosiło przed ludem? Ot, pani w karakułach, I druga — Podeszły blisko — A takeśmy płakali, płakali... Ślisko — Bęc! — leży jak długa. Oj, ojoj! Podnoś, trzymaj! Wiatr wesoly I zły, i psotny Targa poły, Przechodniów kosi, Rwie, szarpie i ponosi Olbrzymią płachtę: «Cała władza Konstytuanciel!» Słowa przynosi Pokryjomu — ...I myśmy zebranie miały... ...W tym domu... ...Uradzono — Uchwalono: Raz — dziesięć, noc — dwadzieścia pięć, A mniej niech żadna nie śmie brać. ...Chodźmy spać... Późno. Ulica pustoszeje. Kuli się tylko włóczęga, I wiatr wieje... — E, biedaku! Chodź-no bliżej, Pocałujmy się... — Chleba-by dali! — No, jakże będzie? — Wędruj dalej! Niebo czarne, bez miesiąca. Męka, męka gryząca — Pierś od niej pęka... Mrok... Ponura, święta męka. Towarzyszul Wyteżaj wzrok!</p>
---	---

*Tłum. Wacław Denhoff-Czarnocki.*

## ANDRZEJ BIEŁYJ (BORYS BUGAJEW)

(ur. 1880)

## W OKNA WAGONU

Pociąg płacze. W dale ojczyste  
Telegrafu ciągnie się sieć,

Lecą pola wilgotne, mgliste,  
Lecą w śmierć i w tej dali miedz

Lecą, lecą — tak pusto i goło!  
 Lecą, lecą — i tutaj, i tam!  
 Lecą, lecą — za siołem mknie sioło!  
 Lecą, lecą — o, smutek ich znam!  
 I traktjernia, i plot, i dziecko —  
 Wszystko mija, przemija, jak czad,  
 Stada chałup w otchłań niebieską  
 Lecą — ludzkich piastunki stad.

Matko Rosjo! Tobie te pieśni  
 Dziś poświęcam, ty przyjąć je racz!  
 Pozwól tu mi płakać bezkresniej,  
 Niech oczyści mnie oszysty płacz.  
 Pociąg płacze. W dale surowe  
 Telegrafu ciągnie się sieć —  
 Lecę w dale twoje lodowe  
 Z twoim wiatrem jesiennym grzmieć.

*Tłum. Włodzimierz Ślobodnik.*

## PAJAC

Kiedys  
 W dolinie  
 Marząco  
 Dla was  
 Ja —  
 — Stary duren! —  
 Grywałem  
 Na mandolinie  
 O miłości  
 I o Bogu.  
 Słuchaliście uważnie  
 Wy  
 I Zodjak  
 Odwieczny.

Jakoś  
 Potłukli mnie  
 I z cyrku  
 Wygnali  
 We krwi  
 I w łachmanach,  
 Wyjącego  
 O Bogu, Bogu, Bogu!

I o Miłości  
 Odwiecznej.  
 Przypadkiem  
 Spotkaliście  
 Śpiewającego pajaca,  
 Przystanęliście,  
 Posłuchaliście  
 Śpiewu.  
 Zauważyliście:  
 — Czapka błazeńska...  
 Zauważyliście  
 Czapkę błazeńską.  
 Rzekliście,  
 Pełni namaszczenia:  
 — To  
 «Droga poświęcenia».  
 Stanęliście  
 Rozmarzeni,  
 Zapatrzeni  
 W kształt —  
 — Zodzjaku.

*Tłum. Wacław Denhoff-Czarnocki.*

## SERGJUSZ GORODIECKIJ

(ur. 1884)

## SYN

Mama spuszcza rolety.  
 Będą goście. Niestety,  
 Mnie nie puszcza do gości.  
 Będzie widno — a potem  
 Śmiać się będą — a potem  
 Będą milczeć w ciemności.  
 Kto dziś przyjdzie? Czy zgodnę?  
 Brunet? Blondyn? A ładny?  
 Wczoraj rudy się bawił!

A był stary niedawno,  
 Zdjął perukę zabawną  
 I na haku zostawił!  
 Pewnie chora jest mama...  
 Zawsze smutna i sama...  
 Mówi — milknie, poblądlszy...  
 Czasem tylko mnie woła,  
 Włosy zgarnia mi z czoła  
 I tak patrzy, tak patrzy...

*Tłum. Julian Tuwim.*



## ALEKSY REMIZOW

(ur. 1877)

## ROSJA ROZWICHRZONA

(wyjątek)

## Gwiazda serca

Po dniach pochmurnych, zasłaniających skrzydlaty Besztai i dymnego, zatrutego Maszuka, po dniach tęsknoty, dniach mglistych, które zrównały z dzikim bezbrzeżnym stepem biały, śniegiem zaniesiony łańcuch gór z dalekim ośnieżonym Elborusem, wśród nocy zobaczyłem gwiazdy Lermontowa. Słów nie pamiętam, które komuś i o czymś mówiłem, nie pamiętam też, jak się modliłem; widziałem gwiazdy, blisko — do bólu, jak coś swego, rodzimego, co zawsze jest ze mną; przeżywałem wspomnienia szerokie, jak gwiazdy, od gwiazdy ku gwieździe i po gwiazdach przez mgłę — drogę...

«poprzez mgłę krzemieni płynie blask»...

Po nocy wcześniej się obudziłem. Biały, śnieżno-biały łańcuch górski z Elborusem ochładzał poranek. Besztai cały — czarny rozpostarł lekkie skrzydła, patrzył tajemniczo ze swoją wiekową tęsknotą demoniczną. Lekko dymił zatruty Maszuk. Był dzień święta Gruzińskiej Matki Boskiej; przypomniało się święto kościelne w Moskwie i ogrodnik Jegor: na nieszpory przynosił Jegor z oranżerii Najdionowych girlandę astrów, georginij, czerwonych i białych floksów i kładł przed obraz Matki Bożej. Podczas nieszporów kwiaty więdły, jednakże te ostatnie kwiaty jesieni zachowywały świeżość i woń pachnącego oleju, którym ksiądz błogosławił ludzi, podchodzących do świętego obrazu; zachowały one woń wosku świec — to wspomnienie przesłoniło mi demoniczny Besztai i biały Elborus; byłem daleko w ukochanej naszej cerkwi na polu Woroncowskim przy tej girlandzie kwiatów.

Raptem usłyszałem: gdzieś na dole przy drodze śpiewała uliczna śpiewaczka; słów zrozumieć nie można: nowa pieśń uliczna. To był taki głos, jak ta girlanda kwiatów. Przysłuchując się pieśni ulicznej, rozumiałem i całym sercem odczułem w tym momencie nie tę złą wojnę, nad którą cierpiałem, patrząc na poranionych jednonogich, jednorekich, na kaleki bez nóg i bez rąk — nie tę przeklętą wojnę, zesłaną na nieszczęście wraz z naszym głodem, chłodem, nędzą i nieskończoną rozpaczą (syn zabity — zapomnieć nie można!), nie rozprute ołowiem i żelazem brzuchy, nie rozszarpane mięso, nie ślepą obojętną kulę (bądź ty drzewem, kamieniem, koniem, ścianą, człowiekiem — wszystko jedno, nie ma litości!), nie w krwawej ropie opatrunki, nie śmietnik, nie wszy i cuchnącą woń, nie rzeźnię (tak nie zabijają wołów!) — nie, przypomniałem sobie coś zupełnie innego, inne niebo i ziemię, nie rzeźnię, lecz pojedynek za gwiazdę swego serca — za ojczyznę z jej polem, lasem, szumiącą rzeką, starym domem, małymi troskami, cerkwią i starą katedrą, z dzwonami, ze słynnymi hymnami, z piękną Wielkanocą, z pieśniami i mową.

Gdybym miał skrzydła — poleciałbym na to pole, gdzie umierają swobodnie za gwiazdę swego serca, aby umrzeć za Rosję, za naszą kolebkę, za ziemię rosyjską...

*Tłum. Sergiusz Kutakowski.*

## WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKIJ

(1894—1930)

## FLET KRĘGOSŁUPA

## Prolog

Za wszystkich was,  
którzy podobacie się czy podobaliście,  
w pieczarze duszy nosząc obraz za szkłem,  
jak puhar wina w biesiadnym toaście,  
podnoszę wierszami napelnioną czaszkę.

Coraz częściej już myślę —  
w sieci zagadek  
kropką kuli swój wiersz zakończę.  
Dzisiaj na wszelki wypadek  
daję pożegnalny koncert.

Pamięci, zaprosz do mózgu sali  
ukochanych szeregi w powodzi bystrej,  
śmiechem się z oczu do oczu, jak łza, lej,  
byłymi uczciami noce przystroj!

Do ciała z ciała nić pieśni plećcie!  
Niech noce skłębiają się w bukiet!  
Dzisiaj przychodzę grać wam na flecie —  
na własnym kręgosłupie.

Wiorsty ulic za sobą i strof mam, —  
dokąd pójdę z tym snem, co opętał?  
Jakiż niebieski Hoffmann  
wymyślił ciebie, przekłętą?

Burzom radości w zaułkach ślepych  
ciasno wśród ulic, gdzie domów straż tkwi.  
Myślę,  
myśli — krwi skrzepy  
zbołałe i zapiekłe wyłażą z czaszki.

Ja,  
cudotwórca w kostjumie błazna,  
sam dzisiaj będę dzielił swój gniew z kim?  
Pójdę na place  
runę nawznak,  
głowę wyściele kamienym Newskim!

Oto bluźniłem,  
krzyczałem, że niema nic,  
a Bóg mi taką z piekielnych lochów,  
że przed nią skały wzdrygną się z ciemnic,  
wywiódł  
i kazał: kochaj!

Pan Bóg rad dziś, —  
pod niebem grząskiem  
mały człowiek zdziczały, jak zwierzę, brodzi.  
Pan Bóg zaciera z radości rączki,  
myśli Pan Bóg:  
«Poczekaj, Włodziu!»

To on,  
kiedym, jak skała, od bólu stęzał,  
żeby cię nie odnalazł, przez ludzi szczuty,  
wymyślił dać ci prawdziwego męża  
i na pianino położyć ludzkie nuty.

Jeśli się podkraść pod drzwi sypialni,  
przeżegnać kołdrę nad tobą, osłabłą,  
wiem,  
coś zapachnie, jak szerść, gdy się pali,  
i siarką zadymi się mięso djabła.

A jam, zamiast tego,  
 swój krzyk do pował  
 w rozpacz, że cię na zawsze zgubiłem,  
 miotając się do rana, w strofy — szlifował,  
 już nawpół obłąkany jubiler.

W kartyby zgrać się!  
 W winie  
 zgłębić na dnie dno!  
 Wypłókać gardło sercu, co sparło dech nam!  
 Nie trzeba mi cię!  
 Nie chcę!  
 Wszystko jedno,  
 ja wiem —  
 niedługo już zdechnę.

Jeśli jesteś doprawdy,  
 jeśliś jest, Boże,  
 jeśli na dywan gwiazd klęknię,  
 jeśli tego bólu, co wciąż się mnoży,  
 Tyś dla mnie, Panie, wymyślił mękę —  
 sędziowski łańcuch włóż.  
 Sam ci wizytę złożę.  
 Będę punktualny, nie spóźnię się już.  
 Słuchaj, Najwyższy Inkwizytorze!

Wargi zagryzę — tortury ponów,  
 zaden krzyk z gardła nie wyrwiesz mi piekiel.  
 Przywiąż mnie do komet, jak do końskich ogonów,  
 i pognaj, szarpiąc o gwiazdne ćwieki.

Albo ot co:  
 kiedy dusza moich przeżyć  
 wyjdzie na sąd Twój i twarz pokaże,  
 Ty mleczną drogę szubienicą przerzuć,  
 szarpij i powieś mnie, zbrodniarza.

Rób, co chcesz, ze mną,  
 ochlap mnie krwią,  
 ja sam ci ręce wymyję nad raną, —  
 tylko, słyszysz, zabierz przeklętą tę,  
 którą uczynił mą ukochaną.

Wiorsty ulic za sobą i strof mam!  
 Dokąd pójdę z tym snem, co opętał?  
 Jakiż niebieski Hoffmann  
 wymyślił ciebie, przeklęta?

*Tłum. Bruno Jasiński.*

#### LEWA MARSZ

Rozwijajcie się w marszu!  
 W gadaniach robimy pauzę.  
 Ciszej tam mówcy!  
 Dzisiaj  
 ma głos  
 towarzysz Mauzer.

Dosyć już żyliśmy w glorii  
 praw, które dał Adam i Ewa:  
 zajęczymy kobyłę historii —  
 Lewał  
 Lewał  
 Lewał

Błękitnobluzi,  
 rwijcie  
 za oceany!  
 Zali się pancernikom na raidzie  
 stępiły dzioby ze stali?  
 Niech się brytyjski lew pręży,  
 niech ostrą koroną olśniewa —  
 komuny nikt nie zwycięży!  
 Lewal  
 Lewal  
 Lewal

Za górą klęsk błyszczą zorze,  
 słoneczny kraj czeka nowy.  
 Za głód, za moru morze  
 niech zadudni nasz krok miljonowy!  
 Choć najemna otacza nas banda,

choć nas potok stalowy zalewa,  
 nie zadusi Sowietów Entental  
 Lewal!  
 Lewal!  
 Lewal!

Zali wzrok orli zgaśnie?  
 Czyż ulegniemy w walcel?  
 Ciąśniej  
 ściśnijcie światu na gardle  
 proletarjatu palce!  
 Naprzód pierś podaj naga,  
 niech flaga na niebo zawiewał  
 Kto tam znów rusza prawą?  
 Lewal!  
 Lewal!  
 Lewal!

*Tłum. Antoni Słonimski.*

## ELJASZ ERENBURG

(ur. 1891)

### MODLITWA ZA DZIECI

O, Panie, w te straszne dni,  
 Kto waży się modlić za siebie?  
 Ukarz nas grzesznych i złych!  
 Lecz dzieci... oszczędź je!...

Te, co przy każdym wystrzale  
 Tulą się trwożnie do siebie,  
 Te, co tak głośno rozświegotane  
 Na ulicy bawią się w «rewolucję»,  
 Te, co sprzedają wieczorne gazety  
 I straszne wykrzykują słowa,  
 Nie rozumiejąc, czemu zataczamy się, jak pijani,  
 Słyszac ich wesołe szczebiotanie,  
 Te, co zwierzęta pluszowe pod ciepłe chowają ubranie,  
 Ażeby je ustrzec od krzywdy,  
 Te, co wsłuchują się w kroki za drzwiami;  
 — «Ach — kiedyż ojciec powróci?» —

O, Panie, bez nich tak pusto, tak straszno  
 I śmierć z nami,  
 Zostaw nam radość naszą,  
 Radość naszą ostatnią...

Nie słyszac śmiechu dziecięcego,  
 Zapomnimy, jak śpiewa strumień wesoły,  
 Jak szumi brzoza biała, wiatrem kołysana,  
 Zapomnimy głosu Twego!  
 I nie słyszac głosu dzieci,  
 Zapomnimy, jak gwiazda nocą świeci,  
 Jak gaśnie w świtu czas —  
 Zapomnimy, jakie były Twoje oczy. —  
 I nigdy już człowiek umęczony,  
 Stojąc nad łódeczkiem z siatką,  
 Nie powie: — «Boże! Jakaż jasność!  
 Jakaż radość w sercu mem!» —

Zostaw je! Cieszyć się niemi będziemy —  
 Drabinka to nasza malarzka —  
 Po niej grzesznik nawet najczarniejszy  
 Wejdzie do Twego nieba!

*Tłum. Salomea Galewska.*

DOBA  
 (Wyjątek)

Zrazu wszystko szło dobrze. Różnojęzyczna gadanina. Dygot pociągu. Zgrzyt szyn. Słumione szwabskie «ha». Kawa. Kopec. Na platformach jazgotanie. Miła tęsknota. Zrazu — świat.

Teraz Rosja. Stacja «Iwaszyno». Drgawki pociągu — stanąć czy nie stanąć. Przyczaił się. Paul-Louis, podrzucony na ławce, roztworzył lewe oko. Zdało mu się — murzyn szerokowargi roześmiany uderzył w jazz-band. Gong. Jasność. Rozgrzane tanecznicę dźwięki — litery wpadły do ust. Ogień. Zalać!

— Garson. Cherry-Cobler!

Pusto. Litery rozrastają się, nabrzmiwiają. Na wagonie pięć spuchniętych liter: «R. S. F. S. R.».

I dziki wrzask:

— Dokąd?

Paul-Louis do okna. Przed wagonem babsko w kozuchu, rozrośnięte od worków, tobołów. Ciasto w futrze. Przewala się, wyrasta. Gęba fioletowa — kwiat bzu.

— Gdzie się pchasz? Wiesz jaki to? Dyplomatyczny! A dalej — delegatów! A tam — sztabowy! Zmykaj! Zmykaj!

Ciasto rośnie. Pięścią w pierś. Przycupnęła. Rozlała się. Zagdakała:

— Kacie! Herodzie! Toż jajka...

Parsknęła szydyczko lokomotywa. Baby, litery, budki zginęły. Pozostał śnieg. Paul-Louis patrzy. Straszne. Naturalnie, w Paryżu widział... Ale tam w powietrzu i — już go niema. Confetti. A tu — wielki, suchy, ważki. Nawet nie leży — pelza. Już — już zahaczy pociąg, przysmaży — połknie. Wszak wysoki jest, niczem kamienica. I możliwe, że pod śniegiem spoczywa takiż wagon dyplomatyczny z roletami, z Paul-Louis'em: w lewej kieszeni paszport, wizy, legitymacja dziennikarska, znaczki pocztowe, fotografia brunetki z grzywką do brwi. A głębiej, pod kieszonką, swędzący niepokój i przerażenie:

— Więc taka jest! Nie wymigam się...

Kurjer. Stara się «robić» Europę. Na charłackim ciałeczku kanciaste, sztywne, nowiutkie ubranie. Ach, ależ podjadł! nawet się nie najadł — do Rygi i już zpowrotem. A wśród ludzi, w bufetach jeść należy z taktownym umiarem, nie uwłaczając godności Resefesera. Jakies dwa kotlety, trzy ciasteczka (żebyż to dwadzieścia!). Zabawia Paula:

— We Francji podobno kryzys ministerjalny. W gazetach piszą...

Paul-Louis rozdał nozdrza, wciągnął powietrze, uśmiechnął się. Słupy graniczne. Kryzys. «No, to gabinet na trzy godziny». — «Czeka nas wspólna podróż». Gerard wionął chusteczką z kieszonki Lucie — do karety. «Do djabła z gabinetem!» Rue Croissante. Gazeciarze, jak szpaki. Ani nazwisk, ani wyrazów, tylko «errr». Czyż jest gazeta bez «errr»? Wermut. Pióro. Artykuł gotów. Jaures... trybun... lud...

Kurjer poszedł. Litwin na korytarzu wyciągnął «Izwiestja», przeczytał:

— Sanpociąg<sup>1</sup>... Wołsowity<sup>2</sup>... Gorbunow...

Zjadł placek litewski z polędwicą. Zanucił foxtrotta, podsłuchanego w Rydze między jednym a drugim pociągiem. Wszystko zrobił, co tylko mógł. Zasnął.

Paul-Louis znów do okna. Dom. Nad domem dym. Stoi — ani w tę, ani w tę. Nawet dym — jak kamień. Nie uleci. Wytchniętyś z komina — stójże sobie.

— Naturalnie, przecież wiedziałem o tem... W Rosji okropny klimat. Leczą zapal. Życie wre. Na kongresie stwierdziliśmy...

<sup>1</sup> Pociąg sanitarny — skrót. <sup>2</sup> Rady gminne — skrót (wołostnyje Sowiety).

Pamięta, to było jasne: rewolucja, jak najłżejsze wino, musuje i codziennie srebrna kulka mknie ku górze. Teraz zobaczy. A klimat — głupstwo.

Narazie jednak markotno. Ściana wagonu sypialnego. Sierp — młot. Paragrafy — pięć, dziesięć, dużo. Co wolno i czego nie wolno. Ponieważ wiele zabroniono, więc musi istnieć jakiś dobrotliwy paragraf: ależ tak, to wolno, wolno...

Wgórze obrazek (jakim cudem ocalał?) — weranda, morze, kaktus: «Hotel Bel-sito, Sen-Remo». Przeżytek. Jedynie ważne — zapal. Wkrótce Moskwa. Towarzysze. Konferencja. Wywiad. Statystyka. Życie.

Z nudów odnotował wrażenia:

«Przestąpiłem próg. Tutaj świat nowy...»

Safjanowy notesik — na miejsce, do kieszeni. Brunetka śmieje się, potrząsając grzywką. W głębi, pod notesem, pod brunetką:

— Nie wymigam się!

Na dworcu pierwsze niepowodzenie. Zaledwie Paul-Louis wyskoczył z wagonu, wyciągnął rudą walizę, gdzie wśród rezolucyj i skarpetek pieszczotliwie bulgotała toaletowa woda «Irys» do nacierania skóry, żeby nie pękała na wietrze, bulgotała i pachniała lewkonją — ledwie wyskoczył, ledwie wyciągnął, ledwie zabulgotała — w poczekalni trzeciej klasy ktoś, budząc się na hałas i gwizd, ryknął:

— Odjazd!

Rzuciły się szynele, kozuchy, kurtki, toboły kończaste — samowary do zamiany, worki, galanterja, łachmany, truchło przegniłe z flakami na wierzchu — rzuciły się tłumnie, jak pułk, jak armja. Oblężenie.

— Cofnąć się!

Gdzież tam! Spłókali milicjanta, jako taran im teraz służy — łokieć, ramię, napór. Trach! Drzwi uległy. Zwyczajne urządzenie — czemu się dziwować? Do okien, w szpary, na bufory, na dach. Stłoczyli się, aż trzeszczą ściany wagonu dyplomatycznego. Wysoko w siatce, gdzie kaktusy nad morzem i «codziennie five o'clock» wiszą razem stare babsko i torba. Z torby na głowę — szczypta soli. Jęknęło babsko:

— Oj, ile! Kubek mleka!

Jeszcze szczypta oszroniła głowę. Zbrakło cierpliwości starej — uroniła słoną łzę.

Na peronie wir. Paul-Louis bezskutecznie upatruje ażurowego palta kurjera. Morowiec, wszakże o przelomie gadał. Baranice. Mróz. Ruda waliza, jak deszczulka wśród fal, podskoczyła, zakręciła się. Butelecza brzękła. Śród spalenizny i psiego śwedu zapachniał ogród. Chłopak, przekradający się na bufory i wypróżniający po drodze wypchane kieszenie z zapalniczek, skrawków papieru, skórek chleba (czasem trafi się i machorka lub złoty osliniony kawaleczek cukru) — lewkonję zwałchał.

— Patrzcie go, jak zapachnił!... Odrazu poznać... krasnotyły!

Znikł. Lecz ruda waliza z bulgoczącym «Irysem», z nalepkami «Hôtel Adeon» i «Majestic» dała nura pod nogi i także znikła.

Paul-Louis chce się zastanowić, przyjrząwszy się wagonom, semaforowi, kominom, znaleźć drogę do nieprzystępnej Moskwy. Lecz czyż można się tutaj zastanowić! Milicjant zrozpaczony łupnął — tak w powietrze. Cofnęli się. Koziołkują. Pochwycili z sobą Paula. Niosą.

Oprytomnił w niewietrzzonej od lat sali. Odór machorki, mokre kozuchy, płócienne onuce, pot. Ani się położyć, ani kroku postąpić — żywy kobierzec. Arbuzy — lby, poduszki — pośladki, zdrętwiałe kikuty podwiniętych nóg. Na ścianie plakaty. Przyjrzał się. Ogromna czarna wesz w pancerzu. Setki żelaznych macek. Szczypce. Pila. Chirurg, kat, grabarz. Jeszcze jeden — i znowu wesz.

«Towarzysze, oto wróg rewolucji!»

Paul-Louis uczył, jak, spelzszy z obrazu, taka właśnie spacerować zaczęła, zaswędziła nieznośnie. Kleszczami wbiła się w pielęgnowane ciało pod kalesonami «zefir».

Dziewczyna tuż u stóp. Drobną, gęstą wysypką. Chce wstać — nie ma siły. Podryguje na miejscu, jak kura bez głowy. I ma się wrażenie, że głowa się ode-rwała — kula bilardowa — przyjdzie oto kościelny Łykov i paluchem (paluch, jak wiorsta, długi) wpędzi kulę do kosza.

— Pić!

Do wodociągu ani się dostać. Ktoś litościwy przechylił imbryk i ciepłą, rudawą od rdzy wodę — w usta. W ustach niesmak. Uciec na mróz! Nogi nie poradzą. Tylko głowa pręży się wgórze. I wolno, jak z blaszanego dziobka imbryczka, ścieka stęchła woda zpowrotem na skórzaną kurtkę, na podłogę, na lakierowane sztylpy Paula.

Na ścianie, obok wszy, generał z tankiem, polski pan (wasy i bagnet), głód, goły, pudełko, czaszka, dwie dziury. Przyczolgali się wszyscy, gmatwają się, szczypią.

Skaczą po pniach brzuchów, czepiając się suchych sęków wyciągniętych rąk, chłopczyna jakiś dotarł do Paula — zdąła zauważyć sztylpy, kołnier — wspomóże.

— Towarzyszu, na litość Boską!...

Paul-Louis nie rozumie. Chłopczyna — paluszkami do kieszeni Paula, do swoich rozdziawionych zaślinionych warg.

Zrozumiał. W kieszeni muszą być sucharki ryskie — paczuszka. Wyjął. Ogólne poruszenie. Lecz chłopak nie ustąpi. Łyka całe suchary. Twarde, więzną w gardle. Nie ma czasu na gryzienie — odbiorą. Z wysiłku wybałuszył oczy. Całą paczkę! Opadł, czknął, poderwał się, zamknął oczy. Zesztywniał.

I znowu rozespiana podłoga ryczy:

— Odjazd!

Baba do kolejarza:

— Wpakuj mnie, na Chrystusa cię zaklinam!...

— Nie wolno. Wzbronione. Dekret.

I ciszej:

— Dałoby się zrobić, ma się rozumieć, w zapasowym, tylko że... Chodźmy do budki... Niedługo to potrwa. Zdażysz.

Pospiesznie zlodowaciała, wielgachną rękawicą za pazuchę. Baba wrzeszczy.

W kącie, pod gramofonem — tubę złodziejzki buchnęły, Szalopin ci teraz nie zaśpiewa — robociarz śpiewnie odczytuje gazetę «Gwizdek»:

...I tam dalej, lecz się nie poddamy...»

Od siebie:

— Sprawiedliwie gada. Nie pod-da-my się! Coś wziął bratku!

Zachwiał się. Szczeknął. Krwawy skrzep wypluł i smutnie siadł na podłodze.

— Odjazd!

Znów przyptyw. Paul-Louis daleko. Śnieg. Podkłady. Pustka. Nagle okrzyk:

— Z robót przymusowych drapnął. Na odgarnianie śniegu pędzili.

Paul-Louis nie rozumie, dlaczego krzyczą? Paul-Louis nie wie, poco pakuja mu do rąk wielką niezgrabną łopatę. Patrzy — stopudowy śnieg, biały kamień, zagłada.

Wytłumaczono: — odgarniać. Ma się rozumieć, mógłby się nie zgodzić. Ta pani rozumie po francusku. Mógłby powiedzieć: przyjechałem, ruda waliza, gazeta, konferencja i resumé na trzysta wierszy. Ma się rozumieć, mógłby. Lecz jakgdyby się zaraził. Zapomniał o safjanowym notesie. Wie, że — trzeba. Dają ci łopatę — bierz. Milcz. Dzielnie podważa polcie białego potwornego mięsa. Ciężko. W rękach darcie. Palce w gziemiu odrywają się i znikają, jakby ich nigdy nie było. Śnieg — wróg, Wesz. Wysypka. Chłopczyna. Polski pan. Coraz mocniejsze: nie wymigam się.

Obok pani. Trzema chustami uwarstwiona. Rękawice, walonki<sup>1</sup>. Dłubie śnieg. Parowy oczy, nad niemi brwi, jak muśnięcie skrzydeł ptasich o wodę. Paul-Louis zapada w pustkę. Nie głos — westchnienie, sen:

— Pan z Paryża?... W grudniu nad Sekwaną, błękit, mgła, ukojenie...

Naparła na łopatę. Paul-Louis zajrzał w oczy — nie wytrzymał:

— Do Paryża! Chce pani? Mogę to ułatwić...

— Pan myśli, że to skarga? Mnie dobrze. Nauczyłam się. Dużo. I złego też. Oto śnieg. Łopata. Rozpalić piecyk. Na ramiona tobolek z «przydziałem». Funt grochu, a wewnątrz coś drży i śpiewa «dziękuję». Przychodzi Artamonow, głodny, zmarznięty, ogłupiały od dziesięciu komisyj. Ja mu dłoń... Tę właśnie.

<sup>1</sup> Długie buty z wołtoku.

Ściąga rękawicę. Znać — ongiś manikiurzystka... Paznokcie trzycalowe piłowano, lakierowano, pudrem sypano, polerowano zamszem. — Teraz — skóra słonia, w pęknięciach żar węgla, piła, tłuszcz rondli — ledwie trawa w szczelinach nie rośnie, pęcherze, odmrożony, spuchnięty «mały paluszek».

— Tak, tę właśnie. Niemasz większej radości, niż wtedy, we dwójkę naprzekór... Nie zrozumiał pan? Proszę wybaczyć...

Nie, Paul-Louis już cośniecoś rozumie. I rozumie wyraźnie, że najlepiej byłoby nie rozumieć. Waga ciała jakgdyby podwoiła się. Niebypwale ocieżała.

Ognisko — rozgrzać się. Nogi, w ciepłe ogrzane, powróciły rozbolate.

Na mgnienie oka — café Versailles. Patelnie. Taras. Żermena rozplomienia głównie warg. «Pocałuj! jeszcze!» Dziewczyna z goździkami: «Dwa sou! Niech pan kupi!»

Śnieg. Paść w ognisko! Schwycić goździk! Rzucić w damę i niechaj będą — węgle i ulga.

Podrwiwa krasnoarmiejec — kwadrat z wielkimi szczękami. Szczęki pełną powoli. Nadejdą. Połkną, jak sucharek, i rezolucję, i grzywkę, i Paula.

Ha, cóż, znów do roboty! Zna już słowo «towarzysz». Lecz palce nie zginają się, nóg niema. W zaspe.

— Taka więc jest!...

*Tłum. M. Grabowska i Fredani.*

## BORYS PILNIAK

(ur. 1894)

### SPADKOBIERCY

#### I.

Z góry Sokołowa — tak głosi legenda — przybył Stienka Razin — ba, już w książkach nawet piszą, że tudzież z tejeż okolicy skradał się Jemeljan Pugaczow. Góra Sokołowa nad Wołgą sterczy i, ciągnąc stepem, posepnie szczyrzy zęby na Wołgę, zbójców ojczyznę. Miasto nad Wołgą. Jar Glebyczowa. Obok Starego Soboru (przy Starym Soborze stoi armata przez Pugaczowa porzucona), w starożytnym miasteczku, obok przystani rzecznej, grzęźnie od wieków przestarzały dom — z kolumnadą frontową — wymalowany na pomarańczowo. Niegdyś w domu urządzano bale, a zamieszkiwał go znakomity ród szlachecki Rastorowów; w ciągu ostatnich lat dwudziestu w domu, wraz z domem samym, gościła dawna właścicielka jego, Ksenia Dawydowna, stara dziewoja. Tysiąc dziewięćset siedemnastego października — umarła, i oto teraz w domu — przemokłym, wyziębłym, nadgniłym, rozgrabionym — grasują spadkobiercy. Rozproszeni ongi po Rosji, budowali dobrobyt swój w Petersburgu, w Moskwie i Paryżu; w ciągu długich dwudziestu lat dom pustką świecił, konając w samotności; — nadeszła rewolucja, wybuchła wolność nad wolnościami: członkowie rodu Rastorowów zbiegli do gniazda — od rewolucji, od głodu.

Nad stepem, nad Wołgą rodziły się wichry, galopowały konie śnieżycowe — rodziła się rewolucja taka sama, jak za Stienki Razina: rozpasana — wolna jak ptak niebieski. Pokoje domu — stare, ponure, wilgotne, zimne. Za oknami wciąż stał Stary Sobór, a pod zjazdem spoczywała Wołga, cała w bieli śnieżnej, ze statkami w przystaniach, szeroka, siedm wiorst szerokości.

Z początku utworzono komunę. Ale, prawdę powiedziawszy, komunizm jest grubo niedoskonały — odgradzili się, zabarykadowali — każdy w swoim pokoju, każdy z własnym garneczkiem i samowarem. Prowadzą w domu tryb życia ponury, smętny, drobnosikowy, bezużyteczny, przeklinając rewolucję i życie, żyją odcięci od życia, poza życiem, odwrócenie ku przeszłości i tęskniąc do przeszłości.

#### II.

O godzinie siódmej, gdy panuje jeszcze mglisty błękit, budzi się generał Cyryl Lwowicz, narzuca szlafrok bucharski z frendzlami i, zapalwszy świeczkę od płomyka lampy oliwnej, idzie do wygodki. W wygodce — zimno, wali para, na stolcu, jak w szynkach, brud i gleczerzy lodowe, generał wściekle chrząka, zatyka nos, następnie budzi żonę i aż syczy:



— Anno! Niechże to wszyscy djabli!... Niechże to wszy-y-scy... Zapytaj krewnych swoich, kto tak psuje water? — przecież my służby nie mamy!

W pokoju — ciasnota. Jest to zarazem sypialnia, salon i jadalnia. Przez splecione okienka, grube rolety przekrada się mglisty błękit.

— Przecież my służby nie mamy! Choler... Dziś twoja kolejka nastawiania samowaru. Gilz już niema? Generał, z rękami założonemi wtył, chodzi po pokoju, palce ma — ubrylantowane.

— A ty masz iść do rewiru i po chleb — odpowiada Anna Andrejewna.

— Wiem, wiem — daj mi, proszę cię, spokój. W domu mieszkają cztery rodziny i nie mogą tak urządzić, żeby po chleb chodzili według kolejki. Daj mi arkusz papieru, atrament i pluskiewki.

Generał siada do stołu i pisze:

«Panowie! my nie mamy służby, zmuszeni jesteśmy, niestety, sami po sobie sprzątać. Nie każdy może okrakiem siadać, wobec czego proszę o przestrzeganie czystości. — Cyryl Leźniow».

Cyryl Lwowicz nie jest spadkobiercą, z Rastorowów pochodzi żona jego, z którą właśnie przyjechał. Cyryl Lwowicz bierze obwieszczenie swoje i przybija na drzwiach wygódki. Potem nadal biega po pokoju z iskrzącymi się brylantami i zrzędzi:

— Djabli ich wiedzą. Sergjusz z rodziną zajmuje trzy pokoje, a my — jeden. Wyjadę stąd. Też mi krewni. Gilz niema?

Anna Andrejewna — spokojna, przemęczona, słaba — odpowiada smętnie:

— Przecież wiesz, że niema. Zaraz znajdzie może niedopałki. Lina czasami rzuca nienicowane.

— Widzisz ich, burżuje: niedopałki rzucają, służbę mają!...

Ciemny zygzakowaty korytarz zawalony jest starzyzną, bo nikt nie chce go sprzątać. Anna Andrejewna grzebie w papierach i w śmieciach przy piecu Sergjusza Andrejewicza (Lina — to jego żona), odmyka drzwiczki i spostrzega, że służąca Leontjewna, cyklop jednooki, wrzuciła drwa brzożowe — podczas gdy ustalono palić w piecach najpierw przegnilymi resztkami altany. Generał zaciąga się rozkosznie papierosikiem z «własnego» tytoniu, poczem idzie na podwórze po drwa i wraca z resztkami altany. Samowar już jest nastawiony, generał popija herbatę, dużo i długo, Anna Andrejewna pali w swoim piecu. Swita wolno, jak to w zimie, mętnie. Przez ścianę obudziła się już rodzina Sergjusza, kierownika wydziału w ministerjum, i słychać, jak Lina strofuje dzieci:

— Kira, dosyć już zjadłeś białka, weź węglowodany.

— Kaltofelki?

— Tak.

— A tłuszcz?

— Dosyć już masz tłuszczów.

Generał chytrze się uśmiecha, złośliwie burczy:

— Nie jedzą, a... odżywiają się!... — i tuż odrzyna sobie kawał słoniny, stale z białym chlebem, a herbatę pije z korzonkami słodkimi i z suszoną dynią.

Dom zwolna się budzi, po korytarzu obok drzwi generała dreczczą z nocnikami, próżnymi samowarami, ze szczoteczkami do zębów i ręcznikami, wszystko to roznegliżowane i zaspane. Generał popija herbatę, obserwuje i złości się. Wali męskimi buciskami cyklop-Leontjewna, służąca Sergjusza, z giełdy pracy — zagląda jedynym okiem swoim do pieca Anny Andrejewny i mówi:

— A drew nakładliście jak się patrzy, porządnie.

Generał odpowiada ze swojego pokoju:

— A wyście wzięli brzożowe!

Cyklop wybucha, klepie się w pośladki — następuje zwykła awantura.

— Co!? Mnie nie ufają, śledzą mnie! Lino Teodorowno, wymawiam miejsce, poskarżę się do giełdy!

Lina Teodorowna krzyczy ze swojego pokoju:

— Co!? Jej nie ufają, ją śledzą! W naszym domu — szpiegowanie! A niby inteligentni udzie

— A drwa jednak są brzozowe!

— A niby — inteligenci!

General zjawia się w korytarzu i oficjalnie oświadcza:

— My nie mamy prawa. Nie jesteśmy spadkobiercami. A jednak bardzo mnie dziwi, że Sergjusz zajmuje trzy pokoje, a Anna jeden — bardzo i nader mnie dziwi!...

\* \* \*

Awantura wzmaga się. General ubiera się i wychodzi zadowolony, by stanąć w ogonku po chleb. Lina mknie do męża. Mąż udaje się na rozprawę, a generała już niema, dogaduje więc siostrze, Annie Andrejewnie.

— Ależ to — niemożliwe, niedopuszczalne, to — szpiclostwo!

— Zrozumże, że to wszystko przez głupi niedopałek — odpowiada bez nadziei Anna.

Lina siedzi na górze u Katarzyny i opowiada jej całą tę historję z najdrobniejszymi szczegółami.

Anna idzie do Konstantego, studenta, młodszego brata swojego. Konstanty mówi jej, że jest zajęty, że zaraz zabiera się do pisania, ale po chwili idzie do Sergjusza.

— Zajęty jesteś?

— Co? — tak, zajęty jestem.

— Pozwól mi ognia.

Zapalają machorkę, którą nazywają «Kacpstenem». Milczą.

— A może tak partyjkę szachów? — odzywa się Konstanty.

— Skąd znowu?... — odpowiada Sergjusz.

— No, jedną?...

— Chyba, że jedną? Ale tylko jedną!

Siadają i grają. Konstanty ubrany jest w zniszczony galowy mundur studencki, na palcach ma — tak jak general i Sergjusz — pierścienie, na szyi — starożytny złoty łańcuszek: chodzi o to, że obawiając się rewizji i grabieży, spadkobiercy podzielili biżuterję i noszą ją całą przy sobie. Grają jedną partję, drugą, czwartą, szóstą — palą, kłócą się, znowu umawiają się nie cofać ruchów. General wraca z rynku i przechadza się po korytarzu, zagląda do pokoju, wreszcie decyduje się i wchodzi.

— Młokosy, grać nie umiecie.

— Tak jak umiemy.

— No-no! Nie gniewaj się, nie gniewaj!...

— Zaperzyliśmy się — i basta. Jeżeli ja zawiniłem — wybacz staremu. Posłałem Kirkę po gazetę, dałem mu dwudziestkę na pestki.

— Wcale się nie gniewam.

— I doskonale. Pluńcie na tego szacha perskiego. Lepiej — preferansika.

I zasiadają na cały Boży dzień do preferansa, przerywają jedynie poto, żeby pójść — każdy do swojego pokoju — na obiad. Sergjusz ma na drugie «galaretę» z wielbłądzych nówek. A jak Sergjusz musi stawiać kury, mówi:

— A jednak, generale, macie obrzydliwy charakter!

— No-no, młokosiel!

\* \* \*

Pieniędzy niema. Opiekunką majątkuznaczona jest Katarzyna Andrejewna. Mężczyźni obecnego ustroju nie uznają. Jedynie Sergjuszowi została gotówka ze sprzedanego przed rewolucją majątku (niedarmo ma służącą).

U Katarzyny siedzą dwie panny, które «pryncypjalnie» porzuciły — jedna gimnazjum, druga — konserwatorium, mówią przez nos i pomagają obierać kartofle. Przychodzi Anna i Lina i wszyscy razem udają się do składu, grzebią w pozostałych po prababkach rzeczach, w przeróżnych stanikach, robronach, turnjurach, odkładają nabok srebro, porcelanę, bronz — po obiedzie mają przyjść Tatarzy. W składzie cuchnie szczurami, pod ścianami ustawione są skrzynki, tobołki, wisi ogromna zardzewiała waga.

Przed przyjściem Tatarów schodzą się wszyscy. Mężczyźni siadają na boku. Tatarzy — dwóch ich jest — witają się, podając wszystkim pokolei ręce. Generał aż sapie. Tatarzyn-starzec, w nowych kaloszach na śniegowcach, mówi do Katarzyny:

— Jak się panie mają?

Generał zakłada nogę na nogę, kiwa nogą, mówi surowym tonem:

— Proszę bardzo — panów cena?

Tatarzyny przerzucają starzyzną, obojętnie kiwają głowami, wyznaczają absurdalnie niskie ceny. Generał zaśmiewa się i próbuje dowcipkować. Kalarzyna złości się, wreszcie przemawia:

— Cyrylu Lwowiczu, przecież tak nie można.

Generał zrywa się, odpowiada:

— Oczywiście! Nie jestem spadkobiercą! Mogę odejść!

Generala uspokajają, targują się z Tatarzynami z udaną nonszalancją, przebierają starożytne ubrania z koronkami pańszczyźnianej roboty, starożytne pantofelki ręcznej roboty, lunetę, acetylenową lampę. Przez splaszczone okienka zagląda zmierzch. O mroźnym, błękitnym zmierzchu, jakgdyby przez najgrubsze szkło, widać Stary Sobór, który pamięta Stieńkę Razina, przekomarżają się dzwony. Wreszcie Tatarzyny dobijają targu, szybko, wprawnie układają zakupy w kokietyjne tobołki, wyciągają kierenki z nabrzmiąłych portfeli i odchodzą.

Potem spadkobiercy dzielą się pieniędzmi. Siedzą w salonie. Okienka zawieszono są roletami; okryte gaza (gaza, ze dwadzieścia lat niezdejmowana), kinkiety, lustro, portrety. Stoi żółty dębowy fortepian, plusz na meblach starł się, wyłysiał. Do pokoju wpada pasmami błękitny zmierzch. Spadkobiercy ubrani egzotycznie: generał — w szlafroku, złotem wyszywanym, z frendlami; Sergjusz — w węgierce z kołnierzem bobrowym; Lina — w kamizelce futrzanej; Katarzyna — opiekunka, starszawa, z wąsikami — w jesiennym palcie męskim, w halce, w filcowych butach — w domu zimno. Wszyscy mają na sobie biżuterję, pierścienie, kolczyki, bransoletki, kolje.

Sergjusz odzywa się bojaźliwie:

— Mówiąc prawdę, czasy mamy właściwie ciężkie, proponuję podzielić pieniądze według ilości jedzących.

— Ja nie jestem spadkobiercą — wtrąca szybko generał.

Konstanty odpowiada z chłodną uprzejmością:

— Nie podzielałam społecznych poglądów. Należy zrobić podział według ilości spadkobierców.

Trwa spór. Przez okna wkracza błękitny wieczór. Z trudem następuje zgoda. Katarzyna wnosi samowar. Wszyscy idą po swoje korzonki słodowe i chleb, piją herbatę, zadowoleni, że nie muszą nastawiać samowaru.

Wtem z niespodziewanym smutkiem, i dlatego właśnie mile, odzywa się generał:

— W tej oto turnjurze, którą przed chwilą sprzedaliśmy, po raz pierwszy, będąc jeszcze porucznikiem, narzeczonym, spotkałem ciocię Ksenię... Jeżeli tak dalej ma być... Gdyby mi powiedzieli, że bolszewicy utrzymają się jeszcze jeden rok, zastrzeliłbym się. Przecież ja cierpię. To mnie przecież boli. A jestem starcem.. Nie warto żyć.

I zaczęły się codzienne łzy. Płakał starczo generał. Beczała basem wąsata Katarzyna. Zanosila się od łez Anna Andrejewna. W kącie, objawszy się, stały dwie panny i też płakały, albowiem młodość ich i upajające wino dziewiczości pozostało za burta.

— Gdyby to było możliwe — odezwała się Katarzyna — zaczęłabym rozstrze-  
liwać wszystkich.

Weszły dzieci Sergjusza: Kira i Ira. Lina powiedziała:

— Dzieci, weźcie sobie białka.

Kira nasmarował chleb masłem.

\* \* \*

Na niebie ukazał się księżyc. Gwiazdy — wyraziste, chłodne. Śniegi — błękitne. Wołga — cicha. Okolice Starogo Soboru — opustoszałe, milczące. Mróz trzeszczy, skuwa. Pannice, Ksenia i Helena, Sergjusz, generał — idą w kierunku domu, sanko-

wać się z góry po zjeździe. Konstanty odchodzi do miasta, do klubu kokainistów, kokainizować się, pleść świństwa i obcałowywać ręce kobiet, przesiąkniętych zapachem ciała. Leontjewna, służąca z giełdy pracy, cyklop, kładzie się w kuchni na ławce, odmawia pacierz przed snem i zasypia, odpoczywając po całym dniu — ona jest z giełdy, panująca, poważna, awanturniczka.

Generał stoi przed gankiem. Sergjusz wciąga na górę saneczki, usadawiają się we troje w rząd — Ksenia, Helena i on — i nikną po trzeszczącym śniegu — nadół, na lód wołański. Saneczki pędzą jak strzała i w tym szalonym pędzie, wśród śnieżnych iskier i skrzyphu, szczypiącego, tamującego oddech mrozu, Ksenia marzy o szczęściu:

Objąć, objąć cały świat! Błogostawione jest życie!

Mróz okrutny, siarczysty, trzeszczący. Generał najeża się, jak wróbel, marznie, krzyczy na ganku:

— Sergjusz! Dziś jest taki mróz, że bezwarunkowo pękną rury wodociągowe. Należałoby ustalić na noc dyżury.

Możliwe, że Sergjusz, również bliski starości, w szalonym biegu sanek też marzy o szczęściu — krzyczy:

— Głupstwo!

I znowu mknie wdół, od Starego Soboru na Wołgę, poza barki i statki, ku niekończoności lodów, mieniących się iskrami sypkiego śniegu.

Ale generał jest już zdenerwowany. Idzie do domu, alarmuje wszystkich:

— Proszę państwa! Jeżeli nie będziemy potrochu spuszczać wody, wodociąg zamrznie, pękną rury. Mróz — 27.

— Ależ kran jest w kuchni. A tam śpi Leontjewna — odpowiada Lina.

— Obudzić!

— Nie wolno!

— Bzdury! — Generał wchodzi do kuchni, szturcha Leontjewnę, tłumaczy jej o wodociągu.

Leontjewna ryczy:

— Na giełdę pójde! Spać nie dają! Leżą do rozebranej kobiety!

Lina paple za Leontjewną:

— Ona na giełdę pójdzie! Spać nie dają! Leżą do kobiety...

Przybiega Sergjusz.

— Proszę wyjść. Ja jestem odpowiedzialny. Proszę dać Leontjewnie spać!

Generał odpowiada obrażony:

— Oczywiście, nie jestem spadkobiercą.

\* \* \*

Poprzez step, poprzez Wołgę kroczy noc, kroczy mróz. W oficynie wzdycha Ksenia i Helena. Generał nie może zasnąć. Konstanty wraca późno, pocichu, przekrada się do Leontjewny. Przez okna domu wkradają się błękitne pasma księżycowego światła.

Rura wodociągowa przez noc zamrzła i pękła.

*Tłum. Binom.*

## SERGJUSZ JESIENIN

(1895—1925)

[TO NIE CHMURY...]

To nie chmury, nie mgły nad doliną  
dokola.

Matka Boska zacyta dla syna  
kołacz.

Słodkościami nasyciła żyto,  
maselkiem.

I upiekła, i złożyła cicho  
w jasełkę.

Bawił się nim maleńki, aż usnął  
rozśmiany.

Wypadł z rączek pozłacany kołacz  
na siano.

I potoczył się ten kołacz za wrota  
zbożem.  
Zamąciły lzy błękitną duszę  
Bożą.  
Matka Boska rady synaczkowi  
dawała:  
Nie płacz, nie płacz, moje łabędziatko,  
mój mały.

Na tej ziemi wszyscy ludzie w troskach  
i w smutku.  
Trzeba im choć jedną dać zabawkę  
malutką.  
Straszno im, gdy ciemną nocą  
w mgłę są.  
Dałam imię temu kołaczowi:  
miesiąc.

## [PORZUCIŁEM...]

Porzuciłem mój dom rodzinny  
i błękitną Ruś porzuciłem.  
Trzy gwiazdeczki zapala brzezina,  
żeby smutkiem matce świeciły.

Ja nieprędko, nieprędko powrócę.  
Długo śpiewać wichurom po drodze.  
Wiernie strzeże błękitnej Rusi  
stary klon mój na jednej nodze.

Złotą żabką się księżyc wyłonił  
i na cichej rozpostarł się wodzie.  
Memu ojcu okwiatem jabłoni  
siwe włosy rozlały się w brodzie.

Jest w nim radość, jeśli scałować  
krople deszczu z liści zielonych.  
To dlatego, że moja głowa  
do starego podobna klonu.

*Tłum. Władysław Broniewski.*

## [ZŻĘTE POLA...]

Zżęte pola, gaj beziópy,  
Wody tchną wilgocią zgniłą.  
Kołem za błękitne góry  
Słońce ciche się stoczyło.

Drzemią drogi koleiny,  
Im się dzisiaj przywidziało,  
Że do przyjścia siwej zimy  
Już tak mało dni zostało.

Ach, i sam widziałem wprzódy,  
Z za wieczornej mgły firanek,  
Jak żrebakiem księżyc rudy  
Wprzęgał się do naszych sanek.

## L I S

Ledwo dowlókl się na nodze zdruzgotanej,  
Tuż przed norą miękkim kłębkim legł.  
Wąskim szlakiem krew, płynąca z rany,  
Zabarwiła wokół głowy śnieg.

Wciąż powracał doń kłujący dym wystrzału,  
Przed oczyma chwiał się bagien leśnych lód.  
Gdzieś z za krzaku wicher kosmaty zawiął  
I rozsypał rozdzwoniony śrut.

Niby żolna, nad nim czarna mgła latała,  
Mokry wieczór był, jak lepki krwawy dzban.  
Trwożnie głowa się wznosiła, opadała,  
I bezsilnie język stygł na ogniu ran.

Żółty ogon padł pożarem w zamieć siwą,  
W pysku posmak — niby marchwi zgnilej śpiew...  
Wiało szronem i pachniało cierpko gliną,  
A zmruż oczu zalewała zwolna krew.

*Tłum. Leonard Podhorski-Okotów.*

## [POWOLUTKU ODCHODZIMY WSZYSCY...]

Powolutku odchodzimy wszyscy  
tam, gdzie spokój i gdzie cisza błoga.  
Może wnet już czas nakaże bliski  
i mym szczątkom iść znikomym w drogę.

Gaju słodki, co tak w upał chłodzisz!  
Ziemio droga! Piasku równin złoty!  
Przed orszakiem tych, co w dzień odchodzą,  
już nie mogę ukryć swej tęsknoty.

Ukochałem nazbyt na tym świecie  
to, co duszę w ciało przyobleka.  
Pokój drzewom, które w znojnem lecie  
zapatrzyły się w różowość rzeki.

Wiele myśli przemyślałem hardych,  
wiele pieśni ułożyłem tkliwych  
i na ziemi tej, na ziemi twardej  
tem, że żyłem, byłem ja szczęśliwy.

Żem całował usta co najslodsze,  
deptał kwiaty, w trawie łąk się tarzał  
i że zwierząt, niby braci młodszych,  
nigdy, nigdy nie odważał.

Wiem, że żadne gaje tam nie chłodzą,  
że nie dzwoni żyto sypkim deszczem.  
Przed orszakiem tych, co w cień odchodzą,  
czuć dlatego będę zawsze dreszcze.

Wiem, że w kraju tym, gdzie się obudzim,  
żadna niwa się nie zazieleni.  
I dlatego drodzy mi są ludzie,  
którzy ze mną żyją tu na ziemi.

*Tłum. Kazimierz A. Jaworski.*

*Wybór tekstów i układ Sergjusza Kutakowskiego  
i Alfreda Toma.*

TARAS SZEWCZENKO

(1814—1861)

PUSTKA

Rankiem, rano, garstka chłopców  
Ze wsi wychodziła;  
Wśląd za nimi, ręce łamiąc,  
Dziewczyna pędziła.  
Powlokła się matka siwa,  
Od miłego ją odrywa —  
Odrywała, utulała,  
Aż ją w ziemię zakopała  
I z torbami w świat ruszyła.

Wioska stoi — nie urosła,  
Mało się zmieniła;  
Pustka tylko w końcu siola  
Na bok się schyliła.  
Poprzed pustką, tam, o kuli  
Żołnierz biedny dybie  
I zagląda do ogródka,  
I przylgnął ku szybie...

Patrzy, patrzy — ach, nie wyjdzie  
Czarnobrewka z chatki,  
Nie zaprosi na wieczerzę  
Głos pocziwej matki!..  
A on niegdyś był proszony,  
Ręczniki już tkano  
I jedwabiem chustkę ślubną  
Pięknie wyszywano.  
Roil prześnić wiek w miłości,  
Uczyć dziatki stąpać —  
A tu przyszło, biednyż ty mój,  
We łzach się wykapać!..

Siedzi żołnierz w zmrok przed chatą  
I śmierci pożąda —  
A przez okno, naksztatł baby,  
Sowa nań spogląda.

*Tłum. Leonard Sowiński.*

JAK DZISIAJ WIDZĘ...

Jak dzisiaj widzę... Nad ruczajem,  
Wienńczona zewsząd wierzb in gajem,  
Bieleje chata. Nad nią wzgórze.  
Na przyźbie chaty siwy dziad,  
Staruszek, wsparty na kosturze,  
Małego wnuka bawi rad.  
I widzę: wyszła z izby matka,  
Całuje dziecię swe i dziadka,  
Wesoło trzykroć ich uściska;  
Z uśmiechem mówiąc: «głodne snać»...

Na usta dziecka z piersi tryska  
I potem je odnosi spać.  
A dziad do siebie się uśmiecha  
I, sapiąc jeszcze, niby z miecha,  
Powiada cicho: «Gdzież te trwogi?  
Te liczne ciosy, troski, wrogi?»...  
W wierzbowym gaju zachód płonie...  
Dzień cicho gaśnie w nocy łonie...  
Spoczęło wszystko — ludzie — światy —  
I starzec poszedł spać do chaty.

W TRZYNASTE LATO...

W trzynaste lato szło mi życie,  
Gdym pasał owce wedle wsi.  
Czy Bóg sam jaśniał w nieba szczycie,  
Czy jam śnił szczęścia cud w zachwycie,  
Jak tylko dusza dziecka śni —  
Tak błogo było mi w te dni,  
Jak gdybym pasał trzodę Boga.

Zwołują już i na południe,  
A ja w burzanach, pałac chróst,  
O domu Boga marzę cudnie...  
Zwidują mi się raje złudnie,  
Modlitwa sama płynie z ust!  
Igrają owce pośród brózd,  
Łagodnie świeci oko Boga...

Czy z piekieł trysła struga wrząca,  
By prędko zwarzyć ten mój raj,  
Czy też jarząca żagiew słońca  
Spaliła rajski sen bez końca —  
Szczerniało sioło, step i gaj,  
Zbladł nawet niebios siny kraj,  
I już nie śniłem chwały Boga!

Spojrzałem. Owce, welny wiechy —  
A ja ni owcy nie mam tam...  
Posłałem wzrok na złote strzechy —  
Bóg nie dał piędzi, jak za grzechy...  
W calutkim świecie jestem sam...  
Załkałem, myśląc o tem... Łkam  
I na głos żałę się na Boga...

A tam, przy drodze gdzieś, dziewczyna,  
Ukryta pośród smukłych traw,  
Konopie czy też len dożyna,  
Pod sierp ostatnią naręcz zgina,  
A kładąc suszyć ją nad staw,  
Płynącą skądś z burzanów ław  
Zasłyszły skargę mą na Boga.

Podeszła do mnie uśmiechnięta,  
Jak ten na łanie maku kwiat.  
Całuje w usta... Pachnie mięta...  
Dziewczyna zgania me jagnięta —  
Choć one cudze, patrzę rad  
I myślę: «mój ten cały świat»...  
I w sobie samym czuję Boga.

Dzieciństwa!... Jednak, kiedy wspomnę,  
To taki mię ogarnia smęt,  
Że ja, pacholę to bezdomne,  
Nie orzę dzisiaj skiby skromnej,  
Że nie umarłem jako pęd —  
Nie znając chimerycznych pęt  
I nie przekląwszy ludzi, Boga...

#### TOĆ NIE DLA LUDZI...

Toć nie dla ludzi, nie dla sławy  
Mój wiersz wzorzysty — i chropawy;  
Wszak sława, bracia, jest jak dym —  
Dla siebie wiąże z rymem rym!  
Gdy tworzę wiersze te w niewoli,  
To jakoś lżej mię dusza boli:  
Ojczyste słowo — cud i czar  
Wśród tych niemitych cudzych gwar;  
Z za Dniepru dźwięk za dźwiękiem leci,  
Jak dziwny rój skrzydlatych dzieci,  
A gdy ich głośny płacz i śmiech  
Rozbrzmiewać pocznę w tysiąc ech

Dziewczyna drgnie... Jej dusza biała  
Pomyśli: «Jam je ukochała!».

W zatęchłych mrokach kazamaty —  
To wiem, zem rodzic ich bogaty!  
I błagam: broń ich mocny Bóg,  
By ich nie uspił tutaj wróg;  
Niech lecą z wieścią stąd, o świecie,  
Za Dniepr: jak ciężko przeżyć życie!...  
Tam bezmiar naszych pól i łąk  
Przywita lotnych dzieci ciąg.  
Przyjmując je w rodzinnem kole,  
Co zbożnie zbierze się przy stole,  
Pokiwa głową ojciec, dziad,  
A matka westchnie: «Gorzki świat»...

*Tłum. Sydir Twerdochlib.*

#### PANICZE, GDYBYŚCIE ZOCZYLI...

Panicze, gdybyście zoczyli  
Kraj, w którym ucisk włada zły,  
Wzdy-byście hymnów nie tworzyli  
I próżno Boga nie chwalili,  
Pośmiechem darząc nasze ły.  
Ja nie wiem, czemu nazywają  
Chałupę w boru cichym rajem.  
Jam niegdyś cierpiał w chacie tej —  
Tam rzewne ły młodości mej,  
Najpierwsze ły! Pytania wstają:  
Czy jest gdzie takie zło i srom,  
Coby minęło chłopski dom?

A chatę rajem nazywają!  
Nie, ja nie mogę nazwać rajem  
Owej chałupy tam, pod gajem,  
Nad siwą wodą z kraju wsie:  
Matula tam powiła mnie,  
A spowijając mię, śpiewała,  
Tęsknotę swoją przelewała  
W dziecięcia duszę; w owym gaju,  
W tej białej chacie, cudnym raj  
Jam piekło ujrzał... Tam niewola,  
Tam praca ciężka, ciężka dola:  
I modlić się nie dają nam!



Matusię moją dobrą tam,  
 Tak młodą jeszcze, do mogiły  
 Nędza i praca ułożyły;  
 Tam ojciec, płacząc z nami wraz  
 (A my maleńcy byli, goli),  
 Nie mógł już przenieść czarnej doli,  
 Skonał na pańskim. W ony czas  
 Porozłaziliśmy się wkoło,  
 Niby myszeta. Ja do szkoły —  
 Wodę szkolarzom nosić tam;  
 Bracia w pańszczyźnie żyli pono,  
 Póki im głów nie ogolono;  
 A siostry! Siostry? Biada wam,  
 Gołębki wy serdeczne moje!  
 Komuż waszego życia plon?  
 Najemne, cudze wy dziewoje,  
 W niewoli zblakną kos zawoje,  
 W niewoli spotka was i zgon.  
 A mnie tak straszno, kiedy wspomnę  
 Ową chatupę z kraju wsi —  
 Takie to w onym rajy my  
 Sprawy tworzymy wiekopomne  
 Na świętej ziemi Twej! I cóż!  
 My z rajy piekło wzniesli już,  
 A w niebie także go czekamy.  
 Z braćmi żyjemy w zgodzie wszak —  
 Braćmi plużymy krwawy szlak

I łzami ich go polewamy.  
 A może... Skądże wiedzieć mamy...  
 Lecz tak się zdaje, iżes sam...  
 (Bo przecie, Boże, wbrew Twej woli  
 W rajy nie byłoby niedoli!)  
 A może w tych błękitach tam  
 Śmiejesz się z naszych łez, Wszechwłady,  
 I walne z pany miewasz rady  
 Nad rządem świata!? Bowiem patrz:  
 Tu gaj, zielenią lśniący traw,  
 A tam z za gaju wyrzy staw  
 Lustrzanym kręgiem srebrzystawy,  
 A krępe wierzby ponad stawem  
 Cichutko w falach omywają  
 Zielone wici... Prawda — raj?  
 Lecz snadniej swe baczenie daj —  
 A cóż się dzieje w owym rajy?...  
 Zwyczajnie — radość, chwały śpiew  
 Tobie, Świętemu, Jedynemu,  
 Za dzieła Twoje... Dławi gniew —  
 Chwały nikomu i niczemu,  
 Lecz łyzy i hańby ból, i krew  
 Wszystkiemu — srom! Nie, nie! Świętego  
 Niemasz, ach, nic na ziemi tej!  
 Mnie się wydaje, że samego  
 Ciebie lud przeklął w zemście swej!

*Tłum. Bohdan Żyranik.*

#### DO POLAKÓW

*(Do Bohdana Zaleskiego)*

Kiedyśmy byli kozakami,  
 nim nadszedł unji smutny czas,  
 Polacy! pośród wolnych stepów  
 kochaliśmy, jak bracia, was.

Kwitnęły w ukraińskich sadach  
 dziewczęta, jako lilji kwiat.  
 Pyszniły się synami matki,  
 gdy zbrojnie wyruszali w świat.

Aż przyszli księża. Śpiew kościelny  
 popłynął do błękitnych nieb.  
 Schyliły się kozackie głowy,  
 jak podeptanej trawy step.

Dajże dziś rękę kozakowi  
 i serce czyste swoje daj,  
 a znów imieniem Chrystusowem  
 wskrzesimy utracony raj.

#### ŻEŚCIE POLSKĘ...

*(Urywek z «Postania»)*

Żeście Polskę zawalili,  
 próżno z tego się chępcie.  
 Polska padła. Lecz w jej gruzach  
 wyście utracili życie.

*Tłum. Julian Ejsmond.*

#### Z «MODLITW»

Cesarzy, krwawych szynkarzy,  
 Zakuj, o Panie, w kajdany,  
 Zamknij w och okratowany.

Ludzi pracy, Wszechmogący,  
 Na ich okradzonej ziemi  
 Wspomóż siły najwyższemi.

A tych, co są w sercach czysti,  
Anieli Twoi niech strzegą  
W prostocie ich ode złego.

A mnie zwól, Boże, na ziemi  
Prawdy umiłować ducha  
I wiernego daj mi druha.

## TESTAMENT

A jak umrę, pochowajcie  
Wy mnie do mogiły  
Pośród stepu szerokiego  
W Ukrainie milej.

Wszystko rzucę i lot zwrócę  
Do samego Boga —  
By się modlić. Nim tak będzie,  
Nie znam wcale Boga!

By szerokie, wolne pola  
I Dniepru zakręty  
Widać było — słyhać było  
Szumiące odměty.

Pochowajcie mnie — powstańcie,  
Porwijcie kajdany,  
Złą krwią wrogów świat pokropcie,  
Wolnością świetlany.

Jak poniosą z Ukrainy  
W sine oceany  
Wrażą krew — porzucę wtedy  
I góry, i łany.

I w rodzinie wolnej, nowej,  
Co wielka powstanie,  
Rzucicie mi w przyjaznym słowie  
Ciche wspomnienie.

*Tłum. Zofja Wojnarowska.*

## PANTELEJMON KULISZ

(1819—1897)

## SKARGA ŻAŁOSNA

O, czemuśmy z Polską przez wiek wojowali  
orężem z żelaza i stali?  
Wszak walczyć mogliśmy perłami wymowy,  
miłości pełnemi słowy.  
Czyż Polska nie znała bezmiernej swobody  
nad inne w świecie narody?  
A dzisiaj? O, Boże, litosny mój Boże,  
rosyjskie zalalo nas morze.

## LACH I RUSIN

L a c h :

Gdy żyć ze mną zaczniesz w zgodzie,  
Rusinie, mój bracie,  
będziem chodzić w aksamitach,  
w złocie i szkarłacie.  
Będziem węgierskiego wina  
wychylać puhary.  
Poskromimy i Turczyną,  
i harde Tatary.  
Rozszerzymy naszą władzę  
od morza do morza.

Zajaśnieje imię polskie,  
jak świetlista zorza.  
Niech świat wie, żeśmy przedmurzem  
wszego chrześcijaństwa,  
że stajemy z mieczem w ręku  
naprzeciw pogaństwu.  
Niechaj o nas gromka sława  
trąbi w złote rogi:  
«Wiwat Polska! kochajmy się  
wiecznie, bracie drogi».

R u s i n :

Nie wódz nas na pokuszenie  
słowami dumnymi.  
I tyś nie był od wiek wieków  
władzą tej ziemi.

Gdyś obcałowywał buty  
wielkiego Ottona,  
wówczas nie wieńczyła jeszcze  
skroni twej korona.

Skąd się wzięły wodze twoje,  
skąd dzielne hetmany?  
Kto przed wrogów najzdamami  
chronił twoje łany?

I Zamoyscy, i Żółkiewscy  
ród swój wiodą z Rusi.

I Sapiehów ród za ruski  
uznany być musi.

Kiedys ginął pod Chocimiem,  
dzielny panie Lasze,  
wybawiło cię z opalów  
mężne wojsko nasze.

Zali ja mam ci ustąpić  
i morza, i pola,  
żeby wspólna była nasza  
dola i niedola?

Nie! sam panuj! Ja chcę zostać  
chłopem twym, mój bracie.  
Chcę zamieszkać jako dawniej  
w niziuteńskiej chacie.

Nie będę ja ci czapkować  
za chleb, Lachu drogi,  
a gdy bieda mię przycisnie —  
hajda za porogi!

Uplywały i mijały  
wieki za wiekami...

Rusin krew przelewał lacką,  
Lach ruską — rzekami.

Ta gorąca krew ciekąca  
uczyniła dziwa,  
iż Ruś nie opolaczeje,  
póki będzie żywa.

*Tłum. Juljan Ejmond.*

## IWAN FRANKO

(1856—1916)

### Z KSIĘGI «KAAF»

O, gdybyś wiedział, co znaczy jedno słowo,  
Płynące z duszy, współczuciem szczerem święte,  
Jak ono ślepce uzdrawia wiarą nową,  
Jak leczy serca, zwątpienia trądem tknięte:  
Nie szedłbyś wówczas dymiących też padolem,  
Zaciąwszy usta — od trosk zamłodu siwy,  
Zachęty słowa z pociechą siałbyś społem,  
Jak ciepłą rosę na dżdżu spragnione niwy,  
O, gdybyś wiedział!

O, gdybyś wiedział, jak to się w dusze wwierca  
Pogardy słowo, godzące zawsze w sedno,  
Jak ono miazdzy, zniekształca piękne serca,  
Zatruwa życie — to drobne słowo jedno!...  
Spętałbyś wówczas swą złość, jak psa, co kąsa,  
Gdzieś na dnie duszy łańcuchem silnej woli  
I rzekłbyś sobie: O, niech się nie natrzasa  
Mój gniew z nikogo!... To tak okropnie boli,  
O, gdybyś wiedział!

O, gdybyś wiedział, jak wiele trosk przeklętych  
Pod każdą maską radości, krzepkiej mocy,  
Jak wiele twarzy, w dzień mile uśmiechniętych,  
Gorzkiemi łzami zalewa się po nocy:  
Miłością wówczas zbroiłbyś wszystkie zmysły,  
Tajone męki tropiłbyś jako wrogi;  
By serc, zbyt dumnych, najtwardsze lody przysły,  
Pocałunkami ogrzałbyś najpierw nogi —  
O, gdybyś wiedział!

O, gdybyś wiedział! Prastara to jest wiedza...  
Tkwi w sercu zdawna, lecz odczuć ją potrzeba;  
Ujrzałbyś wówczas, jak myśli ci wyprzedza

I jak na ziemi rozpyła błękit nieba —  
 I niby słońce świeciłoby twe serce...  
 Stąpając pewnie, jak dziwny ów Rabboni,  
 Co podczas burzy przez wodne szedł kobierce,  
 Mówiłbyś do tych, co w łez się kąpią toni:  
 Nie bójcie się! — Jam jest!

*Tłum. Sydir Twerdochlib.*

Z «MOJŻESZA»

Wstęp

Narodzie mój, męczony, gnany, bity,  
 Jak paralityk wśród rozstajnej drogi,  
 Pogardą ludzi, by strupem, spowity!

Twoja to przyszłość jest źródłem mej trwogi,  
 A płomień wstydu na potomków licach  
 Sen z moich powiek odpędza mi błogi.

Czyliż ci napisano na tablicach  
 Żelaznych — u sąsiadów twych być gnojem,  
 Sprzężam wozów, mknących po ulicach?

Czyliż na zawsze przeznaczeniem twojem  
 Będzie ukryta złość, fałszywa bierność  
 Wobec każdego, kto zdradą, rozbojem

Skuł cię w kajdany, zaprzysiągł na wierność?  
 Czy przeznaczenie li tobie nie dało  
 Mocy okazać twoich sił niezmierność?

Cyliż daremnie tyle serc gorzało  
 Zdawna najświętszą do ciebie miłością,  
 Tobie oddając duszę swą i ciało?

Na darmo kraj skąpany krwi świętością  
 Walk bohaterów? Przepadły nadzieje  
 Zastynąć zdrowiem, pięknnością, wolnością?

Czyliż na darmo w słowie twem jaśnieje  
 Siła i miękkość, dowcip, potęga —  
 Wszystko, czem duch się wznosi, promienieje?

Darmo twa pieśń tęsknotą w serce sięga,  
 Uśmiechem dzwoni i nutą kochania,  
 Jak świetlna uciech i nadziei wstęga?

O nie, nie same ci lzy i wzdychania  
 Są przeznaczone! Wierzę w siłę ducha  
 I w dzień radosny twego zmartwychwstan a!

O, gdyby chwilę trafić, co słów słucha,  
 I słowo, co w tej chwili ukojenia  
 Doda, uzdrawia, ogniem życia bucha!

O, gdyby stworzyć pieśń, pełną natchnienia,  
 Co porwać może z sobą milijony,  
 Oskrzydła, wiedzie na drogę zbawienia!

Gdyby!... Lecz nam, rozdartym i zwątpionym,  
Wstydem przybitym, nękanym troskami,  
Nie nam cię wieść na bój było sądzone!

Lecz przyjdzie czas — zabłyśniesz ty światłami,  
Skrzącemi w kole wolnych społeczności,  
Wstrząśniesz Kaukazem, hukniesz Beskidami,

Po Czarnem morzu pchniesz echo wolności  
I spojrzysz, jak gospodarz, między pany  
Po swojej chacie i po swojej włości.

Przyjm śpiew ten, chociaż tęsknotą owiany,  
Choć gorzki, ale wolny, wiary pełny;  
Przyszłości twej zadatek, łzami zlany,

Genjuszowi twemu — dar weselny!

*Tłum. (przy współudziale autora) Włodzimierz Kobryn.*

### BORYS HRINCZENKO

(1863—1910)

#### O, PRZYJDZIE...

O, przyjdzie, zaprawdę, ten dzień,  
Gdy spoczniem, strudzeni, od mąk;  
Rozprysną żelaza się w proch,  
Kajdany opadną nam z rąk.

Bezbronnych nie sięgnie już gwałt,  
A mocny — nie będzie jak kat,  
I naród wyciągnie swą dłoń  
Do braci-narodów, jak brat.

O, przyjdzie, o, przyjdzie ten dzień,  
Gdy przemoc, niewola i krew  
Na wieki zanurzą się w mrok —  
Miłości zwycięży nas zew.

O, przyjdzie, o, przyjdzie ten dzień,  
Gdy pieśń się wyzwoli z za krat —  
Braterski, zwycięski nasz śpiew  
Rozlegnie się echem na świat!

*Tłum. J. W.*

### MYCHAJŁO KOCIUBYŃSKYJ

(1864—1913)

#### W PEŁTACH SZATANA

(Wyjątek)

We wsi ciemno i cicho. Kramy i jatki zamknięte, przewodnicy rozkulbaczyli swe konie, sprzedawcy «jamurta»<sup>1</sup>, winogron, czadr<sup>2</sup> oraz innych artykułów odłożyli swe prace na dzień powszedni, wogóle cały ten ruch, który czatuje na pełne kieszenie giaurów — wstrzymało święto. Muezzin po raz ostatni przekrzyczał z minaretu «Ła Ałła»... — i prawowierni odpoczywają. Tylko niestrudzone morze kotłuje gdzieś daleko, jak olbrzym niewidzialny, wydychający z siebie dzienny upał, gwiazdy dygocą w nocnym chłodzie i kryją się jedna po drugiej za czarnemi, jak chmury, wierzchołkami Jajty.

U stóp genuńskiej baszty migocze światło. W zakopconej od dymu szczelinie, jak w dziupli wielkiego drzewa, gotuje się na rozżarzonych węglach kawa.

Dokoła ognia siedzą, według zwyczaju wschodniego, z podgiętymi nogami brodacci «hadzi» w wielkich zawojach i zwykli muzułmanie w fezach. Hadzi Bekir zajmuje miejsce honorowe: siedzi obok nikłego Turka w białym chałacie i zielonej «czalnie».

<sup>1</sup> Jaj.

<sup>2</sup> Zasłon.

To softa z samego Stambułu, którego mądrych i świętych słów przyszli posłuchać prawowierni.

Milczą oni w skupieniu. Nawet piękny Septar, stojący zdala, z rękami, które cuchną koniem, na biczysku wspartemi, jakoś nie tak dumnie wypina swe piersi i nie tak zuchwale rozgląda się dokoła.

Ogień czerwonymi błyskami oświeca fezy i smągłe oblicza. Miedziany imbryk syczy na węglach, dalekie morze faluje rytmicznie.

Wreszcie kawa zaparowała w małych filiżankach w rękach gości — i softa zaczął. Mówił skrzypiącym, monotonnym głosem, cicho, długo i kwiecicie. Rozpoczął od Adama. W jaskrawych barwach przedstawiał dawną świetność tatarskiego plemienia i jego walki z niewiernymi, w których chorągiew Mahometa obeszła prawie połowę świata. Wychwalał potęgę i mądrość wielkich chanów, rozczulił się na wspomnienie pobożności prawowiernych i odkrył serce Ałłacha, pełne radości i zadowolenia z wiernych sług Mahometa. Jak księżyc pośród gwiazd, jak orzeł wśród ptaków — tacy byli muzułmanie pośród innych narodów. Na świadków wzywał te odwieczne góry, które widziały minioną sławę wielkiego ludu, i powoływał się na basztę, pod którą siedział: ona pamięta owe czasy, kiedy po jej murach spływała krew giaurów, a na jej szczycie błyszczał półksiężyc...

Misternie i poetycznie opowiadał on wszystkim znane i drogie legendy ludu, wywoływał z mogił duchy świętych i bohaterów, którzy swe głowy oddali za wiarę i na chwałę Ałłacha oraz Mahometa.

Teksty i przepowiednie z Koranu przeplatały się w mowie, jak w sztucznej siatce, z opowieściami ludu i cudowną zasłoną okrywały przeszłość. W czarnych oczach softy płonął ogień, a blade jego oblicze stawało się jeszcze bielsze. Prawowierni słuchali, skupiwszy uwagę, i do taktu kiwali się na podgiętych nogach.

A softa ciągnął dalej. Przypominał on wszystkie krzywdy, których prawowierni zaznali od giaurów. Oni to zniszczyli ich królestwo, zrujnowali osady, majątek i kraj, jak kwiat kwitnący, przemienili w pustynię. Gdzie te ludzkie osady, gdzie ten naród, który, jak pracowite mrówki, zamieszkiwał niegdyś tę urodzajną ziemię? Niema go. Wróg go wypędził z własnej ziemi. Spójrzcie — krzyczał, wskazując ręką dokoła — ruina, wszystko pożarli niewierni... Oni zaleli brzeg morza, zagarnęli najpiękniejsze kraje i wyparli resztki Tatarów w góry, na kamienie. — — — Lecz jeszcze nie wszystko stracone. Jeszcze miłosiwy Bóg zachował dla prawowiernych kraje, w których giaur nie ma znaczenia i nie ma siły, aby się znęcać nad nimi. Nad tą krainą rozciągnął swoją potężną rękę sprawiedliwy i mądry sułtan i, jak matka dzieci, ochrania swych poddanych. Idźcie tam wśród jednowierców i współplemieńców wyzwalać z grzechu swe dusze!... I niechaj zapadnie się ten przez giaurów zajęty kraj, niech sprawiedliwy Bóg zesle ogień niebieski, niechaj go spali i popiół po morzu rozwieje! Ła Ałła il Ałła! — Mahomet rasul Ałła!<sup>1</sup>

I softa wyciągnął rękę ponad ziemią, jakby na nią chciał ściągnąć gniew groźnego Ałłacha.

Dusza chadzi Bekira płonęła. Patrzył na softę błyszczącymi oczyma, widział spadający z nieba ogień i hen, za morzem, w dalekiej perspektywie ukazała mu się potęga muzułmańskiej religii.

Zapanowała cisza. Gasło ognisko pod murami baszty, i księżyc z góry spoglądał na zebranie. Prawowierni siedzieli ze spuszczoneym wzrokiem i coś nakształt złośliwego uśmiechu błąkało się po ich ciemnych obliczach.

— Ba — myśleli sobie — giaur, giaur... A z kogóż my żyjemy, jeżeli nie z giaura?

I przypomnieli sobie te niezliczone sposoby zarobków i dochodów, które mieli od giaurów. Przypomnieli sobie «jamurta», winogrona, mleko, podwoły, przewodnictwo, komorne, wszelkiego rodzaju «bakszysze», całe te bogate żniwa, które z giaurów zbiera Tatarzyn, nie orząc i nie siejąc. Dokąd mają się przesiedlać? poco? — pytali się, i zbierała ich chęć roześmiać się w oczy mądrymu, lecz nieświadomemu prawdziwego stanu rzeczy softcie. — Ale milczeli.

<sup>1</sup> Niema Boga, prócz Ałłacha! — Mahomet jest prorokiem Ałłacha!

Milczenie to sprzykrzyło się im wkońcu — więc Septar przystąpił nieco bliżej i z ręką na biczysku odezwał się do softy:

— Powiadasz, mądry człeku: przesiedlajcie się stąd... A powiedz nam, dlaczego od was, z Turcji, taka moc obdartego, pracującego ludu sunie do nas i odbiera nam zarobki?... Dlaczego idą, jeżeli tam tak dobrze? A ty nas wołasz ku sobie... Powiadasz — giaur niewierny, a u nas giaur więcej znaczy, niż dwóch prawowiernych... Giaur żyje i nam daje żyć. U nas tak: na Jajłę chodził — pieniądze zarobił; po morzu pływał — pieniądze zarobił; giaura woził i znowu wziął pieniądze... Oto i dzisiaj mam piętnaście rubli — tu Septar brzęknął w kieszeni monetą — a co ty nam dasz w Turcji, gdzie niema giaurów?

I wypiąwszy złotem haftowaną pierś, uparcie wpatrywał się w przerażonego softę, czekając na odpowiedź. Prawowierni aż przycmoknęli. Prawda, istna prawda! Jakby im z ust te słowa wyjął.

Tylko serce hadzi Bekira spłonęło słusznym gniewem, więc, miotając na Septara błyskawice swych oczu, krzyknął:

— Milcz, wstrętny najmito giaurów!

Septar nie umilkł.

— Eeh, stary, wiem, że zazdrościsz mi zarobków, których przez własną zawziętość mieć nie możesz...

Była to prawda, głęboko ukryta prawda. Więc hadzi, zapominając o swej godności i powadze, zerwał się z miejsca i wszystkim swem oburzeniem plunął w twarz Septara:

— Kepek! asma kepek!...<sup>1</sup>

Oczy Septara załazy się krwią i wylazły nawierzch, jak u barana. Zdawało się, że rzecz skończy się poważnie, lecz Septar zapanował nad sobą.

— Eeh, stary, pilnuj swej brody, jeżeliś ją poświęcił — pogroził hadziem i, obróciwszy się, wyszedł, pogwizdując wesoło.

Softa struchlał. Jego czarne oczy zaokrągliły się i powiększyły. Malował się w nich strach. Cekał, rychło li rozstąpi się ziemia i pochłonie zuchwałego Septara albo też — czy nie spotka grzesznika kara pod ruinami baszty lub pod kamieniami, które chwyci lud oburzony. Lecz wszystko było po dawnemu: ziemia się nie rozstępowała, baszta stała na miejscu, a prawowierni siedzieli spokojnie, jakby się nic nie stało lub jakby dzielali zapatrywania Septara. Ba, po chwili zaczęli się nawet rozchodzić, tłumacząc się, że pora jest późna i że jutro czekają na nich sprawy...

Strwożonym, zdziwionym wzrokiem spoglądał softa dookoła, a w głowie jego jakby coś świtało:

— Pęta szatana... pęta szatana... — szeptał zsiniałymi ustami, zwracając blade swe oblicze do oburzonego hadzi Bekira.

Ale ten tylko plwał w bezsilnej złości i wciąż miotał przekleństwa...

Ostatni opuścili basztę hadzi Bekir i softa. Jak widma, posuwali się po zalanej światłem księżyca ulicy, wlokąc za sobą dwa długie cienie. Smętni i rozczarowani, wylewali przed sobą swe żale — i jakby współczując im, wzdychało zdala morze i cienkim głosem płakała w gajach nocna jaskółka.

Tłum. N. M.

## OSYP MAKOWEJ

(1867—1922)

### SEN

Cichy sen po górach chodzi,  
Za rączynę szczęście wodzi.

Śpij, o śpij, dzwoneczku siny,  
Dzikie róże połoniny!

Lasy szumią coraz ciszej,  
Drobne kwiaty sen kołysze.

Nie szum już, zielony borze,  
Wietrze, znijdź w skaliste łoże!

<sup>1</sup> Psie, wściekły psie!

Śpijcie zdrowo, kwiaty, trawy,  
Niech was tuli sen łaskawy,

Póki wstanie świt różowy.  
Słońce drobne wasze głowy

Przyogrzeje, ucałuje  
I światami powędruje...

Cichy sen po górach chodzi,  
Za rączynę szczęście wodzi.

#### NADLECIAŁA CICHA ZJAWA...

Nadleciała cicha zjawa  
Ze świata —  
Duszę wiosną mi napawa  
Jej szata.

Jakże ci się, miły, wiedzie?  
Mów przecie!  
Nie odwiedzasz mnie w mej biedzie  
We świecie.

Tyś miłości przeniewierca,  
Jam dłużną...  
Zdobywałeś silne serca —  
Napróżno.

Dzisiaj ja cię marzeń wiosną  
Upoję,  
Dziś zanucim pieśń radosną  
We dwoje...

Jak jej słowa, cicho brzmiała  
Pieśń ona,  
W mych źrenicach drzeć przestała  
Łza słona.

#### KRZYŻ

Tu w górach krzyż! To kraj przeklęty!  
Gdzie spójrz, na krzyżu Bóg rozpięty  
I wszędzie wiara, otchłań wiary,  
A szubienicom niema miary.  
Tłum umie tylko znak przygody  
Chrystusa wetknąć w twarz przyrody,

A życie — djabłu. Chryste! katy  
Chcą jeszcze za to Twej zapłaty!  
Twym krzyżem tłumią swe sumienia,  
A serca ich, jak krzyż — z kamienia.  
I szubienica dla nich Bogiem,  
A sam Ty, Jezu, — stój za progiem...  
*Tłum. Sydir Twerdochlib.*

#### OLGA KOBYLAŃSKA

(ur. 1865)

BITWA  
(Wyjątek)

Bukowińskie Karpaty.

Wirch przy wirchu stoi w niemej wielkości, a wszystkie odziane w smerekowe lasy.  
Rozmaicie ukształtowane, pędzą one w niebo — a stoją nieruchomo tysiące lat;  
drwią sobie z każdej zmiany, zachodzącej przed ich oczyma, rozkoszują się własną  
pięknością, świadome swej wiecznej trwałości.

Wiele pasm kimpolungskiego powiatu jest jeszcze pokrytych odwiecznym lasem.  
Ciemnoniebieską zielenią migocą zdaleka, a kiedy popatrzysz na nie z sąsiednich  
szczytów, zda ci się, że nie dotrzesz do nich, spowitych w srebrnawo-sine mgły.

W okolicy Ruskiej Mołdawicy zeszły się tak blisko dwa równoległe pasma, że  
dolina, co je rozdzieliła, mogła być wygodnym miejscem pohlanki dla buńczucznego  
potoku. Gdzie się ta dolina rozszerzała czy zwężała, gdzie był jej początek, nikt do-  
kładnie nie wiedział. Nie było tu widać drogi ni ścieżki żadnej, nie było żadnego śladu  
ludzkiej obecności. Rozpierając góry, ciągnęła się zakrętami, a obrzeżona z obu stron  
zalesionemi wirchami, gubiła się razem z hucznie lejącym potokiem między ścianami  
gór, co jakby naprzekór jej w niektórych miejscach prawie się dotykały.

Panowała tu wszędy tajemnicza cisza. W przyrodzie całej królowała rozkosz,  
w barwach przeróżnej roślinności — piękno, a w górze — takie bogactwo zieleni, że  
człowiek czuł się prawie przygnębiony.



Zielonawo-brunatny wysoki do kolan mech, nigdy nie tykany, bujał w łagodnych falach po wilgotnawej ziemi odwiecznego lasu. Z niego wyrastały niezbyt gęsto sosny, których wiek można było zgadnąć, ale trudno odmalować ich piękność i rozmiary. Ich pyszne korony pieściły się z obłokami, a nad sobą znosiły chyba jedynie promienie słońca.

Na ziemi zrzadka leżały drzewa-olbrzymy, podryte i zwalzone wiekiem albo rzone piorunem. Spoczywały w trawie, obrosłe po wierzchu mchem, puste i spróchniałe wewnątrz. Przy nich bujała młoda drzewina o szerokich gałęziach u dołu, a w górze strzelista, pełna młodzieńczej gibkości. Czasami słychać głosy ptaków.

Częściej zato tę prawie kościelną ciszę przerywał szelest i trzask obłamywania się jakby suchych gałęzi, i smutny, daleko rozlegający się szum. Rzadko kiedy wiatr rozchwiewał gałęzie. Ledwie przy najsilniejszym wietrze kłaniały się korony.

Zdawało się, że szum przychodził gdzieś z dalekich przestrzeni, płątał się w gałęziach, ciężkim oddechem rozchodził się po lesie i bił się z gąszczem drzew o wydobycie się na wolność.

Kiedy gwizd lokomotywy przeciął po raz pierwszy ciszę doliny, wsuniętej między górskie ściany, przeszło coś przez stuletnie drzewa, jakby błyskawica.

Z lokomotywą zjawiała się garść ludzi. Ledwie się odważyli przestąpić niedostępny skraj odwiecznego lasu i sięgnąć w jego wnętrze.

Tu było niezwykajnie.

Wszędzie martwa cisza — powietrze chłodne, wilgotne. Żywica, wyciekająca z pękanej kory drzew, twardniała na powietrzu i przesyciała je swoim zapachem. Wysoki mech przeszkadzał w chodzie. Twarde korzenie drzew, grube jak ramiona, wypełzały niby węże z mchu, a splecione z sobą wlekły się potwornymi pierścieniami w głąb wrogo dyszącego i spowitego w zieloną ciemność lasu.

Jeden z przybyłych uderzył żelaznym toporem w stary smrek, na którego pniu rosły grzyby, jak wielkie jaskółcze gniazda.

Smrek zdrygnął się. Odkąd pamięta, nie czuł na sobie topora. Cios poszedł po całym lesie — wszystkie drzewa wstrzymały oddech — zaległa głucha, pełna oczekiwania cisza, i padło wolno, wyraźnie wymówione słowo: «rąbać!»

Jak po kościele, przebiegło po lesie: «rąbać!», «rąbać!» zadzwoniło tuż obok i zarazem w tej samej chwili w najdalszej odległości. Odzywało się jakby obudzonym ze snu krzykiem, ożywiło cały las i rozbiegło się trwożnie po wszystkich jego kątach, nie zamierając.

«Rąbać!» przeszło w szemrania. Z tego wszczął się strwożony szept, westchnienia, wreszcie powstał szum, jak przed wiatrem, napełnił sobą przestworze, że aż lęk brał, zbił się pod chmurami, aż wkońcu warknęła burza.

Niebo zaszło groźną, czarną barwą, i zaczęła się ona górską burza. Spadały grube krople deszczu.

Zrazu po jednej, i takie ciężkie, że pod ich uderzeniem liście się trzęsły z szelestem; potem częstsze — wreszcie całe ukośne potoki.

Błyskawice biły w smreki, rozkłuwały najdorodniejsze pnie, a piorun próbował rozsadzić góry. Z takim łoskotem i hukiem potrząsał nimi, jakby je chciał zmusić do wyjścia z ich śmiertelnego spokoju. Zdawało się, że po górach się toczą olbrzymie kule, wyrzucane od czasu do czasu przez złocisto-ogniowe błyskawice.

Wreszcie ucichło, ale bez przerwy padał deszcz z głośnym chlupotem. — — —

Pewnego chmurnego poranku zaczęła się bitwa.

W wąską dolinę — umyślnie zbudowaną żelazną drogą, której szyny wiły się, jak srebrne zmięje, wzdłuż biegnącego tuż koło nich potoku — wszedł ciężarowy pociąg.

Wrogi syk, przesywający, przenikliwy gwizd obwieścił przybycie pociągu. Przy końcu żelaznej drogi stanął, sapiąc i wyrzucając groźnie czarne pierścienie dymu.

Przywiózł wroga, który wysiadł. — — —

*Tłum. Władysław Orkan.*

## WASYL STEFANYK

(ur. 1871)

## RODZINA BARTKA

Bartek po swojemu ukradł żonie trochę jęczmienia i niósł do karczmy. Nie szedł, ale biegł do Żyda i wciąż się oglądał.

«Oho, już leci z bachoramy. Bodajeśta karki połamały. Zeby choć do karcmy dolecić, bo jak dopadnie, to znowu rejwach robi na całom wieś».

Uciekał z workiem na plecach, ale baba z chłopakami dogoniła. Przed samą karczmą porwała za worek.

«Nie uciekaj, nie spiesz się, krwawicy mojej po Żydach nie rožnoś».

«A ty, pokrako, chcesz znowu przed wszyściemi breweryje wyprawiać, nie wstyd ci?»

«Dosyc się wstydu najem z takim chłopem, nie bój się. Dawaj worek i uciekaj na zatracenie. Jak nie dos, to bić się bande i dzieciska cie objom przed wszytkiemi. Na cały świat ukaranie. Oddawaj».

«Suko stara, wściekłaś się, powywiesom pędraki i ciebie».

«Jendrek, bij po nogach, po nogach, niech chleba po Żydach nie nosi! Bijta po nogach, zebyśta mu poprzetroncały. Na kalikę zarobita, a na pijaka nie zarobita, a na pijaka nie zarobimo».

Mówiła do dwóch chłopaków, co stali z patykami i z nieśmiałością spoglądali na ojca. Jędreka miał z dziesięć lat, a Jasiak osiem. Nie śmieli się jakoś zbliżyć i bić ojca.

«Bij po nogach, Jendrek, ja go trzymom za ręce, po nogach go, po nogach».

I trzasnęła chłopca w gębę. Oddał jej, aż krew pociekła. Chłopaki przybiegli i zaczęli okładać kijami ojca po nogach.

«Mocnij, synacku, przetrąć mu łape jak psu, zeby za sobom włóczył».

Pluła krwią i sinią, ale trzymała ręce Bartka.

Chłopcy się ośmielili i podbiegali, jak szczenięta, bijąc po łydkach, uciekali i znowu lupili. Prawie się bawili, prawie ze śmiechem bili.

Z karczmy wybiegło kilku ludzi.

«Moiściewy, widziane to rzeczy, jak świat światem, nie było takiego zgorzenia, jesse im mleko nie obeszło, widzita, jak okładajom».

«Chłopaki, zmożeta się przy robocie!»

«Trza było dłuższe kije brać! zebyśta dostały»...

«Po łbie bijta, po ciemieniu, po rozumie».

Tak pogadywali pijani przed karczmą.

Bartek rzucił worek na ziemię i stał jak głupi. Nie spodziewał się tego napadu i nie wiedział, co ma począć. Położył się wreszcie na ziemi i zdjął kozuch.

«Jendrek, Jasiak, bijta me teraz, ani sie ruse. Maliśta do biegania, zmęczyta się, bijta teraz».

Chłopcy stanęli zdaleka i z podziwem przyglądali się ojcu, powoli porzucali kije i patrzyli na matkę.

«A dy ich namawiaj tera, niech bijom, układłem się, bijta».

Bartkowa zaczęła zawodzić, aż się rozlegało:

«Co ja sirota zawiniłam, napracuję się o suchym chlebie z dzieciskami w polu, a co uzbieram, to on do karcmy zabierze. Nic bez niego zarobić nie moge, bo chałupy na kogo ostawić niema. Bez koszuliny nas zostawił w chałupie, co łapie, to do Żyda zaniesie. Gdzie ja moge zarobić i na dzieci, i na Żydów! Niech się dzieje wola boska, ale ja nie wytrzymam».

«Bijta me, nie ruchne się».

«Zeby cie, zatracieńce, Bóg skarał, zmarnowałeś me i dzieciska osirocieś. Natłu-kieś nas tyle, że mieńca zdrowego na mnie niema. Skorupy żadnej w chałupie utrzymać nie moge, bo wytłuczysz. Ile razy na mrozie z dzieciskami nocuje, coś syb nawybijał. Zeby cie Pan Jezus pokarał, nie ja. Takiem se szczęście u Boga uprosiła. Nie dziwta się, ludzie moi, bo nie wieta».

Worek wzięła na plecy i powlokła się do domu, jak przełamana kura.

Bartek leżał na ziemi i nie ruszał się.

«Do kryminału pónde, na wiečne casy pónde, ale takiego jesce nie widziały, takiego jesce nie sływały. Takie ci zrobie, jaz sie ziemia zatrząsie».

Leżał i gwizdał.

Bartkowa wszystko z chałupy do sąsiadów wyniosła. Na noc ukryła się z dziećmi w ogrodzie między chwastami. Bała się Bartka pijanego, gdyby w nocy wrócił. Dzieciom podesała worek i przykryła kozuszną. Sama siedziała między niemi w chustce.

«Robaki, co my tera pocniemy. Tom wam dziś na całe życie posłała. Zembrzeć, a nie zapomną wam. Nie wymodle dla was zmiłowania».

Płakała i nasłuchiwała, czy Bartek nie wraca. Niebo drżało razem z gwiazdami. Jedna oderwała się i spadła. Bartkowa zrobiła znak krzyża.

\_\_\_\_\_ *Tłum. Wacław Moraczewski.*

## LESIA UKRAINKA (LARISA KOSACZÓWNA)

(1872—1913)

### PRAGNĘŁABYM POPLYNAĆ WDAL...

Pragnęłabym popłynąć wdal na fali,  
Jak ta Ofelja szalona, w mirt przybrana.  
A pieśni me płynęłyby mi wślad,  
Falując, mknąc, jak te przezyste wody,  
Wciąż dalej, dalej...

Lazurowe prądy  
Jedwabiem fal spowityby me ciało,  
Kołyszac mię do snu, jak to marzenie,  
Tak cicho, cicho...

Wówczas, zbywszy woli,  
Tonęłabym w spowiciu bez oporu,  
Ze śpiewem, już zaledwie dosłyszalnym,  
Nurzając się w błękitne, jasne wody  
Wciąż głębiej, głębiej...

Potemby na fali  
Pozostał dźwięk, nieznaczone, słabe echo  
Mych pieśni, tak jak mrące przypomnienie  
Prastarych klechd, śpiewanych bardzo dawno —  
W nich było coś z dymiącej krwi i smutku,  
Lecz któż je zna? Ta pieśń rozgłośnie brzmiała  
Tak dawno, dawno...

Potem zmiłkłyby oddźwięk,  
Na fali wód wdal płynąłby już tylko  
Zielony mirt, co ze mną wraz nie poszedł  
Na dno... na dno... Hen mknąłby on, aż wreszcie  
Dopłynąłby do cichych, modrych stawów —  
Na wodnych tu bieg wstrzymałby lilijach.  
Płaczące w toń schylałyby się brzozy  
Żalobnych swych splecionych rąk żałobą;  
Z nadziemskich sfer rosiłby na lilije  
I na ten mirt, co rwałaś go, szalona,  
Kojący spokój...

\_\_\_\_\_ *Tłum. Sydir Twerdochlib.*

## BOHDAN LEPKIJ

(ur. 1872)

## PRZED ŚMIERCIA

— Jegomość! Wstawajcie! Do chorego trzeba.

— Co? Do chorego? Po djaka niech skoczą. Niechaj cerkiew otworzy i wszystko co rychlej przygotuje. Ja zaraz wstanę.

Służąca zamknęła drzwi, i słychać było, jak w kuchni powtarzała zlecenie jegomości.

— Do chorego? Cóż robić? Trza iść, choćby się spało.

Nigdy sen nie wydaje się tak smaczny, jak wtedy, gdy nam spać nie dają. Poprawił kołdrę i na chwilę przymrużył powieki. Myśl o chorym przypomniła mu dzwony, i pod wrażeniem ich dalekich dźwięków ukolysał się i zasnął na nowo.

— Jegomość, proszę, djak już dawno czeka.

— Czeka? Powiedz, że idę.

I za godzinę ulicą wiejską ciągnęły dwie postacie. Tonęły we mgle, niby w mlecznym morzu, i nie widziały siebie. Na przenikliwy odgłos dzwonka klękali przechodnie, jako się winno zawsze czynić, kiedy ksiądz idzie z Panem Bogiem.

Na dworze był jesienny przymrozek. Wiejskie, jak ciasto w dzieży, wymieszane błoto ścięło się i świeciło brudnymi kryształkami, które, łamiąc się pod nogami, chrzęściały jak szkło stłuczone. Ksiądz poczuł zimno i śpieszył, djak kroczył przed nim poważnie i co dwa, trzy kroki — dzwonił. Tak przeszli długą ulicę i stanęli przy studni, obok szkoły.

— To tutaj — oznajmił djak.

— Tutaj? — powtórzył ksiądz, uważnie wsuwając się we wrota. Zdziwiony był niepomału, że nikt nie wyszedł na jego spotkanie, że ani sąsiadów nie widzi, ni krewnych, ani lekarzy wiejskich, ni lekarek.

— Może to nie tu? — zawahał się.

— Tutaj, wiem dobrze, toć Skrechota chory. Wejdzmy!

I weszli. W chacie było cicho. Pusto, jak wymiółł. Pościel rozrzucona, ale chorego nie widać.

— Hej, jest tu kto? — wyhukiwał djak, zaglądając do kuchenki i do świetlicy. Ale nikt się nie odezwał, prócz drobiu na bantach.

Siedli na lawie i czekali. A tu i słońce zaświeciło, i mgła się podniosła na chłopca od ziemi. Wtem słyszą z pola:

— Aciu, aciu do chlewa!...

Postąpili za próg i zobaczyli staruszka bosego, z pomierzwionem ponad czołem włosom, jak uganiał się za podświnkami, chcąc je skłonić, by weszły do chlewa. Lecz one, widząc jego niemoc, biegały po całym podwórzu i miały widoczną chęć zaglądnać do sadu, tem bardziej, że płot był lichey, a furtka ladaco. Starzec wołał za nimi rękami i głosem, wlokąc bezradne i bezsilne nogi.

Ksiądz patrzył na to chwilę, wreszcie się począł niecierpliwic.

— A coto wy — powiada — co wy se myślicie? Zwołujecie mnie z łózka, niewiedzieć paco i naco? Kto u was chory?

Stary popatrzył i przykiwnął głową.

— Ta to ja, proszę jegomości, to ja umieram.

— Coto, wy kpicie sobie ze mnie, czy co? Umiera i za bezrogiemi lata po całym obejściu...

— A jakże, proszę ojca duchownego... Jak wyszły, to trzeba zegnać. Poszłyby w ogród albo do sąsiada... Aciu!...

Kto wie, jak długo jeszcze trwałby ten pościg nierówny, gdyby nie djak. Ten położył na ziemi dzwonek i latarnię i podążył staremu na pomoc. Wieprzki, widząc przed sobą tak poważną osobę, dały się zaraz uprosić i weszły do chlewa. Stary jeszcze raz skarcił je słowami ostro i zamknął drzwiczki na grabowy kolek. Teraz dopiero podszedł do kapłana i pocałował go w rękę.

— Niech też jegomość nie gniewają się na mnie. Bo jak to zwyczajnie — wyrwały się, to je trza pozganiać.

— Ja nie gniewam się na was — odrzekł ksiądz — lecz trudzić mię bez naglącej potrzeby, to niesumiennie. Wy przecież moglibyście w niedzielę przyjść do cerkwi i wypowiadać się.

— Boże ty mój kochany! W jaką niedzielę! Ja przecie do południa kto wie, czy dociągnę. Ciało mi cierpło, by spowiedzi doczekać. Bóg widzi, że nie kłamię.

— No, zobaczymy — mruknął ksiądz, wchodząc do izby.

Staruszek zaś poszedł do komórki, aby się przebrać. Wnet wrócił biały i uczesany. Ksiądz nie śpieszył się zbyt, nie widział potrzeby. Rad był pogawędzić ze starym, co umierając, świnie jeszcze chciał pozganiać.

— A dawnoście wy chorzy? — spytał, siadając przy nim na ławie.

— O, dawno, dawno!... Tak niby boleć, to mnie nic nie boli, jeno siła ze mnie wyszła, i już jej nie czuję. Siła wyszła, a niemoc wstąpiła, i zimno jakieś wkrada się do piersi: wyraźnie śmierć.

— I wy tak sami?

— Nie sam, mam dzieci, dobre dzieci, grzech byłoby narzekać. Dziś żadne z chaty iść nie chciało. Obstąpili mnie i płaczą. Ale ja mówię: Poco tu te płacze? Idźcie każde do swojego. Mnie nikt nie ukradnie. A jak mam umrzeć, to i bez was umrę. Ty, Hryńku, powiadam do starszego syna, idź na Zmyjną. Rola gotowa, dawno zasiać trzeba. Może przyjść pogrzeb, znowu się przeciągnie... Ty, powiadam do córki, idź do miasta i kup, co potrzeba. Przyjdzie co do czego, to tu na miejscu u Żydów dwa razy drożej. Synowę posłałem do sąsiedniej wsi, aby dała znać swoim, a zięć miał pójść po księdza i wstąpić do cieśli. Zostałem oto sam i cicho leżę na pościeli, gdy wtem slysę: podświnki się wypuściły. Patrę przez okno — ryjkami wrota podnoszą. Trza je pozganiać — myślę se — i jakoś, Bogu niech będzie chwala, pozganiałem...

— No, i jakże wam, nie straszno przed śmiercią?

— Czego się mam bać? Nikomu człek życia nie skrócił, nikogo nie okradł. Przeżył swoje i wynos się. To tak, jak ten najemnik na polu. Ukończył pracę — i hajda do chaty! Już drugi miesiąc, sprawiedliwie mówiąc, chleb święty trwonię. Siła uciekła, nie robić nie zdolę, a tak podaremnicy dzieci objadać, to niepieknie. I w gardło nie chce iść. Ot, Bogu dzięki, że koniec nadchodzi. Czego się mam bać? Dzieci na ludzi wyprowadziłem, wyposażylem je, czem mogłem, rozumu trochę przyuczyłem...

— Możemy zacząć?... — odezwał się pleban.

— Zaczynijmy z Bogiem — szepnął starzec, żegnając się trzy razy.

Co tylko ksiądz powrócił do domu i brał się do śniadania, gdy z dzwonnicy odezwały się dzwony: Bam! Bam! Bam!

Stary Skrechota umarł.

Pszemica już zasiana, i podświnki w chlewie, córki z miasta tylko co nie widno — mógł spokojnie umierać...

*Tłum. Władysław Orkan.*

#### POD WRAZENIEM MAZURKA SZOPENA

Niekiedy zda mi się, że wszystko jest majakiem,  
 Że się w dziwnym śnie przyśniłem własnej duszy.  
 Gdy rzeczywistość wdał pomyka lotnym ptakiem,  
 Sam sobie ginę z ócz, mrok biały w przestwór prószy.

Rozprzędza mi się jaźń, jako te mgły nad wodą,  
 Jak ten daleki śpiew, co w cichy wieczór płynie  
 Po kwiatach i po mchach z wieczornych ros ochłoda,  
 Aż w ciemnym borze, hen, w przepastnych jarach zginie.

Rozwiałem się, jak cień. I czuję, mnie już niema  
 I może nigdy już, ach, nigdy już nie będzie...  
 Choć słońce ciągle lśni, jak wielka srebrna gemma,  
 Ni dźwięków już, ni barw. Tak cicho, cicho wszędzie.

*Tłum. Sydir Twerdochlib.*

## MYCHAJŁO JACKIW

(ur. 1873)

## KRUŻGANEK DORYCKI

W starożytnej świątyni, opuszczonej na górze wśród miasta, zakłócają potomkowie od czasu do czasu spokój dawnych bogów — urządzając swe zabawy. Po tysiącach lat doczekała się świątynia, że wznowiono w niej Sofoklesowego króla Edypa.

W pierwszym rzędzie siedzi artysta i widzi, jak wspaniały ogrom tej tragedji za ciężki na dzisiejsze siły, jak cała jej potęga ukrywa się przed publicznością. Edyp i publiczność — oboje ślepi; tylko Edypowi nie śniło się poznać jej. Tragizm ślepoty Edypa zetknął się z komizmem ciemnoty dzisiejszego społeczeństwa. A może ta druga ślepotą tragiczniejsza?

Artysta zagłębił się w sztuce; jego zapomnienie miało taką siłę, że zwróciło uwagę pewnego dziewczęcia. Wpatrzyła się weń intuicją swą i zapragnęła widzieć i odczuwać jego duszę.

Zewnątrz świątyni powiewają na tle pogodnego, ciemnobłękitnego wieczora chorażwie, a opodal siedzi na płycie staruszka. Szeptem odmówiła modlitwę, oparła głowę na ręce i wpatrzyła się w starożytne kamienne ściany świątyni. Zmierzch. Na ciemnym krużganku zamajaczyły dwa cienie, staruszka drgnęła i szybko zeszła wdół.

Przedstawienie skończyło się, w świątyni znów pusto i glucho.

Mijają dnie i noce, dziewczyna więdnie, usycha w cieniach tęsknoty i smutku, lecz artysta nic nie widzi i nie przeczuwa.

Pewnej nocy wybrał się w daleką podróż i przechodził przez górę obok świątyni. Szedł krużgankiem. Była cisza, księżyc świecił jasno i rzucał grube cienie arkad. U podstawy ściany spoczęło smutne światło. Artysta, usiadłszy na kamiennej podłodze, wpatrzył się w to światło, a ono — samotne, nieznanne, martwe — miało właściwą sobie mowę i przyciągało go. Zadrżał, dobył sztyletu i obejrzał się. Wokoło pusto i glucho. Wczuł się znowu w światło na ścianie, posmutniał smutkiem rozłąki z tem miejscem na wieki. Z pod ziemi dolatywały tłumione jęki i westchnienia, tajemne gwary i szelsty, przed nim rozwijał się wspaniały błady korowód bogów, rozwijał się czarownym tańcem i ulatywał chmurą ponad gaje mirtu i cyprysów. Artysta nie zauważył, że zbliżył się do niego chwiejny cień kobiety. Przystanąła na chwilę i rzuciła mu się z rozdartym śmiechem na szyję. Nagłym lękiem ogłuszony, uchwycił sztylet, przebił ją i umknął.

W dalekiej podróży drżał nieraz na to wspomnienie i wierzył, że wymknął się z rąk rozbójnika.

Kto przechodzi nocą przez ten krużganek, czuje, jak trąca o niego skrzydło tajemniczego smutku, lecz skrzydło to szybko znika.

Zasłona zapadła. Prawdziwe, wielkie dramaty niezawsze wychodzą najaw, lecz pozostają poza ludzką uwagą tak daleko, jak te dwa cienie, co przelekły staruszkę, i nie nam sądzić takie przestępstwa.

*Tłum. Sydir Twerdochlib.*

## OLEKSANDER OLEŚ

(ur. 1878)

## Z «OBCZYZNY»

Nie patrzy w słońce wzrok żaloszny —	Lecz gdy się ugną złękłe wrogi,
Wciąż jeno widzę w marzeń snach	Zwycięstwem mignie krwawa stal —
Minione dni, ubiegłe wiosny,	Kwiatem uśmiechną się rozłogi,
Sercu bolesny i radosny,	W słońcu rozbłyśnie wstęga drogi,
Skąpany we krwi i we łzach —	I pieśń, jak ptak, poleciał w dal —
Ojczysty kraj.	O kraju mym!

Niechaj przyleci wieść przez mury i zasłony,  
 Czy w wielkanocną noc dzwoniły u nas dzwony,  
 Czy usta śmieją się, czy oczy wznoszą wzwyż,  
 Czy Zmartwychwstania moc zwycięża męki krzyż?  
 Niechaj przyleci wieść przez mury i zasłony...

Niechaj przyleci wieść, bracia i siostry miłe,  
 Czy darmo wróg gotował nam mogiłę,  
 Czy w sztandar nasz niepróżno wsiąkla krew,  
 Czy serca wciąż wolności słyszą zew?  
 Niechaj przyleci wieść, bracia i siostry miłe...

*Tłum. J. Bajkowska.*

#### WIEŚCI KRUKÓW

Co dnia lecą kruki, wrony,  
 Co dnia kraczą z każdej strony:

«Tam spalono,  
 Tam stracono,  
 Tam schwytano,  
 Tam zabrano,  
 Uwięziono,  
 Oślepieno  
 I cichaczem  
 Uduszono...  
 Kra-kra-kra!

Po wsiach chłody,  
 Po wsiach głody...  
 Od chałupy do chałupy  
 Z popem śmierć gromadzi lupy:  
 Popa kieszeń pustką świeci,  
 Śmierć umiera: ciężkie sieci!...  
 Czart na skrzypcach ztyłu gra,  
 Depce trupy... kra-kra-kra!

Czegoż wy patrzycie? — płaczcie!  
 — Kruki, wrony — o, nie kraccie...  
 Wszyscyśmy tu głusi snać...  
 «Jakżeż to się mogło stać?»

— Wilczem zielem nas upito,  
 W nasze uszy gwoździe wbito,  
 Potem wszystkim lby skręcono  
 I na wolność żyć puszczono.  
 Noc my prześpim, dzień przedyszym,  
 Wszystko widzimy, a nie słyszym  
 I nie zgadniemy lby strutemi,  
 Co też to na naszej ziemi —  
 I nie wiemy już — szaleńce —  
 Czyśmy wolni, czy też jeńce...

Nagle chmary wron wleciały,  
 Wrzały, śmiechem zawrzęszczały...  
 «Kra-kra — wolni! kra — nie jeńce!  
 To szaleńce! to szaleńce!»

*Tłum. Sydir Twerdochlib.*

#### MYKOŁA FILAŃSKYJ

(ur. 1873)

#### O ŚWICIE

Ja w pierwszy świt przed wschodem słońca  
 Obaczę łono ziem do końca,  
 Nawiedzę gaj skroś ciszę niw  
 I do wieczornych przylgnę iw.

I może, jeśli moc wyteżę —  
 Ich sen wieczorny przewycięzę,  
 A liść przesaczy pośród skarg  
 Swe chłodne rosy do mych warg.

Nad gajem błysnie krąg świetlany,  
 Potoczy jaśń sennymi łany,  
 I będzie blask nadziemskich złud  
 Nad niemi płonął, lśnił, jak cud.

I będzie błyszczał skrå skrzydełek  
 Rój dyjamentów — z mgły perełek  
 Coraz to inna lot rozwinie  
 I w pocałunkach słońca ginie...

A we mnie żal ta chwila ziści,  
 Żem ja — nie rosą sennych liści,  
 Że z wiewem lotu nie rozwinę,  
 Że w pocałunkach — ja nie zginę...

## W ODWIECZERZ

I śnię, i błogosławię wraz  
Wieczorny, cichy, lśniący czas,

Wieczornych niebios święty mszał,  
Przygrywkę serca, lutni szal —

Płomienną gwiazdę tęskny zew  
Nad pysznym łonem barwnych drzew,

Ach, oby kiedyś wzrok mój zgasł  
W wieczorny, cichy, jasny czas!...

*Tłum. Sydir Twerdochlib.*

SYDIR TWERDOCHLIB  
(1886—1923)

## WSPÓLCZESNY TWÓRCA

Jak Dante — w bór wstępuje wilczy,  
Jak cień Chrystusów — w piekiel bramy.  
Na twarzy jego sen Gotamy,  
A Hioba skarga w piersi milczy.

Wciąż naprzód gna go przeznaczenie  
Zaklinać dolę po bezdrożach.  
I wciąż go mami w chmurach, w morzach,  
Za siódmą górą mgliste lśnienie...

Szum dni powszednich brzmi pogardą,  
Gdzie tylko stanie na rubieżu —  
Lecz on swej arki dumnie strzeże,  
A w tłum doczesny wchodzi hardo.

Gdzie okiem rzuci — w węzowisko  
Skłębione ludy... Żądze płoną  
Za świecidełkiem nad koroną —  
Za skrytym grzechem — złota miska.

O, bądź przeklęty, gwarny świecie,  
Co już niczego się nie wstydzisz,  
Wydrwiwasz piekło, z bóstw swych szydzisz,  
Odbierasz cichy czar obietel...

## CEDRY O ZACHODZIE SŁOŃCA

Zachodzi słońce. Cedry wzgórza  
Ze skał w wieczorną szumią dal;  
Na brzeg wynosi gniewna burza  
Korale z głębi fal...

Spojrzały cedry — nurty... morze...  
Korale wicher wzdłuż i wszere  
Po górach rozsiał, po ugorze,  
Jak deszcze krwawych łez.

I słyszą, jak omdlałe w sile  
Odmęty cichną, kona szum —  
Hen rozsiał zachód na trzy mile  
Siew krwawych, krwawych dum...

## NOC POPIELCOWA

Oto noc popielcowa, licznych samotników  
Powiernica i wróżka, iszcząc kapryś chwili,  
Prowadzi dziś przez wnętrza biednych pokoików  
Korowód gejsz Nipponu i gitan Sewilli.



To znów im o nieznannej szeptce Ulajali,  
Czczem widmem nudy dręczy, prawi o ich nędzy  
I wypędza nareszcie w sien balowej sali,  
Kędy stać będą cisi, nie mając pieniędzy.

Co chwila zajeżdżają pod dom kabriolety,  
Usłużnych samochodów turkot zadyszany  
Coraz to cudowniejsze wieści im kobiety,  
Nim wynurzą się bosko z gazy białej piany.

Lecz zwolna ich przygnębia smutek boleściwy,  
Jakieś ulotne echo przedwiecznej przygody...  
Więc każdy z nich rozmyśla: «Czym jest król Niniwy?...  
Czym nie ja miał w prawiekach wiszące ogrody?

Gdzież są moje hurysy, moje odaliski  
I najczulsze kochanki królów — niewolnice?»  
I slaniając się, zwolna, łez rozpaczy bliski,  
Odchodzi w najciemniejsze ukryć się ulice.

Chmurnej nocy na losu żali się koleje,  
Nie bacząc, że do nitki wnet z jej łez przemoknie —  
A wkońcu postanawia badać własne dzieje  
W każdym niezasłoniętem parterowym oknie;

Wtenczas cichy samotnik, ze wzruszenia blady,  
Po przymurkach się wspina ze zręcznością kocia  
I, drżąc, śledzi przez szyby nagi bezwstyd zdrady  
Tej, co ją żoną króla zwał przed wieków krocia...

Jedyną jest mu ulgą, kiedy się wydarzy,  
Ze ujrzy dręczzonego pastwą jej okrutną  
Sobowtóra — jednego z wygnanych mocarzy...  
I wtedy mu współczuje, i jest mu mniej smutno.

(Tłumaczenie autora.)

## PAWŁO TYCZYNA

(ur. 1891)

### TAM NA POLU...

Tam na polu wysmukłe topole  
(Na zachodzie ofiarny drży stos).  
Z bujnym wichrem, swawolnym i dzikim,  
Rwą się, prężą ramiona me wdal...

Kłosi wicher zagony nad szlakiem  
(Hej, tam chmura z południa i grom).  
Ktoś zawodzi daleko i cicho —  
Jakby ptaków trzepotał się lęk...

Idę w przestrzeń pochmurny i trwożny  
(Gaśnie dzień, roni płaty, jak mak).  
W mojej piersi orkany bezdrożne —  
I bandury skarżący się szloch...

Rozżagwiona ma pieśń i szalona  
(Pali niebo i nieci swój dreszcz).  
O, rozperlij się w jasne akordy,  
O, rozszołchaj — i ścichnij, jak deszcz...

### NIE PATRZ NA MNIE TAK...

Nie patrz na mnie tak laskawie,  
Tak kwietniowo-łzawie.  
Żreją zorze, jak pszenica:  
rzyjdzicie ma tęsknica.

Nie pieść mnie tak jedwabście,  
Sokolnie — złociście.  
Kwitną róże miodne, chłodne —  
Przyjdą dnie pogodne.

Już od wschodu wiatry wieją —  
 Znów się lzy poleją!  
 Wstali mama, tato, słonko:  
 Kędyż jaskółczątko?

A ja tutaj na ławeczce,  
 Kwiatki do mnie szepcą...  
 Co odpowiem im? — Nie skłamię:  
 Tak — kwietniowo prawie...

## NAD ZIELONYM JAREM...

Nad zielonym jarem —  
 Gdzieś za rzeką dzwonią:  
 Czekam skrzydeł wiatru —  
 Cień mój tonie, ginie gdzieś...

Wierzę wszystkim dalom —  
 Gdzieś za rzeką dzwonią:  
 Włosy twe mnie palą —  
 Cień mój tonie, ginie gdzieś...

Wypływają chmury —  
 Żal jak kłos pęcznieje:  
 Od chmur woda szara —  
 Oszaleję — czekam cię...

Przypłyniesz, odpłyniesz —  
 Żal jak kłos pęcznieje:  
 Słońce się odmienia! —  
 Oszaleję — czekam cię...

## PO BŁĘKITNYM STEPIE...

Po błękitnym stepie  
 Czarny wicher!  
 Świat ogarnął ślepy —  
 Czarny wicher...

Spojrzy słońce w pola szare,  
 W siole głód!  
 Chodzą matki, niby mary —  
 Czarny wicher...

Poszłam kosić łąkę młodą.  
 Chmura — grom!  
 Oj, nie wrócą z wojny do dom —  
 Czarny wicher...

Na obczyźnie gdzieś na wojnie  
 Bez krzyża; kruk...  
 Przeklinam was... i wojnę! —  
 Czarny wicher...

## I ZA SIOŁEM...

I za siołem tem —  
 wszystkich rozstrzelali,  
 mundury zrywali,  
 głowy odsiekali,  
 bili czołom im.

Przyszła zima znów! —  
 teraz już swoboda,  
 ziemia ciepła, młoda,  
 cichy grób — wygodna,  
 ale niema głów.

Gdy noc pada z nóg —  
 ze światłami chodzą,  
 śpiewy w krąg zawodzą,  
 szukają, znachodzą  
 zagrzebany pług.

## MADONNO MOJA

Już sławią, śpiewają  
 imię — nowinę.  
 (Ave, Maryjo,  
 moja Kalino!)

Na biodrach, jak strunach,  
 ręka spoczywa.  
 Witaj, dziewczyno, —  
 czyjaś ty, czyja?

Idę i śmieję się:  
 życiem raduję!  
 Słońce na skrzypcach gra,  
 chmurki tańczą.

Powiem — nie powiem ci:  
 wszystkich i twoja...  
 (Ave, Maryjo,  
 Kalino moja!)

## WOJNA

## I.

Zasypiam. Sen:  
 Trzej anieli u mego wezgłowia.  
 Anioł pierwszy wzrokiem wszechogarnia.  
 Anioł drugi słuchem wszechprzeczuwa.  
 Anioł trzeci mądrość wszechposiada.  
 I śni mi się dziwnie  
 Mój syn.  
 Walczy samotny. Pierś swą od ciosów osłania.  
 Osaczon w krąg. Okrwawion się ślania.  
 (Anioł pierwszy oblicze zastania.)  
 I jakby wielka oddal i zielona łąka.  
 «Zegnajcie, matko!» — głos w wichrze się błąka.  
 (Anioł drugi krzyż ku mnie wyciąga.)  
 A wichur niesie: «Nie płaczcie, matko, nie zginę,  
 Gdy w boju legnę za Ukrainę!»  
 (Anioł trzeci gra słodką nowinę.)  
 I śni mi się dalej  
 Mój syn.

## II.

Słońce — na prawo.  
 Miesiąc — na lewo.  
 Jutrzenka w oczy spogląda.  
 — Błogosławię cię, synu, na wroga.  
 A on: «O, matko droga —  
 «Nie znałem-ci ja wroga  
 «I nie znam.  
 «Nasz wróg jedyny bliski —  
 «To nasze serce.  
 «Błogosław, matko, abym posiadał męstwo,  
 «Znalazł lek-ziele na ludzkie szaleństwo».  
 — Wyciągam dłonie do krzyża —  
 Wokoło pustka i cisza.  
 Kruk czarny jeno: kral kral!..  
 Słońce — na prawo.  
 Miesiąc — na lewo.  
 Jutrzenka w oczy spogląda.

*Tłum. Juljan Wołoszynowski.*

## MAKSYM RYLŃSKYJ

(ur. 1895)

## TAK, MYŚMY PROLOG...

*«Prolog — nie epilog»  
 (I. Franko)*

Tak, myśmy prolog. Wasi są królowie  
 I szubienice, i kościelne dzwony —  
 Nas tylko wczoraj z gliny ulepiono,  
 I naród nasz — jak ongiś pierwszy człowiek.

Myśmy nie byli nigdy jeszcze sobą,  
 Nasz okręt nigdy wielkich wód nie krajał,

Nas nie nęciły nigdy obce kraje  
Nieznanych kwiatów wonią i ozdobą.

Nikt z nas imienia swego nie posiada,  
Nikt z nas języka ani woli nie ma,  
My — śliska mgła, my — woda zimna, niema,  
My — niewidzialna ludziom widm gromada.

I nagle — krew zawrzała w naszych żyłach,  
Radośnie ciało ze snu się rozkurcza —  
Na chmurnem czole myśl zalśniła twórcza  
I martwą ciemność cudem ożywiła

Narody, państwa! Dźwięczne, morskie fale  
Dni i pokoleń! Głos usłyszcie niemych:  
Wasza jest przeszłość — przyszłość zdobędziemy!  
Dla was jest ziemia, dla nas — bezkres dali!

—————  
*Tłum. Eugenjusz Żytomirski.*

## EWHEN MAŁANIUK

(ur. 1897)

### Z CYKLU «WAREGJ»

Oto ich trzech: surowy Ruryk,  
Syneus, wesół blaskiem chwał,  
A trzeci Truwor, bard wichury,  
Co Rusi śpiewne skrzydła dał.

Jak stworzyć mężów z niewo ników,  
Żelazo z ziemi wyrwać wewnątrz?—  
I chmurny Ruryk rabom wykuł  
Miecz wielki, lśniący w blasku tęczę...

Jeden — ataman, budowniczy,  
W drugim jest mroźna radość dni,  
A ostatniemu blaskiem zniczy  
Twarz pałająca krwawo lśni...

Jak pchnąć ich wdał, na mórz obszary,  
Jakże nauczyć głębie pruć? —  
Za plemion mnogość, stepów czary  
Syneus smolną dał im łódź.

A wokół... Greci to czy Scyty,  
Z bizanckich krańców ludzki pył —  
Jakże w nich nieba tchnąć błękity,  
By im Dażbohem Odyn był?...

Jak przerwać dusz ich sen zaklęty,  
Jak ogień życia wlać do żył? —  
Rozżarzył Truwor płomień święty  
I sztandar chwały w ziemię wbił.

*Tłum. Konstanty Symonolewicz, jun.*

### WARSZAWA

Wpatrujesz się chmurnie, spiżowo  
Ponad piętra i ludzi, i twarze,  
Grzmi pod tobą, dygocąc miarowo,  
Stolica w burzliwym rozgwarze.

Wdali mewy wiślane krzyczą,  
Fala brzegi piaszczyste liże,  
Czarne miasto twoje, Mickiewiczu,  
Eurazyjskim jest dla mnie Paryżem.

Szumia głucho preludja jesieni,  
Dyryguje Chopin listopadem.  
Ludzie tutaj — tacy spóźnieni,  
Władza tutaj — z legendarnym czadem.

W mgłach wyspiańskich Belweder, owiany  
Petersburskim tumanem mrocznym.  
W sennych oknach — czy to płomień, czy plamy?  
Szare widmo — uroczyste czy uroczone?

I kiedy gałęzie zaskrzypią,  
I wschód zionie ziębiącym nordem,  
Wicher liśćmi Aleje zasypie,  
Bruk wyściele mongolskim hordom.

Leci, leci ordzewa liściasta,  
Tatarskiemi się kładzie kilimami.  
Pilnuj, pilnuj swojego miasta,  
Wartownika spiżowy, Adamie!

*Tłum. Julian Tuwim.*

---

*Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.*

JAN CZECZOT

(1797—1847)

GDYBYM W KARCZMIE NIE SIADYWAŁ...

Gdybym w karczmie nie siadywał,  
Tobym częściej chleb spożywał;  
Tedy karczmę winić trzeba,  
Że kawałka nie mam chleba.

Gdyby nie karczemne stoły,  
- Tobym krówki miał i woły;  
A więc karczmy to jest wina,  
Że i wołka nawet niema.

Gdybym tam nie siedział ciągiem,  
Tobym całą miał siermięgę;  
Taka tedy to zapłata,  
Że siermięga cała w łątach.

Oj, już siedzieć tam nie będę,  
Żeby chleb mieć i siermięgę;  
Ze dwie pary wołów, krów —  
Gospodarzem będę znów!

*Tłum. Alfred Tom.*

WINCENTY DUNIN-MARCINKIEWICZ

(1807—1884)

ZE «STAUROWSKICH DZIADÓW»

Z potrawami miski Katarzynka znosi,  
Danilo częstuje, gości godnie prosi.  
Każdy na glinianym kładzie coś talerzu,  
Lecz zanim jeść zacznie, pierwszą łyżkę bierze  
I leje do misek, co tam stały w środku,  
Aby i duszyczki uraczyć łakotką.  
Barszczyk ze słoniną podano do stołu,  
Kwaśną wereszczakę z kielbasą pospołu,  
Potem greckie bliny na obrusie stały,  
A dalej z prosięciem krupnik lotem strzały  
Pośpieszał w talerze: toć wieczera święta!  
Gęsta też lemieszka — kto jej nie pamięta! —  
Pęczak i jagłana ze skwarkami kasza:  
To jest jadło chłopskie! — to pociecha nasza!...  
Ot, na łyżce Kasi motyl siadł niebieski,  
Z oczek jej trysnęły drobniućki łezki;  
To matuchny drogiej jest duszyczka święta —  
Myśli sobie Kasia, wlepi weń oczęta,  
Nie porusza łyżką, aby motyl jadł;  
On posiedział krzynę — i poleciał w świat.  
Pod koniec wieczery młody gęślarz dał  
Znak dobrodziejowi; wówczas Kozłarz<sup>1</sup> wstał

---

<sup>1</sup> Duchowny z czasów pogańskich Białorusi.

I zaczerpnął łyżką ze wszelakiej strawy,  
 Poczem pod stół rzucił, nie gwoli zabawy,  
 Ale że obyczaj dawny tak nauczał;  
 Gdy się skończył obrzęd, on zaraz zamruczał:  
 «Staury, Haury — hu!  
 «Przyjdźcie do nas tu».

Nagle jakby w sieni coś tam zaszumiało,  
 Rzekłbys, przyfrunęły wrony chmarą całą;  
 Potem psów jakoby ujadaty głosy —  
 Ze strachu tu wszystkim dębem stają włosy.  
 Zerwała się Marchwa, pochwyci łopatę,  
 Ale Kasia, wzięwszy misę wereszczaki,  
 Śmiało ku drzwiom idzie i otwiera chatę,  
 Ażci wchodzą jakieś dwie wielkie sobaki.  
 Marchwa, przerażona, wciąż łopatą grozi,  
 By wygnali licho, wszystkich gości prosi;  
 Zato Kasia wcale psów się nie obawia,  
 Misę z wereszczaką pod sam nos im stawia,  
 Śmiało też każdego objęła za szyję;  
 Brytan patrzy mile, ogonem wywija. — — —  
 Jak brytany się najadły,  
 U nóg Kasi sobie siadły,  
 Potem jakby się ocknęły  
 I za drzwiami gdzieś zniknęły,  
 Tylko przy Kasinej nodze  
 Coś błysnęło na podłodze.

Schylita się dziewczka i palcami chwyta  
 Dwa cacka, co świecą, jak promienie słońca,  
 Biorą je też goście i każdy się pyta,  
 Co za dziwa jakieś? — A Kozłarz, patrzący  
 Na Kasin podarek od tych dziwnych psów,  
 Duma, aż z ust płynie taki potok słów:  
 «To tu cacko złote jest obrazem Łady<sup>1</sup>,  
 Jej też o dobytek włościańskiej gromady  
 Proście, dziatki moje! Drugie — to krzyż pański,  
 Więc droga pamiątka wiary chrześcijańskiej.  
 Kto z was obrazowi Łady odda cześć,  
 Ten w rozkoszach, szczęściu będzie żywot wieść;  
 Aby zaś, dziateczki, nie rozgniewać nieba,  
 Tę drugą pamiątkę w ogniu spalić trzeba.  
 A te psy — to własność pana Hromoboja,  
 Który był ksiąźciem niegdyś Krasnopoja;  
 Za wszelkie usługi, za hołd, mu oddany  
 Przez Staura i Haura, dzielne te brytany, —  
 W hramocie do wiernej poddanych gromady  
 Nakazał biesiadą czcić staurowskie dziady;  
 Dzień wyznaczył, kiedy mają być w pamięci,  
 Dzień, gdy Staura, Haura się na chutor<sup>2</sup> nęci.  
 Oto baczcie, dziatki, tylkośmy zakleli,  
 Przyszły na wieczerzę, gdzie siedzim weseli,  
 A dorodnej córce waszej, Katarzynie,  
 Za jej dobre serce przyniosły gościńce. — — —

*Tłum. Alfred Tom.*

<sup>1</sup> Pogańska bogini dobra i piękna.

<sup>2</sup> Mały folwark odosobniony.

## FRANCISZEK BAHUSZEWICZ

(1840—1900)

## KOŁYSANKA

Luli, synku, luli, miły!  
 Wszystkie kurki się uspiły!  
 I kurczątką jednolatki  
 Pod skrzydłami swojej matki.  
 A ty czemu nie śpisz, synku?  
 Może kiedyś będziesz panem  
 Albo wielkim kapitanem,  
 A jak matka przyjdzie w gości,  
 Ież będzie mieć radości!...  
 Ledwo zdąży się na ławie,  
 Przed nią syn chleb, sól postawi,  
 Rączki, nóżki jej obejmie  
 I odezwie się uprzejmie.  
 Poczęstuje miódkiem sytnym,  
 Blinkiem miękkiem a podsitym  
 I pierogiem nadziewanym,  
 Z wereszczaką wraz podanym...  
 Luli, synku, luli, miły,  
 Bo już kurki się uspiły!  
 Toż to rada będzie matka! —  
 Chociaż prosta z niej soldatka,  
 Ze czcią każdy ją pozdrowi,  
 Skoro się o synu dowie.  
 Luli, synku, luli, miły,  
 Bo już kurki się uspiły!  
 Może kiedyś będziesz panem

Albo wielkim kapitanem:  
 Ludzi Bożych bić będziecie,  
 Trudno będzie żyć na świecie;  
 Będą kłać, jak jakie lichy,  
 Boga o śmierć prosić cicho.  
 Luli, synku, luli, miły,  
 Bo już kurki się uspiły!  
 A gdy matka przyjdzie w gości —  
 Syn wyrzuci stare kości;  
 Żebrać będzie szła do wioski,  
 Modlić się do Matki Boskiej,  
 By zapomnieć o tym synu  
 I nie wiedzieć, gdzie on zginął.  
 Luli, synku, luli, miły,  
 Bo już kurki się uspiły!  
 Oj, już nie bądź ty mi panem  
 Ani wielkim kapitanem —  
 Bądź, czem matka cię zrodziła,  
 Żeby w gości nie chodziła,  
 Bym wiek z tobą wiekowała,  
 Harowała, pracowała...  
 Luli, synku, luli, miły,  
 Wszystkie kurki się uspiły!  
 I kurczątką jednolatki  
 Pod skrzydłami swojej matki!...

*Tłum. Alfred Tom.*

## MOJA CHATA

Biedna chatka moja przycupnęła skraju,  
 wśród kamieni, piasków, u samego gaju,  
 u samego boru, przy samiutkim lesie.  
 Nikt nie trafi tutaj, choćby w interesie.  
 Jak gorzałki niema, niema kęska chleba —  
 jakież tu interes, komuż tu iść trzeba?  
 Lecz choć niema chleba, żebrać ja nie będę:  
 będę żył jakkolwiek, w pracy chleb zdobędę!  
 Lichaż moja chatka: podwalina zgniła,  
 dymna jest i zimna — a mnie jednak miła!  
 Mieniać się nie będę, choćby i na zamki;  
 miłszy własny kotelek, niżli cudze klamki.  
 Mech na strzesze porósł, na mchu rośnie brzoszka;  
 miłsza mi jest chatka, niżli obca wioska.  
 Oj, swataliż-ci mnie, kusząc obcą chatą,  
 ziemią urodzajną, dziewczką tam bogatą.  
 Będziesz żył, gadali, całkiem, jak posesor,  
 jeździł parą koni, jak sam pan asesor.  
 Ale dla mnie droższy jest ten węgiel zgnity,  
 kamień ów przy drodze, piasek do mogiły,  
 niżli cudze pole, niż dom murowany!  
 Lepszy mi, niż surdut, kaftan mój porwany.



Proszą mnie w gościnę choćby do sąsiada;  
 naco mi? nie trzeba — powie, że objada.  
 Od cudzego chleba wargi się ściągają;  
 ci, co chcą cudzego — swoje porzucają.  
 Ja nie rzucę chaty, choć mnie rznąć przybieżcie,  
 i nie pójdę do was, chyba że w areszcie.  
 A choćby mnie siłą oderwali z domu,  
 jak ten niedźwiedź, wrócę kiedyś pokryjomu.  
 Niech się chata zwali, zgłuszą się pokosy,  
 to i takbym wrócił, choćby goły, bosy!  
 Bierwion nawysiekam, potem mchu naznoszę,  
 znówbym sklecił chatę, byle jak, potrosze.  
 Zrobiłbym komorę, wykuł sobie żarna —  
 własny chleb-bym jadał, choć w nim mąka czarna!  
 Nuże, idźcież sobie — naco wam mnie trzeba:  
 Czy — bym chleb wam zjadał, czy — dostarczał chleba?

*Tłum. Antoni Bogustawski.*

### HYMN BIAŁORUSKI

A któż to idzie, a i któż to idzie  
 W tej przeogromnej i głuchej gromadzie?  
 — To Białorusy...

A cóż to oni niosą na ramionach,  
 W pokaleczonych, zakrwawionych dłoniach?  
 — Krzywdę odwieczną...

A kędy, kędyż to oni zdążają?  
 — Na świat szeroki!... Swą krzywdę rzucają  
 Światu w oblicze!...

A któż to wywiódł te mnogie miliony,  
 Kto ze snu zbudził, iż są zbudzone?  
 — Ból i niedola!...

A czego, czegoż zapragnąć zdołali —  
 Oni wzgardzeni i ślepi, i głusi?  
 — Ach, zwać się ludźmi!...

*Tłum. J. Ł.*

### ALOJZJA PASZKIEWICZ-KEJRYS («CIOTKA»)

(zm. 1916)

#### SKRZYPKA

Czego słowo nie wypowie,  
 To, czem nasze serce wzbierze —  
 Dość wziąć skrzypkę w ręce obie,  
 Póki mocy nie brak wierze,  
 Póki myśl się rwie do nieba,  
 Póki skrzydła nie złamane,  
 Póki chleba duszy trzeba —  
 Struny będą grały same,  
 Smyczek będzie górnij strzelać,  
 Skrzypki będą posłuszniejsze:

W piosnkę można wszystko przelać,  
 Co najlepsze, najmilejsze.  
 W pieśni można dać pioruny,  
 Pieśnią — serca rwać w kawały;  
 Gdyby mocne były struny,  
 I o szczęściu-bym zagrała!  
 Śmiechem-bym zagrała kwietnym  
 I szeptami niw złocistych,  
 Kos i sierpów dzwonem letnim,  
 Miodem słodkim lip puszystych.

Zagrałabym piosnkę matek,  
 Co nad dziecka brzmi kołyską,  
 Cały skarb rodzinnych chat —  
 W pieśniwym zawarła wszystko!  
 Chcę na strunach go rozdzwonić,  
 Chcę roztopić w serca żarze —  
 Naród objąć i osłonić,  
 Nowe wznosić mu ołtarze.  
 Przy ołtarzu jabym grała,  
 Pragnąc duszę w dźwięki wcielić,

Wzywałbym, to witać chciała,  
 To sąsiadów rozweselić.  
 Modliłby się smyk, gdy trzeba,  
 To znów zaklął na pioruny,  
 Albo skargę niósł do nieba —  
 Byle mocne były struny!  
 Struny — tęgie, smyk — niekruchy,  
 W żyłach krew mi kipi żywa.  
 Cyt! Słuchajcie, miłe druhy,  
 Moja skrzypka się odzywa.

*Tłum. Alfred Tom.*

## JANKA KUPAŁA (J. ŁUCEWICZ)

(ur. 1882)

### PIEŚŃ DO SŁOŃCA

Cichym gwarem tych choin wysokich,  
 Mgłami sennych tych nizin w krąg nas,  
 Baśnią bliskich i wieków dalekich —  
 Wszyscy, słońce, wołamy cię wraz.

Rozpuść wokół złociste swe kosy,  
 Zmarzły zagon promieniem swym grzej,  
 Kwieciami pokryj na łąkach pokosy,  
 Wschody nowe na ziemi tu siej!

Z niepozorną, potulną ziemcią  
 Ślubem zwiąż się i wiecznie w nim trwaj!  
 Zwierciadlaną się rozlej krynica,  
 Gdzie dolina czy górski jest kraj!

I po siołach się rozsyp, po niwach  
 Brylantami rzeźwiących nas ros!  
 W barwach tęczy się kąp migotliwych,  
 Upieść serce i duszy ściszyć los!

Słońce! w święto jak owo, w Kupale,  
 Znow tak młode się stajesz, jak wprzód, —  
 Odnów naszej krainy też chwałę,  
 Odnów cały smęcący się lud!

Niech jawory brzmia wieczne nam dumy,  
 Niech sny-baśnie szeleszczą wśród drzew!  
 Niechaj niosą się hen owe szумы  
 I przez świat cały lecą, jak zew!

Spójrz z choromów swych wolnych, wysokich  
 Na Krywicki, osnuty mgłą niż!  
 Baśnią bliskich i wieków dalekich  
 Społem ślemy wołanie ci wzwyż!

*Tłum. Marja Rudzińska.*

### SPADEK

Od wieków po pradziadach mych  
 Mnie spadek nie ominął;  
 On w kole obcych, jak i swych  
 Pieszczotą mi matczyną.

Bają mi o nim skazkę-sen  
 Wiosenne przetainy  
 I wrzosów leśny szelest ten,  
 I w polu dąb jedyny...

O nim mi bają skazkę-sen  
Z lip bocki swym klekotem  
I stary ów omszały tyn,  
Co w wiosce legł pokotem.

I jednostajny jagniąt bek,  
Huczający na pastwiskach,  
I ony wronich gromad skrzek  
Z nad mogił cmentarzyńska.

I w czarną noc, i w biały dzień  
Wciąż troskam się okrutnie,  
Czy aby skarb nie przepadł gdzie,  
Czy go nie zjadły trutnie.

Nosimy go w głębinie dusz,  
Gdzie wieczny płomień nieci,  
Co pośród mroków i wśród głusz  
W wądołach jeszcze świeci.

Z nim żyje myśli moich rój,  
Z nim sen śnię dobroczynny...  
A zowie się ten spadek mój  
Zwyczajnie: Kraj rodzinny.

*Tłum. Alfred Tom.*

### KOSTUŚ MICKIEWICZ (JAKÓB KOŁAS, TARAS HUSZCZA)

(ur. 1882)

#### DOCZekał się

(Początek)

Roman Szuldziak właśnie odprzągnął od pługa konia i puścił go, by paść się w młodej dąbrowie nad jarem, a sam się położył w cieniu rozłożystego dębu.

Ech, miłaś ty, godzino odpoczynku, po pracy! A Roman się przecie napracował: już na polu, chodząc za pługiem, spotkał on wschód słońca. Z początku nie szła robota — zwyczajnie, nie było ochoty do pracy, bo jego przydział był najgorszy. Ale ponieważ dostał ten przydział według losu, nie było na kogo narzekać. A jednak trzeba było złość swą wylać na cośkolwiek czy na kogokolwiek. Istotnie Roman, prowadząc pierwsze brózdy, wrzał złością na nowe porządki, a najwięcej — to na tę «komunję», bo bardzo było krzywdzące, że wzięła go za kułaka; szczególnie zaś dopiekał mu ten «bosiak» — Kondratow Chwedźka. Żeby to chociaż był człowiek, a to zwyczajny obdarty, co przehulał całą swą ziemię jeszcze przed wojną, potem włóczył się po kopalniach, nigdzie miejsca nie zagrzał, na Syberję pojechał i tam też nie osiadł, a teraz oto wrócił, zamieszkał we dworze i krzyczy: «Ja — proletariusz, a wy — kułaki, zabraliście wszystko i krew moją ssiecie!» Dobrał sobie współpracowników, zrobił się prezesem «komitetu nędzarzy»; sam nic nie robi, tylko chodzi ze swoją kompanją po zamożnych gospodarzach, żeby gdzie co zabrać i zapchać swą wstrętą gardziel. A jednak nie chce im się iść wojować za «komunję». «Myśmy, powiada, bardziej potrzebni tutaj na tyłach, niż na froncie».

Skończywszy snuć swe myśli o Kondratowym Chwedźce na tej chwili jego życia, gdy tegoż Chwedźkę przyłapano na łapówkach, wskutek czego wyleciał z posady «prezesa» i został oddany pod sąd — Roman uspokoił się trochę. Robota pomału wciągnęła go w swój krąg. Szybko chodził za pługiem i tylko na zakrętach wycierał mokre swe czoło, odsuwając na kark czapkę. Wtedy dopiero, gdy słońce dopiekało, jak się należy, a koń i on sam zmęczeni się porządnie, odprzągnął konia, by pochodził po trawie, a sam położył się pod owym dębem.

Dzień był jasny i ciepły.

Na polu już zaczęła kwitnąć gryka.

Przez pewien czas leżał Roman nieruchomo, odczuwając przyjemność i słodycz odpoczynku, leżał z zamkniętymi oczyma. Zwyczajnie, nie chciało się nawet i poruszyć. Ale bezwład ciała trzeba było jednak pokonać: poczuł, że go cisną sznurowadła, które wrzynały mu się w zmęczone, przepocone od chodzenia nogi. Roman usiadł, żeby się rozżuć.

Powoli, nie śpiesząc się, rozwiązywał sznurowadła, zdjął z nóg ciężkie tykowe łapcie, które niewiedzieć dlaczego nazywały się «kierzeńskimi», wytrząsnął z nich

czarne grudki ziemi i rzucił, by się suszyły na słońcu. Teraz było mu zupełnie dobrze, swobodnie.

Romana morzył sen. Spojrzał na konia sennemi oczyma, jakby coś rozważając. Konik wesoło gryzł młodą pachnącą trawkę i głośno parskał.

— Zdrow mały! — odpowiedział Roman na to parskanie i legł plecami na zielonym kobiercu, wyciągając się na całą długość swego krzepkiego ciała.

Zamknawszy oczy, już zaczął drzemać. Jak cienie, przesunęły się po jego głowie wspomnienia, obrazy dawno minionych czasów. Przesunęły się i znikły,

— Hu-u-ur-r!

Daleko gdzieś, jakby z za ziemi, do uszu Romana doszedł jakiś głuchy grzmot.

— Czyżby nadciągała chmura i zbierało się na deszcz? — pomyślał Roman.

Podnieść się i spojrzeć na niebo nie chciało mu się, tak dobrze było leżeć. Znów się uspokoił, bliski zaśnięcia.

Grzmot przetoczył się raz jeszcze i cicho zakolysał powietrzem. Teraz huk ten był znacznie wyraźniejszy. Roman miał wrażenie, jakby go coś szturchnęło wewnątrz, bo w huku tego grzmotu czuło się coś nowego, straszego.

Usiadł i przysłuchiwał się. Niebo było jasne, spokojne. To tu, to tam po niebie błędziły baranki białawych obłoczków, wróżące piękną pogodę. Zrzadka powiewał słaby wiaterek południowy, cicho kołysząc liście dębu. Roman przysłuchiwał się nie-  
długo: tajemniczy huk zagrział po raz trzeci i czwarty.

No, teraz było jasne: to grzmiały armaty, i huk ich dochodził akurat z południa.

Wybiło go to ze snu. Roman usiadł i słuchał, jak grzmiały dalekie wystrzały armat, a w duszy jego wzbierały jakieś fale złożonych uczuć i niewyraźnego nastroju. Przedewszystkiem zdjął go strach, ale zarazem było coś pięknego i zabawnego w tem dalekiem grzmieniu, i jakaś niejasna nadzieja kołysała serce Romana. Jaka to była nadzieja, ku czemu się zwracała, jaka była jej istota — w tem Roman nie mógł się połapać. W jego wyobraźni zaczęły powstawać obrazy wojny, starał się oznaczyć miejsce, gdzie grzmiały armaty, i już począł wyliczać, kiedy do tej cichej wsi napłyną fale wojny.

A straszne huki, mocno kołysząc duszę, stałe grzmiały i grzmiały, to krótko, to przeciągle. Naruszały one zwykły bieg życia Romana, przynosiły nowe uczucia i wywoływały cały szereg nowych pytań. — — —

*Tłum. Marja Rudzińska.*

## ŻMITROK BIADUŁA (SAMUEL PŁAUNIK)

(ur. 1886)

### MÓJ SKARB

Mój skarb — od życia mocniejszy i śmierci,  
On nieśmiertelny jest w śmiertelnem sercu.

Mój skarb tak błyszczy, jak diamenty,  
Dostępny wszystkim — nie zaklęty.

Mój skarb — od zórz, mój skarb — od nieba,  
Mój skarb — od gór, mój skarb — od gleby.

Jest w głębi wód i w szeptach boru,  
W jedwabiu traw, śród płasząt chóru.

Jest w srebrze migotliwych ros,  
W piękności jest dziewczęcych kos.

Jest w marach-snach i w tajnych mękach,  
W gęślarzy z strun lecących dźwiękach.

Poza mną — kurhany wieczyste,  
Przede mną — oddale kwieciste,  
Na rozstaju — dziad wędrowny.

Skąd-że i dokąd — z jaką meta,  
Pod którąż to tajną planetą  
Wiedzie mnie szlak nierówny?

Idę drożyną niewielką,  
Płynącą jestem kropelką  
W burzliwej wicherze życiowej.

Dlaczego i kto je skierował,  
Pod jaką je zorzą zachował,  
Kto szepce nad szlakiem — zamowy?

...A jeden wystarczy promień  
Dla serca burz, oszołomień —  
I giną, jak cień, te pytania.

Wszystko już jasne na świecie,  
A życie rozumie i dziecię —  
I słabną dusz narzekania.

I żyjesz, jak kwiatek na niwie,  
Jak dąb na polanie — szczęśliwie,  
Jak burza — odważnie i śmiało.

I życia-ś jest pełen, jak chmielu,  
W rozgłosnem i szczerem weselu —  
Sens życia się zrozumiało.

Jam spadek wieków, syn — dawnego pokolenia,  
Jam cień jest bystrolotny — tysiącletnich cieni,  
Jam chyży blask, co drga od zmierzchłych już promieni;

Ja dalej tkam desenie — bez miary i bez skrajów,  
Jam prąd niedostrzegalny pradawnych jest ruczajów,  
Jam trawką jest rozchwiejną wieczystych łąk i gajów.

W zórz dale się wrywam ku nowym tajemnicom,  
Zaczerpnąć wody chcę z nieznanej mi krynicy,  
Po ogień sięgam wzwyż na gwiazdnej szczyt wieżycy;

Łańcuchy porwać chcę tej tysiącletniej stali,  
Chcę przebić mur do nowych a świetlanych dali,  
Chcę, by w odwiecznym śnie umarli, milcząc, trwali.

A zmarli żyją wciąż w każdziutkim moim kroku,  
Odblaski ich migają w tem żywym moim oku,  
I we mnie, i pode mną, i nade mną wysoko;

W mym głosie się kołącą, w najcichszym moim jęku,  
 W mych myślach, mojej krwi, w trwożliwym przed czemś lęku,  
 Oni kierują mną — jam wiecznie jest w ich ręku.

*Tłum Alfred Tom.*

### CISZKA HARTNY (ŻMITRO ŻYLUNOWICZ)

(ur. 1887)

#### PIERWSZA FALA

Jam fala najpierwsza na morzu uśpionem.  
 Dalekam od kresu, lecz dal mnie nie lęka.  
 Wybrzeża okryte wieczornym welonem,  
 A cel mój — wytrwanie, a ruch mój — potęga.  
 Nie wstrzyma go przemoc, nie stanie w pół drogi —  
 I wolna przyplnę do krańców skalistych,  
 Zwiastując o burzy — potędze złowrogiej,  
 Choć zginę u celu w bezkresach falistych.  
 Rozbita o krawędź kamiennych wybrzeży  
 Opadnę, lecz zgon mój zacisza nie wróży.  
 A skała napróżno z mą siłą się mierzy:  
 Siostrzyce me — fale nawałnic i burzy —  
 Podążą do wrogich rubieży.

*Tłum. J. W.*

#### PIEŚŃ ŻNIWIARKI

Pada szybko żyta łan  
 Pod mym sierpem krzywym,  
 Snop za snopem w długi rząd  
 Ściele się wśród niwy.  
 Nie dbam, że mnie pali skwar —  
 Już się słońce zniża,  
 A nie czuję bólu rąk,  
 Ani nóg, ni krzyża.  
 Leje się strumieniem pot  
 I ramię omdlewa;  
 Ja, wesola, ciągle żnę,  
 Ciągle żnę i śpiewam.  
 Czas z pośpiechem takim mknie —  
 I już wieczór bliski,  
 Ale dożnę niwkę swą  
 Nie później od wszystkich.  
 Jeszcze zdążę snopów rząd  
 Powiązać za troje, —

Ach, jak lubię, lubię żąć,  
 Żąć to żytko moje!  
 Kiedy wszystko zwiążem już  
 I złożymy w chacie,  
 Starczy na rok chleba nam —  
 Będziemy bogaci.  
 A słodki jest chlebek swój  
 (Niechże go nie braknie!) —  
 Ten razowy, czarny chleb,  
 Kiedy się go łaknie.  
 Śpiesz się, ręko z sierpem, śpiesz,  
 Piosnko, brzmij weselej!  
 A ty, żyto, jędrne bądź  
 I daj ziarna wiele...  
 Pada szybko żyta łan  
 Pod mym sierpem krzywym,  
 Snop za snopem w długi rząd  
 Ściele się wśród niwy.

*Tłum. Tadeusz Radoński.*

### MAKSYM BAH DANOWICZ

(1892—1917)

#### APOKRYF

1. Od Maksyma Kniźnika początek...
2. Gdy upłynęło siedm tysięcy lat od stworzenia świata, Chrystus znów zstąpił na ziemię i chodził po niej, by się spełniło to, czego nauczali prorocy.
3. I chodził On po całym kraju naszym: i po Mińszczyźnie, i po Wileńszczyźnie, i po Mohylewskczyźnie, i po ziemi zadźwińskiej.

4. I wraz z Nim był święty Piotr i święty Jerzy. Lecz nikt z ludzi nie poznawał Go.

5. Bo szli oni boso, z gołemi głowami, i byli odziani w białe płótno, a nie tego się ludzie spodziewali.

6. Tedy nikt na nich nie zwrócił uwagi, gdy w czasie żniwa przechodzili między pracującymi ludźmi.

7. Jeno muzykant, nie mający teraz nic do roboty, zbliżył się do nich i rzekł: Wstyd mi, bo dzisiaj jest dzień pracy, i wszyscy są zatrudnieni; jam jest tylko nędznym człowiekiem.

8. I rzekł mu Jezus: Nie smuć się w sercu swem. Azali nie twoje pieśni śpiewają oni teraz podczas żniwa? Więc nie schylaj nisko czoła swego przed oczyma ludzi.

9. Albowiem kłamstwem jest, jeśli kto mówi, żeś zbyteczny na ziemi. Zaprawdę powiadam ci: oto nadejdzie na człowieka chwila żalości — i jak on wypowie smutek swój, jeśli nie pieśnią twoją? Również i w dzień radości on zawezwie cię.

10. I nauczając go, mówił: Z pieśnią kładą człowieka do kolebki i z pieniem spuszcją go do mogiły.

11. Życie ludzkie pełne jest codziennych trosk. Lecz gdy się targa dusza ludzka, pieśń jeno zdolna jest uspokoić ją. Szanujcie więc pieśni swe.

12. Albowiem śpiewają nawet żaby w bagnie. A wy czyż nie lepsi jesteście od nich?

13. Tak nauczał Chrystus. Lecz Piotr, usłyszawszy słowa te, rzekł: Nauczycielu, w kraju tym są ludzie, którzy nie mają nic do jedzenia. Azali nie ściśnie się od wstydu serce tego człowieka, gdy on w poszukiwaniu kęsa chleba przyjdzie z pieśnią swą do nich?

14. I w odpowiedzi na to Chrystus rzekł: Tak, życie ludzi owych ciężkie jest, biedne i zgnębione. Dlaczegoż chcesz jeszcze odebrać i piękno im? Mało jest im dane — czyż trzeba, aby było jeszcze mniej?

15. I zwracając się do muzykanta, spytał go: Kiedy u was śpiewają piosenki?

16. Muzykant zaś odparł: Śpiewają na Boże Narodzenie, na zapusty, na Wielkanoc, na Tróję Świętą, na Jana Kupały, na świętego Piotra, na żażynek i na dożynek.

17. Śpiewają na urodzinach, na chrzcinach, śpiewają, kołyszac dzieci, i same dzieci, bawiac się, śpiewają; śpiewają na zabawach i wieczorynkach, i na weselach, na pogrzebach, i przy biesiadzie, i przy pracy, i jako brańcy do «Moskali» idąc, i we wszelkiej innej przygodzie. Tak oto wciąż przez cały rok śpiewają.

18. I przemówił Chrystus do Piotra: Tyś, litując się nad dolą głodnych, potępił pieśń, lecz ludzie głodni nie potępiłi jej. Żywie jeszcze dusza w narodzie tym.

19. Tedy znów rzekł Piotr: Lecz niechże w pieśniach będą myśli dobre i pouczające, by prócz piękna zawierały i pożytek dla człowieka.

20. I odparł mu Chrystus: Niemasz piękna bez pożytku, albowiem samo piękno jest owym pożytkiem dla duszy.

21. I nauczając ich, rzekł: Spójrzcie dokoła! Azaliż nie zboże faluje koło nas?

22. Ciężko się trudził nad niwą gospodarz i oto widzi: wśród zboża wykwitły bławatki.

23. I rzekł on w sercu swem: chleb odbierają ode mnie owe niebieskie kwiaty; bo ważkie kłosa mogłyby wzrosnąć miast bławatków.

24. Lecz od małości piękno ich miało urok dla mnie. Dlatego nie wyrwę ich z korzeniem, jako wszelakie złe zielsko. Niech rosną i radują serce me, jak w latach zięciectwa.

25. Tak rzekł gospodarz w sercu swem i myślach swych. I nie podniósł on ręki na bławatki.

26. Ja zaś powiadam wam: dobrze jest być kłosem; lecz szczęśliwy jest ten, komu sążono być bławatką. Albowiem pocóż są kłosa, gdy niema bławatków?

27. I mówiac to, usłyszał On pieśń żniwiarek i rzekł: Słuchajcie, co powiadają słowa pieśni tej. Składali ją ludzie, którzy znają wartość chleba.

28. Oni zaś usłyszeli, iż słowa pieśni owej powiadają: niemasz kwiatka nad bławatka. I dalej już szli milczący.

29. I bose nogi Chrystusowe pozostawiały ślady na ciepłym a miękkim pyle drogi.

30. Ale biada wam, ludzie, boście dawno już zatarli je. Amen.

*Tłum. F. A.*

## SŁUCKIE TKACZKI

Z ojców chaty, z ojców ziemi  
Na dwór pański — dla swej krasy  
Były wzięte losy złemi,  
Aby tkwały złote pasy.

Długie wloką się godziny,  
Giną w smutku sny dziewczęce,  
Gdy szerokie te tkaniny  
Na wzór perski tkają ręce.

A z za okna słą dziewczynom  
Swe uśmiechy łany żytnie...  
Tęskne dumki same płyną  
Tam, gdzie cudna wiosna kwitnie,

Gdzie lśnią zboża w jasnej dali  
Razem z modrych chabrów rzeszą;  
Kędy, błyszcząc srebrem fali,  
Z gór w doliny rzeki śpieszą.

Mrok ogarnia krawędź boru...  
Gdy tak toną w innym świecie,  
Ręka, miast perskiego wzoru,  
Tka ojczystych chabrów kwiecie.

*Tłum. Tadeusz Radoński.*

*Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.*



## KOSMY KRONIKA CZESKA (1045—1125)

### Obyczaje dawnych Czechów

Jakie obyczaje mieli dawni Czechowie, jak byli poczciwi, prości i przedziwnie szlachetni, jacy byli sobie wierni i miłośni dla bliźnich, ile mieli spokoju, trzeźwości i panowania nad sobą, nie uwierzyliby dzisiejsi ludzie, chodzący zupełnie innemi drogami, i gniewaliby się na tego, ktoby im chciał prawdy dowieść. Omijamy więc przygany, a opowiadamy to, co prawdą jest o sposobie życia w starodawnych czasach. Szczęśliwe to były czasy, ludzie byli zadowoleni ze skromnych sposobów do życia i nie nadęci hardością i pychą. Nie znali darów Cerery ani Bachusa, gdyż nawet ich nie było. Na obiad zaspokajali głód żołądziami lub zwierzyną. Niezamacone źródła dawały im zdrowy napój. Wszystko mieli wspólne: blask słońca i świeżość wody, łąki i gaje, a także małżonki.

Wełny ani lnu nie potrzebowali na odzienie, w zimie nosili skórę z dzikiego zwierzęcia lub owcy. Nikt nie znalazł słowa «to moje», gdyż, tak jak mnichy, wszystko, co mieli, uznawali sercem i ustami za nasze. U obór nie było zasów ani nie zamknięto drzwi przed potrzebującym, ponieważ nie było ani złodziei, ani rozbójników, ani potrzebujących. Nie znano większej zbrodni niż kradzież i łupiestwo; broni żadnej nigdy nie widzieli, mieli tylko łuki, i to do zabijania zwierząt. Co dalej? Ach, niestety! dobre poszło naopak, własność powszechna stała się własnością prywatną: bezpieczne ubóstwo, niegdyś miłe, odrzucili, jak zablocony kół z płotu, ponieważ chciwość posiadania rozgorzała we wszystkich silniej niż płomień Etny. Zło wzmagало się codzień, a krzywdę, której przedtem nikt czynić nie potrafił, lub przypadkiem sobie uczynioną, jeden od drugiego cierpliwie znosił; nie można nawet nikomu się było skarżyć, nie było sędziów ani książąt. Więc potem poczciwszy, lepszych obyczajów, a ważniejszy swem bogactwem w rodzie lub pokoleniu stawał się sędzią, do którego bez siepaczy, bez pieczęci, lecz z dobrej woli przychodzili radzić się o rzeczy wątpliwe lub skarżyć na uczynioną sobie krzywdę.

---

### GOSPODZINIE, ULITUJ NAS! (XII w.)

Gospodzinie, ulituj nas!  
Jezu Chryste, ulituj nas!  
Ty, zbawco wszego świata,  
Wybaw nas i wysłuchaj,  
Gospodzinie, głosy nasze!  
Daj nam wszem, Gospodzinie,  
Pokój na ziemi,  
Krlesz!

---

## ŚWIĘTY WAĆLAWIE!

(XIII w.)

Święty Waćlawie,  
Wojewodo czeskiej ziemi,  
Książę nasz,  
Proś za nas Boga,  
Świętego Ducha, Kyrje elejson.

Pięknie na niebieskim dworze,  
Szczęście temu, kto tam pójdzie  
W żywot wieczny,  
Ogień jasny  
Świętego Ducha, Kyrje elejson.

Pomocy Twojej żądamy,  
Zmiłuj się nad nami,  
Uciesz smutne,  
Odzeń wsze zło,  
Święty Waćlawie! Kyrje elejson.

(XV w.)

Masz w dziedzictwie czeską ziemię, -  
Wspomnij sobie na twe plemię,  
Nie pozwól zaginać  
Nam i potomnym,  
Święty Waćlawie! Chryste elejson.

Matko, matko kochająca,  
Tyś królowa wszechmogąca,  
Prośże za nas,  
Za chrześcijany,  
Świętego Ducha, Chryste elejson.

## MISTRZ JAN HUS

(1369–1415)

## WYKŁAD DZIESIĘCIORGA BOŻYCH PRZYKAZAŃ

## O bałwochwalstwie

Pierwsze przykazanie boże jest to: Nie będziesz miał Bogów innych. Tem przykazaniem zabrania Pan Bóg i zakazuje bałwochwalstwa; a żebyś zrozumiał właściwie, mówi Pan Bóg: «Nie będziesz miał bogów innych przede mną. Nie uczynisz sobie obrazu ani tego, co jest na niebie na górze, ani co jest na ziemi w dole, ani tych rzeczy, które są w wodzie pod ziemią! Nie będziesz się przed nimi modlił ani kłaniał, gdyż ja jestem Pan Bóg twój, wielki, żarliwy, przechodzi mój gniew z ojców na syny aż do trzeciego, czwartego pokolenia tych, którzy mnie nienawidzą, a tysiącokrotne miłosierdzie czyni tym, którzy miłują mnie i zachowują przykazania moje».

A więc w mowie tej zabrania Pan Bóg bałwochwalstwa, najpierw stworzonych duchów niewyczuwalnych, gdy powiada: «Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną». A mówi «przede mną», gdyż czy człowiek myśli choćby najskryciej, modli się lub kłania djabłu, to wszystko znane Panu Bogu, który wszystkie sprawy zna i na nie patrzy; przeto doskonale określa to — «przede mną».

A wiedz, że Bóg jest jedyny, jak powiedziano wyżej, ale słowa «bogowie» używa się dlatego, mówiąc o bałwanach lub djablach, że tak nazywali ich ludzie i mieli za bogów, że ponoć przyszłe rzeczy dobrze przepowiadali; a słowa cudze lub inne używa się dlatego, że bogowie ci odłączyli się od prawego Boga przez pychę. Przeto ci ludzie, którzy dla rzeczy doczesnych, dla powodzenia spraw osobistych, dla dowiedzenia się przyszłości, tajemnic lub innej przyczyny mają do usługi duchy spodłone albo z nimi rozmawiają, tacy mają bogi cudze, nietylko przed obliczem Boga, który wszystko widzi, ale że tych bogów przekładają nad Boga prawego. A gdy w Piśmie wymienia się Pan lub Bóg, rozum ma skłaniać się wnet ku Panu Bogu, który jest Bogiem nad bogami i Panem. Człowiek uważa za dobre to, co najczęściej miłuje, więc wiele jest bogów, pisze święty Paweł w listach do Koryntjan. Djabeł zowie się bogiem namiętności, brzuch łakomych jest ich bogiem, także chciwość ma swego bałwana, krótko mówiąc, cokolwiek człowiek najczęściej miłuje — to obiera za boga swego. Przyczyna jest taka: Bóg jest najwyższem dobrem; przeto każde rozumne stworzenie powinno

najwięcej to dobro miłować i rozumem, myślą, wolą, pożądaniem ku niemu się zwracać. Ale ponieważ ku innej rzeczy bardziej ciągnie je pożądanie, niż ku temu największemu dobru, więc tę rzecz przekłada nad Boga, choć ustami twierdzi, iż Bóg jest największym dobrem; a mówiąc tak, kłamie, bo skutek umiłowania wskazuje na co innego.

I tak po prawdzie ujrzymy, że niektórzy mają jastrzębie, rarygi, sokoły, krogulce, psy, konie za bogów, jako myśliwi; niektórzy woły, krowy, owce, świny, jako mieszczanie i wieśniacy; niektórzy złoto, srebro, jak wszyscy chciwcy; niektórzy kobiety, jak wszyscy lubieżnicy. I tak nazwani chrześcijanie, prawdę mówiąc, są często bałwochwalcami, jak poganie; gdyż podług słów świętego Hieronima i innych świętych «cokolwiek ktoś najbardziej miłuje, to ma za boga swego». I tak pyszny lub czci świata chciwy modli się do podobieństwa rzeczy, które niebiańskie są, a spadnie nadół, gdyż wraz z lucyperem miłuje nad wszystko wywyższenie lub niegodnie zdobyte dostojęstwo. Chciwiec modli się do podobieństwa rzeczy ziemskich; przeto mówi święty Paweł, że chciwość jest bałwochwalstwem. Lubieżnik i zezwierzęciały modli się do podobizny rzeczy, dających rozkosze zmysłowe, jak rozpusta i obżarstwo; przeto mówi święty Paweł, że bogiem ich jest brzuch i chwała pogańska. A ponieważ w ten trojaki sposób ludzie bardzo grzeszą, miłując nad Boga te grzechy, przeto mówi święty Jan: «Nie żyjcie dla miłości świata ani tych rzeczy, które na świecie są, albowiem kto miłuje świat, niema w nim miłości Ojca; gdyż wszystko, co na świecie jest, jest albo pożądliwością ciała, albo pożądliwością oczu, lub pychą żywota». A wymienia święty Jan to, co ludzie kochają najczęściej, przestrzega, aby świata i innych rzeczy świata chrześcijanie nie miłowali bardziej niż Boga, jak to czynią rozpustnicy, chciwcy i ludzie pyszni; gdyż przez pożądanie ciała wyraża rozpustę, przez pożądanie oczu wyraża chciwość, a pychę wymienia osobno na trzecim miejscu. A z tych trzech grzechów, jako z trzech korzeni lub studni, czerpią źli ludzie wszelkie inne grzechy.

I zapewne, gdy sami spojrzymy w naszą duszę, spostrzeżemy prawdę, że większa część nas, chrześcijan, związana jest z bałwochwalstwem; bo patrzmy, czy nie pilniej kłaniamy się, modlimy i kłękamy przed bogaczami tego świata, niżli przed Panem Bogiem, i to dla cielesnej, doczesnej, małej korzyści więcej, niż dla ich szlachetności lub korzyści duchowej. Spójrzmy na księży, czy nie bardziej pilnie wykonywają oni służbę wobec innych księży lub panów, niż wobec Pana Boga? Tak samo i świeccy. A nietylko ci zachowują się jak bałwochwalcy, ale i tamci, którzy takie kłęknięcie przyjmują chciwie, zwłaszcza zaś duchowni, nie pamiętając, że apostołowie i inni święci zabraniali przed sobą kłękać. Także w bałwochwalstwie lubuje się wiele kobiet, strojących się, jak bogini Diana, każących przed sobą kłękać, żądających tego, znajdując w tem dziwne upodobanie.

Grzeszą także tem, że robią z siebie obrazy, jak ów, który dodawał wełny do kabatu, aby się wydać pierśistym, a więc mocnym i śmiałym. Też kobieta, malująca się lub przystrajająca w cudze włosy, lub zbyt nie dbająca, chce się niemi więcej ludziom niż Bogu podobać. O takich święty Jan Złotousty mówi, że czynią krzywdę świętej Trójcy; że tak czyniąc, dodając lub ujmując coś swej postaci, w rzeczywistości wskazują, że Bóg Ojciec nie mógł, Syn Boży nie umiał, a Duch Święty nie chciał dobrowolnie tego człowieka lepszym stworzyć. I choć nie mówią tego ustami, okazują to czynami, że chcą lepszymi twórcami, nie mówię twórcami, niż Pan Bóg zostać; może nawet niektórym przyjdzie na myśl, że oni by, gdyby mieli możność, lepiej stworzyli; i zapewne nigdy nie uświadomią sobie, że należałoby tego błazeństwa pożałować i poczuć się jako bałwochwalcy winnymi wobec Boga.

## PIEŚNI ŻAKOWSKIE

### DETRIMENTUM PATIOR

Detrimentum patior,  
Po najdłuższe czasy,  
Usque ad mortem patior  
Z powodu jej krasy.

Regitur nunc ratio,  
Wždy wedle twej woli,  
Obnixa turbatio,  
W sercu mojem boli.

Nam eius absentia,  
Mnie smutnego pali,  
O felix essentia,  
Gładkość każdy chwali.

Velut solis radius,  
Wzrokiem w serce wnika, —  
Eminens ut gladius,  
Tęskność mię przenika.

Coeli sub cacumine,  
Niemasz gładszej twarzy,  
Zodiaco fulmine,  
Jako słońce jarzy.

Electa cordis unica,  
Nie daj zginąć marnie,  
Tua ut suat punica,  
Tęskność mnie ogarnie.

Careo hoc famine,  
Bych zyskał swobodę,  
Vale in Dei nomine,  
Gdyż poniosę szkodę.

#### PIEŚŃ ZAWISZOWA

(Wyjątek)

Wszelka radość już przestaje  
I uciechy wszelkie giną,  
Tęskność krwawo serce kraje  
Za najmiłszą mą dziewczyną.  
    Śwem spojrzeniem poprzez oko  
    W serce rani mnie głęboko,  
    Żarka tęskność mnie napada  
    Tęskność na nic suszy kości,  
    Wszystko to dla jej gładkości,  
    Iż tak silnie mną owłada.

Serce boli,  
We krwi silnie się pławi,  
Wybawi  
Mnie twa łaska, najmilejsza, niech się stanie,  
Dla mnie gwoli,  
Nie chcę żyć, więc dzień mój krótki,  
Gdy żrą smutki,  
Więc, najdroższa, racz mi dać swe zmiłowanie.

#### PIOTR CHEŁČICKY

(1390—1460)

#### POSIEW PRAWEJ WIARY

Stan miejski swemi nieprawościami rwie się wiary

Początek miast i powstanie grodów pochodzi od Kaina, a to z powodu morderstwa, łupieży i gwałtu, gdyż Kain z nienawiści zabił brata swego Abła, stał się zbiedzim i tułaczem na ziemi, bojąc się o życie. Dlatego zbudował pierwsze miasto, a potem inne łupił i gwałt im czynił, temi łupieżami się wzbogacił i złych ludzi sobie dobrał, ażeby bronić się przed tymi, których złupił.

Dlatego morderstwo jego było powodem powstania miast, a miasta jego żyły z bezprawnych rabunków, walcząc z tymi, którzy bronili swego dobra lub chcieli je odebrać. A ponieważ miasta mają początek w Kainie, przeto są w nich mordercy i rabusie, lichwiarze, kupcy, handlarze, szachraje, żyjący przeważnie z nieuczciwości i chciwości. Dlatego, zakładając miasta i grody, oparte na krzywdzie i przygotowane krzywdę czynić i od innych ją znosić, w każdej chwili gotowi są do znoszenia bezprawia i zdrady

od innych i, odpłacając za to chętnie, przelewają krew za krew i oddają krzywdę za krzywdę, aż dojdzie do tego, iż się tak zaplączą, że tylko we krwi i lupiestwie żyją, przygotowując się do tego i obronę przyprawiając. A jeżeli nie mają dość siły i śmiałości, ażeby innych łupić i rabować, gotują się do obrony mienia swego przed innymi. Dla zachowania więc życia i dostatków swego miasta przelewają krew i sami dają się zabijać. Mieszczanie zatem i ludzie herbowi, zamieszkujący grody, twierdze i miasta, zawsze kąpią się we krwi brata swego. Odzywa się ciągle natura Kaina, pierwszego mordercy; dlatego żyją w miastach w wiecznym niepokoju, gdyż, założwszy je i obsadziwszy mnóstwem ludu, drżą i czuwają w nocy i we dnie, ażeby ich nikt nie zabił i mienia ich nie zrabował. I niech tylko zjawi się ktoś podejrzany, wnet uderzeniem w dzwon zwołują wszystkich zamieszkujących miasto do walki. Jeżeli schwytają złodzieja lub zdrającę, nie darują mu ani nie uspokoją się, dokąd nie przeleją krwi jego.

Ustawy miejskie, dążące do ochrony życia i mienia mieszkańców, postanowiły karać śmiercią każdego, kto by na to godził, jakżeż więc może się tam ostać przykazanie boże, nakazujące miłość bliźniego. A dla pokoju swojego i dostatku, który chcą za murami w pewności zachować, nie wahają się niektórych gwałt czynić i łupić, inni potwarze rzucać i okłamywać, przeciwników swoich gnębiąc i na gardła ich nastając. Dlatego więc, obwarowując się i okopując, aby nie cierpieli bezprawia na życiu i statku, muszą zawsze złem za złe odpłacać; przeto odrzucają te wszystkie przykazania, które nakazują chrześcijanom cierpliwość i zakazują pomsty: «Nie brońcie się sami, najmilsi», gdyż mówi Pan Bóg: «Do mnie należy pomsta i ja wam zapłacę. Jeżeli zatem jest spragniony nieprzyjaciel twój, napój go, a jeżeli jest głodny, nakarm go!» Lecz jakże mogą zachowywać te przykazania ludzie, szukający za murami spokoju w dostatku i w bezpieczeństwie życia.

A ileż pomiędzy nimi jest bezprawi. Swarzą się w sądach, z prawdy często czyniąc nieprawdę, przestępują przykazanie Chrystusa, który każe przydać płaszcz do sukni i zaniechać swarów w sądach. Dlatego nie zachowują żadnego przykazania, tycającego się Boga i ludzi, chowając się za mury i żyjąc w oszustwie, nie tak jak rzekł ulubiony uczeń Jezusa: «Łaską bożą jest chodzić w przykazaniach Jego». A nie można mieć łaski bożej, jeżeli się nie zachowuje przykazań Jego. A jeżeli ani jednego przykazania nie zachowują w gromadzie miejskiej, nie mają łaski bożej ani jej mieć nie mogą, żyjąc w wielu przestępkach i w takim zaplątaniu, że z żadnej strony przykazanie boże nie ma do nich dostępu. Dlatego groźną rzecz mówi o nich prorok: «Widziałem złość i rzeczy odrażające w mieście; we dnie i w nocy w murach jego pracuje złość, niesprawiedliwość i przemoc; z ulic jego nie schodzi lichwa i kłamstwo». Dość twarde zdanie i niepiękna opinia dla tych, którzy pragną wszystko robić uczciwie; niechże za to odpowiadają tuczni i mądrzy radni miasta! Gdyby im kto równy posłał taki list do rady, dopierożby się nadęły te serca pychą przerosłe, rzekliby: «Gani dobrych, gani panów z ratusza». Przeto prawdę twierdzi to pismo, że dzieje się zło i rzeczy odrażające w mieście, złość wszelkiego pokolenia, wstrętna Bogu, bo w takiej mnogości ludzi, spojonych oszukańczo, nie ostaje się żadne przykazanie boże ani może się ostać w warunkach, na jakich spojona jest wielka ilość mieszkańców miasta: nie może w zamysłach ich pozostać ani jedno przykazanie boże. A ponieważ nie zachowują w mieście przykazań bożych, przeto przestępują wszystkie.

JAN BLAHOSLAV

(1523—1571)

Z FILIPIKI PRZECIWKO NIEPRZYJACIOŁOM WYŻSZEGO  
WYKSZTAŁCENIA W JEDNOCIE BRATERSKIEJ

Jest i było obyczajem pewnych dość wielkich mężów przypominać słowa ś. p. brata Łukasza, który miał wyrazić się o swych pismach: «Nie napisałem niczego, czego bym w Jednocie nie znalazł». Więc wyłożyli to sobie tak, że brat Łukasz nic nie brał z doktorów kościoła, ale wszystkiego nauczył się w Jednocie. W zeszłym roku

przypominał mi to brat Augusta. Jasne jest, że ci, którzy tak tłumaczą dzieła brata Łukasza, nie rozumieli i nie rozumieją jego słów. Och, gdyby brat Łukasz je słyszał, pięknieby im podziękował! Gdzie jest św. mąż, brat Wawrzyniec Krasonicky, aby im to wyjaśnił ustnie i przekonywająco, co napisał w swych książkach, a czego oni nie będą czytać z powodu swej małostkowości i lekkomyślności?

Ale skoro niema tych, którzyby mogli powiedzieć coś użytecznego, ja napiszę to, co mam na myśli.

Miała Jednota braterska za życia brata Łukasza wielu przeciwników; przeciwko nim musiał on występować z polecenia starszych. I pisać musiał w ten sposób, ażeby nie podburzać więcej, nie otwierać bramy nieprzyjaciółom Jednoty, lecz każdego przeciwnika, jednego w ten sposób, innego w inny, do milczenia i spokoju zmusić. Wiesz, jak się zachował wobec niektórych ingratis cuculis. Byli ludzie, obawiający się, że on znów do Rzymu, do doktorów etc. pojedzie. Przeciwno temu głupiemu i fałszywemu o nim pojęciu musiał mówić rzeczy, które imby mógł zamknąć usta. I prawdę mówił brat Łukasz, że nie pisał nic poza tem, co w Jednocie znalazł; znalazł prawdę w idei i służbie, pisał o tej prawdzie, zdobił ją, rozszerzał jej znaczenie, na wszystkie strony rozkładając jej gałęzie.

Tej prawdy, jak najlepiej mógł i umiał, jak go Duch Pana nauczył, bronił i zastępował, jakkolwiek mocno, jednak bardzo roztropnie. Ale kto ma oczy, może widzieć wstecz to, że brat Łukasz był długie lata w szkołach żakiem i gradum, stopień i urząd zwykły postępujących w wiedzy siedmiu sztuk, przyjął, był bakałarzem w kolegjum w Pradze, a będąc człowiekiem pilnym, nietylko zajmował się sztuką, ale myśl swoją zwracał do spraw chrześcijańskich. Księgi łacińskie starych nauczycieli kościoła, Augustyna, Hieronima, Cyprjana i innych nowszych doktorów, czytał, świadom był dekretów, dialektykę i retorykę umiał i niemało był w niej wyćwiczony, czego jawnym dowodem jest jego pismo: «O powtórzeniu chrztu», drugie «O poklonie», trzecie drukowane większe dzieło przeciwko Čizkovi.

Oczywiście niewykształconym łacinnikiem, niedbałym czytelnikiem i niezającym nauczycieli kościoła musi być człowiek, który, czytając pisma brata Łukasza, nie zrozumie, że był on uczony, świadomy doktorów kościoła starych i nowszych; bo skądby brał definicje, dewizy, rozmaite słowa i frazesy nie Czechom, ale łacinnikom zwykłe i zrozumiałe? Który z łacinników nie widzi, co skąd, od którego doktora wziął, nieraz i całe sentencje w słowach łacińskich przytaczał, często przypominał doktora, będącego ich autorem, często zaś bezimiennie. De formis argumentorum, używanych przeciwko nieprzyjaciółom, nie potrzebuję wiele przypominać.

Ale pewno powiecie, że ja naukę i uczonych chwale. Tak jest. Pochwalam wiedzę i uczonych ludzi, ale nie chwale tych, którzy wiedzy lub nauki do złego używają. Dla przykładu mówię: Chwalimy wino, chwalimy także picie lub używanie wina, ale pijaństwa i pijaków nie chwalimy i w sumie nie chwalimy złego używania dobrych, od Boga danych rzeczy; abusus non tollit rem. Dobry jest miecz, lecz jednemu dobrze, drugiemu źle usłużyć może.

Może powiesz jeszcze: «Zbyt dużo przypisujesz nauce i uczonym, jak pewni dobrzy ludzie mówią: przez uczonych nauka opanowała Kościół, mogłoby się to stać i w Jednocie». Respondeo: «Ten zbyt dużo sztuce i nauce przypisuje, kto sądzi, że bez znajomości siedmiu sztuk etc. nie może prawda boża, to jest ewangelja, być głoszona albo, żeby od nauki i sztuki zależało zbawienie». Ale któż to mówi? Musiałby być prostakiem.

Ja twierdzę, że głoszącym słowo boże potrzeba przedewszystkiem wrodzonego daru, to jest wymowy, ażeby mogli uczyć, napominać, ostrzegać etc. Dawał kiedyś Pan sługom swoim dar tak cudownej wymowy, że nie potrzebowali się uczyć; ale potem ustały dziwy i cuda. A ponieważ Duch Święty poznał, iż wymowa potrzebna jest w Kościele, trzeba więc nauczyć się jej, kto i jak może, bo kto by chciał oczekiwać aż mu cudownym sposobem Bóg ześle z nieba dar wymowy, czyniłby jak rolnik, który nie sieje i nie orze, ale czeka, ażeby manna spadła mu z nieba.

A cóż innego czynią nasi młodzieńcy, gdy uczą się kazania? Co innego, mówię, czynią, jeśli nie uczą się pobożności i znajomości prawdy bożej, a także wymowy? Zdarza się też, że niektórzy młodzieńcy lepiej mówią, nie znając łaciny, niż uczeni

łacinnicy. Jakkolwiek jest pewne, że gdyby umieli łacinę, świadomi byli retoryki i dialektyki, byłiby o wiele bystrzejsi, zdolniejsi i bardziej na wszystko gotowi, a zatem i użyteczniejsi. Naprzykład osądźcie! Kamień drogi, lub perła, kształtnie i mistrzowsko oszlifowany i wypolerowany, jakże różni się od tego, który nie był szlifowany ani polerowany.

Śmieszne jest mędrkowanie niektórych naszych ludzi, dowodzących, ażeby człowiek robił to, czego się uczył. Jak głupia sekta «Mikulaszeńców» najchętniej słucha tych kaznodziejów, którzy nietylko nie są uczeni, ale często czytać nie umieją; bo podobno każą oni nie podług litery, ale z ducha. Ale w tem niema dziwu, bo pokarm baranków i owieczek bożych niezbyt smakuje świniom; świnie chętniej jedzą pośląd, lub coś mniej wonnego, niż trawę.

Kto pogardza nauką i sztuką, podobny jest do człowieka, któryby chciał szyc suknie i kabaty, nie nauczywszy się krawieckiego rzemiosła, ba, nawet nim pogardzając. Czy wieleby dokazał taki mądrala? A ten, kto by takiemu krawcowi oddał do roboty szaty, pominiawszy zdolnych i uczonych rzemieślników, czy dobrzeby na tem wyszedł? Doszłoby do tego, że dobrzy i wprawni krawcy wściekliby się ze złości i robiliby naprzekór temu, kto by ich zapotrzebował.

Na gadanie pewnych ludzi, że uczeni są niepotrzebni i niebezpieczni, nie trzeba długiej odpowiedzi. Ludzie ci twierdzą to, czego nie rozumieją i o czem nie wiedzą. Gdyby mieli wskazać, gdzie się pokazało zgorszenie, kto był temu winien — uczony czy nieuczony, nie umieliby odpowiedzieć.

A jeśliby się nawet zdarzyło, że wykształceni ludzie źle naukę rozsiewali, to czyż winna temu nauka? Tak, bywa czasami, że człowiek mocy, udzielonej mu przez Boga, na złe używa, przesładuje dobrych, a ochrania lotrów; czyż dlatego zła jest moc i władza?

Brat Wawrzyniec Krasonicky pisał o tem, że przed sześćdziesięciu laty o mało nie zesłał Jednota na złe drogi. I oczywiście nie z powodu uczonych i nauki, ale z powodu laików i braku oświecenia w prawdzie bożej, a przywiązywania zbyt wielkiej wagi do drobnostek. Powtarzało się to dwukrotnie: 1. W złych uczynkach, 2. W złych i fałszywych pojęciach. Lecz w obu wypadkach Pan Bóg zapobiegł złemu. I zgadnij za czyją pomocą? Jużci nie zapomocą laików, lecz zapomocą uczonych i pobożnych (gdyż nauka bez pobożności jest jak miecz w rękę warjata).

Czy Jednota zjeździe na złe drogi, czy też nie, czy przyczynią się do tego uczeni, czy też laicy, powiedzieć nie umiem, gdyż nie jestem prorokiem ani synem proroka, nie potrafię przepowiadać ani prorokować. Ale ponieważ się tego inni, także niemający ducha jasnowidzącego, obawiają, powiem, co mi ciągle na myśl przychodzi. W sumie, nie boję się tego, ażeby uczeni i pobożni byli przyczyną zgorszenia w Jednocie, raczej trwożą przejmuję mnie myśl, że ludzie zarozumiali, pyszni, nieustępliwi, niespokojni, nowinkarze, chciwi sławy mogą zgubić Jednotę.

Dlatego zgadzam się z tem, co napisał brat Łukasz:

«Jeśli przodownicy Jednoty stać będą w prawdzie i sprawiedliwości, Pan Bóg błogosławi ludowi temu etc. Czyli: dokąd na miejsca te nie dostanie się (mowa o najprzedniejszych urządach) świat, ciało i antychryst, ale duch Chrystusa podtrzymywać je będzie, dobrze jest. Lecz jeśli po śmierci dobrych, wiernych, szczerých uczonych lub nieuczonych przyjdą ludzie bez sumienia, głupi, niedoświadczeni lub chytry, podstępni uczeni lub nieuczenni, wówczas biada Jednocie».

Z. B. 1567. febr. 18 in horto.

## KRZYSZTOF HARANT Z POLŽIC A BEZDRUŽIC

(† 1621)

### PODRÓŻ DO WENECJI A STAMTAĐ DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

Miasto Wenecja powstało po narodzeniu Chrystusa Pana w roku 407, za czasów Arkadiusza i Honorjusza, cesarzów greckich, gdy Radagasus, król Gotów, wpadł z dwustu tysiącami wojska do ziemi włoskiej, wszystko, co spotkał, palił, mordował i niszczył.

A wówczas wielu ludzi rozbiegło się po wyspach, na których teraz miasto stoi. Skryli się u rybaków, osiadłych tam już pierwsi, i pozostali do czasu, gdy nieprzyjaciel odciągnął zpowrotem, pobity. W roku 413, skoro Alaricus, król Wizygotów, w ten sam sposób wpadł do Włoch, zdobył i zniszczył miasto Rzym, ci sami ludzie i wielu innych, co najprędniejszych, znów na te wyspy uciekli i wreszcie wielu osiadło na miejscu, zwanem do dziś Rivalta, reszta zaś, po odejściu nieprzyjaciela, powróciła do miast. Wreszcie w roku 453 ze strachu przed Attylą, królem węgierskim, który zawojował niemiecką i włoską ziemię, a także zajął i splondrował wiele innych krajów (dlatego nazwano go flagellum Dei, to jest biczem lub miotłą bożą), tak wiele ludzi na wspomniane wyspy się udało, nagromadziwszy mnóstwo rzeczy, że założyli prawie miasto i nazwali je mianem otaczającego je ludu, Venetia.

Wenecja leży na wyspach jeziora lub zatoki morza Adrjatyckiego, naprzeciw rzeki Brenta, po włosku, po łacinie zaś Medoacus nazwanej, która do tego jeziora wpada i w niem ginie. Właściwie jezioro to jest częścią morza Adrjatyckiego, lecz jest bardzo płytkie i spokojne z powodu wzgórz i wysp, oddzielających je od wielkiego morza, tak że woda morska przedostaje się tam tylko kilkoma miejscami (zwanymi portae, bramy), jakby śluzami, dobrze zaopatrzonymi przeciwko burzom i napadom nieprzyjaciół. Gdyby nie kilka rzek, które do niego wpadają, jezioro to miałoby mało wody.

Niektórzy przyrównują położenie brzegów terrae firmae lub continuae, to jest: od strony ziemi włoskiej wygięte są w luk, tamy zaś lub te wysepki z drugiej strony wielkiego morza podobne są do cięciwy. Woda w jeziorze jest tak płytka, niesplawna, że jeździć po niej można tylko małymi łódkami, w wielu miejscach zaś nawet łódka nie popłynęłaby, gdyby nie wykopano w tym celu kanałów. Ktoby więc chciał na Wenecję z tej strony napaść, musiałyby od lądu aż do miasta albo z łodzi, albo z pni drzew ułożyć most, ażeby przezeń przeprowadzić wojsko. Ale przy tem miałby rozmaite trudności; w niektórych miejscach nie znalazłby tak szerokiego miejsca, aby rozstawić łodzie lub pnie, a potem most taki trwałby niedługo z powodu niestałości wody, która w niektórych godzinach przyplywa, to znów odpływa, miotałaby więc tu i tam tym mostem, ażeby go rozerwała lub poniosła. A skądby wziąć tyle łodzi lub drzewa, a jeszcze tak wielkich rozmiarów, ażeby mogły podźwignąć ciężar amunicji i żołnierzy? Weneckie gondole nie uniosą ciężaru; wskutek tego Weneccjanie nie dopuściliby nikogo do miasta, strzelając zdaleka wielkimi kulami, ażeby nic nie płynęło po wodzie, a ze stu sztuk wielkich strzelb zawszeby jakaś szkoda wypadła. A przytem od strony terrae firmae musiałyby nieprzyjaciel zdobyć i opanować sześć głównych twierdz i wielkich miast, jak Padwa, Tervis, Werona, Brea, Bergamo i Crema, a także kilka mniejszych. Z drugiej zaś strony jest wyniosła i sławna na całe chrześcijaństwo twierdza Palma, w okolicy Foro-Juliansi, w r. 1594 zbudowana przez Weneccjan. Zresztą, gdyby nieprzyjaciel chciał bez mostu na tratwach lub łódeczkach dostać się do miasta, tyle ich nie dostanie, a gdyby i dostał, to skądby wziął ludzi dobrze znających strugi i kanały, aby mógł z szykiem i hucznie wjechać do Wenecji. A jeśliby chciał zabrać artylerję, musiałyby ją przeprować na wielkich łodziach, promach lub tratwach, lecz z powodu wąskości niektórych kanałów nie zdołałby przez nie przejechać ani wydobyć się z tej gmatwaniny, ani swobodnie się poruszyć; tymczasem zaś strzelanina z miasta niezłably mu przeszkadzała.

A ktoby wsadził armję na wielkie okręty, od strony morza musiałyby przepływać przez wyżej wspomniane bramy, aby się dostać do kanału lub jeziora; a tu z dwóch stron wznoszą się tak dobrze naszpikowane bronią fortece, że rozpędziłyby zapewne najlepszą armję. A gdyby nawet i bramy zdobył, to na jezioro wpłynąłby tylko jednym okrętem, a wkoło Weneccjanie otoczyliby okręt z okopów i okrętów i rozstrzelaliby wszystko doszczętu; a gdyby jeden okręt zatopili, przepadłaby cała armja, bo poza bramami jest tylko jeden kanał do miasta możliwy dla wielkich okrętów, a skądinąd przystępu niema. Suma sumarum jest to miasto nie do zdobycia, lecz, ponieważ nie ma ziemi, mogłoby się poddać z głodu, gdyby kto zabronił Weneccjanom z silnymi armjami wypadać na morze, najeżdżać okoliczne kraje, dosięgać aż do Turcji i zaopatrywać się w zboże. Założyciele Wenecji musieli to mieć na względzie, budując miasto w odległości dziesięciu mil włoskich od wielkiego morza i jego bram. Z tej przyczyny nie-



tylko jest większe bezpieczeństwo przed napadami wrogów i rozbójników, ale także bliskość ziemi ułatwia miastu otrzymywanie świeższej i tańszej żywności, jak zboże, warzywa, owoce i słodka woda, bo tylko pięć mil włoskich oddziela Wenecję od lądu. A do tego mieszkańcy im bliżej są ziemi, tem lepsze i zdrowsze mają powietrze, inaczej zaduch morski i okolicznych bagien dawnoby ich stamtąd wypędził; patrząc jednak na starych ludzi, których tam jest mnóstwo, widzi się, że w odróżnieniu od innych miast, wystawionych na mokradłach, musi tam być zdrowe powietrze.

Miasto dzieli na dwie części wielki kanał, Canale Grande, mający kształt litery S, długi 2.500 geometrycznych kroków, a szeroki czterdzieści kroków. Nad nim wznosi się tylko jeden most kamienny z jednym sklepieniem, ale tak wysoki, że pod mostem przejdzie okręt z maszt-baumem, a dwie galery z założonemi wiosłami mogą się minąć, podczas gdy pod pruskim mostem załedwie jedna się zmieści. Z tego kanału rozchodzi się po mieście trzynaście mniejszych kanałów, po których na łódeczkach, nazwanych gondolami, tu i tam pływają; miejscami są obmurowane wybrzeża, po nich można przejść suchą nogą, a na drugą stronę kanału prowadzą kamienne lub drewniane mostki, których jest do 450.

Większa część miasta stoi w wodzie na palach, reszta na wysepkach, tak że ludzie więcej muszą pływać po wodzie, niż chodzić po ziemi. Zamożniejsi mają swe własne gondole, przywiązane przy drzwiach, na których płyną, gdzie chcą; inni mogą za pewną ustanowioną sumę nająć gondolę na mieście. Niektórzy twierdzą, że w Wenecji znajduje się 3.000 gondol, inni, że aż 4.500.

Miasto ma objętości ośm mil włoskich, kościołów farnych 62, klasztorów 41, z nich siedemnaście dla płci męskiej, reszta żeńskich; szpitale siedemnaście, kapliczek osiemnaście; mnóstwo pięknych, z marmuru zbudowanych pałaców, zwłaszcza z obu stron wielkiego kanału i nad wodą; w innych miejscach, gdzie ulice są bez wody, wskutek ich wężizny, nie spostrzega się tak wysokich domów, nie są też tak zaludnione.

*Tłum. Marja Bunikiewiczowa.*

## WACŁAW WRATISŁAW Z MITROVIC

(1576—1635)

### ŻYCIE W CZARNEJ WIEŻY

Jest tam wieża bardzo wysoka, ale niezbyt obszerna, tak że załedwie nas dwudziestu dwóch i tych, którzy już byli, czterech, razem dwudziestu sześciu, obok siebie położyć się mogło, i to dotykając jeden drugiego. A w tej wieży jest gruba dębowa krata, czyli klatka, w jakiej trzymają lwy, tak że strażnicy mogą wewnątrz wieży chodzić wokół tej klatki i patrzeć, co więźniowie robią. W nocy zaświecają na środku klatki wiszącą szklaną lampę. Wokół tej okratowanej izdebki znajdują się kłody, na których opieraliśmy nogi lub mieliśmy w nich siedzieć. Ale, że Bóg nam dać raczył łaski u naszego agi, sadzał nas do tych kłód tylko wówczas, gdy nieznanymi Turcy mieli wchodzić na wieżę — posyłał naprzód, aby nam obie nogi do kłód pakowali i zamykali; bo ponoć taki rozkaz otrzymał od baszy, żebyśmy dnie i noce siedzieli w kłodzie. A gdy Turcy odeszli, znowu nas puścić kazal.

Gdy minął trzeci dzień, a nie dano nam chleba ani żadnej strawy, posłaliśmy po naszego opiekuna agę i pytaliśmy, co z nami czynić zamierzają, ponieważ już trzeci dzień nic w ustach nie mieliśmy. Jeżeli chcą nas głodem zamorzyć, żeby lepiej wrzucili do morza i utopili, abyśmy raz skończyli tę naszą nędzę. Gdyśmy tak przed nim płakali, i jemu aż łzy pociekły z oczu, skoro do nas przemówił: «Żyje Bóg i Jego wielki prorok Mahomet, na nich przysięgam, że przykro mi, iż męczą was w takim ciężkiem i ciemnym więzieniu, i nie mogę się nadziwić, czemu się nad wami znęcają, mnie zaś nic nie mówią, co z wami mam czynić. Nie sądzę, żeby chcieli was morzyć głodem, gdyż w takim razie zamknęliby was do piwnicy, w której Turcy umierają z głodu. Pojadę do Konstantynopola, dowiem się, co was czeka, i powiem wam to szczerze». Całowaliśmy mu ręce, nogi, szaty i z płaczem polecaliśmy się jego łasce, z wielkim strachem oczekując powrotu.

A gdy przed wieczorem przyjechał, powiedział, że nie pomrzemy z głodu. Basza przeznaczył trzy aspry, czyli krajcary, na dzień i za to mieli nas żywić. Ale ponieważ długo musielibyśmy czekać na pieniądze, gdyż co kwartał wypłaca się dworzanom, żołnierzom i służbie, więc poczciwy nasz aga (niech mu Bóg za to zapłaci) poręczył piekarzom, aby nam codzień po dwa bochenki chleba dawali, a on im co trzy miesiące wypłacać będzie. Tak się też stało; co kwartał płacił piekarzom po dwa krajcary dziennie, zaś trzeci krajcar sobie zostawiał, za swoją pracę, ale i tak byliśmy mu wdzięczni.

Ponieważ morskiej słonej wody pić nie można, a niedaleko od miasteczka, położonego nad morzem, jest na wierzchołku góry studzienka słodkiej wody, stamtąd więc przynosili nam codzień dwa dzbany, tak że zaledwie mogliśmy ugasić pragnienie (bo bywa tam okropnie gorąco). Z tego powodu, jeśli który wypił więcej, powstawały sprzeczki. A więc, żeby wszyscy mieli równo, zawiązaliśmy spółkę w naszym zawodzie pończoszniczym, jeden prządł bawełnę, drugi ją zwijał, trzeci robił pończochy. Skorośmy oszczędzili jakiś pieniądz (sprzedawszy to, cośmy zrobili), choć zwykle dawano nam za pończochy trochę mąki, oleju, octu, rzadziej aspra, posłaliśmy do miasta i ilu nas było, tyle kupili dzbanków i jeden wielki drewniany ceber, w który stawiało się wszystkie dzbanki. Gdy przyniesiono wodę, náfewano do wszystkich dzbanów, resztę zaś brał codzień inny więzień, chowając ją w dużym starym dzbanie.

Kupiliśmy sobie wielki garnek i oblepiliśmy go gliną, którą nam strażnicy przynieśli, i zrobiliśmy z niego piec; węgle i miech kupiliśmy również za sprzedane rękawice i pończochy. Podzieliłiśmy się na oddziały po pięciu, sześciu i codzień inny musiał gospodarować. Wziąwszy bochenek chleba, nadrobił go do wody, rozdmuchał ogień, nawarzył kaszy i swym rzemieślnikom jeść dawał. Prał wykończoną robotę, czasem, gdy wody było dostatek, uprał i koszule, podczas gdy ich właściciele siedzieli nago, czasem udało się umyć głowy współtowarzyszom. Taki urząd każdy pokolei sprawować musiał tydzień. Ach, jakże wyborna była ta kasza z chleba! Czasem dostaliśmy trochę oleju do omaszczenia; lizało się po nim ręce. Czasem mieliśmy chleba dosyć, czasem czekaliśmy na posiłek aż do wieczora; gdy wiedzieli, że mamy wodę, przynosili ją raz na dwa dni, żyliśmy na ich łasce. Nic nam nie dali darmo, prócz soli, którą było naładowane kilka piwnic. Od czasu, jak sultan Mehemed oblegał Konstantynopol i rozbił tę fortecę, soli jest poddostatkiem, i aga nam jej nie żałował.

Gdyśmy wreszcie przywykli do tej przeokropnej ciemnicy i taki porządek pomiedzy sobą zaprowadzili, dostaliśmy książki łacińskie i niemieckie, biblię, pieśni. Skoro zmieniała się warta, wiedzieliśmy, że to rano, i śpiewaliśmy pieśń poranną, a później przeczytaliśmy ranne modlitwy, prosiliśmy Boga o wyswobodzenie nas z niewoli i o to, żeby chrześcijanie pobili Turków. Potem każdy brał się do swej roboty i pracował cały dzień. Wieczorem także, gdy przeglądali nasze pęta, śpiewaliśmy pieśń wieczorną i, pomodliwszy się (domyślaliśmy się, że jest noc), układaliśmy się na spoczynek, czasem czytając jeszcze z godzinkę przy świeczce. Jakąż rozkosz sprawiało nam to czytanie!

Ach, jak słodko wspominaliśmy drogą naszą ojczyznę! Jakie czyniliśmy śluby, jeżeli Pan Bóg wyzwoli nas z niewoli! Jakże będziemy dobrzy! Najwyższem naszym pragnieniem było najeść się chleba dosyta. Wspominając dawną naszą wspaniałość i zbytki, narzekaliśmy ze łzami, żeśmy darów bożych cenić nie potrafili.

*Tłum. Marja Bunikiewiczowa.*

JAN AMOS KOMENSKY

(1592—1670)

PĄTNIK PRZEGLĄDA STAN UCZONYCH

(Rozdział X)

1) I rzekł do mnie przewodnik mój: «Rozumiem ja twe myśli, wiem, gdzie cię ciągnie. Chcesz iść pomiędzy uczonych; to dla ciebie ponętne, to jest lżejsze, spokojniejsze, użyteczniejsze dla myśli życia». «Tak, to prawda», mówi przewodnik, «czyż może być coś rozkoszniejszego, gdy człowiek, nie dbając o potrzeby ciała materialnego, zajmuje się tylko badaniem wszelkich uszlachetniających rzeczy? Wszak prawdą jest,

że śmiertelnych ludzi podobnymi i prawie równymi Panu Bogu czyni to, iż pragną być wszechwiedzącymi, co na niebie, co na ziemi, co w przepaściach było lub będzie, iż są wszystko ścigającymi, wszystko rozumiejącymi, chociaż nie wszystko równie doskonałe, to prawda». «Prowadźcie mnie tam! Czemu zwlekacie?» — zawołałem.

Zbliżyliśmy się do bramy, nazwanej «Disciplina». Była długa, niska i ciemna, pełna zbrojnej straży, której się każdy, chcący wejść na ulicę uczonych, musiał opowiedzieć i prosić o przewodnika. I widziałem, że tłumy ludzi, zwłaszcza młodych, wchodziły i wnet na ostry egzamin były brane. Najpierw badano jaki mieszek, jaki zadek, jaką głowę, jaki mózg i jaką skórę przynoszą. Jeżeli głowa była stalowa, a mózg z ręki, zadek ołowiany, skóra żelazna, a mieszek złoty, chwalili i dalej chętnie wiedli; jeżeli który nie miał tego piątego, albo kazali mu się wracać, lub, przeczuwając coś złego, na chybił trafił przyjmowali. Powiedziałem zdziwiony: «Cóż może im zależeć na tym piątym metalu, że tak pilnie go badają?» — «Ba, wiele», rzekł przewodnik. «Jeżeli ktoś nie ma stalowej głowy, rozpęknie mu; jeżeli nie ma w niej płynnego mózgu, nie będzie miał w nim zwierciadła; jeżeli nie ma blaszanej skóry, nie ścierpi formowania; jeśli zaś nie ma ołowianego siedzenia, nic nie wysiedzi, rozsypie wszystko; a bez złotego mieszka, skąd weźmie czas, skąd mistrzów żywych i martwych? Czy sądzisz, że tak wielkie rzeczy darmo przychodzą?» Zrozumiałem dokąd to zmierza, że do stanu uczonego potrzebne jest zdrowie, dowcip, stałość, cierpliwość i złoto na wydatki, więc rzekłem: «Można tu naprawdę powiedzieć: *Non cuivis contingit adire Corinthum*».

2) Wchodzimy potem do bramy i cóż widzimy? Każdy ze stróżujących bierze jednego lub więcej do pracy i z nim się wodzi, dmucha mu coś do uszu, przeciera oczy, wyparowuje nos i nozdrza, wyciąga język i odkrawa, ręce i palce składa i rozkłada i nie wiem już, co więcej robi. Niektórzy próbowali przewiercać głowy i coś w nie nalewać. Widząc, że patrzę z przerażeniem, przewodnik mój rzekł: «Nie dziw się, uczeni muszą mieć inne ręce, język, oczy, uszy, mózg i wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne organa; dlatego przemowują się tu, a to bez pracy i przykrości obyć się nie może». Wtem spoglądam i widzę, jak wiele kosztuje biedaków to przeformowanie. Pięść, miotła, linja na twarzy, na głowie, na grzbiecie, na siedzeniu się znalazły, aż krwią pluli i pełni byli pręg, szram, siniaków i czuli się bardzo zmęczeni. Niektórzy, widząc to, wpierw nim ich chwycono, uciekali do bramy i hen precz; inni, wydzierając się z rąk formującym, też uciekali. Mniejsza ich liczba wytrwała aż do końca; ja również, do stanu uczonego chęć mając, przetrwałem formację, choć nie bez trudności i przykrości.

Gdy wychodzimy z bramy, widzę, że każdego cechują, po czem można go rozpoznać jako uczonego: kałamarz za pas, pióro za ucho, a do ręki pustą księgę do gromadzenia nauki. Dostałem to wszystko. Wówczas rzekł Wszystkowiedz: «Tutaj są cztery rozstajne drogi: do filozofji, medycyny, jurysprudencji i teologii. Gdzie się najpierwej udamy?» — «Jak sądzisz» — rzekłem. Więc on postanowił: «Najpierw pójdziemy na plac, gdzie się schodzą wszyscy, ażebyś się im przyjrzał; potem zwiedzimy rozmaite audytorja».

3) I wprowadził mnie na jakiś rynek, i och, tu gromady studentów, mistrzów, doktorów, księży, młodzieńców i siwowłosych! Niektórzy z nich stali w grupach, rozmawiając i dysputując, inni cisnęli się po kątach, uchodząc ludziom z oczu. Jedni (dobrze to zbadałem, choć nie śmiałem im nic mówić) mieli oczy, ale nie mieli języka; inni mieli język, ale nie mieli oczu; jeszcze inni mieli tylko uszy, ale ani oczu, ani języka i t. p. Zrozumiałem, że i tu znajduje się dużo nieodpowiednich. Spozrzegłszy, że wszyscy skądś wychodzą i znów tam wchodzą, jak pszczoły, płaczące się od ula do ula, przynaglałem, ażebyśmy tam także weszli.

4) Więc wchodzimy, a oto wielka izba, której nawet nie mogłem objąć oczyma, a w niej pełno półek, przegród, pudeł i skrzyń, na stu tysiącach wozów nie pomieściłby ich, a każda miała swój napis i tytuł. Więc rzekłem: «Weszliśmy chyba do jakiejś apteki?» — «Do apteki — odparł przewodnik — gdzie się przechowuje leki przeciwko chorobom myśli, apteka ta zaś zowie się biblioteką. Spójrz, jakie tu przeogromne składy mądrości!» Ujrzałem wielu uczonych, chodzących pomiędzy pakami. Niektórzy, wybierając najpiękniejsze i najsztubtelniejsze, wyciągali z nich po kawałku i powoli żuli i za-

żywali. Zbliżyłem się do jednego z nich, pytając, co robi? Odpowiedział mi: «Korzystam». «A jakiż tego smak?» — pytam. On na to: «Dokąd się żuje w ustach, gorzki i kwaśny, ale potem zamienia się w słodycz». «A poco to robicie?» — zapytałem. Odpowiedział: «Łatwiej mi jest wewnątrz nosić, a przytem jestem pewniejszy. Czyż nie widzisz skutków?» — Spoglądałem na niego uważniej, widzę, iż jest tłusty i opasły, rumiany, oczy świecą mu jak świece, mówi pięknie, obraca się żywo. Przewodnik mój rzekł: «A teraz spójrz na tych».

Spoglądam i oto widzę, że niektórzy bardzo chciwie z tem się obchodzą, pchają wszystko w siebie, co im wpadnie pod rękę. Przyglądając się im uważnie, nie widzę, ażeby im tłuszczu lub ciała, albo kolorów przybywało, tylko brzuch mają odęty i rozepchany; i spostrzegam, że to, czem się napchali, zpowrotem z nich wychodzi spodem i wierzchem, niestrawione. Niekтары dostawali zawrotu i pomieszania zmysłów; inni schli z tego, bledli i umierali. Świadkowie, tam obecni, wskazywali ich sobie, mówiąc, jak niebezpiecznie z książkami (tak nazywali te paczki) mieć do czynienia; niektórzy uciekali, inni napominali się wzajemnie, ażeby byli ostrożni. Dlatego nie brali tego do ust, tylko z przodu i z tyłu uwiązywali sobie woreczki i sakwy i do nich pchali paczki, najwięcej te z napisami: wokabularz, dykcjonarz, leksykon, promtuarium<sup>1</sup>, florilegium<sup>2</sup>, loci communes<sup>3</sup>, postille, konkordanci, herbarz i t. d. (każdy, co dla siebie uważał za pożyteczne), nosili je ze sobą, a gdy przyszło im coś powiedzieć lub napisać, wyciągali, brali do ust lub pod pióro. Zauważywszy to, rzekłem: «Ci, zdaje się, w kieszeni noszą naukę?» Przewodnik mój odparł: «Memoriae — to subsidia. Czyś o tem nie słyszał?» Słyszałem, iż niektórzy ten sposób chwala, jakoby się wówczas tylko niezbędne rzeczy brało. Lecz miało to swoje niewygody. Zdarzyło się w mej obecności, że się kilka paczek rozsypało, innym znów, gdy je nabok odłożyli, ogień co najważniejsze spalił. Ach, cóż to było za bieganie, łamanie rąk, narzekanie, wołanie: rety! Od tej chwili nie chciał żaden dysputować, pisać, kazać; tylko, zwiesiwszy głowę, chodził, kurczył się, czerwienił, prosił i za pieniądze starał się wydobyć stracone paczki na nowo; podczas gdy ci, co je mieli wewnątrz, pewniejsi siebie byli i takiej przygody nie potrzebowali się obawiać.

Tymczasem spostrzegłem innych, którzy nawet do kieszeni nie pakowali paczek, ale je znosili do jakiegoś pokoiczku. Wszedłszy za nimi, widzę, że stroją je w piękne pudła, malują różnobarwnie, niektórzy nawet złotem i srebrem okładają, ustawiają na półki i znów wyciągają, składają i rozkładają, przystępują i odstepują, podziwiają i każą podziwiać innym, jak to pięknie wygląda; wszystko nazewnątrz; niektórzy spoglądali na tytuły, ażeby umieć je wymienić. Rzekłem na to: — Czemuż oni tak się bawią? — A przewodnik odparł: «Kochany bracie, miła to rzecz mieć piękną bibliotekę». — Nawet gdy się jej nie używa? — mówię na to. A on: «I ci, którzy kochają biblioteki, zaliczają się pomiędzy uczonych». Wówczas pomyślałem: Jak ktoś, kto by zgromadził dużo mówców i obcęgów, nie wiedząc nawet do czego służyć, uważał się za kowala. Nie śmiałem jednak tego powiedzieć.

*Tłum. Marja Bunikiewiczowa.*

JAN KOLLAR  
(1793—1852)

Z «CÓRY SŁAWY»

I.

O! dawnych Słowian złoty wieku błogi!  
Czyż dziś oko lżą się nie zaleje?  
Któż dziś nie westchnie, czytając twe dzieje?  
Chociaż narodu kreśliły je wrogi?...  
Nieznane były u naszych pradziadów  
Klucze, zapory, szafoty, więzienia,

<sup>1</sup> podręcznik. <sup>2</sup> antologja. <sup>3</sup> zbiór wiadomości współczesnych.

Ani się pojąć mogli ze zdziwienia,  
 U swych niemieckich widząc je sąsiadów,  
 Obce im były kradzież i morderstwo,  
 Podstęp, obluda, kłamstwo, przemieszanie;  
 Sędziwą starość młode plemię czciło.  
 Pieśni i gędzba w całym kraju brzmiały,  
 Gościnne wrota wszędy oścież stały...  
 Dzisiaj, niestety, wszystko się zmieniło.

## II.

O, gdyby przy mnie berło władzy było!  
 Gdybym miał ręką zawładnąć zwycięską!  
 Razby się przecie na zawsze skończyło  
 Sąsiedztwo, co nam było klęską.

Od Adrjatyku aż ku bagnom fińskim,  
 Od Łaby po nurt Dunaju bystrego,  
 Nie żelaznemi słupami Chrobrego,  
 Granice murem opasałbym chińskim.

Tą-bym ja tarczą od zguby ostatniej  
 Zaslonił ciebie, o narodzie bratni!  
 Któremu, więcej gdy nie ma co brać —

Wydarłszy wszystko, wróg twój naostatek  
 Dziś się nie wzdraga z piersi twoich matek  
 Słowiańskie mleko twe ssać! —<sup>1</sup>

*Tłum. Roman Zmorski.*

## FRANCISZEK WŁADYSŁAW ČELAKOVSKÝ

(1799—1852)

## POJEDNANIE

Moje wy piastunki, matko droga,  
 Rówieśnice me, nadobne dziewy,  
 Jeśli wiecie, to mi też powiedzcie,  
 Ile czasu trwa poranna zorza,  
 Tęczy luk i — zakochanych zwada?  
 Bo się z lubym moim poróżniłam,  
 Gniewem się uniosłam na miłego;  
 Wcaleśmy do siebie nie mówili,  
 Ani słówka, nawet pół słoweczka.  
 Pogrzebałam w śniegu miłość wierną  
 I na śniegu gniew swój wypisałam,  
 Najmilszego całkiem się wyrzekłam.  
 Aż wiosenny począł wiać wiaterek,  
 Śnieg roztajał i złość też spłynęła,

Pogrzebana miłość ma rozkwitła,  
 Wzrosła kwieciami modrem i czerwonym.  
 Dzień radosny był to wielkanocny,  
 Wczesnym rankiem ze snu-m się zerwała,  
 Na ulicy się spotkałam z lubym.

«Chrystus z martwych wstał!» te słowa jeno  
 Powiedziałam i spuściłam oczy.  
 «Tak, wstał z martwych!» odrzekł ukochany,  
 Rzekł mi to i w usta pocałował.  
 Moje wy piastunki, matko droga,  
 Rówieśnice me, nadobne dziewy!  
 Jasne słońce może zaćmią chmury, —  
 Ja się nigdy nie poróżnię z lubym.

*Tłum. Alfred Tom.*

## KAROL HYNEK MÁCHA

(1810—1836)

## MAJ

(Wyjątek)

Nad jeziorem pagórek wznosi swoje czoło,  
 Na nim słup, w ziemię wbity, straszne dźwiga koło,

<sup>1</sup> Niemcy poszukują Słowianek na mamki.

Wpobliżu stromej skały podwójny wierzchołek,  
A na wyższym maleńki bieli się kościółek.  
Wolnym pochodem orszak u jego podwoi  
Staje — cofa się w okrąg: zloczyńca sam stoi.  
Raz mu jeszcze ostatni, jeden raz jedynie  
Pozwolono przyrody oglądać świątynię  
I w ciemne góry puścić dumające oko,  
I wolnem ich powietrzem odetchnąć szeroko;  
I raz jeszcze popatrzeć na niebios błękity,  
Na kolebkę dzieciństwa, skał sinawych szczyty,  
Przed nieba, światów Panem zgiąć kornie kolano,  
Okupić mnogie błędy jedną łzą wylaną.  
I wszelki zgiełk umilknął, lud chowa milczenie,  
I każde serce zdjęło jakieś tajne drżenie,  
Bez ruchu każde oko w więźnia się kieruje.  
Gdzie, zachwycon przyrodą, ukorzon przed Bogiem,  
Modli się uroczyście przed wieczności progiem.  
Wzniosło się słońce i jarką łoną,  
Oblewa więźnia twarz wybiedzoną;  
Łzę na źrenicy tęsknej mu ściera,  
Co w oddaloną przestrzeń spoziera.  
Pod nim głęboko krasna dolina,  
Ciemnych gór łańcuch ją wkoło spina  
I wieniec lasów w krąg obejmuje.  
Środkiem dolina się rozstępuje  
I na pościeli brzegów kwiecistych  
Jezioro drzemie w głębiach przejrzystych.  
To modro czasem z brzegu się wspieni,  
To dalej błysnie znów zielonawo,  
Zieleniej jeszcze dalej się mieni,  
Aż blade jasną ginie w dal mgławą.  
A nad niem wkoło domy się bielą,  
Drzewa wieszają ponad topielą,  
Na wodzie ptaków kapie się stado,  
I lekkie czółna pławią gromadą;  
A gdzie jezioro w boki się kłoni,  
Cały tam obraz po wodzie goni:  
Łódki i ptaki, domy nadbrzeżne,  
Zielone drzewa i żagle śnieżne,  
Wzgórki okólne, dalekie góry  
I ciemnych lasów okrąg ponury —  
Wszystko, jakgdyby wspak zatopione,  
W zwierciadle wody widać zdwojone.

Tam w mgławej dali stercząca skała  
Ponad głębiną zwiesza się śmiała;  
A na niej drzewo tkwi rozłożyste,  
Znany dąb stary. Już uroczyste  
Nie wrócą chwile, co w jego cieniu,  
Gdy noc spuszczała tajni namioty,  
Głos synogarlic zwał do pieszczoty,  
W słodkiem miłości mkły upojeniu.  
Najbliższy wzgórek wznosi swe czoło,  
Na nim słup wbity, na słupie koło;  
Wonny gaj boki wzgórnka ustraja,  
Młode listeczki smutnym drżą stękiem.

Słońce się wznosi, wszystko drży wdziękiem,  
 Skapane rosą — ranek to maja.  
 Wszystko jeszcze piękniej, uroczyściej wygląda  
 Temu, co raz ostatni napaść się tem żąda.  
 I więźnia serce schwycił żal gorzki, gwałtowny,  
 Tajny, lecz łzą gorącą, westchnieniem wymowny;  
 Płacze — lecz duma męska i wola, i siła  
 Ostatniem wysileniem te łzy przytłumiła.  
 Znowu w niebios sklepienie wznosi oczy łzawe:  
 Na przejrzystem sklepieniu giną mgły białawe,  
 Z nimi leciuchny wietrzyk w różny kształt swawoli;  
 Wyżej, dalekiem niebem obłoki powoli  
 W odległe płyną kraje szeregi długimi,  
 Więzień do nich przemawia słowami smutnemi:  
 «Wy, co w dalekosięgłej swej wędrówki locie  
 Obejmujecie ziemię w tajnym ramion splocie,  
 Wy, gwiazdy rozplynięte, modre nieba cienie,  
 Wy, całuny, żałobne w nagłe rozsmutnienie,  
 Co się w ciche łez strugi cale rozplywacie;  
 Wy najmiłszemi posły zawsze mi bywacie.  
 Więc gdzie plyniecie w długim oddalonym biegu  
 I tam, gdzie już do swego dopłyniecie brzegu,  
 W bystrej pielgrzymce swojej pozdrowcie mą ziemię,  
 Mą kolebkę, grób, matkę. O, pozdrowcie niemie!  
 Ach, tę piękną, tak piękną ziemię ukochaną,  
 Mą ojczyznę jedyną, w dziedzictwo mi daną,  
 Szeroką moją ziemię, mą ziemię jedyną,  
 Aż bieg wasz nad jeziora zobaczy głębiną  
 Na wzniosłym złomku skały dziewicę splekaną».

Umilkł; — i znowu we łzach oko się spławiło.  
 Wtem znak ostatni dano — wojsko się ruszyło:  
 Orszak szeroką ścieżką wzdłuż młodego borku  
 Idzie — dalej — i dalej — już są na pagórku.  
 Tłum w niemem napięciu odetchnąć się boi;  
 U kresu z gołym mieczem kat gotowy stoi.  
 Jeszcze raz, raz ostatni więzień podniósł oko  
 I z westchnieniem dokoła powiódł niem szeroko,  
 I nagle spuścił w ziemię — śmierć wobec stanęła,  
 Klęknął — kat wtył się cofnął — stal wgórze błysnęła:  
 Straszna chwila... jakgdyby grom nad tłumem zwisnął,  
 Kat szybki krok dał naprzód i razem miecz świsnął.

Spadła głowa i drgnęła i ciało się kłoni,  
 Ach, w tę ziemię jedyną, ziemię ukochaną,  
 W swą kolebkę, grób, matkę — och, w ziemię jedyną,  
 Szeroką tę tu ziemię, w dziedzictwo mu daną,  
 W matkę swą, w matkę swą, krew syna ciecze po niej,  
 Po członku łamano członek, aż ciało skruszone  
 Jak nitka między koło zostało wplecione;  
 W środku głowa zatknięta w postrach długich czasów,  
 Tak skończył dni żywota straszliwy pan lasów.

. . . . .

I długo tak siedziałem, aż promień księżyca  
 I moje, i tej czaszki zbledził jeszcze lica,

Jak zasłona gazowa białość się rozlewa  
 Na doliny i góry, jezioro i drzewa.  
 W okólnych dworach słychać psów szczekanie,  
 Niekiedy się spóźnione odezwie wołanie;  
 To sowa gdzieś tam stęknie, żabki rechotają,  
 Lekkie wiatry kwiat z drzewa jak śnieg rozwiewają.  
 Wyziew łączny jak wonne kadzidło się wznosi,  
 Obłok przelotny czaszkę lżą przelotną rosi,  
 Mgła jak krepa się ściele, niesiona wietrzykiem;  
 Nocne ptactwo złowrogim odzywa się krzykiem.  
 Nad jeziorem przelata światło tajemnicze  
 I wiatr jakieś jęczenia roznosi zwodnicze;  
 A muszki świętojańskie, gwiazdy latające,  
 Uganiają się, krążą, jasnych gwiazd tysiące;  
 Czasami zajdzie która w czaszki głab kościstą  
 I, oczami wylaząc, tworzy lżę ognistą.

I w smutnych oczach moich dwie wrzące lzy stały,  
 Jak te iskry jeziora po twarzy mi grały.  
 Bo gdzież moje dzieciństwo? O, wiek to szczęśliwy!  
 Daleko już go uniósł bieg czasu skwapliwy,  
 Dalekie sny dzieciństwa, jako cień zamierzchły  
 Obrazów, co po wodzie dawno się rozpięchły.  
 Czem zmarłych myśl ostatnia, czem są ich imiona,  
 Chwała bogów przedawnych głucho zatraczona,  
 Dawna zorza północna, wygasłe jej łony,  
 Starganej struny dźwięki, zbitej harfy tony,  
 Zeszłego wieku dzieje, blask gwiazdy spadniętej,  
 Ślad błędnego ognika, woń róży zwiędniętej;  
 Czem jest grób zapomniany, minionych burz wycie,  
 Stary wulkan wyziębły, przeszłość zapadnięta,  
 Śpiew martwego łabędzia, przeszłość niezgadnięta,  
 Stracony raj ludzkości, po stracie piękniejszy —  
 Tem jest moje dzieciństwo!...

A czas terazniejszy

Jakże mnie przeinaczył! Jak w tym poemacie  
 Życie jeszcze w majowej mieni mi się szacie,  
 Lecz cisza to majowa wśród nocnej pomroki,  
 Na ustach lekki uśmiech, w sercu żal głęboki.

Widzisz li tam pielgrzyma? Długim kijem wspiera  
 Pośpieszne kroki swoje, szybko się wydiera  
 Śledzącym go spojrzeniem, gdy tę skałę minie,  
 Przed waszemi oczyma już na wieki zginie.  
 I nigdy go już, nigdy potem nie ujrzycie!  
 To moje przyszłe losy, to me dalsze życie.  
 I któż serce podobne napoi dosyta?  
 Szczęście, miłość trwa wiecznie! Mnie już nie zaświta.

Późny jest wieczór pierwszego maja,  
 Majowy wieczór, wszystko tak miło!  
 Głos synogarlic wabi do gaja:  
 «Hynku, Wilhelmie, Jarmilo!»

*Tłum. Br. Matecki.*



## JAN NERUDA

(1834—1891)

## OSTATNIA BALLADA Z ROKU DWA TYSIĄCE I JESZCZE KILKA

Za ostatnią kradzież, co wogóle  
Na tym świecie została spełnioną,  
Raz ostatni zeszyli się pacholki  
I ostatnią ławę wystawiono.

Baron, sławnych pradziadów potomek,  
Drży ze strachu, gnie pokornie szyję;  
Przodków nawet miecze nie trwożyły,  
A potomka skruszą marne kije.

I ostatni sędzia, praw ostatnich  
Stróż, za chwilę mowę swą wypowie,  
By za kradzież kazać sprawić kije  
Ostatniemu w świecie baronowi.

— Miły bracie, strózu praw surowych,  
Patrz, jak w ciężkiej znalazłem się matni;  
Kraść nie będę nigdy, więc mi przebac,  
Jam jest baron, i to już ostatni.

Sędzia słucha, tylko głową kiwa  
I uśmiecha się niby laskawie:  
— My barona pod ławę rzucimy,  
A złodzieja położym na ławie.

## ROMANCA

Skocznie grano, gdy już w ziemi  
Legło ciało moje,  
Matka gościom wystawiła  
Jadło i napoje.

Dnia drugiego się dzielili,  
Zamków dziewięć było,  
Że im mało zostawiłem,  
To w nich złość budziło.

— A tę była mą kochankę  
Komuż odda mama?  
— Głowy sobie nie kłopotę,  
O tem myśli sama.

—————  
*Tłum. Bronisław Grabowski.*

## ŠWIĚTOPELĀ ČECH

(1846—1908)

## PIEŠŃ NIEWOLNIKA

(Špiev XV)

Raz dwaj otrocy z dozorcą samotrzeć  
Z dalekiej drogi wracaliśmy puszcza,  
Ktorej stuletnie drzewa tak się bluszczą,  
Że nigdy dniowi pod ich dach nie dotrzeć.  
Z worem na drągu z ramienia na ramię,  
Czujnie strzeżeni i pod grozą pięści  
Albo, co gorsza, ostrej draba włóczni  
Jeden za drugim szliśmy obaj juczni,  
Ledwo już dysząc. Wtem gałąź zachrząści  
I suchy konar z łoskotem się złamie,  
I sierść złocista, pręgowata cała,  
Mignie znieacka szybciej niżli strzała.  
Jeden krzyk trwogi i już drąg, i brzemię  
Lecą nam z ramion na skrwawioną ziemię,  
A mój towarzyszu, co zdążał przede mną,  
Patrzę: kłom bestji broni się daremno.  
Stróż nasz oszczepem potrząsnął i mierzy...

Zwierz, powalonym nie bawiąc się trupem,  
Skoczył i łapy w krwi ubroczył świeżej,  
I pomknął w dżunglę z nowym swoim łupem.  
Przejęty grozą, pochwyliłem bronie,  
Które siepacza wypuścili dłonie,  
I biec począłem naoslep przed siebie,  
Byle bór minąć, zanim noc na niebie  
Rozwiesi mroki czarne i ponure.  
Byle bór minąć! — Ot, i rzedną liany,  
I coś jak ścieżka wije się pod górę.  
Może w niej znajdę ślad zgubionej drogi?  
Tam jakaś grotka pod załomem ściany...  
Ku jej kolebie wspinam się po perci,  
A wtem dzień zgasnął. Omdlały mi nogi  
I w sen zapadłem cięższy od snu śmierci.

Kiedym nazajutrz przecknął z odrętwienia,  
Świat cały garnął się ku moim stopom,  
Cudny, jak w pierwszym dniu swego stworzenia.  
Wdali rozciągnięty ku morza zatopom,  
W którego toni złocisty krąg słońca  
Skrzył się, jak bogów tarcza gorejąca,  
Bór, co nikomu nie bywał komyszą,  
Dumał, nakryty uroczystą ciszą.  
Gdziemkolwiek posłał zachwycone oczy,  
Czyto przed siebie, czy też po uboczy,  
Wszędzie a wszędzie na całym przestworze  
Jedno szumiąco w krąg zieleni morze  
Świeżej, spojrzeniem człowieka nietkniętej,  
Płynnym szmaragdem nawskroś przesiąkniętej,  
Nad nią cień orła czy też albatrosa,  
A jeszcze wyżej — już tylko niebiosą.  
Zaś za mną wdali z wiecznym śniegiem w źlebie,  
Z za wieńca regli poprzez mgieł rańtuchy,  
Szczyt granitowy majaczał na niebie  
I hen! aż ku mnie siał rzeźwe podmuchy,  
Co, palm wierzchołki w rytm kołysząc senny,  
Ku leśnym jarom i wzgórz widnokręgom  
Wily się liścia rozwianego wstęgą,  
Aż przepadały w kniei smukłopiennej.  
Ówdzie, rzuciwszy gniazdo swe podniebne,  
Srebrne sikławy, niby kryształ ciekły,  
Wsuwały pasma tęczowe i srebrne  
W aksamit polan, których nie urzekły  
Ludzkie spojrzenia. Tutaj kwiatów wdzięki  
Jeszcze człowieczej nie zazały ręki.  
Dziewicza ziemia ta od lat tysięcy  
Śni nieprzerwanie sen swój niemowlęcy.  
Zdana na czujne śmigłych palm wigilję,  
Na mchach puszystych położyła skronie;  
Nad nią storczyki złote i wanilje  
Sieją z kielichów upojne swe wonie,  
Albo winorośl, ręką niedotknięta,  
Otrząsa na nią żrałe sokiem grona...  
Tak, to kontyna dziewiczej przyrody,  
Tu niema jarzma, tu jest raj swobody.

Przebóg, czyż nie jest uludy igraszką  
 Ta błogość w piersiach i ten grom pod czaszką:  
 Tyś wolny, wolny! tu cię nic nie pętał  
 Za tobą hariba i kaźń twa przekłeta,  
 Sam sobie jesteś w tej kryjówce gazdą,  
 Tutaj ci w skałach uwić orle gniazdo.  
 Za tobą nędznych siepaczy czereda,  
 Jarzmo i dyby, i krzywda, i bieda,  
 Za tobą rabów kłótliva gromada,  
 Na której plecy batóg dzień w dzień spada, —  
 Wszystek jad duszy z jej bezsilną złością,  
 Lęk, zawieść, podłość — wszystko poza tobą,  
 Niby gryzący dym brudny i smolny,  
 Pierzchno na myśl tę jedną: jesteś wolny!

Matko naturo! daj mi na twem łonie  
 Przeżyć połowę życia mego drugą,  
 Zabliźnić rany, zapaść w czyste tonie,  
 Złać się z twą duszą, jak struga ze strugą!  
 Domem mym będzie gościnność tej groty,  
 Napojem — woda z wywierzyska świeża,  
 Pokarmem — owoc twój żrалоścią złoty,  
 A oszczep — bronią na leśnego zwierza.

*Tłum. Maciej Szukiewicz.*

#### KŁOPOTY KRYTYKA

(Z «Nowel, arabesk i humoresek»)

W niejednym prowincjonalnym mieście można znaleźć młodego człowieka, który pomiędzy rześkimi mieszczanami wygląda jak człowiek, spadły z księżycy. Miewa zwykle długie nierówne włosy, marzący wyraz twarzy, o nieprawidłowych, lecz szlachetnych rysach, nosi okulary na nosie, a na brodzie przygarść bezbarwnych włosów, będących w ustawicznym kontakcie z jego niespokojną ręką. Dobrzy mieszcianie przywykli już do tego odrębnego zjawiska, ale spoglądają na niego, gdy z okiem tęsknie wpatrzonem wdał kroczy środkiem ulicy, z podobnym zapewne uczuciem, jak zwykli patrzeć na albinosa normalni ludzie. Słuchają z uprzejmym uśmiechem jego trajkotliwej mowy, gdy opowiada czasem o rozlicznych kierunkach sztuki i literatury pięknej i tem podobnych transcendentálnych rzeczach. Człowiek ten bywa dobrowolnym i bezpłatnym współpracownikiem miejscowego czasopisma.

Takim właśnie był Brzetysław Luňáček. Pewnego rana wstał z wzniosłą świadomością, że poprzedniego wieczora został zaangażowany, spotkawszy się przypadkiem w podmiejskiej restauracyce z redaktorem «Dzwonu», jako krytyk, feljetonista, oryginalny korespondent z Pragi i korektor miejscowego tygodnika. Czasopismo to posiadało około półtora sta prenumeratorów, a przewodnią jego myślą była konkurencja z drugim miejscowym tygodnikiem «Młot», obrona kilku dostojników przeciwko łotrystwu opozycji w publicznym przedstawicielstwie, kasie pożyczkowej i związku straży pożarnej, niedopuszczanie, ażeby budowę gmachów publicznych powierzano lekkomyślnie komu innemu, a nie architektowi X, ofiarnemu zwolennikowi «Dzwonu», a obok tego obrona wszelkich świętych praw narodu czeskiego.

Z usprawiedliwioną dumą wstał więc Brzetysław Luňáček z łóżka i pośpieszył w stronę, gdzie wisiała stara marynarka, ażeby się przekonać, czy to engagement nie było marnym, cudownym snem. Nie, nie był to sen. Znalazł w kieszeni dwa nierozcięte tomiki poezyj i praski dziennik, w którym była wzmianka o wierszach, dopiero co wydanych. Oddał mu to wszystko wczoraj redaktor «Dzwonu» z prośbą, ażeby swą współpracę rozpoczął krytyką tych książek. Prosił go przytem o uważne rozcinanie kartek ostrym narzędziem, gdyż poezje te przeznaczone są na imiennowy

podarunek dla siostrzenicy redaktora. Dziennik praski zaś dał zapewne dlatego, ażeby go zapoznać z cudzym sądem o tych utworach.

Brzetysław Luñaček ubrał się dziś staranniej niż kiedykolwiek i długo się przyglądał w zwierciadle swej twarzy. Zbliżył się do okna z dumnie wypiętą pierśią, podniesioną głową i patrzył pogardliwie na małomiejski ruch, ożywiający czworokątny, nędznie brukowany rynek. Choć mieszkał na pierwszym piętrze niskiego domu, wydali się mu ci filistrzy tam na dole tak maleńkimi, śmiesznymi figurkami, jak w dziecinnej, gwiazdkowej szopce. Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, patrząc na głębokie ukłony, składane przez tych parafjan tłustemu burmistrzowi, kroczącemu właśnie dumnie po rynku.

Posługaczce, która mu przyniosła śniadanie, zabronił wpuszczać do siebie kogokolwiek, z wyjątkiem człowieka z redakcji, mającego się punkt o piątej zgłosić po rękopis. Słowa «redakcja» i «rękopis» wymawiał w sposób wielce uroczysty.

Potem Brzetysław Luñaček zasunął zawory u drzwi i poważnie zbliżył się do stołu, na którym leżały już oba tomiki poezji i praski dziennik. Usiadłszy, zdjął troskliwie piórko z fałdy rękawa (nie czynił tego dotąd nigdy) i zagłębił się w rozmyślaniach o tem, jak oto sobie tu siedzi i że ci dwaj poeci nie przypuszczają nawet, iż tak ważna jest dla nich ta chwila. Potem z pogardliwym uśmiechem sięgnął po pismo praskie. Przebiegłszy pobieżnie oczyma po uwagach krytycznych, w niem zawartych, rzucił ze złością gazetę na ziemię, mrużąc:

— Znowu te bezwstydnym hymny pochwalne! Musi się skrócić te wybryki! Przecież nasi pisarze zupełnie są już zepsuci tą adoracją; siedzą na postumentach swej domniemanej sławy, jak niedostępne bałwany, i podnoszą nos nad całe społeczeństwo, wciągając łakomie nozdrzami dymy z ofiarnych kadzielnic, jakimi są te wszystkie krytyki naszych gazet. Musi ustać wreszcie to wzajemne kadzenie. Myślę, że najlepiej rozpocząć swą działalność krytyka od gromobicia przeciwko temu świństwu — tak, napiszę przedewszystkiem ostrą ogólną o tem uwagę. — Zobaczają. — Niech sapią, niech się na mnie rzucają! — Wskażę najpierw na ten bezmyślny, bezwstydnym hymn pochwalny w tej praskiej szmaciel!

Błysnął okiem w sposób bohaterski i kurczowo chwycił za pióro. Lecz wnet przypomniał sobie, że może będzie lepiej, jeżeli przeczyta najpierw oba tak bezwstydnym wychwalane tomy poezji.

Zaczął więc czytać. Czasami tylko przesunął oczyma po stronicach, to znów wpijał mocno wzrok w jedną linię, czasem kiwał głową dobrotliwie, to znów złośliwie się uśmiechał, a przy tem wszystkiem kręcił i ciągnął przygarść bezbarwnego zarostu na brodzie w ten sposób, że zrobił z niego wkońcu coś podobnego do śpiczastego sztyletu, wymierzonego prosto w serce nieszczęśliwego autora.

Zaledwie dokończył czytać, przyniosła mu posługaczka skromny obiad. Zjadł go z roztargnieniem i pośpiechem, a wysączywszy czarną kawę, powrócił znowu do pracy. Rozważywszy należycie wszystko, postanowił stanowczo napisać we wstępie ostrą uwagę o penegirycznych pseudokrytykach, która to wzmianka spowoduje z pewnością zupełny przewrót (przytem zaiskrzyły się mu oczy), najpierw napadnie na krytyka z praskiego dziennika, a potem ostro, chłodno wytknie wady i błędy autorów. Wszak należy zwrócić uwagę pisarza na słabe strony jego twórczości, aby się ich na przyszłość wystrzegął, trzeba go zawrócić z niewłaściwej drogi, a wskazać właściwe tematy, kierunek i sposób opracowania.

Uczyniwszy to postanowienie, Brzetysław Luñaček zaczął się przechadzać po pokoju. Długo, długo jaśniał na stole śnieżną bielą nietknięty arkusz papieru. Wkońcu zjawily się na nim słowa: — Jak zachód słońca, różową barwą zalewający nieboskłon. — Lecz po chwili słowa te zniknęły pod gęstą kratą przekreśleń, a za nimi zjawilo się zdanie: — W rękach naszych, drżących z niesmaku i troski o właściwy rozwój naszego piśmiennictwa. — Ale i ten wiele obiecujący początek ustąpił miejsca innemu, ten znów innemu i tak dalej. Długo, długo pracował w ten sposób Brzetysław Luñaček i z równym skutkiem. Wreszcie, zmęczony, stanął przed oknem.

Nazewnątrz domki, okalające rynek, płonące w promieniach wiosennego słońca, zdawały się uśmiechać spokojnem szczęściem, tak samo jak i przechodzące grupki różnobarwnie ubranych ludzi, którzy okazywali zadowolenie z życia i dobrobytu. Był to rzeczywiście piękny obrazek. Krytyk zapatrzył się i nagle uczuł, że mięknie mu

serce. Żal mu się zrobiło tych dwóch biednych poetów. Patrzcie, wstaną jutro rano z rozpromienionymi twarzami, uśmiechającymi się radośnie do pełnej nadziei i powabnej wiosny, a wieczorem już w drżących rękach trzymać będą druzgocący wyrok. Kto wie, czy który z nich nie sięgnie... — Ale wreszcie mogą wpuścić trochę balsamu do rany, zwrócić uwagę na interesujące strony twórczości.

Wtem zawadził okiem o zegar na wieży przeciwległego ratusza i z przerażeniem spostrzegł, że wskazówka stoi na czwartej godzinie. Boże! pozostaje tylko jedna godzina! Trzeba pełną parą zabrać się do pracy. Ogólną wzmiankę można odłożyć na jutro, a poprzestać na krytyce utworów.

Zaczął chodźć coraz śpieszniej po pokoju. Ścisnął skronie, gryzł koniec pióra, przesuwał gorączkowo rękę po zaroście na brodzie — nic nie pomogło! Rozczochrane włosy rozwiewały się w biegu, rzęsisty pot wystąpił mu na czoło.

Oto widzi, jak z domu, leżącego przy końcu rynku — mieści się tam drukarnia «Dzwonu» — wychodzi wiadomy człowiek. Jest to zecer, idący po rękopis! Luñaček padł zrozpaczony na krzesło. Co począć! Zaraz na wstępie — będzie to okropny wstyd! Jak na to zaradzić?

Zanim krytyk rozważył należyte niemłą sytuację, wszedł zecer. Luñaček poprosił go, żeby chwilę poczekał i z okropnym napięciem zaczął coś bazgrać na papierze. Lecz nie było to nic podobnego do rozumnych, związanych zdań.

Zecer, obserwujący go ze współczuciem, nagle zauważył:

— Czemu się pan nad tem męczy, panie Luñačku. Dlaczego pan nie wytnie? —

Krytyk wytrzeszczył nań oczy i jęknął: — Wyciąć?

— No tak, od czasu, jak jestem tu w drukarni, pisane manuskrypty mieliśmy tylko wówczas, gdy je nam przysyłano z wydawnictw. Zresztą zawsze wycinaliśmy.

— A publiczność? — A redaktor? —

— Publiczność nasza nie czyta krytyk, a redaktor sam wycina.

Luñaček wyciągnął mimowoli rękę po praski dziennik, rzucony w oburzeniu na ziemię, i z zarumienioną twarzą drżącą ręką sięgnął po nożyczki. Chwilę patrzył tępo na gazetę, potem zaczęł ostrzem nożyc o obwódkę wydrukowanego tam hymnu pochwalnego na cześć dwóch poetów i dwóch tomów ich wierszy.

— Uważaj pan! Zaraz widać, że pan nie ma wprawy! — zawołał zecer, biorąc Luñačkowi nożyce z ręki. Krytyk patrzył bezmyślnie, wytrzeszczonymi oczyma, jak zecer wystrzygi uważnie obie kolumny krytyki, klepił je starymi znaczkami pocztowymi i jak z tym skrawkiem w ręku wyszedł z pokoju. *Tłum. Marja Bunikiewiczowa.*

## ELIŠKA KRÁSNOHORSKÁ (J. PECHOVÁ)

(1847—1926)

### ZMROKIEM

Zniknął dzionek w gór osłonie,  
Rosa pada na stokrocie;  
Patrz na niebie złote dłonie  
Rozsiewają gwiazdek krocie.

Spokój w niebie. — Ból, tęsknotę  
Sen w ramiona swe oplata;  
Nić miłości ręce złote  
Dla całego przędą świata.

I nikt ciszy tej nie zmaça,  
Raj po ziemskiej śnim katuszy...  
Słyszysz? jak dłoń Boża trąca  
O napięte struny duszy!

*Tłum. Władysław Bełza.*

### DO POEZJI

Ty pocieszasz, gdy gwiazdka moja się w mrok kryje,  
Kiedy świat dla mnie wieńce z ostrych cierni wije,  
Poezjo! matko święta — życie to noc głucha,  
Niech mój duch twojej pieśni i twych zwierzeń słucha.

Poezjol wiédź mnie życia tego ciemnym szlakiem  
Do Boga i nie dozwól mi rzucić przekleństwa,  
Me pieśni będą dla cię królewskim orszakiem.  
Bądź mi w ciszy kochanką, matką wśród męczeństwa.

*Tłum. Miron (A. Michaux).*

#### W RÓŻACH

Gdy umrę, wy mnie nie chowajcie  
Pod niemy, nudny, ciężki głaz,  
Lecz łoże me w zielonej darni  
Niech róż ozdobi cały las.

Chcę słodko drzemać jak w marzeniu,  
Wkoło niech buja życia kwiat,  
A róże w pełnym rozkwitnieniu  
Niech grobu mego znaczą ślad.

Chcę, aby wieniec splatał sobie  
Wędrowiec, moją nucąc pieśń,  
Nie — żeby czytał na mym grobie  
Imię w żalobną wryte pieśń.

Wszak serce me kochało wrzące  
Wszystko, co w życiu urok ma.  
Nieznosne mi to «ach» płaczące,  
Niech na mym grobie wiosna trwa.

Ja tam kamieni nie żądałam,  
Sporo ich miałam z biegiem lat,  
Ale je mądrze omijałam,  
Zrywając chętnie róży kwiat.

Na drodze inni narzekali,  
Że głaz im leżał wszecz i wzdłuż,  
Zazdrośnie na mnie wciąż łajali,  
Że miałam ręce pełne róż.

A idąc tak drogą żywota,  
Nieśliśmy każdy własny siew,  
Ja niosłam pełne ręce kwiatów,  
Oni — kamienie, żal i gniew.

Jacy bądź byli, na nikogo  
Kamienia nie rzuciłam wlot,  
Bo czułam już, że czasem boli  
Cierń róży w sercu, tak jak grot.

A jeśli nawet serce moje  
Ciężyło w piersiach mi jak głaz,  
To jeszcze w niem kwitnęły róże,  
Chodziłam w nich w najcięższy czas.

Och, nie przywalcież mnie kamieniem,  
Gdy spocznę w moim grobie już —  
Ja wam za życia słałam róże,  
Wy mi po śmierci dajcie róż.

*Tłum. Szczęsna (Józefa Cybulska).*

#### JULJUSZ ZEYER

(1841—1901)

#### PROROCTWO

Był niegdyś rycerz, zbląkał się w lesie  
W drzemiących borów pomroku,  
Już mu się zdało, że śmierć mu niesie  
Wczesny grób z niebios wyroku.

Wtem patrzy w ścianie urwistej skały  
Brama się zjawia z ubocza,  
Za bramą raj był, anioły grały,  
Pieśń brzmiała słodka, urocza

Laskawie skinał dłonie anioła,  
W kraj rycerz wchodzi nieznany,  
Szukajcie bramy, kto tylko zdoła,  
Za nią kraj cudów schowany.

Za ową bramą, czasem zaklętą,  
Kraina leży szczęśliwa,  
Tam codzien boże, niebiańskie święto,  
Złoty liść drzewa okrywa.

Tak nam mówiła piastunka stara,  
Gdy, przędąc, cienką nić mota,  
Słowa mi brzmiały jak senna mara,  
W serce się wkradła tęsknota.

Staruszka patrzy — twarz moja blada,  
W oczach ślad wewnętrznej katuszy,  
Puszcza nić z ręki i tak powiada,  
Pociechę lejąc do duszy.

— Nie smuć się, rzekł mi głos, co nie kłamie,  
Że kiedyś będziesz w tym gaju,  
I lilję szczęścia dłoń twa ulamie,  
Przez bramę wejdiesz do raj.

Wierzyłem, teraz na własne oczy  
Widzę, piastunka ta stara  
Dar rzeczywistości miała prorocy,  
Prawdziwa była jej wiara.

Bramo we skale, znalazłem ciebie  
 Tam w pustym lesie żywota,  
 W duszy mej jasno, jak w bózem niebie,  
 Bolesna znikła tęsknota.

Poezjo! wszedłem do twego gaju,  
 Proroctwo już się ziściło,  
 Ale że żmija czyha w tym rajcu,  
 Ani się wróżce nie śniło.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

### DOM POD «TONACĄ GWIAZDĄ»

(Wyjątek)

«W głębokiej ciszy pokoju ozwał się naraz w tym momencie dziki krzyk.

— Moja młodość! Wróćcie mi moją młodość! — wołał niespokojnie chrypliwy głos. Było coś tak rozpaczliwego i niezmiernie bolesnego w tym krzyku, że przeniknęła mi całość aż do kości. Rzeczywiście przestraszony, odwróciłem się. Ujrzałem, że okrzyk ten pochodził z piersi trzeciej mieszkanki «klatki pomyślonych». Szpetna ta kobieta była w tej chwili nadzwyczajnie interesująca. Oczy jej płonęły, a wyraz twarzy był tak tragiczny, że aż się zatrząsałem. Zwierciadło, w którym się stałe, po całych dniach przeglądała, upadło na krzesło, z którego wstała szybko i poczęła załamywać ręce nad głową.

— Moja młodość! Dajcie mi moją młodość! — krzyczała znowu. — Okradziono mnie z niej, oszukano! Twarz moja jest teraz jedną zmarszczką, serce — jedną raną. Nie żyłam jeszcze, nie żyłam wcale, a życie me już się skończyło, przeminęło! Wróćcie mi moją młodość! Moją młodość!

Placz histeryczny zdławił jej ostatnie słowa i, załamując ręce, opadła zpowrotem na krzesło. Przez chwilę staliśmy, jak skamieniali, gdy naraz za jedwabną zasłoną ozwał się cichy śmiech idjotki i zmieszał się z przejmującym szlochem warjatkki. Mróz przebiegł po kościach. Pani Celestyna opamiętała się pierwsza, poskoczyła ku płaczącej i poczęła ją uciszać, przemawiając do niej cicho:

— Niechże się pani uspokoi, opamięta! Niechże pani będzie rozsądna, pani Antonino! Jest ktoś, kto policzy nasze łzy i zna ilość naszych westchnień. Młodość pani wróci tam, tam, gdzie niema ani starości, ani zmartwienia. Kędy Pan nas ukoi, nas wszystkich, którzyśmy cierpieli i z poddaniem znosili Jego wolę.

— Moja młodość! Moja młodość! — powtarzała Antonina coraz ciszej, wśród zamierającego szlochu i, jakby złamana w pół, padła na kolana piersiami, skrzyżowała ramiona przed twarzą, wbijając kościste palce w siwe włosy na tyle głowy. Bez słowa kiwała się całym ciałem, a płacz bez lez wstrząsał jej członkami. W tym niemym bólu było coś jeszcze straszniejszego, niż w poprzednim jej krzyku. Aż mię coś ścisnęło za serce. Pani Celestyna klęczała teraz u jej nóg i podtrzymywała ją, szepcząc do niej od czasu do czasu: Antonino, droga Antonino! Potem skinęła nam głową, jakby prosiła, byśmy już poszli.

Na palcach zmierzaliśmy ku drzwiom.

— Mam u siebie krople uśmierzające — rzekł Rojko — czy przynieść pani?

— Nie — odparła Celestyna — nie działałyby teraz, dopiero aż się sama bardziej uspokoi. Przyjdę za chwilę po nie i dowiem się też, czybym nie mogła panu w czym usłużyć.

Odwróciła się od nas, zupełnie zajęta Antoniną.

— Jakaż to dobra kobieta, ta pani Celestyna! — rzekłem do Rojka, gdyśmy usiedli w jego pokoju.

— Prawdziwa siostra miłosierdzia!

— To jest prawdziwy typ kobiety z ludu — odparł — i więcej można takich znaleźć, na szczęście dla ludzkości, niżby się kto spodziewał. Sama wiele cierpiała, znosiła i nędzę, i ból. Jest wdową po rybaku, który zginął kędyś w Pikardji, skąd pochodzi.

Wkrótce pani Celestyna zastukała do drzwi; przyszła po obiecane krople.

— Przyszedł pan do nas w nieszczęśliwy dzień — zwróciła się do mnie. — Ta biedna Antonina niezawsze bywa taka krzykliwa. Długi czas już tego nie było. Taka była nieszczęśliwa przez całe życie. Rodzice wydali ją zamaż bardzo młodo za niekochanego człowieka. Była to zwykła stara historia, był bogaty i myśleli, że jej za-

pewnią szczęście na całe życie, jej i sobie. Sądzę nawet, że głównie chodziło im o siebie. Ale ofiara jej poszła na marne. Mąż prędko przepuścił swój majątek, a jej rodzice zmarli w biedzie; nie dostawali ani grosza od brutalnego zięcia, który Antoninę terroryzował i nienawidził później, gdyż ospa i inne choroby uczyniły ją wprost szkaradną. Strawiła cały swój żywot w ciemnym kramiku przy brudnej ulicy, bez słońca i powietrza, gdzieś blisko kościoła Matki Boskiej. Mąż nie starał się o nic, a ona żywiła jego i siebie. Na nieszczęście nie miała dziecka. Byłaby dla niego żyła, znalazłaby w nim radość życia i nadzieję na przyszłość i nie byłaby pielęgnowała w sobie głupiej myśli, która czasem stała się jej «*idée fixe*», skałą, o którą rozbił się jej biedny rozum, niby łódź rybacka.

— Jakaż to była ta «*idée fixe*» — spytałem zciekawiony.

— To dziwne, doprawdy — odparła poważnie pani Celestyna — to dziwne, ale Antonina nie uznawała nigdy swej brzydoty. Gdy była jeszcze zupełnie młodą dziewczyną, znalazła pewnego malarza, również bardzo młodego, i ten się zalecał do niej. Nie wiem, czy ją kochał, ona jednak podejrzewała go o to, tem bardziej, że wymalował ją w muślinowej sukience białej z różowem, w której ją zobaczył po raz pierwszy, w kapeluszu ze słomy włoskiej z różowem piórem, w trzewiczkach atlasowych, poprzewidywanych nakrzyż różowemi wstążkami na białych pończoszkach. Ten obraz bardzo się podobał i był tak drogo sprzedany, że ów malarz za otrzymane pieniądze udał się na studia. Nie wracał długo i nie dał o sobie znaku życia; gdy wrócił, Antonina była już zamężna. Tę suknię schowała sobie jako drogą relikwję i pamiątkę największego szczęścia. Słyszała później wiele o tym malarzu; nabrał pewnego rozgłosu i mówiono wiele o nim. Antonina w największej biedzie i poniżeniu pocieszała się tem, że on może jeszcze nie zapomniał o niej, że o niej wspomina z taką troskliwością, jak ona o nim. Będzie kiedyś jeszcze szczęśliwa, szczęśliwa, szczęśliwa! Powtarzała sobie to nieustannie, a gdy wkońcu umarł jej mąż, sądziła, że nareszcie nadejdzie chwila tego szczęścia upragnionego, wytęsknionego, a wysłużonego tem długiem cierpieniem. Biedna Antonina! Napisała list do owego malarza i oznajmiła mu swe odwiedziny. Jakkolwiek nie otrzymała żadnej odpowiedzi, wybrała się przecież po kilku dniach do jego pracowni. Wyciągnęła ze starej walizki swe drogie relikwje, ubrała się w muślinową, teraz już pożółkłą, a niegdyś białą suknię, włożyła na głowę pognieciony przez nieustanne oglądanie, zakurzony kapelusz z florentyńskiej słomy, związała różowe wstążki od trzewiczków nakrzyż na białych pończochach i wzięła do ręki koszyczek z robótką, na której od tamtej pory nie zrobiła ani ściegu. Tak zjawiała się w jego pracowni, w przekwitłej młodości, w stroju, że tak powiem, zgryzionym przez czas, na ciele wynędzniałem z biedy i wieku, pomarszczona, szkaradna, śmieszna dla każdego, jeno nie dla Boga, który w tym momencie widział jej zrozpaczone i równocześnie pełne nadziei serce. Pan Bóg widział, jak zmęczona życiem, napoły oszalała, chwyciła się brzegu, o który jednak nie mogła się zaczepić. Biedna Antonina! Ten malarz nie był Bogiem i widział tylko jej śmieszność, jej szaleństwo. Jego straszny śmiech, którego nie mógł powstrzymać, przebudził ją z tych mamiących snów o szczęściu. Obejrzała się wokół siebie zdumiona, przejrzała się w zwierciadle, ujrzała siebie, jaką była, i ujrzała całe swe życie straszne, zapadłe w przepaść, swą młodość niepowrotnie minioną... Otóż to jej zamąciło w głowie, pozbawiło zdrowych zmysłów... Omyłka jej polegała na tem, że oczekiwała szczęścia, że tak go pragnęła, tak niezmiernie za nim tęskniła.

— A czy pani nigdy za nim nie tęskniła? — spytałem.

— Każdy śni o niem — odparła pani Celestyna — a ja jestem Bogu wdzięczna, że doznałam kilku chwil prawdziwego szczęścia. Ale potem życie dało mi tę wielką nauczkę, że nie osiągniemy szczęścia, dopóki za niem gonimy. Poddać się, przyjmować z rezygnacją, a nawet miłować swe cierpienia — jest to jedyny sposób, który ucisza nasze żale, koi nasze rany i wiedzie na prawdziwą drogę.

— Widzę — rzekłem poniekąd niezgrabnie — że pani sama również wiele cierpiała.

— A kto z nas nie cierpiał? — odrzekła cicho z łagodną rezygnacją w tych swoich patetycznych oczach.

*Tłum. Stella Olgierd.*



JAROSŁAW VRCHLICKÝ  
(1853—1912)

AMARUS  
(Leganda klasztorna)

W klasztorze żył od dziecka między mnichy,  
Nie wiedząc, jaki miał ród, jakie miano.  
Z grzechu był zrodzon. Amarem go zwano.  
Wysoki, blady, zadumany, cichy,  
Wciąż wzrok wdół spuszczał, jakby nieznanego  
Czegoś po ziemi szukał. Lata biegą.  
Wtem raz, gdy księżyc srebrzył celi kraty,  
Tak powiedział Bogu: «Za mój żywot struty,  
Za umartwienia, męki, lzy pokuty  
Jednej od Ciebie upraszam zapłaty:  
Powiedz mi, kiedy umrę». Jak myśl chyża  
Nadleciał anioł, szepcząc: Nocy onej  
Zakończysz żywot, kiedy do zwieszanej  
Ponad ołtarzem lampy u stóp krzyża  
Zapomnisz dolać oleju. — Miesiące  
I lata biegły. Amarus żył smutny;  
A gdy lał olej w lampy gorejące  
Łono, tak powiedział: «Teraz mój pokutny  
Podsycam żywot». I śmiał się boleśnie.

Razu pewnego, wiosennego rana,  
Przyszedł lać olej. Wtem w świątyni Pana,  
W pomroku rannym ujrzał, niby we śnie,  
Parę poklękłą u stóp Matki Boga.  
Stanął za nimi cicho, boleść sroga  
Rwała mu piersi. Gdy modły skończyli,  
Wyszli, za nimi szedł Amarus w ślady,  
Dziwna tęsknota drgała w twarzy bladej;  
Stał na cmentarzu długo; w owej chwili,  
Bzu i czeremchy upojony wonią,  
Słyszał śpiew ptasząt, patrzył, jak się gonia  
Wpółśród jabłoni kwiatów dwa motyle.  
Świat w dziwnym jaśniał blasku, na mogile,  
Okrytej darnią, gdzie bezwonne kwiaty  
Sypał na włosy im, na lica, szaty,  
Siedziała para, uściskiem złączona;  
On szczęśny głowę tulił do jej łona;  
Ptak wgórze nucił im śpiew, na ich włosy  
Motyle siadły. Amarus wspomina  
Swą matkę, której ostatnia godzina  
Była dla niego początkiem żywota,  
Co jest goryczą jedną. — Krople rosy  
Błyszcza po trawie, pachnie bez, ptak śpiewa.  
Mnich wzrok zatapia w słoneczną toń złota,  
Śpiew uchem chwyta, dzisiaj nie dolewa  
Oleju w lampę, co płonęła stale.

Nazajutrz bracia, jako w rytuale,  
Przyszli i ujrzą zdumieni  
Zagastą lampę. Amara nie było.

Tam na cmentarzu pod matki mogiłą  
 Leżał bez życia, z twarzą ku zieleni  
 Zwróconą — wonny kwiat nań sypią drzewa,  
 Czeremchy pachną i ptak słodko śpiewa.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

## NOC NA KARLSZTEJNIE

(Wyjątek)

### Akt II, scena I.

*Przy podniesieniu kurtyny słychać, jak dobrzmiewa w kaplicy śpiew modlitwy wieczornej coraz słabiej i słabiej, a przy jego ostatnich dźwiękach królowa Elżbieta w ubraniu w kolorach paziów p. burgrabiego wychodzi z przedpokoju i rozgląda się płochliwie wokoło.*

*Chór (śpiewa za drzwiami, którymi padają promienie słońca na scenę):*

Nie daj, nie daj nam zaginać,  
 Lecz i w potomność zasłynać,  
 Święty Wacławie,  
 Chryste elejson (*śpiew ucicha*).

*Elżbieta (wchodzi):* Już się stało. Nie można już ustąpić. Strach tłoczy me piersi. Teraz dopiero odczuwam jak zgrzeszyłam swem niedowierzaniem. Cesarz może tu być każdej chwili, a mnie siły opuszczają. O, Boże! Boże! jak wielka to męka tak gorąco i płomiennie kochać, jak ja Kocham. Zapewne mnie pozna — musi mnie poznać, jak wejdzie. Jakże będę shańbiona przed nim (*po chwili*). Ależ cóż, czyli mnie rzeczywiście kocha? Ma rację Ernest — że dla miłości ta próba jest potrzebna — czyli naodwrot — ma rację głos mego serca, które mówi, że taka próba jest grzechem przeciwko miłości? Kto mi powie prawdę? Jednak, niech będzie, jak będzie, ja Kocham i będę kochała — i okłamana! Słychać kroki — Boże, bądź ze mną! (*Idzie wtył na prawo.*)

### Scena II.

*Z drzwi kaplicy wychodzi Karol IV, za nim arcybiskup Ernest; Elżbieta odstępkuje aż do portjery i klania się głęboko wchodzącemu cesarzowi.*

*Karol IV:* Cóż to się stało naszemu kochanemu Peszkowi? Czy jego choroba jest niebezpieczna?

*Ernest:* Nic nadzwyczajnego; zwykle przeziębienie, Wasza Miłość. Mam nadzieję, że już jutro będzie znowu zdrowy i chętny na twoje usługi.

*Karol IV (ze skinieniem na Elżbietę):* A zastępuje go?

*Ernest:* Młody Olbramowicz, syn burmistrza Nowomiejskiego. Dawno już pragnął zbliżyć się do słońca twojej wielbności.

*Karol IV:* Jak ty umiesz pochlebiać, miły Erneście! Z twoich ust to brzmi inaczej, niż codzienne pochlebianie próżnych i samolubnych dworzan. (*Do Elżbiety*) Więc pierwszą noc na straży, chłopcze, przed komnatą cesarza! No, nie zobaczysz tu nic nadzwyczajnego, od czegoby ci z ciekawości i naprężenia serce mocniej biło. Karol IV pomodli się i położy, jak ostatni wieśniak jego państwa — może bardziej zmęczony — w tem cała różnica.

*Elżbieta (klania się głęboko, chcąc ukryć zmieszanie):* Cesarska Miłość!

*Ernest:* Drży cały — przeniknięty znaczeniem swego nowego urzędu.

*Karol IV:* Prędko się odzwyczai, miły Erneście! (*Idzie naprzód i więcej nie zwraca uwagi na Elżbietę; ta zaś podchodzi całkiem do portjery na dawne miejsce.*) No, teraz dopiero jestem w domu! (*Siada za stół, na krzesło.*) Bądź łaskaw, Erneście, nalej mi trochę wina, musisz zastąpić naszego chorego cześnika.

*Ernest (nalewając):* Z radością, panie mój!

*Karol IV:* Teraz dobrze mi! Ale jak postąpiły prace na Karlszteinie, Erneście? Podobno podziwiał je król jerozolimski?

Ernest: Rzeczywiście zdumiewał się, oglądając dzieło twego ducha i pomysłu, a opinja jego podwójnie warta.

Karol IV: Dlaczego, miły Erneście?

Ernest: Król Piotr — to światowiec, a jeżeli go rzeczywiście zainteresowały te rzeczy święte i artystyczne, to najlepiej świadczy o ich cenie i wartości... a król rzeczywiście był zachwycony i zdumiony.

Karol IV (*pije*): To mnie bardzo cieszy! A kaplica św. Katarzyny? —

*Tłum. Helena Magierowa.*

## JAN ŚWIĘTOPEŁK MACHAR

(ur. 1864)

### MATKA HUSA

Przejrzałem dobrze ją, jest taka święta, bliska,  
jakich się jeszcze dziś po wioskach dosyć chowa,  
przez okno patrzy wdał, usiadłszy u ogniska,  
i różnych myśli bieg roi mateńki głowa.

A żmudnej pracy trud i troska ją ugniata,  
wiekiem przeredły włos okrywa wyschłe skronie,  
poblądły, miękki wzrok, nawykły długie lata  
przy ziemi jeno tkwić, cichem zaparciem płonie.

Błagalne sploty rąk złożyła wedle łona,  
albowiem czuje w niem żyć nowych chybotanie,  
o przyszłych myśli dniach i o tem, co się stanie...

Wesela wspomni czas. Odbyło się w niedzielę,  
na niebie siały blask spóźnione wieczornice,  
gdy ucichł tan wśród lip i spokój się rozściele,  
z swym mężem pierwszy raz nawiedzić szła łożnicę.

Szła, włosy zdobił kwiat, on chropowatą dłonią  
ujął uściskiem dłoń, co żarkiem drzeniem jarzy,  
a ognie przyszłych chwil młodą jej pierś rozplonia  
i leją czerwień swą po drobnych rysach twarzy.

W domowy weszli próg, gwałtowna zaś tęsknota  
i przed nieznanem strach zatarga wnętrzem duszy,  
i powiał ku niej dech przyszłego snąc żywota,  
bo głębia czarnych izb szarość i ciemnię prószy.

W ufności i wśród próśb złożyła obie ręce  
i z rozognionych warg modlitwa się wrywa,  
młodzieńczą nucą pieśń chóry gdzieś tam dziewczęce  
i miesza głosy swe fujarek gra piskliwa.

widzi własnych dni, miesięcy, lat oddale,  
pchnięte na torów szlak jednakiej szarej roli,  
a mały świątek jej toczy się przez te fale  
bez wstrząśnień i bez drzeń, radości i niedoli.

Przy pracy pośród pól w mozołe dłonie ślania,  
szcerniała barwa lic, na czole zmarszczek ściegi,  
rozważną stała się ta płocha niegdyś łania,  
błogosławieństwa blask spromienia jej zabiegi.

W letnich wieczorów zmierzch na lawach dom obsiada  
poważnych niewiast krąg, co przyszły na gawędy,  
o toku zwykłych spraw prowadzi się narada,  
powtarza każdą wieść, która zbłądziła tędy.

Jak cesarz czwartą już zaślubić miał władczynię,  
jako mocarne ma ta cesarzowa ramię,  
podkowy skruszy stal, a tacę w palcach zwinie,  
wystarczy pięści cios, a stół napoły złamie.

Jak cesarz zbożny jest, zbudował kościół pono,  
nowa świątynia zaś miedzią została kryta,  
jak z Niemiec w Pragi gród sławetnie przywieziono  
strzęp z Weroniki chust i kość świętego Wita.

Podczas wiosennych dni, gdy jasny błysnął dzionek,  
światłem świetlistych strug świetlica cała gorze,  
przy stole siedli wraz ona i jej małżonek,  
by wspomnieć, jakie dziś głoszone słowo boże.

A z przypowieści wszech najbardziej ją zdumiewa  
powieść o siewcy tym, co siał, a ziarno małe  
na dobry cisnął grunt, iż w pień urosło drzewa,  
na którym ptactwa rój na bożą śpiewa chwałę.

Uczuciem smutku drga jej dusza litościwa,  
myśląc, że sroga śmierć gorczycy ziarno stoczy  
i musi snadnie umrzeć, aby stokrotne żniwa  
i swą zieloną kiść do słońca nieść przezroczy.

Żywota Marji blask duszę czarował zgoła,  
wždy się wydała jej dziewica czarnowłosa  
maluczka córą wsi, przez świętą wieść anioła  
wzniesioną w chwały wyż nad jasność i niebiosą.

Widziała matkę w niej, do serca radość płynie  
i szczęścia pyszny dar — lecz w ciężkiej jest żalobie,  
śniąc o Golgoty dniach i krwawych mąk godzinie,  
o, czemuż nie chciał Bóg, by wpierw spoczęła w grobie?

Miesiące zbiega czas, pierzchają lata społem,  
a jednostajność mży obłok niezmiennie szary,  
mały zaś światek jej tem samem pędzi kołem,  
nie znając wielkich drzeń radości ani mary.

Na pogrzeb zwykła iść, gdy zemrze kum lub krewny,  
na chrzciny albo ślub, lecz próżnią dzwoni chata,  
nie zabrzmie pośród izb dziecinny szczebiot rzewny  
i tupot drobnych nóg, i śmiech, i płacz nie wzłata.

Płonne nadzieje snąć, kiedy wiosenne chłody  
powieją mroźnym tchem po ciele dookoła,  
gdy ręce marszczą się, kiedy włos rzędzie młody,  
opadnie jędrność biodr, zżółknieje białość czoła.

Lecz — miłościwy Bóg, bo w starym już zakonie  
Izaka matce dał, więc się poczęło dziecię,  
późny, jesienny kwiat na pustym wzrósł zagonie,  
nadzieja jej i krew, i wszystko jej na świecie.

Śni, że się zrodzi syn, a może będzie danem,  
by w służbę Boga szedł, jako ofiara czysta,  
i chciała, by go zwać, wedle Chrzyciela — Janem,  
by głosił święty ten boskie przybycie Chrysta.

Gdy z syna dobry ksiądz i prawy kapłan będzie,  
według zakonu słów, zbożnych pokrzepi w wierze  
i farę będzie miał, na wiosce gdzieś osiedzie,  
ojca w nim znajdzie lud, to czasem znać pacierze

za rodzicieli swych przed boskie wzniesie trony,  
a może Chrystus Pan wysłucha je łaskawie  
i biednem duszom dwom w miłości niezmiernie  
jakiś poniecha kąt w niebieskich grodów sławie.

Niechby podobny był do niej w te dawne czasy,  
gdy świeżą jeszcze biel na młodem licu miała  
i bujny czarny włos, i oczy pełne kraszy,  
kiedy kędziorów splot zwił się wokół ciała.

#### PAN HYNEK ZE SZWAMBERKA

Pan Hynek ze Szwamberka,  
Czech i pan poczciwy,  
niemieckim kupcom długo  
dawał łup straszliwy,  
napadał na gościńcach  
i wśród leśnej ścieżki  
brał dobytek i towar,  
wypróżniał im mieszki.

Wybrali się więc Niemcy  
na królewskie grody,  
wyliczali utraty  
i w swych pocztach szkody.  
Król Władysław wysłuchał,  
głową przytakiwał  
i porządek im ślubił,  
który w Czechach bywał.

Na sąd przeto królewski  
pana Hynka wzywa.  
Pan Hynek się pojawia,  
męstwo go okrywa,  
postawa jego sucha,  
ryży włos na czole,  
a swem okiem głębokiem,  
niby igłą, kole.

Nie zapiera, przyznaje,  
słuszne Niemców skargi,  
z dobytkiem łupił wozy,  
które szły na targi,  
przetraçał kupcom głowy,  
brał pieniądze, towary,  
dlatego, że chrześcijanin  
i walczy dla wiary.

Niesłychanie działają  
ci Niemcy dziedziczy,  
naszego Pana Boga  
Herrgotem przezwali,  
i dlatego ta nazwa,  
taka jemu wroga,  
w niej bowiem zbożni Czesi  
nie poznają Boga.

Mówiąc to, czarne oczy  
hardo toczył kołem,  
król Władysław się zaśmiał  
i sąd śmiał się społem.  
Król wyrzekł: Dobrze, dobrze,  
z winy go rozgrzeszy  
i czysty, jako dziecię,  
Hynek z sądu śpieszy.

*Tłum. Witold Bunikiewicz.*

#### ALOJZY JIRÁSEK

(1851—1930)

#### BITWA POD WITKOWEM

(Wyjątek z powieści «Przeciw wszystkim»)

Andrzej oznajmił, co mu polecono, a hetman rozkazał, żeby brat Kunesz wyszedł za bramę. Andrzej zatoczył koniem i pognął znowu do królewskiego dworzyszczka. Wrota były już narozcież otwarte, jazda «braterska» gotowa do wyjazdu. Wychudły

dowódca, o smagłej twarzy, wystających kościach policzków, z ogoloną brodą, lecz z wielkimi siwymi wąsami, czekał w bramie na koniu, w pełnym uzbrojeniu. Zapadłe, zielonawej barwy jego oczy widziały wszystko dokoła. Trzymając w ręku nagi miecz, pochylał głowę i słuchał huczących strzałów, które się właśnie w tej chwili odezwały. Najgęstsza palba dochodziła od mostu, z Małego miasta.

Młodzieniec musiał krzyczeć, ażeby go usłyszano; ze wszystkich ulic dokoła wydierał się hałas, łomot, rżenie koni, krzyk, a ponad wszystkim górował odgłos strzałów. Kunesz, wysłuchawszy rozkazu, przyniesionego przez Andrzeja, odwrócił się natychmiast i dał znak. Wszystka «braterska» jazda, znajdująca się w królewskim dworze, wyjeżdżała z bram. Andrzej czekał na swój hufiec; przyłączył się do pierwszego szeregu i jechał przed chorągwią, powiewającą w środku oddziału. Ulice, domy, ludzie szybko cofali się wtył. «Bracia» jechali prędko. Zewsząd wołano na nich, kiwano rękami. A oni śpiewali. Te okrzyki i huczące strzały rozgrzewały krew, a najbardziej podniecała ich myśl, pogo jadą i na kogo? Na tych Niemców i Węgrów, wrogów prawdy bożej, palących niewinnych ludzi i rannych jeńców.

Zanim dojechali do Porzyckiej bramy, usłyszeli za sobą hałaśliwy turkot kół, głośne szczekanie wozów. Andrzej obejrzał się, lecz nie widział nic, prócz szeregu za szeregiem, to «bracia» na koniach, nikło połyskujące przyłbice, smagłe, brodate i bezwąsne twarze, koszulki siatkowe i napierśniki oraz mnóstwo oszczepów. Andrzej domyślał się, że poza szeregami jezdnych ciągną przed bramę wozy, a na nich kilka armat.

Przed bramą było jednak inaczej niż wczoraj. Dzisiaj nie mogli się już posunąć tak daleko. Węgrzy i Niemcy, piesi i konni, zapełnili całe Szpitalskie pole. Zalewali je, jak powódź. W pełnym świetle parnego popołudnia błyszczwały wszędzie zbroje, połyskiwała broń, pstryliły się różnobarwne szaty, różnomaściste konie, wojska, którego zgromadziło się już ze dwadzieścia tysięcy, a jeszcze nie widać było końca szeregów. Niektóre hufce stały już w szyku bojowym, inne się ustawiały. Zastępy lekkiej kumańskiej jazdy harcowały na przodzie, zbliżając się coraz bardziej do bramy Porzyckiej.

Andrzej jechał w pierwszym szeregu, na prawo od wozów, które, turkocąc, szybko wymiły wojsko i skierowały się naprzód. Przy każdym wozie jechało na koniach po dwóch woźniców w hełmach na głowach i z tarczami na lewej ręce. Na wozach przy moździerzach stali strzelcy i tarczownicy, obok wozów koło swych dziesiątków jechali dziesiątnicy i wyższe szarże. Skoro wydostali się na czoło wojska wnet skęcili na prawo, zatrzymali wozy w ten sposób, że stały ukośnie. Wyprężono konie, rozebrano wozy, związano je łańcuchami, spuszczoneo tarcice i wkrótce tabor z wozów był już gotowy do bitwy.

Andrzej ledwie spojrział na te przygotowania. Więcej i dłużej wyteżał wzrok na prawo, gdzie woddali wznosiła się nędźnie porośla, przykra spadzistość długiego, rozciągniętego wzgórza. Patrzył na kończącą ten łańcuch Witkową górę. Wszystkie oczy skierowane były w tamtą stronę na dwa sterczące urwiska. Wyzierały stamtąd wieże, a nad niemi chorągwie, nie dojrzeli jednak «bracia» nic więcej. Gwałtownie coś targnęło powietrzem. Z nieprzyjacielskiego wojska, z którego rozległ się odgłos trąb i bębnow, wyrwał się krzyk, dziki, straszny, jak burza. A nim dobrzmiał, zahuczał na nowo.

Andrzej ze swego miejsca, na prawo od wozów, ale poza ich linią, widział, jak w nieprzyjacielskim wojsku powiewają chorągwiami, proporcami, oszczepami, jak, zataczając mieczami i szablami nad głowami, pędzą wszyscy na górę w kierunku stromego urwiska.

Po grzbiecie góry cwałował w kierunku fortecy wielki hufiec jeźdźców. Widać ich było w potężnym pędzie, nad nimi powiewające chorągwie; za jezdnyimi zaś toczyły się chmury szybko postępującej piechoty. Wszyscy jak szarańcza runęli na urwisko, na «braci», na brata Żiżkę. Andrzej znał jego siły, teraz jednak dopiero spostrzegł, jak mała jest ta garść wobec nadciągającego potopu. Co będzie!? Co się tam stanie, jak da radę!? Serce mu biło, oczy płonęły gorączką, a policzki zbladły z wrażenia.

Wokoło wszyscy byli jednako wzruszeni, tając dech, milcząco wpatrywali się w górę; nikt nie dbał, co się dzieje za nimi, w mieście, nikt nie zauważył, że tam

umilkła strzelanina. Zato z góry, z tłumu napadających dochodził odgłos trąb i krzyk walki. Krzyk na górze i na dole z niemieckich i węgierskich szeregów, stojących na Szpitalskim polu. A w fortecy cicho. «Bracia» na dole milczą także; lecz w chwili, gdy nieprzyjacieli, cwałując po grzbiecie góry, dojeżdżał do murów, z których wypłynęły chmury białego dymu i zabrzmiały strzały, wówczas Andrzej i wszyscy za nim wrzasnęli jednym głosem: «Hrr, na nich! Hrr!»

Uradowali się, spostrzegwszy, że fala nacierających zatrzymała się. Lecz jeno na chwilę. Ztyłu dobiegał hufiec za hufcem, fala za falą. Dalsi popychali bliższych, tocząc się przez nich, jak dzikie bałwany wód do samotnej wyspy. Strzały z moździerzy zagrzmiały na nowo i chmury białego dymu przesłoniły mury. Lecz skoro się rozplynęły, widać było, że przedni mur jest ze wszystkich stron otoczony, że nieprzyjacieli nie jest odepchnięty, że się ze wszystkich stron roi od napadających. Czarno tam było od wojska; wrzask i odgłosy trąb z Witkowej góry i ze Szpitalskiego pola wzbijały się jak burza przez rozpalone powietrze pod błękitne niebo.

Andrzej nie mógł ustać; kręcił się na siodle i byłby najchętniej zawrócił zpowrotem do miasta a potem popędził na górę pomagać braciom. Oglądał się na wodza, czy nie da znaku. Ale Kunesz, trzymając buławę w ręku, siedział spokojnie na koniu i patrzył w górę; obserwował nierówną walkę, ale nie w ten sposób, jak inni «bracia». Nie zapomniał o bliższym nieprzyjacieli, który stał na dole naprzeciw niego. «Bracia» w tej chwili zupełnie o niego nie dbali. Drżeli o los załogi na Witkowej górze i oglądali się na miasto, czy nie przyjdzie stamtąd pomoc.

Na murach z baszt i bram, położonych naprzeciwko Witkowej góry, patrzyli ludzie z takim samem napięciem, wzruszeniem, wkońcu z obawą. Pokazywali sobie nacierającego wroga, wykrzykiwali, w miarę zmiany i następowania po sobie wrażeń. Zaledwie zabłysła radość, już przyduszał ją smutek.

Gorzej było jeszcze poza bramami. Ludzie, drżący z trwogi, stali przed domami, wyrostki biegli ku bramom. Kobiety wyrzekały i płakały z obawy, inne pokłękaly na ziemi, składały ręce, oczy zwracały ku niebu lub tuliły dzieci do swych piersi. Oczyma wyobraźni widziały już Krzyżowców i Węgrów, wpadających do miasta, mordujących dzieci, rozbijających domy, przelewających krew, jak czynili dotąd wszędzie, wszędzie.

Od Horskiej bramy pędził jakiś człowiek na targowisko siana i krzyczał:

— Ratunku! Ratunku dla braci!

A wtem zajęczał dzwon. Dzwonili do szturm. Zająkły dzwony u św. Andrzeja i na staromiejskim ratuszu. Niepojęta wrzawa rozlegała się z tych stron, wrzawa i grzmot zastępów. Kobiety zrywały się z zapyłonej ziemi, umykały z płaczem, nasłuchiwały, to znów wykrzykiwały i biadały, gdy od Horskiej bramy przedarł się drugi człowiek bez czapki i biegł, aż powiewały za nim włosy, krzyząc:

— Ratunku! Ratunku!

Jeszcze nie dobiegł, a już spotkał ratunek. Od strony kościoła św. Andrzeja szedł przez targowisko siana wysoki ksiądz, gołogłowy, niósł Najświętszy Sakrament; obok niego postępowało dwóch chłopców z dzwonymi w rękach. Za nimi zaś maszerował hufiec uzbrojonych w kusze żołnierzy, a następnie tłum brodatych braci taborytów, bez zbroi, tylko w czapkach i zwykłych szatach, niektórzy, mając gołe szyje, nieśli berdysze lub okute cepy. Tych było najwięcej. Ksiądz szedł śpiesznie, chłopcy, postępujący obok niego, dzwonili bezustannie, a żołnierze dążyli szybkimi, ciężkimi krokami, aż dudniało. Wszyscy śpieszyli z widocznem wzruszeniem, z płonącymi oczyma; zachęcali się wzajemnie do pośpiechu, a gdy załoga przy bramie powitała ich radosnymi okrzykami, zaczęli śpiewać. Śpiewając, wypadli za bramę i biegli na górę ku fortecy.

Pierwsza palisada była już prawie stracona.

W wilczych dołach przed fosą i w fosie gęsto leżeli ranni i zabici, ludzie i konie, zrzućeni z muru strzałami z moździerzy i strzelb. Lecz nie powstrzymało to pędzącego nurtu. Przez ciała poległych, przez ścierwa końskie pędzili nowi zdobywcy, wydając dzikie okrzyki. Powstrzymać ich było niepodobna. Piechota, złożona z Sasów, dotarła aż do okopów. Nie było czasu nabijać moździerzy, zastępujących «braciom» liczbę żołnierza.

Rozpoczęła się walka wręcz. Napastnicy zapomnieli jednak o drabinach, nie przynieśli ich z sobą. Mimo to rzucali się do fosy, żeby przylgnąć do muru niezbyt silnej

fortyfikacji. Z murów, z Winnej wieży sypały się na nich strzały i kamienie. Sasi wpadali do fosy ranni lub powaleni w zamieszaniu i tłoku. Przez leżących parli coraz nowi i nowi, z fosy drapali się na mury, gdzie ich czekały oszczepy, berdysze i okute cepy «braci» taborytów i trzech «siostr», uderzających z dzikim męstwem i zapamiętałych z wściekłości, okropny wrzask rozlegał się w fosie, koło murów, wokół warowni. Zawodziły trąby, jeźdźcy w zbroi popędzali nacierających, wywijali mieczami, wskazując warownię.

Szeregi atakujących rzedyły już nad fosą, najwięcej jednak ginęło ich koło murów. Lecz ubywało także i obrońców, a gdzie padło dwóch, trzech, tam znaczną stawała się luka. Najgorzej było przy Winnej wieży. Sasi oblepili ją jak osy. Koło murów, łączących wieżę z resztą fortyfikacji, było aż czarno. Z tego to miejsca wołali «bracia» o pomoc. Tylko olbrzymia «siostra», stojąca na przodzie murów, milczała, oganiając się cepem. Zawój zsunął się jej z głowy; mokre, rozpuszczone włosy przylgnęły do skroni i spoczonego czoła. Zsiniąła z gniewu i zmęczenia, lecz walczyła bezustannie. Cep jej zwijał się i migał nad berdyszami nieprzyjaciół, opadał, walił w tarcze, hełmy i ciała, na prawo, na lewo, świszczwał w powietrzu, wywijał się, wyginał, bił, rozbijał, strzępił, mokry od krwi i czerwony.

— Siostro! — krzyczeli obok. — Siostro! odstęp od wieży!

— Tutaj! Tutaj!

Nie przestawała młócić ani na chwilę, nawet się nie obejrzała, tylko z zaschłego gardła wyrwał się jej dźwięk:

— Przed antychrystem wierny chrześcijanin — i waliła dalej — nie ustąpi.

Nawałnica napastników wzmagala się. Z dzikim krzykiem i graniem trąb nadbiegł nowy hufiec. Przez fosę, pełną ciał, parli już łatwiej pod mury; tam się podnosili wzajemnie, towarzysz wlaził na ramiona towarzysza, wdrapywali się przemocą na wały, których nie broniło nawet trzydziestu ludzi, i to nadmiernie już zmęczonych.

Nagle pomiędzy nimi zjawił się «brat» Żizka, w przyłbicy, z maczugą w rękę. Krzyczał, ażeby nie ustępowali, żeby się trzymali, gdyż idzie pomoc. I sam bił nieprzyjaciół. Potem skoczył na miejsce, gdzie wylazili na mur dwaj Sasi. Jednego zepchnął tak nagle, że zwałił się, rzuciwszy tarczę, drugi jednak chwycił wodza tak mocno za nogę, że i Żizka padł, wysunawszy nogi za mur. Wiele rąk wyciągnęło się ku niemu, usiłowali ściągnąć go do fosy, lecz on zaparł się rękami o mur i bronił z całych sił. Kilku «braci» przyskoczyło tymczasem i odrzuciło napastników. Żizka zerwał się na równe nogi i natychmiast zaczął grzmocić nieprzyjaciół. Tymczasem nadciągnęły posiłki.

Żizka, zszedłszy z murów, wskazywał miejsca, gdzie kto ma stanąć, przynaglał do pośpiechu i wśród piekielnej wrzawy wołał do rotmistrza:

— Czy posłacie do winnicy, jak mówiłem?

Brodaty siwy brat rotmistrz w przyłbicy, ale bez pancerza, z nagim mieczem w rękę, wchodząc na mur, krzyczał:

— Posłali — wnet napadną zboku.

Wydźwignął się na mur, ale zaledwie tam stanął, rozprężył ręce, jęknął i zwałił się ciężko. Strzała utkwiała mu w piersi, krew trysnęła z głębokiej rany.

W tej chwili od południowej strony urwiska, z winnicy doszedł okropny wrzask. Usłyszawszy go, Żizka pobiegł ile sił na szczyt wieży, wyjrzał okienkiem na prawo, skąd dobiegały okrzyki, i spostrzegł tam wielkie zamieszanie pośród wojsk nieprzyjacielskich. Zabłyśły mu oczy i ulżyło na duszy. Jego hufiec wypadł z winnicy we właściwej chwili. Krzyknął tę radosną wieść braciom, pilnującym krużganków, i znowu ile tchu popędził nadół pomiędzy walczących.

W chwilę potem od strony miasta rozległ się śpiew zbliżającej się gromady. Głos dzwonek ginął w pieśni; dzwonki te towarzyszyły hostji, niesionej w monstrancji, która połykiwała w popołudniowym słońcu. Właśnie minęła czwarta godzina.

\* \* \*

W tej chwili Andrzej z Hvozdna modlił się. Niezmiernie wzruszony, błagał Boga o zmiłowanie. Miał przed oczyma smutny widok. Tam na górze koło warowni roło się od Krzyżowców. Powiewały ich proporce, rozlegał się ich krzyk i groźne trąbienie.



Nie cofali się, szli naprzód. Warowni nie było już widać, opadła jej czerwona chorągiew. Andrzej wykrzykiwał, jak zresztą wszyscy inni w szeregach; a przytem spoglądał na dowódcę, na Kuneša z Bělovic, siedzącego opodal na wielkim gniadoszu.

Siwy wódz patrzył na atak najpierw spokojnie, lecz wkrótce zaczął się mienić. Nie siedział już jak przybity na koniu, lecz kręcił głową, oglądał się na miasto i znów opierał przenikliwy wzrok na Witkowej górze lub wpatrywał się w stojących na Szpitalskim polu w szyku bojowym Niemców i Węgrów. W chwili, gdy Andrzej zaczął się modlić, a wokoło niego rozlegały się okrzyki gniewu i rozpacz, zawołał Kuneš na swą drużynę, aby się miała na baczości, bo oto zbliża się ich chwila.

I rzeczywiście przez Szpitalskie pole pędziły dwa hufce jeźdźców, samych Węgrów. «Bracia» radośnie chwycili za broń, obnażyli miecze, pochylili kopje. Właśnie w odpowiedniej chwili nadjechali Węgrzy. Lecz nie od razu rzucili się na nich. Rozległy się strzały, z szeregu wozów zagrzmiały moździerze. Gdy się rozplął biały dym, widać było, że kule zrobiły duże spustoszenia w nieprzyjacielskich szeregach, które się pomieszały, gotowe do odwrotu. Wielu jeźdźców leżało na ziemi, z końmi i bez koni, wiele koni z jeźdźcami wyrwało się z szeregów i w dzikim popłochu biegało po polu. Wiele koni szalało bez jeźdźców.

Kuneš podniósł buławę, jakby chciał dać znak. Lecz nie dał go. Wzrok jego, jak zresztą wszystkich, utkwił na Witkowej górze. Rozpoczęła się tam znowu wściekła walka. Zabrzmiał na nowo straszniejszy jeszcze krzyk i jęk, zawirował dzikszyszy jeszcze ruch, zwijanie się i miotanie tłumów. Andrzej zbladł.

— Niemcy pchają się do warowni! Już ją zdobyli! — wykrzykiwały wokoło przerażone głosy. Andrzej i Kuneš pomyśleli jednocześnie o bracie Žižce; oto już nadszedł jego koniec.

Ruch trwa dalej, lecz w stronę odwrotną.

— Ustępują! — ktoś krzyknął; nie chcieli jednak wierzyć oczom. Wtem na wzgórzu, na samym skraju grzbietu mignął jeździec, tuż nad urwiskiem. Mignął — koń się wspiął i skoczył w przepaść. Upadli, zrywają się, lecą przykrym, stromym stokiem góry, koń i człowiek — a za nim drugi, trzeci — padają i lecą tym samym przykrym, stromym stokiem góry. To Krzyżowcy!

Na Szpitalskim polu radość; okrzyk triumfu leciał od hufca do hufca, do wozów, po wozach. A naprzeciwko w nieprzyjacielskim wojsku krzyczeli z przerażenia i wściekłości. Wszystkie oczy tkwiły na Witkowej górze, na jej urwisku. Wznosił się tam ogromny kurz; kłębiący się kurz opadał nadół, wirował. Czerniały w nim ciała, migwały, jak cienie; spadały konie i ludzie, rzucali się nadół w okropnych obrotach i koziołkach, w przeraźliwych skrętach, staczali się, lecieli. Nic ich nie mogło powstrzymać. Chyba, gdy zakurzone, skrwawione, potłuczone ciało zaczęło o wielki kamień lub uwięzło w zaroślach.

A wierzchołkiem rozległych wzgórz pędzili krzyżowcy w beładnej ucieczce, bez porpców, bez odgłosu trąb. Kuneš wyjechał na przód swego oddziału, oszołomionego radością; wskazując buławą na Witkową górę, krzyknął rozpromieniony:

— Tamci uciekają! A tych — wskazał na Węgrów i Niemców, zalegających Szpitalskie pole — odpędzimy także! W imię Pana!

Ubódł ostrogą konia, który skoczył, jak szalony. «Bracia» huknęli radośnie i pognali za nim. Pędząc, jak huragan, śpiewali:

Któż wy boży bojownicy  
i zakonu jego...

grzmiało na Szpitalskim polu.

A na Witkowie trwała dzika gonitwa. Załoga Žižki, wspomóżona posiłkami z Pragi, wypadła na wrogów. Ci biegali, jak ślepi, tu i tam po urwisku. Wielu zmęczonych, jak gonione dzikie zwierzęta, padało z wysiłku i siadało na ziemi. Do obrony, do walki nie mieli sił. Ściągali więc tarcze i osłaniali niemi głowy i piersi. W rozpacz i tępe odurwieniu czekali, kiedy uderzy okuty, straszny cep, aby roztrzaskać głowę.

*Tłum. Marja Bunikiewiczowa.*

## OTOKAR BŘEZINA

(1868—1929)

## GDY NIERO WAM OKNA ROZJARZY

Gdy niebo wam okna rozjarzy, a żarem gorącej miłości,  
gdy spłoną na słońcu owoce, zrywajcie i jedzcie,  
i świętą radością witajcie przesławne poselstwo wieczności,  
na słowa zaś pełne miłości imieniem braci powiedzcie:

Jest radość, jakby stracona pieśń życia wyższego,  
śpiewana, gdy poi omdleniem mistyczny czar wina,  
jak uśmiech, płonący na twarzy śpiącego,  
gdy nagle objęte nim serce o śnie zapomina.

Jest radość, jak zachwyt człowieka, co głębią dusz braci przecieka,  
jak światła poczęcie, co w wieków głębinie swoje ma łożę.  
Jest radość, jak przeszłość nieżywa, co w mroki odwieczne odpływa,  
jak żarkie przypływy zachodu przez czarne spienione morze,  
przez czarne spienione morze,  
gdzie łąka, gwiazdkami zasiana, w czarownej cichości gorze.

Chłód wionie u czasu naszego granicy, a jesień w odwzięce  
rozsiewa słońc blaski przedwieczne, zakwita już róży kwiat ranem,  
wołają się dusze w błękitnej radości, jak roje ptaszęce,  
gdy w szyki się łączą trójkątne, szybując nad oceanem.

## MOJA MATKA

Przez ciernie matka szła, jak pokutnica, smutnie,  
dzień stracił dla niej czar, zagaśła barw ulewa,  
zgorzkniały życia plód, co wysechł w proch okrutnie,  
bez odpocznienia wciąż z wieczności rwała drzewa.

Ubóstwa ostry pył odzierał z kraszy lice  
i siekał oczy jej, aż gasły w łzach promienie,  
na drodze życia stał zły samum burz wicherzyce,  
schronisko wśród swych fal wznosiło jej omdlenie.

Ciężar przyémionych lat nadół jej czoło chyli,  
a żrącej pracy żar przegryza nerwów pęki,  
pieściła swoją śmierć w agonji ciężkiej chwili,  
na ustach uśmiech żył i płynął szept podzięki.

Na wilgły marmur płyt kościoła głowę skłania  
w grobowych woniach świec, co blask przed oltarz niosą,  
uciech upojnym dżdżem i wizją zmartwychwstania  
życia napelnia kruż, jakoby świeżą rosą.

O, matko ma, dziś światłość cię spromienia,  
złoty pocisku ty, strzelony do ogniska,  
w tajemnic wieczny żar, dźwięk twego drga imienia  
po wierzchu naszych fal — a wiem iżes jest bliska.

Twej martwej chłodnej krwi wybladłym jestem kwiatem,  
co w cieniu oczu twych wybladłym błysnął płatkim,  
żywota cierpki smak wsączylaś ust szkarlatem,  
a smutek duszy mej dziedzictwem twem i spadkiem.

Gdy noc zielona lśni, rozświetla mroków ciszę,  
opuszczasz wtedy grób, by w moje paść ramiona,  
w oddechu moim rytm oddechu twego słyszę,  
gdy przejmie cię mój głos, zakwilisz przebudzona.

I ciepłem moich żył tve ciało się roznieci,  
oczu przyćmionych blask w mych źrenic mrze topieli,  
mistycznej wiary żar, co w duszy twojej świeci,  
wtedy się w serce me gorącym blaskiem wcieli.

I tak, jak niegdyś ty, mą drogą idę smutnie,  
bez woni schodzi dzień, przygasła barw ulewa,  
zgorzkniały życia płód, co wysechł w proch okrutnie,  
owiany cieniem twym, z wieczności zrywam drzewa.

#### MOTYW Z BEETHOVENA

Nie powiał w moją twarz odległych wiew stuleci,  
Twych tonów był to głos pod oknem duszy mej  
i wołał: pójdź — gdzie błąda zorza świeci,  
w złocistym deszczu gwiazd zanurzyć głowę chciej!

Wonie w ogrodach snią, a błękit na jeziorach,  
świt przyszłych andante w pąkowiach zawarł kwiat,  
śni w ciepłe gniazda pieśń, a w szarych zaś przestworach  
wir barw spienionych zgasł i cicho w głębię padł.

Srebrzysty obłok mgły po ziemi kładzie szale  
i w jasny światła snop przędziwo tka z azbestu,  
w czarnych samotniach las ucisza swoje żale,  
we mchy znużony legł i spoczął bez szelestu.

Zawrotnych sklepień éma nad świecznik gwiazd się wzniosła,  
miota kosmiczny proch, ciężary kruchów swych  
w przestworów szary skłon, gdzie w dalach szumią wiosła  
odpływających lat. O, przemów! Czemuś zcichł?

Nie czujesz? nocy dech, narkozy pełen, nuży,  
i lecą wokół nas z lekuchnym szumem sny,  
a jaśminowy czar i trwożny zapach róży  
wśród skrzydeł wiań sen ze swej szaty mży.

Czujesz, jak wspomnień war złą żagwią w duszę chlusta,  
wstrzymane źródle sił o ściany tłuką cew,  
jak pocałunków żar zapala nagle usta,  
różowem światłem zaś rozbłyska w żyłach krew?

Czujesz, jak wewnętrzny żar w pigmentcie źrenic gorze,  
cień łańcuch kroków rwie i precz ponosi wdał,  
w komnatach duszy twej na rozmyślenia łoże,  
hipnozą spętan mą, jak złożył się twój żal?

Czujesz, jak własny dech, gdzie mleczne mgłą niebiosy,  
zmienił się w srebro ros na niwie gwiezdnych łąk?  
Jak śmierci tęskna woń i przyptyw słodkiej rosy,  
zwycięzna rozkosz twa i czarne wino mąk?

Jak odpocznienia sen wśród białych piersi pnączy  
i nagich ramion łysk, gdy chciwie w sploty lgną,  
w istoty twojej głab burze upojeń sący,  
w omdlenie zmysłów twych, co w ciężkich skuwach mrą?

Pójdź! olej tonów mych naląłem w lamp kryształę,  
z kamieni szklących szkliw krypta się wgórę pnie,  
kwiaty czarownych ziół łożnicę ci usłały,  
gdy pośród woni mdłej ułożysz głowę w śnie.

Pójdź! słyszysz dzwony me? Nim żal cię znów owładnie,  
co, zamion czarem, spał, serce się ocknie z głusz,  
pogrzebna moja pieśń słodko-ć na usta padnie  
i pocałunkiem swym wychyli życia kruz.

A rano wiecznych dni nadejdzie w skrach czerwone,  
jak deszcz ognistych róż, niechbys w tej chwili śnił,  
iże w sypialni swej masz okno otworzone  
i spokój rannych pień z ogrodów prószy pył.

— — — — — *Tłum. Witold Bunikiewicz.*

## ANTONI SOVA

(1864—1928)

### KTO CI TAK ZBURZYŁ CIEMNE WŁOSY?

A kiedy weszła w ogród mój, to kwiecie okwitało,  
na horyzoncie słońca blask zaświecił już nieśmiało.  
— Czemu tak późno? — rzekłem jej — wnet jasność słońca minie,  
pachnieją łąki wonią mdłą, wody zwierciadłem szarem lśnią,  
a poprzez brody cienie mkną — wszystko jest tylko marną grą.

Odpłynąć pragnę w dale, do wysp zielonych niosą fale,  
chorągiew ściagnę z masztu i żagiel z białych płócien zwale.  
Czekałem wówczas w wiosny dniach, gdy błękit jasnym światłem drgał,  
napiąłem z blasków struny, by głos twój na nich echem grał,

Więc powiedz mi, gdzieś wówczas była? I pod jakimi znów niebiosy?  
I gdzieś pierwej, gdzieś żyła? Kto ci tak zburzył ciemne włosy?  
Gdzie noc ci swą wygrała pieśń, gdy upał żarem dyszy,  
tęskniła darmo dusza ma, stłumiona w takiej ciszy.  
Teraz, gdy cień zapomnień padł, gdy się gotuje niechać świat  
i precz odpłynąć chciałbym rad, idziesz w mój więdnąć sad?

Dla nas już słońce nie zapłonie i nie zadzwoni gór ustronie,  
nie zapachnieje nigdy łąka, śpiew brzegów naszych nie owionie.  
Odpłynę sam, daleko tam jesienne szumią dziwne głosy...  
Chcę ujrzyć nowych królestw łąd...

Kto ci tak zburzył ciemne włosy?

### MELANCHOLIJNA NIEDZIELA

Z za przymroczonych okna nisz  
na rzekę biegnie moje oko,  
czas pierzcha, ginie pośród cisz,  
a wraz z nim myśli me się wloką.

Słup wieczornego słońca pada,  
przyływa ku mnie gdzieś z za wód,  
złoci się, chwieje i zakrada,  
oblewa mnie słoneczny cud.

W melancholijny czas niedzieli,  
gdybyż druhowie przybyć chcieli!

Jak dzień niedzielny zwolna ciecze,  
siedzę, splątany w nić tęsknoty,  
stłumiony ruch się kędyś wlecze,  
i słyszę miejskich kół stukoty.

Przezysty błękit lśni na niebie,  
nad płataniną miejskich stromów,  
smutek i nuda wszystko grzebie,  
skrywając marność ludzkich domów.

W melancholijny czas niedzieli,  
gdybyż druhowie przybyć chcieli!

W powietrzu odmęt żarów drży,  
ospale życie wdole kona,  
w pokoju z arabesek mgły  
przeszłość gnie ku mnie swe ramiona.

I smutek we mnie dzisiaj mieszka,  
wszystkich serc zamarł dla mnie wdzięk  
wiodąca ku miłości ścieżka  
obrosła gąszczem, wstrząsł mną lęk.

W melancholijny czas niedzieli,  
gdybyż druhowie przybyć chcieli!

#### ROZMYŚLANIA

Wiem, że słońce zachodzi w obawie przed nowym dniem,  
i stary kwiat uwiędnie, nim nowy błysnie w rozkwicie,  
a sny, wszystkie umilkną sny przed duszy przyszłym snem,  
w świątyniach straszy Boga bóstw nowych rychłe przybycie.

I będzie cicho, tęskno i pusto, a wczoraj ukwiecony,  
pójdę i poznam, że dzisiaj odkwitam już właśnie,  
i zamknę moją świątynię, rozkruszę w pył moje dzwony,  
a pusta będzie ma droga i światło we mnie wygaśnie.

*Tłum. Witold Bunikiewicz.*

#### JERZY KARASEK ZE LVOVIC

(ur. 1871)

#### KURTYZANA TRYFAJNA NA AMETYSTOWEJ KAMEI PISZE DO HARMIDESA

Tak pięknam, Harmidesie, jakby upojny wid,  
w ciężarze ametystów, w kosztownej grze kamieni,  
obnażę ciało z szat, byś, mej nagości syt,  
zobaczył, jako pierś szkarlatem się zrumieni.

Zasłonę zerwę z ócz gwałtownym ruchem rąk,  
by w tobie zbudzić żar tęsknoty za mem ciałem,  
chcę upaść do twych stóp, spragnionam szczęścia łąk,  
z rozkoszy omdleć chcę, porwana twoim szałem.

Jutrzenkę bladych lic, alabastrową twarz,  
gorąco ślubić chcę z brunatnym błyskiem ciała,  
z warg, tryskających krwią, pocałowanie dasz,  
abym w uścisku twym, jak w barbarzyńskim, drżała.

Abyś wspominał mnie, gdy chciwy pošlesz wzrok  
kochankom przyszłym w dań, na innym spocznieś łonie,  
iżem odeszła wdał, a imię okrył mrok,  
lecz zjawię się, gdy przesył cię owionie.

I pod twój wejść dach, gdy ranek ciemność zwiął  
i jeszcze wonny dech kurtyzan dom przenika,  
abyś zawołał mnie, syt nudy cudzych ciał,  
o mej nagości śnił i szczęściu, które znika.

Byś z śmiechem moich ust pomieszał kruszcu złom  
i róży żarką woń, co loki twe zdobiła,  
bym w przyszłych żądzach twych jawiła się jak grom  
I, choć odległa tak, w innych dla ciebie żyła.

## MILCZENIE

(Przyjacielowi, wstępującemu do klasztoru trapistów)

Nim wiecznie zmilkniesz już, pozdrawiam cię, mój bracie,  
w nicość zamieniasz to, czem człek do życia lgnie,  
w szarym szkaplerzu twym i w białej mnicha szacie  
bolesny skrywasz los i tajemnice swe.

O Bogu myśleć chcesz i chmurnym Jego gniewie.  
Flagelant, ciała grzech trapiący wciąż bez tchu,  
pokornie głowę gniesz, a cicha dusza nie wie,  
czem drухy twoje są i co ich wiodło tu.

Nim dźwięk pokutnych ust na zawsze czas oniemi,  
zbliżać się będzie śmierć i rozpościele łoże,  
na krzyżu złożą cię w popiołach szarych ziemi.

O, bracie! w chwili tej, gdy Bóg rozjaśni ciemnie,  
rozjaśnisz wrota nieb, wymówisz tęsknie może  
to imię, któreś chciał zapomnieć nadaremnie.

— Tłum. Witold Bunikiewicz.

## STANISŁAW K. NEUMANN

(ur. 1875)

## PIEŚNI POKOJU NIE NIOSE WAM

Pieśni pokoju nie niosę wam,  
nie idę z lutnią, co mile śpiewa,  
zbój zbójów, zbrodzień, burzyciel sam  
do burzycielstwa pieśnią zagrzewa.

Pieśni pokoju nie niosę wam:  
Dosyć leniwej krwi grzeje łoża,  
dosć rąk, by wygrać niewinny kłam,  
dosyć rąk bojaźń spętała boża,

w zaułki jeno, w pałace wleźć.  
dosyć, za bardzo bruka się cześć!

Pieśni pokoju nie niosę wam,  
nie kwilę, skomlę, lecz sławię życie.  
Chcesz mnie zrozumieć: Zawrzyj swój kram,  
gdzie lichą kupią kupczysz nadmiernie,  
powietrza, słońca czerpnij obficie,  
ujmij za różę i zabierz cierniel!

## WOLNOŚĆ I CHLEB

Wolność i chleb! Trzynaście liter w rządzie!  
Och, biada tym, co chcieć nie mogą więcej,  
Czerwony świat socjalne śle orędzie  
I w szarość dni krew tryska najgoręcej.

Chcieć więcej! Wszystko chcieć! Calutkie abecadło.  
Niech śmiało liter bieg w warjantach się obraca,  
Posiąść, co życie chce i co mu mieć wypadło,  
Co się płomieniem zwie, gdzie rozkosz, zapal, praca.

Wolność i chleb! To wszystko mało było  
I o tem jeszcze lud rozmyśla niedorzecznie.  
Wszystko pragniemy mieć i to, co się wyszło,  
Nasz głód nie kończy się — czuwamy wszyscy wiecznie.

— Tłum. Witold Bunikiewicz.

## FRANCISZEK ŠRÁMEK

(ur. 1877)

## RAPORT

Na lewym skrzydle, przy ostatku  
dzisiaj muszę stać,  
a czego chcę, nie może pojąć  
żołnierska nasza brać.  
Palce od siebie, pięty przy sobie,  
o tobie, dziwny śnie, o tobie,  
dzisiaj mam raport zdać.

— Melduję, panie kapitanie,  
iż zdało mi się w śnie,  
jakoby krwawa wojna była  
i śmierć spotkała mnie,  
a obok martwy koń twój padł,  
by społem ze mną żegnać świat,  
jak wola boża chce. —

— Zgasł miesiąc, było wedle rana,  
koń twój rozpacznie stroszył słuch,  
rzecz dziwna, mieliśmy obydwaj  
wskroś przestrzelony brzuch,  
a w oczach końskich smutek łkał,  
ktoś patrzył w nie, ktoś pytać chciał,  
ktoś ręce łamał w kruch.

Na łąkach woni koniczyna  
i kwitnie w krąg rzeżucha,  
a... on... koń... co przewinił, co?  
Ma dziurę w środku brzucha  
za to, że ktoś mu na grzbiet wlał...  
Chce spojrzeć, w oczach promień zgasł,  
a w gardle ślina sucha.

Och, w gardle schnie, pragnąłby rzeć,  
dlaczego? Nie wie już,  
ukochał tak słoneczny blask  
i jasną krasę róż.  
Stąpienie podków nie stukota,  
niebo z ołowiu, krew bluzgota...  
O, tocz się, świecie, burz!

Melduję, panie kapitanie,  
i pragnę dzisiaj rzec,  
gdy pan chce, czy człowiek musi  
w objęciach śmierci lec?  
Proszę gorąco, szczedź twe konie!  
Strasznym pytaniem bydło zionie:  
Poco na śmierć nam bieć?

*Tłum. Witold Bunikiewicz.*

## PIOTR BEZRUC

(ur. 1867)

## POWRÓT

Po latach, po latach w rodziną dal  
mą barkę życia wicher zwiewał,  
trwożnie, jak dziewczę na pierwszy bal,  
szedłem, a w słońcu kos śpiewał.

Ten stary kościół, ten czarny las,  
domki na stokach snią szare,  
pod brwią stała rdza wspomnień raz,  
nad rzeką wierzby stare.

Pójdę, lecz nie wiem, gdzie drogi kres,  
sprzedane pole jest nasze.  
Nie gryziesz? Ach, tyś sąsiedzki pies.  
Nie znasz mnie? Czemuż cię straszę?

Zdrów proboszcz? Rektor? Djabeł się krył  
we mnie, zbierałem więc bicie.  
Zdrów stary hrabia? Był Niemcem, był,  
w spokoju niechał nam życie.

Do drogiej szkoły zbliżam się bram,  
serce załkało na nowo;  
dzieci, te dzieci modlą się tam  
złowrogą panów mową.

Idę na cmentarz, drogi mi był,  
nie wiem już, kto tam drzemie,  
ktoś napis polski na krzyżu wrył,  
ktoś obcy złożon w tę ziemię.

W portalu zamku drapieżny ptak  
dziób swój o skrzydło ociera.  
Kto kupił włosz tę, czy to jest znak?  
Giniemy — markiza Gera.

Sześć Żydów w siole, Żydem wójt nasz,  
żółta strażnica u rzeki.  
Czemuż, o Panie, w swym gniewie trwasz?  
Czemuś nas przeklął na wieki?

Wspomnienie jedno wałęsa się,  
na szyi pętłę upina  
i przykrą marą zadławia mnie,  
z tych gór, czy zdrowa Maryna?

W obczyźnie miły, tuż bogacz żył,  
w najrzadszym tonący zbytku,  
prawda, od rana do nocy pił,  
miał za co ten farbiarz z Frydku.

Smutny mąż idzie od sielskich wzgórz,  
wzrok drżący w brózdach niw brodzi,  
za góry słońce zapadło już,  
kos w wonnych polach zawodzi.

Złamany człowiek od wsiowych pól  
w sercu ciężkiego coś niesie,  
komiczne zmarszczki wyrył mu ból.  
Nie śmieję się — aż będziesz w lesie.

Jak pies obity, tak wycbym chciał,  
zdrowe ktoś ciało rozcina,  
taką jedyną jam wioskę znał,  
setka ich wokół Cieszyna.

*Tłum. Witold Bunikiewicz.*

## OTOKAR THEER

(1880—1917)

### WODA

Słodka, zdradziecka,  
jak niewiast duch,  
zbijasz się, falo,  
w koronek puch.  
Pryskaj i jęcz,  
serce mi zmiękc  
pieśnią, co wabi i wzrusza!

Drapieżna w górach,  
cichy twój bieg,  
gdy zmywasz miasta,  
zbrukany brzeg.  
Weź, zabierz wdał  
szlam błotnych fal,  
wszystko, co ból i katusza!

Przykleknę, wezmę  
chrzest twoich strug,  
bym nabrał siły  
i ból nieść mógł,  
bym został sam,  
odchodzić mam  
w kraj, który śniła ma dusza

### ŻYCIE PŁYNIE JAKO W ŚNIE...

Życie płynie jako w śnie  
tym, co z Bogiem wraz się spoją.  
Godzin bieg przez duszę twoją  
omamiony czarem mknie.

Stępał już na grozy słuch,  
poprzez drogi, świata niwą  
ręką cię prowadzi żywą  
dziwotworny Boży Duch.

Dokąd cię ta strzeże dłoń,  
czemżesz śmierć jest wraz z swym bólem?  
Duchu Boży, lasem, polem  
wiedz mnie, rządź mną, kieruj, broń!

*Tłum. Witold Bunikiewicz.*

## RUDOLF MEDEK

(ur. 1890)

### DZIEWIN

(Jerzemu Karaskowi ze Lwovic)

Wśród nocy urodzona, gdy pyły gwiazd żaloszne  
w przepaście odlatały, a czar złośliwy padł  
na serce me kipiące, widzę mą smutną wiosnę,  
gdy stąpa pustą głuszą, w której nie woni kwiat.

W ciemnościach zdąża życie, a żarkie piją oczy  
odwieczne nieme cisze — przeznaczeń marę złą.  
Mróz żalu w krew mi płynie — ach, czyjaż twarz otoczy  
mój pływający włos, kto weźmie, zagarnie krasę mą!

Za mężem nie wyglądam! Niepokalane ciało  
dojrzewać chce bez niego, kwiat biały z pustych łąk.  
Lip woni chcę i rosy, by czoło się nurzało,  
jako w ciemnościach ziemi zrodzony słaby pąk.



Wśród gajów chcę zatańczyć, kędy lewkonja woni,  
a śnieżystych sasanek dokoła pełen bór,  
wdychiwać chcę woń żywic i soków, które roni  
panieńska nagość brzozy, dążącej w przestwór chmur.

I nie znam pocałunków, mężowie mi nie niosą  
tych ogni, które w piersiach wzbudzają dziki szal,  
wargi moje gorące poję poranną rosą,  
blask słońca jutrznianego w me piersi spokój zwiat.

Ku zdrojom się nachylam, w przezrystą głęb zwierciadła,  
gdy usta me rozpali słońce południowych cud  
i krasną twarz oglądam, gdy nieco już przybladła,  
i kwiat tajemny, słodki, rosnący na dnie wód.

Wieczorem, kiedy w gajach struchlały cień migoce  
i rozbrzmiewa o brzasku tłumiona gędzba pszczół,  
mnie straszą chłody nocne, lęk piersi rwie sieroce,  
bo wrogi gość zawitał i serce żądzą struł.

I szukam dziewczek moich, bym pocałunki piła  
z ich warg, płonących żarem, którym oczy tchną,  
by w mrokach ros północnych znikła pragnienia siła,  
co w gardle gorze moim i w ciszy targa mną.

A kiedyś w drużki białych ramionach usnęła,  
marzyłam o tym ogniu, co w piersiach moich wstał.  
Ach! ku pomście na mężach za krwawy mieczbym wzięła,  
wyznanie im cisnąwszy z wierzchołka stromych skał.

Za zdradność pocałunków, za lęki pustych nocy,  
za wszelkie pogwałcenia, niewolnych kajdan brzęk,  
za nieskróconą pychę, brutalną pięść przemocy,  
za kłamane żale, za tęsknot trwożny jęk.

Za samotności grozę, zbudzone żądze ciała,  
za bóle macierzyństwa i pogrzebanie kras,  
za wszystkie zniesławienia, jakbym się pomścić chciała  
za uciemieńzeń długi i nienawistny czas.

Chcę wtargnąć w obce kraje z głowniami płonącemi,  
jako odwetu księżna, zwycięski wdziawszy kask,  
i roznieść żary ogni kręgiem po całej ziemi,  
aż niewiast ród przeklęty w słoneczny wejdzie blask.

Żal, że hańbiący ciężar im miłym przecież zda się  
i wkońcu, pokonane, w jarzmo się dadzą wprząc,  
w objęcia wpadną zdradne, przecudne w krwawej krasie,  
i po rozłące marnej ukoją żary żądz.

A ja zaś, blask promienny, z skał rzucę się w głębinę,  
dziewica zawsze harda, nie zbywszy własnych dum,  
i niby płaz złocisty między kwiatami zginę,  
jak gwiazda, która blednie i wpada w mroków tłum.

*Tłum. Witold Bunikiewicz.*

## PIOTR KŘIČKA

(ur. 1887)

## MEDYNIA GŁOGOWSKA

Nad głową pierwsza, druga świszczce kula,  
leci ich gęsty grad,  
wita je żołnierz, kurczy się i wtula,  
gdzieś cierpki dowcip padł.

Piąta baterja w galopie przylata,  
dziej się Twa wola, dziej!  
Mateńko biedna, na los tego świata,  
zahartuj duszę jej!

Patrz, gwiazdą będę u nas nad gęstwiną,  
podobny jasnej skrze  
i wdali, kiedy lata przejdą, miną,  
zblednę i zgasnę w mgle.

List ojców w duchu całuję i włoski  
miej z odległych pól,  
przyptyw miłości i straszliwej troski  
rozlewa w sercu ból,

iz inni cierpią, a w serce się wbija  
skurcz tępy, niby nóż,  
i żalność, żalność, że naród mój spija  
jeno goryczy kruż.

Łukaszu, Wawro, chłopcy moi mili  
kędys z morawskich stron,  
szlachetni umrzem, tak jakeśmy żyli,  
gdyby już nadszedł zgon...

Naprzód! I wedle rozkazu mojego  
linja ruszyła wraz...  
Jezusie cichy, serca pokornego,  
strzeż i ulituj nas!

*Tłum. Witold Bunikiewicz.*

## KAROL ČAPEK

(ur. 1890)

## Z ŻYCIA OWADÓW

## Epilog

## Życie i śmierć

*(Wnętrze lasu. Czarna noc. Na przodzie sceny śpi włóczęga.)*

Włóczęga *(budzi się ze snu):*

— Dosyc, generale! *(trzeźwieje).*

Czy spałem? Gdzie jestem? Ta okropna ciemność! Ja nie-nie-nie-widzę — nie widzę własnego palca przed oczyma. Poczwaroko! Poczwaroko!

*(wstaje)*

Dlaczego tak ciemno? Nie widzę na krok przed sobą. Kto mówi? Kto tu jest? *(krzyczy)* Kto tu jest? Nie, to mój własny głos! Ale czemu nic nie widzę? *(maca rękami wokół siebie)* Nic... Nic... Nic... *(krzyczy)* Czy jest coś? Czy wogóle jest coś? Przepaść, wszędzie ta straszna przepaść, na którą stronę padnę! Gdybym przynajmniej miał się o co oprzeć! Niema nic! Niema! O, Boże, boję się! Gdzie się podziało niebo? Żeby chociaż niebo zostało! Niebo, jedyny błędny ognik! Niebo, jedyne ludzkie światło! Żeby chociaż został jakiś kierunek! Gdzie jestem? *(klęka)* Boję się! Światła! Choć trochę światła!

Głos z ciemności:

Przecież światło jest. Dosyc światła.

Włóczęga *(czołga się po ziemi):*

Odrobinę światła! choć jeden promyk!

Inny głos:

Ten straszny głód! To pragnienie!

Inny głos:

Wołam cię! Chodź! Szukam cię, wołam! Chodź!

Cienki głos:

Pić, pić, pić!...

Włóczęga:

Na Boga, tylko iskierkę światła! Co to jest? Gdzie jestem?

Głos robaka (z oddali):

Moja kulka! Gdzie moja kulka?

Włóczęga:

Światła!

Inny głos:

To pragnienie! Ten głód!

Głos umierającego:

Dobijcie mnie! Dobijcie!

Inny głos:

Zostań moją!

Inny głos:

Ahou, ahahou! Mam go!

Włóczęga:

Światła! Co to jest? Aha, kamienie!

Głos:

To pragnienie! Pragnienie!

Inny głos:

Laski!

Włóczęga:

Wykrzeszę chociaż iskierkę! *(Trze kamień o kamień.)* Jedną iskierkę światła!  
Ostatnią iskierkę!

*(Z kamienia lecą iskry. Wnętrze lasu rozjaśnia się fantastycznie.)*

Włóczęga *(podnosi się):*

Światło!

Głosy *(oddalające się):*

Uciekajcie, światło! Uciekajcie!

Włóczęga:

Ach, jakże pięknie!

Głosy *(za sceną, zbliżające się):*

Światło, światło!

Poczwarzka:

Kto mnie woła?

Włóczęga:

Chwała Ci, Boże! Światło!

*(Rozjaśnia się coraz bardziej i rozlega się cicha muzyka.)*

Poczwarzka:

Na kolana, na kolana!  
Ja... ja... ja wyzwolona  
Rodzę się na świat!

Głosy *(zbliżające się):*

Patrzcie, światło!

P o c z w a r k a :

W bólu porodzenia  
Pękają bramy więzienia,  
Niewidziane i niesłyszane  
Faktem się stanie:  
Ja będę!

*(W krąg rozjarzonego światła wpada rój jętek i tańczy.)*

W ł ó c z ę g a :

Skąd wzięłyście się, przejryste muszki?

P i e r w s z a j ę t k a *(wybiega z pośród innych i wiruje):*

O, O, O! *(zatrzymuje się)*

Jak promyk światła z mroku  
Wytrysło promienne, wieczne  
Życie jętki jednodniówki!  
Tańczycie siostry! O, O, O, O, O!

*(wiruje)*

C h ó r j ę t e k :

Kraźmy całe życie!  
Tańczymy całe życie!  
Jesteśmy samo życie!  
Życie! Życie!

P i e r w s z a j ę t k a *(zatrzymuje się):*

Z melodji promieni utkane nasze skrzydła,  
Z nici złocistych, zmotanych między gwiazdami.  
Tkał je tkacz boski. Tańczymy w wszechświecie,  
My! dusze życia, zrodzone przez światło!  
Obrazy Boga, który...

*(pada martwa)*

D r u g a j ę t k a *(występuje i wiruje):*

...który w nas widzi siebie!  
O, O, O! Wieczne, wieczne jest życie!

W ł ó c z ę g a *(kręci się koło niej):*

Jak, jakże... więc — jest wieczne?

D r u g a j ę t k a :

Życ, krażyć, wirować! Z głębi wszechświata  
Odpowiada nam twórcze, bezmierne  
Wirowanie skrzydeł jętki. Dano nam  
Tajemnicze zadanie wiecznego ruchu,  
Z skrzydeł naszych płynie harmonja sfer.  
Oh, co za posłannictwo, jaka radość twórcza  
Być jętką! Życ — to znaczy wirować!  
O, O, O! *(kręci się wkoło).*

C h ó r j ę t e k :

Wieczne, wieczne jest życie!

W ł ó c z ę g a *(pomiedzy niemi):*

A co za posłannictwo, jaka radość twórcza?

C h ó r j ę t e k :

Wirować! siostry do koła!

Druga jętka (*występuje z koła*):

Rozwińcie skrzydła! Czemże jesteśmy,  
My, z najsubtelniejszych nici tkane,  
Jeśli nie myślą i duszą stworzenia?  
Jesteśmy przejrzyście! Nie mamy substancji ni wagi!  
Jesteśmy treścią życia! Jak iskry z bożej kuźni  
Wytrysłe, wielbimy... (*pada martwa*).

Włóczęga:

Patrzcie, umarła!

Trzecia jętka (*występuje z koła i wiruje*):

O, O, O! (*staje*)  
Cały świat z nami krąży, dziękuje, pełen chwały,  
Wielbi, tańczy i wiruje  
Przed Tobą Wielki, Miłosierny, Doskonały!  
Darze żywota jętek!  
Radości bez oddechu, ty wieczne upojenie,  
Żegnaj tańcu życia,  
Tańcu ognisty, nieskończenie  
Przez nas... (*pada martwa*).

Włóczęga (*podnosi ręce i kręci się wkoło*):

O, O, O!

Chór jętek:

Bądź błogosławione! bądź błogosławione!

Włóczęga:

Życie, życie, ty masz swój urok! Wszak i ja, stara, znużona mucha, kręcę się  
i krzyczę: Życiel!...

Chór jętek:

Bądź błogosławione! bądź błogosławione!

Włóczęga:

Pozwól nam żyć, nam wszystkim! Patrz, każdy chce żyć! Wszyscy bronią się  
przed śmiercią, a każdy na swoją rękę! A gdybyśmy próbowali bronić się razem?  
Bronić się przeciwko zanikowi, przeciwko śmierci!

Chór jętek:

Bądź błogosławione! bądź uwielbione!

(*Jętki jedna za drugą padają martwe.*)

Włóczęga:

Wszyscy poszlibyśmy za tobą! Wszystkie muchy i wszyscy ludzie, i myśli i dzieła,  
i wodna hołota, i mrówki, i trawa, wszystko pójdzie za tobą! Lecz najpierw musimy  
się pogodzić pomiędzy sobą, my, my wszystkie twory żyjące, przyłączyć się do jednego  
regimentu — a ty nas prowadź, ty, życie wszechmogące!

Chór jętek:

Błogosławione życie!

Poczwarzka (*wykrzykuje przejmująco*):

Miejsca! (*rozrywa powijaki i wyskakuje jako jętka*)  
Jestem!

Włóczęga (*biegnie do niej, chwytając się*):

Poczwarzka? Ty? Pokaż się! Nareszcie się urodziłaś!?

Poczwarzka-jętka (*wybiega i zaczyna krążyć*):

O, O, O!

Włóczęga (*biega za nią*):

Jakto? Nic większego?

Poczwarzka-jętka (*wiruje*):

O, O, O! (*staje*)

Ja głoszę władzę życia! Ja rozkazuję stworzeniu: żyj!

Oto nadeszły rządy życia! (*krąży*)

O, O, O!

Kilka ostatnich jętek:

Wieczne, wieczne jest życie! (*padają martwe*)

Poczwarzka-jętka (*staje*):

Cały świat pęczniał, żeby mnie zrodzić,

I pulsował bólem. Słuchajcie, słuchajcie,

Wielkie posłannictwo niosę; zwiastuję

Niezmierne rzeczy; cicho, cicho,

Wielkie przynoszę słowa... (*pada martwa*)

Włóczęga (*klęka przy niej*):

Wstań, muszko! Dlaczego leżysz? (*podnosi ją*) Umarła! Nie żyje! Ach, miła buzia, ach, oczy jasne i przejrzyste! Umarła! Słyszysz poczwarko? Co chciałaś powiedzieć? Mów jeszcze! (*bierze ją na ręce*) Umarła! Jaka jest lekka! O, Boże, jaka piękna! Dlaczego musiała umrzeć? Co za niedorzeczność!... Muszko! (*kładzie ją na ziemię*) Nieżywa!

(*Idzie na czworakach po ziemi i ogląda martwe jętki, podnosząc im głowy.*)

I ty nie żyjesz, tanecznico! I ty, któraś tak pięknie śpiewała? I ty, choć taka młodziutka? Ach, te usteczka już się nie odezwą! Umarła! Słyszysz muszko! Żeby chociaż otworzyła oczy! Patrz, jak dobrze jest żyć! Przebudź się, ożyj! Niech będzie błogosławione życie!

(*Idzie na kolanach na przód sceny.*)

Bądź błogosławione! Ha! Kto mnie dotknął? Idź precz!

(*Światło gaśnie, tylko jeden promyk pada na włóczęgę.*)

Kto tu jest? Haha, puść, puść, przejdź... przejmuję mnie mróz! Kto jesteś? (*macha ramionami w próżni*) Precz, lodowała rękę! Ja nie chcę... (*podnosi się*) Nie dotykaj! Kto jesteś? (*broni się*) Puszczaj, poco mnie dusisz? Haha, ty jesteś... poczekaj, znam cię! Ty jesteś... ty jesteś śmierć! Widziałem cię dzisiaj tylekroć razy! Ale ja nie... nie chcę... Puszczaj kościotrupie! Bezoki! Wstrętny! Ja jeszcze nie... (*walczy z próżnią*) Przystań!

(*Z prawej strony czołgają się dwa ślimaki.*)

I Ślimak:

Stój, coś tu szeleści...

II Ślimak:

Więc cofnij się, ty osle!

Włóczęga (*walczy*):

Masz, zębata! Hahaha, dostałaś! (*pada na kolana*) Zostaw mnie! Nie duś tak bardzo! Zwolnij! Ja chcę tylko żyć, czy i to za dużo? (*podnosi się i odpycha próżnię rękami*) Nie dam ci życia, łotrzycy, nie dam! Masz pięścią (*pada*) Och, nadstawiasz nogę!

I Ślimak:

Słuchaj, ślimaku.

II Ślimak:

Co?

I Ślimak:

On walczy ze śmiercią.

II Ślimak:

Popatrzymy, co?

Włóczęga (*podnosi się*):

Pozwól mi żyć! Cóż ci to szkodzi? Tylko tym razem? Chociaż do jutra! Pozwól choć odetchnąć! (*walczy*) Puść! Nie duś! Ja nie chcę umierać! Tak mało użyłem życia! (*krzyczy*) Aaaach! (*pada na twarz*).

I Ślimak:

Jakie to zabawne, nieprawdaż?

II Ślimak:

Stuchaj!

I Ślimak:

Co?

II Ślimak:

On już umarł.

Włóczęga (*podnosi się na kolana*):

I leżącego dusisz, nędznico? Puszczaj, niech — wszystkim — Ja chcę... Jeszcze chwilkę... (*wstaje i zatacza się*) Pozwól... żyć! Tylko... żyć! (*krzyczy*) Nie, idź precz! Mam jeszcze tyle do powiedzenia! (*pada na kolana*) Wiem... teraz... jak... żyć!... (*pada nawznak*).

I Ślimak (*idzie pomatu naprzód*):

No, już po nim!

II Ślimak:

Jezus, Marja, co za cios! Ach, jej! Takie nieszczęście! Czemu nas opuściłeś?

I Ślimak:

Dlaczego tak lamentujesz? To się nas nie tyczy.

II Ślimak:

Ale to taki zwyczaj, gdy kto umrze.

I Ślimak:

Tak, tak, położmy się.

II Ślimak:

Tak, tak, tak się dzieje na świecie.

I Ślimak:

Żeby tylko było mało ślimaków, a dużo kapusty.

II Ślimak:

Patrz, patrz, syneczku.

I Ślimak:

Co?

II Ślimak:

Ile tu martwych jętek!

I Ślimak:

Żeby chociaż były dobre do jedzenia.

II Ślimak:

Tak, tak. Więc chodźmy, dobrze?

I Ślimak:

Skoro tylko my żyjemy.

II Ślimak:

Ma się rozumieć. Mówię ci, ślimaku...

I Ślimak:

Co?

II Ślimak:

Życie jest słodkie.

I Ślimak:

O, tak! Niech żyje życie! Wiesz?

II Ślimak:

Leżmy (*włoką się za kulisy*).

I Ślimak:

Ale to było zabawne, prawda?

II Ślimak:

No tak, skoro — tylko — my — żyjemy (*znikają*).

(*Chwila ciszy. Świta. Budzą się ptaki.*)

Drwal:

(*Wychodzi z siekierą na ramieniu, spostrzega umarłego włóczęgę i pochyła się nad nim.*)

Kto to? Ojczy, słyszycie? No, ojczy, obudźcie się! Co wam? (*Wstaje, zdejmując czapkę i żegna się.*) Nieboszczyk! Biedny stary! (*po chwili*) Ma to już poza sobą.

Ciotka (*idzie z lewej strony. Niesie dziecko do chrztu*):

Dzieńdobry! Co tam macie, ojczulku?

Drwal:

Dzieńdobry, matko. Ktoś tu umarł. Jakiś włóczęga.

(*Chwila milczenia.*)

Ciotka:

Biedak.

Drwal:

A wy, matko, do chrztu? Do chrztu?

Ciotka:

To synek siostry. Szz-szz.

Drwal:

Jeden się rodzi, drugi umiera.

Ciotka:

I zawsze ludzi dosyć.

Drwal (*tehcce dziecko poa brodę*):

Ks, ks, chłopczel! Zaczekaj, skoro wyrośniesz...

Ciotka:

Cóż, ojczy, może mu będzie lepiej, niż nam.

Drwal:

Ale co tam, jeżeli człowiek tylko ma robotę.

Uczenica (*wychodzi z prawej strony z książkami do szkoły*):

Niech będzie pochwalony...

Ciotka i drwal:

Na wieki...

(*Uczenica odchodzi.*)

Drwal:

Jakże dziś pięknie, prawda, matko? Człowiek tego nawet nie umie wypowiedzieć.



Głos uczenicy (za sceną):

Niech będzie pochwalony...

Głos męski (za sceną):

Na wieki...

Ciotka:

A taki piękny robi się dzień!

Podróżny (wychodzi z lewej strony):

Dzieńdobry!

Drwal:

Szczęśliwy, dobry dzień!

Tłum. Marja Bunikiewiczowa.

JAROSŁAW DURYCH

(ur. 1886)

BUDZIEJOWICKA ŁĄKA

(Wyjątek)

Gorąco, bijące od pożaru, było tak wielkie, że wspaniałe, wysokie i cieniste modrzewie rozpały się aż do najwyższych gałęzi. Zakwitły w niezmiernem pięknie. Chmury błyskotliwych iskier i dymu o barwach tęczy miotaly się wśród ich koron na tle czarnego nieba, płomienie huczały, jak potoki alpejskie. W powietrzu unosiło się pełno czarodziejskich widziadeł, białych, sypiących skry, czerwonych, istne wesele szatanów, w zastonach diamentowych, białej piękności i czarnej grozie, zdało się, że nawet duże potępieńców na widłach i rożnach piekielnych radują się w tej chwili. A na tle tej nagłej niezwyklej uroczystości stała młoda dama.

Panowie powstali, jak zaspane tygrysy, skoro je zbudzi z drzemki nadejście młodej tygrysy, a one tłuką o ziemię swemi ciężkimi ogonami, prężąc przy ziemi potężne szyje i, jakby się bały o swoje skurczone głowy, pokazują wyszczerzone zęby.

— Z kim mamy przyjemność? — zapytał pan Sparr.

— Chciałam zobaczyć panów, o których tak dużo słyszałam. Nazwisko moje nie panom nie powie. Jestem śpiewaczką na dworze cesarza rzymskiego, a teraz jadę do Ratyzbony.

— Zabawne kłamstwo w pięknych ustach pani — rzekł pan Sparr.

— Nie jest pan zbyt uprzejmy — odpowiedziała panna.

— Nigdy nie słyszano, ażeby na jakimś dworze panującym, a cóż dopiero u naszego najpobożniejszego cesarza, trzymano kobiety śpiewaczki — dowodził pan Sparr.

— Pan mnie zatem uważa za bardzo głupią — rzekła dźwięcznym głosem panna; — ale nie jestem żołnierzem.

Panowie po raz pierwszy tego dnia wybuchnęli szczerym śmiechem. Śmiał się również pan Sparr i rozkazał służbie zastawić nowe dania i napęłnić dzbany.

— Dziękuję, dosyć mam jeszcze ognia — odsunęła podawane sobie wino. — A więc, jeżeli kobieta chce śpiewać w chórze w kaplicy czy kościele nie zabroni tego nikt, nawet papież ze zgromadzeniem kardynałów. Mam ubiór chłopca, w którym jest mi bardzo do twarzy, nic więcej nie potrzeba. Na dworze wiedzieli, kto jestem. Ale najjaśniejszy pan, jak wiadomo, lubi ponad wszystko piękny śpiew. Dali mi męskie imię, a moje piękne włosy ułożyli w ozdobnej szkatułce. To pierwsze. A poza tem?

Pan Sparr już z mniejszą odwagą ciągnął wywiad.

— Odkądże to podróżuje się z Wiednia do Ratyzbony przez Budziejowice?

— To jest niedyskretne pytanie. Jednak odpowiem na nie. Nie śpieszę się do Ratyzbony, nieprędko jeszcze zbierze się tam sejm kurfirsta. Zapytacie zapewne, dlaczego zatem już wyjechałam z Wiednia. Rezydent bawarski, Rachel, i rezydent hiszpański, hrabia Oniato, są przyczyną mej ucieczki.

— Bez paszportu?  
— Lepiej bez paszportu. Inaczej nie dostałabym się tutaj.  
— A poco przyjechała pani tutaj?  
— Zobaczyć drogich jeńców i skazańców naszego najmiłoścowszego króla. Jestem ciekawa.

— My także — roześmiał się Losy.  
— Łączy nas wspólna niedola. Grozi mi nielaska u dworu — rzekła panna z niewinnym uśmiechem — prześladowuje też równie grzeszna ciekawość.

— Wasza miłość — zwrócił się Losy do wojewody — zechce pozwolić mi wybadać tę osobę, a może uczyni to pan sam?

Na twarzy panny zajaśniał uśmiech kotki.

— Zachowujcie się jak u dworu! Nie przywykłam do grubych manier i muszę oszczędzać głos.

Podrażnienie, że szpieg jest przebrany eunuchem o pięknej dziewczęcej postaci, wzmagało się i przejmowało ich coraz większym niepokojem. Niepokój ten dziwił starych, zahartowanych w wojnie panów.

— Należałoby wykorzystać piękne oświetlenie — mruknął wojewoda.

W wyobraźni ich zjawiała się piękna czarodziejsko, naga i biała postać dziewczyny, jako złudna nieuchwytna mara, bo może nie jest to podstępny eunuch. I niewidzialne biesy uwiedłych żądź zdawały się potrójnym kręgiem otaczać ich siedzących, milczących i obserwujących.

Lecz służba przyniosła stół i ławy z pobliskich chałup, a pieczeń pachniała.

Jedli. Panna siedziała naprzeciwko wojewody.

— Brat waszej miłości dotąd mieszka w wiedeńskim Nowem Mieście — mówiła czystym i łagodnym głosem — ale nie ma tam tyle wolności i zabawy. Gdyby był żołnierzem, mógłby tu być razem z panem. Panu kanclerzowi Elze jest również smutno; tak smutno, że chce przejść na katolicką wiarę. A astrolog wojewody z rozpaczy przepowiedział cesarzowi zwycięską bitwę.

Roześmiała się. W mgłę zarżał koń.

— Słyszałam, że bywa tu wesoło. Szkoda, że dziś nie macie więcej gości. Ale w Wiedniu jest teraz pusto i nawet najświeższe wiadomości nie rozweseliły cesarza. Rada jestem, że chociaż raz widziałam go szczęśliwym. W marcu był wesoły, dopóki go hrabia Piccolomini i markiz de Grana nie męczyli. Ale wówczas był jak małe dziecko, wszyscy się do niego uśmiechali, jakgdyby wyzdrowiał po ciężkiej chorobie. A gdy w niedzielę wiedziono go do kościoła, cóż to była za uroczystość! Działo się to wprawdzie w poście i nuncjusz Malatesta miał żalobne szaty, ale tego do śmierci nie zapomnę!

Uniesiona wspomnieniem, napiła się wina, nie zważając na uwagi panów.

— Miało to miejsce w trzecią niedzielę postu. Panowie rezydenci w kościele i na ulicy przemawiali jeden po drugim. Przywiedziono starego hrabiego Eggenberka i pana Quistenberka, i było dopiero widowisko, jak ci dwaj szybko nauczyli się radować z upadku generalissimusa. Panowie, księża i mieszczaństwo głośno wielbili Boga, dworzanie się śmiali, cesarz radował się z cesarzową, ze swym bratem i dziećmi, z królem węgierskim, jak w dniu Zmartwychwstania. Te świece, księża, dzwony, muzyka, radość! Tylko generałowie grozili cesarzowi, że odejdą, jeżeli ustąpi spełnieniu sprawiedliwości, to znaczy: odda wdowie przetrącone ciało generalissimusa i zostawi hrabiego Maksa na wolności. Ale cesarz był uległy, był wdzięczny, ręka go bolała od rozdawania łańcuchów, a język od pobożnego dziękczynienia. Świat z niebem dzieliły się jego szczęściem. Chłopców i eunuchów napominano różgą, ażeby uważnie i radośnie śpiewali, lecz któż mógł zaśpiewać cesarzowi weselej na chórze niż ja? Aż się wszyscy oglądali, uśmiechali i kiwali głowami. Szkoda, że nie można było śpiewać «Glorja»!

— Niechże nam pani zaśpiewa coś z tej mszy — prosił wojewoda.

— Niema tu organów — odparła panna, ale rozglądała się po obecnych.

Wtem najbliższy gorejący modrzew jęknął, z gałęzi jego wystrzeliło na wszystkie strony z szumem, stękaniem i dziwnym wzdychaniem roztopione złoto.

Panna przelęknęła się, a widząc u swych nóg gorejącą gałąź, wskoczyła na stół i na stół. Gdy się opamiętała, chciała zeskoczyć, lecz powstrzymał ją pan Losy.

— Najpierw śpiewać!

— Chętnie! Przecież to była msza za was, to jest dziękczynienie za was. Zaczęło się więc od «Kyrje». W drugiej połowie lutego cesarz nie sypiał i mizerniał. Musieliśmy śpiewać «Kyrje» bardzo smutno, chociaż był karnawał, a cesarz wzdychał, jakby się obawiał, że nie pójdzie do nieba. Ale teraz muzycanci aż podskoczyli, gdy kapelmistrz dał znak, a kapelmistrz poczerwieniał w nadziei odznaczenia. Było to zaledwie wspomnienie «Kyrje» minionych tygodni. Chłopcy śpiewali aż im pęczniały szyje, a ja trzymałam prym.

Panna umilkła i zapatrzyła się poza płonące modrzewie. Nagle poderwała się, jakby jej wyrosły skrzydła; wymknęła się Losemu.

«Kyrje elejson!»

Słowa zamieniły się w śpiew.

Panowie zdrętwieli. Dziewczęcy głos szedł w zawody z płomieniami gorejących modrzewi, ogromnie czysty i jasny. Mienił barwę z djabelnie pewną siebie śmiałością i niewinną lekkością; podniosłość i dziecięca pokora zamieniała się w dworski taniec, w triumfalną radość, w nieznośną drwinę i przerażające bluźnierstwo. Słodczy i czułości głosu towarzyszyła pozorna obojętność twarzy i czarodziejsko płonące oczy, jak gdyby Dawid tańczył przed arką lub śpiewał owcom na górach.

— A potem śpiewaliśmy «Credo». Cały dwór, panowie, duchowieństwo i lud uznawali cesarza za wszechmogącego ojca i wielbiliśmy Ducha Świętego za to, że oświecił i nakłonił najjaśniejszego pana do wydania rozkazu egzekucji generalissimusa. Kotty wirowały, trąby grzmiąły radośnie, chłopcy czerwienieli, panowie się oglądali. Co za widowisko, jak się zachwycił ksiądz Eggenberk i robił uszczęśliwioną minę, a Włosi patrzyli na niego, jak złe i złośliwe psy, pan Quistenberk ocierał pot, a biskup Antoni, mający coś także z generalissimusem, kręcił zawzięcie młynek, siedząc obok tronu kardynała Pozmanini. A cesarz się modlił i modlił, król węgierski obracał się co chwila, tylko cesarzowa siedziała jak obraz pychy. Przy responsoriach śpiewaliśmy najjaśniejszemu panu:

«Et cum spiritu tuo!»

Głos panny zabrzmiał, jak srebrna trąbka obozowa. Służba zbliżyła się do stołu, zaciekawiona, co za przedziwne nabożeństwo się tu odbywa.

— Patrzyłam nadół. Ileż tam było świec, dymu, chorągwi i żerdzi; przyglądałam się, czy na żerdziach nie tkwią głowy, ucięte rebeljantom. Aż ćmiło oczy. Ale przyszła prefacja i kardynał zaśpiewał:

«Gratias agamus Domino Deo nostro!»

Głos panny umilkł, bo sama zasłuchiwała się w echo tych słów. Panowie katolicy i ci, którzy rozumieli po łacinie, zadrżeli. Panna nie potrzebowała robić żadnych uwag. Wszystko powiedział jej głos. Dziękujemy Panu Bogu naszemu za to, że generał, rozdarty i połamany, leży w prostej trumnie, że jego pomocnicy są pokłuci niezliczonymi ranami, a jeden z nich zagrzebany pod szubienicą, że przeszło stu ludzi zamknięto, a co najważniejsze, że miljonowe posiadłości przeszły, chociaż tylko pozornie, do rąk cesarza.

— A my zaśpiewaliśmy: «Dignum et justum est»! Ale śpiewakom uwiązał głos w gardle, tylko mój śpiew rozbrzmiał w kościele, aż się król węgierski roześmiał. A potem kardynał śpiewał. — — —

Panna usiłowała naśladować ciężki i poważny głos pobożnego i oddanego cesarzowi kardynała Pozmanini. Okrutna pobożność wyniosłych morderców znalazła w jej gardle straszliwie wierny oddźwięk. Śpiew jej wywoływał wszystkich djabłów, okropne potwory piekieł, powietrza i bagien, całą okazałość i wspaniałość Kościoła, dworu, państwa, kadzidla, złota i przepychu. Głos jej małowal rozgorączkowane, groźne i namiętne twarze wszystkich tych ludzi, krzesal ich spojrzenia, drwiące uśmiechy, myśli i żądze, opowiadał o ich ciemnej pobożności, zachowywał echa drwin, bluźnierstw i niedowiarstwa, o których wszędzie obecnym djabłom nawet się nie śniło.

— Potem kardynał zamilkł, a dukaty generalissimusa zadzwoniły: Cink! Cink! Cink! Wówczas wszystko oszalało z radości, a myśmy zaśpiewali: «Sanctus». — — — Podniecona twarz panny była bluźnierczo piękna.

— To jest naprawdę kobieta! — rzekł pan pułkownik Losy.

Nikt już w to nie wątpił.

Śpiewała «Sanctus». Pan Mohr z Waldu ukrył twarz w dłoniach, a dziki Losy płakał, hrabia Schaffgotsch zgrzytał zębami. Tego, co wywoływał śpiew dziewczyny, niepodobna było znieść. Pan Sparr zarył palce we włosy, a panu z Valdštejna zrobiło się niedobrze. Gdy śpiew upodabniał się do wdzięcznej melodji tanecznej, panna schyliła się, podniosła kraj sukni i z niezmiernym wdziękiem staniała się, jak w starodawnym liturgicznym tańcu. Tylko oczy jej straciły niewinną przejrzystość i stuletnie jaszczury spoglądały z nich na przerażonych panów.

Wtem zbliżyli się urzędnicy królewskiego miasta z pochodniami i pacholkami z halabardami, pełni zgorzienia i gniewu. Z pewnością sami byli oczarowani i czekali końca śpiewu, czy dlatego, żeby snadniej uchwycić pannę, czy też, ażeby nie zepsuć przedwcześnie widowiska piekielnego, lecz pięknego. Pierwszy z nich wystąpił przed wojewodę i mówił gorliwie, dając ostre rozkazy uzbrojonym ludziom. Śpiewaczka stała na stole i patrzyła na niego z góry, przemiała, delikatna i niewinna. Biegli też studzy panów i zdawało się, że dojdzie do walki pomiędzy jeńcami a wiernymi sługami najjaśniejszego pana. Panowie milczeli posępnie, pogardzając niebezpieczeństwem; widać było, iż nie usłuchają i raczej sami chwycą za broń. Radni miejscy wściekali się z rozpaczy.

Nagle wybuchnął zamierający płomień, coś zajęczało i, nim ludzie z miasta zdążyli się opamiętać, piekielne moce ukazały swą siłę. Drugie dogorywające drzewo zważyło się z wielkim rozmachem do stóp drabów, a płonące gałęzie rozsypały się tak szeroko, że ludzie z miasta zaczęli uciekać, żegnając się krzyżem świętym i nie odważając się obejrzeć:

— Hosanna, hosanna, hosanna in excelsis!

I ręce panny podniosły się w górę ku ciemności.

Światło przygasło, śpiewaczka zeskokczyła ze swego chóru, zdawała się być zmęczona. Służba przyskoczyła i nalewała wino. Wszak była tu kobieta. Prawda, przyjeżdżały tu często damy w pięknych koczach aż z Pragi i grzeszyło się tak, że budziejowiccy mieszczenie chętnie zapłaciliby haracz wojennemu sądowi, żeby się pozbyć tego nieznośnego zgorzienia. Ale ta panna przyszła chyba od Jego Cesarskiej Mości Szatana, niosąc ze sobą smutek, wydobyty z najgłębszego dna piekielnych czeluści.

Śpiewaczka sama nalala sobie wina, a panowie poszli za jej przykładem, jakby zamroczeni. Jeszcze unosił się w powietrzu szum smoczyczych skrzydeł tego straszego głosu, tego przerażającego okrzyku:

— Hosanna, hosanna, hosanna in excelsis!

Ten głos już nigdy nie ucichnie.

*Tłum. Marja Bunikiewiczowa.*

*Wybór tekstów i układ Witolda Bunikiewicza.*

LUDEVÍT ŠTÚR

(1815—1856)

ZE «SPIEWÓW I PIEŚNI»

Płynęły lata, a lud nie powstawa,  
Bo mu się żaden witeż nie nagodzi;  
Już uciśnionych kryje mogił trawa  
I czas już innych do grobu zawodzi,  
Wieki mijają... a Słowacy drzemią...

A tam ze starych sławy pamiątek  
Doniosty głos się wyłoni,  
A ten doliną płynie i pada,  
Jak gdy dzwon wieczór zadzwoni...  
kogoż wzbudzi głos ten żaloszny,  
Kto powstrzyma ten proces gnicia,

Kto stanie wielki na te wyżyny  
I zagrzmi hasłem: «do życia!»

Jest nad czem płakać — na ojców ziemi  
Oddawna ciężkie czasy;  
Gdzie przedtem dumne stały pałace,  
Biedne dziś widać szałas; —  
Naród, o którym wieść szła po świecie,  
Teraz niewola gładzi.  
Gdzież ten szczęśliwy, co mu przywróci  
Dni piękne, dni dawnej sławy?...

*Tłum. Roman Zawiliński.*

SAMO CHALÚPKA

(1812—1883)

WIEJE WICHER, WIEJE...

Wieje wicher, wieje od Tatr do Dunaju,  
Smutne głosy idą po słowackim kraju.

Po słowackim kraju takie wieści płyną,  
Nie wrócą te czasy, skoro już przemina.

Czasy nasze, czasy, czasy sławy starej,  
Gdy nad Nitrawą wiał słowackie sztandary.

Hej, Nitra, złoty tron króla Swatopluka,  
Gdy o nim pomyślę, serce głośniejsz stuka.

Byleżeśmy byli między narodami,  
Jako ten nasz Krywań nad temi Tatrami.

Stoi jeszcze, stoi Krywań nad Tatrami,  
Będzie Słowak, czem był, między narodami.

*Tłum. Roman Zawiliński.*

JÓZEF MILOSLAV HURBAN

(1817—1888)

ŻAL SŁOWAKA

Pójdź, ma piszczałko! Siądziemy na skale,  
Po siwych górach puszcze twoje dźwięki.  
Dni utrapionych niechaj głoszą żale,  
Ciężkich mąk naszych niechaj głoszą jęki.  
Gdzie nad narodem smutna przemoc władza,  
Cichym się tylko jękiem żal spowiada.

Ucichły nasze harfy a cymbały,  
 I sława Wielkiej Morawy przebrzmiała.  
 Wieszcze na lipach harfy powieszały,  
 Gdzie je złośliwa burza potrzaskała.  
 Skromne nam ledwie piszczałki zostały,  
 Któreimi twarde rozbudzamy skały.

Czasami słowik z jaworów wzniesionych  
 Wdół złata, siada na ciemną olszynę  
 I wśród gałęzi ukryty zielonych  
 Pocięsza z wiosną słowiańską rodzinę.  
 Lecz wiatr przeciwny unosi słowika —  
 I wraz ostatnia pociecha z nim znika.

Smętna piszczałko, pójdźże tedy ze mną!  
 Twoim ja dźwiękom zwierzę moje żale.  
 Na gór wierzchołki, w lasów czeluść ciemną  
 Pójdziemy — siądziem na najdzikszej skale —  
 Z góry do ludu zbiegną twoje dźwięki,  
 Niosąc pociechę, kojąc jego męki.

—————  
*Tłum. Roman Zmorski.*

### ONDŘEJ SLÁDKOVIČ (BRAXATORIS)

(1820—1872)

Z «DETVANA<sup>1)</sup>»

Taki już lud ten, piękny w biedzie,  
 Że radości swe w żalach śpiewa;  
 Niby najszczęśliwej mu się wie, wie,  
 A zda się — w żalach omdlewa.  
 To tak jest: przecuciem chwyta żale,  
 Które w nim jeno mędracy stwierdzają;  
 A żywot jego zawsze się śmieje,  
 Obcy mu strach jest, obce — nadzieje,  
 Co ten nasz świat przewiewają.

«Zaśpiewa mu ptaszę na kosodrzewinie» —  
 On czuje, co jest w tym śpiewie.  
 «Co komu sądzone, to go nie minie» —  
 Domyśla się, czego nikt nie wie.  
 Sądzi, że niema bied, prócz dziedzicznych,

Żyje w radościach trwałych a licznych,  
 Jak żyli w nich pradziadowie;  
 Przeszłość on piękną wysnuł z bajania,  
 A przyszłość całkiem mu zasłania  
 Pogląd, co utkwiał raz w głowie.

Żałuje, gdy każe zwyczaj stały,  
 Zgodnie z nim też — się zabawia,  
 Śpiewa, jak jeszcze babki śpiewały,  
 Mową praszczurów przemawia.  
 A nagle zaklnie, jak błyskawica,  
 Lecz kogo sklął, tym wnet się zachwycę,  
 To jest wzburzony, to pełen spokoju;  
 W cichej dolinie lubuje mu chata,  
 To znów, jak orle, po szczytach lata.

—————  
*Tłum. Alfred Tom.*

### SVETOZÁR HURBAN VAJANSKÝ

(1847—1916)

ROMANS

Przez zamglonej łąki toń,  
 Co wyskoczy rumak-koń,  
 Pędzi rycerz piękny, młody,  
 Jakby z wichrem szedł w zawody...  
 Wstrzymaj konia, o, szalony,  
 Noc cię chwyci w czarne szpony!

Welon mgły na drogach legł,  
 Rycerz wciąż podwaja bieg  
 I przez gąszcze i przeguby,  
 Jak na skrzydłach, mknie do lubej...  
 A wśród lasu zwilgniatego  
 Wróg już czai się na niego.

<sup>1</sup> D-owie — szczep słowacki w okolicach Tatr.

W każdy szelest, szum i wiew  
 Najpiękniejsza z pośród dziew  
 Wciąż wsluchuje się daremnie,  
 Zapatrzona w nocne ciemnie...  
 Wichr na polach jeno hula —  
 W młodej piersi tkwi już kula.

*Tłum. Remigjusz Kwiatkowski.*

#### POCIECHA

Milowałem piękne dziewczę,  
 Siwe oczy miało,  
 Poszło zamąż za innego,  
 Za strzelca pod skałą.

Długom płakał, łez potoki  
 Lejąc żałościwe,  
 Że mię srodze okłamały  
 Te oczęta siwe.

Dobrze, iż mię okłamały!  
 Z dziewy dziś zła żona, —  
 A pieśń rzewna płynie z głębi  
 Zbolałego łona.

Dziś zła żona męża swego  
 Dręczy wciąż i grzeszy,  
 A ta moja pieśń żaloszna  
 Wasze serca cieszy.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

#### HVIEZDOSLAV (PAVOL ORSZÁGH)

(1849—1921)

#### Z «PIEŚNI»

Jam głos, co woła na pustyni  
 I wciąż bez echa trwozę czyni...  
 Gdyby tak prorok zszedł do ludu,  
 I pośród znoju, łez i trudu  
 Nie wydał plonu jego siew,  
 Przekłaby pracę swą daremną  
 I wyższy ponad rzeszę ciemną  
 Sobie-by tylko nucił śpiew.  
 Lecz jam nie prorok... Z ludem wraz  
 Chcę dzielić wszystkie jego bole,  
 I jasne dni, i burzy czas,  
 I wśród nieszczęścia szarą dolę...  
 I wołam zawsze i bez końca:

«Za mną! Do słońca, wciąż do słońca!»  
 Lecz wokół noc i kłębny mrok,  
 Cisza i żadnej odpowiedzi,  
 Daremnie sję splakany wzrok,  
 A słuch najmniejszy szelest śledzi...  
 Trawiony bólem i tęsknotą,  
 Wypuszczam z dłoni harfę złotą.  
 Po chwili jednak gram na nowo,  
 A w rozelkanej struny brzęk  
 Wpada bolesny serca jęk...  
 I z opuszczoną smutnie głową,  
 Niepewny, czy mnie kto usłyszy,  
 Wezwania nowe rzucam w ciszy...

*Tłum. Remigjusz Kwiatkowski.*

#### LITOŚCI, BOŻE, DLA LUDU MOJEGO!

Myśmy tak drobni, słabi i spętani  
 W niewoli, jako wichrem gnana chmurka,  
 Jak łań spłoszona, jak czyżyk schwytyany.  
 Ty daj mu wodza, Ty mu pošlij wieszczą  
 I apostoła, aby go przez puszcę  
 Wiódł i do kraju doprowadził, w którym  
 Źródło i źniwo — by w pięknych obrazach  
 Roztoczył przed nim przyszłości złotogłów  
 I wprawił w zachwyty, w obumarłe serce,  
 Co drga w niemocy, gromem słowa wpadnie;  
 Z martwoty tak je do żywota zbudzi,  
 Ludzkiej godności osłoni zarazem  
 Skarb nieprzedajny i nienaruszalną

Da mu naukę prawdy, która zawsze  
Niesie swobodę i tak wszystko złoży,  
Że zrzuci zmoreę, co mu krew wypija.  
Promiennym czynem, ożywiony wolą  
Wstąpienia w Ciebie, kiedyś święcić będzie  
To — w ciałach jeszcze duszy wniebowzięcie...

*Tłum. Jan Magiera.*

## MARCIN KUKUČIN (MATEJ BENCŮR)

(1860—1928)

### CIEŃ I ŚWIATŁO

(Wyjątki)

Pierwsza od Boga, druga od ludzi, trzecia od czarta...

Taką drabinę dał los pod nogi Jędrzejowi Kutraniowi. Zaczął od wierzchu i zeszedł po niej aż na najniższy szczebel, na granicę rozpaczy. Ktoby go dziś poznał, siedzącego na progu z siwą, w dłonie schowaną głową? Włosy wysunęły mu się z poza ucha i, w swobodnych kosmykach wisząc, ocieniają chudą rękę z nabrzmiałymi żyłami. Odzież jego zaniedbana, lata na łacie. Krypcie przywiązane domowym wyrobem, konopnemi sznurkami, bo «na rzemień nie starczy, skoro się nie zarobi» — mawia jego żona Marjanna, gdy jej to sąsiedzi wytykają.

Ostatecznie niema stworzenia, do którego by się słońeczko przynajmniej kiedy niekiedy nie uśmiechnęło. Uśmiecha się więc i do Jędrzeja i ogrzewa jego stare nogi. Zeszłej zimy mawiał, że się już nie ogrzeje przy nowem słońeczku, a oto ogrzewa się.

.....

Byłby może po dziś dzień był wdowcem, ale ludzie mu nie dali spokoju. Choć już prawie sześćdziesiąt lat liczył, przecież był Jędrzej pożądanym mężem. Liczne serca wdychały za nim potajemnie, a właściwie za jego dwureńskówkami, które miał mierzyć ćwiercią. Z apacji wyprowadziły go nagle bajki, i zaczął się wokół z pewną trzeźwością oglądać. Oko jego spotkało się niepostrzeżenie z czarnem okiem wiejskiej krasawicy i mimowolnie na niem spoczęło. Płomień, który w niem błyszczał, roztopił lodową powłokę, pod wpływem czarnych oczu zbladł w sercu jego obraz pierwszej miłości. Jędrzej czuł, że powinnością żywych jest zapomnieć o umarłych, a cieszyć się z żywymi...

Tak oto stał się mężem swej Marjanny. Nie szło to wprawdzie tak szybko, jak się mówi albo jakby tego był Jędrzej pragnął. Młoda żona stawiała rozmaite warunki. Któż się zdoła oprzeć miłości, zwłaszcza, gdy mówi przez tak różowe usta do starego, prawie już osiwiałego wdowca? Jędrzej zapisał żonie wszystko, a jemu zostało z całego wielkiego majątku tylko dożywocie.

Dożywocie u kochającej żony znaczy więcej, niż skarby Sardanapalowe. Ale dożywocie u młodej, pięknej djablicy zmienia się w samą truciznę. Taką to trucizną od tej godziny prawie karmiła Marjanna swego starego męża. Kij żebraczy wydawał mu się berłem królewskim. Byłby się go już dawno chwycił, ale nie mógł się wydostać z jarzma, które sobie sam na szyję włożył. Jedyne wyjście wydała mu się śmierć, pragnienia jego zwracały się tylko ku niej, jak pragnienie każdego zmarnowanego życia, osłabionego nadto jeszcze starością.

Ileż to razy pogrążał się w dawnych wspomnieniach! Było to jedyne, co mu jeszcze pozostało i w czem jego dusza znajdowała nieco uspokojenia.

.....

Słońce zaszło, a Marjanna Kutraniowa wróciła do zagrody. Najpierw rzuciła okiem na szopę. Twarz jej zapłonęła gniewem: kupa gałęzi była nietknięta. Zrzuciła w sieni tobolek, oparła grabie o ścianę i pewnym krokiem weszła do izby. Była na to przygotowana, że jej mąż nie porąbie chróstu, więc się przysposobiła, aby go wylać. Przez drogę wymyśliła sobie nową serję wyrzutów, aby mu je w twarz cisnąć.



Mąż leżał na łóżku. Nie był rozebrany, lecz pierzyny były odsunięte do końca. To ją znów ubodło...

— Znów się wylegujesz! Doprawdy radabym wiedzieć, kiedy się do licha już wyśpisz. Niema człowieka na świecie, któryby tyle drzemał. Nie byłoby dziwne, gdybyś z lenistwa zgnił zażywa, aby... Cóżto, ani się ruszy!?

Jędrzej leżał na łóżku, ani jednym członkiem nie ruszając. Marjanna przyskoczyła do niego i targnęła go za ramię.

— Wstańże już raz! Jak się we dnie wyśpisz, nie żał się potem, że w nocy oka zmrzyć nie możesz. Cóż, nie wstajesz?

— Nie mogę — odpowiedział Jędrzej słabym głosem.

Marjanna zaśmiała się złośliwie.

— Nie może, ustał przy robocie! Był od rana przy sianie, na skwarze; wyniósł na ugór czternaście brzemion albo może grabił dzień cały!

— Gdybym mógł, robiłbym.

— Milcz, ty leniuchu! Cóż, porąbałeś gałęzie? Nie mógł — rąbać nie może, ale jeść — do miski jest go dosyć.

— Nie będę ci długo zawadzał. Mój obiad jest tam, pod ogniskiem. Pewnie ci go żal. Weź go sobie i zjedz, mnie go już nie trzeba.

Obrócił się do ściany i jęczał. Marjanna spojrzała nań złośliwie i weszła do kuchni. Na kominie stał obiad Jędrzeja — nietknięty. Kasza, uwarzona jeszcze rano, trąciła kwasem; na ciepłym miejscu skisła. Marjanna wróciła do izby, niepewnym okiem patrzyła na łóżko i stała długo, długo. Sposobiła się do jakiegoś nowego, niesłychanego czynu; jej piękna twarz miała wyraz walki, jaką z sobą toczyła. Nakoniec przystąpiła do łóżka i przemówiła:

— Jędrus, śpisz? Co ci jest?

Jej głos był miękki, niż zwykle, a w uszach Jędrzeja brzmiał jak śpiew anielski. Przeszły lata i lata, a on jej nie słyszał, aby tak mówiła. Byłby wyskoczył na równe nogi z łóżka, byłby ją wyściskał, byłby ją na kolanach przeproszał, ale nie mógł się ruszyć. Jakies nagłe omdlenie ogarnęło jego serce i czyniło nieruchomymi i tak ciężkie jego członki. Nie odpowiadał, aby tylko to słodkie pytanie jeszcze powtórzyła.

— Jędrus! Jędrus! Co ci się stało?

Głos jej był jeszcze miękki, przez twarz jej przebiegł jakiś przestach. Pochyliła się nad nim, jakby mu chciała w twarz zajrzeć. Jędrzej czuł jej dech bliski, jakies rozrzwienie ogarnęło jego duszę. Oczy przymknął powiekami.

— Czemu się przede mną kryjesz? Jędrus — ja się boję, proszę cię...

Jędrzej nie mógł dłużej wytrzymać. Obrócił się ku niej twarzą i długo patrzył na nią. Zdawało mu się, że na jej młodej, pięknej twarzy widnieje jakiś nieuchwytny rys czułości. Może to miłość! — — —

...Głowa mu opadła na poduszki, a na sercu poczuł lodowatą rękę śmierci. Coś mu mówiło, że już wytknięty cel, koniec utrapieniom. Wzdrygnął się na myśl o tej chwili, a usta westchnęły: «Jeszcze nie! jeszcze nie!»

— Idź mi po siostrę i po wójta.

— Naco, naco ci wójt? — Zbladła z przerażenia i strachu.

— Pożegnać się z nimi i zrobić porządek. I prorok mówił do króla: «Zarządź domem swoim, albowiem umrzesz».

Marjanna zarzuciła na siebie chustkę, nawet nie przyglądziła czarnych włosów pod szerokim czepcem. W pośpiechu wybiegła, jakgdyby chciała dowieść, że śmierć nie czeka.

Za małe pół godzinki wbiegła przelękniona Zofja, a za nią wójt z Marjanną.

— Tegom się spodziewała, ja to przeczułam. Mógłby jeszcze żyć, gdyby miał opiekę — mówiła Zofja, rozgoryczona. — Uważcie sobie tylko, dusza mu już siedziała na karku, a ona mu kazała drzewo rąbać. A co się go nagryzła; górni i dolni sąsiedzi najlepiej wiedzą!

Marjanna nic jej nie odpowiadała. Nie z gniewu, ale czuła, że ją to uspokaja, gdy słyszy swoje grzechy.

— Spójrzycie na te jego szaty! Wójcie, spójrzycie: z Kutraniowego gospodarstwa na lepsze szaty nie starczy! Możecie to tak zostawić?

— E, co tam szaty, jakie były, takie się nosiło. Wójcie, chciałem wam... Tu mi z gospodarstwa zostało 12 zł. r. srebrem. Każecie mnie pochować, będzie mowa i wiersze.

— Dobrze, żeś jej tych przynajmniej nie dał. Musieliby cię z litości pogrzebać, jak żebraka. Ani na cmentarzyby cię nie puściła, kazałaby cię pogrzebać za murem.

— To nieprawda! — krzyknęła z bólu Marjanna — ja sobie go sama każę pogrzebać, jak chrześcijanina. Jego pieniądze nie potrzebuję!

— Daj temu pokój, Marjanno. To jest moja woła. Przysporzysz sobie wydatków, to wiele kosztuje, lata są złe, niech was Bóg ma w opiece!

— Oj, już umiera mój brat kochany! — krzyknęła Zofja i rzuciła się na bezwładne ciało Jędrzeja. — Umiera, jak żebrak, obtargany, opuszczony!

Marjanna przystąpiła do śmiertelnego łoża, ale Zofja ją odepchnęła.

— Idź sobie przed zwierciadło! Trzeba ci będzie ładniej się ubierać! Jutro już będziesz wdową, trzeba będzie się wydać. Nie zbliżaj się do łóżka...

— Nie gadajcie takich słów nijakich przy tem łożu śmiertelnem — napominał ją wójt. — Co było, no, jak było, ale tego już za wiele.

— Nie za wiele! to jest mało! Ja wam to udowodnię! — Zofja wybiegła do kuchni i przyniosła obiad brata. — Patrzcie, tak go żywiła. Przekwaszoną kaszą go żywiła! Umiera, bo musi, z głodu! Ale ja nie daruję: wszystko to opowiem. To wszystko musi być w mowie księdza i w wierszach. Każdy musi wiedzieć o tem, co wycierpiał ten chory nieborak. To wszystko ksiądz wypowie!...

Wójt spojrzął na jadło i ściągnął brwi ponuro.

— Dla kogoś to warzyła, Marjanno? Ja nie mogę uwierzyć, aby to było dla męża, bo ten ma zaintabulowane dożywocie porządne. Dla kogoś to nawarzyła?

Marjanna stała, jak posąg. Pragnęła się zapaść w ziemię, wstydziła się niezmiernie.

— Tak, to musi być w mowie, musi! — zawołał wójt rozniewany. — Ja sam pójde na plebanję. Wy — odwrócił się do Zofji — wy tu zostańcie, aby się mu co nie stało; miejcie się dobrze.

Jędrzej leżał na łóżku, przy nim siedziała jego siostra. Marjanna odeszła do komory. Nazajutrz wróciła do izby z opuchniętymi oczyma. Całą noc spędziła we łzach i na modlitwie. Pragnieniem jej było, aby jej Bóg dozwolił wynagrodzić dawne błędy...

Chociaż Jędrzej Kutrań już zapłacił był nawet za pogrzeb, żyje do dnia dzisiejszego. Ledwoby go kto poznał, tak jakoś odmłodził. Nie żyje już tylko wspomnieniami, ale miłą terażniejszością. Dwanaście złotych, które taki zwrot spowodowały w jego życiu, ofiarował na kościół Boży. O pogrzebie jeszcze nie myśli, a gdyby go Pan Bóg powołał do siebie, ma go już kto pogrzebać.

*Tłum. Roman Zawiliński.*

*Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.*

# L I T E R A T U R A   Ł U Ż Y C K A

---

---

## HANDRIJ ZEJLER

(1804—1872)

### MYŚL JESIENNA

Gdy widzę, że ptaszę ulata,  
Gdy żółknie cienistych drzew liść,  
Myśl moja — ptaszyna skrzydlata —  
Ku gwiazdkom pragnęłaby iść.

Gdy widzę, że chmurka wśród krasy  
Błękitów, jak sen, chyżo mknie,  
Gdy nagie już łąki i lasy,  
Myśl wtedy w niebiosą się rwie.

Gdy widzę, że z pięknych tych kwiatów  
Ostatni zaczyna się kryć,  
Myśl pragnie wśród gwiazdnych nadświatów  
Spokoju zaczerpnąć i pić.

O, myśli! ty nie znasz wytchnienia,  
Czyż wiecznie twa podróż trwać ma?  
Tam w górze odpoczne z zmęczenia —  
Bo spokój szczyt niebios mi da.

### SIEROTA

Sierota szła do gaju —  
Zna ją tam każdy krzak,  
Liście już schną, padają,  
A ona rzecze tak:

«Powiedz mi, brzódko biała,  
Gdzie dziś są listki twe?»  
«O! jam listeczki miała;  
Lecz już ich nie mam, nie!»

«Bez listków, brzódko biała,  
Smutno wygląda gaj;  
I jam też matkę miała —  
Życie to był mi raj».

Do lasu szła dziewczyna,  
Tam igła pada z drzew —  
Ból serce gniesć zaczyna,  
Więc tęskny nuci śpiew:

«Jodelko, w lesie znana,  
Gdzie ty masz igły swe?»  
«Ach, patrzaj! już od rana  
Do snu układły się».

«Zwiędła igielko z jodły —  
Ojciec mój już jest tam!  
Nadzieje mnie zawiodły —  
Z boleścią dziś się znam!»

Sierotka szła ku roli,  
Gdzie rzędy mogił są,  
A serce ją tak boli,  
A oko świeci łzą.

«Dzisiaj ty, lipo moja,  
Cmentarnych strzeżesz drzwi,  
A gdzie jest duma twoja,  
Z konarów spadła ci?»

«Co się z mym liściem stało?..

Ja ojca, matkę twą,  
By im się dobrze spało,  
Przykryłam szatą swą».

### ŚPIEW NA CZÓLNIE

W ustroniu uroczeń czółenko  
W błękitną unosi nas dal  
Po gładkiej srebrzystej powierzchni  
Przez tonie wód, wirów i fal.

Jak rybki swawolne pod nami,  
Tak pragniem wesoło też żyć —  
Miłości, nadziejo, płyn z nami,  
Daj z czary słodczy nam pić!

Czółenko z falami coś gwarzy,  
Spokojnie, ochoczo wciąż mknie,  
Gra muszek, szmer wody u boku,  
A tyle harmonji w tej grze!

Piers fali się wznosi i spada,  
Jak w życiu wesele i los,  
A myśli pobudza w nas radość  
I luby nadobnych ust głos.

«Stój!» śmiejąc się, brzegi nam mówią,  
Urokiem swym wabią wciąż nas,  
A wiatr nam z ojczyzny szmer niesie:  
«Przystanku już teraz jest czas!»

I inne też nęcą nas brzegi,  
Wołając: «Pozostań — tu raj!»  
Z nadzieją wychodzimy tam z czołna,  
Gdzie wiecznie powabem lśni kraj.

*Tłum. Karol Sękowski.*

#### BOŻE SEDLESZKO<sup>1</sup>

Na Zmórcu<sup>2</sup> płacze boże sedleszko,  
Padają lzy mu na lica,  
Płacze na górze, świerkiem obrosłej,  
Przy jasnym blasku księżycy.

Świerki na górze pytają ducha,  
Pyta pod górą buczyna,  
Czemu sedleszko boże tak płacze,  
Jaka tych łez jest przyczyna.

I na gałęzi krogulec słyszy  
Żalose sedleszka płacze,  
Na czarnym świerku zbudził się ze snu,  
Skrzydłami machnął i kracze.

I głos sedleszka słyhać żalose,  
Łkaniem wciąż przerywany:  
«Obszedłem wszystkie w prawo i w lewo  
Ojczystej ziemi mej lany.

«Widziałem, jak się mój lud łużycki  
W grobowy całun obleka,  
Jak dzwony dzwonią mu pieśń pogrzebu,  
Dźwięk ich słyszałem zdaleka.

«Krogulce, niechaj wasze krakanie  
Mojego słowa nie głuszy;  
Jeżeli żal mój wam nie po sercu,  
Pozwólcie płakać mi w duszy».

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

#### JAKUB BART ĆIŠIŃSKI

(1856—1910)

#### BUDZISZYN

Witaj mi, stary grodzie, dotąd niezwalczony!  
Choć drzałeś, gdy Serb z Frankiem bój prowadził dziki,  
Choć krwią własną zbryzgany, śmiertelne okrzyki  
Wznosiłeś — jednak stoisz dla Łużyc obrony!

Najeźdnik wprowadzie niszczył ogniem domy twoje,  
Szyje synów twych krwawą otoczył obręczą,  
Jednak w obu Łużycach tętna serc dziś dźwięczą,  
Z piersi Serbów dla ciebie płyną uczuć zdroje!

Głos minionych stuleci wzywa dzisiaj ciebie:  
«Stój wytrwale», zaklina, «Serbów świadku mężny,  
Starej sławy w mogile czas już nie pogrzebie!»

Stój nam, stróżu, ojczystą chwałą otoczony,  
Stój! — nie zniszczy cię nigdy huragan potężny.  
Ślnij, jak gwiazda, Serbowi, gdy chce paść strudzony!

<sup>1</sup> Boże sedleszko jest to dobry duch, który zjawia się w postaci dziecięcia w białej koszuli i płaczem zwiastuje bliskie nieszczęście.

<sup>2</sup> Zmórc — góra na Łużycach na południo-wschód od Budziszyna.

## OMNIA VANA

Gdy z wieży słyszę, jak czas z pośpiechem ulata,  
 Gdy widzę, że dzień biały w czarną noc się zmienia,  
 Że fijołka wdzięk życia już nie opromienia,  
 Gdy ujrzę, że śnieg srebrem czarny włos przeplata;

Gdy widzę, jak liść zżółkły z gałęzi wiatr targa,  
 Jak ziarno wschodzi, kwitnie, w ziarnie nowem ginie,  
 Gdy kosa śmiercią brzęczy kwitnącej darninie,  
 A z młodzieńczych ust smętnie dźwięczy żal i skarga;

Gdy widzę, że wieczorem znika ranne kwiecie,  
 Że wszystko tak przelotne na znikomym świecie: —  
 Ach! natenczas me oko błyszczy smutku łzami,

A duch, który od wieków życia drży pragnieniem,  
 Zatrzymuje się wgórze pod niebios sklepieniem,  
 Bo potęgę swą traci śmierć za błękitami.

*Tłum. Karol Sękowski.*

LUBIN<sup>1</sup>

Na szczytach góry wicher szeleści,  
 Kołysze ciemne świerkowe drzewa.  
 Dawnej przeszłości piosenkę śpiewa,  
 O serbskich królach śle opowieści.

Zamkowe mury i święte gaje  
 Prastara kryje wieków ruina.  
 Tylko poeta o nich wspomina  
 I w pieśniach swoich cześć im oddaje.

Na skamieniałe od bólu góry,  
 Łzami rzeźbione skały z granitu  
 Zapadł cień smutku straszny, ponury,

I tylko puszczyk jękiem żałoby  
 Przerwie milczenie, gdy z brzaskiem świtu  
 Żegna strwożony przeszłości groby.

*Tłum. Melanja Parczewska.*

## KONIEC CIERPLIWOŚCI

Choćby cię brali na kół — bądź cierpliwy!  
 Te słyszał w męce Serb rady zwodnicze.  
 A ja powiadam: hańba to! i krzyczę,  
 Że po szczęt zginie ród nasz nieszczęśliwy!

Co serbskie — Serbom! Napnijcie cięciwy!  
 Niech z dusz nam spadną zmory niewolnicze,  
 Wgłos mów twą mową, w hardość strój oblicze,  
 Chaty nie oddaj ani pługą z niwy!

<sup>1</sup> Góra na Łużycach górnych.

Lud kornie czekał, obcy zbierał plony,  
Zbyt długo był igraszką krwawą,  
A piędź po piędzi nił nam kraj rodzony.

Dziś koniec! Żądać niech się lud poważy.  
Krzywd już nie ścierpieć! — oto nasze prawo.  
Głupi się tylko daje bić po twarzy.

—  
*Tłum. Julja Wieleżyńska.*

## MATO KÓSYK

(ur. 1853)

### INDJANKA

Kto śpiewa na tej górze zielonej  
Pod słodkim drzewem<sup>1</sup> w wesołe tony?  
Ach, Boże, czyż to łużycka mowa,  
Którą me serce w swych głębiach chowa?

Nie, to obcego dźwięk języka,  
Mojego serca śpiew nie przenika.  
Śpiewaczko, czemu usta twojemi  
Nie śpiewasz pieśni łużyckiej ziemi?

Twą kibić krasi strój pstry, bogaty,  
Jak naszych dziewcząt wzorzyste szaty,  
A z pereł twoich taki blask bije,  
Jak z tych, co zdobią i u nas szyje.

Nie, to nie nasze dziewczę, o Boże!  
Z tem ciemnym licem, w tym pстрыm ubiorze,  
W mowie indyjskiej nuci swe śpiewy,  
Wódz tego rodu ojcem tej dziewy.

Sławnego ojca urocza córa  
Do strzał mu strusie przyczepia pióra;  
Tak się uśmiecha śpiewaczka miła,  
Żeby ci snadnie serce zraniła.

Z lubością patrzę na ciemne lica,  
Czarne jej oko wzrok mój zachwyca.  
Wiem, że Indjanką, lecz mi się zdało,  
Że to łużyckie dziewczę śpiewało.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

### KWIATKI ZIMOWE

Na okienku już  
Pełno kwiatków róż:  
Oddech zimy dał im życie,  
A gałązki pokrył skrycie  
Szarą barwą mróz.

Więc też oko me  
Tęskną roni łzę:  
Niewesołe chłodu słowa,  
Serca krasa ta zimowa  
Nie ogrzeje — nie.

Nie zasmucaj się,  
Biedne serce me:  
Z wiosną kwiatki zimy stają,  
Nowem życiem nam zagrają  
W pięknym lata śnie.

—  
*Tłum. Karol Sękowski.*

*Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.*

<sup>1</sup> Trzcina cukrowa.

I. LITERATURA SERRSKA

Z PIEŚNI LUDOWYCH

ŚMIERĆ MATKI JUGOVIĆÓW

(Z «Lazaricy»)

Miły Boże! cuda, wielkie cuda!...  
 Zebrały się wojska na Kosowie,  
 A w tych wojskach dziewięć Jugovićów  
 I dziesiąty sam Jug-Bogdan stary.  
 Prosi Boga matka Jugovićów,  
 Żeby dał jej oczy sokołowe  
 I srebrzyste skrzydła łabędziowe;  
 Żeby mogła lecieć na Kosowo,  
 Widzieć synów, dziewięć Jugovićów,  
 I starego ojca Jug-Bogdana.  
 Co prosiła, to i uprosiła:  
 Dał jej Pan Bóg oczy sokołowe  
 I srebrzyste skrzydła łabędziowe.  
 Poleciała na Kosowo równe —  
 Naszła martwych dziewięć Jugovićów  
 I starego ojca Jug-Bogdana.  
 Dziewięć kopij tkwi wbitych nad nimi;  
 Na tych kopjach dziewięciu sokołów,  
 Około nich dziewięć dzielnych koni,  
 A w pośrodku dziewięć lwów straszliwych.  
 Naraz zarzy dziewięć dzielnych koni,  
 I lwów dziewięć zawyje straszliwych,  
 I zakwili dziewięciu sokołów...  
 Ale matka twarde serce miała,  
 Ani jednej łzy z ocz nie polała.  
 Bierze z sobą dziewięć dzielnych koni,  
 Bierze z sobą dziewięć lwów straszliwych  
 I sokołów dziewięć bierze z sobą —  
 Wraca z nimi do białego dworu.  
 Zdala matkę synowe ujrzały,  
 Naprzeciwno z dworu wybieżały:  
 Zabiadało rzewliwie wdów dziewięć,  
 Zapłakało dziewięć sierot drobnych, —  
 Dziewięć dzielnych zarżało rumaków,  
 Zaryczało dziewięć lwów straszliwych,  
 Zakwiliło dziewięciu sokołów...  
 I tu jeszcze matka serce miała,  
 Że ni jednej łzy z ocz nie polała.

Kiedy w nocy po północy było,  
 W stajni zarżał rumak po Damjanie.  
 Pyta matka wdowy Damjanowej:  
 «Córko moja, wdowo Damjanowa!  
 Cóżto, zarżał rumak Damjanowy?  
 Czy pszenicy nie ma białej w żłobie?  
 Czy pić pragnie wody Zweczanowej?»  
 Odpowie jej wdowa Damjanowa:  
 «Świekro moja, matko Damjanowa!  
 Nie brak w żłobie mu pszenicy białej,  
 Nie spragniony wody Zweczanowej;  
 Tylko Damjan tak go już przyuczył,  
 Do północy w żłobie że jadł obrok,  
 Po północy wyjeżdżał z nim w drogę.  
 To on teraz rzy za panem swoim,  
 Żal mu, do dom że nie przyniósł pana!»  
 I tu jeszcze matka serce miała,  
 Że ni jednej łzy z ocz nie polała.  
 Jako z jutrem dzień zajaśniał biały,  
 Tu dwa kruki lecą ponad dworem.  
 Skrzydła całe we krwi ubroczone,  
 Dzioby mają pianą oschłą białą,  
 Niosą w dziobach rękę odrąbaną  
 Ze złocistym na palcu pierścieniem.  
 Rzucą rękę matce Jugovićów —  
 Krwawa ręka na łono jej padnie.  
 Wzięła rękę Jugovićów matka,  
 Na wszystkie ją opatruje strony, —  
 Wreszcie woła wdowy Damjanowej:  
 «Pójdź, synowo, wdowo Damjanowa!  
 Czy nie poznasz, czyjaby to ręka?»  
 Odpowie jej wdowa Damjanowa:  
 «Świekro moja, Damjanowa matko!  
 To jest ręka naszego Damjana!  
 Oto pierścień złocisty na palcu,  
 Którym ze mną zaślubił się, matko!»  
 Weźmie matka rękę Damjanową,  
 Na wszystkie ją opatruje strony,

Do skrwawionej ręki zcicha szepce:  
 «Ręko moja! jabłuszko me krasne!  
 Gdzieś ty rosło — a gdzie cię zerwano!?  
 Rosłoś u mnie, u matki na łonie —  
 Zerwano cię na równem Kosowie!...»

Od żalości pierś się matki wzdeła,  
 Pierś się wzdeła — i pękła od żalu —  
 Za dziewięcią synami młodymi  
 I dziesiątym starym Jug-Bogdanem.

*Tłum. Roman Zmorski.*

## DOSITEJ OBRADOVIĆ

(1742—1811)

### NA POWSTANIE SERBJI R. 1804

Powstań, powstań, Serbjo! Ach, powstań królowo,  
 Pozwól dzieciom swoim tve oglądać lice,  
 Zwróć ku sobie serbskie serca i zrenicę  
 I daj im usłyszeć słodkie twoje słowo.

Powstań, powstań, Serbjo!  
 Długoś, długo spała  
 I we śnie leżała.  
 Niech ci dzień zaświeci,  
 Obudź swoje dzieci.

Twą królewską głowę podnieś wgórę śmiało,  
 By cię znów poznały i ziemia, i morze,  
 Europie ukaż swą twarz okazałą,  
 Jasną i wesołą jako ranne zorze.

Powstań, powstań, Serbjo!

Wspomnij, matko nasza, na twą dawną sławę,  
 Hańbę rzuć na twoich wrogów ręce krwawe,  
 Niech przed tobą teraz uchodzi za góry  
 Ciemiężyciel janczar dziki i ponury.

Powstań, powstań, Serbjo!

Snadź ci dziś pomoże święta niebios wola,  
 Już się pokazuje tobie lepsza dola,  
 Wszyscy bliżsi twoi cieszą się wokolo,  
 I narodom dalszym w duszy też wesoło.

Powstań, powstań, Serbjo!

Powstań, powstań, Serbjo, matko nasza miła!  
 Stań się, stań się znowu, czemes pierwszej była,  
 Dzieci serbskie szczerze piją zdrowie twoje  
 I za ciebie idą odważnie na boje.

Powstań, powstań, Serbjo!  
 Długoś, długo spała  
 I we śnie leżała.  
 Niech ci dzień zaświeci,  
 Obudź swoje dzieci!

*Tłum. Bronisław Grabowski.*



PETAR II PETROVIĆ NJEKOŠ  
(1813—1851)

Z «GÓRSKIEGO WIENCA»

(Na zwołaniem przez siebie zgromadzeniu celem zbadania, czy jest możliwe wytopienie Czarnogórców-muzułmanów — w obecności zaproszonych na naradę naczelników poturczków — władcyka Danilo wygłasza następujące przemówienie:)

Boże wielki, który wszystkim rządzisz,  
który siedzisz na tronie niebieskim  
i wszechmocnem zapalasz spojrzeniem  
wszystkie kręgi świetlane w przestrzeni;  
któryś rozsiał drobny pył szeroko  
popod tronem Swym świętym przepyszny  
i nazwałś to Swemi światami,  
a w proch każdy — życia dech wetchnąłeś  
i zasiałeś weń ziarno rozumu!  
Ty, co dzierzysz księgę życia świata,  
w której losy wszystkie są spisane,  
losy światów i tworów rozumnych;  
który także w łasce Swej raczyłeś  
ruch i życie wlać w ciało jednako  
małej mrówce, jak i lwu wielkiemu!  
Chciej rozjaśnić niebo Czarnogóry,  
odwróć od nas gromy i pioruny,  
i złowrogie chmury, gradem ciężkie!  
Oni nie są wszak winni tak bardzo:  
błędną wiarę przyjęli zmamieni,  
w sieć zostali złowieni szatańską.  
Czem jest człowiek? wszak wążem stworzeniem.

*(Turcy patrzą na siebie ukradkiem.)*

I do starczych ust się miód przylepia,  
cóż dopiero do młodych, gorących!  
Miła słodycz, lecz haczyk w niej ostry:  
«Wypij sorbet z naczynia proroka,  
albo brzeszczot pogładzi ci szyję!»  
Lęk o życie nieraz cześć pokala,  
bo słabości wiążą nas do ziemi  
węzłem marnym, lecz mocnym, zaiste.  
Ale światło, co lśni z oczu lisom,  
tylko małe omamia ptaszyny,  
zaś przed orłem lisy kryć się muszą.  
Żal po śmierci brata albo syna  
trzykroć miłość twą do niego wzmaga;  
zawsze lepiej znaleźć, niżli zgubić:  
wszak po burzy czystsze bywa niebo,  
wszak po gniewie łagodniej na duszy,  
wszak po płaczu weselej się śpiewa.  
Obym widzieć mógł na własne oczy  
powrót do nas zbłąkanych współbraci!  
Wtedyby mi było tak na duszy,  
jak przy serbskiej wznowieniu korony,  
przy zstąpieniu Miłoša do Serbów.  
Duch mój wtedy spokojemby jaśniał,  
jako cichy poranek wiosenny,

kiedy wichry i złowróźbne chmury  
 drzemią sobie gdzieś w głębinie morskiej.  
*(Turcy chmurnie spoglądają po sobie.)*

Skender-aga:

Na mą wiarę! Zaprawdę się dziwię,  
 jak ty do nas przemawiasz, władko!  
 Czy dwa trunki znajdziesz w jednej beczce?  
 Jedna czapka byważ na dwie głowy?  
 Mały potok, gdy łączy się z większym,  
 już u wtku nazwę swoją traci;  
 w morzu zasię obydwą znikają.  
 Czyż chcesz pszczoły łowić do swej czapki,  
 by w niej sobie potem ul urządzić?  
 Miodu przecie nikt stamtąd nie zechce.  
 Próżno kamień chcieć na górę wtoczyć;  
 drzewo stare się łamie, lecz nie gnie!  
 I zwierzęta są takie, jak ludzie,  
 każdy rodzaj rządzi się swem prawem;  
 już nie mówię o orle ni gęsi,  
 lecz dlaczego lew ma bać się gęsi?

Knez Rogan:

Dziwię, dziwię się temu wszystkiemu!  
 Pop grzesznika pyta się o grzechy,  
 by go z sieci ratować szatańskiej —  
 alem nigdy nie widział szatana,  
 coby sam się przed popem spowiadał. — — —

Wojewoda Batrić:

Turcy, bracia, nie mam was zwać braćmi!  
 Poco dalej próżno to ukrywać?  
 Kraj nasz — mały i zewsząd otoczony,  
 z trudem jeden może w nim przebywać,  
 przepaść czarna otwarta dokoła —  
 rozdwojenia być wśród nas nie może!...

*Tłum. Henryk Batowski.*

## BRANKO RADIČEVIĆ

(1824—1853)

### GDYM RYL BLISKI ŚMIERCI

Liście żółkły, niebo deszczem płacze,  
 Żółkły liść już opada w jesieni.  
 Ach, już nigdy w przyrodzie zieleni  
 Nie obaczę.  
 Głowę chylę, brak mi w ręku siły,  
 Bóle z oczu blaski już wypily,  
 Lica barwą powlekły się ciemną,  
 I kolana słabe drżą pode mną.  
 Przyszedł czas mój, idę do mogiły.  
 Żegnaj, żegnaj, cudny śnie żywota,  
 Żegnaj, zorzo, dnia jasności złota,  
 Żegnaj świecie, mój stracony raj,  
 Do innego teraz idę kraju.  
 Gdyby nie te uczucia gorące,  
 Tobym jeszcze patrzył w jasne słońce,

Słuchał gromów, słyszał burzy ryki,  
 Śpiewające po gajach słowiki,  
 Twoje szept, świecie, twoje głosy —  
 Ale życie już mi biorą losy.  
 Pieśni moje, wy biedne sieroty,  
 Dzieci miłe młodzieńczej pustoty,  
 Tęczę zerwać moje serce chciało,  
 By was odziać w szatę okazała,  
 By ozdobić w gwiazdy migocące,  
 A po złotę-by mi dało słońce.  
 Gwiazdy błysły i błyszcząc przestały,  
 Słońce grzało, świeciło dzień cały,  
 Lecz i ono zaszło w świata końce.  
 Śmierć mi wszystko weźmie nielaskawie,  
 Więc wam chyba łachmany zostawię.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

## DZIEWCZYNA U ZDROJU

Jakem poszła w wieczór wczora  
Z zdroju świeżej czerpać wody,  
Tu na bystrym dopadł koniu  
Chłopiec młody, bystrooki.  
Pozdrowiwszy, rzecze do mnie:  
«Daj się napić, dziewczę młode».

Te wyrazy — słodkie strzały —  
Nawskroś serce mi przeszyły.  
Poskoczyłam, postąpiłam —  
Białą dłonią dzban podaję —  
Wtem dzban wypadł z drżącej dłoni  
I rozprysł się w dwoje, w troje...

Dotąd leży roztrzaskany —  
Lecz, ach! kędyż jeździec młody?  
Byle raz go ujrzeć jeszcze,  
I drugi dzban zbiję rada!

Tłum. Roman Zmorski.

## JOVAN JOVANOVIĆ ZMAJ

(1833—1904)

## Z «RÓŻ ZWIĘDŁYCH»

Śmierci, śmierci, czarna śmierci,  
Przyszłaś szczęście rwać człowiecze?  
Nie rozrywaj, ach, przez Boga,  
Węzłów naszych! — A śmierć rzecze:

— Rozerwałam już niejedną  
Węzeł moją ręką srogą;  
Wasze węzły są tak mocne,  
Iż rozerwać się nie mogą.

Lecz im tylko — boć to można —  
Inne imię dam z ochotą:  
Wprzódzy zwały się miłością,  
Zwać się będą dziś tęsknotą.

## BILDUNG

(Satyra)

Potomkowie dwaj Duszana  
Dziewiętnasty sławią wiek,  
Młodzi są przy fortepianie —  
Ona *nobel*, a on *keck*.

— *Zum Entzücken!* jeszcze, jeszcze!  
Jeden *Walzer*, *je vous prie!*  
— Proszę słuchać, jak jest *göttlich*  
Ten nowiutki *potpourri!*

Wykalaczką takt wybija  
O łańcuszek, o *bijou*.  
(Łokciemby to lepiej było,  
Lecz cóż? łokcia niema tu.)

I *zum Abschied* młodzian jedną  
Odmiauczał *pastorelle*.  
— Z pana *Künstler*, *Herr von X. X.!*  
— Dzięki, dzięki, *mademoiselle!*

Potomkowie dwaj Duszana  
Dziewiętnasty sławią wiek,  
Ducha czasu zrozumieli —  
Ona *nobel*, a on *keck*.

By nie płakać, śmiać się muszę,  
Gdy mi obraz taki wpadł:  
A toż nasza jest ulica,  
Toż to serbski Nowy Sad!

Tłum. Bronisław Grabowski.

## LAZA KOSTIĆ

(1841—1910)

## NA VUKA STEFANOVIĆA KARADŽIĆA

I znowu requiem: wiara, miłość, zgon.  
Głos naszych serbskich wil w tej ciężkiej dobie  
Na spokój wieczny śpiewa bez spoczynku.  
Requiem za Vuka; bo nam umarł Vuk.

Lecz cóż i kto to — jest dla nas ten zmarły?  
 Czy owo czoło tak blade, poważne,  
 Zmarszczone, co mu walecznego ducha  
 Zakrywa teraz bladeścią na wieki?  
 Za stołem nowej kultury Narodu  
 Skroń ta czołowe zajmowała miejsce;  
 Ta skroń wszelako — to jeszcze nie Vuk.  
 A może usta to są miodomówne,  
 Co płomienności przekazały tyle?  
 Te wargi właśnie zaznały całunku,  
 Który z czią nasze pokolenie młode  
 Dało tym wielkim z przeszłości zamierchłej;  
 Lecz i te wargi — to jeszcze nie Vuk.  
 A jest to może ony chód o kuli —  
 Tej družki wiernej tak pracowitego  
 Jęgo żywota? Nam drzewem zielonem  
 Jest ten kij jęgo: jawor zeń się rodzi,  
 Co lutnię naszą pożywia pieśniami  
 Z czasów wośnianych. Na tem piszą drzewie:  
 Kto się, choć chromy, nie potknął w swej dobie,  
 Za tym, kulejąc, wloką się stulecia.  
 Wieczne jest drzewo tej podpasznej laski;  
 Lecz i to drzewo — to jeszcze nie Vuk.  
 Bo inny, zgoła kto inny jest Vuk;  
 Lecz jakoż o tym, którego mam w myśli,  
 Mógłbym tu mówić! Toć przecie ten Vuk,  
 Wrzkomo umarli — żyje, a przenigdy  
 Za żywych requiem nie jest odprawiane.  
 Zaprawdę, żyje on! W piersi nam żyje,  
 Każde z słów naszych Vuk mówi wraz z nami,  
 A gdy śpiewamy, refrenem jest on.  
 Lecz gdyby jęgo duch opuścił ziemię,  
 Zanieślibyśmy gorące błaganie  
 Do pana zmarłych dusz dobrotliwego,  
 Oby, naszego tam przyjąwszy starca,  
 Zlał nań tę laskę i z drzewa niebiańskich  
 Jaworów gęśl mu cudowną darował.  
 Gdy Bóg do błagań przychyli się naszych,  
 Niebawem w raju nie stanie jaworów:  
 Na gęśle zrąbie je aniołów rzesza,  
 I wnet się serbskim stanie cały raj!  
 Lecz że udziałem naszym jest niedola,  
 I tę nam — kto wie! — zabiorą ojczyznę.

*Tłum. Alfred Tom.*

## LAZA LAZAREWIC

(1851—1890)

PO RAZ PIERWSZY Z OJCEM NA JUTRZNI  
(Wyjątki)

Miałem wówczas zaledwie lat dziewięć, nie wszystko więc sobie przypominam, lecz opowiem to, com zapamiętał. Starsza moja siostra wie o tem również, brat jednak młodszy — nic zgoła. Nie głupim mu mówić! Dużo i matka mi opowiadała — później, kiedy, dorósłszy, rozpytywałem ją o to. Ojciec wszakże uparcie zawsze o tej sprawie milczał.

Ubierał się nasz ojciec z turecka. Stoi mi przed oczyma strój jego: «dżemadon» — rodzaj koszuli — z czerwonego jedwabiu, z kilku rzędami złotych sznurów; na nim obszyta skórą sukmana — «ciurcze» — z zielonego sukna: pas skórzany do broni — «siłaj» — wyszywany złotem; za siłaj zatknięty pistolet i nóż w srebrnej pochwie, o rękojeści z kości słoniowej; na siłaju długi pas jedwabny, zwany «trambolos», którego frendzle zwieszają się u lewego boku. Spodnie z jedwabnymi taśmami i szerokie kamasze, do połowy okrywające nogę w białej pończosze i płtykich trzewikach. Na głowie fez, nieco nabakier do lewego ucha, w ręku długi cybuch z bursztynem, pod pasem z prawej strony kapciuch, wyszyty złotem i szklanymi paciorkami. Strojniś prawdziwy.

Co do charakteru... jest to wprawdzie mój ojciec rodzony, lecz skorom raz już rozpoczął opowiadanie, nie mogę ukrywać: był to dziwny charakter. Gniew go nie opuszczał prawie. Umiał tylko rozkazywać, a gdybyś nie wypełnił jego rozkazu — biada ci!... Żądał, aby wszystko było tak, jak on chce — nie inaczej, i aby nikt w niczem nie ważył mu się sprzeciwić. Kiedy się rozgniewa, to przeklina, że aż się wszystko trzęsie. Srożył się z powodu każdej najmniejszej drobnostki; zasepi się wówczas, gryzie dolną wargę, targa wąs prawy, marszczy brwi, z czarnych jego oczu iskry się sypią. Miałbym się zpyzna, gdybym wówczas przyszedł i powiedział mu, że lekcji nie umiałem! Zupełnie nie pojmuje, dlaczegom się go tak lękał. Przypuśćmy, że uderzyłby mnie, no to i cóż? Alem się bał tych jego oczu: kiedy niemi błysnie, mimowoli drżysz, jak osika...

Pijał mało i tylko wino, na «rakje» — gorzałkę — zaś nawet spojrzeć nie mógł. Nawet kawę niebardzo lubił. Cóż tedy robił po nocach w kawiarni, spytacie? Ot, nieszczęście to było — i tyle. Gdyby pił, byłoby to jeszcze pół biedy. Ale zaraz dowiedzie się. Skróciło to mej matce życie o połowę. Płacze bywało tak biedaczka, że się zdaje: oto ma już umrzeć. I poskarżyć się nawet nie ma przed kim.

Pewnego dnia wrócił ojciec bardzo późno do domu. Nic! Nazajutrz to samo. Nikt ani mru-mru. Aż wtem spostrzega matka, że ojciec jest bez zegarka. Przestraszona pyta: «A gdzież, Dymitry, twój zegarek?» Nasępił się, spojrział w stronę i powiada: «Posłałem do Belgradu do naprawy». — «Ależ szedł zupełnie dobrze, Dymitry!» — «Zdaje się, że nie jestem ani ślepy, ani głuchy, i wiem dobrze, czy zegarek idzie, czy nie». — Cóż miała począć matka? Zamilkła. Skarży się tylko potem przed moją siostrą: «O, ja nieszczęśliwa, przegra on wszystko, co mamy; przyjdzie na starość prać cudzą bieliznę!»...

Zbliżyłem się na palcach ku drzwiom wielkiego pokoju i zajrzałem przez dziurkę od klucza. Patrzą. Stół stoi na środku pokoju, dokoła niego pozastawiane stołki, kilka z nich przewróconych. Na podłodze zrzucone zmięte karty, zdeptane cygara i sfluczona filiżanka. Z pod jednej karty wygląda dukat. Obrus ściągnięty ze stołu z jednej strony prawie do połowy, na nim porozrzucane karty, poprzewracane filiżanki, pełno popiołu z fajek i kilka próżnych spodków. Stoją jeszcze cztery lichtarze. W jednym z nich dopala się rurka grubego papieru, a czarny dym podnosi się aż pod belkę pułapu.

Na jednym ze stołków plecami zwrócony ku drzwiom siedzi mój ojciec. Obie ręce wyciągnął na stół, oparł na nich czoło i nie rusza się. Patrzyłem dość długo, a on ani drgnął. Widziałem tylko, jak ciężko oddychał. Dziwne myśli przelatywały mi przez głowę. Nie wiem, skąd i dlaczegom wydało mi się naraz, że ojciec jest nieżywy, tylko się zastanawiałem nad tem, czy umarły może oddychać. Potem uroiło mi się, że ręce ojca są papierowe i że nie będzie już mógł niemi uderzać. Słowem, plotły mi się jakieś głupstwa. Bóg wie, jak długobym jeszcze stał przy drzwiach, gdybym znowu nie poczuł na sobie ręki matczynej. Nic mi nie powiedziała, tylko wskazała na drzwi swemi łagodnymi oczyma. Sam nie rozumiem, poco zdjąłem czapkę, pocałowałem matkę w rękę i wybiegłem na podwórze. — Była to sobota. Na ulicy, kiedym wyszedł, wszystko się działo, jak zawsze. Każdy zajmował się swoim. Wieśniacy przywozili na targ zboże, drób i warzywo. Handlarze zaglądali do wózków i macali jagnięta. Pandur Nowak krzyczał i wyznaczał miejsca, gdzie kto ma stanąć z wozem. Dzieciaki kradły trzęśnie lub wspinały się na ploty. Pisarz Sretan chodził po mieście z doboszem i czytał, że się zabrania puszcząć świnię na ulicę. Tryfko wydobyl z pieca jagnię pieczone i wykrzykiwał: «Chodźcie, gorące!», a pijanica Joza babrał się w kałuży.

...Kiedym powrócił, zastałem wszystko, jak przedtem: matka i siostra siedziały z załamanymi rękami. Nikt nie myślał o obiedzie. Dziokica na podwórku przywiązał kotce do ogona mały ronderek i śmiał się serdecznie z jej uciesznych skoków. Czeladnicy szyli w swej izbie, a sługa Stojan chrapał na sianie, jak o północy. — Ojciec wciąż jeszcze siedział na tem samym miejscu, jak skamieniały. Ciurcze pomarszczyło mu się pod pachami i rozpięło na piersiach od głębokich westchnień. Dawno już i na nieszpory przedzwoniono — a on się nie rusza. Dzień się kończy, a w duszy naszej coraz to ciemniej, nieznośniej, straszniej, rozpaczliwiej. Usiadłem na progu domu, trzymając w rękę jakąś szkolną książkę, ałem jej nie czytał. W oknie widziałem bladą twarz matki, wspartą na wychudłej ręce. Dzwoniło mi w uszach. Nie mogłem o niczem myśleć.

Wtem skrzypnęły drzwi. Matka znikła z okna. Drgnąłem. Drzwi dużego pokoju otwały się i na progu stanął on — mój ojciec. Fez, zsunięty na tył głowy, odstaniał włosy, spadające mu na wyniosłe czoło. Wąsy obwisły, twarz ściemniała i postarzała. Ale oczy, jakie to były oczy! Ani podobieństwa do tych, które tak świeciły przedtem. Zapadłe w głąb głowy, napół ukryte pod powiekami, poruszają się powoli, bez blasku, bez myśli, bez wyrazu. Błąkał mu się po twarzy jakiś posępny a łagodny uśmiech; nigdy tego przedtem nie bywało. Tak wyglądał stryj, kiedy przyjmował komunię przed śmiercią. — Odemknął drzwi naszej izby, wsunął głowę i, nic nie powiedziawszy, natychmiast ją cofnął. Zamknął drzwi za sobą, wyszedł na ulicę i powoli skierował się ku domowi kmotra Ilji. — Opowiadał mi później Tomasz, syn Ilji, że ojciec mój z ojcem jego zamknęli się w jednym pokoju i długo o czemś pocichu rozmawiali; przyniesiono im potem papier i atrament, coś pisali, przybijali pieczęcie itd. Ale co to było, tego nikt nie wie i pewnie nigdy się nie dowie.

Okolo wpół do dziesiątej byliśmy wszyscy w łózkach, oprócz matki, która siedziała z rękami na kolanach i pustym jakimś wzrokiem patrzyła w płomień świecy. Naraz skrzypnęły wrota. Matka czem prędej zagasiła świecę i rzuciła się na łóżko. Serce mi biło, jakgdyby kto tłukł mi młotem w piersi. Drzwi się odemknęły i wszedł ojciec. Przeszedł się parę razy po pokoju i, nie zapalając światła, rozebrał się i położył. Długo potem słyszałem, jak niespokojnie przewracał się z boku na bok — aż wkońcu sam zasnąłem. Czy długo spałem — nie umiem powiedzieć...

...Wypadłszy na podwórze — chyłkiem, poza płotem, pod wiśniami, dopętlłem do studni i przykucnąłem za nią. — Noc była przesłiczna. Niebo jasne, księżyc jak brylantowy, powietrze świeże, dokoła cisza... Spostrzegłem ojca, jak zajrzał przez okno do izby czeladniej i poszedł zaraz dalej. Stał pod dachem śpichlerza. Wydobył pistolet.

W teje jednak chwili matka nasza była już przy nim. Ojciec wlepił w nią wzrok, a na jego twarzy malowało się przerażenie. «Dymitry, panie mój, cóżś ty zamyslił uczynić?» — Ojciec drgnął, spogląda na nią błędnym wzrokiem i rzecze: «Idź, Maryce, zostaw mnie! Jestem zgubiony!» Głos jego brzmiał jak dzwon rozbity. — «Jakto, jesteś zgubiony? Bóg z tobą! Jakże coś podobnego mówić możesz?» — «Wszystko przegrałem!» — rzecze ojciec, załamując ręce. — «Cudzegoś nie przegrał. Twoje to było». — Ojciec cofnął się o krok jeden i znowu wpatrzył się w matkę. «Ależ wszystko przegrałem — wszystko!.. rozumiesz?» — krzyknął. — «I cóż stąd?» — zapytała spokojnie matka. — «Konia nawet!» — «Et, zdechłak był» — powiada matka. — «I łąkę!..» — «Moczary — trzech złotych niktby za nie nie dał». — Zbliżył się znowu ku matce i wpił w nią oczy, jakgdyby chciał przeszyć ją nawskroś. «I dom...» — szepnął. — «Cóż to znaczy, skoro ty żyjesz i zdrów jesteś?» — odparła matka. — «Marycel co ty mówisz?» — «Prawdę mówię, Dymitry. Oby tylko Bóg ciebie i dzieci zachował przy zdrowiu! Ani dom nas przecie nie karmił, ani łąka, lecz ty... Nie zaznamy biedy, dopóki ty z nami...» — «Maryce», począł, «czyżbyś...» Lecz nie dokończył i oczy rękawem zakrył. — «Uważ, Dymitry», mówiła dalej matka, «kiedyśmy się pobrali, nie mieliśmy nic, oprócz odzieży i kilku naczyń. Dziś, dzięki Bogu, mamy dom niemały».

Widziałem, jak z pod rękawa ojca stoczyło się lez kilka, które błysnęły w promieniach księżycy. «Zapomniałeś pewno», ciągnęła matka, «że mamy na strychu cały zapas dębianki.» — «To prawda», mówi ojciec głosem miękkiem, jak jedwab, «petyen strych». Otarł rękawem oczy i spuścił rękę. — «A ten mój łańcuch dukatów, naco

mi on? Poco mamy marnować pieniądze? Puśćmy je w obrót... Alboż to my już tacy starzy? Zdrowiśmy, dzięki Bogu, i dziatwa nasza również zdrowa. Pracować będziemy». — «Jak ludzie uczciwi...» — «Jabym nie oddała tych dwojga rąk twoich za cały kapitał Paranosa<sup>1</sup>». — «Dorobimy się znowu własnego domu!» — «Dzieci wychowamy na uczciwych ludzi», mówi matka. — «Nie będą mi złorzeczyć po mojej śmierci... Ach, jakżem długo ich nie widział!» — «Chodź, zobacz je!» — i matka wzięła go za rękę, jak małą dziecinę.

W trzy susy byłem już w domu. Ledwie miał czas szepnąć siostrze: «Kładź się do łóżka» i naciągnąć kołdrę na głowę, gdy stanęli oboje na progu. Właśnie w tej samej chwili w cerkwi uderzono w dzwony na jutrznię. I donośnie rozległ się ich głos świąteczny wśród cichego poranku, wstrząsając duszą chrześcijańską. Jak wiatr odnosi suche gałęzie i liście, tak dźwięki te uroczyste odpędziły daleko nasz ból i smutek...

«Synu, wstań, pójdziemy do cerkwi!...»

*Thum. Leon Wasilewski.*

### VOJISLAV ILIĆ

(1862—1894)

#### OSTATNI GOŚĆ

Północ już dawno minęła i w karczmie niema nikogo,  
oprócz starego karczmarza, co, u komina zgarbiony,  
przerzuca księgę ogromną.

Martwota błądzi nad drogą,  
i deszcz mży drobny, i ciemność rozwłóczy czarne zasłony.

Wtem słyhać postuk ze dworu...

Do karczmy dziwny gość wchodzi:  
groźba się czai w uśmiechu, zapadłe usta oplata.  
Próżne są oczu szczeliny — pustka się zimna w nich rodzi —  
W pieszczelu dzierży gość kosę.

To weszła śmierć lodowata.

Karczmarz, spokojnie drzemiący, z trzymanej księgi nie czyta,  
a śmierć ku niemu się zbliża — pocichu, zwolna, uparcie...  
Stanęła...

Pióro leżące z prostego stołu w dłoń chwytą  
i martwą ręką wpisuje swe własne imię na karcie.

Potem odchodzi w kąć izby.

Z półmroku widać, jak szczerzy  
w straszliwym skurczu kłów szczątek...

Wiatr chwytem zwilgłej swej ręki  
to mętne szyby zatarga, to w chwiejne wrota uderzy...  
Świsł jego w karczmie, wśród pustki, ponure, straszne ma dźwięki...

*Tłum. Antoni Bogusławski.*

### ALEKSA ŠANTIĆ

(1868—1924)

#### BOKA

Boko, wód Jadranu ty oblubienico!  
Jedwab się błękitny nieb nad tobą chyli.  
Tyś piękniejsza stokroć od twej morskiej wili  
i nad jej bisioru masz jaśniejsze lico!

<sup>1</sup> Głośny bogacz belgradzki.

O ty, coś wieczyście mi nienapatrzona!  
 Jedno mam pragnienie: by się zmienić w fale  
 twoich mórz lazuru, ku twym brzegom stale  
 w szumie wiernej pieśni przeżyć swe ramiona  
 i spoglądać z tobą na twój Lowcezen siny!...

Aż gdy Pan się pewnej zjawi nam godziny,  
 gdy orłowie nasi w górne pomkną loty  
 i na rękach twoich twarde prysną pęta —

z wyżyn twoich słuchać, jak pieśń zabrmi święta  
 i wraz z tobą sławić dzień wolności złoty!

*Tłum. Antoni Bogustawski.*

#### JA CIĘ KOCHAM...

Ja cię kocham, święte słońce!  
 Królu nieba wiecznej mocy,  
 Ty promieniem spędzasz chmury  
 I ponurość głuchej nocy.

Ja cię kocham, cudna zorzo,  
 Ty zwiastunko dnia białego!  
 Ty mię zawsze swoim czarem  
 W rozkosz rzucasz snu słodkiego.

Ja cię kocham, orle szary!  
 W twoim górnym, szczytnym locie  
 Lekceważysz mdłe robaki,  
 Pełzające wiecznie w błocie.

Ja cię kocham, kraśna góro —  
 Moja duszo upragniona,  
 Tyś wszak serbskich męczenników  
 I zbawienie, i ochrona.

Ja cię kocham, mój słowiku,  
 W wonnych krzakach domku twego,  
 Bo ty słodką pieśnią swoją  
 Koisz smutek serca mego.

Ja was kocham, cudne kwiaty,  
 Pełne czaru i rozkoszy,  
 Ja was kocham! — kto nie kocha,  
 Nie ma serca ani duszy.

*Tłum. Stanisław K. Papierkowski.*

#### JOVAN DUČIĆ

(ur. 1874)

DALMACJA

(ze Splitu)

W tej kapliczce malej, na jej starym szczytce  
 sennie dzwon podzwięka.

Cisza dookolna.

Leży krew zachodu na wód aksamicie,  
 pośród mgieł ostyga i tężeje zwolna.

Tylko się albatros wzbija ponad fale,  
 ptak, z niewiadomego zabłąkany morza —  
 i dopóki dymią gór oliwnych dale,  
 i dopóki niebo krwią płomieni zorza,  
 dumnym nad wodami krąży wgórze lotem,  
 rozpostarłszy skrzydła...

Niebo porfirowe  
 kryje się w purpury jedwab, lity złotem;

zda się, że duch władczy wstał Dioklecjana  
 i nad dalmatyńskim morzem wznosi głowę  
 w jasny cesarowy wieczór — głowę pana.



## WINO DUBROWNICKIE

Morze nieruchome, gładkie, bez powiewu,  
leży pod ogrodem.

Tylko zwierciadlana  
strzela wżwyż fontanna. Z laurowego krzewu  
patrzy marmurowe chytre lice Pana.

Zmilkły wabne tony. Towarzystwo całe  
zeszło do ogrodu i w alejach ginie.  
Na obliczach — błogość, a spojrzenia — śmiałe  
po obiedzie dobrym oraz psotnem winie.

Potem się bawiono — i tak się zrobiło,  
że się pomieszały najdziwaczniej role:  
bo kapitan psalmy intonował z siłą,  
a dominikanin trącał dźwięczną wiołę.

Starsza pani Anna de Doce, już siwa,  
najsurowszych zasad, wielkich cnót matrona,  
pośród dam gromadki oczu nie zakrywa,  
prawiąc przypowiastkę im z «Dekameronu».

\_\_\_\_\_  
*Tłum. Antoni Bogustawski.*

## II. LITERATURA CHORWACKA

## NIKOLA NALJEŠKOVIĆ

(zm. 1587)

## Z «PIEŚNI MASKARADOWYCH»

Cóż za przepych niesłychany!  
Czyż was płoszą marne żarty?  
Jedni zowią nas — szatany,  
Inni — djabli albo czarty.

Gorsze jednak imię mamy,  
Niż naturę prawą swoją;  
Nie straszymy nawet damy,  
Niech więc mężę się nie boją.

Czegóż znowu się śmiejecie?  
Wiedźcie o tem, młodzi, starzy,  
Że przy każdym na tym świecie  
Z nas choć jeden jest na straży.

Niech się, proszę, nikt nie dziwi,  
Patrząc na mnie tak nagiego;  
Czyż są ludzie tak cnotliwi,  
Że szatani ich nie strzegą?

Czyż nie skłamią usta czyje,  
Mówiąc, o nas że nie stoją?  
Chociaż każdy z tem się kryje,  
Każdy ma pokusę swoją.

Choć nie przyzna się, niestety,  
Djabła każdy ma na ziemi;  
Po sto mają ich kobiety,  
Lubo się nie chelpią niemi...

\_\_\_\_\_  
*Tłum. Bronisław Grabowski.*

## DINKO ZLATARIĆ

(1558 — ok. 1609)

## Z «PIEŚNI LIRYCZNYCH»

Choć troskliwie ludziom taję  
To, że serce moje boli,  
Ale darmo — mimowoli  
Sam przed światem się wydaję.

Twarz ma blada okazuje  
Zranionego serca męki,  
Jakie, patrząc na tve wdzięki,  
W głębiach mojej piersi czuję.

Mnie całego po wsze chwile  
Nęca wdzięki twe kwitnące;  
Jak nad wszystkie gwiazdy słońce,  
Tak ty jesteś nad wsze wile.

Ciągłym żarem dusza tleje;  
Myśląc tylko wciąż o tobie,  
Zapomniałem sam o sobie,  
Że w płomieniach wciąż goreję.

Żywot mój — to ciągle żale  
W niepokoju i żalobie;  
Ot, com zyskał, służąc tobie  
Wciąż tak wiernie i wytrwale.

Każdy wie to i mnie wini,  
Choć im kryję ból miłości;  
Ty go nie znasz, spokojności  
Mojej sroga zabójczyni.

Ty go nie chcesz znać, ty jedna,  
Choć ci jednej wszystko głoszę;  
Spójrz łaskawie, o to proszę,  
Niech odetchnie dusza biedna.

Niema tyle gwiazd na niebie,  
Fał na morzu, kwiatów w trawie,  
Ile ran, gdy nielaskawie  
Spojrzysz; jednak Kocham ciebie.

— Tłum. Bronisław Grabowski.

## DJIVO GUNDULIĆ

(1588—1638)

Z «OSMANA»

Czemu, marnej pychy szale,  
Wgórę wznosisz lot swój chyży?  
Im się wyżej pniesz zuchwale,  
Tem-ci potem spadasz niżej.

Wiekuiestej, niespożytej  
Niema rzeczy nam widomej,  
A w wysokie górskie szczyty  
Najpierw z niebios biją gromy.

Bez pomocy z nieba bożej  
Świata wszelki byt nietrwały;  
Przyrodzony bieg rozłoży  
Państwa, pełne mocy, chwały.

Szczęście wciąż się kręci w kole,  
Zaszczyt miesza się z ohydą;  
Kto był wgórze, będzie wdole,  
Ci, co wdole, wgórę idą.

To ulega miecz koronie,  
Nad koroną miecz znów włada,  
Z niewolnika król na tronie,  
A monarcha z tronu spada.

Szczęście może podnieść z ziemi,  
Berło ujmiesz z krwawej toni;  
Choć drżą tłumy przed mocnemi,  
Lecz się tłumów boją oni.

Od zasadzki i od zdrady  
Władcy głowa osłonięta,  
Lecz bywają też przykłady,  
Jakich ludzkość nie pamięta.

O, dziewice, cne mieszkanki  
Góry wielkiej, słynnej w świecie,  
Co natchnienie, wy niebianki,  
Wszystkim piewcom podajecie!

Podszeptajcie mi śpiew głośny,  
Jak zgon wschodni władca zmlodu  
Poniósł z ręki nielitosnej  
Wpółśród swego Carogrodu...

Władysławie, ty sławnego  
Króla Polski sławne dziecię,  
Czemu mnogie głosy biega  
Twojej chwały po wszem świecie?

Na me śpiewy zwróć łaskawie  
Jasne oko majestatu,  
Bo w nich dzieła twe wystawię  
Dla podziwu wszemu światu.  
Królewiczu słynny, mężny,  
Gdy śmierć Osman poniósł łzawą,  
Twoich zwycięstw głos potężny  
Po wszech krajach przebiegł żwawo.

Trąba moja głosić ją  
Na świat sprawy twoje znane, —  
Coraz większe spełniaj dzieła,  
Ja ich śpiewać nie przestanę.

We wspomnienia strasznej męce  
Osman bóle czuje srogie,  
Że mu zbiły polskie ręce  
Niezliczone wojska mnogie.

I po ziemi że się wznosi  
Z tego czynu wielka sława,  
Co zwycięzcą jego głosi  
Królewicza Władysława.

Czy wędrowiec lądem jedzie,  
Czy też żeglarz morzem pływa,  
O sułtańskiej prawiacz biedzie,  
Władysława imię wzywa.

I przy uczcie druhów milej,  
Lub pasterze, pasąc stada,  
Burzyciela Turków siły  
Każdy chwałę opowiada.

Skrzydłem wiatrów wieści biega,  
Głosząc wielkość jego duszy,  
Jak sułtana potężnego  
Włócznie łamie, miecze kruszy...

Tłum. Bronisław Grabowski.

Niby jodła, Krunoslawa  
 Tak wysmukłą postać miała,  
 Zbroja wdzięku jej dodawa,  
 A koń pod nią — bystra strzała.

Na nim zbroja wyłożona  
 Cała lśni się w blasku słońca,  
 Na łbie świeci umieszczona  
 Srebrna gwiazda pałająca.

A na tarczy feniks biały  
 Patrzy w słońce okiem śmiałym,  
 Niżej słowa zajaśniały:  
 «Znów z popiołów zmartwychwstałem».

Sokolica patrzy wkoło:  
 Harda, dumna to niewiasta,  
 Hardo w górę wznosi czoło,  
 Wszystkich wzrostem swym przerasta.

I koń pod nią, niby sokół,  
 Rączy, chyży, sierć ma białą,  
 Iskry z oczu sypie wokół  
 I poważnie stąpa, śmiało.

Obok młody sultan stoi,  
 Na kochankę patrzy z trwogą,  
 Blednie w strachu, bo się boi,  
 Że ją losy zdradzić mogą.

Rzecz: «Wątpię, moja miła,  
 Czy zwyciężysz sama w boju;  
 Gdy cię walka rozpalita,  
 Schnie me serce z niepokoju.

«Kto zwycięży, piękna, ciebie,  
 I mnie wtrąci do otchłani;  
 Ty, przy której snię o niebie,  
 Ty, mojego serca panil!»

A królewicz z drugiej strony,  
 Bohaterskiej pełny stawy,  
 Stoi, bada zachwycony  
 Wszystkie ruchy Krunoslawy.

Wierzy w dzielność jej ramienia:  
 Miłość siły musi rodzić,  
 A dziewica chce z więzienia  
 Oblubieńca oswobodzić.

Obie mężne, obie harde,  
 W bój się rzucić już gotowe,  
 Aby skruszyć włócznie twarde,  
 Aby zyskać laury nowe.

W polu równem i szerokim  
 Występują obie zbrojnie,  
 A tam w górze jasnym okiem  
 Słońce patrzy się spokojnie.

Jak dwa wichry, oba konie  
 Wnet się zwały przeciw sobie;  
 Nie zawiodły dzielne dłonie:  
 Pękły włócznie razem obie.

Lecz natomiast szable błysły,  
 A dłoń wprawna niemi włada;  
 Każda krąg zakreśla ścisty,  
 Potem nagle szybko spada.

I tak silnie w stal uderza,  
 Kierowana siłą ręki,  
 Że i z tarczy, i z pancerza  
 Wydobywa iskier pęki.

Zwinne konie, zaprawione  
 W częstych bojach, strzały lotem  
 W tę, to ową biegną stronę,  
 Zdumiewają zręcznym zwrotem.

Przeciwniczki równej siły,  
 Równa dzielność ich ramienia,  
 Obie dzielnie cios odbiły,  
 Obie miłość przepłomienia.

Mężnie walczą dwie dziewice,  
 Żadna ciosów się nie boi;  
 Twarde tarcze i przyłbice;  
 Niema jeszcze krwi na zbroi.

Obom gniew dodaje wdzięku,  
 Co się skrycie w piersiach tłumi,  
 I jak las wśród wichrów jęku,  
 Tak on glucho wre i szumi.

A wtem naraz, jak z rozkazu,  
 Na strzemionach stają obie  
 I, chcąc skończyć bój odrazu,  
 Wznoszą szable przeciw sobie.

Padły ciosy: pod żelazem  
 Pękły hełmy, a wraz z niemi  
 Dwie przyłbice spadły razem  
 Z misiurkami błyszczącemi.

Piękne oczy zajaśniały,  
 Posągowych kształtów lice,  
 I ujrzano pełne chwały  
 Bohaterki dwie, dziewice;

Jako słońce w dzień ponury,  
 Kiedy złoty krąg ukaże,  
 Wydobyły nagle z chmury,  
 Tak zabłysły dziewic twarze.

Kto w nie patrzy bez westchnienia,  
 Tego nic już nie poruszy,  
 Żadna skra nie rozplomienia  
 Takich serc i takiej duszy.

Na ten widok niespodziany  
 Wojska ogniem zapałały,  
 I na rozkaz szybko dany  
 Z obu stron świsnęły strzały.

I zawiązał się bój srogi.  
 Kiedy pierwsze padły ciosy,  
 Każdy śpieszy, pełny trwogi,  
 Drżąc o dziewic obu losy.

Na bachmatach strzały lotem  
 Przeciwi sobie wojska leca,  
 Szybko pada grot za grotem,  
 Lasy włócznie w słońcu świecą.

Oreż szczęka, kule świszczą,  
 Konie rżą, a ryczą działa,  
 Podniesione szable błyszczą,  
 Ogień walki wszędzie pała.

Bój się wzmaga; krew gorąca  
 Strumieniami wszędzie ciecze,  
 Wszędzie błyszczą w blaskach słońca  
 Włócznie, tarcze, szable, miecze.  
 I rozlega się ponury  
 Odgłos walki naokoło;

Ale słońce już za góry  
 Kryje swoją twarz wesołą.  
 Bój przerwany; noc się ścięła;  
 Oba wojska już w taborze;  
 Bohaterki na ich czele  
 Świecą męstwem, jak dwie zorze.

*Tłum. Jan Nitowski.*

## FRANJO KRSTO FRANKOPAN

(zm. 1671)

### TOAST

By rozjaśnić myśli wasze,  
 Nalewajcie wina, czasie,  
 Niech się serce rozpogodzi,  
 Dobra wola k'nam przychodzi,  
 Niech owocu pilnej pracy  
 Używają dziś próżniacy.

Silna ręka kopje ciska,  
 Dobra wola serce zyska;  
 Dalej, bracia, hej, wesoło,  
 Puhar niechaj krąży wkoło!  
 My się obaj wam kłaniamy  
 I toastem pozdrawiamy.

Bóg dał zdrowie wam, rycerze,  
 Niech wam szczęście sprzyja szczerze  
 I przy ucztach w pańskim stanie,  
 Na junackim też majdanie.  
 Złych niech ręka Boża karze,  
 Dobrym daje sławę w darze.

Gdy się w oczy afekt święci,  
 I za oczy miej w pamięci,  
 Za plecami kto obmawia,  
 Tego niechaj czart znieślawia.  
 Gardła niech są w pogotowiu,  
 Aby starczyć wszystkich zdrowiu.

Jeden toast niech za drugim  
 Idą ciągle rzędem długim,  
 I wspomnienie niech nie ginie  
 O chrześcijańskiej wszej krainie,  
 Bóg niech krzepi ją, niech strzeże,  
 Poganina niech czart bierze.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

## STANKO VRAZ

(1810—1851)

### SPOWIEDŹ

Gdy duch rozkuje cielesne okowy,  
 Gdy rydel głucho dźwięknie nad mą trumną,  
 Świat nie pożegna mnie czułymi słowy  
 Ani dział rykiem, ani mową szumną,  
 Bo gałąź lauru nie wieńczy mej głowy.

Świeciel twe dary zwodnicze, choć zdala  
 Powabne; piotun i jad — twe owoce,  
 Cierni — sławy wieniec, co skronie okala,  
 Nauka — ogień, co piersi przepala  
 I wiecznie myśli człowieka druzgoce.

Dopiero wówczas duch odpocznie błogo,  
 Gdy za materji granicami stanie;  
 Tam ani sny czcze już męczyć nie mogą  
 Obliczem czartów, marą sercu drogą,  
 Ni ciągle złotych nadziei konanie.

Tak! zniknie wszystko to, co tylko boli:  
Troska i męka, co na świecie gości.  
Ramiona krzyża na grobie okoli  
Nie kwiat, wykwitły na skrwawionej roli,  
Ale kwiat czysty, kwiat mojej miłości.

Jedyne dobro, o, miłości święta!  
Dla dusz płomiennych tyś siły zasobem,  
Tyś droga, prosto do raju wytknięta.  
Duch mój z lat dawnych jeszcze cię pamięta,  
Więc towarzyszką bądź mu i za grobem.

Błogo nam było, gdy nieraz o zmroku  
W cieniu zielonej siedzieliśmy jodły,  
Co wszystko zgadła z czułych słów potoku,  
Co całą miłość widziała w mem oku,  
Słyszała nasze westchnienia i modły.

Rozkoszne chwile! — Lecz żegnaj mi, droga,  
Wiedz, sny miłości nie konają w grobie;  
Nie płacz, choć dola rozłącza nas sroga.  
Nim się znów złączym wyrokami Boga,  
Duch mój wciąż będzie tu gościł przy tobie.

I was, współbracia, żegnam, drodzy moi!  
Na roli ojców pracujcie wciąż cisi;  
Niechaj się w męstwo każdy z was uzbroi,  
Pogardza gwałtem, nadzieją się poi,  
A wieniec dla was na krzyżu już wisi.

Żegnajcie! Wkrótce duch zrzuci to brzemię,  
Usnę spokojnie w cichym chłodnym grobie.  
Nie dbam, czy nad nim laur zielony drzemie,  
Nie dbam, co o mnie ludzkie mówi plemię.  
Kochałem — oto wieniec, com go upłócił sobie!

*Tłum. Jan Nitowski.*

## PETAR PRERADOVIĆ

(1818—1872)

### HYMN

Pobłogosław, wielki Boże,  
To chorwackich serc ognisko,  
Przodków naszych bojowisko,  
Miłą ziemię, święty kraj,  
Niech odżyje, niech się wzmoże,  
Niech swym dzieciom stworzy raj!  
Pobłogosław, wielki Boże,  
Świętą ziemię, miły kraj!

Boże! zjednocz trójjedyny  
Kraj Chorwatów wspólny, cały,  
Niech nie cieszy się wróg śmiały,  
Szarpiąc w szmaty jeden kraj.

My jednego ojca syny,  
Więc nam jedną matkę daj!  
Boże, zjednocz trójjedyny  
Chorwackiego rodu kraj!

Krzep, umacniaj, wielki Boże,  
Ród nasz sławny, ród nasz miły,  
Przeciw wrogom dodaj siły,  
By zwycięsko toczył bój.  
Tego dnia niech błysną zorze,  
Gdy już tylko będzie swój!  
Krzep, umacniaj, wielki Boże,  
Naród nasz na każdy bój!

Boże, osłoń Twoich dzieci  
Doleń dotąd niewesołą,  
Przeciwników pognęń wkóło,  
Przyjaciółom daruj moc.  
Niech i nam Twe słonko świeci  
I rozproszy długą noc!  
Boże, osłoń Twoje dzieci,  
Naszą doleń, naszą moc!

Boże, dusz lodowe pęta  
Niech rozkruszą Twoje dłonie,  
Niechaj każde serce płonie,  
W każdym oku błyszczą żar;

Niech narodu sprawa święta  
W dusze dziwny leje czar!  
Boże, skrusz lodowe pęta,  
W sercach święty rozpal żar!

Boże, powróć przeszłość sławną,  
Sprawiedliwej nie skąp chwały;  
Długo czeka lud zboląły,  
By znów tem, czem niegdyś, był.  
Zapłać mu choć za krew dawną,  
Zanim nowa tryśnie z żył!  
Boże, powróć przeszłość sławną,  
Uczyni lud, czem niegdyś był!

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

#### POETA

Znowu, znowu chciałbym śpiewać,  
Ale nie wiem, jaką nutą:  
Czy mam śpiewać pieśń wesela,  
Czyli w smutku pieśń zakutą?

Przy mem oknie usiadł zrana  
Niewidzialny sokół biały;  
Jam się zbudził — i widziadła  
Senne moje wnet skonały.

«Powstań ze snu, mój poeto!  
Po raz trzeci kur już pieje,  
W mgłach jutrzienka się rozplywa,  
Wkrótce słońce zajaśnieje.

«Między niebem i tą ziemią  
Twoja droga tak daleka  
Do błyszczącej tej świątyni,  
Gdzie kochanka na cię czeka.

«Naprzód dalej, naprzód śmiało,  
Wgórę skrzydły potężnemi!  
Tyś już głośny w całym świecie,  
Tyś kochanek własnej ziemi.

«A tak piękna twoja droga:  
Wszędzie widok masz odkryty,  
Obok pełne kwiatów błonie,  
Wgórce niebios lśnią błękity».

— Mój sokole, mój aniele!  
Ty się patrzysz na mą drogę  
Z wysokości własnej sfery.  
Ja tak widzieć jej nie mogę.

Tobie ziemia się wydaje  
Jasną gwiazdą pałającą;  
Wszystkie ciernie jej i bóle  
Wyobraźni twej nie mącą.

«A więc wznies się ponad ziemię,  
Wznies się skrzydły potężnemi!  
Ciernie muszą kłuć każdego,  
Kto przepelza po tej ziemi».

— Nie mam skrzydeł; zresztą dla mnie  
Matką ziemską ta kraina,  
A syn kocha i złą matkę,  
Matka nawet złego syna. —

«O, poeto nieszczęśliwy!  
Tyś jak listek nad mogiłą,  
Nim dojrzałeś w blaskach słońca,  
Samo słońce cię spaliło.

«Wiatr cię wznosi w niebo, ziemia  
Do swojego tuli łona.  
Między niebem i tą ziemią  
Twoja dusza wiecznie kona».

*Tłum. Jan Nitowski.*

#### CZTERY ŹRÓDŁA

Z kosowskiego bojowiska  
Czworakie tam źródło tryska:  
Jedno mleka bielutkiego,  
Drugie wina rumianego,  
Trzecie bije strugą krwistą,  
Czwarte wodą przezroczystą.

U krynicy pielgrzym stanie  
I zadaje jej pytanie:

«Przecz te strugi mleka płyną?»  
— By wykarmić dzieci twe! —  
«Przecz-że to czerwone wino?»  
— By ożywić serce twe! —  
«Przecz ten strumień bieży krwisty?»  
— Żebyś z niego zemstę pił! —  
«Przecz ten wody przezroczystej?»  
— Żebyś z siebie hańbę zmył! —

*Tłum. Roman Zmorski.*

## IVAN MAŽURANIĆ

(1814—1896)

## ZE «ŚMIERCI SMAIL-AGI CENGIĆA»

## Tułacz nocny

Słońce zaszło i miesiąc już wschodzi.  
 Kto to chyłkiem w wąwozy z wąwozów  
 Wciąż się skrada w stronę Czarnej Góry?  
 Nocą idzie, w dzień zaś odpoczywa,  
 Junak niegdyś, dziś nie junak wcale,  
 Ale trzcina, którą wiatry chwieją.  
 Gdy wypełźnie wedle drogi żmija  
 Albo zając z pod krzaku wyskoczy,  
 On, co niegdyś sroższy był od żmii,  
 Dziś się trwoży gorzej od zająca.  
 Myśli biedny, że wilk górski bieży  
 Lub od wilka gorszy hajduk górski,  
 Drży ze strachu, że mu zguba grozi,  
 Nim osiągnie, czego serce pragnie.  
 Drogo ceni swoją jasną głowę;  
 Choć nie złota ani pozłacana.  
 Śmierć przeczuwa, nie chce jednak umrzeć,  
 Bo tu jest coś, co go wdał popycha.  
 Czy to hajduk, czyli szpieg turecki,  
 Który śledzi miękkorunne stada  
 Albo woły z krętymi rogami?  
 To nie hajduk ani szpieg turecki,  
 Lecz Nowica, kawaz<sup>1</sup> u Čengića,  
 Srogi Turczyn, ów wróg Czarnej Góry,  
 Co go znali i starzy, i młodzi;  
 Nawet wile-by<sup>2</sup> go nie przeniosły,  
 Nie już własne nogi junakowe,  
 W dziennej porze tam na Czarną Górę.  
 Przez ramiona strzelba przewieszona,  
 A jatagan srogi ma za pasem,  
 Obok niego są dwa pistolety.  
 Płaszczem zakrył owo gniazdo żmije  
 I opanki lekkie wziął na nogi,  
 A fez goły na junacką głowę,  
 A turbana nie ma ani śladu.  
 Bez turbana oto Turczyn idzie;  
 Śmierć przeczuwa, nie chce jednak umrzeć,  
 Bo tu jest coś, co go wdał popycha.  
 Zręcznie junak przeszedł górę Cuce  
 I Bielice, słynne z częstych bojów,

Po skalistych drapie się Cieklicach,  
 Wciąż się drapie, modli się do Boga,  
 By pozwolił przejść i przez te góry  
 I by nikt go dojrzeć tam nie zdołał.  
 Śmierć przeczuwa, nie chce jednak umrzeć,  
 Bo tu jest coś, co go wdał popycha.  
 Drugie kury pieją pod Cetynją,  
 Już Nowica na cetyńskim polu,  
 Trzecie kury pieją w samym mieście,  
 A Nowica wchodzi do Cetynji.  
 Zaraz strażnik pomoc Bożą wzywa:  
 «Pomoc Boża, strażniku cetyński!»  
 A straż jemu piękniej odpowiada:  
 «Szczęście tobie, nieznanu wojaku!  
 Skąd ty jesteś, z której idziesz strony?  
 Jakie ciebie tu przyniosły losy,  
 Że, junaku, zjawiasz się nam rano?»  
 Mądry Turczyn, kiedy mu potrzeba,  
 Mądry Turczyn mądrze odpowiada:  
 «Gdy mię pytasz, prawdę powiem tobie:  
 Jestem junak tam z Moraczy chłodnej  
 I z Tusiny, siola maleńkiego,  
 Z pod rozgłośnej góry Durmitoru.  
 Noszę w sercu swoim trzy boleści:  
 Jedna w sercu mojem boleść laka,  
 Że mordował Čengić Moraczanów;  
 Druga w sercu mojem boleść taka,  
 Że mi Čengić ojca zamordował;  
 Trzecia w sercu mojem boleść taka,  
 Jeszcze większa to, że żbójca żyje.  
 Jak ci miły wielki Bóg na niebie,  
 Puszczajże mnie do władyki twego,  
 Do mojego i twego władyki,  
 By uleczył moje trzy boleści».  
 Mądrzej jemu straż więc odpowiada:  
 «Rzuć twój oręż, nieznanu wojaku,  
 Ruszaj sobie, dokąd się podoba».  
 Turczyn stuka do książęcej bramy,  
 A ostatnia gwiazda schodzi z nieba:  
 Była gwiazda to Čengića-agi.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

(«Czeta», hufiec czarnogórski, idzie walczyć z wrogiem; spotkany w drodze kapłan błogostawi i tak przemawia:)

Dziatwo moja, chobrzy bojownicy!  
 Was to owa ziemia urodziła,

ziemia skalna, ale dla was — złota.  
 Dziady wasze tutaj się rodziły,

<sup>1</sup> Kawaz — policjant.

<sup>2</sup> Wila — w mitologii Słowian, zwłaszcza południowych, boginka, sprzyjająca dobrem, sroga dla złych.

ojce wasi rodzili się tutaj,  
i wy tutaj zrodzeni jesteście —  
dla was w świecie nic lepszego niema.

Dziady wasze za nią krew przelały,  
ojce wasi za nią krew przeleli  
i wy sami za nią krew lejecie —  
dla was w świecie nic droższego niema.  
Orzeł gniazdo na skale buduje,  
bo swobody w równinach nie czuje.

Z was, którzyście zwyczajeni  
pędzić wasze dni surowo,  
któż dba o to, czyli skały — winem,  
czyli skały obrodziły zbożem,  
czyli skały są jedwabiem plenne —  
póki w źródłach ciecze woda chłodna,  
póki w łąkach ryczą liczne stada,  
póki w górach słyhać bek kierdeli?

Proch posiadasz, dosyć masz ołowiu,  
i prawicą junacy się szczycą.  
Z pod brwi ognie miota wzrok sokoli,  
w piersiach serce płomieniste bije.  
Wiara — mocna; nie odmienisz wiary,  
a pobratym strzeże pobratyma,  
żony wierne tulą wiernych mężów,  
i pieśń zacna głosi twoje dzieło...  
Chcesz żelaza? Turczyn ci je niesie!  
Masz więc wszystko, czego sercu chce się!

Lecz nad wszystko, co te skały zdobi,  
jest krzyż święty — nad wszystko urasta.  
On to w każdej krzepi was potrzebie,  
on, miłościw, z nieba was ochrania.

Obyż inne dostrzegły narody  
z nizin, z mroczy, skąd nie widzą oczy,

krzyż ów sławny, krzyż niezwyciężony,  
ponad Lowczen ku górze wzniesiony!  
I wiedziały, jak potwór turecki  
rad go połknąć swą paszczą straszliwą,  
ale stałe kruszy ząb na skale.  
Może gnuśneby zadrgały ręce,  
gdy za krzyż ten wy padacie w męce;  
możeby was dziczą już nie zwali,  
was, ginących, kiedy inni spali!

Wyście umrzeć za krzyż ten gotowi;  
by zań ginąć — dzisiaj-ście powstali,  
gniewu Boga waleczni mściciele!  
Lecz kto idzie pełnić służbę Bożą,  
niechaj z czystym sercem służy Jemu.  
Z czystą duszą służyć Bogu trzeba,  
gdy chcesz spełnić, co On każe z nieba.

Czyli z was kto nie ukrzywdził brata?  
Czy nie cięży taki grzech na duszy,  
że słabszemu zabrał drogie życie?  
Czy nie zamknął drzwi przed wędrownikiem  
lub obiecał, a nie strzymał wiary?  
Łaknącego z pokarmem ominął  
lub rannemu rany nie spowinał?  
Grzech — to wszystko, wszystko — grzeszne  
Bez kajania niema spustu winy. czyny.

Kajcieże się, póki dzień przed wami,  
póki czas jest, dzieci, kajcieże się!  
Kajcieże się, pokąd nie wezwana  
dusza k'Temu, co jest na niebiesiech.  
Kajcieże się, bowiem dla ziemiana  
czas upływa chyżo — kajcieże się...  
Kajcieże się... Może kto z was zrana  
tam, skąd nikt nie wraca, się przeniesie?...  
Kajcieże się...

*Tłum. Antoni Bogustawski.*

## AUGUST ŠENOVA

(1838—1881)

### Z CYKLU «BARWINEK»

#### K w i a t

Więdnij, kwiatku, już śnieg prószy,  
Zima sroga tchnęła chłodem!  
Ach! mrok zapadł i w mej duszy,  
I me serce ścięte lodem.

Konaj, słońce! Twa korona  
Zniknie wkrótce za wyżyną.  
Ach! tak złoty sen mój kona,  
Młode złote dni me giną.

Gaśnie święta skra zapału,  
Na mem niebie bledną zorze,  
I sam kopię grób pomału,  
A w nim własne serce złożę.

Nie żądałem marnej chwały,  
Pieśni moich fałsz nie płami,  
Bo jęk serca powtarzały  
Struny lutni mej przed wami.



Jam w swe pieśni prawdę wlewał,  
Bo mną wyższa rządzi siła,  
Bo gdym tylko pieśń zaśpiewał,  
Pieśń świątynią dla mnie była.

A w mej duszy zajaśniały  
W złotym blasku widma rojem,  
Zrodziły się burze, szwały,  
Co miotają sercem mojem.

I nad światem bujać chciałem  
Swemi skrzydły potężnemi,  
Ale w locie je złamałem,  
I los przykuł mię do ziemi.

I dlatego skra zapalu  
Gaśnie, bledną moje zorze,  
Grób otwiera się pomalu,  
A w nim własne serce złoże.

I dlatego milcz, ma pieśni!  
A gdy legnę już w mogile,  
Ty z grobowej wyjdiesz cieśni  
W nieśmiertelnej życia sile.

*Tłum. Jan Nitowski.*

#### WALECZNA ZOFKA

Toczy Gniezna chłodne wody, nurtem stopy góry rosi,  
a na górze — cud nad cudy: to Trembowla baszty wznosi.  
Na kamieniu kamień twardy śmiała ręka poskładała;  
wokół głazów na jej czole chmura się spowija biała.  
Nakształt orła twierdza strzeże, by na chrześcijan wróg nie natarł;  
o te skały rozbił nieraz czerep Turczyn, Wołoch, Tatar.  
Rozbił czerep i napróżno znów o twierdzą siłą bije:  
nad skałami, wyżynami orzeł polski wciąż się wije.  
Hej! Niech wściekły Turczyn jeszcze swoje mrowie tu zawlekał  
Jan Chrzanowski, junak dzielny i kasztelan króla — czeka.  
Król Sobieski dał mu klucze, mówiąc: — Ustrzeż twierdzy ściany!  
Strzeż chorągwi z krzyżem świętej, gdy uderzą muzułmany!  
Jan Chrzanowski kord swój ostrzy, bohaterski huf sprawuje,  
a sokole jego oko wschodnie dale przepatruje.  
Przy junaku trwa w Trembowli wiernie jego Zofka miła.  
Boże drogi — toż niewiasta? Boże drogi — czy to wiła?  
Kraków nie ma takiej krasy, nie ma Litwa, Ukraina  
ni Korona polska cała, jak szeroka jej równina,  
ani Stambuł, gród sułtański, ani harem Tatarchana...  
Cudną w krasie wszystkim zda się młoda żona kasztelana!  
Kibić jodły, głos słowika, płeć jej gładka, śnieżno-biała,  
czarne oko ciska groty, w słodkim śmiechu kwitnie cała;  
jako kądziel — miękkie dłonie, kształt posągu ma, czarowna;  
dusza jej — to róża wonna, ale w sercu — stal hartowna.  
Szczęśliw junak, który krasę tulić do się taką może,  
obejmować i całować — toć to szaleć! Boże! Boże!

Ale biada, kasztelanie, naczóż ci małżonka młoda?  
Spójrzij oto ku wschodowi — na pieszczoty czasu szkoda!  
Patrz! ku tobie z mgły zarannej czarnem skrzydłem kruk się winie,  
a za krukiem wielką hurmą pełza Turczyn po dolinie.  
Pole błyszczy dzirytami, trawę pokrył Turków szalas,  
zawsząd słyhać: Allach! Allach! zawsząd śmierć i zguba naraz.  
Wściekły Turczyn, nito fala, miota się pod samą górę,  
ze swych bombard śle ku twierdzy śmiercionośnych kul wichurę  
Ale cóż szalone krzyki, z bombard paszczy burza cała? —  
Jan Chrzanowski tkwi spokojnie ponad murem, jako skała.  
W rękę jego — miecza błyski, w jego sercu — iskra żywa,  
a na znaku bohaterskim Boża Matka miłościwa.

Turczyn bije — zadygota twierdza — ale zagrzmią działa:  
 jako plewa się przed wiatrem moc turecka rozsypała.  
 Turczyn pnie się tłumnie, srożej — rani strzała kasztelana;  
 mignął szablą, plusną kule — szturm odparty muzułmana.  
 Oszały Turczyn skoczy — Jan Chrzanowski lont podpali:  
 Turcy lecą, niby z chmury, na ziem czarną popadali.  
 Lecz potężniej lśnią wśród nocy błyskawice, huczą gromy;  
 baszty drżą, by wątle trzciny, murów łamią się ogromy.  
 Jan Chrzanowski wdół się kloni — Boże! cud li w takiej wieści? —  
 jego ciało — jedną raną, kord mu prysł przy rekojeści...  
 Wówczas ogień ścichł turecki, parlamentarz na mur wniwdzie:  
 — Wielu was tu jest — powiada — niechaj do dom każdy idzie!  
 Damy wam, co trzeba, w drogę, trzy białego wory srebra,  
 ale twierdzę nam wydajcie, bo i tak jej trzeszczą zebra.  
 Sklep się chwije, wojska mało, ogień nasz wam spiżę strawił,  
 a więc zbierzcie, giaury, rozum: gdyby Turczyn szturm poprawił,  
 legnie gród i wy z nim wszyscy — starzy, młodzi, żony, męże —  
 jako stado pośród wilków, wszystkich oręż nasz dosięże.  
 Klucze twierdzy nam oddajcie — to przemożna wola nasza;  
 usty memi sułtanowy mówi rab — Ibrahim-pasza.

Noc jest cicha; ledwo jeden nikły płomyk pełga w sali.  
 Z mrocznem czołem siedzą wodze; na naradę się zebrałi.  
 — Wódz nasz ranion, twierdza licha, spiży brak, proch wystrzelany;  
 wojsk tureckich — jako mrowia, a z nas którzy nie ma rany?  
 Nas tu garść bezsilnych starców... Biedne dziatki, białogłowy!  
 Wszystko legnie, choć bez winy, bo pod handźar odda głowy.  
 Więc poddajmy się...

Aż nagle wchodzi żona kasztelana;  
 a w jej dłoni zamigota wąż ostrego jałagana.  
 Okiem zmierzy wodzów grono, w górę jasne wzniesie czoło  
 i, podszedłszy dwa-trzy kroki, śmieie rzuci tak wokóło:  
 — Tchórze podli dziś jesteście, coście lwami byli, zda się!  
 Spójrzcie: oto nóż w mych ręku, klucze twierdzy mam przy pasie.  
 Wydać twierdzę, powiadacie? Niema spiży, wodza braknie?  
 Czyliż chlebem li się żyje? — Jam wasz wódz, kto wodza łaknie!  
 Pokręcajcież was sędziwy! Jam-ci jeno białogłowa,  
 alem jest prawdziwa Polka, krzyża córa Chrystusowa.  
 Słowo Turków — kłamstwo puste; cnota ma się wzdryga cała,  
 by się twierdza i niewiasta w biesa chytrą moc dostała.  
 Tak wam rzekę!... Niechaj wstanie ten, co myśli snuje szpetne:  
 jako Boga czcę na niebie — tu go z miejsca zaraz zetnę!  
 Skrzącem okiem w wodzów patrzy, śmiało wznosi stal trzymaną;  
 cała rada, zawstydzona, przed niewiastą gnie kolano.  
 Furkną szable, głos się wzbije: — Wybacz, córo ty wybrana!  
 Niech nam żyje wódz niewieści! Wiwat żona kasztelana!

Jak z gardzieli górskiej potok, gdy go nagła wściekłość spieni,  
 popędzili w bój rycerze — a na czele, wśród płomieni,  
 gna mścicielka ta urodna!

Hufiec niszczy, pali, kosi,  
 w ciszę nocy i w mrok nocy śmierć stokrotną z sobą wnosi.  
 Turczyn zgrzyta: — Piekło wstało! —

Turczyn bieży, Turczyn pada.  
 — Czart morduje nas po nocy! Allah! Allah! Biada! Biada!...

Turczyn uszedł całym szykiem — lecz gdy brzask zaświtał młody,  
 rozelśniła naprzeciwko cała góra od urody:  
 pod białego orła znakiem — siła straszna, siła nowa,  
 a przed wojskiem — Jan Sobieski, jak prawica Herkułowa!  
 — Kędy Turcy? — każdy pyta, lecz ich losów żaden nie zna...  
 Pobił-ci ich król Sobieski, precz uniosła w wodach Gniezna.

Toczy Gniezna krwawe wody, nurtem stopy góry rosi,  
 a na górze — cud nad cudy: to Trembowła baszty wznosi.  
 A zaś w grodzie — Jan Sobieski wszem junakom wino toczy;  
 wyciągnawszy karabelę, król na nogi chybko skoczy.  
 Przyklął król przed piękną Zofką, miecz swój sławny przed nią składa,  
 pantofelek Zofki chwycił, wina nalał i zagada  
 w owe słowa:

— Pierwsze zdrowie, ze wszech niewiast ty najpierwsza,  
 niechaj król twój oto wzniesie, gdy w nim wzbiera chęć najszczerza!  
 Przed twą sławą król się kłoni, cały kraj cię dziś wspomina;  
 jak cną jesteś białogłową, równie cnego poródź syna.  
 Weźmij szablę twego króla — jest po stokroć hartowana;  
 gdy twój mąż jej nie podźwignie, bądźże ty nią opasana!...  
 Wpół się schylił i wychylił Jan Sobieski duszkiem zdrowie  
 z pantofelka; za nim pili wszyscy sławni junakowie.  
 W twierdzy dźwięczy, czasza brzęczy... Niechaj wiedzą wie i miasta,  
 że gdy junak szablę roni — piękna ujmie ją niewiasta.

*Tłum. Antoni Bogusławski.*

## FRANJO MARKOVIĆ

(1845—1914)

### Z «DOMU I ŚWIATA»

(Major wznosi toast na cześć wina.)

Tak, moje dzieci, głoszę chwałę wina,  
 Tego ojczyzny naszej ciepłej syna;  
 To niebo, ziemia ta, co go spłodziły,  
 Miłować wolność z dziecka go uczyły,  
 Wykołysały wietrzyki na wiosnę,  
 Ćwierkały nad nim jaskółki radosne,  
 Wracając z drogi do ojczyzny milej,  
 Wichry i burze w serce mu wszczepiły  
 Nieustraszoność, a słońca promienie  
 Uczyły, żeby fałszu zdradne cienie  
 Miał w obrzydzeniu, kochał prawdę świętą  
 I z kłamstwa maskę zdejmował przekłętą.  
 Gdy go chowali tak druhowie szczerzy,  
 Jako sokołę w gnieździe u macierzy,  
 Wkrótce wyrosło chłopię na młodziana;  
 Lecz z latorośli jagoda zerwana  
 Poszła pod prasę, ta, groźna i sucha,  
 Niby artykuł kodeksu, chce ducha  
 Wycisnąć z niego. Potem wnętrza soki  
 Zamknięto w kadzi, spuszczone w głęboki  
 Dół, by wykypiał w nim duch buntowniczy.  
 W kryjówce jeniec siedzi tajemniczej,

Nie widzi wcale słońca ni miesiąca,  
 Jednak nie drzemie w nim ducha treść wrząca,  
 Lecz siły skupia i jemu blask zorzy  
 Dni nowych wrota zamknięte otworzy.  
 Wyszedł z ciemnicy junak nad junaki,  
 Radośnie wita go człowiek wszelaki,  
 Nalewą w czarę, obejmuje dłonią,  
 Wesołą pieśń mu szklanki wkoło dzwonią,  
 Niedługo jednak użyć zdoła lubej  
 Swobody — pijak pragnie jego zguby,  
 W łakome gardło leje ponad miarę,  
 Poprzysiągł zniszczyć bezbronną ofiarę,  
 Lecz dzielny junak, silniejszy niż plemię  
 Złych krzywdzicieli, zwałił go na ziemię.

—————  
*Tłum. Bronisław Grabowski.*

### AUGUST HARAMBAŠIĆ

(1869—1911)

#### MOJE SERCE

Moje serce to kościółek biały,  
 W nim ofiarny cudny kamień stoi,  
 Na nim płonąć przez mój żywot cały  
 Będzie miłość dla Chorwacji mojej.

Na nim wszelkie możliwe ofiary  
 Dla narodu mego chętnie złożę,  
 Wsze pragnienia, nadzieje mej wiary,  
 Że je kiedyś spełniesz, wielki Boże!

Pod kamieniem trumna niespróchniała,  
 W niej żywota mojego połowa;  
 Moje serce to świątynka biała,  
 Która w sobie grób mej milej chowa.

Nad nim mały krzyżyk jest wetknięty,  
 Pod nim luba leży w śnie bezpiecznie;  
 W grób ją wtrącił losów cios zawzięty,  
 Lecz w mem sercu mieszkać będzie wiecznie.

—————  
*Tłum. Bronisław Grabowski.*

### KSAVER ŠANDOR DJALSKI-BABIĆ

(ur. 1854)

G A J<sup>1</sup>

(Wyjątek)

Stałem na wzgórkę przed pawilonem dalmackim, i oczy moje rozkoszowały się prześlicznym, niemal czarownym obrazem wystawy w porze wieczornej. Nadole falowały nieobjęte okiem tłumy w ciągłym ruchu, i wietrzyk wieczorny niósł do moich uszu wesołe rozmowy, młode głosy, śmiech słodki. Szum srebrnych bryzgów fontann łączył się ze słodkim szmerem i mruczeniem wodospadu — i zdało mi się, że słyszę

<sup>1</sup> Ljudevit Gaj (1809—1872) — wielki patrijota, który stanął na czele ruchu iliryskiego.

i czuję ruch potężnych sił jakiegoś młodego żywota. A czarodziejskie światło słońc elektrycznych zalewało cały piękny obraz promieniami swojemi, przy których blasku widziałem białe lica i wysmukłe kibicie dziewczę, rozrosłe barki dzielnych chłopców ze wszęch stron rodzinnego kraju, widziałem przesliczny ogród z kwiatami i kobiercami z zieleni, widziałem rozkoszne pawilony — i duszę mą ogarnęło uczucie rozrzewnienia, dumy i szczęścia, że wszystko to mogę nazwać chorwackiem, i usta szeptały ciągle: «Oj, Chorwacjo, matko moja!»

W oddaleniu, z balkonu pałacu Towarzystwa śpiewackiego zabrzmiała naraz pieśń — pieśń stara, święta. Lud, porwany uroczystym nastrojem, podchwycił ją wnet potężnym, niby grzmot, głosem: «Oj, ojczyzno piękna nasza!» Zahuczały oklaski, pełne zapału okrzyki wydarły się z tysiąca piersi, i fale tego zapału rozeszły się po całej wystawie, jak rozchodzą się bałwany po morzu. Z przeciwnej strony ozwała się jednocześnie muzyka, i doleciały ucha mego akordy starej melodji iliryskiej: «Zyje jeszcze kraj nasz miły!»

Lzy trysnęły mi do oczu, ze wzruszenia zamknąłem powieki. Dokoła mnie brzmiały dźwięki pieśni i marsza — a przed wzrokiem ducha ukazał się obraz epoki, gdy rodziły się owe pieśni, gdy ten zapal, który miałem przed oczyma, był dopiero w zarodku. Dźwięki brzmią nieustannie, ciągle dźwięczą dokoła mnie stare akordy, a z niewyraźnych rysów składa się w duszy mej jeden obraz skończony.

W obszernej sali w starym, dobrze mi znanym dworze u jaśnie wielmożnego radcy królewskiego i asesora sądu namiestnikowskiego Tomasza Bankowicza zebrało się liczne towarzystwo na dzień św. Gabryela, na obchód imienin gospodyni domu. W półciemnej sali rozległy się echa wesołych głosów, swawolnych żartów i niepowściągniętego śmiechu, a puhary brzęczały niby dzwony. Wśród mówek i głośnych okrzyków nie słyszałeś jednak ani jednego słowa chorwackiego. Rozbrzmiewały wyłącznie oracje łacińskie starszych osób, rozmowa toczyła się po niemiecku z ust pań i panienek, madziarska z pod wąsów młodych paniczów. Milczy jedna tylko osoba, milczy, więc cię pociąga — bo nie słyszysz od niej obcej mowy. Jest to sędziwa matrona, matka starego gospodarza domu, której młodość przypadła na czasy przed Józefem II, więc oprócz jakiejś modlitwy po łacinie i jakiegoś frazesu salonowego po francusku mówiła wyłącznie po chorwacku. I oto dlaczego w tem dobranem towarzystwie, we własnym domu, milczeć musiała.

Pod koniec obiadu wstał najstarszy syn Stefan, asesor na sejmie w Preszburgu, i poprosił o pozwolenie odczytania swych poezyj, ułożonych na cześć dnia dzisiejszego oraz na cześć rodziny swojej. Młodzian to był wielce utalentowany i rozumny, a jego gorąca, pełna zapału dusza pod każdym względem nosiła znamię prawdziwego, wybranego od Boga poety. Towarzystwo aklamacją przyjęło propozycję. Stefan ją czytał. Pierwszą poezją była piękna oda łacińska; gdy więc ją skończył, starzy panowie żądali, aby ją odczytał po raz wtóry. Drugą była ognista rapsodja madziarska, w której wysławiał chwale Arpada i zwycięstwo narodu madziarskiego. Z zapalem pochwytili go na barki młodzi panice, i stary dwór szlachecki trząsł się od głośnych okrzyków «eljen!». Dopiero po kilku minutach, gdy ochłonięto nieco z zapału, Stefan mógł czytać dalej, mianowicie trzecią poezję swoją, romantyczną elegję niemiecką, w której wypowiadał miłość swą dla matki, sióstr i starej babki. Panie, wzruszone pięknymi słowami pieśni, zalały się łzami; matka, siostry, a nawet obce panie z uniesieniem ścisnęły młodziana.

Tylko babka-staruszka, którą w poezji najwięcej wysławiał, która gorąco go kochała i zawsze poglądała nań z dumą, siedziała cicho, w milczeniu. Skoro wnuk przystąpił do niej, aby otrzymać i od niej pocałunek, podała mu rękę do pocałowania i rzekła:

— Dzięki ci, moje dziecię! Musi to być piękne... ale ja nic o tem nie wiem... nie rozumiałam ciebie. Czemużeś mi tego nie powiedział po chorwacku?

— Po chorwacku? — podchwycił wnuk zdumiony... i całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem.

Staruszka z żalosem obliczem chciała powtórzyć swe słowa, gdy drzwi sali rozwarły się naraz i wszedł gość nowy.

— *Vivat clarissimus dominus!* — zawołał gospodarz, a za nim całe towarzystwo. Przybyły uklonił się zgromadzeniu uprzejmie i wytwornie. Był to człowiek piękny z twarzy, układny, jeszcze bardzo młody. Eleganckie szaty najnowszej mody francuskiej dobrze przystawały do jego wysmukłej postawy średniego wzrostu. Wytworne maniery światowe przebijały w każdym ruchu. W delikatnych, pięknych rysach podługowatej twarzy, w ognistym wielkim oku, na białym wysokim czole widziałeś podniosły umysł; w mocno i twardo zaciętych wargach spostrzegałeś nieubłaganą wolę. Bujne, falujące włosy, dość długo zapuszczone, nadawały tej pięknej głowie charakter iście Apollinowy.

Był to Gaj — naonczas jeszcze tylko dr. Ljudevit Gaj, młody uczonek, który dopiero co powrócił z obcych krajów. Po krótkich powitaniach gospodarz posadził go obok siebie i ze wszech stron zasypano go pytaniami o jego życie zagranicą, o obcym świecie... Wszyscy z niejaką dumą i zajęciem spoglądali na człowieka młodego, przystojnego, który już był otrzymał dyplom doktorski. Dziwne tylko im się wydawało, że na wszystkie ich pytania odpowiadał po chorwacku. W końcu stanął przed nim stary podżupan Ilić, zapalony obrońca «praw municypalnych» królestwa oraz języka łacińskiego, i opowiedział mu dopiero co zaszłą scenę.

— Być może zrozumie pan pragnienie staruszki? — dodał starzec z pewną ironją. Gajowi zaiskrzyły się oczy, i piękne oblicze zapłonęło rumieńcem. Gdy mu starzec opowiadał, co się stało, kręcił się niespokojnie na krzeselku. Naraz zerwał się i sokolem spojrzeniem powiódł po całym towarzystwie.

— A któż to nie rozumie pragnienia jaśnie wielmożnej pani? Czyliż ono nie jest tak naturalne, jak to, że ziemia obraca się około słońca, że potok płynie do swej rzeki, a rzeka do swego morza pośpiesza?... — Z temi słowy Gaj powstał, a dzwięczny potężny głos jego drżał ze wzruszenia. — A ja wam powiadam, że sam Bóg chciał, aby to pragnienie zostało wypowiedziane. Mnie wprost się wydaje, jakoby Stwórca wszechmocny umyślnie darował jaśnie wielmożnej pani długie lata, aby wnuk usłyszał z tych ust przezacnych owo pragnienie — i aby je spełnił. Wy zaś, przesławni i wysoko urodzeni panowie, coście śmiali się z tego pragnienia, zaiste nie byłibyście tego uczynili, gdybyście wspomnieli sobie owe dźwięki, które brzmiały nad kolebką waszą! Alboż dźwięki te nie są tak czarowne, tak słodkie, tak piękne, jak piękna jest pieśń słowicza, jak mile brzmią struny liry? a czegoż nie można wypowiedzieć w tym języku?... Oh... wszystko... wszystko!

I Gaj wznosił rękę do nieba, jakgdyby tam szukał potwierdzenia słów swoich. Potrząsnął wraz głową, jakgdyby mu się coś przypomniało.

— Proszę pana o te wiersze! — rzekł, zwracając się do Stefana, i żywo pochwycił papier w rękę. — Oto, miłościwa pani... popróbujemy spełnić wasze życzenie. — To mówiąc, Gaj grzecznie pokłonił się staruszce. Chwilkę czytał pocichu wiersze, gdy tymczasem całe towarzystwo, pod wrażeniem słów jego, siedziało cicho i spokojnie.

Naraz wyprostował się i, trzymając przed sobą oryginał niemiecki, zaimprovizował przekład wiersza w mowie ojczystej. Wszyscy zdumieli się i poglądali nań, niby na dziwo jakie. Czegoż nie byłby dokazał wtedy w wielkim swoim zapale? Słodka mowa rodzinna chwyciła obecnych za serca, i nie doszedł jeszcze do połowy wiersza, gdy już każdy z nich drżał ze wruszenia i radości, a gdy skończył, powitało go huczne «*vivat!*», wśród którego przystąpiła doń staruszka i obiema rękoma objęła go za szyję. Sam poeta ze łzami w oczach w milczeniu wziął wiersz swój niemiecki, zapalił go od świecy... i zaraz potem, przystąpiwszy do Gaja, z zapalem przycisnął go do piersi i prosił, aby mu był bratem.

— Czyliż to nie cudny język? — mówił Gaj, nie siadając wcale. — I ten dar Boży my sami odtrącaamy od siebie! Ach, panowie moi, alboż naród może istnieć bez swego języka? Ani tytuł królestwa, ani prawa nasze... nic nie jest taką mocną twierdzą wolności i przyszłości tej świętej ziemi, która nas rodziła, jak język nasz... język naszych matek, naszych dzieci! — — — — —

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

## SILVIJE STRAHIMIR KRANJČEVIČ

(1865—1908)

## ŻART ŚMIERCI

Wśród puszczy szarej człek jęczy,  
 Łzy leje i marszczy brwi,  
 Ciężką boleścią się dręczy,  
 Usta zagryza do krwi.

Wśród męki, potu i znoju  
 Wlec musi potężny głaz  
 Na piramidę pokoju  
 Królowi po wieczny czas.

Bez końca wlecze i wlecze  
 Za chleba suchego płat;  
 A bicz wciąż, jak skorpion, siecze  
 Zbiedzone *khu*<sup>1</sup> mu i *khat*<sup>2</sup>...

U wrót się rozsiadł pałacu  
 Młodzieńczy Egiptu król,  
 Szerokie oczy obraca  
 Na łany ojczystych pól.

Narówni stawia z Ammonem  
 Obludnych go dworzan chór:  
 Błaga powszechnym jest tonem —  
 Wierzcie — zna każdy ją dwór!...

Egiptu wschodząca sława  
 Spogląda w szeroką dal,  
 Jak Nil się gniewem napawa,  
 Jakby skrył smoka wśród fal.

Fatalny los Faraona! —  
 Śmierć właśnie szła tam przez grób  
 I, pańskim głosem zwabiona,  
 U parku stanęła wrót.

Młodzieńców obu słyszała,  
 Szalone ich prośby dwie —  
 I wrzasta jędza spróchniała  
 Okropnie: «Juhehe!»

Na czole Nuty<sup>3</sup> płonącej  
 Głazów już znaczył się rys,  
 Lecz łzy nie ujrzał gorącej  
 Ammon-Râ-Hamarkhis.

Nędzarz się zwraca ku niemu:  
 «Wielki, o, zmiłuj się, Râ!  
 Czemu, ach, dałeś mi, czemu  
 Niewolne *khat*, *khu* i *ba*<sup>4</sup>?...

«Raczej niech wiatrów pustynie  
 Me kości rozniosą w puch,  
 I wieczną śmiercią niech zginie  
 Na wieki wieczny mój duch!...»

Król woła wśród wód odgłosu:  
 «Przecudny jest życia bieg!...»  
 Znikł dlań pod kwieciami lotosu  
 Rój gadów i bagna stek.

Lecz żał mu, że ojciec w grody  
 Zamienił niw obszar i wzgórz;  
 Przeklina myśl tej metody —  
 Bo cóż on zbuduje, cóż!...

I westchnął: «Byle przedwcześnie  
 W grób nie padł tron mój i ja!...»  
 Rój błaznów ryknął pośpiesznie:  
 «Za słaby nato i Râ!»

Dźwignęła się dłoń jej sucha —  
 I młody królewicz padł...  
 Pozostał nędzarz bez ducha,  
 By dźwigać kamień i — jad.

Jutro wykopie grób z rana,  
 Kłąć będzie siebie i świat  
 I w mumję oprzędzie pana,  
 Co śmierci tak nie był rad.

Pojutrze nad chłopem może  
 Wielki zlituje się Râ, —  
 Więc na ofiarę w pokorze  
 Rozerwą mu *khat*, *khu*, *ba*!...

Tłum. Tad. Stan. Grabowski.

<sup>1</sup> umysł;    <sup>2</sup> ciało;    <sup>3</sup> niebo, bogini niebios;    <sup>4</sup> dusza.

## IVO VOJNOVIĆ

(1857—1929)

## Z «TRYLOGJI DUBROWNICKIEJ»

(Akcja pierwszej części, noszącej tytuł «Allons enfants», toczy się w roku 1806, kiedy armja napoleońska pod wodzą generała Lauristona żąda od senatu dubrownickiego oddania miasta. Książę dubrownicki wraz z senatem okazuje skłonność do oddania miasta Francuzom bez walki, obrońcą zaś wolności, świadomym, że zajęcie Dubrownika przez wojska francuskie położy kres republice, jest patrycjusz Orsat Wielki; w jego pałacu odbywa się narada.)

Orsat (*patrzac przed siebie twardym, pełnym grozy wzrokiem, wyrzywa się, chcąc się uwolnić od otaczających*): Żyw jestem!... Żyw!... Słyszycie?... (*patrzac na księcia, jakby go pierwszy raz obaczył*) Dlaczegoż przywdziany w purpurę? Dlaczego? Kiedy nie stało pięknej gorącej krwi, która zmywa wszystkie grzechy — kiedy niema łez i bólu — kiedy to wszystko ginie w błocie, hańbie i ohydziel... A!... (*drgnął, jakby dosięgnąwszy szczytu, spojrział w daleką przestrzeń*) Oto!... Oto!... Brama się otworzyła — opada most — wchodzi... wchodzi!... Ilu ich!... Ilu!... Najpierw Francuzi! Wszystko migoce od złota, pióra, chorągwie!... Piękny lud! Wszyscy żądni sławy, wszyscy głodni kobiet!... A za nimi inni, inni, o!... coraz gorsi, potworniejsi! — zgnębieni, nędzni, dzicy! A wszyscy chcą przejść przez te wrota!... Wszyscy się śmieją, wszyscy plwają na czarne mury, wszyscy skrzeczą: «A gdzież się podziła korona twoja! Gdzie twoja wolność?... Oto jesteś, jako i my!» O!... (*jeszcze płonął cały połącznym uniesieniem, gdy księżę w towarzysztwie Tomasza i Karola wyszedł, Dziwo i jego stronnicy odprowadzili ich, otoczywszy kołem, potem pozostali w głębi, patrzac gniewnie i z szyderczym śmiechem na żal Orsata. — On jakby budzi się do świadomości; ale myśl, która dała mu wzlecieć na szczyt uniesienia, zmieniła ton; przypatruje się wszystkim, czy nie znajdzie innego wnijścia do niemych dusz gospodarów*) Jeszcze jesteśmy szlachtą... Ja!... ty... my — my króle, my władcy! Gdzie się zjawimy, cesarom kroku nie ustępujemy! Nasze jest morze i nasze twierdze, i nasze są kościoły i pałace — tu jeszcze wszystko żywe — żywe! A gdy tego wszystkiego nie stanie! Gdy dzieci zatracą pamięć o nas i znamię swobody i pójdą, tułacze, szukać po świecie imienia, prawa, władzy — i zapomną, że tu ich panowanie i państwo!... A wszystko, co zostanie, to poddańcza, przeklęta poddańcza rzesza! (*Od jednego do drugiego biega, z młodym, pełnym wesela entuzjazmem, ale i pytaniem, pełnem wątpliwości i lęku w oczach, czy jego słowo nie jest bezsilne i bezowocne.*) A jeśli owa tysiącletnia ziemia swobody ma zginąć, chodźmy!... bracia — dzieci! Okręty nasze są w porcie! Wstąpmy na nie, unieśmy z sobą chorągiew świętego Błażeja i rozpuśćmy żagle, jak ojcowie ojców naszych! O, błogosławioną żeglugo! Pójdźmy! Pójdźmy!... Mewy i chmury pytać nas będą: «Ktoście? Kogo szukacie?» — a żagle odpowiedzą: «To Dubrownik płynie! To ojczyzna szuka na nowo pustynnej skały, aby na niej ocalić wolność swoją. Wskażcie nam ją, obłoki! Wskażcie nam ją, mewy! Zawieźcie nas do błogosławionej greckiej ziemi!... do Hellady boskiej!... do ziemi bogów!... (*Wszyscy się zbliżają. Wszyscy wzruszeni, wstrząśnięci, niejedni mają łzy w oczach. Dziwo mimowoli zadrżał.*) O! (*Orsat w boskiej rozkoszy, że słowo jego stało się prawie czynem.*) O! błogosławione te łzy!... śpieszcie, biegnijcie zatrzymać klucze!... O!... Zbawieni!... Zbawieni!... (*stychać wystrzał armatni*)

W s z y s c y (*wzdrygnęli się*): Co to?... Strzał armatni?

D z i w o (*prawie zmieszany*): To jest znak...

Orsat (*z podejrzeniem, pełnem grozy*): Znak?... znak?... a książę? a Karol? a Tomasz?... Gdzież oni? gdzie? (*sposrzedzły uśmiech ironiczny Dziwa, który, wsparty na lasce, obojętnie się kołysze*) A!... (*zrozumiał*) Zdrajcy... (*usituje rzucić się na niego, ale przyjaciele go wstrzymują.*)

D z i w o (*chłodno, głęboko, naturalnie, jakby inny człowiek*): Nie możesz się skarżyć, Orsacie, pozwoliliśmy ci wypowiedzieć wszystko, co chciałeś! (*do pozostałych, tonem człowieka czynu*) Pierwszy znak, rozumiecie mię: Lauriston przyjmuje naszych posłów... (*Drugi wystrzał. Pauza, pełna ciszy rozstrzygającego się przeznaczenia. Dziwo ciągnie dalej nieco ciszej, jakby do siebie*) A... drugi: Francuzi wchodzi.

W s z y s c y (*w milczącym zdziwieniu, przerażeniu, niepewności i wyswobodzeniu*): A!...



Orsat (*nadprzyrodzoną jakby opanował się mocą. Jak posąg, ulany z brązu, pozostał sam, nieporuszony w pośrodku pokoju. Ledwo ślad widny w srogich błyskach oczu, drganiu ust, w mrożącej grozie głosu, że burza namiętności miota duszą jego, bo panem stał się nawalniczy. Tonem spokojnym, z pogardliwym uśmiechem i wyrazem wielkopańskim zwraca się do wszystkich grup, jakby ruchem pełnym uprzejmości wszystkich żegnał i wszystkich pozdrowiał*): No! — skończyło się i to! — Wybaczcie, żem was tak długo przytrzymał...

Mikołaj, Marek, Luksza, Mateusz (*wszyscy podają mu ręce, spoglądają w oczy, chcieliby go uścisnąć, ale wszystkim obca jest jego dusza*): O! Orsacie nasz!... Cóż teraz zrobimy?

Orsat (*jak wyżej, patrząc na nich z wyżyn bezgranicznej ironji*): Kiedy nie ścięliśmy im łbów — musiało się tak stać!... (*przymyka na chwilę oczy w okropnym bólu*) Odejdźcie!... Odejdźcie!... Zostawcie mnie samego!...

*Tłum. Helena d'Abancourt de Franqueville.*

### III. LITERATURA SŁOWEŃSKA

VALENTIN VODNIK

(1758—1819)

#### Z «PIEŚNI POSPOLITEGO RUSZENIA»

Nas wzywa najjaśniejszy pan  
Za kraj nasz chwycić broń!  
Grzmi w miastach bruk i wiejski łąn,  
K sztandarom pędzi koń.

Przysięgę na nie każdy złóż,  
Bo niebo każe nam:  
A dokąd one ruszą już,  
Z radością pójdziem tam.

Przed nami stąpa pierwszy mąż,  
Cesarski jego ród<sup>1</sup>.  
Bez strachu za nim śpieszy wciąż  
Junaków dzielny lud.

Trwogi nie budzi krwawy bój  
Ni wrogów sroga dłoń;  
Za pokój złożym żywot swój,  
Natośmy wzięli broń.

I gdyby nasze wydrzeć chciał  
Zuchwały wrogów miecz,  
My, ochotnicy, skarcim szal,  
Najezdę wyprzem precz.

Królestwom cudzym nasza dłoń  
Zaguby nie chce nieść,  
Ale za swoje dzierzym broń,  
Za swego kraju cześć.

Za boże słowo zwróci lud  
Na wroga oręż swój,  
I za cesarski jasny ród  
Na srogi pójdziem bój.

Od nieprzyjaciół bronić złych  
Powinność to, nie srom,  
Ojca i matkę, miłych swych,  
I żonę, dzieci, dom.

I sprawiedliwy będzie bój,  
Co z nami stoczy wróg;  
Ten w jarzmo odda żywot swój,  
Kogo nie straszy Bóg.

Aby potwierdzić związek ów,  
Tu rękę każdy daj,  
A głos przysięgi świętych słów  
Niech brzmi przez cały kraj.

#### KOŃ NIEMIECKI I SŁOWEŃSKI

(Bajka)

— Co tak zwalniasz, bracie drogi? —  
Szwabski koń naszego pyta.  
— Czy masz słabą głowę, nogi?  
Czyż nie najadł się dosyta?  
Nie żałują mi obroku,  
Mają w dobrej pieczy wszędzie,

Nogi same drżą do skoku,  
Kark wyginam, jak labędzie. —  
Nasza szkapa na to powie:  
— I ja miałbym krasę twoję,  
Ale wałam mnie po głowie,  
Głodny ciągle w bloku stoję.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

<sup>1</sup> Arcyksiążę Karol.

## FRANCÉ PREŠÉREN

(1800—1849)

## RYBAK

Po całych nocach przez morskie tonie  
Żegluję rybak — wiosło wziął w dłonie —  
A nad nim gwiazda złocista płonie.

W pomroce świeci wciąż migotliwa,  
A z jej promyków miłość weń spływa  
I serce płacze w złote ogniwa.

Choć wichry wyją, świszczą jak żmije,  
Choć morski bałwan w słabą łódź bije  
I nieraz oczom przepaść odkryje,

On patrzy w gwiazdę; zgubna toń minie,  
I młody rybak bezpiecznie płynie  
Po niezmierzonej morza głębinie.

Raz się toń wodna pod nim rozdzieli,  
Dziewice piękne wyjrzą z topieli,  
Dziewice morza z przeźroczej bieli.

Śmieją się, szydzą, pluszczą radośnie:  
Rybaku wierny w żywota wiosnie,  
Długoż tak myślisz patrzeć miłośnicie?

Powiedz nam, czyli czekasz w tej toni,  
Aż się ta gwiazda ku tobie skłoni,  
Lub skrzydeł czekasz, by wlecieć do niej?

Innyby nie dbał o gwiazdę wcale,  
Która nań z góry patrzy niedbale,  
I nie uciekał od nas przez fale,

A od złudzenia wolna powieka  
Wnetby spostrzegła, jak niedaleka  
Piękność, na którą twe serce czeka.

Wszystko, co mówią, to prawda szczerą,  
Nieznanych myśli głąb się otwiera,  
Rozpacz mu wierne serce rozdiera.

Nie dba na wichry, skały dokoła  
I już ku gwieździe nie wznosi czoła,  
Nadół je zgłębia myśl niewesoła.

I dziwny uczuł żal w sercu swoim,  
Pędzi za dziewic zwodniczym rojem,  
Może chce uciec przed wewnętrznym bojem.

Zginie, utonie — serce drży we mnie,  
Kto bez nadziei kocha daremnie,  
Niech się nie puszcza za nim w te ciemnie.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

## SIMON JENKO

(1835—1869)

## DZIEJE SŁOWEŃCÓW

Ostry ból mą duszą chwije,  
Kiedy wspomnę nasze dzieje:  
Nikt ich nie zna, jak świat cały,  
Nikt im nie da wieńca chwały.

Innych ludów sławne czyny  
Marmur głosi i wawrzyny;  
O nas tylko ani słowa  
Pamięć wieków nie zachowa.

Kto wspomina dzisiaj sobie  
Tych, co dawno legli w grobie?

Marny prawnik przez grób kroczy,  
Co niesławnych dziadów tłoczy.

Gdy godzina nam wybije,  
Czarna ziemia nas pokryje;  
Kto się będzie o nas pytał?  
Nasze dzieje z chlubą czytał?

Ród za rodem żyją, giną,  
Tak ojczyste dzieje płyną;  
Nikt ich nie zna, jak świat cały,  
Nikt im nie da wieńca chwały.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

## SIMON GREGORČIČ

(1844—1906)

## RAJ UTRACONY

Stracony został raj nasz cudny, święty!  
Wygnała płacze dziatwa Adamowa,  
Prosi i błaga u bramy zamkniętej,  
By litościwie otwarł ją Jehowa.

Ludzkości głupia, czemu znosisz mękę?  
Do dzieła żwawo przyłóż swoją rękę!  
Pierwotne czucie niechaj cię ocuci,  
A raj pierwotny znów do ciebie wróci.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

## ANTON AŠKERC

(1856—1912)

## TRZEJ PODRÓŻNI

Młodzi podróżni trzej idą spolem  
 Po równej drodze w polu wesołem.  
 Już wila Wiosna chodzi po świecie,  
 Kwiat różnobarwny błyszczy przy kwiecie.  
 — Co za kraj! — mówi jeden w zachwycie —  
 Czy drugi taki w świecie ujrzycie? —

A drugi mówi: — Między wszystkimi  
 Krajami tyś nam rajem na ziemi.  
 Lecz jeszcze droższy od ciebie, raj,  
 Ten naród, który mieszka w tym kraju. —  
 A trzeci milczy — łzy z oczu płyną:  
 Ból czy też radość tych łez przyczyną?

*Thum. Bronisław Grabowski.*

## IVAN CANKAR

(1876—1918)

## KASZTAN OSOBLIWEGO GATUNKU

Już za miastem, daleko od kurzu i ludzi, stał kasztan w zielonej samotności. Przychodzono go oglądać, gdyż był w swoim rodzaju cudem. Pączki jego puszczały już wcześniej w marcu, gdy gałęzie innych kasztanów były jeszcze zdrętwiałe, zimne i nagie. W kwietniu puszył się bogato soczystym liściem, w pierwszych dniach maja zaś sypał w rozkosznej szczodrocie białe kwiecie wokół. Sypał je, rozsypywał, wysyłał swe jasne motyle z każdym powiewem wiatru na wszystkie strony, a przecież traciły je prędzej inne drzewa, które budziły się później od niego, był bowiem junakiem między nimi.

Jesienią, gdy towarzysze jego byli wycieńczeni, gdy obejmowała ich już drzemka i upuszczali owoc z drżących dłoni, on nie zważał na wiatr północny ani na mróz. Jego liść pozostawał ciemnozielony i puszysty, szumiał na wicherze, ale szum ten nigdy nie był podobny do martwej pieśni. Gałęzie gięły się nisko, czasem prawie aż do ziemi, lecz prostowały się natychmiast raźnie i wesoło.

Gdy mróz ogarnął junaka, że aż kurczył się i zwierał w sobie, przy innych gnily już na ziemi żółkłe i rdzawe liście. Śmierć jego nie była bolesna. Junak kładzie się zmęczony na trawie, gdy wszyscy inni już dawno spoczywają, cisi i bladzi, bez tchu, podobni do martwych. On zapada w drzemkę, pełen ufności, że zbudzi się, zanim jeszcze zabłyśnie zorza. Odetchnie głęboko, uśmiechnie się we śnie; gałęzie wstrząsną się, wygną; śnieg cicho się z nich zsunie.

Ten, kto siadywał pod tym kasztanem, był młody. Przychodził pełen trosk i złych myśli, odchodził ze swobodą na obliczu, wesoło pokrzykując. Zakochani kochali tam serdeczniej i wierniej, niż nawet pod Bożem słońcem. Każdy jego liść był znakiem siły, dobroci i wiary, z każdego liścia spływała miłość w jasnych kropkach. Przychodził starzec o kuli; gdy siadł w cieniu kasztana, młodość mu we krwi śpiewała.

Kiedyś przyśniło się kobiecie, jednookiej Marjecie, że po tym cudownym kasztanie łązi złoty chrabąszcz. Pełził od ziemi po pniu na jedną gałąź, na drugą; i naraz zjawilo się tych złotych chrabąszczy tyle, że prawie za mało było dla nich liści: na każdym świecił jeden cekin. I zdarzyło się wówczas, że na jednym z tych liści potknął się złoty chrabąszcz-niezgraba i spadł Marjecie wprost na łono. Gdy go chwytano, uciekał, kulejąc, przez brzech i piersi tą samą drogą ku szyi, wreszcie popęził przez strome zbocza szczęki obok zagłębienia warg wprost ku nosowi. Tam spojrział w czarną jamę i nie odważył się iść dalej. Przystanąwszy, troskliwie oglądał swe nóżki, poprawiając je i wyrównywając. Podczas tego zajęcia nieostrożnie zaczepił o wielki czarny włos, który sterczał z nozdrza. Wówczas Marjeta kichnęła i zbudziła się. Złotego chrabąszcza nie zobaczyła już nigdy i nigdzie.

Gdy zbudziła się kobiecina, jednooka Marjeta, zaczęła rozmyślać nad swoim snem. Domyśliła się bez trudu, co on oznacza; przecież to samo uczyniłby każdy z nas.

Zanim jeszcze na zegarze wybiła północ, udała się w drogę, dokąd było trzeba. Rydel i motykę wzięła z sobą. Tym rydlem i motyką kopała pod kasztanem, kopała, Boże zmiłuj się, do wczesnego ranka. Zablęśła zorza — obyż się to już więcej nigdy nie powtórzyło! Marjeta, zdumiona, spojrzała, krzyknęła na cały głos, rydel i motykę gdzieś tam cisnęła, pobiegła bez tchu i pamięci. Darła się gorzej niż sowa; tak biegła i krzyczała aż do samej prawie wsi.

Oj, strach, ludzie! Strach, bieda!...

Poszli to oglądać wszyscy: mężczyźni, kobiety i dzieci. Wśród nich było także trochę takich, o których myślano, że już dawno pomarli; przyszli w srebrnych spodniach i aksamitnych kamizelkach z rzędami guzików; jeden miał włosy związane w warkoczyk; elegancka kokarda zwisała mu na plecach.

Nieopodal i naokół kasztana ziemia była rozkopana i rozorana przynajmniej na pół sążnia w głąb. Wśród potężnych korzeni, które wiły się i roily nieskończenie na wszystkie strony, zgromadzone były same ludzkie czaszki; te jamy, w których były niegdyś oczy, wypełniała ziemia i błoto. W niektórych przez noc wykiełkowała już trawa. Inne kości były rozrzucone na wszystkie strony, tak że nikt nie mógł ustalić, do jakiej należą czaszki. Ramię splatało się z piszczelem. Tych białych, cichych, przez ziemię i robactwo zniszczonych rzeczy było tam tyle, że niepodobna ich było przeleliczyć. Gdyby kopano jeszcze dalej i jeszcze głębiej, rozpostarłby się może taki cmentarz, jakiego jeszcze na świecie nie było.

Stali, pobladszy; nikt ust nie otworzył.

Ale gdy odeszli i byli już daleko, odezwał się starzec z warkoczykiem i kokardą: — Teraz dopiero widać, skąd ta moc, ta miłość i ta młodość!

O, przyjaciele, drodzy moi! Jeszcze zakwitną nam kasztany!

*Tłum. Ela Molè.*

---

*Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.*

CHRISTO BOTEW

(1847—1876)

PIEŚŃ O CHADŻIM DMITARZE

On żyje, żyje! W górach, wysoko  
na czarnych głazach bezsilny leży,  
rany spłynęły krwawą posoką  
i do zszarpanej przyschły odzieży.

Skrwawiona szabla podał rzucona,  
działo pęknięte gardziel swą szczyry. —  
Nie, Chadźi Dmitar jeszcze nie skona —  
on w swoje szczęście, w gwiazdę swą wierzy.

W dolinach złote dojrzewa zboże,  
płyną już echem pieśni żniwiarzy...  
Dmitar powieką ruszyć nie może,  
lecz o żniwiarce dalekiej marzy...

Żniwo, wesele. A pieśń, żałośnie  
jak dym z kadzielnic, powstaje z dolin:  
serce się z jarzmem nigdy nie zrośnie —  
jak Chadźi Dmitar, zechce wyzwoli!

Obyś żył wiecznie, jasny rycerzu,  
obyś prowadził na lute boje;  
słońce, odbite w twoim puklerzu,  
unieśmiertelni szaleństwo twoje!

Na czarnych głazach witeż spoczywa —  
wilk, druh serdeczny, liże mu rany,  
orzeł od słońca skrzydłem zakrywa,  
sokół na skale siadł zadumany...

Wieczór zapada, i księżyc błądy  
sierpem ze złotych gwiazd się naśmiewa —  
szumią zarośla, szumią kaskady,  
sam Bałkan pieśni junackie śpiewa.

Podchodzą wile, trwożne, ciekawe,  
zwabione śpiącym bez krwi młodzieńcem...  
Śpiewając, kładą się na murawę  
ciał swoich białych kuszącym wieńcem...

Jedna mu śpieszy opatrzeć ranę,  
druga mu wodę u źródła czerpie,  
trzecia podaje usta różane —  
Dmitar uśmiechem mówi: «Mniej cierpię.

«Gdzie Karadżyjskie szerokie pola?  
«Powiedzcie, siostry, gdzie, w której stronie?  
«Tam druhów moich zła zмага dola —  
«pomóżcie, siostry, — niech ich dogonię...»

Zadrżały nagle spłoszone wile,  
o młode życie Chadźiego trwożne,  
rade mu ciężkie ostodzić chwile —  
nucą — pieszczotne, ciche, ostrożne...

Wschodzi jutrzienka ponad Bałkany,  
Dmitar do boju rwie się od wieka —  
wilk, druh serdeczny, liże mu rany,  
a złote słońce z wyżyn dopieka.

*Tłum. Edward Ligocki.*

POWIESZENIE WASYLA LEWSKIEGO<sup>1</sup>

O, matko moja, miła, rodzona,  
Nad czym tak rzewnie, żałośnie płaczesz?  
I ty tam, kruku, ptaku przeklęty,  
Nad czym tam grobem tak groźnie kraczesz?

Ach, wiem, rozumiem: ty płaczesz, matko,  
Nad tem, co wolnych rabami czyni,  
Nad tem, że święty głos twój, o, matko,  
Jest tak bezradny i brzmi w pustyni.

<sup>1</sup> Jeden z przywódców bułgarskiego ruchu rewolucyjnego przed odzyskaniem niepodległości w r. 1878; pochwycony przez władze tureckie, zginął na szubienicy.

Płacz! Tam, sterczący przy mieście Sofji, I kraczą kruki groźnie, złowieszczo,  
Pień szubienicy czarnej widziałem, Wycie psów, wilków na pola leci,  
A na niej, słyszysz? syn twój, Bułgarjo, Starcy się modlą kornie do Boga,  
Zawisł i cięży potężnem ciałem. Płaczą niewiasty i kwilą dzieci.

Zima złe pieśni swoje zawodzi,  
Wicher cierniami zasiewa pole.  
Chłód bez litości, płacz bez nadziei  
Budzą w twem sercu smutki i bole.

*Tłum. Leonard Podhorski-Okolów.*

## IWAN WAZOW

(1850—1921)

### W NADZIEI

Nie, nie wierzę, by bez końca  
Nasza bieda była,  
Wiem, że kiedyś się podniesie  
Ta Bułgarja miła.

Lepsze dni nam zaświtają,  
Znikną mroczne cienie,  
I duch wielki u nas zbudzi  
Nowe pokolenie.

Ach, ojczyzno, wiara w tobie  
Stłumi wewnętrzne boje  
I w zapale swym zrozumiesz  
Powołanie twoje.

Świat cię, kraju mój uroczy,  
Będzie witał mile,  
Ale wtedy... wtedy pewno  
Będę spał w mogile.

### WOŁOW<sup>1</sup>

Niedobitki przed dzikim wrogiem precz pierzchały.  
Z nimi był junak Wołow, krwią obłany cały,  
I tak wołał: O Boże! jakaż piekiel zdrada!  
Powstanie utłumione, z niem nadzieja pada,  
A przed haniebną śmiercią gdzież się ukryć mamy?

B a ł k a n y:

My was nie przepuścimy przez skaliste tamy.

M i a s t o:

Dla was mam szubienicę.

C h a t a:

Ja skargi, zaklęcia.

R z e k a J a n t r a:

Nuże więc, nieszczęśliwi, pójďte w me objęcia.

### DO...

Nie mów mi więcej o swej miłości,  
Przestań się chlubić twą krasą lica,  
Widziałś przecie, co w sercu gości,  
Jaki w niem ogień, ból i tęsknica.

Jak w przepaść, wpadłem w namiętność złudną,  
Do dna wypilem rozkosz z kielicha,  
Poznałem jednak, jak znaleźć trudno  
Szczęście, za którym serce wciąż wzdycha.

<sup>1</sup> Jeden z bohaterów powstania bułgarskiego; ścigany przez Turków, rzucił się wraz z towarzyszami do rzeki Jantry.

Złamanej duszy ból już nie rani,  
 Nie szukam w burzach wieńca dla czoła  
 I tylko zimno patrzę dokola,  
 Czy niema dla mnie... cichej przystani.

*Tłum. Bronisław Grabowski.*

#### POPATRZCIE NA NAS — TU!

Ten głos jak błędny ogień przede mną ciągle miga,  
 Wśród karczm i chat, i pól wciąż woła mnie i ściga...  
 W wiejskiej jestem chacie i oknem pośród bzu  
 Spoglądam na tę nędzę, co woła w głos puszczyka:  
 «Popatrzcie na nas — tu!»

Czad, dym i kurz — ciemna, brudna chata  
 Ludzi i bydła ze sobą społem brata,  
 Złączonych ślubem biedy, wśród ciężkiego snu  
 W spoczynku-zapomnieniu Śmierci kryje szata...  
 «Popatrzcie na nas — tu!»

Straszna jest władczyni, której ludem — «głodni»,  
 Siostrzyca to rozpaczy, a kochanka zbrodni!  
 Chleb czarny, sprószony, a stęchły nawpół  
 Łykają ostrem gardłem ci ludzie — «niegodni»!  
 «Popatrzcie na nas — tu!»

Popatrzcież na nas! — usłyszcież głos łkany,  
 Wy! wielce łaskawi, wielmożne wy pany!  
 Jedną jeszcze rozrywkę do stu  
 Dodajcie i patrzcie na nasze łachmany, —  
 «Popatrzcie na nas — tu!»

*Tłum. Tau-Gama.*

#### JĘZYK BULGARSKI

Języku święty, skarbie moich dziadów,  
 języku męki, jęków wielowiecznych,  
 języku takich, którzy się do jadów  
 na świat rodzili, nie do łnień słonecznych!

Języku cudny — każdy-ć wżgardą mierzy,  
 nikt nie osłania cię od szyderstw męki.  
 Czyż się kto dotąd wsłuchał, jak należy,  
 w melodję twoją, w twoje słodkie dźwięki?

Kto moc tę pojął, te cudów tysiące,  
 co ma je w sobie giętka twoja mowa,  
 czar, którym dyszą tony jej perłace,  
 jej rozmach żywy i dobitność słowa?

Nie! Oplątano-ć powszechną pogardą,  
 skalano-ć drwiną i słowami ziemi.  
 Swoi i obcy, jedną zgrają hardą,  
 depcą-ć, męczeńska mowo naszej ziemi!

Bo nie zdołałeś — ponoć — dobyć z siebie  
 dźwięku, godnego myśli twórczej, górnej —  
 i choć twój genjusz w pieśniach się kolebie,  
 ty grzęzniesz w nędznej gwarze chaty kurnej.

...Wciąż słyszę o tem, odkąd-em na świecie!...  
Dość mi już, przebóg, tych wymysłów chórul  
Dość, że się podłość wciąż z oszczerstwem plecie,  
by, co nam drogie, oplwać tak do wtóru!

Ach, ja ten czarny wstyd twój biorę sobie;  
on będzie chlebem mojemu natchnieniu,  
i w jasne dźwięki tak go przyozdobię,  
że dam przysłemu z dumą pokoleniu.

Ach, ja-ć oczyszczę od skałań i zmayı  
i w czystym blasku twoim cię pokażę.  
Twojej kraszy mocą zadam takie razy,  
że tłum bluźnierców na wieki ukarzę!

*Tłum. Antoni Bogustawski.*

### CZY IDZIE?

(w skróceniu)

Jakaż mgła, cóż za gęsty tuman spadł tej jesieni na Wetren! Wilgotno, mokro; drobny deszcz rosi, niebo roztopiło się w zimną parę i przygniotło niskie wiejskie chaty. A na pełnej błota ulicy hałas, krzyk, tłum ludzi. Powozy, zaprzęgnięte w chude koniska, fury, ciągnione przez woły, napelnione wojskowym sprzętem, chłopci-furmani, bydło — wszystko to zapycha ulicę między dwiema gospodami.

Wśród tego zamętu przebija się wojsko, złożone ze świeżych rekrutów; jedni są okryci w wojskowe płaszcze, inni w kozuchy z włosom nawierzchem wywróconym; po większej części zarzucili podarte czergi<sup>1</sup>, przerobione na jamurluki<sup>2</sup>, w przemokniętych cerwulach<sup>3</sup>, przepasani patrontaszami, z karabinami na ramionach, ozdobionemi ziel-skim; na karabinach wiszą porozpychane torby... Zimno, błoto po kolana, chlapanina do djabła, a ci śpiewają i śpiewają... Weseli «pieczyngowie!» Tak nazywano rumelij-ską milicję.

Przy drzwiach karczmy stoi gromada oficerów; przechodnie i zdziwieni wieśniacy gapią się ciekawie na przemokłych junaków. Przed środkową gospodą ustawiły się gromady kobiet, dziewcząt, dzieci — obszarpanych, drżących i czerwonych z zimna. Wszyscy oni witają i żegnają chyba po raz setny wetreńskich żołnierzy, którzy teraz idą z pułkiem do Harmanli, gdzie ruszyli na wojnę z Turkami, i szybko mijają Sofję, a stamtąd — maszerują na pole walki, na wojnę z Serbami:

— Patrzcie, syn Jura! Szczęśliwej drogi, Cwetko!

— O, popatrzcie, Rangiel przechodzi!

— A tu, ten od Nedelki! Hej, Janie, oto tu twoja matka.

I szybko podają dziewczęta wiązanki kwiatów, i lzy spływają po policzkach, i padają urywane słowa... a wojsko idzie wciąż naprzód, wciąż naprzód.

— Mamo! Tam brat — woła tu różowa jasnowłosa dziewczyna.

— Bracie Stojanie! — krzyczy ośmioletni chłopak, stojący przy dziewczynce, i wyciąga rękę w stronę wojska.

— Synku, synku! — woła z płaczem matka.

Pokazuje się czarnooki, zgrabny, zdrowy junak, wychodzi z oddziału, całuje matkę w rękę, siostrę i brata w czoło, przypina bukiet na piersi, kilka kwiatów zakłada za ucho — podała mu, je jakaś dziewczyna. Porywa się i biegnie, by dopędzić wojsko i pieśń.

— Synku, niech cię Bóg prowadzi — jęczy matka.

— Stojanie! — woła tracąca zmysły dziewczyna.

Ale głos ich głuźnie w zamęcie. Stojan ginie wśród żołnierzy, a żołnierze we mgle.

<sup>1</sup> Dywaniki samodziałowe.

<sup>2</sup> Płaszcze żołnierskie.

<sup>3</sup> Chodaki.



Matka spogląda wdał, ale nic nie widzi.

Dziewczyna podnosi kolorowy kraj zapaski i zakrywa twarz. Matka Stojana, wróciwszy do izby, rozełkała się, otworzyła starą popękana skrzynię, powyjmowała koszule i okrycia kobiece i wydobyla z dna gromnicę, przylepiła ją przy ikonostasie i poczęła bić do ziemi pokłony.

A w tym czasie grały armaty pod Dragomanem. Było to 4-go listopada 1885 roku.

Nastąpił pokój.

Nadeszło Boże Narodzenie i żołnierze wracali na urlop. Do Wetren powróciło też kilku. Tylko Stojencza niema — ani jego, ani jakiegokolwiek wieści. Zmartwiła się stara Cena, zatroszczyła; do głowy przychodzą jej złe myśli... mijają dni, ona wciąż spogląda ku drzwiom, czy może zapuka. Oto już wrócił Rangiel Stojnow, jest już Piotr, syn Dymka też wrócił, przyszli też bracia Stamata. Przystaje, chodzi, pyta się — nic nie wiedzą. Widywali Stojana przez jakiś czas, potem go stracili z oczu. Prawie że umiera babina z trwogi, kręci się jak nieprzytomna po chałupie i myśli o Stojenczu.

— Mamo, wrócił wujków Dymitr — woła jej córka Kina, skoczywszy zadyzana od wrót.

Cena wstaje i za chwilę podchodzi do Dymitra.

— Witajcie, Dymitrze! A gdzie został Stojan?

Ale i Dymitr nic nie wie... Może go wysłali w stronę Widynia — robi przypuszczenie Dymitr, ponieważ żal mu matki — może wraca skądinąd, inną drogą — bąka z zakłopotaniem żołnierza.

Boże Ty, Panie mój! Gdzież został mój chłopak? — wzdycha.

Wychodzi i wstępuje do Stojanki. Jeszcze przy drzwiach zadrżało mocno jej serce. Oto teraz powie jej Stojanka, że otrzymała pozdrowienie od Stojencza, że przybywa na wilję. Żeby choć jedno dobre słowo powiedziała Stojanka. Nie, milczy. Tylko oczy miała zaczerwienione.

Nazajutrz wcześniej poszła Cena do cerkwi. Zmieniła lewa, przyslanego od Stojencza, kupiła gromniczki i zapaliła przed wszystkimi ikonami na ołtarzu. Wróciła do domu z rozjaśnionem obliczem.

— Tak czy owak, dziś będzie tutaj; przecież jutro jest Boże Narodzenie... nie może być inaczej — szepnęła. — Święta Boża Rodzicielko, przyprowadź mi go, anioła mego... Jezu Chryste, pociesz mnie!

Nadbiegła Kina i zawiadamia, że wrócili też inni chłopcy ze wsi. Stara Cena spochmurniała.

— Dosyć mi naprzynosiłaś wiadomości o drugich, ale śpiesz się i przywitaj brata, jak to robią inni ludzie — zawołała gniewnie.

— Mamo, i ja bym chciał iść z siostrą! — zawołał Radułczo.

I dwoje tych dzieci pobiegło w górę na śnieżną ulicę, a z niej weszło na szosę, na pole.

A matka Cena stała przed drzwiami, by go tu witać.

Wiatr zawiewał chłodem z gór. Wzgórza, doliny, równiny pobielały od śniegu. Niebo zachmurzone. Czarne stada gawronów przelatują nad drogą lub siadają na nających wierzchołkach drzew. Tu i owdzie na szosie, która się ciągnie wzdłuż Ichtimańskiego wąwozu, czernieją gromady dziewcząt, dzieci i starszych kobiet, które wyszły na powitanie, żołnierze bowiem wracają jeszcze: jedni sami, inni ze swoimi. Kina i Radułczo minęli pierwszą gromadkę, przeszli obok drugiej, minęli trzecią i odchodzą coraz dalej. Chcą pierwsi zobaczyć i pierwsi powitać Stojencza. Z pewnością poznają go odrazu zdaleka, choć śnieg, który napadał, zastania im widok. Droga wznosi się w górę i ginie za wzgórkami. Nic nie widać. Kina i Radułczo wyszli na wierzchołek, tam wiatr wieje silniejszy i przenika do szpiku kości. Daleko na zakręcie ukazało się dwóch żołnierzy, obsypanych śniegiem. Nie widać Stojencza.

— Hej, czy tam z góry idą wojacy? — spytała Kina żołnierzy

— Nie wiemy, dziewczyno. Na kogo czekacie?

— Na brata! — odrzeczł Radulczo.

Zmęczeni żołnierze poszli swoją drogą.

Kina znów patrzy dalej. Zimno im obojgu — i ona trzęsie się cała, a Radulczo dygocze, ale przecież brat idzie — muszą czekać, bo mama będzie się gniewała lub się zapłaczę, gdy go nie przyprowadzą.

Ukazuje się powóz, siedzą w nim dwie osoby zakapturzone i obwinięte w ciepłe kozuchy. Kiedy pojazd podjechał do nich, Kina stanęła na drodze wprost konia.

— Panie, czy idzie wojsko z góry?

— Nie wiemy, gołąbko — odpowiedział jeden z podróżnych, podniósłszy kaptur, i spojrzął ze zdziwieniem na poczerwieniałą i zsiniałą od mrozu dziewczynę.

I powóz pomknął pędem nadół.

Dwoje dzieci zostało jakby przykutych. Godziny mijają. Wiatr górski się wzmaga, bije po twarzy, rozwiewa ubranie, śnieg pada płatami i zbija się w kłęby, ale dzieci nie odchodzą. Wbiły one spojrzenie w zakręt i patrzą, czy nie zaczernieje wdali żywa istota. Nagle zabiło serce Kiny. Ukazała się konnica, i droga zadzwoniła od kopyt. Tylu żołnierzy! Z pewnością i brat jej znajduje się między nimi. Ona czeka bez zmruczenia oczu. Konnica nadjechała, przemknęła z szumem mimo nich i zniknęła wod-dali. Dziewczyna skinęła na dwóch oficerów, którzy jechali nieco ztytu na koniach.

— Kapitanie, czy wraca nasz brat? — pytała przez lzy.

Oficerowie wstrzymali konie i spojrzeli ze zdumieniem.

— Któż to jest twój brat? — spytał jeden.

— Brat Stojan! Nasz brat Stojan! — zawołał niecierpliwie Radulczo, zdziwiony, że ten pięknie ubrany kapitan nie wie, że Stojan jest ich starszym bratem.

— Który Stojan? — zapytał powtórnie zakłopotany oficer.

— Stojenczo z Wetren! — odpowiedziała przekonywająco Kina.

Oficer zamienił kilka słów z towarzyszem i, pełen współczucia, zapytał:

— Czy brat jest kawalerzystą?

— Tak, tak! — odpowiedziała dziewczyna, nie rozumiejąc pytania.

— Niema go z nami, dziewczyno!

— Ajże, wróćcie do wsi, jeszcze zamarzniecie tutaj — rzekł drugi.

Oficerowie smagnęli konie i odjechali za swym szwadronem. Kina załapała się łzami i Radulczo zapłakał. Nogi i ręce zdrętwiały im z zimna, policzki posiniały. Przed ich oczami rozciągała się cała szosa — była już zupełnie pusta. Ludzie porozchodzili się do domów, ponieważ miało się ku wieczorowi, zapadał mrok i wiatr ciał coraz ostrzej. Tylko konnica czerniała jeszcze wdali, ginęła coraz bardziej, a wiatr przyniósł do uszu dzieci wesolą żołnierską piosenkę. Wtedy Kina i Radulczo zawrócili do sióła.

Zapadała noc. Wracali dzieci, wsunawszy ręce w pazuchy, i kwiliły zcicha, i myślały o matce, która czeka na nie przed drzwiami chałupy.

Znów zaturkotał za nimi powóz, zaprzęgnięty w trójkę koni, pędzący ze wzgórką.

— Panie, czy wojsko idzie jeszcze?

Powóz przemknął obok nich — i ni słychu, ni widu w ciemności.

A śnieżna zawieja rozigrała się strasznie. Zdawało się, że ona odpowiada dzieciom. Szła z zachodu, od pól bitwy, stamtąd, gdzie w winnicach przy Pirocie zasypała teraz mogiłę Stojana.

*Tłum. Józef Gołąbek.*

## PENCZO SŁAWEJKOW

(1866—1912)

### MODLITWA

O, Panie mój, nade mną podnieś dłoń  
i ukój duch, spokoju wiecznie głodny;  
daj łaskę mi, bym Ciebie stał się godny.  
Jam sługa Twój, którego, Panie, chroń.

- Tchnij wiarę znów w popioły duszy mej,  
co ziemskich trwóg męczarnią jest zmożona.  
Gdy w jeden mig na wieki urodzona —  
Ty drogę w krąg rozjaśnić duszy chciej.

W mej duszy rdzeń wbił szpony demon zły,  
ów demon zły uporu i zwątpienia,  
i prawdy w niej ugasił święte skry  
oddechem swym złowieszczym nicestwienia.

Więc zapal w niej Twój płomień — aby tam  
na nowo wstał z popiołów prawdy chram.

#### NAD\_NIM DZIEŃ ŚWITA...

Nie trzeba mówić mi, że mój rodzinny kraj  
jest biedny, że ma przeszłość mało sławną.  
Każdemu bo w to graj,  
i każdy wie to dawno.

Przeszłości nie ma on, grobowca przeszłych dni,  
nie szuka chluby w szczątkach i ruinie,  
co sławą bojów łśni —  
on pustki ma jedynie.

Bohaterstw, czynów blask, laurowych wieńców zwój —  
kronika o tem ludzi nie oświeci,  
i wielkich piewców rój  
ta sława czyż podnieci?

I tylko głuchy jęk, płynący z dawnych dni,  
jako z głuchnącej burzy, posłyszycie...  
Na nowy los, wśród ćmy,  
dolata wichru wyciel!

I dumny wichur ten ożywczy wniesie wiew;  
zarazy precz z martwego pola zbiegą.  
Nie będzie liścia drzew,  
od wspomnień wędnącego.

Nad mój rodzinny kraj wyrasta lśnienie zórz,  
i zgiełk, i drżenie z niego idzie,  
by dzień zajaśniał już —  
i życie w dzień niech widzi.

I niechaj chełpią się żywotem, co był wprzód,  
ci, którym oczy jedwab klei —  
ja na rosnący wschód,  
pożywczy karm nadziei,

gdy patrzę — widzę już, jak grzeje z górnych lśnień...  
Śmierć dawnej sławy w byt rozkwita:  
przed tamtą głębszy cień,  
a nad nim dzień już świta!

*Tłum. Antoni Bogusławski.*

## PETKO TODOROW

(1879—1916)

## NAD CERKWIĄ

Wszyscy wiedzą, że cerkiew rozdzieliła ich za młodych lat. Kiedy w jednym dniu zamknęli oczy, ni pop, ni epitrop nie pozwolił zakopać ich razem, aby i tam nie zmieszała się ich krew rodzinna. Bo gdzież kto słyszał i widział, aby chrzestny ojciec kochał swą kumę.

Milcza zakopano na prawo od cerkwi, Jankę na lewo — cerkiew rozłączyła ich serca, niech ona dzieli ich i na tamtym świecie...

Ale upłynęło czasu niewiele, a cudem bożym nad grobem Milcza wybujał zielony brzost, a nad grobem Janki cienka topola.

I kiedy rra wiosnę potajemnie ledwo zaglądały pod okapem cerkiewnym, by się powitać, teraz brzost rozwinął wolno gałęzie nad dachem i topola poszła w górę, tak że zdało się, iż wierzchołkiem swym sięgnie nieba. Skurczyła się między nimi stara wiejska cerkiew. Spokojnie drzemiące naokoło krzyże i kopułki spojrzwały na siebie: to, czego im nie pozwolono zrobić za życia, teraz ci młodzi szaleńcy sami robią, nie pytając się nikogo.

Nie zważa na nic zielony brzost, wyciąga gałęzie ku krętym gałęziom topoli. Jakgdyby nie śmiała spojrzeć na niego topola, a ciągle łamie gałązki i schyla wierzchołek wstydliwie całymi dniami. Cerkiew stoi między nimi! Czyto tak łatwo złać wiarę, czy łatwo machnąć ręką na stare prawa?

Zapadła cicha noc. Jasny miesiąc zamyslił się na niebie, a koło niego zaroily się gwiazdy i wszystko zamilkło wokół. Zaszeptał znów niezrozumiałym szeptem brzost i wyciągnął ramiona ku cienkiej połowicy-topoli. Zadygotała cała topola — miesiąc patrzy na nich i gwiazd roje z nieba. Jak przełamać wstyd?

Minęła i ta noc, pierwsze koguty już pieją, a drzewa tej nocy znowu nie mogą zbliżyć się ku sobie i dotknąć gałązkami.

Aż niby na ukojenie, gdzieś we wsi, ktoś młody, zabłąkany, zanucił przeciągłą pieśń:

Opustoszały, matko moja,  
Puste już cerkwie,  
Oniemieli popi...  
Głęboka woda nie ma brodu,  
Piękna dziewica nie ma rodu!

Wysłuchały się drzewa i westchnęły szerokie gałęzie brzostu, nachyliła topola wierzchołek.

Ale pierzasty obłok, pędzony szumiącym wiatrem w późną noc, zacienił nagle miesiąc i rozgłośnie zaszumił brzost. Zadygotała topola, jakby jej pociemniało w oczach, nagięła się i namiętnie dotknęła się brzostu. I zanim przyszła do siebie, zanim podniosła gałęzie, nagle cofnęła się, wyprostowała i cała zadygotała.

Przez pierzasty obłok zaglądał księżyc, zbladł, jakby sobie nie wierząc, i stanął naprzeciw nich. Nadole, na cmentarzu znów się wyprostowały krzyże i kopuły, by dalej podpatrywać je i obmawiać... Patrz, jak wpijają oczy ku nim... i całą noc nie zdjęły z nich swych spojrzeń.

Gdy zabłysła zorza, załamany dach cerkwi, niby stary opuszczony grób, oblał się wilgotnymi łzami — łzami rozłąki.

*Tłum. Józef Gołąbek.*

## DORA GABE-PENEWA

(ur. 1886)

WAWEL

Dworzyszczka, chramy trwają tam od wieku,  
milczenie wzięty w pierś od mnogich lat.

W ich wnętrza łonie — śpi tajemny świat.  
— Powstrzymaj krok i wolniej idź, człowieku!

W podziemnych sklepieniach śnią królewskie kości,  
lśnią sarkofagów cenne czasze.

Nad  
prochami, w rzeźbie swych monarszych szat,  
rząd nieśmiertelnych, acz przelotnych, gości.

Lecz tam to serce bije — serc podnieta:  
sarkofag gładki, prosta cela, zmrok,  
światelko pełga, patrzy słodki wzrok  
Najświętszej Matki...

Spoczął tam poeta!

Pół-dzień świetlisty nad nim i pół-mrok,  
i czuwa z zewnątrz Wawelu sylweta.

—  
*Tłum. Antoni Bogustawski.*

### MIKOŁAJ RAJNOW

(ur. 1889)

#### Z «KRÓLOWEJ ACHINORY»

Jestem Achinora, żona Asparucha, królowa Bułgarji.  
Jestem ciemnem przeznaczeniem całego królestwa.  
Jestem nieszczęśliwą ofiarą całego narodu.  
Dlaczego mnie budzicie?...

...Przyszedł jednego wieczora w dworzec wieszczek — białowłosy starzec, imieniem Kardam.

I wziął srebrne sito, nasypał w nie zbożowego ziarna, wyszeptał cicho słowa drżącymi usty — i rozdzielił ziarna ostrzem miecza.

A potem zapali czarną smołę, zamyśli się — i uczyni nad sitem dziwny ruch rękoma.

I rzeknie do króla:

— Wielkie carstwo ugruntowałeś! Silne dłonie władać niem będą od szczytów do bezdni i od zachodu do wschodu. Dni górnej chwały przeżyje twój naród, królu! Rozdzieli łup, łupem sam się stanie, a potem nowy łup zdobędzie.

Stary Kardam się zamyślił — a potem powiedział gromkim i uroczystym głosem:

— Niech osłania twój naród Ten, którego głos słyszę!

A potem rzekł cicho:

— Zali wiesz, co On powiada? «Krwawej żertwy żądam» — mówi On — «krwawej zemsty, bym mógł zachować od poguby twój ród!» Tako powiada On! A ty — czy posłuchasz, królu?

Zamilknie rapsod i spuści oczy.

A król zapyta:

— Rzeknij, starcze, kogo ma przebić twój ofiarny nóż! Rzeknij, czyje serce ma spłonąć na stosie!

A wtedy starzec Kardam wyciągnął srebrną płytę, pogrążył ją w krużu z wodą, wyszeptał słowa i znów ją wydobyl.

I rzekł potem do króla:

— Czyj obraz widzisz tu?

I spojrzj Asparuch na błyszczącą płytę.

Widziałam, że oblicze jego zbladło, a usta zadrżały...

— Czy to nie złudzenie? — spyta trwożliwie.

A wieszcz odpowie głucho:

— Nie ludzi Ten, który cię prowadził od dzikich stepów, aby ci dać naród i ziemię! Krew przelałeś za ziemię — krew trzeba znów przelać za naród, który ją zaludni!... Czy przejęło cię trwoga, że, co ci najmilsze, złożyć musisz w ofierze?

A król Asparuch odpowiedział:

— Nie trwożę się tem. Ale — czy niedość krwi tych, którzy ją przeleli po onych cudzych górach i polach, czy niedość — najdroższej naszej krwi?... — Czy zamierzchła wspólność nie zaczęła przemawiać w duszy tych naszych byłych braci? Czy nie zakipiała w tych zamartwych żyłach rodzinna wspólna krew? — I naco potrzeba stawić przede mną nową próbę — czy nie byłem gotów dać choćby samego siebie? — Czyto raz niejedna strzała leciała przeciw mnie — czyto jedna kopja zadzwoniła naprzeciw mego serca — czyto jeden miecz szukał ze zwodnym dźwiękiem mej głowy, którą chciał rozwalić?... Ale ninie... tak — droga mi ona: — kocham ją więcej, niż siebie... poco kłamać? — Tak — — — tyś dobrze zrozumiał! — Czy była konieczność, żeby i krew kobiety zrosiła stos, od którego zapłonął ogień nowej wiary i nowego porывu?...  
...Wtedy przejrzałam wiele — i przed oczyma memi zaplotły się czerwone obłoki — i podcięło mi nogi...

A potem wróż Kardam ściśnie szczęki i odezwie się dziko:

— Nie pytaj mnie: pytaj bogów! Zali moje słowo wieszczą moje usta?... Tyś zaczął dzieło, a teraz stanąłeś w połowie. Ty sam złączyłeś w jedną całość porozrzucane swe plemiona: — nie może nikt za ciebie składać ofiary! — — — Ale — widzę: sprawiłem ci boleść!...

Wówczas król skinął ręką i rzekł:

— Niech się stanie.

...I zebrał się nazajutrz przed wschodem słońca cały naród w świętym gaju.

A król Asparuch chwycił mnie za rękę i prowadzi mnie. — Nie wiedziałam, dokąd mnie wiedzie.

Alści — ujrzałam łzy w jego oczach — a jego policzki drżały...

A w środku gaju wznosił się stos, i młodzież czekała z pochodniami na ofiarę. Przed wyniosłym stosem stał stary Kardam. W rękę jego błyszczał miecz.

...Kiedyśmy doszli, rozstąpił się naród, byśmy mogli przejść.

A gdyśmy stanęli u celu, król przygarnął mnie do siebie, pocałował mnie czule długim pocałunkiem — i rzecze do proroka:

— Przyszła ta, której żądali bogowie — którą wybrali z pośród całego narodu!

Król mówił twardo, ale płacz taił się w jego głosie — i łzy, niby kamień, ciążyły w jego gardle.

I — ja pojęłam wszystko... Zadrzałam na całym ciele, jak przerwana cięciwa.

Przed memi oczyma zakreśliła się cała ziemia i kędyś się pograżała.

...Kiedy wróciłam do przytomności, uczułam rękę króla, którą mnie podtrzymywał.

Przed mną stał cały naród — i wszyscy pałali miłością ku mnie: — och, wiedziałam o tem!

I wtedy nabrałam odwagi i wyprostowałam się przed nimi — dumna i gotowa na śmierć.

Ale nie mogłam myśleć, nie rozumiałam nic, nie pamiętałam nic...

Przed oczyma moimi zajaśniał barwny obraz mego życia — wydał mi się on pełen uroku, czaru i szczęścia.

A tam przede mną czekał teraz cały naród, by ujrzeć wściekły triumf płomieni...

Widziałam ogniste oblicze śmierci, czułam wprzód ostry ból noża — ciepło bryzgającej krwi i chłód białego miecza.

A potem przejmujące znużenie podcięło moje członki, krew moja mieszała się z dymem płonącego ludzkiego ciała, ręce mi obwisły, niby odcięte w czas wściekłego święta wyniosłych płomieni.

Wielka krwawa ściana dzieliła mię od chwili mego ostatniego szczęścia, mej wielkiej namiętności, mego ostatniego małżeńskiego splotu.

...A tam, za tą ścianą, stała śmierć: — ogromna, dzika, władna!  
Rozdarło się ciemne płótno przed memi oczyma: spadły wszystkie zasłony życia;  
uczulam, że dusza pierzcha nieśmiało od tamtej strony życia, od tamtej strony śmierci.  
I postanowiłam.

...A oni czekali.  
Wieszcz Kardam, surowy i zimny, stał tam, przed stosem ofiarnym, a w ręce jego  
błyszczał szeroki dwusieczny miecz...

Podeszłam do stosu — i poczułam chciwy uścisk płomieni.  
I sama obnażyłam swoją pierś — znalazłam serce — i rzekłam do wróża:  
— Przystąp: oto tutaj!  
I widziałam, jak zadrżał cały naród — i odwróciłam oczy, kiedy wieszczek pod-  
niósł nóż.  
A tam, pięć stóp ode mnie, stał Asparuch — dumny władca, który wodził na  
mnogie boje swój lud — i widział, jak mrą tysiące.  
A kiedy Kardam dotknął mieczem mej piersi, i lodowaty ból wtrząsnął mem cia-  
łem, widziałam, że Asparuch szczyt swój dźwignął przed swoje oczy — niby zastania-  
jąc się, by nie widzieć mej śmierci...  
A kiedy ciepła krew trysnęła z rany — i po mojem ciele rozlało się lekkie znu-  
żenie, podniosłam zmęczone oczy na władcę i widziałam, jako zadrżała jego ręka —  
i jak upuścił swą tarczę...

Był on blady — blady, niby trup...

*Tłum. Józef Gołąbek.*

*Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.*

# L I T E R A T U R A   B I Z A N T Y Ń S K A

---

ŚW. GRZEGORZ Z NAZJANZU  
(328—389)

## ALFA I OMEGA<sup>1</sup>

AUTOREM oraz celem spraw twych — niech Bóg będzie.  
BLIŻSZY codzien kres życia — oto zysk dni naszych.  
CNOTLIWYCH ludzi czyny bierz sobie za przykład.  
ĆWICZ się w łasce — gdy łaski upraszasz u Boga.  
DOBRODZIEJSTWAMI — Bogu staniesz się podobny.  
FOLGI nie dawaj ciału — poskramiaj swe żądze.  
GNIEW okiełznaj — byś z szranków rozsądku nie wyszedł.  
HAMUJ język — i wzrok swój utrzymuj na wodzy.  
INTRYGOM, sprośnym żartom nie podawaj ucha.  
JASNĄ życia pochodnią winien ci być rozum.  
KŁAMLIWE rzuć pozory, szukaj nurtu prawdy.  
LICZNE zgłębiaj nauki, lecz czyn — to, co słuszne.  
ŁASKAW bądź dla tułacza — i tyś wszak tułaczem.  
MYŚL o burzach najwięcej — gdy płyniesz szczęśliwie.  
NĘDZA jest rzeczą straszną; gorszą — złe dostatki.  
OD BOGA każdą dolę wdzięcznym przyjmuj sercem.  
PLAGI z rąk sprawiedliwych lepsze — niż złych względy.  
ROZUMNYCH, nie bogaczy, częstym bywaj gościem.  
SPRAWA drobna jest wielką — gdy plon daje wielki.  
ŚCIAGAJ wodze swej dumie — gdy mędrce chcesz ostać.  
TOBIE niechaj zazdroścą — ty wstydz się zazdrości.  
UWAŻAJ sam na siebie — nie drwij z klęski drugich.  
WOLI Bóg duszę ludzką niż wszelkie ofiary.  
ZBAWION będzie, kto tego wszystkiego przestrzega.

## DO CESARZA JULJANA

(Wstawiennictwo za ubogimi w szpitalu, ufundowanym przez św. Grzegorza.)

Ziemię spragnioną zalał deszczami Ten, który je spętał,  
ktoś od potopu wód cały wybawił nasz świat;  
ktoś od chorób ratował, ktoś ludzi od wojen ochraniał,  
z nieba zesyłał chleb, wielki nakarmić chcąc tłum.  
W twoje zaś ręce sam Bóg dziś złożył wagę podatków,  
światny Juljanie, jak wpierw wagę sędziostwa ci dał —  
wagę rzetelną, bezstronną i ściłą. Więc, mężu dostojny,  
oszczędź biedaków mych, brzemię podatków z nich zdejm!  
Oszczędź tych, których ciało wyniszcza żrąca choroba...  
oszczędź!... a imię twe w niebie zapiszą do ksiąg!

<sup>1</sup> W oryginale wiersze te (trymetry jambiczne) idą według porządku liter greckiego alfabetu; jest to prototyp t. zw. wierszy alfabetycznych, uprawianych narówni z innymi akrostychami przez Romanosa i Jana Geometrę. (Przyp. tłum.)



Bóg wszechmogący zawsze nam równą miarą odplaca,  
 ilekroć bliźnim swym chętną złożyliśmy dań.  
 Przyjdź z pomocą śmiertelnym — wszak wszyscyśmy ciałem odziani;  
 Łazarz leży w twych drzwiach — dajże mu kruszyn choć garść!  
 Chrystus też był wśród ludu, co płacił cesarzom podatki:  
 na Chrystusowych słów dawną tradycję miej wzgląd!  
 Wzgląd miej na matkę rodzoną, pobożną a tkliwą dla biednych,  
 także na dom twój, co zwykł dawać im radość i schron!  
 Wzgląd miej, o przyjacielu, na mienie, które ubogim  
 ofiarowałem, chcąc w ślady Chrystusa nieść krzyż!  
 Wspólnej przystani szukają żeglarze — i wspólnej opieki  
 zebrań biedacy... Niech dóbr ziemskich przypadnie im dział!  
 Jam dal mienie — ty łaską ich obdarz! Równą zasługę  
 miejmy za zbożny trud! Władco, ulituj się nędz!...  
 Bóg Wszechmocny obdarzył cię taką darów mnogością,  
 jakiego na świecie tym rzadko doczekał się człek:  
 cnem urodzeniem, wymową, bogactwem, urodą i wdziękiem,  
 a w znajomości praw rzymskich nie rówien ci nikt!  
 Lecz największym ci będzie zaszczytem, gdy dłonią łaskawą  
 tknąwszy tych żywych mar, życie w nie wlejesz i moc!...

*Tłum. Józef Birkenmajer.*

#### Z «LISTÓW»

#### Do Bazylego<sup>1</sup>

Com ci przedtem o pobycie nad Pontem listownie przesłał, to były żarty, a nie myśli poważne. Ale co teraz piszę, to aż nadto poważne. «Kto mnie przeniesie w raj owych dawnych dni»<sup>2</sup>, kiedyś się wraz z tobą kochał w cierpieniu? Toć dobrowolna przykreść jest cenniejsza od mimowolnej radości! Kto mi da owe psalmów śpiewanie i czuwanie, i modlitewne do Boga wzloty, i ów jakby niematerialny, bezcielesny żywot? Kto owe zbratanie i zlanie dusz, które ty przebóstwiałeś i wzwyż dźwigałeś? Kto owe zawody o cnotę, ową zachęte, którą utrwaliłiśmy pisanemi określeniami i prawidłami<sup>3</sup>? Kto mi da to zatapianie się w słowach Bożych i światło, znajduwane w nich pod wodzą Ducha? Albo, by wspomnieć rzeczy mniejsze i marniejsze, kto — owe prace dzienne i mozoły, zbieranie drzew, łamanie kamieni, sadzenie drzew i nawadnianie? Kto ten jawor złoty, cenniejszy od owego kserksesowego, pod którym nie król siedział znudzony, lecz pustelnik umartwiony, jawor, który ja zaszczyłem, Apollo podlewał<sup>4</sup>, to jest twoja zacność, ale Bóg ku czci naszej dał wzrost, by zachowała się pamiątka naszego mozołu, jak — wedle wiary — w skrzyni przymierza owa różdżka Arona, co zakwitła<sup>5</sup>. Tęsknić, ach, do tego bardzo łatwo, osiągnąć trudno. Więc ty stój przy mnie, tchnieniem twem i współpracą ożywiaj mą cnotę, a ten dorobek, któryśmy niegdyś zebrali, uchroni modlitwami, byśmy się zwolna, jak cień, nie rozwiiali przy zmierzchu dnia. Ja więcej tobą oddycham niż powietrzem i tyle tylko żyję, ile z tobą jestem, czyto rzeczywiście, czyto w wyobraźni.

#### Do Tekli<sup>6</sup>

Wybierałem się i osobiście do twej pobożności, chociaż ciało moje słabowało, zarazem by cię odwieźć i pochwalić za siłę ducha, na którą zdobywasz się wobec śmierci błogosławionego brata twego: bo o tem nie wątpię. Skoro jednak jakaś okoliczność przeszkodziła mi, z konieczności biorę się do listu i przez chwilę z tobą

<sup>1</sup> Św. Bazyli Wielki (331—379).

<sup>2</sup> Job XXIX, 2.

<sup>3</sup> Początki reguły zakonnej, która istnieje w dwóch redakcjach św. Bazylego.

<sup>4</sup> I Cor. III, 6.

<sup>5</sup> Num. XVII, 6—10.

<sup>6</sup> Siostra świętobliwego prezbitera Sacerdosa, który zmarł wśród oszczerstw i napaści.

o twej doli podumam. Skąd wyszedł szlachetny Sacerdos, szczerzy i dziś, i przedtem sługa Boży? Od Boga. Gdzie jest Sacerdos teraz? U Boga — nie bez radości, jestem pewny, usunął się od zawiści i zacepek złego ducha. A my skąd jesteśmy? Czy nie też stamtąd? Dokąd my odpłyniemy? Czy nie do tego samego Pana? Tylko oby z równą ufnością! Czciście tego samego Boga przyprowadzeni zostaliśmy i odprowadzeni zostaniemy stąd, wycierpiawszy tu niewiele, przynajmniej w odniesieniu do przyszłych nadziei, i może nato, żeby poznać łaskę z tego, cośmy tutaj wycierpieli. Ojciec, matka, brat wyprzedzili... Co to jest? Zastęp chwalebnych pątników! Pójdzie za nimi wkrótce i Tekla, służebnica Boża, pierwociny dusz pięknych. Niedługo tu zabawi, tyle, żeby i owych — w górze — uczcić swą wytrwałością i stać się dla licznych przykładem filozoficznej w takich chwilach dzielności. Błogostawmy przeto tę samą prawicę Pańską i bierzmy rządzenia Jego wznioślejsz, niż tłum! Przyjmij teraz te słowa zamiast mej osoby i żyj temi myślami, choć może lepsze w sobie znajdujesz. Jeśli dane mi będzie osobiście zobaczyć ciebie wraz z całym twojem otoczeniem, tem większa będzie wdzięczność moja dla Dobroczyńcy.

*Tłum. Jan Stahr.*

#### Z «HYMNÓW»

O Ty, nad wszystko najwyższy! Bo jakże inaczej zwać Ciebie?  
 Jakież Cię słowo wystowi? Słów braknie, by Ciebie wyrazić.  
 Jakaż myśl Ciebie ogarnie? Daremny jest myśli wysitek.  
 Tyś jeden niewysłowiony, boś stworzył wszystko, co mówi;  
 Tyś tylko sam niepojęty, boś stworzył wszystko, co myśli.  
 Wszystko, co myśli i co nie myśli, cześć Ci oddaje,  
 Ku Tobie bowiem zmiierzają powszechne wszystkich pragnienia  
 I wszystkie boleści. Wszystko się modli do Ciebie. Wszystko,  
 Uznając Twoje wyroki, hymn Tobie szepce milczący.  
 W Tobie wszystko istnieje, Ty wszystko razem ubóstwiasz,  
 Ty celem jesteś wszystkiego. Tyś jest jednością, wszystkim i niczem,  
 Nie będąc jednością ni wszystkim. Jak Cię, wieloimienny, zwać będę?  
 Tyś jeden nieogarniony, jakież bo umysł przeniknie  
 Nieprzebytą oponę niebieską? Bądź miłościwy,  
 O Ty, ponad wszystko najwyższy, bo jakże inaczej zwać Ciebie?

*Tłum. Edward Grabowski.*

#### SYNESIOS

(ok. 370—ok. 415)

#### Z «HYMNÓW»

Ciebie wielbę, Twórcu świętej  
 Zorzy powstającej,  
 Zorzy wzrastającej,  
 Zorzy południowej,  
 Zorzy zachodzącej...

Dla Ciebie Tytan niebo przebiega —  
 Źródło światła niewygaste,  
 Dla Ciebie i kszężyc dwurogi  
 Rozprasza nocne ciemności,  
 Dla Ciebie plony się rodzą,  
 Dla Ciebie pasą się trzody...

Na Twoje przyjście, Mocarzu,  
 Zadrżały trwogą niezmierne  
 Tłumy powietrznych demonów;

Wstrzymał się dziwem przejęty  
 Chór jasnych gwiazd nieśmiertelny;  
 Eter zajaśniał weselem,  
 Ojciec rozumny harmonji  
 Z radosną pieśnią połączył  
 Dźwięk uroczystej muzyki  
 Ze siedmiostrunnej swej liry;  
 Uśmiechem błysła jutrzienka,  
 Zwiastunka światła dziennego,  
 I złota zorza wieczorna,  
 Promienna gwiazda Cytery...

Wielbę Cię, Jedności,  
 Wielbę Ciebie, Trójco.  
 Tyś jednością w trójcy,  
 Tyś w jedności trójcą...

Chwała Ci, Syna początku,  
Chwała Ci, Ojca odbicie!  
Chwała Ci, Syna podstawo,  
Chwała Ci, Ojca pieczęci!  
Chwała Ci, Syna potęgo,  
Chwała Ci, Ojca piękności!  
Chwała Ci, Duchu przeczysty,  
Ojca i Syna ognisko!

Jam Twe nasienie,  
Jam jest iskierką  
Myśli szlachetnej,  
W otchłań materji  
Z góry strąconą.  
Ty bowiem na świat  
Duszę zesłałeś

I dla tej duszy  
Myślą, Wszechmocny,  
Natchnąłeś ciało.

Zwróć mię do źródła,  
Skąd się wylałem,  
Błądny wygnaniec;  
Dozwól, niech dusza,  
Której Tyś władcą,  
W chórze wybranych  
Śpiewa nabożnie  
Hymny duchowne;  
Dozwól jej, Ojcze,  
Zlać się ze światłem  
I nigdy w ziemskim  
Nie ugrząźć kale.

*Tłum. Edward Grabowski.*

## ROMANOS

(wiek VI)

### MODLITWA

Zbawiciela Chrystusa uczcijmy!  
Hold, o wierni, niech każdy Mu złoży!  
On Miłośnik i Pan nasz uprzejmy  
i jedyny od wieków Syn Boży!

Wszak aniołów śpiewają Mu szyki,  
bezcieleśni Go wielbią duchowie:  
ognistemi wołając języki,  
w trzykroć-świętej bratają się mowie.

W triumfalnej bratając się pieśni,  
co trzykrotna jest wraz i jedyna,  
wysławiają rozgłośnie, wspólnie  
Boga-Ojca i Ducha, i Syna.

W trzech osobach się Bóstwo wyraża,  
przecież jeden jest Bóg nierozdzielny.  
Oną moc nadziemskiego Mocarza  
czcić powinien twórcy każdy śmiertelny.

Matko Boża, Dziewico, Królowo!  
nie opuszczaj nas — rabów ubogich —  
wśród tych burz, co nam wiszą nad głową,  
wśród drapiezców przemożnych i srogich!

Gołębico Ty, Duchem złocista!  
Pani, wyższa od Potęg i Mocy!  
Apostołów Tyś chluba! Tyś przystań,  
gdzie dążyli Wyznawcy, Prorocy!

Tyś jest świata całego ratunkiem,  
rajem, grodem o dwunastu bramach,  
zacną wieżą ze złotym rynsztunkiem,  
wonną czarą duchowych balsamów.

Tyś jest szaniec i mur niezwalczony,  
Tyś przedmurzem jest wiernych mocarzy,  
dusz pobożnych Tyś boską obroną,  
ciał niewinnych Tyś mocą i strażą.

Przeto wielbim Cię, Pani bez plamy!  
Byśmy w strasznym dniu sądu nie szejli,  
ale łaskę i litość znaleźli,  
Twego Syna i Pana błagamy!...

W dniu tym ratuj mnie, ratuj, o Chryste!  
Miłośniku dusz ludzkich i Panie!  
Z toni piekła mnie wybaw ognistej,  
niech mnie szatan w swą moc nie dostanie!

Niech demonów nie będzie to chwałą,  
że mnie podszept ich niecny omamił,  
żem pokalał i duszę, i ciało  
i w mem życiu wciąż grzechem się plamił!

Nie wiem, nie wiem, co pocznę nieszczęsny!  
A więc krzykiem spowiadam się jawnym:  
idę z prośbą, jak syn marnotrawny,  
z Magdaleną tży leję — tży rzesne!

Panie! Panie! Ty zbaw mnie z czeluści!  
Nie daj w grzechów zatonać mi bagnie!  
Nie chciej, Dobry Pasterzu, dopuścić,  
by nad przepaść zbłądziło Twe jagnię!

Racz mnie z ciżby mych cierpień wy dostać,  
boskiem światłem oczyszczaj sumienie,  
bym oglądać mógł boską Twą postać  
i wysławiać Ci pieśń uwielbienia.

Tobie chwała należy się przecie,  
Bogu-Ojcu, Synowi, Duchowi,  
od wszelkiego stworzenia na świecie  
na wiek wieków... o Panie łaskawy!

—  
*Tłum. Józef Birkenmajer<sup>1</sup>.*

### AGATHIAS Z MYRINY

(koniec wieku VI)

#### DO PIĘKNEJ SZYNKARECZKI

Wcale nie jestem pijakiem; lecz jeden stawiam warunek,  
chcesz li, luba szafarko, żebym się upił jak bąk:  
amocz wargi swe w winie, a potem mi podaj ten trunek —  
trzeżwym już pewno nie będę, wzięwszy ten kielich z twych rąk!  
Bo ten kielich od ciebie przynosi mi twój pocałunek,  
wróży miłości rozkosze, w czarów zamyka mnie krąg!

### PAULOS SILENTIARIOS

(schyłek w. VI)

#### WIOSNA NAD MORZEM

Już pod tchnieniem zefirów odsłania łono zakryte  
wiosna, upojny czar siejąc wśród gajów i łąk.  
Oto właśnie przed chwilą z pomocą walców drewnianych  
długo beczynną łódź znowu zepchnięto na toń.  
Więc, rozwiniawszy żagle, bez trwogi wypłyniecie, żeglarze,  
w piękny szeroki świat, towar zanosząc tam swój!  
Priap sprzyja żeglarzom, a co się tyczy Tetydy,  
życzmy, by ojciec nasz, Zeus, gościem i druhem jej był!

### JAN MOSCHOS EUKRATAS

(578—602)

Z «ŁĄKI»

#### Lew św. Gerasyma.

O jaką milę rzymską od świętej rzeki Jordanu znajduje się pustelnia, zwana imieniem świętego opata Gerasyma. Gdyśmy tam zawitali, ojcowie, siedzący w onej pustelni, opowiadali nam o rzeczonym świętym, iż pewnego razu, przechadzając się samopas po brzegu świętego Jordanu, napotkał lwa, żałośliwie ryczącego. Przyczyną ryku był cierń, który wbił się w stopę zwierzęcia, tak iż spuchła i nabrzmiała ropa. Gdy więc lew obaczył starca, podszedł ku niemu i jął pokazywać mu stopę, okaleczoną owym cierniem, jakoby uskarżając się i prosząc odeń posługi. Starzec, widząc go w takiej niedoli, usiadł przy nim, przeciął wrzód, z wielką pieczołowitością wyjął cierń, poczem, przemywszy ranę i przewiązawszy nogę płótnem, puścił lwa wolno. Jednakże lew, doznawszy tej przysługi, nie odstąpił od starca, lecz jako posłuszny uczeń towarzyszył mu wszędzie, gdziekolwiek ten się ruszył, tak iż dziwować się począł staruszek onej wdzięczności zwierzęcia. Odtąd już starzec żywił lwa, rzucając mu chleb oraz bób prażony.

Miał zaś on klasztor osła, wożącego wodę dla użytku żyjących tam starców. Pijali bowiem wodę ze świętego Jordanu, oddalonego od pustelni o całą milę. Mieli przeto ojcowie zwyczaj powierzać osła opiece lwa, aby go pilnował, pasącego się nad brze-

<sup>1</sup> Tegoż pióra są wszystkie dalsze przekłady tekstów bizantyńskich.

gami świętego Jordanu. Pewnego tedy razu osieł, pasący się pod okiem lwa, odszedł od niego na niewielką odległość. W sam raz naonczas przejeżdżali wielbłądnicy z Arabji; ci, spostrzegłszy osła, porwali go i uciekli do swego kraju. Lew, widząc stratę osła, zgryziony i zawstydzony przybył do pustelni, do opata Gerasyma. Opat mniemał, iż lew zjadł osła, przeto rzecze do niego: «Gdzież osieł?». Lew zaś, jakoby człowiek, stał w milczeniu, zwiesiwszy łeb ku ziemi. Tedy rzekł doń starzec: «Zjadłeś go? Chwała Bogu! To, co dotychczas robił osieł, będziesz ty robił od jutra w jego zastępstwie!» Odtąd więc lew na rozkaz opata dźwigał ładunek, mieszczący cztery stągwie, i woził wodę.

Pewnego razu przybył żołnierz, by zaność modły do starca; ujrzawszy lwa, wozącego wodę, i dowiedziawszy się o przyczynie, ulitował się nad zwierzęciem. Wysupławszy tedy trzy sztuki monety, wręczył je zakonnikom, by zakupili osła do wozenia wody i zwolnili lwa od tej powinności. W jakiś czas po uwolnieniu lwa ów wielbłądnik, który był uprowadził osła, pojechał znowu do świętego miasta na zakup zboża i wziął osła z sobą; przebywszy święty Jordan, dziwnym trafem natknął się na onego lwa. Obaczywszy go, pognął czem prędzej wielbłądy i uciekł. Lew zaś, poznawszy osła, przyskoczył ku niemu i zwyczajem swoim, pokazawszy mu zęby, poprowadził z sobą i osła, i trzy wielbłądy; porykując z radości, iż odnalazł osła, którego był stracił, przybył do staruszka. Przekonał się tedy święty Gerasym, iż lew niesłusznie był oskarżon. Nadał onemu lwu imię Jordan i żył z nim nieodłącznie przez lat pięćdziesiąt.

Kiedy zaś do Pana odszedł opat Gerasym i był przez ojców pogrzebion, jakoż zrządzeniem Bożem lew nie znajdował się w pustelni; przyszedł jednakże po niedługim czasie i jął szukać staruszka. Uczeń zaś Gerasyma i opat Sabbatios, obaczywszy go, rzekli doń: «Jordanie, nasz zwierzchnik opuścił nas, sieroty, i odszedł do Pana; ale chodź-no tu do nas i pożyw się». Wszelakoż lew nie chciał jeść, tylko wciąż rozglądał się na wszystkie strony, by obaczyć swego pana, rycząc głośno i niepokojąc się swem opuszczeniem. Widząc to, opat Sabbatios i inni ojcowie zaczęli głaskać go po grzbiecie, mówiąc: «Odszedł nasz zwierzchnik do Pana i ostawił nas»... Te ich przemowy nie zdolały stłumić jego wrzasków i jęków boleści; im więcej starali się go ugłaskać i ból jego uśmierzyć, tem głośniej ów ryczał i coraz to większym krzykiem wzmagął ich żalność, okazując i głosem, i oczyma zmartwienie, jakiego doznawał wskutek nieobecności swego pana. Wówczas rzekł opat Sabbatios: «Skoro nam nie wierzysz, tedy pójdz ze mną, a pokażę ci miejsce, gdzie leży pogrzebion nasz staruszek». I wzięwszy go, zaprowadził tam, gdzie byli pochowali świętego Gerasyma; było to miejsce o jakie pół mili od kościoła. Opat Sabbatios, stanąwszy nad mogiłą opata Gerasyma, rzecze do lwa: «Oto tu spoczywa nasz zwierzchnik». To rzekłszy, ukląkł przy mogile... Gdy tedy ujrzał lew, jakie spotkało go nieszczyćście, pochylił nagle łeb ku ziemi i, ryknąwszy smętnie po raz ostatni, zmarł po chwili na grobie swego pana.

To stało się nie dlatego, jakoby lew miał duszę ludzką, lecz ponieważ Bóg pragnie wsławić tych, którzy Go sławią, nietylko za ich życia, ale i po śmierci, i wskazać, jak uległe były zwierzęta Adamowi, zanim ów złamał przepis Boski i utracił rajskie rozkosze.

## GEORGIOS PISIDES

(600—660)

### ZWYCIĘSTWO CESARZA HERAKLIUSZA NAD PERSAMI

Barbarzyńca, zmuszony wszędzie do rozsyпки,  
powziął w onej opresji plan śmiały a szybki: •  
wiedział bowiem, iż nieraz w ucisku i biedzie  
lęk podsuwa człekowi skuteczne zamysły,  
które go od porażki uchronią ponownej.  
Więc, wypatrzywszy pory — jak myślał — stosownej,  
właśnie w onej rozsyponce i ciężkiej potrzebie,

kiedy pierwsze dnia blaski z mórz głębi zabłysły  
i jasne światło jutrzni jawi się na niebie,  
gromadę wojska na trzy podzielił kolumny,  
ustawił je podstępnie tuż na samym przedzie,  
tak iżby w oko twoim wpadały oddziałom;  
wybranych zaś rycerzy wzięwszy autorament,  
ukrył ich w debry górskie, poza skalny załom,  
by, gdy wędrze się z dołu drużyna junacka,  
owi mogli twe hufce zaskoczyć znienacka  
i choć w ich części trwogę wywołać i zamęt:  
bo jakowejś nadziei mamila go złuda,  
krzepiąca go wśród dawnych trwóg i dawnych przeżyć,  
że jeśli choć część wojska zwalczyć mu się uda,  
zarazę klęski zdola na całość rozszerzyć.  
Lecz tu się ujawniła przytomność twej głowy  
i doświadczenie w boju, i duch twój wojacki,  
bo zanim noc posępna dobiegła połowy,  
tyś wszystkie barbarzyńców ukryte zasadzki  
przezornym swym zabiegiem wybadał dokładnie,  
i umiałeś ich zamiar sobie wyobrazić;  
a sprawiwszy zastępy, ustawiwszy szyki,  
powiodłeś je do boju w sam raz w chwilę, kiedy  
wstało słońce i blaskiem swoim jęło razić  
uznające w niem Boga pogańskie czeredy.  
Wysłałeś naprzód tedy gromadę pokazną  
swego wojska, o władco, nietyle ją przytem  
orężem uzbroiwszy, co radą i sprytem.  
Oni jako do bitwy popędzili rażno,  
naraz jęli zawracać w udanym popłochu,  
nibyto uciekając... Zaś chmura barbarów,  
owa wybranych mężów słoczona drużyna,  
nagle rzuciwszy skały i zakryty parów,  
ścigać rzekomych zbiegów z zapalem zaczyna.  
A wtedy sam co rychlej hufce swe najlepsze  
przeciwko nim wywiodłeś, natarłeś zażarcie  
i niespodzianie! Trwogę wznieca to natarcie,  
napastników przełamie nagle i odeprze...  
Barbarzyńca zaś, widząc, że knowane zdradnie  
fortele właśnie jego przywiodły w zapadnię,  
mniemał, iż rozproszone hordy ubezpieczy,  
gdy im część swych zastępów pośle ku odsieczy.  
Lecz gdy ujrział, że i ci w szaleńczej bojaźni  
zmykają z placu boju, tak już się rozdrażni  
tym widokiem, iż pocznie lżyć, kalać, bezcześcić  
żywioly, które dotąd czcil narówni z Bogiem:  
bo wodę porozlewał i pogasił ogień<sup>1</sup>.  
Z ich zlewu wielkie dymu stworzywszy zastłony,  
chylkiem ucieka, mroku chmurą otoczony —  
rzekłbyś, dzień nocą czyni i naturę zmienia...  
Wyszukawszy przełęcz, prawie nie do przejścia,  
wąskie źleby i inne niedostępne miejsca,  
rzuczał szyki swe, skryte w czarnych dymów kłębie,  
to na szczyty podniebne, to w przepastne głębie.

<sup>1</sup> Te dwa żywioly uważane były przez Persów za święte; stąd nazwa «czcicieli ognia».  
(Przyp. tłum.)

Tam, iż szlak był niepewny, a wielką szli gęstwą,  
ze wszystkich stron groziło im niebezpieczeństwo:  
tu stroma krzesanica, co w niebo się piętrzy,  
tu przepaść, tu rzeź bitwy, tu zaś skalny odłom...  
To też niejeden z Persów, zwierzając się modłom,  
życzył sobie od miecza śmierci jak najprędzej;  
inny zasię, choć konia bystrego dosiądzie,  
spadł jemu rychle z grzbietu, arkanem chwycony;  
inni wreszcie, przed wrogiem szukając osłony,  
chronią się — jak za szaniec — za boki wielbłądzie;  
wszyscy przez skalne turnie, spadziste wąwozy  
szukali dróg ucieczki — śladem dzikiej kozy...  
A patrząc na to, dzielni twej armji żołnierze  
onym Bożym wyrokiem cieszyli się szczerze  
i twego dowodzenia podziwiali biegłość;  
albowiem oba wojska dzieliła odległość  
nie większa niż lot strzały, wypuszczonej z łuku,  
tak iż każdy z nas snadnie bez żadnej trudności  
mógł spoglądać w zdradliwą wąwozów warownię,  
wśród której barbarzyńcy roili się tłumnie,  
włokąc się krok za krokiem w niesfornej kolumnie,  
wśród zamętu i wrzawy, wśród zgiełku i huku;  
a płynęli bezwolnie, wśród niepowstrzymanej  
trosk wielkich nawałnicy, jak morskie bałwany,  
co miotane naprzemian wprzód, wstecz i na boki,  
to wzbijają się nagle w słup wody wysoki,  
to opadną zpowrotem i przygną się nisko —  
tak naszych nieprzyjaciół bezładne oddziały,  
płynące przez bezwodne głazów usypisko,  
jedne się z głębokości ku górze wspinały,  
drugie zaś, nad przepaści waląc się krawędzie,  
ciżbę jeno zwiększały w nadmiernym zapędzie.  
Tak gubił ich nierozum... A kto z górskiej perci  
runął wdół, to mu losu zazdrościli jeno:  
bo dla nich miarą szczęścia było i oceną,  
że ktoś był ponad innych śmielszy wobec śmierci...  
U nas zaś królowały nie strach i nie trwoga,  
lecz cisza i otucha, i wdzięczność dla Boga.  
Każdy z nas ręce wznosił ku Panu niebiosów  
i z serc naszych modlitwa bila mnóstwem głosów,  
dank i chwałę głosząca naszemu wodzowi...

### TEODOR STUDYTA

(759—826)

#### NA DYZURNYCH BRACI W KLASZTORZE

Jeśli kto, to wy ciężko musicie się trudzić,  
by wszystkich śpiących braci na czas ze snu zbudzić  
i zwołać tych, co mają za klasztorem pracę.  
Przeto, kiedy drewniany młotek zakolace,  
wy jako gońcy chyży i nieodwołalni  
biegniecie w każdy kątek, do każdej sypialni,  
i czyto w dzień, czy w nocy, w północ czy południe,  
budzicie i wzywacie wszystkich niemarudnie,

zwołując całą rzeszę do Pańskiej świątyni,  
gdzie każdy Bogu śpiewa i dzięki Mu czyni.  
Ten, Który sprawy ludzkie słuszną miarą mierzy,  
da wam za trud zapłatę, jaka się należy.

## JAN KYRIOTES GEOMETRA

(około 990 r.)

### HYMN KU CZCI NAJŚWIĘTSZEJ BOGARODZICY

Laskiś pełna, Dziewico łaskawa, łaski Rodzico,  
Pocieszycielko rodziców, niebios pociecho i ziem!  
Rada nam bądź, radosna radości wszelkiej krynico,  
czysta Dziewico i Matko, bólem nietknięta i złem!  
Witaj, Osłodo frasunku, Ratunku od sideł szatana,  
Matko czystości, co wspólnie niesiesz wolności nam blask!  
Witaj, plenna Ty glebo, filarze ziemi i nieba,  
prawdy i prawa Władczyni, szczęścia Dawczyni i łask!  
Witaj, rodu ludzkiego podpora i cnoty obfitej,  
niepokalanie poczęta Córko, zdobiąca cny ród!  
Witaj, darze mądrości i Matko najmiłsza! Zawitaj,  
nienaruszona Matko, Panno wstawiona przez płód!  
Witaj, napoju, co koisz cierpienia wszelkie, ból każdy!  
Zdroju wiecznego żywota, zdrowie mający za treść!  
Witaj drabino Jakóba, co sięgasz pod niebo i gwiazdy,  
która ludzi do Boga, Boga do ludzi masz wieść!  
Witaj, światłości śmiertelnych, pożogo straszliwa dla piekła,  
która nierozniecana płonie i płomień wciąż śle!  
Witaj, harmonjo sprzeczności, gdzie Boską naturę oblekła  
ludzka śmiertelna natura: rzekłbyś, iż siła to w źdźbłę!  
Witaj, krzaku ognisty, niezwydły wśród żaru, gorąca,  
owszem, bujnemi liśćmi rozwijający się wzwyż!  
Witaj, niebios pochodnio, przejaska Tarczo miesiąca,  
która w spotkaniu ze Słońcem jeszcze wspaniałej lśnisz!  
Witaj, nowy Rydwanie słoneczny, promienny i chyży,  
żywym ciągniony zaprzęgiem czterech ognistych cnót!  
Witaj, Stolico niebios przepiękna, wzniesiona powyżej  
wszech Serafinów, Cherubów, nad Tronów potęgę i cud!  
Witaj nam, Oblubienica Zwiastunko, Syna i Boga,  
która szatę szkarłatną przygotowałaś dlań.  
Witaj, po dwakroć szczepiona winnico żyzna, przebłoga,  
która z ludzkiej natury Bóstwu złożyłaś dań!  
Witaj Ty, co zrodziła Rodzica, co miałaś za Syna  
Stwórcę i Władcę świata, dawczy na ziemię mu wstęp, —  
Ty, co Niezmierzonego objęłaś swem łonem — jedyna —  
Mądrość ukryłaś w stajence, Klejnot spowiłaś w strzępie!...  
Witaj Ty, co żywiłaś Szafarza żywności! Promienna  
pierz Twa jedną z Trzech Osób Boskich syciła, jak zdroj.  
Witaj, muszlo Ty morska, co perłę zrodziłaś bezcenną,  
w krwawej skąpaną krynicy, w blasków odzianą strój!  
Witaj, jedyna, której niebiosu służą wspaniałe,  
która zaraz po Trójcy idzie w świętości Swej!  
Witaj, o witaj, Królowo łaskawa, litosna.. i chwalebna  
nawet z ust naszych grzesznych przyjąć życzliwie chce!



## CHRISTOFOROS Z MITYLENY

(pierwsza połowa wieku XI)

## NA MNICHA ANDRZEJA, ŁATWOWIERNEGO ZBIERACZA RELIKWIJ

Wielu ludzi to mówi; ile w tem jest prawdy,  
nie wiem — dość mi, że mówią i ręką mi słowem,  
iż cieszysz się niezmiernie, ojczy zakonniku,  
gdy kto skarbi twe łaski czcigodnymi szczątki  
świętobliwych wyznawców, mężnych męczenników.  
Masz pono-ć całe skrzynie tych świętych relikwii;  
otwierasz je i druhom swoim pokazujesz,  
naprzykład: męczennika Prokopa rąk dziesięć,  
potem i Teodora szczęk może z piętnaście,  
potem z osiem goleni świętego Nestora,  
odrazu cztery czaszki świętego Jerzego  
lub dwadzieścia rogózek, napętnionych kośćmi  
Pantelejmona... Trudnoż zliczyć tę obfitość!  
Powiadasz, iż to wszystko przechowujesz z wiarą,  
nie żywiąc wątpliwości żadnych ni skrupułów,  
i oddajesz część wielką owym relikwiarzom,  
jakby mieściły szczątki męczenników Pańskich...

\*

Wszystko złoto na świecie wyczerpałbyś prędzej,  
nim trupokupcy wszystkie przekopią cmentarze!  
Przeto doprawdy wkońcu poczynam się dziwić,  
czemu nie stracisz wiary w tych sprzedawców kości,  
ale owszem przyjmujesz ich wszystkich uprzejmie,  
snać w gronie ich doznając wielkiej przyjemności.  
Słyszałem od jednego z twych serdecznych druhow,  
że pewien frant, poznawszy twoją łatwowierność,  
wziął zwykłą kość baranią — kawałek łopatki —  
wymoczywszy ją dobrze w szafranowym soku,  
okadziwszy wokół i oporzadziwszy,  
podszedł żwawo i podał ci ją z temi słowy:  
«Oto kość męczennika, świętego Barnaby»  
(była to nie Barnaby kość, ale — barana!)  
«niewiele za nią żądam: szesnaście złociszów!»  
Tyś, ojczy, w dobrej wierze mniemał, iż dostałeś  
rzecz jakąś świętą... Przeto dałeś, ile żądał!  
Wielka bowiem jest wiara twoja — aż nad miarę —  
i mogłaby, dalibóg, przenosić świat cały,  
skoro i mała wiara, skromna, ale szczerza,  
jako ziarnko gorczycy (Chrystus Pan to mówi),  
potrafi ruszyć z miejsca niebotyczne góry...

## GEORGIOS KEDRENOS

(około 1100 r.)

## KRWAWY POSTĘPEK BASILIOSA BUŁGAROBÓJCZY

...Nie było roku, w którymby król omieszkał wtargnąć do Bułgarii, gdzie niszczył  
i w pień wycinał wszystko, co po drodze napotkał. Samuel zaś, nie mogąc w szcze-

<sup>1</sup> Imię świętego zmieniłem, by zachować grę wyrazów; w oryginale: Probos i probaton (owca). (Przyp. tłum.)

rem polu stoczyć z nim jawnej bitwy, zewsząd doznając klęski i tracąc kwiat ojczy-  
stej młodzi, uznał za stosowne odciąć mu zapomocą fos i murów wszelki wstęp do  
Bułgarji; zbudowawszy przeto obwarowanie, znaczną mające szerokość, porozmieszczał  
na niem co najdzielniejszych strażników i oczekiwał króla. Gdy ów nadciągnął (1014 r.)  
i jął próbować przejścia, strażnicy dzielnie stawili mu czoło i z góry odparli napast-  
ników, bijąc ich i raniąc. I już król wyrzekął się myśli o przeprawie, gdy Nikefor  
Ksifias, namiestnik naonczas Filipopolu, a stojący w szyku wraz z królem, jął nawo-  
ływać go do wytrwania i przedsiębrania dla niepoznaki ustawicznych szturmów —  
poczem oznajmiwszy, że odchodzi, by wykonać zamiar pewien zbawienny i pożyteczny,  
wziął z sobą swą drużynę, wycofał się z obozu i, kołując przez bezdroża i uciążliwe  
ścieżki, przebył najwyższą górę na południe od Kleidio, zwaną Valasica, aż wreszcie  
dnia 29 lipca o godzinie 12-tej z krzykiem i hałasem zaszedł tyły Bułgarom. Ci, znie-  
nacka zaskoczeni, rzucili się do ucieczki, król zaś, na własną rękę wdarłszy się w okopy,  
jął ich ścigać. Zginęło wielu, o wiele więcej dostało się do niewoli. Samuelowi ledwie  
udało się uniknąć niebezpieczeństwa dzięki pomocy rodzonego syna, który, mężnie od-  
pierając nacierających, wsadził ojca na koń i odwiózł go do stancyi, zwanej Prilap.  
Król zasię rozkazał oślepić wszystkich Bułgarów, wziętych w niewolę (a było ich, jako  
mówią, piętnaście tysięcy), a zostawiwszy na każdą setkę jednego jednookiego jako  
przewodnika, odesłał ten tłum ślepców Samuelowi. Gdy ów obaczył ich nadchodzą-  
cych w pełnej liczbie i w szyku, nie umiając dzielnie i cierpliwie znieść tego bólu,  
padł na ziemię nieprzytomny i bezsilny. Obecni starali się podtrzymać w nim życie  
wodą i krzepiącemi balsamy — na nic jednakże nie zdaly się ich zabiegi. Przy-  
szedłszy na chwilę do przytomności, zażądał, by mu podano zimnej wody do picia.  
Gdy mu ją przyniesiono, porwał ją czem prędzej i wypił; natychmiast schwycił go  
skurcz serca, od którego po dwóch dniach zakończył życie.

## MICHAŁ PSELLOS

(1018—1078)

### ZAMORDOWANIE ROMANA III W R. 1034

Czy więc owa zakochana para<sup>1</sup> oraz współnicy onej sprawy dokonali względem  
niego czynu, który między najgłupsze zaliczyć trzeba, tego orzec nie potrafię; nie  
snadno mi bowiem wyrokować o tem, czego należycie nie poznałem. Co się tyczy  
innych, powszechna panuje zgoda, że najpierw odurzili go lekami, następnie zaś do-  
mieszali do nich ciemierzycy; tedy i ja nie mam obecnie wątpliwości, że oni to  
stali się przyczyną śmierci. On zażył, co mu podano, poczem odbyła się ofiara  
święta za wyzdrowienie króla, tak nam wszystkim leżące na sercu. Tymczasem władca  
przygotowywał się, by wyjść nazajutrz z domu i podążyć na walne zgromadzenie na-  
rodowe; przeto przede dniem wybrał się do łaźni w pobliżu pałacu królewskiego,  
ani prowadzony pod rękę, ani nieobcy myśli o śmierci — wobec czego pragnął pięknie  
się namaścić i obmyć, jako też oczyścić z brudu swe ciało. Wszedł więc do umywalni,  
wymył najpierw głowę, następnie wyparzył się, a gdy już nabrał tchu i tężyzny,  
rzucił się do sadzawki, wykopanej pośrodku. Tam zrazu z lubością pluskał się w wo-  
dzie i żwawo pływał, parskając na znak zadowolenia i pokrzepiając siły; w pewnej  
chwili weszli też niektórzy z jego otoczenia, chcąc, jako się zdało, pohamować go  
nieco i służyć mu pomocą; nie umiem wszelakoż dokładnie powiedzieć, zali, przy-  
szedłszy do cesarza, ǳopuścili się jakiegoś bezprawia. Ci, którzy wiążą w całość resztę  
wypadków, powiadają, że gdy cesarz zanurzył głowę do wody, jako zwykł był czynić,  
owi ludzie wraz przygięli mu wdół szyję i tak go trzymali przez czas dłuższy, poczem,  
puściwszy go, odeszli; wówczas oddech, przydając mu lekkości, wydzwignął go nie-  
przytomnego na powierzchnię, pływającego jako korek bezwładnie. Gdy zaś, nieco  
oprytomniawszy, poznał, jakie spotkało go nieszczęście, wyciągnął rękę i jął prosić,

<sup>1</sup> Zoe i Michał.

by go kto pochwycił i postawił na nogi. Jeden zasię, ulitowawszy się nad nim i chcąc zachować pozory, wyciągnął ręce, wziął go w objęcia, wydobył z wody i, powłókszy, jak zdołał, z trudem ułożył go na pościeli. Na krzyk, który wówczas powstał, nadeszli inni jeszcze ludzie, a także i sama władczyni, bez straży przybocznej, jakoby straszliwym bólem ogarnięta; obaczywszy, co się stało, odeszła natychmiast, mając naoczny dowód jego bliskiego zgonu. On zaś, głuchy z siebie wydawszy jęk, rozglądał się bacznie na wszystkie strony, nie mogąc już przemawiać i tylko znakami i skinieniem wyjawiając pragnienie swej duszy. Gdy zaś z nikim nie mógł dojść do ładu, zamknął oczy i znów chrapliwiej zaczął rzezić; potem z ust poląła mu się strugą ciecz jakaś ciemnej barwy, gęsta i skrzepła, aż wreszcie po kilkakrotnem rżeniu życie zakończył.

## TEODOR PRODRAMOS

(wiek XII)

### ŻEBRACZE SKARGI UCZONEGO

(Wyjątki z pieśni IV-ej)

Od małości prawił mi tatulo mój stareńki:  
 «Mój chłopcze, ucz się liter, ucz, bo da ci chleb nauka!  
 Czy widzisz człeka tego tam? Piechotą dawniej chodził,  
 a dziś podwójny urząd ma... i gruba z niego ryba!  
 A tamten, kiedy uczył się, sandałów nawet nie miał,  
 a teraz, widzisz, chłopcze mój, trzewiki ma śpiczaste!  
 Ot drugi, kiedy w szkołach był, nie cesał się ni razu,  
 a dziś fryzuje pięknie łeb i czesze się po dworsku!  
 Zaś inny, jako młody żak, nie wiedział, co to kąpiel,  
 a dzisiaj w wannie pluszcze się na tydzień ze trzy razy!  
 Więc słuchaj moich starczych słów i dobrych rad ojcowskich —  
 i ucz się, ucz gramatyki, bo da ci chleb nauka!»  
 Wkuwałem więc gramatykę z mozołem, w pocie czoła —  
 i ot niebawem ze mnie był gramatyk zawołany...  
 Cóż z tego!... Chciałbym raczej mieć kęs chleba powszedniego!  
 Przeklinam więc naukę mą i mówię ze łzą w oku:  
 «O, bodaj szczyły sterty ksiąg na wieki wieków, amen!  
 O, bodaj przepadł miesiąc ów i dzień ów, i niedziela,  
 kiedy oddano mnie do szkół, bym uczył się pisania  
 i bym z książkowej wiedzy tej zarabiać miał na życie!»...

\*  
 Sitarkę za sąsiadkę mam — tuż za tem przepierzeniem —  
 i widzę nieraz, jak jej piec wciąż jarzy się płomieniem,  
 widuję nieraz obiad jej: choć nie jest zhyt zamożna,  
 to przecie i w powszedni dzień zdejmuje mięso z różna...  
 to znowu widzę, władco mój, jak na żarzących węglach  
 to babsko całe stopy ryb na obiad sobie smaży!  
 I ja mam chętkę choć na kęs... Gdy proszę, nie dać nie chcą,  
 lecz wszyscy w żywe oczy drwią i obelg mi nie szczędzą,  
 wołając: «Jedz-że księgi swe, pożeraj je, ojczulku,  
 i nasyć się, w tysięczny raz, uczoną pisaniną!  
 Jeżeli zaś dokuczy ci uczoność twa wyniosła,  
 belferski zawód w djabły rzuć i weź się do rzemiosła!»  
 Uciekam się do rady twej<sup>1</sup>... O władco, cóż mi powiesz?  
 Nadzieję mam, iż wesprzesz mnie i litość mi okażesz!  
 iż z głębi serca będę się za ciebie modlił, panie,  
 byś wszystkie morza, wszystek ład wziął pod swe panowanie!

<sup>1</sup> Do cesarza Manuela.

## GEORGIOS CHARTOFYLAKS

(w. XIII)

## SKARGA RZYMU

(Wyjątek)

Rzym, dawną swą potęgę, szczęście swe straciwszy,  
 tak skarżył się na los swój — los najnieszczęśliwszy:  
 «Odkąd, nieszczęsny, berło straciłem monarsze  
 i władanie nad wszemi krajami najstarsze,  
 ja, com na świat wysyłał przemożnych Cezarów,  
 popadłem w jarzmo hańby, w swawoli zły narów...  
 Odtąd żyję w niedoli, w niewoli, w przymusie,  
 grabią mnie opryszkowie, złoczyńcy, rabusiel  
 Biadaż mi! Gdzież się schronię i co z sobą pocznę?  
 Kto mi dzisiaj rozjaśni drogi moje mroczne?  
 Kto mnie z onej tyranji wybawi niemilej?  
 Kto słabnącego wesprze i doda mu siły?  
 Niemasz nikogo! W czarnej żałobie zastygłem —  
 na znak smutku me pukle złociste ostrzygłem;  
 ja, com jaśniał przepychem za dni moich dawnych,  
 tęskniłem do cesarzy, królów, wodzów sławnych  
 i wielkich czynów, w przeszłość odsuniętych ciemną,  
 dla których każdy w świecie bił czołem przede mną,  
 gdy miałem mir i władzę nad wszelkiem stworzeniem.  
 Lecz oto ten, co świata jest dziś podziwieniem,  
 Fryderyk, trzykroć szczęsny władca, silny koniędz,  
 któremu służy ziemia, niebo, morska głębia,  
 nadciągnął, lśniąc orężem, miednym łukiem dzwoniąc —  
 i widząc tę zgryzotę, która mnie przygnębia,  
 do dawnego błógiego przywrócił mnie stanu,  
 berło stare mi oddał, jako świata panu...»

## Z BAŚNI LUDOWEJ «KALLIMACHOS I CHRYSORRHOE»

(wiek XIV)

## PORWANIE CHRYSORRHOI

(W zamku, oswoobodzonym z pod władzy okrutnego smoka, żyją w szczęściu i miłości Kallimachos i Chrysorrhoe... Pewnej nocy budzi ich ze snu ryk groźny i wołanie o pomoc.)

Kallimach, gdy postyszał to, wnet wzdrygnął się bezwiednie:  
 brak czasu nie pozwalał mu uciekać przed złą dolą.  
 Spłonęli i splakali się, a dziewczka zatrwożona  
 z westchnieniem tak powiada doń: «Mój złoty Kallimachu,  
 krewniaków miewa nawet smok... Nie brat-że to tamtego  
 poprostu cichcem podkrał się i na nas napaść knuje?  
 pozostań tutaj, przy mnie bądź, nazewnątrz nie wybiegaj!»  
 On przedsię bieży w izbę swą i, miecz porwawszy, pędzi,  
 ogląda bramy; jedna z nich otwarła się natychmiast.

Zaiste zły pisany los, szaleńczaście iście dola!  
 Co w krótki czas wypełnić masz, przewlekać to daremnie...

Poskoczył żywo, skąd biegł głos — i słyszy szum ogromny:  
 z głębiny czarnej gęstych drzew wychodzi smok straszliwy,

stworzony mocą czarcich sztuk przez babę-czarownicę.  
 Smok babę trzymał w paszczy swej i właśnie miał ją pożreć,  
 więc nie od razu spostrzegł się, iż godzi nań Kallimach,  
 przypadszy, wzniosłszy nagi miecz do ciosu okrutnego...  
 Porzucił babę srogi smok i ruszył na młodzieńca.  
 Ten śmiało wraz uderza nań, niechybnym mieczem śmignął  
 i jednym cięciem zrabął łeb potwora straszliwego,  
 ów sztuczek czarnoksięskich twór, podstępów zdradnych dziwo...  
 A jędza, gdy zoczyła to, podbiegła do przybysza:  
 «O zbawco mój!... obrońco mój!» krzyknęła przeraźliwie,  
 całować jęła ślady stóp dzielnego Kallimacha.  
 Tymczasem dziewczka, widząc z baszt, jak walczy jej kochanek  
 i jak nakoniec odciął łeb smokowi straszliwemu,  
 porywa szczerozłotą kadź i śpieszy do sadzawki,  
 by czystej wody przynieść mu, by obmyć jego dłonie  
 i wedle gościnności praw powitać tę djablicę,  
 najokrutniejszą z wszystkich jędz, mistrzynię złych podstępów.

Zaiste zły pisany los, szaleńcza iście dola!  
 gdy masz coś spełnić w krótki czas, wypełni się aż nadto...

Przewrotna baba, djabli twór, zdradzieckich pełna knowań,  
 jasnego licha niecna mać, kumocha stu piorunów,  
 szatana niegodziwy chów, topielic pra-pra-babka,  
 doprawdy! wszelkich czynów złych mistrzyni i współniczka,  
 chcąc onej dziewce przynieść zgon, rzuciła jabłko złote:  
 «Niech jabłko spełnia czynność swą!» — tę klątwę śle starucha.  
 Podniosła dziewczka jabłko wnet, ogląda je z podziwem,  
 w zanadrze chowa złoty dar... W tej chwili zmarł młodzieniec...  
 Przybywa dziewczka w jasny dwór, miednicę niosąc z wodą;  
 cóż widzi?... Leży siny trup, Kallimach jej nieżywy!...  
 A baba nuże pieklić się i krzyczeć wniebogłosy!  
 Niebawem więc postyszał król ów wielki wrzask staruchy,  
 boć miał powszędy objazd swój i czujnych miał zwiadowców;  
 wziął z sobą konnych druhów stu i pomknął w oną stronę —  
 obaczył Kallimacha trup, na ziemi rozciągnięty,  
 i dziewczkę pozbawioną sił, omdlałą nieprzytomną,  
 i jędzę, co jak mały trzpiot tańczyła rozbawiona...  
 Nie wstrzymał-ci ich żaden wzgląd, ni chwilki nie zwlekali:  
 uprowadzili dziewczkę w mig, a babę razem z dziewczką!  
 Z pośpiechem wielkim wrócił król do kraju, skąd przyjechał...

Wybór tekstów i uktad Józefa Birkenmajera.

## Z PIEŚNI LUDOWYCH

### SARNECZKA

Gdy noc, gdy tuman łąki zaciemi,  
 Gdy głucho w borze — na bór, na łąki  
 Biegą jelenie, biegą jelonki,  
 Pasą się, bawią, kąpią do świtu.  
 Jedna sarneczka nie bawi z niemi,  
 W krzakach, w sitowiu samotna żyje,  
 Sypia na nagiej piersi granitu,  
 Szelest ją własny, cień trwoży własny,  
 A gdy spragniona znajdzie źródło jasny,  
 Pierwej go zmaci, a potem pije.

Pyta ją słońce pewnego świtu:  
 «Co tobie? powiedz, moja sarneczko,  
 Czemu, gdy stado igra nad rzeczką  
 Albo się w upał położy w chłodzie,  
 Ty śpisz na nagiej piersi granitu,

Ty w ciemnej rada mieszkasz dąbrowie?  
 Czemu, sarneczko, ni mię o wschodzie,  
 Ni o zachodzie nigdy nie witasz?»  
 — «O, moje słońce! ponieważ pytasz,  
 Biedna sarneczka tobie odpowie:

Dwanaście latek żyłam bezdzietna,  
 Bóg mi dał synka w trzynastym roku,  
 Strzegłam go jako źrenicę w oku,  
 Tak mi rósł prosto, pięknie — aż oto  
 Raz wybiegł igrać, gdzie łączka kwietna,  
 I, ach! od złego poległ oręza.  
 Bodajbyś umarł, strzelcze niecnoto,  
 Bodaj rzemiosło twoje umarło,  
 Co mi jedyną rozkosz wydarło,  
 Co mi wydarło syna i męża!»

*Tłum. Aleksander Chodźko.*

### ZAMEK OREI

Widziałem wiele zamków  
 Śród życia mych kolei,  
 Lecz najpiękniejszy zamek —  
 Toć zamek był Orei.

Czterdzieści wież on dźwiga,  
 I wszystkie złotem strojne,  
 I drugich ma z żelaza  
 Czterdzieści wież na wojnę.

Leżeli Turcy pod nim  
 Dwanaście lat z kolei,  
 Lecz stoi niezdołyty  
 Wciąż zamek ten Orei.

I przyszedł podły Turczyn,  
 Pies przyszedł Ikonjota —  
 Przed królem staje zgięty  
 I takie słowa miota:

«O królu wszechpotężny,  
 Co dasz za nieboraka?»

— Dam tysiąc ci florenów,  
 Pyszny dam rumaka,

A nadto dam dwie szable,  
 Co w srebrnej lśni ozdobie.  
 «Ja nie chcę twych florenów,  
 Swe złoto schowaj sobie,

Pogardzam twym rumakiem  
 I mieczem srebrem tkanym —  
 A tylko chcę dziewicy,  
 Co mieszka w zamku szklanym».

— Jeśli się mury zamku  
 Przed tobą nie ostoją,  
 Gdy weźmiesz szklany zamek,  
 Dziewica będzie twoją. —

Więc mnicha bierze odzież  
 Ów Turczyn Ikonjota  
 I, klęcząc — z płaczem — z jękiem —  
 W zamkowe bije wrota.

«Ach, otwórz mi, Orejo,  
Co patrzysz tam zwysoka,  
Ach, otwórz wrota zamku,  
Królowno czarnooka!»

— Idź precz, idź precz, psie nędzny —  
Tyś Turczyn Ikonjota!  
Czy chcesz, by ci przyniosła  
Śmierć — strzała moja złota?

«Na Świętą klnę się Pannę,  
Na krzyża klnę się wota:  
Jam nie jest ten, co sądzisz —  
Nie Turczyn Ikonjota!

Jam mnich, z klasztoru idę —  
Noc całą szedłem ciemną —  
I z głodu już umieram —  
Ulituj się nade mną!»

— A więc mu dajcie chleba  
I niechaj idzie z Bogiem!  
«O, puśćcież i do cerkwi —  
Jak mi to będzie błogiem!

Ach, otwórz mi, Orejo,  
Co patrzysz tam zwysoka,  
Ach, otwórz wrota zamku,  
Królowno czarnooka!»

— Otwórzcie mu więc wrota,  
Niech spocznie na podwórzu.  
«O, pani — odzież moja  
W łachmanach jest i w kurzu».

— Hej, słudzy! w miech go rzućcie,  
Niech pozna tam katusze.  
«O, pani, nie czynń tego,  
Niech w worku się nie duszę».

Przez wrota wpół otwarte  
Wnet Turków wpada tłuszczca,  
Plondrować złote skrzynie  
Po zamku wnet się puszcza.

On tylko do Orei,  
On tylko śpieszy do niej,  
Lecz ta go pchnęła w morze —  
I zginął w morskiej toni.

#### NOCNA PODRÓŻ

Matko, dziewięciu miałaś synów  
I jedną córkę miałaś;  
Kapałaś ją w wieczornym blasku,  
A rankiem włos czesalaś.

I sznurowałaś ją, gdy miesiąc  
Lśnił w ciszy nieboskłonu.  
I przyszedł poseł po twą córę  
Aż zdala — z Babilonu.

«Matko, daj wziąć na obcą ziemię  
Aretę swą kochaną!  
Jam z tak dalekich przybył krain,  
By prosić o jej wiano».

— Czy ty masz rozum, Konstancyne,  
Czy też ci drwić kto radzi?  
Gdy przyjdzie na mnie ból lub radość,  
Któż córkę mi sprowadzi? —

A on się klnie na Boga — świętych,  
Że wiary jej nie zdradzi;  
Gdy przyjdzie na nią ból lub radość,  
Wnet córkę jej sprowadzi.

Matko! zły rok na ciebie przyszedł,  
Padło twych dziewięć synów —  
I dawnoś lała gorzkie łzy  
Na grób — na Konstancyków:

— O, Konstancyne — wstań, o, wstań,  
Aretę moją sprowadź!  
Na Boga — świętych tyś się kłał,  
Że wiary chcesz dochować,

Gdy przyjdzie na mnie ból i nagle  
Mą radość wszelką zgładzi,  
Że ujrzę córkę mą — a dziś  
Któż córkę mi sprowadzi? —

I gdy północy przyszedł czas,  
On spełnić szedł swe losy.  
I ujrzał ją: przy blasku pełni  
Czesala krucze włosy.

— Chodź, chodź, Areto! Matka twa  
Chce córkę swą obaczyć!  
«Ach, cóż ode mnie chce w tej porze,  
Ach, cóż to może znaczyć?»

Gdy radość błysła w domu jej,  
Wnet swe manele kładę;  
Gdy boleść w domu jej, o bracie,  
Wnet tak jak stoję — jadę».

— Ni ból, ni radość w domu matki,  
Lecz pójdz co prędzej z celi. —  
I na tej drodze, gdzie jechali,  
Na drodze, gdzie ciągnęli,

Słyszą, jak ptaki im śpiewają,  
 Jak mówią — słyszą bładzi:  
 «O, patrzcie, jedzie piękne dziewczę,  
 A dziewczę trup prowadzi!»

«Czy słyszysz, miły Konstantynie,  
 Co ptaki nam gadają?»  
 — Niechaj, co chcą, gadają ptaki,  
 Niechaj, co chcą — śpiewają!

«Ach, ciebie, bracie, czuć kadzidłem!  
 Drżą z strachu me kolana!»  
 — Wszak wczoraj byliśmy my razem  
 W cerkwi świętego Jana.

Kadzidło przeszło z księdza w tłum,  
 Co w cerkwi się gromadzi!...  
 Matko, drzwi otwórz! To Konstantyn  
 Twą córkę ci prowadzi.

«Gdys już umarły — odejdz precz!  
 Gdy ze mnie drwisz — idź dalej!  
 Areta — córka moja biedna —  
 W obczyźnie gdzieś woddali».

— Matko, drzwi otwórz! Jam Konstantyn,  
 Jam syn twój, matko droga!  
 Jam przyszedł spełnić swoje kłatwy,  
 Com kłął imieniem Boga!

Przyszedł na ciebie wielki ból,  
 Ja córkę ci przywożę. —  
 Otworzyła drzwi i padła martwa,  
 Wołając: Trup, o Boże!

*Tłum. Antoni Lange.*

#### CHAROS I PASTERZ

Piękny Lewenti z wierzechu gór  
 zstępował na rozłogi.  
 W górach, gdzie głucho szumił las,  
 Charos zły stał u drogi.  
 «Stój, stój, Lewenti, dokąd? skąd?»  
 — «Trzodę mą pasłem w górach,  
 Śpieszę na obiad w domek mój,  
 śpieszę na orlich piórach». —  
 «A ja tu duszę twoją wziąć  
 z rozkazu Boga dążę».  
 — «Pozwól mi jeszcze, pozwól żyć,  
 tyle mię z życiem wiąże.  
 Młodą mam żonę, ach! wzór żon,  
 pierwsze przy piersiach dziecię:

Wdowę z sierotą moja śmierć  
 samych zostawi w świetle!»  
 Charos nie widzi rzewnych łez,  
 Charos tych prósb nie słucha.  
 — «Chodź, chodź więc, bożku, spróbuj sił,  
 darmo nie oddam ducha».  
 Więc się ujeli obaj wpół,  
 obaj się złamać pragną;  
 Równa w nich zręczność, równa moc —  
 zegną się, przegną, nagną.  
 I tak walczyli cały dzień;  
 ale w godzinę szarą  
 Zawył okropnie w górach wiatr —  
 zabił pasterza Charo.

#### CHAROS I DUSZE

Co tak w tych kniejach szumi i ciemnieje?  
 Czy słońca leje, czy wiatr drzewa chwieje?  
 Ni słońca leje, ni wiatr drzewa chwieje —  
 Charos z duszami przejeżdża te knieje.  
 Młodzi szli przodem, starce idą wtyle,  
 A dzieci rzędem siedziały na koniu.  
 Błagają, skomlą, i pokłony biją:  
 «O, nasz Charosie! ach, przy jakim błoniu,  
 Przy jakiej rzece zatrzymaj się chwilę,  
 Poczekaj chwilę, starce się napiją,  
 Młodzi zabawią, dzieci kwiatów zbiorą».  
 — «Nie, nie! przy żadnej rzece, żadną porą  
 Charos nie czeka. Jak przyjdą po wodę  
 Matki, sieroty i młodzi, i młode,  
 Poznają mężów, ojców, przyjacieli —  
 A wówczas, wówczas kto was tam rozdzieli!»

*Tłum. Aleksander Chodźko.*



## ATANAZY CHRISTÓPULOS

(1770—1847)

## WYROZCZNIA

Wiodąc z sobą spór zajadły,  
Trzy piękności mię opadły  
I na honor jęły prosić,  
Która piękna, by ogłosić.  
I przysięgą każda ręczy,  
Że całusem się wywdzięczy  
Ta, co wyżej ją postawię  
I urodę jej wysławię.

Rzekłem: «Wdzięczne kotki moje,  
Nie w kłopotcie ja tu stoję;  
Pocóż swary i łajanie,  
Gdyście piękne — niezrównanie!»  
Więc nastąpiła teraz zgoda,  
Chętnie usta każda poda,  
By nie było swarów, sprzeczek,  
A jam miód pił z trzech usteczek.

*Tłum. O. B.*

## TĘSKNOTA

O, gdybym był zwierciadłem,  
Wzięłabyś mnie do ręki,  
A ja bym zawsze widział  
I ciebie, i twe wdzięki.  
O, gdybym był grzebykiem,  
Łagodnie lube, gęste  
Dzieliłbym włosy twoje  
I rozczesywał często.

O, gdybym był wietrzykiem  
I wszędzie wolnie gonił,  
Siadałbym na twe łono,  
Bym świeżość na nie ronil.  
O, gdybym snem był wreszcie,  
Co wieczór-by sen złoty  
Zamykał słodkie twoje  
Oczęta wśród ciemnoty.

*Tłum. Józef Borkowski.*

## KONSTANTYN RIGAS (FERREOS)

(1757—1798)

## PIEŚŃ POWSTAŃCZA HELLENÓW

Zbudźcie się, Hellady dzieci! Oto chwały narodziny:  
Bohaterskie nasze dziady niechaj godne mają syny!  
Wstańcie, jak waleczni męże, by niewolę zrzucić wstrętną,  
Wstańcie pomścić kraj ojczysty i zmyć we krwi hańby piętno!  
Syny Grecji! hej, do broni!  
Wolność, prawo w waszej dłoni!  
U nóg waszych niech popłynie  
Wrogów waszych krew!

Cienie zmarłych wojowników, wy, co kryją was kurhany,  
Z państwa duchów zejdźcie teraz na rodzinnej ziemi lany.  
Przy odgłosie surm bojowych dajcie przykład swego męstwa.  
I gdzie gród na siedmiu wzgórzach, tam nas wiedźcie do zwycięstwa!  
Syny Grecji! hej, do broni!  
Wolność, prawo w waszej dłoni!  
U nóg waszych niech popłynie  
Wrogów waszych krew!

Sparto! Sparto! chcesz-że jeszcze wlec ten sen swój ocięzany?  
Złącz się teraz z Atenami i do dawnej podąż chwały!  
Wspomnij dzieje Leonida, on cię blaskiem swym oświeci,  
On, ten rycerz uwielbiany, co swem męstwem postrach nieci.  
Syny Grecji! hej, do broni!  
Wolność, prawo w waszej dłoni!  
U nóg waszych niech popłynie  
Wrogów waszych krew!

Swoją garstkę Leonidas w termopilskie wiółł wąwozy  
 I na Persów hańbę rzucił: taki miecz miał pełen grozy!  
 Tylko trzystu miał wojaków, lecz wojacy to najszczerzy;  
 On, jak lew, w krwi wrogów brodził, bo miał ogień święty w piersi.  
 Syny Grecji! hej, do broni!  
 Wolność, prawo w waszej dłoni!  
 U nóg waszych niech popłynie  
 Wrogów waszych krew!

*Tłum. O. B.*

### ALEKSANDER YPSILANTI

(1792—1828)

#### SKARGA PTASZĘCIA

— O, biedne ptaszę, ptaszę samotne,  
 Dokąd cię niesie skrzydło polotne?  
 Gdzie twoje gniazdko? powiedz, ptaszyno!  
 — Dni moje w smutku bez końca płyną.  
 Ja nie mam gniazda. Błąkam się wiecznie  
 I szukam ciszy bezużytecznie —  
 Próżno śni szczęście tęskne me łono,  
 Próżno śni szczęście! Nie wiem, gdzie ono.  
 Miałem ja gniazdko, gdym był maleńki,  
 I w cieniu mirtu swoje piosenki —  
 W ciszy piosenki wesole snułem.  
 We własnem gniazdku radość ja czułem!  
 Miałem kochankę: jej czar miłosny  
 Serce me poił w dni życia wiosny.  
 Nagle z obłoków spadł sęp drapieźny —  
 W dziewczę me rzucił wzrok swój lubieżny,  
 Rozszarpał dziewczę moje promienne  
 I zniszczył gniazdko moje wiosenne!  
 Odtąd przez cudze błąkam się szranki —  
 Ach, bez ojczyzny i bez kochanki!  
 Zmęczone skrzydło, ciało zmęczone  
 Gna mię, gdzie zechcą losy szalone,  
 Gdzie mię poniosą w groźnym szeleście  
 Wichrów i burzy prądy, aż wreszcie  
 Tam dojdę, dokąd wszystko się uda,  
 Gdzie nawet świata kończą się cuda —  
 Gdzie sęp drapieźny, co zbrodnie rodzi,  
 Gdzie i niewinne ptaszę uchodzi.

*Tłum. Antoni Lange.*

#### Z «MANIFESTU POWSTAŃCZEGO»

##### Do narodu greckiego

Walcz za wiarę i ojczyznę!

Hellenowie! nadeszła wielka godzina. Już dawno ludy Europy, walcząc o swe prawa i wolność, wezwały nas do naśladowania. Narody te, które wszakże były w dużej mierze wolne, starały się ze wszystkich sił o powiększenie swej wolności, a przez to i ogólnego swego dobrobytu.

Nasi bracia i przyjaciele są całkowicie gotowi. Serbowie, Suljoci i cały Epir oczekują nas z bronią w ręku. Powstańcie więc, powstańcie, złączeni wzajemnie gorącym zapalem! Ojczyzna woła was!

Europa utkwiła w nas oczy i dziwi się naszej nieruchliwości. Niechże więc góry Grecji rozebrzmia trąbą wojenną naszych wojowników, a doliny niech się napełnią szczękiem naszego oręża! Europa będzie podziwiała nasze wielkie czyny, a tyrani nasi, drżący i bladzi, będą uciekać przed nami.

Uświadomione narody Europy pracują nad odrodzeniem swego dobrobytu i, pełne wdzięczności za dobrodziejstwa naszych pradziadów, pragną wolności Grecji. My, godni cnót naszych przodków i ziomków czasu obecnego, żywimy pełną nadzieję, że otrzymamy ochronę i pomoc ze strony narodów. Wielu przyjaciół wolności przyjdzie od nich, aby walczyć wspólnie z nami. Powstańcie więc, przyjaciele, a niezadługo zobaczycie wielką potęgę, wkraczającą w obronie naszych praw. Zobaczycie, jak wielu naszych przeciwników, wzruszonych sprawiedliwością sprawy naszej, odwróci się od wrogów i z nami się połączy. Gdy tylko przejawią oni swoje szczere chęci, ojczyzna weźmie ich w swe ramiona. Któż więc jeszcze będzie powstrzymywał męską dłoń od czynu? Nasz zniewieściały wróg jest słaby i bezsilny; nasi doświadczeni wodzowie i nasi ziomkowie są pełni ognia. Połączcie się więc, dzielni i wielkoduszni Hellenowie! —

...Działajmy w imię wspólnej idei: bogaci niech złożą część swego majątku, pałace duchowni niech napawają lud własnym przykładem, a uczeni niech służą pożyteczną radą... Jako dzielni mężowie, uzbrojcie się wszyscy bez zwłoki w niezwykłą broń męstwa, a ja przyrzekam wam w krótkim czasie zwycięstwo i z niem wszystko dobre. Jak będą mogli stanąć przed narodem tchórzliwi żołdacy, przed narodem, który walczy o własną niepodległość? — — —

...Musimy na nowo, dzielni i wielkoduszni Hellenowie, sprowadzić wolność na klasyczną ziemię Grecji. Walczcie pomiędzy Maratonem a Termopilami! Walczcie na grobach naszych ojców, którzy tam walczyli i padli, aby nas widzieć wolnymi. Krew tyrana miła będzie ceniom Tebańczyka Epaminondasza i Ateńczyka Trazybulosa, który stącił 30 tyranów; będzie ona przyjemna ceniom Harmodjusa i Arystogejtona, którzy złamali jarzmo Pizystrata, ceniom Tymoleona, który w Koryncji i Syrakuzach wolność przywrócił, wreszcie ceniom Milcjadesa, Temistoklesa, Leonidasza i tych 300, którzy tak silne, niezliczone wojska barbarzyńskich Persów pobili, Persów, których barbarzyńskich i zwyrodniałych następców z małym trudem pokonać jest celem dnia dzisiejszego!

Do broni więc, przyjaciele! Ojczyzna woła nas!

(W kwaterze głównej w Jassach 8 marca — 24 lutego — r. 1821.)

*Thum. Wincenty Gorzycki.*

## ALEKSANDER RIZOS RANGAVÍS (RANGABÉ)

(1810—1892)

### WĘDROWNICA

— Złotowłosa, z białymi ramiony,  
Gdzież to śpieszysz sama przez pustynie?  
Już jest północ, a o tej godzinie  
Duchy w różne przebiegają strony,  
Wieszczki skaczą po łące zielonej,  
A neregdy tańczą w gór wyżynie.

— Jeśli tańczą neregdy w tej porze,  
Niechaj tańczą, nie za niemi gonię!  
Wy, przechodnie, widzieliście może  
Gdzie kochanka mego w tej stronie?

— A gdybyśmy spotkali go drogą,  
Powiedz, po czem poznać go, niebogo?

-- Był wysoki, czoło miał płomienne,  
 Młody, piękny, jak słońce wiosenne;  
 Uśmiech słodki, jak poranek maju,  
 Śpiewał cudnie, jako słowik w gaju,  
 Miód na ustach, miłość miał w swem oku,  
 Dzielność w sercu — a mnie miał przy boku.  
 Tak nam biegły jasne dni pogody,  
 Jako parze synogarlic młodej.  
 Dnia jednego rzekł mi: «Żegnaj, miła,  
 Już godzina rozstania wybiła;  
 Patrz, tam wdali wróg podpala siola,  
 Szabla szczeka — jej to głos mnie woła:  
 Widzisz hufiec palikarów<sup>1</sup> zbrojny?  
 Mnie czekają, by pójść w taniec wojny;  
 Słyszysz dzieci jęk i kobiet łkanie?  
 Mnie czekają, bym się pomścił za nie».

— «O, mój wierny! idziesz w świat daleki,  
 I mnie tutaj rzucasz bez opieki,  
 Tam piękniejsze spotkać możesz w drodze  
 I zapomnisz o swojej niebodze»...

«Nie płacz, dziecię, nachyl ku mnie czoła,  
 Jeszcze uścisk, bądź zdrowa, wesola,  
 Ja ci będę aż do zgonu stałym.  
 Trzykroć spadnie śnieg całunem białym,  
 I trzykrotnie roztopi go wiosna,  
 Wtedy głos mój usłyszysz, radosna,  
 Wtedy wrócę!»

I powiódł szeregi.

Już trzy lata spadły białe śniegi  
 I trzykrotnie stopniały od słońca,  
 Przeplakałam trzy lata bez końca,  
 Nie powrócił... Przebiegłam dokoła  
 Łąki, góry, pustynie i siola...  
 Podróżnicy! ze łzą mnie słuchacie,  
 Czyliż dla mnie nadziei nie macie?  
 Podróżnicy swobodni, weseli,  
 Odpowiedzcie, gdzieście go widzieli?  
 Gdy na uczcie — dzielić ją pobiegnę,  
 Gdy w mogile — obok niego legnę!

— Piękne dziewczę, gdy go kochasz tyle,  
 Gdziem go widział, powiem ci, tęskniąca:  
 Nie na uczcie, ani nie w mogile;  
 Jam go widział na czele tysiąca.  
 Przejdź dolinę i przebiegnij górę,  
 Dąż w pustynię, mijaj siola gwarne,  
 Czarną odzież, czarną w duszy chmurę,  
 Broń ma czarną, łzy i serce czarne.

Idzie dziewczę wślad wskazanej drogi,  
 Nad przepaścią przebiega bez trwogi,  
 Zręcznie skały przeskakuje duże,  
 Aż stanęła na wyniosłej górze.

<sup>1</sup> Powstańcy greccy.

Widzi, leśne zwierzęta jak biega,  
 Lecz kochanka nie widzi swojego.  
 Wzrok jej płonie, serce się rozpada,  
 Więc znużona na murawie siada,  
 Tęsknie śpiewa, płacząc w smutnej ciszy,  
 Wtem z pod ziemi takie słowa słyszy:  
 «Kto śmie mieszać sen, jakim zasnąłem?  
 Kto śmie deptać mego grobu trawę?  
 Czyżem splamił palikarów sławę?  
 Wszak trzydziestu Turkom głowy ściałem,  
 Wszak czterdziestu do niewoli wziąłem...  
 Szablę moją laur sławy oplata,  
 A jednakże nie cieszy mnie ona,  
 Bom nieszczęsny nie spytał Charona,  
 Gdym przyrzekał wrócić za trzy lala;  
 Nim raz trzeci zima świat uspiła,  
 Kula wroga moją pierś przeszła.  
 Grób mój zimny, zimne moje ciało,  
 Tylko serce gore, jak gorzało».

— «O, mój luby! twoje kroki słyszę,  
 Głos poznaje... Czemuś mnie porzucił?  
 O! przyjdź do mnie, kiedyś mi powrócił,  
 I niech wiecznie tobie towarzyszę».

«O, dziewczyno! chata moja czarna,  
 O, dziewczyno! wąskie moje łóżce,  
 Promień słońca tutaj dojść nie może,  
 Nie doleci kropla rosy marna».

— «Co mi z tego, że czarna twa chata,  
 Wąskie łóżce? pójdę z tobą wszędzie...  
 Pójdę z tobą, choćby na kraj świata:  
 Głęb przepaści rajem dla mnie będzie».

Dziewczę widzi cień ukochanego,  
 Cień okryty potem, krwią, kurzawą,  
 Jak w dniu walki śmiertelnej dla niego...  
 Psy szczekają, ptaki kwilą łzawo,  
 Wichr pomiata cyprysy wzniosłemi,  
 Burza drzewa wyrywa z korzenia,  
 Wyciem głuszy jęki i westchnienia,  
 Śpiewa straszny psalm śmiertelnym ziemi:  
 Z chmur wślad gromów gromy nowe lecą,  
 Błyskawice dla dwóch trupów świecą.

*Tłum. Władysław Sabowski.*

#### PRAGNIENIE

W złote włosy — dla zabawy —  
 wplotło dziewczę kwiat jaskrawy.  
 Dziewczę, daj ten kwiat jarzący —  
 o nic cię nie proszę więcej!

Ona wdzięcznie się zapłoni,  
 kwiat podała w białej dłoni.  
 Dziewczę, nie mam złych intencji:  
 daj mi rączkę — i nic więcej!

Dziewczę dało rączkę miłą,  
 lecz oczęta wdół spuściło.  
 Daj mi — proszę ją goręcej —  
 choć spojrzenie... i nic więcej!

Jasnym oczkiem ku mnie błysnie,  
 na jej usta śmiech się cisnie.  
 Dziewczę, proszę znów goręcej,  
 daj buziaka — i nic więcej!

Słodkie usta mi podała,  
 lecz drży czegoś pierś jej biała.  
 Chodź! Na piersi twej dziewczęcej  
 daj mi spocząć — i nic więcej!

A dziewczątko w tym momencie  
 rzuca mi się wprost w objęcie!  
 Mam cię, moje sto tysięcy!  
 Nic już, nic nie pragnę więcej!

*Tłum. Józef Birkenmajer.*

#### RADY

Rzekło mi majowe kwiecie:  
 «Bacz, niech troska cię nie gniecie,  
 Dość cię życie namęczyło —  
 Tu wypoczniesz sobie miło!»

Rzekły jasne twe oczęta:  
 «Nanic książek mądrość kręta!  
 Jeśli zmądrzeć chcesz prawdziwie,  
 Chłoń tę światłość, co w nas żywie!»

Rankiem gaik się odzywa:  
 «Zanim starość przyjdzie siwa,  
 Porzuć świata gwar i boje —  
 Niech cię olśnią krasy moje!»

I rzuciłem wszystkie księgi,  
 Poza trosk wyszedłem kręgi —  
 Jedna tylko we mnie rośnie:  
 Tobie służyć chcę i wiosnie.

*Tłum. Alfred Tom.*

### PANAJOTIS SUTSOS

(1806—1868)

#### NA RUINACH SPARTY

Tocz, tocz, spartańska rzeko, swoje fale mętne!  
 Na pianie twej pożółkłe płyną liście smętne,  
 Zimnej jesieni zwiastuny,  
 Co cicho się unoszą za fal twoich biegiem, —  
 A ja, cichy wędrowiec, stoję nad twym brzegiem  
 I w sercu noszę całuny.

Euroto, gdzie jest dzisiaj owa sławna era,  
 Gdy się bohaterowie kapali Homera  
 W twych wód przejrzystym kryształ...  
 Kiedy z Agezylajem mierzył dłoń swą w bitwie  
 Tebańczyk mężny w boju, a bystry w gonitwie  
 Tak, jako sine twe fale?

Żadne się tu przeszłości echo nie odzywa,  
 Tylko smutek — samotność — i cisza straszliwa  
 Nad twymi brzegi dziś krążą.  
 Pustynią naokoło zaległy obszary,  
 Słychać tylko szum trzciny i fal twoich gwary,  
 Co jak piorun wdał dążą.

O, ojczyzno Likurga, ziemio nieśmiertelnych,  
 Ojczyzno wielkich imion, matko czynów dzielnych,  
 Całuję twoje wspomnienie.  
 O ty, Peloponezu królowo, o Sparto!  
 Ach, krew w mych żyłach huczy boleścią zażartą,  
 Gdy patrzę na twe zniszczenie!

Straszny widok! Tyś szkielet dzisiaj, o Lakonjo,  
 A grób Leonidasa — o, gorzka ironjo —  
 Został oborą dla bydła.

Jaskinią — Kleomena wstawione siedlisko,  
I mieszkają tam dzisiaj niedźwiedź i wilczyisko,  
Gdzie duch roztaczał swe skrzydła.

Sparto, gdzie twój bohater, gdzie dziś Leonidas,  
Gdzie wielki Agezylaj, gdzie mężny Brazydas,  
Gdzie lud twój? gdzie twe efory?  
Gdzie są walki Palesty? gdzie twych dziewic grono,  
Co ćwiczyły swe ciała — z piersią obnażoną —  
Pełne wstydlivej pokory?

*Tłum. Antoni Lange.*

## DIONIZY SOŁOMÓS

(1798—1857)

### HYMN DO WOLNOŚCI<sup>1</sup>

(Wyjątki)

O, poznaję groźne ostrze  
twego miecza z dawnych lat  
i wzrok, co — gdy się rozpostrze —  
zdoła podbić cały świat!

Witaj, witaj, o wolności,  
co ożywasz mężną krew!  
Dawnych Greków święte kości  
to twój skarbiec, to twój siew!

Tam, znękana i przygasła,  
wśród bolesnych żyłaś snów,  
oczekując tego hasła,  
co cię wezwie: «Powstań znów!»

Głucha cisza legła wokół,  
długo nie nadchodził dzień...  
Nas niewolny łańcuch okuł,  
dusze okrył łęku cień...

O nieszczęsna! Ten jedyny  
ślad pociechy ostał snać,  
że wspominasz dawne czyny,  
że — łzy jeszcze możesz lać...

O nie!... Oto dzieci twoje,  
ogniem płonąc w głębi łon,  
wraz na krwawe śpieszą boje,  
na zwycięstwo albo zgon!...

Witaj, witaj, o wolności,  
co ożywasz mężną krew!  
Dawnych Greków święte kości  
to żywota twego siew!

### BLONDYNKA

Widziałem wczoraj dziewczę  
o włosach jasno-blond;  
na pokład łodzi weszła,  
by precz odjechać stąd...

Śnieżystych żagli rąbek  
pod wiatr rozwinął się,  
podobnie jak gołąbek  
do lotu skrzydła rwie...

Przyjaciół grono stało  
w smutku na brzegu tym.  
A ona chustką białą  
znak jeszcze słała im...

Stanąłem... długo patrzę  
i śledzę, kędy jest...  
Aż sina dał mi zatrze  
ów pożegnalny gest...

Po chwili zasię krótkiej  
rzec nie umiałem już,  
czy widzę żagle łódki,  
czy tylko pianę móż...

I żagiel w chwil niewiele  
wśród morskich zniknął ścież...  
Płakali przyjaciele —  
i ja płakałem też...

<sup>1</sup> Dzisiejszy grecki hymn narodowy.

NA IPSARĘ<sup>1</sup>

Po Ipsary pagórach szerniałych  
 kroczy Sława, samotna i wdowia,  
 wspominając junaków wspaniałych...  
 A nad czołem ma wieniec zielony,  
 z tych nielicznych gałązek spleciony,  
 co ostały wśród zgliszcz i pustkowiea...

Tłum. Józef Birkenmajer<sup>2</sup>.

## JERZY ZAŁOKOSTAS

(1805—1858)

## POCAŁUNEK PASTERKI

Kochałem pastereczkę, urocze, piękne dziewczę —  
 kochałem ją nad cały świat,  
 a miałem wtedy dziesięć lat,  
 smarkaczem byłem jeszcze....

Raz, kiedyśmy siedzieli na łące rozkwiecionej:  
 «Marysiu! — rzekłem — wyznać chcę...  
 Marysiu, kocham, kocham cię!  
 Ach, kocham jak szalony!»

A ona mnie chwyciła, ucałowała w buzię  
 i rzekła: «Jesteś mały brzdąc;  
 co tobie do miłosnych żądzi!...  
 Urośnij wpierw, łobuzie!»

Urosłem — lgnę znów do niej... Nie do mnie lgnie jej serce!...  
 Dziś w zapomnieniu żyję... sam!...  
 lecz w duszy wciąż ów całus mam  
 i pamięć o pasterce...

## DYMITR VIKELAS

(1835—1909)

## PODRÓŻ PRZEZ MORZE EGEJSKIE

Jak podróżowano w owych czasach, o tem pojęcia mieć nie mogą ci, którzy od dzieciństwa nawykli przebiegać przy pomocy pary łąd i morze. Coprawda i dziś jeszcze nad naszym morzem Egejskiem ten, kto nie może przez piętnaście dni czekać na statek parowy, zmuszony bywa przedsiębrać tułacze wędrówki, podobne do dziejów Odyssa i jego towarzyszy... ale koniec końców, w czasach obecnych nawet mieszkawiec najbardziej ustronnej wysepki nie jest wiecznym niewolnikiem i sługą swawolnych wiatrów. Byle miał odrobinę cierpliwości, doczeka się i przyjscia parowca!

Atoli wówczas nie znano wcale parowców. Nasze niebo nie woniało jeszcze dymem węgla kamiennych, a nasze wody nie były gwałcone chłostą śruby okrętowej. Gdyśmy wyjeżdżali z Mikonu, dał wiatr pomyślny, ale niebawem ucichł i nastąpiła głucha cisza morską. Godzinami wpatrywaliśmy się w widniejące przed nami nieruchome

<sup>1</sup> Ipsara (Psarà), wysepka koło Chios, doszczętnie spustoszona przez Turków w r. 1824. (Przyp. tłum.)

<sup>2</sup> Tegoż pióra są dalsze przekłady tekstów nowogreckich, o ile nie podano tłumacza.



skały Syrosu, ledwie mogąc dwoma ciężkimi wiosłami posunąć na niewielką odległość mocno obciążony nasz statek. Wkońcu przecie po zachodzie słońca zerwał się wiatr i pofałdował nasze żagle — niestety, nadciągnął od południa i odepchnął nas zpowrotem w stronę Andros!... Lawirowaliśmy przez całą noc, dokładając starań, by dostać się w okolicę Sunion. Przez dzień następny z trudnością usiłowaliśmy dobić się do Pireusu, by zaopatrzyć się w wodę. Gdy później po latach wielu obaczył ponownie port pirejski, jakże mi się wydał małym! Wtedy jednak był jeszcze bezmierny, jako że był pusty... Jedyne nasz statek i dwa maluchne czółenka rybackie poruszały się po roztoczy jego cichych wód. Gdzie teraz wznoszą się marmurowe bulwary, tam wzbierające morze rozbijało się o nagie skały. Tam, gdzie rozpościera się potężne i kwitnące miasto i sterczą wysokie kominy fabryk, widać było gołą, nieurodzajną ziemię i obraz spustoszenia. Jedyne na całym wybrzeżu, walące się już w gruzy domostwo uwidoczniało powszechny tu brak życia i ruchu. Trafiliśmy na chwilę obłężenia Aten przez wojska greckie — i właśnie drobny oddziałek żołnierzy rozkwaterował się w zburzonym domku pirejskim. Nie słyszeliśmy dalekiej strzelaniny ani też nie dostrzeżliśmy innych znaków wojny — prócz wspomnianej załogi żołnierskiej. Straszliwą rzeczą jest wojna, nie uszlachetnia ludzi!... Nic nam złego nie zrobili owi żołnierze ani nie przeszkadzali nam w żegludze — w każdym razie dziękowałem Bogu, widząc, że nasz statek oddala się od brzegu. Złowrogą była nam sama obecność tych ludzi — nawet ich powitanie przejmowało nas trwogą! Trzeciego dnia od chwili wyjazdu z Mikonu zarzuciliśmy kotwicę w Specy, gdyż wiatr nie pozwalał nam wpłynąć do zatoki nauplijskiej. Kapitan udał się do miasta. Dała się nam we znaki ciasnota na statku, więc i my poszliśmy za przykładem kapitana, by nacieszyć się myślą, że stąpamy już po suchym lądzie.

### KOSTÍS PALAMÁS

(ur. 1859)

#### NAPRZÓD!

Hej, naprzód, w bój! Przedrzyjmy mrok!  
 Niezłękli, nieosłabli!  
 Ha! bije grom!... To odgłos flint!  
 To błyska ostrze szabli!  
 Hen, od Tajgetu aż po Pind,  
 aż po bałkańskie szczyty  
 żar jeden — niepożyty —  
 i jeden duch!... Hej, w bój!

Hej, naprzód! W bój! Już czas, już czas!  
 Hej, góry, wzyź nas wznieście!  
 Przestwory mórz! wspierajcie nas,  
 zwycięską flotę wieźcie!  
 Rigasa surma larum gra  
 i w niebo grzmi jak burza:  
 «Hej, zbiki Czarnogórze,  
 Olimpu orły! W bój!»

Hej, naprzód, bracia! naprzód! W bój!  
 Niezłękli! Nieosłabli!  
 Ha, bije grom!... To flinty grzmia,  
 to błyska ostrze szabli!  
 Hellada błyszczy! Echa brzmia  
 i serca drżą podnietą!  
 Hej, w bój! Rumeljo! Kreto!  
 Moreo!... Naprzód, w bój!

28. IX. 1912.

#### MAGDALENA

(Opowieść kreteńska)

(Początek)

Nazywała się Magdalena, lecz to imię biblijne zgoła nie harmonizowało z jej nieskalaną i surową pięknnością, przypominającą raczej w swym typie antyczną posągowość bogini greckiej. Odkąd przywdziała szatę prostą, ale skrojoną ściśle według jej wzrostu, a dwa długie, bujne splety jej włosów zwisały na plecach, okazał się cały

powab jej postaci i symetria członków. Bo kiedy po raz pierwszy zjawiała się w naszym domu, przyjęta przez mego stryja, okrywała ją szpetne, znoszone łachmany. Magdalena dostała się do naszego miasta, jako należąca do zastępu obdartych kobiet i dzieci z Kreta, wysadzanych wtedy — w czasie bohaterskiego powstania z r. 1866 — na wszystkie wybrzeża wolnej Hellady.

«Powszędzy w rozproszeniu swem wędrują ci biedacy,  
Nie wiedząc, co im niesie los; gdy kogo z nich zapytać:  
— Skąd idziesz, przyjacielu, mów? — belkoce w odpowiedzi  
Bolesne słowo Kreta, nic — prócz tego jedyne;  
A potem cicho sobie dłoń ściskają, popłakując».

Te wiersze z bardzo starego poematu kretańskiego w czasie trwania owych bojów nabrały nowego życia, jakgdyby je napisano właśnie poto, by żalić się na smutne losy nieszczęsnych wygnańców.

Miałem wtedy zaledwie osiem lat, lubiłem jednak książki bardziej niż zabawy, a czytanie co najmniej tak, jak słodycze. To też przysłuchiwałem się uważnie stryjowi memu, gdy każdej niedzieli po obiedzie w obecności całej rodziny odczytywał wiadomości ze «Światła». Uwagę naszą pochłaniały zwłaszcza sprawozdania wojenne, kierowane do komitetu centralnego, w Atenach, o bohaterstwie naszych, o bestjałskim okrucieństwie Turków, o flocie narodowej i o entuzjazmie, który opanował stolicę. Po odczytaniu już wszystkiego mężczyźni omawiali to, co było w gazecie, kobiety przesyłały gorące życzenia bojownikom, a przekleństwa — Mustafie; ja zaś utrwaląłem w wyobraźni swej nazwiska Koraxa, Kriarisa, Koroneosa, Surmelisa tuż obok imion herojów mitycznych. Również i Magdalena brała udział w lekturze niedzielnej — jako słuchaczka. Wiadomo jej było, że to, co stryj nam czytał, dotyczyło walk w jej ojczyźnie. W oznaczonej godzinie zbliżała się cicho i stawała we drzwiach wyprostowana. Nie zmieniała też postawy swej, póki trwało czytanie, przysłuchując się, jak oczarowana, dźwiękiem, dochodzącym do jej uszu. Jak to zwykł czynić człowiek z ludu, gdy słyszy słowa nieznane, tak ona w niezrozumiałej dla siebie greczyźnie «Światła», rzekł-byś, usilnie starała się odnaleźć jakiś znajomy wyraz, uchwycić jakieś imię umiłowane.

Ale cóż to wreszcie znaczyło dla niej, że nic z tego nie rozumiała? Dość jej było wiedzieć, że ta obca jej mowa zajmowała się jej ojczyzną. Cóż to szkodzi wierzącemu prostaczkowi, że język Ewangelji jest dlań niezrozumiały? Wystarczy mu to, że owe słowa — to słowa Boga

W ciągu tych wielu dni od przybycia do naszego domu zachowywała trwożliwe milczenie, jakkolwiek wszyscy byli względem niej szczególnie życzliwi. Wynikało to może ze świeżego jeszcze cierpienia, że przyszło jej opuścić ojczyznę; może też z uczucia upokorzenia, że zmuszona była korzystać z dobrodziejstwa innych; ale może również z doznawanego zadziwienia, ilekroć spostrzegą osobliwe, a chwilami nawet ucieśne wrażenie, jakie na nas, prawdziwych Rumeljotów, sprawiało jej narzecze ojczyście. Jedyne najstarsza moja siostra — żyła jeszcze naówczas dobrotliwa nasza Teanò — potrafiła rychło pozyskać jej zaufanie, w ten oto sposób:

Pewnego wieczora siostra moja, ku najwyższej mej rozkoszy, czytała na głos wyjątek z «Erotókritosa»<sup>1</sup>. Byłem tak zachwycony, że z nadmiaru słuchania poematu zapomniałem o lekcjach. Magdalena, która przypadkowo weszła do pokoju, stanęła jak urzeczona na dźwięk znajomych strof, których szlachetny rytm oczarował uszy wszystkich obecnych. Siostra moja recytowała właśnie słodkim swym głosem następujące wiersze:

«A ten-ci jeszcze syna miał, troskliwie chowanego,  
Dobroci, szlachetności wzór, iż każdy miał go w cenie.  
Choć ledwie osiemnastu lat, rozumem starym sprostał;  
Pokrzepiał wszystkich słowem swem i żywił mową swoją.  
Co ześle niebo w pełni łask, co spłynie z gwiazd oddali,  
Tem wszystkim ku ozdobie swej darzony był sowicie».

<sup>1</sup> «Erotókritos» — kretański utwór epiczny z w. XVI.

Wielkie czarne oczy Magdaleny naraz się roziskrzyły. Podeszła, dotknęła prawie krzesła mojej siostry i przysłuchiwała się bez tchu, przerywając niekiedy czytającej pełnemi zachwyty wykrzykami. Nie były to już niezrozumiałe helleńskie formy językowe z gazety!... Skończywszy czytanie, siostra moja zwróciła się do niej z zapytaniem:

«Magdaleno, czy podoba ci się *Erotókritos*?»

«Ach, czy mi się podoba, pani! Jakże często słyszałam go z ust Damaskinosa!»

«A któż to jest ten Damaskinos, Magdaleno? Czy to twój brat?»

«Nie, pani, to mój... narzeczony», odrzekła, rumieniąc się.

«No, co za skrytość! przez tyle więc czasu zatajałaś przed nami, żeś zaręczona?»

«O, skądżebyś miała pragnąć dowiedzieć się, co ja kryję w sercu! Gdybym jeno zaczęła opowiadać ci o tem, przenigdyby nie starczyło czasu, aby dojść do końca».

«Ach, ty filutko jedna, pewno się bałaś, że ci wykradniemy twe tajemnice, i dlatego nie puściłaś z ust ani słówka? Ale powiedz mi teraz: czy potrafisz czytać *Erotókritosa*?»

«Ja nie umiem, ja nieszczęśliwa, ale Damaskinos, on to potrafi, on jest czytany. Ilekroć przychodził do naszego domu, odczytywał na głos całego *Erotókritosa*, a ja mu się przysłuchiwałam. Tak, nawet ta oto książka, którą trzymasz w ręku, wygląda zupełnie tak samo, jak tamta Damaskinosa».

I zlekka, osunąwszy się na kolana, dotknęła książki, leżącej na kolanach siostry mojej, i zaczęła obracać kartki z owem niezręcznem nabożeństwem, jakie ludzie, nie umiejący czytać, zazwyczaj przejawiają w stosunku do książek.

«Niemają wierszy», mówiła dalej, «nauczyłam się bodajże z jego własnych ust, lecz przy tych wszystkich okropnościach i zagładzie, która nas spotkała, wyleciały mi one z pamięci... O, są znów, są! teraz mi się przypominają; uważaj, czy je dobrze mówię:

«I ręką uchwyciłam go, do głębi poruszona,  
Bo mi nadzieję słodką dał, że mu małżonką będę;  
I wiernie mu podałam dłoń ku wiecznej już pamięci:  
Że ma otuchą dla mnie być po wszystkie dni żywota!»

Osobliwy ton, w jakim z najwyższym zapalem wygłosiła te wiersze, użyczył im jakiejś czarownej, chwytającej za serce melodji.

«Ach, powiedz mi, droga pani, jeno mi powiedz — oby cię niebo pobłogosławiło za to! — jak brzmią dalsze wiersze. Niech usłyszę choć jeden, a przypomną mi się wszystkie pozostałe». — —

*Thum. Alfred Tom.*

## JAN PSICHARIS

(1854—1929)

### BOHATEROWIE Z NAD MORZA

My Nowogrecy często kłócimy się między sobą. Zwłaszcza na Chios stało się to już tradycją, że zamiast zwalczać Turków, rzuca się Grek jeden na drugiego. Przeto i ja uniosłem się gniewem i dałem temu wyraz w mojej książce. Miłość i nienawiść żyją tuż obok siebie w naszych sercach; z tą samą siłą nienawidzimy i kochamy, a czasami co godzinę naprzemian to kochamy się, to nienawidzimy.

Jeszcze jedna rzecz cechuje nas Greków: wiemy, czego nam brakuje, a udajemy, że niby tego nie widzimy. Znamy nasze wady, ale chcemy je zataić... nie lubimy o nich mówić. Dlatego i ja nie wymieniłem nazwy niegościnnej miejscowości. Być może, że wyrządziłem jej krzywdę: u nas Greków i to się zdarza; kiedy nas z jakiegokolwiek powodu zaboli głowa, to choćby nam nikt nic złego nie uczynił, skończyło się, przepadło! Wszystkie nieszczęścia zwalamy na osobę najbliższą, na tego «przekłętą draba, który nam rozwalil głowę!» Nader łatwo to czynimy. Ot, na ten przykład, sam przed chwilą tego doświadczyłem. Zaraz potem powiedziałem sobie w duszy: czyżby nie można było znaleźć nic porządnego w tej nieprawości nasiąkłej miejsco-

wości, która pobudziła mnie do gniewu?... A poszło to stąd, że we wspomnianej miejscowości spotkałem jednego ciekawego staruszka.

Był to człek pierwszy we wsi, rzekłbyś: miejscowy dostojnik, jeden z gospodarzy, bo takie miano nadają tam bogatszym.

Pewnego dnia zaciągnął mnie do jednej staruszki i czynił wszystko, co było w jego mocy, by ją skłonić do rozmowy z mną i opowiedzenia mi jakiej powiatki. Żenowała się staruszka i nie chciała opowiadać. Wówczas staruszek zaczął jej tłumaczyć, czego poszukuję, w jakim to celu przedsięwziąłem tak wielką podróż, jak to się włóczę, by poznać zwyczaje i cechy każdej miejscowości, by porównywać z sobą różne kraje, badać, jak zmieniała się nasza mowa i jak powstała, jak zaczęli ludzie mówić najpierw w małych wioskach, i jak potem przygodnie z tych lub innych wiosek jąła wzrastać, rozszerzać się i rozprzestrzeniać po całej ziemi ludzka mowa...

Ten niepiśmienny chłopek, który w młodości przebył najwyżej piętnaście miesięcy w szkole, wprawdzie wyolbrzymiał całą sprawę w swej wyobraźni, jednakowoż przedstawiał wszystko tak wymownie, dobierając tak trafnych i pełnych świeżości wyrażeń, że i ja po raz pierwszy zrozumiałem, pociąłem się w tę podróż; nigdybym tego nie zrozumiał, jeśli nie tam właśnie. Słowa staruszka wskazały mi, jak wziąć się do dzieła i studjować język...

Gdzie on się tego nauczył? skąd on to wziął? jak on to sobie uroił? Zanim zdolałem powiedzieć do niego jedno słowo, on natychmiast wyrwał ze mnie myśl moją!

## ANDRZEJ KARKAVITSAS

(1866—1922)

### ZŁE WRÓŻBY

Nie pierwsze to były złe wróżby, z jakimi miał się zetknąć kapitan Kremmidas. Jeszcze zanim wyruszył z domu, wszystkie znaki szły mu naopak. Chciał najać szypra, coby mu poprowadził statek — ale nie mógł znaleźć nikogo na to stanowisko. Widząc pomyślną pogodę, już zdecydował się jechać; ociągał się jedynie z tego względu, że był to wtorek. Wyszedł przeto w środe, kierując się ku morzu... aliści pierwszą rzeczą, jaką napotkał, była koza! Cóż miał robić?... wrócił jak niepyszny do domu.

Nakoniec w czwartek, gdy krewniacy zawczasu porozstawiali się na straży wszystkich ulic, a kobiety wyszły naprzód, by przegnać z drogi wszystko, co mogłoby przynieść złą wróżbę, pan kapitan skierował swe kroki ku golecie. I oto okazało się, że jakaś tam sowa nie miała nic lepszego do roboty, jak w sam raz w ową chwilę wylecieć z okrętu!...

Wzbiła się w górę, zawróciła i usiadła na maszcie, obrócona w stronę kapitana i wytrzeszczając wprost na niego swe ogromne oczyska. Ledwom ją zoczył, jałem natychmiast machać co sił rękoma i czynić wszelkie wysiłki, żeby ją spędzić. Ale choćbym ją tysiąc razy egzorcyzmował, lichy ani myślało ustąpić. Patrzyło sobie to ptaszysko przez chwilę na moje wymachiwanie rękami, a potem najspokojniej w świecie zwracało głowę w inną stronę z taką pogardą, jakby mi chciało powiedzieć:

— A wynoś-że się asan do djabła!

Wkońcu i kapitan ją spostrzegł.

— Idź precz, szatanie! — zawołał, kreśląc znak krzyża. Podniósł głowę i jął z uporem spoglądać jej prosto w źrenice. Ale i ona z taką uporczywością wlepiła w niego oczy, rzekłbyś, że chciała go urzec. No, i urzekła go wkońcu! Kapitan stał się żółty jak wosk, potem nagle zmieniła mu się cera i stał się czarny jak smoła; krew mu uderzyła do głowy i począł się dusić; włosy stanęły mu dębem na głowie, wąsy nastroszyły się dziko, oczy ciskały błyskawice i trząsł się na całym cielem czyto ze wzburzenia, czy pod wrażeniem rzuconego nań uroku; wpatrywał się w ptaka, nie przestając wdychać i pomrukiwać, niby ciężko krzywdzona i mocno udręczona dusza:

— A kysz! A kysz! Odpędzam ciebie poświęconą rutą, czaracie przebrzydły! Czego chcesz ode mnie, piekielniku bezbożny!... Oddal się ode mnie i nie wódź mnie

na pokuszenie!... Zostaw-że mnie w spokoju, człowieka spokojnego i ojca dzieciom... bym mógł sobie zapracować na kawałek chleba!...

Ale ptaszysko nie rozumiało ani słówka z tych zaklęć i nie myślało ruszyć się ze swego siedliska.

## CHRISTOS CHRISTOVASILIS

(ur. 1861)

### SEN PASTUCHA W NOC WIGILIJNĄ

— Baaaaa!... Beeeel!... — pobekiwały barany i owce.

— Hau! Hau! — poszczekiwały psy owczarskie.

Północ już przeszła. Dał silny wiatr, trzęsąc od posad całym szalasem, a ilekroć przycichł nieco burzliwy jego podmuch, od którego drętwiały z zimna mniejsze jagnięta, zaczynał sypać śnieg grubemi płatami i stał się po ziemi. Straszliwy czas, sam środek zimy, wigilja Bożych Narodzin! Mróz, wichura i śnieg walczyły z ziemią, jakby im była złą macochą, jakgdyby im była śmiertelnym wrogiem.

Wśród tej śnieżycy i zawieruchy zaczął rozlegać się dźwięk cerkiewnego dzwonu. Bił ciężko, poważnie, rozgłośnie. Na ten dźwięk poruszyły się psy; zaś owczarz, który spał ciężkim snem w ludzkiej przegrodzie, koło ogniska, otulony burką, od rana już przebrany odświętnie i gotów na pierwszy znak wyruszyć do cerkwi, z wielkim trudem ocknął się na alarm psich naszczekiwań i powiódł wokoło oczyma w ciemności, jakgdyby niedowierzając własnemu przebudzeniu. Wszak nie upłynęła jeszcze ani chwilka od czasu, gdy na świecie był maj w całej piękności i krasie, nie upłynęła i jedna chwilka od czasu, gdy z dwunastu tysiącami kóz i owiec, ze swymi juhasami, ze swą psiarnią, z przyborami do wyrabiania sera szedł jako przewodnik na połoniny... nie upłynęła ani jedna chwilka, jak po wspaniałej uczcie kładł głowę koło haftowanych trzewiczków przepięknej Marysi, którą kochał i za którą tęsknił... tej Marysi, tak sławionej i tak podziwianej córki pierwszego bacy, o którą ubiegali się najprzedniejsi juhasi i gospodarscy synowie! To, co widział, co posiadał — iż był tam jednocześnie bacą, najpierwszym z baców, właścicielem dwunastu tysięcy kóz i owiec oraz mężem przeurodzonej Marysi — wszystko to, jakby na urągawisko jego nędzy, było niczem innym, jak... snem w noc wigilijną! Z czarów dnia majowego dostał się w sam środek zimy, z bacy i gospodarza, przodującego tysiącom kóz i owiec, stał się ubogim pastuchem cudzego stada, a jedynie w sercu pozostała mu głęboka tęsknota za prześliczną Marysią, jedyną córką bacy Skendosa, za cudowną Marysią, którą kochał, kochał niezmiernie i o której poślubieniu nigdy nie marzył, bo był chudziną, nie zaś żadnym bacą i bogaczem!...

Dumał sobie, dumał nad tem, wzdychając z głębi serca, jakgdyby go spotkało jakoweś wielkie nieszczęście. Wkońcu przyniósł cebrzyk z wodą, umył się, wyszperał pod stryszkciem ukrytą świeczkę woskową, wziął w rękę kij pasterski i podążył ku cerkwi, wznoszącej się na szczycie pagórka ponad wioską. Gdy wszedł do wnętrza, cerkiew była już pełna ludzi, ale on wyróżniał się swoją urodą ponad wszystkich co najdorodniejszych chłopaków!

— Radość matce, co takiego ładnego chłopca urodziła! — tak sobie w duchu powiadał niejeden z obecnych. Ale najwięcej baczył na jego urodę sam baca Skendos. Przypatrował się, a przypatrował... a kiedy pop odśpiewał tę wesołą i radosną pieśń «Chrystus się rodzi», on sam doń pośpieszył, by z serca pobłogosławić zaręczynom swej jedynaczki Marysi z wiernym i rzetelnym swym sługą, juhasem Jorjosem...

Po nabożeństwie, przy śniadaniu, huknięto trzy razy ze strzelb na wiwat w domu pierwszego bacy Skendosa, tak iż wszystkie wsie i wszystkie szalasy dowiedziały się, że się żeni juhas nad juhasami, walny chłop Jorjos, z najurodziwszą z dziewczuch, Maryską, córką najprzedniejszego bacy Skendosa.

I powtarzano wszędzie:

— Niechaj żyją i niech się im dobrze powodzi!...

## GRZEGORZ XENÓPULOS

(ur. 1867)

## SALON SURISA

Ci, którzy salon ten znają tylko z wieści, gubią się w dociekaniach, czem zajmują się ludzie, gromadzący się tam każdego wieczora. Czy jest to, ot, zwykły sobie salon towarzyski, czy salon artystyczny, czy może — naukowy?

Żaden z tych domysłów nie odpowiada prawdzie. Przyjaciele Surisa poprostu — zabawiają się. Ot, grywają sobie w karciecia, i to, wyobraźcie sobie, po czemu grają: po piątce!... A jednak gra ta przyciąga uczonych, doktorów, profesorów uniwersytetu, poetów, historyków, dziennikarzy... słowem, od lat już dwudziestu bodaj nie było w Atenach takiej «osobistości», któraby nie grała u Surisa w preferansa czy pokera po piątce!

Od tej chwili każdy chyba rozumie, że owa «szulerka» w salonie Surisa nie jest niczem innym, jak tylko pretekstem, miłą sposobnością do przyjacielskich i niewymuszonych zebrań, do swobodnej pogawędki, żartów, dowcipów i wesołości. Ludzie lubią chodzić tam, gdzie mogą się pośmiać i poweselić. A ponieważ ze wszystkich salonów ateńskich tylko w jednym salonie Surisa każdy się śmieje, przeto tam chodzą najchętniej.

Nikt jeszcze nie powiedział: «Pójdę dziś wieczorem do Surisa, by odczytać moją pracę naukową... albo wygłosić mój utwór... albo dowiedzieć się czegoś w danej kwestji... albo spotkać się z kimś, do kogo mam pilny interes... albo posłuchać nowin ze świata politycznego czy też naukowego». Mówi się tylko: «Pójdę się pośmiać, rozweselić, pożartować, rozerwać się trochę»... Salon Surisa daleki jest od wszelkiej podniosłości i powagi, jakiej mógłby ktoś oczekiwać w salonie wielkiego i sławnego poety. I temu właśnie salon Surisa zawdzięcza swą sławę, swoje wielkie ożywienie i stałą wziętość: owej swoistej, zgoła nieoczekiwanej atmosferze, jaka w nim panuje i utrzymuje się od lat całych. Jest on miejscem wytchnienia, wypoczynku i rozrywki wszystkich tych poważnych, mądrych i pracowitych ludzi, którzy schodzą się tu, zostawiając u siebie w domu swoją powagę, książkową mądrość i wszelkie fachowe zatrudnienia.

Wszelkie zagadnienia poważniejsze i bardziej zawikłane porusza się — i to już dosłownie — w przerwach między jedną a drugą partyjką pokera, ale tylko poto, by wywołać jaki kalambur i lawiną śmiechu zadusić wszelką próbę dalszych roztrząsań. Gospodarz domu, otoczony przez samych tylko przyjaciół i wielbicieli, ale bynajmniej nie przez uczniów, nie różni się z nikim w poglądach, nie ubiega się o to, żeby być czyimkolwiek przewodnikiem czy nauczycielem, nie pozwala na żadne ścieranie się poglądów, nie daje okazji do nieporozumień i niesnasek, nie pomija żadnego ze swych gości. Jego salon zawsze jest otwarty, zawsze pełny; Suris nie zadaje sobie trudu, by go zamykać. Kto choć raz o tem się przekonał, kto zasnął rozkoszy tego przybytku, kto śmiał się tutaj z całego serca, zapominając na chwilę o swoich poglądach, mądrości i sztuce, ten przychodzić tu będzie niejednokrotnie, jako wierny przyjaciel Surisa, zwolennik radości i wypoczynku.

Już z samego wyglądu salon Surisa jest czemś jedynem i wyjątkowem w Atenach. Albowiem tam jedynie przebywa we własnej osobie Imć pan Suris i «Romejczyk»<sup>1</sup> i filozof Fasulis<sup>2</sup>.

## DYMITR NIKOLÓPULOS

(wspólcz.)

## JAK JORGOS OKPIŁ ŚWIĘTEGO

— Święty Janie, patronie mój, przybądź mi na ratunek! Już nie wytrzymam dłużej! Oto nadchodzi Wielkanoc, i bez Twej pomocy nijak sobie nie dam rady... Nie

<sup>1</sup> Grek, posługujący się mową ludową. Ten tytuł miało pismo satyryczne, wydawane przez Surisa.

<sup>2</sup> Pseudonim Jerzego Surisa, znanego poety-satyryka nowogreckiego (ur. 1853).

będę miał ani nowego ubrania, ani nowych butów! I dzieciom niczego nie będę mógł sprawić. A skąd wzię pieniądze na pisanki? Wszyscy moi sąsiedzi będą mieli jagnię na Wielkanoc, a mnie nie dostanie się ani kawateczek! Biedny ja, nieszczęśliwy! Nigdy Ci się jeszcze nie naprzykrzałem, nigdy Cię nie prosiłem o żadną łaskę. Po raz pierwszy dopiero uciekam się pod Twą opiekę. Mam nadzieję, że nie odmówisz mi pomocy w tem ciężkiem położeniu.

Tak modlił się Jorgos, klęcząc przed ikoną św. Jana w wiejskim kościele.

Wybił czołem kilka pokłonów i ciągnął dalej, pełen ulności i skruchy.

— Święty Janie, patronie mój, muszę Ci teraz wyznać, na jaką intencję modlę się do Ciebie: pomóż mi ukraść siwka Stefosa! Wyprowadzę go na jarmark do sąsiedniej wioski, a potem podzielimy się pieniędzmi. Oddam połowę swojego zysku na połączenie Twojej świętej ikony, a za drugą połowę nakupię rodzinie wszystkiego, czego potrzeba. Widzisz, mój Święty, jaki jestem sprawiedliwy! Ale i Ty nie odmawiaj mi Swej pomocy!

To powiedziawszy, Jorgos zamilkł. Wybił znów kilka pokłonów, zapalił świecę i, zabierając się do odejścia, dodał cichym głosem:

— Święty Janie, patronie mój, daruj mi, że Ci się naprzykrzam. Daruj mi, że wyznałem Ci swe strapienia. Spraw, żeby mi się udało dostać w swe ręce siwka Stefosa, a zobaczysz, jak pięknie Ci pozłocę ikonę! Będiesz miał się czem pochwalić przed innymi świętymi w Raju.

Przeżegnał się, upadł na kolana przed wizerunkiem Najświętszej Pannie i wyszedł z kościoła, zadowolony z siebie i pełen nadziei.

Z zapadnięciem nocy ruszył w stronę zagrody Stefosa. Postać jego gubiła się w ciemnościach, a gwałtowny wicher, wstrząsający z łoskotem drzewami, tłumił odgłos jego ciężkich butów. Jorgos przeskoczył ogrodzenie, wszedł do stajni, pochwycił siwka i, otworzywszy od wewnątrz pociechutku bramę, zaprowadził do siebie upragnioną zdobycz.

Uwiązał konia na środku podwórza i przy świetle latarki pociągnął starannie czarnym pokostem zad zwierzęcia.

— Z temi plamami — mówił do siebie — nikt nie pozna konia Stefosa. Mogę pójść całkiem spokojnie na jarmark. Choćby przyszedł tam sam Stefos, nigdy nie pomyśli, że to jego koń.

Po ukończeniu tej czynności cofnął się kilka kroków i, podziwiając konia zdaleka, wykrzyknął:

— Święty Janie, opiekunie mój, bądź pochwalone imię Twoje za pomoc, jakiej doznałem od Ciebie!

Podczas gdy pokost wysychał, Jorgos usiadł przy stoliku, zapalił lampę i zaczął pykać fajkę, rozprawiając sam z sobą. Ale w miarę jak rozmyślał, uświadamiał sobie coraz bardziej, że niedobrze obliczył się z pieniędzmi, które uzyska za konia. Tyle na ubranie, tyle na buty, tyle na jagnię... a połowa dla Świętego! Napróżno zaokrąglął całą kwotę, napróżno wykrecał na wszystkie strony swe rachunki: druga połowa w żaden sposób nie wystarczała na potrzebne zakupy...

Wreszcie, doprowadzony do pasji, uderzył z całej siły pięścią w stół.

— Naprawdę byłem głupi, że obiecałem połowę! To za dużo, o wiele za dużo. Ja tracę na tym interesie! Trzeba było powiedzieć: połowę połowy, albo nie... połowę połowy połowy. Takby było lepiej! Tyle na ubranie, tyle na buty, tyle na jagnię... i tyle dla św. Jana, mego patrona! I to jeszcze jestem bardzo hojny! Bo ostatecznie to ja załatwiłem całą sprawę... i do tego w taką psią pogodę!... A św. Jan co zrobił? Pomógł mi — tyle wszystkiego! A zresztą... czy ja wiem? Ja go nie widziałem! Ci święci są wszyscy jednacy. Jeżeli mnie nakryją żandarmi, to zamkną mnie, a nie jego!

Jorgos westchnął, bardzo niezadowolony, nabił znowu tytoniu do fajki i, wypuściwszy kłąb dymu, dodał pocichu:

— Trudno, słowo się rzekło. Skoro mu obiecałem połowę, to muszę mu dać połowę. Kiedy się daje słowo, trzeba go dotrzymać. Bo jeśli kiedyś znowu się znajdzie w potrzebie, żaden święty nie będzie chciał mi pomóc.

Powziąwszy to postanowienie, wyszedł na podwórze, upewnił się, że koń wyszedł, wobec czego wybrał się zaraz na jarmark.

Wiatr już ucichł, niebo się wyjaśniło i błyszczało gwiazdami. Prawdziwa przyjemność odbywać dłuższą drogę piechotą przy takim miłym chłodzie. Było tego pięć czy sześć godzin, ale cóż to jest dla człowieka, który ma czyste sumienie?

Kiedy zaczęło się rozwidniać, Jorgos postanowił trochę odpocząć. Konia przywiązał do drzewa, a sam usiadł na szkarpie i zapalił fajkę. Opanowało go dziwne zdenerowanie. Niezawsze jest wygodnie dotrzymać słowa!

Wpobliżu dało się słyszeć pianie koguta.

Jego przenikliwy i kpiący głos poderwał Jorgosa. Skoczył na równe nogi i, rozglądając się w półmroku wstającego dnia, zobaczył dach chłopskiego domu: pianie koguta rozległo się ponownie. Skoczyć przez płot, pobiec za krzykliwym ptakiem, złapać go — było dziełem jednej chwili. Pełen radości, Jorgos powraca do swego konia, odwiązuje go od drzewa i rusza w dalszą drogę, trzymając w jednej ręce końską uzdę, a w drugiej za łapy — koguta.

W pół godziny później spotkał na drodze jakiegoś wieśniaka.

— Dzieńdobry! A dokąd to tak wcześnie?

— Dzieńdobry! Ja idę na jarmark. A ty dokąd prowadzisz tego konia?

— Ja też idę na jarmark sprzedać koguta i konia.

— Ile za konia?

— Sprzedaję go razem z kogutem.

— Ale ja chcę kupić tylko konia. Mam dosyć kur i kogutów w domu. Nie jest mi na nic potrzebny.

— Bardzo mi przykro — oświadczył Jorgos. — Kupisz konia razem z kogutem albo nic. Widzisz, oba stworzenia tak się zżyły z sobą, że nie mam serca sprzedawać ich osobno.

— No więc dobrze. Ile chcesz za oba?

— Sześćset drachm — odparł zdecydowanie Jorgos. — Pięćset dziewięćdziesiąt za koguta i dziesięć za konia.

— Panie Miłosierny! — zawołał chłop. — Oszalałeś, człowieku! Chybaś się omylił i powiedziałeś jedno zamiast drugiego: pięćset dziewięćdziesiąt drachm za konia i dziesięć za koguta.

— Wcale nie oszalałem! Jestem mądrzejszy od ciebie. Powtarzam ci: chcę pięćset dziewięćdziesiąt drachm za koguta i dziesięć za konia.

— Ostatecznie co mnie to obchodzi? Dla mnie to wychodzi na jedno. Masz tu sześćset drachm; żeby twój kogut był ze złota, toby i wtedy tyle nie wartął.

Jorgos włożył pieniądze do kieszeni, oddał chłopu konia i koguta i wsiadł na pocztę, aby wrócić do swych penatów. Przyjechawszy do wsi, obszedł wszystkie sklepy celem poczynienia zakupów na święta: nabył nowe ubranie, nowe buty, jaźnię, farbę do jajek i mnóstwo innych rzeczy pożytecznych i miłych.

O zachodzie słońca poszedł do kościoła: zapalił świecę, ukląkł przed ikoną Świętego i z oczyma wilgotnymi z radości i skruchy przemówił:

— Święty Janie, patronie mój, przy Twojej świętej pomocy ukradłem konia Stefosa. Jestem uczciwym człowiekiem i dotrzymuję swych obietnic. Oto: sprzedałem konia za dwa talary; jeden dla Ciebie, drugi dla mnie. Pojmujesz, że jeden talar nie wystarczy na pozłocenie Twojej ikony. Ale to nie ma nic do rzeczy. Najważniejsze, że dotrzymałem słowa.

Mówiąc to, Jorgos uderzył czołem przed Świętym, rzucił talara do puszki i zadowolony z siebie wyszedł z kościoła.

*Tłum. Kazimierz Bulas.*

*Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.*



## SKOROWIDZ



## SKOROWIDZ

### CZĘŚCI PIERWSZEJ I DRUGIEJ

- |  |        |  |                      |
|--|--------|--|----------------------|
| *Abbār Ibn, al-: Wyjątek   | I 294  | Al-Fārābī: Uwagi o tem, co jest prawdziwego i nieprawdziwego we wpływie gwiazd | I 342                |
| Abdalqādir al-Dżaziri, zob. Dżaziri                                  |        | Alfieri Vittorio: Tragedja Filip II  | I 731                |
| Abdalqādir, al-  |        | Alfonsa Mądrego Kronika powszechna   | II 3                 |
| Abelard Piotr: Tak i nie   | I 638  | Alkajos: Do boju   | I 428                |
| Abraham a Santa Clara, zob. Megerle Ulrich                           |        | — Burza  | I 428                |
| Abraham ibn Chisdai: Z powieści poetyckiej p. t. «Królewicz i mnich» | I 234  | — Pijmy  | I 429                |
| Abreu Casemiro, de: Miłość i lęk                                     | II 64  | — Alkajos do Safony i odpowiedź  | I 429                |
| Abū Firās al-Ĥamdāni, zob. Ĥamdāni                                   |        | Almeida Garrett João Baptista da Silva Leitão, visconde de: Białe skrzydła     | II 62                |
| Abū Firās, al-   |        | Alves, zob. Castro Alves   |                      |
| Abū Kabir z plemienia Hudhajl: Wyjątek                               | I 263  | Amar-Das: Wyjątek  | I 122                |
| Abū-l-Alā al-Ma'arri, zob. Ma'arri                                   |        | Ambroży, św.: Hymn na nieszpór sobotni   | I 621                |
| Abū-l-Alā, al-   |        | Amen-em-ope: Nauki mędrca Amen-em-ope  | I 146                |
| Abu Said ibn Abulchajr: Czterowersze                                 | I 358  | Amenofis IV: Hymn do Słońca  | I 150                |
| Adam de la Halle: Robin i Marion                                     | I 805  | Amerykańska (płn.) literatura  | II 246—283           |
| Addison Józef: Ze «Spektatora»                                       | II 160 | Amerykańska (płn.) literatura bezimienna                                       | II 248               |
| Adi-Granthu (ind.)   | I 120  | Amorgos (z), zob. Symonides z Amorgos  |                      |
| Adija Samauāl ibn: Z jego arabskiego poematu                         | I 228  | Amr ibn Kulthum: Wyjątek   | I 263                |
| Adso z Montier-en-Der, zob. Żywoty X wieku                           |        | Anakreont: Wzgardzona miłość   | I 429                |
| Ady Andrzej: Biała pani  | II 616 | — Skarga   | I 429                |
| — Jesienią   | II 616 | — Pieśń biesiadna  | I 430                |
| Agada (żyd.)   | I 201  | — Nagrobki   | I 430                |
| Agathias z Myriny: Do pięknej szynkarczki                            | II 854 | Anakreontyki (gr.)   | I 430                |
| Ahlquist A. E., zob. Oksanen A.                                      |        | Andalusi Sa'id, al-: Wyjątek   | I 332                |
| Aho Juhani: Mój lud jałowcowi podobny                                | II 541 | Andersen Hans Christian: Księżniczka na grochu                                 | II 492               |
| Aischylos, zob. Eschilos   |        | — Z «Książki z obrazkami bez obrazków»   | II 493               |
| Ajās Muti ibn: Wyjątek   | I 285  | — Dziecię umierające   | II 494               |
| Ajtareja-Upaniszad (ind.)  | I 49   | Anderson Sherwood: Z «Pieśni Stefana»  | II 279               |
| Akuraters Janis: Boskość   | II 575 | Andreini Francesco: Bohaterstwa kaptana Grozy                                  | I 725                |
| — Pod władzą serca   | II 575 | Andrejew Leonid: Opowieść o siedmiu powieszonych                               | II 681               |
| Akwın (z), zob. Tomasz z Akwinu                                      |        | — Ben-Towit  | II 684               |
| Alberti Leon Battista: Wieczera rodzinna                             | I 691  | Andrzej Kapelan: O miłości   | I 656                |
| — O malarstwie   | I 692  | Angielska ballada o łowach w Czewocie  | II 124               |
| Alceusz, zob. Alkajos  |        | Angielska literatura   | II 119—245           |
| Alecsandri Vasile: Indyczki  | II 73  | Angielska literatura bezimienna  | II 119, 120, 123—125 |
| — Śnieżyca   | II 74  | Angielska poezja ludowa  | II 123               |
| Aleksandria (rum.)   | II 68  | d'Annunzio Gabriele: Może tak, może nie  | I 746                |
| Aleksandria (z), zob. Filon z Aleksandrii                            |        | — Martwe miasto  | I 747                |
| Alexandrescū Grigore: Pies i piesek                                  | II 70  | Anonim z epoki Han (chiń.)   | I 16                 |
| Al-Fārābī: Z dzieła p. t. «Państwo wzorowe»                          | I 334  |  |                      |
| — Z księgi zgodności między Platonem a Arystotelesem                 | I 341  |  |                      |
| — O odwiecznym trwaniu wszechświata i jego stworzeniu w czasie       | I 341  |  |                      |

- Anonimowa literatura gnomiczna (ind.) I 74  
 Anonimowe poezje religijne (żyd.) I 22  
 Antara: Skargi Abli i inne poezje I 270  
 Ants, zob. Käsü Hans  
 Anzelm z Kantorbery: O istocie bóstwa I 635  
 Apollinaire Guillaume: Pocisk I 1027  
 — Strefa I 1028  
 Apulejusz: Księgi przemian (Powieść o złotym osle) I 610  
 d'Aquila Serafino: Strambotto I 694  
 — Sonet I 694  
 Arabska literatura I 263—343  
 Arabska literatura bezimienna I 264, 265, 279—282, 297, 300—308, 343  
 Arabska powieść 1001 nocy I 304  
 Arabskie makamy I 298  
 Arabskie powieści z 1001 nocy I 304  
 Arabsko-hiszpańska poezja I 297  
 Arai Hakuseki: Z dzieł Hakusekiego I 35  
 Arakida Moritake: Wyjątek I 27  
 Arany Jan: Z «Toldiego» II 605  
 — Po trzydziestu latach II 607  
 — Sąd Boży II 608  
 Araujo, zob. Herculano de Carvalho e Araujo Alexandre  
 d'Arbaud Jósé: Wawrzyn arlezyjski I 1042  
 — Zwierz z Vacarés I 1043  
 Arce, zob. Núñez de Arce  
 Archilochos: Poeta i żołnierz I 426  
 — Po pogromie I 426  
 — Zdaj się na bogów I 426  
 Aretino Pietro: Kurtyzana, komedia I 718  
 Argezi Tudor: Płodność II 88  
 Argote, zob. Góngora y Argote  
 Ariosto Ludovico: Orland Szalony I 706  
 Ariwara no Narihira: Na wygnaniu I 25  
 — Czerwone klony (japońskie) nad rzeką Tattą I 25  
 Armorykańska literatura II 95—118  
 Arnaut Daniel: Lo ferm voler qu'el cor m'intra I 768  
 Arystofanes: Ptaki I 464  
 Arystoteles: Poetyka I 492  
 Asatada: Zawód I 27  
 Aspazja, zob. Plikszans Elza  
 Asyryjska literatura bezimienna I 123—135  
 Asyż (z), zob. Franciszek z Asyżu, św.  
 Asz Szalom: Wiejski święty I 253  
 Aśwaghosza: Saundarananda-Kawja I 104  
 Aškerc Anton: Trzej podróżni II 837  
 Atâhija Abû-l-: Wyjątek I 286  
 Atalar Sözü (tur.) I 391  
 Ateusz spiorunowany (wł.) I 726  
 Atharwa-Weda (ind.) I 47  
 Atsutada: Tęsknota I 26  
 Attar Ferideddin: Z żywota Dhulnun al Misriego I 364  
 — Z żywota Bajazida al Bistamiiego I 365  
 At-Tariûszî, zob. Tariûszî, at-  
 Aubanel Teodor: 9 thermidora I 1038  
 — Wenus z Arles I 1039  
 Aue, zob. Hartmann von Aue  
 Augustyn, św.: O państwie Bożem I 622  
 — O naturze dwu miast: ziemskiego i niebieskiego I 623  
 — O nędzy i nieszczęściach, którym rodzaj ludzki gwoi grzechu pierwotnego podlega, od których go jeno łaska Jezusa Chrystusa uwolnić może I 623
- Auseklis, zob. Krogzems Mikus  
 Ausonius Decius, zob. Auzonjusz  
 Australijska literatura II 284—288  
 Auzonjusz: Przegląd szlachejnych miast I 625  
 Awesta (pers.) I 344  
 Ayala, zob. López de Ayala  
 Azrijel, syn Menachema: Z dzieła mi-stycznego I 215
- Baba-Nanak: Wyjątki I 120  
 Babić, zob. Djalski-Babić  
 Babilońska literatura bezimienna I 123—135  
 Bacon Franciszek: Ze «Szkiców» II 128  
 Bahdanowicz Maksym: Apokryf II 744  
 — Sluckie tkaczki II 746  
 Bahuszewicz Franciszek: Kolysanka II 738  
 — Moja chata II 738  
 Bakchylides: Tezeusz I 435  
 Baki: Wyjątek I 390  
 Balassa Bálint: Pieśń na chwałę ryce-rzy kresowych II 593  
 Ballada nieznanej damy (st.-prow.) I 782  
 Ballada o łowach w Czewiocie (ang.) II 124  
 Ballada pasterska o jagniątku (rum.) II 69  
 Balmont Konstanty: W słowach moich II 689  
 — Sztyletowe słowa II 690  
 — W ogrodzie mym II 690  
 — Złota rybka II 690  
 — Zamek II 690  
 Baltazar Camil: Do matki II 93  
 Balzac Honoré, de: Ojciec Goriot I 917  
 — Małe niedole pożycia małżeńskiego I 918  
 Banello Matteo: Nowela I 716  
 Baranowski Antoni: Z poematu «Bo-rek Oniksztański» II 584  
 Barbezieux (z), zob. Ryszard z Barbe-zieux  
 Barca, zob. Calderón de la Barca  
 Barlaam i Jozafat [streszczenie] (łac.) I 664  
 Baroncelli-lavon: Trójzab I 1041  
 Barrés Maurice: Nieśmiertelne znamię Francji I 991  
 Batûta ibn: Z opisu podróży I 335  
 Baudelaire Charles: Śmierć nędzarzy I 961  
 — Człowiek i morze I 961  
 Baus, zob. Tamayo y Baus  
 Beatrycza de Dia: Kancona I 765  
 Beaujeu Renaud, de: Piękny nieznajo-mek I 793  
 Beaumarchais Pierre Augustin Caron, de: Cyrulik sewilski I 887  
 Beaumont Franciszek: Tragedja dzie-wicy II 143  
 Bécquer Gustavo Adolfo: Preludjum II 41  
 Beets Nicolaas (Hildebrand): Gdy dzieci podrosną II 512  
 Bellay Joachim, du: Sonet I 828  
 Belleau Rémy: Kwiecień I 828  
 — Winobrańcy I 829  
 Bellman Carl Mikael: Portug... Hi-szpanja... II 472  
 Bellvis, zob. Castro y Bellvis  
 Benavente Jacinto: Zła miłość II 46  
 Bencúr Matej, zob. Kukučín Marcin  
 Ben-Cyjon Sz. (Sz. Gutman): Kapłan drzew I 238  
 Benjamin z Tudeli: Z opisu podróży do Azji i Egiptu I 220  
 Beowulf (ang.) II 119  
 Béranger Jean Pierre: Król Gwoździk I 894

- Béranger Jean Pierre: Senator I 895  
 — Senator I 895  
 — Moja Rzeczpospolita I 896  
 Bergamo (z), zob. Mikołaj z Bergamo  
 Bernard z Clairvaux: Kazanie na dzień  
 Narodzenia Błogosławionej Dzie-  
 wicy Marji I 641  
 Béthune Conon, de: Belle douce dame I 795  
 Bezruč Piotr: Powrót II 785  
 Bhartrihari: Aforyzmy I 73  
 Biadula Żmitrok (Samuel Płaunik):  
 Mój skarb II 742  
 Bialik Ch. Nachman: Wiersz I 242  
 — Z pieśni ludowych I 243  
 — Jeżeli pragniesz I 243  
 — Moja pieśń I 244  
 — Powieść o pogromie I 245  
 Białoruska literatura II 736—746  
 Białoruska literatura bezimienna II 739  
 Białoruski hymn II 739  
 Bielyj Andrzej (Bugajew Borys):  
 Z okna wagonu II 697  
 — Pajac II 698  
 Bierbaum Otto Julius: Czasami w cichą  
 noc... II 433  
 — Muzyka szczęśliwego lata II 433  
 Bilderdijk Willem: W samotności  
 wieczorem II 510  
 Binkis Kazys: Wietrznik II 592  
 Biografja nomarchy Ameniego (egip.) I 151  
 Bitwa pod miastem Kadesz (egip.) I 153  
 Bizantyńska literatura II 850—863  
 Björnson Björnstjerne: Z «Ponad siły» II 457  
 — Ojciec II 458  
 — Nils Finn II 459  
 Błaga Lucian: Dąb II 93  
 Blahoslav Jan: Z filipiki przeciwko nie-  
 przyjaciółom wyższego wykształce-  
 nia w Jednocie Braterskiej II 751  
 Blaia, zob. Rudel de Blaia Jaufre  
 Blake William: Szalony śpiew II 176  
 — Z «Małżeństwa nieba z piekłem» II 176  
 Blasco Ibáñez Vicente: Nasze morze II 53  
 Blaumanis Rudolfs: W cieniu śmierci II 565  
 Błok Aleksander: Wysoko gdzieś II 695  
 — Jesienna miłość II 695  
 — Wenecja II 696  
 — Poeta II 696  
 — Dwunastu (wyjątek) II 697  
 Boccaccio Giovanni: Filocolo I 689  
 Boecjusz: Pocieszenie filozofji (stre-  
 szenie) I 626  
 Boëthius Anitius Manlius Severinus,  
 zob. Boecjusz  
 Boileau Despréaux Nicolas: Sztuka ry-  
 motwórcza I 849  
 Bojer Johan: Z «Wielkiego głodu» II 469  
 Boldrewood Rolf, zob. Browne Thomas  
 Alexander  
 Bonawentura, św.: Filomela I 670  
 — Piękno i miłość I 642  
 Boratynskij Eugenjusz: Wiosna II 638  
 Born Bertrand, de: Escondich I 762  
 — Sirventes I 763  
 Borneilh Guiraut, de: Alba I 767  
 — Kancona I 767  
 Bossuet Jacques Bénigne: Mowy po-  
 grzebowe I 853  
 Botew Christo: Pieśń o Chadźim Dmi-  
 tarze II 839  
 Botew Christo: Powieszenie Wasyla  
 Lewskiego II 839  
 Bourbon (z), zob. Stefan z Bourbon  
 Brandes Georg: Z «Wrażen z Polski» II 497  
 Brant Sebastian: Z «Okreću błaznów» II 311  
 Brătescu-Voinești Ioan Alex.: Oblęd  
 pana Radu Finulca II 83  
 Braxatoris, zob. Sládkovič Ondřej  
 Bret-Harte Francis: Z «Opowiadań  
 o Argonautach» II 273  
 Bretońska literatura II 95—118  
 Bridges Robert: Zbudź się, me serce II 239  
 Brihad-Aranjaka-Upaniszad (ind.) I 52  
 Briusow Walery: Ilunny przyszłości II 694  
 — Północą II 694  
 — Zaduma dziewczyny II 694  
 — Murarz II 695  
 Broń kobiety (grec.) I 430  
 Brooke Rupert: Żołnierz II 240  
 Browne Thomas Alexander (Rolf Bol-  
 drewood): Z «Nieszczęsnych ma-  
 rzeń» II 287  
 Browning Elżbieta Barrett: Z «Sone-  
 tów z portugalskiego» II 214  
 Browning Robert: Miłość wśród ruin II 215  
 — Spotkanie w nocy II 217  
 Brun Johan Nordahl: Górą Norwegia II 453  
 Brunetièrre Ferdinand: Genjusz Bos-  
 sueta I 959  
 Bruno Giordano: Wieczera popiołów I 714  
 — Lichtarz I 714  
 Bryant William Cullen: Mogiła II 251  
 Březina Otokar: Gdy niebo wam okna  
 rozjarzy II 780  
 — Moja matka II 780  
 — Motyw z Beethovena II 781  
 Buber M.: Dlaczego śmiał się święty I 240  
 Buddha: Kazania I 62  
 Bugajew Borys, zob. Bielyj Andrzej  
 Bułgarska literatura II 839—849  
 Bunin Jan: Pożeganie II 693  
 Bunyan John: Pielgrzymka II 153  
 Buonarrotti Michelangelo: Sonet I 702  
 Burns Robert: O, gdybyś stała gdzieś  
 wśród pól II 174  
 — Do Maryjki w niebie II 174  
 — Me serce jest w górach II 175  
 — No, bo i cóż? II 175  
 — Bruce do swego wojska pod Ban-  
 nockburnem II 175  
 — Moja Basia II 176  
 Büchner Georg: Z «Wozzecka» II 402  
 Bürger Gottfried August: Lenora II 343  
 Bylina o Światogorze (ros.) II 618  
 Byron Jerzy: Z «Korsarza» II 186  
 — Z «Narzeczonej z Abydos» II 187  
 — *Ἰσὴν ποῦ, αἴς ἀναπῶ* II 187  
 — Z «Wędrówek Childe Harolda» II 187  
 — Z «Melodyj hebrajskich» II 189  
 — Z «Don Juana» II 189  
 — W ostatnim roku życia poety II 190  
 Cabestanh (z), zob. Wilhelm z Caba-  
 stanhu  
 Caesar Gaius Julius, zob. Cezar  
 Caesarius, zob. Cezary z Heisterbachu  
 Calderón de la Barca Pedro: Czarno-  
 księżnik II 27  
 — Winnica Pańska II 30

- Camões Luís Vaz, de: Luzjady II 61  
 Campanella Tomaso: Wiara naturalna prawdziwego mędrca I 715  
 Campbell Thomas: Z «Wierszy o Polsce» II 185  
 Campoamor y Camposorio Ramón, de: Smetki i śpiewy II 39  
 — Metempsychozy II 39  
 — Komedja wiedzy II 40  
 Camposorio, zob. Campoamor y Camposorio  
 Cankar Ivan: Kasztan osobliwego gatunku II 837  
 Canudo Ricciotto: Wardar I 1026  
 Caragiale Ioan Luca: Gromnica wielkanocna II 74  
 — Omyłka II 80  
 Cardinal Piotr: Mala canso I 779  
 — Sirventes moralny I 779  
 Carducci Giosué (Enotrio Romano): Do pewnych krytyków I 740  
 — Hymn do rymu I 741  
 — Pieśń poranna I 742  
 — Pieśń rozpaczna I 742  
 Cariteo-Gareth Benedetto: Sonet I 694  
 Carlyle Tomasz: Z «Sartora Resartusa» II 200  
 Carpio, zob. Vega Carpio  
 Carteromaco, zob. Fortiguerra  
 Carvalho, zob. Herculano de Carvalho e Araujo Alexandre  
 Castiglione Baldassare: Na śmierć Rafaela malarza I 695  
 — Dworzanin I 695  
 Castro Alves: Immensis orbibus anguis II 66  
 Castro y Bellvis Guillén, de: Młodość Cyda II 32  
 Celano, zob. Tomasz z Celano  
 Celycka literatura II 95—118  
 Celycka literatura bezimienna II 95—110, 111—118  
 Celycka literatura gnomiczna anonimowa II 117, 118  
 Celycka modlitwa Ninine'a II 112  
 Celycka opowieść o Bajlem słodycząsłynącym II 109  
 Celycka pieśń hidera — Opis zaświata II 111  
 Celycka pieśń z cyklu osjanicznego II 110  
 Celyckie kuplety św. Molinga II 117  
 Celyckie misterjum świętych Kryspina i Kryspinjana II 113  
 Cendrars Blaise: Przyjazd do Moskwy I 1014  
 Cerna Panait: Noc letnia II 82  
 Cervantes Saavedra Miguel, de: Teatr cudów II 15  
 Cezar: Wojna z Gallami I 536  
 Cezary z Heisterbachu: Dialog cudów I 664  
 Chadźib Jussuf Hass: Staroturecka «Etyka» według księgi «Kitadgu Bilig» I 387  
 Chajjam Omar, al.: Czterowiersze I 359  
 Chakani Afzaleddin: Czterowiersze I 362  
 — Walka Ariseddina z Chakanim I 363  
 Chaldun Ibn: Prolegomena do historii I 330  
 Chalupka Samo: Wieje wicher, wieje II 799  
 Chamfort Nicolas: Maksymy i myśli, charaktery i anegdoty I 891  
 Chamisso Adalbert, v.: Z «Dziwnej historii Piotra Schlemihla» II 380  
 Chamisso Adalbert, v.: Burza II 381  
 Chariri: Wyjutki I 298  
 Charith: Wyjutek I 264  
 Charizi Jehuda, ben Salomo, al: Wiersz na cześć wina I 233  
 — Z «Makamy o mrówce i pchle» I 234  
 — Łzy miłości I 234  
 Charos i dusze (nowogr.) II 866  
 Charos i pasterz (nowogr.) II 866  
 Chartofylaks Georgios: Skarga Rzymu II 862  
 Chateaubriand René, de: Atala I 899  
 Châtim Taj: Wyjutek I 272  
 Chatterton Tomasz: Z «Ballady bristolskiej» II 172  
 — Pieśń pogrzebowa II 173  
 Chaucer Geoffrey: Z «Opowieści kanterberyjskich» II 120  
 Chelicki Piotr: Posiew prawej wiary II 750  
 Chénier André: Młoda Lokryjka I 894  
 Chesterton Gilbert Keith: Obrona niedorzeczności II 236  
 — Osiolek II 237  
 Chińska literatura I 1—23  
 Chińska literatura bezimienna I 1—3, 13, 15, 16, 21  
 Chorwacka literatura II 819—835  
 Chrétien de Troyes: Perceval I 792  
 Christofor z Mityleny: Na mnicha Andrzeja latwowieznego zbieracza relikwii II 859  
 Christópolos Atanazy: Wyroczenia II 867  
 — Tęsknota II 867  
 Christovasilis Christos: Sen pastucha w noc wigilijna II 879  
 Cicero Marcus Tullius, zob. Cycero  
 Clairvaux (z), zob. Bernard z Clairvaux  
 Claudel Paul: Zakładnik I 1016  
 Clemens Samuel Langhorne (Twain Mark): Jak wydawałem pismo rolnicze II 275  
 Cocteau Jean: Ze «Złorzeczeń wawrzynowi» I 1031  
 Coleridge Taylor Samuel: Pieśń o starym żeglarzu II 179  
 Collins William: Zgon walecznych II 171  
 Commynes Philippe, de: Pamiętniki I 815  
 Conrad Józef (Korzeniowski): Z «Młodości» II 228  
 — Z «Księcia Romana» II 229  
 Conscience Hendrik: Z «Pamiętnego roku 1556» II 511  
 Cooper James Fenimore: Ze «Szpiega» II 250  
 — Z «Pionierów» II 251  
 Corneille Pierre: Cyd I 839  
 Cornet Raimon, de: Glosa do poematu Bernarda de Panassac I 784  
 Coster Charles, de: Z «Dyla Sowi-zdrzała» II 515  
 Coşbuç George: Wiejska kolysanka II 79  
 Cotruş Aron: Na stepie II 92  
 — Ion Codru II 93  
 Couperus Louis: Kleopatra II 529  
 Cowper William: Do Marji II 173  
 Crainic Nichifor: Poeta II 86  
 Creangă Ion: Jan Roatã i zjednoczenie II 71  
 Crespo, zob. Gonçalves Crespo  
 Cudowny sen Thutmosisa IV u stóp Sfinksa (egip.) I 156  
 Cuthbertson James Lister: Oda do Apollina II 284

- Cycero: Sen Scypjona I 539  
 — Druga Filipika I 543  
 Cykl lotaryński I 788  
 — osjaniczny II 110  
 Cyryl z Quidenonu: Zwierciadło mądrości I 648  
 Czechow Antoni: Podoficer Priszbiejew II 676  
 Czeczot Jan: Gdybym w karczmie nie siadywał II 736  
 Czeska literatura II 747—798  
 Czeska literatura bezimienna II 747, 748, 749, 750  
 Czeskie pieśni żakowskie II 749  
 Czhandogja-Upaniszad (ind.) I 50  
 Czou Tun I: Z ksiąg Czou Tun I I 21  
 Czuang tse: Z ksiąg Czuangtse'go I 7  
 Czterdzieści wezyrów (tur.) I 393
- Çiğinski Jakub Bart: Budziszyn II 806  
 — Omnia vana II 807  
 — Lubin II 807  
 — Koniec cierpliwości II 807  
 Čapek Karol: Z życia owadów II 788  
 Čech Świętopełk: Pieśń niewolnika II 763  
 — Kłopoty krytyka II 765  
 Čelakovský Franciszek Władysław: Pojednanie II 759
- Dajnos (lit.) II 580  
 Dalin Olov, v.: Kiedy już wszystko utonie w ciszy II 472  
 Damiri: Z dzieła p. t. «Chajāt al-Chajawan» I 316  
 Dante Alighieri: Nowe życie I 682  
 — Piekło I 683  
 Dario Rubén: Łabędzie II 50  
 — Biała karta II 51  
 Daudet Alphonse: Tartarin z Tarsconu I 950  
 Davidescu Nicolae: Szkic prowincjonalny II 89  
 Däubler Theodor: Z «Zorzy północnej» II 441  
 — Przebudzenie II 441  
 — Istota II 442  
 Defoe Daniel: Robinson Kruzoe II 158  
 Dehmel Richard: Pieśń robotnika II 430  
 — Kolysanka II 430  
 — Gniazdo rodzinne II 430  
 — Ależ nie! II 431  
 Dekameron turecki I 393  
 Dekker Eduard Douwes (Multatuli): Z «Listów miłosnych» II 513  
 — Z «Idej» II 514  
 — Definicja specjalności II 514  
 — Dobrotliwy stwórca II 515  
 — Platon i Tersytes II 515  
 Delavigne Casimir: Warszawianka I 900  
 Delille Jacques: Z poematu «Ogrody» I 886  
 Demostenes: Pierwsza mowa przeciw Filipowi w roku 352 I 498  
 Des Masures Louis: Dawid triumfujący I 813  
 Dhammapada (ind.) I 67  
 Dia, de, zob. Beatrycza de Dia  
 Dickens Charles: Z «Dawida Copperfielda» II 204  
 — Z «Klubu Pickwicka» II 205  
 Diderot Denis: Kuzynek mistrza Rameau I 880
- Dierzawin Gabrijel: Bóg II 624  
 — Wyjątek z «Ody na śmierć księcia Mieszczerskiego» II 625  
 — Niepowstrzymana czasu rzeka... II 626  
 Dietmar von Eist (Aist), zob. Eist (Aist) Dietmar, v.  
 Dilem susi roenara (pers.) I 385  
 Dinis, król, zob. Kancjonarz króla Dom Dinisa  
 Dionizjusz Pseudoareopagita: Piękno i miłość I 642  
 Djalski-Babić Ksawer Šandor: Gaj II 830  
 Donalitus Chrystjan: Cztery pory roku II 582  
 Dordogne (z), zob. Gausbert de Puyebot z Dordogne  
 Dorgelès Roland: Drewniane krzyże I 987  
 Dostojewskij Teodor: Skrzywdzeni i poniżeni II 661  
 — Idjota II 662  
 Dowkont Szymon: Z dzieła «Zwyczajy starożytnych Litwinów» II 583  
 Drachmanu Holger: Spokój opadającego liścia II 501  
 — Pieśń fal II 502  
 Drieu la Rochelle Pierre: Pocisk I 999  
 — Sąd autora o samym sobie I 1000  
 Dryden John: Uczta Aleksandra II 150  
 — Ze «Zdobycia Grenady» II 152  
 Du Bellay Joachim, zob. Bellay Joachim, du  
 Duch lubego Williama (ang.) II 123  
 Dučić Jovan: Dalmacja II 818  
 — Wino dubrownickie II 819  
 Duhamel Georges: Zwiastowanie I 981  
 — Życie męczenników (1914—1917) I 981  
 — Cywilizacja (1914—1917) I 982  
 Dumas Alexandre, syn: Dama kame-ljowa I 933  
 Dumka z Siedmiogrodu (rum.) II 68  
 Dumka żalu (rum.) II 67  
 Dunbar William: Odwiedziny świętego Franciszka II 123  
 Duńska literatura II 490—506  
 Durand Brunoun: Westchnienie Garagai I 1040  
 Durych Jarosław: Budziejowicka łąka II 795  
 Dziejopisarstwo (tur.) I 395  
 Dżami: Wyjątki I 382  
 — Szerszeń i pszczoła I 383  
 — Mysz i wielbłąd I 384  
 Dżataków zbiór (ind.) I 69  
 Dżaziri Abdalqadir, al-: Z dzieła p. t. «Jasne dowody usprawiedliwienia kawy» I 318  
 Dżelaledin Rumi: Król i chora niewolnica I 366  
 — Wyjątki I 368
- Echegaray y Eizaguirre José, de: Wielki Goleotto II 45  
 Edda (isl.) II 445  
 Edyb Chalide: Handlarz pestek I 398  
 Eeden Frederik Willem, van: Z «Mallego Janka» II 527  
 Efraim, syn Jakóba: Z kroniki I 217  
 Egipska biografia nomarchy Ameniego I 151  
 Egipska księga umarłych nowożytnego państwa I 141  
 Egipska literatura I 136—163

- Egipska literatura bezimienna I 136—145, 149—157
- Egipska opowieść o Bitwie pod miastem Kadesz I 153
- Egipska opowieść o Cudownym śnie Thutmosisa IV u stóp Sfinksy I 156
- Egipska pieśń harfiarza I 149
- Egipski żywot i czyny kapitana Amosisa I 152
- Egipskie listy z czasów XXI dynastji I 161
- Egipskie teksty piramidowe I 136
- Egipskie teksty sarkofagowe I 140
- Eichendorff Joseph, v.: «Z życia niepokonia» II 385
- Łagodnych dni jesieni II 386
- Eist (Aist) Diémar, v.: Do sokoła II 303
- Eizaguirre, zob. Echegaray y Eizaguirre
- Elegja (pers.) I 385
- Eliot George: Z «Adam Bede» II 210
- Emerson Ralph Waldo: Wiara w siebie II 253
- Podarki II 254
- Nie waż się... II 256
- Emin Mechemed: Moje pieśni I 400
- Eminescu Mihail: Glossa II 78
- Modlitwa Daka II 78
- Enotrio Romano, zob. Carducci
- Enuma eliś (bab.-as.) I 125
- Epopcja cyklu lotaryńskiego (franc.) I 788
- Erazm z Rotterdamu: Z «Pochwały głupoty» II 507
- Erenburg Eljasz: Modlitwa za dzieci II 702
- Doba II 703
- Eryngena (Scot Jan): O podziale przyrody I 636
- Eschenbach Wolfram, v.: Z «Parsywala» II 301
- Eschilos: Agamemnon I 436
- Eschyl, zob. Eschilos
- Espronceda y Lara José, de: Student z Salamanki II 35
- Estieu Prosper: Zawierucha I 1040
- Estońska literatura II 546—561
- Eukratas Jan Moschos: Z «Łąki» II 854
- Eurypides: Bachantki I 454
- Evans Marja Anna, zob. Eliot George
- Ewald Johannes: Król Christian II 491
- Ewangelja niewieścia (franc.) I 802
- Ezra Abraham ibn: Pieśń święteczna na cześć wina I 231
- Ezra Mojżesz ben: Do ukochanej I 229
- Starość I 230
- Fa Ilien: Z «Opisu podróży» I 17
- Faidit Gaucelm: Pieśń krzyżowa I 776
- Fârabî, zob. Al-Fârabî
- Fârid Omar ibn: Wyjętek I 292
- Farrère Claude: Bitwa pod Cuszimą I 995
- Farsa o mistrzu Piotrze Pathelinie (franc.) I 810
- Fasi Izaak, al-: Decyzje w piędnych sprawach spornych I 211
- Fatch Ali Szach: Wiersz do żony Tadzî-Dawlej przy ofiarowaniu jej bukietu I 386
- Fazył Bej: Z Dywanu I 397
- Fénelon de Salignac François: Rozmowy wielkich królów i sławnych mężów I 855
- Ferideddin Attar, zob. Attar Ferideddin
- Ferreos, zob. Rigas
- Fet Atanazy, zob. Szenszin
- Fichman Jakób: Nadchodzi wieczór I 245
- Fidâ Abû-l-: Z historii powszechnej I 330
- Fikret Tewfik: Rankiem podczas ezanu I 400
- Filanśkyj Mykoła: O świcie II 729
- W odwieczerz II 730
- Filicaia Vincenzo, da: Oda do króla polskiego Jana III I 722
- Oda do Italji I 723
- Filon z Aleksandriji: Z «Życia Mojżesza» I 191
- Pierwszy dzień stworzenia I 195
- Fińska literatura II 534—545
- Fińska literatura bezimienna II 534—536
- Fińskie pieśni ludowe II 534
- Firdausi: Szach-Name I 348
- Fischart Johann: Z «Filozoficznej księżeczki o pożyciu małżeńskim» II 316
- Flamandzka literatura II 507—533
- Flaubert Gustave: Pani Bovary I 926
- Flawjusz Józef, zob. Józef Flawjusz
- Flecker Jakób Elroy: Śpiew wojenny Saracenów II 239
- Fleming Paul: Piosenka II 321
- O całusach II 321
- Nowe postanowienie II 321
- Fletcher John: Tragedja dziewicy II 143
- Folquet z Marsylji: «Ben an mort melor / Mei huel galiador» I 771
- Fontane Theodor: Na Ribbeku imć Ribbek, dobry pan II 413
- Barbara Allen II 413
- Tak, chciałbym tego jeszcze dożyć II 414
- Fontenelle le Bouvier Bernard, de: Rozmowy zmarłych I 857
- Fonwizin Denis: Z «Niedorostka» II 623
- Fort Paul: To dziewczę umarło I 970
- Pożegnanie I 970
- Ballada XIII I 970
- Harmonijna wizja ziemi I 971
- Fortiguerra Niccolo: Ricciardetto I 713
- Foscolo Ugo: Ostatnie listy Jakóba Ortis I 733
- Fouqué, zob. Motte-Fouqué
- France Anatol: Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką I 955
- Franciszek z Asyżu, św.: Zwierciadło doskonałości I 674
- Pieśń stworzeń I 675
- Francja (z), zob. Marja z Francji
- Francuska epopeja cyklu lotaryńskiego I 788
- Francuska farsa o mistrzu Piotrze Pathelinie I 810
- Francuska fraszka o kuropatwach I 804
- Francuska literatura I 787—1032
- Francuska literatura bezimienna I 787—790, 797—799, 801—805, 808—813, 829
- Francuska pieśń o Rolandzie I 787
- Francuska pieśń o Wilhelmie I 788
- Francuska satyra menippejska I 829
- Francuski poemat o Trystanie I 789
- Francuski romans o Doście I 797
- Francuski romans o lisie I 801
- Francuski romans o róży I 803
- Francuski żywot niecnego bogacza I 808
- Francuskie misterjum o Adamie I 798
- Franklin Benjamin: Z «Pamiętników» II 246
- Z «Nauk biednego Ryszarda» II 247



- Franko Iwan: Z księgi «Kaaf» II 717  
 — Z «Mojżesza» II 718  
 Frankopan Franjo Krsto: Toast II 822  
 Fraszka o kurapatwach (franc.) I 804  
 Fraszki liryczne i obyczajowe (ind.) I 75  
 Freidank: O niebie i piekle II 308  
 Friedrich von Hausen, zob. Hausen Friedrich, v.  
 Frost Robert: Dotknięcie, którem... II 278  
 — Pastwisko II 278  
 Frug S.: Piewca cmentarny I 246  
 — Umieście mą duszę I 246  
 — Nagrobek I 247  
 — Kielich I 247  
 Fudali Muchammad, al-: Z dzieła p. t. «Zaopatrzenie gminy w wiedzę teologiczną scholastycznej» I 321  
 Fulgencjusz: Mitologie: Powieść o sądzie Parysa I 625  
 Fulgentius Fabius, zob. Fulgencjusz  
 Fuzuli: Wyjątki I 390
- Gabe-Penewa Dora: Wawel II 846  
 Gace Brulé: Kancona I 795  
 Galfrid z Monmouth: Dzieje królów Brytanji I 628  
 Galsworthy John: Z «Sagi rodu Forsytów» II 234  
 Gandersheim (z), zob. Hroswitha z Gandersheimu  
 Garborg Arne: Starzy i młodzi II 463  
 Gareth Benedetto, zob. Cariteo-Gareth  
 Garszin Wsiewołod: Attalea princeps II 669  
 Gausbert (Guibert) de Puycibot z Dordogne: Życiorys I 766  
 Gautier Théophile: Sztuka I 920  
 Gebirol Salomon ibn: Nędza wody I 228  
 — Jesień I 229  
 Geibel Emanuel: Przez niebios, ziem... II 407  
 — W lesie II 407  
 Geijerstam Gustav, af: Stara Biblija II 479  
 Gellert Christian Fürchtegott: W ofierze... II 326  
 — Zielony osioł II 326  
 Genealogja Kültegina (tur.) I 387  
 Geometra Jan Kyriotes: Hymn ku czci Najświętszej Bogarodzicy II 858  
 George Stefan: Z «Roku duszy» II 433  
 — Z «Wojny» II 434  
 Gerhardt Paul: Do oblicza II 319  
 — Pieśń wieczorna II 320  
 Gessner Salomon: Amintas II 329  
 — Do Dafny II 329  
 Gesta Romanorum (łac.) I 653  
 Gezelle Guido: Z «Drobnych wierszy» II 518  
 — Moje serce II 518  
 — Z «Wieńca roku» II 518  
 — Wykłęty II 519  
 — Ego vigilabo II 519  
 Gitagowinda (ind.) I 83  
 Gleim Johann Wilhelm Ludwig: Nauka II 327  
 — Bachus i Wenus II 327  
 — Słudzy miłości II 328  
 Gnomiczna literatura anonimowa celtycka II 117, 118  
 Gnomiczna literatura anonimowa indyjska I 74  
 Gobind Singh: Wyjątki I 122
- Goethe Johann Wolfgang: Z «Lat nauki Wilhelma Meistra» II 346  
 — Z «Fausta» II 347  
 — Powitanie i rozłąka II 354  
 — Pieśń wieczorna wędrowca II 354  
 — Miłość bez spoczynku II 355  
 — Żegluga II 355  
 — Boskość II 356  
 — Z «Elegij rzymskich» II 356  
 — Natura i sztuka II 357  
 — Błoga tęsknota II 357  
 Goga Octavian: Opuszczeni II 85  
 — Staruszkowie II 86  
 Gogol Mikołaj: Martwe dusze II 641  
 — Rewizor II 644  
 Goito, zob. Sordel de Goito  
 Goldoni Carlo: Kawiarnia I 727  
 Goldsmith Oliwer: Z «Wikarego z Wakefieldu» II 164  
 Gonczarow Iwan: Z «Oblomowa» II 651  
 Gonçalves Crespo: Siesta II 65  
 Gorkij Maksym (Pieszkow Aleksy): Foma Gordiejew II 678  
 — O Szarym II 680  
 Gorodieckij Sergjusz: Syn II 698  
 Gospodzinie, ulituj się (czes.) II 747  
 Gottfried von Strassburg: Z «Trystana i Izoldy» II 300  
 Gozzi Carlo: Miłość trzech pomarańcz I 728  
 Góngora y Argote Luis, de: Pieśń do damy, podając kwiaty II 20  
 — Soledad II 20  
 Grabbe Christian Dietrich: Z «Żartu. satyry, ironji i głębszego znaczenia» II 399  
 Gray Tomasz: Bard II 170  
 Grazzini Antonio Francesco Lasca: Streszczenie noweli I 717  
 Grecka literatura I 403–516  
 Grecka literatura bezimienna I 430, 431  
 Grecka pieśń ludowa I 431  
 Greckie anacreontyki I 430  
 Gregorčič Simon: Raj utracony II 836  
 Gribojedow Aleksander: Biada temu, kto ma rozum II 631  
 Grillparzer Franz: Z «Gry ucuć i fal morskich» II 388  
 — Idę sam II 391  
 — Czas II 391  
 Grimmelshausen Hans Jakob Christoffel, v.: Z «Przygód Simpliciusa Simplicissimusa» II 323  
 Grimmowie Jakób i Wilhelm: Z «Baśni domowych i dzieciennych» I 381  
 Gringoire Pierre: Komedja «Księcia błaznów» I 809  
 Gryphius Andreas: Z «Horribilicribrifaxa» II 322  
 Grzegorz Wielki, św.: Reguła pasterska I 626  
 Grzegorz z Nazjanzu, św.: Alfa i omega II 850  
 — Do cesarza Juliana II 850  
 — Z «Listów» II 851  
 — Z «Hymnów» II 852  
 Guarini Giambattista: Wierny pasterz I 721  
 Gudrun (niem.) II 295  
 Guérin Charles: Do Franciszka Jam-mesa I 967  
 — Jestem znużony I 968  
 Guimerá Àngel: Morze i niebo II 56  
 — Z «Liryk» II 57

- Guinizelli Guido: Sonet I 681  
 — O naturze miłości I 681  
 Gundulić Djivo: Z «Osmana» II 820  
 Gutman Sz., zob. Ben-Cyjon Sz.  
 Günther Johann Christian: Pieśń studencka II 325  
 — Pociecha II 325  
 Gwilym Ddu o Afron (Wiljam Czarny syn Afrona): Żal z powodu uwięzienia opiekuna, sir Gruffyda Llwyda, przez Edwarda II w r. 1322 II 110
- Hadlaub Johannes: Pieszczoszek II 309  
 Hafiz: Wyjątki I 378  
 Hai: Z poematu dydaktycznego p. t. «Napomnienia rozumu» I 228  
 Haikai (jap.) I 27  
 Hakohen Józef, zob. Józef Hakohen  
 Halewi Jehuda: Burza na morzu I 230  
 — Płacz, Syjonie! I 230  
 — Pieśni morskie I 231  
 Halle, zob. Adam de la Halle  
 Hallermünde, zob. Platen-Hallermünde  
 Hamadhâni, al-: Wyjątek I 290  
 Hamasa (arab.) I 264  
 Hamdâni Abû Firâs, al-: Wyjątki I 289  
 Hamerling Robert: Z «Ahasverusa» II 418  
 — Z «Łabędziego śpiewu romantyzmu» II 419  
 Hamsun Knut: Z «Pana» II 464  
 — Z «Błogosławieństwa ziemi» II 466  
 Han fei tse: Z księgi Han fei tse'go I 8  
 Hanakdan Nitronai, zob. Nitronai Hanakdan  
 Harambašić August: Moje serce II 830  
 Hardenberg Friedrich, v. (Novalis): Z «Henryka Ofterdingen» II 372  
 — Z «Hymnów do nocy» II 372  
 Hardy Thomas: Z «Powrotu na rodzinną glebę» II 222  
 — Do mającego przyjść na świat uboższego dziecięcia II 224  
 Hartmann von Aue: Z «Biednego Henryka» II 299  
 Hariny Ciszka (Zmitro Żyłunowicz): Pierwsza fala II 744  
 — Pieśń żniwiarki II 744  
 Hauptmann Gerhart: Z «Tkaczy» II 427  
 — Z «Wniebowzięcia Hanusi» II 428  
 Hausen Friedrich, v.: Serce a ciało II 304  
 Hawthorne Nathaniel: Ze «Szkarlatnej litery» II 252  
 Hebbel Friedrich: Z «Judyty» II 403  
 — Chłopiec stepowy II 404  
 — Dwa łabędzie II 406  
 — Dziecko II 407  
 Hebel Johann Peter: Kannitverstan II 366  
 Hebrajska literatura bezimienna I 164—192  
 Heidenstam Verner, v.: Z «Karolińczyków» II 486  
 — U kresu drogi II 488  
 — Za tysiąc lat II 488  
 — Mruganie gwiazd II 489  
 Heike monogatari (jap.) I 33  
 Heine Heinrich: Z «Podróży po Harcu» II 393  
 — Z «Księgi Le Grand» II 394  
 — Z «Księgi pieśni» II 394  
 — Z «Morza północnego» II 397  
 — Z «Wierszy współczesnych» II 398
- Heinrich von Morungen, zob. Morungen Heinrich, v.  
 Heinrich von Veldeke, zob. Veldeke Heinrich, v.  
 Heisterbach (z), zob. Cezary z Heisterbach  
 Heloiza z klasztoru Parakleta: List II do Abelarda I 639  
 Henjo: Lotos i rosa poranna I 25  
 — Tancerki I 25  
 Henoch, zob. Księga Henocha  
 Herculano de Carvalho e Araujo Alexandre: Burza II 63  
 Herder Johann Gottfried: Z «Pomysłów do filozofji dziejów rodzaju ludzkiego» II 340  
 — Człowiek i cień II 340  
 — Mechanika serca II 340  
 — Niebo II 341  
 — Lilja i róża II 341  
 Hérédia José-Maria, de: Niewolnik I 922  
 Herodot: Dzieje powszechne I 469  
 Héroet Antoine: Doskonała przyjaciółka I 823  
 Herwegh Georg: Śmierć trębacza II 408  
 Heyermans Herman: Z «Nadziei» II 530  
 Heym Georg: Umbra vitae II 442  
 Heyse Paul: Z «L'arrabbiaty» II 420  
 Hezjod: Teogonja I 416  
 — Roboty i dnie I 419  
 Hieronim, św.: Żywoty I 622  
 Hildebrand, zob. Beets Nicolaas  
 Historja (st.-hebr.) I 165  
 Historja siedmiu mędrców (łac.) I 649  
 Hiszpańska kronika powszechna, zob. Alfonsa Mądrego Kronika  
 Hiszpańska literatura II 1—58  
 Hiszpańska literatura bezimienna II 1—6, 12—15  
 Hiszpańska romanca o Królu-dziecku, który utracił Granadę II 12  
 Hiszpańska romanca o ostatniej bitwie Cyda II 13  
 Hiszpańska serranilha II 60  
 Hiszpański poemat o Cydzie II 1  
 Hiszpańsko-arabska poezja I 297  
 Hoffmann Ernst Theodor Amadeus: Ze «Złotego Garnka» II 377  
 Hofmannsthal Hugo, v.: Z «Rozmowy o pismach Gotfryda Kellera» II 435  
 — Wielu jużci... II 435  
 — Ich dwoje II 436  
 Holberg Ludvig: Z «Konwisarza polityka» II 490  
 Holenderska literatura II 507—533  
 Homer: Iljada I 403  
 — Odyseja I 412  
 Hood Tomasz: Z «Pieśni o koszuli» II 200  
 Horacy: Pieśń na powitanie nowego wieku I 567  
 — Wiersz do Leukonoi I 568  
 — Wiersz do Chloi I 568  
 — Wiersz do Mecenasa I 568  
 — Wiersz do Wipsanjusza Agrypy I 569  
 — Wiersz do samego siebie I 569  
 — Wiersz do rzymskiego państwa I 570  
 — Wiersz do Albjusza Tibulla I 570  
 — Wiersz do Taljarcha I 570  
 — Epoda szesnasta: Do Rzymian I 570  
 — Satyra VI z Księgi satyr drugiej I 571

- Horatius Quintus Flaccus, zob. Horacy  
Hölderlin Friedrich: Z «Hyperiona» II 369  
— Do eteru II 370  
— Żrale są, w ogniu nurzane... II 371  
Hrinczenko Borys: O, przyjdzie II 719  
Hroswitha z Gandersheimu: Komedje I 633  
Hugo Victor: Hernani I 901  
— Nędznicy I 906  
— Z «Legendy wieków»: Sen Booza I 909  
Hugo de Saint Circ, zob. Uc de S.-C.  
Hugo von Trimberg, zob. Trimberg  
Hugo, v.  
Hugo z Saint-Victor: Eruditio didascalica I 640  
— De sacramentis I 640  
Hui tse: Z księgi sofisty I 12  
Hurban Józef Miloslav: Żal Słowaka II 799  
Hus Jan: Wykład Dziesięciorga Bożych Przykazań II 748  
Huszcza Taras, zob. Mickiewicz Kostus  
Hutten Ulrich, v.: Z dialogu p. t. «Oglądający» II 312  
— Jam się odważył II 313  
Hviezdoslav (Pavol Országh): Z «Pieśni» II 801  
— Litości, Boże, dla ludu mojego II 801  
Hymn białoruski II 739  
Hymn japoński I 26  
Ibáñez, zob. Blasco Ibáñez  
Ibsen Henrik: Z «Peer Gynta» II 453  
— Z «Dzikiej kaczki» II 455  
— Ptak i ptaszniak II 456  
Ibykos: Wiosna I 429  
Idrīsi: Z dzieła geograficznego I 334  
Ijās ibn: Z dzieła kosmograficznego I 339  
Ilić Vojslav: Ostatni gość II 817  
Iljada, zob. Homer  
Immanuel ben Salomo Romi: Piękne oczy I 236  
— Bez męża I 236  
Immermann Karl: Z «Merlina» II 392  
Impu mon In: Łzy I 27  
Imruu-I-Kajs: Wyjutki I 273  
Indyjska liryka palijska I 66  
Indyjska literatura I 43—122  
Indyjska literatura bezimienna I 43—61, 66—85, 107—116  
Indyjska literatura gnomiczna anonimowa I 74  
Indyjska poezja maratyjska I 118  
Indyjskie fraszki liryczne i obyczajowe I 75  
Iorga Nicolae: Czuł duch! II 83  
Iosif Stefan O: Poczó ten lęk? II 82  
Irlandzka literatura II 95—118  
Irwing Washington: Z «Legendy o ospalym wozowie» II 248  
Ise monogatari (jap.) I 30  
Islandzka literatura II 445—452  
Islandzka literatura bezimienna II 445—448, 448—451  
Islandzka saga o Gunnlaugu Żądło Wężowe II 449  
Islandzka saga o Skaldzie Egillu II 448  
Iwanow Wiaczesław: Z dalekich dali II 689  
Izajasz, zob. Proroctwo Izajaszowe  
Izydor, św.: Etymologje I 629  
Jackiw Mychajło: Krużganek dorycki II 728  
Jacobsen Jens Peder: Arabeska II 498  
— Z «Mogensa» II 499  
Jak starał się Kullhuch o rękę Olweny (celt.-wal.) II 105  
Jak żonę wybrać? (celt.-irl.) II 117  
Jakób z Vitry: Przykłady I 658  
Jammes Francis: Jadalnia I 965  
— Elegja do Alberta Samaina I 965  
— Modlitwa VIII I 966  
Jan od Krzyża, św.: Pieśń duchowa II 19  
Jannsen Johann Woldemar: O, kraju mój... II 548  
Jannsen Lydia (Koidula): Słowik II 548  
— Z jakiego płaczesz powodu? II 548  
Japońska literatura I 24—42  
Japońska literatura bezimienna I 26, 28, 30, 31, 33, 39—42  
Japoński hymn I 26  
Jaskółka (grec.) I 431  
Jazykow Mikołaj: Żeglarz II 639  
Järnefelt Arvid: W pulapce II 544  
Jean Paul, zob. Richter Johann Paul Friedrich  
Jehoasz: Wojna klepek i obręczy I 261  
— Równość sodomską I 261  
Jehuda Halewi, zob. Halewi Jehuda  
Jenko Simon: Dzieje Słowenów II 836  
Jensen Johannes V.: Fudzijama II 506  
Jeremjasz, zob. Treń Jeremjaszowe  
Jesienin Sergjusz: To nie chmury II 710  
— Porzuciłem II 711  
— Zżęte pola II 711  
— Lis II 711  
— Powolutku odchodzimy wszyscy II 712  
Jeu d'Adam, zob. Misterjum o Adamie  
Jippensha Ikku: Z Hizakurige Ikke I 37  
Jirásek Alojzy: Bitwa pod Witkowem II 775  
Johannes von Saaz, zob. Saaz Johannes, v.  
Jonson Benjamin: Pamięci mego ukochanego mistrza Williama Szekspira II 141  
— Hymn do Diany II 142  
Josippon (żyd.) I 216  
Joyce James: Tetenty słyszę armji II 238  
— Strun wichr II 238  
Jókai Maurycy: Z «Dziwnych historyj» II 611  
Józef Flawjusz: Z dzieła «O starożytnem pochodzeniu Żydów przeciw Apjonowi» I 196  
Józef IIakohen: Z dzieła historycznego I 217  
Józef, syn Izaaka: Z dzieła historycznego I 218  
Jugosłowiańska literatura II 809—838  
Juwenalis: Satyra dziesiąta (Płonnie zachcianki) I 606  
Kaab ibn Zuhajr: Wyjatek I 282  
Kabala (żyd.) I 214  
Kaki no moto Hitomaro: Bezsenna noc I 24  
— Ukochana w żagłówce I 24  
Kalidasa: Sakuntala czyli Pierścien fatalny I 85  
— Urwaśi — bohaterstwa nagrodą I 94  
— Kumarasambhawa I 103  
Kalir Eleazar: Modlitwa o rosę I 221  
Kaljabi, al-: Z utworu p. t. «Nawadir» I 317  
Kallimachos i Chrysorrhoe (biz.) II 862  
Kallinos: Do broni I 422  
Kalonim, zob. Kalonymos  
Kalonymos ben Kalonymos: Znachorzy I 236

- Kamo no Chōmei: Z *Hojōki* I 34  
 K'an tsi'en nu (chiń.) I 21  
 Kancjonarz króla Dom Dinisa (port.):  
 — Pieśń miłosna II 59  
 — Pieśni do kochanka II 59  
 Kancona nieznanego autora (wł.) I 673  
 Kanon palijski (ind.) I 62  
 Kant Immanuel: Z «Uzasadnienia metafizyki moralności» II 328  
 — Z «Krytyki praktycznego rozumu» II 328  
 Kanteletar (fiń.) II 534  
 Kantemir Antjoch: Na ganieli nauki albo Do swego rozumu II 620  
 Kantorbery (z), zob. Anzelm z Kantorbery  
 Kapelan, zob. Andrzej Kapelan  
 Karamzin Mikołaj: Z «Listów podróżnika rosyjskiego» II 626  
 Karasek ze Lvovic Jerzy: Kurtyzana Tryfajna na ametystowej kamei pisze do Harmidesa II 783  
 — Milczenie II 784  
 Karkavitsas Andrzej: Złe wróżby II 878  
 Karlfeldt Erik Axel: Z «Pieśni o puszczu i miłości» II 489  
 — Glosem jestem śpiewaka II 489  
 — Oczy twe to płomienie II 489  
 Karol Orleański: Ballada I 817  
 Kaszgar (z), zob. Machmud z Kaszgaru  
 Katullus: Żale nad skonem wróbla I 532  
 — Do Lesbji I 532, 533  
 — Do samego siebie I 532, 533  
 — Do Juljusza Cezara I 534  
 — Do Diany I 534  
 — Atys I 534  
 Kāsu Hans (Ants): O zniszczeniu Tartu pieśń żałośliwa II 546  
 Keats John: Z «Hiperjona» II 194  
 — Kościuszko II 196  
 — Konik polny i świerszcz II 197  
 Kedrenos Georgios: Krwawy postępek Basilioa Bułgarobójcy II 859  
 Kejryst, zob. Paszkiewicz-Kejryst  
 Keller Gottfried: Z «Zielonego Henryka» II 409  
 — Z «Legendki o tańcu» II 410  
 — Noc letnia II 411  
 — W posępnem, beznadziejnym tętnie... II 412  
 — Cicha chwila II 412  
 — Pieśń wieczorna II 412  
 Kenkō Hōshi: Z *Tsure zure gusa* I 34  
 Keos (z), zob. Symonides z Keos  
 Ki no Tsurayuki: Kwitnące wiśnie I 25  
 — Powrót I 25  
 — Z przedmowy do Kokinshu I 29  
 — Z *Tosa nikki* I 32  
 Kierkegaard Sören: Z «Trwogi i drżenia» II 495  
 Kingsley Henry: Z «Rozpamiętywania Geoffry Hamlyna» II 285  
 Kipling Rudyard: Z «Księgi dżungli» II 231  
 — Recessional II 232  
 Kisfaludy Aleksander: Z «Pieśni Himfyego» II 597  
 Kisfaludy Karol: Perła II 598  
 — Postanowienie II 599  
 Kiss Józef: Judyta II 614  
 Kitzberg August: Wilkołak II 549  
 Kivi Aleksis: Z «Siedmiu braci» II 540  
 Kiyomasa: Ad astra I 27  
 Kleist Heinrich, v.: Z legendy p. t. «Święta Cecylja czyli Potęga muzyki» II 373  
 — Z «Roberta Guiskarda» II 376  
 Klopstock Friedrich Gottlieb: Z «Męsjady» II 330  
 — Wczesne groby II 331  
 Kobylańska Olga: Bitwa II 722  
 Kociubynskij Mychajło: W piętach szataniana II 719  
 Koidula, zob. Jannsen Lydia  
 Kojiki (jap.) I 28  
 Kokinshu (jap.) I 25  
 Koko: Miłość synowska I 25  
 Kolcow Aleksy: Pieśń rataja II 651  
 Kollar Jan: Z «Córy sławy» II 758  
 Kołas Jakób, zob. Mickiewicz Kostus  
 Komenský Jan Amos: Pątnik prze-gląda stan uczonych II 756  
 Konfucjusz: Z aforyzmów I 5  
 Konrad z Querfurtu: Opis Neapolu I 618  
 Koran (arab.) I 279  
 Korechiki matka: Obawy I 27  
 Korolenko Włodzimierz: Z «Dziwnej wygnanki» II 672  
 Kortum Karl Arnold: Z «Jobsjady» II 341  
 Korzeniowski, zob. Conrad Józef  
 Kosaczówna Larisa, zob. Ukrainka Łesia II 544  
 Koskenniemi V. A.: Pył II 747  
 Kosma: Kronika czeska II 747  
 Kostić Laza: Na Vuka Stefanovića Kadarżića II 813  
 Kósvy Mato: Indjanka II 808  
 — Kwiatki zimowe II 808  
 Kölcsy Franciszek: Pieśń Zrinyiego II 597  
 — Z «Hymnu» II 598  
 Körner Theodor: Przeczcucie II 388  
 — Pożegnanie życia II 388  
 Kranjčević Silvije Strahimir: Żart śmierci II 833  
 Krásnohorská Eliška (J. Pechová): Zmrokiem II 767  
 — Do poezji II 767  
 — W różach II 768  
 Kreutzwald Fr. R.: Kalevipoeg II 547  
 Krèvé, zob. Mickevičius Vincas  
 Krogzems Mikus (Auseklis): Trimpula I 564  
 Kronika powszechna (hiszp.), zob. Alfonsa Mądrego Kronika  
 Kryłow Jan: Z «Bajek» II 626  
 Krzysztof Harant z Polžic a Bezdružic: Podróż do Wenecji, a stamtąd do Ziemi Świętej II 753  
 Křička Piotr: Medynia Głogowska II 788  
 Ksenofont: Cyropedja I 481  
 Księga Henocha (żyd.) I 193  
 Księga Jubileuszów (żyd.) I 193  
 Księga Kohelet (st.-hebr.) I 186  
 Księga umarłych nowożytnego państwa (egip.) I 141  
 Księgi Ijoba cierpliwego (st.-hebr.) I 175  
 Kukučín Marcin (Matej Bencúr): Cienie i światła II 802  
 Kulisz Pantelejmon: Skarga żalosa II 716  
 — Lach i Rusin II 716  
 Kupała Janka (J. Łucewicz): Pieśń do słońca II 740  
 — Spadek II 740

- Kuplety św. Molinga (celt.-irl.) II 117  
 Kuprin Aleksander: Z «Podkapitana Rybnikowa» II 691  
 K'ü Yüan: Poezje I 12  
 Kürenberg, Der v.: Zbieg II 304  
 Kyögen: Sanin-gatawa (Trzech ulomnych), (jap.) I 40  
 Kyokutei Bakin: Z powieści Bakina Hakkenden I 36  
 Kyösti, zob. Larin-Kyösti
- La Bruyère Jean, de: Charaktery czyli przymioty z Teofrasta I 848  
 La Fontaine, zob. Lafontaine  
 La Rochefoucauld François, de: Maksymy i myśli moralne I 847  
 La Sale Antoine, de: Raj królowej Sybilli I 816  
 Lactantius Caelius Firmianus, zob. Laktancjusz  
 Lacuzon Adolphe: Z poematu «Wieczność» I 1021  
 Lafontaine Jean, de: Bajki I 844  
 Lagerlöf Selma: Królowa na wyspie — Z «Cesarza Portugalji» II 483  
 Laktancjusz: O Feniksie I 620  
 Lamartine Alphonse, de: Jocelyn I 911  
 Lamb Karol: Dawne, znajome mi twarze II 199  
 — Świat książek II 199  
 Lancelot z Jeziora (du Lac): Pierwsze spotkanie królowej Ginewry i Lancelota, jakie spowodował Galehot I 794  
 Landor Savage Walter: Z «Urojonych rozmów» II 185  
 Lao tse: Z Tao Te King'u I 3  
 Lapidarium (łac.) I 658  
 Lara, zob. Espronceda y Lara  
 Larbaud Valéry: Biedny fabrykant kieszul I 1003  
 Larin-Kyösti: Z kościoła II 544  
 Larra Mariano Jozé, de: Człowiek balon I 35  
 Lazarewicz Laza: Po raz pierwszy z ojcem na jutrzni II 814  
 Lazarillo de Tormes (pow. hiszp.) II 14  
 Lebid: Wyjątki I 283  
 Leconte de Lisle Charles Marie: Bernina I 921  
 Legendy o Marji Pannie (łac.) I 660  
 Leino Eino: Chleb boży II 543  
 Lemene Francesco, da: Madrygał I 722  
 Lenau Nicolaus, zob. Strehlenau Niembsch, v.  
 Lentini Jacopo (Giacomo), da: Wyjątek I 673  
 Leon, arcyprzebiter: Romans o Aleksandrze I 647  
 Leopardi Giacomo: Do Italji I 734  
 — Nieskończoność I 737  
 — Miłość i śmierć I 737  
 Lermontow Michał: Prorok II 645  
 — Gdy fale zbóż... II 645  
 — Obłoczki II 646  
 — Pragnienie II 646  
 — Żagiel II 647  
 — Idę sam — przede mną biała droga II 647  
 — Z «Demona» II 647  
 — Z «Pieśni o carze Iwanie, synu Wasylowym, o młodym opryczniku i śmiałym kupcu Katasznikowie» II 648
- Lessing Gotthold Ephraim: Z «Laokona» II 333  
 — Z «Natana Mędrca» II 333  
 Lewis Sinclair: Z «Babbitta» II 280  
 Li ki (chiń.) I 15  
 Li T'ai Po: Z poezyj I 17  
 Lichtenberg Georg Christoph: Z «Aforyzmów» II 339  
 Lie Jonas: Troid złud czarownych II 460  
 Lie tse: Z księgi Lie tse'go I 6  
 Liiv Julian: Czarna powała II 555  
 Liliencron Detlev, v.: Kamrat hultaj II 423  
 — Śmierć w kłosach II 424  
 — Święto zwycięstwa II 424  
 Lindsay Vachel: Do złotowłosej dziewczyny w Luizjanie II 280  
 Linnankoski J. (Vihtori Peltonen): Zbiegowie II 542  
 Lippo i Tapio (fiń.) II 534  
 List bojara Neakszu (rum.) II 67  
 Listy z czasów XXI dynastji (egip.) I 161  
 Litewska literatura II 580—592  
 Litewska literatura bezimienna II 580—582  
 Litewskie dajnos II 580  
 Litewskie ludowe pieśni II 580  
 Livius Titus Patavinus, zob. Liwjusz  
 Liwjusz: Dzieje Rzymu I 553  
 Logau Friedrich, v.: Z «Epigramatów» II 319  
 London Jack: Śród wielkiej białej ciszy II 278  
 Longfellow Henry Wadsworth:  
 O zmroku II 256  
 — Excelsior II 257  
 — Wiejski kowal II 257  
 — Z «Ewangeliny» II 258  
 — Pieśń niewolnika II 259  
 — Puhar króla Witlafa II 259  
 López de Ayala Adelardo: Tyle od sta II 43  
 Lorris Guillaume, de: Obluda I 803  
 Lotaryński cykl I 788  
 Lönnrot Elias: Z «Kalewali» II 536  
 Lucretius Titus Carus, zob. Lukrecjusz  
 Ludowa pieśń grecka I 431  
 Ludowa poezja angielska II 123  
 Ludowa poezja serbska II 809  
 Ludowe pieśni fińskie II 534  
 Ludowe pieśni litewskie II 580  
 Ludowe pieśni łotewskie II 562  
 Ludowe pieśni nowogreckie II 864  
 Ludowe pieśni rosyjskie II 619  
 Luiga Georg Eduard: Gdy pochowali twą matulę... II 555  
 Lukjan: Aleksander czyli Pseudoprorok I 513  
 Lukrecjusz: Inwokacja do Wenery I 527  
 — Bezmyślne troski ludzkiego życia I 528  
 — Fizykalna struktura istniejących rzeczy I 529  
 — Wszechpotężna bogini ziemia I 531  
 Lull Ramon: Feliks czyli O cudach świata I 668  
 Luther Martin: Warownym grodem II 313  
 — Z uwag wstępnych do «Kazań pasyjnych» II 313  
 Luts Oskar: Stare ścieżki II 560
- Łacińska historia siedmiu mędrców I 649  
 Łacińska literatura I 616—672  
 Łacińska literatura bezimienna I 616, 617, 630, 632, 646, 649—651, 653—656, 658, 660, 661, 664, 670

- Łacińskie legendy o Marji Pannie I 660  
 Łacińskie żywoty X wieku I 630  
 Lepkyj Bohdan: Przed śmiercią II 726  
 — Pod wrażeniem mazurka Szopena II 727  
 Lomonosow Michał: Z «Ody na dzień wstąpienia na tron cesarzowej Elżbiety» II 621  
 — Oda II 621  
 Łotewska literatura II 562—579  
 Łotewska literatura bezimienna II 562, 563  
 Łotewskie ludowe pieśni II 562  
 Łuczewicz J., zob. Kupala Janka  
 Łużycka literatura II 805—808
- Ma'arri Abū-l-Alā, al-: Wyjatek I 292  
 Mac Orlan Pierre: Wenus międzynarodowa I 1011  
 Macaulay Tomasz Babington: Ze «Szkicu o Miltonie» II 201  
 Mácha Karol Ilynek: Maj II 759  
 Machado Antonio: Soledad II 51  
 — Strofa II 52  
 — Do pomarańczy i cytryny w podwórku II 52  
 Machar Jan Świętopelk: Matka Iusa II 773  
 — Pan Ilynek ze Szwamberga II 775  
 Machiavelli, zob. Machjowel  
 Machjowel (Machiavelli) Niccolo: Książę I 696  
 — Belfagor, nowela o djable żonatym I 697  
 Machmud z Kaszgaru: Diwan Lugat at-Türk I 391  
 Macpherson Jakób: Z «Osjańa pieśni selmskich» II 171  
 — Żal Minwany po Rynie II 171  
 Mačiulis Jan (Maironis): Jurata i Kastitis II 588  
 Madách Emeryk: Z «Tragedji czlowieka» II 609  
 Maerlant Jacob, van: Z «Żywotu świętego Franciszka» II 507  
 Maeterlinck Maurice: Pelleas i Melisanda I 972  
 — Kwiaty marzeń I 974  
 Mahabharata (ind.) I 53  
 Mahajana (ind.) I 70  
 Mahomet, zob. Koran  
 Maironis, zob. Mačiulis Jan  
 Majakowskij Włodzimierz: Flet kręgosłupa II 699  
 — Lewą marsz II 701  
 Majmonides, zob. Mojżesz ben Majmon  
 Makamy (arab.) I 298  
 Makdisi Muchammad, al-: Z dzieła geograficznego I 333  
 Makowej Osyp: Sen II 721  
 — Nadleciała cicha zjawą II 722  
 — Krzyż II 722  
 Makriżi: Z dzieła «Przewodnik do poznania dynastji królów» I 297  
 — Wyjatek I 331  
 Malherbe François, de: Oda do Henryka IV z powodu upokorzenia Marsylii I 833  
 Małaniuk Ewhen: Z cyklu «Waregi» II 734  
 — Warszawa II 734  
 Małgorzata, królowa Nawarry: Komedja w 4 osobach, grana na górze Marsan I 819  
 Mann Thomas: Z «Trystana» II 439
- Manrique Jorge: Strofy na śmierć ojca II 10  
 Manuel Juan: Hrabia Lucanor II 7  
 Manyoshu (jap.) I 24  
 Manzoni Alessandro: Narzeczeni I 738  
 Map Walter: Zabawy dworskie I 644  
 Mara-Damana-Sutra (ind.) I 71  
 Maratyjska poezja (ind.) I 118  
 Marcabrun: Pastorela I 758  
 Marcin Polak z Opawy: Kronika I 617  
 Marcin z Opawy, zob. Marcin Polak  
 Marcinkiewicz Dunin Wincenty: Ze «Staurowskich Dziadów» II 736  
 Marcjalis: Epigramaty I 590  
 Mardż An-Nádhir: Ze zbioru I 296  
 Marek Aureljusz: Myśli i wspomnienia I 512  
 Marinetti Filip Tomasz: Lot ponad sercem Italji I 750  
 Marino Giambattista: Pieszczoty Wenerji i Adonisa I 724  
 Marja z Francji: Lais o słowiku I 791  
 Marković Franjo: Z «Domu i świata» II 829  
 Marlowe Krzysztof: Z «Tragicznych dziejów doktora Fausta» II 130  
 Marot Clément: Rondeau «Miłość dawnych czasów» I 824  
 — Ballada o maju i enocie I 824  
 — Rondeau «Na ciemnego poetę» I 825  
 Marsylja (z), zob. Folquet z Marsylji  
 Martialis Valerius, zob. Marcjalis  
 Masters Edgar Lee: Hod Putt II 277  
 Mas'ūdī: Z dzieła p. t. «Złote łąki itd.» I 321  
 Mateusz: Pseudoewangelja I 616  
 Mather Cotton: Z «Magnaljów» II 246  
 Matsuo Bashō: Wyjutki I 28  
 Maurik Justus, van: Z «Popiersia Mullera» II 520  
 Mażuranić Ivan: Ze «Śmierci Smailagi Čengića» II 825  
 Medek Rudolf: Dziewin II 786  
 Megerle Ulrich: Z «Judasza Arcyszelmny» II 324  
 Mei szeg: Z poezyj I 16  
 Mei Ti: Z ksiąg Mei Ti'ego I 10  
 Mencjusz: Z księgi Meng tse'go I 8  
 Meredith Jerzy: Z «Diany z rozstajnych dróg» II 210  
 — Żaloba leśna II 211  
 — Ballada popołudniowa II 211  
 — Dech głogu II 211  
 — O komedji i znaczeniu ducha komizmu II 212  
 Mereżkowskij Dymitr: Michał Anioł II 687  
 MÉRIMÉE Prosper: Carmen I 943  
 Mesih: Wesola wiosna I 391  
 Metastasio Pietro: Dido opuszczona I 729  
 Meung Jean, de: Wyjatek I 803  
 — Muzyka gwiazd I 804  
 Meyer Konrad Ferdynand: Stopy w ogniu II 414  
 — Zagwie gór II 416  
 — Podróżny kubek II 416  
 — Studnia rzymska II 416  
 — Chór zmarłych II 416  
 Michał Anioł, zob. Buonarotti  
 Mickevičius (Krėvė Vincas): Kraina Dajnowy II 590  
 Mickiewicz Kostus (Jakób Kołas, Taras Huszcza): Doczekał się II 741  
 Midrasz (żyd.) I 201  
 Mikołaj z Bergamo: Dialog zwierzęcy I 649

- Milton John: Z «Raju utraconego» II 145  
 — Z «L'allegro» II 148  
 — Do słowika I 149  
 Mimnermos: Starość I 423  
 Minulescu Ion: Tej, która kłamie II 89  
 Miraval, zob. Raimon de Miraval  
 Misterjum o Adamie (franc.) I 798  
 Misterjum świętych Kryspina i Kryspinjana (celt.-bret.-armor.) II 113  
 Mistral Fryderyk: Mirëio I 1033  
 — Księżniczka Klemencja I 1035  
 Mistyczna księga Aniola Razjela (żyd.) I 214  
 Miszna (żyd.) I 196, 201  
 Mitylena (z), zob. Christofor z Mityleny  
 Mnich z Montaudonu: Fort m'enoja, s'o auzes dire I 770  
 Modlitwa Ninine'a (celt.-irl.) II 112  
 Mojżesz ben Majmon: Z arabskiego komentarza do Miszny I 213  
 Mojżesz ben Nachman: Z rozprawy o zaletach religji mojżeszowej, wygłoszonej przed królem Jakóbem w Saragosie I 213  
 — Z filozoficzno-alegorycznej egzegezy Pisma świętego I 214  
 — Z wstępu do mistycznego komentarza Pięcioksięgu Mojżeszowego I 215  
 Molière, zob. Moljer  
 Molina, zob. Tirso de Molina  
 Moljer (Molière) Jean-Baptiste Poquelin: Świątoszek I 841  
 Mont Pol, de: Dopókiż II 524  
 — Drzewa II 524  
 — Weteran z pod Wörth II 525  
 Montaigne Michel Eyquem, de: Próby I 831  
 Montaudon (z), zob. Mnich z Montaudonu  
 Montesquieu de Secondat Charles, de: Listy perskie I 861  
 Montherlant Henri, de: Tybr i Oront I 1000  
 — Chleb piękności I 1001  
 Montier-en-Der (z), zob. Adso z Montier-en-Der  
 Montmouth (z), zob. Galfrid z Montmouth  
 Moore Thomas: z «Melody irlandzkich» II 197  
 — Erinie! twój uśmiech i łza w twoim oku II 198  
 — Zlew wód II 198  
 — Młody minstrel II 198  
 Moral, zob. Zorrilla y Moral  
 More Tomasz, Sir: Z «Utopji» II 122  
 Moréas Jean: Pieśń miłosna I 963  
 — Mówi młoda dziewczyna I 963  
 — Stance I 963  
 Moretti Marino: Niedziela psów-włóczęgów I 752  
 Morris William: Z odczytu o sztuce ludowej II 218  
 Morungen Heinrich, v.: Piosnka II 305  
 Morus, zob. More Tomasz  
 Motoori Norinaga: Z dzieł Norinagi I 35  
 Motte-Fouqué Friedrich, de la: Z «Ondyny» II 379  
 Mörike Eduard: Opuszczone dziewczę II 401  
 — Przede dniem na godzinę II 401  
 — Pacierz II 401  
 Muchaqqi, al-: Z dzieła p. t. «Ozdoba targów miłośkami kochanków» I 313  
 Muhibbi (Soliman Wspaniały): Wyjątek I 390  
 Multatuli, zob. Dekker Eduard Douwes
- Murasaki Shikibu: Z «Genji monogatari» I 31  
 Musset Alfred, de: Ballada do księżycy I 916  
 Mu'tamid, al-: Wyjątki I 290  
 Mutanabbî, al-: Wyjątek I 287  
 Mu'tazz ibn, al-: Wyjątek I 287  
 Muti ibn Ajas, zob. Ajas Muti ibn  
 Mykolaitis, zob. Putinas-Mykolaitis Vincas  
 Myrina, zob. Agathias z Myriny
- Nâbigha: Wyjątki I 276  
 Nadson S. J.: (Szymon): Żyd I 247  
 — Życie II 670  
 — Nad świeżą mogiłą II 671  
 — Już czas! proroku, przyjdź II 671  
 — Mój bracie znużony... II 671  
 — Nie mówcie mi... II 671  
 Nakamaro: Nostalgja I 25  
 Nalješković Nikola: Z «Pieśni maskaradowych» II 819  
 Namdew: Wyjątki I 118  
 Napis na kociółku Urukaginy (šum.) I 124  
 Napis na stożku Entemcny (šum.) I 123  
 Nasafi 'Omar, an-: Wstęp do wyznania wiary I 320  
 Nasreddin Chodża: Lataif Chodża Nasreddin I 392  
 Nastroje jesienne (jap.) I 26  
 Nawarry królowa, zob. Małgorzata królowa Nawarry  
 Nazjanz (z), zob. Grzegorz z Nazjanzu, św.  
 Nefer-Rehu: Z prorocत्व I 148  
 Nefji: Wyjątek I 390  
 Negri Ada: Szal I 753  
 Neill, zob. O'Neill  
 Neruda Jan: Ostatnia ballada z roku dwa tysiące i jeszcze kilka II 763  
 — Romanca II 763  
 Neumann Stanisław K.: Pieśni pokoju nie niosę wam II 784  
 — Wolność i chleb II 784  
 Newman John Henryk: Wyjątki z kazań II 202  
 Nexö Martin Andersen: Pojednany II 503  
 — Z «Pasażerów miejsc pustych» II 504  
 Nezira: Głos derwisza I 388  
 Niekrasow Mikołaj: Z «Kolei żelaznej» II 660  
 Niemiecka literatura II 289—444  
 Niemiecka literatura bezimienna II 289—299, 304, 310  
 Niemiecka powieść o «Dylu Sowiż-rzale» II 310  
 Niemiecka pieśń o Annonie II 290  
 Niemiecka pieśń o Gudrunie, zob. Gudrun  
 Niemiecka pieśń o Hildebrandzie II 289  
 Niemiecka pieśń o Nibelungach II 291  
 Nieśmiałość (jap.) I 26  
 Nietzsche Friedrich: Z «Tako rzecze Zaratustra» II 421  
 — Z «Dytyrambów dionizyjskich» II 422  
 Nikolópulos Dymitr: Jak Jorgos okpił świętego II 880  
 Nitronai Hanakdan: Ze zbioru bajek I 236  
 Njegoš Petar II Petrović: Z «Górskiego wienca» II 811  
 No: Suknia z piór (jap.) I 39  
 Noailles Anna, de: Głos z mroków I 1022  
 — Młodość I 1023  
 Nocna podróż (nowogr.) II 865  
 Nomberg H. D.: Kolysanka I 260  
 Norweska literatura II 453—471  
 Novalis, zob. Hardenberg Friedrich, v.

- Nowogrecka literatura II 864—882  
 Nowogrecka literatura bezimienna II 864—866  
 Nowogreckie ludowe pieśni II 864  
 Nowoprowancka literatura I 1033—1044  
 Núñez de Arce Gaspar: Strofy z haseł bojowych II 37  
 Nuwás Abù: Wyjątki I 285  
 O'Neill Eugene: Z «Cesarza Jonesa» II 282  
 O tem, że we wszechświecie niema próżni (arab.) I 343  
 Obradović Dositej: Na powstanie Serbji r. 1804 II 810  
 Obstfelder Sigbjörn: Ewa II 468  
 — Sieje II 468  
 — Umieź lustro mówić II 469  
 Odyseja, zob. Ilomer  
 Oehlenschläger Adam: Z «Olafa Samozwańca» II 492  
 — Melancholja II 492  
 Ogień miłosny (jap.) I 26  
 Okikase: Smutna starość I 26  
 Oksanen A. (A. E. Ahlquist): Iskry II 540  
 Oleś Aleksander: Z «Obczyzny» II 728  
 — Wieści kruków II 729  
 Ono no Komachi: Zmarnowane życie I 25  
 Opawa (z), zob. Marcin Polak  
 Opitz Martin: Z «Pieśni» II 318  
 — Z poematu «Zlatna czyli O spokojności umysłu» II 318  
 Opowiadania i legendy (Agada) (żyd.) I 201  
 Opowieść o Bajlem słodyczą-słynącym (celt.-irl.) II 109  
 Orlan, zob. Mac Orlan  
 Országh Pavol, zob. Hviezdoslav  
 Osjaniczny cykl II 110  
 Otomo no Yakamochi: Niedyskrecja I 24  
 Otway Tomasz: Z «Don Karlosa» II 153  
 Ovidius Publius Naso, zob. Owidjusz  
 Owidjusz: Księgi przemian I 578  
 Padilla Pedro, de: Wyjątek II 20  
 Palamás Kostis: Naprzód II 875  
 — Magdalena II 875  
 Palazzeschi Aldo: Wiedźma snu I 753  
 — Oro doró odoro dodoro I 753  
 — Chora fontanna I 754  
 Palijska liryka (ind.) I 66  
 Palijski kanon (ind.) I 62  
 Pan Tsie yü: Z poezyj I 16  
 Pañczatantra (ind.) I 107  
 Papini Giovanni: Kalwarja I 754  
 Parini Giuseppe: Dzień I 731  
 Pascal Blaise: Modlitwy i rozmyślenia I 851  
 Pascoli Giovanni: Wyspa poetów I 743  
 — Klaczka szpakowata I 744  
 — Św. Jan I 746  
 Paszkiewicz-Kejrys Alojzja: Skrzypka II 739  
 Pázmány Piotr: Wyjątek z kazania II 594  
 Pechová J., zob. Krásnohorská Eliška  
 Peirol: Quant amor trobet partit I 774  
 — Pus flum Jordan ai vist e'l monimen I 775  
 Peléda Łazdynu, zob. Przybyłowska Zofja  
 Peltonen Vihtori, zob. Linnankoski J.  
 Penewa, zob. Gabe-Penewa  
 Penha João (Joam): Sonet II 63  
 Perec Izaak Lejb: Opowieść o Rabbi Jochananie, gospodarzu bóźnicy I 248  
 — Wśród dwóch szczytów I 250  
 — Skarb I 251  
 Périers Bonaventure, des: Cymbalum Mundi I 820  
 — Zabawki nowe I 822  
 Perska elegja I 385  
 Perska literatura I 344—386  
 Perska literatura bezimienna I 344, 345, 385, 386  
 Pestalozzi Johann Heinrich: Z «Godyziny wieczornej pustelnika» II 342  
 — Z «Bajek» II 342  
 Petachja ben Jakób: Z opisu jego podróży z Regensburga przez Polskę, Rosję, Azję I 221  
 Peterson Kristian Jaak: Poeta II 547  
 Petöfi Aleksander: Mój pegaz II 601  
 — Z oddali II 602  
 — Szlachcic węgierski II 602  
 — Na Dunaju II 603  
 — Wędrowny ptak odlata II 603  
 — Ledwo był ranek... II 603  
 — Ogień II 603  
 — Pieśń junaka II 604  
 — Miłość i wolność II 604  
 — Dreczy mię ta myśl jedyna II 604  
 Petrarka (Petarca) Francesco: Kanczona «Italia mia» I 685  
 — Sonet «Pace non trovo» I 687  
 — Sonet 88-my I 687  
 — Wejście na «Górę Wietrzną» I 688  
 Petronjusz Arbiter: Uczta Trymalchjona I 587  
 Pieszkow Aleksy, zob. Gorkij Maksym  
 Pieśni ludowe fińskie II 534  
 Pieśni ludowe litewskie II 580  
 Pieśni ludowe łotewskie II 562  
 Pieśni ludowe rosyjskie II 619  
 Pieśni zakowskie czeskie II 749  
 Pieśń (pers.) I 386  
 Pieśń Debory (st.-hebr.) I 166  
 Pieśń harfiarza (egip.) I 149  
 Pieśń Lamecha (st.-hebr.) I 166  
 Pieśń Midera — Opis zaświata (celt.-irl.) II 111  
 Pieśń nad pieśniami (st.-hebr.) I 171  
 Pieśń o Annonie (niem.) II 290  
 Pieśń o Gudrunie, zob. Gudrun  
 Pieśń o Hildebrandzie (niem.) II 289  
 Pieśń o Nibelungach (niem.) II 291  
 Pieśń o Rolandzie (franc.) I 787  
 Pieśń o Wilhelmie (franc.) I 788  
 Pieśń wojenna czterech plemion (żyd.) I 220  
 Pieśń wolnego włościanina (rum.) II 67  
 Pieśń z cyklu osjanicznego (celt.-irl.) II 110  
 Pilniak Borys: Spadkobiercy II 706  
 Pimentel, zob. Serpa Pimentel  
 Pindar: Olimpijska oda Teronowi Agrygentyńskiemu, zwycięzcy w zawodach wozowych I 432  
 Piotr Alfons: Pouczenie kłeryckie I 652  
 Piramidy (teksty, egip.) I 136  
 Pirandello Luigi: Jak wprzód, lepiej niż wprzód I 748  
 Pisan Christine, de: Wycieczka do Poissy I 807  
 Pisides Georgios: Zwycięstwo cesarza Herakljusza nad Persami II 855  
 Pjetursson Hallgrimur: O niepewnej godzinie śmierci II 451  
 Platen-Hallermünde August: Z «Sofoklesa» II 391  
 — Grób w Busento II 391  
 — Z «Gazel» II 392  
 Platon: Obrona Sokratesa I 485



- Platon: Fileb I 490  
 Plaut: Bracia (Menaechmi) I 517  
 Plautus Titus Maccius; zob. Plaut  
 Pliekszans Elza (Aspazja): Gdzie? II 572  
 — Wiosenne rano II 573  
 Pliekszans Janis (Rainis): Złamane sosny II 569  
 — IIej, naprzód! II 569  
 — Pytanie II 570  
 — W krainę snów II 570  
 — Pytania dziewczęcia II 570  
 — Józef i jego bracia II 571  
 Plinius Gaius Caecilius Secundus, zob. Plinusz Młodszy  
 Plinusz Gaius Secundus, zob. Plinusz Starszy  
 Plinusz Młodszy: Listy I 601  
 Plinusz Starszy: Historia naturalna I 583  
 Pludonis Vilis: Róże II 574  
 — Piosnka trzciny II 574  
 — W zimową noc II 574  
 Plutarch: Zyciorys Temistoklesa I 507  
 Płaunik Samuel, zob. Biadula Zmitrok  
 Po Kü I: Z poezyj I 19  
 Poe Edgar Allan: Dzwony II 260  
 — Ulalume II 262  
 — Milczenie II 263  
 — Cień II 265  
 Poemat o Cydzie (hiszp.) II 1  
 Poemat o Trystanie (franc.) I 789  
 Poezja hiszpańsko-arabska (wyjątek) I 297  
 Pogrzeb Begona (franc.) I 789  
 Poitiers, zob. Wilhelm IX  
 Polak Marcin, zob. Marcin Polak  
 Poliziano Angelo Ambrogini: Turniej I 699  
 Polo Marco: II milione, z r. 1298 I 680  
 Pontano Giovanni: Pięciolatek i Pelvina I 692  
 — Ekloga: Luciolus i Pontano I 692  
 Pope Aleksander: Z «Wiersza o czło-  
 wicku» II 161  
 — Z «Rzeczy o krytyce» II 161  
 — Z «Pukla porwanego» II 162  
 Portugalska literatura II 59–66  
 Portugalska literatura bezimienna II 59, 60  
 Portugalski kancjonaarz króla Dom Di-  
 nisa II 59  
 Poruks Janis: Goethe w drodze do  
 Sesenheimu II 573  
 — W zimową noc przy oknie II 573  
 — Jesień II 574  
 Powieści 1001 nocy (arab.) I 304  
 Powieść o «Dylu Sowiżrzale» (niem.) II 310  
 Północno-amerykańska literatura II 246–283  
 Północno-amerykańska literatura bez-  
 imienna II 248  
 Prawo (st.-hebr.) I 164  
 Preradović Petar: Hymn II 823  
 — Poeta II 824  
 — Cztery źródła II 824  
 Prešeren Francéz: Rybak II 836  
 Proces zwierząt z ludźmi przed kró-  
 lem duchów (arab.) I 300  
 Prodomos Teodor: Zebracze skargi  
 uczonogo II 861  
 Propercjusz: Do Cyntji (elegie z ks.  
 I, II, IV) I 575  
 Proctwo Izajaszowe (st.-hebr.) I 190  
 Proust Marcel: Salon hrabiny Potockiej I 992  
 Prowancka literatura I 755–786 i I 1033–1044  
 Prowancka literatura bezimienna I 769, 770,  
 782  
 Prudencjusz: O wieniec na cześć bł.  
 Eulalji I 624  
 — Psychomachja I 624  
 Prudentius Aurelius, zob. Prudencjusz  
 Prudhomme, zob. Sully-Prudhomme  
 Przybyłowska Zofja (Łazdynu Peléda):  
 Dewotka II 587  
 Przysłowia (tur.) I 391  
 Przysłowia Salomona (st.-hebr.) I 175  
 Psalmy (st.-hebr.) I 166  
 Psalmy Salomona (żyd.) I 194  
 Psellos Michał: Zamordowanie Roma-  
 na III w r. 1034 II 860  
 Pseudoareopagita, zob. Dionizjusz  
 Pseudoareopagita  
 Pseudoewangelja, zob. Mateusz  
 Psicharis Jan: Bohaterowie z nad morza II 877  
 P'u Sung Ling: Z Liao czai czy i I 22  
 Pulci Luigi: Olbrzym Morgant I 703  
 Pumpurs Andrejs: Głowa na trzech  
 mieczach II 563  
 — Imanta II 564  
 Puszkin Aleksander: Przypomnienie II 633  
 — Szatan II 633  
 — Więzień II 634  
 — Pomnik II 634  
 — Gorzkie żale II 634  
 — Biesy II 635  
 — Echo II 635  
 — Ostatni raz II 635  
 — W jałowej nudzie... II 636  
 — Z «Epigramatów» II 636  
 — Z «Eugenjusza Oniegina» II 637  
 — Z «Jeźdźca miedzianego» II 638  
 Putinas-Mykolaitis Vincas: Ze złoconej  
 ramy... II 591  
 Pucybot (z), zob. Gausbert (Guibert)  
 de Pucybot  
 Querfurt (z), zob. Konrad z Querfurtu  
 Quevedo y Villegas Francisco Gómez,  
 de: Sny o szkieletach II 21  
 Quidenon (z), zob. Cyryl z Quidenonu  
 Rabelais François: Prolog do Gar-  
 gantui I 825  
 Racine Jean: Berenika, królowa Pa-  
 lestyny I 852  
 Radičević Branko: Gdy był bliski  
 śmierci II 812  
 — Dziewczyna u zdroju II 813  
 Raimbaut z Vaqueiras: Carrousel I 772  
 Raimon de Miraval: Pieśń do damy  
 nienazwanej I 777  
 — Kancona I 778  
 Rainis Janis, zob. Pliekszans Janis  
 Rajd-Das: Wyjątki I 120  
 Rajnow Mikołaj: Z «Królowej Achinory» II 847  
 Rajzen A.: W ogrodzie I 256  
 — Huragan I 260  
 Ramajana (ind.) I 58  
 Rangabé, zob. Rangavis  
 Rangavis (Rangabé) Aleksander Ri-  
 zos: Wędrownica II 869  
 — Pragnienie II 871  
 — Rady II 872  
 Ransetsu: Nastrój jesienny I 27  
 Raszyd Mechmed: Oblężenie Kamieńca I 395  
 Râzi Fachr-ad-Din ar: Z «Opowieści  
 o dynastjach» I 327

- Rebreanu Liviu: Ion II 90  
 Redi Francesco: Pieśń Bachusa I 721  
 Régnier Henri, de: Oda I 969  
 — Tajemnica I 970  
 Régnier Mathurin: Satyra VIII II 834  
 Remizow Aleksy: Rosja rozwichrzona II 699  
 Richter Johann Paul Friedrich (Jean Paul): Z «Hesperusa» II 367  
 — Z «Kwiatów, owoców i cierni» II 369  
 Rig-Weda (ind.) I 43  
 Rigas Konstantyn (Ferreos): Pieśń powstańcza Hellenów II 867  
 Rilke Rainer Marja: Z «Księgi obrazów» II 436  
 — Z «Wierszy nowych» II 437  
 — Z «Elegij duinezyjskich» II 438  
 — Z «Sonetów do Orfeusza» II 438  
 Rimbaud Arthur: Ze zbioru p. t. «Natchnienia» I 962  
 Riquier Guiraut: Pastorela 1-sza I 783  
 — Serena I 784  
 Ritusamhara (ind.) I 72  
 Robinson Edwin Arlington: Czarne wzgórza II 277  
 Rochelle, zob. Drieu la Rochelle  
 Rodenbach Albrecht: Łabędź II 523  
 Rojas Fernando, de: Celestyna II 10  
 Rolland Romain: Jan Krzysztof I 983  
 Rollenhagen Georg: Z «Przygód żab i myszy» II 317  
 Romanca o «Królu - dziecku», który utracił Granadę (hiszp.) II 12  
 Romanca o ostatniej bitwie Cyda (hiszp.) II 13  
 Romanos: Modlitwa II 853  
 Romans o Doëcie (franc.) I 797  
 Romans o lisie (franc.) I 801  
 Romans o róży (franc.) I 803  
 Romi Immanuel ben Salomo, zob. Immanuel ben Salomo Romi  
 Romulus: Bajka o krowie, owcy, kozie i lwie I 648  
 Ronsard Pierre: Sonet I 826  
 — Do gaju w Gastine I 826  
 — Do Mikołaja de Neufville pana de Villeroy I 826  
 — Do Kasandry I 828  
 Rosa Salvator: Satyra II I 715  
 Rosenfeld M.: Stary krawiec I 257  
 — Melodje elulowe I 258  
 — Mój synuś I 259  
 — Czem jest świat I 259  
 — Do mej nędzy I 259  
 Rossetti Dante Gabriel: Sonet II 217  
 — Lilith, czyli piękność ciała II 217  
 — Sybilla Palmifera, czyli piękność duszy II 218  
 Rostand Édmond: Pieśń do skrzydeł I 936  
 — Cyrano de Bergerac I 937  
 Rosyjska literatura II 617—712  
 Rosyjska literatura bezimienna II 617—620  
 Rosyjskie byliny II 618  
 Rosyjska bylina o Świątogorze II 618  
 Rosyjskie pieśni ludowe II 619  
 Rotterdam (z), zob. Erazm z Rotterdamu  
 Rousseau Jean Jacques: Wielka rozprawa o nierówności stanów pomiędzy ludźmi I 881  
 Rozmowa ciała z duszą (celt.-wal.) II 112  
 Rudel de Blaia Jaufre: Lanquan li jorn son lonc en mai I 759  
 Rueda Salvador: Motyl (Z pieśni winobrania) II 49  
 — Treny cygańskie II 49  
 Ruiz Juan: Księga uczciwej miłości II 8  
 Rumi, zob. Dżelaeddin Rumi  
 Rumuńska ballada pasterska o jagnięciu II 69  
 Rumuńska dumka z Siedmiogrodu II 68  
 Rumuńska dumka żalu II 67  
 Rumuńska literatura II 67—94  
 Rumuńska literatura bezimienna II 67—70  
 Rumuńska pieśń wolnego włościanina II 67  
 Rumuńska pieśń żalobna z Bukowiny II 68  
 Rumuński list bojara Neakszu II 67  
 Runeberg Johan Ludvig: Spotkanie II 475  
 — Dziewczę nad potokiem II 475  
 — Młodzieniec II 475  
 — Z cyklu «Idylle i epigramy» II 537  
 — Nasz kraj II 538  
 Ruodlieb (łac.) I 646  
 Ruskin John: Z «Nowoczesnych marlarzy» II 203  
 — Z «Szczamu i lilij» II 203  
 Ruszen Eszref: Z wędrówek po Stambule» I 400  
 Rutebeuf: Cud o Teofilu I 800  
 Ruusbroec Johannes, van: Z «Księgi dwunastu beginek» II 507  
 Rückert Friedrich: Z «Mądrości braminów» II 386  
 — Anteusz II 387  
 — Żegluga II 387  
 Rylejew Kondrat: Stance II 630  
 — Obywatel II 631  
 — Ze «Spowiedzi Naliwajki» II 631  
 Rylskij Maksym: Tak, myśmy prolog II 733  
 Ryszard I Lwie Serce: Ja nuls hom pres non dira sa razon I 765  
 Ryszard z Barbezieux: Wyjątek I 771  
 Ryszard z Saint-Victor: Benjamin minor II 69  
 — Benjamin maior I 641  
 Rzymska literatura I 517—615  
 Saadja ben Josef z Fajjumu: Z dzieła p. t. «Wierzenia i dogmaty» I 212  
 Saavedra, zob. Cervantes Saavedra  
 Saaz Johannes, v.: Oracz z Czech II 310  
 Sabara Józef ibn: Z romansu poetyckiego p. t. «Księga igraszek» I 232  
 Sabbatai (Sabbataj) Jehuda ben Izaak: Dar Jehudy, wroga kobiet I 233  
 Sachs Hans: Różne dzieci Ewy II 314  
 — Brat Watpiz i cudowne pióro II 315  
 Sadakata: Prośba I 26  
 Sad-Dharma-Pundarika (ind.) I 70  
 Sadi: Z «Ogrodu różanego» I 371  
 Sadoveanu Mihail: Wesele gospodarówny Roxandy II 87  
 Safona: Hymn do Afrodyty I 427  
 — Samotność I 427  
 — Los prostej dziewczyny I 427  
 — Zakochanie I 428  
 Saga o Gunnlaugu żądło Wężowe (isl.) II 449  
 Saga o Skaldzie Egillu (isl.) II 448  
 Sahula Izaak ibn: Z księgi przysłów starożytnych I 235  
 Sa'id al-Andalus, zob. Andalus Sa'id, al-Saigu no Nyogo: Poszum wiatru I 27  
 Saint Circ (de), zob. Uc (Hugo) de Saint Circ

- Saint-Victor (z), zob. Hugo z Saint-Victor i Ryszard z Saint-Victor  
 Sallustius Gaius Crispus, zob. Salustjusz  
 Salomon, zob. Przysłowia i Psalmy  
 Salustjusz: Rewolucja Katyliny I 547  
 Sałtykow Michał (N. Szczedrin): Biedny wilk II 663  
 Samadha-Radża-Sutra (ind.) I 72  
 Sandburg Carl: Pomroki grobów II 280  
 Sannazzaro Jacopo: Arkadja I 693  
 Sarkofagowe teksty (egip.) I 140  
 Sarneczka (nowogr.) II 864  
 Satyra menippejska (franc.) I 829  
 Savonarola Girolamo: Przepowiednia XXVI «Sopra Amos» I 701  
 — Przepowiednia XLVIII I 701  
 — Przepowiednia IX na temat Michałsza I 702  
 Sąd Boży przeciwko Babilonowi (st.-hebr.) I 191  
 Scarron Paul: Romans komiczny I 837  
 Schaezman Herman J. A. M.: Vondel II 519  
 Scheffel Joseph Victor: Z «Trębacza z Säkkinken» II 417  
 — Historia proroka Jonasza II 417  
 Scheffler Johann (Angelus Silesius): Z «Pątnika cherubińskiego» II 323  
 Schiller Friedrich: Do radości II 358  
 — Pożegnanie Hektora II 359  
 — Rezygnacja II 359  
 — Z «Wilhelma Tella» II 361  
 — Z «Dymitra» II 363  
 Schopenhauer Artur: Z «Parergów i Paralipomenów» II 384  
 Scot Jan, zob. Eryngena  
 Scott Walter: Dziewnica z jeziora II 181  
 — Z «Kenilworth» II 182  
 Scudéry Madeleine, de: Wielki Cyrus I 837  
 Se Ma Ts'ien: Z «Szi ki» I 14  
 Sei Shonagon: Z «Makura no soshi» I 32  
 Seneka Lucjusz Anneusz: Życie szczęśliwe I 584  
 Senyu: Wyjętek I 28  
 Serbska literatura II 809—819  
 Serbska literatura bezimienna II 809, 810  
 Serbska poezja ludowa II 809  
 Serpa Pimentel Antonio, de: Do poety II 63  
 Serra Joaquim: Ślad krwi II 65  
 Serranilha (hiszp.) II 60  
 Shakespeare William, zob. Szekspir  
 Shaw Bernard: Z «Meża przeznaczenia» II 242  
 Shelley Percy Bysshe: Smutek II 191  
 — Serenada indyjska II 191  
 — Chmura II 192  
 — Tulacze świata II 193  
 — Ozymandjas II 193  
 Shikitei Samba: Z «Ukiyo Buro» I 38  
 Si Kün: Z poezji I 16  
 Sidney Filip, Sir: Do księżycy II 126  
 Silentarios Paulos: Wiosna nad morzem II 854  
 Silesius Angelus, zob. Scheffler Johann  
 Silva Leitão, zob. Almeida Garrett J. B. da Silva Leitão  
 Skalbe Karlis: Z «Baśni zimowych» II 575  
 Sládkovič Ondřej (Braxatoris): Z «Deviana» II 800  
 Sławejkow Penczo: Modlitwa II 844  
 — Nad nim dzień świta II 845
- Słowacka literatura II 799—804  
 Słoweńska literatura II 835—838  
 Słowo o wyprawie Igora (ros.) II 617  
 Snorre, zob. Sturluson Snorre  
 Soffici Ardengo: Krajobraz I 752  
 Sofokles: Edyp król I 446  
 Soliman Wspaniały, zob. Muhibbi  
 Solomós Dionizy: Hymn do wolności II 873  
 — Blondynka II 873  
 — Na Ipsare II 874  
 Solon: Życie ludzkie I 424  
 Sologub Teodor (Tietiernikow): Czarci huśtawa II 685  
 — Aniołowe lica II 686  
 — Wyjdz przed dom... II 686  
 Sołowjow Włodzimierz: Polski kościół narodowy II 672  
 Somadewa: Ocean strumieni baśni I 116  
 Sonojo: Wyjętek I 27  
 Sordel de Goito: Żal I 781  
 Sosei: Oczekiwanie I 25  
 Sova Antoni: Kto ci tak zburzył ciemne włosy II 782  
 — Melancholijna niedziela II 782  
 — Rozmyślania II 783  
 Spenser Edmund: Z «Królowej wieszczek» II 126  
 — Z «Hymnów o piękności» II 127  
 Spitteler Karl: Piosnka o dzwonie II 425  
 — Aurora II 425  
 — Tylko królem II 425  
 — Z «Imago» II 426  
 Sprawozdanie o podróży Eldada Danity (żyd.) I 219  
 Staël-Holstein A. L. G., de: O Prusach I 896  
 Starohebrajska historia I 165  
 Starohebrajska księga Kohelet I 186  
 Starohebrajska literatura bezimienna I 164—192  
 Starohebrajska pieśń Debory I 166  
 Starohebrajska pieśń Lamecha I 166  
 Starohebrajska Pieśń nad pieśniami I 171  
 Starohebrajskie księgi Ijoba cierpliwego I 175  
 Starohebrajskie prawo I 164  
 Starohebrajskie proroctwo Izajaszowe I 190  
 Starohebrajskie przysłowia Salomona I 175  
 Starohebrajskie psalmy I 166  
 Starohebrajskie treny Jeremjaszowe I 188  
 Starohebrajskie widzenie o kościach I 192  
 Staroprowancka ballada nieznaney damy I 782  
 Staroprowancka literatura I 755—786  
 Staroprowancka literatura bezimienna I 769, 770, 782  
 Starość (jap.) I 26  
 Stefan z Bourbon: Anegdota historyczne, legendy i przypowieści I 661  
 Stefanyk Wasyl: Rodzina Bartka II 724  
 Sterne Laurence: Z «Podróży sentymentalnej» II 165  
 Stevenson Robert Louis: Z «Markheima» II 207  
 — Z «Wyspy głosów» II 209  
 — Cień II 209  
 Stoddard Richard Henry: Leonatus II 272  
 Storm Theodor: Zmarlej II 408  
 — Dla moich synów II 409  
 Strassburg (v.), zob. Gottfried von Strassburg

- Strehlenau Niemsch, v. (Nikolaus  
 Lenau): *Primula veris* II 400  
 — Z «Pieśni w sitowiu» II 400  
 — Do melancholji II 401  
 Strindberg August: Z «Ojca» II 475  
 — Z «Minjatur historycznych» II 477  
 Studyta Teodor: Na dyżurnych braci  
 w klasztorze II 857  
 Sturluson Snorre: Z «Eddy młodszej» II 448  
 Su Tung P'o: Z ksiąg Su Tung P'o I 21  
 Suits Gustav: Upiory II 559  
 Sully-Prudhomme R. F. A.: *Dokąd idą* I 922  
 Sumarokow Aleksander: Z «Tressot-  
 niusa» II 622  
 — Dwie córki podjacznych II 623  
 Sutsos Panajótis: Na ruinach Sparty II 872  
 Sutta-nipata (ind.) I 66  
 Sün tse: Z księgi Sün tse'go I 9  
 Swarth Hélène: Rada II 525  
 — Zabawa w chowanke II 526  
 — Pogarda II 526  
 Swift Jonathan: Z «Podróży Gullivera» II 154  
 — Wiersze na śmierć doktora Swifta —  
 przez niego samego II 156  
 — Medytacje nad starą miotłą II 157  
 Swinburne Charles Algernon: Triady II 219  
 — Pielgrzymi II 219  
 — W San Lorenzo II 221  
 — Pomiedzy morzem a słońca zachod-  
 dem II 222  
 Symonides z Amorgos: *Życie ludzkie* I 426  
 Symonides z Keos: *Termopile* I 430  
 — *Los człowieka* I 431  
 — *Nagrobki* I 431  
 Synesios: Z «Hymnów» II 852  
 Szabolcska Michał: W Grand Café II 615  
 Szanfara: *Kasyda* I 267  
 Szczedrin N., zob. Sałtykow Michał  
 Szekspir William: Z «Hamleta» II 131  
 — Ze «Snu nocy letniej» II 137  
 — Z «Sonetów» II 140  
 Szenszin (Fet Atanazy): *Dziś przysze-  
 dłem ci powiedzieć* II 659  
 — *Jak ubogi nasz język* II 659  
 Szewczenko Taras: *Pustka* II 713  
 — *Jak dzisiaj widzę* II 713  
 — *W trzynaste lato* II 713  
 — *Toć nie dla ludzi* II 714  
 — *Paniczne, gdybyście zoczyli* II 714  
 — *Do Polaków* II 715  
 — *Żeście Polskę* II 715  
 — *Z «Modlitw»* II 715  
 — *Testament* II 716  
 Szi king (chiń.) I 2  
 Sztajnberg Jehuda: *Prostoduszny* I 237  
 Szu king (chiń.) I 1  
 Szwedzka literatura II 472—489  
  
 Śmierć Izoresa (franc.) I 788  
 Śmierć matki Jugowićów (serb.) II 809  
 Święty Wacławie! (czes.) II 748  
  
 Šantić Aleksa: *Boka* II 817  
 — *Ja cię kocham* II 818  
 Šenoa August: Z cyklu «Barwinek» II 826  
 — *Waleczna Zofka* II 827  
 Šrámek Franciszek: *Raport* II 785  
 Štúr Ludevít: *Ze śpiewów i pieśni* II 799  
 Šumero-akkadzka literatura bezmieni-  
 na I 123—135  
  
 Šumerski napis na kociolku Urukaginy I 124  
 Šumerski napis na stożku Entemeny I 123  
  
 Taabbata Szarran: *Wyjątki* I 266  
 Tabari: *Bitwa pod Kadisiją* I 345  
 Tacyt: *Roczniki* I 595  
 Taiheiki (jap.) I 33  
 Taine Hippolite: *Filozofja sztuki* I 923  
 Taketori monogatari (jap.) I 30  
 Talmud (żyd.) I 198, 201  
 Tamayo y Baus Manuel: *Dramat nowy* II 42  
 Tarafa: *Z utworów* I 277  
 Tartúsi, at-: *Wyjątki* I 291  
 Tasso Torquato: *Amyntas* I 720  
 Tegnér Esaias: Z «Frytjofa» II 473  
 — *Gwiazdy* II 473  
 — *Rzeczy wieczne* II 474  
 Teishitu: *Wyjątki* I 27  
 Teitoku: *Wyjątek* I 27  
 Teksty piramid egipskich I 136  
 Teksty sarkofagowe egipskie I 140  
 Tellez Gabriel, zob. Tirso de Molina  
 Tennyson Alfred: *Minione dni* II 213  
 — Z «In memoriam» II 213  
 Teognis: *Wdzięczność* I 425  
 — *Krew szlachetna i podła* I 425  
 Teokryt: *Sielanki (Idylle)* I 501  
 Terencjusz: *Dziewczyna z Andros* I 523  
 Teresa, św.: *Stacje* II 18  
 Tertulianus, zob. Tertuljan  
 Tertuljan: *O widowiskach* I 619  
 Testament Włodzimierza Monomacha  
 (ros.) II 617  
 Thackeray William Makepeace:  
 Z «Księgi snobów» II 207  
 Thalabi: Z księgi opowieści o proro-  
 kach I 308  
 — *Śmierć Aleksandra Wielkiego* I 311  
 — *Opowieść o królu Hadhad* I 311  
 — *O hojności królewskiej* I 312  
 Theer Otokar: *Woda* II 786  
 — *Życie płynie jako w śnie* II 786  
 Theragatha (ind.) I 68  
 Thompson Franciszek: *Chart gończy*  
*nlebios* II 230  
 Thomson Jakób: *Rule Britannia!* II 169  
 — Z «Pór roku» II 170  
 — *Do zmarłej oblubienicy* II 170  
 Thomsen Grimur: *Nimfy leśnej cza-  
 rowna pieśń* II 451  
 Thorsteinsson Steingrimur: *Życzenie* II 452  
 Tibullus Albius: *Do Delji (elegja z ks. II)* I 573  
 Tietiernikow, zob. Sologub Teodor  
 Tirso de Molina: *Uwodziciel z Sewilli*  
*i gość kamienny* II 25  
 Tiutczew Teodor: *Jest śpiewność* II 639  
 — *Szeroka, jasna i otwarta...* II 639  
 — *Dzień i noc* II 640  
 — *Za myślą myśl goni...* II 640  
 — *Nieostygła z dziennej spieki...* II 640  
 — *Sypkiego piachu...* II 640  
 — *Jak na popiele...* II 640  
 Todi Jacopone, da: *Lauda dramatyczna* I 675  
 Todorow Petko: *Nad cerkwią* II 846  
 Tolstoj Aleksy, hr.: *Wasilij Szybanow* II 656  
 — *Och, żeby tak Wolga-matka...* II 659  
 Tolstoj Lew, hr.: *Kozacy — opowieść*  
*kaukaska* II 665  
 — *Wojna i pokój* II 665  
 — Z «Wiatronogiego» II 667

- Tomasz z Akwinu, św.: O wolnej woli I 667  
Tomasz z Celano: Hymn «Dies irae» I 670  
Topelius Zakarias: Brzoza i gwiazda II 539  
Tóth Koloman: Matka Polka II 613  
Treny Jeremjaszowe (st.-hebr.) I 188  
Trimberg Hugo, v.: Z «Biegacza» II 308  
Trissino Gian Giorgio: Sofonisba I 718  
Trystan, zob. Poemat o Trystanie  
Tso czuan (chiń.) I 13  
Tu Fu: Z poezyj I 19  
Tucydides: Historia wojny pelopone-  
skiej I 476  
Tudela (z), zob. Benjamin z Tudeli  
Tukaram: Wyjutki I 119  
Tumas Józef (Vaižgantas): Mateczka II 589  
Turecka genealogia Kultešina I 387  
Turecka literatura I 387—402  
Turecka literatura bezimienna I 387, 391—395  
Tureckie dziejopisarstwo I 395  
Tureckie przysłowia I 391  
Turgeniew Jan: Z «Zapisków myśli-  
wego» II 653  
— Z «Poezji prozą» II 654  
Twain Mark, zob. Clemens Samuel  
Langhorne  
Twerdochlib Sydir: Współczesny  
twórca II 730  
— Cudry o zachodzie słońca II 730  
— Noc Popielcowa II 730  
Tyczyna Pawło: Tam na polu II 731  
— Nie patrz na mnie tak II 731  
— Nad zielonym jarem II 732  
— Po błękitnym stepie II 732  
— I za siołem II 732  
— Madonno moja II 732  
— Wojna II 733  
Tyrtajos: Pobudka bojowa I 423  
Tysiąc i jedna noc, zob. Powieści 1001  
nocy  
Uc (Hugo) de Saint Circ: Wyjutek I 778  
Uhland Ludwig: Klątwa pieśniarza II 382  
— Przedśmiertny zapis II 384  
— Dobry towarzysz II 384  
Układ kręgów i stopni niebieskich  
(arab.) I 343  
Ukraińska Lesia (Larisa Kosaczówna):  
Pragnęłabym popłynąć wdal II 725  
Ukraińska literatura II 713—735  
Ulrich von Hutten, zob. Hutten Ul-  
rich, v.  
Unamuno Miguel, de: Żywot Don Ki-  
szota i Sancza II 54  
Under Marie: Błękitny taras II 559  
Undset Sigrid: Z «Krystyny, córki La-  
wransa» II 470  
'Usjuti: Z utworu p. t. «Al Mardż An-  
Nadhir» I 314  
— O wdzięczności I 315  
Vaižgantas, zob. Tumas Józef  
Vajanský Svetozár Hurban: Romans II 800  
— Pocięcha II 801  
Vaqueira (z), zob. Raimbaut z Va-  
queira  
Vauvenargues, de: Uwagi i myśli I 877  
— O sztuce i chęci pisania I 879  
— Myśli różne I 879  
Vega Carpio Lope Félix, de: Kapry-  
śnica II 22  
— Madryckie wody żelaziste II 23  
Veidenbaums Eduards: Z pół nadply-  
nął powiew wiosny II 568  
— Deszcz na ulicach II 569  
— Ze świata, niby sen, znikają poko-  
lenia II 569  
Veldeke Heinrich, v.: Piosnka II 304  
Ventadorn Bernard, de: Kancony I 757  
Verdagner Jacinto: Atlantyda II 55  
Vergilius Publius Maro, zob. Wergi-  
ljusz  
Verhaeren Émile: Drzewo I 977  
— Ulewa I 979  
— Mój duch jest tam I 980  
Verlaine Paul: Piosnka jesienna I 962  
Verona Giacomo, da: O Babilonie,  
mieście piekielnem I 677  
Verwey Albert: Misterja gwiazd II 532  
— Ziemia II 533  
Veske Mihkel: Znasz li tę ziemię? II 549  
Vicente Gil: Auto inês pereira II 60  
Vidal Piotr: Dragoman senher, s'eu  
agues bon destrier I 761  
Vikelas Dymitr: Podróż przez morze  
Egejskie II 874  
Vildrac Charles: Gdyby chowano I 1024  
— Przy butelce I 1025  
Villegas, zob. Quevedo y Villegas  
Vilhardouin Geoffroi, de: Zdobycie  
Konstantynopola I 796  
Villon François: Wielki testament I 818  
Virza Edvards: Zielone brzozy II 578  
— W godzinę, kiedy rozstał się ze  
światem... II 578  
— Tyś pieszczotliwa, uśmiechniona... II 578  
— W więzieniu II 579  
Vitaie, zob. Żywoty  
Vitry Jacques, de, zob. Jakób z Vitry  
Vodnik Valentin: Z «Pieśni pospolitego  
ruszenia» II 835  
— Koń niemiecki i słoweński II 835  
Vogelweide Walther, v. der: Oddanie  
się i odprawa II 305  
— Potęga miłości II 305  
— Pod lipą II 305  
— Dobry obyczaj II 306  
— Równość wobec Boga II 307  
— Wyznanie II 307  
— Boga zgłębić nie można II 307  
Voinești, zob. Brătescu-Voinești  
Voiture Vincent: Sonet I 836  
Vojnović Ivo: Z «Trylogii dubrownic-  
kiej» II 834  
Voltaire, zob. Wolter  
Vondel Joost, van den: Z «Nurtów  
Renu» II 508  
— Z «Lucyfera» II 509  
Vörösmarty Michal: Z «Uciezki Zalána» II 599  
— Wygnaniec II 600  
— Wezwanie II 601  
Vraz Stanko: Spowiedź II 822  
Vrchlický Jarosław: Amarus II 771  
— Noc na Karlštejnie II 772  
Wacław Wratysław z Mitrovic: Życie  
w czarnej wieży II 755  
Waddâch Abdarrachmân ibn Ismail,  
al-: Wyjutki I 284  
Walahfrid Strabo: Wizja Wettina I 631  
— Wirydarzyk I 631  
Walijska literatura II 95—118

- Walther von der Vogelweide, zob. Vogelweide Walther, v. der  
Wang Cz'ung: Z «Lung heng» I 14  
Wazow Iwan: W nadziei II 840  
— Wolow II 840  
— Do... II 840  
— Popatrzcie na nas — tu! II 841  
— Język bułgarski II 841  
— Czy idzie? II 842  
Weda (ind.) I 43  
Wedekind Frank: Z «Przebudzenia się wiosny» II 431  
— Pieśń o posłusznej panience II 432  
Wells Jerzy Herbert: Z «Podróży w czasie» II 233  
Wen-Amon: Sprawozdanie z podróży do Fenicji I 157  
Werfel Franz: Pieśń pijacka II 443  
— Hekuba II 444  
Wergiljusz: Sielanki I 558  
— Georgiki I 559  
— Eneida I 562  
Wetalapańczawimsati (ind.) I 110  
Węgierska literatura II 593—616  
Whitman Walt: Z «Salut au monde» II 268  
— Z «Pieśni o mnie samym» II 269  
— Ze «Śpiewu o ostrzu topora» II 269  
— Z «Bicia w bębny» II 270  
— Z «Przypisań» do «Żdziebeł trawy» II 271  
Whittier John Greenleaf: Maud Müller II 266  
Widzenie o kościach (st.-hebr.) I 192  
Wieland Christoph Martin: Z «Oberona» II 331  
— Z «Historji Abderytów» II 333  
Wierność (niem.) II 304  
Wiersz nad grobem talmudysty (żyd.) I 227  
Wiersz nieznanego autora nad zwłokami talmudysty Rabby bar Huny, przywiezionemi z Babilonji do Palestyny (żyd.) I 227  
Wilde Eduard: Osadnik Woltershausen II 556  
Wilde Oscar: La bella donna della mia mente II 225  
— Z «Poezji prozą» II 226  
— Z «Ballady więzienia w Reading» II 227  
Wilhelm IX, hrabia Poitiers: Campanho farai un vers covinen I 755  
— Devalnh I 755  
— Opowieść biesiadna I 756  
Wilhelm z Cabestanhu: Kancona I 760  
Wiljam Czarny, syn Afrona, zob. Gwilym Ddu o Afron  
Wiosna i jesień (pers.) I 385  
Wizja Ansellusa z Fleury (łac.) I 632  
Włoska kancona nieznanego autora I 673  
Włoska literatura I 673—754  
Włoska literatura bezimienna I 673, 726, 727  
Wolfram von Eschenbach, zob. Eschenbach Wolfram, v.  
Wolter (Voltaire) François Marie Arouet: Zaira I 866  
— Henrjada I 871  
Wordsworth William: Była widzeniem pełnem uroku II 177  
— Siedem sióstr czyli Samotność Bin-norji II 178  
Wu Ti, cesarz: Z poezyj I 17  
Wyatt Tomasz: Łaski śmierci II 125  
Xenópolus Grzegorz: Salon Surisa II 880  
Yamabe no Akahito: Fujisan I 24  
Yamato monogatari (jap.) I 31  
Yang Czu: Z księgi Yang Czu I 11  
Yankee Doodle (płn.-am.) II 248  
Yeats William Butler: Szaleństwo króla Golla II 240  
— W ogrodzieśmy się spotkali II 242  
Yoshitaka: Po stracie ukochanej I 26  
Young Edward: Z «Myśli nocnych» II 167  
Ypsilanti Aleksander: Skarga ptaszęcia II 868  
— Z «Manifestu powstańczego» II 686  
Zagnanie krów z Kùlni (celt.-irl.) II 95  
Zalokostas Jerzy: Pocałunek pasterki II 874  
Zamek Orei (nowogr.) II 864  
Zejleń Handrij: Myśl jesienna II 805  
— Sierota II 805  
— Śpiew na czołnie II 805  
— Boże sedleszko II 806  
Zeyer Juljusz: Proroctwo II 768  
— Dom «Pod Tonącą Gwiazdą» II 769  
Zia Pasza: Terkib-i bend I 397  
Zlatarić Dinko: Z «Pieśni lirycznych» II 819  
Złoto i miłość (grec.) I 430  
Zmaj Jovan Jovanović: Z «Róż zwiedłych» II 813  
— Bildung II 813  
Zohar (żyd.) I 215  
Zola Emile: Pieniądz I 946  
Zorrilla y Moral José: Granada II 37  
— Pałac Jeneralife w Granadzie II 38  
— Gnomy i kobiety II 38  
Zrinyi Mikołaj: Z «Niebezpieczeństwa szigetckiego» II 594  
Zuhajr: Wyjątek I 272  
Zakowskie pieśni czeskie II 749  
Zalobna pieśń z Bukowiny (rum.) II 68  
Zemaité, zob. Zymontowa Julja  
Zukowskij Bazyli: Swietlana II 629  
— Morze II 630  
Życie i czyny kapitana Amosisa (egip.) I 152  
Żydowska Kabała I 214  
Żydowska księga Henocha I 193  
Żydowska księga Jubileuszów I 193  
Żydowska księga mistyczna Aniola Razleja I 214  
Żydowska literatura I 193—262  
Żydowska literatura bezimienna I 193, 194, 196—211, 214—216, 219, 220, 222—227  
Żydowska pieśń wojenna czterech ple-mion I 220  
Żydowskie legendy i opowiadania I 201  
Żydowskie poezje religijne anonimowe I 22  
Żydowskie psalmy Salomona I 194  
Żyłunowicz Żmitro, zob. Hartny Ciszka  
Zymontowa Julja (Zemaité): Z «Jana Wingsa» II 585  
Żywot niecnego bogacza (franc.) I 808  
Żywoty X wieku (łac.) I 630

UWAGA: Nazwisko tłumacza, który przełożył kilka utworów jednego autora, znajduje się pod ostatnim przekładem.

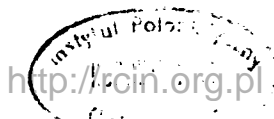
**INSTYTUT  
BADAŃ I WYDAWACTWA PAN**

PLAC ŻYWIENIA 15

01-644 Warszawa, tel. 22 62 81 72

www.pan.pl

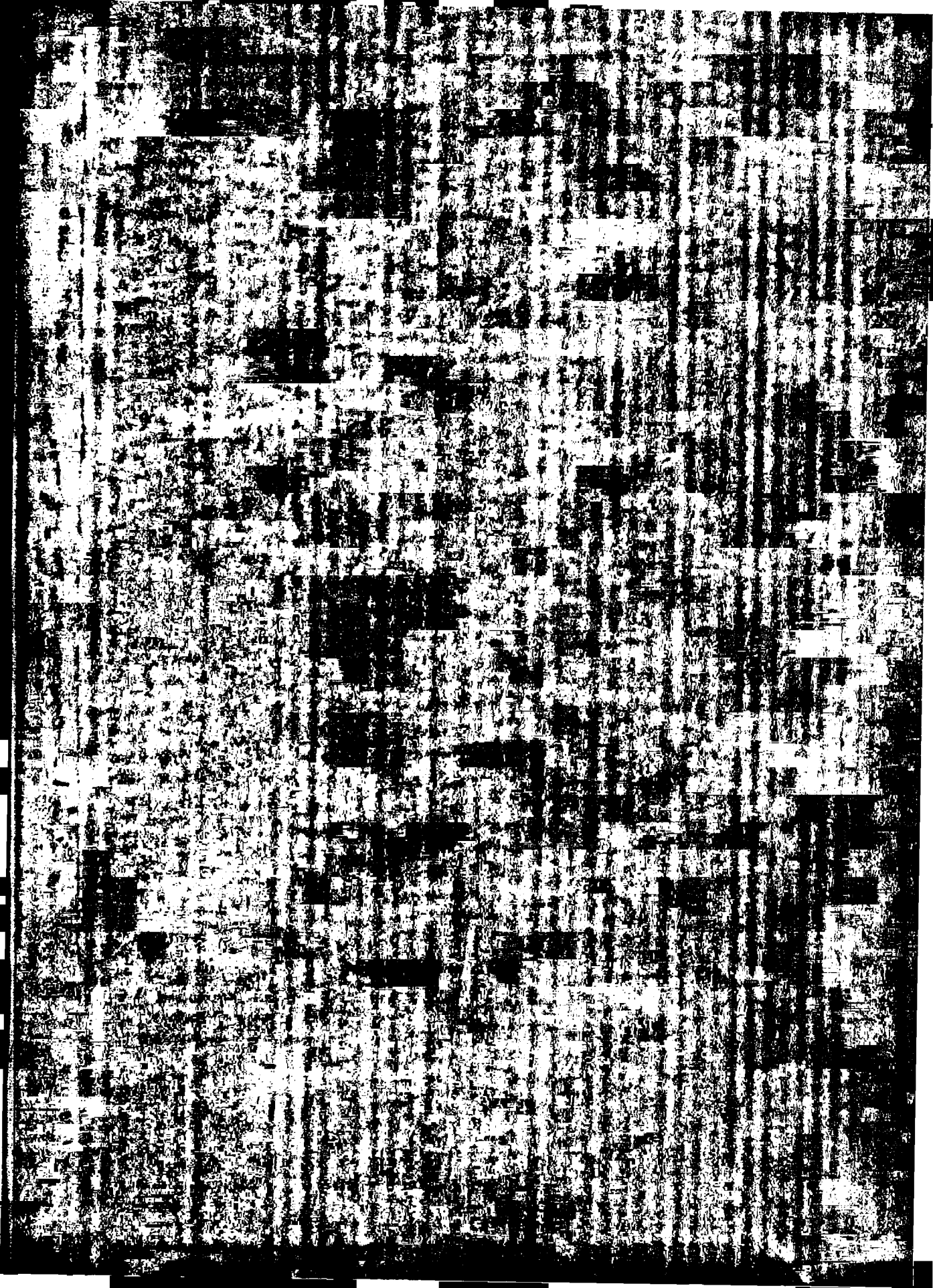
ISBN 978-83-235-231-2 w. 42











K  
8136  
6